R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

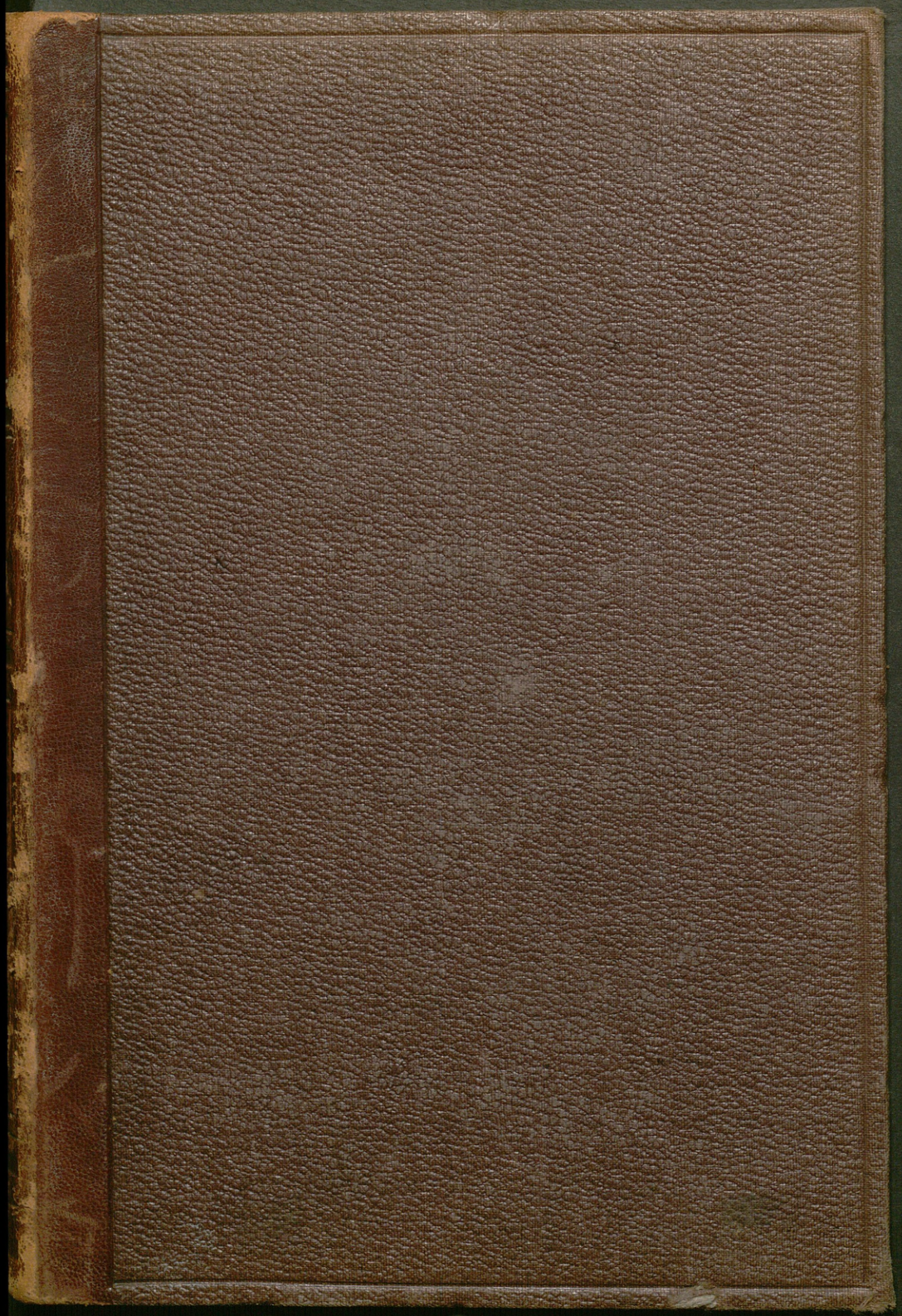

Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM

Księgozbiór historyczny

Kucharskiego Janusza

Warszawa 1952 r.

HISTORYA

KONSULATU I CESARSTWA.

HISTORYA

KONSULATU I CESARSTWA

NAPISAŁ PO FRANCUZKU

A. THIERS

BYŁY PREZES RADY MINISTRÓW CZŁONEK IZBY DEPUTOWANYCH
I AKADEMII FRANCUZKIEJ

PRZEKŁAD Z FRANCUZKIEGO.

TOM XI

WARSZAWA.

Nakładem i drukiem S. ORGELBRANDA Księgarza i Typografa.

1866.

9(44)

26604/2

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

w Warszawie dnia 22 Stycznia (3 Lutego) 1866 r.

Starszy Cenzor **Lachmanowicz.**

KSIĘGA PIĘĆDZIESIĄTA ÓSMA.

AKT DODATKOWY.

Pokojowe i liberalne przemówienia Napoleona.— Wybór ministrów postanowiony tegoż samego wieczora, 20 Marca.—Książę Cambacérès tymczasowo objął zarząd sprawiedliwości; marszałek Davout powołany na ministra wojny; książę Otrantu policji; jenerał Carnot spraw wewnętrznych; książę de Vicence spraw zagranicznych i t. d.— Hrabia Lobau mianowany dowódzcą pierwszej dywizji wojskowej, z posłannictwem przywrócenia karności w pułkach, które powinny przechodzić przez Paryż.— Dnia 21 Marca z rana Napoleon wziął się do dzieła i zajął się wszystkiemi częściami rządu.— Czy powinien był korzystać z prądu swego powodzenia, aby jednym zamachem najechać Belgię i przenieść się za Ren?— Niezbite dowody przeciw takiemu postanowieniu.— Napoleon postanawia zatrzymać się i zorganizować swe siły wojskowe, z ofiarą pokoju dla Europy na podstawach pokoju paryzkiego.— Wydany rozkaz jenerałowi Exelmans, aby na czele trzech tysięcy koni rzucił się w pogoń za uciekającym dworem.— Pobyt Ludwika XVIII w Lille.— Zimno lecz z uszanowaniem przyjęty przez wojsko.— Rada w której wziął udział książę Orleański i kilku marszałków.— Książę Orleański radzi królowi udać się do Dunkierki i tam osiąść.— Ludwik XVIII zgadza się początkowo na ten wniosek, później zmienia postanowienie i udaje się do Gandawy.— Wojsko i marszałkowie towarzyszą mu aż do granicy, odmawiając przejścia takowej.—Rozpuszczenie gwardji przybocznej królewskiej.—Uspokojenie północy i wschodu Francji.—Chwilowe ukazanie się księcia de Bourbon w Wandei i śpieszny jego wyjazd do Anglii. Polityka naczelników wandejskich opiera się na oczekiwaniu wojny powszechnej i wzięciu się wówczas do broni.— Książę i księżna d'Angoulême zatrzymują się w Bordeaux, gdzie ludność zdaje się usposobioną do ich wspierania.— Jenerał Clausel otrzymał polecenie zaprowadzenia w Bordeaux rządu cesarskiego.—P. de Vitrolles usiłuje ustalić rząd królewski w Tuluzie.—Podróż księcia d'Angoulême do Marsylji.—Książę ten zebrał kilka pułków do pochodu na Lyon.— Zamieszania na południu nie są niepokojące dla Napoleona, gdyż uważa Francję za uspokojoną przez wyjazd Ludwika XVIII.— Napoleon dowodząc ciągle o pokojowém swém usposobieniu, uważa jednak wojnę za nieuniknioną i na olbrzymią skalę robi do niej przygotowania.— Jego plan nakreślony i polecony od 25 do 27 Marca.— Utworzenie ośmiu korpusów wojska, pod nazwą korpusów obserwacyjnych, z których pięć pomiędzy Maubeuge a Paryżem przeznaczone do pierwszego działania.— Przywrócenie gwardji cesarskiej.— Niechcąc uciekać się do poboru, Napoleon powołuje pod broń czasowo i nieograniczenie urlopowanych i pochlebia sobie, że tym sposobem przybędzie mu 400 tysięcy ludzi na wypełnienie kadrów wojsk czynnych.— Pozostawia na później powołanie spisowych z 1815 roku, na co, jak mniema, nie będzie potrzeba oddzielnego

postanowienia.—Oficerowie na pół żołdzie użyci do sformowania czwartych i piątych bataljonów.— Napoleon uruchomia 200 tysięcy gwardji narodowej, w zamiarze powierzenia im twierdz i części granic do obrony.— Utworzenie nadzwyczajnych warsztatów broni i ubiorów i przywrócenie zakładu w Wersalu.—Uzbrojenie Paryża i Lyonu.— Marynarze powołani na wzmocnienie obrony ważnych tych punktów.— Po wydaniu tych rozkazów, Napoleon wyprawia kilka oddziałów wojska do jenerała Clausel na utrzymanie w posłuszeństwie miasta Bordeaux i wysyła jenerała Grouchy do Lyonu, celem powstrzymania działań księcia d'Angoulême.— Przytrzymanie p. de Vitrolles w Tuluzie.— Kampanja księcia d'Angoulême nad Rodanem.— Poddanie się tego księcia —Napoleon kazał go wsadzić na statek w Cette.- Ogólna uległość cesarstwu.— Dalszy ciąg przygotowań Napoleona i utworzenie 9go korpusu.— Stan Europy.—Odmowa przyjmowania gońców francuzkich i szczególne roznamiętnienie umysłów w Wiedniu.— Oświadczenie kongresu w dniu 13 Marca, że Napoleon wyjęty jest z pod prawa narodów.— Oświadczenie to wysłane zostało nadzwyczajnemi gońcami na wszystkie granice Francji.— Wyrywają króla Rzymskiego Maryi Ludwice i znieważają tę księżnę do wyboru pomiędzy Napoleonem a koalicją.— Marja Ludwika wyrzeka się męża i zgadza się na pozostanie w Wiedniu pod strażą swego ojca i sprzymierzonych monarchów.— Dowiedziawszy się o stanowczych powodzeniach Napoleona i jego wejściu do Paryża, kongres odnawia związek zawarty w Chaumont, traktatem z dnia 25 Marca. - Książę Wellington, jakkolwiek bez instrukcyi swego rządu, nie obawia się działać w imieniu Anglii i podpisuje umowę 25 Marca — Plan kampanii i zamiar popchnięcia 800 tysięcy ludzi na Francję.— Dwa główne zgromadzenia wojsk: jedno na wschodzie pod wodzą księcia Schwarzenberg, a drugie na północy pod lordem Wellington i Blücherem.— Wyjazd lorda Wellington do Bruxelli i wysłanie umowy z 25 Marca do Londynu.— Stan umysłów w Anglji.— Naród angielski niezadowolony z wojny, zrażony ku Burbonom i uderzony oświadczeniami Napoleona, chciałby mieć próbę jego usposobień pokojowych.— Gabinet skłonny do zatwierdzenia przyjętych przez lorda Wellington zobowiązań, lecz zakłopotany objawem opinji publicznej, postanowił ukryć prawdę przed parlamentem i kłamliwie go uwiadomił, iż przedsiębierze tylko zwykłe środki ostrożności, gdy tymczasem tajemnie zatwierdza traktat z 25 Marca i tym sposobem oświadcza się za wojną.—Rozprawy w parlamencie nad oświadczeniem gabinetu i zatwierdzenie jego działania w tej myśli, że tylko chodzi o prostą przezorność. — Dwóch członków gabinetu angielskiego wyjechało do Belgji, w celu porozumienia się z lordem Wellington.—Stan dworu w Gandawie.— Gwałtowność Niemców i groźba rozbioru Francji.—Lord Wellington usiłuje uspokoić te uniesienia i pomimo niecierpliwości Prusaków, wzbrania rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich, przed zgromadzeniem wszystkich sił koalicji.— Napoleon, w obec oświadczenia Europy, nie potrzebując już nic ukrywać, skłania się do wypowiedzenia całej prawdy narodowi.—Ogłoszenie w dniu 13 Kwietnia sprawozdania p. de Caulaincourt, w którém bez ogródek wyłożone zostały wszystkie doznane poniżenia.— Przegląd gwardji narodowej i dojmująca przemowa Napoleona.— Napoleon zdwaja czynność w swych przygotowaniach wojennych i rozkazał wydrukować w *Monitorze* postanowienia, odnoszące się do uzbrojenia Francji, które aż dotąd były wykonywane bez ich ogłaszania.— Strapienia Napoleona i narodu.— Napoleon postanowił nakoniec dotrzymać obietnicy względem ulepszenia ustawy cesarstwa.— Nie waha się utworzyć monarchji zupełnie konstytucyjnej.— Jego zdanie o różnych kwestjach, które się łączyły z tym ważnym przedmiotem.— Nie chce zwoływać zgromadzenia ustawodawczego, z obawy aby w czasie wojny zagranicznej nie miał jeszcze na karku izby republikańskiej.—Postanawia sam zredagować lub też poleci komu zredagować nową ustawę i przedstawić ją do zatwierdzenia Francji.— Dowiedziawszy się, że p. Benjamin Constant pozostał ukryty w Paryżu, kazał go przywołać i powierzył mu redakcję nowej ustawy.— Napoleon pokazał się zgodnym we wszystkiem z p. Constant, z wyjątkiem zniesienia konfiskaty, dziedziczności parostwa i tytułu nowej ustawy.— Napoleon stanowczo żądał nazwać ją: *Aktem dodatkowym do ustaw cesarstwa.*— Projekt odesłany do rady stanu, a p. Benjamin Constant mianowany został radzcą stanu, dla popierania tego dzieła.— Stanowcza redakcja i ogłoszenie nowej ustawy pod nazwą *Aktu dodatkowego.*—Cecha tego aktu.

ałac Tuileries wieczorem 20 Marca przedstawiał widowisko hałaśliwej i bezładnej radości, bez należnego dla miejsca uszanowania, i tak już zmniejszonego skutkiem rewolucji, oraz przypadkowego spotkania się osób, które nie widziały się już od roku i które nie spodziewały się spotkać w tym pałacu. Od czasu bowiem zaszłego przewrotu, obecni goście przestali myśléć o tym pałacu, a nawet rzadką mieli owych czasów zasługę, że unikali łask Burbonów; to też przyklaskiwano im teraz z zupełném zapomnieniem o godności miejsca i władzcy, który tu przybył na mieszkanie. Z wielkiém zadowoleniem widziano pośród tych ściśniętych tłumów królowę Hiszpańską i królowę Hortensję. Ta ostatnia, jakośmy mówili, znalazłszy opiekę w cesarzu Aleksandrze, pozostała w Paryżu, gdzie wyjednała dla swych dzieci księstwo Saint-Leu. Cesarz wylany dla wszystkich obecnych, był tylko dla niej surowym.— Pani w Paryżu! powiedział spostrzegając ją; pani jednej nie życzyłem sobie tu spotkać.— Pozostałam, odpowiedziała płacząc, aby otoczyć staraniami mą matkę.— Lecz po śmierci matki....— Po tej śmierci znalazłam w cesarzu Aleksandrze opiekuna dla mych dzieci i zniewoloną byłam do zapewnienia im przyszłości!...—Pani dzieci!. .. Daleko lepiej byłoby dla nich znosić nędzę i wygnanie, aniżeli uciekać się do opieki cesarza Rossyjskiego.— Ależ, najjaśniejszy panie, czyż nie zezwoliłeś także, aby król Rzymski winien był szlachetności tego monarchy księstwo Parmy?— Nie odpowiadając nic na tak stanowcze dowodzenie, Napoleon dodał: A ten proces, któż go pani doradził? (księżna zapozwała przed sądy francuzkie swego męża, spierając się z nim o dzieci)... Kazano pani popisywać się z kłopotami domowemi, które ukrywać należy, i przegrałaś proces.... dobrze się stało....—Żałując wkrótce tej surowości i otwierając ramiona dla przybranej córki, którą prawdziwie kochał, Napoleon uściskał ją mówiąc: Jestem dobrym ojcem, wiesz o tém, nie mówmy już o tych rzeczach.... Byłaś więc przy śmierci tej biednej Józefiny!... W pośród klęsk naszych, śmierć ta rozdarła mi serce....— Po skończeniu tej krótkiej rozmowy, Napoleon stał się dla królowej Hortensyi najczulszym ojcem i nie przestał być takim przez cały czas pobytu swego we Francji.

Wkrótce przybył książę de Cambacérès, złamany, podstarzały, zaledwie zdolny okazać poruszenie radości, oraz p. de Bassano, daleko szczęśliwszy z odzyskania pana, aniżeli z odzyskania łaski cesarskiej.

Napoleon przyjął pierwszego z poważaniem, jakie zachowywał zawsze dla jego wysokiej roztropności, a drugiego z widocznemi oznakami przyjaźni. Długo z obydwoma rozmawiał. Następnie weszli: książę de Vicence, de Gaête, de Rovigo, Decrès, hrabia Mollien, Regnaud de Saint-Jean d'Angely, Lavallette, Defermon. Przyjazne szepty, mierzone zawsze poprzedniém postępowaniem, dawały się słyszeć za wejściem każdego z tych dostojników. Skoro ukazał się marszałek Davout, który pamiętną obroną Hamburga i prześladowaniem Burbonów stał się drogim dla Bonapartystów, tak hałaśliwe rozległy się oklaski, że trzeba było przypomnieć obecnym, iż nie znajdują się w miejscu publicznem.

Napoleon nie widział marszałka od czasu smutnego z nim rozstania, 1812 roku, w Smorgoniach, kiedy opuszczał wyprawę rossyjską. Marszałek cofnąwszy się najprzód nad Niższą Elbę, a następnie zamknąwszy się w Hamburgu, trzymał tu wzniesioną trójkolorową chorągiew aż do końca Kwietnia, w obec wszystkich wojsk europejskich, i Burboni od dwóch miesięcy już panowali, gdy przybył do Paryża. Napoleon uściskał go, winszował sławnej obrony Hamburga, mówił o jego usprawiedliwiającym się memoriale przy oddawaniu wielkich pochwał, wtrąciwszy jednak złośliwie: Czytając ten pamiętnik, dostrzegłem z radością, że moje listy były panu użyteczne....— Marszałek bowiem, na usprawiedliwienie swoje, przytoczył wyjątki ze strasznych listów Napoleona, pisanych z Drezna, opuszczając jednakże ustępy zalecające nadzwyczajną surowość, która z tém wszystkiém nie weszła w wykonanie.—Przytoczyłem tylko, odpowiedział marszałek, bardzo małą część listów W. C. Mości, ponieważ byłeś nieobecnym.... Dziś je przytoczę w całości.— Napoleon uśmiechnął się na tę odpowiedź i okazywał marszałkowi największy szacunek.

Wkrótce ukazała się zupełnie różna od innych osoba, którą głupstwo dworaków pośpieszyło poprowadzić przed cesarza, jak gdyby przystąpienie jej do nowego porządku rzeczy najwięcej znaczyło: był to książę Otrantu. Pan Fouché prawie na przebój doszedł do wpojenia w publiczność tego przekonania, iż jest człowiekiem niezbędnym, a przytém uważanym za sprawcę urojonego sprzysiężenia, którego chwile obecne zdawały się być tryumfem: opłakane złudzenie, któremu Bonapartyści nieoględnie uwierzyli, które uciekający emigranci postanowili krwią pomścić i które strąciło później najznakomitsze głowy! Dworacy ci wychwalali już przed Napoleonem usługi, niebezpieczeństwa p. de Fouché, a spostrzegłszy go obecnie ukazującego się, zawołali: Pozwólcie przejść księciu Otrantu! jak gdyby on prowadził zakute do stóp Napoleona wszystkie stronnictwa, których, wedle błędnego

mniemania, miał być tajemną dźwignią. Napoleon nie dał się uwieść powszechnemu błędowi, lecz czując potrzebę oszczędzania każdego, przyjął p. Fouché jak starego przyjaciela rewolucji i cesarstwa, robiąc jednakże pewien odcień pomiędzy przyjęciem dzisiejszém a dawniejszém, przez okazanie mniejszej zażyłości i mniejszej także szorstkości. Pan Fouché powiedział Napoleonowi, że bardzo dobrze zrobił iż przybył, gdyż Francja byłaby już nie wytrzymała; a z pewnym rodzajem zaniedbania nie przepomniał też opowiedzieć, jak to on, książę Otrantu, poruszył wojska we Flandrji, dla zrobienia dywersji na korzyść cesarza, a jeżeli te obroty nie powiodły się, to tylko z winy szaleństwa wykonawców.

Napoleon słuchał uprzejmie wszystkiego, co mu p. Fouché i inni o jego wartości mówili.—Widzę, powiedział im, że tu sprzysęgano się, a, dodał z uśmiechem, chcę bardzo wierzyć, iż to było dla mnie. Co zaś do mnie samego, nie wiązałem się z nikim. Jedynemi memi korrespondentami były dzienniki. Skoro się dowiedziałem czytając je, w jaki to sposób obchodzą się z wojskami, z nabywcami dóbr narodowych i w ogóle ze wszystkimi, którzy związali swe losy z losami rewolucji, ani powątpiewałem o usposobieniu Francji i postanowiłem przybyć, aby ją wyrwać z pod wpływu emigrantów. Z drugiej znów strony byłem pewnym, że zamierzają mię porwać i wywieść w podzwrotnikową strefę. Wybrałem chwilę, w której kongres winien był się rozejść i gdy jeszcze noce były dość długie dla powodzenia wyprawy. Przeprawiwszy się przez morze stanąłem przed żołnierzami i zapytałem ich, czy chcą strzelać do mnie. Odpowiedzieli mi okrzykiem: *Niech żyje cesarz!* Wieśniacy powtarzali ten okrzyk, dodając: *Precz ze szlachtą! precz z księżmi!* Towarzyszyli mi z miasta do miasta, a gdy nie mogli iść dalej, zalecali innym, aby mię konwojowali aż do Paryża. Po Prowansalach Delfińczycy, po Delfińczykach Lyończycy, po Lyończykach Burgundczycy stanowili mój orszak, a prawdziwi związkowi, którzy mi przygotowali wszystkich tych przyjaciół, byli sami Burboni. Obecnie należy tak z ich jak i naszych błędów korzystać, dodał ze spuszczeniem głowy i skromnym uśmiechem. Nie idzie tu o przywrócenie przeszłości. Mieszkałem przez rok na wyspie Elbie *i tam jak w grobie, mógłem słyszeć głos potomności.* Wiem czego należy unikać, wiem czego potrzeba żądać. Powziąłem niegdyś wspaniałe marzenia dla Francji. Nazajutrz po Marengo, Austerlitz, Jena, Friedland, marzenia te były do przebaczenia. Nie potrzebuję wam mówić, że odstąpiłem od nich.... Niestety, nie wolno mi już marzyć po tém wszystkiém co widziałem. Chcę pokoju, i ja, którybym się nigdy był nie zgodził na traktat paryzki, obowiązuję się obecnie, kiedy jest

już podpisany, wiernie go wykonać. Pisałem do Wiednia, do mej żony, do mego teścia, z ofiarą pokoju na tych warunkach. Bezwątpienia nienawiść ku nam jest wielka, lecz pozostawiając każdemu co zabrał, można będzie uciszyć namiętności. Austrja ma potężne powody do oszczędzania nas. Anglja jest przyciśniętą długami. Aleksander przez próżność, Prusacy przez nienawiść będą usiłowali rozpocząć wojnę; lecz nie ma pewności, aby kto poszedł za nimi. Z drugiej znów strony będziemy gotowi, a jeżeli z traktatem paryzkim w ręku nie będziem słuchani, będziem prosić Boga o pomoc, i mam nadzieję, że zwyciężymy raz jeszcze....—Ale, mówił dalej Napoleon, nie tylko to pokój chcę zapewnić Francji, lecz wolność. Naszą rolą jest zrobić stanowczo wszystko to, czego Burboni nie umieli wykonać. Przerazili oni prawe interesa rewolucji i znieważyli sławę narodu, pomimo głaskania naczelników wojska: trzeba więc zabezpieczyć te interesa i podnieść tę sławę. Trzeba więcej, trzeba z dobrą wolą nadać tę wolność, na którą oni zgadzali się przymuszeni i wówczas gdy dawali jedną, usiłowali odbierać drugą ręką. Lubiłem władzę bez granic i potrzebowałem jej wówczas, gdy chciałem odbudować Francję, założyć olbrzymie państwo. Nie potrzeba mi już tego dzisiaj.... Niech mi pozwolą tylko uciszyć albo zwyciężyć zagranicę, a zadowolnię się następnie władzą króla konstytucyjnego.... Nie jestem już młodym, wkrótce pozbawiony już będę wrodzonej mi działalności; zresztą dla mego syna wystarczy władza króla angielskiego!.... Strzeżmy się jedynie być niezręcznymi i w naszych doświadczeniach nie narażajmy wolności, gdyż powrócimy Francji potrzebę i zamiłowanie władzy nieograniczonej. Co do mnie, to wzdycham tylko do jedynej chwały, aby ocalić zasady rewolucji, zapewnić naszą niezależność bądź polityką, bądź zwycięztwem i przygotować tron konstytucyjny dla mego syna. Będę się uważał za bardzo potężnego, jeśli mi się powiodą obadwa te zadania. Po pierwszych pracach poświęconych reorganizacji naszego wojska i przywróceniu stosunków z Europą, zajmę się wraz z wami przejrzeniem ustawy państwa i zastosowaniem jej do stanu umysłów. A bez opóźnienia się, z dniem jutrzejszym nadajemy wolność prassy. Wolność prassy! zawołał Napoleon, dla czegóż mam jej obawiać się odtąd?... *Po tém co napisała od roku, nie ma już nic do powiedzenia o mnie i pozostanie jej tylko coś powiedzieć o mych przeciwnikach...*

Słowa te, któreśmy tu zebrali w całość, powiedziane to do jednych to do drugich, a to z nieskończoną zręcznością, wyborną prostotą i najzupełniejszym pozorem dobrej wiary, trafiły tak dobrze do położenia i do usposobienia tych, którzy go słuchali, że nikomu na myśl nawet nie przyszło, aby miał zaprzeczać ich szczerości. Bez wątpienia

ludzie przewidujący, jeżeliby wrażenie chwilowe pozwoliło im zastanowić się nad tem, zapytywaliby się, czy Napoleon przy swym charakterze będzie zdolnym do poddania się twardym próbom wolności. Lecz ci sami przewidujący, ogłuszeni zaszłemi w ich oczach wypadkami, tym dziwnym, a tak cudownie dokonanym powrotem, zajęci byli bardziej używaniem teraźniejszości, aniżeli zagłębianiem się w przyszłość, aby w niej szukać powodów do smutku.

Cokolwiek bądź nic się nie zmieniło w usposobieniu Napoleona, pomimo że był wymownym i że lubił mówić, aby miał tracić czas na próżnych rozmowach. To co powiedział było koniecznem dla oznajmienia wszystkich, z jakiemi usposobieniami powracał. Było jeszcze coś zarówno konieczne i zarówno naglące, to jest utworzenie ministerjum. Utworzenie gabinetu dawniej nic nie znaczyło, gdy Napoleon był wszystkiém, zbiorem i cząstką rządu. Lecz dzisiaj, chcąc przypuścić kraj do swych działań i dowieść mu swych zamiarów wyborem, potrzebował dobrze się namyśleć i postawić na czele rządu ministrów, którzyby nie byli zwykłymi tylko jego urzędnikami.

Porozmawiawszy tegoż wieczora z księciem de Cambacérès którego oceniał zawsze zdrowe zdanie i z p. de Bassano, od którego doznawał zawsze niezłomnego przywiązania, Napoleon ułożył listę ministrów ze zwykłą sobie szybkością postanowienia. Pomiędzy dawnymi dostojnikami cesarstwa znajdowało się wielu, których po prostu należało powrócić do sprawowanych dawniej obowiązków, gdyż byli oni godni do ich pełnienia pod wszystkiemi rządami, jak książę Decrès na ministra marynarki, książę de Gaëte na ministra skarbu, hrabia Mollien do zarządu skarbem i nakoniec książę de Vicence na ministra spraw zagranicznych. Co do tych wyborów żadna nie powinna była podnieść się wątpliwość. Lecz inaczej zupełnie miały się rzeczy z wydziałem wojny, spraw wewnętrznych, policji i sprawiedliwości. Należało tu zrobić wybory nowe i charakterystyczne. Książę de Feltre wyjechał za Burbonami, a ztąd nie mogło być o nim mowy. Lecz można go było korzystnie zastąpić osobę, którą bezwątpienia wskazałby głos publiczny, jeśliby miał czas do wynurzenia zdania, to jest obrońcą Hamburga, marszałkiem Davout, zarówno administratorem doświadczonym, nieugiętym, pracowitym, jak wojownikiem nieustraszonym, łączącym ze swemi rzetelnemi zasługami tę jeszcze wielką zasługę okoliczności, że był jedynym pomiędzy marszałkami, dotkniętym prześladowaniem Burbonów. Napoleon więc postanowił ofiarować i skłonić go do przyjęcia teki wojny.

Ministrem spraw wewnętrznych chciał mieć p. Lavallette, w którym prawość serca wyrównywała prawości umysłu i któremu od lat

dwudziestu miał zwyczaj zwierzać się bez obawy. Zrobiono mu uwagę, że na ministra tak ważnego wydziału potrzeba wybrać osobę z rozgłośniejszém imieniem, któraby lepiej wskazywała jego obecne zamiary i przedstawiono mu znakomitego jenerała Carnot, ten wzór rewolucjonistów uczciwych, łączący z dawnemi swemi tytułami: organizatora zwycięztwa i wygnańca po 18 Fructidora, nowo nabyte: obrońcy Antwerpji i autora *Pamiętnika dla króla.* Wybór ten nadzwyczaj podobał się Napoleonowi. Carnot pozyskał jego serce prosząc o przyjęcie do służby w 1814 roku i opierając się śmiało restauracji. Obawiał się tylko przywiązanego znaczenia rzeczypospolitej do jego imienia, gdyż Francja, mówił, szalejąca dzisiaj za monarchją konstytucyjną (wyrażenie to stało się powszechnie używaném od roku), nie przestała obawiać się rzeczypospolitej. Popierając jednak ten wybór, Napoleon wymyślił środek na poprawę jego znaczenia, nadając Carnotowi tytuł hrabiego, jako zasłużoną nagrodę za dzielną obronę Antwerpji.

Ministerstwo policji nie było mniejszej wagi od ministerstwa spraw wewnętrznych i Napoleon chciał na nie powrócić księcia de Rovigo, pomimo że ten często mu dokuczył swą otwartością. Na samo jednak wspomnienie o tém podniosło się żywe oburzenie, lecz nie przeciw osobie księcia de Rovigo, ale przeciw dawnej samowoli cesarskiej, której książę był żyjącém wyobrażeniem. Napoleon nie upierał się więcej, lecz bardzo źle przyjął nazwisko księcia Otrantu, które mimowolnie we wszystkich znajdowało się ustach. Widział on w p. Fouché nie tylko niezmordowanego nigdy matacza, ale nadto tajemnego nieprzyjaciela, zdolnego do najniebezpieczniejszych knowań. Powiadano mu, że p. Fouché do swego tytułu królobójcy dodał nowe czyny nie mogące go pogodzić z Burbonami, ponieważ wystawił się na uwięzienie.—Pokłócony z Burbonami, odrzekł Napoleon, prawdopodobnie pozostanie takim, ale to nawet nie jest pewném. W każdym razie nie jest on ani z księciem Orleańskim, ani z rzeczpospolitą, ani nawet, że już nie wiem z jaką rejencją Maryi Ludwiki, którą wymyślił i z projektem z którym nosi się już od roku zeszłego.—Odpowiadano na to, że książę Otrantu nieodwołalnie poróżniony z Burbonami przez krew Ludwika XVI i przez świeży zamiar uwięzienia go, stanowczo przywiąże się do cesarstwa teką policji; że z drugiej strony przy przebudzeniu się stronnictw, on jeden ma dosyć zręczności do kierowania niemi, do powstrzymywania ich nie urażając jednakże, jedném słowem, że jest on koniecznym.

Napoleon przyznał mu tylko tę ostatnią zasługę, nabytą zbiegiem okoliczności i ustąpił, nie spodziewając się jednak po p. Fouché tych usług, jakich po nim oczekiwano. Czuł jednak, że niebezpiecznie jest

mieć w nim stanowczego nieprzyjaciela, pozbawiając urzędu, którego gorąco pragnął. Nadto, postanowił postawić go pod strażą, mianując księcia de Rovigo, który był jego nieprzyjacielem, naczelnikiem żandarmerji. Tym sposobem wynagradzał wiernego sługę i stawiał zarazem straż przy niepewnym ministrze, któremu zmuszony był powierzyć tekę.

Pozostawało do obsadzenia ministerstwo sprawiedliwości. Napoleon zamierzył je powierzyć, przynajmniej tymczasowo, księciu Cambacérès, który jeden miał dosyć taktu i powagi na zjednoczenie wydziału niespokojącego się, rozdzielonego, niezadowolonego wstecznym duchem Burbonów, lecz też przestraszonego duchem przedsiębierczym Napoleona i wahającego się w wyborze władzców, którzy wydzierali sobie rządy od roku. Takiemu wyborowi można było tylko przyklasnąć, jeżeliby Napoleon skłonił bojaźliwego arcykanclerza do wzięcia jakiegokolwiek udziału w rządzie.

Osoby, o których należało zapewnić się, czy się zgodzą na przyjęcie przeznaczonych im godności, znajdowały się obecnie z wyjątkiem jednego, na pokojach Tuileries, pod ręką Napoleona. Powołał więc ich natychmiast i nie pozwolił wyjść przed mianowaniem. Panowie: Devrès, de Gaëte, Mollien, zgodzili się na zajęcie dawnych swych stanowisk, na których wszyscy żądali ich widzieć. Książę de Vicence skłonny w każdym czasie, a bardziej jeszcze dzisiaj jak kiedy, do złego wróżenia o wypadkach, nie wierzył zupełnie w utrzymanie pokoju, a ztąd nie chciał brać na siebie podobnego posłannictwa. Oparł się więc naleganiom Napoleona i pomimo całego swego poświęcenia nie przyjął wydziału spraw zagranicznych. Książę Cambacérès niezadowolony z rzeczy i ludzi, nie miał żadnéj skłonności do obciążenia się teką ministerjalną, co zresztą dla byłego wielkiego dostojnika było niejakiém poniżeniem Nie ulega przecież wątpliwości, że w rządzie konstytucyjnym, jaki obecnie zapowiadano, minister odpowiedzialny powinienby stać wyżej nawet od wielkich dostojników. Uwagi te jednak nie były wystarczającemi dla księcia Cambacérèsa i ustąpił tylko przez poświęcenie i posłuszeństwo dla Napoleona, przyjmując tytuł księcia arcykanclerza, *zarządzającego tymczasowo sprawiedliwością.*

Napoleon wziął następnie na bok marszałka Davout i odkrył mu swe zamiary. Marszałek wyraził mu chęć służenia na czele wojska, jak to był zawsze robił, a dodał nadto, że mało posiada miłości pomiędzy wojskiem, gdzie jego surowość przeszła aż w przysłowie.—Otóż to tej surowości, połączonej z niezaprzeczoną pana prawością, odrzekł Napoleon, obecnie potrzebuję. Wojska zostały od roku zanieczyszczone łaskami. Burboni rozdawali stopnie. Wszycy ci, którzy złączyli się z mo-

ją sprawą, a liczba ich jest znakomita, oczekują na względy z kolei i nie będą tu mniej łakomi. Potrzeba mi ministra nieugiętego, którego bezstronna sprawiedliwość, kierowana jedynie miłością dobra pospolitego, nie mogła być oskarżoną o dążności podobne rojalistom. Położenie pana stawia cię wyżej wszelkich podejrzeń i oddasz mi usługi, jakich się nie mogę spodziewać od kogo innego — Gdy marszałek jeszcze się wymawiał, cesarz dodał: Jesteś pan człowiekiem pewnym, więc mogę ci wyznać wszystko. Pozwoliłem uwierzyć, że jestem w zgodzie z jedném przynajmniej mocarstwem europejskiém i że mam szczególniej tajemne stosunki z moim teściem, cesarzem Austrjackim. Tak nie jest: jestem sam, sam jeden, rozumiesz pan, w obec Europy. Spodziewam się ją spotkać zjednoczoną i nieubłaganą. Trzeba się nam więc bić do upadłego, a do tej wojny w trzech miesiącach olbrzymie przygotować środki. Potrzebuję administratora zarówno niestrudzonego jak nieskazitelnego, a z drugiej znów strony, gdy wyjadę na pole bitwy, potrzeba mi tutaj pozostawić kogoś pewnego, na którego mógłbym zlać samowładną nad Paryżem władzę. Widzisz więc pan, że tu nie idzie o powodowanie naszemi chęciami, lecz o śmierć lub zwycięztwo.—Na te otwarte i energiczne słowa, marszałek Davout stał się posłusznym jak żołnierz i przyjął ministerstwo wojny, zamieniwszy z Napoleonem serdeczne uściśnienie dłoni.

Napoleon rozmówił się następnie z księciem de Rovigo i ze swą zwykłą zręcznością przedstawiał mu ministerstwo policji w sposób prowadzący do odmówienia. Wierny ten sługa zrozumiał, że policja nie może już się znajdować w jego ręku i sam wyłożył powody, dla których nie może przyjąć tych obowiązków. Napoleon udając, iż skłania się do jego żądań, ofiarował mu żandarmerję, a skutkiem tego dozór nad p. Fouché. Nakoniec wziął na bok księcia Otrantu. Ten ostatni, któżby temu uwierzył? chciał otrzymać tekę nie policji, lecz spraw zagranicznych. Podobnie jak p. de Talleyrand był pośrednikiem Burbonów do spraw z Europą, tak on chciał też stanowisko zająć przy Napoleonie. W zarozumiałości swej wierzył, że swemi znowaniami na zewnątrz zdoła albo sprowadzić Europę do cesarza, albo też, w razie niemożności, zmusić ją do przyjęcia kogo sam wybierze, jak Marji Ludwiki, księcia Orleanskiego lub kogobądź innego. Wyobrażał sobie, że tym sposobem dojdzie daleko pewniej do odegrania wielkiej roli, o której zaczął marzyć od czasu jak wypadki otworzyły mu na nowo drogę do matactw. Ośmielił się więc dowodzić, iż stanie się daleko użyteczniejszym na zewnątrz niż na wewnątrz. Napoleon, który jednym rzutem oka przeniknął ogromną próżność p. Fouché, powstrzymał się od uśmiechu, gdyż nie-

szczęście nauczyło go powściągliwości. Tłómaczył się tylko, że nie może dać mu teki spraw zagranicznych, z powodu przeznaczenia jej dla księcia de Vicence, przed którym wszelkie roszczenia powinny upaść. Że obowiązywał go następnie w imię wielkich usług, do oddania których w ministerstwie policji jest powołanym, a p. Fouché spostrzegłszy, że żadnego innego stanowiska nie otrzyma, przyjął ofiarowaną mu tekę.

Pozostawało już tylko otrzymać zgodzenie się przyszłego ministra spraw wewnętrznych, lecz dziki Carnot nie znajdował się w Tuileries. Żyjąc samotnie na jednem z przedmieść Paryża, dowiadując się o wypadkach wspólnie z publicznością, nie wiedział nawet jeszcze o przybyciu Napoleona do Tuileries. Było już późno, więc Napoleon polecił prosić go do siebie na jutro rano.

Tak to zeszedł dzień 20 Marca, rozpoczęty w lasach Fontainebleau, a zakończony w Paryżu, pośród dawnego dworu cesarskiego, utworzeniem gabinetu. Postanowiono, że *Monitor* ogłosi zaraz jutro wybór nowych ministrów, z wyjątkiem pp. Carnot i de Caulaincourt. P. de Bassano zawsze poświęcony cesarzowi, otrzymał sekretarstwo stanu, a p. Lavallette zarząd poczt, a wszyscy dawni prezesi rady stanu zostali przywróceni do swych dawnych obowiązków.

Nazajutrz, 21 Marca, po kilku krótkich godzinach spoczynku, Napoleon rozpoczął na nowo te czynne stosunki, za pomocą których tak potężnie poruszał sprężynami rządu. Nakreślił najprzód marszałkowi Davout co mu czynić wypadało, aby ująć ten obszerny zarząd, który skutkiem okoliczności stał się tak ważnym. Rozkazał mu donieść całej Francji o dniu 20 Marca, a to bądź telegrafem, bądź nadzwyczajnymi gońcami, aby skłonić do oświadczenia się oddziały wojska, które jeszcze dotąd nie wybuchnęły ze swemi uczuciami, jak niemniej wahające się władze miejscowe do stanowczego postanowienia. Zalecił mu wyprawić oficerów śmiałych i rozsądnych do tych departamentów, w których prefekci zamierzali opierać się przywróceniu cesarstwa, aby w razie potrzeby użyć przeciwko nim siły wojennej; wysłać nadewszystko instrukcje do komendantów twierdz pogranicznych, aby zatknąć w nich trójkolorową chorągiew i zamknąć bramy nieprzyjacielowi, który być może zechce je podejść znienacka. Rozkazał ministrowi policji aby zajął się natychmiast prefektami i podprefektami, by wedle ich postępowania zostali usunięci lub potwierdzeni w urzędach. Polecił nowemu dowódzcy żandarmów księciu de Rovigo, aby zajął się jak najśpieszniej tym korpusem tak szacownym przez swój rozsądek, czujność, poświęcenia się dla przyjętych obowiązków. Powołał do siebie hrabiego de

Lobau, którego zdrowy zmysł, takt w postępowaniu i przewaga moralna w szeregach były doświadczone i powierzył mu dowództwo Paryża, oraz wojsk które tędy miały przechodzić. Napoleon przedsiębiorąc te środki, powodowany był zamiarem godnym jego głębokiego na rzeczy poglądu. Rewolucja, która postawiła go napowrót na tronie, była w gruncie rewolucją wojskową. Większa część pułków zmuszoną została do oświadczenia się za nim w obec swych oficerów, z których jedni byli zakłopotani pomimo poświęcenia dla jego sprawy, inni zaś zupełnie byli przeciwni; to też względem tych ostatnich, choć zresztą nielicznych, żołnierze znajdowali się w stanie buntu, który należało uśmierzyć co rychło, a to pod zagrożeniem popadnięcia w zupełną anarchję. Hrabia de Lobau cudownie został wybranym do zadania lekarstwa podobnemu stanowi rzeczy. Napoleon jemu nadał, oprócz dowództwa 1-ej dywizji wojskowej, dyktatoralną władzę nad wojskami przechodzącemi, z upoważnieniem do zmiany lub też ich pojednania z żołnierzami i do przywrócenia tym sposobem porządku i karności w szeregach. Zamiarem Napoleona było sprowadzić kolejno prawie wszystkie pułki do Paryża, przynajmniej na dni kilka, aby przeszły pod łagodną lecz silną ręką hrabiego de Lobau. Zalecił mu przedsięwziąć natychmiast te środki zaradcze, gdyż z pietnastu do dwudziestu tysięcy żołnierza znajdującego się obecnie w stolicy i z prawie równej liczby dążącego już tutaj, trzeba było wybrać około dwudziestu tysięcy i skierować ku Lille, aby stawić czoło bądź jakiemu zamachowi ze strony uciekających książąt, bądź armji anglo-hollenderskiej rozłożonej w Belgji, co jakkolwiek mało prawdopodobną, lecz możliwą było rzeczą.

Konieczne zachowanie ostrożności z tej strony zrodziło pytanie, którém zajmował się nie tylko sam Napoleon, lecz które rozbierał tegoż poranku z swym nowym ministrem wojny. Czy należało, jak to utrzymywali niektórzy krytycy (*), ciągnąć dalej pochód trjumfalny na północ i iść dokonać aż nad brzegami Renu rewolucji, która się odbyła nad brzegami Rodanu i Sekwany, aby jednym zamachem przywrócić dawne granice Francji z samą Francją nawet? Pomysł ten był łudzący, gdyż przy panującym zapale można było być pewnym, że nie spotka się żadnej zapory aż do Lille i że z łatwością pokona się wszystkie znajdujące się pomiędzy Lille a Kolonją. Wszelako pytanie to pomimo tak świetne-

(*) Zarzut ten odnosi się do marszałka Marmont, który ze zwykłą lekkomyślnością w sądzeniu o rzeczach, utrzymuje w swych Pamiętnikach, że nie należało zatrzymywać się w Paryżu, lecz korzystać z rozbudzonego zapału i maszerować prosto nad Ren. Z wywodu rzeczy poznamy o ile ten sąd jest nieoględny i pozbawiony tak rozsądku jak i znajomości rzeczy.

go swego pozoru, nie było w stanie ani na chwilę zachwiać postanowienia rozsądku niezłomnie zatwierdzonego.

Najprzód, w czasie swego pochodu ku Paryżowi, Napoleon otrzymał wiadomości z południa, które jakkolwiek niezbyt zastraszające, wymagały przecież zwrócenia na nie uwagi. Doniesiono mu, co było i prawdą, że Marsylja była w ogniu i że ludność niższej Prowancji idzie na Grenoblę i Lyon pod wodzą księcia d'Angoulême. Dnia 21 Marca z rana otrzymał znów wiadomości z Bordeaux i z zachodu. Donoszono mu, że pod wpływem księcia d'Angoulême, Bordeaux naśladowało Marsylję, usiłowało wzburzyć departamenta poza Garroną i miało niejaką nadzieję powodzenia; że książę de Bourbon stanąwszy w Angers, niecił powstanie w Wandei; że marszałek Saint Cyr nadbiegłszy do Orleanu z nadzwyczajnemi pełnomocnictwami Ludwika XVIII, sprawił zniknięcie tutaj kokardy trójkolorowej, zatkniętej pod wpływem jenerała Pajol, uwięził tego jenerała i zatknął chorągiew białą nad brzegami Loary. Nakoniec, a to było rzeczą najważniejszą, że nie można było zbytecznie ufać gwardji narodowej paryzkiej. Gwardja ta, złożona z mieszczaństwa stolicy, nie patrzała z radością na upadek tronu konstytucyjnego Ludwika XVIII i przedewszystkiem obawiała się wojny. Jeżeliby zaś sądzić o usposobieniu tej gwardji z wyrażeń niektórych jej oficerów, to bardzo gruntownie trzeba było jej przypisywać zamiary prawdziwie nieprzyjazne.

We wszystkiém tém nie było powodu do obawy dla tak potężnego jak Napoleona umysłu. Znał on rozsądek gwardji narodowej Paryża i wiedział, że niezadowolona w pierwszej chwili, stanie mu się wkrótce przyjazną, skoro się tylko dowie o jego pokojowych i liberalnych na przyszłość zamiarach i skoro wydali z jej szeregów kilku oficerów, którzy gonili za rozgłosem i znaczeniem. Co zaś do usiłowań rojalistów na zachodzie i południu, był przekonany, że zadziwiające jego wejście do Paryża potrafi ich uspokoić, a w każdym razie dalekim był od uwierzenia, aby Burboni nie umiejąc mu się oprzeć, będąc panami Paryża, obecnie wypchnięci, uciekający i znajdujący się na krańcach Francji, mogli znaleść tę siłę, której im brakło gdy byli w pełni swej władzy. Jednakże możnaby im zapewnić niejaką korzyść przez oddalenie się od siedziby rządu przed silném ujęciem steru, gdyż rzucając się śmiało do Belgii i prowincji Nadreńskich jedynie z temi wojskami, które były do rozporządzenia, pozostawiałoby się w Paryżu tylko ministrów wczoraj mianowanych, pułki rozproszone lub rozprzężone, czyli jedném słowem przywracałoby się poza sobą władzę Burbonów, przewróconą w prze-

chodzie. Lecz były jeszcze inne, daleko większej wagi pohudki do zaniechania podobnego projektu.

Najprzód, nie można było zgromadzając wszystkie wojska znajdujące się pomiędzy Paryżem a Lille, zgromadzić nad 25 do 30 tysięcy ludzi piechoty, 4 do 5 tysięcy koni jazdy i 50 do 60 dział nie najlepiej obsłużonych (*). Wiadomą przecież jest rzeczą, co można było spotkać w Belgji. Lud bardzo dobrze usposobiony dla Francji, lecz wojska wierne swym władzcom i trzy do czterech razy liczniejsze od tych, jakie Napoleon mógł obecnie poprowadzić. Powinno się było spotkać w okolicach Brukselli 20 tysięcy Hollando-Belgów, 30 tysięcy Anglików i Hanowerczyków, któreby popchnięto ku Lille z 30 tysiącami Prusaków, coby utworzyło siłę 80 tysięcy walczących. Robiąc krok dalej, spotkałoby się jeszcze 20 tysięcy Prusaków, 18 tysięcy Bawarów, 20 lub 30 tysięcy Wirtembergczyków i Badeńczyków, Hessów i t. p., czyli że przychodząc nad brzegi Renu można było mieć na karku 140 do 150 tysięcy nieprzyjaciół. Szukałoby się tym sposobem klęski możebnej nad Mezą, prawie pewnej nad Renem; zmniejszyłoby się swe siły, które zostałyby nazbyt rozproszone; zwiększyłoby się i tak już wielkie trudności administracyjne silnego sformowania wojsk, przerzucając niewypełnione kadry do Lille, Mézières, Nancy, nawet aż do Kolonji, Koblencji, Moguncji; naraziłoby się plan, na którym Napoleon całą pokładał nadzieję, a który zależał na korzystaniu z rozproszonych sił nieprzyjaciela, aby się w pośród nie rzucić i bić jedne po drugich; nakoniec, nadewszystko, rozpoczynając natychmiast kroki nieprzyjacielskie, pozbawiałoby się trzech miesięcy czasu, które można było sobie zapewnić nie występując zaczepnie; trzy miesiące bardzo szacowniejsze dla Francji niż dla Europy, gdyż ona miała coś a Francja prawie nic, a trzy miesiące użyte, jak to Napoleon umiał używać czasu, posłużyłyby do zrównoważenia ogromnej nierówności sił, jaka istniała pomiędzy Francją a Europą sprzymierzoną.

W całém poprzedzającém opowiadaniu nie mówiliśmy o nowém położeniu Napoleona w obec Francji, położeniu jak może być najtrudniejszém, które stanowczo nie dozwalało mu rozpoczynać natychmiastowych działań po za granicami Francji.

Jak bowiem przedstawił się Napoleon wylądowawszy w Cannes? Przedstawił się jako oswobodziciel, który przychodził dla oswobodzenia Francji od Burbonów, bez naruszenia jednakże ani pokoju ani wolności. Pokój i wolność: były to dwa słowa, które nie przestały wypełniać je-

(*) Obliczamy tutaj wedle prawdziwego stanu rzeczy

go przemówień począwszy od Grenobli. Łatwo było wymówić te słowa, lecz trudniej daleko uwierzyć im. Dla zyskania wiary Napoleon oświadczał wszędzie, a nawet pisał do Wiednia z różnych miejsc, przez które przechodził, że przyjmuje traktat paryzki i spełni go święcie, pomimo że nie chciał go podpisać. Oświadczenie to zachwycało wszystkich słuchaczy, gdyż pojmowali aż nadto, że jeżeli miał jaką możność zachowania pokoju, to tylko natychmiastowém oświadczeniem, że zatwierdza dzieło mocarstw, to jest dawną z 1789 r. granicę, nieco rozszerzoną około Landau i Chambery. Otóż, jeżeliby na drugi dzień po swém przybyciu do Paryża, rzucił się jednym skokiem nad brzegi Mezy i Renu, dałby powód do powszechnego mniemania, że jest tym samym człowiekiem, który poprowadził losy Francji do Moskwy, dla odprowadzenia ich drogą z Lipska na wzgórza Montmartre; niktby więc nie wątpił, że Francja odzyskuje tylko zdobywcę i despotę, który utracił kraj i swą wielkość. Moralnie nikt nie byłby za nim, a materjalnie posiadałby kilka pustych kadrów, przerzuconych do odległego Renu, gdzie trudność rekrutowania w trzykroćby się zwiększyła.

Jeżeli więc do powodów wojskowych i administracyjnych dodamy jeszcze powody polityczne, to z pewnością możemy twierdzić, że do pozostania w Paryżu skłaniała nie tylko oględność, ale nadto stanowcza i niezaprzeczona konieczność.

To też po przybyciu do ogniska cesarstwa, Napoleon stale zrobił postanowienie ująć tu ster rządu, ofiarować mocarstwom pokój na podstawach traktatu paryzkiego i wiedeńskiego, znieść poniżającą odpowiedź, na jaką prawdopodobnie był narażony, uczynić tę odpowiedź publiczną, w miejsce jéj ukrywania, aby tym sposobem wzbudzić dumę w narodzie, korzystać ze zwłoki spowodowanej temi niby układami dla uzbrojenia się ze zwykłym pośpiechem, trzymać swe wojska pomiędzy Paryżem a granicą północną dla ułatwienia działań, następnie przy udawaniu bezczynności wpaść gwałtownie na nieprzyjaciela, zapuszczając się niespodzianie wpośród jego rozproszone oddziały. Były to jedynie pomysły zdrowe, gruntowne, godne administracyjnego i wojennego genjuszu Napoleona.

Powierzywszy hrabiemu Lobau zadanie zjednoczenia wojsk znajdujących się w Paryżu, przeglądania ich niespodzianie, zaprowadzenia porządku i karności, rozkazał mu utworzyć natychmiast korpus dwudziesto-tysięczny, którym miał dowodzić rozsądny i waleczny jenerał Reille i który miał się udać do Lille, gdzie, jak mówiono, Ludwik XVIII zamierza zamknąć się ze swą gwardją przyboczną, a być może i z posiłkami wojsk zagranicznych; na szczęście marszałek Mortier dowodził

w Lille, pod zwierzchnim nadzorem księcia Orleańskiego. Była wszelka pewność, że marszałek ten, jeżeli przyjmie do tej twierdzy Ludwika XVIIIgo, jak to było jego powinnością, nie zgodzi się nigdy na wpuszczenie tutaj wojsk angielskich i pruskich, i że książę Orleański nie zechce inaczej jak marszałek postępować; ze skutkiem tego Lille, jeżeli stanie się na chwilę miejscem wypoczynku dla Ludwika XVIIIgo, nie będzie wydaném nieprzyjacielowi. Należało przecież mieć baczność nie tylko nad tą, ale nad wszystkiemi innemi twierdzami na granicy wschodniej, a jenerał Reille mógł odpowiedzieć temu zadaniu mając 20 lub 30 tysięcy żołnierza oddanego pod jego rozkazy. Gdy zaś jenerał Reille nie mógł stanąć w gotowości przed trzema lub czterema dniami, przeto Napoleon rozkazał jenerałowi Exelmans, aby natychmiast zebrał rozporządzalną jazdę i na czele trzech tysięcy koni ścigał dwór uciekający. Posłannictwo tego jenerała zasadzało się na wypchnięciu tego dworu za granicę Francji, przy zachowaniu przecież należnych względów, z wyjątkiem, jeżeli się uda, zabrania pieniędzy w które się zaopatrzono, i djamentów korony które zabrano do podróżnych powozów. Można było być pewnym, że jenerał Exelmans, pomimo osobistego żalu, nie doda surowości do otrzymanego posłannictwa, a Napoleon żądał, aby się tak stało, gdyż z całą szlachetną dumą chciał się wyróżnić od tych ludzi, którzy nałożyli cenę na jego głowę.

Co zaś do południa, żadnych nie wydał rozkazów, chcąc pierwej dokładnie wiedzieć jak rzeczy tam stoją. Nadto potrzebował niejakiego czasu na zgromadzenie wojska, niezależnie od korpusu oddanego jenerałowi Reille, a tymczasem duch Grenobli i Lyonu zupełnie go upewniał pod względem wszelkich w tej stronie zamachów. Odnośnie do zachodu, wyprawił oficera do Orleanu, aby nakazał marszałkowi Saint Cyr, pod zagrożeniem najsurowszej kary, przywrócenie do dowództwa jenerała Pajol, oraz rozkazał wyjechać do Bordeaux jenerałowi Clausel, z posłannictwem udania się ze wszystkiemi wojskami, jakie spotka w drodze i wystraszenia ztamtąd księżny Angoulême, która, pomimo wszelkiego należnego jej szacunku, nie mogła być cierpianą jako niebezpieczny nieprzyjaciel.

Poświęciwszy na te prace cały poranek 21 Marca, resztę dnia użył na przegląd korpusów, które znalazł w Paryżu, jak i tych, które mu towarzyszyły z Grenobli, a których część miała już nadejść z Fontainebleau. Była to bardzo prosta sposobność do pokazania się Paryżanom, którzy go dotąd nie widzieli i powiedzieć słów kilka, które wyszedłszy poza koło poufnej rozmowy, dalekiém echem odezwą się po całej Francji, a nawet Europie.

Zgromadzono na placu Carrousel około dwudziestu pięciu tysięcy ludzi, w których liczbie były wojska przybyłe z Grenobli do Fontainebleau, z obozu w Villejuif, a nadewszystko batalion z wyspy Elby, który piechotą w przeciągu dni dwudziestu zrobił 240 mil francuzkich. Na przegląd ten gwardja narodowa paryzka nie była powołaną, gdyż nie była jeszcze do tego przygotowaną przez zmianę kilku oficerów, nie mogących się znajdować na uroczystości przywrócenia cesarstwa. Uprzedzona jednak ludność tłumnie się zbiegła, a pomiędzy najskwapliwszymi znajdowali się tacy, którzy najbardziej nie nawidzili emigrantów, tacy, dla których sława cesarstwa nie przestała być drogą, oprócz wielu ciekawców, których cudowna wyprawa z wyspy Elby wyrwała z obojętności. Zresztą każdy rząd może zawsze przygotować świetną uroczystość, gdyż pomimo największego odosobnienia, posiada zawsze stronników śpieszących na tę uroczystość, gdy tymczasem nieprzyjaciele nieobecni dość hałaśliwe umieją wydawać okrzyki, udając iż takowe pochodzą od wszystkich obywateli. Tutaj zaś, w obec spełnionych wypadków, było czém poruszyć najzimniejszą publiczność. Lud z przedmieść udał się na plac Carrousel, aby serdecznie przyklasnąć człowiekowi, który bardziej od kogobądź innego rozbudzał jego wyobraźnię, aby przyklasnąć nadewszystko ośmiu setkom grenadjerów i strzelców gwardji, którzy towarzysząc swemu wodzowi na wygnaniu, poprowadzili go z tryumfem na tron francuzki. Starzy ci żołnierze, okryci bliznami, wycieńczeni z trudów, w podartém zupełnie obuwiu, wzruszyli widocznie obecnych, a wielka liczba z pomiędzy nich odpowiedziała nie okrzykiem lecz łzami na oklaski tłumów. Chciwy wzrok publiczności opuścił ich tylko dla przyjrzenia się człowiekowi bajecznemu w znanym surducie, który dokazał nowego cudu, godnego swego przeszłego losu. Znaleziono go otyłym, lecz silnie opalonym, co poprawiało wrażenie z jego otyłości, a nadto wodzącym zawsze gorejącym wzrokiem genjuszu. Kazał stanąć wojskom w ściśniętych kolumnach do koła siebie i wywoławszy oficerów przed front, przemówił do nich kilka słów głosem drgającym i namiętnym. „Żołnierze, mówił, przybyłem z ośmiuset ludźmi do Francji, ponieważ liczyłem na miłość ludu i pamięć wojska. Nie zawiodłem się w swojém oczekiwaniu. Żołnierze, dziękuję wam za to! Sława jakąśmy nabyli, cała jest własnością ludu i waszą. Moją jest jedynie ta, że zostałem poznany i odgadnięty... Tron Burbonów był nieprawy, ponieważ był wywrócony przez naród przed dwudziestą laty i został podniesiony rękami cudzoziemców, ponieważ dawał tylko rękojmię zarozumiałej mniejszości, której zachcianki były wręcz przeciwne waszym prawom. Jedynie tron

cesarski może zapewnić widoki narodu i najszlachetniejszą pomiędzy niemi naszą sławę. Żołnierze, pójdziemy wypędzić z naszej ziemi tych książąt, którzy są wspólnikami i narzędziami nieprzyjaciela, a stanąwszy na granicy, zatrzymamy się na niej. Nie chcemy się mieszać w sprawy innych narodów, lecz biada tym, którzyby chcieli mieszać się do naszych!"—Następnie kazawszy się zbliżyć oficerom bataljonu z wyspy Elby i pokazując ich wojskom, zawołał: «Żołnierze, oto oficerowie, którzy mi towarzyszyli w nieszczęściu: wszyscy oni są moimi przyjaciołmi, wszyscy oni są drodzy mojemu sercu! Każdym razem gdy ich tylko ujrzę, zdaje mi się że widzę całą armję, gdyż w liczbie tych ośmiuset walecznych, są wyobraziciele wszystkich pułków. Obecność ich przypomina mi te nieśmiertelne bitwy, które nigdy nie wyjdą ani z mojej ani z waszej pamięci. Ich kochając, was kocham! Przynieśli oni wam nieskalane i zawsze pełne sławy orły, które zdrada pokryła na czas jakiś żałobną krepą. Żołnierze, oddaję ich wam; przysięgnijcie mi, że pójdziecie za nimi wszędzie, gdzie sprawa ojczyzny was powoła..."—«Przysięgamy na to," odpowiedzieli żołnierze wstrząsając bagnetami i pałaszami.—Wzruszenie było wielkie, gdyż uczucia, do których zwrócił się Napoleon, były głęboko zakorzenione w ludziach słuchających gwałtownej jego przemowy.

Napoleon powrócił następnie do pałacu pośród ogromnego ścisku, rzucając dokoła ożywione jakby nowym uroczym blaskiem spojrzenie. Wyżsi urzędnicy, którzy nie przedstawili się wczoraj, bądź to że nie byli uwiadomieni, bądź też że jeszcze się wahali, przybyli na pokoje 21 Marca i cesarz został w pewnym rodzaju powszechnie uznany i ogłoszony. Wyciągnięty Carnot ze swego ukrycia przybył do Tuileries, a pchany uczuciem podzielaném przez wszystkich jego przyjaciół, to jest do łączenia się z Napoleonem, by wspólnemi siłami ocalić sprawę rewolucji, przyjął tekę ministerjalną spraw wewnętrznych. Tytuł hrabiego wcale mu się nie podobał, lecz z powodu ważności położenia osądził za stosowne nie robić pod tym względem żadnej trudności. Książę de Vicence zgodził się również na objęcie obowiązków ministra spraw wewnętrznych. Rząd więc Napoleona stał się zupełnym, a ztąd mógł bezzwłocznie przyłożyć rękę do swego olbrzymiego zadania.

Wówczas gdy Napoleon już odpoczął po swych pierwszych trudach, Ludwik XVIII odbywał podróż do Lille. Jak tośmy widzieli, krańcowi rojaliści chcieli go poprowadzić do Wandei, gdy tymczasem umiarkowani rojaliści obawiając się obrazić uczuć francuzkich, żądali aby się udał do Lille, i aby tam, bez przechodzenia jednak granicy, uczestniczył walce, jaka się miała wywiązać pomiędzy Europą a cesarstwem przy-

wróconém. Nie mając przecież wielkiego zaufania do przytułku, jaki mógł znaleźć w mieście francuzkiém i mając wstręt do zamieszkania w Belgji, Ludwik XVIII smakował tylko w kraju, w którym przez lat sześć zupełnego używał spoczynku. To też oswobodziwszy się i od szaleńców i od rozsądnych, zaraz za Saint Denis poszedł za swą skłonnością i skierował swą podróż drogą na Abbeville, która powinna była go poprowadzić do Calais, a z Calais do Londynu.

W tymże czasie hrabia d'Artois i książę de Berry pozostawszy na czele gwardji przybocznej, postępowali drogą do Beauvais krokiem piechoty. Gwardja przyboczna nader bolesny obecnie przedstawiała widok. Mając wypełnione szeregi ludźmi poświęcenia, lecz powiększej części nieobeznanymi ze służbą wojenną i niezupełnie we wszystko zaopatrzonymi, tworzyła długi ogon bezładnie ciągnących się ludzi, którzy w braku koni z całym rynsztunkiem na wózkach podróżowali. Porządnie uszykowaną była tylko kompanja marszałka Marmont, złożona ze starannie wybranych starych żołnierzy, i dobrze utrzymana, jak zwykle wszystkie wojska powierzone temu marszałkowi. Reszta zaś przedstawiała widok smutny i rozdzierający serce. Lecz było daleko smutniejsze jeszcze widowisko wojska zgromadzonego w Saint-Denis.

Powiedzieliśmy już, że dla ukrycia przed publicznością wyjazdu rodziny królewskiej, skierowano ku Villejuif wojska przeznaczone na utworzenie korpusu w Melun i że po dokonanym wyjeździe króla bez przeszkody, posłano im rozkaz ściągania się do Saint-Denis. Nie były one temu rozkazowi posłuszne, jaktośmy widzieli, i do Saint-Denis przybyła tylko mała liczba wprost tutaj wysłana. Znajdowała się tu jednak znaczna część artyllerji, bataljon oficerów na pół żołdzie, garstka młodzieży ze szkoły prawa, towarzyszącej Ludwikowi XVIII pod nazwą ochotników królewskich, którzy wyobrażali młodzież szlachetną, spodziewającą się wolności od Burbonów, a nieoczekującą jej od Bonapartych. Marszałek Macdonald udał się do Saint-Denis z zamiarem zebrania tych oddziałów i odprowadzenia ich do Ludwika XVIII. Lecz przybywszy tu po południu 20 Marca, znalazł bataljon oficerów na pół żołdzie w stanie zupełnego buntu, usiłujący skłonić do powstania artyllerję i pustoszący nawet pakunki należące do orszaku królewskiego. Marszałek usiłował położyć koniec temu zgorszeniu, lecz jakkolwiek poważany osobiście, zmuszony przecież został do oddalenia się i do połączenia z gwardją przyboczną, którą spotkał w pochodzie, w stanie dopiero co opisanym. Opuścił następnie hrabiego d'Artois i księcia de Berry i udał się do króla, usiłując zapewnić zwycięztwo swej radzie, której nie przestawał udzielać, aby król cofnął się do Lille.

Przybywszy 21 Marca wieczorem do Abbeville, przedstawił się królowi, którego znalazł pomiędzy p. de Blacas a księciem Berthier, zupełnie spokojnego i zdającego się bardziej dotkniętym niewygodą tej gwałtownej podróży, aniżeli utratą tronu. Nie wielką żywiąc nadzieję, przypisując te nowe nieszczęścia swemu bratu i emigrantom, przekonany, że Europa bardzo małe pokaże współczucie dla ludzi, którzy nie umieli się utrzymać, Ludwik XVIII bardziej dbał o dostanie się do swego schronienia w Hartwell, aniżeli o ocalenie zręcznym obrotem resztek przyszłości, o której bardzo powątpiewał. Mówił jedynie o swém utrudzeniu, podagrze, o niewygodzie, na jaką narażony został przez utratę pakunków i z pewnym rodzajem roztargnienia zaledwie słuchał, co mu marszałek przedstawiał, w przedmiocie potrzeby udania się w kierunku Lille. Odważny ten i rozsądny żołnierz, który z rzadką nieustraszonością łączył głęboką znajomość wojennego rzemiosła i wiele zmysłu politycznego, przypomniał królowi, jak zły skutek wywarły powiedziane przez niego grzeczności księciu rejentowi przy opuszczaniu Londynu, a przytem zwrócił jego uwagę na powszechny zarzut robiony Burbonom, że przekładają obczyznę nad Francję, a szczególniej Anglję nad inne kraje, i na niewłaściwość usprawiedliwienia tego zarzutu, jeżeli król pośpieszy z przejściem granicy i jeżeli po jej przejściu uda się wprost do Londynu. Nalegał więc z gwałtownością, aby król udał się do Lille, aby pozostał przynajmniej na ostatecznym krańcu ojczyzny. W Lille bowiem znajdzie wszelkie bezpieczeństwo i w każdym razie może szukać za granicą schronienia przebywszy w ostatecznym razie tylko jednę lub dwie mil francuzkich.

Ludwik XVIII odpowiedział marszałkowi z przebiegłością, że w Lille nie będzie bezpieczniejszym jak gdzie indziej, ponieważ do obrony twierdzy potrzeba załogi, każda zaś załoga postąpi podobnie jak wszystkie wojska, któremi się chciano posłużyć, a powołanie do Lille Anglików lub Prusaków, byłoby w oczach Francji najgorszym postępkiem. Dotknięty jednak uwagami tak prawego sługi, jakim był marszałek Macdonald, przystał na jego radę, żądając jedynie zostawienia mu trochę czasu na posilenie się i wyprawił marszałka przodem przyrzekając, iż połączy się z nim za kilka godzin. Przez cały ten czas marszałek sam jeden mówił. Pan de Blacas uważając każde postanowienie za złe, ani się odezwał prawie, chociaż widocznie przechylał się za radą cofnięcia się do Lille. Nieszczęśliwy Berthier, zarówno zdziwiony, jak i wszyscy co go znali, że się tutaj znajduje, zgnębioném swém obliczem zdradzał niepokój wewnętrzny, który był smutną karą domierzającą się

na człowieku, pożądającym mieć znaczenie w każdym porządku rzeczy i pomimo swej przeszłości szukającym wszędzie stanowiska.

Marszałek Macdonald udał się więc natychmiast drogą na Béthune, aby przygotować w Lille mieszkanie dla rodziny królewskiej. Dnia 22 Marca z rana przybył przed bramy tej twierdzy, zajętej przez księcia Orleańskiego, który się tu zamknął. Książę ten bowiem otrzymał dowództwo wojsk na północy, z zadaniem utworzenia tu rezerwy, która miała się znaleść na lewém skrzydle księcia de Berry, jeżeliby przyszło do walki przed Paryżem, a która miała także zasłaniać odwrót rodziny królewskiej, jeżeliby przyszło do opuszczenia stolicy. Jedyny Burbon używający jakiego takiego wzięcia pomiędzy wojskami, znalazł szeregi spokojne, lecz widocznie źle usposobione dla sprawy królewskiej, a ztąd usiłować trzymać je w odosobnieniu, aby tym rozdziałem opóźnić wybuch ożywiających żołnierzy uczuć. Skierował więc ku Lille tylko te oddziały, w których karność najmniej jeszcze była zachwianą i wybrawszy tak sześć czy siedm tysięcy ludzi, zamknął się tu z nimi wraz z marszałkiem Mortier, który zarówno z stałém był postanowieniem dania przytułku królowi, a niedopuszczenia nigdy na pokazanie się Prusaków lub Anglików. Dowiedziawszy się 21 Marca telegrafem, że Napoleon wszedł do Paryża, zabronił wszelkich stosunków zewnętrznych, w szlachetnym zamiarze niewpuszczenia do miasta wysłańców stronnictwa Bonapartystów i powstrzymania żołnierzy od zbiegostwa.

Rozkazy księcia Orleańskiego były tak dokładnie wykonane, że klucze od bram miasta znajdowały się złożone u komendanta placu i wart przy tychże bramach wcale nie postawiono, aby przeciąć żołnierzom drogę do otrzymania wiadomości. Marszałek Macdonald przybywszy do bramy i pomimo nawoływań nie będąc od nikogo słyszany, zmuszony został do napisania kartki ołówkiem i przywiązania jej do kamienia, który rzucił następnie stojącemu w oddaleniu na czatach przy okopie żołnierzowi. Żołnierz wyczytawszy na kartce nazwisko marszałka Macdonald, podał sąsiedniej placówce, zkąd zaniesiono ją do sztabu. Tym sposobem otworzono wkrótce bramę dla marszałka, który udał się w prost do księcia Orleańskiego, powziął tu dokładną wiadomość o prawdziwym stanie rzeczy, a zarazem zapewnienie, że król będzie przyjęty z poszanowaniem przez załogę, pod warunkiem wszakże, aby nie usiłowano wprowadzić do twierdzy ani gwardji przybocznej, ani też Anglików.

Ludwik XVIII przybył do Lille 22 Marca po południu i został tu przyjęty ze wszelkiemi zaszczytami należnemi panującemu. Miejscowa ludność pobożna i rojalistowska, gorące wydawała okrzyki: *Niech żyje*

król! gdy tymczasem wojska wyciągnięte szpalerem sprezentowały broń przy zachowaniu grobowego milczenia.

Natychmiast po przybyciu Ludwik XVIII powołał do siebie księcia Orleańskiego i marszałków, pytając ich o zdanie co dalej czynić należało. W obecności p. de Blacas, księcia Berthier, marszałków Macdonald i Mortier, książę Orleański wyłożył królowi całe położenie jasnemi słowami z głębokim poglądem na rzeczy. Podzielał w zupełności radę marszałka Macdonald, aby król najdłużej jak tylko można pozostał na ziemi francuzkiej, lecz jednocześnie wykazał także, że w Lille zaledwie przez kilka tylko godzin pozostać może; że obraz jaki się przedstawił przy wjeździe królewskim, jest prawdziwym stanem rzeczy, to jest, że mieszkańcy gorącém są ożywieni współczuciem, a wojska zimny tylko pozostawiły szacunek; że wojsko jest panem miasta, że nie scierpi aby wyrządzoną najmniejszą nieprzyzwoitość królowi, że z tego zrobiło sobie nawet punkt honoru, lecz przytem napełnione jest ono podejrzeniem, że rojaliści zamierzają wydać twierdzę Anglikom, że skutkiem tego podejrzenia nie zezwoli na wejście do miasta gwardji przybocznej, a jeszcze bardziej nie zgodzi się na wyjście z twierdzy, jeżeliby zamierzano pozbyć się tej załogi; że zresztą, przypuszczając nawet, iż uda się wojska z twierdzy wydalić, to dwunastoma setkami gwardji narodowej i trzema do czterech tysięcy chromających jeźdźców gwardji przybocznej nie będzie można obronić twierdzy, dla bezpieczeństwa której potrzeba najmniej dwanaście tysięcy wybornej piechoty; że przez czas jakiś wojsko sumiennie będzie strzedz osoby królewskiej, lecz nie zechce ono długo pozostać w tej roli, nadewszystko skoro nadejdą rozkazy z Paryża; że najlepszém postąpieniem będzie udanie się do Dunkierki, gdzie ludność jest zarówno rojalistowską jak w Lille; że do obrony tego miasta nie potrzeba tak silnej załogi i że wystarczy na to spieszona gwardja przyboczna; że tam można mieć nadto pomoc z morza i schronić się do Anglji w razie potrzeby; że przy pozostaniu na ziemi francuzkiej będzie nadto korzyść z oddalenia od teatru wojny; że prawdopodobnie przy sprawie królewskiej dadzą się utrzymać miasta: Calais, Ardres i Gravelines, a ztąd jest możność utworzenia marynarki i utworzenia tymczasowo małego królestwa morskiego, w którém chorągiew biała powiewać nie przestanie, bez pozoru nawet wspólnictwa z chorągwią nieprzyjacielską prowadzącą cudzoziemców do Francji.

Marszałek Mortier popierał silnie tę radę pełną rozsądku, książę Berthier wcale się jej nie opierał, a p. de Blacas zatwierdzał. Marszałek Macdonald zgadzając się na nią, tę jednę tylko uczynił uwagę, że śpieszny wyjazd króla może być uważany za ucieczkę, bądź z przestra-

chu, bądź skutkiem wygnania z Lille. Książę Orleański odpowiedział, że Dunkierka oddaloną jest tylko o dwadzieścia pięć mil francuzkich, a ztąd jeżeli dostanie się tam dzisiaj, co jest łatwem, jutro może być już nadzwyczaj utrudzonem, czyli że natychmiastowy wyjazd jest koniecznością, z uwzględnieniem jednakże nadzwyczajnego znużenia króla, który żądał kilku godzin spoczynku.

Wydano więc rozkazy zrobienia przygotowań do podróży, lecz skutkiem ciągłego wahania się i znużenia Ludwika XVIII odłożono ją do jutra. Książę Orleański i marszałkowie resztę dnia przepędzili na przeglądzie i na przemawianiu do wojska.—Król jest bezpiecznym pomiędzy nami, odpowiadali oficerowie do których przemawiano, lecz wiemy, iż chce wydać twierdzę nieprzyjacielowi i że to jest projektem emigrantów, którymi jest otoczony. Jeżeli więc pokaże się tutaj gwardja przyboczna, damy ognia do niej.—Pomimo wszelkich przeciwnych zapewnień, nie można było rozproszyć podobnego podejrzenia i powszechne zakorzeniło się w wojsku mniemanie, że ludzie z orszaku królewskiego mówili, iż należy położyć koniec tej komedji wojskowych przez kłamanie szacunku dla króla, po za którym kryje się bliska już zdrada, i że najlepszym ku temu środkiem jest wprowadzenie do twierdzy dziesięć tysięcy Anglików. Nierozsądnym tym słowom powszechnie wierzono, gdy tymczasem upewnienia księcia Orleańskiego uważane były tylko za skutek jego własnej łatwowierności. Było więc już bardzo widoczną rzeczą, że tylko jeden lub dwa dni uda się przebyć w tém dwójznaczném położeniu.

Nazajutrz, 23 Marca, niespodzianie zrobił się popłoch. Kilku włóczęgów ukazało się przed okopami miasta i rozniosły się wieści, że gwardja przyboczna zbliża się do Lille. W jednej chwili wojska objawiły żywe oburzenie i stanowczo oświadczyły, że będą strzelać do przybywających. Książę Orleański i marszałkowie zadawali sobie pracy, aby je uspokoić, lecz żołnierze niezłomnie byli przekonani, iż zamierzają wydać twierdzę Anglikom. W obec podobnego usposobienia niepodobieństwem było, aby król mógł dłużej zabawić w Lille. Rada złożona wczoraj z księcia Orleańskiego, p. de Blacas, marszałków Berthier, Macdonald i Mortier zebrała się na nowo zrana i wszyscy jednogłośnie uznali konieczność opuszczenia miasta, które było strzeżoném przez wojsko pełne względów dla Ludwika XVIII, lecz stanowczo oddane Napoleonowi, a skutkiem tego ciągle usposobione do ogłoszenia przy pierwszej sposobności władzy cesarskiej. Nie było jednak zgody pod względem odbycia zamierzonej przez króla podróży. Książę Orleański, popierany przez trzech marszałków nastawał znów, aby się udał do Dunkierki. Król nie odpierał tej rady, lecz twierdził, że w obecnym

stanie rzeczy jest bardzo niebezpiecznie przebyć dwadzieścia pięć mil drogi w granicach francuzkich, a ztąd oznajmił chęć udania się najprzód do Belgji, a następnie przez posiadłości belgijskie odbyć podróż do Dunkierki. Powody, jakie przytaczał książę Orleański, aby ani na chwilę nie opuszczać ziemi rodzinnej, nie zdołały zmienić postanowienia Ludwika XVIII. Marszałek Macdonald tonem pełnym uszanowania, lecz stanowczo oświadczył, iż w takim razie z wielkim swym żalem będzie zmuszony opuścić króla; że nigdy nie wyemigruje, a nadewszystko dla udania się do kraju zalanego wojskami koalicji: że pozostał wiernym władzy królewskiej dopóki ta znajdowała się we Francji, lecz nie pójdzie za nią za granicę; że nie ofiaruje swej szpady człowiekowi, który przybył dla wzburzenia swej ojczyzny, lecz na ustroniu oczekiwać będzie na szczęśliwsze czasy. Ludwik XVIII wysłuchał z zupełnym spokojem tak otwartego oświadczenia, podziękował marszałkowi za jego szlachetne postępowanie, zwolnił go z wykonanej na wierność przysięgi i najczulej pożegnał. Marszałek Mortier, to samo powiedział, podobną otrzymał odpowiedź i pożegnanie i dodał, że wspólnie z marszałkiem Macdonald towarzyszyć będzie królowi do samej granicy. Książę Berthier milczał, lecz wziąwszy na bok marszałków Macdonald i Mortier wyznał im, że jako kapitan jednej kompanji gwardji przybocznej obowiązany jest towarzyszyć królowi aż do miejsca, które wybierze sobie na schronienie, i że po spełnieniu tej powinności ma zamiar powrócić do Francji. Zobowiązał ich także, aby posłali o tém wiadomość do Paryża. Wówczas król zwróciwszy się do księcia Orleańskiego, z widoczną złośliwością zapytał go, co czynić zamierza. Książę Orleański z krwią najzimniejszą odpowiedział, że myśli podobnie jak marszałkowie, lecz że jako książę krwi nie może działać jak oni, to jest pozostać we Francji; że będzie towarzyszył królowi aż do granicy, a następnie będzie prosił o pozwolenie oddalenia się, gdyż nie chce udawać się do Belgji, jako miejsca przeznaczonego na zbiór wojsk nieprzyjacielskich. Król spokojnym tonem powiedział mu, iż dobrze robi, po czém wydał rozkazy do natychmiastowego wyjazdu.

Dnia 23 Marca około południa Ludwik XVIII opuścił Lille udając się drogą ku Belgji. Przyglądająca się wyjazdowi ludność, żywe okazywała współczucie, a wojska niekłamany szacunek, lecz widoc nie się radowały, że są oswobodzone od tak kłopotliwego gościa. Książę Orleański i marszałkowie jadąc konno około powozu, odprowadzili króla aż na granicę, która w tém miejscu o dwie mile francuzkie od twierdzy oddaloną była; następnie, po otrzymaném od Ludwika XVIII podziękowaniu i po złożeniu mu życzeń pożegnawczych, powrócili do Lille dla zło-

żenia dowództwa. Książę Orleański napisał do wszystkich jenerałów będących pod jego dowództwem, zwalniając ich od wszelkich względem siebie zobowiązań żołnierskich i dozwalając działać wedle przekonania na pożytek kraju. Marszałek Mortier wyjawił mu wówczas, co dotąd skutkiem uwzględnienia trzymał w tajemnicy, że otrzymał z Paryża pełnomocnictwo i rozkaz działania, jak uzna za stosowne, do ocalenia granicy, nadto wypędzenia książąt Burbonów, lub też nawet uwięzienia ich w razie konieczności. Marszałek nie chciał ani przysparzać kłopotu książętom, ani też przyśpieszać ich wyjazdu przez oświadczenie, iż ten który się stał panem kraju, nowe na niego włożył obowiązki i odkrył je dopiero wówczas, gdy wyjazd już postanowiono i w części już wykonano. Książę Orleański wyjechał do Anglji, marszałek Macdonald do swego majątku, a marszałek Mortier posłał telegrafem wiadomość do Paryża, że Ludwik XVIII opuścił Lille i że ta twierdza nie jest i nie była nigdy w niebezpieczeństwie, a następnie zdał dowództwo jenerałowi hrabiemu d'Erlon, który od czasu poronionego wybuchu braci Lallemand, zmuszony był do ukrywania się. W pośród tych gwałtownych przewrotów, które wstrząsają a często nawet spychają z prostej drogi najuczciwsze serca, szczęśliwym jest historyk gdy może przedstawić obraz, w którym wszyscy książęta, marszałkowie, żołnierze spełniają swe obowiązki z takiém uwzględnieniem i dokładnością, pomimo że one są nawet przeciwne ich przekonaniu.

W tym czasie przyboczna gwardja królewska, znużona trudami, dowlokła się aż do Abbeville, mając na czele hrabiego d'Artois i księcia de Berry, a na piętach jenerała Exelmans, który trzema tysiącami jeźdźców popychał ją ciągle bez zamiaru doścignięcia. Z Abbeville skierowała się ku Lille, a dowiedziawszy się w drodze o wyjeździe króla, zwróciła się do Bethune. Tutaj książęta poznawszy niemożność poprowadzenia jej za granicę i dłuższego utrzymywania, postanowili ją rozpuścić. Jedynie tylko trzystu ludzi zdolnych do służby, a których utrzymanie nie przechodziło możności rodziny królewskiej, zostało zatrzymanych i pod wodzą marszałka Marmont udało się do Belgji, dla utworzenia tam gwardji przybocznej Ludwika XVIII. Reszta rozsypała się we wszystkich kierunkach. Książęta przeszli granicę i pośpieszyli za królem.

Gdy Ludwik XVIII opuścił ziemię francuzką i przeciął tym sposobem małe, jakie były w Paryżu, o północ obawy, na wschodzie zupełnie także spokojnie przeszło przesilenie. Marszałek Victor, mający polecenie do utworzenia korpusu w Szampanji i Lotaryngji, widział się zmuszonym do zaniechania tego przedsięwzięcia. Marszałek Oudinot opu-

szczony przez grenadjerów i strzelców królewskich (była gwardja cesarska), zarówno opuścił swe dowództwo i trójkolorowa chorągiew natychmiast się wzniosła do koła niego. Dawna gwardja cesarska z własnego popędu skierowała się ku Paryżowi. W Alzacji marszałek Suchet, poddając się dokonanej rewolucji, rozkazał zatknąć trójkolorowe chorągwie w całej prowincji, i zabezpieczyć twierdze pograniczne od zamachu nieprzyjaciół. Wyłożyliśmy już w tém opowiadaniu przy jakiém usposobieniu ludności i wojska dokonała się zmiana porządku rzeczy od Grenobli do Besançon, a ztąd w żadnym razie nie można się było niepokoić o pograniczne twierdze, i pomimo że nieprzyjaciel miał na nie ochotę, nie zdołał podejść ani jednej.

Wewnątrz Francji postęp sprawy cesarskiej nie był ani mniej powszechnym, ani mniej gwałtownym. Marszałek Saint-Cyr wyjechawszy z Paryża 20 Marca wraz z p. de Vitrolles, udał się do Orleanu, gdzie dowodził jenerał Dupont. Znalazłszy wojska już na pół w stanie rokoszu, rozkazał zamknąć bramy miasta, obalić trójkolorową chorągiew i uwięzić jenerała Pajol, który był sprawcą tego poruszenia. Oficerowie jednak wysłani z Paryża zdołali wejść do miasta i znieść się z 1-ym pułkiem kirysjerów, stojącym tutaj załogą; ten zaś dobrowolnie wsiadł na koń, opanował miejsca posiedzeń władz, oswobodził jenerała Pajol i zmusił do ucieczki marszałka Saint-Cyr, który z pośpiechem umykał ku niższej Loarze. Jenerał Pajol, objąwszy dowództwo, rozkazał ogłosić tak w Orleanie jak i w okolicach przywrócenie władzy cesarskiej.

Tak więc ta ważna część kraju nad brzegami Loary została odzyskaną. W Anger książę de Bourbon, po porozumieniu się z p. d'Autichamp i głównymi naczelnikami Wandejczyków, nabrał wkrótce przekonania, że jeżeli dawni przywódzcy szuanów byli gotowi do działania raz jeszcze, to za to ludność wiejska, jakkolwiek rojalistowska, nie miała dosyć zapału do stawienia czoła wojnie domowej, której pamięć żyła jeszcze we wszystkich umysłach. Czując, iż tutaj więcej kłopotu sprawia mieszkańcom, aniżeli korzyści przynosi sprawie królewskiej, książę ustąpił przed powszechnie dawaną mu radą i postanowił się cofnąć. Oficer żandarmerji Noireau uwiadomiony o stanie rzeczy, zobowiązał się wydać mu paszport pod warunkiem, jeżeli go użyje natychmiast, na co też książę zgodził się bez wahania. Wsiadł na okręt w Nantes i pozostawił te okolice zupełnie spokojne, choć nie wracające do Napoleona.

Jenerał Clausel wysłany do departamentu Gironde, zatrzymał się w Angoulême i pozyskał poddanie się władzy cesarza departamentów sąsiednich. Następnie zebrawszy oddział żandarmerji udał się do depar-

tamentu Dordogne dla sprowadzenia wojska i wypełnienia posłannictwa co do miasta Bordeaux.

Nadzwyczajne wzburzenie panowało w tém wielkiém mieście, wywołane obecnością księżny d'Angoulême, oraz pp. Lainé i de Vitrolles. Ludność, rojalistowska tak z interesu jak i przekonania, strapiona powrotem Napoleona, który sprowadzał na nowo zamknięcie morza, poruszyła się z pośpiechem na widok księżnej d'Angoulême (przybyłej tu z mężem na uroczystość 12 Marca) i przyrzekła podtrzymywać sprawę Burbonów. Gorące te objawy mieszkańców działy się w obec dwóch pułków, 8-go lekkiego, 62-go linjowego piechoty, stanowiących załogę miasta Bordeaux, które zachowywały milczenie nie budzące pewności. Wszystko kazało przewidywać, że na widok trójkolorowej chorągwi, zatkniętej na prawym brzegu rzeki Gironde, wojska powstaną i przetną poruszenia ludowe.

P. de Vitrolles, obznajmiwszy księżnę z zamiarami króla, wyjechał do Tuluzy, dla utworzenia głównego rządu królewskiego na południu. Rozpoczął pobór do wojska i podatków, postawił swą własną władzą marszałka Pérignon na czele zgromadzonych rojalistów i usiłował utrzymać stosunki pomiędzy Bordeaux, gdzie pozostała księżna d'Angoulême, a Marsylją, dokąd pobiegł z całym pośpiechem książę d'Angoulême. Rzeczywiście książę przybył do Marsylji, a znając usposobienie mieszkańców tego miasta łatwo odgadnąć gwałtowne objawy, jakiemi ludność o swych uczuciach świadczyła. Nienawidząc zawsze cesarstwa, zagrożona na nowo prawie śmiercią z głodu, po tém dopiero marzeniu nie zaś skosztowaniu dostatków, oddała się na pastwę wybuchowi szaleństwa i przyjęła księcia d'Angoulême z uniesieniem, które doszło do szału. Marszałek Massena dowodził wojskami w pośród tej gorejącej ludności, a to z krwią zimną wojownika, który niegdyś poskromił Kalabryjczyków, pogardliwie poglądając na krzyki pospólstwa i nie trwożąc się ich bynajmniej. Towarzysząc księciu w dniu jego wjazdu do Marsylji, spostrzegł gromadę kobiet z ludu, które trzymając dzieci na rękach, rzuciły się przed jego konia, a następnie uklękły i prostodusznie przemówiły miejscowém narzeczem: Marszałku, nie zdradźcie tego dobrego księcia! Zaledwie zwracając uwagę na wszystkie te hałaśliwe objawy, nie mając przywiązania ani do dynastji wyganianej, ani też do wracającej, i bolejąc nad nowemi wstrząśnieniami, za które Francja krwią swoją opłacić miała, postanowił zamknąć się w ścisłém przestrzeganiu obowiązków żołnierza. Oddał pod rozkazy księcia d'Angoulême dwa pułki (83-ci i 58-my) linjowe i kolumnę ochotników, z któremi książę miał pójść w górę Rodanu i usiłować odzyskać Grenoblę i Lyon. Sam zaś marszałek

Massena nie chciał towarzyszyć księciu w téj wyprawie i pozostał w Marsylji dla utrzymania porządku, a nadewszystko dla czuwania nad Tulonem, ze stałém postanowieniem dać uczuć siłę swej twardej ręki każdemu, ktoby tylko zamyślał o wydaniu Anglikom tego wielkiego arsenału morskiego.

Taki to był stan rzeczy 23 i 24 Marca w różnych częściach Francji. Napoleon dowiedziawszy się o ucieczce Ludwika XVIII-go, o uległości prowincyj północnych i wschodnich, a ztąd pewny będąc utrzymania twierdz pogranicznych, nie wątpiąc o uległości, przynajmniej na chwilę, Wandei, nie zwracał wielkiej uwagi na powstanie na południu, pomimo iż ono rozciągało się od Bordeaux aż do Marsylji. Tylko pod względem utrzymania wszystkich twierdz troszczył się był poprzednio, gdyż byłoby to wielkiém nieszczęściem, jeśliby nieprzyjaciel zdołał opanować tak obronne stanowiska, jak Lille, Metz lub Strasburg. Zapewniony już co do tak ważnego pytania, oswobodzony nadto od Ludwika XVIII, który zresztą stałby się tylko kłopotem, uważał się za zupełnego władzcę państwa. Jeżeliby zdołał pogodzić swą władzę z rozbudzoną niezależnością umysłów, a nadewszystko uciszyć lub zwyciężyć Europę, w takim razie mógł być i był pewnym, że rozpocznie drugie panowanie, mniej być może świetne, lecz pomyślniejsze od pierwszego, a przytém więcéj mające zasługi, gdyby przeniósł słodkie dobrodziejstwa pokoju nad krwawą wojenną wielkość. Lecz zawsze powątpiewał, choć nie mówił o tém, aby mógł uciszyć Europę, a ztąd liczył tylko na krótką lecz potężną wojnę, przeprowadzoną pozostałemi jeszcze we Francji środkami, pomiędzy któremi trzykroć sto tysięcy żołnierzy przybyłych z zagranicy stawały się potęgą przy jego wojennym genjuszu.

Od kilku dopiero dni przybył do Paryża, a już mógł poznać całą prawdę swych przewidywań, gdyż o ile wszystko podawało się na wewnątrz, o tyle wszystko przybierało charakter niesłychanej gwałtowności na zewnątrz. Cofając się Burboni, rozrzucili oświadczenie kongresu wiedeńskiego, które było nadzwyczaj wielkiej wagi. Z początku podawano w podejrzenie prawdziwość tego oświadczenia, a Napoleon sprzyjał temu podejrzeniu, gdyż ono mu było na rękę; lecz z postanowienia, ze stylu nie mógł poznać gwałtowności swych nieprzyjaciół, a to gwałtowności, jaką na siebie ściągnął przez bezprzykładne nadużycie zwycięztwa w ciągu lat piętnastu. Wedle tego oświadczenia, Napoleon Bonaparte pogwałciwszy traktat z 11 Kwietnia, zniszczył jedyny prawny tytuł, na którym opierało się jego istnienie, a targnąwszy się na spokój powszechny, postawił się poza obrębem prawa narodów, a ztąd w mo-

żności obejścia się z nim jak z najnikczemniejszym zbrodniarzem. Wniosek więc widoczny, że każdy, kto zdoła zbliżyć się do niego, powinien go natychmiast zastrzelić, a będzie uważany jakby znaczące usługi oddał Europie. To nie przeciw wielkiemu człowiekowi, który bez zaprzeczenia dokuczył Europie, lecz któremu wszyscy żyjący książęta pochlebiali i korzystali z potęgi, to nie przeciw temu wielkiemu człowiekowi, powtarzamy, pisze się podobne, a malujące obyczaje swego czasu, oświadczenia, i tylko duma, chciwość i strach jedynie może, jeżeli nie usprawiedliwić, to przynajmniej wytłomaczyć to oświadczenie.

Napoleon zamierzył sam ogłosić to oświadczenie, lecz wstrzymał się jeszcze dni kilka, gdy będzie mógł cały stan rzeczy Francji przedstawić. W tej chwili, porównywając oświadczenie z 13 Marca z kilkoma innemi objawami, widział urzeczywistnienie wszystkich swoich przewidywań, a ztąd konieczność gotowania się bez straty chwili czasu do zażartej walki. Nowe także objawy, a będące następstwem oświadczenia z 13 Marca, nie pozostawiały mu żadnej wątpliwości. Zaledwie p. de Caulaincourt postawił nogę w pałacu swego ministerstwa, poselstwa zagraniczne zażądały natychmiast swych paszportów. Dla jednych, jak angielskiego i rossyjskiego, których naczelnicy byli nieobecni, żądanie to wniesione zostało przez sekretarzy; dla drugich zaś, jak austrjackiego, pruskiego, szwedzkiego, duńskiego, sardyńskiego, hollenderskiego i t. p. sami naczelnicy poselstw wystąpili z żądaniem i pomimo wysileń p. de Caulaincourt, aby ich zatrzymać, wytrwale przy postanowieniu wyjazdu pozostali. P. de Caulaincourt długą w tym przedmiocie miał rozmowę z p. de Vincent, ambasadorem austrjackim, wszelkiemi środkami starał mu się dowieść, że Francja życzyła pokoju, że postanowiła nawet pozostać niemą umowie paryzkiej, lecz z trudnością zaledwie wymógł, że był słuchany i tyle tylko zyskał, że skłonił do zabrania listów Napoleona do żony i teścia. Zamierzywszy jednak natychmiast opuścić Paryż, p. de Vincent zgodził się na to, aby jeden z sekretarzy poselstwa austrjackiego, który dniem później miał wyjechać, zabrał z sobą obadwa listy. Uniżoność była teraz jedną z rachub Napoleona; p. de Caulaincourt jednak niechcąc posuwać tej rachuby za daleko, starał się tylko dowodnie wykazywać pokojowe swego pana usposobienie, lecz nie położył żadnej przeszkody do wyjazdu reprezentantów państw obcych i w tymże dniu odesłał im paszporta, w którym o takowe wnieśli żądania.

Przy zezwoleniu na wyjazd korzystano z danego przez p. de Vincent upoważnienia, aby sekretarz poselstwa austrjackiego zabrał jeden list do Marji Ludwiki i jeden do cesarza Franciszka. Królowa Hortensja,

zażyłe zachowując stosunki z poselstwem rossyjskiém, od czasu jak Aleksander jawnie okazał, że się nią opiekuje, napisała list do tego cesarza, obszernie mu przedstawiając obecne usposobienie Napoleona, a to tak ze względu na politykę wewnętrzną jak i zewnętrzną. Wręczyła ona ten list p. Butiakin, sekretarzowi poselstwa rossyjskiego i jednemu z cudzoziemców, który nadzwyczaj okazał się życzliwym dla jej osoby, jeżeli nie dla jej sprawy. Posłużono się tąż samą drogą dla odkrycia cesarzowi Aleksandrowi tajemnego przymierza, zawartego 3 Stycznia pomiędzy Ludwikiem XVIII, Anglją i Austrją, przeciw Prussom i Rossji. Dodano także kilka dowodów, pozostawionych przez p. de Blacas w Paryżu, a mogących dać świadectwo cesarzowi Aleksandrowi o usposobieniu jego sprzymierzeńców względem niego samego. Królowa Hortensja korzystała nadto z wyjazdu intendenta swego brata, który się udawał do Wiednia i napisała do różnych osób, a szczególniej do Marji Ludwiki, malując jej najżywszemi kolorami powrót Napoleona na tron cesarski, zapał ludności ku niemu, wstręt niezwyciężony do Burbonów, a ztąd konieczność dla Europy, jeżeli nie zechce wystawić się na krwawą wojnę, zgodzenia się na czyn już spełniony, który nie naruszy ani pokoju, ani też dokonanego podziału wszystkich niemal państw na świecie.

Jakkolwiek zagrażającym był wyjazd poselstw państw obcych z Paryża, to przecież starano się go wytłomaczyć do pewnego stopnia tą okolicznością, że posłowie uwierzytelnieni przy Ludwiku XVIII, nie mieli pełnomocnictwa na pozostanie przy Napoleonie. Nic wprawdzie nie przeszkadzało im do oczekiwania na nowe rozkazy, lecz też ich pośpieszny wyjazd nie mógł być brany za wypowiedzenie wojny i nie należało nie uprzedzać podobnego oświadczenia, by zwalić całą winę na kongres wiedeński, który ani we Francji, ani też w Europie nie był chwalony. Jedyny sposób godny i nieobrażający odpowiedzenia na wyjazd poselstw zagranicznych, leżał w odwołaniu poselstw francuzkich, gdyż tych niepodobna było utrzymywać z godnością przy książętach, którzy zerwali wszystkie stosunki z Francją, zwłaszcza gdy poselstwa te złożone były po większej części ze starych emigrantów, nieubłaganych nieprzyjaciół cesarstwa. P. de Caulaincourt wysłał też okólnik do poselstw z oświadczeniem, że cofa się dane im pełnomocnictwa, że skutkiem tego są odwołani do kraju ojczystego, dokąd powinni powrócić bezzwłocznie. Tymczasem upoważnił je do złożenia zapewnień, że Francja z żadném mocarstwem nie rozpocznie zaczepnych wojennych działań i zamknie się w ścisłém przestrzeganiu obowiązujących traktatów.

Niepodobieństwem było mówić lub robić coś innego w podobném położeniu. Można jednak było zachować pewne odróżnienia w postępowaniu z niektóremi dworami, a nawet trafiać do niektórych drogami pośredniemi i podobnego działania nie zaniedbywać, bez względu na przewidywany skutek. Dwór wiedeński naprzykład, pomimo że był obecnie ogniskiem kongresu, względem Napoleona był zawsze dworem powinowatym i być może, że nie byłoby tak trudném otworzyć doń sobie przystęp. Wiadomo, że Austrja była bardzo niezadowoloną z Rossyi i Prus, że o mało co niepopadła w wojnę tak z jedną jak drugiemi i po kilkakroć objawiła żal, iż przyczyniła się do powiększenia potęgi rossyjskiej. Widoki posiadania w Paryżu zięcia poprawionego przez nieszczęścia, powstrzymywanego nowemi urządzeniami kraju, a po nim wstępującego na tron syna arcyksiężniczki, wychowanego przez nią w duchu zupełnie pokojowym, te widoki mogły wywołać rozsądne zastanowienie się i sprowadzić powoli Austrję do innych usposobień, aniżeli wypowiedzianych w oświadczeniu z 13 Marca. W tej sprawie korzystnie mógł działać pewien człowiek, a był nim p. de Talleyrand. Jeżeliby udało się jego pozyskać, możebną byłoby nawet rzeczą pozyskać dwór Wiedeński. Napoleon nie wiedział wówczas, do jakiego stopnia p. de Talleyrand zabrnął w sprawie Burbonów i do jakiego stopnia naraził sobie dwór wiedeński, dając folgę zazdrości, jaką w nim budził p. Metternich. W każdym przecież razie zjednanie p. de Talleyrand byłoby rzeczą nieoszacowaną, a ztąd wysłano do niego umyślnie wyznaczoną w tym celu osobę, człowieka nadzwyczaj znanego w salonach, a zupełnie nieznanego w świecie politycznym, często używanego do rokowań tajemnych, obdarzonego niepospolitym umysłem, wielką śmiałością, będącego wyobrazicielem napotykanej czasami przeciwności, że człowiek wyższego umysłu prowadzi nieporządne życie i mającego nad p. de Talleyrand wpływ skutkiem dokładnej znajomości wszystkich tajemnych ustępów jego życia. Osobą tą był p. de Montrond, i jeżeli ktokolwiek mógł dostać się do Wiednia, skłonić do słuchania przedstawień p. de Talleyarand, porwać nawet Marję Ludwikę i jej syna, to bezwątpienia tylko on, gdyż umiał żyć, posiadał liczne stosunki i obdarzony był niezrównaną śmiałością. Niegdyś więzień Napoleona, który kazał go zamknąć w Ham za szydercze odzywania się, zdołał umknąć, powrócił do Francji z Burbonami, a obecnie był gotów, skutkiem zamiłowania w przygodach, do próbowania wszystkiego, nawet na korzyść dawnego swego prześladowcy. Książę Otrantu, który był mistrzem we wszelkich tajemnych działaniach, powziął myśl użycia p. de Montrand, a Napoleon zmuszony do układów, zgodził się na to. Zaopatrzono tego szczególnego posłannika

listami od p. de Caulaincourt do p. Meneval (pozostającego aż dotąd przy Marji Ludwice) i do innych wpływowych osób. Upoważniono go do zawierania układów na wszelkich warunkach z tymi, którzyby skłonni byli do zgody, jak z pp. de Talleyrand, de Dalberg i innymi; upoważniono go, jeżeli zdoła dostać się do Maryi Ludwiki i nakłonić ją do ucieczki, aby poczynił wszelkie ku temu ułatwienia, a ztąd otwarto mu konieczny kredyt, żeby środki pieniężne nie zawiodły niewyczerpanej obfitości jego pomysłów. Oto jakich to krętych ścieżek musiał obecnie Napoleon używać, chcąc się dostać do gabinetów, nad któremi tak długo panował i które poniżał! P. de Montrond wyjechał jednocześnie z gońcami, wiozącymi okólnik odwołujący francuzkie poselstwa, ale przewidując, że wszystkie granice będą zamknięte, zażądał paszportu na imię opata, należącego do dyplomacji rzymskiej i tym sposobem zdołał omylić czujność policyj europejskich i udać się do Wiednia prostą drogą, która wszędzie dla francuzkich gońców była zamkniętą.

Niezależnie od tego tajemnego posłannictwa, przy odwoływaniu ajentów dyplomatycznych poczyniono niejakie wyjątki, do których upoważniała przyzwoitość, a które nakazywane były przez politykę. Pan Serurier, minister francuzki w Stanach Zjednoczonych, został pozostawiony na swém stanowisku, najprzód dla Ameryki, która pokazywała się zawsze przyjaciółką cesarstwa, a następnie dla p. Serurier, który postępował bardzo roztropnie. Sekretarze poselstw, którzy się znajdowali w Szwajcarji, Rzymie i Konstantynopolu, otrzymali rozkaz pozostania na miejscach, przy nadaniu im tytułu sprawujących interessa. Po ostatecznem swém urządzeniu, Szwajcarja zdawała się być bardzo zajętą zachowaniem neutralności, a neutralność ta, zasłaniając ważną część francuzkich granic, zasługiwała na robienie usiłowań, aby narażoną nie była. Znano niezadowolenie dworu rzymskiego z uporu Burbonów, co do odwołania konkordatu, to też przy zapewnieniu w tym względzie, dawano mu rękojmię odzyskania wszystkich dawnych posiadłości, z zaliczeniem tu i Legacyj. Co się zaś tyczy Porty, to p. de Rivière, mianowany przez Ludwika XVIII ambasadorem w Konstantynopolu, został zatrzymany w Tulonie, a p. Ruffin, były sprawujący interessa, otrzymał instrukcje zalecające mu, aby wszelkiemi sposobami pochlebiał sułtanowi Mahmudowi. Cudowny powrot Napoleona mógł łatwo uderzyć wrażliwą i przesądną wyobraźnię Turków i przywiązać ich do sprawy cesarskiej. Nakoniec, przy odwołaniu z Madrytu p. de Laval, chciano skorzystać z porożnienia dwóch domów Burbońskich, spowodowanego przytrzymaniem Mina na ziemi francuzkiej i wysłano oficera dla układów o wymianę niewolników, która to sprawa aż dotąd rozwiązaną nie była,

upoważniając go zarazem, aby się nie zamykał w granicach swego posłannictwa. Przy powstaniu raz jeszcze koalicji powszechnej, liczono na te działania dla zyskania przyjaźni lub neutralności Ameryki, Szwajcarji, Stolicy Apostolskiej, Turcji i Hiszpanji.

Napoleon używał tych wybiegów, aby mógł sobie powiedzieć, iż niczego nie zaniedbał i aby mógł dowieść Francji, że tyle poświęcił osobistej dumy dla utrzymania pokoju. Lecz wprawdzie liczył on tylko na własną szpadę, którą koniecznie potrzebował zwalczyć złą wolę mocarstw. To też korzystał z uległości prowincji północnych i wschodnich i nakreślił natychmiast plan swych przygotowań wojennych. Przybywszy 20 Marca wieczorem, polecił już 21 z rana udać się marszałkowi Davout do biur ministerstwa wojny, wskazał mu najzdolniejszych urzędników do tego obszernngo zarządu i powołał ich nawet do Tuileries, w celu wydania pierwszych rozkazów. Wiedząc z doświadczenia, że złożenie korpusów jest rzeczą pilniejszą od uzupełnienia pułków, gdyż do złożonych już korpusów niebawem napłynie wszystko, ludzie i przybory, rozpoczął od wydania odpowiednich rozkazów i od wyznaczenia każdemu z korpusów odpowiedniego sztabu.

Z wojsk rozłożonych w departamencie du Nord utworzył korpus pierwszy i przeznaczył mu na dowódzcę hrabiego Drouet-D'Erlon, a na główną kwaterę Lille. Wojska wyszłe z Paryża pod jenerałem Reille miały utworzyć drugi korpus, któremu na miejsce zbioru wyznaczył Valenciennes. Korpus ten miał być najsilniejszym, gdyż był przeznaczony do pierwszego uderzenia na kolumny nieprzyjacielskie. Chociaż Napoleon miał zamiar wykonać obrót przez Maubeuge, to jednak zwrócił 2-gi korpus nieco na lewo, to jest do Valenciennes, dla tém lepszego ukrycia swych planów (*).

Korpus trzeci oddany jenerałowi Vandamme i rozłożony do koła Mézières, składał się z wojsk rozproszonych w Ardennach i Szampanji. Korpus czwarty pod jenerałem Gérard, stojący około Metz, złożony został z wojsk znajdujących się w Lotaryngji. Korpus piąty przeznaczony dla jenerała Rapp, miał wyznaczony Strasburg na miejsce zbioru, a na złożenie go pułki stojące w Alzacji.

Rozłożenie podobne korpusów miało tę korzyść, że każdy z nich zasłaniał dostatecznie w danem miejscu granicę i że wszystkie mogły się śpiesznie zgromadzić na każde skinienie Napoleona, a to wedle nieodgadnionych, a już pominiętych planów, które poznamy w właściwém miejscu. Maubeuge było punktem tego zgromadzenia, postanowionego już

(*) Listy Napoleona z 25, 26, 27 i 28 Marca dowodzą, że plan kampanji już w tym czasie ułożył był w myśli.

w jego głowie, a zamierzał wykonać obrót nietylko zwinięciem skrzydeł ku środkowi, ale nadto przerzuceniem sił rezerwowych na czoło. Dla tego to postanowił złożyć szósty korpus z wojsk, które były nieodbicie potrzebne w Paryżu, a które przez Soissons, Laon, La Fère, gwałtownie mogły się przenieść do Maubeuge. Dowództwo tego 6-go korpusu powierzył hrabiemu Lobau, dowodzącemu pierwszą dywizją wojskową. Mówiliśmy już, że dla przywrócenia zwichniętej karności we wszystkich pułkach, postanowił przeprowadzać je przez Paryż, pod sprężystą dłonią hrabiego Lobau. Skutkiem tej to przyczyny wielka liczba wojska powinna była zawsze znajdować się w Paryżu, a ztąd łatwo było w każdym razie wystawić korpus silny, dobrze urządzony, który wyruszywszy z Paryża w tym czasie, w którym 1-szy miał opuścić Lille, a 4-ty Metz, złożyłby z 2-gim i 3-cim silnie spojoną całość w Maubeuge. Tak to Napoleon wyższym swym umysłem umiał sprowadzać do jednego celu rozmaite części, gdy tego wymagały okoliczności.

Do tych sześciu korpusów Napoleon dodawał gwardję cesarską, którą zamierzał wystawić na wielką stopę. Przywrócił starą gwardję w rozmiarach czterech pułków o czterech bataljonach (zaliczając tu grenadjerów i strzelców), i młodą gwardję w rozmiarach dwunastu pułków o dwóch bataljonach, dołączając do nich silną jazdę i dawne rezerwy artyllerji, które się tak świetnie odznaczały we wszystkich bitwach. Napoleon obliczał, że z 6-go korpusu i gwardji będzie miał rezerwę silną na 50 tysięcy ludzi, która połączona ze czterema korpusami rozłożonemi od Lille do Metz, pozwoli mu rozpocząć zaczepne działania na czele 150 tysięcy walczących (mniej lub więcej, stosownie do czasu, jaki będzie miał do przygotowań), a gdy nie okazywał tego, iż ma zamiar działać zaczepnie, a nadewszystko rozpocząć działania przez Maubeuge, przeto plany jego dostatecznie były przygotowane i w zupełnej zachowane tajemnicy.

Korpus 5-ty rozłożony w Alzacji, to jest poza obrębem zamierzonych działań, miał zasłaniać górny Ren i stać się punktem nowego zgromadzenia wojska, jeżeliby pole działań wojennych w tę przeniosło się stronę. Korpus ten miał się złączyć z wojskami, które Napoleon pozostawił na straży Alp, dla działania bądź przeciw Szwajcarji, jeżeliby nieposzanowano jej neutralności, bądź też przeciw Włochom, jeżeliby Murat, czego się słusznie obawiał, był za słabym do zatrudnienia swemi siłami Austrjaków. Korpus ten będąc postawiony poza obrębem działań na północy, potrzebował na dowódzcę jednego z ludzi, którzy umieją sami prowadzić wojnę i nie potrzebują być kierowani przez drugich. Na dowódzcę więc tutaj Napoleon wybrał marszałka Suchet. Zamierzał

utworzyć później korpus siódmy, przeznaczony do strzeżenia Alp Morskich i nakoniec ósmy, który, jeżeliby nie służył do powstrzymania Hiszpanów, niebudzących obawy w obecnej chwili, użytyby został do utrzymania południa Francji, gdzie usposobienie mieszkańców było bardzo podejrzane. Ten 8-my korpus przeznaczał dla jenerała Clausel, przeznaczonego obecnie do działania w Bordeaux.

Rozkazując natychmiast złożenie tych korpusów, które nazwał *korpusami obserwacyjnemi*, aby nie dać żadnego pozoru, iż chce wywołać wojnę, Napoleon miał jeszcze trzy miesiące czasu na przygotowanie się do wojny. Postawieni na ich czele jenerałowie: d'Erlon, Reille, Vandamme, Gérard, Rapp i Suchet, którzy dokładnie odpowiadali swemu zadaniu tak pod względem wojskowym jak i politycznym, otrzymali rozkaz udania się natychmiast na miejsce przeznaczenia i zgromadzenia wojsk poza obrębem twierdz rozłożonych. Dla dokonania tego, każdy pułk udający się do swego korpusu, winien był pomieścić wszystkich rozporządzalnych ludzi w dwóch pierwszych bataljonach i pozostawić kadry trzeciego, które miały być wypełnione ludźmi przybywającemi z zakładów. Mając zaś wielką liczbę oficerów na pół żołdzie, Napoleon bezzwłocznie rozkazał tworzenie w każdym pułku czwartego, piątego i szóstego bataljonów. Skoro tylko ludzie, powołani środkami które wyłożymy, przybędą do zakładu, posłużyć mają najprzód do wypełnienia trzeciego bataljonu, który następnie za swym pułkiem pośpieszy bezzwłocznie. Czwarty i piąty bataljon uczynią to samo, w miarę przybywania ludzi do zakładu.

Po postanowieniu tak prostej organizacji, pozostawały jeszcze do obmyślenia środki dostarczające ludzi. Oto jak się wziął Napoleon do rzeczy, aby się zaopatrzyć w żołnierza.

W dniu 20 Marca 1815 roku znajdowało się w szeregach 180 tysięcy ludzi, oraz 50 tysięcy urlopowanych, którzy na pierwsze powołanie powinni byli stawić się pod chorągwie, skutkiem czego rzeczywista siła wojska wynosiła 230 tysięcy ludzi. Było to bardzo mało, a jednak siła zbrojna doszła do tej liczby tylko skutkiem zarządzonego przez Ludwika XVIII uzbrojenia, na żądanie p. de Talleyrand. Na szczęście Francja posiadała daleko większą liczbę żołnierzy, którzy powrócili do domów i w spokoju byli pozostawieni. Jeżeli sobie przypomnimy, cośmy już mówili poprzednio, o organizacji wojska pod rządami Burbonów, łatwo pojmiemy jakie siły mogła obecnie wystawić Francja.

W chwili zrzeczenia się tronu przez Napoleona, znajdowała się we Francji i w Europie następna liczba żołnierzy francuzkich wszelkiej broni, z których jedni znajdowali się w kraju pod bronią, drudzy stali

załogą w twierdzach oddalonych, lub znajdowali się jako jeńcy w ręku nieprzyjaciela. Podczas kampanji Napoleon miał 65 tysięcy ludzi pod bezpośredniemi swemi rozkazami, jenerał Maison 15 tysięcy, jenerał Decaen 4 tysiące, marszałek Suchet 12 tysięcy, marszałek Augereau 28 tysięcy, co razem czyniło 160 tysięcy składających armję czynną. W twierdzach wewnętrznych znajdowało się 95 tysięcy, czyli, że około 255 tysięcy żołnierza znajdowało się na ziemi francuzkiej. Pozostało 24 tysiące ludzi załogą w Katalonji, 30 tysięcy w Piemoncie i Włoszech, więcej niż 32 tysiące broniących Adygi pod księciem Eugenjuszem i przyprowadzonych do Francji przez jenerała Grenier. W Magdeburgu, Hamburgu i innych twierdzach niemieckich 60 tysięcy ludzi, a 40 tysięcy w twierdzach ustąpionych umową z 23 Kwietnia, to jest w Antwerpji, Wesel, Moguncji i t. p., co czyniło ogółem 186 tysięcy rozrzuconych po Hiszpanji, Włoszech, Niemczech i Belgji. Powinno było powrócić 130 tysięcy jeńców z Rossji, Niemiec i Anglji, choć liczba ich była o wiele wyższą. Jeżeliby ci wszyscy żołnierze znajdowali się w kraju, Francja zaopatrzonąby była w olbrzymie siły, gdyż niezależnie od jakich czterdziestu tysięcy ludzi liczących się w szeregach, a znajdujących się rzeczywiście w żandarmerji, weteranach, sztabach, liczba ogólna wojska wynosiłaby 600 do 610 tysięcy żołnierzy, po większej części zaprawnych w boju, z których przynajmniej połowa odbyła wszystkie wojny. Jeżeliby w roku 1815 Napoleon mógł ich zgromadzić wszystkich przy sobie, stałby się niezwyciężonym, a z nim i Francja. Lecz o to co się stało z tą potęgą wojskową od czasu przywrócenia pokoju.

Po zrzeczeniu się tronu w Fontainebleau, zbiegostwo, jak tośmy widzieli, zagęściło się pomiędzy żołnierzami. Jedni skutkiem pewnego rodzaju oburzenia patrjotycznego, drudzy przez wstręt do służby, której znali tylko okropności, opuścili swe chorągwie, czemu władze wojskowe nie bardzo się sprzeciwiały. Obliczają, że 170 do 180 tysięcy ludzi zbiegło w tym czasie, bądź to z szeregów znajdujących się w kraju, bądź też z wracających. Pozostało jednak jeszcze około 420 tysięcy pod chorągwiami, lecz stan skarbu restauracji, jak tośmy mówili, pozwalał na utrzymanie zaledwie trzeciej części tej liczby. Trzeba się więc było oswobodzić z nadmiaru różnemi sposobami. Odesłano do domów 25 tysięcy ludzi, którzy stali się cudzoziemcami skutkiem utraty posiadłości. Uwolniono ze służby tych, którzy należeli do poboru z 1815 roku, a co wynosiło 46 tysięcy; nakoniec stanowcze uwolnienie dano 115 tysiącom, dając za przyczynę, że już zupełnie wypłacili dług krajowi lub że nabyli w służbie dla ojczyzny mniejszych lub większych ułomności. Tym

sposobem cała siła składała się z 230 tysięcy ludzi, a gdy i tej nie można było nawet opłacić, minister wojny rozpuścił 50 tysięcy za urlopami, co zniżyło liczbę żołnierzy, znajdujących się rzeczywiście pod chorągwiami, do 180 tysięcy.

Taki był rzeczywisty stan sił francuzkich 20 Marca 1815 roku: 180 tysięcy pod chorągwiami i 50 tysięcy urlopowanych, których rozkazami z ministerstwa wojny można było zgromadzić niebawem. Pierwszą przeto było potrzebą powołanie tych 50 tysięcy ludzi; lecz powołując ich i podnosząc tym sposobem siły wojskowe do 230 tysięcy, niepodobieństwem było za pomocą tego tylko środka wypełnić pierwsze trzy bataljony, po 500 ludzi każdy, a tém bardziej rozpoczynać formację czwartych i piątych bataljonów. Należało więc z całym pośpiechem użyć innych jeszcze środków. Pobór wojskowy stawszy się znienawidzonym za Napoleona i nieroztropnie zaniechany przez Burbonów, nie mógł być obecnie wznowiony, bez natychmiastowego wzbudzenia smutnych wspomnień, a tak pozostawał tylko środek szukania ludzi pomiędzy żołnierzami przybyłymi z zagranicy i rozproszonymi po całej Francji. Najlepsza część tych żołnierzy, a to tak skutkiem ożywiających ich uczuć jak i wyrobienia się w wojenném rzemiośle, byli powróceni z zagranicy jeńcy, lecz powiększej części znajdowali się już oni pod chorągwiami, gdyż użyci zostali na zastąpienie uwolnionych od służby. Nie można się było odwoływać do 115 tysięcy stanowczo ze służby uwolnionych, gdyż posiadali już pełne prawo nie stawania więcej w szeregu, ani też do 25 tysięcy wydalonych jako cudzoziemców, ponieważ nie znajdowali się w obecnych granicach Francji. W takim przeto stanie rzeczy pozostawali tylko do pociągnięcia żołnierze przed rokiem zbiegli, i nakoniec, jako ostatni ratunek, popisowi z roku 1815. Postanowiono uważać zbiegów za urlopowanych bez żołdu, aby uniknąć potrzeby skarcenia ich za ucieczkę. Można więc ich było powołać, a na 160 tysięcy znajdujących się we Francji, spodziewano się ściągnąć przynajmniej połowę, co podnosiło stan liczebny wojska z 230 na 310 tysięcy, czyli w okrągłej rachubie 300 tysięcy żołnierza. Liczba ta była jeszcze bardzo niewystarczającą, a ztąd potrzeba nagliła odwołać się do spisowych z roku 1815. Pobór spisowych z tego roku nakazany był postanowieniem wydaném w roku 1814, a postanowienie to żadném późniejszém prawem nie zostało unieważnione. Znajdowało się przeto gotowe upoważnienie do powołania i do użycia tych ludzi, przy posłużeniu się jeszcze uchwałą rady stanu, łatwą do otrzymania. Bez wydawania więc postanowień co do nowego poboru, znajdowało się dość obfite źródło do czerpania zeń żołnierzy. Ta klassa spisowych wynosiła około 140 tysięcy ludzi, którzy

zostali uwolnieni od służby prostym rozkazem królewskim. Mając na uwadze brak czasu i złą wolę niektórych okolic, to zawsze ogólna liczba stawających na wezwanie nie powinna była być mniejszą od 100 tysięcy ludzi, coby podnosiło ogólne siły wojskowe do 400 tysięcy żołnierza, z których ogromna większość była zaprawną do boju, lub przynajmniej służąc czas jakiś pod chorągwiami, zapewniała tę wielką korzyść, że do siły liczebnej dodawało się wartość żołnierza.

Aby podobna siła wojska była wystarczającą przeciw potędze koalicji, należało ją w zupełności obrócić na armję czynną i nie rozpraszać na załogi po twierdzach. Był na to jeden środek, który Napoleon przewidział natychmiast, to jest powołanie gwardji narodowych, lecz wybrawszy z nich tylko część zdolną do służby i to w okolicach ożywionych gorącym patrjotyzmem. W owych czasach istniało prawo dozwalające na robienie podobnego wyboru. Tworząc bowiem kompanje wyborcze, pod nazwą grenadjerów i strzelców (sposób postępowania wzięty z pułków linjowych), władze miejscowe, upoważnione do tej czynności, posiadały możność przeznaczania do tych kompanji tylko ludzi młodych, zdolnych do noszenia broni, mających popęd do wojaczki, nie rzadko byłych żołnierzy, nie żonatych, ani koniecznych dla utrzymania rodzin. Próbowano już tego środka w 1814 roku, a pod Fère-Champenoise gwardja narodowa dała przykład swej wartości. Wystarczającą więc było rzeczą tylko rozwinąć formowanie kompanji wyborczych, aby sobie przysporzyć szacownego zwiększenia sił czynnych, a wykonanie tego planu tém było łatwiejszém, że w szeregi gwardji narodowej weszło wielu uwolnionych żołnierzy, a większa jeszcze liczba drobnych nabywców dóbr narodowych. Za pomocą dobrze złożonych komitetów poboru wojskowego w każdym okręgu, łatwą było rzeczą, przy użyciu starych żołnierzy i obywateli odznaczających się zapałem swych uczuć, tworzyć bataljony liczące 5—600 ludzi, zdolne do dobrego pełnienia służby wojskowej. Wielka liczba oficerów na pół żołdzie ułatwiała jeszcze bardziej wystawienie tych bataljonów przy posiadaniu tak dobrych kadrów. Napoleon obliczył, że przy powołaniu w ten sposób trzydziestej części ludności, zgromadziłby około miljona wojowników, lecz przez ograniczenie tego środka tylko do prowincji pogranicznych, zrozpaczonych ostatnim najazdem, w pośród których znajdowały się twierdze, o obronę których chodziło, łatwo będzie miał 400 bataljonów, co mu przysporzy 200 tysięcy żołnierza, biorąc w przecięciu siłę każdego bataljonu tylko na 500 ludzi. Nie było także trudném skłonić Lotaryngczyków do bronienia Thionville, Nancy, Metz; Alzatczyków do bronienia Strasburga, mieszkańców Franche-Comté do strzeżenia Besançon, a Delfinatu do obrony

Grenobli, Embrun, Briançon. Ograniczając się na chwilę tylko do Ardennów, Szampanji, Burgundji, Lotaryngji, Alzacji, Franche-Comté, Lyonnais, Owernji i Delfinatu, zgromadzenie 200 tysięcy ludzi w kompanjach wyborczych gwardji narodowej było rzeczą pewną, a ztąd cała siła armji czynnej mogła być użytą w polu. Pomimo że kompanje przeznaczone do obrony twierdz, zaopatrywały je w wyborną załogę, to nadto można było, przy użyciu najlepszych oddziałów gwardji narodowej, utworzyć dywizje rezerwowe, zdolne do sprężystego wspierania armji czynnej, a nawet do zmięszania się z jej szeregami. Tym więc sposobem wojska mogły wynagrodzić sobie wszystkie ubytki pozostawione w zakładach i wystąpić w okrągłej sile 400 tysięcy żołnierza, co w ręku Napoleona wystarczało na zgniecenie koalicji, jeżeliby tylko pozostało dość czasu na doprowadzenie do skutku wszystkich tych planów. Francja przeto znajdowała się w możności wystawić przeciw Europie 600 tysięcy walczących, pomiędzy którymi było 400 tysięcy wojsk czynnych i 200 tysięcy ludzi na załogach. Było to dosyć na przeprowadzenie najkrwawszej nawet kampanji, a jeśliby ta kampanja szczęśliwy wzięła obrót, bezwątpienia że koalicja nie wystąpiłaby powtórnie do boju. Możebną więc było rzeczą, nie pokazując się zbyt wymagającym, zdobyć pokój na warunkach umiarkowanych, nieskończenie korzystniejszych od warunków traktatu paryzkiego.

Na takich to rachubach Napoleon oparł swój plan narodowego oporu, przeciw najazdowi cudzoziemców. Obecność ogromnej liczby starych żołnierzy w szeregach, rozbudzone pomiędzy wieśniakami oburzenie przeciw szlachcie i duchowieństwu i wielka ilość oficerów na pół żołdzie, czyniły ten plan tak łatwym do wykonania, jakimby nie był w zwyczajnych okolicznościach.

Napoleon, którego doświadczenie uczyło, jak i w jakim czasie należy każdą rzecz wykonywać, zarządził wszystkie te środki odpowiedniemi rozkazami. Jeżeliby usiłował przedsiębrać je wszystkie na raz, pomimo że miał powód do wielkiego pośpiechu, to byłby sprowadził, oprócz wielkiego zamięszania, żywe wzburzenie umysłów, coby mu było nie na rękę. Nie chciał on nic ukrywać, lecz nie chciał także, aby dzień jego przybycia do Paryża był hasłem do ogólnego powstania, gdyż niezaniedbałby przypisać jego usposobieniom, w miejsce przypisywania konieczności, tego zrozpaczonego odwoływania się do poświęcenia kraju.

Skutkiem tych to powodów, postanowił rozpocząć swoje działania rozkazem powrotu pod chorągwie wszystkim żołnierzom znajdującym się na czasowym urlopie. W kilka dni po tym rozkazie, miał powołać lu-

dzi, którzy opuścili szeregi bez upoważnienia, a następnie rada stanu miała wyrzec, czy prawo powołujące pod broń spisowych z 1815 roku ma jeszcze moc obowiązującą. Jeżeliby bowiem wszystkie te trzy postanowienia ukazały się na raz, władze miejscowe i żandarmerja nie byłyby wystarczyły, gdy tymczasem przez wydawanie ich w kilkodniowych odstępach, każdy mógł być dokładnie wykonanym. Zresztą, żołnierze będący na urlopie czasowym i dawni wojskowi, którzy opuścili chorągwie bez upoważnienia, byli już mniej więcej zaprawni do rzemiosła swego stanu, a ztąd po przybyciu swém do pułków, natychmiast po otrzymaniu broni i munduru mogli być użyci na linji bojowej.

Zamierzając Napoleon utworzyć napowrót gwardję cesarską, rozkazał jej kadrom przybyć do Paryża, a w celu dostarczenia starym żołnierzom jednej zachęty więcej ku powróceniu pod chorągwie, postanowił, że wszyscy ludzie zdrowi, którzy już służyli pod bronią i którzy obecnie zażądają wejść do gwardji, będą pomieszczeni w dwunastu pułkach formującej się młodej gwardji. Tym sposobem spodziewał się przyciągnąć dwanaście lub piętnaście tysięcy ludzi.

Nie chcąc poświęcić ani jednego oddziału wojska na użytek podręczny, Napoleon kazał wysłać do Korsyki statki będące do rozporządzenia w Tulonie, aby sprowadzić do Francji trzy pułki piechoty znajdujące się na tej wyspie. Korzystał także z oszczędzania przez Anglików chorągwi białej, rozkazał ją pozostawić na okrętach, poleciwszy jedynie przypiąć trójkolorowe kokardy marynarzom. Dzięki tej przebiegłości, w tych trzech pułkach znalazł żywioły do utworzenia dywizji siódmego korpusu, który był jeszcze projektem.

Po załatwieniu się w ten sposób z urządzeniem piechoty, zajął się jazdą, o dzielności której mowy być nie mogło, byle tylko zaopatrzoną została w odpowiednie konie. Główny bowiem środek zaopatrzenia się w ludzi, zasadzał się na pociągnięciu w szeregi dawnych żołnierzy, a ztąd była wszelka możność przyjmowania do jazdy tylko ludzi dobrze wyrobionych, co w tej broni daleko ważniejszą, aniżeli w piechocie było rzeczą. Pomiędzy 180 tysiącami żołnierzy, którzy w dniu 1 Marca składali armję czynną, znajdowało się zaledwie 20 tysięcy jeźdźców. Napoleon postanowił podnieść natychmiast siłę jazdy do 40 tysięcy koni, a nawet do 50 tysięcy, jeśliby można wynaleść odpowiednie środki. Zarząd królewski skontraktował już był 4 tysiące koni. Napoleon rozkazał natychmiastowe dokonanie kupna, a następnie przywrócił wielki zakład w Wersalu, pod kierunkiem jenerała Bourcier, który w 1814 roku tak mu był użytecznym. Rozkazał temu jenerałowi natychmiast udać się do Wersalu, zająć wszystkie budowle, które zajmował przed rokiem

i gromadzić w nie rynsztunki i konie. Otworzył także miljonowy kredyt, aby gotówką płacił za konie przyprowadzane przez wieśniaków.

Przy wysłaniu więc do Wersalu tylko ludzi pieszo, można było mieć pewność, że pułki jazdy znajdą tu wszystko czego im nie dostawało, a gdy przytém armja czynna organizowała się pomiędzy Lille a Paryżem, przeto jeźdzcy nie wiele robili z drogi dla zupełnego uzbrojenia i dostania koni. Napoleon spodziewał się dostać dwa do trzech tysięcy wyuczonych koni po rozpuszczonej gwardji przybocznej królewskiej, a nadto zamierzał wziąć ich kilka tysięcy od żandarmerji, płacąc natychmiast żandarmom wartość tychże. Nakoniec wyprawił z Paryża oficerów jazdy, którzy przebiegając wsie z pieniędzmi, powinni byli, wedle niego, sprowadzić dziesięć lub piętnaście tysięcy koni. Doświadczenie, jakiego nabył w swym pochodzie od zatoki Juan do Grenobli, kazało mu się spodziewać, że konie się znajdą, byle tylko przystępować do kupna z pieniędzmi w ręku. Miał on przekonanie, że w chwilach nagłych, tylko użyciem rozmaitych środków dochodzi się do celu, gdyż jeżeli jedne zawiodą, to drugie za to dostarczą spiesznie potrzebnego przedmiotu.

Ponieważ artyllerja jest bronią, która najwięcej potrzebuje czasu do wyprowadzenia jej w pole, nawet gdy wszelkie zapasy są w pogotowiu, przeto Napoleon rozkazał bezzwłocznie wyprowadzać ją z arsenałów i skierować ku każdemu po szczególe korpusowi. Z dawnego etatu wojskowego, pozostała wielka liczba koni artylleryjskich, które za czasów restauracji poumieszczano u wieśniaków. Napoleon kazał je odebrać i dokupić jeszcze ilość konieczną do wyprowadzenia tak potężnej artyllerji, aby przynajmniej po trzy działa wypadało na tysiąc ludzi. Nakoniec polecił wystawić w Vincennes park 150-działowy, w celu wznowienia napowrót dawnej rezerwy gwardji.

Następnie Napoleon zwrócił swą uwagę na fortyfikacje. Oceniwszy w smutnym dniu 30 Marca 1814 roku, jak ważną rolę odegrała stolica w obronie cesarstwa, postanowił otoczyć Paryż wałami tak silnemi, jakie mogły być wzniesione w ciągu trzech miesięcy i zaciągnąć na też wały potężną artyllerję. Doświadczenie zarówno mu wykazało konieczność oszańcowania, na przypadek najazdu, La Fère, Soissons, Chateau-Thierry, Langres i Béfort, a ztąd postanowił je doprowadzić do stanu obrony stosunkowo do czasu, jaki mu na wykonanie tych robót pozostanie. Gdy zaś znajdowało się wiele innych punktów, które chwilowo mogły się stać bardzo użytecznemi, przeto wyznaczył kommissję z jenerałów, która miała śpiesznie zbadać granice i wskazać na nich nietylko miasta, lecz przejścia przez góry i lasy łatwe do stawienia oporu. Co zaś do wielkich twierdz, uważanych od dawna za przedmurze

kraju, rozkazał je naprawić, uzbroić, zaopatrzyć w żywność, jedném słowem postawić je w stanie zupełnéj obrony.

Marynarka w obecném położeniu nie przynosiła żadnego pożytku, gdyż nawet odniesioném zwycięztwem na morzu, gdyby ono nawet mogło mieć miejsce, nie zasłoniłoby się Paryża. Ze zwykłą przeto bystrością umysłu, Napoleon postanowił użyć marynarki do obrony kraju, zwłaszcza gdy ten pomysł podwójną przynosił korzyść, albowiem dostarczał chleba majtkom pozbawionym zatrudnienia skutkiem zamknięcia mórz i zużytkował silne ramiona sześćdziesięciu tysięcy ludzi, zarówno gorliwych jak odważnych. Postanowił wystawić z nich dwadzieścia pułków pod oficerami marynarki, których połowa miała pozostać na wybrzeżach, dla ich i portów straży, a 30 tysięcy zamierzył sprowadzić w okolice Paryża dla jego obrony. Z drugiej znów strony zamierzał użyć kilka tysięcy kanonierów marynarki, do obsługi na szańcach Paryża dwustu lub trzystu dział wielkiego kalibru, które miały być sprowadzone z Brestu, Cherbourga, Dunkierki i z innych nadmorskich punktów.

Pozostawało jeszcze pomyśleć o zaopatrzeniu w broń i ubiory licznych żołnierzy powołanych pod chorągwie. Umundurowanie przedstawiało wiele trudności, z powodu zbyt krótkiego czasu. Przy pieniądzach można było zmniejszyć te trudności. Napoleon powołał do siebie zwykłych dostawców dla wojska i kazał im wypłacić 16 miljonów, które pozostał dłużnym, a których restauracja dotąd nie uiściła. Za wypłatę tę, tak Paryż jak i główniejsze miasta pokryły się warsztatami nadzwyczajnemi i przy nieustannym dozorze można było spodziewać się, że zapobieży się naglącym potrzebom. Dla każdego linjowego żołnierza Napoleon chciał mieć płaszcz, kaftan i spodnie, a dla gwardji narodowej zatwierdził tylko bluzy mundurowe, które były wystarczającemi do służby w twierdzach.

Uzbrojenie jeszcze trudniejszą było rzeczą, Napoleon przypomniał sobie, że w ostatniej kampanji zabrakło broni palnej, i że z tego powodu dwadzieścia tysięcy ludności przedmiejskiej nie mogło wziąć udziału w obronie stolicy. Spodziewał się, jaktośmy widzieli, że podniesie siły wojenne do 310 tysięcy ludzi przez powołanie czasowo urlopowanych i zbiegłych w 1814 roku, a do 400 tysięcy przez powołanie spisowych z 1815 roku. Nakoniec, liczył na uruchomienie 200 tysięcy gwardji narodowej, co podnosiło ogół obrońców kraju do 600, a do 660 tysięcy z marynarzami.

Potrzeba mu więc było przynajmniej 600 tysięcy strzelb na pierwsze dni Czerwca, to jest na czas w którym przypuszczał rozpoczęcie

kroków nieprzyjacielskich. Znajdowało się około 200 tysięcy sztuk broni palnej, bądź w rękach żołnierzy, bądź też w niektórych zakładach, a 150 tysięcy broni zupełnie nowej w magazynach, co było zasługą księcia de Berry, który nie przestawał upominać się i przyśpieszać wyrób karabinów. Skutkiem więc tego potrzeba jeszcze było 250 tysięcy sztuk. Żołnierze wracający z zagranicy, przynieśli z sobą znaczną ilość broni, która po jej naprawie mogłaby być użytą w polu, lecz broń ta była rozproszoną po wszystkich granicach, a po większej części w miejscach, w których nie można było zakładać warsztatów. Napoleon postanowił przewieść ją do Paryża, gdzie już znajdowało się 40 tysięcy sztuk w naprawie, lecz gdzie środki naprawy i robienia broni były znaczne, przez otworzenie nowych warsztatów. Rozesłał inną po silnych twierdzach, od Grenobli aż do Strasburga, od Strasburga aż do Lille. Liczył że zdoła naprawić 200 i zrobić nowej 50 tysięcy sztuk broni w przeciągu dwóch miesięcy. Pochlebiał więc sobie, że dosiągnie potrzebną liczbę 600 tysięcy, odpowiadającą ilości ludzi powołanych pod chorągwie. Zamierzał także w drugiém półroczu 1815 roku posunąć wyrób broni przynajmniej do 300 tysięcy sztuk, aby miał czém zastąpić zniszczoną i uzbrajać nowo-powołane ramiona. Dla dokonania tego polecił zakładać nadzwyczajne warsztaty w Paryżu i okolicach i zatrudnić w nich stolarzy, ślusarzy, a nawet zegarmistrzów, pod kierunkiem oficerów artyllerji. Rozkazał wypłacić fabrykantom państwa miljon 800 tysięcy franków, które im pozostał winien, a nadto dawać do ich rozporządzenia wszelkie zażądane summy.

Zdolność ministra skarbu pierwszej restauracji, p. Louis, pomagała urzeczywistnieniu wszystkich planów, gdyż ten, nie wiedząc dla kogo pracuje, przygotował środki pieniężne, których Napoleon umiał użyć na obronę kraju. Dzięki pokojowi i sprężystemu utrzymaniu opłat pośrednich, p. Louis przywrócił pobór wszelkich podatków i przelewał dochody do skarbu. Nadto, przez swą akuratność w przyznaniu długów państwa i przez szczęśliwą kombinację *przyznania likwidacji*, zachował sobie szacowną możność posługiwania się długiem ruchomym, co pozwalało pobierać naprzód całoroczne dochody, a ztąd rozporządzać wszelkiemi środkami. Zdolny ten minister przy opuszczaniu swego stanowiska pozostawił, oprócz regularnie wpływających podatków zwyczajnych, możność użycia ich naprzód na naglące potrzeby, przez wypuszczenie za pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt miljonów obligów skarbowych. Środek ten, w połączeniu z bieżącemi wpływami, wystarczał na pierwsze miesiące, bo wydatki w owym czasie nie były takiemi, jakiemi się stały później. W przeciągu trzech miesięcy musiał albo stanąć po-

kój, albo nastąpić stanowcza bitwa, po której, w razie zwycięzenia, niebyłoby kłopotu z zastąpieniem szczerby w budżecie przez naprzód zużytkowane podatki. Skutkiem tak szczęśliwie wynalezionego przez barona Louis kredytu, pp. Mollien i de Gaête mogli się nim posłużyć na dobie i wydatkować pięćdziesiąt miljonów więcej nad bieżące wpływy. Było to wszystko co potrzeba w twórczych i oszczędnych rękach Napoleona, aby zapobiedz pierwszym potrzebom uzbrojenia, bez uciekania się do nadzwyczajnych i niebezpiecznych środków.

Dzięki takiemu składowi rzeczy Napoleon był prawie pewnym, że w kilku miesiącach mieć może 400 tysięcy wojsk czynnych i 200 tysięcy wojsk przeznaczonych na załogi, tak jednych jak drugich zaopatrzonych w konieczne przybory, i że tej ilości wojska o tyle będzie bliższym o ile działania się odwleką. W wielkich działaniach administracyjnych zależy wszystko na przezorności, umiejącej uchwycić tak ogół jak szczegóły, nie zapominającej o niczém i nic nie odraczającej, ponieważ się o wszystkiém pamięta, zależy na przezorności, powtarzamy, która przy najkrótszym nawet czasie sprowadza obliczone skutki. Jeżeli bowiem nie ogarnia się jednym rzutem oka wszystkiego i jeżeli nie przewiduje wszelkich szczegółów, wtedy czas je przypomina z kolei i naraża na opóźnienie, gdyż części nieprzewidziane, nie będąc zarządzone razem z innemi, narażone być muszą na zwłokę w wykonaniu, a jak się często zdarza i powstrzymane w swym biegu, skutkiem tylko mało znaczącego z pozoru zapomnienia.

Każdy kto ma pojęcie o zarządzie krajem, z łatwością oceni z tego, cośmy tu powiedzieli o przygotowaniach Napoleona, że nie pominął ani jednego przedmiotu w rozległém uzbrojeniu, że wszystko przewidział, rozkazał bez macania i że w wyborze środków okazał tę pewność, która tylko może być udziałem wielkiego genjuszu, dojrzałego przez największe doświadczenie. Trzeba też dodać, że wykonanie tych środków najdokładniej było obliczone z uwagą na względy polityczne. Natychmiastowe utworzenie korpusów, tak dokładne pod względem organizacji, zostało złagodzone o ile tylko można, przez nazwanie ich korpusami obserwacyjnemi. Powołanie urlopowanych, formowanie czwartych i piątych bataljonów, przywrócenie zakładu w Wersalu, przewóz broni na miejsca gdzie miała być naprawianą, nakoniec, utworzenie w ministerstwie spraw wewnętrznych biura, które miało się zajmować gwardją narodową, było to wszystko środkami nagłemi, których za żadną cenę nie można było odraczać. Obliczony pośpiech w zarządzeniu tych wszystkich środków tę jeszcze przynosił korzyść, że prostą administracyjną drogą można było wydać potrzebne rozkazy. Po dziesięciu zaś lub

piętnastu dniach, gdy położenie będzie wyjaśnione, gdy już nie będzie potrzeby ukrywać przedsiębranych przez Europę kroków nieprzyjacielskich, gdy potrzeba będzie odwołać się do kraju i poruszyć go grożącém niebezpieczeństwem, inne środki, których nie można było zarządzić tajemnie, jak powoływanie i wybór pomiędzy dawnymi z szeregów zbiegami, uruchomienie gwardji narodowej, uchwała rady stanu o poborze z roku 1815, zakup koni, zakładanie nadzwyczajnych warsztatów, wznoszenie szańców około Paryża, miały przyjść w wykonanie z kolei, nie tracąc przez to ani jednego dnia na próżno, gdyż zarządzone środki mogły przechodzić w wykonanie tylko jedne po drugich, a rozgłos przygotowań nie mógł być wówczas szkodliwym, ponieważ polityka, w miejsce milczenia, głośno już zacznie przemawiać.

W dniu 24 Marca, to jest w cztéry dni po swém przybyciu do Paryża, Napoleon pewną otrzymał wiadomość o opuszczeniu przez Burbonów ziemi francuzkiej. To też w dniach 25, 26 i 27 Marca, przedstawione tu postanowienia zostały obmyślane, bezpośrednio przesłane naczelnikom właściwych wydziałów w ministerstwie wojny, zanim jeszcze marszałek Davout mógł się zapoznać z rzeczami i ludźmi składającymi toż ministerstwo. W oczekiwaniu więc na zupełne wdrożenie się ministra w bieg interesów, środki co do uzbrojenia Francji zostały postanowione i nakazane wten sposób, że nic nie było do zrobienia nad dopilnowanie ich wykonania i to pod kierunkiem samego niezmordowanego cesarza. Stosując tę samą sprężystość do ministerstwa spraw wewnętrznych, Napoleon wskazał ministrowi Carnot jenerała Mateusza Dumas, na naczelnika biur gwardji narodowej, a wybór ten wybornie był zrobiony, gdyż jenerał łączył w sobie zdolności wojskowe i cywilnego zarządu, co właśnie odpowiadało podwójnemu jego zadaniu przy organizacji tych na pół cywilnych i na pół wojskowych oddziałów. Sam też rozkazał jenerałowi Dumas, aby natychmiast lecz bez hałasu zajął się pracą nad uruchomieniem gwardji narodowej. Zajął się także Napoleon przejrzeniem nadanych przez Burbonów stopni wojskowych, a tak szczodrze rozsypywanych, iż niepodobieństwem było uznać je wszystkie. Położył w tym przedmiocie pewne i słuszne zasady i złożył kommissję z jenerałów, cieszących się powszechném zaufaniem, aby zasady te wprowadziła w wykonanie. Co do marszałków sam rzecz rozstrzygnął. W postanowieniu swém napisaném w Lyonie, które wyjmowało trzynaście osób z pod przyrzeczonego zapomnienia przeszłości, zamieścił marszałków Marmont i Augereau. Nie miał odwagi wytrwać w swym gniewie co do marszałka Augereau, który będąc gubernatorem w Caen, odpokutował już swą odezwę lyońską, przez wydanie daleko jeszcze gwałtowniejszej

przeciw Burbonom. Wytrwał jednak co do marszałka Marmont i pozostawił jego imię w postanowieniu, którego zresztą wykonanie odroczoném zostało. Napoleon zamierzał wykreślić z listy marszałków, zapewniając jednakże odpowiednie płace dawnym zasługom: Oudinota, Victora i Saint-Cyr'a, którzy gorąco przylgnęli do sprawy królewskiej. Trzech innych marszałków: Berthier, Soult i Macdonald, znajdowali się prawie w podobném położeniu, lecz co do nich Napoleon odwłóczył swe postanowienie. Tak bowiem był przywiązany do Berthiera, iż wiele go kosztowało okazywać surowość względem tego starego towarzysza broni i kazał mu oświadczyć, że chętnie puści w zupełne zapomnienie okazaną przez niego słabość, byle tylko natychmiast przybył do Paryża. Co zaś do marszałka Soult, tego wcale nie uważał za nieugiętego i przypuszczał, iż musi być ogromnie rozgniewany na Burbonów, którzy po wystawieniu go na tak dziwne sprzeczności, tak źle go za to wynagrodzili. Nie przedsiębrał więc żadnych środków ze względu na niego, jak niemniej co do marszałka Macdonald, którego szlachetny charakter dostatecznie oceniał. Zamierzał ściągnąć jednego i drugiego do Paryża i ofiarować stanowiska, przy zachowaniu wszystkich posiadanych przez nich godności. Marszałkowie zaś: Lefebvre, Suchet, Davout, Ney, Mortier, oświadczyli się już za cesarstwem, a o Massenie nie można było wątpić że podobnie postąpi. Niektórym z nich nadał już właściwe stanowiska, a drugich zamierzał użyć w miarę zasług i usposobienia. Ze względu na marszałka Ney chwycił się postąpienia, które przynosiło korzyść tak samemu marszałkowi jak i służbie publicznej. Ney nabawił się prawdziwej choroby swém tak pełném sprzeczności postępowaniem w Fontainebleau i w Lons-le-Saulnier, gdyż zasłużone wyrzuty zdawał się czytać na twarzach wszystkich spotykanych osób, pomimo że wyrzuty wcale mu nie były czynione. Takie fałszywe stanowisko wzburzało mu umysł i pomięszało język. Szukając w błędach drugich usprawiedliwienia własnych, rzucał zgryźliwe wyrażenia już to na Burbonów, już na Napoleona, szkodzące własnej jego godności i które mogły bardzo utrudnić obecne jego położenie. Że zaś Napoleon za żadną cenę nie chciał się pozbawić usług marszałka, postanowił oddalić go z Paryża, a ztąd polecił mu obejrzéć granicę od Dunkierki aż do Bazylei, z rozległą władzą tak pod względem cywilnym jak i wojskowym i z wyraźném zaleceniem, aby rozpoznał dokładnie wszystko, co się odnosiło do obrony granic i wystawienia wojska. Ney, pomimo spaczonego charakteru, obdarzony był wielką przenikliwością w swojém rzemiośle i na granicy był bardzo użytecznym, gdy tymczasem w Paryżu szkodził i sprawie publicznej i sobie samemu.

Rozmaite te rozporządzenia pod względem powszechnego uzbrojenia Francji, obmyślane i nakazane zostały od 25 do 27 Marca. Podczas tego, często otrzymywano wiadomości z południowych prowincji. Napoleon dowiedział się, że na zachodzie wszystko zwiastowało uległość, przynajmniej na chwilę, lecz że na południu, szczególniej pomiędzy Marsylją a Lyonem, rojaliści robili niejakie postępy. Chociaż niewiele troszczył się o to, to przecież chciał położyć koniec tym ruchom, które stawały na poprzek jego przygotowaniom wojennym. Rozkazał jenerałowi Morand pójść dwoma kolumnami ruchomemi za biegiem Loary, jedną po prawym, a drugą po lewym brzegu rzeki i bez litości powstrzymać wszelki ruch powstańczy. Każda z tych kolumn składała się z jednego pułku piechoty i dwóch pułków jazdy. Rozkazał mu także ściągnąć z wybrzeży trzy pułki piechoty i wysłać do jenerała Clausel, aby go wspierały w uspokojeniu miasta Bordeaux. Powołał do siebie jenerała Grouchy, który publicznie pokłócił się był z Burbonami, z przyczyny godności pułkowników jeneralnych, przeznaczonych dla książąt krwi i polecił mu udać się do Lyonu, w celu powstrzymania działań księcia d'Angoulême. Zalecił mu działać sprężyście i pośpiesznie, obchodząc się jednak z księciem inaczej jak on zamierzył obejść się z nim samym (cesarzem).— Lecz, zapytał jenerał, jeżeli książę wpadnie w moje ręce, co uczynić winienem?— Wziąć i szanować jego osobę, odrzekł Napoleon, gdyż chcę, aby Europa oceniła różnicę pomiędzy mną a *ukoronowanymi łotrami*, *którzy nałożyli cenę na moją głowę*.—Słowa te odnosiły się do oświadczenia z 13 Marca, uczynionego w imieniu monarchów zgromadzonych w Wiedniu, które oburzało Napoleona. Po wyrzeczeniu ich umilkł na chwilę, następnie, zdając się zastanawiać nad nowém postanowieniem, dodał: Być może, że możnaby było mieć z tego księcia zakład do wymiany z dworami zagranicznemi i wydania go za mego syna i żonę....— Wkrótce jednak porzucając tę myśl, a to z uwagi, że książę Angoulême nie jest tak ważną osobą, aby zgodzono się na podobną wymianę, Napoleon powrócił do pierwotnych swych instrukcji.—Wypchnij pan, powiedział, księcia za granicę; miej największe dla niego względy; jeżeli go weźmiesz, donieś mi o tém natychmiast, a wyszlemy go całego i zdrowego, wymagając przecież, aby nam zwrócono dyamenty koronne, które posiadałem roku przeszłego, z oddaniem których pośpieszyłem, a które nie należą ani do Ludwika XVIII-go, ani do mnie, lecz do Francji.

Po wyrzeczeniu tych słów, Napoleon natychmiast wyprawił jenerała Grouchy, a chociaż dalekim był od tego, aby mu miał nie ufać, to przecież kazał mu towarzyszyć jednemu ze swych adjutantów, w które-

go sprężystości, uczciwości i rozsądku największe miał zaufanie. Adjutantem tym był jenerał Corbineau. Rozkazał mu, aby ani na chwilę nie odstępował od jenerała Grouchy, by w razie potrzeby mógł powstrzymać lub popchnąć. Wydał także jednocześnie rozkazy, aby jedna z dywizji 6-go korpusu, zorganizowana już przez hrabiego de Lobau, wyruszyła natychmiast pocztą, jako odpowiednia do użycia jej na południu, gdyż składała się z pułków, które z największym zapałem oświadczyły się za cesarstwem, jako to: z 7-go linjowego (pułk la Bédoyère), z 20-go i 24-go (pułki załogi lyońskiej), nakoniec z 14-go linjowego, który wyszedł naprzeciw Napoleona, pomiędzy Fontainebleau a Auxerre. Cztery te pułki wystarczały na rozproszenie powstańców na południu, a po spełnieniu tego łatwego zadania, miały stanowić jądro 7-go korpusu, przeznaczonego do strzeżenia Alp.

Dotąd zarządzanie środków wojskowych wyłącznie zajmowało uwagę Napoleona. Należało więc zająć się także polityką wewnętrzną, powiedzieć coś o rządzie, jakim zamierza obdarzyć Francję. Już na przeglądzie wojsk w dniu 21 Marca i na jednym jeszcze czy dwóch, które po pierwszym nastąpiły, przemówił do żołnierzy językiem, który zupełnie się zgadzał z tém wszystkiem, co był już powiedział w Grenobli, Lyonie i Auxerre. Powrócił, mówił, dla podniesienia sławy narodowej, dla nadania całej mocy zasadom z 1789 roku i zapewnienia Francji tej wolności, do używania której była zdolną. To wyznanie wiary, skierowane do kilku władz miejskich na prowincji i do kilku pułków, powinno było być powtórzone przed władzami najwyższemi, to jest przed wielkiemi ciałami państwa, z konieczną uroczystością i w sposób dający zupełną w tym względzie rękojmię Francji.

Napoleon oznaczył Niedzielę 26 Marca na przyjęcie wielkich ciał państwa, aby wysłuchać ich przemówień i aby odpowiedzieć im językiem zgodnym z ich życzeniami. W przeddzień jednakże dnia tego postanowił przemówić do umysłów czynem jawnym, któryby dowodnie świadczył o teraźniejszych jego usposobieniach.

Żaden z rządów nie uciskał bardziej jak on objawów opinji publicznej. Uciskał ją w pierwszych czasach swego panowania przez podziwienie, które nie pozwalało nikomu na danie o nim sądu, a w ostatnich czasach przez nieubłaganą policję, która ani w książkach, ani w gazetach nie pozwalała na wyrażenie żadnej innej myśli od myśli rządowej. W końcu jednak swego panowania, Napoleon poznał niedogodności rządu gniotącego i wykazywał je po kilka razy księciu de Rovigo, ministrowi policji, który ze swej strony je przyznawał i wyznawał. Najgłówniejszą, lecz nie jedyną z tych niedogodności, było wzbudzenie takie-

go podejrzenia, że nie przywiązywano żadnej wiary do słów rządu, nawet wówczas, gdy mówił prawdę. Co do wypadków wojennych naprzykład, wzbudzona niewiara do ogłoszeń rządu francuzkiego, przeszła następnie w zupełne pokładanie wiary w ogłaszania nieprzyjaciół, a ztąd nikt nie chcąc wierzyć francuzkim buletynom, ślepą pokładał ufność w prawdomówność zagranicznych, choć one daleko więcej jeszcze kłamały od własnych. Głęboko dotknięty tém usposobieniem narodu, Napoleon napisał w 1813 roku do księcia de Rovigo: Nie wierzą nam, więc nie potrzeba przemawiać w naszém imieniu, a gdy pozwalamy drugim aby za nas mówili, to należy wyznawać całą prawdę, gdyż nie ma takiej, któraby nie mogła nas ocalić.— I rzeczywiście Napoleon porzucił w 1813 i 1814 roku redakcję buletynów i ograniczał się na zamieszczaniu w *Monitorze* wiadomości, pod rubryką: *Piszą nam z armji.*

Bolesne to doświadczenie otworzyło Napoleonowi oczy pod względem wolności druku. Gdyby mu jednak w 1813 i 1814 roku nagle zaprojektowano, aby bez przyczyny wystawił się na całą gwałtowność prassy, a to na gwałtowność straszną, gdy się przechodzi z ucisku do wolności bez granic, bez wątpienia odrzuciłby podobną radę, jak się odsuwa każde cierpienie, którego nie okazuje się natychmiastowa konieczność. Lecz obecnie powracał z Elby, gdzie przez rok prawie doświadczał strasznego przeciw sobie wylewu dzienników całej Europy. Po takiém doświadczeniu nie potrzebował niczego się obawiać i jak to był zauważył bardzo dowcipnie, *nie będzie już nic do powiedzenia o nim, a pozostaje jeszcze wiele do mówienia o jego przeciwnikach.*

O niedogodnościach płynących z ograniczenia wolności druku przekonał się podwójném doświadczeniem, jako panujący i jako wygnaniec. Lecz obecnie kierowany był powodem potężniejszym daleko, powodem, który mu nakazywał, ze względu na politykę wewnętrzną, na każdym kroku inaczej od Burbonów postępować. Nie mógł bowiem znaleść innego tłomaczenia, dla czego przyszedł zająć miejsce Burbonów, a to pod zagrożeniem strasznej wojny, nad pokazanie się zupełnie przeciwnym ich sposobowi rządzenia, który należało poprawić. Oni nie mogli dosyć zjednoczyć się ze sławą Francji, to też należało ją podnieść tak wysoko jak nigdy. Oni przerazili zasady zrodzone w rewolucji, więc potrzeba było koniecznie je uświęcić. Oni zeznali wolność z wahaniem, macająco, ograniczając ją licznemi zastrzeżeniami, więc trzeba ją było nadać otwarcie, w zupełności, bez oglądania się, z postawą spokojną i pewną, cokolwiek bądź mogłoby ztąd wypłynąć, gdyż nic nie było gorszego nad dostarczenie sposobności do mówienia, że cesarz postępuje jak Burboni, i że nie warto było dokładać trudów dla oswobodzenia

się od nich i wystawiać Francję na przewrot, a nawet, co najważniejsza, na powszechną wojnę. Szczególniej cenzura pokazywała się jako zła wiara karty, i jako zupełnie przeciwny system rządu, który należało rozpocząć, więc też Napoleon postanowił znieść cenzurę prostém rozporządzeniem, zamieszczoném w *Monitorze*.

W szczegółach tylko zastrzegł niejakie zawarowania, które późniejsze prawa uświęciły jako rozsądne i konieczne. Wymagał, aby każdy numer ogłaszał nazwisko osoby, któraby była odpowiedzialną za wszystko, co ogłoszono w tym numerze. Ztąd poszła nazwa *wydawców odpowiedzialnych*. Zastrzeżenie to wymyślił p. Fouché, gdyż w swém chełpliwém przekonaniu, że może robić z ludźmi co zechce, pochlebiał sobie, że przez to uosobienie dzienników, będzie je miał wszystkie do swego rozporządzenia. Napoleon wcale temu nie wierzył, lecz postanowił zawsze próbować i 25 Marca 1815 roku *Monitor* ogłosił zniesienie cenzury.

Chcąc przyjąć wielkie ciała państwa, Napoleon nie mógł zaliczyć do nich obudwóch izb, które rozwiązał postanowieniem wydaném w Lyonie. Zastąpił je przez ministrów zebranych w jednę całość (co im dodawało ważności, jakiej nigdy nie mieli), przez radę stanu, sąd apellacyjny i t. p. Książę Cambacérès zabierając głos w imieniu ministrów, w imieniu ich przyjął wszelkie zobowiązania, jakie były wymagane ze strony stróżów władzy wykonawczej. Po złożeniu pozdrowień władzcy, którego Opatrzność po dwakroć zesłała, raz dla wyrwania Francji z anarchji, a drugi dla ocalenia jej od kontrrewolucji, książę Cambacérès następnie określił znaczenie władzy wykonawczej.— *Już Wasza Cesarska Mość nakreśliła swym ministrom drogę, której się trzymać mają; już dała ją poznać wszystkim ludom przez ogłoszenie zasad, wedle których żąda, aby jego państwo było rządzoném.* Burboni przyrzekli wszystko zapomnieć i nie dotrzymali słowa. Wasza Cesarska Mość dotrzyma swego, puści w niepamięć gwałtowności stronnictw *i przypominać sobie będzie tylko usługi oddane ojczyźnie.* Wasza Cesarska Mość *zapomni także, że byliśmy panami świata* i prowadzić będzie wojnę tylko dla odparcia niesprawiedliwego napadu. Wasza Cesarska Mość nie chce już żadnej samowoli, chce poszanowania osób, poszanowania własności, wolnego objawu myśli, a my będziemy wspierać cię Najjaśniejszy panie w spełnieniu tego zadania, które stanie mu się słodszém i pożyteczniejszém od wszystkich sław świata.

W oczekiwaniu na danie rękojmi i to zupełnie pewnej ustawie państwa, nie można wymagać od rządu lepszego przemówienia.—*Uczucia*,

które wyraziliście. są mojemi, odpowiedział Napoleon, a następnie dał posłuchanie radzie stanu.

Zgromodzenie to postanowiło wyłożyć zasady, na mocy których Napoleon rozpoczął panowanie i na mocy których zarówno rada stanu nie wahała się przyjąć obowiązków, jak gdyby nic nie zaszło pomiędzy Kwietniem 1814 a Marcem 1815 roku.

Oto jakie były dowodzenia rady stanu.

Francja w 1789 roku obaliła monarchję feodalną i w miejsce niej postawiła monarchję reprezentacyjną, opartą na równości praw i słusznego współudziału obywateli w rządzie państwa.

Burboni w roku 1790 udawali, że się poddają nowym zasadom ogłoszonym przez naród, a wkrótce swym podziemnym oporem wywołali i zarobili na swój upadek, potwierdzony przez szereg postanowień narodowych.

W roku VIII i X, po długiém i strasznem wzburzeniu, Francja powierzała swe rządy Napoleonowi Bonaparte, *już ukoronowanemu przez zwycięztwo*, i oddała mu swe losy pod następującemi po sobie tytułami: pierwszego konsula i cesarza. Lud swemi głosami po dwakroć zatwierdził powierzoną mu najwyższą władzę.

W roku 1814, mocarstwa sprzymierzone korzystając z chwilowych niepowodzeń, weszły do naszej stolicy; senat zaś, obowiązany do bronienia, wydał ją mocarstwom, a wsparty na zagranicy obalił cesarstwo i powołał na tron Ludwika Stanisława Ksawerego. Postępując podobnie, zgromadzenie to zrobiło to, do uczynienia czego nie miało prawa. Z czynem tym jednak połączył wyraźny warunek, to jest uchwałę ustawy, któraby stała na straży praw narodu, a którą monarcha winien był zatwierdzić przed swém na tron wstąpieniem.

Ludwik XVIII nie zważał nawet na ten zasadniczy warunek, gdyż wszedłszy do Paryża pod zasłoną bagnetów cudzoziemskich, na wychodzących od niego rozporządzeniach kładł datę dziewiętnastego roku swego panowania, a tym sposobem oznajmił, że uważa za żadne wszelkie dawniejsze postanowienia narodu. Nadał ustawę niedokładną, a która w wykonaniu jeszcze niedokładniejszą się stała, poniżył sławę Francji, wspierał zachcianki starej szlachty, postawił w wątpliwość własność tak zwaną narodową, pozbawił Legję honorową swego uposażenia, zdeptał tę oznakę przez zbytnie jej rozsiewanie, jedném słowem postawił w stanie niebezpieczeństwa wszystko to, co zostało uświęconém przez rewolucją.

Wszystko zatem, co tylko się stało od roku 1814, uważać należy za żadne w zasadzie i za szkodliwe w wykonaniu, gdyż senat nie miał

prawa do obalenia cesarstwa, a przypuszczając nawet gdyby je miał, to zawsze Ludwik XVIII nie dopełnił warunków, jakie mu postawiono przy wstępowaniu na tron. Nakoniec, postępowanie tego rządu emigrantów, odpowiadało zupełnie nieprawnemu swemu pochodzeniu.

Napoleon powracając cudownie ze swego wygnania i przyjęty w swém przejściu okrzykami wojska i ludu, *powrócił narodowi jego najświętsze prawa*, jako władzca prawy, gdyż tylko władza pochodząca z woli ludu prawą być może.

Jednakże czas i głosy Francji wskazywały konieczność wprowadzenia zmian do ustawy pierwszego cesarstwa. Napoleon zobowiązał się zaprowadzić te zmiany. Zobowiązania tego dotrzyma i każe zatwierdzić przyrzeczone zmiany na wielkiém zgromadzeniu reprezentantów narodu, naznaczoném na miesiąc Maj. W oczekiwaniu na zebranie się tego zgromadzenia, Napoleon powinien sprawować władzę wedle praw obecnie obowiązujących, a rada stanu, upoważniona niegdyś przez niego do czuwania nad stosowaniem tychże praw, wesprze go prawém i konstytucyjném współdziałaniem.

Loiczne to dowodzenie, tak ściśnięte i sztuczne, na które nie było prawie nic do odpowiedzenia, jeżeliby prawność rządów zależała od pewnych warunków pochodzenia, a nie od formy i postępowania, było skreślone piórem p. Thibaudeau, niegdyś konwencjonisty, a następnie prefekta. Wszystkie bowiem rządy wychodzą z wypadków rewolucyjnych i bardzo trudną jest rzeczą oznaczyć, jakim szczególnym znakom zawdzięczają one swe prawe pochodzenie. Już to one powstają ze wzburzenia ludowego, już ze zwycięztwa, już nawet z klęski, a niekiedy z powrotu przestającego się łudzić narodu, do starej dynastji, która wzbudziła dla siebie współczucie, skutkiem wspólnych z narodem nieszczęść. Za każdym razem koniecznością nałożone te rządy trzeba znosić, za każdym razem dowodzą one, że są prawe, opierając się na teorjach przyjmowanych przez jednych, zaprzeczanych przez drugich, o które świat wiecznie rozprawiać się będzie. Bez zaprzeczania tego, co mają godnego poszanowania, wspaniałego, trwałego, prawa oparte na długiém dziedziczném przechodzeniu władzy, powiemy jednak, że dla ludzi obdarzonych prostym a zdrowym zmysłem, rząd konieczny przy swém wystąpieniu, staje się prawym z ubiegiem czasu, gdy naród, dla dobra którego tenże rząd stanął, uznając formę jego za odpowiednią dla swych obyczajów i stopnia oświaty, a postępowanie zgodne ze swemi interessami, utrzymuje go przyzwoleniem obmyślaném i trwałém. Taka to prawowitość, jeżeli nie dogmatyczna, to przynajmniej praktyczna, ze wszystkich jest najprawdziwszą, gdyż każdy rząd, chociażby został

ogłoszony przez naród cały, przez mężczyzn, kobiety, starców i dzieci, głosujących u merów i notarjuszy, albo też choćby nawet wiódł swój początek z góry Synai i panował bez przerwy, utraca słuszność do nazywania się prawym, jeżeli narazi wiarę, obyczaje, honor i interesa narodu. Po czynach jedynie ocenia się prawowowitość rządu. Wszystko po za tém jest tylko sztucznem i czczém rozumowaniem. Lecz Ludwik XVIII-ty datując swe rozporządzenia dziewiętnastym rokiem panowania, nie mógł znaleść lepszej odpowiedzi nad pokazanie mu wszechwładztwa ludu, dowiedzionego u merów i notarjuszy, przez napisanie *tak* albo *nie* w zasługujących na wzgardę rejestrach. Jedno warte drugiego.

Napoleon oceniał wartość tych teorji, lecz pozwolił powodować się loiką konwencji, dla odpowiedzenia na loikę rojalistów i odpowiedział słowami następnemi:

»Książęta są pierwszymi obywatelami w państwie. Władza ich jest mniej lub więcej rozległą, a to stosownie do interesów narodu, którym rządzą. Władza najwyższa wówczas jest tylko dziedziczną, gdy interes ludów tego wymaga. Poza obrębem tych zasad nie znam żadnej prawowitości."

«Porzuciłem myśl wielkiego cesarstwa, którego od lat piętnastu zaledwie podwaliny założyłem. Odtąd szczęście i ustalenie cesarstwa francuzkiego będą jedynym przedmiotem mych myśli."

W tych wszystkich objawach miało tylko prawdziwą wartość stanowcze odstąpienie od zasad wojowniczego i zdobywczego cesarstwa, zrzeczenie się władzy samowładnej, przyrzeczenie ścisłego trzymania się prawności i zobowiązanie się do nadania ustawy, która da rękojmię wolności i dobremu zarządzaniu sprawami państwa. Zobowiązań tych Napoleon postanowił dotrzymać jak tylko można najśpieszniej, przynajmniej dla własnego usprawiedliwienia, że naraził Francję na nowy przewrot, lecz bardzo prostą było rzeczą, że dopiero od dni sześciu znajdując się w Paryżu, nic jeszcze nie mógł w tym celu zrobić, gdyż ujęcie steru państwa, zawiązanie pierwszych stosunków z zagranicą, przygotowania do organizacji wojska, wypchnięcie z ziemi francuzkiej książąt swych przeciwników, cały ten czas mu pochłonęło. Ostatnie to zadanie nie było nawet zupełnie ukończoném, gdyż pozostawało jeszcze oczyszczenie południa od pozostałych rojalistów; zajmowano się jednak tém czynnie i na stanowczy skutek dni tylko potrzeba było oczekiwać.

Przywrócenie władzy cesarskiej rzeczywiście nie znajdowało nigdzie żadnej większej przeszkody, pomimo kilku poruszeń żywych, ale umiejscowionych i przechodnich. Na zachodzie przywódzcy wandejscy, ogłuszeni nowym upadkiem tronu Burbonów, nie ośmielali się na nakre-

ślenie jakiegokolwiek planu, w obec zniechęcenia wieśniaków i radości miast, a nadewszystko pamiętając z jakim to nieprzyjacielem mają mieć do czynienia, który, stosownie do ich postąpienia, może się stać albo dobroczynnym, albo też strasznym. Kilku szuanów z rzemiosła, kilku wieśniaków bretońskich i wandejskich nieodstępnych wyznawców starej swej wiary, stało w gotowości do rozpoczęcia działań; lecz ich dowódzcy bez wsparcia Anglji, bez jej pieniędzy i amunicji, nadewszystko bez wybuchnięcia powszechnej wojny, nie byli usposobieni do wznawiania wojny domowej.

W takim przeto stanie rzeczy jenerał Morand nie spotkał się w Wandei z żadną trudnością, i rozkazawszy zatknąć trójkolorową chorągiew na obu brzegach Loary, przygotował się do śpieszenia na pomoc jencrałowi Clausel, który nawet tego nie potrzebował. Ten ostatni zgromadziwszy w Angoulême kilka oddziałów gwardji narodowej i żandarmerji, udał się ku Dordogne, wysławszy oficera pewnego z wezwaniem do załogi w Blaye, aby się z nim połączyła. Załoga ta składała się z kilku kompanji 62-go pułku, który miał swą główną kwaterę w Bordeaux. Pośpieszyła ona z przystąpieniem do wypadków zaszłych w Paryżu i wysłała oddział ze 150 ludzi złożony, który połączył się w Cubzac z jenerałem Clausel. Znakomity ten jenerał przybył więc na brzegi rzeki Dordogne, mając pod rozkazami setkę żandarmów, 150 ludzi 62-go pułku i 300 czy 400 gwardzistów narodowych. Ponieważ most w Cubzac został przecięty, przeto jenerał zatrzymał się na prawym brzegu rzeki, a ochotnicy z Bordeaux zajmowali brzeg lewy. Po kilku niecelnych działowych wystrzałach, urządził przewóz za pomocą zabranych tu i owdzie statków i rozpoczął rokowania z naczelnikiem Bordolanów, którzy śpieszyli się z opuszczeniem kraju pomiędzy dwoma morzami (tak nazywano okolicę pomiędzy rzeką Dordogne a Gironde). Naczelnikiem ochotników bordolańskich był p. de Martignac, późniejszy minister Karola X-go, który był kochany przez współczesne pokolenie dla umiarkowanego charakteru i wdzięku słowa. Jenerał Clausel uwiadomił go o wypadkach zaszłych w Paryżu, które usiłowano utaić w Bordeaux, aby przedłużyć złudzenie i opór ludności. Jenerał bez trudności dowiódł p. de Martignac, że żaden ważniejszy opór jest niemożebnym i może tylko sprowadzić klęski na miasto wielkie i zajmujące. P. de Martignac przyrzekł udać się do Bordeaux, ponieść tam wiadomości udzielone przez jenerała i przynieść wkrótce odpowiedź nakazaną przez konieczność. Jenerał postępował tuż za p. de Martignac, rozłożył swój mały oddział obozem w Bastide, na prawym brzegu rzeki Gironde, naprzeciw i powyżej Bordeaux.

W tej chwili panowało w tém mieście największe zamieszanie. Pan de Vitrolles w przejeździe swym przez Bordeaux do Tuluzy, pozostawił tu rozporządzenia Ludwika XVIII i swe własne rady. Pierwszym zamiarem rojalistów miała być obrona brzegów Loary od Nantes aż do Owernji, korzystać z położenia górzystego, jakie zajmuje środek Francji pomiędzy Owernją a Cewennami, dla utrzymania się tutaj, a nadto zachować obadwa brzegi Rodanu aż do Arles, Marsylji i Tulonu. Pisali do Anglików z żądaniem broni i pieniędzy, a do Ferdynanda V-go prosząc o żołnierzy hiszpańskich. W nierozłącznem tém odniesieniu się do cudzoziemców, porty francuzkie stojąc otworem dla pawilonu brytyjskiego i białego, mogły spowodować powtórzenie się podobnych wypadków, jak w 1793 roku w Tulonie. Lecz namiętności i potrzeba nie rozumują nigdy, nadewszystko gdy duch stronniczy chce łudzić się patrjotyzmem. Wszystkie te przecież zamiary nie przeszkodziły utraceniu Loary, po której opuszczeniu postanowiono strzedz linji Garonny, przedłużonej kanałem południowym aż do Rodanu, to jest miast Bordeaux, Tuluzę, Nimes, Marsylję i Tulon. Mówiono nawet z nadzieją o powodzeniach księcia d'Angoulême nad brzegami Rodanu.

Linja Garonny pozostawała dotąd przy rojalistach, księżna d'Angoulême przykładała wszelkich starań, aby jej nie utracić. P. Lainé, który znajdował się obecnie przy księżnej, wspierał ją jak mógł najlepiej. Bez wątpienia byłoby do pożądania, aby poprzednio w Paryżu udało się było p. Lainé oświecić Burbonów i aby tym środkiem uprzedzoną została rewolucja 20 Marca, która tylko straszne klęski sprowadzić mogła. Lecz gdy Napoleon powtórnie tron opanował i gdy skutkiem tego ostatnia i największa walka z Europą stała się nieuniknioną, najrozsądniejszą i najpatrjotyczniejszą było rzeczą łączyć się z nim jak można najspieszniej, aby dowolnie mógł rozrządzać wszystkiemi siłami narodowemi. Kilka osób z pomiędzy ludności rozsądnej i przenikliwej w Bordeaux pojęło tę prawdę, ale ogół, rozdrażniony dwudziesto-letniemi cierpieniami, zrozpaczony ponownem zamknięciem się mórz dla miasta, z przekonania i interesu podzielał zasady księżny d'Angoulême i chciał ją podtrzymywać ceną krwi swojej. W podobném położeniu wszystko zależało od tego, jak wojska postąpić zechcą. Wojska te składały się z 62-go pułku linjowego i 8-go lekkiego, a postawa ich była zupełnie podobną do usposobienia załogi w Lille, to jest, że okazywały dla dostojnej córki Ludwika XVI głęboki szacunek, bez ukrywania, iż serca biły tylko dla Napoleona.

Skoro p. de Martignac przyniósł do Bordeaux wiadomość o przybyciu jenerała Clausel i objawił jego żądania, przemówiono do żołnierzy:

księżna d'Angoulême sama w tém udział wzięła, a ztąd odpowiedź wojskowych była choć trochę zadawalniająca. Oświadczyli oni jednomyślnie, że nie ścierpią, aby w czémkolwiek ubliżono księżnie, ale też, że nie będą strzelać do jenerała Clausel i nie pozwolą, aby ktokolwiek strzelał do niego. Po podobném oświadczeniu nie pozostawało nic nad wyjazd, a było to także zdaniem wszystkich rozsądnych ludzi służących w gwardji narodowej. Zapalona zaś część ludności, zaciągnięta do szeregów ochotniczych, była przeciwnego zdania, chcąc stawić opór, lecz nie umiała ona dostać na polu, gdy zmuszoną została do ucieczki po kilku niecelnych wystrzałach.

P. de Martignac powrócił więc do jenerała Clausel z zapewnieniem bliskiego poddania miasta, jeżeli nie będzie się uprzedzać wypadków i jeżeli pozostawi się czas księżnej d'Angoulême do wyjazdu. Jenerał Clausel oceniając to położenie, przyrzekł pozostać nieruchomym w Bastide i oczekiwać, dopóki rozsądek nie weźmie góry nad namiętnością.

Dnia 1 Kwietnia zajmował prawy brzeg Girondy, i z miejsca na którém się znajdował, s pokojnie się przyglądał zamieszaniu panującemu w Bordeaux. Naprost niego, naprzeciw brzegu rzeki stała pod bronią gwardja narodowa, mając przy sobie kompanję ochotników. Rozeszła się już była wieść, że księżna d'Angoulême opuściła miasto, czém zrozpaczeni ochotnicy przypisywali ten wyjazd gwardji narodowej, a szczególniéj niektórym bataljonom, mającym opinję umiarkowanych. Wkrótce nastąpiło starcie: poważany oficer gwardji narodowej został zabity, a wówczas gwardja oburzona na gwałty ochotników, oświadczyła się niespodzianie za natychmiastowém poddaniem miasta. Po wejściu na statek księżny d'Angoulême, jenerał Clausel, któremu oddano most na rzece, wszedł do Bordeaux, i bez używania surowości, cicho i spokojnie przywrócił tutaj rządy cesarskie.

W Tuluzie p. de Vitrolles usiłował, jak tośmy mówili, ustalić rządy królewskie, które miały tworzyć węzeł pomiędzy Bordeaux, gdzie działała księżna d'Angoulême, a Marsylją, gdzie książę d'Angoulême gotował się do zaczepnych kroków. P. de Vitrolles nakazał pobór podatków i ludzi, formował bataljony ochotników i na dowódzcę tak tych ochotników jak i niektórych zatrzymanych oddziałów wojska, powołał marszałka Pérignon, który mieszkając w Langwedocji, nie miał ani lat, ani charakteru odpowiedniego, dla stania się pożytecznym sprawie królewskiej. Do wszystkich tych środków p. de Vitrolles dodał nadto założenie *Monitora*, w którym starano się zaprzeczać wszystkim pomyślnym dla sprawy cesarstwa wiadomościom, a natomiast szerzyć takie, które były przyjazne dla przywrócenia Burbonów.

Mały ten tuluzki rządzik przedsiębrał czasami z powodzeniem a częściej bezskutecznie, wyprawy na sąsiednie miasta, które, stosownie do otrzymanych poleceń z Paryża, zatknęły trójkolorową chorągiew. Opierał on swoje utrzymanie się w tych okolicach na pomocy hiszpańskiej, lecz otrzymał od p. de Laval z Madrytu zawiadomienie, że Ferdynand VII, jakkolwiek najlepiej jest usposobionym dla domu Burbonów, to przecież sam jest w takich kłopotach, iż nie ma do rozporządzenia ani jednego pułku. Nadeszła wkrótce wiadomość o wejściu jenerała Clausel do Bordeaux, położyła koniec tym działaniom rojalistów, w celu połączenia Bordeaux z Marsylją. Jenerał bowiem Delaborde, ten sam który niegdyś tak świetnie pobił Anglików w Hiszpanji, znajdował się w Tuluzie i czekał tylko na stosowną chwilę do rozwinięcia chorągwi cesarskiej. Jenerał Charton nadesłał mu przez ministra wojny nadzwyczajne pełnomocnictwo i rozkaz zemszczenia tego widziadła rojalistowskiego, które poruszało bezpotrzebnie okolicę. Znajdowały się w Tuluzie resztki 3-go pułku artyllerji, który prawie cały skierowano ku Nimes, pod rozkazy księcia d'Angoulême. Jedna kompanja tegoż pułku podejrzana o brak wierności, zwróconą została do Tuluzy. Jenerał Delaborde korzystał z okoliczności, zetknął kilku oficerów na pół żołdzie z tą kompanją, przedstawił jej potrzebę przypięcia trójkolorowej kokardy, nakoniec sam stając na jej czele, w imieniu cesarza aresztował marszałka Pérignon i p. de Vitrolles, pozwolił marszałkowi wyjechać do swych dóbr, a pozostawił p. de Vitrolles w więzieniu, oczekując co rząd wyrzecze o jego losie. Mała ta rewolucja, dokonana dnia 4 Kwietnia, która ani jednej kropli krwi nie kosztowała, sprowadziła za sobą rozwinięcie chorągwi trójkolorowej na całej długości Pirenejów, od Bayonny aż do Perpignan.

Pozostawała jeszcze Prowancja i oba brzegi Rodanu aż do Valence, które książę d'Angoulême usiłował shołdować pod swą władzę gdzie zdawał się otrzymywać niejakie powodzenia.

Książę ten po zwiedzeniu Marsylji i Tulonu, przybył do Nimes i obecnością swą rozbudził rojalizm południowy, który bezwątpienia nie potrzebował nawet bodźca. Marszałek Massena pozwalał mu działać, ograniczając się na zachowaniu spokojności aż do chwili, w której duch stronniczy zagroziłby bezpieczeństwu francuzkich portów; dał pod rozkazy księcia część wojska i stanął bacznie na straży Tulonu i Marsylji przeciw możliwemu zamachowi Anglików. Bezpieczeństwo Tulonu powierzył 69-mu i 82-mu pułkom linjowym, a sprowadził do Marsylji 16-ty dla utrzymania porządku, co nie było łatwém w pośród roznamiętnionej ludności.

Ze swej strony książę d'Angoulême wyruszywszy z Nîmes, poszedł w górę Rodanu, skierowawszy przez kotlinę rzeki Durame drugą kolumnę, która przez Sisteron i Gap powinna była podstąpić pod Grenoblę. Zamiarem księcia było, jeżeliby mu się powiodło w kotlinie Rodanu zajęcie Montélimart, Valence i Vienne, a w Alpach Gap i Grenoblę, połączyć na drodze do Lyonu obie swe kolumny, opanować tę stolicę południa i na tyłach Napoleona wznieść białą chorągiew, która została obaloną. Plan ten, nakreślony przez jenerałów Ernouf i d'Aultanne, którzy pozostali wierni sprawie królewskiej, grzeszył tylko środkami wykonania. Czyż można było liczyć na wierność wojsk, a w braku tychże, czyż można było przypuszczać, że zapaloną ludnością południa zwycięży się ludy Delfinatu, Lyonnais, Owernji, które choć mniej zapalczywe jak południowe, ale które niemniej gorąco oświadczyły się za cesarstwem i niemniej też były odważne? Na tém to opierało się całe pytanie, które mogło być tylko rozwiązane czynem, czyli próbą nakreślonej wyprawy. Z tej strony zarówno liczono na pomoc zagraniczną i książę d'Angoulême wysłał do króla Sardyńskiego zaufanego oficera, prosząc go o kilka tysięcy Piemontczyków.

Książę d'Angoulême miał pod swemi rozkazami 58-my i 83-ci pułki linjowe, wysłane w pierwszej chwili w pogoń za Napoleonem i pozostałe dotąd w kotlinie rzeki Durance, oraz 10-ty linjowy i 14-ty strzelców konnych: te dwa ostatnie sprowadzone zostały z Langwedocji. Pułk 10-ty linjowy, dowodzony przez p. d'Ambrugeac, nazywał się pułkiem pułkownika jeneralnego, miał na swém czele wielu oficerów pewnych chociaż żywił w głębi serca podobne jak całe wojsko uczucia, to przecież ich nie zdawał się podzielać, gdyż trzymany był ciągle w kole przeciwnych usposobień. Obecność księcia i otoczenie ochotnikami popchnęło go na drogę, która nie była jego. Pułk 14-ty strzelców konnych szedł, lecz nieco oziębłej, za danym popędem. Do wojsk tych dołączono oddział 3-go pułku artyllerji, którego jedna kompanja dokonała rewolucji w Tuluzie, i wzmocniono je gromadami ochotników, dostarczonych przez Nîmes, Avignon, Arles, Aix i Beaucaire. Ponieważ nie ufano pułkom linjowym, choćby one najlepiej z pozoru były usposobione, przeto starano się je osłabić, rozproszyć nawet, dając po sześćdziesiąt franków każdemu żołnierzowi, któryby chciał przejść w szeregi ochotników królewskich. Znaleziono chętnych pewną liczbę pomiędzy takimi, którzy od piętnastu lub dwudziestu lat wyszedłszy ze swych okolic, stali się w pewnym rodzaju jurgeltnikami, gotowymi do służenia wszystkim sprawom, z wyjątkiem jedynie cudzoziemcom. Pochlebiano sobie, że ci zaprawni żołnierze nadadzą szeregom ochotników wojowni-

czą postawę, na której im zbywało, lecz nie z powodu odwagi, ale skutkiem braku doświadczenia w rzemiośle żołnierskiém.

Wykonaniu tego planu jenerał Ernouf poruszył 58-my i 83-ci pułki piechoty linjowej, pozostawione nad brzegami rzeki Durance i zamierzył wyprawę, w której idąc w górę tej rzeki, powinien był wyjść na Grenoblę. Dodano mu także oddział ochotników. Książę d'Angoulême z 10-ym linjowym, 14-ym strzelców, z 400 ludźmi pierwszego pułku cudzoziemskiego i oddziałem ochotników, co wynosiło około pięć tysięcy ludzi, podjął się wyprawy głównej, która powinna była pójść w górę Rodanu i opanować z kolei Montélimart, Valence i Vienne. Jenerał Ernouf zapewniał, że nie da na siebie czekać i że dojdzie do Grenobli zarówno śpiesznie jak książę do Vienne.

Dnia 28 Marca książę d'Angoulême opanował most Saint-Esprit, pozostawił na nim oddział i 29 wszedł do Montélimart. Usposobienie ludności nad Rodanem niższym było czysto rojalistowskie, które w miarę posuwania się w górę tej rzeki stopniowo zamieniało się w zapał dla cesarza; lecz że przytem ludność wszędzie podzieloną była na stronnictwa, przeto w każdém mieście mniejszość była zdolną w razie potrzeby do podniesienia głośnych okrzyków. Książę d'Angoulême będąc dobrze przyjęty w Montélimart, postanowił zapewnić tu sobie pobyt stały, a ztąd rozkazał zdobyć most na rzece Drôme.

Na pierwszą wiadomość o tych działaniach, władze Delfinatu i Lyonnais zebrały z pośpiechem wszystkie, jakie tylko znajdowały się tutaj siły, które zresztą były bardzo drobne, gdyż prawie wszystkie wojska udały się za Napoleonem do Paryża. Nie mogły więc one nic innego wystawić nad gwardje narodowe, które pomimo wielkiej gorliwości, nie mogły przecież stawić czoła wojskom linjowym. Jenerał Debelle wyszedłszy z Valence na czele oddziału gwardji narodowej, usiłował utrzymać się poza rzeką Drôme, lecz pomimo najlepszych chęci odparty został przez hrabiego Amedeusza d'Escars, który, oprócz oddziału 10-go pułku linjowego, miał pod rozkazami szeregi ochotnicze zmieszane ze starym żołnierzem. Jenerał Debelle zmuszony więc do cofnięcia się za Drôme, zamierzył przynajmniej utrzymać jej brzegi i w tym celu postanowił bronić mostu Loriol.

Książę d'Angoulême sam w sobie mając zaufanie, zamierzył popchnąć swe siły z Montélimart ku Valence. Parę dni zabawił w Montélimart dla urządzenia kraju w swoich widokach i 2 Kwietnia postanowił zdobyć przejście przez Drômę. Jenerał Debelle wysłał do mostu Loriol dowódzcę bataljonu artyllerji Noël, dzielnego człowieka, który zgodził się na przyjęcie służby dopiero po rozwiązaniu jego przysięgi

przez wyjazd Ludwika XVIII. Dał mu pod rozkazy 300 ludzi 39-go linjowego pułku, pół szwadronu gwardji honorowej i 400 gwardji narodowej z okolic. Dowódzca bataljonu Noël postawił na moście swe działa, postawiwszy w assekuracji oddział 39-go pułku, a resztę swych sił rozsypał wzdłuż rzeki, w zamiarze bronienia wybrzeży na prawo i lewo Boriol. Na stanowisku tém trzymał się czas jakiś i mógł był powstrzymać rojalistów, gdyby nie dziwna okoliczność, która w swym czasie na różne sposoby była tłómaczoną. Ze strony cesarskiej liczono wiele na odstępstwo 10-go linjowego i 14-go pułku strzelców konnych, z gotowością otworzenia im ramion za pierwszym danym znakiem. Rzeczywiście kilku żołnierzy 10-go pułku sądząc, że już nadszedł czas oświadczenia swych uczuć, opuścili swój pułk i rzucili się ku mostowi, z podniesioną do góry kolbą broni. Przyjęto ich po bratersku i mniemano, iż można będzie postąpić podobnież z wojskami, które za nimi postępowały. Lecz dwie kompanje 10-go pułku utrzymane w ryzie przez oficerów, dały ognia, a następnie z bagnetem w ręku uderzyły na most. Żołnierze 39-go pułku tak podchwyceni, cofnęli się w nieporządku, oskarżając o zdradę. Wypadek ten sprawił, że rojaliści opanowali bieg rzeki Drôme i nazajutrz, 3 Kwietnia, weszli do Valence z księciem d'Angoulême na czele, w pośród okrzyków stronnictwa rojalistów.

Książę d'Angoulême podobnie postąpił w Valence jak w Montélimart: zatrzymał się tu 4 i 5 Kwietnia dla wybrania urzędników z pomiędzy ludzi poświęconych sprawie Burbonów i dla oczekiwania na wiadomości od kolumny, która przez Sisteron i Gap postępowała ku Grenobli, w zamiarze jej opanowania. Powodzenie jej jednak nie wyrównywało odnoszonym korzyściom przez kolumnę główną.

Jenerał Ernouf, postępując tą samą drogą, którą poprzednio Napoleon podążał do Grenobli, miał do przebycia, przy przerzuceniu się z kotliny rzeki Durance w kotlinę rzeki Isère, wąwozy Saint-Bonnet, tworzące wązkie a długie przejście, w którém kolumna z wyspy Elby powinna była być powstrzymaną. Dla uniknięcia tego niebezpieczeństwa, jenerał postanowił opanować przejście w dwóch na raz punktach. Pułk 58-my linjowy i oddział rojalistów pod dowództwem jenerała Gardanne, miały iść prostą drogą ku Gap, następnie zwinąć się w lewo i wpakować w wąwóz Saint-Bonnet, gdy jednocześnie 83-ci linjowy pod jenerałem Loverdo powinien był opuścić wielką drogę poprzednio, i przez wąwóz poboczny, dotykający przez Serres i Mens do La Mure, okrążyć i z tyłu uderzyć na stanowisko nieprzyjaciela w wąwozie Saint-Bonnet.

Plan ten z całą dokładnością był wykonywany i obadwa oddziały

dążyły do wskazanych im punktów, wówczas gdy książę d'Angoulême zbliżał się do Montélimart. Jenerał Gardanne, były gubernator paziów za cesarstwa, z niechęcią służył sprawie królewskiej i pozostał przy niej dla tego tylko, że obawiał się gniewu Napoleona za swe nieloiczne postępowanie, jakiego się trzymał od 1814 roku. Znajdował się już w bliskości Gap z wojskami zarówno jak on niezadowolonemi, lecz daleko mniej wahającemi się i oczekującemi tylko na stosowną porę do zrobienia odmiany frontu. W drodze spotkały one mera z Gap, który po przyjacielsku ofiarował im żywność i zarazem okazał zadziwienie, że widzi je stawiające opór cesarstwu, co przedstawiał za rzecz krzywą i zupełnie bezużyteczną. Żołnierze słuchali tych słów z uśmiechem, spoglądając na się i zapytując oczami, czyby już nie był czas ustąpić przed ożywiającemi ich uczuciami. Objawy jednak otaczających ich mieszkańców nie były dosyć zachęcającemi do stanowczego wystąpienia.

Nazajutrz zapuścili się oni w wąwóz Saint-Bonnet i podobnie jak dnia wczorajszego spotkali na drodze merów i mieszkańców z okolicy, przynoszących im obficie żywności i z całej siły krzyczących: *Niech żyje cesarz!* Na widok ten nie mogli się już dłużej powstrzymać, wyjęli ukryte w tornistrach trójkolorowe kokardy, przypięli je do kaszkietów i oświadczyli się za Napoleonem. Przybyły tutaj jenerał Chabert upewnił jenerała Gardanne, że każdemu udzieloném zostało zupełne zapomnienie przeszłości i skłonił go do pójścia za popędem wojska. Pozwolono odejść ochotnikom królewskim bez wyrządzenia im żadnej krzywdy i zwrócili się oni z kilkoma oficerami na drogę ku Sisteron.

Podczas gdy oddział jenerała Gardanne postąpił w ten sposób, nie inaczej zrobił i oddział zostający pod rozkazami jenerała Loverdo. W dniach 28, 29 i 30 Marca jenerał Loverdo przeszedł przez Serres i Saint-Maurice i był już bliskim ukazania się w La Mure, na tyłach jenerała Chabert, działającego przeciw jenerałowi Gardanne. Tutaj dowiedział się o postąpieniu 58-go pułku, a przytem spotkał już jenerałów Gardanne i Chabert, którzy zasłaniali przeznaczone mu do zajęcia stanowiska. W pierwszych dniach po dokonaném wylądowaniu w zatoce Juan, jenerał Loverdo ustępując osobistemu swemu usposobieniu, zamyślał o połączeniu się z Napoleonem. Postawiony jednak w samém ognisku namiętnego rojalizmu, do tego stopnia powikłał się ze stronnikami Burbonów, że trudno mu było wycofać się z honorem. Pozostał więc wiernym sprawie, z którą się związał skutkiem okoliczności, i pomimo iż skłonnym był do ustąpienia wezwaniu jenerałów Chabert i Gardanne, zwrócił się naząd, prowadząc za sobą 83-ci pułk piechoty, bardzo niezadowolony postępkiem jenerała. Zaledwie jednak przybył

do Sisteron, gdy pułk ten, który z wielką niechęcią szedł za rozkazami swego dowódzcy, odstąpił go w zupełności i pośpieszył na drogę do Grenobli połączyć się z jenerałem Chabert. Oba te pułki znakomitemi były posiłkami dla stronników cesarstwa w tych stronach i poprowadzone też zostały na stawienie oporu księciu d'Angoulême, pomiędzy Vienne, a Valence.

Jednocześnie z tak ważną odmianą frontu tej kolumny, która w miejsce opanowania Grenobli, pośpieszyła zastąpić drogę od Lyonu księciu d'Angoulême, na tyłach jego daleko jeszcze większej wagi zaszły wypadki. W Langwedocji książę pozostawił mieszkańców w gorączkowém usposobieniu, jednych dla sprawy królewskiej, a drugich dla rewolucji i cesarstwa. Wiadomości z Paryża, początkowo zaprzeczane, rozeszły się w krótce jako zupełnie pewne i natchnęły stronników cesarstwa tak nadzieją, jak i niecierpliwością tryumfu. Jenerał Gilly, wygnany do Remoulins w okolicach Nimes, z wielu oficerami na pół żołdzie, czekał tylko na przyjazną do powstania sposobność. Wsparty przez swych starych towarzyszy broni, przybył do Nimes, wszedł w stosunki z 63-im pułkiem piechoty i 10-ym strzelców konnych, pozostawione w tém mieście przez księcia d'Angoulême i skłonił je do przypięcia trójkolorowej kokardy. Przedsiewzięcie to nie było trudném do wykonania, gdyż rojaliści nie mieli żadnej siły do stawienia oporu podobnemu ruchowi, a zresztą gdy ludność protestancka z radością poszła za przykładem danym przez wojsko, dokonanie rewolucji w Nimes było dziełem jednej chwili. Jenerał Gilly stanąwszy wówczas na czele 63-go pułku piechoty i 10-go strzelców konnych, pobiegł do mostu Saint-Esprit i wydarł go oddziałowi ochotników królewskich, pozostawionych na jego straży. Tym sposobem zrobiło się na tyłach księcia d'Angoulême to samo, co on zamierzał uczynić na tyłach Napoleona, to jest, że niszczone zostało jego dzieło, w miarę jak się oddalał.

Opuszczony na prawém skrzydle przez wojska przeznaczone na zajęcie Grenobli, zagrożony na tyłach przez wojska pozostawione w Nimes, książę d'Angoulême miał tylko jedną do ocalenia się możność, jeżeliby i ta nawet była prawdopodobną, iść naprzód i zdobyć bramy Lyonu. Lecz w miejsce otwierania, zamykały się mu wszystkie przejścia. Jenerał Grouchy przybywszy 3 Kwietnia do Lyonu, zastał mieszkańców w najwyższym stopniu wzruszenia. Skoro bowiem dowiedziano się w Lyonnais, Franche-Comté i Owernji, że Marsylczycy idą na Lyon w towarzystwie południowych mieszkańców, ogromne powstało poruszenie. Pomimo zazdrości, jaką budzili mieszkańcy południowi, istniały tu jeszcze przeciw nim wielkie uprzedzenia w całej kotlinie górnego Ro-

danu. Przypisywano im bowiem fanatyzm, okrucieństwo, łupieztwo i z trochą prawdy łączono wiele oszczerstwa. Zawsze nie można zaprzeczyć temu, że ich zarówno nienawidzono jak obawiano się. To też ludność w promieniu trzydziesto-milowém (lieu) do koła Lyonu wystawiała liczne kompanje gwardji narodowej i słała je na obronę tego miasta. Sam Lyon dostarczył więcej niż sześć tysięcy ludzi, a przynajmniej trzydzieści tysięcy śpieszyło mu na pomoc z okolic. Cały prawie Delfinat gotował się do uderzenia na Vienne i Valence.

Jenerał Grouchy wysłał gwardje narodowe lyońskie do Saint-Vallier, wyprawił jenerała Piré z 6-ym pułkiem piechoty lekkiej na most pod Romans, w celu bronienia przejścia przez Izerę, nakoniec skierował ku Saint-Marcellin bataljon 39-go z 83-im pułkiem linjowym, który obecnie oświadczył się za sprawą cesarstwa. Izera więc była broniona na wszystkich punktach, a książę d'Angoulême, przed którym zamknęła się Grenobla na prawém skrzydle, a most Saint-Esprit na tyłach, spostrzegł, że Lyon także zamknięty dla niego i że kołem żelaznem został otoczony. W takiém więc położeniu rzeczy pozostawał mu jak najśpieszniejszy odwrót, aby mógł przez Awinjon dostać się na drogę do Marsylji, zanim mu ją zdołają przeciąć Langwedokczycy.

Dnia 5 Kwietnia postanowił więc zabębnić na odwrót, i 6 z rana opuścił Valence. Wówczas gdy się cofał, Izerę przebyli na wszystkich punktach Lyończycy, 6-ty pułk piechoty lekkiej, a 39-ty i 83-ci linjowe. Przy moście Loriol na rzece Drôme, 14-ty pułk strzelców konnych w zupełności odstąpił od sprawy królewskiej. Pułk 3-ci artyllerji objawił najgorsze usposobienie, lecz 10-ty piechoty (pułkownika jeneralnego) otoczony trzema tysiącami ochotników królewskich, okazywał więcej nieco wierności. Dnia 7 Kwietnia książę przybył do Montélimart i tu powziął wiadomość, że wojska jenerała Gilly, przeszedłszy most Saint-Esprit i wzmocniwszy się wielką ilością gwardji narodowych z Delfinatu, zamknęły mu drogę do Awinjonu. Bardzo widocznie skazany został na stanie się więźniem Napoleona, a ztąd pozostawał tak jemu jak i jego stronnikom jedyny środek ocalenia przez zaszczytną kapitulację. Wysłał więc barona de Damas do jenerała Gilly dla otworzenia rokowań. Co do księcia nie było żadnej trudności, gdyż jenerał Gilly w swém własném natchnieniu znalazłszy wolę Napoleona, zamierzał uwolnić księcia d'Angoulême pod warunkiem natychmiastowego opuszczenia ziemi francuzkiej. Na nieszczęście oficerowie i żołnierze jenerała Gilly nie podzielali jego usposobienia, a ztąd nie mógł on okazać się tak łatwym do układów pod względem osoby księcia.

Warunki przecież tak z jednej jak i drugiej strony w ten sposób

były stawiane, że po ominięciu kilku trudności nastąpiła zgoda. Postanowiono, że książę z pewną liczbą oficerów uda się wolno do jednego z portów Prowancji lub Langwedocji i wsiądzie na statek, że wojska linjowe powrócą pod władzę cesarza, że ochotnicy królewscy, po złożeniu broni, zostaną rozproszeni, że pieniądze i wszystko co należy do państwa, zwrócone zostanie urzędnikom skarbowym i że tym sposobem zniknie wszelki ślad powstania rojalistów. Warunki te zostały przyjęte i podpisane 8 Kwietnia przez barona de Damas i jenerała Gilly, z zastrzeżeniem potwierdzenia ich przez władzę wyższą, to jest przez jenerała Grouchy, mianowanego dowódzcą w prowincjach południowych.

Zaledwie o umowie tej dowiedziały się gwardje narodowe, licznie nadbiegłe z całego Delfinatu dla zamknięcia drogi do Awinjonu, najżywsza pomiędzy niemi powstała opozycja, głośno dowodząca, że podpisane warunki nie będą zatwierdzone. W tej chwili jenerał Grouchy przybywszy do Valence, wyruszył dalej ku Montélimart i Awinjon, ścigając stronników królewskich. Dowiedziawszy się 9 Kwietnia, że książę d'Angoulême jest więźniem i że wyrzeczenie o jego losie jemu pozostawiono, nadzwyczaj się zakłopotał. Chociaż był mocno zagniewany na Burbonów, to przecież pamiętał na węzły łączące go z nimi i wszelkie środki surowości względem księcia d'Angoulême odpychał tak skutkiem charakteru, jak i wspomnień rodzinnych. W miejsce uwięzienia, wolał on raczej popychać go zwolna ku morzu, podobnie jak jenerał Exelmans popychał Ludwika XVIII ku granicy belgijskiej. Zresztą działając podobnie pozostawał wiernym instrukcjom Napoleona, który mu powiedział: *Wypchnij księcia za granicę*. Skoro jednak książę d'Angoulême już się znajdował w jego ręku, wedle tychże instrukcji winien był odnieść się do Paryża. To też uczynił, wyprawiając gońca do Lyonu z poleceniem, aby ztąd telegrafem zapytano cesarza o rozkazy. Książę d'Angoulême zatrzymany więc został przy moście Saint-Esprit z całym swym orszakiem, aż do czasu nadejścia odpowiedzi z Paryża. Zresztą traktowany on był z względami stopniowi i szlachetnemu jego postępowaniu należnemi. W czasie zaś tych układów, 10-ty pułk linjowy (pułkownika jeneralnego) i 3-ci artyllerji, w zupełności przeszły do obozu cesarskiego.

Gdy się to dzieje, skonało powstanie na południu, pomimo kilku ruchów bez wagi i znaczenia. Ze strony Gap jenerałowie Ernouf i Loverdo, którzy byli przyrzekli księciu d'Angoulême, że przybędą do Grenobli w tym czasie, gdy on wejdzie do Vienne, chcieli, pomimo odstępstwa żołnierzy, spróbować ostatniego wysilenia dla dotrzymania słowa. Mając tylko pod rozkazami ochotników, postanowili przerzucić się z nimi poza Sisteron, w kierunku Gap. Rzeczywiście jenerał Loverdo rozłożył

obóz 6 Kwietnia wieczorem we wsi Saulce, przy wązkiém przejściu, zamkniętém z jednéj strony prostopadle ściętą skałą, a z drugiej rzeką Durance. Bataljon 49-go pułku z jedném działem stał na straży tego przejścia. Wieśniacy okoliczni, zapaleni przeciw rojalistom, wdrapali się na szczyt skały i stanęli w pogotowiu do zwalania ogromnych łomów kamienia na głowy nacierających.

Dnia 7 Kwietnia z rana, dowódzca bataljonu 49-go pułku wszedł w odstęp będący pomiędzy obustronnemi siłami, w zamiarze układów: odpowiedziano mu strzałem. Natychmiast więc sypnął kartaczami na kolumnę Loverdo, a wieśniacy rozpoczęli lać ze skały prawdziwym deszczem wielkich kamieni. W jednej chwili ochotnicy królewscy, odważni zresztą ludzie, pierzchnęli, skutkiem braku karności i zahartowania żołnierskiego. Niektórzy z nich chcąc przejść przez Durance wpław, zostali wystrzelani prawie przy samym brzegu; cały zresztą oddział uciekał ku Sisteron, zostawiwszy na placu około sto pięćdziesiąt ludzi w zabitych i ranionych.

W czasie tych wypadków nad rzeką Durance, marszałek Massena, postawiony w położeniu trudném, pomiędzy Burbonami których nie kochał, a Napoleonem którego jeszcze bardziej nie lubił, widząc w obecnych okolicznościach odradzanie się zasad rewolucji, skutkiem powinności żołnierza pozostał przy księciu. Nie chciał on mu ani służyć, ani też go zdradzać i pozostał w Marsylji dla utrzymania spokojności i niedozwolenia na gwałty wszelkiego rodzaju. Dowiedziawszy się o zamiarze połączenia marynarki francuzkiej z angielską, czyli o wydaniu Tulonu nieprzyjacielowi pod pozorem zjednoczenia obudwóch pawilonów, uznał, że czas i dla niego do oświadczenia się nadszedł. Udał się więc do Tulonu, zwołał wojska i kazał im przypiąć trójkolorową kokardę. Następnie wysłał ztąd oficera do Marsylji i dał temu miastu dwadzieścia cztery godzin czasu do obalenia chorągwi białej i zatknięcia trójkolorowej. Zagrożona przez marszałka Massena z jednej, a jenerała Grouchy z drugiej strony, Marsylja się poddała i z wielkim żalem ogłosiła przywrócenie cesarstwa. Dnia 10 Kwietnia cała ta część południowa Francja poddała się władzy Napoleona, uznanej od Antibes do Huningi, od Huningi do Dunkierki, od Dunkierki do Bayonny i od Bayonny do Perpignan. Książę d'Angoulême zatrzymywany ciągle w Saint-Esprit, oczekiwał na postanowienie o swym losie, a chociaż rozwinął wielką odwagę, to przecież nie był bez obawy, gdyż sądził o Napoleonie według przesądów swego stronnictwa. Zachował nadto godność przypadającą jego stopniowi, z rezygnacją oczekując wszyst-

kiego, co go mogło czekać i karany jedynie wewnętrznym niepokojem, za swe niesprawiedliwe podejrzenia.

Jak to łatwo odgadnąć, nie zagrażało mu żadne niebezpieczeństwo i wystawiony był tylko na nudy w oczekiwaniu na zakończenie niewoli, w pośród ludności zapalonej i wyobrażanej tylko przez jego nieprzyjaciół, gdyż przyjaciele uważali za najstosowniejszą rzecz dobrze się pochować.

Dnia 11-go Kwietnia z rana Napoleon dowiedział się o rozwiązaniu wypadków na południu, niewoli księcia d'Angoulême i o zawartéj umowie, na mocy której ten książę miał wsiąść na okręt w Cette. Bez żadnego wahania zatwierdził wszystko co się stało, przypuszczając nawet z otrzymanych wiadomości, że umowa albo już wykonaną, albo też dopilnowaną zostanie. Z rozkazu więc cesarza p. de Bassano zawiadomił jenerała Grouchy o zatwierdzeniu kapitulacji, z poleceniem jej wykonania. Zaledwie wiadomość ta, której zresztą nie ukrywano, rozeszła się, gdy wielu przywiązanych do Napoleona i do wyobrażanej przez niego sprawy, podnieśli krzyki na jego postanowienie, a przynajmniej uważali je za nierozsądne. Bez domagania się zemsty za rozkaz z 6-go i oświadczenie z 13 Marca, utrzymywali, że gdy oczekuje go straszna wojna, gdy w wojnie tej mogą być liczne i dziwne koleje, gdy wiele głów drogich Francji może się znaleść w ręku nieprzyjaciela, przeto bardzo korzystną było rzeczą zatrzymać księcia d'Angoulême jako zakładnika, przy zachowaniu należnych jego stopniowi względów. Napoleon nie zaprzeczając temu, że w dowodzeniach tych mieściła się część słuszności, stanowczo utrzymał swe postanowienie, gdyż w podobném postąpieniu daleko większą widział korzyść, aniżeli w posiadaniu takiego zakładnika. Nie miał zresztą potrzeby żałować wydanego rozkazu, gdyż wieczorem otrzymał nową depeszę, której nawet nie chciał uwierzyć, że zawarta z księciem d'Angoulême umowa nie została jeszcze wykonaną, i że więzień znajdował się ciągle strzeżony przy moście w Saint-Esprit. Był więc jeszcze czas do zmiany postanowienia, idąc za głosem tych, którzy takowe ganili. Długo w tym przedmiocie rozmawiał z p. de Bassano.--Być może, powinienbym, mówił, zatrzymać księcia d'Angoulême, i zachować sobie zakładnika, który mógłby stać się bardzo użytecznym w tém ważném i niewyjaśnioném położeniu, w jakiém się obecnie znajdujemy. Lecz nie zrobię tego: daleko lepiej okazać monarchom mym nieprzyjaciołom, jak wielka pomiędzy nimi a mną zachodzi różnica. Była to duma na swojém miejscu, dowodząca przytem, że Napoleon potrzebował opinji publicznej i że zrobił ogromny postęp w swém poglądzie na sprawy od czasu krwawej katastrofy w Vincennes. Bez

zwłoki więc potwierdził przesłane przez p. de Bassano rozkazy i kazał ogłosić w *Montorze* list napisany do jenerała Grouchy, w którym powiedziano, że rozporządzenie królewskie z 6 Marca i oświadczenie mocarstw z Wiednia z 13 t. m., upoważniły go do obejścia się z księciem d'Angoulême podobnie, jak z nim się obejść zamierzano, lecz nie chce używać prawa odwetu i pozwala wyjechać księciu d'Angoulême, podobnie jak innym członkom rodziny królewskiej. Ograniczył się tylko Napoleon na zażądaniu od księcia słowa, że będą zwrócone uwiezione dyamenty korony, nie pozwalając na żadne opóźnienie wyjazdu po daniu tego przyrzeczenia.

Napoleon nadzwyczaj był zadowolony z tego prędkiego i szczęśliwego zakończenia zamieszek na południu. Nie powątpiewał on nigdy o podobném rozwiązaniu, już w obecném jego położeniu dnie i godziny nieoszacowaną miały wartość i zależało mu bardzo aby nie utrudzać wojska stłumianiem pustych ruchów, mających na celu wywołanie wojny domowej. Wyprawiona pocztą do Lyonu dywizja nie została wstrzymaną w drodze, będąc przeznaczoną na jądro 7-go korpusu, który pod marszałkiem Suchet miał stanąć na straży Alp. Napoleon powołał marszałka Massena do Paryża, w zamiarze pojednania się z tym starym towarzyszem broni i wysłania go napowrót na południe, jeżeliby chciał na swem stanowisku pozostać. Tymczasem wysłał marszałka Brune na dowódzcę pomiędzy Marsylją, Tulonem i Antibes. Dowiedziawszy się z przejętych listów o siłach Hiszpanów, któreby mogli wystawić do zaczepnego działania, zauważył, że 8-y korpus, przeznaczony dla jenerała Clausel, który miał się składać z ośmiu pułków, może być zmniejszony do sześciu i że w tym stanie podzielony na dwie dywizje, z których jedna stanie w Bordeaux, a druga w Tuluzie, będzie wystarczającym do utrzymania rojalistów na południu i do stawienia czoła Hiszpanom. Z sześciu tak oszczędzonych pułków, cztery posłano w rezerwie do Awinjonu, a dwa skierowano do Marsylji, w celu utworzenia, w połączeniu z wojskami sprowadzonemi z Korsyki 9-go korpusu, przeznaczonego na obronę departamentu Var. Pułki pozostawione w Awinjonie przeznaczone były na wsparcie bądź marszałka Suchet, bądź też marszałka Brune, a to stosownie do tego, ku której granicy skierują się działania wojenne. Chociaż Napoleon radził Muratowi, aby się nie spieszył, to przecież prawie będąc pewnym jakiego nierozsądnego z jego strony kroku, odwołał marszałka Suchet z Strasburga, gdzie tenże dowodził 5-ym korpusem i wysłał go do Sabaudji, aby pod jego okiem stanął 7-my korpus. Z tych samych powodów, przygotowywał dla wzmocnienia go, rezerwy w Strasburgu, a nawet myślał o oddaniu pod

jego rozkazy 9-go korpusu, który tworzył się w departamencie Var, pod dowództwem marszałka Brune. Napoleon zajmując się bezprzestannie swym ogólnym planem, nowemi jeszcze uzupełniał go dodatkami. Pięć korpusów (1, 2, 3, 4 i 6-ty) miały, wspólnie z gwardją cesarską, działać pod bezpośredniemi jego rozkazami na północy, a 5-ty powierzony jenerałowi Rapp, od czasu przeznaczenia marszałka Suchet na dowódzcę 7-go korpusu, przeznaczony był na strzeżenie Alzacji. Postanowił utworzyć w Béfort, gdzie jak wiadomo, przecinają się Wogezy z górami Jura, korpus pośredni złożony z jednej dywizji wojsk linjowych i kilku dywizji gwardyj narodowych uruchomionych. Dowództwo tego korpusu oddał najzdolniejszemu jenerałowi do prowadzenia wojny w górach, znakomitemu Lecourbowi, od czasu procesu jenerała Moreau pozostawionemu na uboczu. Jeżeliby Szwajcarja utrzymała swą neutralność, Lecourbe skierowałby się w miarę potrzeby, albo do Alzacji, celem wzmocnienia 5-go, albo też ku Alpom z pomocą dla 6-go korpusu. Jeżeliby zaś obecność jego na żadnym z tych punktów potrzebną nie była, pozostałby na swych stanowiskach i zwracał uwagę na drogi prowadzące z Bazylei i z Poligny.

Po zrobieniu tych dodatków do swego planu, Napoleon rozkazał sprowadzić do Paryża pułki, które brały udział w wojnie domowej (mianowicie 10-ty linjowy) i główniejszych oficerów, a przynajmniej tych, którzy nie byli stanowczo narażeni. Chciał ich zobaczyć, zawrzeć z nimi pokój i przywiązać do swej sprawy. Powołał do siebie jenerała Grouchy, chcąc go wynagrodzić w sposób nadzwyczajny, lecz nie dla tego, że ten jenerał trudnej dokonał rzeczy, lecz aby dowieść wojskom, że w obecnych czasach poświęcenie się nie pozostanie bez nagrody. Krótka ta wyprawa, zakończona prawie bez wystrzału, której zasługa, jeżeli jest jaka, należała jenerałowi Gilly, przyniosła jenerałowi Grouchy buławę marszałkowską, która aż dotąd była nagrodą tylko wygrywanych bitew. Napoleon chciał tym sposobem rozbudzić poświęcenie dla swej sprawy, a jednocześnie wynieść na wysokie stanowisko oficera, posiadającego talent do dowodzenia jazdą, aby mieć gotowego wodza swej rezerwy konnicy, w miejsce tych, którzy z kolei bądź skutkiem śmierci, bądź odstępstwa ubyli mu z szeregów, jak Lassalle, Montbrun, Bessières, Murat. W krótce niestety, miał pożałować tej tak zbytecznej łaski, którą podyktowały bardziej względy polityczne, aniżeli wojskowe.

Z całym pośpiechem spowodowanym koniecznością, Napoleon zajmował się wszystkiém tém, co się odnosiło do wojny, gdyż każdy dzień coraz widoczniejsze dawał znaki nieubłaganej nienawiści, jaką oddycha-

ła ku niemu cała Europa. Widzieliśmy, jak tuż za wyjazdem poselstw zagranicznych, rozesłał gońców z odwołaniem francuzkich ajentów, z poleceniem im zarazem, aby oświadczyli dworom, że Francja chce pozostać w pokoju ze wszystkiemi mocarstwami europejskiemi, a to na podstawach obowiązującego już traktatu. Gońcy ci, wyprawieni 28 i 29 Marca, zatrzymani zostali wszyscy na granicach. Ten, który przybył na most pod Kehl, zwrócony został przez dowódzcę austrjackiego, który wzbraniał się nawet przyjąć go pod konwojem. Drugi, chcący przejechać przez Moguncję, zatrzymany był przez dowódzcę pruskiego, który przytem obszedł się z nim grubijańsko. Trzeci, skierowany przez Szwajcarję i Lombardję, nie mógł się dostać za Alpy. Było to postępowanie nieużywane nawet w czasie wojny, gdyż jak mawiał Napoleon, prowadzi się wojnę dla sprowadzenia pokoju, a nigdy, w czasie największych nawet rzezi, nie zabrania się stosunków usiłujących położyć koniec rozlewowi krwi ludzkiej. Ten rodzaj bezprzykładnej klątwy dyplomatycznej, widocznie odnosił się tylko do osoby Napoleona i był następstwem niesłychanego oświadczenia z 13 Marca.

Daleki od ukrywania przyjęcia, jakiego doznali wysłani gońce, Napoleon postanowił zrobić jeszcze krok ostatni, bardziej od innych bijący w oczy, życząc, aby niepowodzenie tegoż kroku jeszcze więcej stało się rażącém. Nadarzała się ku temu bardzo prosta sposobność. Sama przyzwoitość wymagała, aby przy wstępowaniu na tron francuzki napisał do wszystkich władzców państw zagranicznych, z uwiadomieniem o nowém swém objęciu władzy. Bardzo często pisał on do nich dawniej, już to jako sprzymierzeniec, już też jako władzca, a ztąd działając w ten sposób, nie mógł być posądzanym o zarozumiałość dorobkowicza. Sam więc skreślił kilka wierszy, pełnych umiarkowania i godności, w których oświadczał, że uznaje obowiązujące traktaty i że jeżeli jego uczucia podzielą inni monarchowie, to *sprawiedliwość posadzona na granicach państw, będzie odtąd wystarczającą do ich strzeżenia.* Ponieważ większa część panujących znajdowała się obecnie w Wiedniu, przeto do tej stolicy należało wysłać oświadczenia, a przyzwoitość wymagała, aby poselstwa tego dopełnił jeden z adjutantów cesarza, gdyż dla przewożenia listów od panujących, zwykle tylko takich używa się posłańców. Przeznaczono więc do spełnienia tego posłannictwa osobę odznaczającą się, często już używaną w stosunkach z dworami zagranicznemi, hrabiego de Flahault, a nadto powierzono mu list zupełnie prywatny Napoleona do teścia. Pomimo że zwykli gońce zostali zatrzymani, to jednak się spodziewano, że dla jenerał-porucznika zachowają więcej względów.

Hrabia de Flahault wyjechał rzeczywiście 4 Kwietnia przebył

most pod Kehl, czego nie mogli uczynić gońce gabinetowi, dostać się do Niemiec i pochlebiać już sobie, że zwyciężyły wszystkie przeszkody, gdy niespodzianie został przytrzymany w Sztutgardzie na mocy rozkazu dworu wirtembergskiego. Odebrano od niego depesze, z przyrzeczeniem przesłania ich do Wiednia. Dowódzca okrętu marynarki cesarskiej także nie był szczęśliwszym przy zamiarze przepłynięcia cieśniny Kaletańskiej. Wysłany jako parlamentarz na brzegi Anglii, nie doznał wprawdzie obejścia się jak z nieprzyjacielem, ale zatrzymany został w przejeździe. Zabrano mu po prostu depesze wysłane do Londynu, a następnie oświadczono, że zostaną otworzone w Wiedniu, zkąd nastąpi odpowiedź, jeżeli takowa będzie miała miejsce.

Dla dokładnego pojęcia tego szczególnego wzbronienia wszelkich stosunków, należy poznać co zaszło w Wiedniu skutkiem otrzymanej wiadomości o wylądowaniu Napoleona na brzegach Francji. Opuszczając wyspę Elbę, Napoleon spodziewał się, że za swém przybyciem do Francji znajdzie kongres wiedeński już rozwiązany, a przynajmniej, że monarchowie nie będą już obecni w Wiedniu, lecz tylko pozostawieni ministrowie dla ukończenia prostej redakcji postanowień. Wiadomości te były zupełnie dokładne, gdy mu je przesyłano, lecz opóźnione przybycie króla saskiego do Presburga, opór, jaki ten książę stawiał postanowieniom kongresu i poruszenia wojenne Murata, zatrzymały cesarza Aleksandra i króla Pruskiego, którzy nie chcieli wyjechać dopóty, dopóki choć jedna trudność pozostanie do rozwiązania. To też gdy nadeszła do Wiednia wiadomość, drogą przez Genuę, o wylądowaniu w zatoce Juan, panujący i ich ministrowie byli jeszcze obecni, z wyjątkiem lorda Castlereagh, który był zastąpiony przez księcia Wellington. Wiadomość ta zastała zgromadzonych wszystkich na zabawie. Rozległa się ona uderzeniem piorunu. Wyobraźmy sobie bowiem tych wszystkich mocarzy, z których jedni będąc poprzednio pozbawieni swych krajów przez Napoleona, a drudzy zagrażani ciągle tym samym losem, stali się nagle ze zwyciężonych zwycięzcami, z niewolników panami i odzyskali nie tylko to co utracili, ale nadto zwiększyli swe posiadłości, ci o połowę, ci o część czwartą lub piątą, wyobraźmy ich sobie, jak z niemałą ujrzeli straszne widziadło, że zostają cofani do bolesnych lat 1809, 1810 i 1811, w których byli obdarci, ulegli, drżący, a zrozumiemy, jak otrzymana wiadomość oddziałała na nich. Pierwszém ich uczuciem było przerażenie, a tém przerażeniem pochlebiali oni niestety Francji, gdyż mniemali, że jedenaście miesięcy wystarczało jej dla odzyskania sił wyczerpanych. Uczucie to, tak bijące w oczy, obudziło nawet złośliwość dyplomatów angielskich, którzy, dzięki cesarzowi, nie mając obawy

o swą ojczyznę, śmieli się z przerażenia swych sprzymierzeńców. Po chwilowém osłupieniu nastąpiło gwałtowne oburzenie, przeciw prawdziwym i przypuszczalnym sprawcom przewidywanych nieszczęść. Wszystkie oskarżenia zwróciły się najprzód przeciw cesarzowi Aleksandrowi, który traktatem z 11 Kwietnia tak nieroztropnie zapewnił wyspę Elbę Napoleonowi, a następnie przeciw Burbonom, którzy otworzyli mu drogę do Francji swym sposobem rządzenia. Hałasowano więc tylko na lekkomyślność Aleksandra i na niezręczność Burbonów. Wyrzucano także i sobie tę niewłaściwość postanowienia, że podobnym rękom powierzono ster rządów Francji.

Aleksandrowi nie mogło być tajném to rozkieźnanie języków przeciw niemu, gdyż pomiędzy najgłośniejszymi krzykaczami znajdowali się także Rossjanie. Bronił się więc dowodzeniem, że traktat z 11 Kwietnia był nieuniknionym, że w czasie zawierania jego nikt nie wystąpił przeciw niemu z ważnym jakim zarzutem, gdyż za jaką bądź cenę chciano się oswobodzić od Napoleona, rozporządzającego jeszcze w Fontainebleau 70 tysiącami ludzi i mogącego, jeżeliby się cofnął na południe Francji, zebrać jeszcze 100 tysięcy z wracających od Pirenejów, Lyonu i z Włoch; że Burboni wzbraniając się wykonać warunków traktatu, doprowadzili Napoleona do złamania tegoż, przez pozbawienie go zapewnionej płacy, a przytem otwierając mu drogę swym sposobem rządzenia, sami tylko byli winnymi.—Zresztą, dodał, że jeżeli jest sprawcą złego, to sam to złe naprawi i że na tę nową walkę poświęci ostatniego żołnierza i ostatniego rubla.—Nadto, za podniesione krzyki odpłacił gniewem i od dnia tego daleko mniej był zadowolony ze sprzymierzonych, z ich postawy i z ich języka.

W tym stanie szału, w jakim znajdowali się członkowie kongresu, nikomu nie przyszło nawet na myśl zastanowić się nad tém, czy Napoleona nie zmieniły lub przynajmniej nie uhamowały nieszczęścia i czy naprzykład nie okaże się gotowym do uznania, nie tylko paryzkiego, ale wiedeńskiego traktatu, w którym to razie tylko jednej rzeczy możnaby po nim wymagać, to jest dobrej wiary. Lecz myśl o Napoleonie miłośniku pokoju, poprawionym lub pohamowanym, nie przyszła nikomu do głowy. We wszystkich oczach przytomny był tylko ten wódz straszny, który z wojsk francuzkich tak różny robił użytek, który w obec Europy rozwinął szaleństwo dumy azjatyckiej; to też natychmiast we wszystkich sercach powstało uczucie śmierci w zażartej walce lub zwycięztwa, gdyż bywają chwile, w których przestrach przeradza się w bohaterstwo. Jedna więc tylko zapanowała żądza: wojny powszechnej, krwawej, zażartej, mającej doprowadzić do zagłady jednych lub drugich.

Z ogłoszeniem przecież oświadczenia należało się wstrzymać dni kilka, dla przekonania się, czy Napoleonowi się powiedzie (w czém mało było wątpliwości) i czy obierze Francję za cel swych działań (o tém mniej jeszcze powątpiewano); należało zaczekać na pewne wiadomości, aby próżnych nie zadawać ciosów. Niektóre bowiem osoby rzucały jeszcze niejaką wątpliwość, co do zamiarów zbiega z wyspy Elby, gdyż po otrzymaniu tej dręczącej wszystkich wiadomości, jedni na drugich zwalali winę i to nie tylko przygotowanego powrotu, ale oczekujących niebezpieczeństw. To też p. de Talleyrand utrzymywał, że Napoleon dla tego wylądował w zatoce Juan, aby przez Niceę i Tendę udać się do Włoch.—Nie myślcie o nas, odpowiedział mu dość twardo p. Metternich, lecz o sobie samych. Napoleon, proszę wierzyć, jest na drodze do Paryża; prawdopodobnie jest w Lyonie w tej chwili, w której obecnie rozmawiamy, a w kilku dniach będzie w Tuileries.

W oczekiwaniu na wyjaśnienie tej wątpliwości, wzięto się do spraw najbardziej naglących, a dla mocarzy dzielących się Europą najbardziej naglącemi były natychmiastowe opanowanie krajów, które sobie przysądzili, by przynajmniej objąć tytuł własności w obec byłego pana stałego lądu. Najpierwszym środkiem prowadzącym do tego celu, było uzyskanie od nieszczęśliwego króla Saskiego przyzwolenia na ofiary wymagane od niego. Wedle teorji prawa powszechnego (teorje te prawdziwe w każdym czasie, lecz wtedy wyznawane były z przesadą), nabytek tylko wówczas jest prawym, gdy zrzekający się swej własności, *ustępuje takową sam i to z dobrej i pełnej woli.* Wypadało więc, aby król Saski wyrzekł się prowincji graniczących z Prusami, po czém dopiéro Prusy odstąpiłyby Rossyi to wszystko, co pożądała mieć z krajów polskich, następnie Rossja z kolei robiłaby Austrji żądane ustępstwa i tak dalej w tym samym porządku ofiary dla jednych, a nabytki dla drugich następowałyby wzajemnie.

Wybrano trzech pełnomocników, którzy bronili króla Saskiego i wysłano ich do Presburga. Byli nimi: p. de Talleyrand za Francję, p. Metternich za Austrję i lord Wellington za Anglję. Udali się oni do Presburga, dokąd Fryderyk August był przewieziony, i znaleźli go skłonnym do oporu i bardzo mało zwracającym uwagi na usługi, o których mówili, że mu oddali. Po kilku dniach żywych nalegań nie otrzymawszy żadnego skutku, trzej dyplomaci oświadczyli królowi Saskiemu, że jeżeli nie zgodzi się stanowczo na postanowienie kongresu, to Prusy i bez tego zajmą przysądzone im prowincje, gdy tymczasem on nie powróci nigdy do panowania nad pozostałemi przy koronie saskiej i pozostanie więźniem koalicji.

Nieszczęśliwy ten książę nie ustępując przed temi groźbami, wlał jednakże w trzech pełnomocników to przekonanie, że nie potrzeba będzie długo oczekiwać na jego zgodzenie się. Powrócili więc do Wiednia dla zakończenia ostatecznych urządzeń. Spośredniczono zgodę między Austrją a Bawarją, pod względem Salcburga i nic przeto nie pozostawało panującym, jak przybrać tytuły krajów nowo-nabytych. Cesarz Aleksander natychmiast począł się tytułować cesarzem Wszech Rossji i królem Polskim; król Fryderyk Wilhelm królem Pruskim, wielkim księciem Pomorskim, księciem Saskim, landgrafem Turyngji, margrabją Obojga Luzacji i t. d. Pomimo tytułu cesarza Austrjackiego, który w 1806 roku zastąpił tytuł cesarza Niemieckiego, cesarz Franciszek nazwał się królem Włoskim i przywrócił aktem uroczystym, bezzwłocznie ogłoszonym za Alpami, królestwo Lombardzko-Weneckie, które miało się składać z krajów włoskich pomiędzy Tessyną a Isonzo położonych. Tymże aktem na pocieszenie Włochów obiecano im, że będą składać oddzielne królestwo, co również przyrzeczono i Polakom. Król Sardyński, któremu Genua została ustąpioną, i król Niderlandzki, którego państwo w dwójnasób powiększono przez nadanie mu Belgji, przyodziali się tytułami nowych swych państw i takowe przyznane im zostały. Tym to sposobem monarchowie w dniach kilku ubezpieczyli swe nowe nabytki, aby wojna, która miała być stanowczą, nie mogła nic zmienić w ich położeniu, z wyjątkiem stanowczego zatwierdzenia zabranych krajów, jeżeliby ta wojna pomyślnym dla nich uwieńczyła się skutkiem.

Gdy każdy krzątał się około spraw wyłącznie go obchodzących dowiedziano się nakoniec 12 Marca o tryumfalném wejściu Napoleona do Grenobli, a ztąd nie powstawała już żadna wątpliwość ani o charakterze, ani też o skutkach jego zamiarów. Zgromadzono się więc natychmiast i pozostawiono p. de Talleyrand głos pierwszy, aby postawił wnioski w tej sprawie. Nikt ani pomyślał o zaprzeczeniu mu tytułu reprezentanta Ludwika XVIII, ani też przestał uważać jego władzcę za króla Francuzkiego, pomimo dość wielkiego z Burbonów niezadowolenia. We wspólnym bowiem interesie nie chcąc za żadną cenę restauracji Napoleona i jego rodziny, z konieczności wypadało trzymać się Burbonów, jako jedynej możliwej dynastji. Co zaś do samego p. de Talleyrand, był on także osobiście niezadowolony z dworu francuzkiego, ale też z tego samego co cały kongres stanowiska widział on konieczność trzymania się Burbonów, a zresztą zanadto już zabrnął, aby mógł się zawachać. Pojmując, że najwięcej można szkodzić Napoleonowi w oczach wyczerpanej przeszło dwudziesto-letniemi wojnami Francji, przez przedstawie-

nie go jako na zawsze poróżnionego z Europą, uważał za najskuteczniejsze, aby kongres powtórzył po prostu postanowienie Ludwika XVIII-go z 6 Marca, uważając Napoleona za złoczyńcę, który potargawszy zapadłe względem niego prawo wygnania, powinien być natychmiast karany śmiercią, po sprawdzeniu tylko tożsamości jego osoby. Dziwne to było postępowanie względem człowieka, który panował z takim blaskiem i z taką trwałością, lecz oburzenie wówczas było tak wielkie, że na nic nie zwracano uwagi. P. de Talleyrand przedstawił więc, że gdy Napoleon Bonaparte pogwałcił zawartą z nim umowę pod dniem 11 Kwietnia, *a tem samem zniszczył jedyny prawny tytuł, na którym spoczywało jego istnienie*, powinien być wyjętym z pod praw narodów i stosownie do tego traktowany. Szlachetność Aleksandra i umiarkowanie Austrji miałyby coś do zarzucenia przeciw podobnemu postępowaniu, lecz gniew Aleksandra i obawa Austrji aby nie popaść w podejrzenie, zagłuszyły wszelkie zarzuty i z wyjątkiem tylko zmiany dwóch lub trzech niecnych wyrażeń, oświadczenie zostało przyjęte, datowane pod 13 Marca i nadzwyczajnym gońcem wysłane do Strasburga, w celu rozrucenia na całej długości francuzkich granic, aby tym sposobem oddać sprawie królewskiej, jeżeli był jeszcze czas po temu, ważne usługi, przez okazanie Francji nieubłaganej jedności całej Europy przeciw Napoleonowi.

Przepędzono następnie dni kilka w oczekiwaniu na wiadomości, już to z pewnością w powodzenia Napoleona, już z powątpiewaniem w też powodzenia za najmniejszym odbłyskiem nadziei i w ciągu tych dni kilku myślano tylko o natychmiastowej i zażartej wojnie, do której Prusy czerpały natchnienie w rozbudzonych namiętnościach, Rossja w gniewie, że nadużyto szlachetności Aleksandra, Anglja w obawie wymknięcia się ogromnych korzyści, a Austrja w tém zimnem przekonaniu, że nie będzie się mogła wywinąć od walki i w obawie wzbudzenia nieufności sprzymierzonych. Ostatnie to mocarstwo, pomimo że nie mniej miało do stracenia od innych, spoglądało przecież na swe położenie ze spokojem, dzięki zimnej krwi cesarza Franciszka i księcia Metternicha. Przypuszczała nawet Austrja, że Napoleon wystąpi z ofiarą zatwierdzenia traktatów paryzkiego i wiedeńskiego, że nauczony doświadczeniem, zgodzi się na straty terrytorjalne i że okryty chwałą wojenną, zechce powetować też straty pokojem, dołączając oliwną gałązkę do niezliczonych wawrzynów zdobiących jego czoło. Było to jednak zawsze tylko przypuszczenie ze strony tego mocarstwa, nie mające w sobie żadnej pewności. Można bowiem było także przypuszczać, że nie pocieszony po utracie skutkiem własnych błędów wielkości Francji, rozpocznie nowe swe panowanie od chwilowego spoczynku, przetrzyma rozejście się obecnego

europejskiego związku i wzmocniwszy swe siły wojskowe, gdy jego przeciwników będą już zmniejszone albo rozproszone, rzuci się na nowo w walkę, by powrócić jeżeli nie do zawartych w Tylży i Wiedniu, to przynajmniej w Campo-Formio i Luneville traktatów. Drugie to przypuszczenie wyrównywało pierwszemu prawdopodobieństwu i nie mniej było gruntownem, a w podobném powątpiewaniu daleko lepiej było zapewnić się, a najlepszą pewność przedstawiała natychmiastowa praca i użycie wszystkich środków prowadzących do upadku Napoleona. To też Austrja nie pałając taką nienawiścią jak Prusy, i nie będąc tak dotkniętą jak Rossja, a chciwą jak Anglja, na zimno liczyła i stałe zrobiła postanowienie. W radzie jej jednak znalazła się różność zdań, co do środków, któremi najpewniej można było pokonać Napoleona. Niektórzy austrjaccy mężowie stanu utrzymywali, że Napoleon wracając na tron po jedenasto-miesięcznych rządach Burbonów, będzie wystawiony na różne kłopoty, a ztąd, że ograniczając się tylko na popieraniu wewnętrznych rozterek, będzie można uwolnić się od strasznéj i wątpliwych skutków przeciw niemu wojny. Podstępne te jednak rachuby nie odpowiadały gorącym namiętnościom chwili, mogły postawić w podejrzeniu zamiary Austrji, dostarczyć naprzykład sposobności do utrzymywania, że życzy rejencji Marji Ludwiki i szkodzić temu, co uważaném wówczas było za zbawienie Europy, to jest ścisłemu związkowi sprzymierzonych. Austrja więc przystąpiła bez namiętności, lecz ze stałością do postanowionej wojny, a to z dwóch głównych pobudek: z nieufności ku Napoleonowi i z głęboko poczutej potrzeby związku europejskiego.

Bardzo baczni, aby nie ściągnąć na się nawet cienia dwójznaczności, cesarz Franciszek i p. Metternich zwrócili swe starania ku opanowaniu Marji Ludwiki, aby zapobiedz możliwemu z jej strony nierozsądnemu postępkowi. Dla utrzymania jej nie brakło im na środkach, gdyż oprócz siły posiadali w swym ręku księstwo Parmy, którém dowolnie rozrządzać mogli. Nie potrzebowali oni jednak niestety tylu zasobów, aby odnieść zwycięztwo nad charakterem tej księżny. Posłuszną ona już była, ale nie woli swego ojca, coby łatwo dało się wytłumaczyć, lecz rozkazowi swego pana, hrabiego von Neiperg, który zupełnie zapanowawszy nad nią, stał się jej przewodnikiem, obrońcą, jedynym przyjacielem. W swém odosobnieniu i przy swej słabości nie umiała ona stawić oporu wszelkim osobistym zachciankom hrabiego i zapomniała co była winna swemu stanowisku, obowiązkom i bolesnemu choć pełnemu sławy przeznaczeniu. Na chwilę, po otrzymaniu wiadomości o powodzeniach Napoleona, była na wskroś wzruszoną i okazywała pewien rodzaj żalu. Lecz w krótce przypomniawszy sobie krępujące ją więzy austrjac-

kie, które należałoby potargać, przypomniawszy sobie nadewszystko własne błędy, przełożyła życie spokojne, dostatnie i swobodne, jakie ją oczekiwało w Parmie, nad przygody burzliwego zawodu, który był wyższym od jej odwagi. Trzeba też dodać, dla uniknienia zupełnego potępienia tej księżny, że była ona wyborną matką i bardzo rozsądną chociaż nie rozumną, że jakkolwiek wierzyła w genjusz swego męża, to nie ufała jego roztropności i powątpiewała o stanowczém utrzymaniu się jego na tronie, a ztąd obawiała się, aby powrotem do niego nie naraziła dziedzictwa swego syna, bez zapewnienia mu korony francuzkiej, i że mierząc przeznaczenie tegoż syna swém własném pojęciem, wolała ona zapewnić mu małe dziedzictwo we Włoszech, aniżeli zmienną wielkość we Francji: rachunek to niepodniosły, lecz dość sprawiedliwy, jak to w krótce dowiodły wypadki.

Cesarz Franciszek i p. Metternich znaleźli ją więc przekonaną i zupełnie usposobioną do przyjęcia warunków ich polityki za dobrze zrozumianém wynagrodzeniem, które stanowiło wielkie księztwo Parmeńskie. Warunki te były: że nie opuści Wiednia, że powierzy czasowo swego syna cesarzowi Franciszkowi, że wszystkie listy pośrednio lub bezpośrednio otrzymane od swego męża odda natychmiast gabinetowi austrjackiemu, który złoży je zapieczętowane na stole kongresu. Przyjęła ona te poniżające warunki, oddała syna cesarzowi Franciszkowi, który zresztą był przywiązany do tego dziecka i wydała nakoniec listy Napoleona, różnemi do niej nadeszłe drogami, czego już w żaden sposób wytłumaczyć nie można. Chcąc działać przecież z pewną otwartością, bez ogródek rozmówiła się z p. Meneval, który znajdując się przy niej, pozostał zawsze wiernym Napoleonowi. Powiedziała mu ona, że wcale nie powróci do Francji, że nie udawszy się za mężem zwyciężonym i w niewoli, nie pójdzie do zwyciezkiego i przywróconego na tron; że strudzona wrażeniami chce się zupełnie cofnąć do życia prywatnego, poświęcić się synowi i zapewnić mu skromną lecz pewną przyszłość. Na zrobioną zaś przez p. Meneval jej uwagę, iż księstwo Parmy przyrzekane początkowo dziedzicznie, zapewnione jej zostało tylko jako dożywocie, odpowiedziała, że nie mogła nic więcej otrzymać, że bezwątpienia jest czego żałować, lecz że to księstwo pozwoli jej, przy zaprowadzeniu rozsądnej oszczędności, w przeciągu lat dwudziestu wielki majątek zebrać dla syna, do czego nigdyby nie doszła jako zwykła arcyksiężniczka; że nadto w Czechach będzie miał wyznaczone znaczne posiadłości lenne, jako wynagrodzenie za utratę dziedzictwa Parmy; że będzie arcyksięciem i to bogatym arcyksięciem, co nie jest rzeczą zwykłą w Austrji; że ona więc gotuje mu szczęście, według swego pojmo-

wania rzeczy; że w całém tém postępowaniu jest tylko matką, matką wedle swego rozumienia, lecz matką zarówno czułą jak poświęconą. Tak to mówiła i bardzo szczerze myślała żona Napoleona, ale nie ta, którą pojął w stanie prywatnym, lecz ta, której zażądał dla krwi Cezarów. Słuchając tych dowodzeń p. Meneval, schylił głowę z bolesćią, nie wyrzekłszy ani jednego słowa, lecz z wyrazu twarzy pozwolił wyczytać, iż musi je naganić przy całém swém uszanowaniu.

Skutkiem tych postanowień syn Napoleona został wydarty matce i przeniesiony, pomimo swych skarg dziecinnych, do pałacu dziadka, którego już nie miał opuścić. Nadeszłe za pośrednictwem p. Meneval i p. Bubny listy do Marji Ludwiki zostały złożone na stole kongresu, gdyż Austrja usilnie starała się dowieść, że pomiędzy nią a Napoleonem nie ma żadnych tajemnych stosunków. Za cenę tej uległości Marja Ludwika otrzymała poręczenie przez wszystkie dwory, najwyższej dożywotniej władzy w księstwach Parmy i Placencji.

Wkrótce do tych złożonych już listów przybyły jeszcze inne, po których wróżono w Paryżu najszczęśliwsze powodzenie, a które zupełnie przeciwny wywarły skutek w Wiedniu. Goniec wysłany do księcia Eugenjusza przez jego intendenta, który wiózł także listy od królowej Hortensji do brata, do Marji Ludwiki i do innych znakomitych osób, został przytrzymany, a znalezione przy nim papiery zarówno zostały złożone na stole kongresu. Czytanie tych listów szczególniej na cesarzu Rossyjskim bardzo niekorzystne zrobiło wrażenie. Aleksander, który czynów swoich nie mierzył, nie opuścił w Paryżu domu królowej Hortensji, a w Wiedniu ramienia księcia Eugenjusza, w towarzystwie którego przechadzał się każdodziennie. Zapewnił królowej Hortensji księstwo Saint-Leu i chciał, co mu się jednak nie powiodło, wyjednać jakie drobne państwo dla księcia Eugenjusza. W tym stanie wzruszenia, w jaki go wprawił powrót Napoleona, zdawał się być przekonanym, że brat i siostra zostawali w tajemnych z wyspą Elbą znoszeniach się; że został przez nich oszukanym, a ztąd popadł w gniew bardzo prosty i widoczny, gdyż wolał być zdradzonym aniżeli oszukiwanym. Skutkiem więc tego mówił tylko o potrzebie przytrzymania i uwięzienia księcia Eugenjusza. Po głębszém jednak zastanowieniu się i po złożonych niejakich objaśnieniach przez samego księcia, zadowolnił się danem przez tegoż słowem, że nie opuści Wiednia, które to przyrzeczenie zapewniło wolność księciu Eugenjuszowi.

Wszystkie te listy dowodziły, co zresztą łatwém było do przewidzenia, że Napoleon nie został ani zabity, ani schwytany w drodze, że w odwecie nie nastawał na życie Burbonów, lecz że ich wypchnął

z Francji; że wstąpił na tron przyrzekając utrzymanie pokoju i poszanowanie traktatów. Lecz panującym zgromadzonym w Wiedniu mało chodziło o to, czy Napoleon pokazuje się okrutnym lub szlachetnym, czy przybywa poprawionym przez wypadki lub też nie, pokojowym lub wojowniczym, swobodnym w działaniach lub ograniczonym nową ustawą państwa, gdyż najmniej nawet przewidujący byli przekonania, że po wstąpieniu swém na tron, po odzyskaniu sił przez Francję, a rozproszeniu się koalicji, będzie usiłował odzyskać przynajmniej granice Francji, a w takim razie zaszłaby konieczność, aby jedni oddali połowę królestwa Niderlandzkiego, a drudzy połowę Polski, Saksonji, Włoch. Nie można się więc było wahać, zwłaszcza gdy duma łączyła się z tém przewidywaniem, a ztąd należało korzystać z czasu i działać, gdy siły Francji nie zostały jeszcze odbudowane, a Europy rozproszone, ażeby zgnieść jak najśpieszniej człowieka, który przybywał dla zaprzeczenia prawa rozciągniętej już nad Europą przewadze i dla niezezwolenia na łwi podział dokonywany w Wiedniu.

Za otrzymaniem przeto nieco pewniejszych wiadomości, sprzymierzone państwa, po swém pierwszém gwałtownem oświadczeniu z 13-go Marca, przystąpiły do czynów daleko praktyczniejszych i straszniejszych, chociaż nie mniej dzikich pod względem formy. Postanowiono natychmiastową wojnę, umową, która poprostu odnawiała tylko zawarty związek w Chaumont. Związek ten warował, jak to sobie przypominamy, aby każde ze czterech państw sprzymierzonych utrzymywało po 150 tysięcy żołnierza pod bronią, dopóki cel tegoż związku nie zostanie w zupełności osiągnięty. Dostawienie tych sił było jeszcze dalekiém od wykazania wszystkich usiłowań dążących do zgniecenia Napoleona, gdyż samo się przez się rozumie, że każde mocarstwo, oprócz wystawienia przynajmniej oznaczonej liczby żołnierza, użyje wszelkich środków dla zapewnienia zwycięztwa wspólnej sprawie. Postanowiono także, iż tak jak poprzednio będą miały miejsce porozumienia co do kierownictwa wojsk sprzymierzonych, że jedni bez drugich nic działać nie będą, a nadewszystko, że najmniejsze posłyszane słówko nieprzyjaciela podane będzie do wiadomości koalicji, przy której tylko pozostawiano prawo układów i odpowiedzi. Dodano jeszcze do tej umowy, że Anglja rozpocznie od dostarczenia 6 miljonów funtów sterlingów zasiłku, który przyrzekła w czasie trwania wojny, a nadto wynagrodzi pieniędzmi wszystko to, co jej będzie brakować do oznaczonej liczby 150 tysięcy żołnierza, którego dostawić winna.

Zobowiązania więc Anglji były jeżeli nie najważniejsze, to przynajmniej najuciążliwsze, lecz w wojnie tej do tego stopnia były rozbu-

dzone namiętności, że mocarstwa sprzymierzone nie czuły się nawet obowiązane przy braniu angielskich pieniędzy. Jedyna tylko Anglja nie była w Wiedniu przedstawianą ani przez panującego, ani też przez pierwszego ministra, gdyż nawet lord Castlereagh wyjechał do Londynu. Zastępujący jednak miejsce lorda Castlereagh lord Wellington, opierając się na wielkich swych zasługach i popularności w Anglji, nie obawiał się brać na się odpowiedzialności. Pomimo że nie otrzymał żadnej instrukcji (sam czas jeszcze na to nie pozwalał), nie zawahał się z postanowieniem. Osądził on, że warto było dołożyć trudów dla utrzymania stanu rzeczy, jaki Anglja zaprowadziła w Europie; jak przez mgłę już widział powiększenie swej sławy w tej nowej wojnie i nie obawiał się w imieniu swego rządu przyjąć zobowiązań, pewny będąc, że nikt w Anglji nie ośmieli się przeciw nim wystąpić, chociażby cokolwiek bądź mysłano o jego postępku. Podpisał więc umowę bez najmniejszej uwagi i raczej sam wywołał aniżeli był wciągnięty do ukończenia nowego związku.

Pełnomocnik Francji chciał także wystąpić jako strona przy podpisywaniu tej umowy, dla lepszego zapewnienia stanowiska Burbonów, zwłaszcza gdy spostrzegł, że wiele przypisywano ich niezręczności i że, jeżeli widziano konieczność natychmiastowego obalenia Napoleona, to za za to mniej uznawano potrzebę zastąpienia go starą dynastją. Nadzwyczaj oddany sprawie Burbonów, utracając nawet przy tej okoliczności zdrowy sąd o rzeczy i przyzwoitość, jakiej wymagało tak wysokie stanowisko, p. de Talleyrand nie spostrzegł, jak oburzającym byłby podpis pełnomocnika francuzkiego na umowie, której głównym celem była wojna do upadłego przeciw Francji. Chciał więc podpisać, lecz sprzymierzeni usunęli tę niestosowność, ze względów czysto osobistych. Panujący bowiem nie chcieli pokazać swoim ludom, a szczególniej ludowi angielskiemu, że rozpoczynają wojnę dla przywrócenia Burbonów i usiłowali koniecznie dowieść, że działają jedynie w sprawie europejskiej. Skutkiem czego postanowili, że tylko we czterech zobowiążą się umową, z pozostawieniem wszakże innym mocarstwom możności przystąpienia i wspólnego działania. Umowa, o którą chodzi, będąca tylko odnowieniem związku zawartego w Chaumont, datowana 25 Marca, posłaną została natychmiast do Londynu, dla zyskania zatwierdzenia gabinetu brytyjskiego. Aż dotąd bowiem miała ona pozostać w tajemnicy, a to nie tak ze względu na treść, jak raczej na wyrażenia.

Gdy już cel i środki zostały ściśle określone, zajęto się użyciem tychże środków. Odbyły się dwa posiedzenia wojenne u księcia Schwarzenberg, w których cesarz Aleksander stanowczo oświadczył chęć ucze-

stniczenia. Książę Schwarzenberg za Austrję, cesarz Aleksander i książę Wołkoński za Rossję, p. von Knesebeck za Prusy i książę Wellington za Anglję, rozbierali plan przyszłej kampanji. Bardzo pożądano rozpocząć kroki nieprzyjacielskie natychmiast, a najbardziej ożywionym był temi chęciami książę Wellington, który zdradzał już zamiary odegrania najważniejszej roli w tej wojnie. Dla działania jednakże na pewno postanowiono, że wstrzymane zostaną działania aż dotąd, dopóki znakomite siły nie wejdą na linję bojową, aby każda armja była w stanie sama się utrzymać przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi. Rozdzielono siły koalicji na trzy główne kolumny. Pierwsza przeznaczoną była do działania we Włoszech, gdyż jak przypuszczali Austrjacy, Murat był w porozumieniu z Napoleonem. W gorliwości swej o wszystko co tylko mogło zapewnić posiadanie tego kraju, Austrjacy poświęcali tutaj 150 tysięcy żołnierza. Część ta wojsk koalicji otrzymała rozkaz, aby po rozproszeniu Murata, wkroczyła przez górę Cenis do Sabaudji.

Dwie inne armje miały mieć Francję za teatr wojny, a za cel Paryż. Jedna, ciągnąca od wschodu, przez Bazyleę i Moguncję, miała się składać z Austrjaków, Bawarów, Badeńczyków, Wirtembergczyków, Hessów i Rossjan i wynosić 200 tysięcy żołnierza. Ta wschodnia kolumna dopiero wówczas miała wystąpić do zaczepnego działania, gdy 80-tysięczny korpus rossyjski, zmuszony do przebycia Galicji, Czech, Frankonji, stanie już nad Renem, co było niepodobném przed połową lub końcem Czerwca.

Trzecia nakoniec kolumna, a pierwsza co do ważności, miała działać na północy. Zamierzono ją złożyć z Anglików, Belgów, Hanowerczyków, Niemców północnych, a nadewszystko Prusaków, i postawić pod rozkazami księcia Wellington, w roztropności którego zupełne pokładano zaufanie. W takim składzie kolumna północna powinnaby liczyć 250 tysięcy walczących i uzupełniać zamierzoną ogólną ilość 600 tysięcy żołnierza wojsk czynnych, którą pochlebiano sobie zgromadzić, bez zaliczania tu rezerw rossyjskich, austrjackich, niemieckich, które siły koalicji podnosiły od 750 do 800 tysięcy ludzi. Prusacy, u których niena wiść nakazała obecnie milczenie właściwej im pysze, z chęcią przyjęli na głównodowodzącego księcia Wellington, lecz miłość własna Blüchera stanowiła temu zawadę. Wzięto się więc z wielką zręcznością dla pokonania tej trudności. Postanowiono więc, że Hollando-Belgowie, którzy powinni dostawić przynajmniej 40 tysięcy żołnierza i którzy w wojnie tej mieli szczególny swój interes, staną pod rozkazami księcia Wellington, pomimo zasługi słusznej miłości własnej świetnego księcia Oranji, syna nowego króla Niderlandzkiego. Hanowerczycy i Brunświg-

czycy nie mieli żadnego wstrętu do stanięcia pod rozkazami generalissimusa brytyjskiego. Tym więc sposobem lord Wellington miałby 40 tysięcy Hollando-Belgów, około 20 tysięcy Niemców północnych, do czego dodawszy 60 tysięcy Anglików, zebrałby pod bezpośrednie swe dowództwo 120 tysięcy żołnierza, nie zaliczając tu 12 lub 15 tysięcy Portugalczyków, których spodziewał się dostać od dworu lizbońskiego. Od Hiszpanji niczego nie można było oczekiwać. Nie byłoby jednak rozsądną rzeczą występować przeciw Napoleonowi z kolumną 120 tysięcy walczących liczącą, lecz spodziewano się, że Blücher przy swym zapale nie zechce pozostawić lordowi Wellington sławy pierwszego znalezienia się na linji bojowej, i że rzuci się naprzód ze 100 lub 120 tysiącami Prusaków, czego po jego zamiłowaniu w wojaczce z pewnością można było oczekiwać; że wówczas musi stanąć, choć bez wyraźnego zezwolenia, jeżeli nie pod rozkazami, to pod kierownictwem jenerała angielskiego, a tym sposobem lord Wellington będzie miał 240 tysięcy ludzi do swego rozporządzenia i całą tę siłę poruszy na północy wówczas, gdy książę Schwarzenberg zacznie się posuwać od wschodu: a obiedwie te kolumny posuwając się, podobnie jak w 1814 roku ku Paryżowi, muszą raz jeszcze ukończyć kampanję uduszeniem Napoleona w tysiącznych ramionach koalicji. Druga armja rossyjska postępowała tuż za pierwszą pod wodzą Barklaya de Tolly i rezerwy pruskie mające wkrótce połączyć się z Blücherem, dostarczały 150 tysięcy żołnierza na linję bojową, a ztąd ani wątpiono, że 600 tysiącami walczących musi być zgniecion y Napoleon, o którym nieprzypuszczano, aby wystawił nawet 200 tysięcy walczących, w stanie takiego wyczerpania, w jakim znajdowała się Francja.

Rachuby te, nieco przesadzone, lecz bardzo zbliżone do prawdy, były przyjęte i uznane za zupełnie dokładne, a ztąd i plan, o którym mowa, natychmiast został zatwierdzony.

Wojska przeznaczone do Włoch znajdywały się już w pochodzie, gdyż pod tym względem gorliwość gabinetu wiedeńskiego żadnego nie potrzebowała bodźca. Postanowiono, że druga armja austrjacka będzie tak prędko jak tylko można skierowana ku Bazylei; że Bawarczycy, którzy mieli już gotowego 30 tysięcy żołnierza, pośpieszą z powiększeniem tej liczby do 50 tysięcy; że Wirtembergczycy, Badeńczycy, Hessowie, zarówno zostaną przynagleni; że Anglja będzie proszoną, aby oprócz dopełnienia swych pieniężnych zobowiązań względem państw wielkich, przyszła też z pomocą państwom drugiego rzędu; nadto, aby Anglja i Niderlandy nie opóźniały się ani chwili z zebraniem sił odpowiednich

do stawienia czoła Napoleonowi, jeżeliby przed czasem przypuszczalnym rozpoczął nieprzyjacielskie kroki, to jest w połowie Czerwca. Książę Wellington postanowił natychmiast wyjechać, dla urządzenia niejakiej spójności pomiędzy wojskami belgijskiemi, hollenderskiemi, hanowerskiemi i niemieckiemi, rozłożonemi w Niderlandach. Zamierzał także, przez zbliżenie się do Londynu, podtrzymać odwagę swego rządu i skłonić go do zatwierdzenia zobowiązań, które poczynił bez stosownego na to upoważnienia. Upoważniono go nadto do udzielenia rad zdrowych Burbonom, którzy schronili się do Belgji, a w końcu serdecznie życzono mu powodzeń w tej na nowo rozpoczynającej się wojnie. Panujący zaś postanowili pozostać w Wiedniu aż do wystąpienia swych wojsk, do czego naglili wszelkiemi środkami, zamierzając na linji wojennej pomieścić się w głównej kwaterze księcia Schwarzenberga i podobnie jak podczas kampanji 1814 roku.

Gdy się to dzieje, p. de Montrond z tajném swém posłannictwem szczęśliwie przybył do Wiednia, dzięki swej zręczności, śmiałości i różnorodnemu przebieraniu się. Najprzód odwiedził p. de Talleyrand, z którym wiązała go bardzo dawna zażyłość. Posiadał dosyć przenikliwości do natychmiastowego odkrycia, o ile ten dostojnik zabrnął w sprawę Burbonów, a zarówno obdarzony był zdrowém zdaniem, aby miał próbować bezużytecznych wysileń. Zatrzymał się więc skoro tylko spostrzegł, że p. de Talleyrand stanowcze już zrobił postanowienie, lecz chciał się przekonać, czy też inne poselstwa, mniej interesowane od francuzkiego w sprawie dynastji, są zarówno nieugięte jak p. de Talleyrand. Udał się więc do p. Nesselrode i zarówno jemu jak drugim starał się wykazać, że rewolucja 20-go Marca odpowiadała namiętnościom we Francji, a to nie tylko żywionym pomiędzy wojskami, ale pomiędzy ludem miejskim i wiejskim, że Napoleon znajdzie wiele rąk na swą usługę i że wojna z nim będzie nadzwyczaj straszną; że ztąd należy wprzódy ocenić niebezpieczeństwo przed stawieniem mu czoła i że jeżeli Burboni byli prawdziwym celem tej walki, to cel ten być może nie wart usiłowań, które robiono dla jego dosięgnięcia. P. de Montrond posiadał dosyć dowcipu i był dosyć znany dyplomatom, do których się zwracał, ażeby ci nie chcieli mówić z nim o tej sprawie, a wysłuchawszy wszystkiego, nie okazali się ani zdziwionymi, ani też zniechęconymi. Odpowiedzieli mu, że w Wiedniu nikt sobie nie robi złudzeń co do ważności tej wojny, lecz że wszyscy postanowili rzucić się w nią aż do ostateczności, to jest aż do upadku Napoleona; że co się jego tyczy, postanowienie jest nieodwołalném, lecz co do następców na tron, to jakkolwiek sprzymierzeni przekładają Burbonów nad kogo bądź innego, goto-

wi są przecież do zrobienia w swym czasie tego, co osądzą za najwłaściwsze.

Szczególny ten posłannik Napoleona, będący w dodatku także posłannikiem p. Fouché, chciał się przekonać następnie, czy może mieć jakie powodzenie rejencja Marji Ludwiki. Znalazłszy jednak Austrję zupełnie przeciwną tej rejencji i inne mocarstwa zarówno, zamierzył przekonać co sama księżna myśli i w tym celu zdołał się dostać do ogrodów w Schoenbrunn. Przedstawił się tutaj jako lubownik kwiatów i doszedłszy aż do p. Meneval, nie wzbudzając nawet cienia podejrzenia w policji austrjackiej, oświadczył mu, że jeżeliby Marja Ludwika zechciała pozostawić na boku etykietę i powierzyć się jemu, dowiózłby ją wraz z synem aż do Strasburga, ręcząc przytem za pomyślny skutek podobnego kroku. Wówczas p. Meneval obznajmił go z prawdziwém usposobieniem Marji Ludwiki, że na swą rejencję zarówno zimno pogląda, jak monarchowie zgromadzeni w Wiedniu i marzy tylko o swej nowej przyobiecanej sobie przyszłości, w której dla jej syna żadna nie pozostawała rola. P. de Montrond zaniechał więc dalszych usiłowań, oddał wiernie przywiezione listy, odebrał odpowiedzi, które zarówno postanowił dowieźć na miejsce przeznaczenia, a przed wyjazdem przekonawszy się, że Napoleon był niemożebnym (przynajmniej przy zwyczajnym biegu rzeczy) i że o Marji Ludwice żaden dwór ani pomyślał, zamierzył dowiedzieć się, czy książę, do którego był osobiście przywiązany i z którym podzielał wygnanie w Sycylji, to jest książę Orleański, nie przypadnie do smaku sprzymierzonym? Znalazł Anglję z niezmienną dla Ludwika XVIII gorliwością, Austrję uparcie trzymającą się zasad prawowitości, Prusy obojętne na wszystko co nie było upadkiem Napoleona, i jedynie tylko Rossję przedstawianą osobiście przez swego władzcę, skłaniającą się ku zmianie dynastji we Francji, na korzyść młodszej gałęzi domu Burbonów. Po skończonem sprawdzeniu wszystkich tych okoliczności p. de Montrond opuścił Wiedeń, nie zdradziwszy tego, którego był posłannikiem, i mało też usłużywszy, gdyż nic nie mógł dla niego zrobić, pomimo iż przekroczył zakres swego posłannictwa wdając się w rokowania na korzyść ukochanego przez siebie księcia. Postanowił zresztą nagą wypowiedzieć w Paryżu prawdę, ku czemu nawet miał tę skłonność, jaką odznaczają się zawsze wyższe umysły. Zabrał z sobą także list od p. Meneval, w którym wierny ten stronnik długo się rozpisał do p. de Caulaincourt, przy zachowaniu wszakże należnego uszanowania, poza granice którego nigdy nie wychodził, o Marji Ludwice i dworze wiedeńskim, przytaczając drobiazgowo wszystkie szczegóły potrzebne dla wiadomości Napoleona. P. de Montrond spieszył z powro-

tem do Paryża, chcąc jak najprędzej dowieźć tam wiadomości, w które zaopatrzył się przy użyciu całej swej zręczności.

Nie poznalibyśmy dostatecznie prawdziwego stanu Europy, jeślibyśmy ograniczając się na śledzeniu tego co się działo w Wiedniu, nie zwrócili choć na chwilę spojrzenia na to, co się w tymże samym czasie działo w Londynie. Pomimo że w Wiedniu postępowanie było godne ludzi, którzy się nie zmienili i nieubłaganą nienawiść żywili dla Napoleona, to przecież w Anglji, przy niezłomnej chęci utrzymania wszystkich nabytych korzyści, widocznie zmieniły się usposobienia. Bezwątpienia że interes jest jedną ze sprężyn Anglji, jak każdego innego narodu, jakkolwiek byłby on światłym; lecz postanowienie prawa, współczucie dla uciśnionych (jeżeli sama nie jest uciskającą), pojęcie rzeczy, miłość wielkości, odgrywają także ważną rolę w jej postanowieniach, i nie możnaby było poznać jednego z zarysów charakteru brytyjskiego, bez zdania sobie sprawy z tych różnych usposobień. Niezaprzeczoną jest rzeczą, że Wielka Brytanja nie stawszy się przyjaciółką ani Napoleona, ani też Francji, nie żywiła już tych gorących namiętności, jakiemi oddychała przed rokiem. Po uciszeniu się szału zwycięztwa, oddała się ona używaniu pokoju i wyobraźnia jej widziała już wspaniały rozwój stosunków handlowych. Jedenaście czy dwanaście miesięcy spoczynku, którego używała, pozwoliły jej rozproszyć swe wyroby po całym świecie, a ztąd oceniała nadzwyczaj otworzenie wszystkich dróg, tak korzystnie na jej przemysł oddziaływających. Krótkie zastanowienie się, jakiemu miała już czas się oddać, wykazało jej cały ogrom ciężarów w ostatniej wojnie poniesionych, a ztąd łatwo przyszła do przekonania, że jeżeli ta wojna znakomite przyniosła korzyści, to zarówno nie mniej kosztowała. Dług jej potrojony, pożerał połowę podatków, a *income-tax* (podatek od dochodu), tak znienawidzony i dla swej formy i dla zasady, stał się skutkiem tegoż długu potrzebą nieustającą; nabytki zaś na obudwu półkulach nie były zupełnie wystarczającém za podobne ciężary wynagrodzeniem. To co nazywano *commissariat*, czyli postępująca za wojskami administracja ruchoma, pozostawiła w Hiszpanji znaczne długi, o które świeżo zawarto umowę w Ameryce, gdyż spłacenie ich nie cierpiało zwłoki. W takiém położeniu rozpoczęcie wojny nikomu nie przypadało do smaku. Zresztą po co i dla kogo ją rozpoczynać? Jeżeli chodziło o nabyte korzyści, to Napoleon wyrzekł już postanowienie utrzymania pokoju na podstawach układów paryzkiego i wiedeńskiego, a jeżeli wprawdzie można było nie ufać jego słowu, to przecież w jego własnym interesie można było dostrzedz wielką rękojmię szczerości. Nadto, jego chęć podobania się Anglji, stwierdzoną została pośpiechem, z jakim

zniósł handel murzynami (Napoleon rzeczywiście z własnego popędu wydał podobne postanowienie). Nie wiedząc więc po co prowadzić wojnę, zapytywano się dla kogo? Widocznie była ona dla Burbonów i przeciw Napoleonowi. Ale Burboni utracili już wiele w umyśle Anglików, a Napoleon coś zyskał.

Powiedziane grzeczności przez Ludwika XVIII księciu rejentowi, bezwątpienia pochlebiły Anglji, lecz o rządach Burbonów bardzo surowe powzięła ona wyobrażenie. Ferdynanda VII w Hiszpanji znajdowała ona niecnym, a Ludwika XVIII we Francji osądziła jako niezręcznego, nieposiadającego dość światła i pracującego nad sprowadzeniem na swą rodzinę klęski, która też ją dotknęła. Uzbrajać się na korzyść Burbonów i w celu narzucenia Francji rządu, któregoby Anglja w żadnym razie dla siebie nie chciała, w oczach każdego było nierozsądném postępowaniem. Co zaś do Napoleona, to zyskał on to wszystko, co z szacunku powszechnego utracili jego nieprzyjaciele. Najbardziej mu tylko wyrzucano tę jego nienasyconą i zagrażającą przewrotem dumę. To też Anglicy z wielkiém niezadowoleniem patrzyli na pozostawienie Alexandrowi Polski, na rozczłonkowanie Saksonji dla korzyści Prus, na wcielenie Wenecji do Austrji, a Genui do Piemontu, i bez zbadania, czy wszystkie te ofiary nie nastąpiły skutkiem konieczności nowego porządku, do którego przykładali się najbardziej, bez zbadania, czy tego co tak ganili w innych, nie popełniali także sami, utrzymywali, że to nie trudno zarzucać dumne zamiary Francji, kiedy się im wyrównywa. Nadto, ponieważ Anglicy obdarzeni są silną wyobraźnią, przeto cudowny powrót Napoleona z wyspy Elby, okrył go w ich oczach dawnym urokiem. Powrót ten z widocznem przyzwoleniem Francji, stanął pod zasłoną zasady, która jest główną w Anglji i którą podtrzymywali oni przez lat dwadzieścia pięć przeciw różnym swym gabinetom, to jest zasady uznawania rządu mającego władzę. W takich więc okolicznościach rozpoczynać zażartą wojnę, uwieczniać *income-tax*, od którego spodziewano się oswobodzić, dodawać nowe ciężary do tak już gniotącego długu, zamykać sobie zaledwie otwarte drogi, rzucać się nakoniec w okropności wojny, gdy dopiero od kilku miesięcy wyjść się z nich udało, a to wszystko dla książąt nieudolnych i to przeciw księciu nazbyt bezwątpienia zdolnemu, lecz bez pozostawienia czasu na przekonanie, czy nieszczęścia rzeczywiście go poprawiły, zdawało się wszystkim bezstronnym ludziom postępowaniem nierozsądném, natchniętém przestarzałemi przesądami szkoły Pitta.

Gabinet angielski czuł tę zmianę opinji publicznej i gdyby był obecnym w Wiedniu, nie zrobiłby tak łatwo zobowiązań jako książę Wel-

lington. Lord Liverpool i p. Vansittart, którzy bezwątpienia nie byli przyjaciołmi Francji, silnie odpychali zobowiązanie się do nowej wojny; co zaś do lorda Castlereagh, to ten będąc pod wpływem zobowiązań poczynionych na stałym lądzie, nie niepokoił się tak bardzo jak jego towarzysze o stan usposobienia Anglji, czując jednakże potrzebę oględnego postępowania. Nabiegła do Londynu emigracja francuzka, usiłowała pokonać podobne zapatrywanie się na rzeczy ministrów brytyjskich. Książę de Feltre, wysłany przez Ludwika XVIII, udzielił im nie tylko swych uwag nabytych długiém doświadczeniem w zarządzie cesarskim, lecz wydał także nowe i najdokładniejsze dowody, o które się postarał w czasie ostatniego swego piastowania teki ministerjalnej. Starał się on ich upewnić co do niebezpieczeństwa wojny, dowodząc, że Francja, wówczas gdy opuszczał Paryż w dniu 19 Marca, miała tylko 180 tysięcy ludzi pod bronią, że nie mogła zgromadzić 50 tysięcy na jednym punkcie i że Napoleon przy całej swej twórczej działalności, nie będzie mógł wyprowadzić nad 100 tysięcy żołnierza do boju, po zaopatrzeniu w załogi twierdz wewnętrznych. Z dowodzeniami temi łączyły się zapewnienia niektórych rojalistów z prowincji zachodnich, dowodzące, że przy udzielaniu pomocy w broni i zapasach, przy wysadzeniu jej na brzegi Bretanji i Wandei, wieśniacy tych okolic powstaną jak niegdyś i znaczące wykonają ruchy, a w takim razie rozdzielone siły Napoleona nie będą tak straszne. Ze wszystkiego tego miarkowano, że przy działaniu silném, nadewszystko nagłém, Napoleon może być obalony, a wszystkie państwa zapewnione w posiadaniu nabytków z 1814 roku. Ministrowie angielscy ważyli wszystkie te dowodzenia za i przeciw, gdy w tém dowiedzieli się, że lord Wellington bez radzenia się ich, zabrnął na nowo w koalicję, a obawa zerwania związku europejskiego, pobłażanie takiego znaczenia posłowi brytyjskiemu, skłonność lorda Castlereagh ku polityce stałego lądu, nakoniec niezmienny duch ministrów torysów, przeważyły pytanie na stronę wojny. W obec jednak widocznego oporu opinji publicznej, trzeba się było uciec do podejścia i lord Castlereagh postanowił ukryć postanowienie, czego dzisiaj dzięki postępowi obyczajów publicznych, żaden minister angielski nie ośmieliłby się zrobić (*). Postanowiono więc, przy dowiedzeniu się o wszystkiém co się stało w Wiedniu, użyć kilku zastrzeżeń dla okazania, że zasady Wielkiej Brytanji są strzeżone, i przyjęte zobowiązania się ogłaszać powoli, w miarę jak powszechny obrót rzeczy zacznie usprawiedliwiać postano-

(*) Ukrycie to postanowienia gabinetu udowodnione zostało świeżém ogłoszeniem korrespondencji lorda Castlereagh i papierami drukiem nieogłoszonemi, które mieliśmy przed oczyma i które odnoszą się do kongresu wiedeńskiego.

wienie gabinetu. Takim sposobem umowa z 25 Marca, odnawiająca przymierze zawarte w Chaumont, została zatwierdzoną, lecz z zastrzeżeniem co do artykułu 8-go. Artykuł ten, który przypuszczał Ludwika XVIII-go do przystąpienia do tejże umowy, powinien być rozumiany, mówiono, jako zobowiązujący władzców Europy, we wspólnym ich interesie, do wspólnych przeciw Napoleonowi działań, lecz niejako zobowiązujący Jej Brytańską Mość do prowadzenia wojny, w widokach narzucenia Francji jakiegokolwiek bądź rządu. Umowa ta, nadesłana do Londynu 5 Kwietnia, została zatwierdzona i wysłana 8-go, z tém zastrzeżeniem, szczegółowém lecz kłamliwém, gdyż rzeczywiście bardzo stanowczo pożądano obalenia Napoleona i zastąpienia go przez Burbonów.

Zawierając taką umowę, nie było możebną rzeczą, w kraju podobnie jak Anglja urządzonym, zachować milczenie względem parlamentu, sprawującego w rzeczywistości władzę, której korona jest tylko zaszczytem. Postanowiono więc 6 Kwietnia, to jest nazajutrz po nadejściu do Londynu traktatu z 25 Marca, wyrzec coś do izb obudwóch. Oznajmiono im przeto, że w obec zaszłych we Francji wypadków, korona sądzi się być w obowiązku powiększenia sił lądowych i morskich i wejścia w stosunki ze sprzymierzonymi, aby wspólnie z nimi porozumieć się co do zapewnienia obecnego i przyszłego bezpieczeństwa Europy.

Gabinet zażądał natychmiastowych obrad w tym przedmiocie i wymógł je, pomimo żądań opozycji, aby je opóźnić. Rozprawy były żywe i gruntowne. Lord Liverpool wyobrażał gabinet, a lord Grey opozycję w izbie wyższej. Lord Castlereagh zajął głos za gabinet, a sir Francis Burdett i p. Whitbreadt za opozycję w izbie gmin. Z wyjątkiem niejakiej różnicy pod względem wyrażeń, jednakowy był grunt rozpraw w obudwu izbach.

Gabinet przedstawił stan rzeczy następnie. W Kwietniu 1814 roku postąpiono z Francją z nadzwyczajną szlachetnością. W miejsce zniszczenia tego państwa, które od dwudziestu pięciu lat nie przestawało przewracać Europy, w miejsce ukarania jej za poczynione przez nią klęski, okazano jej największe względy. Zostawiono jej bowiem nieco większe granice, niż je miała w 1790 roku, to jest Maryenbourg na północy, Landau na wschodzie, Chambery na południu, a oprócz tego muzeum, które powstało z grabieży muzeów europejskich. Co zaś do Napoleona, zatwierdzono mu warunki o wiele więcej jeszcze pobłażliwe, umową z 11 Kwietnia. Ministerjum brytyjskie nie byłoby pewnie podpisało tego nierozsądnego traktatu, gdyby lord Castlereagh za przybyciem swém w Kwietniu 1814 roku do Paryża, nie był go znalazł zredagowanym i silnie popieranym przez cesarza Aleksandra. Zresztą Napoleon w tym

czasie miał jeszcze w Lille, Paryżu, Tuluzie i Lyonie przynajmniej 150 tysięcy żołnierza, a ztąd należało zwracać uwagę na niebezpieczeństwo przedłużonej wojny. Traktat ten z 11 Kwietnia, który mu zapewniał panowanie na wyspie Elbie i znakomite dochody, pogwałcił on bezczelnie przez opuszczenie tej wyspy i przybycie do Francji dla uwiedzenia wojska, dla którego pokój był nienawistnym i które myślało tylko o zyskiwaniu stopni i grabieży. Przytaczano, co prawda, na usprawiedliwienie Napoleona, że traktat co do niego został pogwałcony. Jeżeli traktat został pogwałcony, jak to utrzymują jego stronnicy, dla czegóż się o to nie upomniał? Nic on tu nie powiedział, ani też kazał powiedzieć. Gabinet brytyjski dowiedziawszy się ubocznie, że Napoleonowi zbywa na pieniądzach, napierał Francję, aby wyznaczona mu summa została wypłaconą. Co zaś do wyrzutów, że nie był dobrze strzeżony, to ci co je czynią zapominają, iż Napoleon na wyspie Elbie był panującym ale nie więźniem, że wyspa Elba pilnowaną była tylko przez statki strażnicze, że podobne statki można zawsze ominąć, chociażby nawet złożone były z najliczniejszej marynarki; że pułkownik Campbell przemieszkiwając już to w Livorno, już w Porto-Ferrajo, nie znajdował się na nieszczęście w tém ostatniém mieście 26 Lutego, a gdyby nawet był się i znajdował, to postąpionoby z nim podobnie jak i z innymi Anglikami, których oddano w ręce żandarmerji; że ztąd nie ma nic do zarzucenia gabinetowi brytyjskiemu; że pozostaje ważny i przestraszający czyn już spełniony, iż Napoleon stanął na czele rządu francuzkiego, skutkiem zdrady wojska, chciwego wojny i łupów; że Europa nie może zgodzić się na znajdowanie się w ciągłym niepokoju, a to z powodu, że wojsku francuzkiemu potrzeba ruchu, stopni i pieniędzy; że tu nie idzie o rozpoczynanie natychmiastowej wojny, ani też o narzucenie Francji takiego lub owego rządu, lecz o utrzymanie niezłomnego związku z państwami stałego lądu, gdyż związek ten ocalił już Europę i on jeden może ją jeszcze wybawić od nieznośnego jarzma; że Anglja nie pożąda wcale wojny, że bardzo przekłada nad nią pokój, lecz że niepodobieństwem jest spodziewać się go po człowieku bez wiary, przyrzekającym dzisiaj, łamiącym go jutro, że nadewszystko postanowienie w tym względzie należy pozostawić państwom stałego lądu, daleko więcej zagrożonym aniżeli Anglja, dla której pozostaje jedna tylko droga, to jest niezłomne przymierze z mocarstwami. Rozprawy więc mają tylko cel jeden, to jest uchwałę utrzymania ścisłego przymierza z państwami stałego lądu i postawienia się w gotowości na ich wezwanie, jeżeli w razie przypadku będą potrzebowały sił wojskowych i morskich Wielkiej Brytanji.

Nie można było zręczniej ukryć pod temi ogólnikami tego szczegółu,

że wojna została już postanowiona i przyrzeczona w Wiedniu. Opozycja jednak nie dała się złapać w sidła tych rozumowań i zwycięzko odepchnęła wszelkie dowodzenia lordów Liverpool i Castlereagh.

Najprzód zapytała ona, czy rzeczywiście w chwili gdy to mówiono, rząd nie podpisał w Wiedniu stanowczego zobowiązania się do przedsięwzięcia wojny przeciw Francji, dla obalenia Napoleona i przywrócenia Burbonów. Podejrzywając to, bez dokładnej znajomości rzeczy, opozycja postawiła pytanie w wyrażeniach, które lord Castlereagh obszedł brakiem szczerości, czego nigdy nie powinien sobie pozwalać minister w państwie wolném. Ponieważ w samej rzeczy w umowie nie wyrażono się podobnie, ponieważ nie powiedziano w niej, że wypowiada się wojna Francji dla przywrócenia Burbonów na miejsce Bonapartego, pomimo że to było w głębi celu, do którego dążono, przeto lord Castlereagh, który od dwóch już dni miał w ręku tekst umowy z 25 Marca, odpowiedział ze źle ukrytą obłudą, że Anglja nic podobnego nie podpisała i starał się dać do zrozumienia, że wzięła na się zobowiązania tylko na przypadek zdarzyć się mogących wypadków, jako prostą ostrożność, zgodną jedném słowem z oświadczeniem ministerjalném, nad którém toczyły się obecne rozprawy.

Oszukana co do czynów opozycja nie dała się jednak pokonać w rozumowaniach. Wychodziła ona z zasady, że jeżeli poprzednio na dobie była walka do upadłego z Napoleonem, to dzisiaj nierozsądkiem było kierować się zastarzałém natchnieniem stronnictwa torysów i rozpoczynać z niém wojnę na nowo; że traktat z 11 Kwietnia, proste następstwo położenia w 1814 roku, bezwstydnie i na wszystkie sposoby został pogwałcony; że nie tylko nie wypłacano Napoleonowi zapewnionych subsydjów, co go zmusiło do sprzedaży części dział wyspy Elby, ale nadto postawiono w wątpliwości księstwo Parmy, zapewnione jego żonie i synowi, odmówiono przyrzeczonego uposażenia księciu Eugenjuszowi i prawie publicznie rozprawiano o przewiezieniu jego samego na jednę z wysp oceanu; że tym sposobem nadano mu wszelkie możebne prawa do zerwania umowy z 11 Kwietnia; że wylądowawszy we Francji, znalazł nie tylko wojska ale cały naród usposobiony do otworzenia mu swych ramion; że jedynie z wojskiem nie byłby przybył w dwudziestu dniach do Paryża, otoczony okrzykami mieszkańców miast i wiosek; że widocznie nie ukazał się jako naczelnik wojsk rozbójniczych, jak to usiłowano wmówić, lecz opanowawszy Francję bez wystrzału, dowiódł, że jest prawdziwym wyobrazicielem rewolucji francuzkiej; że przeciwnie, ani jedno ramię nie wzniosło się na obronę Burbonów, zkąd oczywisty

wniosek, iż naród nie przekłada ich nad Bonapartego; że rozpoczęcie natychmiastowe wojny, które pomimo zaprzeczania bezzawodnie postanowioném zostało, ma za cel rzeczywisty sprawę Burbonów, podejrzanych i znienawidzonych przez większość narodu francuzkiego, przeciw Napoleonowi, który w pojęciu ogółu był prawdziwym wyobrazicielem interesów ludu; że było to mięszaniem się w sprawy wewnętrzne narodu niepodległego, zupełnie przeciwném zasadom Wielkiej Brytanji, mieszanie się, które powinno być wzbronioném choćby nawet okazywało się korzystném dla interesów brytyjskich, a od którego tém bardziej należy się powstrzymać, gdy ono jest szkodliwém dla tychże interesów; że Napoleon nie będzie tém czém był, to jest człowiekiem niezaprzeczonego genjuszu, jeżeli nieszczęście go nie zmieniło; że widocznie już okazał się zmienionym do pewnego stopnia, ponieważ z pośpiechem przyjmuje traktat paryzki, tak uparcie odpychany w 1814 roku: że wprawdzie zaprzeczano mu dobrej wiary, przez pamięć na dawną i olbrzymią jego dumę; że wszystko co mówiono o jego dumie było rzeczywiście bardzo gruntowném, lecz od czasu kongresu wiedeńskiego nie można mówić o tej dumie, bez przypomnienia dumy tych, którzy przywłaszczyli sobie Polskę, popłatali Saksonję, pozbawili narodowości Wenecję i Genuę; że doświadczenie nauczyło, iż tych ostatnich także należy się obawiać i że potrzeba wymaga trzymania ich na wodzy przynajmniej o tyle, o ile Napoleona; że jeżeli ten, korzystając z nauki 1813 i 1814 r., obecnie oświadczył się stanowczo za pokojem, więc nie można tak gwałtownie i bez namyślenia się głosić przeciw niemu wojnę; że wart on tyle co i inni na tronie francuzkim; że rozpoczynać wojnę, zdwajać raz jeszcze dług angielski, uwieczniać *income-tax*, stawić nakoniec czoło zmiennym losom wojny, która może być straszną, jeżeli stanie się narodową ze strony Francji, a to wszystko dla przywrócenia Burbonów, było poświęceniem prawdziwych interesów Anglji dla przesądów torysów i że jakkolwiek pochlebnemi były wypowiedziane grzeczności przez Ludwika XVIII, to w każdym razie nie warte one były, aby je opłacać tak wysoką ceną.

Dowodzenia te, które zapanowały wówczas nad wszystkiemi umysłami w Anglji, widocznie trafiały także do przekonania parlamentu. Wprawdzie kilku polityków, widząc że Anglja zyskała w Wiedniu tyle ile najchciwsze mocarstwa i że wojna była jedynym środkiem do utrzymania wszystkich nabytków, skłaniali się ku jej rozpoczęciu, lecz ciż nawet, trapieni wątpliwością o jej powodzeniu, żądali czasu do zastanowienia się przed stanowczém postanowieniem. P. Ponsoby, stojąc pomiędzy ministerstwem a opozycją, został organem tego poglądu. Opo-

zycja w odpowiedzi na przedstawienie gabinetu zrobiła wniosek o stanowcze oświadczenie się za pokojem. Zagłosować podobny wniosek, było to stanowczo oświadczyć się przeciw wojnie, a większość bardzo słusznie żądała, aby przed jakiémkolwiek postanowieniem, położenie należycie wyświetloném zostało. P. Ponsonby zabrawszy głos, oświadczył, że jeżeli w przedstawieniu ministerjalném ujrzy stanowcze postanowienie wojny, w takim razie nie będzie za nią głosował, gdyż należy do liczby tych, którzy uważają za słuszne, aby nie odrzucać zbyt nagle czynionych ofiar przez Napoleona; że nie wierzy temu, jak dowodzono, aby on tylko przez wojsko powołanym został, gdyż widocznie wielka część narodu francuzkiego skłaniała się ku niemu; że podobny stan rzeczy trzeba wziąć na wielką uwagę, dobrze zważyć korzyści i niebezpieczeństwa wojny, przełożyć nad nią pokój, jeżeli ten jest pewnym, wziąć się do wojny tylko wówczas, jeżeli ta jest nieuniknioną i robi nadzieję pomyślnego skutku, jedném słowem zbadać, zastanowić się i dopiero odpowiedzieć na przedstawienie gabinetu zgodnie z jego zamiarami, to jest nie rzucać się nieoględnie w zażartą wojnę, lecz pozostać w przymierzu z mocarstwami stałego lądu i przygotować dostateczne środki do wsparcia ich w razie potrzeby. Skutkiem tych i jedynych powodów, p. Ponsonby nie zgadzał się na wniosek stawiony przez opozycję. To też chcąc jasno postawić pytanie, po kilka kroć wzywała gabinet do wypowiedzenia prawdy i do wyznania, czy głosując za jego przedstawieniem uchwali się pewną a nawet bardzo bliską wojnę. Energiczne i kilkakrotnie powtórzone zaprzeczenie dało się słyszeć z miejsc zajętych przez członków gabinetu, którzy nie zawahali się nad ucieczką do kłamstwa, którego ministrowie brytyjscy, trzeba to wyznać na pochwałę urządzeń tego kraju, nie popełnili odtąd nigdy z taką śmiałością.

Wniosek więc opozycji otrzymał bardzo małą liczbę głosów, jakie czterdzieści najwięcej, gdy tymczasem ministerstwo poparte zostało więcej niż dwomaset głosami.

Zaledwie rząd uzyskał podobną uchwałę parlamentu, wyprawił natychmiast do Wiednia zatwierdzoną umowę z 25 Marca, z tém tylko urojoném zastrzeżeniem, o którém jużeśmy mówili, a następnie wysłał do Brukselli dwóch członków gabinetu, w celu porozumienia się z księciem Wellington co do wszelkich szczegółów. Byli oni upoważnieni do oświadczenia, że zarówno jak on pożądali wojny i że ją będą podtrzymywać sprężyście; że wszystko co powiedziano w izbach, było tylko podejściem, które stało się koniecznem, ze względu na stan umysłów w Anglji; że jemu pozostawiają wytłomaczenie Ludwikowi XVIII praw-

dziwego znaczenia dodanego do artykułu 8-go umowy zastrzeżenia, które było tylko jedyném dla zadość uczynienia pewnej drażliwości, co jednak bynajmniej nie przeszkadza do chęci przywrócenia Burbonów i do pracowania w tej sprawie tak usilnie jak poprzednio. Rząd kazał także oświadczyć lordowi Wellington, iż dostarczy przyrzeczone przez niego trzem wielkim mocarstwom 6 miljonów funtów sterlingów, lecz że niemożebną jest rzeczą przekraczać tę granicę, i że co się tyczy małych państw niemieckich, postara się wynagrodzić je pieniędzmi za dostawienie wojska, którego będzie brakować do umówionej liczby 150 tysięcy ludzi. Nakoniec gabinet silnie na lorda Wellington nalegał o wyjawienie tak swoich jak i koalicji planów, aby nabrał do nich zaufania i mógł je skutecznie popierać. Tymczasem, aby pozyskać wiarę dla słów powiedzianych w parlamencie, admiralicja poleciła marynarce angielskiej szanować trójkolorowy pawilon, czego dotąd nie czyniła, gdyż strzelała do tegoż pawilonu, a wolno przepuszczała biały. Admiralicja pozwoliła także statkom handlowym obudwóch narodów do zobopólnego zawijania do portów. Było to tylko zamaskowanie się na dwa lub trzy miesiące, to jest do dnia, w którym rozpocząć się miały kroki nieprzyjacielskie.

Za przybyciem swém do Brukselli, posłannicy gabinetu angielskiego znaleźli księcia Wellington aż nadto dobrze usposobionym do robienia wszelkich ustępstw dla formy, byle tylko grunt rzeczy na tém nie ucierpiał, gdyż i on musiał już działać w téj myśli i powstrzymywać Prusaków z jednej, a emigrantów francuzkich z drugiej strony, aby nie dopuścić na jakie nieroztropne postąpienie. Podwójne to zadanie było nadzwyczaj trudne, gdyż tak u jednych jak u drugich szczególniej rozbudziły się namiętności. Prusacy doszli do pewnego stopnia szaleństwa, trudnego nawet do przedstawienia. Mówili oni o powtórném wkroczeniu do Francji i do niepozostawienia tam ani jednego pałacu, ani jednej lepianki. Główne ich siły rozłożone były około Liège, a ponieważ to miasto przyjaznemi dla Francji oddychało uczuciami, przeto dopuszczali się nad niém największych gwałtowności, rozciągnęli nad mieszkańcami policję śledczą, więzili lub wypędzali obwinionych o stosunki z Francuzami i okazywali największą surowość względem wojsk saskich, które od czasu podziału Saksonji zaczęły mocno żałować swego postąpienia pod Lipskiem i z żalem swym nie ukrywały się wcale. Objawy uczuć tego wojska tak stały się już niepokojące, że trzeba było wyprawić je na tyły dla rozbrojenia. Chciał także Blücher przebrać żołnierzy saskich i wcielić ich do swych szeregów, wychodząc z zasady, że stali się Prusakami na mocy ostatecznych układów wiedeńskich. Sasi zaś ani myśleli o poddaniu się podobnej zmianie i zagrażali gwałtownym oporem,

będąc moralnie popierani przez mieszkańców z Liège Radzili Blüche rowi, aby odroczył użycie tych środków, lecz nie był on zdolnym do usłuchania żadnej umiarkowanej rady. Szalony dziennik p. t. *Merkury Reński*, był tłomaczem namiętności pruskich. Według tegoż dziennika nie należało walczyć z Francuzami jak ze zwykłym nieprzyjacielem, lecz obejść się z nimi jak *ze psami wściekłemi*, od których można się oswobodzić tylko przez ich wybicie. Należało prowadzić wojnę z Napoleonem, ale więcej jeszcze z ludem francuzkim, gdyż to tylko ten lud swą pychą i zachciankami od dwudziestu pięciu lat dręczył Europę; należało więc go zniszczyć jako naród przez podzielenie na Owerniaków, Bretonów, Akwitanów, którzyby mieli swych oddzielnych królów, przez odłączenie Alzatczyków, Lotaryngczyków, Flamandczyków i wcielenie ich do cesarstwa Niemieckiego i przez nadanie temuż cesarstwu siły jedności wyborem cesarza; należało więc skutkiem tego zrobić z Niemiec to, co się miało zniszczyć we Francji, to jest pozbawić królów ich państw na korzyść cesarza, gdy tymczasem we Francji zniszczyć władzę cesarską na rzecz pięciu lub sześciu oddzielnych królów; należało zabrać dobra narodowe, jako owoc grabieży rewolucyjnej i zrobić z nich albo nadania dla wojsk sprzymierzonych, albo też zastaw na wybicie papierów, któreby posłużyły do opłacenia nowej wojny koalicji. Szaleństwa te, rozlewane w artykułach burzących zarówno swą formą jak i rzeczą, każdodziennie z rana ukazywały się w tym dzienniku i rozrzucane były nad brzegami Renu.

Do dowodzeń tych łączyli Prusacy swe plany wojenne, które wcale nie były rozsądniejsze. Chcieli oni natychmiast wyruszać do Paryża, nie troszcząc się bynajmniej, czy inne wojska koalicji były już gotowe do podtrzymywania ich usiłowań. Zdawało się im bowiem, że sami, przy pomocy zaledwie kilku Anglików, Hanowerczyków i Hollendrów, wszystko zdołają przewrócić co spotkają na drodze i skończyć wojnę od jednego zamachu.

W Gandawie, gdzie się schronił Ludwik XVIII, znajdowało się drugie ognisko zarówno nierozsądnych namiętności. Jeżeli niektórzy z pomiędzy ministrów towarzyszących Ludwikowi XVIII, jak pp. Louis i de Jaucourt, w wypadkach szukali nauki, to za to inni zupełnie przeciwnie na te rzeczy patrzeli. Bardzo płynnie dowodzili oni, że wojska francuzkie były zbiorem rozbójników, których należało się pozbyć, że zanadto pochlebiano dowódzcom, że potrzeba odstąpić od tej polityki, stracić kilka głów jeneralskich i rewolucyjnych i sprężystością zastąpić słabość. W powrocie Napoleona widziano tylko skutek rozległego sprzysiężenia, a w postępowaniu tych, którzy przyjaźnie ten powrót powitali,

upatrywano zdradę a nie uniesienie. Na jedną już głowę głośno padały wszystkie złorzeczenia, a była nią nieszczęśliwa głowa marszałka Ney. To też bez najmniejszej myśli o potrzebie poprawy, marzono tylko o zemście i o zagaszeniu swych namiętności krwią, której rozlewu odżałować nie można.

Trzeba też wyznać na pochwałę Ludwika XVIII, że jeżeli zbywało mu na zapale duszy, to za to był dalekim od tych opłakanych namiętności, pozwalał mówić szaleństwa, sam ich nie powtarzając i ograniczał się na życzeniach, aby koalicja jak najprędzej posadziła go na tronie. Przyznawał on nawet, że potrzeba mniejszy dać udział w rządzie swemu bratu, synowcom, dworakom, a daleko większy ministrom. Na nieszczęście niektórzy z dyplomatów zagranicznych, których światło powinno było zabezpieczyć od szału chwilowego, dawali nawet jego przykład, a hrabia Pozzo napisał w tym przedmiocie list do lorda Castlereagh, w którym ze zmysłem politycznym, łączyły się następne szalone słowa: »Pozostawiliśmy Ludwika XVIII-go oko w oko z djabłami rewolucji i zwaliliśmy na niego tak swoje jak i jego nieroztropne czyny. W takiém położeniu Bonaparte zjawił się niespodzianie, wojsko obaliło tron, który powinno było wspierać, lud zadziwił się i osłupiał: będzie on bardziej przyklaskiwał przeciwnemu widowisku, jeżeli, jak się spodziewam, damy mu to widowisko. Nie należy nam jednak ograniczyć się na powitaniu, jakie nas oczekuje. Jeżeli chcemy spoczynku, to winniśmy postawić króla w możności rozwiązania wojska, utworzenia zeń nowego i oczyszczenia Francji z pięćdziesięciu wielkich zbrodniarzy, których istnienie sprzeczném jest z pokojem. Francuzi powinni wziąć na siebie wykonanie tego, a sprzymierzeni powinni im dostarczyć możności wykonania. Ocalenie nasze winniśmy związkowi, a związek nasz w znacznej części jest skutkiem szczęśliwego zbiegu okoliczności, które nie powtórzą się tak łatwo!« Podobne słowa, wychodzące z ust człowieka odznaczającego się wyższością umysłową, który później dał dowody najwyższego rozsądku, najlepsze dają świadectwo do jakiego stopnia ślepe namiętności ożywiały wówczas całą Europę.

Rozsądny książę Wellington obowiązany był do jakiegokolwiek uspokojenia tych szalonych uniesień, a każdy przyzna, że dość trudne było to zadanie. Lecz gdy głównie chodziło o działania wojskowe i gdy w tej rzeczy był on wielką powagą i miał władzę zupełną, przeto ograniczył się do rozciągnięcia tylko tutaj swego przeważnego wpływu, pozwalając zresztą na krzyki. Nie podobał mu się przecież język dzienników z nad brzegów Renu i wyraził obawę, aby nie odnowił się błąd odezwy księcia Brunświckiego. Radził marszałkowi Blücher, aby

oszczędzał Sasów i nie usiłował wcielać w swe szeregi tych, którzy odpadli do Prus. Radził Ludwikowi XVIII odsunąć wpływ dworu, zatwierdzić na wzór Anglji ministra zupełnie odpowiedzialnego, łączącego w swym ręku władzę z odpowiedzialnością. Co zaś do spraw wojennych, naradzał się w Gandawie z posłannikami gabinetu angielskiego, z jenerałami pruskimi i z księciem de Feltre, ministrem wojny Ludwika XVIII-go. Pomimo że na tych obradach bardzo nisko obliczano siły Francji, to przecież książę Wellington we wszystkiém co mu mówiono, znajdował raczej powody do oględnego, aniżeli do śmiałego postępowania. Zdołał nawet przekonać jenerała Gneisenau, zasiadającego za Blüchera, że mała była korzyść z pośpiechu, że główne siły pruskie winny najprzód ścisnąć się ku Anglikom, aby utworzyć na północy kolumnę z 250 tysięcy walczących i oczekiwać następnie, dopóki równe tym siły nie nadejdą od wschodu pod księciem Schwarzenberg i tak się już zbliżą, że będzie można uczuć ich działanie. Odroczyć tym sposobem zwycięztwo, aby je uczynić pewniejszém, porządnie postępować najprzód dwoma wielkiemi kolumnami, z których każda będzie silniejszą od przypuszczalnych sił Napoleona, zapewnić swój pochód przez zdobywanie twierdz spotykanych na drodze, następnie nacisnąć Napoleona ku Paryżowi i udusić zgromadzonemi siłami 4 do 500 tysięcy walczących wynoszącemi, unikając starannie, aby nie popaść w matnię genjalnych jego obrotów, było planem księcia Wellington, a planem przerysowanym z kampanji 1814 roku, z której wyrzucone zostały tylko wybryki Blüchera. Jenerał Gneisenau, który był człowiekiem pojmującym rzeczy, podzielił te zamiary i przyrzekł w imieniu wojsk pruskich tak zachowanie względów dla rad jenerała angielskiego, jak i poświęcenie się dla wspólnej sprawy. Postanowiono więc, że skupienie wojsk przeznaczonych do działań na północy Francji, ma się dokonać jak można najśpieszniej; że Anglicy, Hollando-Belgowie, Hanowerczycy, Brunświgczycy i inni, składający właściwą armję księcia Wellington, zgromadzą się pomiędzy Brukselą a Mons i rozłożą się na lewym brzegu Sambry, a Prusacy zajmą prawy brzeg tej rzeki, posuwając się bez straty czasu z Liège ku Charleroy; że jedni z drugimi ściśle będą połączeni za pomocą licznych mostów, gotowi do niesienia sobie wzajemnej pomocy, w razie gdyby w oczekiwaniu na resztę sił sprzymierzonych, uderzył na nich niespodzianie straszny przeciwnik. Spokój i przekonywające rady księcia Wellington wywarły wpływ zamierzony na usposobienie Prusaków, co na nieszczęście Francji ogromnie oddziałało na następne wypadki.

Takie to były układy i plany wojskowe ze strony państw sprzymierzonych od 20 Marca do 10 Kwietnia. Napoleon zupełnie się nie łudził,

lecz widząc zatrzymanych swych gońców w Moguncji, Kehl i Turynie, widząc nadewszystko p. de Flahault, który był przybył aż do Stuttgardu, zmuszonego do powrotu, pojął aż nadto, że rozbudzone przeciw niemu namiętności były jeszcze gwałtowniejsze aniżeli przypuszczał. Powrót zresztą tajnego posłannika, p. de Montrond, stan rzeczy zupełnie mu wyjaśnił, a dokładne to wyjaśnienie rozdarłoby mu serce, gdyby był mniej przyzwyczajonym do zmienności losu. Przekonał się z różnych objaśnień, przywiezionych przez p. de Montrond, że jego żona dawszy się opanować zamiłowaniu spoczynku, zbyt pospolitemu przywiązaniu do księstwa Parmy, a być może i uczuciom, do których trudno się przyznawać, oddała się sama i oddała swego syna pod władzę kongresu i wcale nie przybędzie do Paryża. Przekonał się, że postanowienie pokonania go doszło aż do wściekłości, że zamierzono go postawić pod prawdziwą klątwą polityczną, zabraniając najprostszych stosunków, płynących nawet z prawa publicznego, ze względu na ludzkość nakazywanych w czasie wojny. W gruncie rzeczy nie wątpił on nigdy czego ma się spodziewać, lecz poznał, że rzeczywistość przeszła jego przewidywania, a temu się ani dziwił, ani też gniewem zapałał, gdyż uczuł aż nadto skutkiem czego powstał ten wylew roznamiętnienia. Nie ma na świecie bardziej nieomylnego sędziego, nadewszystko przeciw sobie samemu, nad potęgę umysłową, która się omyliła, która poznała własne błędy i która postanowiła je naprawić! Napoleon więc postanowił, pomimo gwałtownego swego usposobienia, powstrzymać się od wszelkiego uniesienia, wszystko wycierpieć i wszystko wyznać przed narodem. Aż dotąd ograniczał się, przy odbywaniu przeglądów, na powtarzaniu, że się nie wmiesza do spraw innych narodów, lecz że też nie ścierpi aby ktokolwiek wmieszał się do spraw francuzkich; nie mógł też zajść daléj, nie mając wypowiedzianej wojny. Jeżeliby bowiem uprzedził oświadczenia rządów zagranicznych, nie zaniedbanoby przypisać jego niespokojnemu duchowi tego właśnie, co było w zamiarach nieprzyjaźnie usposobionej Europy. Lecz po czynach jawnych, urzędowych, które się już wyłoniły, nie potrzebował się już wahać. Należało mu mówić otwarcie, aby cała Francja poznała, do jakiego to stopnia zależności chcą ją sprowadzić, gdyż nie chciano jej nawet pozwolić na wybór rządu; aby ludy Europy dowiedziały się także, że ma na nowo nastąpić rozlew krwi, a to nie w celach ich niezależności, albo też narodowej dumy, gdyż Napoleon zgadzał się na wszystko aż do robót wiedeńskich, lecz dla zaspokojenia namiętności władzców, aby nakoniec naród angielski przekonał się, do jakiego stopnia jest oszukiwanym. Z drugiej znów strony czas naglił do ogłoszenia postanowień o dymisjonowanych żołnierzach,

o uruchomionych gwardjach narodowych i o różnych środkach uzbrojenia, gdyż jeżeli dotąd prace przedwstępne odbywały się w biurach, to urzędowe ogłoszenie w *Monitorze* stawało się konieczném, aby wymódz powolność na tych, którzy powołani zostaną do obrony kraju. Jedynie tylko duma Napoleona mogła ucierpieć na podobnych ogłoszeniach, lecz przeszła jego sława ułatwiała mu zniesienie wszelkich poniżeń, a zresztą ta duma, która tyle zbłądziła, mogła tylko zająć świat poniżeniem się dla wielkiego celu, to jest dla oświecenia Europy pod względem słuszności swej sprawy.

Rozpoczął od urzędowego ogłoszenia oświadczenia z 13 Marca, o którém dotąd mówiono w sposób bardzo rozmaity, jako o rzeczy wątpliwej. Oddał je pod rozpoznanie rady stanu, która po rozwiązaniu izb, była jedyną ówczesną władzą, najwyższego moralnego znaczenia. Zgromadzenie to, po stwierdzeniu autentyczności oświadczenia z 13 Marca, wyrzekło, że akt pomieniony, pochodzący rzeczywiście od panujących, zebranych na kongres do Wiednia, znieważał nawet prawo, prawdę czynów i zdrowy sąd o rzeczy i że po prostu zamierzał tylko wywołać morderstwo. Dalej, że wedle traktatu z 11 Kwietnia, Napoleon na wyspie Elbie był prawdziwym monarchą, że rozległość jego państwa nie zasługuje na żadną uwagę, że prawa należne panującym były i jemu zapewnione, że ztąd swém wylądowaniem w zatoce Juan i dokonanym napadem na władzcę narzuconego Francji, posłużył się tylko należném mu jako panującemu prawem prowadzenia wojny, to jest, że w razie przegranej, posiadłości swe mógł mieć zmniejszone, albo zupełnie zabrane, mógł także być zatrzymany w niewoli, lecz w żadnym razie nie można go skazywać na karę śmierci, która tylko możebną jest na polu bitwy dla niechcących się poddać; że rozkaz królewski z 6-go i oświadczenie kongresu wiedeńskiego z 13 Marca, wyjmując go z pod opieki prawa i upoważniając wszystkich do rzucania się na niego, było tylko prostém wywoływaniem morderstwa, wzbronionego ucywilizowanym narodom; że zresztą w akcie z 13 Marca prawdziwość czynów, zarówno jak i prawo, zostały znieważone; że traktat z 11 Kwietnia pogwałcony został na wszystkie sposoby, gdyż zabrano lub zajęto prywatną własność rodziny Bonapartych, odmówiono uiszczania bądź samemu Napoleonowi, bądź też jego najbliższym, umówionej płacy, odmówiono zarówno wypłacenia summy dwóch miljonów franków, którą Napoleon przeznaczył dla niektórych wojskowych; że przyrzeczone Marji Ludwice księstwo Parmy, postawione zostało w stanie sporu, a zupełnie odmówione jego synowi, któremu najprawniej należało; że przyrzeczone uposażenie księciu Eu-

genjuszowi zostało zaprzeczoném; że nakoniec zabroniono Marji Ludwice i jej synowi udać się na wyspę Elbę (co było prawdziwém tylko w pewnym czasie) do ich męża i ojca; że ztąd pogwałcenie traktatu z 11 Kwietnia pochodziło jedynie od rządu królewskiego, a nie od władzcy wyspy Elby, który skutkiem tych powodów wcale nie był napastnikiem. Z drugiej także strony tę rzecz uważając, to jest ze względu na życzenia Francji, wypada, że postąpienie Napoleona było zupełnie uzasadnioném, gdyż wiedział, że naród francuzki poniżony w swej sławie, zagrożony w prawach, wystawiony na blizki przewrót, skutkiem nieustannych napadów na nabywców dóbr narodowych, gorąco pożądał, aby był oswobodzony od niezliczonych, nad jego głową zawieszonych niebezpieczeństw; że Napoleon, upoważniony pogwałceniem traktatu z 11 Kwietnia do nieprzestrzegania jego warunków, zyskał najświetniejsze uznanie swego postąpienia przyjęciem, jakie mu Francja zachowała; że nic więc nie zawinił, gdy tymczasem względem niego aż nadto popełniono przewinień, nadewszystko usiłowaniem wywołania morderstwa, na które odpowiedział wypuszczeniem na wolność księcia d'Angoulême i zezwoleniem na pozostanie we Francji księżny Orleańskiej i księżny de Bourbon.

Oświadczenie to, pomimo nawet najdokładniejszego wyłożenia rzeczy, miało tylko wagę oklepanego oskarżenia; ale Napoleon tuż za niém ogłosił rzecz daleko ważniejszą, to jest sprawozdanie p. de Caulaincourt o bezowocnych usiłowaniach w celu przywrócenia stosunków dyplomatycznych z państwami europejskiemi. W sprawozdaniu tém, zamieszczoném 13 Kwietnia w *Monitorze*, nic nie powiedziano, jak się łatwo domyśleć, o tajemném posłannictwie p. de Montrond, lecz o wysłanych gońcach z uwiadomieniem o pokojowych usposobieniach cesarza, a zatrzymanych w Turynie, Kehl i Moguncji; opowiedziano o przytrzymaniu w Stuttgardzie p. de Flahault, o niedopuszczeniu do Douvres wysłanego pisma do księcia rejenta angielskiego i odesłaniu go na kongres wiedeński. Czyny te wyłożone zostały z wybornem umiarkowaniem języka, ale też z tą pewnością siebie, która nie przypuszcza żadnej obawy. Odrzucone pisma zostały wydrukowane z całą dokładnością w *Monitorze*, aby tak Francję jak i Europę zrobić sędziami postępowania stron obudwóch, to jest tej, która chciała mówić i tej, która nie chciała słuchać. Z ogłoszeń tych dał się wyciągnąć wniosek, że nie należało ani się łudzić, ani też przestraszać, lecz zapatrywać się na rzeczy z właściwego stanowiska i przygotowywać do odparcia kroków wojennych, które nie będąc zupełnie pewnemi, stawały się bardzo prawdopodobnemi.

Oprócz tego, Napoleon kazał także wydrukować rozprawy parla-

mentu angielskiego, najbardziej znaczące wyjątki z dzienników zagranicznych, a szczególniej artykuły *Merkurego Reńskiego*. Podobnemi ogłoszeniami publiczność została zupełnie oświeconą i nie mogła powątpiewać o zamiarach mocarstw europejskich. Nic więc już nie stało na przeszkodzie wydaniu postanowień co do uzbrojenia Francji, czy to do wojska, które życzyło przywrócenia cesarstwa, czy do mieszkańców wsi, którzy pożądali zabezpieczyć nietykalność dóbr narodowych, czy to nakoniec do tych, którzy chcieli pomścić rewolucję za czyny emigracji, aby się wszyscy łączyli w celu wspierania przywróconego na tron władzcy. Nadewszystko można było liczyć na prawdziwą z ich strony gorliwość i na usiłowania, które dobrze skierowane zapewniłyby powodzenie, jeśliby los stanowczo nie był przeciwnym.

Skutkiem tego Napoleon, z różnemi wspomnianemi już przez nas postanowieniami, kazał ogłosić rozporządzenia powołujące pod broń wysłużonych żołnierzy i uruchomiające gwardję narodową. Rozporządzenia te, oparte na prawach dawniejszych, nakazywały tylko wprowadzić je w wykonanie, a ztąd miały charakter zupełnie prawny i nie pochodziły z tej samowładczej władzy, w imieniu której działał Napoleon poprzednio. Wysłużeni żołnierze powołani zostali do obrony Francji, tak drogiej ich sercom, z przyrzeczeniem, że natychmiast po ustaleniu pokoju powrócą do nowych ognisk. Pozostawiono im do wyboru albo wrócić do pułków, w których niegdyś służyli, albo też wstąpić w szeregi każdego innego. Do pełnienia służby miejscowej w szeregach gwardji narodowej, obowiązani byli obywatele od 20 do 60 lat liczący. Stosownie przeto do wieku, sił fizycznych, zamiłowania w wojaczce, stosunków rodzinnych, miano utworzyć z gwardzistów narodowych, od 20 do 40 lat liczących, kompanje wyborcze, do pełnienia służby bądź w twierdzach, bądź też na skrzydłach armji czynnej. Komitet obwodowy, złożony z podprefekta, członka rady obwodowej i oficera żandarmerji miał za zadanie wskazywać ludzi do utworzenia tych kompanji wyborczych, pod nazwą grenadjerskich lub strzeleckich. Ci którzy posiadali byt odpowiedni, winni byli umundurować się własnym kosztem, biedniejsi zaś kosztem departamentu. Państwo brało na siebie uzbrojenie tak jednych jak drugich. Oficerowie, począwszy od stopnia dowódzcy bataljonu, mianowani być mieli przez cesarza, niższych zaś stopni przez komitety departamentowe, na przedstawienie komitetów obwodowych. Ministrowie policji i spraw wewnętrznych, w rozwinięciu pomienionego rozporządzenia, wysłali okólniki do prefektów, w których starali się pobudzić gorliwość obywateli, przedstawiając konieczność bro-

nienia dynastji cesarskiej, a podobne dowodzenie w ich ustach daleko lepiej, niżby w ustach samego cesarza brzmiało.

Cesarz zresztą żadnego nie potrzebował bodźca: pracował dzień i noc, już to kierując już ożywiając działania władz, a to za pomocą tej obejmującej wszystko i niestrudzonej uwagi, która przenikała i ogół i najdrobniejszy szczegół. Nie mógł on wcześniej ogłosić w *Monitorze* swych postanowień co do wysłużonych żołnierzy i gwardji narodowej, gdyż podając do wiadomości ogółu zarządzenie tak znaczących środków przed ogłoszeniem jawnych zamiarów rządów zagranicznych, ściągnąłby na się pozory, że marzy o napadzie, kiedy tylko gotował się do prawnej obrony. Nic jednak nie stracił na czasie, gdyż choćby rozporządzenia te i wcześniej zostały ogłoszone, to nie znalazłyby były ani w Paryżu, ani na prowincji gotowych urzędników do ich wykonania. Szczególniej dla postanowienia odnoszącego się do gwardji narodowej, trzeba było utworzyć poprzednio odpowiednie władze; co się zaś tyczy wysłużonych żołnierzy, to gdy oni wszyscy w rzemiośle swém byli wyćwiczeni, więc kilka dni opóźnienia nic nie znaczyło, gdyż z dniem powrotu w szeregi mogli być użyci na polu bitwy. Skoro tylko urlopowani żołnierze zaczęli powracać do pułków, Napoleon rozkazał udać się do korpusów trzecim bataljonom, chociażby tylko liczyły 400 ludzi w szeregach, odkładając ich uzupełnienie na później. Co zaś do uruchomionej gwardji narodowej, rozkazał natychmiast tworzyć bataljony wyborcze, ubrać je w zwykłe bluzy z kołnierzem kolorowym, uzbroić bronią nienaprawianą i skierować do twierdz najbliższych, aby bezzwłocznie można mieć do rozporządzenia wojska linjowe. Organizacja, ubranie i uzbrojenie tych bataljonów miały być dokonane już w twierdzach. Pod względem jazdy przekonawszy się Napoleon, że kupno koni odbywało się bardzo powoli, że rozpuszczenie gwardji przybocznej królewskiej przysporzyło mu tylko 300 w miejsce 3 tysięcy, jak się był spodziewał, postanowił zabrać natychmiast 7 — 8 tysięcy koni od żandarmerji, płacąc za nie gotówką, aby bezzwłocznie mogła się zaopatrzyć w inne. Były to konie odżywione i dobrze wyuczone, które trzeba było tylko nieco zaprawić do trudów. Ponowił rozkaz, aby oficerowie przeznaczeni do kupna koni przebiegali Francję z pieniędzmi w ręku i nabywali gdzie tylko można. Powtarzał, że od Cannes do Grenobli kupił tyle, ile mu było potrzeba, że u rolników znaleść można wielką liczbę koni, że zresztą użyciem i połączeniem różnych środków można się zaopatrzyć w potrzebną liczbę. Tymczasem nie zaniedbywał zakładu w Wersalu i osobistą nad nim rozciągnął pieczę. Warsztaty broni i ubiorów rozwinął do tego stopnia, że te każdodziennie dostarczały mu tysiąc sztuk broni nowej, dwa

tysiące naprawionej i na tysiąc ludzi zupełne umundurowanie. Za pomocą tylko nieustannego czuwania i gotowych pieniędzy mógł podobne osiągać skutki.

Nie zadowolony jeszcze z podania do publicznej wiadomości zamiarów mocarstw względem Francji, postanowił osobiście wystąpić przed gwardją narodową, która wydała mu się podejrzaną w chwili przybycia do Paryża. Gwardja ta składała się z wyższych i średnich kramarzy stolicy, z tego uczciwego jedném słowem mieszczaństwa, które wolało poprawić Burbonów przez stawianie im prawnego oporu, aniżeli zastępować się przez Napoleona, od którego mogło oczekiwać wojny i nie wiele wolności. Napoleon jednak powrócił bez niej i prawie pomimo niej przyodział się pewnym rodzajem nowego uroku bez przelania jednej kropli krwi; ukazał się poprawionym pod najgłówniejszym względem; wydalił emigrację, podniósł zasady z 1789 roku, zapalił pochodnię sławy Francji, tak drogiej ludowi stolicy i nakoniec został zagrożony przez Europę, która chciała go zgubić środkami oburzającemi i napadającemi na niepodległość narodową. Były to ważne powody do przejednania mieszczaństwa paryzkiego, i wyznajemy to, wszyscy dobrzy obywatele napełnieni byli temi uczuciami. Bezwątpienia że należało strzedz się jego powrotu i za żadną cenę nań nie zezwalać, broniąc się wszelkiemi możliwemi środkami; ale kiedy opanował już władzę, kiedy dał tak uderzające świadectwo zdrowej polityki na wewnątrz i zewnątrz, kiedy Europa wystąpiła przeciw niemu w sposób depczący wszelkie prawa Francji, podtrzymywanie cesarza było czynem dobrego pojmowania rzeczy i prawdziwego patrjotyzmu.

W licznem zgromadzeniu ludzi znajdują się zawsze wyznawcy różnych zasad, a to w ilości większej lub mniejszej, stosownie do panującego w niém ducha; dla tego wystarczającą jest rzeczą odebrać głos jednym, a dać go drugim, aby sprowadzić dla siebie pozorne, a często nawet prawdziwe objawy uczuć. Pomimo że gwardja narodowa aż nazbyt się uspokoiła, a to tak skutkiem swego wyznania wiary jak i dokonanego powrotu na tron Napoleona, to przecież zmieniono jej wielu oficerów i podniecono gorliwość tych ludzi, którzy znienawidzili emigrację i cudzoziemców. Była więc usposobioną do przygotowania cesarzowi daleko życzliwszego przyjęcia, aniżeli w dniach pierwszych po jego powrocie.

Zgromadzono ją w Niedzielę 16 Kwietnia na placu Carrousel i uszykowano z jednej strony czterdzieści ośm bataljonów, z których się składała, a z drugiej piękne i liczne wojska, które przechodziły przez stolicę, udając się ku granicom. Napoleon zachował wyłącznie dla siebie

dowództwo milicji paryzkiej, pozostawiwszy dla jenerała Durosnel swego adjutanta, godność dowódzcy drugiego. Przebiegł konno szeregi z tą nakazującą poszanowanie pewnością, którą winien był stałości swego charakteru i dwudziestoletniemu przewodniczeniu największym wojskom na świecie. Po odbyciu przeglądu wszystkich czterdziestu ośmiu bataljonów, Napoleon kazał oficerom utworzyć koło i stanąwszy pośrodku, czystym i drgającym głosem następnie przemówił:

«Żołnierze gwardji narodowej paryzkiej, rad jestem że was widzę. Przed piętnastu miesiącami sformowałem was dla utrzymania spokojności publicznej w stolicy i dla jej bezpieczeństwa. Spełniliście moje oczekiwania, przeleliście swą krew w obronie Paryża i jeżeli wojska nieprzyjacielskie weszły w wasze mury, to nie wam lecz zdradzie przypisać należy, a nadewszystko nieszczęsnemu zrządzeniu losu, które wywarło wpływ na nasze sprawy w ostatnich okolicznościach.

«Tron królewski nie odpowiada potrzebom Francji. Nie daje on żadnej rękojmi ludowi w najdroższych jego interesach. Narzucony nam został przez obcych i istnienie jego było pomnikiem wstydu i nieszczęścia. Przybyłem uzbrojony całą siłą ludu i wojska, aby zetrzeć tę zmazę i powrócić całą świetność honorowi i sławie Francji.

«Żołnierze gwardji narodowej, dziś rano telegrafem otrzymałem z Lyonu wiadomość, że trójkolorowa chorągiew powiewa w Antibes i Marsylji. Pięćset wystrzałów działowych na wszystkich granicach uwiadomią cudzoziemców, że skończyły się nasze niezgody domowe; *mówię cudzoziemców, gdyż nie znamy jeszcze nieprzyjaciół.* Jeżeli zgromadzą swe wojska, my zgromadzimy nasze. Szeregi nasze są złożone z walecznych, którzy się odznaczyli w stu bitwach i staną się dla cudzoziemców zaporą żelazną, gdy tymczasem liczne bataljony grenadjerów i strzelców gwardji narodowej zabezpieczą nasze granice. Nie wmieszam się do spraw innych narodów; biada rządom, które się zechcą wmięszać do naszych!....

«Żołnierze gwardji narodowej, zmuszeni zostaliście do przypięcia kokardy odrzuconej przez Francję, ale kolory narodowe żyły w sercach waszych. Przysięgnijcie na używanie ich jako oznaki zebrania się i obrony tronu cesarskiego, jedynej i przyrodzonej rękojmi praw waszych. Przysięgnijcie, iż nigdy nie pozwolicie na to, aby cudzoziemcy, nad którymi kilkakrotnie jużeśmy panowali, mięszali się w sprawy naszego rządu. Przysięgnijcie nakoniec, że wszystko poświęcicie dla honoru i niezależności Francji!...»

Mowa ta wybornie zastosowana do słuchaczy, która dawała poznać ważność położenia, gorąco została oklaśniętą przez zgromadzonych ofi-

cerów. Krzyczeli oni wstrząsając szpadami: Przysięgamy! przysięgamy na to!— Następnie Napoleon kazał przedefilować dwudziestu tysiącom gwardji narodowej i prawie takiej liczbie wojsk linjowych, winszując sobie dnia tego. Powiedział bowiem Francji to, co chciał aby wiedziała i pojednał się z gwardją narodową paryzką, to jest z tą częścią rozsądną i uczciwą ludności, która zawsze ma stanowczy wpływ na losy rządów.

Na zajutrz, 17 Kwietnia, opuścił Tuileries i przeniósł się do pałacu Elizejskiego, który uważał za przyjemniejszy do zamieszkiwania na wiosnę i w którym mógł używać wypoczynku po pracy, przechodząc się pod cieniem drzew rozłożystych. Zresztą zmienił on bardzo swój sposób postępowania. Był on zawsze prostym, naturalnym, poufałym nawet, lecz nigdy tak jak obecnie przystępnym. Przystawało bowiem do teraźniejszego jego położenia, aby pozwalał zbliżać się do siebie, by tém łatwiej mógł przekonać tych, których potrzebował przeciągnąć na swą stronę, o nowym sposobie myślenia. W pałacu Elizejskim, gdzie królowa Hortensja czyniła honory, mógł z mniejszą niż w Tuileries okazałością zapraszać do swego stołu różne osoby, z któremi życzył się porozumieć i nad któremi chciał wywierać wpływ nie tylko wyższością, ale i czarującą potęgą swej mowy.

Brat jego Józef w samą porę powrócił z Szwajcarji, gdyż w dzień wyjazdu miał być uwięzionym z rozkazu koalicji. Napoleon umieścił go w Palais-Royal, z tytułem księcia francuzkiego, odpowiedniém uposażeniem i wyraźném zaleceniem wielkiej oszczędności i umiarkowania. Ostrożności te nie były bezużyteczne, gdyż sam widok tego księcia sprowadził pewne podejrzenia. Obawiano się bowiem wszystkiego co tylko przypominało dawne cesarstwo, a nadewszystko tego obszernego systemu królestw rodzinnych, które tyle wywarły wpływu na oburzenie się Europy przeciw Francji. Napoleon wysłał fregatę po swą matkę, która z wyspy Elby udała się do Neapolu, oraz na poszukiwanie swej siostry, która przytrzymaną została w Liworno, jak niemniej tych braci, którzy zdołali uniknąć rąk koalicji. Przyjemnieby mu było mieć ich przy sobie, lecz też pożądał zarazem, aby ich postawa nie obraziła nowo objawiającego się we Francji ducha i zamierzył zobowiązać ich do skromności, jaką nałożył na siebie zarówno z upodobania jak i rachunku. Z każdą godziną jednak stawał się coraz smutniejszym, nie dając tego po sobie poznać, a jego stronnicy zarówno smutnieli, nie zdając sobie nawet rachunku z podobnego usposobienia i nie umiejąc tego tak dobrze jak on ukrywać.

Zadziwiający powrót Napoleona do Francji wywarł na umysły pewien rodzaj uroku: nie tylko osobiści jego przyjaciele, lecz wszyscy ci,

którzy w przywróceniu cesarstwa widzieli zadowolenie swych namiętności, interesów lub przesądów, uniesieni zostali na chwilę zapałem, któremu nie mogli się oprzéć. Upojenie to jednak krótko trwało i w krótce wyszły na jaw olbrzymie tak na wewnątrz jak i zewnątrz trudności: wewnątrz głęboki rozdział pomiędzy stronnictwami, zupełna rozmaitość w ich zapatrywaniu się na rzeczy; tak naprzykład Bonapartyści ograniczali swe zamiary na utrzymaniu cesarstwa, gdy tymczasem rewolucjoniści zamierzali posłużyć się tylko na chwilę Napoleonem i pozbyć się go zaraz po odepchnięciu najazdu obcego; na zewnątrz zaś rozkiełznane namiętności dążyły do zgniecenia tego strasznego człowieka, przybywającego dla pokierowania raz jeszcze siłami Francji, której nienawidzono dla odradzającej się bezustannie dzielności. Pomimo że niegdyś stronnicy Napoleona ogromne mieli zaufanie w jego genjuszu i szczęściu, pomimo że ostatnie wypadki podniosły w części to zaufanie, to przecież dręczeni byli tajnym niepokojem, widząc wszystkie mocarstwa Europy idące na Francję z trudnym do uwierzenia zapałem, a ztąd zapytywali się czy Francja będzie posiadać środki do odparcia tylu nieprzyjaciół, czy przynajmniej w ciągu roku wystawi odpowiednie siły do stawienia czoła im wszystkim i czy nakoniec Napoleon swemi obrotami potrafi zgnieść ich do tego stopnia, aby im wydrzéć tę nieubłaganą nienawiść. On sam, jakkolwiek nieugięty, obdarzony stałością, nie miał już przecież tej pogodnej jak niegdyś śmiałości natchnietej szeregiem cudownych powodzeń. Był on poważny, nawet smutny, usiłując ukryć swe smutki przed spojrzeniami drugich, co mu się i udawało dzięki zadziwiającej żywości umysłu. Lecz upadał pod brzemieniem, gdy się znajdował sam lub w towarzystwie swych najbliższych, którzy składali grono pięciu lub sześciu osób, jak królowa Hortensja, książę Cambacérès, pp. Caulaincourt, de Bassano, Lavallette i nakoniec Carnot, do którego po bliższém poznaniu serdecznie się przywiązał. W pośród tych to osób, które miały czasami radę a nigdy wyrzutów na ustach, Napoleon mówił o wszystkiém z zupełną szczerością i z prawdziwą szlachetnością, gdy zaczepiono o jego błędy. Mówił on, że usiłowane za granicą rokowania nie doprowadziły nawet do rozmówienia się i że w przeciągu dwóch miesięcy Francja mieć będzie całą Europę na karku i że są do odparcia najazdu wyborne wojska, rocznym wzmocnione odpoczynkiem, lecz o tyle niższe liczebnie, że tylko cudem można odnieść zwycięztwo. Miał także przekonanie, że monarchowie europejscy wzniosłszy się przez jego upadek na taki szczebel, na jakim się nigdy nie znajdowali, nie zgodzą się tak łatwo do ustąpienia z niego; że pokonani w jednej kampanji, wystąpią do drugiej, że ztąd należy się gotować do śmiertelnej walki, do walki, którą wojska

i niektóre pograniczne prowincje będą podtrzymywać silnie i ze stałością, lecz którą naród zawsze uprzedzony przeciw wojnom pierwszego cesarstwa, znosić będzie tylko z musu, gdyż będzie tego przekonania, że jest poświęcony tylko jednemu człowiekowi. Napoleon więc nie pochlebiał sobie, a ztąd okrzyków uradowanego wojska z odzyskania swego wodza, nabywców dóbr narodowych zachwyconych z odzyskania utraconej pewności, rewolucjonistów oswobodzonych od zniewag emigracji, nie brał za stanowcze i jednogłośne wyrażenie woli narodowej. Ze swej strony nie wierzył ani w pełne zapału wysilenie 1793, ani też uczciwe i szlachetne wysilenie 1813 roku; liczył tylko na wojska i siebie samego, i jeżeli miał jaką nadzieję, to tylko ze względu na losy wojny, z których człowiek tak jenjalny jak on mógł korzystać aż do zmienienia się postaci rzeczy. Najbardziej go dolegało, że natrafiał wszędzie na niedowierzanie gdy mówił o pokoju i wolności, a w tym razie nie ośmielał się nawet użalać na niesprawiedliwość.—Tak, mawiał, miałem rozległe plany, lecz czyż mogę je mieć jeszcze? Któż może przypuszczać, że myślę o Wiśle, Elbie, nawet o Renie? Ah! bezwątpienia wielką jest boleścią odstępować od granic jeograficznych, tej szlachetnej zdobyczy rewolucji, i jeżeli ku temu trzeba było poświęcić tylko życie żołnierzy i moje własne, natychmiast zrobiłbym to poświęcenie! Lecz nie idzie nawet o tę dumę patrjotyczną, ponieważ przyjmuję traktat paryzki; idzie o ocalenie naszej niezależności, aby nie przyjmować kontrrewolucji z rąk zagranicznych. Żądam od losu tylko dwóch zwycięztw, dla powrócenia uroku naszym wojskom, dla odzyskania prawa bycia panami u siebie, dla podniesienia naszej sławy, wywalczenia niezależności, i jestem gotów do zawarcia najskromniejszego pokoju. Ale niestety! Europa nie chce wierzyć podobnemu usposobieniu, a i Francja także!—Tylko w tém ciasném kółku Napoleon wyrażał się z taką szczerością, a rozmowy jego odnosiły się jeszcze do drugiego przedmiotu nie mniej ważnego, to jest do nadania Francji nowej ustawy. Przyrzekł w Grenobli, Lyonie i wszędzie gdzie przechodził, że do dna przerobi ustawę cesarstwa. Francja wzięła go za słowo i nie było sposobu na niedotrzymanie słowa. To co nazywano w owym czasie monarchją konstytucyjną, to jest panującego wyobrażanego w obec izb przez ministrów odpowiedzialnych, a izby przyznające lub też odmawiające zaufania tymże ministrom i zmuszające ich do rządzenia jawnie, przy drzwiach otwartych, było prawie jednogłośném żądaniem narodu, który nie chciał aby w przyszłości jeden człowiek mógł poprowadzić losy Francji do Moskwy. Napoleon zaś miał czy nie miał upodobanie w podobnej mo-

narchji konstytucyjnej, dość że jego wyższy umysł nie umiał frymarczyć koniecznością, a ztąd postanowił zrobić jej próbę.

Niezależnie od zasługi mieszczącej się w samej ustawie, do podobnego działania czerpał powody w położeniu zupełnie stanowczém. Dla wytłomaczenia bowiem wyparcia Burbonów i narzucania Francji strasznej wojny, potrzeba mu było pokazać się różnym od nich. Już to jego charakter i pochodzenie dawały rękojmię, że nie będzie uległym zagranicy ani też wejdzie w spółkę z duchowieństwem i szlachtą, gdyż sława i równość w obliczu prawa w nim się uosobiła. Ale też w jednej rzeczy Burboni go przewyższali, to jest pod względem wolności, i bardzo było prawdopodobném, że mógł być więcej pokojowym aniżeli liberalnym. Przy zastępowaniu więc Burbonów i to za cenę tak wielkich dla Francji niebezpieczeństw, zmuszonym był do nadania wolności, a do nadania nie z wahaniem jak Ludwik XVIII, nie z tém usiłowaniem wydarcia połowy, zanimby jeszcze nadaną była, lecz szczerze i zupełnie. To też, powtarzamy, postanowienie jego w tym względzie było stałe, a jeżeli nie ze skłonności, to przynajmniej z jasnego widzenia rzeczy.

Co zaś do zasługi mieszczącej się w samej ustawie, jakkolwiek nie był jej zwolennikiem, gdyż podobnie silna jak jego nie może lubić więzów, to przecież zdawał się być przekonanym pod pewnemi względami, a szczególniej pod najważniejszym ze wszystkich, to jest o pożytku z wolnego roztrząsania przez dziennikarstwo działań rządowych.

Jeżeli tu z pierwszego pozoru może co oburzać szlachetne dusze, to bez wątpienia każdodzienne słuchanie kłamstw i prawdy, a daleko częściej kłamstw niż prawdy, słuchanie jak nieuctwo i nieuczciwość starają się gromić najświatlejszych i najuczciwszych ludzi, bezczelnie i bezwstydnie wykrzywiając wszystko. Lecz w stanie zupełnie przeciwnym, to jest w przymusowém milczeniu narodu oświeconego, znajdują się inne niedogodności, a przewyższające te, jakie wynikają z najbardziej przesadzonej wolności. Urzędnik bowiem zasłonięty milczeniem może wszystko, a kto może, ten jest kuszonym do robienia wszystkiego, tak że rozpatrując się dobrze, rząd znajdzie się w konieczności albo pozwalać mówić, albo też pozwalać na popełnianie niegodnych czynów. Wybór więc jest nie trudnym, a poznamy w krótce w praktyce, że daleko lepiej pozwalać mówić niegodziwości, aby tylko powstrzymać urzędników od ich popełniania. Nadto, brak oporu rodzi powoli taką nieufność, że rządowi daleko trudniej obronić się przeciw rozpuszczanym kłamliwym wieściom, przeciw potwarzom przechodzącym z ust do ust, aniżeli przeciw napadom dziennikarstwa wrzeszczącego w niebogłosy. Wprawdzie ta głucha nieufność publiczności, która w czasie spokojnym tak chętnie zbiera po-

twarze i staje się tym sposobem karą dla rządów samowładnych, działa mniej spiesznie, aniżeli śmiałe potwarze wolnego dziennikarstwa, lecz to złe które podkopuje się powoli i głucho, jest zarówno zgubném gdy przeniknie tłumy, jak i jawna swawola. Tę ostatnią można dosięgnąć przeciwném wyjaśnieniem rzeczy, gdy tymczasem pierwszej kryjącej się w ciemnościach uderzyć niepodobna. A gdy nadejdzie dzień straszny, dzień nieszczęścia, w którym wszystkie zapory na raz upadną, wówczas wybuchają długo powstrzymywane namiętności, wylewają na upadającego władzcą ogromną dwudziestoletnią zaległość zniewag, kiedy już nie ma ani jednego głosu na swą obronę, ani jednego ucha któreby chciało słuchać.

Doświadczył już tego wszystkiego Napoleon, a doświadczenia te w zgodzie z jego nadzwyczajném przeznaczeniem, były zupełne i straszne. Rozrządzając w czasie pierwszego swego panowania wszystkiemi organami, ujrzał zrodzoną w publiczności taką niewiarę, że nie był w możności zaprzeczyć kłamstwu, ani też przyznać czemu prawdę, a to do tego stopnia, iż władza została, że się tak wyrazimy, bez głosu i że ztąd daleko więcej wierzono buletynom nieprzyjacielskim, które kłamały, aniżeli francuzkim, które mówiły prawdę. To też, jak tośmy już mówili, Napoleon zaniechał w 1813 i 1814 roku ogłaszania buletynów i zadawalniał się zamieszczaniem w *Monitorze* listów, pisanych przez oficerów do różnych osób w państwie. Nakoniec nadszedł dzień nieszczęścia i pozostawszy sam lub prawie sam tylko w Fontainebleau, Napoleon słyszał krzyki złorzeczenia które towarzyszyły mu na wyspę Elbę i które ani na chwilę nie ustawały, łącząc z sprawiedliwemi zarzutami niecne i oburzające potwarze, a to nie tylko na jego wielkie czyny publiczne, ale i na życie prywatne. Jego duma zarówno wzniosła jak jenjusz, przepłynęła, że tak powiem, po tém morzu zniewag, a po tém wszystkiém ujrzał, że jego błędy były widoczne i że sława górująca nad wszystkiém sprowadziła mu do nóg wojska i massy ludowe.

Wyszedłszy z tej burzy, powrócił zupełnie oświecony i oświadczył głośno, że fałszywą było przezornością nakładać okowy na prassę. Rzeczywiście też 25 Marca, jak tośmy widzieli, zniósł cenzurę.

Od pozwolenia dziennikarstwu na wolne rozbieranie spraw publicznych, jest tylko jeden krok do pozwolenia na wolne ich roztrząsanie przed zgromadzeniem narodowém i Napoleon nie był dalekim od uwierzenia, że będzie mógł rządzić z izbami napadającemi, dręczącemi, usuwającemi ministrów. Doświadczenie bowiem uczy, że jeżeli wolność prassy jest nieodpowiedzialną za potwarze, to przeciwnie potwarz rzucona z trybuny jest odpowiedzialną w tejże chwili przed tymi samymi słu-

chaczami i natychmiastową uchwałą naprawioną być może. To też nie ma człowieka stałego i prawego, któryby nie przekładał rozbioru swych czynów przed zgromadzeniem, obowiązaném do wysłuchania tak obrony jak i zarzutu i do oświadczenia się natychmiastowego, nad obronę piśmienną przed czytelnikami, którzy przyjęli oskarżenie przez złośliwość, a nie chcą czytać obrony przez lekkomyślność i nie zadają sobie wcale trudów, aby być sprawiedliwymi, gdyż nie są do tego wyraźnie zobowiązani.

Tak więc, kiedy swobodne rozbieranie działań rządowych weszło już w życie w dziennikarstwie, nie mogło być mowy o trybunie, a ztąd zgromadzenie narodowe z wolnym głosem postanowioném zostało w zasadzie. Napoleon z resztą, choć na śmierć toczył walkę z Anglją, baczną zwracał na jej urządzenia uwagę, ponieważ w obradach parlamentu odkrywał zamiary rządu angielskiego i dalekim był od obawiania się pod swym rządem podobnej ustawy, gdyż ta może tylko zastraszać mierne i bojaźliwe umysły. W takiém urządzeniu kraju widział tylko dla swej woli zapory, a pod tym względem przygotowany on był, przynajmniej w obecnej chwili, do spotkania liczne i potężne trudności; przygotowany on był do napadu na ministrów, do usuwania przedstawianych do praw projektów, do postanowień zupełnie stanowczych.—Niegdyś, mawiał, podobny opór sprzeciwiałby się moim zamiarom, lecz dzisiaj, pod względem zamiarów chciałbym tylko wygrać bitwę, odbić naszą niezależność, pomścić się za obecność 200 tysięcy cudzoziemców w naszej stolicy i po tém wszystkiém zawrzéć pokój!... Po otrzymaniu pokoju, na jedynej podstawie naszej niezależności, gdy już tylko będzie chodzić o rządzenie tém pięknem cesarstwem francuzkiém, nie będę poniżonym, jeżeli jego posłowie będą się sprzeciwiać a nawet odrzucać moje przedstawienia. Po zapanowaniu i zwyciężeniu świata, nie ma nic tak nieprzyjemnego w przyzwoleniu na opór, abym nie mógł się mu poddać. W każdym razie mój syn się wdroży i będę usiłował przygotować go do tego nauką i moim przykładem, lecz niech mi wolno będzie zwyciężyć, raz jeden zwyciężyć tych monarchów tak pokornych niegdyś, a tak zarozumiałych dzisiaj: tego tylko żądam od nieba i narodu!....

Mówiąc te słowa Napoleon był szczerym, lecz czyż znał on sam siebie? Później, jeżeliby raz jeszcze zwyciężył Europę, czego usilnie żądał od Boga i ludzi, czyżby umiał znieść opór i to nie tylko opór sprawiedliwy w gruncie rzeczy, umiarkowany w przedstawieniu, lecz opór niedorzeczny w gruncie, oburzający w przedstawieniu, jak to się zdarza często w państwach wolnych; czyżby umiał, powtarzamy, z uśmiechem na ustach oczekiwać dopóki same czyny go nieusprawiedliwią?

Nikt pod tym względem nie mógł przewidzieć przyszłości, a bardziej jeszcze on sam od innych; lecz uważał się on za obowiązanego skutkiem położenia do zmiany ustawy cesarstwa, gdyż nie przynosząc pokoju, musiał przynajmniej zapewnić wolność. Ludzie którzy go podtrzymywali, to jest rewolucjoniści, klassy oświecone i młodzież, chcieli wolności szczerej i zupełnej i nie zadawalniali się wcale tém, co nazywano zasadami z 1789 roku, to jest równością w obliczu prawa. Przekonany czy nie o wartości wolności, Napoleon party był ku niej koniecznością i z tych powodów postanowił ją nadać. Co ona miała sprowadzić w przyszłości? nie wiedział — i zaledwie zastanawiał się nad tém, gdyż obecnie inne gnębiły troski, aby miał czas myśléć, czy będzie lub też nie dolegać mu nowe urządzenie kraju! Chciałby on tylko wiedzieć, czy pokona Europę, gdyż zadanie to tak dla niego jak i dla jego stronnictwa, złożonego z wojskowych, rewolucjonistów i nabywców dóbr narodowych, było pytaniem życia lub śmierci. To go prawdziwie, jedynie zajmowało, tamto zaś usuwało wszystkie inne pytania. Wszystko co tylko trzeba było zrobić dla zadowolenia popierających go ludzi, gotów był w każdej chwili, gdyż w miarę czynionych ustępstw rozwijała się ich gorliwość w podtrzymywaniu cesarstwa, a przy jasnym poglądzie na rzeczy człowieka wyższego umysłu nie rozprawiał o tém co było konieczném. Z tych to powodów stanowczo postanowił zrobić próbę monarchji konstytucyjnej i życzył jej powodzenia, gdyż niepowodzenie byłoby tryumfem Burbonów. Nie był on jednak bez pewnych obaw patrząc na pierwsze dni tej próby. Jeżeli bowiem w kraju, w którym przez długie lata rząd posługiwał się zgromadzeniem narodowém, było ono bardzo pożyteczném narzędziem, to przy pierwszém wystąpieniu stawało się wątpliwém, a często niebezpieczném. Gdy sztuka kierowania niém jest prawdziwą sztuką w której celują naczelnicy, umiejący łączyć z poglądem politycznym talent krasomówczy, gdy nadewszystko istniało ono już dość długo, aby było przyzwyczajoném do właściwego znalezienia się w każdém zdarzeniu i aby kraj był przyzwyczajony do jego działań, w takim razie próżne są wszelkie obawy, i zgromadzenie narodowe przedstawia więcej środków do wybrnięcia z niebezpieczeństwa, aniżeli rząd samowładzcy bez węzłów z narodem. Lecz gdy istnieje ono dopiero od wczoraj, gdy nie ma ludzi wprawnych do pokierowania niém, to robić podobne próby po raz pierwszy w pośród strasznej wojny, jest przedsięwzięciem bardzo niebezpieczném, którego też Napoleon szczególniej się obawiał.

W czasach obecnych parlament brytyjski umiał zachować przyzwoitą postawę w czasie wojny, bądź to z przyzwyczajenia, bądź też

z pewności, jaką wzbudzało morze. W czasach dawniejszych senat rzymski, pod innym względem godzien podziwu, sprzedał pole, na którém obozował Hannibal. Lecz było to zgromadzenie stare, przyzwyczajone do rządzenia Rzymem w pomyślności i klęskach. Nikt nie mógł sobie pochlebiać, że w 1815 roku zgromadzenie narodowe francuzkie będzie podobne do senatu rzymskiego lub parlamentu brytyjskiego. To też Napoleon był przekonany, że w wywiązującej się obecnie wojnie, będą trudne do przebycia ostateczności, i jeżeli narażą go na utratę zimnej krwi, w takim razie zgubią ojczyznę. Jeżeli zaś przeciwnie nie rozniosą większego zamięszania, aniżeli to było po bitwach pod Brienne, Craonne i Laon, możebną będzie wygrana. Na nieszczęście nie dowierzał on nic odwadze lecz spokojowi nowego zgromadzenia w przeddzień bitwy zebranego, na różnorodne odcienia podzielonego i częstokroć w smutnych okolicznościach upatrującego tylko stosownej pory do zadowolenia swych namiętności. Obawiał się on, aby za pierwszą klęską przerażenie jednych, gniew drugich, knowania innych nie zrodziły chaosu, z którego nieprzyjaciel może skorzystać i raz jeszcze zawitać w serce kraju. To też szczerze chcąc zrobić próbę wolności, obawiał się on jej natychmiast, pod hukiem dział całej Europy.

Obawa ta natchnęła go myślą nadania po prostu z małemi tylko zmianami ustawy angielskiej, z odroczeniem jej aż do roztrzygnięcia pierwszych kroków nieprzyjacielskich. W zamiarze tym nie było żadnego wiarołomstwa, lecz tajemne przeczucie niebezpieczeństwa ze zwołania niedoświadczonego zgromadzenia, w obec wojsk nieprzyjacielskich idących na Paryż. Jeżeliby chciał działać w złej wierze, to miałby pewny i łatwy środek do wyprowadzenia w pole przyjaciół wolności, zwalając winę opóźnienia na nich, nie zaś na siebie, a to przez natychmiastowe zwołanie zgromadzenia ustawodawczego i powierzenie mu wypracowania ustawy, przez przejrzenie postanowień senatu za cesarstwa. W ówczesnym stanie umysłów, pomiędzy starymi rewolucjonistami, z których jedni trzymali się ustawy z 1791, a drudzy z 1793 lub 1795 roku, a nowemi liberalistami, którzy skutkiem zastanowienia stali się zwolennikami ustawy angielskiej, walka była nieuchronna, a przytem długa, gwałtowna, a zgoda nie możliwa: w czasie zaś otwarcia tych szrank politycznych, Napoleon zatrzymałby tymczasowie pełną cesarską władzę, mógłby wygrywać bitwy, ukończyć wojnę, posłużyć się następnie niezgodą tegoż zgromadzenia, śmiesznością jego postępowania, a ztąd rozwiązać je i wedle woli urządzić Francję.

Podobny plan miał prawie pewne powodzenie, ale należało zacząć od zwołania zgromadzenia, a Napoleon obawiał się go podczas pierw-

szych miesięcy tej strasznej wojny, której spodziewany teatr mógł być pomiędzy Lille a Paryżem. Nadto, nie wiedząc jakąby ustawę mu przedstawiono, wolał sam na zasadach najlepszych jak tylko można wygotować ją natychmiast, następnie używaną w tym czasie drogą głosowania podać do zatwierdzenia krajowi. Taka to była jego myśl prawdziwa; ale czyż w dobrej nawet działając wierze zdołałby pokonać zakorzenioną przeciw sobie nieufność? Nie znalazłszy wiary u Europy gdy mówił o pokoju, czyż mógł znaleść wiarę u Francji mówiąc jej o wolności, a szczere jego działania oparte na prawdziwej roztropności, czyż nie mogły być uważane za przyczajenie się despoty? W tém to leżało niebezpieczeństwo. Na pełnej niebezpieczeństw drodze, na którą wstąpił po powrocie z wyspy Elby, postępował schylony pod ogromnym ciężarem przeszłych swych błędów i jakby Opatrzność na zakończenie zawodu zachowała mu karę, jaką dotyka często pełnych sławy a winnych ludzi, to jest że patrzą na odpychanie przez świat najszczerszej nawet swej skruchy.

Nadeszła więc już chwila, w której potrzeba już było stanowczo coś wyrzec co do ustawy państwa i nadać odpowiedni rząd Francji. Wzburzenie umysłów pod tym względem doszło już swej miary. Pisano o tem z różnemi poglądami, a zwykle z najbardziej krańcowemi. Starzy republikanie z długiego snu się ocknęli, a rojaliści, którzy poprzednio za zbrodnię uważali najmniejsze żądanie wolności, chcieli rzeczypospolitej lub czegoś podobnego; drudzy dopominali się o władzę królewską zburzoną w 1791 roku; inni, a pomiędzy nimi młodzież, pozbywszy się przesądów co do starego i nowego porządku rzeczy, nakłaniali się ku ustawie angielskiej, nie znając przecież prawdziwego jej mechanizmu. Przy tym przecież niejasnym poglądzie na rzeczy byli oni zawsze za rządem, a należy też dodać, że większość kraju na ich przechylała się stronę. Można nawet powiedzieć, że żądali oni po prostu nieco tylko rozszerzonej karty z 1814 roku.

W ogóle wszyscy ci, którzy nie byli upartymi rewolucjonistami, nie zwracającymi żadnej uwagi na doświadczenie, lub też rojalistami, którzy sprawiali nieład przez wyrachowanie swego stronnictwa, żądali monarchji konstytucyjnej. Znakomity Sieyès, którego głęboki umysł na wskroś przeniknął mechanizm monarchji angielskiej, nic więcej dla Francji nie żądał i chociaż nie kochał Napoleona, to przecież był zdania, że należało łączyć się z nim dla ocalenia przy jego współdziałaniu sprawy rewolucji i niezależności narodowej. Carnot zrozpaczony jednorocznemi rządami Burbonów i rozrzewniony postępowaniem Napoleona, szczególniej że tak otwarcie przyznawał się do błędów, życzył aby

usiłowano jego monarchiczne rządy połączyć z wolnością. Fouché nie zważający na teorje, a obawiając się nadzwyczaj Napoleona, którego powrót napełnił go żalem, nie żądał naprawdę jego upadku, gdyż po nim natychmiast nastąpiliby Burboni, lecz życzył pewnych przeciw niemu rękojmi, żądał zmniejszenia jego władzy na korzyść jakiejkolwiek opozycji, mającej się zrodzić w przyszłych izbach, albowiem pochlebiał sobie, że będzie mógł niemi kierować za pomocą knowań. Tak więc jak wszyscy pożądał monarchji konstytucyjnej, lecz z największém jak tylko można ograniczeniem władzy panującego.

Stronnictwo konstytucyjne (jak je nazywano pod Ludwikiem XVIII) roz proszyło się skutkiem rewolucji 20 Marca, a jego główni członkowie nazbyt narażeni, zamierzyli uciekać przed zemstą Napoleona. Upewnili się jednak w krótce poznawszy sposób jego postępowania, a ztąd wiele z nich pozostało w Paryżu, gdzie im pozwolono przemieszkiwać spokojnie. Pani de Staël nie opuszczała swego mieszkania; jenerał Lafayette powrócił do swego zamku w Lagrange. Najczynniejszy i najbardziej narażony ze wszystkich przez swe obelżywe przeciw cesarstwu pisma, a szczególniej przez głośny swój artykuł, wydrukowany 19 Marca w *Journal des Débats*, p. Benjamin Constant, wystarał się o paszport u ministra amerykańskiego p. Grawfurd i oczekiwał w ukryciu co mu działać wypadnie. Wszyscy oni rozczarowani nadzwyczaj do Burbonów, skutkiem ostatnich wypadków, gotowi byli w razie sprawdzenia się tego, co im mówiono o liberalném usposobieniu Napoleona, zrobić próbę monarchji konstytucyjnej pod jego rządami, o co tak się na próżno kusili pod rządami Burbonów. Książę Józef, który nie był zadowolony z tej niegdyś pozostawionej władzy Napoleonowi, doprowadzającej go aż do zguby, w zupełności podzielał uczucia stronnictwa konstytucyjnego, usiłował zawiązać stosunki z naczelnikami tegoż stronnictwa, a mianowicie z jenerałem de Lafayette i panią de Staël, i starał się przekonać Napoleona o potrzebie porozumienia się z niémi, do czego też cesarz nie okazywał żadnej odrazy.

Co zaś do mężów stanu cesarstwa, po większej części starych rewolucjonistów zniechęconych do wolności, lub byłych rojalistów przywiązanych do Napoleona urokiem potęgi i sławy, to ci przyzwyczaiwszy się pod jego rządami do nieograniczonej władzy, mało okazywali przychylności i zaufania do tych zamierzanych prób wolności. Arcykanclerz Cambacérès, przy zdrowym swym na rzeczy poglądzie, uznał przynajmniej, że inaczej nie można było postępować, a od 20 Marca służąc z prostego tylko posłuszeństwa, ograniczył swoje działanie do zarządu wydziałem sprawiedliwości. Panowie: Mollien, de Gaëte i Decrès,

z objęciem urzędów powrócili do dawnego zwyczaju pozostawiania wielkich trudności do rozwiązania samemu Napoleonowi. P. de Bassano wedle zwyczaju przystawał na wszystkie działania Napoleona, nie pokładając jednakże zwykłego w pomyślny skutek zaufania. P. Molé odpychał i ludzi i sprawy obecnej chwili i nie krył się z powątpiewaniem, co mu pozwalało trzymać się w połowie na uboczu i przyjął tylko zarząd dróg i mostów, jako mało narażający. Z tém wszystkiém najżywszy był popęd ku monarchji konstytucyjnej na rozległych zasadach wolności. Puszczano w obieg liczne broszury w tym przedmiocie, drukowano artykuły po dziennikach i przesyłano także Napoleonowi liczne memorjały o przyszłej ustawie państwa, memorjały po większej części bardzo dziwaczne, gdyż powszechnie się dzieje, że z podobnemi nieżądanemi projektami występują albo matacze, chcąc się dać poznać panującemu, albo też zapaleńcy, usiłujący urzeczywistnić swe marzenia. Napoleon przebiegał te umysłowe wyroby, już to gniewając się, już śmiejąc z ich osnowy, lecz najczęściej zasmucając się z podobnego usposobienia umysłów w przeddzień krwawej z Europą walki. Powiernikiem jego obecnie był p. Lavallette. Poważał on zarówno starego Cambacérès'a, kochał zarówno p. de Bassano, lecz żywa jego myśl, która potrzebowała rozlać się na zewnątrz, w pierwszym znajdowała tylko echo przygłuche, a w drugim echo bezdźwięczne. Wynurzał się więc daleko chętniej o p. Lavallette, obdarzonym umysłem bystrym, pewnym, niezależnym i radzącym zdrowo bez przybierania na się postawy niepoznanej mądrości, jeżeli rady jego nie zostały przyjęte. Napoleon często wielką część nocy poświęcał rozmowie z nim, pomimo że cały dzień na twardej przepędził pracy.

Czytając pewne rady udzielane mu tonem wymagania, a czasami nawet groźby, unosił się, gwałtownym krokiem przechodził się po salonach pałacu Elizejskiego i wykrzykiwał, że pomimo tego wszystkiego Francja nie zna żadnego z tych trybunów, że zna tylko jego, że tylko w nim ma zaufanie i że jeżeliby popuścił cugle, to wojsko i lud zgnietliby w krótce rojalistów i zamknęli usta przyganiaczom. Następnie, jeszcze przed oświadczeniem p. Lavallette, iż podobna rola mu nie przystoi, przychodził do siebie, ograniczał się na wykazywaniu szaleństw rozłożonych na stole i porównywając Francję z 1800 roku, która błagała go o oswobodzenie jej od *gadułów*, z Francją 1815 roku, która żądała wolności bez granic, zapytywał, czyli to wszystko było robione na prawdę i czy tak sprzeczne żądania dowodziły rzeczywistej potrzeby i głębokiego zastanowienia się. P. de Lavallette słusznie na to odpo-

wiadał, że nie należy zwracać uwagi ani na ducha, ani na czasy nadzwyczajne, gdyż wpatrzywszy się we zwykłe usposobienie Francji, to się ją znajdzie usposobioną do używania wolności umiarkowanej, która zarówno może zabezpieczyć od obłędów jednego jak i od nieładu zrządzanego przez tłumy; że pytanie co do niej opierano zawsze na środkach a nie na gruncie rzeczy, lecz po dobrém zastanowieniu się można poznać, że od 1789 roku pożąda ona ciągle tego co dzisiaj. Napoleon dawał ucho tym rozsądnym uwagom, lecz wówczas zasmucał się z rozmaitości, z pomięszania języków czasu obecnego, a zasmucał się z powodu oczekiwanego przesilenia wojny, zapytując się, czy przy tak widocznej niestety niezręczności przyjaciół swobody, będzie można stawić czoło tej strasznej walce, której w krótkim oczekuje czasie.—Robić, mówił, pierwszą próbę wolności przy huku dział! a to przy jakim jeszcze huku! nigdy nic podobnego nie słyszano!...—Cokolwiek bądź, ani myślał o stawieniu oporu przyjaciołom wolności, gdyż dla niego nie było środka i musiał albo z nimi, albo z rojalistami trzymać: to też nie mogąc żadną miarą oprzeć się na drugich, musiał koniecznie szukać poparcia u pierwszych. Zresztą, podobnie jak na wojnie był słodkim, spokojnym w obec niebezpieczeństwa i w tém nowém swém położeniu okazywał szczególną słodycz, a żadnej niecierpliwości, usiłował wprowadzić na drogę rozsądku tych, którzy z niej zbaczali i w gruncie rzeczy daleko mniej zwracał uwagi na pozostawianą mu władzę, aniżeli na środki, które mu udzielano dla pokonania i zwyciężenia zewnętrznych nieprzyjaciół.

Wyjawiliśmy już tajemne jego myśli, że nie chciał się rzucić w objęcia zgromadzenia ustawodawczego, pomimo że to był pewny środek do zabicia wolności śmiesznością, jakaby powstała z pomięszania języków, lecz zamierzał otoczyć się kilką ludźmi zdolnymi, w celu ułożenia wraz z nimi ustawy, którąby nie pozostawiała nic do życzenia prawdziwym przyjaciołom wolności, do uroczystego jej ogłoszenia, następnie do pośpieszenia na nieprzyjaciela i do zwołania nowych izb wtedy, gdy wojska daleko znajdować się będą od stolicy. Pod względem ludzi zdolnych do pracy nad ustawą, przypadek zostawił mu pod ręką jednego, który był najlepszym, jakkolwiek nieprzewidzianym wyborem w obecnych okolicznościach. Zagorzały pisarz, który w dniu 19 Marca przedstawił Francji Napoleona jako nieszczęście i w imieniu przyjaciół wolności zrobił zobowiązanie, że się nigdy z nim nie połączy, p. Benjamin Constant pozostał ukryty w Paryżu, jak tośmy już powiedzieli, nie tyle myśląc o ucieczce, ile o zbadaniu czy nie mógłby pozostać bezpiecznym. Zwrócono się do jenerała Sebastiani, człowieka wyrozumiałego, z zapewnieniem, że żadne nie grozi niebezpieczeństwo p. Benjaminowi

Constant. Skoro tylko powziął wiadomość o pobycie jego w Paryżu, jenerał udał się do cesarza i oświadczył mu, że p. Benjamin Constant znajduje się we Francji i że on zna tajemnicę jego mieszkania.—Ah! masz ją pan! zawołał Napoleon, jakby w uniesieniu radości, że może wykonać gorąco pożądaną zemstę.— Zadziwiony jenerał prawie się już przeraził, lecz Napoleon nie zostawiając mu czasu na wyrzeczenie słowa mówił: Bądź pan spokojny, nie życzę mu nic złego; przyśléj go do mnie, a będzie zadowolony.—Napoleon pojął natychmiast, że w obecném zdarzeniu dać może dowód rozgłośnej szlachetności, zdobyć pierwsze pióro swego czasu i znaleść wielkiej powagi redaktora do przyszłej ustawy, przebaczając i wynosząc na wysokie stanowisko najbardziej znieważającego go przeciwnika: zaledwie więc przewidział rzecz możebną, bezwłocznie zrobił postanowienie Możnaby się zapytać czy na podobną drogę postępowania wszedł raczej przez pogardę ludzi, aniżeli z prawdziwej szlachetności i niekorzystnie ocenić ożywiające go uczucie. Uczucie to jednak było tylko tyle chwaloną łaskawością Cezara, to jest głęboką znajomością ludzi, przenikliwém rozróżnieniem ich namiętności, wielką łatwością postępowania ze względu na nie i wielką sztuką pociągania ku sobie. Cokolwiek bądź, Napoleon kazał napisać służbowemu szambelanowi najgrzeczniejsze zaproszenie do p. Benjamina Constant, aby przybył do niego.

Dzisiaj, kiedy czterdzieści lat rozpraw politycznych nauczyły Francuzów postępować (w obecnej chwili spodziewam się że zapomniano) na drodze liberalnej, a skutkiem tego poszanowania samego siebie, bardzo mało osób odpowiedziałoby na podobne zaproszenie, lub też poszliby prosić z uszanowaniem panującego o dozwolenie zachowania swej godności, pozostając zupełnie obcemi dla rządu, z którym tak gwałtownie walczyli. P. Benjamin Constant niezadowolony z Burbonów, że tak źle odpowiedzieli na dobre chęci konstytucjonistów, a ufny zupełnie w liberalne zapewnienia Napoleona, powodowany także koniecznością łączenia się z jedynym człowiekiem, który mógł ocalić Francję od najazdu, bez wahania przyjął otrzymane zaproszenie.

Napoleon mógłby różne przybrać postawy względem człowieka tak potężnego umysłu, który znajdował się na jego łasce: mógłby pokazać się albo przymilającym albo też szorstkim, lecz w obudwóch razach wykroczyłby przeciw przyzwoitości. Pokazał się więc prostym, grzecznym i pełnym otwartości.

Nie zaczepiając bynajmniej o przeszłość, mówił tylko o dziele, do którego p. Benjamina Constant powołał. Powiedział, że przyrzekłszy Francji ustawę liberalną, chciał ją nadać, a nadać odpowiednią, bez

ograniczeń, właściwych władzy bojaźliwej, albo też wyrachowanych uprzejmości władzy podstępnej i zatwierdzając wszystko w ten sposób, aby następnie nie potrzeba było niczego cofać; że z tego powodu umysły są nazbyt wzburzone, a poprostu z niewielkiém pojęciem rzeczy; nie jest więc pewnym, czy to jest ich ostatnie słowo, gdyż bardzo są różne pojęcia od 1800 roku, to jest od czasu, w którym niczego nie żądano, gdy tymczasem obecnie żądają wszystkiego; nie należy się zresztą łudzić, bo głosy za ustawą są głosami mniejszości; ogół ludności chce tylko jego, Napoleona, żądając jedynie, aby ich wyswobodził od szlachty, księży i zagranicy, lecz on sam zwraca uwagę na życzenia ludzi oświeconych i życzy sobie pokazać się zarówno oświeconym jak oni; stałe więc ma postanowienie zatwierdzić monarchję konstytucyjną; ale zna tylko jednę, która zasadza się na ministrach odpowiedzialnych, obowiązanych do roztrząsania w izbach spraw kraju i na zupełnej wolności druku, bez żadnej poprzedniej cenzury; że szczególniej co do tego ostatniego punktu jest zupełnie przekonanym; że dziecinną jest rzeczą kiełznanie prassy; a skutkiem podobnego zapatrywania się jedna tylko nastręcza się trudność, to jest wynalezienie odpowiedniej formy, aby ustawa bez poniżenia władzy ogłoszoną została; że jedynie może się zrodzić powątpiewanie, czy on (Napoleon) po długiém wdrożeniu się do rządów samowładnych, odpowie nowemu porządkowi rzeczy; że nieufność w tym względzie jest do wybaczenia, że się tém nie obraża i gotów jest do zniesienia wszystkich nieprzyjemności z tego powodu, a w każdym razie spodziewa się, iż będzie oszczędzanym; że niegdyś rozległe miał zamiary, że dla tych zamiarów rząd konstytucyjny był przeszkodą, lecz że obecnie jedyna go tylko rzecz zajmuje, to jest oprzeć się przemocy obcej; że wojna będzie straszną, czego nie należy ukrywać; że pozwalał mówić o układach, choć rzeczywiście do tych układów nie przyszło; że z wszelkiej konieczności potrzeba się bić na śmierć lub życie i że spodziewa się, iż nie odmówią mu na to środków; że po odparciu nieprzyjaciela od granic, pośpieszy z zawarciem pokoju; że gdy chodzić będzie tylko o zarząd kraju, to współdziałanie światłych jego przedstawicieli, choćby ono było nawet i swarliwém, nie zrobi mu nieprzyjemności; że w czterdziestym szóstym roku życia ma się zupełnie inne usposobienie aniżeli w dwudziestym szóstym; że czuje się zmienionym, że w każdym razie rząd podzielony lecz silnie wspierany monarchji konstytucyjnej, daleko bardziej przypada jego synowi; że pracuje dla tego syna więcej aniżeli dla siebie; że skutkiem tego pomiędzy nim a światłymi przyjaciołmi wolności nie może być większej wagi nieporozumienia; że cała rzecz rozbija się tylko o wynalezienie formy,

która poszanuje, jak się spodziewa, jego godność i sławę, jako należące do Francji.

Słowa te wyrzeczone tonem spokojnym, pewnym, przekonywającym i z pod cienia tylu wawrzynów, dotknęły żywo wrażliwy umysł p. Benjamina Constant, zupełnie lub prawie go przekonały, a ztąd dziękował on losowi, że go uczynił więźniem takiego zwycięzcy. Napoleon wręczył mu następnie cały stos projektów do ustawy, z których jedne były podpisane a drugie bezimienne. Aż dotąd grzeczny choć poważny, roześmiał się nagle biorąc z nich niektóre i objaśniając najprzód co zawierały, a potem ich autora. Oto jeden republikanina, drugi monarchisty na sposób Moumera, oto trzeci rojalisty czystego... Dla lepszego wyłożenia ich osnowy, Napoleon wyśmiewał zachodzące przeciwieństwo między zasadami a imieniem autorów, gdyż republikanie oświadczali się często jak despoci, a monarchiści popierali anarchję.—Zrób pan z tego wszystkiego co tylko zechcesz, dodał, obmyśl zasady, które masz już bezwątpienia, wynaleź formę i przyjdź mię odwiedzić, a bez trudów się porozumiemy.— Następnie Napoleon pożegnał p. Benjamina Constant, ani mu pochlebiając, ani też obchodząc się twardo, lecz zapanowawszy nad nim prostotą, wdziękiem i stałością swego umysłu, w obec którego każde pytanie ukazywało się nie jako postawione do roztrzygnięcia, lecz jako roztrzygnięte.

P. Benjamin Constant był człowiekiem swego czasu, posiadającym oprócz daru jasnego, uszczypliwego, dojmującego pisania, zupełnie wyrobioną teorję monarchji konstytucyjnej. Brakło mu tylko doświadczenia, na czém głównie zależał ten mechanizm, a jakkolwiek zdolniejszym był od wszystkich spółczesnych do pokonania tej trudności, to przecież nie wiedział jeszcze dokładnie do czego największą miał przywiązać wagę, pomimo że mu się to wydawało łatwém. Nie posiadał on jednak żadnego z panujących ówcześnie błędów, a będąc publicystą używanym przez stronnictwo liberalne przeciw pierwszej restauracji, miał zaufanie jako redaktor ustawy, a pod tym względem nie było we Francji większej od niego powagi.

Zasady jego były obmyślane, praca więc nie mogła być długą, przynajmniej pod względem układu, a ztąd w krótce stawił się przed Napoleonem. Znalazł go zarówno prostym lecz więcej uprzejmym i zbliżenie się tych dwóch ludzi za każdym razem stawało się nie łatwiejszém lecz przyzwoitszém. Tym razem rozmowa obracała się około szczegółów przyszłej ustawy i przy żadnym punkcie nie zrodziła się niezgoda pomiędzy nimi. Napoleon zgodził się bez żadnego zaprzeczania, że dziennikarstwo wyjęte być powinno z pod wszelkiej poprzedniej cenzury i za

swe zboczenia odpowiadać tylko przed sądami. Było to więc doraźne roztrzygnięcie panujących w tym przedmiocie sporów, lecz Napoleon, jak tośmy mówili, z doświadczenia zaczerpnął przekonanie. Co zaś do dwóch izb, do włożenia obowiązku na ministrów, aby przed niemi usprawiedliwiali swe czyny, p. Benjamin Constant nie spotkał więcej trudności ze strony Napoleona, który zgodził się na podział władzy z niemi, a jeszcze więcej jak na podział, gdyż w podobnym porządku rzeczy panującemu przypada działanie, a izbom ogólne kierownictwo, co zresztą jest tylko poddaniem się konieczności. Przy izbach bowiem napróżno rząd chciałby postępować wbrew uczuciom narodu, wbrew panującemu duchowi, a jeżeli zdarza się czasem że robi podobną próbę, to po kilku dniach zmuszony jest do jej zaniechania. Lepiej więc przyjąć to dobrowolnie, czemu nie można się oprzeć i zgodzić się na wprowadzenie myśli narodowej w łono rządu, przez co ministrowie we wszystkich swych czynach zależni się stają od uchwały zgromadzenia.

Napoleon zgodził się także, aby izby wnosiły poprawki do przedstawianych im pod uchwałę projektów do prawa, z zastrzeżeniem jednakże, że zatwierdzenie praw w ten sposób poprawionych zależéć będzie od uznania rządu; że będą mogły nie *prosić*, jak to postanowiono kartą Ludwika XVIII, lecz *wezwać* rząd o przedstawienie pod rozbiór pewnych praw, pożądanych przez opinję publiczną, i objawić swe usposobienie, z warunkiem jednakże, aby takie wezwanie przedstawioném zostało cesarzowi dopiéro po zgodzeniu się na nie izb obudwóch. Izba poselska otrzymywała przywilej, że będzie pierwsza roztrząsać przedstawienia co do podatków; izba zaś parów prawo sądzenia ministrów, naczelników wojska i wszystkich znakomitości krajowych. Była to więc najzupełniejsza monarchja konstytucyjna bez żadnych zastrzeżeń. Pozostawał jeszcze do rozbioru skład izb.

Dla izby poselskiej mniejszego znaczenia, lecz większego wpływu Napoleon przyjął bez sporu wybory bezpośrednie. Gdyby był czas ku temu, to napisanoby zaraz prawo wyborcze, któreby wskazało obywateli mogących mieć udział w wyborze deputowanych. Przedmiot to był nowy i ważny, a ztąd przy nabytej dotąd znajomości, trudną było rzeczą stanowczo cóś wyrzec o podnoszącém się pytaniu. Zamyślano posłużyć się systemem istniejącym, przy wprowadzeniu doń zmian niektórych, Był to system Siéyèsa, zasadzający się na wyznaczeniu przez ogół obywateli około sto tysięcy wyborców dożywotnich, podzielonych na dwie klassy kollegjów: obwodowych i departamentowych. Pozorna tu była korzyść z przypuszczenia wszystkich obywateli do wyboru, lecz w gruncie wadliwa, nierozłączna z mrzonkami głosowania powszechnego, gdyż

w przypuszczeniu kraju do współudziału w rządzie, opierać się można tylko na ludziach prawdziwie oświeconych, mających swe zdanie. Sto tysięcy jednak wyborców zapisanych wówczas na listach, dawały próbkę prawdziwej myśli kraju. Odstąpiono od drobnostkowego postępowania, aby kandydaci przedstawiani byli przez kollegja obwodowe kollegjom departamentowym, a przez kollegja departamentowe senatowi, gdyż postępowanie podobne doprowadziłby mogło do zatracenia prawdziwych życzeń kraju, skutkiem podwójnego głosowania. Napoleon tu postanowił, aby kollegja obwodowe mianowały bezpośrednio 300 deputowanych i aby kollegja departamentowe mianowały bezpośrednio drugie tyle, co powinno było złożyć zgromadzenie prawie równe liczebnie izbie gmin angielskiej. P. Benjamin Constant zgodził się na te podstawy, które wielkie wprowadzały ulepszenie, gdyż nawet pod kartą z 1814 roku zgromadzenie narodowe było po prostu dawném ciałem prawodawczém, mianowaném przez senat z list sporządzanych przez kollegja wyborcze. Napoleon też dodał, iż doświadczenie już nauczyło, aby izba poselska co lat pięć całkowicie z nowych powstawała wyborów.

Co się zaś tyczy złożenia izby pierwszej, daleko więcej było niezgodności w poglądach Napoleona a p. Benjamina Constant, a to nie z powodu aby pierwszy chciał udzielić mniej, a drugi otrzymać więcej, lecz z przyczyny, że sam przedmiot bardzo ważne stawiał wątpliwości.

P. Benjamin Constant skłaniał się na stronę parostwa dziedzicznego, choć nic stanowczego jeszcze w tym względzie nie wyrobił. Instytucję tę uważał on za taką, która w podobném złożeniu izby wyższej przedstawi najszczęśliwszą mięszaninę powagi i niezależności umysłów. Sam Napoleon tegoż był zdania, lecz odpychał wprowadzenie dziedziczności do nowej ustawy. Jasném i wyrazistém wysłowieniem powiedział, że potrzebna jest arystokracja, a szczególniej w państwie wolném, w którém demokracja przeważne zawsze robi postępy. Rząd, który chciałby poruszać się w jednym tylko żywiole, podobny byłby do balonu w powietrzu, zmuszonego unosić się koniecznie w kierunku wiatrów. Przeciwnie zaś, umieszczony pomiędzy dwoma żywiołami, tak jednym jak drugim dowolnie może się posługiwać, nie poddając się żadnemu. Podobny on jest do okrętu na morzu, który używa tylko wiatru do posuwania się. Wiatr go popycha, lecz nie panuje nad nim. Nie można było użyć dowcipniejszego porównania do wyrażenia tak głębokiego poglądu, lecz pomimo że tak myślał, Napoleon obawiał się, że w podobnym stanie rzeczy nie będzie mógł oprzeć się z pożytkiem na arystokracji francuzkiej.—Stara szlachta jest przeciw mnie, powiedział, a no-

wa jest bardzo nową. Wszystko to nie jest podobném arystokracji angielskiej, urodzonej razem z ustawą angielską, która spowodowała nadanie jej krajowi i która nie przestała jej wykonywać... Zresztą, dodał, mamy lud pełen uprzedzeń przeciw szlachcie dziedzicznej. Cóż go bowiem ożywia w obecnej chwili, cóż go spowodowało do pośpieszenia naprzeciw mnie, jeżeli nie nienawiść do szlachty i księży; ukazanie więc parostwa dziedzicznego będzie tylko wywołaniem wielkich krzyków, bez pewności nawet, czy utworzy się prawdziwą arystokrację z izby parów, która na długo pozostanie złożoną z szambelanów i jenerałów...—

Skutkiem tych różnych powodów Napoleon nadzwyczaj był niepewnym, gdyż jeżeli dziedziczność parostwa zgadzała się z jego przekonaniem, to za to obawiał się wywarcia niekorzystnego skutku na podejrzliwe umysły liberalistów francuzkich.

Co zaś do zawarowań powszechnych, jak dożywotności urzędników, wolności osobistej, wolności wyznań i t. p, przyjął je bez sporu i ograniczył się na zażądaniu redakcji jasnej, dokładnej, bez najmniejszej dwójznaczności. Sprzeciwiał się i to nawet z wielką żywością jednemu tylko z tych zawarowań, to jest zniesieniu konfiskaty. Nie chciał on przecież wyrzec w tym względzie przeciwnie, lecz jedynie zachować milczenie.—Nie myślę, mówił, zabierać majątku nikomu, nie chcę w niczem naśladować konwencji narodowej. Lecz zabiera się już na nową emigrację. Jeżeli wojna się przeciągnie, zobaczymy powstanie w Wandei. Czy się przeciągnie czy nie, będziemy mieli na naszych granicach zgromadzenia takie jak niegdyś w Koblencji. Tworzy się już podobne w Gandawie, a w niém występują ludzie, których przepełniłem zaszczytami i bogactwami. Zgromadzenie to z każdym dniem zwiększać się będzie, a jeżeli wojny w przeciągu trzech miesięcy nie ukończę, wówczas utworzy się tam rząd, którego rozkazy przez pewną klassę Francuzów bardziej od moich będą słuchane. Nie wierz pan, abym zamierzał strącać głowy lub czyjkolwiek zagrabiać majątek, lecz nie mogę pozostać rozbrojonym, a jeżeli nie będę posiadał w swym ręku środków na przestraszenie, to nie zdołam obronić się przeciw temu rządowi zewnętrznemu, uznanemu i słuchanemu na wewnątrz. Obecnie mam w Besançon, mam w Marsylji byłych prefektów Ludwika XVIII, którzy wydają tajemne rozkazy. Chciałbym ich wygonić, lecz trzymaliby się na granicy i robili tyle złego co i będąc w kraju. Potrzeba więc abym mógł powstrzymać nieprzyjaciół stanowczych i odciągnąć chwiejących się. Bądź pan pewnym, że przy możności zajęcia dóbr, bez ich skonfiskowania wywrę tenże wpływ i na Talleyrandzie. Zresztą, po zawarciu poko-

ju dam tę rękojmię, która, przyznaję to, jest nieuniknioną; aż dotąd chcę, abyśmy się powstrzymali od mówienia o niej.

Był to jedyny punkt nowej ustawy, dla którego Napoleon nieprzychylnie okazał się usprawiedliwionym, uparcie utrzymając się przy swém żądaniu. Bezwątpienia nie miał słuszności w tej chęci pozostawienia sobie cząstki władzy samowładnej, gdyż kilka mniej lub więcej środków służących tylko do zastraszenia, nie mogły go ani zgubić, ani ocalić, albowiem tylko na polu bitwy los jego mógł się roztrzygnąć; lecz dla samej prawdy wyznać należy, że ówczasowe postępowanie rojalistów mogło wytłomaczyć to złe usposobienie Napoleona. Przestraszeni z początku, zachowywali się spokojnie; ale upewniwszy się w krótce widząc iż wszystkim pozostawiono wolność mówienia, pisania i działania, zaczęli korzystać z tego na obszerną stopę, przejeżdżali otwarcie z Paryża do Wandei, z Wandei do Gandawy, przygotowując widocznie wojnę domową w Wandei i poruszenie rojalistowskie w Paryżu. W obecnej chwili nie było się czego obawiać, lecz gdyby nieprzyjaciel ukazał się pod murami Paryża, wówczas niebezpieczeństwo stałoby się prawdziwém. Te to okoliczności usprawiedliwiają Napoleona, że jako człowiek czynu, przyzwyczajony do niezatrzymywania się przed żadną zaporą, a prócz tego iż to się działo w czasie, w którym ludzie nie zapomnieli jeszcze nauk rewolucyjnych, żądał środków bez zamiaru ich użycia.

P. Benjamin Constant odroczył ten punkt sporny, z zamiarem powrócenia do niego. Pozostawała jeszcze jedna rzecz do roztrzygnięcia, a jakkolwiek tyczyła się ona tylko formy, to jednak Napoleon zdawał się jeszcze bardziej być niezachwianym w utrzymaniu swego zamiaru co do tytułu i sposobu przedstawienia nowej ustawy. Chciał on po prostu nadać tę swoją nową kartę, jak Ludwik XVIII nadał swoją, lecz starając się to ukryć, gdyż w tym razie wielkie miał znaczenie sposób nadania ustawy, albowiem był on uznaniem lub zaprzeczeniem prawa.—Uznałem, mówił, wszechwładztwo narodu i wszystko to nie jest wielką łaską co dla niego zrobiłem, gdyż rzeczywiście naród jest wszechwładnym i ten tylko trwale nad nim panować może, na kogo on sam się zgodzi. To też nie chcę, na wzór Ludwika XVIII-go, przedstawiać się za nadającego z własnego prawa ustawę dla Francji; lecz jeżeli nie zamierzam wydobyć jej z mego prawa, to za to chcę wydobyć ją z mego zdrowego zmysłu, uczynić najlepszą jak można, a w tym względzie pan i ja więcej jesteśmy warci od zgromadzenia, któreby jej nie skończyło i które być może przewróciłoby kraj, bez osiągnięcia żadnego skutku. Skończoną pracę i to najlepiej jak będziemy mogli, przedstawię do zatwierdzenia narodowego, na sposób przyjętego zwyczaju przy dawnych ustawach ce-

sarskich, to jest przez zapisywanie głosów w otwartych u merów listach. Może powiedzą, że ten sposób postępowania jest zwodniczym; zgadzam się na to. Nie jest on jednak bardziej zwodniczym od zgromadzenia pierwotnych wyborców, który jest sposobem więcej zawikłanym, ale nie o wiele prawdziwszym. Główną jest rzeczą zrobić dobrze, a co do formy to najlepsza jest ta, która nie mieści w sobie zaprzeczenia podstawy. Prawdziwém uznaniem narodu jest trwałość, gdyż tym sposobem daje on zatwierdzenie ustawie, którą doświadczeniem potrafił ocenić.

P. Benjamin Constant bynajmniej nie był usposobionym do zaprzecaania temu poglądowi, gdyż sam także był zdania, że należy uniknąć bądź zgromadzenia ustawodawczego, któreby mogło rok cały pracować bez dojścia do celu, bądź też zgromadzenia pierwotnych wyborców, którzyby mogli wprowadzić straszne zamięszanie i użyć formy nadzwyczaj skróconej, zwłaszcza gdyby uniesieni zostali wyłączną żądzą uznania wszechwładztwa narodu. Pożądał on przecież, aby nowa ustawa wyróżniała się od dawnych ustaw cesarstwa nie tylko gruntem rzeczy (na to była zgoda), ale nawet formą; aby się wyróżniała nadewszystko tytułem, a to dla upewnienia narodu, że nie jest zmięszaną z dawnemi *senatus-consultami*, które raz wyszedłszy z głowy Napoleona, zamieniały się natychmiast na prawa zasadnicze państwa, skutkiem nikczemnego służalstwa senatu. Skutkiem tego przedstawiał, że bez oszukiwania się obłudą formy, należało tym lub owym sposobem odżegnać powszechną nieufność i dla tego obecnej ustawie nadać charakter zupełnie nowy, któryby ją odróżniał od poprzedzających.— Nie, nie, odpowiedział Napoleon; chcą odjąć mą przeszłość, zrobić ze mną to, czém nie jestem, zatrzéć tym sposobem piętnaście lat panowania, zatrzéć mą sławę, zatrzeć sławę Francji!... Nie zgodzę się na to. Mogę bardzo ustąpić przed doświadczeniem, a nadewszystko przed okolicznościami, które nie przypuszczają już dyktatury jaką sprawowałem, lecz nie pozwolę na poniżenie się. Zresztą, wierz mi pan, Francja chce swego starego cesarza, bezwątpienia zmienionego nieco, ale chce jego a nie innego...

W tym względzie Napoleon pokazał się nieugiętym, gdyż pod stanowczo nową formą widział zamiar poniżenia go, przez to narzucanie mu wyparcia się przeszłości. Należało więc uważać tę ustawę, nad którą pracowano, jako proste ulepszenie ustaw dawnych, a nie jako porządek rzeczy, zupełnie różny od poprzedzającego. Napoleon w tém co nazywał swą sławą, był zarówno upartym i zarówno uraźliwym jak Ludwik XVIII w tém, co nazywał swém prawem. Był to błąd bardzo ważny, gdyż ustawa z 1815, w niczém nie była podobną do ustaw z 1802 i 1804 roku, a skutkiem tego, gdy powszechnie ludność widzi więcej

aniżeli jej dają, tym razem widziała mniej aniżeli jej rzeczywiście dano: brzydka rachuba i smutny owoc dumy! W ówczesnym stanie umysłów stokroć było lepiej obiecać więcej aniżeli się robiło, niż robić więcej aniżeli się obiecywało.

Z tego oporu wypłynął nowy tytuł, tak nieszczęśliwie sławny: *Akt dodatkowy do ustaw cesarstwa*, tytuł, który oznajmiał publiczności, że tylko wprowadzano pewne ulepszenia, gdy tymczasem rzeczywiście aż do gruntu zmieniano dawny porządek rzeczy. Zachwycony p. Constant, że otrzymał grunt rzeczy, ustąpił co do formy, w czém także pobłądził, bardzo prosto jako umysł wyższy, że nie przywiązywał do niej dość wagi. Wziął za pióro i wyrażeniami prostemi, jasnemi, wytwornemi i najlepszemi, napisał dla Francji najlepszą ustawę ze wszystkich, jakie miała w długim szeregu następujących po sobie rewolucji. Przychodził często do cesarza i zgodził się z nim we wszystkich punktach, nawet co do parostwa dziedzicznego. Co do tego ostatniego względu, Napoleon po opieraniu się na powodach, któreśmy przytoczyli, po powtarzaniu, że się naraża nowe dzieło na zgubną niepopularność, przez wprowadzenie dziedziczności, odmienił jednak zdanie, a to z powodu, który nazbyt go zajmował, to jest z trudności zużytkowania arystokracji w obecnym stanie Francji. Powiedział on, że po dwóch lub trzech wygranych bitwach, jeżeli je wygra, po zawarciu pokoju, jeżeli dojdzie do jego zawarcia, prawdopodobnie stara szlachta powróci do niego, jak to już była zrobiła, a dziedziczne parostwo będzie dla niej daleko potężniejszą przynętą aniżeli krzesło w senacie; że będzie więc miał środek na jej przyciągnięcie i że dwie szlachty, stara i nowa, zmięszane z sobą, być może utworzą wspólnie dość potężne ciało arystokratyczne. Zgodził się więc na dziedziczne parostwo, lecz stanowczo się uparł, aby zachować milczenie co do konfiskaty.

Nowa ustawa została dość prędko ukończoną, pomimo sporu między jej autorami co do jednego artykułu, pod nazbyt wprawném piórem redaktora; lecz potrzeba było wyprowadzić ją z ukrycia i wesprzeć znakomitą powagą. Rozmawiano już o niej pomiędzy publicznością, mówiono o tajnych naradach w tym przedmiocie, a nieomieszkała przyłączyć się też do tych rozmów i zazdrość, bądź to w łonie rady stanu, bądź też zrodzona w niektórych rewolucjonistach, którzy przykładali już rękę do różnych francuzkich ustaw i którzy z boleścią poglądali na pozbawienie ich współudziału w obecnej. Był więc już czas na poddanie jej radzie stanu, aby zaś p. Benjamin Constant mógł podtrzymywać swe dzieło (*),

(*) P. Benjamin Constant w swych *Listach o Stu dniach* przyznając, że miał wielki udział w ułożeniu *Aktu dodatkowego*, nie przyznał się jednak, że był jego re-

należało nadać mu prawo zasiadania w tej radzie. To nadarzyło sposobność do mianowania go radcą stanu i Napoleon też tą prostą i dobrze obraną drogą podbił najzawziętszego niegdyś swego nieprzyjaciela, a ten nieprzyjaciel ze swej strony zadowolnił się, że został zawojowanym pozornie i prawie bez uznania. Dzisiaj daleko więcejby się dziwiono niż wówczas temu gwałtownemu zjednoczeniu, lecz ludzie ówcześni widzieli tak dziwne zmiany w 1814 roku, a obyczaje publiczne tak mało były wyrobione, że zdarzenie to zauważono tylko, bez okazania zbytniego zadziwienia, ani też bez wielkiego gniewu. P. Benjamin Constant został więc mianowany radcą stanu, aby urzędownie mógł poświęcić się pracy nad ustawą. Kilka znakomitości, jak książę de Cambacérès, pp. Regnault de Saint-Jean d'Angely, Boulay de la Meurthe i prezesi różnych wydziałów w radzie stanu, powołani byli do pałacu Elizejskiego dla wzięcia udziału w obradach przedwstępnych i bardzo mało podniosło się przeciw tej nowej pracy zarzutów, które z wyjątkiem tytułu, z wyjątkiem zachowanego milczenia co do konfiskaty majątków, w ogóle nie miały wagi. Zrobiono jednak kilka poprawek w redakcji i dodano artykuł nowy, bezużyteczny, lecz odpowiadający namiętnościom czasu. Dla Bonapartystów bowiem dynastja, dla nabywców dóbr narodowych tak zwana sprzedaż narodowa, dla wieśniaków zniesienie dziesięcin, spraw feudalnych, dla rewolucjonistów różnych odcieni nieodwołalne potępienie starego porządku rzeczy, były świętościami przed wszystkiém inném cenionemi. Dodano więc artykuł końcowy, oznaczony numerem 67, który opiewał, że lud francuzki dając pełnomocnictwo władzom powstałym z nowej ustawy, nie nadaje im jednakże prawa do projektowania powrotu Burbonów (o dynastji cesarskiej przemilczano), prawa do przywrócenia szlachty feudalnej, przywilejów szlacheckich, dziesięcin, przywilejów religijnych, nadewszystko prawa dotknięcia nieodwołalności sprzedaży dóbr narodowych, a nadto stanowczo zabrania każdemu odezwać się ze zdaniem podobnego rodzaju. Artykuł ten tę tylko miał wartość, że główne przedmioty uszykował w oddziale osobnym, że oznaczył je w pewnym względzie cechą świętości, gdy tym czasem ustawa, co prawda, sama jedynie pozostałaby uświęconą.

Nowa ustawa została nakoniec przedstawioną radzie stanu. Na ogólném posiedzeniu nie zrobiono przeciw niej prawie żadnego zarzutu,

daktorem. Pewną jest jednak rzeczą, że *Akt dodatkowy* w całości jego napisany był ręką i że pomimo kilku artykułów poprawionych, całe to dzieło było jego pracą. Zresztą łatwo poznać z jednostajności, dokładności, wytwornej prostoty języka, że pochodził z pod jednego pióra i że to pióro było najlepszém swego czasu. Pióro Napoleona, które było największém, miało cechę bardziej nauczającą i jędrniejszą.

lecz za to w powstałych ztąd prywatnych pogadankach, ganiono tytuł *Aktu dodatkowego do ustaw cesarstwa*, który mało ją wyróżniał od ustaw przeszłych i wystawiał na te łatwe zmiany, jakie dokonywały się niegdyś przez *senatus-consulty*, zawsze i prawie jednogłośnie zatwierdzane przez senat i zawsze też uświęcane w merostwach kilkoma miljonami *tak*, przeciw kilku tysiącom *nie*. Wszyscy też zaczęli mówić o zachowaném milczeniu co do konfiskaty i zdawali się nawet być przerażeni. Uwaga bardzo prosta, że karta z 1814 roku wyrzekła o zniesieniu konfiskaty i że wielkiém będzie zgorszeniem, iż nic podobnego nie znajduje się w Akcie dodatkowym, uwaga ta stała się powszechną nawet na posiedzeniu ogólném, a ztąd żywo nastawano na prezesów wydziałów, a szczególniej na p. Benjamina Constant, aby przedstawił cesarzowi potrzebę zgodzenia się na zapełnienie tak ważnego ustępu, który bardzo źle mógłby być tłumaczonym.

Dnia 21 Kwietnia wieczorem były ostatnie narady w pałacu Elizejskim, i redakcja stanowczo została postanowioną. Wydane polecenia różnym współpracownikom nowego aktu konstytucyjnego wiernie zostały spełnione i upraszano tylko Napoleona, aby zapełnił ustęp odnośny do konfiskaty. Samo się przez się rozumie, że przedstawiono mu artykuł karty z 1814 roku, którym zniesione zostało to barbarzyńskie postępowanie. Napoleon odpowiedział, że artykuł ten ze strony Burbonów był prawdziwą obłudą. Z ich bowiem strony oświadczenie się za zniesieniem konfiskaty było prostém dążeniem do unieważnienia sprzedaży dóbr narodowych, skonfiskowanych szlachcie i duchowieństwu. Widoczném nawet było że nie mają poszanowania dla własności, gdyż nie zaniedbywali niczego dla pośredniego lub bezpośredniego pozbawienia majątku nabywców dóbr narodowych. Nie należy więc pozwalać się łapać na podobne kłamstwa i dać się oszukiwać fałszywemu usposobieniu. Co się tyczy jego, to w rzeczywistości nie chce pozbawić majątku nikogo, lecz nie życzy też pozbawiać się środka zastraszenia nowej Koblencji.—Nie zaprzeczając tego co mówił o Burbonach, usiłowano przecież podtrzymywać prawa własności, które on sam uważał za święte, a nieuznanie których byłoby nieprzyzwoitém w chwili, w której postanowiono ogłosić prawa obywateli, aż dotąd nie uznane lub nie zupełnie uznane. Napoleon powstał z oczami gorejącemi, poruszeniem groźném i przebiegając gwałtownym krokiem pokój, w którym rozprawiano, powiedział, że go ciągną na drogę, która nie była jego; że nadają niebezpieczny polot doktrynom dziennym, że je ośmielają, że je pobudzają; że opinja psuje się z każdą godziną i staje się nieprzyjemną; że Francja, prawdziwa Francja, szuka *starych ramion cesarza i już ich nie znajduje*; że chcą go

wydać bezbronnego wszystkim zbrodniczym stronnictwom; że lud i wojsko nie cierpią emigrantów, będą mu wyrzucać okazane dla nich pobłażanie i nie przebaczą pozostawienia im bogactw, które będą służyć na opłacanie wojny zagranicznej; że jeżeli zresztą środek ten niezbyt odpowiada liberalnemu porządkowi rzeczy, to trzeba go pozostawić ze względu na okoliczności; że *chcą z niego zrobić anioła, którym bynajmniej nie jest*, i że trzeba go brać takim jak jest, to jest za człowieka, który nie ma zwyczaju pozwalać, by uderzano na niego bezkarnie...—Po tym wybuchu, który był tylko powtórzeniem tego, co prawie każdodziennie mówił do pewnych ludzi, przerażonych mniemaném poruszeniem rewolucyjném, Napoleon uspokoił się, lecz nie pozwolił zamieścić artykułu o zniesieniu konfiskaty, uroczyście przyrzekając, że wprowadzi tę rękojmię po wprowadzeniu pokoju, jak czynią wszystkie władze, które koniecznością naglone odstępują od przeszłości, to jest gdy złe jest do nienaprawienia tak dla nich samych jak i dla ofiar.

Ustąpiono przed gniewem Napoleona, a p. Benjamin Constant zarówno jak inni, gdyż niecierpliwił się z ujrzeniem w *Monitorze* dzieła, z którego był dumnym, a które słusznie mogło go wbić w dumę pomimo tego opuszczenia.

W Niedzielę 23 Kwietnia Monitor ogłosił nowę ustawę pod tytułem: **Akt dodatkowy do ustaw cesarstwa**. Wstęp był bardzo zręczny. Opiewał on, że w różnych czasach, cesarz korzystając z nabytego doświadczenia, ulepszał ustawy poprzednie, mianowicie w roku VIII, X i XII, i zawsze odsyłał te ulepszenia pod zatwierdzenie ludu; że wówczas zajęty zupełnie utworzeniem rozległej federacji europejskiej (tak Napoleon nazywał swój zamiar powszechnej monarchji), zmuszony był do odroczenia pewnych urządzeń, koniecznych dla wolności obywateli; że przyprowadzony dzisiaj od odstąpienia od tego obszernego systemu federacyjnego i do wyłącznego poświęcenia się szczęściu Francji, postanowił ulepszyć ustawy cesarstwa, zachowując z przeszłości to, co było dobrego, lecz biorąc z ducha obecnego czasu wszystko to, co jest właściwém do uświęcenia praw obywateli, *dając systemowi reprezentacyjnemu całą rozciągłość, łącząc, jedném słowem, najwyższą wolność polityczną z konieczną siłą dla nakazania szanowania się obcym, dla niezależności ludu francuzkiego i godności korony.*

Według ustawy cesarz sam sprawował władzę wykonawczą, a wspólnie z obudwoma izbami władzę prawodawczą. Jedna z tych dwóch izb, to jest parów, była dziedziczną i z nominacji cesarza, bez ograniczenia co do liczby członków; druga, to jest reprezentantów, wyborczą, odnawiana w zupełności co każde lat pięć i złożona z 629

członków, bezpośrednio wybranych przez dwa kollegja wyborcze, to jest departamentowe i obwodowe. Świat handlowy jednak miał mieć 23 reprezentantów szczególnych, wybranych wedle odrębnego porządku. Izba reprezentantów mianowała prezesa, z zastrzeżeniem potwierdzenia go przez cesarza. Izba parów miała przywilej wysokiego sądu państwa na ministrów, naczelników wojskowych i t. p. Izba reprezentantów miała pierwszeństwo w uchwałach w przedmiocie podatków i poboru wojskowego. Budżet każdorocznie winien być uchwalony. Izby mogły wprowadzać poprawki do praw, mogły nawet je wnosić od siebie, które po uzyskaniu przychylnych głosów w obudwóch gałęziach prawodawczych, winny były być przesyłane cesarzowi. Ministrowie mogli być członkami jednej lub drugiej izby, mieli prawo uczestniczenia w obradach, choćby nawet nie byli członkami i winni byli udzielać tutaj wszelkich żądanych od nich objaśnień. Byli oni odpowiedzialni i w razie postawienia ich w stanie oskarżenia, mieli być oskarżeni przez izbę reprezentantów, a sądzeni przez izbę parów. Cesarz miał prawo rozwiązać izbę prawodawczą, pod warunkiem zwołania nowej najpóźniej za sześć miesięcy. Urzędy były dożywotnie; sądy wojenne rozciągały się tylko na przestępstwa wojskowe. Osobista wolność Francuzów była zapewnioną: nie mogli być ani więzieni, ani wypędzani samowolnie i podlegali tylko właściwym sądom. Stan oblężenia mógł być tylko ogłoszony w razie wkroczenia nieprzyjaciela, albo zamieszek wewnętrznych. W ostatnim tym wypadku mógł być ogłoszony tylko na mocy prawa, a pod nieobecność izb postanowieniem korony, które powinno było zamienione być w prawo jak można najśpieszniej. Wszyscy Francuzi mieli prawo drukowania swych przekonań bez żadnej przedwstępnej cenzury, z obowiązkiem odpowiadania za nie przed sądami, lecz jedynie przed sądami przysięgłych za przestępstwa prassowe. Prawo petycji osobistej zostało zapewnione. Wyznania ogłoszone zostały za porównane i wolne. Nakoniec dynastja, dobra narodowe, zniesienie dziesięcin i starych przywilejów, były, jak tośmy powiedzieli, zabezpieczone artykułem szczegółowym, ponieważ zabroniono obudwom izbom robienia nawet wniosków w tym przedmiocie.

Wydane postanowienia poprzedniemi senatus-consultami, a które były przeciwne nowej ustawie, zostały unieważnione. Inne były utrzymane. Obecny Akt dodatkowy winien był być przedstawiony pod zatwierdzenie ludu francuzkiego, który w merostwach, u sędziów pokoju, notarjuszów i t. d. zapisze swe głosy prostém *tak* lub *nie* w otwartych na ten cel listach. Obliczenie głosów przedstawione być winno zgroma-

dzeniu narodowemu (Champ de Mai), złożonemu z tych wszystkich członków kollegjów wyborczych, którzy zechcą się udać do Paryża.

Nigdy jeszcze wolność taka jaka jest szczerze pożądaną, nie była w większej pełności nadaną Francji, z wyjątkiem artykułu odnoszącego się do konfiskaty, który został odroczony. Napoleon zatwierdził ją w zupełności nie przez chytrość, ale skutkiem tego, że wielki jego umysł zrozumiał, iż obowiązany jest do jej nadania, a do nadania pod koniecznemi warunkami: ponieważ wówczas zajęty był jedną tylko myślą, to jest zwyciężeniem sprzysiężonej przeciw niemu Europy, a po odniesieniu tego skutku, mniej lub więcej władzy, jaką miał sprawować, było w jego oczach rzeczą drugorzędną; ponieważ wyobrażał sobie, że w praktyce on może mieć więcej władzy aniżeli ktokolwiek inny, na mocy ustawy, dzięki swej sławie, genjuszowi, sprężystości i woli; ponieważ nakoniec myśląc więcej o synu aniżeli o samym sobie, nie żądał dla tegoż syna większej władzy jak króla angielskiego.

Pozostaje do zobaczenia jak została przyjętą ta wolność, tak zupełnie nadana, a w następném opowiadaniu znajdziemy nowy dowód, że tak w polityce jak i we wszystkich rzeczach niewystarczającą jest rzeczą dobroć lekarstw, gdyż potrzeba aby one zadawane były w właściwym czasie.

KSIĘGA PIĘĆDZIESIĄTA DZIEWIĄTA.

ZGROMADZENIE NARODOWE.

Ogłoszenie Aktu dodatkowego.— Skutek jaki wywarł.— Pomimo że był osnowy liberalnej i najlepiej zredagowany ze wszystkich jakie Francja miała, został bardzo źle przyjęty.— Powody tego złego przyjęcia.— Francja nie wierzy Napoleonowi, gdy mówi o wolności, jak Europa, gdy mówi o pokoju.—Rozkiełznanie rojalistów i obojętność rewolucjonistów.— Jedynie stronnictwo konstytucyjne dobrze przyjęło akt dodatkowy, a przecież pozostało nieufnem.—Ważność roli jenerała de Lafayette w tych okolicznościach.— Stronnictwo konstytucyjne stawia warunki i wymaga, aby izby bezzwłocznie zostały zwołane.— Napoleon chciałby odwłóczyć, gdyż nie życzył mieć izb zgromadzonych w czasie pierwszych działań wojennych.— Zmuszono go do tego, że przed ostatecznem zatwierdzeniem aktu dodatkowego, postanowił bezzwłocznie wprowadzić w wykonanie zwołanie izb. Powołuje jednocześnie ciało wyborcze na zgromadzenie narodowe *(Champ de Mai)*.— Środki te spowodowały niejakie uspokojenie umysłów —Dalszy ciąg wypadków w Wiedniu i Londynie.— Pomimo wielkiego ożywienia, mocarstwa nie uważają za zbyt ważną mającej się rozpocząć wojny.— Austrja chcąc oswobodzić się od Napoleona, wznieca mu niepokoje wewnętrzne.— Usiłowanie skrytego porozumienia się z p. Fouché.— Wysłanie do Bazylei tajemnego ajenta.— Napoleon odkrywa te głuche knowania i dla ich odroczenia wysyła do Bazylei p. Fleury do Chaboulon.— Gwałtowna rozmowa z p. Fouché, pochwyconym na gorącym uczynku zdrady.— Na chwilę knowania te nie sprowadziły następstw.— Koalicja nagli, a ministerjum brytyjskie przywiedzione do ostateczności, wyznaje parlamentowi zamiar natychmiastowego rozpoczęcia wojny.— Opozycja uważa się za oszukaną i parlament jej wierzy, ale wielką większością zagłosował wojnę.— Pochód wojsk nieprzyjacielskich ku Francji.—Wypadki Murata we Włoszech.— Jego szalone przedsięwzięcie i smutny koniec.— Ucieka do Prowancji.— Smutne wróżby, jakie każdy wypowiada Napoleonowi i jakie on sam czuje.— Postęp przygotowań wojennych.—Dobrowolne tworzenie się związkowych.— Usługi jakie Napoleon spodziewa się ztąd otrzymać dla obrony Lyonu i Paryża.—Podczas gdy rewolucjoniści skłaniają się do podtrzymywania Napoleona, rojaliści zrucają maskę i rozpoczynają domową wojnę w Wandei.— Pierwsze poruszenia powstańcze w czterech poddywizjach dawnej Wandei i bitwa pod Aizenay.—Spieszne środki Napoleona.— Pozbawia się dwudziestu tysięcy żołnierzy, którzy bardzo byliby mu użyteczni w wojnie z nieprzyjacielem zewnętrznym, i kieruje ich ku Wandei.—W tymże czasie upoważnia p. Fouché do umowy o rozejm z naczelnikami wandejskiemi.— Skutek i duch wyborów.— Połączenie izby parów i izby reprezentantów.— Usposobienie jej— Szczerze chcąc podtrzymywać Napoleona w wojnie zagranicznej, obawia się, aby nie była uważaną za służalczą.— Pierwszy jej czyn nacechowany nadzwyczajną opryskliwością.— Żywo to uczuwa Napoleon.—Głębokie jego uwagi nad tém czego nie dostaje jego rządowi do stawienia przed izbami.— Smutne wróżby.— Opuszcza Paryż 12 Czerwca dla stanięcia na czele wojska.— Pożegnanie z ministrami i rodziną.— Ostatnie uwagi nad tém usiłowaniem przywrócenia cesarstwa.

igdy jeszcze wolność nie była tak zupełnie nadaną Francji, jak aktem dodatkowym i nigdy też nie była gorzej przyjętą. Starzy i młodzi, którzy po długiém drzémaniu umysłów pod względem politycznym, odzyskali miłość wolności, z różnego na nią zapatrywali się stanowiska, gdyż z braku doświadczenia nie mogli mieć wspólnego poglądu. Wyobrażali sobie powszechnie, że w miejsce prostego przedstawienia nowej ustawy, powołanych będzie do jej redakcji z kilkuset ustawodawców, czego się i rada stanu spodziewała. Duch więc stronniczy i osobiste zachcianki pozbawione zostały współudziału, skutkiem obranego sposobu postępowania. Nadto, nienawidzono dawnych ustaw cesarskich, które robiono i z pewną słusznością odpowiedzialnemi za nieszczęścia pierwszego cesarstwa, i żywiono nadzieję gruntownej ich zmiany, która tak treścią jak i formą zupełnie zerwie z przeszłością. W miejsce zaś tego, znaleść pewnego poranku w *Monitorze* ukończony i bez możności wprowadzenia jakiej zmiany prosty akt, nazwany *dodatkowym* do ustaw cesarstwa, który zdawał się być tylko niewielkiém ulepszeniem, który zresztą nie miał innej rękojmi trwałości, na milczące przyjęcie go u merów, sędziów pokoju i t. p., strasznym było zawodem. Obiecywano sobie zupełnie nowy porządek rzeczy, który miał być dziełem wszystkich i otrzymać uroczyste uznanie, a w miejsce tego otrzymano, przynajmniej tak mniemano, niemarzące zmiany, obmyślane przez samą władzę i uświęcone sposobem pospolitym, który nie przedstawiał żadnej pewności, gdyż przy podobném postępowaniu nic nie zapewniało, czy akty dodatkowe nie będą postępować jedne za drugiemi, jak niegdyś *senatus-consulty*. Otrzymać mało i bez możności nawet liczenia na to, było po prostu dla wszystkich powodem mówienia i uważania się za niegodnie oszukanych.

Uprzedzano się więc do dzieła przed poprzedniém jego przeczytaniem, a to skutkiem samego tylko tytułu. Należało też posiadać świadomość przedmiotu, jakiej w owe czasy nie miano, aby nabrać przekonania, że ono zawierało ustawę prawdziwie konstytucyjnej monarchji, takiej przynajmniej, jak ją prawodawca mógł określić, gdyż praktyczne zastosowanie należy zawsze do czasu. W owych bowiem czasach jeżeli przyjaciołom wolności nie brakło światła, to za to pozbawieni byli zu-

pełnie doświadczenia. Jedni z nich nie znajdując w akcie dodatkowym rzeczypospolitej lub czegoś podobnego, a drudzy znajdując dwie izby, byli zrozpaczeni; wszyscy zaś nadzwyczaj się oburzali na izbę dziedziczną, i usposobienie to, jak to był przewidział Napoleon, stało się powodem powszechnego nieuznania. To też do niezadowolenia z tytułu, który wskazywał tylko poprawę w miejsce zupełnej zmiany, do niezadowolenia z formy, która przypominała nadaną kartę przez Ludwika XVIII-go, przybywało jeszcze niezadowolenie z gruntu rzeczy. Dla starych republikanów była to monarchja; dla monarchistów z 1791 roku była to monarchja z dwoma izbami, *monarchja Mounier'a* jedném słowem; dla młodych liberalistów nakoniec, nieco dalej poglądających niż obydwa powyższe stronnictwa, była to monarchja arystokratyczna, gdyż zawierała dziedziczne parostwo. Dzienniki jednozgodnie objawiały te same narzekania, a rojaliści upewniwszy się o względności policji cesarskiej, łączyli się z republikanami, nieprzyjaciołmi monarchji, z monarchistami, nieprzyjaciołmi dwóch izb, z młodymi liberalistami, nieprzyjaciołmi dziedziczności, i powtarzali, co bardzo dziwném było w ich ustach, że akt dodatkowy był nadaną kartą, podobnie jak karta Ludwika XVIII go, uświęcającą monarchję feudalną w dwóch izbach, z których jedna dziedziczna. Wpływali więc oni na rozszerzenie upowszechniającego się mniemania, że Napoleon wcale się nie zmienił, że obiecawszy wiele po swym powrocie, nic nie dotrzymał, skoro poznał iż się ustalił, że powróciwszy do swych dawnych zwyczajów, z osobistego despotyzmu wydobył pozór ustawy, napełnił ją podobnemi rzeczami jak Burboni, nadał pod tąż samą formą, a *nadał* w całém znaczeniu tego wyrazu właściwym mu sposobem samowoli, a zarówno urojonym jak sposób postępowania w podobnym razie Ludwika XVIII. Mniemanie to gwałtownie przeniknęło wszystkie umysły usposobione do nieufności i sprawiło złe, jakiego najbardziej należało się obawiać na dobie, to jest ostudziło uczucia przyjaciół rewolucji i swobody, jedynych ludzi, którzy gotowi byli do śpieszenia na granicę. Każdy człowiek rozczarowany lub zniechęcony w tém stronnictwie, był nie tylko Napoleonowi, ale wydartym żołnierzem z szeregów obrońców kraju. A wówczas gdy patryoci wszelkiego odcienia, pobudzani przez rojalistów, oświadczali, że akt dodatkowy jest dziełem skrytego despotyzmu, to przeciwnie ludzie, którzy wyrzucali rządowi, iż się rzucił w objęcia stronnictwa rewolucyjnego, i którzy z objawianych z tego powodu obaw znaleźli pozór do trzymania się na uboczu, oczekując na czyją stronę przechyli się zwycięztwo, głosili wszędzie, że nie poznają Napoleona, że nie posiada już woli, energji, że pozwala się kierować przez szaleńców, że nadał ustawę anarchi-

czną i że zgodziwszy się na zostanie narzędziem jakobinów i królobójców, stanie się wkrótce oszukanym i ich ofiarą.

W gruncie każdy był wewnętrznie wzruszony widokiem wielkiego przesilenia, które się przygotowywało i które olbrzymim krokiem zbliżało się z wojskami europejskiemi. Wszystkie stronnictwa rozumiały aż nadto, że los ich zależał od tegoż przesilenia, a gdy brak zimnej krwi łączył się z błędnym ich sądem, więc też stawały się gwałtowniejsze i niesprawiedliwsze niż zwykle.

Napoleon oceniał dobrze to usposobienie, a ztąd żywo go dotykała podobna nieufność. Przewidywał on, że dziedziczne parostwo zły wywrze skutek, ale też nie przypuszczał nigdy, aby tak nadużywano tytułu nowej ustawy. Usiłował przecież zachować spokój w pośród tego powszechnego wzburzenia.—Widzisz ich, mówił do p. Lavallette, który bezprzestannie przynosił mu wiadomości, widzisz ich, wszystkie głowy dostały zawrotu. Ja jeden w tém obszernem państwie zachowałem krew zimną, a gdybym ją utracił, to nie wiem coby się z nami stało!—Rzeczywiście usilnie pracował nad sobą, aby powstrzymać swe burzliwe usposobienie, nie pozwalał sobie najmniejszego uniesienia, najśmieszniejszych uwag słuchał ze spokojem i słodyczą, jakie okazywał tylko w największém niebezpieczeństwie, strzegł się aby do buchającego ognia nie dorzucił jeszcze swego i pokutował tak za błędy długiego despotyzmu, znosząc męczarnie, których świadkiem był tylko Bóg i kilku przyjaciół! Lecz niestety! jeżeli błędy można odpokutować w obec Boga, to są one nie do naprawy w obec ludzi. Bóg widząc żal, zadawalnia się nim! Ludzie zaś nie posiadają ani jego wzroku, ani też łaskawości: oni widzą tylko błędy, a dla twardej ich sprawiedliwości potrzeba tylko kary dotykalnej, zupełnej, rozgłośnej! Napoleon też miał się stać w krótce strasznym i pamiętnym dowodem tego.

Akt dodatkowy znalazł tylko obrońców pomiędzy dawnymi konstytucjonistami i to jedynie pomiędzy najświatlejszymi. Świetna rola jaką odegrał redaktor tej ustawy p. Benjamin Constant, pochlebiała i upewniała ich na raz. Czytając samo dzieło, jeszcze się bardziej zadawalniali. Pani de Staël, której rzadki umysł i wyborna znajomość Anglji dawała rękojmię panującemu obłędowi, głośno oświadczała się za aktem dodatkowym. Światła szkoła publicystów genewskich, która kierowała się danym popędem przez panią de Staël i p. Benjamina Constant, zarówno ten akt chwaliła. Najświatlejszy z tych publicystów, p. de Sismondi, przedsięwziął w *Monitorze* uzasadnioną obronę aktu. W szeregu znakomitych artykułów starał się wykazać, że forma nie była w niczém podobną do nadania karty przez Ludwika XVIII, albowiem książę

ten wychodził tylko z praw swych własnych, a tym sposobem pozostawiał sobie możność cofnięcia tego co nadał, gdy tymczasem Napoleon stanowczo uznał wszechwładztwo ludowe i poddawał mu swe dzieło, które po przyjęciu stanie się nieodwołalnie obowiązującém; że jakkolwiek sposób co do napisania i przedstawienia pod zatwierdzenie nowej ustawy wiele był przeważający m na stronę rządu, to przecież był jedynie możliwym w obecnych okolicznościach, gdyż zebranie wyborców dla obioru zgromadzenia ustawodawczego i powołanie tegoż zgromadzenia, pomimo wielu nasuwających się trudności przy pracach podobnych w obec nieprzyjaciela, przedstawiało jeszcze tę ważną niedogodność, że przeciągałyby do nieskończoności rozprawy nad zasadami, pod względem których zgadzali się wszyscy ludzie światli; że gdyby Napoleon nie miał był dobrej wiary, mógłby rzeczywiście uciec się do tego środka, pozwalając radzić bez końca o ustawie wówczas, gdy miał rozprawiać się z nieprzyjacielem zewnętrznym, a następnie powróciwszy zwycięzcą, ośmieszyłby to zgromadzenie, rozwiązał je i objął w zupełności dawną swą władzę; że przeciwnie, przedstawiając natychmiast dzieło skończone, dzieło, które z wyjątkiem jednego punktu, nie pozostawia nic do życzenia szczerym przyjaciołom wolności, dowiódł wyraźnie, że zamierzył ogołocić się z dawnej swej władzy i obdarzyć kraj prawdziwą monarchją konstytucyjną; że porównanie obecnej ustawy z poprzedniemi jasno wykazuje, że Francja jeszcze nigdy lepszej nie otrzymała, gdyż pod pewnemi względami była ona liberalniejszą nawet od angielskiej; że w końcu utrzymanie dawnych uchwał senatu, było najprostszą i najkonieczniejszą rzeczą w świecie, gdyż uchwały te zostały najzupełniej unieważnione w tém wszystkiém, w czém tylko sprzeciwiały się nowej ustawie, a ztąd nie można się ich było obawiać ze względu przekonań politycznych, gdy tymczasem pod każdym innym względem należało je koniecznie utrzymać, a to pod zagrożeniem natychmiastowego zburzenia prawodawstwa cywilnego, organizacji administracyjnej, jedném słowem całego urządzenia państwa; że przy nadaniu nowej ustawy można mieć tylko na celu zmianę formy politycznej rządu, pozostawiając czasowi zmianę prawodawstwa i urządzenia administracyjnego kraju, tak jak postąpiono przy ogłoszeniu aktu dodatkowego.

Wszystko co tu powiedział p. de Sismondi, było prawdą zupełną, ale też prawdą tylko dla umysłów światłych i nieuprzedzonych. Inni zaś, a była ich wielka liczba, natchnięci duchem niezaufania lub niezadowolenia z aktu dodatkowego, wyobrażali sobie, że razem z tym aktem widzą wracającego Napoleona w zupełności z jego charakterem i despotyzmem: co do charakteru, to bardzo być może iż mieli tu słuszność, gdyż

chociaż nieszczęście silne zrobiło na nim wrażenie, to przecież bardzo być mogło, że nie zmieniło go ono ze wszystkiém, lecz co do despotyzmu, to się bardzo mylili, gdyż otrzymywali lepszą od angielskiej ustawę. Nadto, ponieważ popełniono ogromny błąd przez uznanie władzy Napoleona, to wypadało koniecznie użyć go takiego jakim był przeciw nieprzyjacielowi zewnętrznemu i starać się aby rola monarchy konstytucyjnego była dlań znośną i możliwą. Jenerał de Lafayette, pomimo drażliwości w kwestji liberalizmu, daleko był sprawiedliwszym. Nie podobała mu się wprawdzie forma aktu dodatkowego, ale ją wybaczył ze względu na grunt rzeczy, winszując dzieła swemu przyjacielowi, p. Benjaminowi Constant. —Ustawa wasza, pisał do niego, więcej jest warta od swego rozgłosu, lecz należy wzbudzić w nią wiarę.

Czternaście lat przeżył Lafayette w swojej majętności Lagrange, a lubo żywił w sobie uczucie wdzięczności dla Napoleona za wybawienie go z więzów Ołomuńca, nie mógł mu jednak przebaczyć, że przez niego Francja prawdziwych swobód pozbawioną została. Wolny od niechęci dla człowieka, który mu tak ważną oddał posługę, obok uwielbienia osoby i genjuszu, nie mógł przecież uwierzyć w jego mniemane nawrócenie się. Sam niewzruszonych zasad, nie przypuszczał, aby kto inny mógł stać się odstępcą własnych swych przekonań. W uniesieniu, gonił tylko za wolnością bez względu, czy takowa miała wyjść z rąk Burbonów czy Napoleona; a jeżeli w tym ostatnim upatrywał więcej niebezpieczeństwa dla swobód politycznych, wszelako przyjęte zasady z r. 1789 dawały rękojmią wielkości i niezawisłości w obec mocarstw zagranicznych. Zadowolony więc, z wyjątkiem jednego punktu, z osnowy aktu dodatkowego, pragnąc wprowadzić go w wykonanie, tłumił w sobie wszelką nieufność byle tylko śpiesznie zwołanie izb nastąpiło: Lafayette bowiem miał to przekonanie, że obawa przewagi Napoleona zniknie jak skoro znakomitości stronnictwa liberalnego w jedném staną kole. Oręż jego potrzebny był tylko do odpierania nieprzyjaciół Francji; teraz zaś gdy potrzeba ta ustała, można będzie zastąpić go synem, a tém samém dać podstawę monarchji konstytucyjnej. Atoli rozumowanie to miało także swoją słabą stronę. Napoleon mógł równie myśléć, że raz stawszy się zwycięzcą, mocen będzie usunąć niechętnych sobie przyjaciół wolności, i o ile zwoływanie izb pętało mu ręce względem nieprzyjaciół zewnętrznych, o tyle ręce te pozostawały mu zawsze swobodnemi do przytłumienia zbytnich zapędów wolności.

Gdyby nie oczekiwanie na zwołanie izb, powtarzamy, Lafayette byłby zupełnie zadowolony. Sam naród zaś przywiązywał wielką cenę do jego osoby: Lafayette bowiem i Carnot byli mężami, którzy przeży-

wszy burze rewolucji, wysoki w powszechności zjednali sobie szacunek. A jeżeli Lafaytte nie mógł jak Carnot poszczycić się odniesionemi zwycięztwy, wszelako, mógł przynajmniej to wewnętrzne mieć zaspokojenie, że nie głosował za wyrokiem śmierci na Ludwika XVI-go, ani na jakiego bądź spółobywatela. Zyskać więc takiego męża dla cesarstwa, było to pozyskać rękojmią dla rozkrzewianych zasad wolności; i na to też właśnie całe skierowano usiłowania. Ważne to zadanie podejmowali: jenerał Mateusz Dumas, książę Józef Bonaparte i Benjamin Constant. Pierwszy z nich, cały zajęty utworzeniem gwardji narodowej, tej najgłówniejszej obrony kraju, myślał wprawdzie o utrzymaniu swobód, więcej jednak o powodzeniu oręża, a pomnąc na dawne stosunki z Lafayett'em, postanowił zbliżyć go z Józefem. Wprawdzie Józef znał dawniej Lafayette'a: czas atoli panowania nad Neapolem i Hiszpanją stosunki te oziębił. Teraz więc, kiedy Napoleon potrzebował silniejszej zewsząd spójni i podpory, pozyskanie jej w Lafayecie było rzeczą zbyt pożądaną. Jakoż, w oczach znakomitego patrjoty z r. 1789, Józef okazywał się szczerze liberalnym, a został nim w istocie pod ciężkiém jarzmem rządów swego brata. Z dumną grzecznością słuchał Lafayette rozmów Józefa, zapewniając zawsze, że uwierzy we wszystko, jak skoro izby zwołane zostaną: książę zaś nie taił obawy, że Napoleon nie zezwoli, żeby wtedy gdy on bój toczyć będzie, Paryż zajmował się rozprawami.

Benjamin Constant silił się również na grzeczności dla Lafayette'a. «*Pan jesteś mojém sumieniem*,« mawiał do niego, co oznaczało, że w obecnych okolicznościach, Constant uważał go jako usprawiedliwienie swego postępowania. I w rzeczy samej, pomimo dziwnych zmian czasu, nie łatwa to była dla niego rola: piastowanie bowiem godności radzcy stanu pod monarchą na którego kiedyś gromy miotał, zyskiwało dlań zdania niekorzystne. Sama więc przyjaźń z Lafayette'm była już dostateczną odpowiedzią na wszelkie zarzuty. Silił się więc p. Constant na przekonanie Lafayetta, który tak jemu, jako i księciu Józefowi odpowiadał zawsze, że we wszystko uwierzy, wszystko potwierdzi, jak skoro zwołanie izb nastąpi. W tém zaś przyśpieszoném zebraniu izb, upatrywano ważny zarzut nielegalności, to jest, wprowadzenia w czyn ustawy przed jej ostatecznem przyjęciem. Mimo to wszystko, Lafayette i jego stronnicy, nie przestawali domagać się bezzwłocznego izb zwołania: a lubo sami ganili sposób głosowania, podług którego wola ludu lekceważoną była, wszelako, lekceważyli ją bardziej jeszcze sami głosząc, że wola ta jest im naprzód znana i że na objawienie jej oczekiwać nie potrzeba.

Jakkolwiek Napoleon zdecydowany już był na wprowadzenie nowej ustawy, gdyż na powodzeniu stronnictwa liberalnego zasadzała się jego pomyślność, niepowodzenie zaś, tryumf Burbonom przynosiło; wszelako pragnął on wstrzymać zwołanie izb z obawy, aby one przy pierwszym odgłosie dział, braku odwagi lub przynajmniej braku zimnej krwi, nie okazały. Bystrym swoim umysłem przewidywał, ile przykrości napotka na tej drodze, jaką może walkę wypadnie mu stoczyć pod murami Paryża. Lecz Napoleon tém wszystkiém nie trwożył się i nie wątpił o zwycięztwie, byle tylko naród nie wpadł w zamieszki, byle umiał ze spokojem przypatrywać się toczącej się walce na śmierć lub życie. W przenikliwości swego ducha widział on, że izba reprezentantów w takich zebrana okolicznościach, była treścią wszelkich stronnictw, że oczekiwany ów dzień nieszczęśliwy, choćby w skutkach swoich okazał się pomyślnym, może dać powód do rozdziału, może mu nawet wytrącić z dłoni oręż, którym dotąd bronił Francji. I nie można powiedzieć, że obawy te były bezzasadne: wiadomo bo wiem, że wszelkie nowe a niesnaskami rozdzielone sejmy, stają się nieprzyjaznem narzędziem wojny. Chętnie więc korzystał ze zwłoki, jaką mu w zwołaniu izb nastręczał akt dodatkowy, aby tylko zyskać dwa miesiące czasu, by w tym okresie całą siłą uderzyć na nieprzyjaciela: obmyślane zaś działania wojskowe dawały nadzieję, że zamierzona wyprawa, a może i cała wojna, ukończy się w tych dwóch miesiącach. Tak więc powodzeniem oręża wzmocniwszy swoją przewagę, mógłby bez niebezpieczeństwa pomyśleć wtedy o zwołaniu izb.

Jeżeli cofniemy się myślą do wypadków poprzedzających, które nie tyle dynastji, ile raczej krajowi klęskę przyniosły, wtedy przekonania Napoleona okażą się nam bardzo trafnemi. Lecz o ile zamiary jego budziły w Europie nieufność co do widoków pokojowych, o tyle dla Francji były one wątpliwemi co do usposobień jego liberalnych. Pomimo usunięcia niektórych rozporządzeń z aktu dodatkowego, naród widział zwodnicze tylko obietnice, do których Napoleon wróci po pierwszém odniesioném zwycięztwie. Powszechną tę nieufność rozproszyłoby samo zebranie izb obok rządu, izb roztrząsających sprawy państwa, czuwających nad należytym ich biegiem i gotowych zawsze stawić opór jego zamiarom ustawie przeciwnym. Otóż te błędy przeszłości pogorszały położenie Napoleona: z jednéj strony zwołanie izb wiodło za sobą anarchję poprzedzaną nieprzyjacielem; niezwołanie zaś ich, pozbawiało go zaufania publicznego, a tém samém pozyskanie odpowiedniej ilości żołnierzy.

Tymczasem Józef, z nieudaną gorliwością, obok chęci pozyskania

pewnej przewagi, dokładając wszelkich starań, do pozyskania u brata ustępstw, któreby go podniosły w oczach stronników ustawy, nalegał na bezzwłoczne zwołanie izb; Benijamin Constant zaś, dla przypodobania się swoim przyjaciołom i pozyskania względów Lafayett'a, usilnie wnioski Józefa popierał. Jeden i drugi zarówno powtarzali, że akt dodatkowy nie udał się, że nie pozyskał wiary, że potrzeba było czynu silnie bijącego w oczy, a takim było zebranie sześciuset reprezentantów i dwustu parów, którzy otoczywszy tron, mogliby tchnąć wiarę w obietnice cesarskie. Napoleon bronił się z całą mocą mówiąc, że przekonany jest, iż akt dodatkowy celu swego nie dopiął, że przyjęty przez niego tytuł, a zaprojektowane przez p. Constant prostwo dziedziczne, zachwiały go w opinji publicznej; że umysły goniły za urojeniami, a nie zatem co stanowiło istotę rzeczy; że niefortunne te dążenia z każdym dniem uciążliwszemi się stawały; że nareszcie nie chciałby brać na swe ramiona ciężaru zgromadzenia ustawodawczego, kiedy ramiona te tłoczyło już brzemię wszystkich wojsk europejskich. Tak przez niejaki czas opierał się naleganiom stronnictwa konstytucyjnego, niechętny zawsze licznemu zgromadzeniu, w pośród którego pragnął zasiąść jako pan samowładny.

Te nalegania i opór, znalazły jeszcze silne poparcie w ówczesnej prassie perjodycznej, a mianowicie rojalistowskiej, która to głównie aktowi dodatkowemu zarzucała, że w brzmieniu swojem niedość jasno określał władzę panującego. Na nieszczęście, ludzie uchodzący za prawdziwych patryjotów, dali się uwikłać w sidła deklamacji. Napoleon atoli nie uległ tej ułudzie; aby jednak stawić czoło tak wewnętrznemu stronnictwu rojalistowskiemu, jako i grożącym z zewnątrz armijom sprzymierzonych, potrzebował mieć za sobą stronnictwo królewskie i liberalne. Szło mu więc bardzo o to, aby nie oziębić zapału z jakim starzy jego żołnierze, a mianowicie uruchomione gwardje, biegły ku granicom państwa. Dzielni ci wojacy, posłyszawszy, że granicom kraju grożą wkraczające obce wojska, Burboni, szlachta, księża i kontr-rewolucjoniści, biegli skwapliwie, by zapełnić próżnią w szeregach swych pułków. Gdyby więc stronnictwo rewolucyjne i liberalne, wieści te rozsiewające, umilkło; wyniknąćby mogła ztąd oziębłość pozbawiająca armiją silnéj podpory i wystawiająca ją na wątpliwe zapasy z potężnym nieprzyjacielem. Rzeczywiście, armija ta niezaprzeczonem męztwem ożywiona, liczebnie atoli była zbyt słabą do stawiania oporu sprzymierzonéj Europie. Wszystkie te rozumowania znakomicie oddziaływały na umysł Napoleona. Poznawał on teraz, że zapał z jakim go przyjęto w chwili wylądowania, stygł powoli, a imię jego traciło na uroku. Wszystko to jednak

byłoby nie dostatecznem, gdyby inne powody nie wpłynęły były na jego postanowienie.

Kiedy wewnątrz kraju starano się przedstawić Napoleona, jako chytrego despotę, gotowego zawsze do swych dawnych nałogów powrócić; zewnątrz opisywano go jako tyrana, otoczonego zewsząd dzikiem żołdactwem, nienawistnego dla samego narodu francuzkiego, do którego przybył jedynie w chęci narzucenia powtórnie swego żelaznego jarzma. Napróżno ukazywał się na placu Caruzelu, napróżno w czasie codziennych przeglądów wojsk nie wzbraniał każdemu przystępu do swojej osoby; na to, pomimo dokładnych doniesień Monitora, odpowiadano, że nigdy nie widziano go inaczej, jak otoczonym liczną eskortą. To uporne rozsiewanie kłamstwa, musiało oddziałać na opinję Europy i wpoiło w nią to przekonanie, że dość było wyciąć sto lub dwieście tysięcy mameluków, aby dostać się do tyrana, którego sama Francja pozbyć się już chciała. Tak te, jako i poprzednie kłamliwe zdania, nie potrzebowały odpowiedzi. Zwołanie więc izb, pomimo swych niedogodności, miało za sobą podwójną korzyść: uciszenie w kraju i za granicami fałszywych opinij, i przekonania wszystkich, że Napoleon ogłoszeniem aktu dodatkowego chciał wprowadzić naród w używalność praw i dowieść zarazem, że nie lęka się zbliżenia do ludu, będąc otoczony jego reprezentantami.— „A więc, rzekł do Józefa i Benjamina Constant, postanowiłem już zwołać izby, by tem samem rozproszyć powątpiewanie o szczerości moich zamiarów: przekonam naród, że przyzywając do siebie jego wybrańców, nie obawiam się go, jak to wielu głosi.“ Lecz pozostawała jeszcze jedna trudność, a tą było wprowadzenie w wykonanie ustawy, przed ostatecznem jej przyjęciem. Wydano więc postanowienie, poprzedzone wstępnym reskryptem, w którym powiedziano, że Napoleon przed swoim wyjazdem do armii, pragnie choć kilka dni spędzić w kole reprezentantów narodu. Następnie, rozesłano rozporządzenia dotyczące zgromadzeń wyborczych, mających zająć się obiorem 629 deputowanych. W rozporządzeniach tych dostrzeżono zmianę w tem, że kiedy dawniej zgromadzeniu wyborców przewodniczył prezes dożywotnie przez cesarza wybierany, teraz przeciwnie wybór jego pozostawiono deputowanym. Manifest ten wydany pod datą 30 kwietnia, dzień zaś zebrania się zgromadzenia ustawodawczego naznaczono na 26 maja. Nareszcie aby przekonać, że monarcha pragnął przypuścić cały naród do używania wszystkich dobrodziejstw prawa, nowy manifest jego dozwalał gminom przez głosowanie dopełnić wyborów merów i urzędników municypalnych.

Tak szybkie wprowadzenie w czyn aktu dodatkowego, musiało koniecznie uspokoić, przynajmniej na czas pewien, umysły strony przeci-

wnej. Dziś już trudno było mówić, że to tylko czcza ułuda, że to obietnica, której spełnienie na czas nieograniczony odłożono. Przedstawianie Napoleona jako tyrana stroniącego od narodu, okazało się również mylnem od czasu, jak monarcha ten, sam z własnej woli zasiadał w pośród wybrańców narodu. Krok ten więc przekonywał zarazem o szczerości zamiarów i sile moralnej Napoleona.

Zadowolenie Lafayetta było teraz zupełne. Józef upoważniony był do ofiarowania mu parostwa: Lafayette odmówił utrzymując, że tylko naród mógł mu powierzyć mandat, że zatem postanowił stanąć w rzędzie wyborców departamentu Marne. Ze swej strony Benijamin Constant, opowiadając mu z radością o zwycięztwie odniesionem nad uporem Cesarza, żądał od niego wzajemnie poparcia w jakiemkolwiek zgromadzeniu wyborczem, aby tem samem zostać członkiem drugiej izby. Lafayette, będąc teraz w usposobieniu dobrego humoru, zezwalał na wszystko. Zażądano od niego innéj jeszcze usługi, którą mąż ten, tchnący zawsze najczystszym patrjotyzmem, bez wahania się spełnił. Ówczesny ambasador Stanów-Zjeonoczonych w Paryżu p. Cranfurd, z którym go ścisła łączyła przyjaźń, powracał do Ameryki dla objęcia ministerstwa wojny. Wracał on przez Anglją, w której znakomitych liczył przyjaciół. Lafayette wymógł, że minister ten przyjął od niego listy pisane za utrzymaniem pokoju do niektórych znakomitych mężów Anglji. Pani de Staël, swoją długą opozycją dla Cesarstwa niepodejrzywana o stronność dla Napoleona, a której głośne imię i wyższy umysł mógł wywierać silny wpływ na ministrów angielskich, wysłała do nich również naglące listy namawiając do wycofania się z koallcji. Zdaniem jej Napoleon nie był już teraz osamotnionym despotą, ale raczéj monarchą liberalnym, opierającym się na Francji. Lud i wojsko otaczało go swojem przywiązaniem, walka więc byłaby straszliwą: działając przeto w interessie ludzkości i swobód, lepiej było stanąć po stronie Napoleona, zwracającego się przynajmniej ku pokojowi, jeżeli nie ku wolności, niż przelewać krew bez pewności osiągnienia zamierzonego celu. Przyjęty z wiarą przyniósłby obiecywany pokój i wolność: odepchnięty zaś, zwyciężony, nie przyjąłby traktatu Paryzkiego, a może odrzuciłby i akt dodatkowy. Sam więc interes Europy, ludzkości i wolności, nakazywał politykę pokojową. Powody zatem przywiedzione przez panią de Staël, dowcipnie, jak widzimy, i patrjotycznie były przedstawione.

Kiedy w ten sposób stronnictwo konstytucyjne wynagradzało Napoleona za uczynioną z siebie ofiarę, na prowincji tymczasem czyniono silne przygotowania do stawienia czoła nieprzyjacielowi. Mieszkańcy Szampanji, Burgundji, Lotaryngji, Alzacji, Franche-Comté, Delfinatu, z go-

dnym pochwały zapałem gotowali się do obrony. Dawni żołnierze garnęli się pod sztandary, a gwardja narodowa stawała bez oporu na pierwsze wezwanie swych organizatorów. Wyborne to usposobienie umysłów, zarówno na wschodniej, jak i zachodniej stronie kraju objawiało się. Widzieliśmy już co się działo w Angers, Nantes, Mans, Rennes, przez przeciąg jedenastu miesięcy pierwszej restauracji: widzieliśmy jak mieszczaństwo trwożyło się postawą szlachty i ludu wiejskiego i gotowością chwycenia za oręż w czasie zupełnego spokoju. Od d. 20 marca posiadanie władzy przechyliło się na stronę mieszczaństwa: atoli, ruchy dowódzców wandejskich, jawne ich stosunki z Anglją, a nawet krążenie statków angielskich ładownych bronią, nareszcie niektóre gwałtowności dopuszczone po wsiach, sprawiły niejakie wzbudzenie w Nantes, w Vannes, w Quimper, Rennes, Mans, Angers i t. d. Szczególniej ludność Nantejska, pamiętna klęsk i rzezi doznanych od Wandejczyków i Carrier'a, z trwogą poglądała na zbliżającą się wojnę. Na wieść morderstwa popełnionego na pewnym starcu, zacni mieszkańcy miasta Nantes oburzyli się, i wtedy wraz z głównemi miastami pięciu departamentów Bretanji zawarli przymierze, mocą którego zaprzysięgli wspierać się nawzajem w razach niebezpieczeństwa. Umowę tę, na wzór federacji z r. 1790, nazwano *federacją bretońską*. Myśl ta zaledwie poczęta a tak przystająca do obecnych okoliczności, ogarnęła umysły wszystkich tak dalece, iż zaraz kilkuset nantejczyków udało się do Rennes, gdzie właśnie z niecierpliwością byli już oczekiwani. Przyjęci z zapałem, ugoszczeni, rozrywani na wszystkie strony, wybrali zaraz kilka osób dojrzałego umysłu, poruczając im spisanie umowy mocą której obywatele Bretanji kojarzyli się w jedno ciało tak przeciw zewnętrznemu jako i wewnętrznemu nieprzyjacielowi. Trzeba przyznać, że zamiary dzielnych Bretonów były najczystsze, wolne od wszelkich dążeń stronniczych: nie pragnęli oni bowiem ani osiągnienia władzy, ani uciśnienia wyższych warstw narodu, ale jedynie, przytłumienia pożogi i morderstwa Szuanów i niedopuszczenia wylądowania Anglików. Usposobienie więc przemagające w tych kółkach było czysto liberalne. Nie od rzeczy tu będzie pokrótce skreślić motywa tego zjednoczenia i niektóre zasadnicze jego warunki. I tak, postanowiono, że związkowi nie będą tworzyć oddzielnego ciała, odróżniającego się ubiorem, barwą, bronią i dowódzcami, ale raczéj, staną w szeregach organizującéj się gwardji narodowej. A ponieważ gwardja ta formowała się w całem państwie, wszędzie więc gdzie tylko groziło niebezpieczeństwo, mogliby w szeregach jej pomieścić się. Dalej, zobowiązywali się do uległości władzom publicznym, do stawania na pierwsze wezwanie bądź w bataljonach ruchomych, bądź

w garnizonach miejscowych, lub kadrach gwardji narodowej. Na wezwanie mera, podprefekta lub prefekta, związkowi gotowi byli nieść pomoc, ile razy bezpieczeństwo lub zagrożony porządek publiczny tego wymagały. Słowem, poddawali się oni pod zupełne rozkazy rządu, byle tylko zapewnić krajowi wewnętrzne i zewnętrzne jego bezpieczeństwo.

Po zredagowaniu przedwstępnych warunków i samej umowy, porozumiano się z prefektem, celem dalszego ich przedstawienia. Z powyższego widzimy, że rząd nie brał w tem najmniejszego udziału, że potrzebę tego związku wywołała sama niepewność w najzacniejszej warstwie ludności bretońskiej. Wprawdzie imię Napoleona dość długo było popularnem w prowincjach zachodnich, którym on pokój przywrócił; wojna atoli z r. 1812 i 1813 imię to mniej popularnem uczyniła. Naród spoglądał nań zawsze z obawą, a jeżeli przyklaskiwano jego powrotowi, to tylko dla tego, że powrót ten ukrócał wpływ emigracji i że pozostawała zawsze nadzieja ograniczenia go we władzy nakreśleniem nowej ustawy. W takiem to usposobieniu sprzymierzeni by nie nadać swojemu związkowi barwy bonapartystowskiej, wstrzymywali się od wszelkiej wzmianki o cesarzu. Takie zjednoczenie, zdaniem ludzi rozsądnych, skojarzone po za obrębem rządu, zgubnem stać się mogło; chcąc zatem prawdziwą oddać posługę, należało ściślej z rządem siłę zjednoczyć. Uznano więc za stosowne osnowę ugody przerobić tak, aby ona odpowiedziała zamiarom zacnych obywateli, którzy gotowi byli wspierać Napoleona wszelkiemi siłami, pod warunkiem wszakże pozyskania rzeczywistej swobody.

W tym czasie większa część miast Bretańskich wysłała deputacje do Rennes: kilka zaś dni przeszło na samych uciechach, ucztach i zapewnieniach wzajemnych poświęceń. W departamentach niższej Loary, Morbihan, Finistère, Côtes-du-Nord i Ile et Vilaine, dawną Bretonją składających, liczono już przeszło 20,000 związkowych. Krok ten Bretonów odbił się dalekiem echem w sąsiednich departamentach i coraz dalej aż po całej Francji. Andegaweńczycy, zagrożeni temże co Bretoni niebezpieczeństwem, idąc za ich przykładem, również zjednoczyli się. Burgundja, nienawistna Rossji, Austrji i Prusom, wysłała swoich delegatów do Dijon dla podpisania aktu federacji przyjmując w całej osnowie tekst federacji bretońskiej. Toż samo uczyniła Lotaryngija, Franche-Comté, Lugdun i Delfinat. W pośród takowego poruszenia umysłów nie podobieństwem było, aby wielka stolica, Paryż, sam pozostał obojętnym i nieczynnym. Ale Paryż mieści w sobie różnorodne żywioły, i kiedy szlachta żałowała Burbonów, a klassy średnie wzdychały za pokojem, lud przedmieściowy pałający zawsze nienawiścią do szlachty, księży i obcych nieprzyjaciół, żałował zawsze, że w r. 1814 nie posiadał oręża, którym

mogłyby bronić murów swej stolicy. I tu jednakże znajdowali się ludzie skompromitowani w zamieszkach z r. 1793: i tu była młodzież i dawni żołnierze szczerze kraj swój miłujący: jedni i drudzy więc podniecali ludność przedmieściową wskazując jej za wzór Bretonów i Burgundczyków. Poruszenia objawione na przedmieściach Saint-Marceau i Sgo Antoniego posunęły się wprędce i na inne dzielnice miasta. Przyjęto więc umowę Bretońską, niektóre zaprowadziwszy w niej zmiany. Związkowi paryzcy udali się wprost do Napoleona, żądając posłuchania i odczytania adressu.

Różne te federacje powstały w końcu kwietnia i w początku maja. Ogłoszony w tym czasie akt dodatkowy, wywołał pewne niezadowolenie, wszelako dekret nakazujący zwołanie izb, nie przytłumił zapału prowincji zagrożonych wojną domową lub obcą, owszem, prowincje te nie przestawały kojarzyć się z sobą. Powtarzamy, że ani w poddaniu ani w rozkrzewianiu tych związków federaeyjnych na prowincjach, rząd nie brał żadnego udziału. Ludzie nawet tworzący je, mieli w tym względzie rozmaite przeświadczenia Ci bowiem którzy za jakąbądź cenę pragnęli uniknąć wpływów zagranicznych lub kontrrewolucji, pragnęli wszelkiemi sposobami zyskać żywe poparcie ze strony narodu. Ci zaś, którzy ze smutkiem poglądali na ofiary Napoleona dla dążeń liberalnych, upatrywali wszędzie gotowość stronnictwa rewolucyjnego do pochłonienia władzy, a ztąd wzniecali pewien wstręt do związków federacyjnych. Poruszenia ludu, mianowicie w Paryżu, uważali jako sprzeczne i niebezpieczeństwem zagrażające. Gdyby Napoleon dawał im jakąkolwiek otuchę lub zachętę, gotowi byli uznać w nim niegodne narzędzie jakobinów. Na te wszystkie obawy, monarcha ten uśmiechał się, ciesząc się w duchu z tego ocknienia się narodu. Miłośnik porządku odpychając ze wstrętem wszelkie dążenia jakobinizmu, z pociechą poglądał na zbrojące się silne ramiona ludu, mające w Bretanji ukrucić szuanów i odpierać od bram Paryża wdzierające się zastępcy anglików, prussaków i rossyjan. Nie troszczył się nawet myślą, że poruszenia ludowe mogą mu nowe podczas pokoju nastręczyć kłopoty, bo jedynem jego pragnieniem było odparcie nieprzyjaciela od granic kraju; na uspokojenie zaś rozhukanego ludu, miał zawsze w pogotowiu wojsko i izby, które w żadnym razie nie sprzyjałyby dążeniom demagogicznym.

Tak więc Napoleon nietylko, że bez wahania i jakiejbądź obawy sprzyjał zjednoczeniom federacyjnym, ale nawet uważał je za potrzebne do podtrzymania ducha przeciwko rojalistom w Lyonie, Bordeaux, Marsylii, Nantes, Rennes i w innych miastach, i do zapewnienia sobie obrony stolicy, co w oczach jego było rzeczą najważniejszą. Zamiarem jego

jak to wyżej widzieliśmy, było silne uszańcowanie Paryża, ustawienie na wałach dwustu armat marynarki i dwustu dział polowych, obsługiwanych przez majtków i młodzież szkolną, do czego oprócz garnizonu z 15 do 18 tysięcy złożonego dodawszy 25,000 dzielnych mieszczan, dawnych po większej części żołnierzy, pewnym był, że Paryż broniony od 40,000 piechoty i 10.000 kanonjerów, byłby niezdobytym, i że wtedy rozwinąwszy swobodne działania w polu, śmiało stawiłby czoło wszelkiej koalicji. W liczbę tę nie włączał gwardji narodowej; nie dla tego jakoby o jej odwadze powątpiewał, ale że nie pokładał w niej zupełnego zaufania przeświadczonym będąc, że gwardja ta kupiąca się z konieczności około niego, wzdychała zawsze skrycie za pokojem i swobodą pod Burbonami. Wahał się nawet, czy ma w jej ręku broń pozostawić i ostateczne w tem postanowienie odkładał na ostatnie chwile. Inaczej rzecz się miała ze związkowymi: tych Napoleon postanowił uszykować w wojsko regularne, lub wcielić do gwardji narodowej, dając im za dowódzców oficerów doświadczonych tak, iżby w razie niepewności, odebrawszy broń gwardji, ich mógł nią uzbroić. Wszelako, do czasu bliższego ich poznania i uorganizowania, postanowił nie dawać im broni, tem więcej, że posiadając szczupłe jej zapasy, szafować nią nie mógł. (1).

Dowódzcą związkowych mianowany został waleczny generał Darricau. Nadano im nazwę *przedniej straży* czyli *tyraljerów* gwardji narodowej, poruczając tem samem zewnętrzną obronę stolicy. Napoleon objawił nawet chęć odbycia pewnej Niedzieli przeglądu tych nowych szeregów i przyjęcia odpowiedniego adressu. Tegoż dnia postanowił także odbyć przegląd 10go pułku linjowego, tego właśnie, który sam jeden z całej armii walczył za sprawą Burbonów. Usposobienie 10go pułku było zupełnie toż samo co 7go, 58go i 83go pułku piechoty, które

(1) Zdania o tworzeniu się federacji z 1815 r i usposobieniu względem nich Napoleona, wiele między sobą się różnią. Niektórzy zarzucają mu, że chciał ich tylko użyć przeciw rojalistom; inni twierdzą, że nie chcąc z obawy ich uzbrajać, pozbawił się samowolnie prawdziwie patrjotycznego poparcia. Napoleon nie wiedział zupełnie o tworzeniu się związków federacyjnych, czego pobudką stała się jedynie obawa tak zwanych *błękitnych* w zachodniej stronie kraju. Utworzenie się ich było mu po myśli, jakkolwiek wiedział, jakie wnioski wysnuje ztąd stronnictwo zapalonych liberalistów. W obecnej jednak chwili mało dbał o opinję, byle tylko zyskać nową siłę przeciwko wrogom swoim. Jedyną jego myślą było raz jeszcze pokonać Europę: reszta była w oczach jego niczem. Pozyskanie 25,000 żołnierzy dla gwardji Paryża, oto główny cel w zawiązaniu się federacyj. Brak broni jedynie nie pozwalał mu uzbroić zaraz związkowych: dowodem zaś tego, jest zamiar odebrania broni nieczynnej, a oddanie jej czynnej gwardji narodowej i poruczenie jej zewnętrznej obrony stolicy, o czem świadczą późniejsze jego korrespondencje. Odebranie broni jednym, a oddanie jej drugim bez obrazy uczuć, było trafnym pomysłem.

z takim zapałem stanęły w Delfinacie po stronie Napoleona. Szczególne tylko okoliczności wpłynęły na dłuższe kilkodniowe pozostanie 10go pułku w usługach Burbonów. W armii miał on bardzo złe uważanie, zarzucano mu bowiem zdradę w potyczce na moście rz. Drôme, co wszakże było mylnem, jako to już w opowiadaniu naszem w prawdziwem świetle przedstawić staraliśmy się. Napoleon więc umyślnie pułk ten sprowadził do Paryża, aby do niego przemówić słowami, któreby we wszystkich sercach odgłos swój znalazły.

Niedziela w dniu 14 maja obraną została na przegląd skonfederowanych i 10go pułku, na co dwór z podwójną patrzył niechęcią. Ci którzy i tak już zawistnie poglądali na grzeczności czynione przez Napoleona stronnictwu rewolucyjnemu, zgorszeni jeszcze bardziej tym przeglądem szemrali mówiąc, że Cesarz oddał się *motłochowi* i że nie warto już trzymać się jego boku. Przeciwnie ludzie jemu całkiem oddani, nie szukając fałszywych pozorów do oddalenia się, lękali się widząc go w obec 10go pułku, w którym, jak wieści krążyły, uknuto tajemny zamach na jego życie.

Napoleon tymczasem obojętny na wyrzekania pierwszych i przesadzone obawy drugich, zeszedłszy na dziedziniec pałacu Tuileries, zaczął od przeglądu związkowych. Stanęło ich tu kilkanaście tysięcy, ubranych jak kto mógł, źle nawet odzianych, ale po większej części starych żołnierzy, z obliczem ogorzałem, ale dobrze cechującem ożywiające je uczucia. Obracając się po kilkakroć do swego otoczenia i żartując z płonnych obaw niektórych osób, mówił uśmiechając się: oto ludzie, na których czele można dać w ofierze życie pod murami Paryża! Następnie wysłuchał mowy następującej treści: „Najjaśniejszy Panie, obojętnie przyjęliśmy Burbonów, gdyż oni stali się obcymi dla Francji, a przytem nie możemy kochać królów przez nieprzyjaciół nam narzuconych. Ciebie zaś przyjmujemy całem sercem, bo ty jesteś mężem narodu, obrońcą ojczyzny i od ciebie tylko spodziewamy się pozyskać zaszczytną niepodległość i wolność. Najjaśniejszy Panie, zapewnij nam te dwa nieoszacowane dobra, uświęć prawa ludu, panuj nam na zasadach konstytucji. W zamian niesiemy ci nasze życie, naszą krew, nasze męztwo dla obrony ukochanej stolicy. Wielu z nas walczyło już pod twemi sztandarami, widzisz więc w nas dawnych obrońców ojczyzny, niech że ta ojczyzna da nam w dłoń oręż, byśmy za nią raz jeszcze krew przelewać mogli. Prosimy więc o broń zapewniając, że jej tylko w sprawie ojczyzny i twojej Najjaś. Panie użyjemy. Nie będąc narzędziami żadnych stronnictw, zebraliśmy się tu na głos naszego monarchy. Jako obywatele będziemy posłuszni władzom i prawu; jako żołnierze okażemy uległość naszym wodzom!...

Odpowiedź Cesarza brzmiała w tych słowach: „Żołnierze związkowi, powróciłem do was, bom liczył na wierność miast, wsi, wojska i przywiązanie ich do sławy narodowej. Ufności mojej nie zawiedliście. Przyjmując waszą ofiarę nie omieszkam uzbroić wasze dłonie. Na czele waszych szeregów postawię oficerów zaszczytnemi okrytych bliznami. Przed nimi pierzchał zawsze nieprzyjaciel. Silne a do ciężkiej pracy przywykłe wasze dłonie, sposobniejsze są od innych do robienia bronią. O odwadze nie wątpię, boście francuzi! Wy będziecie przodować gwardji narodowej. Waszej i tej gwardji obronie poruczając stolicę, o jej całość spokojnym być mogę; a jeżeli w istocie obce mocarstwa pokuszą się o starganie naszej niepodległości, wtedy wolen wszelkich trosk, potrafię zapędy ich nowemi ukrócić zwycięztwy. Żołnierze związkowi, cieszę się widząc was około siebie. Polegam na was. Niech żyje naród!“ Po tej przemowie szeregi związkowych przeciągnęły przed cesarzem. Zaiste, ktoby z odzieży sądził o ludziach, tenby nie miłego doznał tu uczucia. Ów cesarz, niegdyś tak potężny i dumny, otoczony zawsze świetnem wojskiem, ujrzał się naraz wpośród obrońców bez mundurów i broni.

Po takim przeglądzie Napoleon zwróciwszy się do 10go pułku, uszykował go w czworobok, sam, środek jego zajmując. Niespokojny orszak oficerów cisnął się około jego osoby. Napoleon, oprócz dwóch czy trzech adjutantów, oddaliwszy wszystkich, dźwięcznym głosem te do pułku księcia Angoulême przemówił słowa:

„Żołnierze 10go pułku! wy jedni z całej armii poważyliście się strzelać do trójbarwnej chorągwi, do tej chorągwi, którą, uświęconą tylą zwycięztwy, do wszystkich wnosiliśmy stolic. Za taką zbrodnię pułk wasz powinienbym wymazać z naszej armii i was na zawsze z jej szeregów wykluczyć. Chcę jednakże wierzyć, że to nie wy, ale wasi dowódzcy temu winni, że zatem wina niecnego postępku nie na was ale na nich spada. Postanowiłem więc zmienić tych dowódzców, w ich miejsce dam wam lepszych, a potem, wyszlę was w przedniej straży. Nie będzie walki w którejbyście nie brali udziału, a kiedy się przekonam, żeście poświęceniem, męztwem i krwią swoją zmyli kalającą was plamę, wtedy oddam wasze znaki, których, jak się spodziewam, wkrótce staniecie się godnymi!“

Na tę dość niepochlebną przemowę żołnierze odpowiedzieli jednogłośnym okrzykiem: *Niech żyje Cesarz*! a wyciągając ku niemu ręce zapewniali, że to nie ich lecz oficerów było winą, że oni niechętnie szli za nimi, że nareszcie gdziekolwiek ich postawi dowiodą, iż nie ustępują w męztwie innym pułkom armii. Zamiast więc spodziewanej kuli wpier-

si, Napoleon odebrał oznaki najwyższego zapału i uniesienia. Nie schlebianiem więc, ale raczej energicznemi słowy, można zapanować nad ludem i do wielkich poprowadzić go celów.

Nie inaczej teraz okazywał się Napoleon i względem ogólnego usposobienia umysłów: w każdym czynie nie ukrywał prawdy. I kiedy dawniej wszystko starał się zataić, dziś przeciwnie stawiał na jaw tak dalece, że pozwalał nawet powtarzać z dzienników zagranicznych najniekorzystniejsze o nim zdania.

Wprawdzie Francja widziała jak na dłoni, że wypędzenie Burbonów a przywrócenie Napoleona, jakkolwiek obok wątpliwych swobód, dawało jej rękojmię utrzymania zasad socjalnych z r. 1789, wiele jednakże krwi kosztować ją mogło. Francja poznała teraz, że obowiązkiem jej było stan obecny ustalić, obywatele zaś, którzy za jaką bądź cenę chcieli zatrzymać Napoleona pomiędzy miastem Cannes a Paryżem, dla nich bowiem utrwalenie pokoju i wolności wydawało się łatwiejszem pod Burbonami, uznali za konieczne wspierać cesarza, byle tylko uniknąć kontr-rewolucji popartej obcym bagnetem. Nie było dnia w którymby jakie rady miejskie, trybunały, kollegja wyborcze nie składały adressów z wyrażeniem ufności w pozyskaniu swobód pod Napoleonem; z zapewnieniem skutecznego z ich strony poparcia. Ten zamęt różnorodnych uczuć wyrażano z mniejszą lub większą zręcznością, a to stosownie do stopnia oświaty ludności adressy podającej. Uczucia te najwybitniej uwidomiały się w kollegjach wyborczych, w których obok rozkiełznania prasy już to rojalistowskiej, już rewolucyjnej, gotowały się wybory jednoczesnie bonapartystowskie i liberalne. Wolność pisania była zupełna, mimo to Fouché skonfiskował numer słynnego wtedy dziennika *Censeur*, wydawanego tomami dla uniknienia cenzury za czasów pierwszej restauracji, a tchnącego pełnym godności liberalizmem. Napoleon dowiedziawszy się o żywych reklamacjach czynem tym wywołanych, kazał bezzwłocznie książkę wydać, pomimo zawartych w niej żywych przeciwko niemu napaści. Zdawało się więc po tem, że monarcha ten żywił w sobie silne postanowienie szanowania swobody mowy i pisma, co właśnie dążenia jego wspierało, bo im więcej naród uczucia te objawiał, tem więcej przekonywał o chęci nakazania poszanowania niezawisłości narodowej ze strony mocarstw postronnych. Aby jeszcze bardziej nastroić umysły ludu, zawiązano w kawiarni Montansier na placu Palais Royal pewien rodzaj klubu, w którym zbierali się dawni oficerowie i rewolucjoniści i gdzie słyszano tylko śpiewy patrjotyczne i wojenne lub uszczypliwe mowy przeciwko Burbonom, cudzoziemcom, emigrantom i t. p. Czy to na przedmieściach Paryża, czy w powincjach wscho-

dnich lub zachodnich, wszędzie ożywienie było wielkie; a pomimo obaw wojny zagranicznej czy domowej i niezadowolenia z aktu dodatkowego, Napoleon pewnym był poparcia, jeżeli tylko przyjętej roli wiernym pozostanie.

Kiedy tak we Francji starano się uczynić wojnę narodową, a w Europie jej się właśnie obawiano, zaczęto następnie myśleć jakieby przybrać należało postępowanie. Wysłannicy Napoleona nigdzie nie otrzymywali posłuchania, a świeżo wyprawiony kurjer z Paryża został nawet przyaresztowanym. Jakoż, po zatrzymaniu w Sztutgarcie p. de Flahault udającego się do Wiednia z oznajmieniem o przywróceniu cesarstwa, gabinet francuzki wybrał na ten cel innego, to jest, p. de Stassart, belgijczyka, poprzednio urzędnika dworu Marji Ludwiki, a na teraz szambelana cesarskiego. Wybór posła trafnym był ztąd szczególnie, że urzędnik ten do swego dworu wracający, nie powinien był w przebyciu granicy żadnych napotykać trudności. Dano mu dwa listy: jeden od księcia de Vicence do Metternicha, drugi od Napoleona do cesarza Franciszka. W listach tych nie było wzmianki o pokoju ani o wojnie, nie tykano wcale kwestyj polityki; Napoleon upominał się tylko o święte prawa rodzinne, o prawa męża do swojej małżonki, ojca do swego syna, żądając od teścia, jeżeli już nie powrotu żony, to przynajmniej syna, czego żadne prawo pozbawiać go nie mogło. Z swej strony książę de Vicence wyjawiał podziwienie nad tak szczególnem przerwaniem wzajemnych stosunków dyplomatycznych, przypominając zarazem gotowość utrzymania pokoju na zasadach traktatu paryzkiego. Pan Stassart szczęśliwszy niż wysłani przed nim kurjerowie, w Kehl, w Moguncji i Stutgarcie zatrzymani, dotarł aż do Linz w ostatnich dniach miesiąca kwietnia, ale tu zatrzymany pod pozorem jakichś nieformalności paszportowych, zmuszony był oddać swoje depesze, które zaraz wysłano do Wiednia i przedstawiono kongresowi. Treść tych listów nie uczyniła żadnego na członkach kongresu wrażenia, nie znaleźli bowiem w nich nic takiego, coby już wiadomem im nie było. Mimo to czuli pewną obawę, opinji i mniemań, jakie owa słynna deklaracja z d. 13 marca przeciw Napoleonowi, we Francji i Anglji obudzić mogła. Myślano więc o nakreśleniu innej deklaracji, jeżeli nie więcej tchnącej pokojem, to przynajmniej nie tak rażących form i zasadniczej w swojej treści. Gorującą w niej myślą było udzielenie odpowiedzi na oppozycję angielską za cel wojny przywrócenie Burbonów stawiającą, a zarazem chęć uciszenia umysłów we Francji i nie dopuszczenia rozwinięcia się wojnie narodowej. Ta ostatnia pobudka była podobno najważniejszą: bo lubo gazety niemieckie i angielskie przedstawiały zawsze Napoleona jako głównie

na sile oręża opierającego się, wszelako świat zaczął przekonywać się że tysiące interessów wiąże się z jego osobą i że należało stawiać opór polityce europejskiej, obcy rząd narzucić pragnącej. Bacząc więc na to, członkowie kongresu przemyśliwali nad skreśleniem deklaracyi w ten sposób, aby ona odpowiedziała różnym wymaganiom czasowym, w czem się im atoli nie powiodło. Dobierano więc takich wyrazów któreby dały poznać, że mocarstwa nie myślą bynajmniej mieszać się w rządy Francji, że pragną tylko wykluczyć zeń człowieka, z którym utrwalenie pokoju było niepodobnem; bo jeżeli do wyboru jest tylko dwie osoby, a z tych jednę wykluczano, wtedy wybór ten musi paść na drugą. W tym razie atoli kongres wyraził myśli swoje w sposób zgodny z prawami narodów: jakoż, wbrew opozycji parlamentu angielskiego, nie wspomniano w deklaracji nic o Burbonach. Atoli wypuszczenie to Burbonów, dało powód reklamacjom dworów Hiszpańskiego i Sycylijskiego: nawet ambasada angielska uznała, że czyn ten mógł otworzyć pole do niebezpiecznych żądań. Lord Clancarty, główny członek legacji od czasu wyjazdu lorda Castelreagh i Welingtona, popierał dwory Madrycki i Parmeński, żądając wyjaśnienia, komu monarchowie przeznaczają tron Francji po usunięciu Ludwika XVIII. Mieliż zamiar poddać go regencji Marji Ludwiki, czy też osadzić na tronie księcia Orleanu lub ustanowić rzeczpospolitę? Wśród takiej niepewności członkowie kongresu rozeszli się nie zgodziwszy się na tekst deklaracji: bo o ile z jednej strony uderzającym był brak wzmianki imienia Burbonów, o tyle z drugiej zamieszczenie go nastręczyć mogło kłopotliwe trudności.

Dwa szczególnie dwory, Rossyjski i Austrjacki, lubo z dwóch różnych pobudek, napotykały przeszkody w jawnem oświadczeniu się na korzyść Burbonów. Cesarz Aleksander okazywał się nieubłaganym dla Napoleona, już to dla tego, że się czuł dotkniętym traktatem z 11go kwietnia, już że niechętnie patrzył na wstępującego znów na widownią świata człowieka, za którym wszyscy drugorzędne tylko zajmowali miejsca. Obok atoli tej niechęci do osoby Napoleona, cesarz Rossyjski nie miał zamiaru przeznaczać za następcę Ludwika XVIII; uważał bowiem, że powtórne objęcie tronu przez Burbonów, trwalszem od poprzedniego być nie mogło. Rozumowanie w tej mierze Austrji, jakkolwiek do tegoż samego przywodzące się wypadku, było przecież odmiennem. Odsuwając Napoleona od tronu, Austrja nie życzyła sobie rejencyi Maryi Ludwiki; wolała wszelako widzieć Burbonów, niż Bonapartych. Trzeba przytem wyznać, że ani we Francji, ani w całej Europie, nie było zapaleńszego rojalisty, jak cesarz Franciszek. Lecz aby obalić Bonapartych potrzeba było wystawić się na wojnę, której Austrja nie tyle przez słabość, ile przez roztropność obawiała się. Świeżo ukończona wojna nie

naraziła ją na straty: pozostała jej bowiem w posiadaniu dawna część Polski, pozostała granica po rz. Inn, z Illirją i Włochami do rz. Po i Ticino. Wszelkie więc przypuszczalne korzyści z przyszłej wojny, więcej jej przynieść nie mogły; i gdyby nawet zwycięztwo po jej zostało stronie, to takowe mogło tylko zwiększyć roszczenia dwóch dworów północnych, Pruss i Rossyi. I to właśnie przejmowało ją wstrętem do wojny. Nadto, wiadomości nadchodzące z Francji dawały przeświadczenie, że Napoleon opierając się teraz na stronnictwie rewolucyjném i liberalném, mógł łatwo rozporządzać znacznemi siłami swojego narodu. Jedno tylko przypuszczenie pozbawiało go tej podpory: chęć zadowolenia rewolucjonistów i liberalnych mogła ich właśnie odstręczyć od Napoleona, na którego zawsze z pewném niedowierzaniem poglądali. Rozniecić więc domowe niesnaski, trzymać z Burbonami nie wiążąc się z nimi, oto był cel polityki austrjackiej. Jakoż minister Metternich, świadomy dobrze tego co się nateraz działo we Francji, zwróciwszy uwagę swą na księcia Otrantu, uznał go za godne narzędzie swoich zamysłów. Rozdmuchać więc próżność i ambicję tego człowieka, było jedynym środkiem do wprowadzenia w łono Francji zamieszek. I oto, dla dopięcia tego celu, wysłał do p. Fouché do Bazylei tajemnego ajenta w osobie niejakiego Wernera, człowieka doświadczonej roztropności i zaufania. Nadto, jednemu ajentowi domu bankierskiego wręczył list do p. Fouché, w którym prosił, aby minister ten wysłał kogoś do Bazylei dla bliższego porozumienia się z p. Werner. Tak więc, gdy w Wiedniu dysputowano bez skutku nad skreśleniem nowej deklaracji, Werner tymczasem przybył do Bazylei w dniu 1 Maja i tu oczekiwał na wysłańca z Paryża, z którymby mógł się bliżej porozumieć.

Inaczej rzecz się miała z owym komissantem bankierskim, oddawcą listu Metternicha; temu nie bez trudności udało się porozumieć z p. Fouché, a czynione zabiegi, zdradziły obecność jego w Paryżu i cel jego posłannictwa. Wierny i przywiązany Caulaincourt uprzedził o tém Napoleona, który poleciwszy przyaresztować i wybadać komissanta, wykrył owe tajemne rokowania pomiędzy Fouche'm a Metternichem. W uniesieniu pierwszej chwili, cesarz, przewidując tysiące zdrad go otaczających, postanowił uwięzić Fouche'go, przetrząsnąć jego papiery, a następnie przykładnie ukarać wiarołomność, pewnym będąc, że Francja mało ważąca tego ministra, postąpieniu jego przyklaśnie.

Wszelako uniesienie to było tylko chwilowém. Napoleon postanowił dojrzalszemu zbadaniu rzecz tę poddać i dokładniejszą o niej powziąć wiadomość. Jakoż, kiedy Fouché zasiadł z nim w gabinecie do wspólnej pracy, i poufnie o sprawach europejskich i knujących się intry-

gach w Wiedniu rozmawiał, cesarz, pomimo naciągania rozmowy na przedmiot umysł jego zajmujący, bliższych od niego zeznań nie usłyszał. Chytry minister nie pojmując tej taktyki, lubo już list Metternicha odebrał, zamiast szczerém wyznaniem monarchę rozbroić, uporczywie trwał w swojém milczeniu. Po kilkakroć Napoleon bliskim był wybuchu; wstrzymał się jednakże od wypowiedzenia prawdy. Fouché odszedł zmiarkowawszy dobrze do czego ścisły ten egzamen zmierzał. Wtedy Napoleon obrał inną drogę do wykrycia całej tej szkaradnej zmowy. W tym celu umyślił wysłać osobę zaufaną do Bazylei, aby ta w bliższe z Wernerem wszedłszy stosunki, cały wątek intryg wykryła. Missja ta dostała się panu Fleury de Chaboulon, młodemu audytorowi, którego cesarz umieścił przy swoim boku, wynagradzając wspólny pobyt na Elbie i w wielu razach doświadczoną odwagę i zręczność. Zawezwany, odebrał od Napoleona instrukcję całego postępowania, otrzymał polecenia do władz pogranicznych, aby te jego samego tylko przepuściły, rzeczywisty zaś ajent Fouché'go aby był zatrzymany, a tém samém postawiony w niemożności spełnienia swego posłannictwa.

Fleury de Chaboulon bezzwłocznie opuścił Paryż. Na granicy zakomunikował straży udzielone rozkazy, sam granicę tę przebył, a znalazłszy p. Werner w Bazylei, zręczną obok niego zaczął odgrywać rolę. Nie przeczuwając niczego, Werner z całą prostotą wyjawił mu cel swego przybycia. Poufne te rozmowy dały przekonanie, że intryga Fouché'mu przypisywana, była świeżo osnuta, że minister ten, pierwszy raz może w swém życiu, stawał jako wyzwany, nie zaś jako wyzywający, że nareszcie nie szło tu o pozbawienie życia Napoleona, ale raczej o złożenie go z tronu, bez konieczności uciekania się do zaciętej a wątpliwej wojny. Werner zapewniał najuroczyściej pana Fleury, że nie miano żadnej myśli targania się na życie Napoleona, że ją nawet odpychano ze wstrętem; głównie tylko szło o niedopuszczenie do tronu, na którym Europa nie zniesie go żadną miarą; że monarchowie obradujący w Wiedniu gotowi przystać na zaprowadzenie we Francji wszelkiego rządu, wyjąwszy republikanckiego, że oni nareszcie pokładają całą ufność w świetle i wpływie księcia Otrantu, a znając jego nieprzychylność do Napoleona, z nim właśnie chcieliby się porozumieć, aby raz już rozciąć ten węzeł gordyjski, a tem samem nowy rozlew krwi powstrzymać.

Na takie wnioski, Fleury de Chaboulon, zręcznie zawsze odgrywając rolę ministra Fouché, zapewniał z swej strony, że rzeczywiście minister ten miał powody powzięcia niechęci do Napoleona, ale ją puścił w niepamięć, interes kraju mając tylko na względzie; że lubo w r. 1814

innych oczekiwał układów, wszelako nie pragnął on powrotu Napoleona.— Napoleon, mówił Fleury, niecdzownie jest potrzebnym dla Francji: on jeden bowiem zdolen jest utrwalić jej posady, zbliżyć do siebie stronnictwa i trwały rząd zaprowadzić. Napoleon, rozumnie na rzeczy zapatrując się, pragnie utrzymać pokój i obdarzyć Francję instytucjami liberalnemi. Napróżno więc kuszonoby się pozbawić go tronu: cała bowiem armia, ludzie uwikłani w rewolucją, posiadacze dóbr narodowych, młodzież nowemi przesiękła wyobrażeniami, słowem wszystkie klassy społeczeństwa francuzkiego, wyjąwszy emigrację, w nim tylko widziały godnego przedstawiciela swoich opinji i interessów, a nadewszystko przedstawiciela niepodległości narodowej. Tysiące ochotników, mówił dalej, przybywa zwiększyć szeregi wojska. Do 400,000 wojska linjowego, Napoleon dodał drugie tyle gwardji narodowej, z którą walka byłaby straszliwą. Jeżeli koalicja w r. 1814, dzięki jego genjuszowi, na wielkie wystawianą była niebezpieczeństwa, to wojna w r. 1815 w porównaniu z tamtą byłaby nic nieznaczącą, bo jeżeli wtedy siły militarne rozproszone były po Europie od Gdańska do Walencji, teraz koalicja miałaby do czynienia w Szampanji z samemi tylko zjednoczonemi siłami Francji. Lepiej więc wzajem porozumieć się, niż wieść wojnę morderczą za sprawę Burbonów, których Francja odepchnie jak skoro pozna że im przemocą chcą ich narzucić. W końcu p. Fleury zapewnił, że książę Otrantu nazwałby się nader szczęśliwym, gdyby swojém pośrednictwem doprowadził obie strony do bliższego porozumienia, że zatem pożądanemby było, aby minister Metternich zechciał również swoje w tej mierze wyjawić zdanie, lubo nie wątpi że zdanie to zgodném byłoby ze znaną mądrością tego męża stanu.

Wysłannik Metternicha w przekonaniu że widzi przed sobą osobę od ks. Otrantu upoważnioną, zdziwił się nie pomału mową tak niespodziewaną; kilkakrotnie więc powtarzał, że mowa p. Fleury wprawia go w zdumienie, że ks. Otrantu uchodził za przeciwnika Napoleona, że nakoniec on, to jest p. Werner, w okolicznościach tak nieprzewidzianych, nie może wyrzec nic stanowczego, zadaniem bowiem jego było raczej wysłuchać propozycji, niż samemu one stawiać. Tak więc obadwa ci posłannicy, po bliższej jeszcze w tym przedmiocie naradzie, postanowili powrócić na swoje miejsca by zdać sprawę z poruczonej im missji, przyrzekając sobie powtórne widzenie się po otrzymaniu instrukcji zgodniejszych z istotném położeniem rzeczy. Stosownie do udzielonej lekcji przez Napoleona, Fleury de Chaboulon nalegał na p. Werner, aby ten wrócił z większą świadomością zamiarów obcych mocarstw co do niektórych ważnych punktów, a mianowicie: co do zrzeczenia się korony na rzecz

króla Rzymu w razie abdykacji Napoleona i wybrania ks. Eugenjusza na rejenta, w razie gdyby Marja Ludwika nie chciała powrócić do Francji dla obrony praw swego syna. Po tak wzajemnie udzielonych sobie objaśnieniach, oba posłannicy opuścili Bazyleję przyrzekając sobie powtórne wkrótce widzenie się.

Właśnie w tym czasie Napoleon miał także ważną z p. Fouché'm rozmowę, w której minister ten, upornie dotąd milczący, a jak mówią, przez p. Réal ostrzeżony, wyznał, iż przez jakąś nieznaną i nieobudzającą zaufania osobę, odebrał list od Metternicha, o którym, jako rzeczy małej wagi, dotąd cesarzowi nie wspominał. W czasie posłuchania udzielonego Fouché'mu, p. Lavallette w sąsiednim znajdujący się gabinecie, mógł słyszéć całą rozmowę. Napoleon nie mógł pohamować swego oburzenia nad taką dwójbarwnością ministra policji; oświadczył mu wręcz, że wié o wszystkiém, że w obecnych okolicznościach, list osoby jednej z najważniejszych w koalicji i wysłanie ajenta do Bazylei, było rzeczą nader ważną. Poczém, tonem gorzkim i podniesionym, tak iż można było wszystko słyszéć w sąsiednim pokoju, Napoleon zawołał: Jesteś zdrajcą! i gdybym chciał, odpokutowałbyś za swą zdradę z zadowoleniem całej Francji... Jeżeli ci się rząd mój nie podoba, dla czego tak uporczywie trzymasz się posady ministra?... Po takim wybuchu, Fouché, jako dworak przywykły do uniesień swego pana, wyjąkawszy kilka słów na swoje usprawiedliwienie, wyszedł, a spotkawszy p. Lavallette, z obojętnym uśmiechem na twarzy rzekł do niego: Cesarz zawsze jest ten sam, zawsze nieufający, wszędzie upatruje zdradę i miota się na wszystkich za to, że go Europa odpycha.

Napoleon, który od dwóch miesięcy ważne nad sobą odniósł zwycięztwo, zapomiał się w tym razie: bo należało albo o wszystkiém zamilczéć, albo skruszyć od razu nieprzychylne sobie indywiduum. Jeżeli bowiem w chwilach szczęścia i wielkości mógł swobodnie wybuchy gniewu objawiać i mało dbać o zrobienie sobie nieprzyjaciół, to właśnie teraz czynić tego nie należało, gdyż w człowieku którego nazwał zdrajcą, przysposabiał rzeczywistego, a bardzo niebezpiecznego dla siebie wroga. Nadto, Napoleon okazał się niesprawiedliwym względem p. Fouché, bo jakkolwiek minister ten rzucił na siebie podejrzenie zatajeniem tych tajemnych knowań, wszelako z wątku ich pochwyconego w Bazylei. można było powziąć przekonanie, że lubo były jakieś zdradliwe zamiary, żaden atoli spełnionym jeszcze nie był. Należało więc spokojnie zawiadomić o tém ministra, dać mu poznać że się czuwa nad jego postępowaniem, a nie unosić się bacząc, że trudność położenia nie dozwalała posuwać swoich uniesień aż do surowego ukarania. Zresztą

Fouché miał u świata opinją swobodnego doradzcy, gotowego zawsze służyć swojemu monarsze zdrowemi radami, a nawet oprzéć się jego woli w razie potrzeby. Uderzając teraz na niego, Napoleon stawiał się w oczach wielu jako odtrącający wszelkie zdanie i zdający się tylko na łaskę losu. Lepiej więc było zamilczéć, niż upokarzać człowieka, którego się potrzebuje. Zresztą, po tym wybuchu, sposób postępowania cesarza tchnący wzgardliwém przebaczeniem, nie mógł zbliżyć ku niemu ministra. Bacznie on zawsze śledził jego kroki, opowiadał co wykrył p. Fleury de Chaboulon, polecił mu nawet widzieć się z p. Fouché i z nim porozumieć się co do dalszych negocjacji w Bazylei, a to dla dowiedzenia się jaką odpowiedź na rzucone kwestje przyniesie ajent Metternicha. Następnie Fleury de Chaboulon udał się do ks. Otrantu, który mówił o cesarzu jak o dziecku nieumiejącém hamować się ani postępować, że sam bieży do zguby, że zatem należało nie jemu ale wspólnej sprawie służyć. Poczem odpłaciwszy gorzkiemi słowy za okazaną mu od cesarza wzgardę, zgodził się na sposób powtórnego widzenia p. de Chaboulon i pozyskania ztąd pożytecznych wyjaśnień.

Jakoż Fleury de Chaboulon wyjechał powtórnie do Bazylei, dokąd wierny danemu słowu, przybył również i Werner. Tym razem posłannik Metternicha przybrawszy rolę mniej bierną, a zawsze w przekonaniu, że ma do czynienia z ajentem ks. Otrantu, wyraźniej odkrywał zamiary monarchów w Wiedniu zebranych, z czego odnieść można było to przekonanie, że co się tycze Napoleona, odsuwano go zupełnie jako zawadę w odzyskaniu spokoju powszechnego. Oświadczył nadto, że jak skoro Napoleon z widowni usuniętym zostanie, wszelkie trudności wtedy polubownie załatwione będą, że nareszcie żaden z monarchów nie myśli targać się na losy Francji, ani też narzucać jej jakiegokolwiek rządu. Co jednakże byłoby dla nich pożądaném i coby Francję w najlepszych z zagranicą postawiło stosunkach, to jedynie tylko przywrócenie Burbonów. Gdyby więc naród francuzki zgodził się na przyzwanie ich na tron, wtedy monarchowie gotowi są zapewnić mu prawa i instytucje osnute na zasadach przez rewolucję przyjętych. Najprzód więc karta uległaby odpowiednim zmianom; znaczniejsze urzędy i godności dostałyby się w ręce nowych rodzin; emigranci od dnia 14 Kwietnia 1814 r. do Francji przybyli, byliby usunięci od wszelkich interessów; nareszcie ministerstwo byłoby jednolite, niepodległe i tak urządzone, aby dwór żadnego na nie nie mógł wywierać wpływu. Werner dodał jeszcze, że w razie niedopuszczenia przez naród starszej linji Burbonów, mocarstwa obce zgodziłyby się i na linję młodszą, a nawet zezwoliłyby na osadzenie na tro-

nie syna Napoleona, z dodaniem mu, w razie wyłączenia Marji Ludwiki, osoby zaszczytnie piastującej godność rejenta. W każdym atoli razie warunkiem niezbędnym było usunięcie Napoleona i oddanie go pod opiekę teścia, który powodowany honorem i pokrewieństwem, przynależną czcią otoczyćby go umiał.

Napróżno Fleury wracał kilkakrotnie do założonego przedmiotu, napróżno przedstawiał ogrom sił Napoleona; Werner słuchał wszystkiego z grzecznością, ale zawsze odpowiadał, że jak tylko Napoleon postawiony zostanie na uboczu, wszelkie wątpliwości rozwiązane zostaną, a osadzenie na tronie syna Napoleona, z dodaniem mu rejenta widokom Francji odpowiedniego, skojarzy zamiary Francji z potrzebą ustalenia pokoju. Po tém wszystkiém dwaj ajenci pożegnali się, przyrzekając sobie widzieć się, jeżeli strona missje poruczająca przeciwnego nic nie znajdzie.

Powróciwszy do Paryża, p. Fleury de Chabonlon, po zdaniu sprawy cesarzowi i ks. Otrantu z posłannictwa swego, otrzymał zakaz dalszych tych bezowocnych stosunków, z których Napoleon ten tylko wyprowadzić mógł wniosek, że się go nieco bano w Wiedniu, proponując zachowanie tronu przynajmniej dla syna. Ze swej strony, minister Fouché utrzymywał wszędzie, że jedyną przeszkodą utrzymania pokoju jest Napoleon, że należałoby zatem oświadczyć się za rejencją Marji Ludwiki, co jedno usunęłoby od razu grożące Francji niebezpieczeństwa, że sam Napoleon działając w swoim i swej dynastji interesie, powinien zrzec się korony, a obrawszy sobie cichy jaki zakątek, spokojny nadal wieść żywot. Zdania te z pewną śmiałością objawiał Fouché tu i owdzie, ufając zapewnie w osłabioną już sprawę Napoleona. Wiedział o nich cesarz, zżymał się w duszy na te intrygi i tajemne knowania ministra, zemstę atoli pozostawił sobie do czasu uchwycenia go na gorącym uczynku lub odniesienia nad nieprzyjaciołmi stanowczego zwycięztwa; dziś bowiem tylu mając wrogów, nie uważał za stosowne drażnić bardziej Fouché'go, a tém samém jednego więcej zyskiwać dla siebie nieprzyjaciela.

Zabiegi Metternicha nie pozostały jednakże bez skutku: rzucając bowiem niesnaski w łono samego rządu francuzkiego, dał zarazem poznać Fouché'mu że Napoleon nienawidził go, że usunięciem cesarza od tronu można było całą tę sprawę załatwić, że nareszcie zjazd wiedeński gotów był użyć ks. Otrantu za narzędzie do nowego we Francji przewrotu. Nadawaniem więc Fouché'mu w roku 1815 roli, jaką Talleyrand w r. 1814 odegrał, pochlebiano jego namiętnościom, a tém samém wzmacniano żądzę roli tej spełnienia. Lecz zabiegi ministra austrjackie-

go nie były stracone, nie wiedział tylko jak daleko sięgało złe naszej sprawie wyrządzone, ani też ile dobrego zdziałał dla siebie. W Wiedniu wszelako uznano potrzebę dodania niektórych objaśnień w deklaracji z 13 Marca, a tém samém przemówienia do Europy i Francji za pośrednictwem nowej deklaracji; nie było jednakże zgody na ostateczną jéj redakcję tak aby ona wszelkie wymagania zaspokajała: jedni bowiem przemilczenie imienia Burbonów uważali za niewłaściwe, inni znów objawianie zamiaru narzucania ich Francji, uznawali nieroztropném. Kłopoty te usunęły same nastręczające się okoliczności. Traktat z dnia 25 Marca nadszedł do Wiednia zatwierdzony przez wszystkie dwory. Sama tylko Anglja do art. 8-go dodała zastrzeżenie, że mocarstwa objawiające chęć przywrócenia Burbonów, miały jedynie na celu zapewnienie Europie spokoju, panowaniem Napoleona zagrożonego. Wypadało więc odpowiedzieć na to zastrzeżenie i wskazać o ile takowe przyjętém być mogło. Krzyżowały się więc pomiędzy gabinetami depesze poufne dozwalające z większą swobodą, myśli i zdania swoje wyrazić. Następnie, lord Clancarty w depeszy swojej do lorda Castlereagh upoważniony został oświadczyć rządowi brytańskiemu, że kongres przyjął dodatek do art. 8 i że go w témże znaczeniu co Anglja pojmował: że deklaracja z 13 Marca, zerwanie wszelkich stosunków z Francją, aresztowania kurjerów, uważać należało jako wynik przeświadczenia, że obecność Napoleona na tronie Francji sprzeczną jest z chęcią utrzymania pokoju europejskiego; liczne bowiem doświadczenia przekonały, czego się można było spodziewać po jego powtórném umocnieniu się u steru rządu. Napoleon przy pierwszej sposobności chwycenia za oręż, pokusi się niezawodnie o narzucenie jarzma Europie, które ona raz już zrzucić postanowiła. Depesza ta opiewała nadto, że mocarstwa sprzymierzone nie miały bynajmniej zamiaru zaprzeczać Francji praw jej służących, ani krępować ją w wyborze rządu; że lubo Ludwik XVIII był przedmiotem szczególnego zajęcia się monarchów, wszelako nie chcą oni bynajmniej gwałcić swobód francuzkich na korzyść jakiejbądź dynastji; że nakoniec ograniczają się na tém jedynie żądaniu, aby wybrana dynastja zapewniała spokój Europie, po czém mocarstwa sprzymierzone nie będą bynajmniej mieszać się w wewnętrzne sprawy wielkiego i swobodnego narodu. Wreszcie depesza lorda Clancarty kończyła się tém, że aby myśl gabinetów przez różne jej tłómaczenie zmianie nie uległa, uważał za potrzebne zakomunikować depeszę tę wszystkim ministrom pełnomocnym, a ci następnie aby ją zatwierdzili i ogłosić upoważnili.

Kiedy tak w Wiedniu pracowano z jednej strony nad przywróceniem Burbonów, z drugiej nad wykluczeniem Napoleona z rzędu panujących,

gabinet brytański naglony od oppozycji, zmuszony był objawić swoją politykę wojenną, wciągając w nią i parlament. Zobaczmy więc co się wtedy działo w Wiedniu.

Przy końcu Kwietnia, traktat z 22 Marca odnawiający związek zawarty w Chaumont i ogłoszony w rozmaitych dziennikach, zadziwił brzmieniem swojém członków parlamentu, których usiłowano przekonać, że czynione przygotowania wojenne były tylko wynikiem przezorności i że nie miano zamiaru wypowiadać wojny Francji. Zachodzi pytanie, czy ministerstwo znało traktat z 25 Marca w chwili kiedy roztrząsano postanowienie królewskie z d. 7 Kwietnia? Jeżeli go znało, to w takim razie oszukiwało parlament, a tem samem uchybiało godności politycznej, która jako w kraju wolnym, może zezwolić na milczenie, ale nigdy nie upoważnia do kłamstwa. P. Whitbread, jeden z najzdolniejszych członków oppozycji, interpellował żywo lorda Castlereagh, zapytując go w pośród milczącego i zdumionego parlamentu, czy ogłoszony przez pisma publiczne traktat z 25 Marca był rzeczywiście autentycznym. Tak znienacka podchwycony lord Castlereagh wyjąkał słów kilka zapewniając o istocie traktatu, brzmienia atoli jego nie potwierdzał.—Jakaż więc jest różnica pomiędzy rzeczywistym a ogłoszonym traktatem? krzyknęła oppozycja.— Na to lord Castlereagh, nie mając go przy sobie a tem samem nie mogąc szczegółowo określić, odpowiedział, że traktat ten nie był jeszcze przez wszystkich potwierdzonym i że zresztą nie wolno mu w tej mierze udzielać jakichkolwiek objaśnień. Pomimo tak pozornej wymówki, strona opozycyjna poznała łatwo, że traktat był autentyczny, że rząd zobowiązał się sprzymierzonym bezzwłocznie kroki wojenne rozpocząć, że gabinet nadużywał jej zaufania mówiąc o czynionych tylko środkach ostrożności, niepodobna bowiem było przypuszczać, iżby traktat podpisany 25 Marca w Wiedniu, nie był już dokładnie znanym dnia 7 Kwietnia w Londynie, czyli w 13 dni po jego podpisaniu. Nie chcąc więc posuwać rzeczy do widocznego szalbierstwa, lord Castlereagh wyznał, że brzmienie traktatu znaném już było dnia 7 Kwietnia.—A więc oszukiwałeś nas niegodnie! krzyknęła opozycja. Słowa te zmieszały ministra, co było rzeczą naturalną, bo jakkolwiek polityczne usposobienie narodu było jeszcze na drodze postępu, nigdy jeszcze tak niegodnie nie oszukano parlamentu. Wtedy p. Withbread podniósłszy głos oświadczył, że w takiej niemożności wytłomaczenia się, parlament widzi się w konieczności zawiesić swoje posiedzenia do czasu w którym cała prawda wyjawioną mu zostanie, bo dopóki to nie nastąpi, jako będący w błędzie, mógłby zawsze sprzecznie głosować. Taką ostatecznością znaglo-

ny, lord Castlereagh naznaczył dzień 28 Kwietnia na ogłoszenie traktatu i usprawiedliwienie jego treści.

Jakoż w d. 28 Kwietnia, zakomunikowanie traktatu nastąpiło, ale osnowa jego burzliwe w łonie parlamentu obudziła dyskussje. P. Whitbread, powtórzywszy raz jeszcze o nadużyciu zaufania izb, mówiono bowiem o prostych środkach ostrożności gotując się do wojny niepotrzebnej i interesom W. Brytanji sprzecznej, żądał w końcu podania do tronu adressu za utrzymaniem pokoju. Poczem lord Castlereagh zabrał głos mówiąc, że gdyby rząd usłuchał był dawniej głosu pana Whitbread i jego stronników, Anglja odstąpiłaby była od walki tryumf jej przynoszącej, że jego i jego przyjaciół rady nie postawiłyby Anglji na jej obecnem stanowisku. Następnie różnemi na pół prawdziwemi i pozornemi dowodami, starał się uchylić uczyniony mu zarzut dwójznacznego względem parlamentu postąpienia.— Bo i cóż ogłoszono 7 Kwietnia? Oto, że się gotowano do stawienia czoła wypadkom, nie przechylając się wszakże ani za pokojem ani za wojną. Głównem dążeniem było strzeżenie całości interesu Anglji, a interes ten opierał się na zachowaniu ścisłego związku z państwami stałego lądu. A ponieważ mocarstwa te bardziej od Anglji były zagrożone, im więc rozstrzygnienie kwestji pozostawić należało. Nie popychając je w zamęt wojny, wskazywano im właśnie zagrażające niebezpieczeństwo; a że nie można było ani rozbroić się przed człowiekiem takim jak Napoleon, ani też pozostawać ciągle na stopie wojennej bez znacznego obciążenia finansów krajowych, postanowiono przeto do działania bezzwłocznie przystąpić. Czy wtedy Anglja mogła się uchylić od związku z obcemi mocarstwami i zerwać umowę, której Europa zawdzięcza swoje oswobodzenie i pewność? Nikt nie chciał przy tem obstawać, nikt przyznać, że mocarstwa nie mają słuszności. Możnaż było żyć ciągle w takiej niepewności, a w skutku tego stać zawsze pod bronią? Wszak widocznem było, że Napoleon raz umocniwszy się na tronie i 300 do 400,000 wojska zebrawszy, skorzysta z pierwszej sposobności i znów na swych sąsiadów uderzy. Wprawdzie widocznem w nim było usposobienie pokojowe, ale przy pierwszej sposobności nie zaniedbałby on zapewnie rzucić się na Europę i nowe narzucić jej więzy. Europa więc nie mogła wystawiać się na nieochybną ruinę dla tego, że jednemu narodowi podobało się takiego na swem czele postawić monarchę. Zamiarem mocarstw sprzymierzonych nie było narzucenie Francji jakiejkolwiek formy rządu, ale wyłącznie postawienie ją tak, aby przynajmniej innym nie szkodziła i aby tem samem pokój utrwalony został.

Taka była treść usprawiedliwień lorda Castlereagh. Jakkolwiek

w swojej mowie wojny nie ogłaszał, dawał jednakże takie motywa, iż je na równi z potrzebą wypowiedzenia wojny stawiać można było. Namowę lorda odpowiedziało kilku mówców, a mianowicie p. Ponsonby, jeden z najumiarkowańszych członków parlamentu. I on użalał się również, że go omamiono. Widocznem jest, rzekł, iż w d. 7 kwietnia gabinet chciał wpoić w izby przekonanie, że jest jeszcze wahanie się pomiędzy pokojem a wojną, gdy tymczasem wojna już była postanowioną, a traktat z 24 marca podpisany w Wiedniu, nadszedł już do Londynu. Parlament głosując za przedsiębraniem środków ostrożności, nie wiedział, że w istocie głosuje za wojną. Ministerstwo oszukało izby. Zaiste, rzekł dalej Ponsonby, krok taki nie byłby cierpianym w życiu prywatném, tem więcej przeto oburza w życiu publicznem, gdzie nie idzie o jednę osobę, ale o kraj cały. Co się zaś tycze stawianych przez lorda powodów do wojny, Ponsonby uważał je za niedostateczne. Zdaniem jego Anglja powinna wpierw przyjąć na siebie rolę pośredniczki i przedstawić niebezpieczeństwo wojny, w której naraz walczyć miano z wielkim mężem i z wielkim narodem: pomimo bowiem ujemnej swej strony moralnej, Napoleon posiadał niezaprzeczone talenta do rządzenia ludem silnym wolą i energją. Obrażać więc ten naród upatrywaniem w nim win, a sobie wszelkie cnoty przyznawać, nie było to roztrząsaniem przedmiotu z właściwego stanowiska. Powiedziano, że nie jest zamiarem sprzymierzonych narzucać Francji innego rządu, zawsze atoli z wyłączeniem Napoleona. Gdyby to jeszcze, oprócz niego, było dwóch lub trzech innych do wyboru, wtedy twierdzeniu temu daćby można wiarę. Lecz tam, gdzie, jak to każdy jasno widzi, są tylko Bonaparci i Burboni, łatwo pojąć że z wyłączeniem pierwszych, tylko drugich Francji się narzuci. Nadto, wiadomo że Burboni, pomimo swoich przymiotów moralnych, obrazili naród różnemi błędami; przywracać więc ich na tron było to przyśpieszać im zgubę. Byłoby to w każdym razie nierozsądkiem, w myśl polityki Pitt'a występować na nowo w obronie praw Burbonów, kiedy ród ten cudownie prawie na tron przywrócony, utrzymać się na nim nie potrafił. Gdybyśmy na takiej opierali się zasadzie, to i dynastję panującą dziś w Anglji należałoby usunąć, a Sztuartów przywrócić. Łatwiej jeszcze dałoby się to wytłomaczyć, gdyby warunki ostatniego pokoju były z ujmą dla Wielkiej Brytanji; wszelako tak nie jest, bo traktat Paryzki i Wiedeński dawał w osobie Bonapartego rękojmią zupełnego pokoju. Potrzebaż jeszcze przelewać krew, zdwajać ciężary, przedłużać podatek od dochodów (*income tax*) dla wątpliwych korzyści? Niektórzy mówią, że nie można liczyć na słowo Napoleona, nazywają go człowiekiem żądnym władzy, bez wiary: ale powiedzmy otwarcie, komuż od cza-

su kongresu Wiedeńskiego zbytniej ambicji zarzucić nie można? Prawda, że znany z przedsiębierczości charakter Napoleona, łacno mógł nabawiać niespokojnością, tem bardziej, gdy, jak wiadomo, są ludzie zmianom nie podlegający; doświadczenie atoli przekonywa, że ludzie tacy z wiekiem inny tryb postępowania przyjmują, i często nieprzyjaciele pokoju stają się później pierwszemi jego zwolennikami. Nadto, u ludzi genijalnych, interes dobrze rozumiany, dostatecznym jest niekiedy do przeistoczenia całego wątku ich zamiarów. Czyż Napoleon, nienawidzący Anglji nie starał się jej przypodobać, znosząc handel niewolnikami? A wypuszczenie na wolność księcia Angoulême w czasie kiedy na jego własną głowę cenę nakładano, nie jestże dowodem innego usposobienia niż w r. 1804 względem księcia d'Enghien? Któż zaręczy, że ten człowiek, którego głoszą niepoprawnym, popchnięty do ostateczności, do wystąpienia do walki, zjednoczywszy się z narodem francuzkim, nie odniesie jednego lub dwóch świetnych zwycięztw, a wtedy w co się obrócą spodziewane korzyści pokoju? Co się stanie z owemi mocarstwami stałego lądu, dla których całości zrobiono ofiarę z rozsądku i przezorności? Tem przerachowaniem się w zamiarach, tem brakiem wiary w zmianę, jeżeli nie charakteru, to przynajmniej trybu postępowania Napoleona, stawiano na kartę długą i zaciętą wojnę i bezpieczeństwo mocarstw, bo zaiste Napoleon, uwieńczony zwycięztwem, nie będzie zważał na warunki pokojem Paryzkim zakreślone. Tak więc zbytnią przezornością stworzymy sami niebezpieczeństwo, którego właśnie chcielibyśmy uniknąć.

Takie i tym podobne rozumowania zaprzątały parlament angielski, a wszystkie przywodziły się do tego pytania: czy można wierzyć Napoleonowi i jego pokojowym zapewnieniom? Nieufność do Francji zrodziła chwiejność we wszystkich; chciano więc wypowiedzieć Napoleonowi wojnę nie za to co chciał teraz uczynić, ale raczej za to, czego pragnął i co chciał uczynić niegdyś. Szczerze on pragnął pokoju, wszelkiemi do niego dążył drogami, dopraszał się go nawet usilnie, a tymczasem na domagania się te odpowiadano niewiarą. I ta to właśnie niewiara, ta nieufność była jedyną odpowiedzią na dowodzenia strony opozycyjnej angielskiej, tak, iż parlament oceniając je, 273 głosami, przeciwko 72, przegłosował adres pokojowy Whitbread'a.

Kiedy tak w Londynie zgodzono się już na prowadzenie wojny w sprawie całej Europy, wojna ta na prawdę rozpoczęła się we Włoszech. Widzieliśmy już, jakie stosunki zawiązał nieszczęśliwy Murat z wyspą Elbą za pośrednictwem księżnej Pauliny, przebiegającej to z Porto-Ferrajo do Neapolu, to z Neapolu do Porto-Ferrajo. Ona to

zabiegami swemi, z pomocą królowej Neapolitańskiej, pogodziła Napoleona z Muratem, a tem samem zapewniła wspólność działania w wypadkach łatwych wprawdzie do przewidzenia lecz trudnych do ścisłego ich naprzód oznaczenia. Opuszczając Porto-Ferrajo Napoleon pisał do Murata zawiadamiając go o zamiarze opuszczenia Elby; przytem polecał mu pisać do Wiednia z oznajmieniem, że usilną jego chęcią jest ściśle zastosować się do traktatu paryzkiego. Nadto, zalecał Muratowi, aby nie rozpoczynał żadnych kroków nieprzyjacielskich, dopóki Francja, osłoniona znów berłem Bonapartych, pomocniczej nie poda mu ręki; radził nakoniec, aby w razie kroków zaczepnych ze strony przeciwnej, cofał się koncentrując siły swoje, a gdy konieczność zmusi przyjąć bitwę, stoczył ją raczej nad Garigliano niż nad Po. Rady te godne były swojego twórcy, ale nie dosięgały do pojęcia tego, któremu były udzielone. Jak skoro bowiem Murat dowiedział się o wejściu Napoleona do Grenobli, głowa jego ogniem zapłonęła. Ani na chwilę nie zwątpił on o powodzeniu swego szwagra, a w uniesieniu swojem, bacząc zaledwie na Austryjaków, spoglądał tylko z trwogą, jak całe Włochy, razem z Francją, przejdą znów pod berło cesarskie i jak ta upragniona dlań korona żelazna z głowy jego zsunie się powtórnie: albowiém niefortunny ten monarcha nie ograniczał marzeń swoich na królestwie Neapolitańskiem; on posiadłości swoje podwoić lub potroić pragnął. Tą myślą więc zaprzątniony, z zdrowych rad nie skorzystał. Jakoż zamiast wyprawić posłannika do Wiednia w celu uspokojenia Austrji dla swojej i Francji korzyści, Murat w zwykłych wybiegach szukał ucieczki. Przyzwawszy do siebie ministra Austrjackiego i Angielskiego, zapewnił ich, że zamiary szwagra były mu zupełnie nie znane. Niewczesne to kłamstwo u nikogo nie znalazło wiary; nie podobna bowiem było przypuszczać, aby Murat o zamiarach tych nie wiedział; lepiej więc było wyznać prawdę, a tem samem uchwycić sposobność zapewnienia Austrji i Anglji, że krok Napoleona w niczem interessom ich nie zagrażał. Potem, kiedy powodzenie Napoleona zdawało się już być zapewnionem, Murat zamiast trzymać się zdala od Austrjaków w południowej stronie półwyspu, myślał tylko, aby jak najprędzej stać się panem całych Włoch i ogłosić się ich królem wpierw, nim cesarstwo z tej i z drugiej strony Alp zostanie przywróconem. Postanowił więc posuwać się naprzód, uciekając się do rozmaitych pozornych przyczyn dla tumanienia jak najdłużej Austrji i Anglji. Poprzednio zajął Marchje, mszcząc się tym sposobem na papieżu za nieuznanie go królem; następnie, postanowił pomknąć się z znacznemi siłami, aż na brzegi rzeki Po, mówiąc Austrji i Anglji, że w obecnych okolicznościach uważa za konieczne stanąć na linii zawieszenia

broni z r. 1814, kiedy na mocy zawartych układów, Austrjacy prawy, a Neapolitańczycy lewy brzeg rzeki Po zajmowali. Wniosek ten nie napotkałby żadnego zarzutu, gdyby Murat wchodził całkowicie w stanowisko r. 1814, czyli, gdyby wyraźnie stawał po stronie Koalicji. Jawnie atoli z tem nie oświadczył się, lekkie jednakże rzucał domysły, a nawet o swem usposobieniu pokojowem Anglików zapewniał. Rejencję państwa, jeszcze przed objęciem dowództwa nad armją, zdał na żonę swoją, która wszelkiemi sposobami od tych szalonych zamiarów odwieść go usiłowała; nic to wszelako nie pomogło; Murat głuchy na życzliwe rady, zławszy na nią władzę najobszerniejszą, pozostawił na straży Neapolu 10,000 wojska. Była to konieczność nieodzowna przy znanem usposobieniu umysłu Neapolitańczyków, a co właśnie powinno było powstrzymać Murata od posuwania się naprzód i pozostania ze swemi siłami poza Garigliano. Miał on jeszcze do rozporządzenia armję około 50,000 wynoszącą. Armija ta składała się z ludzi dobrze uzbrojonych, brak tylko w niej było oficerów francuzkich, z których jedni przez niechęć, drudzy posłuszni wezwaniu Ludwika XVIII, szeregi opuścili. Murat nadto miał jeszcze 30,000 milicji, lubo użycie jej trudnem było poza granicami kraju, a mianowicie gdzie spółubieganie się dynastyjne mocno oddziaływało. Wyruszył więc w pole z 50 tysiącami ludzi, licząc w to i oddziały w Marchjach stojące.

Niepomyślne to rozdzielenie sił, Murat pogorszył jeszcze wysłaniem jednej kolumny do Toskanji dla wyparcia ztąd austrjackiego jenerała Nugent. Kolumna ta, z 7 do 8 tysięcy składająca się, miała rozkaz przejść około Rzymu, przez Viterbo i Arezzo do Florencji i złączyć się z główną armją w Bolonji. Marsz takiej armji prawie pod murami Watykanu nie mógł podobać się papieżowi i nie obudzić niespokojności co do zamiarów dworu Neapolitańskiego. Uprzedzając to, Murat wysłał jenerała Campana z zapewnieniem swojej wierności dla stolicy apostolskiej, prosząc zarazem, aby Ojciec święty nie opuszczał Rzymu. Nowy ten król Włoch, lubiący we wszystkiem naśladować Napoleona, pragnął mieć w obrębie swych państw, cichą, powszechnie szanowaną, bogato uposażoną i niejako niepodległą głowę Kościoła katolickiego. Ale Ojciec święty nie dał się temi obietnicami ułudzić, i jeżeli nie chciał być poddanym nowego Karola Wgo, tem mniej nie życzył sobie podlegać małemu księciu włoskiemu, którego junakierja, obok braku wyższych zdolności, nie podnosiła do stanowiska założyciela cesarstwa. Głuchy więc na wszelkie zapewnienia Murata, Pius VII opuścił niebawem stolicę z całem prawie orszakiem kardynałów i ze wszystkiemi znakomitościami Rzymu, jako to, z królem hiszpańskim Karolem IV, z jego małżonką,

z księciem Pokoju, z królową Etrurji i t. p. Wszyscy udali się do Genui, a za ich przykładem poszły i inne dwory Włoskie. Wielki książę Toskański schronił się do Livorno, gdzie Anglicy pomoc z opieką mu zapewnili; król Sardyński pospieszył za papieżem do Genui, gdzie znajdował się i lord Bentinck.

Przeznaczone do Toskanji wojska Neapolitańskie, przeszedłszy pod murami Rzymu, zwróciły się na Arezzo do Florencji; Murat zaś z główną armją, szedł na Rimini do Ankony.

Tak posuwając się nie przestawał zapewniać Anglików i Austrjaków o swem usposobieniu pokojowem. Powtarzał, że pochód jego nad rzekę Po, nie uchybiał warunkom zawartego zawieszenia broni z r. 1814, że raczej krok ten uważać należało za oznakę zgody, niż chęć rozpoczynania działań nieprzyjacielskich. Komedja ta wszelako długo trwać nie mogła; trzeba było nareszcie powiedzieć prawdę i błysnąć przed oczyma ludu tą koroną Włoch, którą w zapędzie dumy pragnął skroń swoją uwieńczyć. Napoleon, aby powstrzymać Murata w jego szalonych zapędach, słał doń posłańca za posłańcem; nakoniec wysłał jenerała Belliard, męża tak w rzeczach wojny jak i polityki, doświadczonego. Lecz posłannicy ci nie mogli Murata w drodze doścignąć; przewodnikami więc jego był tylko odgłos sławy i kilka listów Józefa, który z Szwajcarji nadsyłał mu wiadomości o tryumfalnym pochodzie Napoleona, nakłaniając zarazem Murata do połączenia się w działaniu za sprawę Francji.

Przybywszy do Ankony, Murat dowiedział się, że Napoleon minął już Lyon, że gdzie tylko ukazał się, wszędzie wojsko i naród z nim łączyły się; o powodzeniu zatem wątpić nie należało. Wieści te czarodziejsko nań oddziaływały. Murat przewidywał już, że Napoleon powtórnie sięgnie po Włochy, i że Austrjaków, podobnie jak Burbonów z Francji, z krajów tych wypędzi. Takimi dręczony marzeniami, uznał za konieczne nie dać się wyprzedzić; postanowił więc sam wyprzeć Austrjaków z Włoch, zająć ich miejsce, i wtedy stanąwszy jako sprzymierzeniec po stronie Napoleona z 20 miljonami Włochów, nie ustępować tego kraju na korzyść księcia Eugenjusza. To wzburzenie umysłu powiększało bardziej sąsiedztwo Austrjaków, zajmujących Legacje, a z któremi łatwo się było spotkać przy wyjściu z Marchji. Pozostawały więc dwie okoliczności do wyboru: albo zatrzymać się na granicach Marchji w oczekiwaniu na wypadki, albo niebawem uderzyć na Austrjaków. Wtedy ważne narady rozpoczęły się pomiędzy Muratem, a towarzyszącemi mu trzema ministrami, którzy błagali go, aby nie rzucał rękawicy mocarstwom sprzymierzonym. Wszystko cokolwiek dotąd uczynił, mogło go usprawiedliwić w oczach Austrji i Anglji, gdyż zajmując,

a nawet nie dochodząc do linji wskazanej układem o zawieszenie broni, Murat przekonywał mocarstwa te o szczerości swoich zamiarów. W tém więc stanowisku spokojnie oczekiwać mógł na postęp wypadków we Francji, mając jeszcze tę korzyść, że nie narażał ani siebie ani sprawy Napoleona, i w razie przyjścia do wojny, nie oddalał się zbyt od Neapolu. Ale Murat, licząc na postęp sławy Napoleona, pewnym był powodzenia jego tak we Francji, jako i we Włoszech. W umyśle jego tkwiło to przekonanie, że jak skoro przywróconem będzie cesarstwo Francuzkie, takowe dla samej równowagi posunie się do Medjolanu, a wice-królestwo dostanie się znów Eugenjuszowi. Tą ostatnią więc dręczony myślą, Murat ubiegając wypadki, zamierzał wyprzeć Austrjaków z Włoch by nabywszy tem samem prawa do ich posiadania, stanąć przed Napoleonem. Kiedy ministrowie Murata dokładali wszelkich starań do odwiedzenia go od rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich i postanowienie jego niejako już zachwiali, otrzymany niespodzianie list od Józefa, pisany z Prangins, cel ten zniweczył. Listem tym, zawiadamiając o odniesionych przez Napoleona tryumfach, książę zaklinał Murata, aby się łączył z sprawą cesarską i popierał go we Włoszech *orężem i polityką*, usiłując zarazem odwieść Austrjaków od koalicji, a zakończył temi nieszczęsnemi słowy: „*Mów, działaj idąc za popędem swego serca; posuń się do Alp, ale ich nie przekraczaj!*“ (1).

Pismo Józefa w uniesieniu radości kreślone, zawierało w sobie dwie sprzeczności; zalecało bowiem oględne zachowanie się względem Austryjaków, a zarazem potrzebę posunięcia się do Alp. Gdyby Murat z większą uwagą list ten był przeczytał, byłby nabył przekonania, że Józef nie miał nawet wyobrażenia o istotnem położeniu rzeczy. Bo jakże pogodzić politykę z Austrjakami z marszem do Alp w czasie, gdy Austrjacy właśnie zajmowali oba wybrzeża rzeki Po? Bez wątpienia Józef nie wiedział, że Austrjacy stali już po prawej stronie tej rzeki; mniemał zapewnie, że jak w r. 1814, ograniczyli się na posiadaniu lewego jej pobrzeża, co w takim razie nie stawiałoby żadnej przeszkody w pochodzie do Alp i w zajęciu przynajmniej części łańcucha tych gór. Widocznem więc jest, że rada Józefa,— pójść do Alp, ale ich nie przekraczać— miała na celu głównie pobudzenie Murata do marszu z zaleceniem nieprzekraczania granic Francji. Niestety, Murat głuchy na wszelkie rady i prośby ministrów, widząc tylko Alpy jako cel swoich dążeń, a panowanie nad całemi Włochami jako uwieńczenie zamiarów, przekroczywszy

(1) List ten, który wywarł tak poważny wpływ na postanowienie Murata, datowany z Prangins d. 18 marca, znajdujący się w archiwum ministerstwa spraw zagranicznych, zawiera słowa wyżej przez nas przywiedzione.

niebawem granice Legacji, odparł przednie straże jazdy austrjackiej pod miasto Cesena. Austrjacy znając nierówność sił swoich i nie mogąc stawić czoła czterdziesto kilko tysiącznej armji, cofnęli się w porządku na drogę ku Bolonji. Dowodził nimi jenerał Bianchi. Poniesione wtedy z obu stron straty były mało znaczne.

W dniu 31 Marca Murat usuwając wszelkie okrywające go dotąd pozory, własną dłonią sięgnął po koronę Włoch. Tegoż dnia wydał w Rimini pompatyczną odezwę, niepodległość i jedność Włoch zapewniającą; ale w odezwie tej nie było wzmianki ani o Napoleonie ani o Francji, a to z tych małej wagi powodów, żeby nie narazić dla siebie Anglji i nie przypominać wice-królestwa ks. Eugenjusza. Wszelako było to zupełnie mylnem wyrachowaniem; zrywając bowiem z Austrją nie podobna było nie narazić Anglji, tak jak z drugiej strony, chęć utworzenia w tym czasie stronnictwa czysto włoskiego, nazwać można urojeniem. W epoce którą opisujemy, w skutku długich wojen z Austrją prowadzonych, dwie tylko były drogi do utrzymania się we Włoszech; to jest trzymanie się po stronie Austrji lub Francji. Nadto Włosi, lubo pamiętni cierpień doznanych pod Napoleonem w 1814 roku, chętnie jednakże poszliby za nim, bo imię jego zdolne było zawsze obudzić w nich zapał; usuwając więc to imię, Murat oziębiał w nich wiarę w siebie.

Odezwa więc ta, nie znalazłszy odgłosu w narodzie, była pierwszym niefortunnym krokiem Murata. Zapaliła ona wprawdzie niektóre młode umysły, ale ogół nie wróżąc nic dobrego z takiego postępowania, ozięble ją przyjął. Murat tymczasem posunął się do Bolonji, ucierając się tu i owdzie z jazdą austrjacką, probował nawet utworzyć rząd, lecz wszędzie mało dla siebie zjednywał sympatji. Mimo to, stanąwszy w Bolonji, mieście ludnem i wyższą odznaczającem się oświatą, gdzie wrzał prawdziwy włoski patrjotyzm, Murat, pomimo nadto przezierających osobistych dążności, łatwo byłby skuteczne dla siebie znalazł poparcie, ale wódz ten, przy zwykłej nieoględności, nie pomyślał nawet o zaopatrzeniu się w odpowiednie zapasy broni, co przy najwyższym nawet zapale, powodzenia zapewnić nie mogło.

Tak zabawiwszy mieszkańców Bolonji przez parę dni błyskotką miemanego królestwa, Murat pociągnął do Modeny i Parmy w zamiarze przejścia Po i osiągnienia żelaznej korony w Medjolanie. W dziwny więc sposób spełniał on radę Napoleona, a nawet Józefa, który mu zalecał baczne zachowanie się względem Austrjaków. Jakoż ci ostatni dotąd cofający się, teraz siły swoje w ściślejsze koło zjednoczywszy, jeszcze przed dojściem do Modeny, stoczyli bitwę nad rz. Panaro, w której to walce po 800 żołnierza padło z każdej strony. Neapolitańczycy, które-

mi sam Murat dowodził, dzielnie stawiwszy czoło, weszli do Modeny. Jenerał Filangieri ciężką odniósł ranę. Austrjacy nie mogąc dotrzymać placu, przeszli za Po w zamiarze bronienia przejścia dopóki siły ich nowemi posiłkami wzmocnione nie zostaną.

Popełniwszy błąd uderzeniem na Austrjaków, zamiast pozostać w Marchjach i zgromadzać wojska z tej strony Abruzów, Muratowi pozostawał jeszcze jeden środek naprawienia go, jeśli tylko naprawienie możliwem było. Oto, należało ściągnąć wojska stojące w Toskanji, ruszyć na czele 50,000 żołnierzy na Parmę, Placencję i Pawię, a będąc już tak blisko Medjolanu, przejść Po i zająć górnę tej rzeki pozycje. Tak działając, po zniesieniu przednich straży austrjackich poniżej rzeki Po stojących, byłby wkroczył do stolicy Lombardji i silnie tem samem na umysły oddziałał. Wprawdzie Murat pamiętny rad Józefa pójścia na Alpy, miał to zawsze na celu, nie mogąc atoli wstrzymać się nigdy od pokątnych knowań, wszedł w stosunki z lordem Bentinck zapewniając, że tylko za brak prawości w postępowaniu Austrji, dobył przeciw niej oręża i gdyby Anglja była dlań szczerą i przychylną, onby wzajemną zachował dla niej przychylność. Na to oświadczenie, lord Bentinck, mąż prawy ale i wytrawny polityk, odpowiedział, że aby wlać przekonanie o szczerości jego zamiarów, wypadło najprzód uszanować posiadłości króla Sardyńskiego, na co Murat okazał się tyle dobrodusznym, iż pochód swój wstrzymał, a następnie cofnął się. Nie chcąc przebywać rzeki Po powyżej Placencji, gdzie właśnie rzeka łatwiejszą była do przejścia i mniej Austrjakami obsadzona, zwrócił się ku Bolonji w nadziei dostania się za Po w okolicach Ferrary. Jakoż w d. 8 Kwietnia uderzył na Ochio-Bello, ale i tu po znacznej stracie zmuszony był zrzec się spodziewanej przeprawy przez tę wielką rzekę. Wrócił więc do Legacji nie wiedząc co przedsięwziąć: do Piemontu bowiem nie chciał wkraczać obawiając się Anglików; dostanie się za Po było trudnem, bo rzeki tej broniły ogromne siły Austrjaków; królem Włoch ogłosił się, a żaden odgłos ludu inwenstytury tej nie potwierdził; wstrzymanie pochodu przygasiło do reszty zapał; nie mógł więc teraz działać ani zaczepnie ani odpornie. Od tej więc chwili datuje upadek jego moralny i materjalny. Wtedy to, ale już zapóźno, przypomniał sobie roztropne rady szwagra. Postanowił więc cofnąć się przez Abruzzy do Marchji i nie przyjmować bitwy jak nad Garigliano, bitwy, której właśnie Napoleon radził unikać, a przyjmować ją o ile można jak najbliżej Neapolu. Wtedy więc Murat nakazał odwrót przez Cesenę i Rimini, ale Austrjacy zyskawszy dość czasu na zebranie sił swoich, posunęli się za nim z sześćdziesięcio-tysiączną armiją pod wodzą jenerała Bianchi i Nejperg'a. Bez stoczenia więc bitwy by-

ło niepodobnem dosięgnąć Kapui i Neapolu. W trudnym tym odwrocie tylne straże włoskie musiały codziennie ucierać się z Austrjakami; a jakkolwiek Murat osobistą swoją brawurą starał się męztwo swoich żołnierzy ożywić, nigdy jednakże nie zdołał placu boju dotrzymać. Wkrótce też demoralizacja, a za nią dezercja przerzedziła szeregi jego armji w sposób zatrważający. Nareszcie, doszedłszy do Tolentino i mając samo czoło armji do rozporządzenia, postanowił rzucić los swój na szalę bitwy. W krwawej tej dość mężnie przez Neapolitańczyków podtrzymywanej walce, Murat okazał się prawdziwym bohaterem. Z nieustraszoną odwagą, sam na czele wojsk rzucał się wpośród szeregów nieprzyjacielskich, by znaleźć śmierć nie mogąc pozyskać zwycięztwa, i kiedy już chwilowo cieszył się powodzeniem, nowe siły pod jenerałem Neiperg nadeszłe, zmusiły go cofnąć się przed tak przemagającą potęgą nieprzyjaciela. Zwyciężeni Neapolitańczycy zaczęli się teraz cofać przez Fermo i Pescarę drogą wzdłuż morza idącą, ale zabiegający im korpus austrjacki przez Salmonę, Castel di Sangro i Isernię, zmusił ich zwrócić się wprost do Neapolu. W każdem spotkaniu Murat usiłował wprawdzie powstrzymać zapędy Austrjaków, ale po porażce pod Talentino zbiegostwo żołnierzy liczyło się na tysiące tak dalece, że nie zostało mu jak 10 do 12 tysięcy; aby więc nie wpaść w ręce Austrjaków, dotarłszy do Kapui, zdał dowództwo nad szczątkami swej armji baronowi Carascosa, a sam potajemnie dostał się do Neapolu. Przyjęty dość ozięble przez królowę, która radami swemi niegdyś pragnęła odwieźć go od tej szalonej wyprawy, wyrzekł do niej te bolesne słowa: „Pani, niech cię to nie dziwi że żyję, bom czynił wszystko co mogłem, aby śmierć znaleźć.“ I prawdę mówił nieszczęśliwy Murat. Męztwa nikt mu nie zaprzeczy, ale dla człowieka stojącego u steru rządu, przymiot to niedostateczny: tu potrzeba jeszcze zmysłu politycznego. Następnego zaraz dnia wsiadłszy na lekki statek puścił się do Francji, pozostała zaś małżonka jego, zaczęła traktować z Anglikami i Austrjakami o oddanie Neapolu. Głównym naturalnie warunkiem kapitulacji było zupełne usunięcie się z Neapolu tej gałęzi rodziny Bonapartych, a nieodzownem następstwem, przywrócenie Burbonów. Królowa dla siebie i swoich dzieci prosiła tylko o wolność. Ale warunek ten, jak i wiele innych, sprzymierzeni pogwałcili, i siostra Napoleona odwiezioną została do Triestu. W dniu 20 Maja wszystko skończyło się w Neapolu.

Taki był koniec panowania Murata, bo koniec jego życia, w kilka miesięcy potem, miał być jeszcze smutniejszym. Nieszczęśliwy ten monarcha, świetnemi pod względem militarnym obdarzony przymiotami, odważny do heroizmu, doskonały dowódzca kawalerji, gdyby tylko obok

męztwa z jakiem rzucał się na zastępy nieprzyjaciół, umiał był szeregi swoje ocalać, zresztą dobry, szlachetny, nie bez wyższych zdolności, dotknięty był chorobą panowania, którą Napoleon udzielał swoim najbliższym, nawet porucznikom, i na nią też umarł. Ta to zaraza moralna, zmieniła tego człowieka do niewierności a nawet do zdrady, uczyniła szkodliwym sprzymierzeńcem Francji, bo zdaniem Napoleona, Murat przyprawił ją o podwójną zgubę: raz odstępując jej w r. 1814, drugi raz śpiesząc jej z pomocą swoją za prędko w r. 1815. Sąd to wprawdzie za surowy, położenie bowiem Murata nie było tak ważném, aby mógł zgubić Francję, w każdym jednak razie mógł on ją na ważne wystawić niebezpieczeństwa. Bez wątpienia, gdyby Murat w r. 1814 złączył się był z księciem Eugenjuszem, zamiast działać przeciwko niemu nieprzyjaźnie, Austrjacy w znacznej części zatrzymani we Włoszech, w pochodzie do Francji powstrzymaćby się musieli, lub przynajmniej będąc w działaniach swych nieco hamowani, dozwoliliby ks. Eugenjuszowi przejść przez Cenis do Lyonu, coby bardzo pomyślne sprowadziło następstwa. Pewną jest także rzeczą, że gdyby Murat w r. 1815 zająwszy z 60 tysiączną armją okolice Ankony, w stanowisku tém niewzruszenie był pozostał, a tém samém do baczności Austrjaków zmusił, nieprzyjaciel nie byłby w możności wysłania posiłków swoich pod Antibes lub Chambery, a wtedy Napoleon posunięciem 30,000 wojska z pod Wogezów ku Ardenom, znalazłby odpowiedniejsze siły do mierzenia się w walce pod Waterloo. Jakkolwiek więc Murat po dwakroć Francji nie zgubił, jak go o to Napoleon oskarża (1), przyznać jednakże trzeba, że ją po dwakroć na dotkliwy szwank wystawił, a przyczyną tego była owa niepohamowana żądza panowania, która z dzielnego i walecznego żołnierza uczyniła go miernym królem, złym krewnym i złym Francuzem (2).

(1) Ob. *Mémoires de Napoléon* str. 15.

(2) Inny jeszcze zarzut robił Napoleon Muratowi: oto, że z jego powodu w roku 1815, Austrjacy przypisując poduszczeniom Napoleona zaczepne kroki wojsk neapolitańskich, głuchemi byli na wszelkie jego propozycje. Błąd ten dojrzał Napoleon w czasie swego pobytu na wyspie św. Heleny, gdzie nie miał pod ręką dokumentów kongresu Wiedeńskiego. Jeszcze bowiem przed wylądowaniem Napoleona w zatoce Juan, Austrjacy zawiadomieni zostali o zamiarach Murata notą wystosowaną przez niego do kongresu w kwestji dotyczącej Burbonów, przez co upewnieni o jego czynném przeciw nim wystąpieniu, postanowili, jak to już dawniej powiedzieliśmy, zawczasu już przysposobić 150 tysięczną armję we Włoszech. Nadto, działania ich przeciw Napoleonowi w dniu 13 Marca przedsiewzięte, poprzedziły znacznie pochód Neapolitańczyków na Cezenę i nie było w żadnym związku z zachowaniem się Murata we Włoszech. Niefortunny ten monarcha nie miał żadnego wpływu na postanowienie

Pomijając różność tych zdań i opinji, dość że kampanja włoska już w połowie Maja była ukończoną, co postawiło Austrjaków w możności wysłania znacznej części sił swoich przeciw Francji, której granicom zagrażał teraz oręż całej Europy. Oprócz bowiem 70-tysięcznej armji austrjackiej ku rz. Var i górze Cenis zmierzającej, szło jeszcze nad Ren 40 tysięcy Bawarczyków, 20 tysięcy Würtemberczyków, 10 tysięcy Badeńczyków i 10 tysięcy Niemców z różnych księstw. Za armją tą postępowało nadto 80 tysięcy Rossjan od Pragi Czeskiej i 70 tysięcy idących przez Polskę. Dodajmy jeszcze do tego 120,000 Prusaków pod Blücherem, rozłożonych pomiędzy rz. Sambrą i Meuzą z znacznemi rezerwami nad Odrą i nakoniec 100,000 Anglików, Hanowerczyków, Hollendrów, Belgów i Niemców północnych zbierających się koło Bruxelli pod Wellingtonem. Ten ostatni, lubo sam starał się nakłonić Blüchera do wyczekiwania na zebranie wszystkich sił europejskich, widząc wszelako, że łącznie z Prusakami może już liczyć około 250,000 wojska, nie czekając na kolumny od wschodu zmierzające, byłby już w połowie Czerwca rozpoczął działanie na północy, a przynajmniej warownie francuzkie oblegał; lecz gdy z ogólnych planów wynikła potrzeba nie działania na swoją rękę, ale raczej uderzenia wspólnemi siłami, Wellington i Blücher postanowili przyśpieszać skoncentrowanie sił swoich i zapewnienie sobie wzajemne kommunikacji w razie szybkiego ukazania się Francuzów. Cały więc ruch wojsk nieprzyjacielskich skierował się ku granicom Francji, tak iż w połowie Czerwca 450,000 żołnierza, nie licząc rezerw rossyjskich, pruskich i Austrjaków z Włoch dążących, stało w gotowości na podbój Francji. Anglja także zapewniła pomoc pieniężną, rozdzielając 5 miljonów funtów szterlingów pomiędzy Rossją, Prusy i Austrją, 2 i pół miljona pomiędzy małych książąt niemieckich, nakoniec 1 miljon dla drugiej armji rossyjskiej, razem 8 i pół miljonów funtów szterlingów, czyli 212,500,000 franków. Wogóle jednak uważając, zawiść przeciwko Francji mniejszą okazywała się w ludach niż w rządach. I tak, Anglicy niechętném okiem poglądać zaczęli na wojnę o powrót Burbonów, wojnę która rujnując ich handel, uwieczniała niejako nałożony na nich podatek od dochodów (income-tax); Niemcy, rozczarowani w swoich nadziejach wolności, lub, jak Saksoni, złupieni na swojém mieniu, albo nareszcie ciężarami wojennemi uciśnieni, zaczęli również szemrać na walkę na

dworu wiedeńskiego względem Francji; głównemi więc skutkami jego błędów, z natury swojej bardzo ważnych, było za pośpieszne rozpoczęcie kroków nieprzyjacielskich przeciw anstrjakom, co po uśmierzeniu Murata, postawiło ich w możności skierowania 50 do 60,000 wojska swego ku Alpom, a tem samem paraliżowania działań armji francuzkiej.

nowo rozpoczętą; Belgijczycy, widząc u siebie goszczących Hollendrów, Anglików, Prusaków, żałowali Francuzów. Austrjacy zawistnie spoglądali na przewagę Rossji; słowem rozmaitość tych uczuć w sercach ludów górująca, wybuchła nienawiścią przeciwko mocarzom w Wiedniu obradującym, a która to nienawiść na rok przed tém zwracała się głównie przeciw Napoleonowi. Inaczej rzecz się miała z monarchami, ci bowiem za zakłócenie uczty dumie ich w Wiedniu wyprawionej, zdwoili zawziętość swoją do Napoleona. Wojska ich, lubo na powtórną skazane walkę, nienawiść tę podzielały, w czém armja pruska nad wszystkie inne celowała. Oficerowie pruscy, urażeni niechętném usposobieniem okazaném im w Liège, dopuszczali się gwałtów na Belgijczykach Francji przychylnych, zapowiadając przytém, że w pochodzie swojém przez Francję, kamienia na kamieniu nie pozostawią. Grozili jeszcze mordowaniem dzieci i starców, to tylko szczęście, że okropnych tych obietnic spełnić nie mogli. Zajścia ich z Sasami były prawie codzienne. Dzienniki Nad-Reńskie przemawiały w tonie najniedorzeczniejszym. Burboni, pisały one, nie umieli rządzić, za to Napoleon rządził bardzo dobrze, bo w czasie dwóch miesięcy skorzystał więcej niż oni w ciągu jednego roku. Trzeba było dać Francji cały tuzin królów, a dla Niemiec zachować korzyść jednego cesarza; trzeba było odebrać Alzację i Lotaryngję, dobrami narodowemi wynagrodzić żołnierzy niemieckich i tym sposobem opłacić przedsięwziętą wojnę zniszczenia. Nakoniec, potrzeba odrzucać wszelkie propozycje dotąd przynajmniej, dopóki Francja na znak uległości nie odda warowni Lille, Metz i Strasburga! W Gandawie, emigracja francuzka znosiła się ciągle z Wellingtonem i Blücherem, a udzielając im wszelkich nadchodzących z Francji wiadomości, roztrząsała z nimi ważną kwestję dotyczącą powstania w Wandei. Książę Wellington baczny zawsze na kroki Napoleona, usilnie pragnął wprawić go w nowy kłopot podburzeniem narodu nad brzegami Loary zamieszkałego; pozostawienie bowiem 15 lub 20 tysięcy wojska pomiędzy Nantes a Roszelą w czasie toczącej się walki pomiędzy Maubeuge a Charleroy, mogłoby przynieść wielką ulgę tym, którzy wystawieni byli na pierwsze starcie z armją francuzką. Tymczasem przeciwnie się działo: gdyż wodzowie wandejscy nie widząc dawniejszego zapału w narodzie swoim, postanowili nie wyprzedzać związkowych, a raczej czekać chwili w której całe siły Francji przeciw nim zwrócone będą. W skutku atoli nalegań księcia Wellingtona wysłano margrabiego de La Rochejacquelain z oznajmieniem, że w razie zapalenia pochodni powstania, Wandejczykom zapewnia się pomoc floty angielskiej z zapasami broni i amunicji.

Taki to smutny obraz następstw rozwijał się przed oczyma Napoleona w drugiej połowie miesiąca Maja. Trudno tu nawet oddać wszystkie dolegliwości jakie nań spadły po katastrofie Murata; a jakkolwiek z niepowodzeń tego niefortunnego monarchy i wojsk jego, nie można było wyprowadzać wniosków o losie Napoleona i armji francuzkiej, wypadki jednakże zaszłe w Neapolu, smutne stawiały mu wróżby. Ostatnie powodzenia osiągnięte od chwili wylądowania w Porto Ferrajo do wejścia do Paryża, długo łudzić się nie pozwalały; napotykane liczne trudności, tłocząca go zewsząd Europa, dawały poznać, że zawzięty los ciągle go teraz prześladował i że zatem owe kilka dni powodzeń, od 25 Lutego do 20 Marca, były dlań ostatnim błyskiem zachodzącej jutrzenki. Upadek Murata, owego najdawniejszego towarzysza broni i dzielnego dowódzcy jazdy w tylu stoczonych bitwach, pomimo wstrętu do jego lekkomyślności, przejmował Napoleona smutkiem, który lubo dobrze tajony, przed bacznością przyjaciół jego ukryć się nie zdołał. Mimo atoli głębokiego żalu do swego szwagra, wysłał doń osobę zaufaną z słowami pociechy, a zarazem z lekkiemi wyrzutami jego licznych i ważnych uchybień, zalecając przytem, aby czas jakiś pozostał pomiędzy Marsylją a Tulonem w miejscu dowolnie obranem. Nie była to bowiem pora pokazywać Paryżanom zwyciężonego króla Neapolu, a tem samem igrzyskiem tej ofiary losu cieszyć nieprzyjaciół cesarstwa.

W rzeczy samej rojaliści, z zwykłą stronnictwom złośliwością, doznawali niewymownej radości zbadaniem cierpień udręczających Napoleona. Upadek Murata był dla nich zapowiedzią upadku Napoleona. W umysłach ich nie stawała tu żadna różnica: bo jakkolwiek z jednej strony genjusz Napoleona i dzielność wojsk francuzkich przewyższały Murata, z drugiej za to, ks. Wellington, marszałek Blücher, ks. Schwartzenberg i pięćkroć sto tysięczna ich armja górowały nad jenerałem Bianchi i austrjakami z pod Tolentino. Korzystając z swobody objawiali głośno wróżby z upadku Murata, rozprawiali o tem w dziennikach, przebiegali kraj w różnych kierunkach, podniecali ludność mianowicie południową w Marsylji, Tuluzie, Bordeaux, w Wandei zaś tworzyli kluby zapowiadające bliskie chwycenie się oręża.

Wszystko to przecież nie uszło baczności Napoleona: w tém więc położeniu rzeczy nie upatrywał on innego środka, jak szybkie rozpoczęcie kroków wojennych i posuwanie ich z całą dzielnością i powodzeniem. Tymczasem minister Fouché skłonny zawsze do intryg wewnątrz i zewnątrz kraju knowanych, wysłał do Wiednia p. de Saint-Léon człowieka zdolnego, liberalnego, żyjącego w ścisłych stosunkach z Talleyrandem, zalecając przedstawienie niebezpieczeństw mogących zajść

z walki upornie w sprawie Burbonów prowadzonej. P. de Saint Léon otrzymał od Fouché'go bardzo czułe a nawet wymowne do Metternicha pismo, w którém zręczny ten minister żarliwie bronił sprawy Napoleona, bo dla niego zresztą rzeczą było obojętną, czy zyska rejencję Marji Ludwiki, czy księcia Orleańskiego, byle tylko nie dopuścić powrotu Burbonów. Wiedział o tem Napoleon, mało jednakże do tego przywięzując wagi, i nie wierząc w skuteczność obranych środków, pozwolił mu działać, to bowiem ani mu zaszkodzić ani przygotowań jego tamować nie mogło. Jedyny więc środek, rzeczywistą dla siebie ucieczkę upatrywał on w zadaniu silnego ciosu tej części wojsk sprzymierzonych, która właśnie najbliżej granic Francji znajdowała się. A ponieważ nieprzyjacielska kolumna księcia Schwarzenberga z tyłu w odwodzie stała, Napoleon więc zamierzył niespodzianie uderzyć na Blüchera i Wellingtona od północy po nad granicą rozłożonych. Był to jeden z najśmielszych jego planów, a rozważając go, ukrzepiony pewnością powodzenia, cieszył się w duszy tryumfem nad nieprzezornością swoich wrogów. Odniesione tu zwycięztwo uciszyłoby namiętności rojalistów, Europa głucha dotąd na jego domagania przechyliłaby się ku niemu i wszelkie trudności ustąpiłyby z łatwością. Teraz więc dzień i noc pracował tylko nad zebraniem pomiędzy Paryżem a Maubeuge 150 tysięcznej armji, aby nią jak maczugą uderzyć najbliższych mu Anglików i Prusaków. Chcąc przeto jak najprędzej stanąć na czele wojsk, naglił na przeprowadzenie ustawy, na ukończenie wyborów i zebranie izb, aby następnie opuściwszy Paryż udać się do Flandrji i tam w dwóch lub trzech dniach, swój a może i całego świata los rozstrzygnąć. Nigdy Napoleon nie okazał w działaniu swojém tyle czynności, i nigdy podobnego w spełnieniu zamiarów swoich nie doznał powodzenia. Formowanie bataljonów gwardji narodowej zwłaszcza w prowincjach pogranicznych, postępowało tak szybko, iż w samych tych prowincjach można było z pewnością liczyć na wystawienie 150 tysięcznej armji. Bataljony te, przybrane w proste bluzy z kołnierzami odmiennej barwy, w stare karabiny uzbrojone, Napoleon wysłał do twierdz; tylko zaciąg żołnierza do armji czynnej z takim nie szedł pośpiechem. Powołanie pod broń dawnych żołnierzy nie dało spodziewanego wypadku; wielu z nich bowiem wolało służyć w gwardji narodowej ruchomej, w której czas służby był krótko oznaczony; zresztą niektórzy pożenili się, inni znów należąc do klass z roku 1814 czuli wstręt do wojny, klęski tylko za sobą pociągającej. Ztąd zamiast spodziewanych 90 tysięcy starego żołnierza mających się zebrać z owych 150 tysięcy, które w roku 1814 rozeszły się do domów, można było osiągnąć zaledwie 70 tysięcy, a z tych 58 tysięcy już zdanych, reszta

zaś, to jest 12 tysięcy, w pochodzie. Liczbę tę dodawszy do 180 tysięcy w dniu 1 Marca zwołanych i do 50 tysięcy urlopowanych, a którzy wszyscy na wezwanie w szeregach stanęli, można było spodziewać się wystawienia blisko 300 tysięcy armji czynnej, z której 200 do 210 tysięcy w szeregach wojennych, reszta w garnizonach wewnątrz kraju pozostałych. Wszystko to atoli było niedostatecznem do stawienia czoła zagrażającym Francji niebezpieczeństwom. Napoleon więc gotów był jeszcze nakazać pobór na rok 1815 przypadający, w tej przynajmniej części, którą rada stanu uznała za wcieloną w roku 1814. Co do reszty zaś, na to potrzeba było pozyskać prawo, które dopiero przysposabiano dla przedłużenia izbom. Potrąciwszy więc rozmaite ubytki z poboru na rok 1815, można było zawsze liczyć na 112 tysięcy, a z tych 45 tysięcy zaraz pod bronią stanąć mogących. W takim przeto stanie rzeczy armja czynna dojśćby mogła do 412 tysięcy. Nadto, uruchomiona gwardja narodowa dochodziłaby przypuszczalnie do 200 tysięcy, do czego dodawszy 25 tysięcy marynarzy przeznaczonych dla Paryża lub Lyonu i 20 tysięcy związkowych w Paryżu, a 10 tysięcy w Lyonie, armja francuzka byłaby w możności śmiało stawić czoło swoim wrogom. Nakoniec, Napoleon zamierzał jeszcze szukać ucieczki w przedstawieniu izbom potrzeby powołania pod broń innych warstw narodu, co dałoby około 150 tysięcy żołnierza. Tak więc z 800 tysiącami wojska, przy zjednoczeniu władzy i wytrwałości można było nie rozpaczać o ocalenie Francji.

Wszelako obecnie armja rozporządzalna nie przechodziła 300 tysięcy ludzi, a z tych zaledwie 200 tysięcy stanąć mogło do boju; zaś 200 tysięcy dobrze wybranej gwardji narodowej musiałoby zajmować warownie i przejścia graniczne. Należało więc nieodzownie zażądać poboru 45 tysięcy na rok 1815, a wtedy armja jego doszłaby 250 tysięcy i stanowiłaby siłę, która w ręku tak dzielnego wodza byłaby dostateczną do zadania silnego ciosu nieprzyjaciołom. Tak obrachowane jednakże siły nie prędzej jak w połowie Czerwca mogły być w pogotowiu.

Nad osiągnieniem tego, Napoleon pracował bez wytchnienia i do 150 listów i rozkazów dziennie w różne strony rozsyłał. Tu garstkę rekrutów zebranych w jednym punkcie trzeba było wysłać do batalionów, tam szwadrony jazdy miały ludzi a brakło im koni, inne znów miały konie a zbywało im na ludziach lub umontowaniu. Nie spuszczając więc nic z uwagi, przy zadziwiającej pamięci i przezorności, Napoleon wydawał rozkazy, czuwał nad ich ścisłém wykonywaniem, rozsyłał oficerów w różne strony, słuchał ich raportów i znów odprawiał, nowe udzielwszy polecenia. Trzecie bataljony do których napływała gwardja narodowa ruchoma, wysłane już zostały; zaraz więc formowano czwarte

przeznaczone do zakładów. W niektórych znów pułkach potworzono piąte bataljony, a owe czwarte szły zaraz do armji czynnej. Wszelako było to wyjątkowém; w ogóle bowiem pułki liczyły tylko po trzy bataljony, co wprawdzie byłoby dostatecznem gdyby one były liczniejsze, ale pomimo wszelkich usiłowań bataljony te liczyły zaledwie po 600 ludzi. Z niemniejszą bacznością czuwał Napoleon nad uorganizowaniem kawalerji. Zakłady (depôts) wersalskie, odebranie koni z pod żandarmerji i zakupy ich po prowincjach czyniły nadzieję zgromadzenia w połowie Czerwca, łącznie z gwardją, około 40,000 wybornej jazdy z ludzi poprzednio już w służbie tej będących. Szycie mundurów, naprawa broni, nie miejszych zabiegów były celem. Napoleon sam zwiedzał szwalnie, sam zachęcał i ożywiał krawców, rymarzy, płatnerzy, puszkarzy. Oficerowie artyllerji przeznaczeni do kierowania robotami, ważne oddali tu usługi. Była więc już odpowiednia ilość nowej broni dla armji, broni naprawionej dla gwardji ruchomej i zostawało jej jeszcze 100,000 dla rekruta z r. 1815. Gdyby wojna przeciągnęła się do zimy, to jeszcze lato i jesień mogły uczynić zadość wszelkiej potrzebie. W skutku więc tak niezmordowanej działalności, Napoleon w ciągu dwóch miesięcy (od końca Marca do końca Maja) postawił i uzbroił około 300 tysięczną armję, składającą się z 50 tysięcy poprzednio rozpuszczonych, 70 tysięcy starego żołnierza i 180 tysięcy wybornej gwardji narodowej. Wynik to zadziwiający, jeżeli zwrócimy uwagę na trudności w wyższej administracji napotykane.

Wszechstronną swoją przenikliwością Napoleon wcześnie przewidywał, że nieprzyjaciel raz przekroczywszy granice, uderzyłby najprzód na punkta zborne i warownie. Bezzwłocznie więc od granicy północnej nakazał ściągnąć wojska z Abbeville, Amiens, Saint-Quentin, Châlons, Bar, Brienne, Arcis-sur-Aube i Nogent; od granicy wschodniej, z Châlons, Dijon, Autun, Troyes; od granicy południowej, z Avignons i Nîmes. Krok ten dawał mu w zamian tę rękojmię, że w razie nagłego wtargnięcia, jakkolwiek punkta warowne zostałyby z wojsk ogołocone, pułki natomiast otrzymałyby znaczny zasiłek w ludziach i broni. Wyznaczona w tym celu kommisja złożona z jenerałów: Rogniat, Dejean, Bernard i Marescot, zajęła się postawieniem w stanie obronnym warowni położonych na pierwszej, drugiej i trzeciej linji. Obok tego przedsięwzięto zaraz uskutecznienie koniecznych napraw, uzbrojenie wojsk i zaopatrzenie ich w żywność. Nadto kommisja ta oznaczyła przejścia granic, w których gwardja narodowa przecinając drogę, mogłaby skuteczny opór stawić nieprzyjacielowi. Nakoniec Paryż i Lyon, jako najważniejsze stanowiska, zostały odpowiednio umocnione.

Napoleon nie zapomniał, że gdyby Paryż w r. 1814 mógł był trzymać się dłużej ośm dni, korona jego i Francja byłaby ocalona. Pomniał i o tem, że Lyon od wschodu jest tém, czém Paryż od północy, wszystko więc na co czas zezwalał uczynił dla wzmocnienia tego grodu. Nie mogąc myśléć o otoczeniu Paryża murami, przestał na należytém go oszańcowaniu. Jenerał Haxo usypał reduty z obu stron Belleville tak, iż poczynając od równin ciągnących na południu od Vicennes aż do Saint-Denis ku północy, wszystkie wzgórza zostały umocnione. Gdyby w roku 1814 Marmont miał takie oparcie, wojsko jego nie byłoby doznało porażki. Dalej, kanał świętego Marcina, łączący Sekwanę od Vilette do Saint-Denis, najeżony był strzelnicami silną zapewniającemi obronę. Szluzy kanału w Saint-Denis przygotowano do szybkiego zalania wodą tej okolicy. Trudno było nawet przypuścić, aby nieprzyjaciel przedarłszy się przez tę linję, śmiał się zapuszczać pomiędzy wzgórza Montmartre i Sekwanę, w którą łatwo mógłby być wpędzonym. W każdym jednak razie Monmartre, Clichy, l'Etoile otoczono silnemi szańcami, zapewniając sobie przez to pewne w nich oparcie. Usypano także wały na prawym brzegu pomiędzy Montrouge a Vaugirard, w których to robotach dobrowolnie brali udział związkowi i gwardja narodowa. Ofiarę tę chętnie, jako dobry przykład, przyjął Napoleon, lubo oprócz nich, dwa tysiące robotników dobrze płatnych pracowało bezustannie nad usypaniem redut nakreślonych przez jenerała Haxo.

Dawszy już poznać narodowi stosunki Francji z Europą, Napoleon który nie chciał nic ukrywać, przystąpił do uzbrojenia redut; aby zaś bardziej podnieść ducha, zanim nieprzyjaciel w kraju się ukaże, postanowił robotom tym sam wszędzie przewodniczyć. I w tym razie więc postępowanie jego różniło się od postępowania w r. 1814; nie tylko bowiem nie ukrywał grożących niebezpieczeństw, ale nawet sam ważność ich podnosił. Z 300 sztuk dział wielkiego kalibru przewiezionych morzem do ujścia Sekwany, 200 było już w Rouen w drodze do Paryża. W miarę przybywania ustawiano je na szańcach choćby nawet niewykończonych. Aby zaś uniknąć zamieszania w kalibrze dział i następnie w rozdzielaniu amunicji, Napoleon postanowił, aby wszystkie działa 12-sto i 6-cio funtowe pozostawiano na prawym, najbardziej zagrożonym brzegu, 8-mio zaś i 4-ro funtowe, na lewym; pewną zaś liczbę dział wielkiego kalibru przywiezionych z portów, ustawił w baterję na najbardziej górującym punkcie, to jest na wzgórzach Saint-Chaumont. Uczniowie szkoły Saint-Cyr, Alfort i politechnicznej ćwiczyli się codziennie w strzelaniu z dział. Park artyllerji z 200 dział polowych przysposobiony był w Vincennes, aby następnie w razach potrzeby, jako ar-

tyllerja ruchoma, mógł być użyty tam, gdzieby tego największa zachodziła potrzeba. Dwa pułki marynarzy z Brest i Cherbourga były w pochodzie do Paryża. Oprócz tego Napoleon nakazał sporządzenie spisu związkowych, a uformowawszy ich w 24 bataljony, rozdał po 100 karabinów na bataljon, dla wyuczenia tych co jeszcze w wojsku nie służyli. Zamiarem jego było zmniejszyć gwardję narodową do 8 lub 10 tysięcy dobrze wyćwiczonego żołnierza, a pozyskane ztąd 15,000 karabinów rozdać pomiędzy związkowych. Projektem tym nie powodowały żadne wyrachowania demagogiczne, ale raczej pewna nieufność do gwardji narodowej, tchnącej zawsze w rozumieniu Napoleona duchem rojalizmu, gdy przeciwnie w poświęceniu i męztwie związkowych pokładał on całą ufność i których bez wahania gotów był wydać na śmierć pod murami Paryża. Dzięki więc tym zabiegom, Paryż najdalej w półtora miesiąca, to jest przy końcu Czerwca, był w gotowości stawić czoło wszelkim pokuszeniom się wroga.

Oprócz obrony stolicy, Napoleon przywiązywał jeszcze wielką wagę do ubezpieczenia innych miast, jak Nogent-sur-Marne, Meaux, Chateau-Thierry, Melun, Montereau, Nogent nad Sekwaną, Arcis nad Aube, Auxerre, a oddawszy je wszystkie pod rozporządzenie marszałka Davout, zamierzał zrobić go gubernatorem Paryża z władzą nadzwyczajną. Dawny ten obrońca Hamburga, wypędzony przez Burbonów, jednoczący w sobie wszelkie warunki wojskowe i polityczne, wydawał mu się najwłaściwszym do spełnienia tej roli. Pozostała część gwardji narodowej, łącznie ze związkowymi, marynarzami i nowo-zaciężnymi stanowiły 70 do 80 tysięczną armję, a ta przy znanej dzielności wodza i tak silném obwarowaniu dawała dostateczną rękojmią obrony stolicy.

Jednocześnie nie spuszczając z uwagi obrony Lyonu, Napoleon nakreślił plan robót około tej drugiej stolicy wykonać się mających. Jakoż sprowadzono z Tulonu Rodanem 150 dział wielkiego kalibru do umieszczenia ich na wałach, a do obsługi ich pułk marynarzy wyruszył w drogę. Uczniowie szkoły weterynarji, podobnie jak szkoły paryzkiej, przeznaczeni byli do służby bateryjnej. Licząc na usposobienie Lyończyków, Napoleon naznaczył zebranie tam 10 tysięcy gwardji narodowej, załogę miasta powiększyć mającej. W tym celu wysłano im 10 tysięcy karabinów, które dopiero w miejscowych warsztatach naprawione być miały. Licząc wzorem Bretanji na kraje sąsiednie, jako to: Burgundję, Franche-Comtè, Delfinat i Owernją, obliczał liczbę związkowych na 10 tysięcy, która w połączeniu z nowo-zaciężnymi mogła uzupełnić garnizon Lyonu. Spełnienie tego dzieła poruczono marszałkowi Suchet, którego Napoleon przyzwał z Alzacji, a zdając mu obronę granic wyrzekł

doń te słowa: „Spokojny jestem o miejsca w których ty przebywasz: jedź więc i zachowaj mi Wschód; ja tymczasem bronić będę Północy przeciw całej Europie.“ Suchet dowodząc 7ym korpusem, mógł liczyć 20 tysięcy dobrego żołnierza, do czego dodawszy 12 t. gwardji narodowej, miał do rozporządzenia 32 tysiączną armią, dostateczną do zajęcia Sabaudji; dobrze umocniony zaś Lyon pozwalał śmiało mierzyć się z Austrjakami. Nadto, poniżej Rodanu, w okolicy Awinjonu znajdowała się rezerwa z 4ch pułków 8go korpusu; marszałek zaś Brune z dwoma pozostałemi pułkami i z trzema ściągniętemi z Korsyki, tworzył 9ty korpus przeznaczony na obserwację Var, Tulonu i Marsylji. Ostatnio to miasto było przedmiotem szczególnej czujności. Napoleon rozkazał rozbroić gwardję narodową Marsylską, pozostawiwszy w służbie tylko 1500 ludzi pewnych; nadto polecił uzbroić warownie Saint-Jean i Nicolas, a zabraną ztąd amunicję zamknąć w arsenale Tulońskim i oszańcować most Saint-Esprit na Rodanie. W końcu nakazał jeszcze, aby mała forteczka Sisteron postawioną była w stanie obronnym, tak, aby ona zdolną była powstrzymać nieprzyjaciela, gdyby ten po zdobyciu Prowancji usiłował przerznąć się do Delfinatu i w kraj Lyoński Powyżej Lyonu, idąc w górę rz. Saony, Napoleon rozlokował dodatkowy korpus jenerała Lecourbe. Korpus ten nie wchodził w liczbę owych dziewięciu, jako później utworzony i składał się tylko z jednej dywizji linjowej. Dodawszy mu więc dwie piękne dywizje wyborowej gwardji narodowej, powierzył mu obronę Befort i przejść góry Jura. Armja Alzacka czyli korpus piąty, w połączeniu z Lecourbe'm, strzegła Renu. Korpus ten zebrany był z szeregów Wissembourg'a. Bataljony wyborcze zajmowały Strasburg i warownie poczynając od Hunningue aż do Landau. Inne znów oddziały strzegły przejść Wogezów, lekka zaś kawalerja z pomocą miejscowej nowo utworzonej jazdy przeciągała wzdłuż Renu. Według nakreślonego planu, uderzenie w dzwony miało oznajmić pierwsze ukazanie się nieprzyjaciela, a wtedy dowódzcy obowiązani byli zamknąć się w swoich warowniach, prefekci zaś i jenerałowie cofać się, uprowadzając z sobą bydło, żywności i wszelką młodzież. Wydane naprzód rozkazy zalecały szczególną obronę miejsc najtrudniejszych, trzymanie się w nich o ile można najdłużej, cofając się tylko w ostateczności i zawsze w stronę w której główna armja do strzeżenia granic przeznaczona, znajdowała się. W takich razach oddziały ruchawki, mieszczące w sobie wielu starych żołnierzy, obowiązane były nieść pomoc. Nakoniec, dla spożytkowania wszelkich krajowych środków, Napoleon użył jeszcze jednej kombinacji, która w pewnych okolicach kraju mogła przynieść prawdziwy pożytek. Z wykazów przedłożonych mu przez ministerstwo wojny prze-

konał się, że liczba dymissjonowanych, ze skarbu płatnych oficerów, wynosi 15,000, podoficerów zaś i żołnierzy 78,000. Jakkolwiek znaczna ich liczba niezdolną już być mogła do zniesienia życia obozowego, zimna, upałów i głodu, wielu przecież mogło pełnić służbę przynajmniej po miastach. Wierni zawsze rewolucji i cesarstwu, a nienawidzący Burbonów, starzy ci wojacy mogli być bacznymi stróżami wszelkich nieprzyjaznych dążeń. Napoleon więc postanowił, powoławszy 25 do 30 tysięcy dymisjonowanych, rozdzielić ich po miastach wątpliwego ducha, gdzieby rozmowami po miejscach publicznych, a w razie niebezpieczeństwa i ramieniem, skuteczną mogli nieść pomoc. Nie używając w tym razie żadnego przymusu, Napoleon odwołał się tylko do ich uczuć; aby zaś ułatwić ściągnienie retretowanych, polecił wypłacić im koszta podróży i wydzielić odpowiednią żywność. Na miejsca zebrania naznaczył Marsylję, Tuluzę, Bordeaux, Nantes, Angers, Tours, Dunkerkę i t. d. Tak więc żadna z sił kraju, prawie od najmłodszego do najstarszego wiekiem, nie mogła być bezczynną i nieużyteczną.

Oprócz powyższych środków, o niezmordowanej i wszechstronnej przezorności Napoleona przekonywających, baczną jeszcze zwracał on uwagę na uorganizowanie armji, z którą miał walczyć z nieprzyjacielem. Armija ta liczyła 5 korpusów: 1szy rozłożony około Lille pod dowództwem hrabiego d'Erlon; 2gi około Valenciennes pod jenerałem Reille; 3ci około Mezières pod jen. Vandamme; 4ty około Metz pod jen. Gérard; 5ty nakoniec stojący pomiędzy Paryżem a Laon, pod jen. Lobau. Napoleon posunąwszy wszystkie te korpusy do Maubeuge, mając nadto w odwodzie gwardją i 6ty korpus Paryzki, postanowił na czele 150,000 wojsk przejść granicę. Nie tu miejsce określać jakiemi kombinacjami Napoleon zamyślał podejść najbliżej rozłożoną a najznaczniejszą część armji nieprzyjacielskiej; dość powiedzieć, że zamierzywszy najdalej do d. 15 Czerwca rozpocząć wojenne kroki, a będąc już na schyłku Maja, polecił zaraz udać się w pochód jenerałowi Gérard, który mając do przebieżenia przeszło 60 mil fran. powinien był najprzód przed innymi wyruszyć. W największej przeto tajemnicy oznaczył mu dzień wymarszu, wskazując zarazem pozory jakiemi prawdziwy cel ruchów swoich miał pokryć. Hrabia Lobau, w miarę gotowości swoich pułków, otrzymał rozkaz skierowania ich na Soissons i Laon, gdzie właśnie zbierał się 6ty korpus. Napoleon energicznie zajmował się uorganizowaniem gwardji pod jenerałem Drouot, którą zamierzał doprowadzić do 20 lub 25 tysięcy. Nadto, artyllerja rezerwowa była przedmiotem najusilniejszych jego zabiegów. Sam on odbywał przeglądy baterji gotowych do

wyjścia w pole, sam wskazywał brak odpowiednich przyborów. Widząc brak koni pociągowych, jakkolwiek ich 6,000 dostawili włościanie, kazał jeszcze zebrać 8 do 10 000 koni w prowincjach pobliskich, płacąc za nie gotowizną.

Tyle różnorodnych i tak szybkich działań nie mogły nie napotkać niechęci i przykrości. Marszałek Davout przywykły od lat piętnastu do niejakiej niezawisłości, zdala zawsze od Napoleona, teraz prawie pod jego bokiem, bez swobody i wytchnienia, nie mógł częstokroć ukryć swej niechęci. Ulegał on wprawdzie, ale nie tak jak książę de Feltre, to jest z zaparciem się swego charakteru. Jedno co go najbardziej niepokoiło, był wybór oficerów, do czego właśnie Napoleon przywiązywał największą wagę chcąc się upewnić o ich wierności i męztwie. Stosownie więc do jego rozporządzeń wybór ten sprawdzony miał być przez trzech mężów zaufania: hr. Lobau, la Bedoyère i Flahault. Dwaj ostatni, świadomi usposobienia młodzieży, krytykowali nieraz przedstawienia ministerstwa wojny, które znów czynione przez nich uwagi niechętnie przyjmowało. Napoleon nieraz musiał pośredniczyć w tych sporach, o którychbyśmy nawet nie wspominali, gdyby one ważnych następstw nie spowodowały. Najważniejszy spór wynikł co do osoby jenerała Bourmont, którego Davout do czynnej służby przyjąć nie chciał, lubo jenerałowie la Bédoyère i Gérard głową swoją za nim ręczyli. Napoleon przechyliwszy się za zdaniem dwóch ostatnich, dał wyraźny rozkaz marszałkowi Davout przyjęcia Bourmont'a, czemu on poddał się z konieczności.

Napoleon wybrał marsz. Mortier na dowódzcę gwardji. Chciał on także mieć przy sobie jenerała Berthier, swego naczelnika sztabu we wszystkich wojnach, swego przyjaciela i ścisłego wykonawcę woli; zamierzał mianować go szefem sztabu armji. Wprawdzie Berthier dał dowody niejakiej słabości; cesarz wszelako kazał mu spiesznie do siebie przybyć oświadczając, że przeszłość puścił w niepamięć. Posłuszny temu wezwaniu Berthier, udał się w podróż, ale śledzony zewsząd, w chwili przybycia swego do Bazylei musiał zwrócić się do Niemiec, gdzie go smutny a tajemniczy zgon oczekiwał.

Zawiedziony w oczekiwaniu Berthier'a, Napoleon postanowił oddać szefostwo sztabu jednemu z najpracowitszych swoich wodzów, marszałkowi Soult, który uważając Burbonów za utrwalonych, sprawie ich poświęcił się, teraz zaś, przy nowej zmianie rzeczy, ślady swego błędu zatrzeć usiłował. Wprawdzie wydana niegdyś gwałtowna odezwa przeciw Napoleonowi wprawiała go nieco w kłopot, teraz więc przy objęciu szefostwa jeneralnego, nową równie żarliwą proklamację do wojska

przeciwko Burbonom, błąd swój okupić usiłował. Napoleon, działając w interesie samego Soult'a, złagodził nieco wyrażenia tej odezwy, i kazał ją ogłosić w formie rozkazu dziennego; znając bowiem naturę ludzką, nie czynił jenerałów swoich odpowiedzialnymi za okazaną chwiejność, w czasach zwłaszcza tak trudnych, i nie wymagał po nich znajomości głębokiej polityki, ale raczej dzielności wojskowej. Powołując więc Soult'a na szefa sztabu nieszło mu o nieskażoną wierność jednemu panu, ale raczej aby ten łączył w sobie prawość i punktualność Berthier'a. Wypadki wkrótce dowiodły trafności tego wyboru. Nakoniec, Napoleon postanowił przywrócić pułkom dawne a później odjęte im nazwy czyli liczby, czego właśnie pułki te najbardziej żałowały. Przywrócenie więc tych nazw cieszyło wojsko i zobowiązywało do stania się godnymi nabytych w przeszłości zasług.

Wszyscy jenerałowie otrzymali rozkaz udania się do swoich wojsk; Napoleon zatrzymał tylko przy sobie jenerała Soult, dla obznajmienia go z nowemi obowiązkami, wyjazd zaś jego nastąpić miał zaraz po zgromadzeniu narodowem i zebraniu izb. Chwila ta właśnie zbliżała się, albowiem wota na przyjęcie aktu dodatkowego były już rozdane, wybory ukończone i prawie wszyscy deputowani zebrani w Paryżu. Wybuchy gazeciarzy, broszurzystów i rozprawiaczy publicznych przeciw aktowi dodatkowemu, uciszyły się w obec wyborów, których spełnienie uspokajało wrzenie umysłów, dając zarazem rękojmią, że obiecywana konstytucja nie była czczem mamidłem, gdyż zwołanie izb nastąpiło przed czasem na to naznaczonem. Nadto, naród widział, że tak w wyborach jako i głosowaniu za aktem dodatkowym z zupełną działano swobodą; wolność mówienia, drukowania, objawianie nawet wotów w sposób dojmujący, niczem nie było krępowane. Lafaytte w Meaux przyjął akt z zachowaniem wszechwładztwa ludu, naruszonego niektóremi warunkami tego aktu. P. Kergolay głosował przeciw wszechwładztwu Burbonów; rząd jednakże nie bronił się widząc jak jeszcze nic nie zdziałano dla obrony władzy państwa wolnego. Oprócz chwilowego zawieszenia 6-go tomu dziennika *Censeur*, co zniósł wkrótce rozkaz Napoleona, nie ograniczano w niczem swobody działań indywidualnych; słowem, naród używał jakiejś wolności niezwykłej, gwałtownej, o tysiącznych barwach, zupełnie jak w dniach rewolucji. Każdy stawiał wymarzone przez siebie widziadło, każdy je na swój sposób kreślił, temu atoli usposobieniu rewolucyjnemu, zbywało na namiętnościach nie u stronnictw, bo te okazywały ich aż zanadto wiele, ale u samego narodu. Czy to w głosowaniu za lub przeciw aktowi dodatkowemu w urzędach municypalnych, w komissjach sprawiedliwości lub biurach notarjalnych odbywanych, czy w wotowaniu przeciw wyborom reprezentantów, naród żadne-

go nie brał udziału. Zniechęcony do wszelkich rewolucji i kontr-rewolucji, nie wiedząc kogo i czego ma się trzymać, lud wolał pozostawać w domowem swem ognisku. Mówimy tu o warstwach narodu pośrednich, rozsądnych, umiarkowanych, które pragnąc niegdyś panowania Burbonów, jako najzdolniejszych do zapewnienia im pokoju i swobód, doznały przecież zawodu w ciągu jedenasto-miesięcznych ich rządów. Z drugiej strony Napoleon, pochlebiający ich dumnie, wnikający w ducha narodu, przerażał wątpliwością zmiany swoich dążeń za pokojem i wolnością. Naród przewidywał, że za nim fatalne przeznaczenie wiedzie wojnę, a wojnę zaciętą, gotującą zgubę Francji lub Europie. W takiem więc ścieraniu się, w takiej niepewności, naród wolał pozostać w domowem zaciszu tysiąca swych rodzin, niż spieszyć do podania głosów za przyjęciem aktu dodatkowego lub wyborem reprezentantów.

Kiedy Francja zbawcę swego w Napoleonie upatrując, do wyboru jego niegdyś stawała, wtedy 3 do 4 miljonów obywateli pośpieszyło z zapałem złożyć swoje wota; obecnie zaś, za przyjęciem aktu dodatkowego, nieco więcej tylko nad miljon dwieście tysięcy zebrano głosów, w kole zaś wyborczem zaledwie sto tysięcy wyborców stanęło. Różnica ta dostatecznie przekonywa, jacy to ludzie zbierali się w merostwach, kollegjach i biurach notarjuszów; oto, były to same stronnictwa, u których namiętności nigdy się nie oziębiają. Mówiąc o stronnictwach nie należy mieszać w nie partji Burbonistów, ci bowiem w głosowaniach o których mowa, żadnego nie brali udziału. Wprawdzie nie pochodziło to ztąd, jakoby oni w swobodzie działań swoich byli krępowani, bo stronnictwa przeciwne nie zagrażały w niczem ich bezpieczeństwu. Ale jako rojaliści odpychający wszystko co nosiło cechę wolnych instytucji, obok spaczonych o swych przeciwnikach wyobrażeń, nie mieli dostatecznej odwagi do spełnienia praw im przynależnych. Niektórzy tylko śmielsi podali swoje głosy, ale i to nie z pobudek przekonania, ale raczej z próżnej chełpliwości. Tak więc na blisko miljon trzy kroć sto tysięcy głosujących, stanęło ich zaledwie 3 do 4-ch tysięcy, by złożyć swoje *nie* przeciw aktowi dodatkowemu, a jeszcze mniej ukazało się ich w kollegjach wyborczych, lubo obecność ich nie zamąciła w niczém porządku i spokojności. W ogóle Burboniści do głosowania stawający byli to dawni rewolucjoniści, nabywcy dóbr narodowych, zapaleni przyjaciele wolności i chwały narodowej, na której uosobienie w Napoleonie niechętnie patrzyli, urzędnicy z r. 1789, wreszcie wielu ludzi światłych działających z tém przekonaniem, że popełniwszy raz błąd dopuszczeniem powrotu Napoleona, należało w osobie jego bronić niepodległości Francji i uczynić z niej państwo konstytucyjne. W ogóle więc wybory dopeł-

niane przez tych różnobarwnych wyborców, nosiły charakter porządku i umiarkowania. Wszędzie prawie obierano albo urzędników cywilnych, albo wojskowych pragnących utrwalenia podstaw nowego cesarstwa, nadto, nabywców dóbr narodowych, dążących do upewnienia się w ich posiadaniu, rewolucjonistów żałujących popełnionych niegdyś usterków, jakim był np. Barère, lub wreszcie młodych bez zarzutu liberalistów, co przy braku doświadczenia odznaczali się zdrowém sądzeniem o rzeczach, a takim był np. Duchêne z Grenobli. Jednych i drugich ożywiała ta jedyna chęć: poprzeć działania Napoleona przeciw Europie i stawić mu opór w razie dostrzeżonego w nim zwrotu do despotyzmu. W ogóle, ci nowi wyborcy, trzymający się Napoleona z interesu, objawiali głośno swoje zdania, że przyjmując go z jego chwałą i zasadami socjalnemi, należało odpychać dążności jego despotyczne i działać zawsze więcej ze stanowiska liberalnego niż bonapartystowskiego, choćby nawet przyszło narazić na szwank sprawę Napoleona dla sprawy wolności. W takim stanie rzeczy potrzeba było taktu, cierpliwości i zręczności w postępowaniu, a co właśnie trudno było znaleźć u ministrów po raz pierwszy przed wolnemi zgromadzeniami występujących.

Stosownie do postanowienia zwołującego zgromadzenie narodowe, koła wyborcze wysłały na tę wielką uroczystość swoich najgorliwszych, najbogatszych i najciekawszych reprezentantów. Przybyło ich więc do Paryża cztery do pięciu tysięcy, nie licząc w to 600 wybranych reprezentantów. Wręcz z nimi przybyły także deputacje pułków, mające otrzymać chorągwie dla armji. Napoleon zalecił ministrom i innym dygnitarzom, trzymać domy swoje otwarte, ściągając do siebie i dobrze przyjmując deputowanych wszelkich barw. Na zebraniach tych słyszano wszędzie jedne i też same zdania, że potrzeba stawić czoło Europie, dążyć do zwycięztwa, gdy walka jest nieuniknioną, ale wraz z chwilą zawarcia pokoju, zrzec się stale chęci podbojów i wznieść u siebie monarchją prawdziwie konstytucyjną, któraby na zewnątrz bezpieczną była od pokuszeń obcych, wewnątrz zaś niezależała od woli jednego człowieka. Głosy te znajdowały swoje echo i u członków rządu też same podzielających zdania, z tą wszelako różnicą, że jedni, jak Carnot, dążenia swoje opierali na niezmiennej dla cesarza wierności, inni zaś, jak Fouché, zaledwie ukryć mogli tajemniczo przez siebie knowane intrygi. Ten ostatni starał się pozyskać najwięcej wyborców, a mianowicie deputowanych Paryzkich, szczególniej ludzi młodych, łatwiejszych do pokierowania, udawał, jak to było wtedy zwyczajem, że nie należy ani myśléć o pogodzeniu się z Burbonami, lubo z drugiej strony, ster rządu w ręku Napoleona zatrważa, i gdyby monarcha ten w swojém poczuciu patrjoty-

cznem skłonił się na przekazanie korony królowi Rzymu, wtedy bez wątpienia wszystko dałoby się pogodzić, czego jest pewnym opierając się na otrzymanych wiadomościach z Wiednia.... Zdania te, ustami ministra policji głoszone, a niebezpieczny wpływ wywierające, nie przynosiły zaszczytu ani jego przezorności, ani należnej wierności; mocarstwa bowiem sprzymierzone, przywiązane niezmiernie do sprawy Burbonów, nie zgodziłyby się na żaden z marzonych przez niego układów, i jeżeli udawały wyłączną niechęć do osoby Napoleona, to jedynie dla tego, aby wraz z nim wytrącić oręż z rąk Francji. Słowa księcia Otrantu obiegając z ust do ust, wzburzały umysły i dochodziły nawet do uszu cesarza, lubo nieco w formie swej złagodzone. Dość to jednakże było dla Napoleona, aby dojrzeć, że w postępowaniu ministra prześwieca zdrada; umiejąc atoli nad sobą panować, oczekiwał pory mniej ważnej dla uszanowania jego władzy, co zresztą było słusznem, bo w żadnym rządzie w sile swej upewnionym, nie ścierpianoby ministra przedstawiającego jako niebezpieczeństwo monarchę któremu służy. Dobry obywatel mógł wprawdzie tak myśleć, zwłaszcza przed wejściem Napoleona do Paryża, jeżeli jednak Fouché miał to przekonanie, to przynajmniej nie powinien był przyjmować teki ministra policji.

Gdyby protokóła z odbytego głosowania za aktem dodatkowym i obiorem reprezentantów były nadesłane do Paryża, sprawdzenie głosów byłoby zaraz nastąpiło, a wtedy obchód zgromadzenia narodowego czyli przyjęcie nowej ustawy, odbyłoby się w dniu 26 Maja i Napoleon po otwarciu izb, mógłby był swobodnie odjechać do armji. A ponieważ zebranie protokółów kilka dni czasu wymagało, cała więc uroczystość do dnia 1 Czerwca odłożoną została. Skutkiem tego Napoleon odroczył otwarcie izb na 3 lub 4 dni później, dzień zaś wyjazdu swego naznaczył na 10 lub 12 Czerwca, tak aby 15 mógł już otwarte rozwinąć działania. W Paryżu naznaczono 87 miejsc na zebrania deputacji kollegji wyborczych, mających zająć się obliczeniem głosów swoich departamentów i wybraniem jednej głównej deputacji, która znów pod przewodnictwem księcia arcykanclerza, obowiązaną była zająć się ogólném sprawdzeniem głosów. Czas na dopełnienie tej czczej formalności naznaczono na ostatnie dni Maja: pory tej Napoleon użył na dopełnienie swoich wojennych przygotowań. W tymże prawie czasie zjechała do Paryża jego matka, wuj kardynał Fesch i brat Hieronim, którym udało się oszukać czujność marynarki angielskiej. Księciu Hieronimowi Napoleon zalecił, aby zapomiawszy o swej dawnej roli króla, przybrał tylko charakter żołnierza; w tym celu powierzył mu dowództwo dywizji 2-go korpusu armji (jenerała Reille), na co książę ten bez wahania zgodził się. W tejże epoce

zjawił się inny członek rodziny, książę Lucjan, który długo unikając łask i przewagi swego brata, wolał przebywać w Rzymie, dopóki ostatnie ciosy rodzinne nie wpłynęły na zmianę jego zamiarów. Dwie pobudki skłoniły go do przybycia do Paryża: chęć złączenia się z narodem i obrona sprawy papiezkiej. Widząc oziębłość serc po przemijającym zapale w dniu 20 Marca, Napoleon przyjął powrót brata z największą radością, a pierwszym tego dowodem były zadawalające rezultata w sprawie Ojca św. Powodowany stałą chęcią utrzymania traktatów z roku 1814, nawet względem nienawistnych sobie panujących, nieubłaganych wrogów swoich, Napoleon tém skłonniejszym był względem monarchy nieszkodliwego, którego kochał mimo prześladowań, który nie był dlań ani wrogiem ani spółzawodnikiem, a którego przewagę moralną łatwo sobie było zjednać na drodze przyjaznych układów. Polecił więc ks. Lucjanowi (co było tylko powtórzeniem pierwotnych instrukcji) zapewnić papieża, że nie było jego zamiarem mieszać się w przyszłości w sprawy duchowne i świeckie Stolicy świętej; że dołoży wszelkich starań, aby zachować posiadłości papiezkie nie wyłączając Legacji, we Francji zaś zapewniał mu swobodę w wykonywaniu władzy duchownej na zasadach konkordatu, co wszystko było dostatecznem do zadowolenia papieża.

Napoleon przeznaczył Lucjanowi na mieszkanie Palais Royale. Pragnął on nawet, aby książę ten wybrany był reprezentantem z Izery, departamentu z całém poświęceniem oddanego sprawie cesarskiej. Jak skoro bowiem Lucjan zostałby członkiem izby deputowanych, Napoleon miał zamiar zrobić go jej prezesem pomnąc jakie było jego zachowanie się w radzie Pięciuset w owym pamiętnym dniu 18-go brumaira.

Tak kiedy Napoleon przed bliskim swoim wyjazdem krząta się około spraw domowych, nagle odbiera ważną wiadomość o wybuchłém powstaniu w Wandei. Wprawdzie książę de Bourbon, za pierwszém ukazaniem się w tych stronach, oziębłego doznał przyjęcia tak, iż nic nie wskórawszy musiał powrócić do Anglji. Następnie Ludwik XVIII wysłał do Gaud w Wandei margrabiego Ludwika de la Rochejaquelein, i temu właśnie udało się obudzić uśpiony zapał starych zwolenników sprawy Burbonów. W taki to sposób Wandea odpowiedziała na dane jej hasło.

Pozostali dawni przewódzcy Wandei, d'Autichamp, Suzannet, Sapinaud, ludzie zbogaceni doświadczeniem, a miarkujący rozsądkiem swój zapał rojalistowski, widząc liczbę włościan znacznie od lat dwudziestu zmniejszoną, ze wstrętem odpychali myśl narażania swych siedzib na nowe klęski i nieszczęścia i wystawiania kraju na wojnę domową, w skut-

kach swych bardzo wątpliwą. Wiedzieli oni, że o ile Wandea mogła zrobić dywersję Napoleonowi w czasie jego zapasów z Europą, o tyle była zbyt słabą w razie gdyby wódz ten zwrócił przeciw niej swój oręż przed wystąpieniem do walki z koalicją europejską. Postanowili więc czekać, dopóki echo dział grzmiących po nad Sambrą, do uszu ich nie doleci.

Lecz byli i zapaleńcy, co ganiąc tę pozorną obawę, pragnęli pośpiechem w działaniu wynagrodzić błąd, jakiego dopuścili się dozwalając odjechać z pomiędzy siebie księciu de Bourbon. Dotknięci wymówkami, przywodząc na pamięć dawne wspomnienia, starzy wodzowie wandejscy zaczęli przebiegać miasta i sioła, obliczać kmieci i siły, dając tém samém dowody swej niezmiennej gorliwości dla sprawy królewskiej. Wpośród takich przygotowań ukazali się wysłańcy margrabiego Ludwika de la Rochejaquelein, brata owego cnej pamięci Henryka de la Rochejaquelein. Mąż ten, jakkolwiek jeszcze nie służył w Wandei, pragnąc utrzymać blask swego imienia, z odwagą biegł w sprawie króla, lubo niestety, roztropność nie wyrównywała innym jego przymiotom. Nieco karabinów i amunicji dostarczyła Anglja z objetnicą nadesłania wkrótce znacznych zapasów broni, prochu, dział i pieniędzy. Z zebranemi na prędce pierwszemi posiłkami, wsiadłszy na statek angielski, wylądował w pobliżu Sables-d'Olonne i o swojém posłannictwie, zamiarach i nadziejach zawiadomił zaraz brata swego Augusta de la Rochejaquelein.

Na tę wiadomość, dawni wodzowie zebrali się zaraz w dniu 11 Maja na wspólną naradę w Chapelle-Basse-Mer, blisko Loary, w majątku p. de Suzannet, następcy owego sławnego Charette'a. Do narady tej należeli: d'Autichamp, Suzannet i August de la Rochejaquelin, trzeci brat tego imienia. Jakkolwiek przewódzcy ci byli za odłożeniem powstania na później, nie mogli przecież powstrzymać się od przeczytania listów margrabiego Ludwika de la Rochejaquelein, zapewniających znaczną pomoc w broni, amunicji, pieniądzach, a nawet w ludziach i donoszących o bliskiém rozpoczęciu kroków nieprzyjacielskich we Flandrji. Postanowiono nareszcie, że dzień 15 Maja będzie chwilą zbrojnego powstania dla całej Wandei. Każdy z nich obowiązywał się dowodzić w kraju, z którym go łączyły związki rodzinne i poprzednia służba. I tak, d'Autichemp miał dowodzić w Anjou, August de la Rochejaquelein w okolicach Bressuire czyli w Bocage, Sapinaud w okolicach zwanych du Centre, to jest, pomiędzy Mortagne-les-Herbiers, Saint-Foulgent i Bourbon-Vendée; nakoniec, Suzannet w Marais. Liczono, że d'Autichamp może zebrać 18 tysięcy chłopów, August de la Rochejaquelein 5 tysięcy, Sapinaud 8 t., Suzannet 25 t., czyli razem 56 tysięcy; rachu-

nek, który jak to bywa w wojnach domowych, zasadza się tylko na przypuszczeniu.

Pomiędzy 11 a 15 Maja przybyli z Ludwikiem de la Rochejaquelein oczekiwani oficerowie, zapowiadając, że wkrótce nadejdzie 14,000 karabinów, mnóstwo ładunków i oddział składający się z 300 angielskich artylerzystów. Za pierwszą tą przesyłką miała wkrótce nastąpić druga o wiele znaczniejsza. Takie wiadomości z ust ludzi wiarogodnych wychodzące, utrwaliły naczelników powstania w ich zamiarach, tak iż wszyscy w dniu umówionym słowa dotrzymali.

Całą noc z dnia 14 na 15 Maja brzmiały tylko dźwięki dzwonów tych nieszczęśliwych wiosek, które przed 25 laty tyle krwi przelały, a same w ruiny się rozpadły, by powstrzymać ów niepokonany prąd rewolucji francuzkiej, który właśnie krwawszym jeszcze uczyniły. Ale i tym razem Wandea nie lepszą obrała drogę, a prawdę mówiąc, czyniła jeszcze gorzej, albowiem występując do walki w sprawie dynastji, zmniejszała o 15 do 20 tysięcy zastęp francuzki na polach Waterloo walczący, a tém samém przykładała rękę do jednej z najstraszliwszych klęsk w dziejach Francji. Biedni ci kmiecie, podniecani już to wspomnieniami osobistemi, już opowiadaniami ojców swoich, posłuszni wezwaniu wodzów, stawili się w swoich parafiach uzbrojeni w furze, kije i kosy. Trzecia ich część zaledwie posiadała lichą broń, a jeszcze mniej prochu i kul. Zapaleńcy wpływali na wahających się używając zachęty, wymówek a nawet i groźby. Obawa otrzymania nazwy tchórzów czyli *błękitnych* działała skutecznie. D'Autichamp, który liczył na zebranie 18 tysięcy, zebrawszy zaledwie 4 do 5 tysięcy, podstąpił pod Chemillé i Cholet, gdzie stały cztery bataljony 15-go i 26-go pułku piechoty, a lubo uznawał ważność zajęcia stanowisk przecinających mu drogę z Anvers do Bourbon-Vendée, roztropność jednakże nie pozwalała mu rzucić się z oddziałem 4 do 5 tysięcy źle uzbrojonych chłopów, przeciw trzem tysiącom linjowego żołnierza. Pozostawiwszy więc kilka oddziałów dla obserwacji, poszedł na Sèvre, pomiędzy Clisson, Tiffauges i Mortagne, a to w chęci złączenia się z Suzannet'em i wspólnego z nim działania.

August de la Rochejaquelein, który dotąd ucierał się tylko z żandarmerją i gwardją narodową, napadł na Bressuire, rozbroił gwardję, zabrał 150 karabinów, a dowiedziawszy się, że brat jego Ludwik podąża z zapasem broni, zwrócił się w tę stronę, aby prędzej tak pożądany posiąść oręż. Widząc jednakże, że ruch ten zagraża mu niebezpieczeństwem, z tyłu bowiem pozostawiał znaczne siły zajmujące Chollet, po-

stanowił śmiało iść naprzód w zamiarze złączenia się z dowódzcą d'Autichamp, by następnie wraz z nim zdobyć to ważne stanowisko.

W tymże czasie, jenerał Delaborde, dowódzca 12-ej, 13-ej i 22-ej dywizji czyli całej Bretanji i Wandei, wydał rozkaz skoncentrowania wojsk swoich, zalecając dowódzcom 45-go i 26-go pułku wyruszyć z Chollet do Bourbon-Vendée dla wzmocnienia sił jenerała Travot, głównego komendanta departamentu Wandei. Już pułk 26-ty był w pochodzie i mijał wioskę Echaubroignes, kiedy w dniu 17 Maja, August de la Rochejaquelein, na czele 2,500 chłopów uderzył nań z tyłu zmierzając ku Chollet. Pułk 26-ty liczący tu zaledwie tysiąc ludzi, wstrzymał się dla obrony wioski Echaubroignes, a przebiwszy się przez zastęp powstańców, zwrócił się ku Chollet by nie dozwolić przecięcia sobie drogi do Bourbon-Vendée. W potyczce tej wojsko straciło 50 ludzi w zabitych i rannych, uczyniwszy dwa razy tyle powstańców niezdolnymi do boju. Ci ostatni walczyli bez porządku, jak kto umiał, ale z zapałem wypływającym z wrodzonej im odwagi i wiary.

August de la Rochejaquelin zmuszony był zatrzymać się, gdyż wojsko jego po każdej potyczce lub marszu rozchodziło się do domów; tym razem więc zatrzymawszy przy sobie 400 do 500 ludzi sprawie poświęconych i najlepiej uzbrojonych, postanowił złączyć się z swoim bratem.

Kiedy się to dzieje, Suzannet wyjechawszy z Maisdon, złączył się z swym oddziałem pomiędzy Machecoul, Clisson, Montaigu i Bourbon-Vendée, zkąd wyruszył na Saint-Léger dla dania pomocy Sapinaud'owi, który z swej strony zajmował się utworzeniem armji środkowej. Przybywszy do Saint-Léger w dniu 16 Maja i powziąwszy wiadomość, że Ludwik de la Rochejaquelein znajduje się z małym oddziałem Anglików na pobrzeżach Saint-Gilles, zwrócił się ku niemu bez straty czasu. Przybył on właśnie w tej chwili, kiedy Ludwik de la Rochejaquelin wysadził na ląd oddział z Marais, który uderzywszy na straże celne i weteranów strzegących brzegów morskich, ułatwił tém samém wylądowanie wojsk w Croix-de-Vic. Ale jakiegoż zawodu doznał Suzannet, widząc owe głośno zapewniane posiłki angielskie! Ani artyllerji, ani pieniędzy i zaledwie 2,000 karabinów w miejsce obiecanych 14 tysięcy: oto cała pomoc jaką przywiózł statek angielski. Anglja w tym razie utwierdzała w tych biednych wieśniakach powzięte już przekonanie, że naród ten wiele obiecując mało dotrzymuje, a przekonanie to wzmacniali bardziej jeszcze owi wysoko nawet tytułowani angielscy wysłańcy. Powstaniu wandejskiemu konieczną była broń i proch, gdyż uzbrojeni w zardzewiałe karabiny lub w kije, potrzebowali dobrej broni do walki, a pieniędzy na żywność. Posiadając gotowiznę, mogli wysyłać

naprzód swoich piekarzy, przysposabiać mięso, a tem samem zapewnić sobie utrzymanie, nie niszcząc wiosek przez które przechodzić im wypadało.

Żołnierze Suzannet'a doznawszy takiego zawodu, nie przestawali narzekać, że ich teraz jak dawniej oszukiwano, że Anglja ma na celu jedynie podniecanie do wojny, aby tem samem przyprowadzić Francję do zguby. Narzekaniom tym zaprzeczał Ludwik de la Rochejaquelein, a zapewnieniem rychłych a znacznych posiłków, zdołał na nowo obudzić wiarę w żołnierzu. Nadciągnął też i Sapinaud, licząc około 2,000 powstańców, podobnie jak chłopi Suzannet'a nieukontentowanych, i wtedy oba ci wodzowie weszli do Bocage, a to w celu uniknienia spotkania się z *błękitnymi*, mogącymi w znacznej sile uderzyć na nich z Nantes i Sables.

Ludwik de la Rochejaquelein, działając w imieniu Ludwika XVIII, przybrał do charakteru reprezentanta królewskiego, tytuł posłannika brytańskiego. Świetność imienia, zapał i męztwo, pomimo niższości wieku i stopnia pomiędzy staremi wodzami wandejskiemi, dopomogły mu silnie do zajęcia stanowiska naczelnego wodza. Krok ten konieczny do zjednoczenia działań wojennych, nie przypadał jednakże do serca wszystkich; jakoż d'Autichamp, jenerał-porucznik, dawne mający zasługi, z niezadowoleniem przyjął podrzędne dla siebie stanowisko pod Ludwikiem de la Rochejaquelein, który był tylko jenerał-majorem i nie znał się na sposobach prowadzenia wojny w Wandei. Ten ostatni napisał do p. d'Autichamp, aby idąc za wzorem swoich spółtowarzyszy broni, poddał się zwierzchności przez króla dla Wandei naznaczonej.

Należało więc zdecydować się co czynić: 2,000 karabinów po wyładowaniu na ląd, rozebrane zostały przez ludność w Marais. Z 800,000 ładunków, połowę przeprowadzono pod eskortą dla oddziału jenerała d'Autichamp, drugą dla oddziału Augusta de la Rochejaquelein. Suzannet połączywszy się z Sapinaud, mieli razem 7 do 8 tysięcy ludzi, nie czekając więc rozejścia się chłopów swoich do domów, postanowili zrobić coś stanowczego. Najpożyteczniejszym do zajęcia punktem było Bourbon-Vendée, stolica departamentu, albo port nadmorski Sables, ważny w razie spodziewanego wylądowania wojsk lub ammunicji. Suzannet, z uwagi na ważność stanowiska, chciał opanować wyspę Noirmoutiers, która dawała bezpieczne schronienie w pośród wandejskich żuław (marais). Wśród takiej niepewności nadeszła wiadomość, że jenerał Travot opuścił Bourbon-Vendée. Zaraz więc postanowiono korzystać z tej nieobecności, by opanować to najgłówniejsze stanowisko lub uderzyć nań w drodze, jeśli tylko siła wojska nie będzie przemagającą.

W tym celu więc powstańcy przybyli w dniu 19 Maja na noc do Aizenay.

Jenerał Travot przyłączywszy oddział wojska z Sables, udał się na czele 1,200 żołnierzy do Saint-Gilles w celu przeszkodzenia dokonywanemu wylądowaniu w Marais. W drodze spotkał zapasy przeznaczone dla Augusta de la Rochejaquelein, część ich zabrał, część zaś doszła do naznaczonego punktu zebrania w Aizenay. Nie zważając na liczbę powstańców i w przekonaniu o nieświadomości militarnego ich pochodu, postanowił nocną porą uderzyć na Wandejczyków w Aizenay. Jakoż w nocy z dnia 19 na 20 uderzywszy na te oddziały powstańcze, w największym znalazł je nieładzie; jedni bowiem po całodziennych trudach spali spokojnie, inni myśleli tylko jak się ocalić. Jenerał Travot z tysiącem ludzi, napadłszy niespodzianie na te 6 czy 7 tysięcy nieszczęśliwych, sprawił okropne w armji ich zamieszanie, 300 do 400 położył lub ranił, reszta idąc w rozsypkę, schroniła się do pobliskiego lasu, a następnie rozeszła do domów, jak to w powodzeniu lub przeciwnościach zwykli byli czynić.

Gdy się to działo, d'Autichamp pozostał na granicach swego powiatu. Dowiedziawszy się, że pułki 15 i 26 cofnęły się do Pont-Barré w kierunku do Angers, zajął Chollet i pozwolił wojsku swemu udać się na spoczynek do domów, które zresztą i bez pozwolenia byłoby też samo zrobiło. August de la Rochejaquelein, zabrawszy szczątki przeznaczonego mu zasiłku broni, złączył się z swoim bratem i wraz z nim zajął okolice Bressuire.

Jakkolwiek wodzowie wandejscy mieli pod sobą zaledwie garstkę ludzi prawdziwie sprawie poświęconych, byli oni wszelako panami prawie całego Boccage, to jest okolicy pomiędzy Chemillé, Chollet i Herbiers, a Bressuire i Machecoul; małe zaś garnizony cesarskie cofnęły się jedne nad Loarę, inne znów ku głównym miastom wewnętrznym, jak Parthenay, Fontenay i Bourbon-Vendée. Dawne męztwo ożywiało jeszcze wprawdzie wieśniaków, wszelako nie było w nich już tego zapału jak niegdyś, ani pośpiechu w działaniu. Owe prawie nic nie znaczące posiłki angielskie zniechęciły ich i obudziły dawne uprzedzenia przeciwko rządowi brytańskiemu. Chcąc oddziałać na ten upadek ducha, Ludwik de la Rochejaquelein zapewniał, że nowe i znaczne zapasy przybędą niebawem z Anglji, lubo zapewnieniom tym lud z trudnością dawał wiarę. Nadto, dawni przewódzcy nie harmonizowali z sobą; d'Autichamp niekontent zawsze z naczelnictwa Ludwika de la Rochejaquelein, a ten znów, z pomocą dawnego oficera cesarstwa, dziś zagorzałego rojalisty, jenerała Canuel, chciał narzucić Wandejczykom organizację wojskową,

którą naród niechętnie przyjmował, ta bowiem pozbawiając go właściwych przymiotów, nie nadawała im barwy armji regularnej. Zamiarem jego było, po zjednoczeniu tych czterech oddziałów wandejskich, przenieść ją całą massą na wybrzeża morskie, by tem łatwiej odbierać oczekiwane z Anglji zasiłki w broni, amunicji i pieniądzach, o których nie przestawał głosić, dla utrzymania odwagi w kmieciach, którym z resztą niepodobna było walczyć bez broni i żywności.

Takieto wypadki zaszły w Wandei w ostatnich dniach miesiąca Maja. Donośność ich wszelako nie zdziwiła i nie zatrwożyła Napoleona, bystrością bowiem swego umysłu przewidywał, że powstanie to nie mając dostatecznych sił do wyjścia po za obręb swego kraju, nie mogło tem samem zrządzać ważnych zawichrzeń w łonie samej Francji. Mimo to wojna wandejska krępowała po części rozwój nakreślonych działań wojennych, gdyż dla powstrzymania rozlewu tego potoku na resztę kraju, potrzeba było trzymać wojsko na pograniczu Wandei. W tym celu więc wypadało uczynić ofiarę z kilku pułków, ofiarę bardzo przykrą w obecnych okolicznościach; wysłał jednakże tyle tylko, ile konieczność tego wymagała mówiąc, że jedna bitwa wygrana w północnej stronie Francji więcej przyczyni się do uspokojenia Wandei, niż zwrócone wszystkie przeciwko niej siły. Życzeniem jego było wysłać na uśmierzenie powstania jenerała Delaborde, lecz ten z powodu choroby, zastąpiony być musiał jenerałem Lamarque. Zanim atoli ten ostatni wyjechał, Napoleon wysłał jenerała Corbineau, którego znana roztropność i energja, dostateczną dawała za nim rękojmią. Pierwszą udzieloną mu instrukcyą było skoncentrowanie wojsk i niedopuszczanie załog do miast które się ich domagały, czego właśnie najwięcej pragnęli szukający w nich schronienia nowonabywcy dóbr narodowych. Zalecił on jenerałowi powtarzać miastom, że one bezpieczeństwa swego w uorganizowaniu gwardji narodowej szukać powinny. Jako punkta zborne naznaczono Angers i Nantes nad Loarą, wewnątrz zaś prowincyi, miasta Bourbon Vendée i Niort. Od czasu opuszczenia krajów podbitych, żandarmerja francuzka była bardzo liczną a głównem jej ogniskiem był Versailles. Napoleon utworzywszy z niej 5 bataljonów pieszych i 3 szwadrony jazdy wysłał ją bezzwłocznie na brzegi Loary. Doświadczony ten żołnierz miał służyć głównie za punkta zborne dla związkowych i gwardji narodowej. Nareszcie potrzeba było przysposobić kolumny ruchome, które wdzierając się w środek kraju stłumiałyby powstanie. Pułki 26-ty i 15-ty cofnęły się do Angers. Napoleon pozostawił im czas do skompletowania i przydał pułk 27-my. W Rochefort stał pułk 43-ci a w Nantes 65-ty. Cesarz polecił wzmocnić je jednym lub dwoma pułkami korpusu jenerała Clausel

i z pułków tych rozkazał sformować 3-cie i 4-te bataljony. Spełniwszy to, kolumny okalające powstańców, miały działać spółśrodkowo i tępić rokoszan, wszędzie gdzieby się tylko ukazali. W wydanych przez siebie rozkazach Napoleon zalecał nie oszczędzać ich. Przy wojsku znajdowały się zarazem sądy wojenne upoważnione do bezzwłocznego karania śmiercią rokoszan ujętych z bronią w ręku. Pałace i zamki przewódzców powstania rozkazał z ziemią zrównać. Tą szybką i straszliwą karą chciał on od razu zniechęcić i przerazić chłopów, którzy w samej rzeczy nie mieli owych z r. 1793 powodów do podnoszenia buntu, wszędzie bowiem szanowano ich wiarę, życie, mienie, oszczędzano w poborze, przywodząc sposób rekrutowania prawie do zera. — Jak skoro Wandea pozna, mówił Napoleon, na co się wystawia, nie wątpię że weźmie całą rzecz na rozwagę i uspokoi się. —Dla osiągnięcia prędszego skutku rozkazał wyruszyć 47-mu pułkowi do Laval, gdzie się objawiały ruchy szuanów, wysłał nadto oddział młodej gwardji, która, jako rozerwa, pozostać miała w Angers pod jenerałem Brayer. Tak więc pomimo chęci osłabienia jak najmniej sił wielkiej armji, niefortunne to powstanie pozbawiło ją czterech lub pięciu pułków, kilku trzecich bataljonów i dywizji młodej gwardji, razem około 20 tysięcy żołnierzy, których tem samem brakło na polu bitwy do przechylenia szali zwycięztwa. Zaiste było to prawdziwem nieszczęściem: rojaliści bowiem służąc swej sprawie, małoznaczące dla niej odnieśli korzyści, sprawę zaś całej Francji pod Waterloo, może sami przyprawili o zgubę!

Obok tych ruchów rajalistowskich Napoleon dopatrzył, że nieprzyjaciele jego gotowali mu jeszcze niepokoje wewnętrzne, które z ciosami zewnątrz nań godzącemi, jego i Francję do zguby przywieść mogły. Żądał więc, aby przedsiebrano surowe środki przeciwko burzycielom spokoju domowego, lecz w tym razie doznał oporu ze strony niektórych ministrów, a mianowicie Fouché'go który dla pozyskania sobie wszelkich stronnictw, zaoszczędzał je bez względu na dążności. Ważne to bardzo zadanie: bo albo trzeba było zezwolić przeciwnikom na wszystko, lub też uciekać się do surowych praw Konwencji i Dyrektorjatu. Napoleon żądał przysposobienia prawa umiarkowanego a silnego, któreby dobitnie określało rozmaite rodzaje występków dotyczących rozniecania wojny domowej lub porozumiewania się z nieprzyjacielem obcym; nadto domagał się, aby prawa te wraz z ustawą finansową przedstawiane były na pierwszem posiedzeniu izb. Zanim jednak to nastąpi żądał, aby rada stanu odszukała w dawnych prawach stosownych przepisów, które nie odznaczając się zbytnią przesadą lub surowością, dałyby się łatwo zastosować. Rozkazał usunąć z kraju zrewoltowanego wszelkie indywidua nie mające

w nim stałego zamieszkania, sporządzić listę tych którzy się z domów swoich wydalili, czyto dla przewodniczenia zebraniom, czy jako przebywający na dworze w Gandawie, i takowych wezwać do powrotu do swoich siedzib, pod zagrożeniem konfiskaty majątku. W Tulonie, a mianowicie w Marsylji, znaleźli sie zagorzalcy podburzający lud do powstania Napoleon kazał niektórych usunąć i zmniejszył gwardję narodową do małej liczby ludzi pewnych, w ręku których można było bez obawy broń pozostawić.— Nie chcę ja odznaczać się srogością, mówił do ministrów, ale chcę rzucić postrach; dziś, kiedy sześćkroć sto tysięcy bagnetów zmierza ku Francji, gdybym obojętnie poglądał na zamachy wewnętrznych nieprzychylnych stronnictw, jestem pewny, ujrzelibyśmy wkrótce zbuntowany Paryż podający rękę armij sprzymierzonych.— Na te słowa ministrowie i p. Fouché odpowiedzieli milczeniem; ten ostatni zaś w duchu postanawiał nie wykonać rozkazów swego władzcy, nie tyle przez poszanowanie surowej legalności, ile dla osiągnienia osobistych korzyści w partji rojalistowskiej. Opłakane to zawsze czasy tych wojen domowych, zwłaszcza, gdy obywatele wspólnéj ojczyzny działają w porozumieniu się z obcym nieprzyjacielem; bo tu obok obawy niepodołania obronie kraju, powstaje jeszcze inna obawa rozminięcia się z zasadami dobrze pojętej wolności.

Mimo to, Napoleon pojmował, że obok środków groźnych są jeszcze inne, których przeciw Wandejczykom użyć należało, a zauważywszy mniejszy w nich zapał jak niegdyś, różność zdań i niejaką chwiejność, postanowił szukać sposobów na drodze polityki.— Szaleni ci Wandejczycy! mawiał Cesarz do swych ministrów. Przez ciąg majego panowania zostawiałem ich w spokoju, nie drażniłem ani jednego z ich przewódzców lub księży, owszem odbudowałem im miasta, ulepszyłem drogi i gościńce, słowem, zrobiłem to na co mi czas moich rządów pozwalał; i oto w nagrodę za to lud ten rzuca się na mnie razem z wrogami reszty Europy! Nie mam srogości w moim charakterze, ścierpieć atoli tego nie podobna, i muszę użyć względem nich ognia i żelaza. Ale na co to wszystko? to jeszcze nie rozstrzygnie kwestji, muszę wystąpić do walki z ich przyjaciołmi anglikami i prusakami, i przechylę szalę losu nie tylko dwóch dynastji, ale nawet całej Europy. Szczęście dla nich, gdy zostanę pokonanym, jeżeli zaś zwycięztwo po mojej stanie stronie, wtedy zawód ich będzie strasznym, wtenczas zarody tych domowych zaburzeń wyrwę z korzeniem i wygluzuję to wszystko, co tych zaślepionych chłopów popycha na wzajemną rzeź dla jakichś szalonych uprzedzeń. Tak więc los Wandei zawisł nie odnich, ale odemnie lub od koalicji. Niechże więc zachowają się spokojnie, niech nie niszczą swoich siół i chat i nie

tracą kwiatu młodzieży dla czczych mamideł, niech rozstrzygnienie sporu śmiertelnym pojedynkiem, pozostawią mojej i nieprzyjacielskiej armji. Wprawdzie w walce tej polegnie jeszcze wielu i najlepszych ludzi; wszelako kilka dni cierpliwości a wszystko się skończy!.. Ty mości książę, mówił zwracając się do Fouché'go, znałeś bliżéj niektórych wodzów wandejskich: niektórzy z nich znajdują się zapewnie w Paryżu, sprowadź więc ich do siebie, przedstaw cały stan rzeczy, wspomnij o zawieszeniu broni, które oszczędzi tyle klęsk dla Francji. Rozejm ten nie będzie długi. Za cztery tygodnie, ceną krwi innych, Wandea wygra lub przegra sprawę. Jeżeli zwycięztwo po mojej będzie stronie, interes wandejczyków weźmie górę, bo wtedy instytucje i prawa moje zapewnią im stokroć większe korzyści, niż je pozyskać mogą od Burbonów, dla których poświęcają się bezużytecznie od lat dwudziestu pięciu!

Tem zawezwaniem księcia Otrantu do zawiązania stosunków z stronnictwami, Napoleon działał zupełnie po jego myśli. Jakoż niebawem Fouché przyzwawszy do siebie panów Malartic, Flavigny i de la Beraudière, polecił im udać się do Wandei z missją rozkrzewiania myśli Napoleona, które minister przedstawiał im sposobem sobie właściwym. — Po co tyle ofiar, mówił Fouché, dla przywrócenia Burbonów i obalenia człowieka, który wam tyle zdziałał dobrego, kiedy egzystencja jego nie dłuższa może nad sześć tygodni? Jesteście tylko igraszką waszych księży i posługujecie dumie swoich wodzów. Oni to prowadzą was na rzeź w swojej, nie w waszej sprawie. Rozumnie działając nie powinniście się w to mieszać; Cesarstwo wkrótce upadnie, a wy pójdziecie pod inne jarzmo, które dla waszego kraju wcale uciążliwem nie będzie. Wiem, że nienawidzicie Napoleona, tak jak i ja go nie znoszę, ale ani wy ani ja nic temu nie poradzimy. Rzuca on się jak szalony na Europę i bez wątpienia w walce tej upadnie, a wtedy my porozumiawszy się z sobą postaramy się o powrót Burbonów i nakreślimy im sposób rządzenia lepszy od poprzedniego. Nie żądam, abyście mieli broń składać lub poddawać się cesarstwu, ale pragnę abyście zawiesili kroki wojenne. Postaram się nawet, aby wojska cesarskie cofnęły się i stanęły na pograniczu kraju powstańczego pod tym jednakże warunkiem, że się zachowacie spokojnie. —

Słowa te wywarły pożądany skutek, boć zresztą, pominąwszy występne pobudki tej ostatniej walki i pozbawienie Francji 20 tysięcy obrońców, cała ta Wandejska wojna domowa była nierozsądną i bezzasadną. Przekonani tą prawdziwą, jakkolwiek cyniczną mową księcia Otrantu, trzej wysłańcy udali się bez zwłoki z zamiarem przedstawienia swoim spółrodakom potrzeby zawieszenia broni z pobudek wyżej wy-

mienionych. Zresztą nie było co ociągać się, zbliżał się bowiem dzień 1-go Czerwca czyli czas przeznaczony na uroczystość Zgromadzenia narodowego, po której Napoleon miał zaraz wyjechać do armji, dla rozstrzygnięcia losu pomiędzy nim a Europą rzuconego.

Już nareszcie spisy głosów za aktem dodatkowym nadesłane zostały, przystąpiono więc do sprawdzania. W dniu 29 i 30 Maja deputacje kollegjów wyborczych, zebrawszy się w naznaczonych im 87-iu miejscach zboru, wzięły się do obliczenia kresek. Po czem, wybrani pięciu członkowie z każdego kollegjum pod przewodnictwem księcia arcykanclerza przystąpili do ogólnego sprawdzenia głosów wszystkich departamentów. Nadto, upoważnieni z ich grona delegowani, obowiązani byli wystosować adres do Cesarza. Delegowani ci w liczbie 400 do 500 członków, zebrawszy się we Środę dnia 31 Maja w pałacu ciała prawodawczego przekonali się, że liczba głosów, nie licząc kilku okręgów z których ilość kresek była jeszcze nieznaną, wynosiła ogółem 1,304,208, z których 1,000,000 za przyjęciem a tylko 4,206 za odrzuceniem aktu dodatkowego. Liczba głosujących za konsulatem dożywotnim wynosiła 3,557,259, za cesarstwem zaś 3,572,329. Liczebna wyższość głosów potwierdzających, w stosunku do negatywnych była tu taż sama, znaczna tylko różnica okazywała się w samych głosujących, co dowodzi, że Francja w r. 1815, wahając się pomiędzy kontr-rewolucją reprezentowaną w Burbonach, a wojną uosobioną w Napoleonie, objawiała ciągłą wątpliwość komu powierzyć miała swoje losy i niepewność swoją objawiała nieobecnością przy wyborach.

Zaraz po sprawdzeniu kresek przystąpiono do adresu. Rozmaite tu przedstawiono wnioski, atoli jeden skreślony przez p. Carion de Nisas z spółudziałem rządu, przyjęty został. Projekt ten uwydatniał energicznie dwie myśli obecnego czasu; postanowienie ze strony narodu prowadzenia walki pod sterem Napoleona, dla zdobycia niepodległości; i rozwój zasad liberalnych po zawarciu pokoju na zasadach monarhji konstytucyjnej. Przytem, gotowość poświęcenia się Napoleonowi, była wyrażona w sposobie nic do życzenia nie zastawiającym. P. Dubois d'Angers, obdarzony silnym głosem, wyznaczony był do odczytania w zgromadzeniu pomienionego adresu.

Główny przedmiot zgromadzenia narodowego, od czasu programu Lyońskiego uległ znacznej zmianie; przedstawienie bowiem wniosków wyborcom co do wprowadzenia nowych instytucji i koronacja króla Rzymskiego w obec jego matki, samem przedstawieniem aktu dodatkowego i odmową Marji Ludwiki, zamieniono na proste sprawdzenie gło-

sów. Dla podniesienia znaczenia tej uroczystości i sprawienia większego wrażenia na publiczności, Napoleon postanowił zarazem rozdać chorągwie pułkom, mającym wyruszyć na północ. Rozdanie chorągwi wojsku przysięgającemu życie swe w obronie ich położyć, mogło wywołać silne wzruszenie w narodzie zebranym na polu Marsowém. Jeszcze w przeddzień tej uroczystości krążyły rozmaite sprzeczne wieści, rozpuszczane, jak się zdaje, przez księcia Otrantu. Niezmordowany ten intrygant marzył zawsze o usunięciu Napoleona, a przyjmując Burbonów w najgorszym tylko razie, dążył głównie do rejencji Marji Ludwiki i panowania króla Rzymu, aby tem samem zapewnić sobie władzę pod sterem kobiety i dziecka. Tajemne rokowania pomiędzy nim a księciem Metternichem, w czem pośredniczył w Bazylei Fleury de Chaboulon, utwierdziły go tem więcej w przekonaniu o swojem znaczeniu i umocniły w widokach usunięcia Napoleona i zastąpienia go Marją Ludwiką i królem Rzymu. Głośno on nawet tu i owdzie rozprawiał, że jeżeli Napoleon pragnie szczęścia swej ojczyzny, powinienby sam ustąpić ze sceny i złożyć koronę na rzecz syna, że ten jeden krok rozbroiłby Europę lub przynajmniej wykazując w tedy bezzasadne jej dążenia, podniósłby w narodzie zapał do rozpaczliwej walki. Sądził że do tej straszliwej ostateczności nigdyby nie przyszło, gdyż prawdopodobnie sama abdykacja Napoleona wytrąciłaby oręż z rąk wojsk europejskich. Na zadawane pytania na czem gruntował te przypuszczenia, Fouché z miną tajemniczą odpowiadał, że skłaniały go do tego silne powody, że nareszcie przyszedł do tego przekonania drogą poufnych porozumień z mocarstwami zagranicznemi. Uroczystość zgromadzenia narodowego, mówił on, jest jedyną sposobnością dla Napoleona do przeświadczenia o swej bezinteressowności i głębokiego zrozumienia polityki. Łatwo pojąć jaki wpływ wywierały tego rodzaju zdania głoszone przez ministra policji, który, lubo nie lubiany, wysoką jednakże miał wziętość. Dla upozorowania atoli rozsiewanych przez siebie projektów, a które łatwo dojść mogły do uszu Napoleona, Fouché sam przedstawił mu plan, jak mówił, bardzo zręcznie obmyślony w tej treści, żeby cesarz zaproponował mocarstwom sprzymierzonym zrzeczenie się tronu pod warunkiem bezzwłocznego zawarcia pokoju, co jeżeli mocarstwa te odrzucą, naród przekonawszy się o złej ich wierze, sam chętnie chwyciłby za broń przeciw wrogom swoim. Podług dowodzeń ks. Otrantu, jeżeli mocarstwa przyjmą jego propozycją, Napoleon zapewniłby tron swemu synowi, sobie chwałę wieczną, spokój i powszechny szacunek; wrazie zaś gdyby monarchowie wniosek ten odrzucili, miałby prawo domagać się od Francji ofiar i poświęcenia.

Napoleon odpychał te pomysły, będące płodem burzliwej głowy i więcej czczej bujności niż trafności zdania dowodzące. Zresztą, nie trudno mu było tak księcia Otrantu jak i innych przekonać, że pomysły te były tylko urojeniem. Europa żądając ofiary z Napoleona, domagała się tem samem od Francji złożenia oręża, który raz do rąk dostawszy, kazałaby jak owi Samnici Rzymianom, przechodzić przez wąwozy Kaudyńskie (furcae Caudinae). Zaiste, jeżeli następstwem abdykacji nie miało być wydanie monarchom osoby Napoleona, co dla Francji byłoby hańbą, dla cesarza zaś nikczemnością, w takim razie Europa musiałaby uważać propozycję tę za komedję na którą koniecznie wzgardą tylko odpowiedzieć należało. Nadto, wydaniem osoby Napoleona, Francja postawiłaby się w stanowisku owych niegdyś Kartagińczyków względem Rzymian, którzy zdawszy im broń i okręty, musieli następnie i samą oddać Kartaginę, czyli, że Europa nie przyjmująca ani Marji Ludwiki ani króla Rzymu, tylko Burbonów, sama, bez żadnej rękojmi wprowadziłaby ich na tron. Wysiłkiem więc tych matactw, byłoby okazanie niepewności i obawy, osłabienie władzy Napoleona w chwili w której on czynami udowodniał, że władza ta silniejszą jest jak nigdy; wreszcie, Francja traciła czas na działania wojenne najdroższy, a nadewszystko, wojsko patrzące tylko w Cesarza, w nim całą nadzieję pokładające, od razu upadłoby na duchu. Takie rozumowania w obec projektów Fouché'go stawione, przekonywały o bezzasadności jego wyrachowań. Mimo to nie przestawał on pomysłów tych wszędzie rozsiewać, głosząc, że tylko taki krok poświęcenia ze strony Napoleona może ocalić Francją, inaczej zaś kraj ten wtrącony zostanie w przepaść zguby. Jedyne więc poświęcenie jakiego żądano od Napoleona, było spokojne spędzenie żywota na wyspie Elbie, ale poświęcenie to wymagało tak wielkiej cnoty, że jej trudno nawet żądać od śmiertelnych: bo w takim razie nie byłoby spółubiegania na świecie, ani też szlachetnych ambicji w sercu człowieka!

Tak usunąwszy zadanie dotyczące abdykacji Napoleona, pozostawało teraz drugie, to jest w jaki sposób Napoleon ukaże się w Zgromadzeniu narodowem; czy jako zwykły jenerał, więcej żołnierz niż cesarz, czy też jako monarcha, całą świetnością tronu otoczony? Wielu liberalistów a na pół republikanów, pragnących posługiwać się Napoleonem tylko dla pozbycia się Burbonów, pragnęli, żeby Napoleon ukazał się w Zgromadzeniu narodowem jako żołnierz. Przeciwnie, zagorzali zwolennicy władzy, wrzeszczący na przychylanie się Napoleona ku dążnościom liberalnych, nie przestawali powtarzać, że cesarz tylko opierał się na rewolucjonistach, że zatem lepiej mu było pozostać na Elbie, niż wracać po to, aby się zrobić ich niewolnikiem. Na jedne i drugie wymagania

Napoleon niewiele co zważał, bolało go jednak, że niektórzy uważali go jako upadłym w znaczeniu, jako narzędzie w ręku motłochu, dla tego jedynie, że postanowił rządzić w warunkach monarchy konstytucyjnego. Jakkolwiek mało przykładał wagi do słów stronników władzy cesarskiej zawistnych, nie chciał jednakże dodawać materji do tych złośliwych uwag i ukazywać się jakby złożony z tronu, przed zgromadzeniem zebranem z różnych stron Francji. Postanowił więc wystąpić przed zgromadzeniem Narodowem jak na koronację, czyli w całej okazałości. Nie było to w prawdzie stosownem, lecz los jego zależał głównie od jednej bitwy w Flandrji a nie od wrażeń wywoływanych czczem widowiskiem, Napoleon jednak tym razem błędnie działał, bo kto potrzebuje poparcia od przyjaciół wolności, tego nawet małemi rzeczami nie należy odstręczać. Mimo to, mało ważąc tę różność opinji, Napoleon w dniu 1 Czerwca ukazał się pośród Zgromadzenia narodowego w sukni jedwabnej, w berecie z pióropuszem, w płaszczu cesarskim, w powozie ciągnionym przez ośm koni, poprzedzany książętami krwi z jadącymi obok marszałkami. Pomiędzy ostatnimi jechał także marszałek Ney, niewidziany już od miesiąca. Nie mogąc powściągnąć się w swem niezadowoleniu, Napoleon rzekł zwracając się ku niemu: myślałem że i pan także wyemigrowałeś! — W takim orszaku cesarz przejechał ogród Tuileries, pola Elizejskie, most Jena do pola Marsowego, w pośród rozciekawionych tłumów ludności, witającej go dość ochoczo, w duchu jednak niespokojnej. Jeden bok pola marsowego zajmowało 25,000 gwardji narodowej Paryzkiej, drugi 25,000 gwardji cesarskiej i 6-go korpusu oczekujących tylko końca uroczystości, aby wyruszyć w pole. Wojsko to powitało cesarza z zapałem; okrzyki zaś gwardji cesarskiej i 6-go korpusu dochodziły do szaleństwa. Trzeba jednakże przyznać, że te namiętne powitania nie były wyrazem poświęcenia się dla rewolucji, ale raczej oznaką gotowości poniesienia życia i krwi za sprawę Francji.

Napoleon okrążywszy gmach szkoły wojskowéj, wjechał do niej tylną bramą. Wprowadzony na pierwsze piętro, zajął estradę przeznaczoną na uroczystość. Było to półkole zbudowane na zewnątrz, opierające się obu krańcami o szkołę wojskową, środkiem zaś zwrócone na pole Marsowe. Tron cesarski przypierał do ścian szkoły wojskowej, z prawej zaś i z lewej strony rozwijał się amfiteatr półkulisty. Wprost tej estrady wznosił się ołtarz, po za którym pozostawiona luka dozwalała widzieć pole Marsowe całe lśniące bagnetami. Wzniesienie urządzone po za ołtarzem przeznaczone było na rozdawanie sztandarów:

wzniesienie to łączyło się z polem Marsowém długiemi wschodami w wspaniałe przybranemi trofea.

Napoleon wszedłszy z całém swém otoczeniem, zasiadł na tronie, przyjęty grzmiącym okrzykiem: *Niech żyje cesarz!* Obok niego zasiedli bracia na taboretach; dalej zaś nieco wyżej zajęła miejsce matka cesarza i siostry w trybunie przytykającej do okien szkoły wojskowej. Po lewej i prawej stronie, na stopniach amfiteatru zasiadły porządkiem starszeństwa ciała państwa, władze cywilne i wojskowe, magistratura, reprezentanci świeżo wybrani, deputacje kollegjów wyborczych i nakoniec wybrańcy z pułków do przyjęcia chorągwi. Całe to zebranie liczyło 9 do 10 tysięcy osób. Ksiądz Barral, arcybiskup z Tours, otoczony duchowieństwem, zaczął przy ołtarzu odprawiać mszę, w około zaś niezmiernego pola Marsowego stało 50,000 wojska i gwardji i 100 armat. Nigdy jeszcze Paryż nie cieszył się tak wspaniałém widowiskiem. Zbywało tylko na jedném uczuciu, koniecznem do podniesienia ducha, a tém jest zupełne zadowolenie. Przyjęcie cesarza ze strony reprezentantów i deputowanych armji było pełne zapału, atoli w okrzykach ich objawiało się bardziej żądanie niż nadzieja. Piękna twarz Napoleona, otoczona pióropuszem, była poważna, ale jakimś powleczona smutkiem. Napróżno spojrzenia wszystkich szukały obok niego jego małżonki i syna, których nieubłagana wola Europy od łona jego oderwały. W miejsce żony i syna widziano braci, a widok ich przywodził na myśl niefortunne dla wielu tronów wojny; jeden tylko Lucjan, nigdy nie sięgający po koronę, chętnie był widziany. Niektórzy z obecnych przyganiali tej niezwykłej pompie; większa zaś część żywiła w sobie myśli smutne, jakie jej grożące niebezpieczeństwo kraju nastręczało. Wojsko wydające od czasu do czasu konwulsyjne *Vive l'Empereur!* w swoim szlachetnym zapale patrjotyzmu, unikało wpływu ogólnej posępności. Słowem, widok tej sceny był widokiem przygotowań do śmiertelnego pojedynku dwóch indywiduów: narodu i świata.

Uroczystość rozpoczęła się najprzód modłami o błogosławieństwo niebios dla wzniesionego, Bóg wié na jak długo, tronu i dla narodu u stóp ołtarza kornie klęczącego. Po mszy i odśpiewaniu *Te Deum*, deputacje wyborcze w liczbie około 500, z księciem arcykanclerzem na czele, zajęły stopnie tronu. Jeden z członków, wyznaczony do odczytania adresu, silnym a dźwięcznym wypowiedział go głosem. Poświęcenie bez granic dla cesarza i wolności, możliwy pokój od Europy, wojna zacięta w razie przeciwnym, taka była treść mowy, treść tłómacząca życzenia tych wszystkich, którzy pragnęli lub dopomagali do powrotu Napoleona.— Zebrani, (słowa mówcy), ze wszystkich stron cesarstwa około tego stołu

prawa, na którym życzenia ludu wypisać mamy, jako tłomacze woli Francji, czujemy się w obowiązku wypowiedzieć naczelnikowi narodu, w obliczu całej Europy, czego naród po nim, i czego wzajemnie on od narodu oczekiwać winien.. «Najjaśniejszy Panie, z jakich powodów ci monarchowie w tak wojowniczym zastępie ku nam zmierzają? Czém daliśmy im pochop do tego najazdu? Czy od chwili zawarcia pokoju naruszyliśmy traktaty?.. Zamknięci w granicach niezakreślonych naturą, nie przekraczaliśmy ich przez szacunek dla traktatów. Czegóż więc żądają od nas? Nie zezwalają na króla którego my pragniemy, a my wzajem nie życzymy sobie tego, którego oni chcą nam narzucić. Chcą ciebie z pomiędzy nas wykluczyć, ciebie, który tyle razy byłeś panem ich stolic i coś ich w swej szlachetności umacniał na tronach. Zawziętość wrogów podwaja naszą miłość ku tobie. Gdyby z pośród nas wyrywano najmniej znanego obywatela, to i wtedy obowiązkiem naszym byłoby bronić go z tym samym zapałem, jako osłonionego tarczą monarchji francuzkiej.

Żądają od nas rękojmi? Nowe instytucje w połączeniu z wolą ludu i twoją nie są dostateczną? Chcą nas pozbawić ciebie i narzucić władzców których ani my nie rozumiemy, ani wzajemnie oni dążeń naszych nie pojmują. Chwilowe ich rządy zniszczyły do reszty złudzenia z imieniem ich wiążące się. Oni nie chcieli uwierzyć w nasze przysięgi, my wzajemnie w ich objetnice. Feudalizm i przywileje oto widoczny przedmiot ich myśli. Miljon urzędników oddanych od lat dwudziestu pięciu zasadom z r. 1789, większość światłych obywateli zasadom tym jawnie hołdująca, obywatele z łona których wybraliśmy dziś reprezentantów, pięćset tysięczna armja stanowiąca potęgę i sławę naszą, i 6 miljonów właścicieli do godności obywatelstwa podniesionych, nie stanowią Francji Burbonów dążących do panowania nad nami z garstką przywilei już od lat 25 potępionych lub zapomianych. Tron ich obcą bronią podparty i tumanem przestarzałych błędów otoczony, runął przed tobą Najjaśniejszy Panie, bo ty nam z zakątka swego przyniosłeś prawdziwą wolność i chwałę. Czyż sam ten tryumfalny pochód z Cannes do Paryża nie mógł otworzyć im oczu? Jestże w dziejach ludów scena bardziej narodowa? Tryumf ten osiągnięty bez rozlewu kropli krwi dostatecznym był do wywiedzenia z błędu naszych wrogów. A więc, Najjaśniejszy Panie, jako bohater-założyciel śmiało domagaj się od nas wszystkiego, czego tylko oczekiwać można od narodu wiernego i obstającego silnie za utrzymaniem swobód wewnątrz, a zapewnieniem niepodległości zewnątrz swej ojczyzny.

Polegając na danych przez ciebie zapewnieniach, wybrańcy nasi idą przejrzeć z całą rozwagą i dojrzałością nasze prawa, by zastosować je do ustawy konstytucyjnej; oby nas tylko obce mocarstwa zrozumiały!

Jeżeli przyjmą podane im warunki pokoju, naród francuzki wtedy, w twoich ojcowskich, silnych i mądrych rządach szukać będzie pociechy z strat dla pozyskania tego pokoju poniesionych; jeżeli zaś przeciwnie dadzą nam do wyboru wojnę lub hańbę, wtedy naród powstanie cały, aby cię uwolnić od zobowiązań zbyt może umiarkowanych, jakie im ofiarowałeś dla oszczędzenia nowych rozterk Europie. Każdy Francuz jest żołnierzem; orły nasze powiodą nas do zwycięztw, a nieprzyjaciele liczący na powaśnienie, pożałują wkrótce niewczesnego nas wyzwania.«

Mowa ta, którą w głównych tylko zarysach skreśliliśmy, gorąco i donośnie oddana, wzruszyła obecnych i mimo owej posępności umysły zalegającej, żywe wywołała oklaski.

Następnie arcykanclerz objawiwszy rezultat głosów, który, jak już wyżej powiedzieliśmy, okazał 1,300,000 kresek za, a 4,206 przeciw, ogłosił akt dodatkowy jako przyjęty przez naród francuzki. Akt ten podniesiony do stóp tronu, Napoleon stwierdził podpisem, a następnie zabrał mowę skreśloną z siłą myśli i stylu jemu tylko właściwą.

«Panowie posłowie! panowie deputowani wojsk lądowych i morskich!

«Cesarz, konsul czy żołnierz, wszystko otrzymałem od mego narodu. W szczęściu czy przeciwnościach, na polu walki, w radzie, na tronie czy na wygnaniu, Francja była zawsze jedynym przedmiotem moich myśli i czynów.

«Jak ów niegdyś król Ateński, poświęciłem się dla mego ludu w nadziei, że zachowam Francji jej całość, honor i prawa. Patrząc z oburzeniem, jak te święte, dwudziesto-pięcio letniemi zwycięztwy nabyte prawa, w niepamięć i zagładę idą, uznałem za konieczne wrócić na tron zawsze mi drogi, na to palladium niepodległości, honoru i praw narodu.

«Francuzi! powracając przez rozmaite prowincje cesarstwa do stolicy wśród uniesień ludu, liczyłem na długi pokój, wiedząc, że narody związane są traktatami przez rządy ich zawartemi. Myśl moją zajmowało jedynie wynalezienie środków do utrwalenia wolności mocą konstytucji zgodnej z wolą i interesem narodu. W tym celu zwołałem zgromadzenie narodowe.

«Niebawem dowiedziałem się, że monarchowie zaparłszy się wszelkich zasad, podeptawszy opinię i najdroższe interesa ludów, wyzywają nas do walki. Zamiary ich dążą do powiększenia Niderlandów, do utworzenia im przedmurza z naszych twierdz północnych, wreszcie do usunięcia rozdzielających je niesnasek rozszarpaniem Lotaryngji i Alzacji. Taki stan rzeczy nakazywał gotować się do wojny.

«Przed wstąpieniem atoli w niepewne szranki boju, pierwsze moje starania zwróciłem do nadania ustawy narodowi, i naród przyjął przedstawiony mu akt dodatkowy.

«Francuzi! jestem przekonany, że gdy najeźdzcy zostaną odparci i Europa przekona się jak należy uszanować prawa i swobody 25-ciu miljonów ludu, prawo to święte, kartą konstytucyjną zawarowane, zjednoczy w sobie wszystkie dotąd rozproszone ustawy nasze.

»Francuzi! powrócicie wkrótce w domowe wasze ogniska. Powiedzcie tam waszym spół-obywatelom, że jeżeli będziemy postępować w zgodzie i wytrwałości, wyjdziemy zwycięzko z walki wielkiego ludu z jego ciemiężcami, że przyszłe pokolenia surowo kroki nasze sądzić będą, że wreszcie naród tracący niepodległość, wszystko z nią traci. Powiedzcie im, że królowie których ja na tron wyniosłem i ci którzy mnie utrzymanie tronów swoich zawdzięczają, którzy zresztą w czasach mojej pomyślności ubiegali się o związek ze mną i opiekę ludu francuzkiego, że dziś, mówię, królowie ci ciosy swoje ku mnie obrócili. Gdyby tu tylko szło o mnie samego, nie o wspólną naszą ojczyznę, oddałbym siebie na pastwę ich zawziętości. Powiedzcie jeszcze swoim spółbraciom, że dopóki Francuzi zachowają ku mnie miłość, której już tyle dali mi dowodów, szalone zapędy naszych wrogów pozostaną bezsilne.

»Francuzi! wola moja jest wolą ludu; prawo moje waszém prawem; mój honor, sława i szczęście nie mogą być inne, jak honorem, sławą i szczęściem całej Francji!»

Mowa ta wywołała żywe oklaski. W tej chwili arcybiskup z Bourges, w charakterze wielkiego jałmużnika, przedstawiwszy Napoleonowi księgę ewangelji, odebrał od niego przysięgę na zachowanie konstytucji cesarstwa. Następnie książę arcykanclerz wykonał pierwszy przysięgę na wierność. *Przysięgamy!* zabrzmiały tysiączne głosy i oklaski, wśród których mieszały się okrzyki: *Niech żyje cesarz!* i gdzie niegdzie: *Niech żyje cesarzowa!* Ostatni ten okrzyk niepowtórzony, sprawił niejakie zakłopotanie, nie wiedziano bowiem, czy należy objawiać uniesienia w nieobecności tej, która właśnie powinna była pośpieszyć z synem na obchód tej uroczystości, a która nie miała ku temu chęci lub odwagi. Chwilowe to milczenie przerwały deputacje wojska, które z podniesionemi pałaszami w górę wołało: *Niech żyje cesarzowa! Niech żyje król Rzymu! pójdziemy po nich!*

Gdy się ta pierwsza część ceremonji ukończyła, Napoleon zdjąwszy z siebie płaszcz cesarski udał się na wzniesienie przeznaczone do rozdania sztandarów wojskowych. Widok to był wspaniały: wielkość bowiem ożywiających uczuć równała się wspaniałości miejsca. Obok cesarza

stanęli: minister spraw wewnętrznych z chorągwią gwardji narodowej paryzkiej, minister wojny z chorągwią pierwszego pułku armji i minister marynarki z chorągwią pierwszego korpusu floty; na nieskończenie zaś licznych stopniach estrady stało mnóstwo oficerów z chorągwiami gwardji narodowej armji i deputacje wyznaczone do ich przyjęcia. Nareszcie na wprost wzniesienia kilką szeregami stało 50 tysięcy wojska i 100 dział, dalej zaś massy ludu, prawie cały Paryż. Napoleon zbliżywszy się do pierwszych stopni, poniżej których stały oddziały pierwszych korpusów, rzekł biorąc za sztandar: Żołnierze gwardji narodowej paryzkiej i gwardji cesarskiej! oddaję wam orła w barwach narodowych; przysięgnijcie, że w jego obronie gotowi jesteście położyć życie w walce z wrogami ojczyzny i tronu!—Przysięgamy! przysięgamy! zagrzmiały tysiące głosów.—Żołnierze gwardji narodowej, mówił dalej, czy przysięgacie nie ścierpieć, aby nieprzyjaciel kalał na nowo stolicę wielkiego narodu?—Przysięgamy! wołały z zupełną wiarą gwardje narodowe paryzkie.—A wy żołnierze gwardji cesarskiej, czy przysięgacie, że w mającej rozpocząć się walce przeniesiecie zaszczytny zgon nad dopuszczenie, aby wrogowie dyktowali prawa naszej ojczyźnie?—Przysięgamy! w uniesieniu zawołała gwardja, która niebawem miała dotrzymać tej przysięgi na polach pod Waterloo i stwierdzić ją, niestety! nie zwycięztwem lecz śmiercią! Po tém krótkiém przemówieniu z zapałem przyjętém, przystępowały w ścieśnionych szeregach deputacje armji po odbiór swych chorągwi. Ożywiony tą sceną Napoleon, przywodząc sobie na myśl liczne bitwy w których pułki te odznaczyły się, stosownemi do każdego słowy, nowe w nich wywoływał wzruszenia. Scena ta aczkolwiek długa, głębokie na widzach sprawiała wrażenie. Dzień zbliżający się do schyłku nie dozwolił rozdania chorągwi gwardji narodowej deputacjom kollegji wyborczych, pozostałą więc tę część uroczystości do następnego dnia odłożono. Następnie wojska, przy dźwięku trąb i bębnów, przeciągały krokiem przyśpieszonym z okrzykami: *Niech żyje cesarz!* powtarzanemi z zapałem przez armję i gwardję narodową, która rozpłomieniona témże uczuciem poszła za prądem ogólnych uniesień.

Kiedy część tej uroczystości, wspaniałej zaiste dla tych którzy w niej uczestniczyli, odbywała się na polu marsowém, w tyle nieco w miejscu zebrania władz państwa, które stojąc zdala od tego widowiska wzruszeń jego podzielać nie mogły, objawiał się jakiś niepokój, jakaś różność zdań i głębokie zakłopotanie umysłów. Liberalni dążący do republikanizmu upatrywali w całym tym uroczystym obchodzie wiele podobieństwa do dawnego cesarstwa; ich zaś przeciwnicy porównywali ob-

c ód ten z rewolucją. Wielu deputowanych z dobrą wiarą przybyłych do Paryża, pragnąc zbliżyć się do cesarza, niechętnie widzieli tę okazałość uroczystości usuwającą ich od jego osoby. Tak więc kiedy w ognisku tego obchodu uczucie narodowe podnosiło serca, w dali nieco po za estradą niepewność istotnego stanu rzeczy rozdzielała i zasmucała serca obecnych. Nie była to już federacja z r. 1790, w której nieznająca swego położenia Francja, unosiła się i jednoczyła; był to raczej przedświt wielkiej rewolucji w której naród z całą świadomością popełnionych błędów, zrozpaczony, zawiedziony, z uczuć ożywiających go w r. 1789 zachował tylko męztwo w dwudziesto-pięcio letnich wojnach nabyte. Niebaczny Fouché sprzyjając skrycie niesnaskom, których sam wkrótce miał się stać ofiarą, korzystając z przerwy w tej uroczystości, rzekł z cicha do królowej Hortensji: Cesarz pominął najlepszą sposobność zrzeczenia się korony na rzecz swego syna, czem byłby bez wątpienia prawdziwą zyskał sławę... Radziłem to, ale cóż, kiedy żadnych rad nie przyjmuje...—Tego rodzaju zdania rzucały rozbrat w ogólném dążeniu narodu do obrony Francji i wolności pod wodzą Napoleona, którego powrotu naród ten pragnął i który sam jeden zdolny był poprowadzić go do boju.

Ponieważ obchód rozdania chorągwi nie był jeszcze ukończony, Napoleon postanowił zebrać deputowanych w wielkiej galerji Luwru, gdzie uszykowani w dwa szeregi, mogliby się pomieścić obok deputowanych z armji. Niedzielę dnia 4 Czerwca przeznaczono na tę ceremonją, otwarcie zaś izb miało nastąpić w dniu 5 lub 6 Czerwca, to jest w Poniedziałek lub Wtorek, stosownie do czasu jakiego zebranie ich wymagało. Napoleon liczył na to, że do przyszłego Poniedziałku czyli do dnia 12 Czerwca izby rozpoczną swoje prace, co dozwoli mu udać się na pola Flandrji dla rozstrzygnienia swego i całej Francji losu. W tym razie zdania dzieliły się: jedni byli za tem, aby nie działając zaczepnie, oczekiwać na nieprzyjaciela pomiędzy granicami a stolicą, inni przeciwnie, zapatrując się ze stanowiska militarnego, i wiedząc że sami tylko Anglicy stoją po nad granicami państwa, radzili uderzyć na nich i zgnieść jednym ciosem. Napoleon słuchał tych zdań, rzadko na nie odpowiadając, nie chcąc odkrywać swoich zamiarów, śledził ruchy nieprzyjaciół, i obliczał, by dopatrzywszy najprzyjaźniejszą chwilę uderzyć przed wzajemném ich złączeniem się. Chwilę tę w przypuszczeniu naznaczał około 15 Czerwca, w którym to dniu miał nadzieję zebrać siły skuteczność działania zapewniające. Kiedy hrabia Lobau nalegał na cesarza na przyśpieszenie boju; Zaczekaj, odrzekł, jak tylko zbiorę sto tysięcy ludzi, zobaczysz jak ich użyję!—Tymczasem wszystko niejako upewniało,

że w połowie Czerwca, cesarz będzie miał do rozporządzenia 150 tysięcy wojska, a ponieważ wyjazd swój naznaczył na dzień 12 Czerwca, pragnął więc aby przed tém izby rozpoczęły swoje posiedzenia.

Postanowieniem cesarskiém, dzień 3 Czerwca naznaczono na zebranie się izb, a to w ten sposób, że dzień 3, 4 i 5 Czerwca reprezentanci obrocić mogli na sprawdzenie legalności członków, na wybór prezesa, vice-prezesa i sekretarzy i ukonstytuowanie się przed posiedzeniem cesarskiém, co wszystko powinno było poprzedzić sesję, którą sam cesarz miał zagaić. Szczególne osobiste pobudki skłaniały Napoleona do oznaczenia powyższego porządku. Dawniej już powiedzieliśmy, że życzeniem jego było mianować Lucjana prezydentem izby deputowanych, czego aby dopiąć, polecił wybrać go na deputowanego z departamentu Izery, co też bez trudności dało się przeprowadzić. Oczekiwał więc na rezultat głosowania izby deputowanych, przed ogłoszeniem listy parów, na której zamieściłby ks. Lucjana, w razie gdyby go ominęła prezydentura w drugiej izbie.

Zamiary Napoleona trudne atoli były do wykonania. Przeszło 600 członków izby deputowanych, których większą część składali dawni urzędnicy, wojskowi, posiadacze dóbr narodowych, zacni rewolucjoniści, najlepszemi ożywieni chęciami dla Napoleona, pragnęli utrzymania go pod tarczą praw konstytucyjnych. Akt dodatkowy nie przypadał im do smaku, nie dla tego, aby brzmienie jego nie było dla nich zadawalniającém, ale raczej, że zanadto wiązał drugie cesarstwo z pierwszém i że im prawie nic do działania nie zostawiał. Mimo to, myśl przekształcenia ustawy i zastosowania jej do celów aktem dodatkowym wskazanych, a którą to myśl rzucił sam Napoleon w mowie mianej na zgromadzeniu narodowém, upewniając ich o samej istocie rzeczy, nie dozwalała stawiać jakiej bądź opozycji. Wybrani pod wpływem ogólnej nieufności względem cesarskiego despotyzmu, całe swoje dążenia zwracali do okazania swej niezawisłości. Każda władza czy to pojedynczego człowieka, czy korporacji, ma zawsze swoje słabości; izba deputowanych miała ją także w obawie okazania się zbyt uległą. Chciano więc aby Napoleon przemawiał jako trybun, gdy tymczasem należało przeciwnie hamować jego dawne przywyknienia, a jednoczyć się tam, gdzie szło o ocalenie Francji i zasad rewolucji. Wśród takich to drażliwych okoliczności, izba deputowanych mało była usposobioną do wyboru Lucjana na swego prezydenta; takie bowiem nagłe przywdzianie barw cesarskich było w jej przekonaniu uwłaczającém. Dodajmy nadto, że niedoświadczenie członków z prowincji przybyłych, ich nieznajomość Paryża, ludzi i zabiegów, wiele na osłabienie dążeń tych wpływały. Nie chcieli Lucjana

dla tego że był bratem cesarskim, a nie wiedzieli kogo w jego miejsce wybrać. Niektorzy przechylając się za wolnością zbliżoną do zasad republikańskich, pragnęli mieć Lafayette'a, który jakkolwiek zadowolony z aktu dodatkowego, nie zupełnie wierzył w Napoleona, lecz z drugiej strony rewolucjoniści zarzucali mu okazywaną zawsze niejaką skłonność do Burbonów. Dla jednych więc wydawał on się zbyt gorliwym, dla drugich za słabym stronnikiem rewolucji, co dozwalało wnosić, że nie pozyska większości głosów. Inny kandydat, p. Lanjuinais, pamiętny z oporu stawianego Górze w czasach Konwencji, a Napoleonowi za cesarstwa, zdawał się być odpowiednim tym podwójnym potrzebom czasu. P. Lanjuinais więc miał za sobą widoki wyboru na prezydenta izby deputowanych.

Wolność za późno nadana wiedzie za sobą to złe, że zastosowanie jej w trudnych okolicznościach jest zawsze wątpliwem, bo albo władza obawia się wolności, albo przeciwnie ona lęka się władzy, z czego zamiast zjednoczenia się dla wspólnego dobra, walka wynika. Zgromadzenie narodowe w braku należytego doświadczenia dopuszczało się błędu popieraniem rzeczy niepodobnej do spełnienia, czyli wyboru Lucjana na prezydenta, gdy tymczasem zręczniej postępując byłoby skłoniło ks. Lucjana do zrzeczenia się i przeprowadzenia bez trudności kandydatury pana Lanjuinais, która z żadnej strony nie była drażliwą.

Izba deputowanych zwołana na Sobotę dnia 3 Czerwca, wydawszy przedwstępne rozporządzenia, podzieliła się na komissje do sprawdzenia wyborów i potwierdziła tych, których wybór nie nastręczał żadnych trudności. Komissja ta, właśnie przy sprawdzaniu wyborów z departamentu Izery, nie powodując się żadną złośliwoscią, zauważyła, że książę Lucjan jako deputowany, posunięty zapewnie będzie do godności para, o czem należałoby wiedzieć przed ostatecznem jego lub jego zastępcy p. Duchesne zatwierdzeniem. Przyjęcie więc Lucjana izba odroczyła do czasu ogłoszenie listy parów. Kwestja ta w pierwszej chwili nie była wynikiem jakiejbądź złośliwości, wkrótce atoli zaczęto sobie szeptać do ucha, że Napoleon chcąc mieć brata prezesem izby, ociągał się umyślnie z ogłoszeniem listy parów, po czem naturalnie rozmaite złośliwe czyniono dodatki. Jeden z członków uczynił wniosek, że należy przystąpić w dniu następnym do wybrania biura, do czego konieczną jest znajomość listy parów, aby za nimi bezpotrzebnie nie dawano kresek. Ze strony rządu nic na to nie odpowiedziano, co pozostawiając izby w niepewności, wywołać mogło wkrótce nieukontentowanie. Pomimo więc zaproszenia izby do wzięcia udziału w uroczystości w Luwrze w dniu 4 Czerwca do-

pełnić się mającej, postanowiono odbyć posiedzenie w pałacu Ciała prawodawczego, aby tém samém działania swoje przyśpieszyć.

Nazajutrz, to jest dnia 4 Czerwca w Niedzielę, kiedy deputacje obecne na zgromadzeniu narodowém zebrały się w Luwrze, deputowani udali się do pałacu ciała prawodawczego w zamiarze prowadzenia dalej prac rozpoczętych. Przystąpiono najprzód do roztrząsania podniesionej w dniu poprzednim kwestji dotyczącej wyboru księcia Lucjana. Jeden z członków oświadczył się za odroczeniem wyboru z tej zasady, że ks. Lucjan będąc z prawa parem nie mógł być zarazem deputowanym. Dla usunięcia atoli wszelkich powodów do nieporozumień, izba wniosek ten odrzuciła. W tej chwili minister spraw wewnętrznych Carnot, nadesłał list adresowany do tymczasowego prezesa zawiadamiający, że ostateczne ogłoszenie listy parów nastąpi dopiero po ukonstytuowaniu się izby reprezentantów. Krok ten uczyniony w celu zbadania usposobienia izby, zbyt niejako absolutny, wywołał oznaki niezadowolenia. Jakoż jeden z członków p. Dupin zawołał: A gdybyśmy też wzajemnie oświadczyli, że i my składu swego nie objawiemy wpierw aż po ukonstytuowaniu się izby parów, cóżby nam na to odpowiedziano?... Ogólny szmer przerwał tę uwagę, która jakkolwiek uzasadniona, zbyt jawnie jednakże wyrażała złe usposobienie izby, po czem przystąpiono do głosowania za wyborem prezesa nie dotykając wyboru z departamentu Izery. Odroczeniem więc przyjęcia księcia Lucjana, niejako zupełnie go usuwano, jakoż nie otrzymał ani jednej nawet kreski, głosy bowiem rozdzieliły się pomiędzy pp. Lanjuinais, Lafayette, Flaugergues i kilku innych. I tak, Lanjuinais otrzymał głosów 189, Lafayette 68, Flaugergues 74, Merlin 41, Dupont de l'Eure 29. Cyfry te dostatecznie dawały poznać usposobienie izby. Wyborem tym izba chciała dać dowód swej niezależności i dla tego przechyliła się za p. Lanjuinais, który stawając niegdyś w opozycji z senatem, nie był przecież nieprzyjacielem cesarza. A ponieważ Lanjuinais, pomimo największej liczby głosów, ogólnej jej większości nie otrzymał, przystąpiono więc do powtórnego głosowania, w którém on pozyskał kresek 277, Lafayette 73, Flaugergues 58. Prezesem więc został Lanjuinais z zastrzeżeniem uzyskania potwierdzenia cesarskiego, jak tego wymagał akt dodatkowy.

Podczas tego głosowania w pałacu ciała prawodawczego, druga ceremonja rozdawania chorągwi dopełniała się w Luwrze. Cesarz po przyjęciu deputacji i adresów, przeszedł do galerji zapełnionej arcydziełami malarstwa, przez królów Francji dla jej zaszczytu i nauki od wielu wieków nagromadzonemi. Po jednej stronie stały tu deputacje kollegjów wyborczych z sztandarami dla gwardji narodowej przeznaczonemi, po

drugiej deputacje od armji. Galerja ta, najdłuższa z znanych w Europie, przepełniona zaszczytnemi chorągwiami i mogąca pomieścić 10 tysięcy osób, nie zwykły przedstawiała widok. Nowa ta uroczystość przeznaczona była wyłącznie dla członków kollegji wyborczych; Napoleon, którego oni z bliska pragnęli widzieć i słyszeć, przemawiał do nich stosownie do okoliczności, czem ich zupełnie zadowolnił. Ów despota jakim go sobie wyobrażali, okazał się przystępnym, popularnym, chętnie skłaniającym ucho na głos swych poddanych. Przybywszy następnie do obszernego salonu czworograunego zakończającego galerję, i zwróciwszy się do deputacji wojskowych, Napoleon obecnością swoją i słowami ożywił ich jakby nowym prądem elektrycznym mówiąc, że wkrótce ujrzy się z nimi tam, gdzie już tyle razy widzieli się, to jest na polu walki, na które powoływała ich teraz nie chęć nowych podbojów, ale potrzeba utrzymania świętej niepodległości ojczyzny. Uroczystość ta rozpoczęta w południe, zaledwo o godzinie 7-ej ukończyła się; po czem nastąpił wspaniały bankiet w ogrodach Tuileries.

Zaledwie uroczystości te skończyły się, Napoleon zwrócił uwagę swoją na głosowanie izby deputowanych. Jakoż pierwsza udzielona mu wiadomość obudziła w nim mocne niezadowolenie. Różnienie się w zdaniach w kwestjach najważniejszych nie tyleby go dotknęło, ile ta skwapliwość w usunięciu brata i wybraniu człowieka wprawdzie godnego szacunku, ale jednego z opponentów senatu za pierwszego cesarstwa. W obec Europy zwracającej przeciw niemu wszystkie swoje ciosy, zdaniem jego, naród powinien był dążyć do ściślejszego z nim zjednoczenia się. Lecz dla nauki wszystkich trzeba i tu jeszcze powtórzyć, że popełnione błędy wiodą za sobą karę wtedy właśnie, kiedy ona jest najdotkliwszą. W ciągu 15-to letnich rządów, Napoleon przyjmował, podniecał, wymagał nawet uległości bez granic; teraz za to nie mógł pozyskać dla siebie względów, które w obecnych okolicznościach podwójną miałyby wartość: odwagi i zręcznej demonstracji przeciw obcym nieprzyjaciołom. Jakkolwiek od dwóch przeszło miesięcy hamował się w swoich zapędach, tym razem jednakże nie mógł się powstrzymać w wybuchu najwyższego gniewu —Chciano więc mnie obrazić wyborem mego nieprzyjaciela. Za wszystkie uczynione przezemnie ustępstwa, odpłacają mi zniewagą, chcą wpływ mój osłabić!.. Jeżeli tak jest, postawię opór, rozwiążę to zgromadzenie, odwołam się do Francji, która tylko mnie zna jednego, która w obronie swej we mnie tylko ufność położyła, a która zresztą mało dba o tych nieznanych, co sami nic dla niej zdziałać nie potrafią. Ci ludzie, dodał, odpychający Burbonów, smucący się na myśl ich powrotu, nie umieją trzymać ze mną, który sam tylko zdo-

łam rozproszyć ich obawy, bo dziś tylko przy huku dział można obronić rewolucję, a czy choć jeden z nich potrafi wystrzelić?..

Pierwszy ten wybuch Napoleona nie byłby sprowadził złych następstw, byłby go nawet uspokoił po tym pierwszym wylewie uczuć serce przepełniających, ale powtarzanie ich z różnemi dodatkami przez chytrego księcia Otrantu, głoszącego, że Napoleon jest niepoprawnym, że ma zamiar zaraz nazajutrz rozwiązać izby. nie było z korzyścią dla jego sprawy. Wszelako po tym wybuchu złego humoru Napoleon uspokoił się. Carnot, książę arcykanclerz, Lavallette, Regnaud de Saint Jean d'Angely starali się go przekonać, co nie trudno im było, bo gdy gniew przeminął, cesarz sam w swoim głębokim rozumie znalazł te wszystkie rady, jakich mu udzielić mogli ludzie najrozsądniejsi. Poznał on, że zrywać w tej chwili z izbą byłoby niedorzecznością, że trzeba niejako ustąpić przed słabością tego zgromadzenia, które obok pozornego uporu dawało dowody poświęcenia. Zresztą Lanjuinais był zacnym mężem, przyjacielem rewolucji, a wrogiem jej bezprawiów, dążącym do wyniesienia ogólnej sprawy na szczyt pomyślności, a obok tego łatwym do pokierowania przy trafném postępowaniu. Najmocniej, a zarazem najbardziej do przekonania przemawiał Regnaud de Saint-Jean d'Angély. Mąż ten, swoją przeszłością i świetnym darem słowa, najsposobniejszym był na pośrednika pomiędzy rządem a izbami. Popierając niejako żądania ich do cesarza, przypadał im do smaku: lecz jakkolwiek cały sprawie Napoleona poświęcony, nie uniknął jednak wpływu Fouché'go, który widząc dość ważne jego stanowisko względem izb, zachęcał go do działania, czynił wszelkie ułatwienia, usiłując atoli przekonać, że dla ocalenia Napoleona potrzebny koniecznie opór, co zaiste kilka lat przedtem mogło było zbawić Napoleona i Francję. lecz obecnie, w r. 1815, było spóźnionem, a nawet niefortunnem w obec Europy uzbrojonej. Zresztą, p. Regnaud doradzając Napoleonowi potwierdzenie prezesem Lanjuinais, udzielał mu radę bardzo zdrową, w ówczesnych bowiem okolicznościach, wszelki inny wybór byłby niestosownym i niepodobnym.

Kiedy tak starano się zmienić przekonania cesarza, z drugiej znów strony radzono panu Lanjuinais, że należało mu udać się do cesarza i wytłomaczyć się z stawianej przez czas długi opozycji senatowi, zapewniając zarazem w jaki sposób prezydentury swojej użyć zamierza. Jakoż Lanjuinais tegoż jeszcze wieczora udał się do pałacu Elizejskiego. Napoleon przyjął go uprzejmie i z całą szczerością.—Przeszłość puszczam w niepamięć, rzekł do niego, nie myślę już o niej: zważam tylko na charakter ludzi i ich zastosowanie się do teraźniejszych okoliczności. Jesteś pan moim przyjacielem czy wrogiem?—Na te słowa Lanjuinais

ujęty tą otwartością cesarza, zapewnił że nie jest bynajmniej jego nieprzyjacielem, że widzi w nim tylko sprawę rewolucji i że na warunkach rządów konstytucyjnych stale wspierać go będzie.—A więc zgoda, zawołał Napoleon, nie żądam nic więcej.—Spotkanie to zakończyły przyjazne zapewnienia; cesarz wybór izby zatwierdził.

Mimo to, wieść o pierwotnym oporze szybko się rozeszła. Fouché skwapliwie ją wszędzie roznosił powtarzając, że Napoleon jest zawsze ten sam co dawniej, że nie znosi żadnej nieuległości i że to będzie wielkim cudem, jeżeli izba w kilka dni rozwiązaną nie zostanie. Nazajutrz, to jest dnia 5go, reprezentanci zebrawszy się dla zupełnego uorganizowania się, zaczęli rozpowiadać o tém co zaszło, a nie wiedząc co wynikło z widzenia się p. Lanjuinais z Napoleonem, w niechętném byli usposobieniu. Prezydujący z tytułu starszeństwa wiekiem oznajmił, że dniem wprzód zakomunikował cesarzowi wypadek głosowania, na co cesarz odpowiedział że się namyśli i postanowienie swoje objawi przez szambelana służbowego. Ostatnie to oświadczenie wzniecilo ogólne szemranie, a nawet jeden z członków uczynił uwagę, że w znoszeniu się cesarza i z izbami nie należy używać pośrednictwa szambelana P. Dumolard, a po nim Regnaud de Saint-Jean d'Angély, usprawiedliwiali tę odpowiedź cesarza mówiąc, że prezydujący źle pojął jego słowa, co tenże potwierdził, widząc swój błąd w oznajmieniu tego, o czem lepiej było zamilczeć. Aby przeciąć te rozprawy i usunąć stawiane trudności, postanowiono zawiesić posiedzenie, a tymczasem p. Regnaud de Saint-Jean d'Angély udał się do pałacu Elizejskiego, zkąd wróciwszy, jako działający w charakterze ministra stanu, przedstawił izbie postanowienie cesarskie zatwierdzające p. Lanjuinais prezesem izb, co w jednej chwili uspokoiło wszelkie drażliwości i nieukontentowanie. Zaraz więc na wice-prezesów wybrano pp. Flaugergues, Dupont de l'Eure i Lafayette'a; na czwartego zaś dopiero w dniu następnym wybrano jenerała Grenier.

Jednocześnie z potwierdzeniem wyboru prezesa izby deputowanych przedstawiono izbie parów listę składających ją członków. Co do wyboru, Napoleon zażądał wpierw od swoich braci i główniejszych ministrów, aby ci sporządzili mu listy parów podług ich widzenia ułożone. Po porównaniu dopiero takowych, cesarz ułożył jednę z 130 członków złożoną, z możnością późniejszego jej dopełniania, co miało następować w miarę nowych nabytków, zwłaszcza z pomiędzy starej szlachty. Lafayette, pomimo nalegań Józefa aby przyjął godność para, wolał pozostać w izbie deputowanych, gdzie spodziewał znaleźć więcej zgodności w opinji i skuteczniejszego oddziaływania na wypadki. Nową izbę parów podług wyboru Napoleona, składali: bracia jego Józef, Lucjan, Hiero-

nim (lubo ci zresztą byli parami z prawa), wuj jego kardynał Fesch, przybrany syn ks. Eugenjusz (zatrzymany przez koalicję w Wiedniu), marszałkowie: Davout, Suchet, Brune, Moncey, Soult, Lefebre, Grouchy, Jourdan, Mortier; ministrowie: Carnot, Decrès, Bassano, Caulaincourt, Mollien, Fouché; kardynał Cambacérès, arcybiskup z Tours (de Barral), z Bourges (de Beaumont), z Tuluzy (Primat); jenerałowie: Bertrand, Drouot, Belliard, Clausel, Savary, Duchesne, d'Erlon, Exelmans, Flahault, Gérard, Lobau, la Bédoyère, Delaborde, Lecourbe, Lallemand, Lefebvre-Desnoëttes, Molitor, Pajol, Rampon, Reille, Travot, Vandamme, i inni. Byli tu i królobójcy, jak Sieyès, Cambacérès, Carnot, Fouché, Thibaudeau; cesarz atoli wybrał ich nie za królobójstwo, ale jako ludzi znakomitych, których przeszłość nie powinna była wykluczać od sprawowania wysokich urzędów. Dawna szlachta miała tu także swoich reprezentantów w osobach pp. de Beauvau, Beaufremont, Boissy, Forbin, La Rochefoucauld, Nicolaï, Praslin, Ségur i t. p. Na ten raz, z powodu braku, więcej wybrać się nie dało; liczył więc, że przyszłe zwycięztwa nowych stworzą kandydatów. W wyborze tym nie powodowała cesarzem skłonność do dawnych imion, co mu właśnie zarzucano, ale raczej chęć osiągnienia pożytku pomieszczeniem ich w wyższej izbie z powołania swego zachowawczej i niepodległej.

Książę Józef otrzymawszy nominację na para, godność z prawa mu przynależną, żywe okazał niezadowolenie. Nie bacząc na wszelkie przełożenia, reklamował głośno, że to jest zapewnie błąd redakcji, gdyż parostwo winien on był swemu urodzeniu nie nominacji cesarskiej. Było to wielkim nierozsądkiem ze strony braci Napoleona pomnażać rozterki i tak już szarpiące to zgromadzenie. Możnaż było mieć za złe wszczynane niezgody obcych członków, jeżeli sami bracia cesarscy nie umieli powstrzymać się od tak dziecinnych reklamacji? Błąd ten zwiększyli jeszcze nową przez siebie podniesioną kwestją: oświadczyli bowiem, że nie będą zasiadać na ławach obok spółkolegów, ale że powinni mieć oddzielne krzesła obok prezesa izby. Widząc jednakże zły skutek wywołany temi żądaniami, odstąpili od nich, a pierwszy ks. Lucjan, dając z siebie dobry przykład, zajął miejsce pomiędzy innymi.

Te spory i czynności przedwstępne zajęły dzień 5 i 6 Czerwca, posiedzenie zatem cesarskie odłożone być musiało do dnia 7 we Środę. Program tego posiedzenia składało odczytanie mowy cesarskiej i złożenie cesarzowi przysięgi przez obie izby. Napoleon swoim zwyczajem, sam przygotował dla siebie mowę, a skreślił ją stylem czystym, szczerym i silnym, jak przystoi dla umysłu stanowczo zawsze myśli swe wy-

powiadającego. W mowie tej wyraził, że utworzenie monarchji konstytucyjnej nie wypływało z chęci hamowania jego działań, ale raczej z przekonania, że ona jest konieczną dla Francji i że własne jego błędy uczyniły ją nieodzowną. Wiedząc nadto, że deputowani przybyli z żalem że zastali już konstytucją zupełnie gotową i że tem samém nic już do niej przyczynić nie mogli, zezwolił na przyznanie im prawa szczegółowego roztrząsania ustawy i zestawienia materjałów dawnych z nowemi. Do ustępstw tych dołączył swoje rady, stanowczemi również słowy wypowiedziane. Główne te punkta załatwiwszy, potrzeba było przystąpić do innych z natury swojej równie ważnych. Jakkolwiek Napoleon nie dążył do prześladowania, nie chciał jednakże zezwolić, aby stronnictwa nieprzyjazne bezkarnie go napadały. Oświadczył więc, że życzeniem jego jest ostrzedz o tem Wandeę, na co jednakże ministrowie nie zgadzali się. Zdaniem ich bowiem, lubo przytłumienie pewnych skrytych knowań było nieodzownem, obawiać się jednak należało, aby ucieczką do praw niegdyś istniejących nie dano pozoru, że rząd teraźniejszy dąży do zachowania w całości owego arsenału praw rewolucyjnych. Trzeba było więc rozstrzygnąć trudność obmyśleniem środków, które bez powrotu do samowładzy, zdolne byłyby ukrucić zbytnie zapędy stronnictw. Prasa uwolniona z pod cenzury mogła wiele przyczynić się do ukrócenia nadużyć, gdyby jeszcze w pomoc jej przychodziły trybunały. Nakoniec, potrzeba było przedstawić budżet.

Te były przedmioty zajęć dla izb, które Napoleon zamierzał im bliżej wskazać w mowie przez siebie skreślonej i jednozgodnie po zakommunikowaniu jej przez ministrów przyjętej. Tak kiedy cesarz gotuje się na otwarcie izb, izba deputowanych podzielająca błędy zwykłe wszelkim nowym zgromadzeniom, z niecierpliwością pragnęła dotknąć przedmiotów najdrażliwszych. W Środę 6 Czerwca, czyli w przeddzień posiedzenia cesarskiego, jeden z reprezentantów podniósł kwestję dotyczącą mającej w dniu następnym składać się przysięgi. Proponował on, aby przysięga wymaganą była tylko na mocy prawa i aby przysięga ta nie przesądzała w niczem prawa izb upoważniającego do przejrzenia konstytucyj cesarskich.

Wniosek ten wywołał żywe wzruszenie; bo gdyby był przyjęty i wykonany w całej ścisłości, wypadłoby w końcu, że wymagana przysięga była nieprawną lub przynajmniej że ją wykonać należało tylko na mocy oddzielnego na to prawa, zanim zaś to prawo mogło być przez izby przegłosowane i przyjęte, upłynęłoby 24 godzin, a tem samem wykonanie przysięgi w dniu następnym byłoby niepodobnem, co dałoby powód dla mniemań stronnictwom nieprzyjaznym, że izby odmówiły za-

przysiężenia wierności Napoleonowi. W chwili więc kiedy pięćset tysięczna armja zmierzała ku Francji, wypadek ten byłby dla niej bardzo niepomyślny.

Pomimo drażliwego usposobienia, izby pojmowały dobrze, że przywróciwszy Napoleona na tron, nie należało go na nim osłabiać, wniosek więc powyższy wyraźny sprawił w nich niepokój. Jakoż wielu z członków wystąpiło przeciw niemu, mówiąc że dawniejsze postanowienia senatu przepisały przysięgę dla cesarza, a ponieważ postanowienia te uchylone nie zostały, przysięga tém samém jest prawną; nadto, w przysiędze tej zobowiązywano się tylko do wierności dynastji cesarskiej, a nigdy do zachowania ustawy niezmiennej, która stosownie do wypowiedzianej mowy cesarskiej na zgromadzeniu narodowém, od czasu do czasu miała ulegać przejrzeniu i poprawie. P. Roy, późniejszy minister skarbu Ludwika XVIII i Karola X, dla którego Napoleon okazywał się dość surowym, oświadczył, że ponieważ w drugiém cesarstwie wszystko na nowo się odbudowywa, izba parów tém samém w niczem nie jest podobna do dawniejszego senatu, ani izba reprezentantów do ciała prawodawczego, z czego wynika, że powoływane senatus consulty poszły już w niepamięć, a tém samém nie były dostateczne do nadania legalności przysiędze od obu izb wymaganej. Zgromadzenie widząc złe następstwo z sporów tych wyniknąć mogące, żywe okazało niezadowolenie. Deputowani Dumolard, Bedoch, Sebastiani, żywo zbijali pana Roy mówiąc, że jeżeli attrybucje izby parów i reprezentantów różniły się od prerogatyw dawniejszego senatu i ciała prawodawczego, pozostawał zawsze monarcha, któremu pod teraźniejszym zarówno jak pod dawnym rządem wierność zachować należało; że wreszcie w obecnych okolicznościach jedność władz jest nieodzownym warunkiem wspólnego ocalenia, z czego wynika konieczność nieociągania się z wykonaniem przysięgi. P. Boulay de la Meurthe, minister stanu, dalej nawet posunął się upatrując w tém wszystkiém działania stronnictwa zagranicznego, w którém lubo nie kładł ani autora wniosku, ani tych którzy go popierali, wszelako na czele stawiał rojalistów niezmordowanie pracujących nad tém, aby władze poróżnić, a tem samem otworzyć bramy wrogom Francji. Wybuch ten nieco za żywy, przyjęto z niejakiém zakłopotaniem i niechęcią. Zewsząd podniosły się głosy o zamknięcie obrad, nareszcie ograniczono się na oznaczeniu porządku dziennego zamieszczając w nim roztrząśnienie legalności i potrzebę przysięgi. Czy to z powodu oddalenia się, czy zmiany przekonań opponentów, dość że izby wniosek ten przyjęły jednozgodnie.

W kraju przywykłym od dawna do wolności, w którym naród nau-

czył się przywiązywać wagę do rzeczy tylko od większości, a nie od pojedynczych osób wypływających, posiedzenie to silne musiało wywrzeć wrażenie. Zaraz też nieprzychylne stronnictwa zaczęły głosić, że naród nie był z Napoleonem, gdy deputowani wczoraj zaledwie mianowani, dziś już mu posłuszeństwa swego odmawiali. Wszystko to dotkliwém było dla Napoleona: widząc bowiem jak mocarstwa sprzymierzone upornie swoje ciosy ku jego tylko osobie zwracają, usilnie pragnął, aby izby ścisłą z nim jednością na te dążenia ich odpowiedziały. Przygnieciony smutkiem, od chwili zwłaszcza kiedy los fatalny pozbawił go Murata, widząc w około siebie pustkę w miejsce spodziewanej szczerości i zgody, Napoleon tym większej doznał goryczy. Poznał on teraz, że tylko powodzenie oręża mogło znów do niego serca ludu przygarnąć.

Dnia 7 Czerwca cesarz udał się do pałacu ciała prawodawczego, lecz już nie z taką jak na zgromadzenie narodowém okazałością. Izba deputowanych przyjęła go z zapałem, i rzecz dziwna, lepiej nawet niż izba parów. W obec tak liberalnego usposobienia publiczności, izba parów mianowana przez władzę, i nieco zakłopotana tem pochodzeniem, sądziła, że nie przystało jej objawiać żywych uczuć temu przez którego powstała, ale raczej pozostawić to izbie reprezentantów z łona narodu wybranych.

Kiedy Napoleon zasiadł na tronie, z prawej i lewej strony braćmi otoczony, wtedy książę arcykanclerz odczytał rotę przysięgi temi wyrażoną słowy: *Przysięgam posłuszeństwo ustawie cesarstwa i wierność cesarzowi.* Następnie arcykanclerz wzywał z kolei parów i deputowanych, którzy wszyscy z zapałem słowa te powtarzali. Po czem Napoleon, tonem poważnym, wypowiedział następującą prostą, zwięzłą a szczytną mowę:

«Członkowie izby parów! członkowie izby deputowanych!

«Okoliczności i zaufanie ludu nadały mi od trzech miesięcy władzę nieograniczoną. Dziś spełniły się najgorętsze życzenia mego serca; zaczynam panować jako monarcha konstytucyjny.

„Ludzie są za słabi do utrwalenia swojej przyszłości; jedne tylko prawa, losy narodów ustalić mogą. W monarchji Francja pozyskuje rękojmię swobód, niepodległości i praw narodu.

«Ustawy francuzkie są rozproszone; najważniejszém więc zadaniem naszém będzie zebrać je w jedne ramy i jednę nadać im dążność. Praca ta da o nas świadectwo przyszłym pokoleniom.

«Widok Francji używającej wszelkich możliwych swobód, dumą mnie przejmuje; powiedziałem, swobód możliwych, bo anarchja wiedzie za sobą rząd samowładny.

«Straszliwa koalicja królów targa się na naszą niepodległość; zastępy jej wojsk dążą do naszych granic.

«Fregata *Melpomena*, napadnięta na Śródziemném morzu przez okręt angielski, po krwawej walce zabraną została. A więc wśród zupełnego pokoju krew popłynęła.

«Nieprzyjaciele licząc na nasze wewnętrzne rozterki, usiłują rozdmuchać wojnę domową. Potworzyły się stronnictwa, zawiązano stosunki z Gandawą, tak jak w r. 1792 z Koblencją. Obmyślenie więc środków prawnych jest nieodzownem; waszemu więc patrjotyzmowi, waszemu światłu i przywiązaniu ku mnie powierzam się z całą ufnością.

«Wolność prasy nierozłączną jest od konstytucji; zmieniając ją, należałoby wzruszyć cały nasz system polityczny; potrzebne są wszelako przepisy karne, szczególniej w zwykłym stanie narodu. Ważny ten przedmiot waszej rozwadze poruczam.

«Ministrowie moi zawiadomią was o rzeczywistości stanu interesów państwa. Skarb byłby w stanie pomyślnym, lecz teraźniejsze położenie wydatki jego zwiększa. Gdyby podatki budżetem objęte dały się wszystkie w ciągu roku zebrać, finanse nasze przedstawiałaby rezultat zadawalający. Aby do tego dojść, minister skarbu nie omieszka stosowne przedsiewziąć środki.

«Być może, że obowiązek wodza każe mi wkrótce stanąć na czele synów walczących za swą ojczyznę. Wojsko i ja spełnimy wtedy naszą powinność.

»Parowie i deputowani! dajcie z siebie przykład ufności, energji i patrjotyzmu, i wzorem owego senatu wielkiego narodu w starożytności, bądźcie gotowi raczej umrzeć niż przeżyć hańbę i poniżenie Francji. Święta sprawa ojczyzny naszej tryumf odniesie!“

Mowa ta wszystkie najważniejsze punkta trafnie dotykająca, słuszne pozyskała oklaski. Otwartszego przyznania monarchji konstytucyjnej i wyznawanych przez siebie zasad, nie można było wypowiedzieć.

Wchodząc w szranki w których Anglicy o dwa wieki nas wyprzedzili, naśladownictwo ich było rzeczą naturalną. Jako odpowiedź na tę mowę każda z izb postanowiła sporządzić adres, do nakreślenia którego wyznaczono komitet tak, aby adres ten podany być mógł cesarzowi w ciągu tygodnia, gdyż wyjazd jego zapowiedziany był na następną niedzielę lub poniedziałek.

Od czasu powrotu do Paryża Napoleon przemyśliwał ciągle nad tém, aby uderzyć na sprzymierzonych najbliżej granic Francji znajdujących się. Nie tu pora przedstawiać jego wyrachowania; dość powiedzieć, że wpośród tak różnorodnych zajęć, już to powstaniem w Wan-

dei, już zwołaniem izb i otwarciem zgromadzenia narodowego spowodowanych, Napoleon dniem i nocą pracował nad przygotowaniem wszystkiego tak, iżby działania swoje rozpocząć mógł w dniu 15 Czerwca. Zaraz po uroczystościach zgromadzenia narodowego zajął się wyprawieniem gwardji i 6-go korpusu do Laon; jenerałowi zaś Erlon i Reille polecił działać w podobny sposób jak jenerał Gérard, to jest aby o ile możności skoncentrować armję po za Maubeuge. Wszystkim tym jenerałom wskazał najskrupulatniej wszelkie środki ostrożności mogące w błąd wprowadzić nieprzyjaciela, czego właśnie dopięli, jak to zaraz obaczymy. Licząc że gwardja i 6-ty korpus mogły stanąć pod Maubeuge na dzień 14 Czerwca, Napoleon postanowił stanąć pod Charleroy w dniu 15 i objąć dowództwo nad 130-tysięczną armją. Gdyby nie Wandea, mógłby mieć 150 tysięcy wojska, wszelako nie tracił nadziei, że i te siły dostateczne będą, jeżeli nie do złamania nieprzyjaciela jednym ciosem, to przynajmniej nadania w samym zaczęciu takiego charakteru wojnie, że pierwsze jego kroki uczynią baczniejszemi mocarstwa wojujące, we Francji zaś pojednają z nim dotąd mu nieprzychylne i zachwiane umysły. Prace te i zajęcia nie przeszkadzały cesarzowi przyjmowania w pałacu Elizejskim wesołych zebrań na wieczory i objady; lubo znajdując się częstokroć w kółku szczerych przyjaciół, jak królowej Hortensji i p. Lavalette smutnych przeczuć nie ukrywał. Szczególniej trapiła go ta skwapliwość izb z jaką członkowie jej dla uniknienia wszelkiego pozoru służalstwa, stronili od niego, zamiast się skupiać około jego osoby. Przykrych ztąd wrażeń Napoleon nie mógł nawet ukryć. Ze smutkiem poglądał na to rozprzęganie się władz, na jakiś zamęt w umysłach, na miotanie się w szrankach jakichś dziwnych rozpraw i teorji, które właśnie chciał przeciąć nadaniem aktu dodatkowego. Każdy tu pieścił jakąś swoją chimerę i popisywał się z nią wtedy właśnie, kiedy zwołanie izb było koniecznem, a pierwsze próby wolności odbywały się pod groźbą dział nieprzyjacielskich. W pośród takich zapasów ducha sprzeczności czuł, że owa bałwochwalcza cześć, którą go przez lat 15 otaczano i zapał na krótko powrotem z Elby wzniecony, stygły powoli, a na to miejsce otaczały go powątpiewania i krytyki najmiejszych jego czynów. Owi szczerzy przyjaciele, co nigdy dawniej nie śmieliby powtórzyć zdań o nim krążących, teraz, jedni przez przychylność, inni z braku szacunku donosili wszystkie choćby najniedorzeczniejsze o nim pogadanki. Tą drogą dowiadywał się jak niekorzystnie wyraża się o nim Fouché, jak lekceważy jego rozkazy, szczególnie co do rojalistów znoszących się z Gandawą i Wandeą, jak uprzedzającym jest dla nich, jak nareszcie sam sprosiwszy ich do siebie przechwala się z niewykonania rozkazów cesarskich. Na takie do-

wody niewierności Napoleon zżymał się, unosił, pragnął skarcić, to znów hamował swoje uniesienia z obawy, aby nie powiedziano że dawny despota wychyla się z ukrycia. Myśl wojny atoli, nadzieja powodzeń oręża ręką genjuszu kierowanego, pamięć na tryumfy odniesione w roku 1814, a które byłyby go ocaliły, gdyby około Paryża wzniósł był choć kilka redut, a w Paryżu miał brata siebie godnego, wszystko to chwilowo rozpraszało boleść z zawodów tych doznaną. Lecz iskierka tej ufności w siebie, zaledwie rozetlona, gasła powoli; patrząc bowiem na tę mnogość wewnętrznych nieprzyjaciół, badał sam, czy ten stan rzeczy pod jego rządem miał się zupełnie rozchwiać, wszystko mu bowiem zapowiadało ciągłe przeciwności, które lubo nie osłabiały jego ducha, głębokim przecież udręczały go smutkiem. Nieraz w gronie swoich przyjaciół długo o tém rozmawiał; niekiedy, pomimo strudzenia, przepędzał znaczną część nocy roztrząsając tę dziwną zmianę rzeczy i owo szczególne przeznaczenie wielkich ludzi, a tem samem i swoje, zapowiadające, że ta świetna gwiazda bliska już zachodu.

W tak smutném usposobieniu, Napoleon postanowił odwiedzić Malmaison, gdzie przeszłej wiosny zakończyła życie Józefina, i gdzie jeszcze nie był od powrotu z wyspy Elby. Czuł on potrzebę widzenia tego skromnego zacisza w którém przeżył najpiękniejsze chwile swego życia, obok małżonki, wprawdzie nie bez wad, ale zawsze wiernej przyjaciółki, jaką drugą trudno znaleźć i którą dopiero po stracie prawdziwie się ocenia i żałuje. Towarzyszyła mu w tej wycieczce królowa Hortensja, która również od śmierci Józefiny nie śmiała przestąpić miejsc tak dla niej bolesnych. Mimo licznych swych zajęć, Napoleon poświęcił tym odwiedzinom kilka godzin przebiegając zamek i ogród w którym Józefina hodowała kwiaty z czterech części świata sprowadzone. Widok tych tak drogich mu przedmiotów bolesne w nim obudził wspomnienia. Bo jakaż różnica pomiędzy r. 1815 a 1800, 1801 i 1802, kiedy był właśnie przedmiotem najwyższego podziwu, zaufania i miłości świata! Naród wtedy nie upatrywał w nim tyrana, ale raczej zbawcę! Rozważając ten stan rzeczy, daleki od pochlebiania sobie, przyznał w duchu, że jest genjuszem, ale zarazem wysnuwał ten wniosek, że kiedy potrafił otrząsnąć się z dawnych wad i błędów i nowém zbogacony doświadczeniem z Elby powraca, naród powinienby większém mu odpowiedzieć zaufaniem. Lecz niestety! ludzie utraciwszy raz zaufanie, nie prędko je powracają, a Bóg przyjmuje skruchę, bo sam tylko szczerość jej ocenić może!

Napoleon przechadzając się po tych bolesnych a uroczych miejscach, rzekł do Hortensji: Biedna Józefina! zdaje mi się, że ją widzę na każdym zakręcie tych alei. Śmierć jej, o której wiadomość niespodzianie doszła

mnie na wyspie Elbie, była dla mnie jednym ciosem więcej w tym niefortunnym 1814 roku. Miała ona wprawdzie swoją słabą stronę, nigdy mnie przecież nie opuściła!...

Po powrocie z Malmaison, Napoleon zobowiązał Hortensję, aby się zajęła zrobieniem kopji portretu Józefiny. Nie wiedząc gdzie będzie za miesiąc pragnął zabrać z sobą ten talizman, któryby zawsze mógł mu przywieść na myśl najszczęśliwsze chwile jego życia.

Lecz tysiące interesów do załatwienia przed wyjazdem nie dozwoliły oddawać się tym smutnym wspomnieniom. Obok przedsiębranej wojny zajmowało go najwięcej nadanie pewnego kierunku izbom. Rzecz ta była przedmiotem licznych jego narad w których zawsze trafnością zdań celował, tak, iż można powiedzieć, że ów wojownik, administrator i monarcha samowładny, mógłby być pierwszym ministrem Jerzego IV. Jeszcze w przeddzień wyjazdu, siadając prawie do powozu, Napoleon odezwał się do swych ministrów: Nie wiem jak wy w czasie mojej nieobecności pokierujecie temi izbami. Fouché'mu się zdaje, że zyskawszy kilku zepsutych starców i kilku młodych zapaleńców, może zapanować nad izbą, ale w tém się myli. To intryga, a z tą daleko zajść nie można. W Anglji, oprócz tych środków, używają jeszcze innych ważniejszych. Przypomnijcie sobie Pitt'a, a przypatrzcie się lordowi Castlereagh! Dawne to i doświadczone te izby angielskie; dobrze one wpierw starały się poznać ludzi niemi pokierować mających, i nie wpierw naród obdarzał ich swém zaufaniem, aż poznał dobrze ich zdolności i charakter. Anglicy większą wagę przywiązują do wyboru swych ministrów niż króla, ale też raz ich wybrawszy, byliby nierozsądni i nieprzyjaciołmi siebie i swego kraju, gdyby się uchylali od ich kierownictwa. I dla tego to Pitt, a dziś lord Castlereagh, kieruje izbami jedném skinieniem oka. Gdybym ja miał takich ministrów, nie obawiałbym się izb! Ale cóż jest u nas? Pomiędzy deputowanemi, zebranemi z różnych stron Francji, są wprawdzie ludzie z dobremi chęciami, pragnący siebie i mnie z kłopotów wybawić, ale ludzie ci nie przywykli do zasiadania w zebraniach narodowych, do odpowiedzialności za skutki, nie znani od ministrów i ich wzajemnie nie znający. Któż więc ma nimi pokierować? Co do mnie, wybór ministrów był trafny, lepszego uczynić nie mógłem, bo, że tak powiem, wybrałem ich z łona zaufania publicznego. Gdybym był zażądał, naród wybrałby ich przez głosowanie. Czyż kraj mógłby mi wskazać lepszego męża na ministra sprawiedliwości jak mądrego Cambacérès'a, na ministra wojny jak niezmordowanego w pracy Davout'a, bieglejszego w interesach zagranicznych jak poważnego Caulaincourt'a, wreszcie, na ministra spraw wewnętrznych jak wybornego Carnot'a? Czyż ludzie troskliwi o finanse pań-

stwa nie byliby mi sami wskazali znanego z uczciwości i zdolności hrabiego Mollien? Czyż publiczność nie czuje nad sobą oka rządu mając Fouché'go ministrem policji? A jednakże, któż z was, panowie, może stanąć w izbach, przemówić, być słuchanym i niemi pokierować? Wybór mój starałem się uzupełnić jeszcze ministrami stanu takimi jak Regnaud, de Boulay, de la Meurthe, de Merlin, de Defermont. Prawda, Regnaud ma zdolności, ale czy sądzicie, że w razach ważnych mógłby owładnąć burzę? Nie, podrzędnem położeniem nie można nakazać ludziom poszanowania, niepodobna nimi zawładnąć i kazać iść za sobą. Niestety! nie w naszej to spokojnej radzie stanu wyrabiają się ludzie zdolni do walki z burzą sejmową... Nie, nie, dodał cesarz, wy nie pokierujecie temi izbami, i jeżeli ja nie wygram bitwy, one was, pomimo wielkich waszych talentów, pochłoną. Wiecie, że od zwołania izb uchylać się nie mogłem, tego wymagało moje położenie. Dałem sam akt dodatkowy chcąc uniknąć błędnych i nieskończonych rozpraw nowej konstytuanty, ale akt ten nie znajdował wiary; aby ją więc pozyskać, koniecznem było zwołanie izb, które, jak teraz widzę, zamieniają się w ową konstytuantę z r. 1791. Wszystko to atoli dotąd trzymało się, teraz trzeba nam zaradzać temu jak można. Ministrowie będą rządzić, radzcy stanu mówić, a ja pójdę walczyć. Jeżeli zwyciężę, zmusimy wszystkich do zamknięcia się w swoich attrybucjach, i zyskamy wtedy czas do oswojenia się z nowym rządem. Jeżeli przeciwnie nieprzyjaciel weźmie górę, wtedy Bóg wie co się z wami i ze mną stanie! Wtedy powiemy, że los sprzysiągł się na nas! Za 20 lub 30 dni wszystko się rozstrzygnie. Ale niech pamiętają przyjaciele wolności, że jeżeli nietrafnem postępowaniem zgubią ojczyznę, nie ja, ale Burboni ją pozyskają!

Po tej szczególnej rozmowie, mianej w nocy wyjazd poprzedzającej, Napoleon wydał postanowienie, że w czasie jego nieobecności ministrowie łącznie z braćmi jego, pod prezydencją Józefa, tworzyć będą radę państwa; czterej zaś ministrowie stanu, wraz z sześcią radzcami stanu, będą się znosić z izbami, stawać w nich w imieniu panującego, roztrząsać prawa i udzielać wyjaśnienia co do rozporządzeń rządowych. Dekret ten podpisując, Napoleon kilkakrotnie z uśmiechem powtórzył: Oj, proście Boga, abym wygrał bitwę! Słowa te nie znaczyły jakoby powróciwszy zwycięzcą chciał rozwiązać izby i powrócić do rządu samowładnego, ale raczej, aby zyskanem na drodze powodzenia zaufaniem, zjednoczyć umysły, do jednego zwrócić je celu, a tem samem spokojny bieg rzeczy zaprowadzić. Być może, że jako zwycięzca, nie na tem byłby żądania swoje ograniczył, obecnie jednak żywił w sobie to przekonanie, że

sprawa wolności była jego sprawą, tryumf zaś strony przeciwnej, tryumfem Burbonów.—Jeżeli wam nie powiedzie się w tych usiłowaniach, powtarzał, nie pozostaje wtedy nic innego, jak ustąpić miejsca Ludwikowi XVIII.—Napoleon nie przewidywał wtedy, że i z Burbonami, opartemi na pół miljonowej armji cudzoziemskiej, wolność mogła zakwitnąć, byle tylko naród pozyskał prawo wspólnego stanowienia praw i budżetu na zgromadzeniu niepodległém, choćby nawet z najzagorzalszych rojalistów złożonem!

W ciągu tych trzech dni obie izby przygotowały swoje adresa. Pomiędzy członkami izby deputowanych, tu i owdzie objawiała się chęć pozostania w jedności z cesarzem, ale obawa okazania zbytniego służalstwa wstrzymywała ich od tego połączenia się. Kiedy deputowany Felix Lepelletier, odpowiadając na wniosek o przysiędze, zaproponował uznać w Napoleonie zbawcę ojczyzny, wtedy malujący się na twarzach niepokój dał poznać, że widocznie lękano się powrotu na drogę uwielbień.—Jakiżbyś pan podał wniosek, ktoś przerwał, gdyby Napoleon rzeczywiście ją ocalił?—Wtedy na przedstawienia niektórych przychylnych rządowi reprezentantów, niewczesny ten wniosek uchylono. Projekt do adresu jasno określał potrzeby chwili, to jest jedność z Napoleonem obok czuwania nad swobodami publicznemi, zresztą, potrzebę przejrzenia ustawy cesarskiej i zastosowania aktu dodatkowego, który chciano z gruntu przerobić. Z swej strony izba parów, niedoświadczona równie jak izba reprezentantów, ustępując przed dążnością czasu, wyrzekła w swym adresie, że jeżeli szczęście odpowie prawości naszej sprawy i urzeczywistnią się nadzieje w geniuszu cesarza i waleczności wojska pokładane, wtedy *pozostawałaby tylko obawa, aby naród nie uległ przed pawabem zwodniczego szczęścia i ułudą zwycięztw.* Książę Cambacérès zaniepokojony nieco tem ustępem adresu zażądał, aby go przedstawiono do opinji cesarza. Jakoż Napoleon odrzucił to zdanie i w taki je zmienił sposób: *Jeżeli pomyślność odpowie sprawiedliwości naszej sprawy... Francja wtedy pokoju tylko żądać będzie. Ustawa nasza daje tę Europie rękojmię, że nigdy rząd francuzki nie ulegnie przed ułudą zwycięztw.* Po dość żywych rozprawach, ostatnia ta redakcja utrzymała się.

Tak więc, co się często zdarza, każdy zapominając swego stopnia i roli, stawał się pochlebcą ducha czasu. Napoleon przed swoim wyjazdem, postanowił przyjąć izby, zdrowych rad udzielić, do czego upoważniało go ówczesne położenie i co zresztą jest dozwolonem w rządach nawet najściślej konstytucyjnych. Przyjęcie izb nastąpiło dnia 11 Czerwca. Po wysłuchaniu adresu parów, Napoleon udzielił im następującą odpowiedź.

«Walka do której występujemy jest wielkiej wagi. *Powab szczęścia* nie jest jedynem dziś zagrażającem niebezpieczeństwem. Nieprzyjaciel chce nas przeprowadzić przez wąwozy kaudyńskie. Świętość naszej sprawy, ogólny duch narodu i męztwo armji dostateczną dają nadzieję powodzeń; gdyby nam jednak przyszło uledz nieszczęściu, wtedy to właśnie chciałbym ujrzeć rozwiniętą w całej sile moc duszy narodu, wtedy radbym znaleźć w izbie parów dowody przywiązania do kraju i do mnie.

«Wielkie narody, równie jak wielcy ludzie, w trudnych tylko okolicznościach, dając dowody mocy charakteru, stają się przedmiotem uwielbień u potomności...»

Wysłuchawszy z kolei adresu izby deputowanych, Napoleon rzekł:

«W tém coście mi panowie dopiero co powiedzieli znajduję powtórzenie moich własnych uczuć. W ważnych tych okolicznościach, całą myśl moją zajmuje tylko ważna w swych skutkach wojna, od pomyślności której zawisła niepodległość i honor Francji.

«Dzisiejszej nocy opuszczam was by stanąć na czele armji. Ruchy wojsk nieprzyjacielskich obecność moją tam czynią nieodzowną. Cieszyć się będę słysząc, że wybrane przez obie izby komissje roztrząsać będą starannie zasady naszej konstytucji. Ustawa jest naszem ogniskiem; ona powinna być naszą gwiazdą polarną wśród grożącej burzy. Wszelkie rozprawy zmierzające ku osłabieniu wiary w tę ustawę, byłyby nieszczęściem dla kraju. Ujrzelibyśmy się wtedy na morzu pełnem skał bez kompasu i rudla. Żyjemy w ważnej, stanowczej dla nas chwili. Nie naśladujmyż owego niegdyś Państwa Wschodniego, które zagrożone zewsząd od ludów barbarzyńskich, w chwili kiedy tarany kruszyły bramy jego grodów, zajmowało się jeszcze obojętnemi rozprawami, aby się tem podać w pośmiewisko potomności!...

Piękne te a zarazem surowe lecz trafne słowa, lubo dotknęły tych co się poczuwali do winy, w ogóle przecież głębokie sprawiły wrażenie. Prawda zresztą, że grożące niebezpieczeństwo nie pochodziło z obawy o skutki z odniesionych zwycięztw; prawdą jest także, że trzeba było bronić się od wspominania o Grekach Państwa Wschodniego rozprawiających pod ciosami taranów Mahometa. Mimo to, deputowani w znacznej liczbie obecni tej uroczystości, zaczęli dawać oklaski, lecz powstrzymał ich w tem p. Lanjuinais mówiąc, że to jest z ujmą dla panującego, lubo Napoleon tym razem byłby im przebaczył chętnie ten brak szacunku. Z zakazu tego większość była niezadowolona, uznając bowiem w Napoleonie obrońcę rewolucji i Francji, była dla niego z całem poświęceniem. Przy wyjściu dawały się słyszeć rozmaite zdania; przyjaciele Napoleona oburzali się na stronnictwo zagraniczne nieprzyjaciele znów

głosili, że trzeba wydać postanowienie niedopuszczające rozwiązania izb, które, zdaniem ich, byłoby pierwszym czynem Napoleona po odniesionem zwycięztwie. Niebaczni, zapomieli, że dekret taki byłby pierwszem pogwałceniem ustawy. Ogół wszelako mający głównie na celu patrjotyczną pracę przekształcenia praw, myślał tylko o wyborze komissji mającej zająć się przejrzeniem i zlaniem w jednę całość wszystkich ustaw cesarskich.

Rozstawszy się z izbami, Napoleon, tegoż jeszcze wieczoru w Niedzielę, przygotował się w podróż, pożegnał ministrów, udzielił marszałkowi Davout, naczelnemu komendantowi Paryża, ostatnie instrukcje co do obrony stolicy, serdecznie uścisnął Carnota za jego dowody życzliwości, chłodno pożegnał Fouché'go i ostatnie chwile z rodziną i najbliższemi przyjaciołmi przepędził. Czując zbliżającą się chwilę walki, nabrał niejakiej wesołości, wkrótce bowiem pod swemi stopy miał uczuć grunt, po którym przywykł stąpać jako władzca. Serdecznie uścisnąwszy swoją przybraną corkę, królowę Hortensję, i podając rękę pani Bertrand, rzekł siadając do powozu: Mam nadzieję, pani, że wkrótce nie będziemy żałować wyspy Elby!—Niestety, zbliżała się chwila, w której żałować miał wszystkiego, nawet najczarniejszych dni swoich! Wyjazd Napoleona nastąpił w dniu 12 Czerwca, o godzinie 3-ej, minut 30 z rana.

Do okresu więc działań wojennych, które, jak wkrótce ujrzemy, prędko się ukończyły, Napoleon przeżył tę ponurą, fatalną epokę tak zwanych Stu Dni, epokę, która się rozpoczęła nadzwyczajnym tryumfem, a zmieniła nagle w przeszkody, gorycze i ponure przeczucia! Sprzeczności te łatwo zresztą wytłomaczyć: od Porto-Farrajo do Paryża, czyli od dnia 20 Marca, Napoleon postępował w obec błędów Burbonów i ztąd owe tryumfy z Porto-Ferrajo do Cannes, z Cannes do Grenobli, z Grenobli do Lyonu, z Lyonu do Paryża. Zdawało się, że los opiekujący się swoim ulubieńcem, wysilał się na wspieranie go, udzielając już to przyjazny wiatr jego flotylli, już nastręczając ludzi sprawie jego całą duszą wylanych. Ale jak skoro stanął w Paryżu, ujrzał się nie w obec burbońskich, ale swoich błędów, błędów nagromadzonych w czasie pierwszego panowania, i wtedy-to cały jego genjusz, a nawet okazany żal stały się bezsilnemi. Ów traktat paryzki, odrzucany przez niego w 1814 r., choćby mu przyszło tron utracić, przyjmował teraz bez wahania, i z pokorą, godną zresztą jego sławy, sam od Europy domagał się pokoju.—Nie, odpowiadała Europa, ofiarujesz wprawdzie pokój, ale go szczerze nie pragniesz.—I wtedy odpychała proszącego aż do zamknięcia granic dla jego wysłańców. Wtedy Napoleon zwrócił się do Francji dając jej w ofierze prawdziwą wolność, bo jakkolwiek charakter jego nie znosił więz-

zów, genjuszem swoim łatwo przeniknął, że niepodobna było rządzić bez spółudziału narodu wtedy zwłaszcza, kiedy ku temu pozostawał tylko jeden środek, to jest wolność. Francja wprawdzie nie odmówiła jak Europa, ale okazała powątpiewanie; aby ją więc przekonać, Napoleon ujrzał się w konieczności zwołać zaraz izby, owe izby zawzięte, nieubłagane, rozdzielone na partje, które zamiast poparcia przeciw Europie, niezgodami się dzieliły. Tak więc odepchnięty od Europy, wątpliwie przyjęty przez Francję w chwili w której właśnie całego poparcia od niej oczekiwał, Napoleon, po dwudziestu dniach radości, w głęboki popadł smutek, a który chwilowo rozpraszały starania nad ogromadzeniem szczątków owej walecznej a nieszczęśliwej armji z pod Waterloo! Tak więc odniósłszy tryumf nad błędami Burbonów, a upadając pod swemi, po tylu danych z siebie naukach, Napoleon dał jeszcze to ostatnie z siebie widowisko, tragicznością swoją inne przewyższające, to jest obraz genjuszu szczerze lecz napróżno win swoich żałującego! Lecz dodajmy, że z drugiej strony, wpośród tych zmiennych kolei losu, tych dwudziestu dni krótkiego wesela, a stu dni smutku śmiertelnego, najgłówniejszy aktor tej wielkiej sceny, nie mający ani dnia uciechy, była Francja, ta nieszczęsna ofiara błędów Burbonów i Napoleońskich, pokutująca i ukarana za ich dopuszczenie. Smutny zaiste nasz wiek, mianowicie dla tych którzy pierwszą jego połowę przeżyli! Oby następne po nas pokolenie, drugą połowę tego stulecia zapełnić mające, szczęśliwsze dla siebie dnie ujrzało! Oby tylko następcy nasi chcieli uwierzyć, że tylko korzystając z nauk w jakie ta pierwsza połowa wieku obfituje, a które historja na jaw postawić usiłuje, mogą ujrzeć i zasłużyć na szczęśliwszą przyszłość.

KSIĘGA SZEŚĆDZIESIĄTA.

WATERLOO.

Zgromadzone przez Napoleona siły do rozpoczęcia kampanji 1815 r.— Po zaopatrzeniu twierdz w żołnierza, zostawieniu w Paryżu i Lyonie dostatecznej liczby wojska i utrzymaniu Wandei, pozostało mu 124 tysięcy ludzi w szeregu do rozpoczęcia kroków zaczepnych na północy.— Oczekując jeszcze miesiąc Napoleon miał by 100 tysięcy żołnierza więcej.— Postanowił przecież działać zaczepnie, a to ze względu, by nie dozwolić nieprzyjacielowi wtargnięcia do najpiękniejszych i najbardziej poświęconych prowincji francuzkich, a nadto z powodu, że skierowana na wschodnie granice Francji wojska, nareszcie, daleko więcej będąc oddalone od działających na północy, robiły nadzieję pobicia z kolei jednych po drugich.— Pomysły Napoleona do nagłego skupienia wojska i rzucenia go na Anglików i Prusaków, gdy ci nie będą spodziewać się jeszcze jego ukazania.—Dnia 15 Czerwca o 3ej godzinie rano Napoleon rozpoczął działanie, zdobył Charleroy, rozbił Prusaków i zajął stanowisko pomiędzy dwoma armjami nieprzyjacielskiemi.—Prusacy oparci o Liège, a Anglicy o Bruksellę, mogą się tylko połączyć drogą prowadzącą z Namur do Brukselli, przechodząc przez Sombreffe i Quatre-Bras.— Napoleon więc postanowił zwrócić się prawem skrzydłem i środkiem w Sombreffę i wydać bitwę Prusakom, podczas gdy Ney zatrudni lewem skrzydłem Anglików w Quatre-Bras.— Bitwa pod Gilly na drodze do Flerus —Wahanie się Neya w Quatre-Bras.— Pomimo tego wahania się 15 Czerwca po południu wszystko poszło po myśli Napoleona, który stanął pomiędzy dwoma armjami nieprzyjacielskiemi w ten sposób, że nazajutrz może zgnieść Prusaków, za nim Anglicy pośpieszą im z pomocą.— Rozporządzenia na 16 Czerwca.— Napoleon zmuszony rozpocząć bitwę z Prusakami dopiero po południu, a to aby dać swym wojskom do wejścia na linję.— Wydany rozkaz Neyowi, aby za jaką bądź cenę zdobył Quatre-Bras i następnie wysłał kolumnę na tyły Prusaków.— Około południa Napoleon ukazuje się na prost Flerus — Gotowość Blüchera do przyjęcia bitwy i stanowisko jakie zajął przed Sombreffe po za wsiami Saind-Amand i Ligny.—Bitwa pod Ligny toczona od 3ej do 9ej godziny wieczorem.— Uporne trzymanie się Prusaków w Saind-Amand i Quatre-Bras.—Powtórny rozkaz do Neya, aby zajął Quatre-Bras i wysłał kolumnę na tyły Saint-Amond.—Napoleon widząc, że jego rozkazy zostały niespełnione, tworzy nowe plany i na czele gwardji przecina linję Prusaków powyżéj Ligny.— Stanowcze skutki tego pięknego pomysłu.— Wojska pruskie odrzucone zostały z wielkiemi stratami po za Sombreffe, a Napoleon stał się panem wielkiej drogi prowadzącej z Namur przez Quatre Bras do Brukselli.— Podczas krwawej tej pod Ligny rozprawy, Ney obawiając się mieć do czynienia ze wszystkiemi siłami angielskiemi, utracił odpowiednią do działania chwilę i wystąpił dopiero wówczas, gdy już skupiły się wojska angielskie, skutkiem czego zdołał je tylko powstrzymać; ze swej zaś strony d'Erlon ciągnąc się już to ku Ligny już też ku Quatre Bras, traci dzień cały bezużytecznie dla walczących.— Pomimo tego wszystkiego plany Napoleona powiodły się, gdyż pobił Prusaków odosobnionych od Anglików, a nazajutrz jest w możności pobić Anglików odosobnionych od Prusaków.— Rozporządzenia na 17 Czerwca.— Napoleon chcąc czuwać nad Prusakami,

uzupełnić ich klęskę, a nadewszystko trzymać w oddaleniu podczas gdy będzie miał do czynienia z Anglikami, odłącza prawe swe skrzydło pod marszałkiem Grouchy, rozkazując mu jednak wyraźnie, aby ciągle się z nim stykał.—Prawe to skrzydło składało się z wojsk Vandamma i Gérarda, strudzonych bitwą pod Ligny; środek zaś złożony z korpusu Lobau, gwardji i rezerwy jazdy, skierował ku Quatre-Bras dla połączenia się z Neyem i uderzenia na Anglików.—Rozporządzenia te zajęły część poranku 17 Czerwca, następnie Napoleon wyruszył za wojskami aby stanąć na ich czele.—Zdziwienie jakiego doznał spotykając Neya, który miał tworzyć czoło kolumny, nieruchomego po za Quatre-Bras.—Ney bowiem sądząc, że całe siły angielskie ma przeciw sobie, oczekiwał przybycia Napoleona.—Opóźnienie to długo zatrzymało wojska przy przejściu przez Quatre-Bras.—Burza jaka nawiedziła te okolice i powstało skutkiem niej błoto.—Doskonałe wyrobienie wojska.—Bitwa tylnej straży w Genappe.—Napoleon ściga wojska angielskie, które zatrzymały się na płaskowzgórzu Mont-Saint-Jean przed lasem Soignes.—Opisanie okolicy.—Plany księcia Wellington—Zamierza utrzymać się na płaskowzgórzu Mont-Saint-Jean, i doczekać się tu Prusaków, aby połączonémi siłami stanowczą stoczyć bitwę.—Blücher jakkolwiek niezadowolony z Anglików za bitwę 16 Czerwca, kazał im jednak oświadczyć, że 18 Czerwca znajdzie się na ich lewém skrzydle przed lasem Soignes.—Długi rekonesans wykonany 17 wieczorem przez Napoleona pod gradem kul.—Żywe jego zadowolenie z powziętego przekonania, że Anglicy zamierzają przyjąć bitwę.—Jego ufność w powodzenie.—Rozkaz wydany Grouchemu, aby się zbliżył i wysłał oddział dla zajścia tyłu lewemu skrzydłu Anglików.—Poruszenia Grouchego w dniu 17 Czerwca.—Bezużytecznie postępuje za Prusakami drogą ku Namur i nie spostrzegł ku wieczorowi ich marszu ku Wavre.—Zwrócił wówczas ku Gembloux swą piechotę, która przez cały dzień zrobiła tylko półtrzeci mili francuzkiej.—Tak blisko jednak Grouchy znajdował się Prusaków, że gdyby 18 Czerwca o 4ej zrana wyruszył, toby się był znalazł na ich śladzie i uprzedził we wszystkich kierunkach.—Napisał 17go wieczorem do Napoleona, że jest pewnym ich śladu i że dołoży starań aby utrzymać ich odosobnionych od Anglików.—Napoleon kilka razy wstawał w nocy dla zwrócenia uwagi na poruszenia nieprzyjacieła.—Obozowe ognie Anglików najmniejszej nie sprawiały wątpliwości, że gotowi są do przyjęcia bitwy.—Deszcz przestał dopiero padać o godzinie 6ej zrana; Drouot w imieniu artylleryi oświadczył, że skutkiem tego dopiero o 10ej lub 11ej można będzie rozpocząć działania.—Napoleon też postanowił wstrzymać się z bitwą aż do tej chwili.—Jego plany na tę bitwę.—Zamierza przewrócić lewe skrzydło Anglików na ich środek i opanować drogę prowadzącą do Brukselli, która prowadzi przez las Soignes.—Podział sił.—Postawa dwóch armji.—Napoleon przespawszy się chwilę, zajął stanowisko na wzgórzu przed folwarkiem Belle-Alliance.—Przed wydaniem rozkazów do rozpoczęcia walki, wyprawił do Grouchego oficera z uwiadomieniem o stanie rzeczy i z rozkazem, aby przybywał stanąć na prawém skrzydle.—O pół do dwunastej rozpoczął się ogień.—Wielka baterja na czele wojsk francuzkich, na zabój strzelała na linję angielską — Zaledwie rozpoczął się ogień, spostrzeżono w oddaleniu kurz na prawém skrzydle.—Lekka jazda wysłana na zwiady.—Atak lewego skrzydła francuzkiego, dowodzonego przez generała Reille na las i zamek Goumont.—Las i sad zostały wzięte pomimo oporu nieprzyjaciela, lecz zamek niezdobyty.—Zgubny opór w zdobyciu tego stanowiska.—Wysłana na zwiady jazda doniosła, że to Prusacy nadchodzą.—Nowy oficer wysłany z rozkazem do Grouchego.—Hrabiemu Lobau polecono powstrzymać Prusaków.—Uderzenie środkiem na drogę brukselską celem zdobycia Haye-Saint, jak niemniej prawem skrzydłem dla wyparowania Anglików z płaskowzgórza Mont-Saint-Jean.—Ney kieruje obydwoma temi natarciami.—Francuzcy żołnierze wzięli sad w Haye-Saint, lecz nie zdołali opanować zabudowań folwarcznych.—Uderzenie generała d'Erlon na lewe skrzydło angielskie.—Zapał wojska.—Stanowisko zostało już wzięte i Francuzi mieli ukazać się na płaskowzgórzu Mont-Saint-Jean, gdy w tém wściekłe uderzenio dragonów szkockich odparło nacierających.—Napoleon wyrzuca kirysjerów przeciw dragonom szkockim.—Straszna rzeź dragonów.—Pomimo że odparcia d'Erlona zostało naprawioném potrzebuje on przecież atak swój na nowo rozpoczynać.—W tej chwili daje się uczuwać nadejście Prusaków i Lobau przebiega pole bitwy dla stawienia im czoła.—Napoleon zawiesza działanie przeciw Anglikom, rozkazuje Neyowi zdobyć Haye-Saint, dla zapewnienia sobie punktu oparcia w środku i trzymania się na tem stanowisku

aż do ocenienia sił pruskich.— Hrabia Lobau odpiera pierwsze dywizje Bulowa.— Ney uderza i zdobywa Haye-Saint.— Jazda angielska rzuca się na niego, ale ją odpiera i ściga na płaskowzgórze.— Spostrzegł wówczas artylierję angielską, która zdawała się być opuszczoną, dla tego sądzi, iż nadeszła chwila do wymierzenia stanowczego ciosu.— Zażądał posiłków i Napoleon wysłał mu dywizję kirasjerów, aby mógł złączyć się z generałem Reille około zamku Goumont.— Ney dostawszy kirasjerów, uderza nimi na Anglików i przewraca ich pierwszą linję.— Cała rezerwa jazdy i cała jazda gwardji pociągnięte przez niego wspierają jego poruszenia bez rozkazu cesarza.—Nadzwyczajna walka jazdy.— Ney dokazuje cudów i żąda od Napoleona piechoty dla uzupełnienia klęski wojsk angielskich —Zajęty zażartą przeciw Prusakom bitwą, Napoleon nie może dać Neyowi piechoty, gdyż mu tylko gwardja pozostała.— Rozkazał oświadczyć Neyowi, aby się trzymał jak może na płaskowzgórzu, przyrzekając mu zarazem, że sam pośpieszy na dokończenie bitwy z Anglikami, skoro się tylko załatwi z Prusakami.—Napoleon na czele gwardji straszną toczy walkę z Prusakami.— Bülow rozbity ze znacznemi stratami.— Następnie Napoleon zwraca gwardję i prawe skrzydło na środek i tworzy kolumny atakowe dla zakończenia bitwy z Anglikami.— Pierwsze uderzenie czterech bataljonów gwardji na piechotę angielską.— Bohaterstwo tych bataljonów. Podczas gdy Napoleon wspiera je sześcioma innemi bataljonami, nagle zaskoczony został na skrzydle przez pruski korpus Ziethena, który na ostatku wszedł na linję bojową.— Straszne zamięszanie.— Książę Wellington rozpoczął wówczas działania zaczepne, a wojska francuzkie znużone, naparte na czole, na skrzydle i na tyłach, nie mając żadnego korpusu któryby je mógł wesprzeć, pogrążone w ciemności nocnej, nie widząc już Napoleona, przez kilka godzin znajdowały się w stanie zupełnego nieładu.— Odwrót w rozsypce na Charleroy.— Działania Grouchego w tym dniu opłakanym.— Za odezwaniem się dział pod Waterloo, wszyscy jenerałowie żądali, aby szedł w tym kierunku.— Nie rozumiał tych rad i nie chciał zastosować się do nich.— Jak łatwo mu było ocalić armję.—Wieczorem poznał całą prawdę i poczuł gorzkie wyrzuty.— Charakter tej ostatniej kampanji i prawdziwe przyczyny klęski wojsk francuzkich.

omimo całej czynności, jaką Napoleon rozwinął w przeciągu dwóch i pół miesięcy, to jest od 25 Marca do 12 Czerwca, otrzymane skutki nie odpowiedziały ani jego usiłowaniom, ani oczekiwaniom, ani też potrzebie. Z początku liczył na 150 tysięcy żołnierza, z którym miał się rzucić przez granicę północną na Anglików i Prusaków; następnie, po wypadkach Wandei spodziewał się mieć przynajmniej 130 tysięcy ludzi w szeregach, lecz w końcu pokazało się, że tylko 124 tysiące walczących mógł wyprowadzić w pole przeciw nieprzyjacielowi. Ocenienie tych zadziwiających skutków każdemu jest możliwem, ktokolwiek zastanowi się nad okolicznościami z jakiemi ma do walczenia rząd w trudnem położeniu. Jak to widzieliśmy poprzednio, Napoleon obejmując najwyższą władzę w dniu 20 Marca, znalazł 180 tysięcy ludzi w szeregach woj-

skowych, z których potrąciwszy niefrontowych, jak żandarmów, weteranów, sztaby, roty karne i t. p., co wynosiło wówczas 32 tysiące, pozostawało 148 tysięcy pod bronią. Z liczby tej przeznaczywszy odpowiednie oddziały na załogi twierdz i na utrzymanie spokojności w różnych częściach kraju, pozostawało zaledwie 30 tysięcy żołnierza, któregoby użyć można przeciw wkraczającemu nieprzyjacielowi na którejkolwiek granicy. Taki jest rzeczywisty stan rzeczy i nie zadziwi on tych, którzy trzymali już w swych rękach ster rządu wielkiego państwa.

Dla tém śpieszniejszego wyjścia z takiej bezsilności, Napoleon powołał pod broń 50 tysięcy urlopowanych żołnierzy, co podniosło jego siły z 180 na 230 tysięcy, a następnie starych żołnierzy, których stawiło się tylko 70, a nie 90 tysięcy jak to obliczał, a to z powodu, że wielka ich liczba wstąpiła poprzednio do uruchomionej gwardji narodowej. Ostatni ten środek podniósł siły wojska w dniu 12 Czerwca nie do 300 lecz 288 tysięcy, gdyż z liczby 70 tysięcy żołnierzy 12 tysięcy znajdowało się jeszcze w drodze, śpiesząc do armji. Pozostawał jeszcze pobór z 1815 roku, wynoszący 112 tysięcy ludzi, z których 40 tysięcy można było natychmiast wcielić w szeregi, a 66 tysięcy dopiero po ogłoszeniu prawa nakazującego rzeczony pobór, jak to już poprzednio wyłożyliśmy. Oględne postępowanie pod względem poboru było przyczyną, że ani jeden rekrut nie był dotąd ściągniety. Uruchomione gwardje narodowe, które z wielką gorliwością odpowiedziały na wezwanie rządu, dostarczyły już 170 tysięcy ludzi, z których 138 tysięcy stanęło już 12 Czerwca, a 32 tysięcy było gotowe do stawienia się pod chorągwie. Z tych 138 tysięcy gwardji narodowych, 50 tysięcy podzielone na dywizje czynne, składały główną część korpusu Rappa nad Renem, Lecourba w okolicach Befort, Sucheta w Alpach. Pozostałe 88 tysięcy rozesłano po twierdzach jako załogi. W obecnej przeto chwili wojska linjowe, jedynie czynne, liczyły 288 tysięcy żołnierza pod bronią i 256 tysięcy ludzi niefrontowych, jak żandarmów, weteranów i t. p. Rozdział ich był następujący: 66 tysięcy w zakładach pułkowych; 20 tysięcy tworzyło jądro korpusu Rappa; 12 tysięcy Sucheta; 4 tysiące korpusu Lecourba. Zresztą korpusy te wypełnione były gwardjami narodowemi. Dalej, 4 tysiące żołnierza przeznaczono na załogę do Awinjonu; 7 do 8 tysięcy do Antibes pod marszałkiem Brune; 4 tysiące do Bordeaux pod jenerałem Clausel; w końcu około 17 do 18 tysięcy zajmowało Wandeję. Pozostawało więc 124 tysięcy do działania na granicy północnej pod bezpośredniemi rozkazami Napoleona, a byli to żołnierze najzdolniejsi do noszenia broni, zawsze obecni w szeregach i nie robili nigdy obawy, aby mniej ich pokazało się rzeczywiście aniżeli obejmowały kontrolle wojskowe.

Każdy dzień upływający zwiększał te siły, z któremi wkrótce już miało się połączyć 12 tysięcy starych żołnierzy, 46 tysięcy popisowych z 1815 roku, 30 do 40 tysięcy uruchomionej gwardji narodowej, czyli w ogóle około 100 tysięcy ludzi, co pozwalało ściągnąć z zakładów wojskowych w szeregi wojskowe 40 do 50 tysięcy rekrutów, jak niemniej rozdzielić pomiędzy dywizje czynne jakie 30 tysięcy uruchomionej gwardji narodowej. Jeden miesiąc czasu był wystarczającym na osiągnięcie tych skutków, a przypuściwszy dwa miesiące zwłoki, to wojska linjowe mogły liczyć 400 tysięcy żołnierza, a uruchomione gwardje narodowe 200 tysięcy walczących. Wojska te zaopatrzone były we wszelkie potrzeby. Wojska linjowe dostały broń nową, a gwardje narodowe wyszły z naprawy. Gwardje narodowe przeznaczone na załogi uzbrojone były wprawdzie bronią starą, ale naprawa tejże przeprowadzała się stopniowo. Zapasy artyllerji w wielkiej nagromadzone były obfitości i tylko pociągi pozostawiały jeszcze wiele do życzenia. W dniu 20 Marca Napoleon znalazł 2 tysiące koni pociągowych, do których dokupił u wieśniaków 6 tysięcy i ściągnął nadto 10 tysięcy, z których część wcielona już została do korpusów. Armja północna liczyła 350 dział na linji, co było rzeczą aż nadto wystarczającą, gdyż przypadało 3 działa na 100 ludzi. Jazda liczyła 40 tysięcy koni i miano nadzieję podnieść tę liczbę do 50 tysięcy. Była ona wyborną, gdyż wszystkie konie były dobre, a jeźdzcy wyrobieni. Umundurowanie było prawie zupełne, pomimo, że znajdowali się żołnierze przybrani tylko w kaftany i płaszcze. Gwardje narodowe żaliły się, że nie otrzymały jeszcze przepisanego dla niej umundurowania, to jest bluzy niebieskiej z kolorowym kołnierzem, gdyż dotychczasowa rozmaitość ich ubiorów przedstawiała ich w oczach nieprzyjaciela jako zrewoltowanych chłopów a nie żołnierzy regularnego wojska. Przy licznych zajęciach, prefekci nie posiadający często odpowiednich funduszów, nie byli w możności wygotować na czas pomienionego umundurowania, czem wywołali niezadowolenie gwardzistów, pomimo że ożywieni byli najlepszym duchem.

Tak więc w przeciągu dwóch i pół miesięcy Napoleon wydobył Francję ze stanu zupełnej niemocy, gdyż nie znalazłszy w dniu 20 Marca na żadnym punkcie jakiejkolwiek siły, w dniu 12 Czerwca zgromadził na granicy północnej 124 tysiące żołnierza zaopatrzonego we wszystko i zdolnego, gdyby tylko los nie zawiódł, do zupełnego przekształcenia rzeczy. W górach Jura i Alpach znajdowały się zawiązki armji, z których mógł cesarz natychmiast stworzyć korpusy zdolne do mierzenia się z najezdcami. Twierdze posiadały silne załogi, a każdy dzień setkami zwiększał liczbę obrońców ojczyzny. Niektórzy surowi sędziowie prze-

szłości zapytają, dla czego 40 tysięcy żołnierza zostało wcielone do korpusów Rappa, Lecourba i Sucheta, gdzie były bezużyteczne, gdy tymczasem zwiększając siły pod rozkazami Napoleona, stanowczo przechyliłyby zwycięztwo; lecz tego rodzaju sądy najmniejszej nie mają zasady. Nie można było pozostawić bez obrony ani Renu, ani Alp, ani gór Jurajskich, owszem, punkta te wypadało umocnić wojskiem, któreby na wszelki wypadek zdolne było powstrzymać napad z tej strony. Napoleon siły te złożył po większej części z uruchomionych gwardji narodowych, a że potrzebowały wzmocnienia, przeto 20 tysięcy dodane do korpusu Rappa, 4 tysiące do Lecourba i 12 tysięcy do Sucheta, podniosły w gwardjach ducha, a przytem zaopatrzyły je w broń specjalną, jako to: artylerję i inżenierje, których wpierw nie posiadały. Rapp liczył więc pod swemi rozkazami 40 do 45, Lecourb 12 do 15, a Suchet 30 do 32 tysięcy; gdyby zatem Napoleon po zgnieceniu Prusaków i Anglików zwrócił się nad Ren, celem stawienia czoła ciągnącym od wschodu Austrjakom i Rossjanom, znalazłby wtedy armję liczącą 120 tysięcy żołnierza, jeśliby choć 70 do 80 tysięcy z sobą przyprowadził. Wprawdzie, nie mógł on mniej zrobić dla Renu, Jura i Alp, lecz rozdzielając w ten sposób swe siły, czynił to z konieczności, a pozostawiał pod swemi rozkazami siły dostateczne. Można nawet powiedzieć, że ze wszystkich wodzów starożytności i nowszych czasów, on jeden tylko znał sztukę rozdzielania sił w ten sposób, że na każdy punkt słał tylko konieczny oddział i pozostawiał przy sobie korpus odpowiedni na otrzymanie stanowczego zwycięztwa. Klęska 1815 roku w niczem nie osłabia prawdy.

Skreślone powyżej położenie jasno przekonywa, jak nierozważny był pomysł wyruszenia nad Ren po dniu 20 Marca, a to celem skorzystania z zapału wywołanego cudownym powrotem z Elby. W wykonaniu bowiem tego planu można było napotkać trzy lub cztery razy większe siły, utrudniałoby się, a nawet uniemożliwiało skutkiem oddalenia wzmocnienie pułków, nakoniec, Napoleon byłby oburzył przeciw sobie tych wszystkich, którzy chcieli wyczerpać wszelkie możliwe środki dla utrzymania pokoju, a którzy jemu tylko przypisywaliby i tak samo przez się nieuniknioną wojnę. Jeżeli więc zamiar wydobycia wojsk z nicości w jakiej było w dniu 20 Marca i wykazania nieprzyjaznych dążeń Europy, był wynikiem wysokiego rozsądku i przezorności, w takim razie ważne powstaje pytanie, czy po wyczekiwaniu do połowy Czerwca nie byłoby lepiej oczekiwać jeszcze do połowy Lipca lub Sierpnia, a to aby dojść do tej stanowczej chwili, w której siły francuzkie w dostatecznej całości byłyby wystawione.

Na czele armji północnej, Blücher i Wellington postanowili stać do

czasu, w którymby armja wschodnia pod rozkazami Schwarzenberga nie była w możności wystąpienia na linje bojową, co dałoby Francji możność jeszcze przez miesiąc wstrzymania kroków nieprzyjacielskich, a czas ten byłby odpowiednim do należytego sił rozwinięcia. Nadto, ten zakres czasu dozwoliłby ściągnąć do armji resztę starych żołnierzy, popisowych z r. 1815 i uruchomione gwardje narodowe, coby podniosło siły francuzkie obecnie 124 tysiące wynoszące, o jakie 100 tysięcy ludzi, a wtedy Napoleon miałby co najmniej 200 tysięcy walczących do rozporządzenia. Na przypuszczenie zaś, że trzymając się tego planu można było, podobnie jak w 1814 r., spowodować wtargnienie nieprzyjaciela w głąb kraju, odpowiadamy, że obie armje sprzymierzonych, postępując bez żadnej przeszkody, mogły być na 1 Sierpnia, jedna w Langres, a druga w Laon. Ale przez ten czas zakłady wojenne mogłyby daleko większą liczbę ludzi dostarczyć do pułków, a Rapp opuszczając Alzację połączyłby się z Napoleonem, który w tym razie znalazłby się na czele 250 tysięcy żołnierza pod bezpośredniemi swemi rozkazami. Oprócz tego, Paryż napełniłby się marynarzami, ochotnikami i liczyłby 100 tysięcy obrońców; Lyon znów otoczony wałami miałby dostateczną obronę z marynarzy tulońskich i uruchomionych gwardji narodowych Delfinatu, Franche-Comté i Owernji; Suchet połączony z Lecourbem stanąłby pod Lyonem na czele 80 tysięcy walczących, i wówczas kiedy Suchet oparty o Lyon zasłaniałby południe, Napoleon działając na czele 250 tysięcy żołnierza i mając poza sobą dobrze broniony Paryż, zabezpieczyłby z pewnością północ i skutki kampanji nie byłyby wątpliwe, pomimo że sprzymierzeni na 500 tysięcy obliczali swe siły, a z tych 100 tysięcy musiało stać w tyle. Otóż, przypomiawszy sobie, że Napoleon w r. 1814 działał mając tylko pod ręką 70 tysięcy żołnierza, gdy Paryż nie miał ani jednego działa, ani jenerała na swoją obronę, a Lyon powierzony nieudolności jenerała Augereau, nie można wstrzymać się od żalu, powtórzemy, że w pomysłach tego wielkiego wodza, system odporny nie odnosił pierwszeństwa nad zaczepnym. Przypuszczalny ten plan odporny pomimo że tak korzystnie przedstawia się na pierwszy rzut oka, miał w sobie dość ważną ujemną swą stronę. Wymagał bowiem opuszczenia bez wystrzału najbogatszych i najpatrjotyczniejszych prowincji francuzkich wschodnio-północnych, wydawał w moc nieprzyjaciela ogromne ich zapasy, wystawiał je same na łup powtórnego najazdu, kiedy one ucierpiały tyle podczas pierwszego, kiedy prawie same wystawiły 170 tysięcy uruchomionej gwardji narodowej, która ściągnięta w głąb kraju, pozostawiała bez obrony od srogości najazdu domowe swe ogniska. W tym więc razie, oprócz bezmiernej ofiary, popełniłoby się nawet

okrucieństwo, niewdzięczność, a nadto, okazałby się rodzaj słabości w obec Francji trawionej niespokojnością i upoważnionej tem samem do mniemania, że podobne postępowanie rządu o wielkiej jego nędzy daje świadectwo. Nadto, stronnictwo liberalne i rojalistowskie popadłoby w zwątpienie, stronnictwo zaś rojalistowskie niezwykłej nabrałoby otuchy. Wzburzone aż nadto umysły Paryżan i izb, przeraziłyby się, rozjątrzyły i w większy jeszcze popadły rozbrat. To też wydanie nieprzyjacielowi Alzacji, Franche-Comté, Lotaryngji, Burgundji, Szampanji, po ogołoceniu ich poprzedniem z najsilniejszej obrony, dałoby dowód widocznej niemocy, a dodało odwagi nieprzyjaciołom, zniechęciłoby przyjaciół i poświęciło dwu-miesięczne poświęcenia tych prowincji na najokropniejsze klęski; wreszcie, postawiłoby izby w ustawicznej niepewności, na co Napoleon w przezorności swojej żadną miarą nie mógł zezwolić.

Z jednego tylko planu Napoleon oka nie spuszczał, ze wszystkich stron go oglądał, w bystrości swego umysłu nigdy o nim nie wątpiąc. Dwie zmierzające przeciw Francji armje znajdowały się od siebie o 100 mil francuzkich; druga zaś, to jest wschodnia, dopiero w połowie Lipca mogłaby wystąpić na linję bojową, czyli o cały miesiąc później od armji północnej, a ztąd w żadnym razie wojska wspierać obecnie nie był w możności. Blücher i lord Wellington rozłożyli się ponad granicą francuzką od północy, za m. Charleroy; wszelako pomimo takiego zbliżenia nie byli tak połączeni, aby nie można było wpaść pomiędzy wojska angielskie a pruskie i ważne przeprowadzić plany. Pierwszy z nich miał za podstawę Bruksellę, a drugi Liège. Posunięciem licznych posterunków nad brzegi rozdzielającej ich rz. Sambry starali się oni połączyć z sobą, lecz ruchy te wykonywane były dość nieudolnie; Napoleon zaś jednym rzutem oka z Paryża dokładnie ocenił punkt, na którym mógł stanąć pomiędzy dwoma nieprzyjacielskiemi korpusami, pobić najprzód Prusaków, odeprzeć ich ku Mozelli, a po Prusakach pogromić Anglików, przycisnąć ich do morza i tem jednem uderzeniem przerazić całą Europę, sprawić rozdział stronnictw w parlamencie angielskim i zatrwożyć gabinet austrjacki. Po tem pierwszem załatwieniu się z armją północną mógłby zwrócić się ku armji wschodniej, i gyby mu szczęście wojenne posłużyło w tym miesiącu, w którym armja jego miała zwiększyć swe siły o 100 tysięcy żołnierza, w takim razie ożywioném wojskiem rzucając się na Schwarzenberga, mógłby go wyprzeć za Ren i jeśliby tylko nie był zbyt wymagającym, wymódz zaszczytny pokój na rozbitej polityce europejskiej. Przypuszczając nawet że plany te były tylko marzeniem, że tak śmiałe wystąpienie nie przyniosłoby spodziewanych skutków, to w każ-

dym razie niby mu nie przeszkadzało przejść z zaczepnego do odpornego działania, to jest, do rozprawiania się o każdą piędź ziemi ojczystej, którą tak dzielnie bronił w r. 1814, i po wyczerpaniu wszelkich środków pierwotnego planu, przejść do drugiego, bez narażenia na szwank swej sprawy. Alzacja, Franche-Comté, Lotaryngja, Burgundja, Szampanja nie mogłyby utyskiwać, gdyby je opuścił po upornej walce, przechodząc zaś przy takich planach z zaczepnej do odpornej taktyki, nie opuściłby ani jednej sposobności osiągnienia korzyści tak dla tych prowincji jak i dla siebie.

Jeden tylko dość ważny planom tym można było uczynić zarzut. Rzucając się śmiało pomiędzy angielskie a pruskie wojska, można było narazić się na ogromną klęskę, a wtedy wszystkie środki tak troskliwie zebrane, bardzo prędko w samym rządzie zniweczone być mogły. Dla tej to przyczyny obawiał się Napoleon śpiesznego zwołania izb, gdyż jedna zadana mu porażka, mogłaby izby do szału doprowadzić. Lecz czyn już był spełniony: potrzeba więc było co rychlej dodać otuchy izbom, krajowi i w ogóle wszystkim przez odniesienie stanowczego zwycięztwa. Bystrym swym poglądem Napoleon dostrzegł możność olśnienia wszystkich świetnem zwycięztwem i jako wódz natchniony niecierpliwił się już za niém. Duch polityki zasadza się bardzo często na umiejętności wyczekiwania, gdy tymczasem duch wojny winien jak najprędzej dojrzeć stronę na którą uderzyć wypada i uderzyć bezzwłocznie. Każda jednakże znakomitość ma wrodzone sobie usterki i można powiedzieć, postępuje po swojemu. Napoleon też skutkiem położenia i wrodzonego charakteru postanowił rzucić się najprzód na Anglików i Prusaków mając 124 tysiące żołnierzy pod ręką, aby następnie wzmocniony spodziewanemi posiłkami, skutecznie mógł działać przeciw Rossjanom i Austrjakom. Postanowiwszy więc działać według tego planu, przygotował go z jak największą ścisłością rachunkową, i pierwsze ruchy, jak to wkrótce zobaczymy, były bardzo szczęśliwe.

Podczas gdy Prusacy oparci o Liège, a Anglicy o Brukselle, podawali sobie ręce za pomocą posterunków rozrzuconych na obu brzegach Sambry, Napoleon miał swe 124 tysięczne siły rozciągnięte na długiej linji od Lille do Metz z tylną strażą w Paryżu. Należało przeto zebrać je śpiesznie, to jest, zgromadzić na jedno lub półtoro-milowej przestrzeni, bez zwrócenia uwagi na nieprzyjaciela lub przynajmniej obudzenia jej tylko w połowie. Pierwszy korpus pod jenerałem d'Erlon był w Lille, drugi pod jenerałem Reille w Valenciennes, trzeci pod Vandamme'em w Mézières, czwarty pod Gérard'em w Metz, a szósty pod Lobau'em w Paryżu, czyli pomiędzy d'Erlon'em na lewém, a Gérardem na prawém skrzy-

dle było 100, a pomiędzy czołem armji a tylną strażą, to jest od granicy północnej do Paryża, było 60 mil fran. odległości. Zgromadzenie więc wojska nie było tak łatwem do wykonania, a do czego Napoleon przystąpił w sposób następujący:

Poruszenia od Paryza do granicy wykonywane przez Soissons, Laon i Maubeuge, nie mogły nazbyt zdradzać zamiarów Napoleona, gdyż była to droga, którą od miesiąca wszystko przechodziło. Z drugiej znów strony silny oddział wojsk nieprzyjacielskich stał na granicy północnej, wojska więc musiały maszerować ku tej stronie, podobnie jak kierowały się ku Metz, Strasburgowi i Lyonowi. Potrzeba więc było dokładnie obliczać siły każdą przechodzące drogą, lecz pod tym względem nieprzyjaciel nigdy ani tak pewnych z obcego kraju nie otrzymuje wiadomości, ani jest dość czujnym dla czynienia podobnych wyrachowań, ani dość przenikliwym aby wyprowadzić prawdziwe o stanie rzeczy wnioski, wówczas zwłaszcza, gdy nie widzi na swém czele pierwszorzędnego talentu. Napoleon przeto wysyłał z kolei dywizje hr. Lobau i gwardji z całym parkiem artyllerji nie wzbudziwszy u jenerałów innego podejrzenia, jak tylko że tworzy armję północną, co nie było rzeczą do zadziwienia, gdy w tej stronie znajdowały się główne siły angielskie i pruskie. Daleko niebezpieczniejsze dla utrzymania tajemnicy były poruszenia od lewego ku prawemu skrzydłu, od Lille do Maubeuge i od prawego ku lewemu, od Metz do Maubeuge, gdyż mogły wyjawić zamiar skupienia sił koło Maubeuge, aby ztąd wyruszyć na Charleroy. Korpus Gérarda, jako najbardziej oddalony, poruszył się pierwszy; lecz na szczęście, naprzeciw Metz małe były siły nieprzyjacielskie, przeto i mało zwracano uwagi na stojące wojska. Napoleon rozkazał jenerałowi Gérard, aby w wielkiej tajemnicy wyruszył 7 Czerwca, aby zamknął bramy miasta Metz i czuwał aby nikt nie wyszedł z twierdzy, następnie, aby się skierował ku Philippeville, a obok tego, aby żaden z oficerów nie wiedział dokąd idą. Oprócz ministra wojny, nikt nie znał tego planu kampanji i sam nawet jenerał Gérard, pomimo całego zaufania, wiedział tylko jednę rzecz, to jest, że idzie na Philippeville. Jenerał d'Erlon, najbardziej po Gerardzie od środka oddalony, otrzymał rozkaz wyruszenia 9 Czerwca, czyli we 2 dni po wyruszeniu korpusu Gérard'a i do skierowania się zarówno w tajemnicy od Lille ku Valenciennes. Jenerał Reille miał wyruszyć z Valencienne 11 Czerwca, wówczas gdy d'Erlon zbliży się do tego miasta, i udać się do Maubeuge, dokąd Vandamme miał tylko jeden krok do zrobienia, znajdując się w Mézières. W każdym jednak razie poruszenia od Lille ku Valenciennes, a od Valenciennes do Maubeuge mogły się stać bardzo widoczne i dla tego Napoleon wymyślił genjalny środek na wpro-

wadzenie w błąd księcia Wellingtona, któremu daleko więcej niż marszałkowi Blücher przypisywał bystrości. Przewidział on dokładnie, że jenerał angielski który przybył morzem i o nie się opiera, największą zwróci baczność, aby został odcięty od podstawy swych działań. Rozkazał więc, aby z Lille, Dunkierki i innych miast sąsiednich, wyszły gwardje narodowe uruchomione, i aby zwijały się ku przednim strażom nieprzyjacielskim z postawą żołnierską, któraby mogła zrodzić obawę stanowczych działań. Obroty te nakazane zostały w taki sposób, aby wieść o nich mogła się rozejść, a nadewszystko widocznie były kierowane ku brzegom, a to w tym jedynie celu, aby za odebraniem przez nieprzyjaciela wiadomości o poruszeniu korpusów z Metz i Mézières, tenże nabrał przekonania, że główne siły francuzkie skierowane zostały na Lille, Gandawę i Antwerpię. Wszystkie nadto wskazówki o poruszeniach wojsk francuzkich, przypuszczając nawet, że się ma do czynienia z daleko czujniejszym nieprzyjacielem, mogły przybywać do głównej kwatery w Bruxelli we dwa, trzy lub cztery dni po rozpoczęciu obrotów, a będąc z sobą w sprzeczności, mogły tylko zaniepokoić przeciwnika nie oświeciwszy go bynajmniej o prawdziwych zamiarach, dopókiby siły francuzkie widocznie nie ukazały się na prawdziwém stanowisku. Wszystkie te korpusy były w poruszeniu, gdy Napoleon opuścił Paryż w dniu 12 Czerwca.

Wyjechawszy z pałacu Elizejskiego o godzinie w pół do czwartej z rana, Napoleon zatrzymał się chwilkę w Soissons, gdzie zwiedził wznoszące się fortyfikacje, mnogie wedle zwyczaju wydał rozkazy i udał się na noc do Laon. Nazajutrz obejrzał stanowiska na których w roku zeszłym stoczył walkę, polecił stanowiska te wzmocnić, a to celem zyskania oparcia się w razie nagłego odwrotu i wieczorem dnia tegoż przybył na noc do Avesnes. Po sprawdzeniu stanu znajdujących się tu magazynów, po wysłuchaniu nowin od szpiegów zapewniających że nieprzyjaciel jest spokojny, 14 Czerwca na noc udał się do Beaumont na granicy śród obszernego lasu położonego. Wiadomości od wszystkich francuzkich korpusów były zaspokajające. Pochód Gérarda odbył się przez Lotaryngję i Ardenny, a Prusacy zupełnie o tem nie wiedzieli. Z Lille i Valenciennes dostał nieprzyjaciel języka, lecz silne koło Lille wykonane dywersje dawały przekonanie, że Francuzi mają na widoku Gandawę, a prawdopodobnie Antwerpję. Napoleon miał więc wszystkie korpusy blisko siebie, w odległości 2 do 3 milowej jeden od drugiego, zasłonięte gęstym lasem, o czem nieprzyjaciel zupełnie nie wiedział, a co łatwo dało wywnioskować o jego bezczynności. Dnia 14 Czerwca korpusy te były tak rozłożone:

Na lewem skrzydle hr. d'Erlon znajdował się w Solre nad Sambrą

z pierwszym korpusem, liczącym około 20 tysięcy piechoty i na tejże samej linji Reille obozował w Leers-Fosteau z drugim korpusem z 23 tysięcy żołnierza złożonym. Oba ci jenerałowie przeznaczeni byli na utworzenie lewego skrzydła armji, liczącego 43 do 44 tysięcy piechoty. Na prawem skrzydle, w podwójnej odległości, jenerał Gérard rozłożył się na noc w Philippeville z czwartym korpusem, którego siła dochodziła 15 do 16 tysięcy walczących. Korpus ten miał utworzyć z czasem prawe skrzydło armji, po wzmocnieniu go różnemi posiłkami. W środku nakoniec, to jest w samém Beaumont, w promieniu jednej mili franc. znajdował się Vandamme z trzecim korpusem przybywającym z Mézières i liczącym 17 tysięcy ludzi, hr. de Lobau z szóstym korpusem uformowanym w Paryżu, który po wysłaniu oddziału do Wandei, liczył tylko 13 tysięcy żołnierza; nakoniec gwardja silna na 13 tysięcy piechoty, 5 tysięcy jazdy i 2 tysiące artyllerji, co stanowiło razem około 20 tysięcy walczących. Jak we wszystkich kampanjach tak i teraz, Napoleon pozostawiwszy każdemu korpusowi tylko tyle kawalerji ile mu potrzeba było na podjazdy, zebrał całą tę siłę w cztery korpusy, a mianowicie, lekką jazdę pod Pajolem, dragonów pod Exelmans'em, kiryssjerów pod Kellermanem i Milhaud, z których utworzył cztery wyborne rezerwy z 13 tysięcy doświadczonych jeźdźców i zachował je pod wyłączne swe rozkazy dla użycia w razie potrzeby. Nie mając do poprowadzenia tej jazdy ani Murata, ani Bessiera, ani Moutbrunna, ani Lassala, z których jednych niefortunny los, drugich śmierć dotknęła, Napoleon wybrał Grouchego, świeżo marszałkiem mianowanego, dobrego oficera jazdy, zdolniejszego do wykonania niż nakreślenia jakiego obrotu, usposobionego bardziej do spełniania aniżeli wydawania rozkazów. Do wojsk tu wyliczonych dodać jeszcze wypada 4 do 5 tysięcy żołnierzy należących do parków i pociągów, uzupełniających ogólne uzbrojenie i zgromadzonych w tej chwili dokoła Beaumont. Nigdy jeszcze trudniejsze obroty nie były szczęśliwiej przeprowadzone, gdyż 124 tysiące żołnierza i 350 dział zgromadzono na brzegu lasu, którego jedynie gęstość oddzielała od nieprzyjaciela, a tymczasem nieprzyjaciel ten nic o tem nie wiedział.

Uspo sobienie moralne tych wojsk w obec poświęcenia się dla sprawy i zapału do boju, przechodziło wszelkie oczekiwanie. Nie było ani jednego żołnierza, któryby już nie służył; najmłodsi odbywali już kampanję w 1813 i 1814 r. Dwie trzecie składało się z starych wiarusów przybyłych z odległych załog wojennych lub z niewoli angielskiej i rossyjskiej. Sprawcy rewolucji 20 Marca, tchnęli jej fanatyzmem (*). Ka-

(*) Jenerał Foy w swoim pamiętniku wojennym przez jego syna autorowi udzielonym, tak się wyraża w notatach swoich z dnia 14 Czerwca: „Wojska ożywiał duch

żde ukazanie się Napoleona wzniecało okrzyki: *Niech żyje cesarz!* okrzyki wydawane z niekłamanym zapałem i patrjotyzmem. Oficerowie przeszedłszy do linji z pół żołdu, podzielali uczucia żołnierzy! Na nieszczęście kadry były po kilkakroć zmieniane, najprzód pod Burbonami, potem pod Napoleonem, a ztąd było wielu świeżych oficerów w pułkach lubo starych w służbie, ale niedość znanych ludziom którym dowodzić mieli. Była to jedna z przyczyn ogólnej nieufności do swoich naczelników. W szeregach bowiem tkwiło to ogólne przekonanie, że nie tylko marszałkowie, lecz jenerałowie i wielu niższych oficerów pogodzili się już z Burbonami, że Napoleon zadziwił ich powrotem swym z Elby i że ztąd poświęcenie się ich w gotującej się walce będzie wątpliwem. Podejrzenie to aczkolwiek słuszne pod pewnemi względami, było niesprawiedliwém w tém, że niepodobna było aby wyżsi oficerowie, jakkolwiek ze smutkiem patrzyli na powrót Napoleona, byli zdolni do zdrady wpierw nim sam los go opuści. Łączenie się z losem cesarza wiele ich kosztowało, rozumieli atoli dobrze, że tu idzie o sławę Francji, byli więc gotowi bić się z zapałem, nie licząc wielu z pomiędzy siebie, którzy przykładali rękę do rewolucji z 20-go Marca i którzy gotowi byli walczyć nie tylko z zapałem, ale nawet z prawdziwą namiętnością. Zaufanie jednak żołnierzy fanatycznie dla Napoleona usposobionych, było żadném względem oficerów. Podejrzenie, że wielu z nich znosiło się z Gandawą było powszechne. Każdy zapału ich nie podzielający, tracił zaufanie. Biwaki zamieniły się w kluby, gdzie żołnierze i oficerowie rozprawiali o polityce, sądzili swych jenerałów, jak stronnictwa sądzą swych naczelników politycznych. Na tem atoli usposobieniu nie tracił nic zapał do walki, lecz rozprzęgała się karność, jedność i spokój. Słowem, bohaterskim, pełnym ducha tym wojskom brakło jedynie spójni i sam tylko Napoleon tworzył łączący je węzeł. Wojska te drżały z radości na samą myśl jutrzejszej może bitwy, w której pomszczą swe klęski z r. 1813 i 1814 i można powiedzieć, nigdy szlachetniejsza i bardziej rozczulająca ofiara nie śpieszyła z większą gotowością do poświęcenia się na ołtarzu ojczyzny.

Napoleon postanowił zadowolnić swe wojska i tejże samej nocy poprowadzić je w środek obozów angielskich i pruskich. Jak to już dawniej przewidział, oba jenerałowie sprzymierzeni powtarzając sobie ciągle, że należy im zbliżyć się do siebie, zaniedbali wszelako wypełnić lukę pomiędzy swemi obozami i nie przedsięwzieli żadnych środków nie dopuszczających tam Napoleona. Książę Wellington zajęty jedynie zasłanianiem Niderlandów, a Blücher zamknięciem dróg do prowincji Nadreńskich

nie patrjotyzmu, nie zapał, lecz prawdziwe szaleństwo dla cesarza i nienawiści względem jego wrogów. Tryumf Francji był niewątpliwy."

wiodących, rozłożyli się stosownie do wytkniętej w ten sposób taktyki. Blücher ze czterema korpusami, z których każdy liczył około 30 tysięcy żołnierza czyli w ogóle na czele 120 tysięcy wojska, zajmował brzeg Sambry i Mezy. Bülow z czwartym korpusem stał w Metz, Thielmann z trzecim pomiędzy Dinant a Namur, Pirch z drugim w samém Namur. Ziethen z pierwszym korpusem postawiony na samej granicy, miał w Charleroy dwie dywizje i przednie swe straże wysunął poza Sambrę, wzdłuż lasu Beaumont, który ukrył Francuzów przed wzrokiem nieprzyjaciela. Dwie inne dywizje tego korpusu znajdowały się poza Charleroy i za pomocą patroli łączyły się z wojskiem angielskiém strzegącém Niderlandów. Przez Namur szła wygodna bita droga prowadząca z prowincji Nadreńskich do Belgji i kierowała się do Bruxelli przez Sombreffe, Quatre-Bras, Genappe, Mont-Saint-Jean, Waterloo. Droga ta była zatem wielkiego znaczenia dla sprzymierzonych, gdyż tu Prusacy i Anglicy mogli się z sobą łatwo połączyć i wzajemną nieść sobie pomoc. Jakoż wodzowie wojsk tych dali sobie przyrzeczenie, że na przypadek niebezpieczeństwa od granicy dadzą sobie wzajemną pomoc, albowiem Charleroy tylko o sześć mil francuzkich odległe było od tej wielkiej drogi prowadzącej z Namur do Bruxelli. Minąwszy Charleroy, idąc w lewo, można było wejść na tę drogę w Quatre-Bras, zkąd prosto wiodła do Bruxelli; zwróciwszy się zaś na prawo, przez Namur i Liège można było wyjść na tę drogę w Sombreff. Z tych to jedynie przyczyn Prusacy postawili dwie dywizje Ziethena w Charleroy, a inne w Fleurus i Sombreffe.

Książę Wellington dowodził sto tysięcznem wojskiem złożoném z Anglików, Hannowerczyków, Hollendro-Belgów, Brunświgczyków i Nassauczyków. Wojsko angielskie składali starzy żołnierze, w dwudziesto-letnich bojach zaprawni i słusznie dumni z swych powodzeń w Hiszpanji. Po Anglikach najdzielniejszym hufcem w tych wojskach był legjon niemiecki, złożony ze szczątków armji hanowerskiej, który utworzony w Niemczech, silnym ożywiony był duchem. Holendrzy, Belgowie, właściwie Hanowerskie wojsko, Brunświgczycy i korpus Nassauski, nosili broń dopiero od 1813 i 1814 r., formowani zaś byli w czasie ogólnego Niemiec przeciw Francji powstania, i jużto zorganizowani jako szeregi linjowe, już jako oddziały ochotników. Pułki linjowe o wiele lepszą miały postawę niż szeregi ochotników, lecz tak jedni jak drudzy wrzeli nienawiścią ku Francji, a zaufani w swych dowódzcach, dla zagrzania ich w wytrwałości, mieszani byli z angielskiemi szeregami. Tak złożona ta sto tysięczna armja liczyła 38 tysięcy Anglików, 7 do 8 tysięcy legjonu niemieckiego, 15 tysięcy Hanowerczyków, 25 tysięcy Hollendrów i Bel-

gów, 6 tysięcy Brunświgczyków i 7 tysięcy Nassauczyków, całą duszą wylanych dla domu Nassausko-Orańskiego.

Wyżej już powiedzieliśmy, że książę Wellington usiłował przekonać Blüchera, że z rozpoczęciem wojennych działań wypada ociągać się do czasu w którym druga kolumna sprzymierzonych, złożona z Rossjan, Austrjaków, Bawarów, Wirtemberczyków i innych, której przeznaczeniem było wkroczyć do Francji przez wschodnią granicę, nie zbliży się na taką samą odległość od Paryża, na jakiej znajdowała się armja wkraczająca od północy. Dla zatrudnienia zaś i zadowolenia rozgorączkowanych Prusaków, zgodził się na obsaczenie niektórych pozycji i w tym celu przygotował parki artyleryjskie. Przedsiębrane atoli środki ostrożności były bardzo słabe. Książę Wellington w tym razie nie dowiódł należytej przezorności, albowiem ubezpieczał się tylko od natarcia Francuzów na całej przestrzeni morskich wybrzeży, czego nie należało czynić, gdyż Napoleon nie mógł nań uderzyć ani w Antwerpji ani w Amsterdamie. Wypadało więc odsunąć go od podstawy działań, najwięcej mu bowiem zależało na rzuceniu się pomiędzy Anglików a Prusaków, na rozbiciu ich w dwa oddzielne skrzydła i zgnieceniu każdego z osobna. O tem więc ostatniem niebezpieczeństwie tak możliwem w spełnieniu, ani Wellington, ani Blücher nie pomyśleli. Nauczeni wszelako przez Napoleona, aby zawsze trzymać się razem, postanowili połączyć się z sobą na drodze wiodącej z Namur do Bruxelli w razie zamierzonego napadu z Charleroy, i śpieszyć o ile sił starczy jedni ku Bruxelli, drudzy do Namur i Liège. Książę Wellington na trzy korpusy rozdzielił swe wojsko: jeden tworzący prawe skrzydło pod wodzą wybornego jenerała Hill, rozciągał się pomiędzy Audernade a Ath; drugi pod świetnym księciem Oranji, pomiędzy Ath a Nivelles, w pobliżu Charleroy i Sambry; trzeci zaś jako rezerwowy pozostał w Bruxelli. Takim rozkładem wojsk chciał zapewnić sobie w każdej chwili możność zgromadzenia sił wszystkich na punkt zagrożony, czy to na prawem skrzydle w razie uderzenia od strony morza, czy to na lewem, gdyby zaszła potrzeba niesienia pomocy Prusakom. W tym podwójnym zamiarze, korpusy te w zbyt wielkiém od siebie były oddaleniu, gdyż potrzeba było dwóch lub trzech dni marszu, aby je w danej chwili na prawém lub lewém zebrać skrzydle. Na wypadek jednak ataku od strony Charleroy, czy to na Prusaków, czy na Anglików, punkt zborny naznaczono na drodze z Namur do Bruxelli, i głównie to dla zabezpieczenia tej drogi, pruski korpus Ziethen'a rozdzielono tak, że dwie dywizje jego stały w Charleroy nad Sambrą, a drugie dwie na tyłach pomiędzy Fleurus a Sombreffe.

Dnia 14 Czerwca nie podejrzywano prawie zupełnie zamiarom Fran-

cuzów w głównych kwaterach w Bruxelli i Namur; wiedziano wprawdzie o poruszeniach na granicy, lecz nie pojmowano ani ich celu, ani też ważności. Wielką to było taktyką zgromadzić w odległości dwóch lub trzech mil 124 tysięczną armję, poprzednio na znacznej przestrzeni pomiędzy Lille, Metz a Paryżem rozproszoną, bez obudzenia podejrzeń nieprzyjacielskich jenerałów. Dzieje wojen podobnego czynu nie przedstawiają. Napoleon nie był zdolnym do utraty pierwszych pomyślnych kroków i dla tego też śpieszył, aby z nich korzyść osiągnąć. Postanowił więc rozpocząć działania w nocy z 14 na 15 Czerwca, rzucić się gwałtownie na Charleroy, zdobyć podejściem to miasto słabo strzeżone, przejść tu Sambrę i gwałtownie wpaść na drogę z Namur do Bruxelli, pewnym będąc, że pomimo takiego zbliżenia, w jakiem się znajdowali Anglicy z Prusakami, napotka słaby w nich opór, a ztąd potrafi wprowadzić wszystkie swe siły w łono wojsk nieprzyjacielskich. Wydawszy więc drobiazgowe rozkazy co do zachowania w obozie środków ostrożności, aby nie obudzić baczności nieprzyjaciela, rozkazał zawalić drzewem sąsiednie przejścia, ukryć ognie, nie przepuścić ani jednego podróżnego, ani wieśniaka, a to celem opóźnienia o ile można wiadomości o swem poruszeniu. Co się zaś tycze niepewnych wieści jakie w takich razach dochodzą zwykle nieprzyjaciela, doświadczenie uczy, że te nie skłaniają nigdy przeciwnika do jakichbądź stanowczych kroków.

Dnia 14 Czerwca wieczorem, Napoleon wydał następujące rozkazy: O godzinie 3-ej z rana czoła wszystkich kolumn miały się poruszyć w ten sposób, aby o dziewiątej lub dziesiątej mogły już spotkać się nad Sambrą. Na lewem skrzydle jenerał Reille z drugim korpusem winien był udać się z Leers-Fosteau do Marchiennes, opanować znajdujący się tam most w odległości pół mili franc. poniżej Charleroy, przejść Sambrę i postawić się w możności wykonania ostatecznych rozkazów, jakie z głównej kwatery otrzyma. Hrabia d'Erlon wyruszywszy o dwie mile franc. za Solre-sur-Sambre we dwie godziny po jenerale Reille, miał przybyć do Marchiennes i zająć poza nim stanowiska. W środku jenerał Vandamme wychodząc z okolic Beaumont z trzecim korpusem, otrzymał wyraźny rozkaz znajdowania się pomiędzy 9-tą a 10-tą godziną z rana przed Charleroy. Za nim powinien był postępować jenerał Rogniat, prowadząc inżenierję i marynarzy gwardji, a to celem opanowania mostu i bram Charleroy. Jenerał Pajol otrzymał rozkaz konwojowania jenerała Rogniat rezerwą lekkiej jazdy. Napoleon postanowił towarzyszyć mu na czele czterech szwadronów jazdy, a to celem widzenia i kierowania wszystkiem. Hrabiemu Lobau rozkazał wyruszyć z 6-ym korpusem o godzinę później po jenerale Vandamme, aby mu zostawić dość czasu do przejścia przez

las. Gwardja znów miała poruszyć się w godzinę po hr. Lobau. Po zabezpieczeniu pociągów kazano im dopiero wówczas wyruszyć, gdy wszystkie wojska już przejdą. Nakoniec, jenerał Gérard, znajdujący się w Philippeville, o trzeciej z rana miał ztąd wyruszyć, uderzyć gwałtownie na Châtelet, o milę poniżej Charleroy położony, przejść tu Sambrę, uszykować się na lewym jej brzegu i oczekiwać dalszych z głównej kwatery rozkazów. Takim to sposobem, pomiędzy 9 a 10-tą godziną z rana, 124 tysięcy żołnierzy powinno było razem uderzyć na wszystkie punkta Sambry, już to powyżej, już poniżej Charleroy, a zebranie na tak małej przestrzeni sił tak potężnych, zdolne było przełamać siły każdego nieprzyjaciela.

Dnia 15 Czerwca o godzinie 3-ej z rana ruszyła cała armja, z wyjątkiem tylko Vandamma, który winien był pierwszy wyjść w pole. Nie było zręczniejszego i energiczniejszego jenerała nad Vandamma, ani też bardziej przywiązanego jeżeli nie do sprawy cesarstwa, to przynajmniej do rewolucji francuzkiej. Zawsze on gotów był nieść usługi dobrej sprawie, lecz nigdy z swych wad poprawić się nie mógł, a wadami temi były: popędliwość i zamiłowanie w rozkoszach życia. Zmuszono go nawet opuścić Beaumont dla dania miejsca korpusowi gwardji cesarskiej pod hr. Lobau i samemu cesarzowi. Okazawszy bardzo wiele złego humoru, pociągnął ze swym korpusem na prawo, a sam rozkwaterował się w chacie wiejskiej. Marszałek Soult, który, można powiedzieć, obdarzony był przymiotami szefa sztabu, pomimo braku zdolności i doświadczenia w służbie tego rodzaju, nie wysyłał, jak Bertier, po dwa i trzy razy jednych i tych samych rozkazów, aby być pewnym dojścia ich swego przeznaczenia. Jedyny oficer wysłany do Vandamma szukał go długo, złamał nawet nogę w tém poszukiwaniu, a nie mógł komu innemu powierzyć wiezionego rozkazu. Vandamme więc nic nie wiedział i najspokojniej zasypiał. Jenerał Rogniat połączywszy się z nim, zdziwił się niepomału tą jego bezczynnością i oświadczył, że powinien bezzwłocznie ruszyć na Charleroy. Niezadowolony Vandamme tonem jakim doń przemawiał Rogniat, szorstko mu odrzekł, że nie otrzymał żadnego rozkazu z głównej kwatery i że od podwładnego poleceń odbierać nie może. Mimo atoli tej odpowiedzi, posunął swe szyki, ale potrzeba było czasu na zbudzenie, zebranie i wprawienie w ruch 17 tysięcy ludzi i dla tego dopiero około 5-ej czy 6-ej godziny trzeci korpus wyruszył ku Charleroy. Zmuszony do marszu drożynami w pośród gęstego lasu, do przechodzenia przez długie i wązkie ulice wiosek na drodze leżących, Vandamme nie był w możności przyśpieszenia pochodu, a ztąd jego trzy godzinne opóźnienie, o tyleż opóźniało postępujący za nim korpus hrabiego

Lobau i gwardję, tąż samą postępujące drogą. Szczęściem, że jenerał Rogniat nie czekając na piechotę, znalazł dość silną jazdę jenerała Pajol, który bez wahania rzucił się na Charleroy. Napoleon zaś niecierpliwiąc się tem opóźnianem przybyciem wojsk, w tak znacznej sile tą drogą nadejść mających, wziął cztery szwadrony jazdy gwardji jakie miał pod ręką i cwałem pośpieszył do Charleroy.

Tymczasem Pajol harcując na czele swych szwadronów, odparł przednie straże pruskie zabrawszy im trzydziestu czy czterdziestu ludzi do niewoli. Rogniat na czele kompanji inżenierskich i marynarki gwardji, silnie na ich czele rzucił się na most pod Charleroy, opanował go zanim nieprzyjaciel mógł go zniszczyć, wysadził petardami bramy miasta, wtargnął doń i tem samem otworzył drogę Pajolowi, który cwałem przebiegł miasto ścigając Prusaków, uciekających z wielkim pośpiechem.

O kilkaset sążni od Charleroy droga rozdzielała się widłowato. Na lewo wiodła ona do Quatre-Bras, na prawo do Sombreffe, na gościńcu z Namur do Bruxelli, jak to wyżej już oznaczyliśmy. Prusacy aby utrzymać się przy tej drodze, koniecznej dla połączenia się Blüchera z Wellingtonem, wykonywali odwrot po obu bokach tych rozdroży, to jest skierowali się do Bruxelli i do Namur, lecz w większej liczbie ku temu ostatniemu miastu. Pajol wysłał pułkownika Clary na czele 1-go pułku huzarów na drogę do Bruxelli, a sam z resztą jazdy skierował się ku Namur naciskając Prusaków dragonami d'Excelmans'a.

Gdy się to dzieje na drodze z Beaumont do Charleroy, jenerał Reille wyruszywszy o trzeciej rano na czele 2-go korpusu z Leers-Fosteau, przy wyjściu z lasu Montigny-le-Tilleul spotkał Prusaków, zniósł ich i zabrał 400 do 500 jeńców. Następnie bez straty czasu skierował się ku Marchiennes, zajął most i przeszedł Sambrę około godziny 11 z rana. Dalej posunął się drogą ku Bruxelli aż do Jumet i Gosselies, gdzie stanął dla dania wypoczynku wojskom i dla odebrania dalszych rozkazów z głównej kwatery. Hrabia d'Erlon postępując na czele 1-go korpusu z miejsca najbardziej oddalonego, nie był jeszcze nadszedł nad Sambrę. Na prawem skrzydle jenerał Gérard zatrzymany przez jednę ze swych dywizji, późno bardzo opuścił Philippeville i bądź skutkiem tego, bądź z powodu znacznej do przebycia przestrzeni, nie znalazł się na czas właściwy na moście w Châtelet. Różne te opóźnienia w niczem jednak nie wpłynęły na pomyślność obrotów, gdyż Sambra w dwóch punktach, w Marchiennes i Charleroy przebytą została i Napoleon w przeciągu kilku godzin, wepchnął 60 tysięcy żołnierza pomiędzy Anglików i Prusaków w ten sposób, że uniemożliwił ich połączenie się.

Napoleon postępując tuż za jenerałem Rogniat i Pajol, przeszedł

Charleroy pomiędzy 10 a 12-tą godziną, a nie zatrzymując się tu wcale, jak najśpieszniej postanowił połączyć się z lekką swą jazdą. Dotarłszy aż do miejsca w którém droga rozdzielała się, prowadząc jednem ramieniem do Bruxelli, a drugiem do Namur, powziął obawę, że pułkownik Clary nie będzie w możności dotrzymać placu ze swym pułkiem huzarów cofającemu się ku Bruxelli nieprzyjacielowi i dla tego rozkazał jenerałowi Lefebvre-Desnoëttes, dowodzącemu lekką jazdą gwardji, aby dywizję tejże z 2,500 koni złożoną, wsparł pułkownika Clary, jak niemniej polecił jenerałowi Duhesme, aby obu poparł na tej drodze nadchodzącym pieszym pułkiem młodej gwardji. Jednocześnie wysłał rozkazy na lewe skrzydło złożone z jenerałów Reille i d'Erlon, aby o ile możności przyśpieszali pochód i zajęli Gosselies, a to celem skoncentrowania znacznych sił na drodze do Bruxelli, na której powinni byli ukazać się Anglicy. Jenerał Reille przeszedłszy Sambrę w Marchiennes, znajdował się na drodze poza Jumet do Gosselies i mógł już w tem ostatniem miejscu zebrać 23 tysiące piechoty.

Takie poczyniwszy ostrożności na drodze wiodącej do Bruxelli, Napoleon zwrócił się ku Namur, w którymto kierunku spodziewał się mieć do czynienia z Prusakami, spodziewając się spotkać ich w znacznej sile, gdyż główną kwaterę mieli w Namur o 7 mil fran. odległem, gdy tymczasem główna kwatera Anglików znajdowała się w Bruxelli, dokąd liczono 14 mil francuzkich.

Z dwóch dywizji pruskiego korpusu Ziethen'a zajmujących Charleroy, jedna jenerała Steinmetz cofała się drogą ku Bruxelli, a druga jenerała Pirch II. (*) drogą ku Namur, przechodząc przez Fleurus i Sombreffe. Ostatnia zatrzymała się we wsi Gilly, o milę fran. od Charleroy, a na drodze do Fleurus leżącej. Ścigał ją Pajol jazdą lekką i Exelmans dragonami, a Grouchy, który dowodził rezerwą jazdy, sam stanął na czele tej przedniej straży. Jen. Ziethen otrzymał rozkaz, aby na przypadek ataku przyjął walkę i opóźniał pochód Francuzów, unikając wszakże w większych rozmiarach rozprawy. Widząc że jest ściganym od 6,000 jeźdźców, opuścił wieś Gilly i uszykował się za dość znaczną rzeczułką, wypływającą z opactwa Soleilmont, a wpadającą do Sambry pod Châtelet. Jenerał Pirch II zamknął most na tej rzeczce, postawił dwa bataljony za mostem, a inne na prawo i lewo drogi, w lasach Trichehève i Soleilmont. Na tem stanowisku postanowił oczekiwać Francuzów, bo tu mógł mieć nadzieję dłuższego oporu. Ze swej zaś strony marszałek Grouchy,

(*) W wojsku pruskiem służyło natenczas dwóch jenerałów noszących nazwisko Pirch. Z tych Pirch I. był naczelnym dowódzcą 2-go korpusu Blüchera, Pirch II. zaś dowodził dywizją w 1-szym korpusie Ziethen'a.

pomimo że miał pod rozkazami dwie dywizje Pajola i Exelmans'a postanowił także zatrzymać się, gdyż nie sądził, aby samą jazdą mógł skutecznie pokonać spotkaną przeszkodę, przyjmując zaś walkę, mógłby za wiele utracić ludzi bez żadnej odpowiedniej korzyści.

Takie było położenie rzeczy, kiedy Napoleon przybył do Gilly i natychmiast zrobił postanowienie z tą trafnością sądu, jaka go nigdy nie opuszczała. Przed sobą miał łańcuch zarosłych pagórków u stóp których płynął wspomniony strumień. Poza nim rozciągała się równina Fleurus, wsławiona już stoczonemi na niej bitwami przez jenerała Jourdan i Kleber, na której spotkanie się z Prusakami nastąpić mogło, ponieważ w całej długości przecinała ją wielka droga prowadząca z Namur do Bruxelli. Napoleon gorąco pożądając tego spotkania, aby pobić Prusaków zanim pośpieszą im z pomocą Anglicy, nie chciał przecież zajmować samej równiny, gdyż wyparci z niej Prusacy oddaliliby cel pożądany. Aż dotąd wszystko mu szło po myśli i to tak, jak to był naprzód przewidział. Obliczał on bowiem, że Anglicy i Prusacy, pomimo całej konieczności silnego pomiędzy sobą połączenia, zostawią jednakże pomiędzy sobą przestrzeń nie dość silnie obsadzoną, na którą wtargnąwszy z wszystkiemi siłami, stanowcze odniesie zwycięztwo. Głęboki ten pomysł i wyrachowanie zupełnie się sprawdzało. Tak szczęśliwie opanowana Sambra stanowiła właśnie tę pustą przestrzeń pomiędzy Anglikami a Prusakami. Łatwo więc teraz było przewidzieć, że na lewem skrzydle Francuzów w kierunku Bruxelli, znajdą się przednie straże Anglików, o jakie 5 lub 6 mil, główne zaś siły szły o 12 lub 14 mil fran., a na prawem w kierunku Namur o jednę lub dwie przednie straże, a o 5 lub 6 mil fran. główny ich korpus. Zająwszy więc pośrednie miejsce pomiędzy siłami nieprzyjacielskiemi, potrzeba było wykonać dwie rzeczy: rzucić się bezzwłocznie na jednę z dwóch armji i bijąc się z nią postawić drugiej taką na drodze zaporę, aby ta nie dopuściła przybyć jej na pole boju. Obie te konieczności były aż nadto widoczne; zachodziło tylko pytanie, na którą z dwóch armji należało wpierw uderzyć. Pytanie to łatwą znalazło odpowiedź: oto, pierwsze ciosy wypadało zwrócić na Prusaków, bo ci znajdowali się bliżej, a pozostawieni na prawém skrzydle, łatwo uderzyćby mogli z tyłu na Francuzów w czasie gdyby ci zajęci byli Anglikami. Nadto, znając usposobienie naczelnego wodza pruskiego, można było być pewnym, że sam zechce skorzystać z tak bliskiego położenia Francuzów i z nimi się zmierzyć, gdy tymczasem Anglicy, tak z powodu oddalenia, jak i wrodzonej im powolności w działaniach, pozostawią czas do zgniecenia swoich sprzymierzeńców, zanim pośpieszą im z pomo-

cą. Lecz w tej konieczności wybrania Prusaków na pierwszych przeciwników, należało nie tylko wzbronić im ściągania się na dolinę Fleurus, ale potrzeba było poczynić wszelkie ułatwienia, gdyż w przeciwnym razie mogliby wykonać stanowczy odwrot, i przez Wavre połączyć się z Anglikami za Bruxellą. Gdyby zaś obiedwie armje powzięły zamiar połączenia się z tamtej strony Bruxelli, plany Napoleona wtedy upadłyby, a stanowisko jego stałby się mogło bardzo niebezpiecznem, gdyż nie byłby w możności posunięcia się w kraj, spodziewając się co chwila nadciągnięcia armji wschodniej; chcąc zaś rozdzielić siły na dwóch nieprzyjaciół, mógłby mieć na każdego tylko po 120 tysięcy wojska. Gdyby zaś dopuścił połączenia się nieprzyjaciela, musiałby cofnąć się za granicę, a ztąd zniweczyłby się cały plan tej kampanji i straconąby była cała przewaga w obrotach. W takim więc stanie rzeczy Napoleon nie mógł dalej posunąć się jak do Fleurus w kierunku Namur, a jednocześnie w kierunku Bruxelli zająć takie stanowisko, któreby nie dozwoliło pośpieszyć Anglikom na pole bitwy, na którém Prusacy mieli być zgnieceni.

Korpus Ziethena rozłożył się, jakeśmy już wspomnieli, poza mostem Soleilmont, w lesie po prawej i lewej stronie drogi. W tém położeniu rzeczy należało koniecznie wyrugować go z zajętych stanowisk, aby Francuzów wyprzeć na dolinę Fleurus, i ani krokiem w tył się nie cofnąć. Napoleon rozkazał więc marszałkowi Grouchy, aby piechotą swą obsadził rzeczkę, oczyścił las i rekonesanse swe posunął pod Fleurus. Po wydaniu tych rozkazów, cwałem popędził w stronę przeciwną dla czuwania nad wszystkiém, co tylko mogło zajść od strony Bruxelli. Wysłał potem rozkaz do Vandamma, który dopiero o południu przybył do Charleroy i potrzebował dwie godziny na przejście wązkich ulic tego miasteczka, aby o ile możności pośpieszał, a to tak dla zostawienia wolnego przejścia jenerałowi Lobau i gwardji, jak dla wsparcia marszałka Grouchy. Było to dnia 15 Czerwca, upał dokuczał straszliwy, jedne wojska pięć, a drugie po sześć i siedm mil fran. już ubiegły, zapał jednakże żołnierzy w niczem nie ostygł i maszerowali z ochotą w wskazanym im kierunku. Po znagleniu do pośpiechu Vandamma, Napoleon przybywszy na rozdroże pod Charleroy, zwrócił się na drogę wiodącą do Bruxelli. Droga ta, jakeśmy już wspomnieli, schodziła się w Quatre-Bras z wielkim gościńcem prowadzącym z Namur do Bruxelli, tą linją kommunikacyjną wojsk sprzymierzonych. Zajęcie przeto Quatre-Bras było rzeczą wielkiej wagi, gdyż był to punkt, za pomocą którego Anglicy mogli nieść pomoc zagrożonym Prusakom i gdzie własne ich siły zebrać się były winny. Jakoż książę Wellington, ustawiwszy rezerwy w Bruxelli, uszykował w półkole główne swe siły tak, że jenerał Hille wyciągnął

linję od Audenarde do Ath, a książę Oranji od Ath do Nivelles. Nivelles więc było punktem przez który Anglicy mogli połączyć swe lewe skrzydło z prawem, a nadto, z Nivelles krótka brukowana droga wiodła do Quatre-Bras, dokąd w każdej chwili mogły nadbiedz rezerwy z Bruxelli, a tym sposobem Quatre-Bras, tak nazwane od czterech dróg ztąd się rozchodzących, było punktem połączenia Anglików z Prusakami, a zarazem punktem na którym tylko Anglicy wszystkie swe siły zgromadzić mogli. Żaden punkt inny na tem obszernem polu działania nie przedstawiał podobnej ważności. Wartość więc, jaką sprzymierzeni do niego przywiązywali, była zarówno szacowną i dla Francuzów, a ztąd Napoleon powodzenie swych obecnych działań oparł na zdobyciu i utrzymaniu Quatre-Bras, gdyż tym tylko sposobem stawiał Anglików w położeniu, że nie mogliby ani prędko własnych sił zgromadzić, ani połączyć się z Prusakami. Dla tychto powodów Napoleon natychmiast po zajęciu Charleroy popchnął w kierunku ku Quatre-Bras najprzód pułkownika Clary z pułkiem huzarów, następnie jenerała Lefebvre-Desnoëttes na czele lekkiej jazdy gwardji, dalej, pułk pieszy młodej gwardji, a nakoniec korpusy jenerałów Reille i d'Erlon, co wszystko stanowiło siłę 40 tysięcy piechoty i 3 tysiące koni, a to celem powstrzymania Anglików aż do czasu, w którym na czele 80 tysięcy żołnierza mógłby załatwić się stanowczo z Prusakami. Zajęty temi rozporządzeniami wysunąwszy się naprzód przez rozstajne drogi, spostrzegł pędzącego cwałem marszałka Ney w towarzystwie jednego tylko adjutanta, pułkownika Heymès. Przypomnijmy sobie, że Napoleon po dniu 20 Marca wysłał go na granicę, chcąc usunięciem go z Paryża zmniejszyć mu kłopotliwość położenia, a po załatwieniu poruczonej missji, dozwolił udać się do dóbr, zkąd marszałek raz tylko wydalił się, aby uczestniczyć uroczystości zgromadzenia narodowego. Przypomnijmy sobie jeszcze, że Napoleon w dniu uroczystości dość ozięble traktował marszałka Ney, chcąc jednakże zużytkować wielką jego odwagę, opuszczając Paryż kazał mu oświadczyć, że radby aby jenerał ten pośpieszył za nim, jeżeli w pierwszej zaraz walce stosowny udział mieć pragnie. Tak niespodzianie zaskoczony Ney nie miał czasu wziąć z sobą swego adjutanta Heymès'a i wyruszył do Maubeuge bez żadnych przyborów wojennych. Nie mając nawet swoich koni zmuszony był jechać pożyczonemi od marszałka Mortier naówczas chorobą złożonego. Przybył więc nieświadomy zupełnie stanu rzeczy, nie znający ani przeznaczonej sobie roli, ani wojsk któremi miał dowodzić, miotany gorączkowém niezadowoleniem z siebie i drugich, pozbawiony tém samém spokojności umysłu tak pożądanej w trudnych okolicznościach, lubo ożywiony niezrównanym zapałem. Napoleon uradowa-

ny przybyciem marszałka, powierzył mu zaraz dowództwo lewego skrzydła armji, złożonego z 2-go i 1-go korpusu jenerałów Reille i d'Erlon, z dywizji jazdy należących do tych korpusów, z lekkiej kawalerji gwardji czasowo pod rozkazy jego oddanej, z poleceniem jednakże oszczędzania jej, razem około 45 tysięcy wojska różnej broni. Poruczając to dowództwo Napoleon dodał, że z siłami temi przeniósłszy się poza Sambrę, należało ścigać nieprzyjaciela i zająć Quatre-Bras, ten główny klucz całej pozycji.—Czy znasz pan Quatre-Bras? zapytał Napoleon.—Czyżbym je nie miał znać, odrzekł Ney, walczyłem tu w mojej młodości i pamiętam, że punkt ten jest węzłem wszystkich dróg.—Jedź więc, dodał cesarz, i zajmij to stanowisko przez które Anglicy mogą się połączyć z Prusakami, a dla powzięcia bliższych wiadomości, wyszléj oddział wojska ku Fleurus (*). Z pośpiechem i o ile się zdawało z chęcią niestracenia ani chwili czasu, pośpieszył Ney: było wtedy blisko w pół do piątej.

Wyprawiwszy więc Neya do Quatre-Bras, Napoleon zwrócił się do Gilly, gdzie pozostawił jenerałów Grouchy, Pajol i Exelmans'a, oczekujących na piechotę Vandamma dla zaatakowania tylnych straży pruskich. Wyżej już powiedzieliśmy, że działanie z tej strony miało jedynie na celu zamknięcie wejścia na dolinę Fleurus, a tem samem skłonienia Prusaków do przyjęcia bitwy w dniu następnym; odcinając ich bowiem od gościńca prowadzącego z Namur do Bruxelli, zmuszał ich niejako do złączenia się z Anglikami poza Bruxellą, coby im właśnie popsuło wszelkie szyki. Jedynym więc jego zamiarem było przejść strumień pod Soleilmont i zająć zarośla otaczające równinę Fleurus. Nareszcie Vandamme nadszedł ze swoją piechotą i uszykował się poza jazdą marszałka Grouchy. Lecz ani on, ani Grouchy, Pajol, ni Exelmans nie chcieli rozpoczynać kroków zaczepnych przed przybyciem Napoleona. Mniemali oni, że cała armja pruska znajdowała się za strumieniem Soleilmont, i tak nawet wszelkie pozory sądzić kazały. Jenerał Pirch II. wzmocniony kilką bataljonami dywizji Jagow'a, porozstawiał wojska w lesie z prawej i lewej strony drogi, zamknął przystęp do mostu, a za nim uszykował kilka bataljonów w szeregach ściśnionych. A ponieważ nie mógł sięgnąć poza gęstwinę lasu i szereg pagórków, łatwo więc można było wnosić, że w tyle tego obrazu stoi cała armja pruska. Lecz rozum Napoleona silniejszy niż jego wyobraźnia, przedstawiał mu w tem wszystkiem nie-

(*) Należy tu uprzedzić czytelnika, że mniemanie Napoleona w tém opowiadaniu przywiedzione, zaprzeczane było w długiej i żywej polemice, przedmiotem której była kampanja z 1815 r. O ile mniemanie to było prawdziwém, przekonamy się bliżej z przypisku na str. 248.

przyjaciela znienacka napadniętego i nie mającego dość czasu do skoncentrowania sił swoich. Inna wprawdzie postać rzeczy miała się nazajutrz okazać, obecnie atoli Napoleon był tego przekonania, że nie miał więcej jak jednę lub dwie dywizje przed sobą, do wyparcia których dość było jednego natarcia. Rozkazał więc uderzyć bezzwłocznie na Prusaków i zabrać pozycję, którą oni zdawali się chcieć bronić.

Strumień oddzielający wojska francuzkie od pruskich płynąc od opactwa Soleilmont po lewej ręce leżącego i przebiegłszy pod małym mostkiem, zwracał się na prawo i wpadał do Sambry blisko Châtelet. Marszałek Grouchy posunąwszy ku prawemu skrzydłu dragonów Exelmans'a, kazał im przejść w bród strumień, chcąc tém samém znaglić nieprzyjaciela do zmiany pozycji. W tymże czasie trzy kolumny piechoty: jedna młodej gwardji i dwie z korpusu Vandamma, ruszyły dla zerwania mostu. Zagrożeni podwójnym z przodu i z boku atakiem Prusacy, zaczęli się cofać, a to stosownie do wydanej instrukcji, nakazującej im unikać wszelkich ważniejszych starć, by tem samem działania Francuzów w odwłokę podawać. Jakoż dragoni prawie bez trudności przebyli rzeczkę, a Napoleon z gniewem ujrzał, że piechota pruska ujść może. Zniecierpliwiony rzucił jeszcze na nią cztery szwadrony gwardji na służbie przy nim będącej. Jenerał Letort na czele tych szwadronów wpadł na Prusaków, doścignął ich w chwili sformowania się w czworoboki na polanku wśród lasu, rozbił jeden z tych czworoboków, wyciął prawie cały, a następnie uderzywszy na drugi, złamał go i rozproszył. Lecz, niestety, biegnąc na trzeci, sam od kuli zginął. Prusacy pozostawili na placu w rękach Francuzów kilkaset zabitych, przeszło czterysta rannych, korzyści jednak te drogo śmiercią jenerała Letort opłaciliśmy. Był to jeden z oficerów francuzkich najroztropniejszy, najdzielniejszy, wielkiego ducha i wpływu. Napoleon wyraził mocny żal z tej straty i później na wyspie św. Heleny poświęcił kilka wierszy na uwiecznienie jego imienia.

Dragony Exelmans'a spełniwszy polecony im objazd na prawem skrzydle armji francuzkiej, pędziły przed sobą Prusaków jenerała Pirch i Jagow, zatrzymawszy się dopiero na skraju lasu. Tylko przednia straż posunęła się aż pod Fleurus (*).

Po tak pomyślnych krokach, Napoleon wszedł do Charleroy dla zasięgnienia wiadomości o działaniach na swojém lewém skrzydle i na ty-

(*) Marszałek Grouchy w jedném z pism swoich żali się, że Vandamme tego wieczora nie chciał iść dalej; wszelako Napoleon roztrząsając na wyspie S. Heleny dzieło jenerała Rogniat, usprawiedliwił dostatecznie powody tego zatrzymania się, a tem samem uniewinnił zupełnie postąpienie Vandamme'a.

łach. Zrazu zdziwił się, nie słysząc dotąd dział Neya, lecz wkrótce domyślił się powodów tej jego nieczynności.

Po odłączeniu się od cesarza, Ney w okolicach Gosselies spotkał jenerała Reille z czterema dywizjami 2-go korpusu, które przeprawiwszy się przez Sambrę pod Marchiennes, posuwały się ciągle w kierunku do Quatres-Bras. Cztery te dywizje liczące przeszło 20 tysięcy piechoty, zajmowały przestrzeń blisko jedno-milową; poprzedzała je zaś lekka jazda Piré'go w skład 2-go korpusu wchodząca, i kawalerja jenerała Lefebvre-Desnoëttes oddzielona z gwardji cesarskiej. Wspomnione dwa oddziały jazdy liczyły razem 4,500 koni. W chwili więc którą opisujemy, Ney miał do rozporządzenia przeszło 25 tysięcy ludzi. Na widok tej armji, jenerał Steinmetz obawiając się odcięcia go od armji pruskiej w razie pozostawania przy obronie Bruxelli, obszedłszy bokiem, dostał się na gościniec do Namur, a tem samem odkrył Quatres-Bras. Tymczasem Ney któremu Napoleon polecił iść na Fleurus, wysłał oddział Girard'a, aby miał na oku ruchy Steinmetz'a, sam zaś wziąwszy dywizję jenerała Bachelu, l czącą około 4,500 piechoty i tyleż jazdy Piré'go i Lefebvre-Desnoëttes'a, ruszył naprzód na czele tych 9 tysięcy ludzi. Mając zaś poza sobą dywizje piechoty jenerała Foy i Hieronima liczące razem około 12 tysięcy ludzi i oprócz tego 20 tysięcy d'Erlon'a, mógł niczego się nie lękać. Z Gosselies do Quatre-Bras liczą blisko trzy mile francuzkie, które, idąc krokiem przyśpieszonym, można przebyć w pół-trzeciéj godziny. Wprawdzie, żołnierze Reille'a zrobili już siedm mil, ale wyszedłszy o godzinie trzeciej rano, odbyli tę podróż w czternastu godzinach, robiąc kilka wypoczynków; mogli zatem bez wyczerpania sił swoich przejść jeszcze i te trzy mile. Mógł więc Ney dotrzymać słowa danego Napoleonowi i opanować Quatre-Bras, lecz usłyszawszy nagle w czasie pochodu około godziny szóstej huk dział Vandamm'a, wzdłuż strumienia Soleilmont rozlegający się, żywy uczuł niepokój. Lękał się bowiem, czy w tej chwili Napoleon nie ma na karku całej armji pruskiej, co gdyby tak było, Ney armję tę miałby wtedy z tyłu. To dało mu powód do wahania się i nieczynnego rozmysłu.

Do niepokojów odgłosem tych dział wywołanych, przyłączyły się jeszcze inne. Podchodząc pod Frasnes blisko Quatre-Bras leżące, Ney spostrzegł liczną piechotę, która, pomimo odmiennej barwy mundurów, zdawała mu się być angielską, gdyż od strony armji tej zmierzała. W tej chwili więc Ney był tego przekonania, jakie podzielali z nim stojący w Gilly jenerałowie Vandamme, Grouchy, Pajol i Exelmans, że wypadnie im zmierzyć się z całą armją pruską i że przed sobą widzi przednie straże Wellingtona, które znikając jak zwinięta szybko teatralna zasłona,

odkryją zaraz samą armję angielską. Pomimo cechującej go zawsze odwagi, Ney podwójną trawiony obawą, zawahał się nieco widząc w mniemaniu swojém przed sobą i z tyłu liczne zastępy nieprzyjaciół. Zatrzymał się więc na stojącej mu otworem drodze do Quatre-Bras, to jest na drodze losu całej Francji, który byłby nieochybnie uchwycił, bo dość było rękę poń wyciągnąć.

Cóż bowiem miał w tej chwili przed sobą? Nic nad to co widział. Książę Wellington stał zawsze w Bruxelli, gdyż nie otrzymawszy tego poranku pewnych wiadomości, żadnych też nie wydał rozkazów. Tylko książę Sasko-Wejmarski, liczący się w dywizji Perponcher'a, jednej z tych, która składała korpus księcia Oranji, działając nad wydane mu instrukcje, prostém tylko kierowany domysłem, wyszedł z Nivelles do Quatres-Bras z czterema tysiącami Nassauczyków. A więc marszałek Ney, mając pod swemi rozkazami 4,500 wybornej piechoty, nie licząc tyleż jazdy, zawahał się i wstrzymał pochód przed czterema tysiącami lichej piechoty. Bez wątpienia, jeden krok dalej, a byłby zniósł w mgnieniu oka ten mały oddział nieprzyjacielski.

W istocie, Ney mógł się obawiać spotkania większych nad 4 tysiące sił nieprzyjacielskich, w każdym atoli razie mógł siły swoje posiłkować nadciągającym dwudziesto-tysięcznym oddziałem jenerała Reille. Bądź co bądź Ney w rachunku swoim mylił się; możnaż bowiem było wnosić, że armja angielska, zaskoczona zn'enacka o dziesiątej czy jedenastej z rana, mogła już otrzymać z Bruxelli rozkazy skoncentrowania się, a gdyby nawet i odebrała, mogłaż je zaraz wykonać? Zresztą, czyż z 4,500 ludźmi nie można było o stanie rzeczy przekonać się? Jedno natarcie kawalerji na ten cel wysłanej, byłoby wykryło całą tajemnicę. Ney, który nazajutrz i w dniu następnym cudów waleczności dokazywał, w tej chwili nie był owym mężnym jenerałem z pod Jeny i Eylau, co zbytnim unosząc się zapędem, nieraz w nadto krwawe zapasy wiódł wojska francuzkie. Niestety, zdarza się to, że wódz niegdyś śmiały, staje się nagle zbyt lękliwym. Ney więc nie posuwając się poza Frasne o milę od Quatre-Bras odległe, pozostawiwszy na miejscu dywizję jenerała Piré z jazdą jenerała Lefebvre-Desnoëttes, powrócił do Charleroy by zdać sprawę cesarzowi z tego co się stało.

Napoleon tego dnia nie zsiadał z konia od godziny trzeciej z rana do dziewiątej wieczór, czyli że jeździł konno przez ośmnaście godzin, co przy chwilowej tego dnia niedyspozycji tem przykrzejszem dlań było. Dla odpoczynku więc rzucił się na łóżko przyjmując lub wydając coraz nowe doniesienia i rozkazy. O północy już był na nogach; wtedy to przyjął Neya z rapportem, w którym marszałek powody swego zachwia-

nia starał się usprawiedliwić. Napoleon niekiedy unosił się kiedy wszystko szło dobrze; w położeniach zaś drażliwych i ważnych był łagodnym nie chcąc miotać się na ludzi, którymi same czasowe okoliczności ciężko już miotały. Nie zrobił więc ani słowa wymówki marszałkowi, lubo nieuskutecznienie wydanych mu rozkazów było godnem żalu (*). Dotąd jednakże wszystko można było jeszcze naprawić i w ogóle dzień ten był dość pomyślnym. Napoleon przeprowadziwszy z odległości stumilowej swoją 124 tysiączną armję, niespodzianie podszedł Prusaków i Anglików i zajął takie pomiędzy nimi stanowisko, że armje te każda z osobna walczyć musiały. Rezultat to był widoczny; z prawego bowiem skrzydła, nieopodal siebie, miał Prusaków pod Namur; z lewego zaś,

(*) Tu jest miejsce zastanowić się nad rozmaitością zdań co do rozkazów wydanych Neyowi w dniu 15 Czerwca po południu. Unikając więc rozwlekłości, przywiedziemy je w krótkości przynajmniej dla tych czytelników, którym krytyka historyczna nie jest obojętną. I tak, pułkownik Heymès, adjutant Neya, w opowieści swojej dowodzi, że marszałek w czasie tych smutnych dni nie popełnił żadnego błędu i że Napoleon nie okazał mu ztąd najmniejszego niezadowolenia, owszem zaprosił go na wieczerzą i traktował z całą uprzejmością. Po zbadaniu wielu naocznych świadków powzięliśmy przekonanie o prawdzie słów Heymès'a. Usterk Neya był jeszcze tak łatwym do naprawienia, że Napoleon, któremu usługi marszałka były nader pożądane, strzegł się okazania w czemkolwiek urazy. Niezadowolenie cesarza mogło być żywsze dopiero nazajutrz. Ale ważniejsze tu nasuwa się pytanie, czy Napoleon miał prawo czynić Neyowi wyrzuty i czy dał mu wyraźny rozkaz zajęcia pozycji Quatre-Bras. Niektórzy temu zaprzeczają utrzymując, że cesarz kazał tylko wyprzeć całą siłą nieprzyjaciela na drogę do Bruxelli wiodącą, a nie wspomniał nic o Quatre-Bras. Co do nas, sądzimy przeciwnie, i na to dość przekonywające postawimy dowody, a mianowicie bezpośrednie świadectwo samego Napoleona.

Dwa opisy kampanji z r. 1815 pozostawił nam Napoleon: jeden podyktowany jenerałowi Gourgaud na wyspie św. Heleny i pod jego wydany imieniem; drugi głębiej zbadany, ubarwiony, uczeńszy wprawdzie, ale zdaniem naszem mniej prawdziwy, oba zresztą godne przejść do potomności, jak wszystkie czyny tego genjuszu. W obu tych opowiadaniach Napoleon przytacza, że wyraźnie polecił Neyowi zająć Quatre-Bras i to o ile można jak najśpieszniej. Jeden z najbliższych i najwiarogodniejszych świadków, ówczesny szef sztabu, marszałek Soult, powtarzał niejednokrotnie w ciągu swego życia, że sam słyszał jak Napoleon w d. 15 zalecał Neyowi pójść na Quatre-Bras. Książę d'Elchingen, syn marszałka Neya, ów dzielny jenerał poległy w wojnie krymskiej, udawał się sam do Soulta dla zbadania prawdy, celem obronienia drogiej mu pamięci ojca, ale marszałek w drażliwem w obec syna znajdując się położeniu, zapewniał, że sobie nie przypomina, czy w dniu 15 cesarz wydał ów wyżej przywiedziony rozkaz. Książę d'Elchingen rozmowę miany z Soultem zamieścił w dziełku p. t. *Documens inédits sur la campagne de 1815.* Inny znów świadek, jenerał Berthezène dowódzca dywizji pod Vandamme'm, w ciekawych i wiarogodnych pamiętnikach swoich (t. II. str. 359) pisze, że cesarz wyraźnie zalecił Neyowi opanować Quatre-Bras, że szczegół ten słyszał od marszałka Soulta, który obecnym był temu poleceniu. Kiedy Berthezène to pisał, Soult żył jeszcze, mógłby więc prawdziwości tego zaprzeczyć. Zważywszy nadto, że Napoleon, może sam jeden ze wszystkich znanych wodzów, najpilniej badał położenie miejsca na kartach jeograficznych, nie podobna przypuścić, aby w uznaniu wysokiej ważności pozycji Quatre-Bras, nie kazał najprzód jej zająć. W każdym razie, jakkolwiek wysoce cenimy pamięć Neya, szanując atoli nadewszystko prawdę dziejową, nie możemy odstąpić od położonego przez nas w tej mierze pewnika; prawda i słuszne ocenienie każdej sprawy powinno być świętem, tém bardziej, gdy to ani wielkości Napoleona, ani bohaterstwa Neya nie zmiejsza.

w kierunku Bruxelli, stali Anglicy. Był więc pewnym, że po udzieleniu całonocnego wypoczynku wojsku, nazajutrz pierwsze starcie będzie miał z Prusakami, którym pomocy Anglicy udzielić nie będą mogli, i że tem samem armje te je dnę po drugiej z kolei pobije. Wprawdzie położenie Napoleona byłoby o wiele lepszem, gdyby był Ney dnia poprzedniego zajął Quatre-Bras; tym bowiem sposobem odjętą byłaby Anglikom wszelka możliwa z ich strony pomoc Prusakom; lecz czego nie zrobiono wieczorem dnia 15-go, to spełnić się dało z rana w dniu 16-ym, zwłaszcza w czasie ucierania się Napoleona z Prusakami, tak iż Ney, po zajęciu Quatre-Bras mógł jeszcze niektóremi oddziałami wesprzeć Napoleona, oba bowiem opierali się o siebie plecami wówczas, kiedy każdy z nich walczył na swoją rękę. Zresztą, pomimo tego zawahania się Neya, wszystko w dniu tym powiodło się Napoleonowi; albowiem wojska francuzkie stały całą massą pomiędzy Prusakami a Anglikami, a nadto pierwsi z tych niespodzianem podejściem na pół w nieładzie; drudzy zaś w zupełnej rozsypce. W każdym więc razie gdyby nie błąd Neya, niczby nie brakło do pomyślności dnia tego; trzy godziny czasu, to jest, od piątej do ósmej dostateczne były do zajęcia Quatre-Bras z 20 tysiącami Reille'a i 20 tysiącami d'Erlon'a w odwodzie. Mimo to Napoleon kontent był z rezultatów dnia tego; nie przywiązując wielkiej wagi do uchybień Neya, traktował go przyjaźnie i około godziny drugiej z rana odprawił do Gosselies, a wskazując ważność stanowiska Quatre-Bras, przyrzekł udzielić mu szczegółowo rozkazy, jak skoro odbierze i porówna raporta swoich adjutantów. Poczem rzucił się na łóżko by orzeźwić się dwu lub trzy-godzinnym snem w czasie, kiedy wojsko jego używało go siedm do ośmiu godzin, co po całodziennym naglącym marszu i przed spodziewaną bitwą było nieodzownem.

W chwili którą opisujemy, armja francuzka podzieloną była w następujący sposób: na prawém skrzydle Grouchy z lekką jazdą Pajol'a i dragonami Exelmans'a nocował w lasach Lambusart, mając przednie straże w Fleurus; Vandamme zaś przebiegłszy ze swoim korpusem 7 do 8 mil fran. w czasie najsilniejszego upału, obozował nieco w tyle, z tej strony Gilly. Na prawym skraju, Gérard, opanowawszy most Châtelet, stał z 4-ym korpusem; pozycję tę wszelako zajął dość późno, a to z powodu oczekiwania na jednę ze swoich dywizji w Philippeville i 7 do 8-milowego marszu z Philippeville do Châtelet. Stał więc nad Sambrą mając korpus swój po obu jej brzegach rozłożony.

Środkiem gwardja piesza przeszła Sambrę, gwardja zaś konna, rezerwa ciężkiej kawalerji, 6-ty korpus hrabiego Lobau, rezerwa artyle-

rji, główny park i bagaże nie miały już czasu do przejścia mostu pod Charleroy, natłoczonego ludźmi, końmi, działami. Było to i tak wiele, że przy dojmującym upale, jedni z nich po sześć, inni po siedm mil fran. uszli i wązkiemi drożynami tak znaczne zapasy wojenne przeprowadzili. Dwu lub trzy godzinny czas dnia następnego, dostatecznym był do przejścia Sambry. Na lewem skrzydle, na drodze wiodącej do Bruxelli, pod rozkazami Neya stała w Frasnes dywizja piesza jenerała Bachelu, kawalerja Piré'ego i Lefebvre-Desnoëttes'a; na tyłach, pomiędzy Mellet a Gosselies, reszta drugiego korpusu, którego 2-ga dywizja Gérard'a posunęła się ku Wagnelée; nakoniec, pozycję pomiędzy Gosselies a Marchiennes zajmował hr. d'Erlon z całym 1-ym korpusem. Ten ostatni wcześnie dawszy wypoczynek wojsku, mógł zaraz z samego rana wystąpić do boju. W takiem położeniu rzeczy, Napoleon mając z prawej strony jenerałów Grouchy, Pajol, Exelmans, Vandamme i Gérard, to jest, około 38 tysięcy ludzi; z lewej Neya, Reille, d'Erlon, Lefebvre-Desnoëttes, czyli blisko 45 tysięcy żołnierza, środkiem gwardję, jenerała Lobau, ciężką kawalerję, rezerwę artyllerji, parki, dochodzące do 10 tysięcy wojska, i nie potrzebując jak 2 lub 3 godziny czasu do przejścia Sambry, mógł zaraz z rana rzucić się na Prusaków lub Anglików oddzielonych zajętem przez niego stanowiskiem i wybrać dowolnie, stosownie do okoliczności, przeciwnika na którego uderzyć zamierzał.

W tym czasie niepomyślny wypadek zdarzył się w korpusie jenerała Gérard. Z rana w dniu 15, kiedy właśnie kolumny francuzkie ruszały ze swoich stanowisk, jenerał Bourmont ze swoim adjutantem pułkownikiem Clouet, powzięli niefortunny, cień na resztę ich życia rzucający zamiar, opuszczenia swoich szeregów. Odważny w boju, miły w życiu domowem, ceniony w armji cesarskiej której świetne niósł usługi, a zarazem upragniony od dawnych swych przyjaciół rojalistów, przez obie strony przyciągany, świadomy błędów jednych i drugich i takowe potępiający, jenerał Bourmont początkowo uchylał się od służby do której nęcił go wrodzony pociąg, a stosunki majątkowe przyjąć nakazywały. Nareszcie, ustępując górującej skłonności do zawodu wojskowego, Bourmont przyjął za pośrednictwem jenerała Gérard dowództwo stopniowi swemu odpowiednie; wkrótce atoli, wieści o powstaniu w Wandei i o srogiem obejściu się z jego krewnemi i przyjaciołmi, żal w sercu jego obudziły. Drażniony więc wyrzutami rojalistów, nagle postanowił opuścić armję i udać się do Gandawy. Jakoż wieczorem w dniu 14-ym, oświadczył jenerałowi Hulot, najdawniejszemu z swoich dowódzców brygady, że oddali się nazajutrz, nie wskazując atoli powodów, następnie zdał mu instrukcje sobie udzielone, napisał do jenerała Gérard, swego niegdyś po-

ręczyciela, list usprawiedliwiający, poczem przedarł się przez nieprzyjacielskie przednie straże oznajmiając, że się udaje do Ludwika XVIII-go. Wieść o tem, szybko w obozie obiegająca, nie tylko że nie osłabiła ducha żołnierzy, ale owszem wywołała w nich żywe oburzenie. Wszelako wypadek ten dał powód do tym większej nieufności do swoich dowódzców, z których każdy miany był w podejrzeniu, jeżeli tylko nie był dawno znanym i lubionym od żołnierzy. Jenerał Bourmont, wyjechawszy rano dnia 15-go, przybył do głównej kwatery pruskiej dopiero około południa, czyli w ten czas, kiedy wojska francuzkie wszedłszy do Charleroy, tem samem już zamiary swoje Blücherowi wyświetliły. Jenerał Bourmont popełnił więc błąd nie przynoszący żadnej korzyści ani zaszczytu swemu stronnictwu, które innemi środkami powinno było starać się tryumf sobie zapewnić.

Nie tak korzystnie, jak Napoleon, wodzowie sprzymierzeni czasu tego użyli. W dniu 14, kiedy wojska francuzkie zbierały się w Beaumont, Blücher głuche tylko o zbliżaniu się ich odbierał wiadomości. Wieczorem dopiero bardziej nieco upewniony, polecił jenerałowi Bülow z 4-ym korpusem stojącemu w Liège, i Thielmannowi obozującemu z 3 korpusem pomiędzy Dinant a Namur przejść do samego Namur. Nadto, rozkazał jenerałowi Pirch I. (korpus 2-gi) udać się do Sombreffe, a jenerałowi Ziethen (korpus 1-szy) zgromadzić swoje siły pomiędzy Charleroy a Fleurus. W dniu 15-ym Ziethen wyparty z Charleroy z rana, a z mostu pod Soleilmont po południu, cofnął się do Fleurus. Pirch I poszedł zająć w Sombreffe wielki gościniec wiodący z Namur do Bruxelli. Nadbiegł tu także i Thielmann, Bülow zaś późno zawiadomiony, opuściwszy Liège podstąpił pod Namur. Zapalczywy Blücher gotów był przyjąć bitwę pomiędzy Fleurus i Sombreffe zaraz z rana w dniu 16 Czerwca, nie czekając na wojsko angielskie, w nadziei jednak, że przynajmniej znaczna część tej armji przybędzie do Quatre-Bras.

Ze strony angielskiej, czy to skutkiem wrodzonej powolności, czy odległości miejsca, w ogóle działalność była mniej znaczną. Książę Wellington dbając głównie o zachowanie stosunku z morzem, postanowił nie dać się uwieść czczym demonstracjom i oczekiwać na ataki pewne z tej lub owej strony, lubo obawiając się podejścia ze strony Napoleona, sam się na zawód wystawiał. Mimo kilkokrotnych ostrzeżeń o zbliżaniu się Francuzów, na nieszczęście z ich strony nawet otrzymywanych, Wellington stał w miejscu oczekując zawsze na lepsze rozjaśnienie położenia rzeczy. Wprawdzie, mógł on przysposobić swoje szeregi tak, iżby te za danym rozkazem zaraz w ruch wprawione być mogły, lecz dowodząc wojsku które łatwiej przebacza narażenie go na

śmierć niż na próżne trudy, nic jeszcze w tym celu nie przedsięwziął. Nareszcie kiedy w dniu 15 pruski jenerał Ziethen zawiadomił go o stanowczem ukazaniu się wojsk francuzkich, wódz angielski wtedy dopiero rozkazał zebrać się armji około trzech głównych swoich kwater, to jest około Ath z prawej, Braine-le-Comte z lewej strony i rezerwom pod Bruxellą. Mimo to nie opuścił jednakże balu, jaki księżna Richemont tego wieczora wydawała w Bruxelli. W czasie tej uczty, na którą zebrali się wszyscy dowódzcy angielscy i uwierzytelnieni dyplomaci przy dworze w Gandawie, Wellington otrzymał szczegółowe wiadomości o wejściu wojsk francuzkich do Charleroy i o przejściu ich za Sambrę. Wtedy nie okazując po sobie niepokoju, opuścił wieczór dla wydania nowych rozkazów.

Jakoż polecił rezerwom swoim udać się bezzwłocznie w kierunku z Bruxelli do Quatre-Bras, zalecając nadto jenerałowi Hill i księciu Oranji zrobić obrót z prawej ku lewej stronie, pierwszemu z Ath ku Braine-le-Comte, drugiemu z Braine-le-Comte ku Nivelles; ten ostatni przytem otrzymał rozkaz całe swoje siły zwrócić na Quatre-Bras. Sam zaś robił przygotowania do wyjazdu w nocy tak, aby na świt mógł już być w Quatre-Bras i Sombreffe, a to dla złączenia ich z marszałkiem Blücher i zjednoczenia działań swoich z pruskiemi.

Kiedy tak wódz angielski te nieco opóźnione wydaje rozkazy, podwładni jego oficerowie, przewidując grożące niebezpieczeństwo, ubiegali się nad obmyśleniem środków najszybszych i najskuteczniejszych. Naczelnik sztabu księcia Oranji, dowiedziawszy się o zbliżeniu się wojsk francuzkich pod Charleroy, ściągnął w dniu 15 po południu dywizję jenerała Perponcher, a jednę jej brygadę księcia Sasko-Wejmarskiego skierował ku Quatre-Bras. Oprócz tego w okolicach Nivelles tenże oficer postawił dywizję jenerała Chassé i jazdę Collaert'a, i kiedy książę Oranji do swej głównej kwatery przybył, wtedy, dzięki swemu podkomendnemu, najkonieczniejsze środki znalazł już przedsiewzięte, a nawet w części wykonane.

Tak więc wieczorem tegoż dnia 15-go armja angielska, lubo była w ruchu na wszystkich punktach, nie zebrała jeszcze całej dywizji pod Quatre-Bras, gdy tymczasem armja pruska, bardziej skupiona i świadomsza położenia rzeczy, mogła połowę swoich sił postawić na polach Fleurus, a do następnego poranku była w możności rozwinąć w kolumny bojowe przynajmniej trzy części swojej masy.

Napoleon, zaledwie o drugiej po północy udawszy się na spoczynek, o piątej rano był już na nogach. Dotknięty w tej chwili słabością dość nieznośną, nie zsiadając z konia przez ośmnaście godzin w dniu 15, nie

mniejsze trudy zniósł wytrwale w dniu następnym, co przekonywa, że działalność jego nie była mniejszą (*). Droga działań jaką sobie Napoleon w tym dniu naznaczył, była stale powziętą jeszcze przed otrzymaniem raportów od swoich jenerałów. Wiedząc, że główna kwatera angielska leży o 14 mil fran. z lewej, pruska zaś o 8 mil z prawej strony, nadto, że korpus pruski był skoncentrowany, angielski zaś wyciągnięty w długiej linji pomiędzy Skaldą a Sambrą, pewnym był, że w dniu tym pierwsze spotkanie nastąpi z Prusakami na polach pod Fleurus i że tem samem starcie z Anglikami może przypaść dopiero w dniu następnym. Takie położenie rzeczy zakazywało zwrócić się w prawo dla stoczenia walki z Prusakami, na lewem zaś skrzydle postawić silny oddział dla wstrzymania pierwszych kolumn angielskich. Lecz jakkolwiek przypuszczenia te dawały rękojmią pewności, wszelako przed wydaniem ostatecznych rozkazów, należało oczekiwać na wiadomości, jakie wysłane na zwiady przednie straże przyniosą. Gdyby w przeddzień bitwy cała armja była przeszła Sambrę, a tem samem postawiła się w możności bezzwłocznego działania, wtedy Napoleon mógłby był plany swoje natychmiast rozwinąć, idąc bez straty czasu w obu zamierzonych kierunkach i stosując siły swoje do przewidywanych niebezpieczeństw. Tymczasem należało jeszcze przez most pod Charleroy i wązkie ulice tego miasta przeprawić najmniej 25 tysięcy ludzi, a w tem 10 tysięcy kawalerji i wielki park artylerji. Pochód ten wymagał przynajmniej trzech godzin czasu, i kiedy się takowy uskuteczniał i wojska za Sambrę przeprawione, po trudach dnia poprzedniego używały spoczynku, Napoleon czas ten obracał na zestawienie raportów lekkiej jazdy, co było dlań wielkiej wagi, nie tylko bowiem trudne położenie pomiędzy dwiema armjami nieprzyjacielskiemi, ale i przerażenie jenerałów, którzy tuż za plecami widzieli już połączonych Anglików i Prusaków, raporta te pożądanemi czyniły. Zresztą, 16-go Czerwca dzień liczył przynajmniej 17 godzin, trzygodzinne więc opóźnienie, wielkiej nie stanowiło różnicy.

Napoleon objechawszy sam kilka stanowisk, po wysłuchaniu doniesień szpiegów i raportów patroli na podjazdy wysłanych, utwierdził się w domysłach w dniu poprzednim powziętych. Według jego obliczeń, w Quatre-Bras spotkać mógł wojska angielskie zebrane z okolic, pomię-

(*) Zdania spółczesnych o stanie zdrowia Napoleona w ciągu tych czterech dni, są dość sprzeczne. Książę Hieronim, brat cesarza i chirurg z jeneralnego sztabu zapewniali autora, że Napoleon cierpiał wtedy na pęcherz. P. Marchand zaś, z jego świty, utrzymywał przeciwnie. Jakikolwiek jednak był stan zdrowia Napoleona, czynność jego atoli nie zmalała, o czem dalsze opowiadanie poświadcza. Żyjący jenerał Gudin, dwczesny paź przy cesarzu, utrzymuje, że sam podał konia Napoleonowi i nie odstępował go przez dzień cały.

dzy zaś Fleurus a Sombreffe, armję pruską w trzech czwartych częściach nagromadzoną. Raport Grouchy'ego pisany o godzinie 6-ej z rana donosił, że armja pruska rozwinęła się nawprost Fleurus. Z dwóch przeto głównych przyczyn na nią uderzyć należało: najprzód, że armja ta była najbliższą, powtóre, że idąc naprzód bez walki z nią, wojsko francuzkie mogłoby być przez Prusaków z boku i z tyłu oskrzydlone. Napoleon zbadawszy pozycję na mapie, około godziny siódmej z rana wydał rozkazy głównemu szefowi sztabu z poleceniem rozesłania ich na piśmie wszystkim dowódzcom korpusów. Zaczynając od prawego skrzydła na którém koncentrowanie się sił nieprzyjacielskich najbardziej nagliło, rozkazał 3-mu i 4-mu korpusowi Vandamma i Gérarda zająć pozycję z tej strony Fleurus. Vandamme obozujący w okolicach Gilly, miał dwie i pół mili, Gérard zaś stojący pod Châtelet miał trzy mile francuzkie do przebycia. Nie przypuszczając żadnych opóźnień w rozkazach, wojska nie prędzej jak na godzinę jedenastą stanąć mogły na placu. Czas ten więc był dostatecznym, zwłaszcza gdy przypomimy, że bitwa trwać mogła do godziny dziewiątej wieczór. Oprócz tych wojsk Napoleon poruszył nadto i gwardję stojącą pod Charleroy, zalecając jej udać się w kierunku Fleurus. Siły te wzmocnił dywizją kirysjerów jenerała Milhaud, przeszło trzy tysiące dzielnej jazdy liczącą. W następstwie obaczymy na jaki cel użył kirysjerów jenerała Valmy.

Cała ta armja złożona z lekkiej jazdy Pajol'a, dragonów d'Exelmans'a, korpusu piechoty Vandamma i Gérarda, kirysjerów Milhaud'a i nareszcie dywizji Gérard'a, oddzielonej dnia poprzedniego od korpusu Reille'a, liczyła 63 do 64 tysiące najlepszego żołnierza. Siła ta dostateczną była do stawienia czoła Prusakom, którzy zebrani przypuszczalnie do trzech czwartych całej swojej armji, mogli na błoniach Fleurus wystawić 90 tysięcy ludzi. Pozostawało jeszcze 10 tysięcy wojska hr. Lobau (z 6-go korpusu), niemniej jak poprzedni dzielnego, co podnosząc ogólną liczbę do 74 tysięcy walczących, czyniły Napoleona wolnym od wszelkiej obawy co do Prusaków. Wszakże bijąc się z nimi w r. 1814, liczebnie siły swoje miał o wiele niższe. Pomimo atoli wewnętrznego przekonania o niemożności zebrania się jeszcze Anglików, Napoleon nie chcąc w tak ważnej chwili wystawiać się na zawód w swoich przypuszczeniach, postanowił przynajmniej na kilka godzin pozostawić hr. Lobau w punkcie rozchodzących się dróg pomiędzy Fleurus a Quatre-Bras, licząc na to, że przezorność tego jenerała każe mu zwrócić się w tę stronę, z której największe grozić będzie niebezpieczeństwo. Trzy lub cztery godziny czasu dostatecznemi były do wyjaśnienia położenia rzeczy, a tem samem do

dania czasu hrabiemu Lobau uderzyć tam, gdzie nieprzyjaciel w głównej znajdował się massie.

Drogę wiodącą z Bruxelli i ważną pozycję pod Quatre-Bras, Napoleon rozkazał obsadzić marszałkowi Ney, wraz z korpusami jenerałów Reille i d'Erlon, przyłączoną do nich lekką jazdą i kirysjerami hr. Valmy. Pięknych tych kirysjerów cesarz poruczył marszałkowi, aby wycofać natomiast lekką jazdę gwardji, którą, dając dnia poprzedniego, zalecał oszczędzać. Mimo to pozwalał mu jej użyć w stanowiskach pośrednich, tak jednak aby łatwo mogła się cofać, kirysjerów zaś rozkazał postawić na tak zwanym gościńcu *Rzymian*, starej drodze przerzynającej okolicę z lewej do prawej strony, a to w celu zwrócenia jej w danym razie ku Fleurus. Oddział Neya liczył razem około 45 tysięcy żołnierza. Pod względem użycia tych sił w ciągu dnia, Napoleon takie wydał instrukcje. Do Neya należało postawić się tak silnie pod Quatre-Bras, aby, pomimo wszelkich wysileń, nie dopuścić tu Anglików; jednę zaś dywizję Ney winien był pozostawić nieco opodal pod Genappe, a tem samem tworzyć czoło armji idącej na Bruxellę, w razie gdyby Prusacy unikając spotkania usiłowali połączyć się z Anglikami, lub też, gdyby po doznanej porażce chcieli się cofać ku Liège. Załatwiwszy się z nimi, Napoleon zamierzał poprzeć Neya w pochodzie jego na Bruxellę. Przy tak wszechstronnie obmyślanych krokach, Napoleon dodał jeszcze wskazówki, wysoką, jak obaczymy, nacechowane przezornością. Chciał on, aby Ney, mający 45 tysięcy wojska, i tyleż prawie do zwalczenia Anglików, gdyby się był pośpieszył z zajęciem Quatre-Bras, aby mówię Ney zrobił wycieczkę na Marbais, wioseczkę położoną na drodze z Namur do Bruxelli. Rozkaz ten łatwy był do wykonania, albowiem Napoleon i Ney mogli się łatwo wspierać w spodziewanej walce, opierając się pierwszy na Fleurus, drugi na Quatre-Bras, tak, iż pierwszy któryby skończył, mógł łatwo drugiemu wysłać posiłki z swoich szeregów, co stanowiąc wielką pomoc, przywiodłoby nieprzyjaciela do zupełnej klęski. Pozycja Marbais, wioski leżącej blisko Sombreffe, pomiędzy Namur a Bruxellą, była wybornie na ten cel obrana.

Rozporządzenia te wydane o godzinie siódmej rano, skreślone przez marszałka Soult jako szefa sztabu, miały być bezzwłocznie rozesłane do wszystkich dowódzców korpusów. Lecz, niestety, nowy ten szef sztabu niewprawny jeszcze w spełnianiu tak drażliwego zadania, nie posiadał owej szybkości Berthier'a w oddaniu poruczonych mu zleceń i nie umiał w krótkich słowach uchwycić prawdziwej myśli Napoleona. Jakoż rozkazy wydane o godzinie siódmej, zredagowane i wysłane zostały zaledwie o w pół do dziesiątej. Ta strata czasu, jakkolwiek nieodżałowana,

nie spowodowała jednakże złych skutków, wojska bowiem w tym czasie przebywały Sambrę, i dzień ten poświęcony być mógł tylko na stoczenie jednej walki z Prusakami, na którą właśnie druga połowa dnia była wystarczającą (*). Napoleon nie potrzebując się śpieszyć, bo przestrzeń którą wojsko przebywało pieszo, on przebiegał na koniu, postanowił jeszcze przed wyjazdem do Fleurus napisać do marszałka Neya list, i w nim z właściwą sobie dokładnością i jasnością przedstawić szczegółowo plany i zamiary swoje. W liście tym wyraził, że ponieważ oficerowie jego szybciej biegają niż oficerowie jeneralnego sztabu, postanowił więc wysłać doń jednego z ostatczną instrukcją. Objawił mu dalej, że udaje się do Fleurus, gdzie jak się zdaje Prusacy rozwijają swe kolumny do działania, że zatem postanowił stoczyć z nimi bitwę, gdyby się opierali, lub pójść na Bruxellę, w razie ich cofania się. Zalecał mu więc silnie oprzeć się o Quatre-Bras i postawić jednę dywizję przed tą wsią, drugą zaś na prawej stronie wioski Marbais, z którą następnie możnaby się rzucić na Sombreffe. Przypominał mu także, aby oszczędzał lekką jazdę gwardji i aby kiryssjerów Valmy pozostawiał nieco w tyle, tak,

(*) Niektórzy surowi sędziowie zarzucają Napoleonowi zbytnią powolność okazaną w dniu 16 Czerwca. Dla jednych powolność ta pochodzi z oziębionej energji Napoleona, dla drugich zaś jest ona trudną do usprawiedliwienia. Tymczasem opierając się na dowodach autentycznych, znajdziemy wytłomaczenie w samych szczegółach dnia tego. Napoleon nie zsiadając z konia w dniu 15 Czerwca od godziny 3-ej z rana do 9-ej wieczór, po trzy godzinnym zaledwie wypoczynku, a następnie po dwu godzinnej naradzie z Neyem, dosiadł znów konia o godzinie 5-ej z rana w dniu 16 Czerwca, co daje dostateczne przekonanie, że nie brakło mu energji, że wódz ten ani wiekiem, ani wielkością swego stanowiska nie poddał się zniewieściałości. Zajmując pozycję pomiędzy dwiema armjami nieprzyjacielskiemi, każdem fałszywem poruszeniem mógł się łatwo zgubić; mniejszej więc było wagi rozpoczęcie bitwy o dwie godziny później, zwłaszcza na dniu 17 godzin długim, niż poznanie sił nieprzyjacielskich, na które wypadało mu z jednej lub drugiej strony uderzyć. Podjazdy jenerała Grouchy wysłane ku Prusakom o godzinie szóstej, mogły powrócić o siódmej; nie był to więc czas stracony ze strony wodza, zwłaszcza gdy jednocześnie wydane były rozkazy do głównego sztabu i przez tenże rozesłane pomiędzy godziną 8 a 9-tą tem więcej, gdy czasu tego wojsko używało na spoczynek po 10 czy 12 milowym marszu dnia poprzedniego lub do przejścia Sambry.

Z dalszego ciągu opowiadania przekonamy się, że jakkolwiek wojska o południu znajdowały się już na miejscu, walka jednakże z Prusakami nie mogła się rozpocząć prędzej jak o w pół do trzeciej i lubo tak późno rozpoczęta, udała się pomyślnie, a gdyby nie jeden wypadek, bitwa ta o wiele wcześniej byłaby ukończoną. Pozorna więc zwłoka w działaniu z rana w dniu 16 Czerwca nie miała żadnych złych następstw ani dla bitwy pod Ligny, ani dla takiejże bitwy pod Quatre-Bras, i gdyby rozkazy były ściśle wykonane, cel w zupełności byłby osiągnięty. Zwłoka ta była konieczną raz dla zbadania istotnego położenia, powtóre dla dania czasu wojskom przebywającym Sambrę. Co do zwłoki popołudniowej, tej istotnie żałować należy: przyczyny jej atoli przypisać potrzeba niespodziewanym okolicznościom lub usterkom dowódzców działających niezależnie od naczelnego wodza. Zawsze to powtarzać będziemy, że jeżeli można, jak się podoba, krytykować politykę Napoleona, to bynajmniej nie należy roztrząsać z lekceważeniem działań jego wojennych, w których skończony ten i doświadczony w swej sztuce bohater, bacznie śledził wszelkie okoliczności, od których jego i Francji los zależał.

aby i oni w razie potrzeby zwrócić się mogli na Fleurus. Powtarzał jeszcze, że w każdym razie, czy Prusaków zgniecie czy odeprze, przybędzie bez straty czasu na prawe skrzydło i wesprze Neya w działaniu armji na Bruxellę. W końcu skreślił mu w krótkości plan reszty kampanji. —Chcę mieć dwa skrzydła, pisał cesarz, jedno pod Neyem złożone z korpusów Reille i d'Erlon z częścią kawalerji, drugie pod Grouchy'm składające się z korpusów Vandamma i Gérard'a, również z oddziałem jazdy, tak, abym łącznie z gwardją Lobau'a i rezerwą kawalerji, razem około 40 tysięcy ludzi, przenosić się mógł z jednego na drugie skrzydło i abym tem samem działanie tych wojsk postawił na równi z działaniem armji głównej.

Podwójne te instrukcje poruczone były hrabiemu Flahault, adjutantowi cesarza, oficerowi godnemu zaufania, znającemu dobrze język angielski i Anglików i mogącemu być bardzo użytecznym marszałkowi Ney. Hrabia Flahault jadąc do Gosselies i przez rozmaite punkta drogi do Quatre-Bras, obowiązany był zakomunikować dowódzcom wojsk cesarskie plany, do których ci zastosować się byli winni jeszcze przed otrzymaniem rozkazów z głównego sztabu. P. de Flahault wyjechał około godziny dziewiątej.

Rozmaite te rozkazy wysłane na prawo w kierunku do Fleurus, i na lewo do Quatre-Bras, doszły swego przeznaczenia jedne o dziewiątej, drugie o dziesiątej godzinie z rana. W tym czasie więc wszystkie wojska były już w marszu. Vandamme wyruszył z Gilly ku Fleurus i osłoniony lekką jazdą Pajol'a i dragonami Exelmans'a, uszykował się przed tem miasteczkiem. Jenerał Gérard przeszedłszy Sambrę pod Châtelet, zwrotem w prawo udał się na Fleurus. Gwardja licząca 18 tysięcy wojska różnej broni, minąwszy Gilly, posunęła się również pod Fleurus. Dzień był piękny, lubo skwarny. Pruskie kolumny rozwijały się już przed Sombreff, poza wzgórzami Saint-Amand i Ligny, z widoczną myślą wystąpienia do bitwy.

Pod Charleroy hr. Lobau przeszedł Sambrę, a za nim ciężka kawalerja, która rozdzielona na dwa oddziały, w dwie różne udała się strony. Kiryssjery jenerała Milhaud szli dla złączenia się z Vandammem, Gérardem i gwardją ustawioną pod Fleurus; kiryssjery zaś jenerała Valmy zwrócili się na lewo w stronę Gosselies i Quatre-Bras. Na drodze do Quatre-Bras, d'Erlon z 1-ym korpusem, przybywszy późno dnia poprzedniego do Marchiennes, dał wypoczynek wojsku, oczekując tymczasem na rozkazy swego wodza, marszałka Neya. Gdyby służba jeneralnego sztabu była tak energiczną jak niegdyś za czasu Berthier'a, wtedy jene-

rał ten otrzymawszy instrukcje udzielone Neyowi, byłby je niebawem wykonał i nie tracąc czasu w dalszy udał się pochód. Jenerał Reille przybywszy dniem wprzód do Gosselies z całą siłą 2-go korpusu, tu noc przepędził. W wiosce tej stała już dywizja jenerała Foy, i ks. Hieronima, nieco na prawo dywizja Gérard'a wysłana pod Wagnelée, nakoniec w pobliżu Quatre-Bras, to jest pod Frasnes, stała dywizja jenerała Bachelu, które dnia poprzedniego trzymała na wodzy ks. Sasko-Wejmarskiego. Tam także znajdowała się jeszcze dywizja kawalerji jenerała Piré i lekka jazda Lefebvre-Desnoëttes'a. Ney przepędziwszy noc w Gosselies wraz z jenerałem Reille, opuścił je udając się do Frasnes, a to aby bliżej śledzić ruchy Anglików. Odjeżdżając upoważnił go do otwierania depesz nadchodzących z głównej kwatery i przesyłania rozkazów cesarskich dowódzcom korpusów. Następnie podstąpiwszy pod Quatre-Bras doznał silnego wrażenia patrząc na to co się to działo.

W tym czasie książę Oranji i Wellington przybyli do Quatres-Bras. Przybycie ich poprzedził jenerał Perponcher, dowódzca najbliżej stojącej dywizji złożonej z brygady ks. Sasko-Wejmarskiego i Bylandt'a. Wyżej powiedzieliśmy, że brygada Sasko-Wejmarska znajdowała się tu już od wczoraj, brygada zaś Bylandt'a szła dla złączenia się z tamtą. Ta ostatnia nie prędzej jak około godziny drugiej po południu mogła przybyć do Quatre-Bras. Inne dywizje angielskie, zmierzające od Ath, Nivelles i Bruxelli, mogły tu również stanąć dopiero o godzinie trzeciej, czwartej i piątej. W każdym razie, książę Sasko-Wejmarski przyrzekł Wellingtonowi dołożyć usilnych starań w utrzymaniu Quatre-Bras, z gotowością poświęcenia siebie i swego wojska na spełnienie tak ważnego obowiązku. Licząc na dzielność tego jenerała, Wellington przeniósł się na wielki gościniec z Bruxelli do Namur wiodący, w zamiarze złączenia się z Blücherem. Przybył więc w chwili kiedy wódz pruski rozwijał swoją armję pod Sombreff, z postanowieniem przyjęcia bitwy, bez względu na spodziewaną z jego strony pomoc. Książę Wellington, jakkolwiek nie był za przyśpieszaniem boju, przyrzekł wszelako Blücherowi nadbiedz z posiłkami ku wieczorowi, zająć Quatre-Bras i stanąć, o ile można, na prawém skrzydle wojsk pruskich. Tak umówiwszy się Wellington wrócił na drogę bruxelską w celu przyśpieszenia pochodu wojsk swoich.

Takie więc były rozporządzenia wodzów nieprzyjacielskich na rozmaitych krańcach tego obszernego pola bitwy. Jenerałowie francuzcy jakkolwiek niezwykłém męztwem ożywieni, mniej jednakże w sobie zaufani, z pewną obawą poglądali na to co się w około nich działo. Marszałek Ney, pełen zapału ale zimnej krwi nie posiadający, lękał się, aby cała armja angielska nie przygniotła go; a miał przy sobie i takich jene-

rałów, którzy zwiększali trwogę objawianém przekonaniem, że przyjdzie im stanąć do walki z stu tysiącami Anglików, przeciw którym oni zaledwie kilka tysięcy stawić będą mogli. Wszelako postawa prawie zaczepna księcia Oranji, przekonania te wątpliwemi czyniła, i już to chciał uderzyć na tego księcia z czterema tysiącami swojej jazdy, już znów na otrzymywane wieści o znacznych siłach nieprzyjaciela poza lasem ukrytych, uważał za krok nierozważny zaczepiać go przed nadejściem 45 tysiącznych posiłków od Napoleona zapewnionych.

Tenże stan rzeczy był na prawem skrzydle. Jenerał Grouchy, jeden z najwaleczniejszych oficerów armji, stał ze swoją dywizją zwrócony ku Wagnelée, bacząc na Fleurus, i z polecenia cesarza obowiązany był trzymać to stanowisko dla zachowania węzła pomiędzy dwiema połowami armji francuzkiej. Z punktu tego mógł on widzieć dokładnie Prusaków szykujących kolumny swoje pod Sombreffe. Niebawem więc doniósł on jenerałowi Reille, swemu bezpośredniemu dowódzcy, że, zdaniem jego, cesarz zaskoczony będzie wkrótce całą armją pruską stojącą pomiędzy Sombreffe a Fleurus. Raport ten wysłany do Gosselies, żywe na jenerale Reille sprawił wrażenie. Jenerał ten, który jeszcze pod Vittorją tak chlubną dla siebie zyskał pamięć, zachowawszy niezatarte owych chwil wspomnienie, a ztąd zbyt nieufny w powodzenie losu, nie umiał stanowczo działać i z danej chwili korzystać. Mając przed sobą Anglików, a z tyłu Prusaków, ujrzał się w położeniu zewsząd zagrożonem, a postawienie go w niem przypisywał lekkomyślności Napoleona. I kiedy takie dręczą go myśli, przybywa właśnie jenerał Flahault z rozkazami do marszałka Neya, którego, jak powiedzieliśmy, Reille do chwili powrotu zastępował. Podług tych rozkazów Reille winien był z całym swoim korpusem wyruszyć pod Frasnes, dokąd przybywszy około południa miałby dość czasu do zgniecenia owych kilku bataljonów księcia Oranji. Wszelako Reille inaczej postąpił: ufny bowiem w swoje u Neya zaufanie, postanowił posunąć swój korpus pod Gosselies i tam go zatrzymać do czasu w którym nowe raporta jenerała Girard wyświetlą mu lepiej ruchy wojsk pruskich. Niebezpieczną to jest rzeczą podstawiać swoje widoki w miejsce wydanych przez wodza rozkazów; pod takim zaś wodzem jak Napoleon, który przezornością swoją wszystko ogarniał, czynienie zmian w jego rozporządzeniach lub zwłoka w onych wykonaniu, była krokiem lekkomyślności trudnym do przebaczenia, bo pociągającym za sobą, jak to obaczymy, ważne bardzo następstwa. Jakoż jenerał Reille zawiadomiwszy o swém postanowieniu marszałka Ney, wysłał do jenerała d'Erlon w tyle stojącego otrzymane z głównej kwatery rozkazy, zalecając, aby ten ruszył naprzód i złączył się z 2-im korpusem na

drodze do Quatre-Bras. Ney zaś, którego obawy podwładnych dowódzców w połączeniu z własną niepewnością, chwiejnym uczyniły, wysłał do cesarza oficera od ułanów do Charleroy, z zapytaniem, czy mając przed sobą Anglików, a z prawego skrzydła Prusaków, ma wystąpić do boju z tak małemi swojemi siłami.

Wysłany od Neya oficer przybył właśnie w chwili, kiedy Napoleon wyjeżdżał z Charleroy udając się do Fleurus. Odczytawszy pismo, uniósł się gniewem, widząc jak Ney, zwykle tak stanowczy, waha się podobnie jak dnia poprzedniego, w odpowiedzi zaś swej zawiadomił go, że Blücher był wczora w Namur, nie mógł więc dziś znajdować się pod Quatre-Bras, że zatem mogło tam być tylko kilka oddziałów wojsk angielskich nadeszłych z Bruxelli, o ile się zdaje, nielicznych, że tem samem należało śpiesznie zebrać piechotę Reille'a i d'Erlon'a i ciężką kawalerję Valmy i znieść wszystko co będzie na placu. Rozkaz ten zredagowany w głównym sztabie, odznaczał się tym razem jasnością i zwięzłością. Po czem cesarz wyjechał do Fleurus.

Około południa przybył na miejsce; wojska zaś, które o niewiele prędzej wyprzedziły cesarza, zaczęły rozwijać się na równinach miasteczka Fleurus. Na lewo od gościńca wiodącego z Charleroy do Namur, stał korpus Vandamma składający się z dywizji piechoty jenerałów Lefol, Berthezène i Habert i kawalerji jenerała Domon. Dalej jeszcze, również z lewego boku, dywizja Gérarda należąca do korpusu Reille'a zajmowała z rozkazu Napoleona pośrednie stanowisko pod Wagnelée. Z prawego skrzydła rozciągnął się 4-ty korpus jenerała Gérard, w skład którego wchodziły dywizje Vichery, Pecheux, Hulot i jazda Maurin'a. Dalej jeszcze w tymże kierunku stała uszykowana lekka kawalerja Pajol'a z dragonami Exelmanns'a, a w tyle kiryssjery Milhaud'a. Nakoniec, drugą linję i rezerwy tworzyła cała gwardja, piechota i jazda z wyborną artylerją. Piękna ta armja liczyła około 64 tysiące żołnierzy rozmaitej broni, jak to już powyżej liczebnie wykazaliśmy. O trzy mile francuzkie od tego miejsca, hr. Lobau stojący z 10 tysiącami wojska w samych widłach, czekał tylko hasła do wyruszenia drogą ku Fleurus lub do Quatre-Bras. Pogoda była prześliczna, lubo upał dokuczliwy. Wojsko ożywione niezwykłym zapałem z niecierpliwością oczekiwały chwili boju, którego jednakże, wnosząc z rozmaitych oznak, nie można było spodziewać się. Przybycie 4-go korpusu dało poznać odstępstwo jenerała Bourmont. Wiadomość ta sprawiła w wojsku niesłychane oburzenie. Odstępstwo to nazwano haniebną zdradą, głośne przytem rzucając domysły, że wielu innych oficerów gotowych było toż samo uczynić. Podejrzywanie osób zostających niegdyś w usługach Restauracji, jako i tych co nie podziela-

ły ogólnego uniesienia, jawnie się zewsząd objawiało. Żołnierz jeden wystąpiwszy z szeregu odezwał się do Napoleona: Najjaśniejszy Panie, nie wierz Soultowi, bo i on cię zdradza.—Bądź spokojnym, odrzekł cesarz, ja ci za niego ręczę.—Niech i tak będzie, odpowiedział żołnierz wracając do szeregu z tąż samą, o ile się zdawało, nieufnością. Podejrzliwość ta, jakkolwiek nieuzasadniona, bo szef sztabu w tej chwili wszelkich z swej strony dokładał starań, daje przekonanie, jakie było natenczas moralne usposobienie wojska, poświęconego dla sprawy ojczyzny aż do fanatyzmu, ale nie biorącego rzeczy pod zimną rozwagę. Jenerał Gérard podbiegłszy do Napoleona, zmieszał się nieco mówiąc o jenerale Bourmont, za którego postępowanie niegdyś poręczał. Napoleon bez najmniejszej oznaki gniewu, rzekł pociągając go za ucho: «Widzisz, mój kochany Gérardzie, *że błękitni zawsze są błękitnemi a biali białemi*» (*).

Tymczasem Prusacy ustawiając szeregi swoje naprzeciw armji francuzkiej, co chwila stawali się liczniejszemi. Pagórkowate pola Fleurus, na których miała się stoczyć jedna z najkrwawszych bitew świata, uroczysty w tej chwili przedstawiały widok.

Wielki gościniec prowadzący z Namur do Bruxelli, z którym zbiegają się dwie drogi: jedna z Charleroy do Quatre-Bras, druga do Sombreffe, biegł po dość wyniosłej grobli oddzielającej wody spływające do Sambry, od wód wpadających do rz. Dyle. Armja pruska postępowała całą massą. W miarę zaś zbliżania się ku Sombreffe, armja ta robiąc pół obrotu w lewo, stanęła na prost Fleurus i tu złączyła się z oddziałami, które dniem wpierw opuściły Charleroy. Pozycja zajmowana przez Prusaków na pochyłości drogi i naprost wojsk francuzkich, była bardzo sprzyjającą dla działań odpornych.

Strumień Ligny biegnący wzdłuż gościńca z Namur do Bruxelli, w pobliżu Wagnelée, tam właśnie gdzie stała dywizja Gérarda, płynął od strony Francuzów z lewej ku prawej stronie, prawie równolegle do gościńca, i po licznych zakrętach, przerzynał trzy wioski, to jest Saint-Amand-le-Hameau, Saint-Amand-la-Haye i le Grand Saint-Amand. Dopiero pod tą ostatnią wioską strumień ten nagle zwrócony, płynie prawie prostopadle do gościńca idącego z Namur do Bruxelli, przekracza wioskę Ligny, podchodzi pod Sombreffe i obrawszy znów pierwiastkowy swój kierunek, okrąża wzgórza dość wyniosłe i nareszcie wpada do jednego z przytoków rzeki Sambry. Droga od Charleroy, którą Francuzi

(*) Słynna ta odpowiedź, niewłaściwie przez niektórych w innych wypadkach przytaczana, daną była właśnie tego dnia jenerałowi Gérard, jak on sam o tem autora zapewnił.

przyszli, łączyła się z gościńcem Namursko-Bruxelskim, w miejscu tak zwaném *Point-du-Jour*, tuż pod Sombreffe. Wspomniony strumień, nie głęboki lecz bagnisty, wierzbami i topolami ocieniony, był właśnie jedyném polem bitwy dla nieprzyjaciela usiłującego nie dopuścić wojsk francuzkich do opanowania tak ważnego gościńca z Namur do Bruxelli. Opodal łożyska tego potoku i wiosek ponad nim położonych, grunt podnosił się stopniowo aż do boków gościńca, którego obronę Prusacy zamierzyli i przedstawiał widok amfiteatru zapełnionego 80 tysiącami ludzi. Na szczycie zaś tego wzniesienia postrzegać się dawał młyn Bry, a poza nim na skraju pola wioska Bry, od której ukazywały się tylko szczyty dzwonnicy.

Na tém polu boju Prusacy uszykowali się w ten sposób. Dwie dywizje Steinmetz'a i Henkel'a z korpusu Ziethen'a, posunąwszy się od wczora z Charleroy, zajmowały: pierwsza trzy wioski Saint-Amand, druga zaś wioskę Ligny. Kilka ich bataljonów stało na wsiach, reszta zaś stała w massie ścieśnionej na spadzistości. Dywizje jenerałów Pirch II-go i Jagow'a stanowiły rezerwę: pierwsza wojskom mającym bronić Saint-Amand, druga zasłaniającym Ligny. Było tam około tysiąca ludzi. Drugi korpus armji pruskiej pod wodzą Pirch I-go, rozłożonej na wielkiej szosie z Namur w miejscu zwaném *Trois-Burettes*, tworzyły wraz z czterema dywizjami Tippelskirchen'a, Brauze'go, Krafft'a i Langen'a, drugą linję około 30 tysięcy ludzi, gotową na poparcie pierwszej. Trzeci korpus pruski Thielmann'a, w tej porze właśnie ciągnący od Namur, Blücher ustawił najdalej na lewem skrzydle naprost Point-du-Jour, w punkcie złączenia się drogi z Charleroy z gościńcem Namurskim. Takiém uszykowaniem wojska Blücher chciał sobie zapewnić obronę komunikacji z miastami Namur i Liège, zkąd miał mu przybyć w pomoc korpus Bülow'a i wszystkie zapasy wojenne. Trafna ta przezorność, paraliżowała jednakże najlepszą część jego armji. Główny jego plan na tem się opierał, aby sobie zapewnić punkt przecięcia się drogi z Charleroy z gościńcem Namursko-Bruxelskim, to jest, Point-du-Jour i Sombreff; następnie, obronić Ligny i trzy wioski Saint-Amand, i nakoniec, przy zarozumiałości równającej się jego męztwu, odeprzeć Napoleona poza Charleroy i wpędzić go w Sambrę z pomocą Anglików i losu. Czcze to jednakże były marzenia, i o ile koniec kampanji z r. 1815 był dlań pomyślnym, o tyle początek jej naraził go na zawód; a przynajmniej w owym dniu 16 Czerwca zwycięztwo jeszcze raz francuzkiemu wodzowi uśmiechnęło się.

Jakkolwiek pola pomiędzy Saint-Amand a Gilly stopniowo wznoszące się, łatwo wzrokiem objęte być mogły, mimo to gęsty rzęd drzew

ocieniających strumień, stanowił niedogodną dla oka przeszkodę, tak, iż Francuzi tylko małemi tu i owdzie lukami dostrzegać mogli nagromadzone massy Prusaków. Na środku równiny pod Fleurus, nieco na prawo ku wojskom francuzkim, stał wiatrak, którego właściciel, niespokojny o swoje mienie przybiegł, aby je swoją osobą od zniszczenia zasłaniać. Z odkrytą głową, cały przerażony, wiódł on Napoleona po drabinach aż na poddasze młyna, zkąd jak najdokładniej można było rozpoznać obrane przez nieprzyjaciela pole bitwy. Ze szczytu więc tej czatowni Napoleon widział wyraźnie trzydziesto tysięczną armję Ziethen'a rozłożoną częścią we wsiach Saint-Amand i Ligny, częścią na dalszych pochyłościach, dalej na gościńcu z Namur do Bruxelli korpus Pirch'a I-go, równy w sile korpusowi Ziethen'a, nakoniec wojska Thielmann'a, które, ciągnąc od Namur, obsadzały wzgórza naprost prawego krańca armji francuzkiej położone. Całą tę armję obliczał przypuszczalnie na 90 tysięcy ludzi, w czem nie mylił się, gdyż rzeczywista jej liczba, w skutku lekkich strat dniem wpierw poniesionych, wynosiła 88 tysięcy żołnierza. Napoleon pojął od razu, że miał przed sobą samę armję pruską, która wystąpiła zaraz na wieść zbliżających się Francuzów, gdy tymczasem Anglicy, uwiadomieni o tem o 12 godzin później i mając podwójną do przebycia drogę, widocznie nie mogli podążyć na czas umówiony. Postanowił więc uderzyć na nich bez straty czasu, a to podług następującego planu. Na krańcu prawego swego skrzydła, wzdłuż wybrzeży okalających strumień Ligny ku Sambrze, Napoleon postanowił działać pozornie dla zatrzymania w tym punkcie Blüchera niepokojeniem go o utrzymanie komunikacji z miastem Namur; nadto, prawém skrzydłem swojém, złożoném z piechoty Gérard'a, uderzyć całą siłą na Ligny, lewém zaś, czyli korpusem Vandamm'a i dywizją Gérard'a, silnie również zaatakować trzy wioski Saint-Amand, stojące zaś w rezerwie gwardje tam tylko użyć, gdzie opór nieprzyjaciela najtrudniejszym byłby do złamania. Chcąc atoli zapewnić ważniejsze następstwa tej bitwie, w której samo zdobycie pozycji zupełnych nie przedstawiałoby korzyści, Napoleon zamierzył jeszcze użyć wojsk Neya w sposób stanowczo rzecz rozstrzygający. Jeżeli tylko pióro nasze dobrze położenie tej okolicy określiło, czytelnik pojmie, że plac boju miał postać podłużnego trójkąta, którego wierzchołkiem było Charleroy, dwa zaś jego boki opierały się o gościniec wiodący z Namur do Bruxelli, jedném końcem swoim w Quatre-Bras, drugim w Sombreffe. Napoleon i Ney, stawiając pierwszy czoło Prusakom, drugi zaś Anglikom, stali właśnie na bokach tego trójkąta i na przestrzeni około trzech mil francuzkich opierali się, że tak powiem, jeden o drugiego. Dla Neya więc, nie mającego przed sobą wielkich sił

do zwalczenia, nie trudnem było z 45 tysiącznego swego korpusu odciąć 12 do 15 tysięcy wojska, które nagłym zwrotem mogłoby zabrać pozycję Ligny i Saint-Amand, i zarazem zagarnąć znaczną część armji pruskiej. Gdyby manewr ten w właściwą porę był wykonany, wtedy bezwątpienia bitwa ta okazałaby wypadki, jakiemi ani Marengo, Austerlitz i Friedland pochlubić się nie mogło, a osiągnięcie których było dla Francji rzeczą bardzo pożądaną.

Dla spełnienia tak osnutego planu, nie zbywało i na dogodnych drogach; oprócz bowiem dobrych dróg poprzecznych pomiędzy Frasnes a Saint-Amand, nie trudno było cofnięciem się nieco na drogę do Quatre-Bras, dosięgnąć gościńca zwanego *Rzymskim*, przecinającego wyżej wspomniony trójkąt, który to gościniec przebiegłszy blisko Saint-Amand, łączy się z szosą Namursko-Bruxelską.

Zszedłszy z owego młyna, Napoleon wydał zaraz rozkazy do uderzenia na nieprzyjaciela. Zebrani około niego dowódzcy korpusów, nie mogli, jak dnia poprzedniego, nie ukryć swej obawy z widoku rozwijającego się im przed oczyma. Jak Ney w Quatre-Bras sądził że ma przed sobą całą angielską armję, tak ci znów wyobrażali sobie, że im przyjdzie spotykać się od razu z Anglikami i Prusakami. Tymczasem armja angielska nie mogła znajdować się jednocześnie w Quatre-Bras i Saint-Amand. Rozumowanie jednakże jenerałów francuzkich, jako ludzi nie obejmujących umysłem całości rzeczy, było tylko pozorne. Podług ich domysłów, Blücher stojący na gościńcu Namursko-Bruxelskim, miał już siły swoje złączone z angielskiemi, bo gdyby tak nie było, to jego prawe skrzydło dotykające do Saint-Amand, jako nie mające żadnego oparcia, byłoby wystawione na zgubę. Takie czyniąc przypuszczenia, nabierali tej pewności, że armja angielska stoi albo w tyle, albo z prawej strony. Na te wnioski Napoleon odpowiadał, że Blücher, jakkolwiek waleczny ale nie rozważny, z tak bliska na rzecz nie zapatrywał się, że zatem posuwa się nie czekając na pomoc Anglików w nadziei złączenia się z nimi, i że zatem przypłaci to drogo, zwłaszcza gdy przybycie Anglików na przedłużenie Saint-Amand było niemożliwem. Polecił więc im udać się bezzwłocznie na swoje stanowiska i oczekiwać na hasło do rozpoczęcia ognia. Do jenerała zaś Gérard, którego szczególnie lubił, rzekł, że jeżeli w tym dniu szczęście mu posłuży, los wojny będzie rozstrzygnięty. W końcu oficerom służbowym rozkazał udać się na wskazane stanowiska.

Stosownie do jego rozkazów, Vandamme z trzema dywizjami udając się na lewo od drogi wiodącej z Charleroy, rozwinął szeregi swoje przed Saint-Amand, mając z lewej strony dywizję Gérard'a, którą w tym dniu dowodził, a dalej nieco kawalerję jenerała Domon. Gérard na czele 4-go

korpusu idąc prosto gościńcem, posunął się na pół mili, poczem zwróciwszy w lewo, stanął pod wsią Ligny, tworząc prawie kąt prosty z Vandammem. Grouchy z lekką jazdą Pajol'a i dragonami Exelmans'a, przepędził kłusem tyraljerów nieprzyjacielskich aż do wzgórz, u stóp których strumień Ligny spływa do Sambry. Nakoniec, cała gwardja w ściśniętych szeregach stała pod Fleurus pomiędzy Vandamme'm a Gérard'em. Czoło jej zajęła rezerwa artylerji, z jednego boku kawalerja, z drugiego pyszne kiryssjery Milhaud'a.

Te 64 tysiące ludzi, ustawione w szyk bojowy, stały nieporuszenie przeszło godzinę, oczekując na działa Neya. Napoleon pragnął, aby przed otwarciem boju na polach Fleurus, przedwstępne działania wojenne rozpoczęły się pod Quatre-Bras, a to dla pozostawienia czasa Neyowi starcia się z Prusakami. O godzinie drugiej wysłał do niego oficera z oznajmieniem, że już przypuszczono atak do wojsk pruskich stojących pod Sombreffe, aby tem samem odpierał siły znajdujące się pod Quatre-Bras, a potem obrotem wstecznym wziął w ogień i zgniótł Prusaków. Bacząc na słabe siły nieprzyjacielskie rozłożone pod Quatre-Bras, oddział 14 do 15 tysięcy ludzi, znakomity ten winien był osiągnąć rezultat.

Po wysłaniu tych rozkazów i wyczekaniu jeszcze do godziny w pół do trzeciej, Napoleon dał hasło rozpoczęcia boju. Jakoż na odpowiedź na to hasło długo nie trzeba było oczekiwać.

Na wioskę Grand-Saint-Amand, Vandamme rzucił dywizję jenerała Lefol, prawe jego skrzydło stanowiącą. Przed samem otwarciem ognia, Lefol, uszykowawszy dywizję w czworobok, przemówił do niej słowami pełnemi zapału, na co wojsko odpowiedziało namiętnym okrzykiem: *Vive l'Empereur!* Po czem rozdzieliwszy swój zastęp w kilka szeregów powiódł go prosto na wroga. Posuwając się pod Saint-Amand, pole chyli się spadzisto: płoty, ogrodzenia, sady, leżały z tej strony wsi z murowanych domów składającej się. Poza nią ciągnęło się koryto strumienia, oznaczone pasem gęstych drzew, wskroś których dostrzegać się dawały rezerwy pruskie liczną wsparte artylerją. Zaledwie wojska nasze ruszyły, kiedy grad kartaczy z otoczeń wioski i kule baterji wyżej ustawionych, straszne zniszczenie w szeregach naszych sprawiły. Jeden granat położył naraz ośmiu ludzi w szeregu francuzkim. Pierwszy ten cios nie zachwiał żołnierzy naszych najwyższym ożywionych zapałem. Bez strzału prawie rzucili się przez płoty do ogrodów i z bagnetem w dłoni, pomimo napotykanego zewsząd oporu, wypierali Prusaków. Dostawszy się zaś do wsi, pomimo dróg rozmaitemi zawalonych przeszkodami i silnego ognia z okien domostw, zmusili nieprzyjaciela cofnąć się poza strumień.

Takiém ośmielone powodzeniem wojsko francuzkie, lubo ciężkie poniosło ofiary, chciało dalej jeszcze ścigać uciekającego nieprzyjaciela, gdy nagle poza strumieniem ukazało się 6 bataljonów rezerwy jenerała Steinmetz, gradem kul i kartaczy zionących. Wszelako nie tyle siła ognia, ile niepodobieństwo wzięcia przewagi nad liczną piechotą uszykowaną na wzgórzach i około młyna Bry, zniewoliły Francuzów do odwrotu.

Jenerał Steinmetz pragnąc odzyskać poprzednio we wsi zajmowane stanowisko, wzmocniwszy oddział swój kilką nowemi bataljonami, zamierzył wejść powrotnie do Saint-Amand. Ale wojsko nasze, jakkolwiek spotkało opór w posunięciu się za wieś, nie tak łatwo dało ją odebrać. Jakoż silnie stojąc w miejscu i przypuściwszy Prusaków na strzał, zmusiło ich zaraz cofnąć się do linji ustawionych rezerw. Wtedy jenerał Steinmetz przypuścił szarżę całą swą dywizją, kilka zaś bataljonów zwrócił na prawo chcąc w około obejść Saint-Amand.

Śledząc bacznie zmiany tej walki, Vandamme wysłał brygadę dywizji Berthezèn'a, dla zabieżenia drogi Prusakom usiłującym obejść Grand-Saint-Amand, dywizję zaś Gérarda wysłał na dwie niżej położone wioski: Saint-Amand-la-Haye i Saint-Amand-le-Hameau. Kiedy dywizja Lefol'a zmiatała kulami Prusaków usiłujących przebyć strumień, a brygada Berthezèn'a stawiała opór okrążającym le Grand-Saint-Amand, waleczny Gérard podzielający zapał swych żołnierzy, podstąpił pod la Haye mając na prawem skrzydle brygadę Villiers'a, a na lewem brygadę Piat, i pomimo straszliwego ognia zajął tę wioskę. Tak więc zostaliśmy panami trzech wiosek Saint-Amand, lubo wych ylenie się poza ich obręb było trudnem w obec licznie okalającej je armji pruskiej; albowiem poza dywizją Steinmetz'a, stała reszta korpusu Ziethen'a i cały korpus Pirch'a I, czyli razem 50 tysięcy żołnierza.

Od strony Ligny bój nie mniej silny rozpoczął się trochę później. Jenerał Gérard odbywszy wzdłuż rzeczułki rek onesans, w którym o mało nie dostał się w niewolę, poznał, że mając przed sobą kawalerję pruską i korpus Thielmann'a zebrany w Point-du-Jour, należało mu działać z wielkiém baczeniem na swoje tyły i prawe skrzydło. Idąc bowiem na Ligny ruchem zwrotnym, piechota Thielmann'a ruszona z Point-du-Jour, mogłaby uderzyć nań z boku, a wtedy kawalerja pruska przeszedłszy strumień Ligny na wszystkich punktach, zaskoczyłaby go z tyłu. W obec przeto tak podwójnego niebezpieczeństwa, uszykował do boju pomiędzy Tongrinelle a Balâtre dywizję jenerała Bourmont, którą na teraz dowodził jenerał Hulot, i polecił mu silnie bronić brzegów rzeczki Ligny. Ta dywizja przeto ustawiona w klamrę na prawém skrzydle, posiłkowana jazdą 4-go korpusu pod wodzą jenerała Maurin i licznemi szwadronami

Pajol'a i Exelmans'a, powinna go była ubezpieczyć przeciw natarciu z boku i z tyłu. Takie poczyniwszy środki ostrożności, jenerał Gérard ruszył na wioskę Ligny z dywizjami jenerałów Vichery i Pecheux, zakreślając, jak już wspomnieliśmy, prawie kąt prosty z linją bojową jenerała Vandamme.

Napoleon wojsko swoje rozdzielił w 3 kolumny mające z kolei iść na wieś Ligny, po obu brzegach strumienia położoną. Aby się do niej dostać, potrzeba było przejść małą równinę, a następnie zburzyć sady i ogrodzenia wioskę tę okalające. Za pierwszém zaraz poruszeniem, kolumny Gérarda tak silnym przyjęte były ogniem, że pomimo całego męztwa, cofnąć się musiały. Wtedy jenerał ten posunąwszy liczną swoją artylerję, cisnął na nią tyle kul i granatów, że dalsze utrzymanie się w niej odkomenderowanych tu bataljonów z dywizji Henkel'a i Jagow'a stało się niepodobnem. Z sprawionego popłochu korzystając, popchnął natenczas swoje trzy kolumny, a wiodąc je sam pod silny ogień, zdobył najprzód ogrody, potem domy i dotarł aż do środkowej ulicy wioski równolegle do strumienia biegnącej. Wtedy to powstała owa krwawa bitwa, która, według słów naocznego środka, równała się w zaciętości wojnom domowym; znana bowiem nienawiść, jaką Prusacy tchnęli ku Francuzom, przywodziła tych ostatnich do wściekłości, tak iż jedni drugim nie przebaczali życia. Jenerał Gérard przyprowadziwszy sam rezerwy, posunął się z ulicy na brzeg strumienia, a nawet go przekroczył, szybki atoli zwrot dywizji Jagow'a zmusił go do odwrotu. Wspomniona główna ulica wioski, równoległa do strumienia, krzyżowała się z inną przecinającą strumień małym mostkiem, dotykając w dalszym biegu kościoła na pagórku położonego. Bataljony Jagow'a działając zaczepnie, wpadły właśnie tą poprzeczną drogą aż pod kościół, odparłszy Francuzów prawie aż na kraniec wioski. Ale mężny Gérard z szablą w ręku wiodąc swych żołnierzy naprzód, utrzymał się przy posiadaniu środkowej ulicy. Wtedy umocniwszy wzgórek kościelny silną artylerją, rażącą kartaczami Prusaków na drogę poprzeczną wkraczających, obsadził z prawej strony stare zamczysko, dziś już nie istniejące, załogą w dobrą artylerję zaopatrzoną. Utrzymanie się więc w pośrodku wioski Ligny, Gérard zawdzięczał jedynie swojej energji i męztwu osobistemu. Ale i tu, podobnie jak w Saint-Amand, bitwa tenże sam nosiła charakter. Francuzi zdobyli wprawdzie wioski oddzielające ich od Prusaków, ale posunięcie się dalej w obec rerw pruskich stopniowo coraz wyżej aż do młyna Bry uszykowanych, było niemożliwem.

Położenie to usprawiedliwiało mądrze pomyślany manewr Napoleona, gdyż jedno natarcie na Prusaków pomiędzy Saint-Amand a Ligny,

mogło od razu złamać ich opór, wzięcie zaś ich w dwa ognie oddałoby w ręce Francuzów połowę ich armji.

Napoleon niecierpliwie oczekując wykonania tego obrotu, wysłał nowy rozkaz do Neya, którego armaty już grzmieć zaczęły, a który, o ile wnosić należało, nie mógł być tyle zajęty Anglikami, iżby oddzielenie 10 czy 12 tysięcy ludzi na tylne szeregi Blüchera, stawało się dlań niemożliwem. Rozkaz ten pisany przez Soulta o kwadrans na czwartą, a wysłany przez oficera Forbin-Janson, brzmiał temi słowy: „Panie marszałku, wskazany ci szyk boju jest bardzo wyraźny. Cesarz kazał ci polecić, abyś natychmiast otoczył prawe skrzydło nieprzyjaciela, a potem całą siłą uderzył na jego tyły. Jeżeli działać będziesz energicznie, armja pruska stracona: *los Francji jest w twoich ręku.*"

Kiedy p. Forbin-Janson pędził z tym rozkazem do Quatre-Bras, bitwa z równą zaciętością wrzała, lecz ani Prusacy nie zdołali wyprzeć nas z pozycji nad strumieniem Ligny, ani my wzajemnie przejść go nie zdołaliśmy. Stary jenerał Friant, dowodzący gwardją grenadjerów pieszą, a którego oko nabyło wprawy w ciągu całego w bojach spędzonego żywota, podjechawszy do cesarza, rzekł wskazując na wioski: Najjaśniejszy panie, my z tymi Prusakami nie trafimy do końca, jeżeli nie wyślesz jednego korpusu, któryby z tyłu na nich uderzył.—Bądź spokojnym, odrzekł Napoleon, posłałem już trzy takie rozkazy, wyślę jeszcze czwarty.— Wiedział on wprawdzie, że korpus d'Erlon'a na ostatku poruszony, mógł dopiero minąć Gosselies, że zatem oficer w największym pędząc galopie, znalazłby go jeszcze dość blisko do zwrócenia go na Saint-Amand. Wysłał więc La Bedoyère'a z karteczką nakreśloną ołówkiem, zawierającą rozkaz, aby d'Erlon cofnął się w razie gdy już był za daleko lub jeżeli się znajduje na równi z młynem Bry, aby bezzwłocznie zwrócił się na gościniec rzymski i uderzył z tyłu na nieprzyjaciela. Rozkaz ten, którego wykonanie było niewątpliwem, mógł w rezultacie przynieść tryumf nieustępujący najswietniejszym powodzeniom w przeszłości. Lecz inaczej los zrządził.

Gdy się to dzieje, Blücher tąż samą siłą ducha i patrjotyzmem stale ożywiony, wysłał na Ligny reszty dywizji Henkel'a i Jagow'a. Świeże te zastępy dotarły chwilowo do głównej ulicy; jenerał Gérard używając całej swej umiejętności i odwagi, walcząc wszystkiemi rezerwami i niewzruszony w swoich stanowiskach na wzgórzu kościelném i w starym zamku, nie dał wytrącić sobie zdobyczy, lubo zawiadomił Napoleona, że środki jego wyczerpują się, że zatem nadesłanie mu posiłków było koniecznem. Cztery tysiące trupa zalegało już wioskę Ligny.

Od strony Saint-Amand, Blücher czynił również wszelkie wysiłenia,

wyprowadzając do boju korpus Pircha I-go dla podtrzymania Ziethena; 60 tysięcy jego wojska stawało do walki pomiędzy Bry a Saint-Amand. Drugą dywizję Pircha II-go wysłał w pomoc Steinmetz'owi z rozkazem odebrania za jaką bądź cenę Saint-Amand-la-Haye; zaś dywizję Tippelskirchen'a wysłał na Saint-Amand-le-Hameau, stosowną udzieliwszy jej instrukcję. Do tak licznej piechoty dodał całą jazdę 2 go i 1-go korpusu pod jenerałem Jurgas w zamiarze otoczenia lewego skrzydła Vandamm'a. Jednocześnie posunął trzy inne dywizje 2-go korpusu, to jest, dywizje jenerałów Brause, Krafta i Langen'a, a to w celu zastąpienia na wyniosłościach młyna Bry wojsk walczących i zalecił jenerałowi Thielmann, aby się zwrócił na Sombreffe, nie pozostawiając atoli bez zupełnej obrony Point-du-Jour, przez który miał nadciągnąć Bülow. Nadto, polecił niepokoić Francuzów z prawego skrzydła, udając że niby ma zamiar pójść na drogę do Charleroy.

Po wydaniu takich rozporządzeń, Blücher postępując sam na czele swoich żołnierzy, uderzył z całą siłą na trzy wioski Saint-Amand. Dywizja Pircha II-go gwałtownie rzuciła się na Saint-Amand-la-Haye i zdołała tam przebić się. Jenerał Gérard (*) zrazu odparty, wszedł powrotnie brygadą Piat'a z lewego skrzydła i zdołał się utrzymać. Blücher na czele bataljonów Pirch'a II-go, powtórnie ukazał się u wejścia do tej wioski trupami zasłanej; ale Gérard ostatniém wysiłkiem odparł mężnego starca, który swojej ojczyźnie składał dowody niewyczerpanej odwagi. Dzielny Gérard zapowiadający wcześnie, że nie przeżyje chwili w której Francja klęskę ponieśćby miała, otrzymał w tej rozpaczliwej walce cios śmiertelny. Dwaj jego jenerałowie brygady, Villiers i Piat, stali się również niezdolnymi do boju. Waleczny Tyburcjusz Sebastjani, dowódzca 11-go pułku piechoty, tylko siłą nieustraszonego męztwa i przytomności umysłu zdołał utrzymać się w wiosce Saint-Amand-la-Haye. Oprócz trzech jenerałów, dywizja Girarda z liczby 4,500 ludzi, trzecią część już utraciła.

Nieco dalej ku Saint-Amand-le-Hameau, dywizja Habert'a wysłana od Vandamm'a w pomoc Girard'owi, szczęśliwie wstrzymała kawalerję Jurgas'a i piechotę Tippelskirchen'a. Ukrywszy w dojrzałem już i gęstém zbożu licznych swoich tyraljerów, Habert oczekiwał niepostrzeżony na piechotę i kawalerję pruską i przypuścił ją na pół strzału. Wtedy sypnąwszy nagle celnemi strzałami, zmusił nieprzyjaciela cofnąć się w popłochu. Połączonym tym usiłowaniom Francuzi zawdzięczali utrzymanie

(*) Nie należy mieszać jenerala Girard z Gérard'em: pierwszy dowodził dywizją odkomenderowaną z 2-go korpusu; drugi zaś, dowódzca 4-go korpusu, atakował w tym czasie wioskę Ligny.

się przy posiadaniu trzech wiosek Saint-Amand, lubo nie udało im się przejść na drugi brzeg krętego strumienia Ligny. Na przeciwnym krańcu pola bitwy, czyli z naszej prawej strony, piechota Thielmanna spuściwszy się z Point-du-Jour drogą do Charleroy wiodącą, zmuszoną była pod silną szarżą dragonów Exelmans'a cofnąć się nad brzeg strumienia, a dywizja Hulot'a rozsiana w tyraljery, ciągłym wstrzymywała go ogniem. Zatrzymane więc nad krętym biegiem strumienia, oba nieprzyjacielskie wojska niszczyły się wzajem, co tem gorszem było dla Francuzów, którzy potrzebowali szybkie odnieść zwycięztwo, aby pokonać dwie armje na karku im stojące. Ale Napoleon przypatrując się z konia całemu działaniu, wymyślił sposób w którym dalsza walka stawała się bardziej morderczą dla Prusaków niż dla Francuzów. Wspomnieliśmy już, że strumień okalający wioski, o których posiadanie dobijano się, zwracając nagle bieg swój poza wsią Grand-Saint-Amand, stawiał wieś Ligny pod kątem prostym z wsią wyżej wspomnioną. Napoleon zwróciwszy się ku Ligny, to jest na prawy bok tego kąta, odkrył lukę pomiędzy drzewami strumień otaczającemi, przez którą mógł dostrzedz korpusy Ziethena i Pircha I-go jeden poza drugim aż do młyna Bry ustawione. Szybko więc kazał ustawić kilka baterji artylerji gwardji, która biorąc z ukosa te massy wojska wkrótce straszliwe w nich sprawiła zniszczenie. Każdy wystrzał powalał kilkaset ludzi, przewracał działa i konie, w drzazgi rozrywał lawety. Z zimną krwią, do jakiej wojna usposabia zwykle ludzi najobojętniejszych, Napoleon przypatrując się tej straszliwej scenie, rzekł do nieodstępnego mu jenerała Friant: Patrz, stratę czasu o jaką nas Prusacy przyprawiają, oni drożej niż my opłacą.—Jednakże to morderstwo tysięcy ludzi nie było dostatecznem: dzień się posuwał, a tu trzeba było skończyć z Prusakami, aby usunąć przeszkody do walki w następnym dniu z Anglikami. I kiedy jenerał Friant narzekał, że nakazany obrót na tyły armji pruskiej nie był dotąd wykonany: Bądź spokojnym, rzekł mu cesarz, jest jeszcze jeden sposób wygrania bitwy; i ze zwykłą sobie lotnością umysłu wynalazł nową kombinację mającą położyć kres tej straszliwej walce.

Odniesiony dobry skutek działami rażącemi z ukosa tłumy Prusaków, podał mu myśl podsunięcia się wyżej na ich skrzydła, przejścia poza strumień z całą gwardją i uderzenia z tyłu na 60 tysięcy ludzi atakujących trzy wioski Saint-Amand. Gdyby gwardja była wykonała ten manewr, armja pruska byłaby z pewnością rozciętą na dwoje, czyli, że Ziethen i Pirch zostaliby oddzieleni od Thielmanna i Bülow'a. Wprawdzie doniosłość tego obrotu byłaby mniejszą, niż wykonanie poleconego Neyowi ataku na tyły Prusaków; w każdym jednak razie skutek byłby taki, iż armja francuzka pozbyłaby się Prusaków na resztę kampanji.

Taki plan nakreśliwszy, Napoleon polecił Friant'owi uszykować gwardję w kolumny do ataku, posunąć się z nią na prost Ligny, przejść poza tą wsią i nareszcie przebyć fatalny strumień mocno już krwią zrumieniony.

Zaledwie rozkazy te zaczęły się spełniać, kiedy nagle uwagę Napoleona zwróciły działania Vandamme'a. Blücher cofnąwszy w tył zdziesiątkowane pułki Ziethen'a, wysłał dywizję Pircha I-go z rozkazem przypuszczenia jeszcze raz szturmu do trzech wiosek Saint-Amand. Tymczasem Vandamme po użyciu wszelkich rezerw, żądał bezzwłocznych posiłków. Niepodobna było kazać mu wyczekiwać ataku na tyły nieprzyjaciela, któryto atak, pomimo ponawianych nakazów, nie był wykonywany. Napoleon wysłał mu niebawem część młodej gwardji pod jenerałem Duhesme, starą zaś gwardję i ciężką jazdę zwrócił na Ligny. Na widok gwardji śpieszącej na pomoc, wojska Vndamma z lewej, a Gérarda z prawej strony witały ją okrzykami radości. Odgłosy *Niech żyje cesarz!* nawzajem jedne i drugie powtarzały wojska. Hrabia Lobau rażony silną kanonadą, podstąpiwszy pod Fleurus, przyszedł zająć miejsce gwardji cesarskiej, tworząc tem samem rezerwę.

Pomoc młodej gwardji była Vandamm'owi bardzo na czasie; albowiem dywizja Habert'a stojąca w Saint-Amand-le-Hameau dla podtrzymania zmniejszonej już do połowy dywizji Girard'a, widząc nowe massy Prusaków ku niej zmierzające, inne zaś usiłujące podejść ją z tyłu, zaczęła się cofać. Vandamme przybiegłszy na miejsce, przerażony nie tyle tłumami Prusaków od czoła posuwającemi się, ile temi, które mu tył zająć chciały, zmieszał się mimowolnie. Kulm ze wszystkiemi straszliwemi następstwami stanął mu przed oczyma, i zadrżał. Rzeczywiście w głębi pola dostrzegł kolumny z ubioru wyglądające na Prusaków, a które poruszeniami swemi zdawały się chcieć go okrążyć. Nie chcąc, jak niegdyś w Czechach, dostać się we dwa ognie, polecił oficerowi podjechać dla bliższego rozpoznania wojsk zbliżających się ku tyłom dywizji Habert'a. Lecz oficer ten nie przypatrzywszy się dobrze mniemanemu nieprzyjacielowi, wrócił w całym pędzie, zapewniając Vandamm'a, że widział Prusaków. Wtedy Vandamme rozwinąwszy dywizję Habert'a, ustawił ją na lewem skrzydle w klamrę w ten sposób, iż ją ukrył przed rzeczywistym z przodu zagrażającym nieprzyjacielem, i uczynił niewidzialną mniemanemu nieprzyjacielowi z tyłu zajść mogącemu. W tymże czasie wysyłał jednego po drugim oficera do Napoleona, donosząc o tej nowej okoliczności.

Doniesienia te w podziwienie wprawiały Napoleona. Nie mógł on sobie zdać sprawy z tak szczególnego wypadku; bo aby jaki oddział an-

gielski lub pruski zdołał prześliznąć się pomiędzy armją francuzką walczącą pod Quatre-Bras, a drugą pod Saint-Amand, potrzebaby chyba, aby rozmaite pułki jazdy stojące z prawej strony Neya i z lewej Vandamm'a, stały cały dzień nieczynne i z zamkniętemi oczyma. Nadto, korpus d'Erlon'a, rozłożony poza armją Neya musiałby nic nie dostrzedz; wszystkie więc te przypuszczenia były aż nadto nieprawdopodobne. Nie chcąc dalej gubić się w tych domysłach, Napoleon rozesłał kilku adjutantów, którzyby własnemi oczyma przekonali się co rzeczywiście działo się pomiędzy Fleurus a Quatre-Bras i jakieto wojska pruskie tak niespodzianie zjawiły się na jego lewem skrzydle. Oczekując na wiadomość, wstrzymał poruszenia starej gwardji na Ligny, nie była to bowiem pora pozbawiać się swoich rezerw w czasie, gdy jakiś znaczny nieprzyjacielski oddział zdołał zachodzić mu z tyłu. Nie wstrzymał jednakże pochodu młodej gwardji na pomoc osłabionym dywizjom Habert'a i Girard'a i nie przestawał silną kanonadą razić z boku Prusaków, siejąc straszliwe pomiędzy niemi spustoszenie.

Gdy się to dzieje, Blücher, którego nic nie wstrzymywało, wyprawił znów na Saint-Amand-le-Hameau i Saint-Amand-la-Haye połączone oddziały Ziethen'a i Pirch'a II-go. Nacierana po raz piąty, linja Vandamma już cofać się zaczęła, kiedy młoda gwardja z Duhesm'em na czele, pędząc na oślep na Hameau i Haye, odparła Prusaków i po raz ostatni owładnęła brzeg strumienia Ligny. W chwili takiego przechylenia losu bitwy, adjutanci wysłani na zwiady, rozproszyli za powrotem czcze obawy, nieprzezornością jednego oficera w umyśle Vandamma wzniecone. Ów mniemany oddział pruski, nie był czem innem, jak korpusem d'Erlon'a, który stosując się do kilkokrotnych rozkazów Napoleona, szedł na młyn Bry, a tem samem poruwał się, by od tyłu zajść nieprzyjacielowi. Znikła więc z tej strony wszelka obawa, a miejsce jej zastąpiła nadzieja pomyślnego skutku, jeśli tylko wydawane tylokrotnie rozkazy ściśle będą wykonane. Napoleon też je ponawiał, a teraz nawet przyśpieszał ów wielki obrot wojenny chwilowo przerwany fałszywą a teraz już wyjaśnioną wieścią. Każda na próżno upłyniona chwila, narażała na stratę przyjazny stan rzeczy, albowiem Blücher gromadząc wszystkie swoje siły na Saint-Amand, zostawiał próżnią pomiędzy sobą a Thielmannem; jedno więc przeważne natarcie powyżej Ligny w kierunku do Sombreffe, powinno było rozdzielić korpusy Ziethen'a i Pirch'a I-go, od korpusów Thielmanna i Bülow'a, rozproszyć je i oddać w moc d'Erlon'a, gdyby tylko ten ostatni wskazanego sobie obrotu dokonał. Cały ten manewr był zupełnie w porę; zadawał on bowiem tak długo oczekiwany cios stanowczy, czynił go fatalnym dla armji pruskiej w razie podsunięcia się d'Erlon'a pod Bry, a choć-

by nawet tam i nie doszedł, obrot ten przechylał zwycięztwo na stronę Francuzów, usuwając główny opór jaki oni po drugiej stronie strumienia Ligny napotykali.

Stosownie do wydanych rozkazów, stara gwardja ruszyła w wstrzymany chwilowo pochód, aby stanąć poza Ligny i zająć najdalszy kraniec tej nieszczęśliwej wioski. Napoleon nie miał odwagi, by rzucić kwiat swego wojska w środek wioski Ligny, gdzieby może to czoło armji w stos trupów zamieniło się; wolał więc postawić gwardją dalej, gdzie dość było przebyć strumień i okalające go pasma drzew. Sam wiodąc saperów, rozkazał podcinać drzewa i płoty, aby rozwiniętym szeregom wolne utorować przejście. Z lewego skrzydła ustawił bataljony jenerała Pecheux tak, iżby te idąc z wioski Ligny w chwili, kiedy gwardja wychyli się z parowu, mogły ruchy jej zasłaniać. Nareszcie, ustawił sześć bataljonów grenadjerów w ściśniętych kolumnach, a trzy bataljony strzelców w posiłki tamtym. Jakaś cisza oczekiwania zaległa wspaniałe te zastępy, dumne z pozostawionego im zaszczytu ukończenia bitwy. W chwili kiedy słońce kryło się poza młynem Bry, pozłacając swemi promieniami szczyty drzew, Napoleon wydał tak długo i niecierpliwie oczekiwane hasło. Jednym pędem kolumna z sześciu grenadjerskich bataljonów złożona rzuca się w głębię parowu, przebywa strumień i wdziera na przeciwległe urwiste wybrzeże, gdy w tymże czasie trzy bataljony dywizji Pecheux'go wychylają się ze wsi Ligny. Przebywszy tę zaporę grenadjerzy wstrzymali się chwilę dla uszykowania szeregów i podstąpienia ku wzgórzu zajmowanemu przez resztki dywizji Krafta i Langena, zasłaniane całą pruską kawalerją. Kiedy tak prostują swoją linję, nieprzyjaciel sypnął na nich gradem kul i kartaczy, lecz ich ten ogień nie zachwiał, nie złamał. Jazda pruska biorąc ich z odzieży za bataljony gwardji narodowej ruchomej, wysyła parlamentarzy z propozycją poddania się. Wtedy jeden z tych bataljonów utworzywszy czworobok, ściele ziemię trupami jazdy nieprzyjacielskiej. Inne znów sformowane w kolumny do ataku, z bagnetem w ręku gniotą wszystko, co im śmie stawiać opór. Kawalerja pruska przypuszcza szarżę, ale w tej chwili wpadają na nią kirysjery Milhaud'a. Sroży się krwawa walka, koniec jej jednak wypada pomyślnie dla Francuzów: armja pruska przecięta na dwoje cofa się w największym pędzie.

W tej chwili Blücher, po trzecim już a zawsze bezskutecznym ataku na trzy wsie Saint-Amand, przybiega dla uszykowania oddziału przy młynie Bry pozostawionego. Lecz przybywszy za późno i napotkany przez naszych kirysjerów, został powalony na ziemię. Mężny ten starzec, leżąc

na ziemi wraz z adjutantem, który starannie ukrył znaki mogące go zdradzić, słyszał jak nasza jazda rąbała jego szwadrony, kończąc bitwę silną dla armji jego porażką. W tymże czasie wyruszył i Vandamme z Saint-Amand, Gérard z Ligny, z prawego zaś skrzydła jenerał Hulot z dywizją Bourmont'a, przebiwszy się drogą z Charleroy do Namur wiodącą, otwierał tę drogę dla jazdy Pajol'a i Exelmans'a. Była już godzina 8 wieczór i zmrok zaczął pokrywać to straszliwe pole bitwy, kiedy od prawej aż do lewej strony zwycięztwo było zupełne. Wszelako armja pruska cofająca się przed zwycięzką gwardją cesarską, nie była wcale niepokojoną z tyłu; d'Erlon tylą rozkazami Napoleona wzywany, tyle oczekiwany, nie ukazywał się wcale; innych więc rezultatów bitwy, nad te, które miano przed oczyma, nie można było oczekiwać. Cofająca się wszędzie armja pruska, pozostawiała nam pole bitwy, to jest, wielki gościniec Namursko-Bruxelski, czyli linję jednoczącą Anglików z Prusakami i pozostawiała pobojowisko zasłane 18 tysiącami zabitych i rannych. Zabraliśmy nadto kilka dział i nieco jeńców. Ale nie na tem ograniczyły się ich straty, gdyż wielu żołnierzy, rozbitych w tej zaciętej walce, poszło w rozsypkę. Około 12 tysięcy opuściło swoje pułki, tak, iż na 120 tysięcy wojska, Prusacy utracili w tym dniu do 30 tysięcy. Korzyści te zwiększyłyby się jeszcze bez wątpienia 30 lub 40 tysiącami jeńców, gdyby d'Erlon pośpieszył, co armją pruską byłoby do zupełnej przywiodło klęski, a Anglików w moc naszą oddało. Napoleon, jako wódz doświadczony, wiedział, że wojna nastręcza nieraz wypadki mogące zwichnąć najprzezorniejsze wyrachowania, wszelako przyczyn niewykonania rozkazów i bezczynności d'Erlona dobadać się nie mógł. Podług jego obliczeń armja angielska w dniu tym nie mogła znajdować się cała w Quatre-Bras, nie pojmował też, dla czego Ney nie mógł mu nadesłać posiłków, a nadewszystko dla czego d'Erlon, widziany blisko Fleurus, nie nadciągnął. Gubiąc się w domysłach, Napoleon zatrzymał się na pobojowisku głęboką już ciemnością okrytém, by dać wypoczynek wojsku, pośpiesznym marszem i całodzienną bitwą znużonemu. Jednemu tylko hrabiemu Lobau (6-ty korpus), jedynej na teraz swojej rezerwie, kazał posunąć się naprzód i stanąć około młyna Bry. Wprawdzie po zasięgnieniu wiadomości o stanie rzeczy w Quatre-Bras, Napoleon mógłby go był wysłać na dalsze ściganie Prusaków, lecz nie otrzymując żadnej wiadomości od Neya i mając tylko tę rezerwę z świeżego żołnierza złożoną, Napoleon uznał za konieczne pozostawić ją przy sobie; w razie bowiem odpornego działania nieprzyjaciela, jedyny to był oddział do stawienia mu czoła. Jednę tylko dywizję Teste'a, pod dowództwem roztropnego Pajol'a, wysłał na ściganie Prusa-

ków i naglenie ich do tem szybszego odwrotu; resztę zatrzymał dla osłonienia obozu.

To o czem Napoleon jeszcze nie wiedział i czego przewidzieć nawet nie mógł, łatwo zrozumieć można z następujących rozporządzeń marszałka Neya. Przypomnijmy sobie, że od samego rana marszałek okazał chwiejność przed czterema tysiącami wojska księcia Sasko-Wejmarskiego, które on brał jeżeli nie za całą, to przynajmniej za znaczny oddział armji angielskiej, tem bardziej gdy na podjazdach mających pozór przygotowań do wielkiej bitwy, dostrzegał wyższych oficerów. Nadto, dziwne rozporządzenie jenerała Reille, samowolnie opóźniające ruch 2-go korpusu, zwiększyło jeszcze obawy marszałka, tak, iż cały poranek zeszedł na niepewności, czy miał uderzyć na nieprzyjaciela, czyli też należało mu wstrzymać się, aby się nie wystawiać na krok nierozważny. Pod wpływem tak rozmaitych wrażeń, wysłał do cesarza oficera od ułanów z zawiadomieniem, że o ile mu się zdaje, wypadnie mu walczyć z wojskiem siły jego znacznie przewyższającem, na co Napoleon z pewném uniesieniem odpowiedział, że to co się znajdowało w Quatre-Bras, nie mogło być zbyt groźném, gdyż była to tylko cząstka nieprzyjaciela, który zdołał nadbiedz z Bruxelli; że Blücher stojący w Namur, nie mógł posiłkować Quatre-Bras, że zatem oddziały Reille'a i d'Erlon'a, wraz z kawalerją jenerała Valmy, powinny bezzwłocznie uderzyć i znieść tę garstkę nieprzyjaciół. Zaiste, gdyby nawet Napoleon znajdował się w pośród nieprzyjacielskiego sztabu jeneralnego, to i wtedy wydane przez niego rozkazy nie mogłyby być trafniejsze. Otrzymawszy te rozkazy, niezależnie od wręczonego mu listu przez pana de Flahault, Ney gotów był rzucić się na nieprzyjaciela, lecz na nieszczęście 2-gi korpus nie przybył na południe, albowiem jenerał Reille, strwożony ukazaniem się Prusaków, o czem go Girard zawiadomił, wstrzymywał go ciągle pod Gosselies; wszelako Ney z sama dywizją jenerała Bachelu, z jazdą Lefebvre-Desnoëttes'a i Piré'go, co wynosiło około 9 tysięcy ludzi, mógł nieochybnie znieść wojsko ks. Sasko-Wejmarskiego, który otrzymawszy w południe zaledwie 2 tysiące w pomoc, liczył razem 6 tysięcy żołnierza pod swemi rozkazami. Nadbiegł i ks. Oranji, ale sam tylko; Ney więc mający 4,500 piechoty i tyleż wybornej jazdy, bez wątpienia zgniótłby go od razu. Wprawdzie widok świetnego jeneralnego sztabu łatwo mógł wprowadzać na domysł, że się mieć będzie do czynienia z całą armją, i to właśnie wstrzymywało Ney'a od działań zaczepnych przy szczupłych jego siłach; naglony jednakże depeszami cesarza, a tem samem zniecierpliwiony, dał nareszcie rozkazy jenerałom Reille i d'Erlon, aby ci bez straty chwili uderzyli na nieprzyjaciela. Gdyby jenerał Reille, po przeczyta-

niu rozkazu wręczonego mu przez jenerała Flahault, z dwiema dywizjami Foy i Hieronima zaraz był wyruszył, byłby podniósł siły Ney'a przynajmniej do 22, a z kiryssjerami jenerała Valmy do 26 tysięcy i stanąłby w Quatre-Bras na południe. Siły więc te byłyby aż nadto wystarczające na pokonanie nieprzyjaciela o dwunastej czy o pierwszej godzinie. Lecz, niestety, Reille nic nie uczynił, i tylko na żywe nalegania swego naczelnika sam przybył do Quatre-Bras około godziny drugiej. Wtedy Ney objawił mu chęć przypuszczenia ataku mówiąc, że z tą garstką prędko się załatwią. Tymczasem Reille pamiętny zawsze na Hiszpanją, tak jak Vandamme na Kulm, zamiast podniecić zapał Neya, zaczął go owszem miarkować, utrzymując, że z Anglikami tak działać nie można, że sprawa z nimi nie jest tak łatwą, że zatem należało wpierw odpowiednie zgromadzić siły. Dowodził on jeszcze, że poza tą garstką, z drugiej strony lasu znajduje się nieochybnie cała armja angielska, która wypadnie wraz z chwilą rozpoczęcia boju, co tem samem czyni koniecznem zebrania sił odpowiednich. Rada ta w zasadzie dobra, w danej jednak chwili była zgubną, albowiem na ten raz w Quatre-Bras stała tylko dywizja Perponcher'a, która w trzech częściach przed południem, a cała dopiero o godzinie drugiej nadciągnęła i liczyła zaledwie 8 tysięcy ludzi. Ney więc postanowił czekać na dywizje jenerała Foy i Hieronima, bo jakkolwiek sam Reille już się tu znajdował, oddziały atoli jego późno w ruch wprawione, nie znajdowały się jeszcze na linji. Tymczasem działa z pod Saint-Amand i Ligny silnie grzmiały, i była już blisko trzecia po południu, kiedy Ney (*) nie mogąc dłużej wytrzymać, postanowił przypuścić atak w nadziei, że huk dział przyśpieszy pochód wojsk postępujących. Od wczoraj już miał dywizję jenerała Bachelu, dywizja zaś jenerała Foy miała zaraz nadejść, co zapewniało mu posiadanie około 10 tysięcy piechoty. Nadto, oprócz konnicy jenerałów Piré i Lefebvre-Desnoëttes, miał jeszcze 3,500 kiryssjerów jenerała Valmy, czyli razem blisko 8 tysięcy kawalerji. Wprawdzie miał on sobie zaleconem, aby oszczędzał Lefebvre-Desnoëtes'a i kiryssjerów, wszelako nie były to rozkazy, ale raczej polecenia, które konieczna potrzeba mogła unieważnić. Postanowił więc bój

(*) Przywiedzione tu szczegóły osnute są na wydanym przez jenerała Foy dzienniku wojennym, opisującym działania każdodziennie. Dziennik ten godniejszym jest wiary, niż wszelkie inne we dwadzieścia lub trzydzieści lat po wypadkach spisywane opowiadania. Pismo to potwierdza, że Ney chciał uderzyć na nieprzyjaciela, tylko Reille odwiódł go od tego kroku, radząc oczekiwać na zgromadzenie sił, co właśnie działo się w chwili w której usłyszano działa z pod Ligny. Huk dział tych dał się słyszeć około godziny w pół do trzeciej; jeszcze więc w tym czasie nie atakowano Quatre-Bras. Ney chciał go rozpocząć wcześniej, ale rady Reille'a i opóźnione przybycie jego wojsk, temu przeszkodziły. Z opowieści pułkownika Heymès widzimy także, że marszałek niecierpliwie wyglądał dywizji 2-go korpusu i że otworzył ogień przed zebraniem wszystkich sił w nadziei, że huk dział przyśpieszy ich pochód.

rozpocząć. Dywizja Hieronima zaczęła się posuwać, liczono zaś, że korpus d'Erlona będący w marszu, przyśpieszy kroku na odgłos działa grających.

Oto jakie było pole bitwy, na którém ta nieco zwlekana ale bohaterska miała się stoczyć bitwa. Ney stał na gościńcu od Charleroy przez Frasnes i Quatre-Bras do Bruxelli wiodącym. Rzeczywiście znajdował się on z tej strony Frasnes, na krańcu dość obszernej doliny, mając przed sobą Quatre-Bras, to jest oberżę i kilka domów. Przed nim ciągnęła się droga z Charleroy do Bruxelli, przerzynająca środek doliny, a dalej zwracająca się ku Quatre-Bras, gdzie spotykała z jednej strony drogę z Nivelles, z drugiej gościniec z Namur wiodący. Z lewej strony ciągnęły się porosłe lasem wzgórza Bossu z wijącą się poza niemi drogą z Nivelles, środek zajmował folwark Gimincourt, na samej drodze leżący; z prawej zaś parowy ocienione drzewami, dotykające do rz. Dyle; nakoniec cały ten widnokrąg zakończał gościniec Namursko-Bruxelski, zkąd właśnie dolatał huk dział z pod Ligny.

Rozpołożenie wojsk nieprzyjacielskich z tej strony Quatre-Bras było dość wyraźnem; lecz szyk wojsk tych poza Quatre-Bras rozłożonych był nieznanym, co właśnie stawiało Neya w niepewności co do sił z któremi walczyć mu przychodziło. Książę Oranji z dziewięciu poruczonych mu bataljonów dywizji Perponcher'a, postawił cztery na lewem skrzydle w lasku Bossu, jeden na drodze dla osłaniania artyllerji, a dwa w odwodzie pod Quatre-Bras.

Ney więc postanowił znieść to co widział przed sobą, a lubo nieświadomy sił na tyłach nieprzyjaciela ukrytych, liczył przecież na odsiecz ukazującej się już z dala dywizji Hieronima i na korpus d'Erlon'a, który także wkrótce powinien był nadciągnąć. Jakoż, dywizję Bachelu posunął na prawo od gościńca, dywizję Foy na lewo tejże drogi, kawalerję zaś Piré'go uszykował po jednej i po drugiej stronie. Niebawem tyraljery francuzkie odparły przednie straże nieprzyjacielskie, jazda zaś Piré'go natarłszy w największym pędzie na bataljony hollenderskie ustawione po tej stronie folwarku Gimioncourt, oczyściła pole. Artyllerja francuzka, doborem, liczbą i pozycją górująca nad nieprzyjasielską, zdemontowawszy kilka dział na gościńcu stojących, sprawiła wielkie spustoszenie w szeregach nieprzyjacielskiej piechoty. Rażony jej ogniem, ów świetny książę Oranji, pokusił się znieść ją. Osobistą zagrzewając odwagą, kazał szeregom swoim, własną zasłaniającym artyllerją, uderzyć na działa francuzkie. I kiedy je wiedzie machając kapeluszem, jenerał Piré rzuca przeciw niemu swoje pułki, które natarłszy z boku na jego zastęp, gniotą go tak, iż omało sam książę nie dostał się do niewoli.

Piechota francuzka dobrze się tu sprawiła. Dywizja jenerała Foy idąc wzdłuż gościńca, uderzyła brygadą Gautier'a na folwark Gimioncourt. Brygada ta, którą sam jenerał Foy wiódł do boju, zdobywszy folwark, przedarła się poza wąwóz; brygada zaś jenerała Jamin, druga w dywizji Foy, zwróciwszy się w lewo pod lasek Bossu, wparła weń oddział księcia Sasko-Wejmarskiego. Książę Oranji w krytycznem znalazł się położeniu, albowiem rezerwa jego z dwóch bataljonów złożona, za słabą była do stawienia oporu zwycięzkim dywizjom jenerała Foy i Bachelu. Gdyby Ney więcej ufności w sobie pokładając rzucił się był na Quatre-Bras, byłby wtedy bez wątpienia zdobył tę ważną pozycję, oddziały zaś angielskie, postępujące z Nivelles i Bruxelli, nie mogąc się z sobą złączyć, zmuszone byłyby zdala obchodzić, co tem samem dałoby Neyowi czas umocnić się w Quatre-Bras i uczynić się niezwyciężonym. Lecz niepewny zawsze co do sił z jakiemi mu walczyć wypadało, nie śmiejąc użyć ani kiryssjerów jenerała Valmy, ani piechoty Lefebvre-Desnoëttes'a, Ney oczekiwał ciągle na nadejście dywizji Hieronima, najliczniejszej z całego 2-go korpusu. Nareszcie dywizja ta nadciągnęła około godziny pół do czwartej, to jest w czasie, kiedy już książę Oranji nowe otrzymał posiłki. Dywizja Picton'a, z ośmiu bataljonów angielskich i szkockich i czterech hanowerskich złożona, nadeszła z Bruxelli zwiększając siły jego o 8 tysięcy ludzi; nadto, część jazdy Collaert'a 1,100 koni licząca, nadbiegła od strony Nivelles: nareszcie, wkrótce potem wojska ks. Brunświckiego, ruszone z Vilvorde, a nawet sam ks. Wellington wracając ze zwiadów, przybył dla objęcia kierownictwa boju. Wojska brunświckie wzmocniły szeregi nieprzyjacielskie 3-ma tysiącami piechoty i tysiącem jazdy. Wellington więc mając nateraz dywizje Perponcher'a, Picton'a i ks. Brunświckiego, miał do rozporządzenia 20 tysięcy żołnierza, czyli że wyrównał prawie siłom marszałka Ney, nawet po przybyciu dywizji Hieronima.

Kiedy się to dzieje na stronie angielskiej, dywizja Hieronima stanąwszy na skraju kotliny czyli pola bitwy, zwiększyła siły Neya o 8 tysięcy wybornej piechoty; razem więc wódz ten liczył 19 tysięcy w szyku bojowym. W ostateczności mógł on użyć jeszcze 3,500 kiryssjerów Valmy; ostatnia bowiem depesza Napoleona, wysłana w chwili jego wyjazdu z Charleroy, upoważniała Neya do użycia korpusu Reille'a, d'Erlon'a i Valmy, by zwalczyć wszystko co mu jakikolwiek stawiało opór. Tymczasem Ney trzymał ciągle kiryssjerów w tyle, a nie śmiał użyć piechoty Desnoëttes'a. Znów więc polecił d'Erlonowi przyśpieszać kroku, z dywizją zaś Hieronima rozpoczął walkę w przekonaniu stanowczego jej rozstrzygnienia. Kazał więc dywizji Bachelu, na prawem jego skrzydle stojącej, wyruszyć z folwarku Gimioncourt, i posuwać się, o ile można,

aż do gościńca Namurskiego. Nadto, na samym gościńcu złączył dwie brygady Gautier'a i Jamin'a z dywizji jenerała Foy, wspierane z boków kawalerją Piré'go, zalecając im iść wprost na Quatre-Bras. Na lewem zaś skrzydle, wzdłuż lasu Bossu, w miejsce brygady Jamin'a, ustawił piękną i liczną dywizję Hieronima, w której drugim dowódzcą był jenerał Guilleminot. Tym więc sposobem, Ney całą swoją linję bojową przeniósł z prawej na lewą stronę, co nie było zbyt korzystnem, gdyż z boków napotkać mógł niezwalczone przeszkody, gdy tymczasem, ograniczając się na prostych demonstracjach od strony folwarku Gimionceurt i od lasu Bossu, a nadto koncentrując swoje siły na gościńcu, byłby bez wątpienia ubiegł Quatre-Bras i przeciął linję Anglików, których część odparta do pomienionego lasu, druga zaś na szosę Namurską, nie zdołałaby się nigdy połączyć. Co do Wellingtona, ten główne swoje siły zgromadził na skrzydłach. Z lewej strony, na prost prawego skrzydła Francuzów, postawił wzdłuż gościńca sześć angielskich bataljonów Picton'a, a cztery hanowerskie w drugim szeregu. Pozostałe zaś 2 bataljony Picton'a umieścił na rozdrożu gościńca z Namur, a dróżki z Sart-Dame-Avelines wiodącej, a tylko jeden w Quatre-Bras. Na prawem skrzydle, znużone wojska Perponcher'a cofnął w głąb lasu Bossu lub do Quatre-Bras; na przedzie zaś, postawił wojska ks. Brunświckiego i jazdę Collaert'a. Sam środek więc, to jest Quatre-Bras, najważniejsza część tego stanowiska, była bardzo mało strzeżona.

Trawiony ciągłym niepokojem Ney i nic z tego wszystkiego nie zauważywszy, szedł całą linją na nieprzyjaciela, zmierzając swojem prawem skrzydłem do gościńca, środkiem do Quatre-Bras, a lewem ku lasowi Bossu. W chwili wykonywania tego ruchu, ks Oranji widząc posuwającą się naprzód dywizję jenerała Foy, by ją powstrzymać wysłał kawalerję Collaert'a, złożoną z hollenderskich huzarów i belgijskich dragonów. Lecz zaledwie ruszyły huzary, kiedy 6-ty pułk szasserów prowadzony przez pułkownika Faudoas, rzucił się na nich, odparł aż do piechoty w tyłach stojącej i zrąbał nawet kanonjerów baterje obsługujących. Dragony belgijskie, biegnąc znów na odsiecz Hollendrom, tejże od szasserów doznali klęski, a odparci na bataljon angielski, który biorąc ich za nieprzyjaciół, dał do nich ognia, zupełną odnieśli klęskę.

Po tem pierwszem starciu, armja francuzka osłaniana liczną artylleryją, rzeczywiste rozpoczęła działanie. Z prawej strony dywizja Bachelu licząca 4 pułki piechoty, posuwała się rozwiniętym szykiem poza zdobyty przez siebie folwark Gimioncourt. Potrzeba było przebyć kilka wąwozów okolonych płotami, które zaraz podcinali sapery. Wojsko postępowało odważnie, nie ponosząc znacznych strat, bo je osłaniał ciągły ogień po-

stępującej razem artyllerji. Przebyto szczęśliwie dwa wąwozy, lecz tu właśnie działa nasze, któreby swoich razić mogły, musiały ogień powstrzymać. I kiedy Francuzi wdzierali się już na brzeg drugiego parowu, by się dostać na równinę dojrzałem zbożem pokrytą, nagle i niespodzianie zasypał ich grad kul nieprzyjacielskich. Strzał ten dało 6 angielskich bataljonów Picton'a, które ukrywszy się w zbożu 3 do 4 stóp wysokiem, oczekiwały tylko chwili zbliżenia się wojska francuzkiego. Pod ogniem z tak bliska i tak trafnie wymierzonym padła znaczna liczba naszych żołnierzy. Wtedy Picton z całą przytomnością umysłu rozkazał swoim pójść na bagnety. Silne to natarcie na gruncie spadzistym, niefortunne dla francuzkiej piechoty, zmusiło ją cofać się w nieładzie w głąb wąwozu i szukać oparcia na przeciwnym jego brzegu. Tu niespodziewane a szczęśliwe zdarzenie dozwoliło Francuzom wrócić do porządku. Z czterech pułków piechoty składających dywizję Bachelu, trzy tylko szło do ataku; czwarty zaś, to jest 108-my pułk pieszy, pod dowództwem pułkownika Higonet, dzielnego i przytomnego oficera, zatrzymany został w marszu mocnym płotem, i kiedy zajęty był zniesieniem go, spostrzegł właśnie owe 3 pułki w popłochu cofające się. W jednej chwili więc każe zwrócić się na prawo, i rozwinąwszy bataljony każe być gotowym do strzałów za daném hasłem. I jak skoro nasze cofające się wojsko przeszło już poza linję dosięgnąć je mogących pocisków, Higonet daje ognia do Anglików pogenią zajętych i ziemię trupami ich ściele. Następnie natarcie bagnetami straszliwej tej rzezi dokonało. Na ten widok, żołnierze 72-go pułku stojący na prawem skrzydle 108-go pułku, uszykowali się najpierwsi, za ich przykładem poszły i inne pułki; Anglicy więc musieli cofnąć się na pierwotne swoje stanowisko. Dostrzegłszy to dywizja jenerała Foy, posunęła się na szosę, co zmusiło lewe skrzydło Anglików w tył nieco cofnąć. Równa liczba mundurów czerwonych i błękitnych pokryła pobojowisko. Lecz, aby złamać lewe skrzydło angielskie, trzeba było raz jeszcze wystawić się na rażące pociski sześciu bataljonów Picton'a i czterech posiłkujących go bataljonów hanowerskich. Poznawszy trudności te Bachelu, postanowił działania swe skierować w prawo, ku folwarkowi Piraumont, dotykającemu do gościńca biegnącego od Namur.

Jenerał Foy z dwiema swemi brygadami postępował zwolna drogą bitą, a widząc co się działo z prawej strony i jakie trudności napotkało nasze lewe skrzydło wzdłuż lasu Bossu, nie śmiał uderzyć na Quatre-Bras. Dzielna dywizja Hieronima na ten las skierowana, wstrzymała się przed nim; z czego korzystając wojska ks. Brunświckiego i Bylandt'a, zdołały w pozycji tej utrzymać się. Wkrótce atoli dywizja Hieronima wsparta obrotem wojsk jenerała Foy, zawładnęła owym lasem o którego

posiadanie z takim trudem walczono, a przedarłszy się na drugą jego stronę, wyszła już na drogę do Nivelles, kiedy książę Brunświcki znów jazdą swoją na nią uderzył. Jego ułani natarli na naszą piechotę, ale wstrzymani jej ogniem, jak również szarżą szasserów i ułanów Piré'go, cofnąć się musieli. W tej to potyczce waleczny ten książę poległ od kuli. Ułani i strzelcy francuzcy, raz żądzą zwycięztwa zagrzani, gnali przed sobą jazdę Brunświcką aż po uszykowaną do boju piechotę Picton'a, która niebawem uszykowała się w czworoboki. Nie wiele to jednakże pomogło, bo ułani nasi z pułkownikiem Galbois na czele, rozbili pułk 42-gi, straszną w nim rzeź sprawiwszy; dotarli oni dalej do pułku 44-go, ale tu wstrzymał ich ogień żołnierzy w jednę siłę zgromadzonych. Idąc za przykładem ułanów, szassery francuzkie rzucają się na pułk 92-gi, i lubo go złamać nie zdołali, pędzili ich jednakże aż do Quatre-Bras, a rąbiąc uciekających, oparli się aż o gościniec Namurski i o mało sam Wellington nie dostał się im w ręce. Lecz zapuściwszy się tak daleko ułani i szassery, zmuszeni byli cofnąć się dla sformowania się pod zasłoną swojej piechoty.

Była już godzina szósta, kiedy bitwa zbliżała się do pożądanego celu; i tak, na lewem skrzydle dywizja Hieronima była bliską przedarcia się na drugą stronę lasu Bossu; środkiem dywizja Foy wzmacniana artylerją, wdzierała się na pochyłości Quatre-Bras; nakoniec, z prawej strony Bachelu, idąc przez folwark Piraumont, dosięgał już prawie szosy Namurskiej. Jeden więc cios stanowczy środkiem armji wykonany, mógł zapewnić zwycięztwo orężowi francuzkiemu i oddać mu w ręce Quatre-Bras. Czas więc naglił, a to tem więcej, gdy śpieszące zewsząd posiłki, silniejszym czyniły Wellingtona. Jakoż przybył mu w pomoc 3-tysięczny oddział Nassauski z jenerałem von Kruze (*) i dywizja Alten'a z dwóch brygad, angielskiej i niemieckiej złożona, około 6 tysięcy żołnierza licząca. Wódz angielski przeto miał do rozporządzenia prawie 30 tysięcy ludzi, gdy tymczasem jenerał francuzki liczył ich zaledwie 19 tysięcy i z tych już niszcząca wojna ze 3 tysiące z szeregów usunęła. Wprawdzie Ney nie wiedział o tych nadciągających nieprzyjacielowi posiłkach, mimo to czuł dobrze, że przeciwnik jego wzrasta w siłę; i kiedy w takiém zwątpieniu całą nadzieję zwycięztwa w nadejściu d'Erlona pokłada, nagle odbiera wiadomość do rozpaczy go prawie przywodzącą. Jenerał Del-

(*) Oddziału Nassauskiego nie należy brać za jedno z wojskiem Nassauskiem pod wodzą ks. Sasko-Wejmarskiego, które dniem wpierw broniło Quatre-Bras. Te ostatnie wojska, jako zostające w usługach domu Orańskiego, zwały się Nassausko-Orańskie.

cambre, naczelnik sztabu dywizji d'Erlona, przybywa w największym pędzie i donosi, że stosownie do rozkazu cesarskiego, nakreślonego ołówkiem a wiezionego przez La Bedoyére'a, ów korpus d'Erlona, powtórnie do Quatre-Bras powołany, winien był bezzwłocznie cofnąć się i pójść na działa pod Ligny. Taki rozkaz Ney odczytawszy, oświadczył, że działanie to w straszliwem stawia go położeniu, bo jeżeli wystąpił przeciw Anglikom, to tylko w nadziei spółdziałania d'Erlon'a; odwrócenie więc w inną stronę tych posiłków, przy siłach angielskich przeważających, na niechybną wystawia go zgubę. W tak trudnych przeto znajdując się okolicznościach, bez wahania się i korzystając z nadanej mu władzy, przez tegoż jenerała Delcambre wysyła rozkaz, aby d'Erlon bezzwłocznie przybył pod Quatre-Bras.

W chwili tak niebacznie wydanego rozkazu, Ney o kwadrans na czwartą odbiera polecenie z Fleurus, wręczone mu przez p. Forbin-Janson, w którem Napoleon poleca uderzyć na Bry, zapewniając go zarazem, że obrotem tym przyczyni się do zupełnej klęski armji pruskiej, że zatem *ocalenie Francji w jego spoczywa rękach*. Gdyby był marszałek z zimną krwią rzeczy rozważał, byłby niezawodnie przyszedł do przekonania, że w chwili obecnej główne zadanie nie było pod Quatre-Bras, ale raczej pod Ligny, że po zniesieniu armji pruskiej, takiż los nazajutrz musiałby spotkać armję angielską: w każdym więc razie należało pójść za wolą cesarza, to jest odstąpić zamiaru zdobycia Quatre-Bras, ograniczyć się na działaniu odpornem, co było nawet możliwem, jak się o tem Ney w godzinę później przekonał i wysłać rozkaz do d'Erlon'a, aby bez zwłoki czasu ruszył na Fleurus. Pędem wysłany oficer w pół godziny zaniósłby ten rozkaz, a w godzinę potem, to jest o w pół do ósmej, d'Erlon znajdowałby się poza młynem Bry, czyli że armja pruska dostałaby się w dwa ognie. Lecz uwaga ta nie przyszła na myśl Neyowi. Zajęty głównie rozwiniętą przed jego oczyma sceną, myślał tylko, jak po otrzymanem nad Anglikami zwycięztwie połączyć się z Napoleonem. Usunięcie więc zawadzających mu w tem przeszkód, głównem jego było dążeniem. W ciągu dnia patrzał on na cuda waleczności przez kawalerję naszą wykonane; w niej więc całą nadzieję zwycięztwa pokładając, przyzwawszy do siebie hrabiego Valmy, którego brygadę nieco zbliżył do siebie, i powtarzając wyrzeczone doń przez Napoleona słowa, rzekł: Jenerale, *los Francji w twoich rękach*. Potrzeba z całą siłą uderzyć na środek Anglików i zgnieść massę piechoty stojącą przed tobą. Jeżeli ci się powiedzie, Francja ocalona. Naprzód więc: jazda Piré'go poprze twoje usiłowania.— Jenerał Kellermann, z natury dość sprzeczny, stawiał zarzuty przeciw wydanym mu rozkazom; na usilne dopiero i dość naglące polecenia mar-

szałka, postanowił przypuścić rozpaczliwy atak, jakiego tylko po jego męztwie można się było spodziewać.

Chcąc to zadanie należycie spełnić, potrzeba było użyć cztery pułki hrabiego Valmy, składające razem 3,500 kiryssjerów i dragonów, dołączyć do tego lekką kawalerję gwardji Lefebvre-Desnoëttes'a, a zgniótłszy wszystko kopytami naszej jazdy, uzupełnić zwycięztwo pokonaniem licznej piechoty, która zdobytem polem bitwy mogłaby na nowo zawładnąć. Zamiast więc owych próżnych wysileń na zdobycie lasu, na co wysłano ów piękny ośmio tysiączny oddział Hieronima, wysileń, w których zapał wojska rozbijał się o przeszkody fizyczne, lepiej było pozostawić tu tylko jednę brygadę dla podtrzymania z tej strony boju, a natomiast z 4 tysiącami dywizji Hieronima, z 5 tysiącami dywizji Foy, z kiryssjerami i dragonami hrabiego Valmy, z ułanami i szasserami Piré'go i Lefebvre-Desnoëttes'a; słowem, z 9 tysiącami jazdy i tyleż piechoty, należało przełamać środek Anglików, czyli postąpić tak, jak w r. 1805 zrobił Massena w bitwie z Austrjakami pod Caldiero. Pełen zapału, lubo widocznie niespokojny Ney, postanawia niezmiennie uciec się do tego kroku rozpaczy; lecz i w tym razie, niestety, wódz ten błędne kreśli plany. Pominąwszy już błąd przyzwania do siebie d'Erlon'a, mimo przeciwnego cesarskiego rozkazu, Ney poleca niebacznie Kellermann'owi pozostać na rozdrożu starego gościńca rzymskiego, również nieoględnie oszczędza Lefebvre-Desnoëttes'a, a przestaje na wysłaniu brygady Valmy, dozwalając zarazem bezowocnemi wysileniami osłabiać się dywizji Hieronima w lasku Bossu.

Hrabia Valmy, jakkolwiek odebrał dość naglący rozkaz, dawszy jednak nieco wytchnąć koniom, gotuje się do natarcia z całą siłą. Piré również na czele swoich ułanów i szasserów sposobi się poprzeć jego usiłowania. Hrabia Valmy puściwszy się wielkim kłusem wzdłuż gościńca, dotarł do pochyłości graniczącej z wioską Quatre-Bras, zkąd nagłym obrotem w lewo w stronę lasu Bossu, rzucił się z swoim 8 i 11 pułkiem kiryssjerów na angielską piechotę jenerała Halkett. Grad kul obsypał pancerze i hełmy naszych jeźdźców, żadnej im nie zrządziwszy szkody. Pułk 8-y wpada na 69-ty pułk angielski, znaczną część jego kładzie ostrzem swych pałaszy i zdobywa chorągiew wydartą z rąk Anglika przez kiryssjera Lami. Pułk angielski cofa się do lasu. Uszykowawszy szwadrony swoje Kellermann, rzuca się na pułk 30-ty, a nie mogąc go rozbić, gniecie tymczasem i dziesiątkuje pułk 33-ci, po nim dwa bataljony księcia Brunświckiego i nareszcie staje w Quatre-Bras. Gdy się to dzieje, Piré zwraca się w prawą stronę na piechotę Picton'a, która w kilka rozwinięta szeregów, celnemi i gęstemi strzałami silny stawiała opór

natarciom francuzkiej konnicy. Lecz pułk 6-ty ułanów, co tak zaszczytnie w dniu tym odznaczył się, zajął pod wodzą pułkownika Galbois szosę Namurską i zniósł oddział hanowerski na tyłach dywizji Picton'a stojący. Wellington zaledwie zdążył dopaść konia i umknąć.

Jazda francuzka utrzymała się więc na równinie Quatre-Bras, którą udało jej się opanować; i gdyby w tym czasie jaki oddział piechoty poparł jej usiłowania, gdyby dywizja jenerała Foy lub część dywizji Hieronima zajęła była zdobyty przez nią plac boju, a nadewszystko, gdyby trzy inne pułki hrabiego Valmy w pomoc jej były wysłane, wtedy tryumf jazdy byłby niewątpliwy. Lecz, niestety, dzielna ta jazda rozpaczą w tłumy nieprzyjaciół rzucona, nie widząc znikąd pomocy, nagle na straszliwy ogień wystawioną została. Piechota angielska zawarowawszy się w budynkach wioski Quatre-Bras, gradem kul zaczęła miotać na kiryssjerów francuzkich. Tak niespodzianym rażeni ogniem, zwolna najprzód, później zaś panicznym przejęci strachem, z szybkością cofać się zaczęli. Napróżno hr. Valmy usiłuje ich powstrzymać na pochyłości pola z taką chwałą przedtem zdobytego; sama spadzistość gruntu i ogólny popłoch bieg ich przyśpiesza. Sam ich jenerał wysadzony z konia, bez kasku, uczepiwszy się cugli dwóch kiryssjerów, i tak pędząc pomiędzy dwoma końmi zawieszony, zdołał zaledwie ocalić się. Na ten widok przybiega Ney, uciekającym Lefebvre-Desnoëttes zastępuje drogę i przywodzi do porządku owe dwa pułki kiryssjerów, które po dokazaniu cudów waleczności, w ucieczce ocalenia szukać musiały.

Ney, który w tej przygodzie okazał niezrównane wrodzone mu męztwo, zbiera swe wojsko i utrzymuje niezachwianą linję bojową. Na gościńcu w zajętej poprzednio pozycji ustawia dywizję Foy; na prawem skrzydle, dywizja Bachelu szykuje się do wyruszenia przez folwark Piraumont na wielki gościniec z Namur wiodący; na lewem zaś, poleca dywizji Hieronima zająć lasek Bossu, lubo ten korzyści usiłowań nie przedstawiał. Tymczasem opór rośnie z każdą chwilą. W miejsce wojsk, które nie wychylając się z lasu Bossu o jego utrzymanie walczyć zdawały się, nagle ujrzano wspaniałe bataljony naprzeciw armji francuzkiej zmierzające. Jakoż ks. Wellington, licząc już pod sobą 30 tysięcy żołnierza, posunął jeszcze w pomoc gwardje angielskie jenerała Cooke, reszty korpusu ks. Brunświckiego i nowe szwadrony jazdy. Siłę więc jego składało teraz 40 tysięcy ludzi, gdy tymczasem Ney mógł zaledwie 16 tysięcy przeciw niemu postawić. W jednej chwili Ney, który w podobnych okolicznościach lwem się stawał, rzuca się z dywizją Hieronima na bataljony wysuwające się z lasu i takowe wstrzymuje. Wszelako, nie tracąc przytomności umysłu w tak widocznem niebezpieczeństwie, poznał, że

dalszy opór wystawiłby go na nieochybną klęskę. Dotychczasowe więc działanie swoje zaczepne zmienia w odporne, co właśnie należało mu dawniej uczynić, jak skoro z rana jeszcze nie korzystał z chwili, w której znieść mógł Anglików. W skutku tak powziętego postanowienia, zwolna przenosi całą swoją linję z prawego na bok lewy, sam zawsze na koniu w pośród wojsk, szlachetną swoją postawą ducha ich podtrzymując. Zająwszy pobrzeże przebytej już doliny, Ney obrał korzystną dla siebie pozycję; Anglicy bowiem pod ciosami morderczego ognia zmuszeni byli wdzierać się pod górę. Ney obsypując ich gradem kul i kartaczy, i już to bagnetem, już przypuszczeniem na strzał, wstrzymując zapędy Anglików, po upływie dopiero dwóch godzin staje na brzegu doliny pomiędzy Frasnes a Quatre-Bras ciągnącej się.

Patrząc na padające do koła kule, Ney, ów przedmiot trwogi nieprzyjaciela, a podziwu dla swoich żołnierzy, czując żywą boleść z tak przykrego położenia, w szlachetnej i rozpaczliwej zawołał boleści: *O! chciałbym, aby te wszystkie kule we mnie uderzyły!* Niestety, krwawa scena na którą teraz poglądał, mogła się nazwać zwycięztwem w porównaniu z tą, na jaką miał patrzeć we dwa dni potem!

Była godzina dziewiąta wieczór: noc cieniem swoim pokryła te pola, od Sombreffe do Quatre-Bras, od Quatre-Bras do Charleroy, na których w kilkomilowym trójkącie przeszło 40 tysięcy trupów ziemię zasłało. Pod Quatre-Bras, Ney ogniem i mieczem swej jazdy położył do sześciu tysięcy nieprzyjaciół, utraciwszy sam do czterech tysięcy żołnierzy. Pod Ligny, jak to już wyżej powiedzieliśmy, 11 do 12 tysięcy Francuzów, a 18 tysięcy Prusaków trupami ziemię pokryło, nie licząc w to ludzi w rozsypkę podanych. Tak więc 40 tysięcy walecznych stało się w dniu tym smutną ofiarą namiętności wieku!

Czytelnik spyta się zapewne, co się stało w dniu tym z jenerałem d'Erlon, który ani pod Ligny nie pomagał do odniesienia zwycięztwa, ani pod Quatre-Bras dla pokonania Anglików na drodze brukselskiej. Smutną na to udzielimy odpowiedź: d'Erlon szedł wprawdzie, ale tak, że nie przybył nigdzie. Pomimo bezprzykładnego zapału, działanie jego było bezowocne, bo jakiś fatalizm w dniu tym krążył nad naszą sprawą.

Rano oczekiwał on w Gosselies na rozkazy, które zaledwie doszły go o godzinie jedenastej, kiedy jenerał Reille zawiadomił go o treści posłannictwa pana de Flahault. Stosownie do otrzymanej instrukcji wyruszył ku Frasnes i zaraz stojącą na prawem skrzydle dywizję jenerała Durutte, zwrócił ku Marbais. Ujrzawszy się na tyłach Prusaków, żołnierze tej dywizji przyklaskiwali z podziwem przezorności Napoleona z tak trafnego ich umieszczenia. Lecz zaledwie jednę milę uszli, kiedy oficero-

wie Neya, wysłani w chwili gdy wódz ten postanowił uderzyć na Anglików, przybiegli z rozkazami, aby cały korpus wrócił się do Quatre-Bras. Dywizja jenerała Durutte, równie jak inne, musiały cofnąć się ku Frasnes, w pośród głośnych szemrań żołnierzy, wstrzymanych i cofniętych z drogi, tak świetne zapewniającej im rezultaty. W tem około godziny w pół do czwartej, jenerał la Bedoyère nadbiegł z pismem cesarza, nakazującem iść prosto na Bry. Nowe to rozporządzenie nową radość wzniecilo w wojsku, pewnem odniesienia przewidywanych tryumfów. Posłuszny wręczonym rozkazom, d'Erlon, jakeśmy już powiedzieli, wysłał zaraz do Neya swego szefa sztabu Delcambre z zawiadomieniem o powodach oddalających go od Quatre-Bras. Po spełnieniu takiej missji, Ney zwrócił d'Erlon'a z wyraźnym rozkazem wrócenia do Quatre-Bras. W skutku tego, jenerał Delcambre przybywszy pomiędzy godziną 5 a 6, po raz ostatni zatrzymał korpus 1-szy w drodze ku Bry, zalecając mu iść z powrotem na Quatre-Bras. Inni oficerowie, wysłani po jenerale Delcambre, zapewniali d'Erlon'a, że jedynie licząc na jego pomoc, Ney staje do boju przeciw nierównym siłom Anglików, że zatem jeżeli on nie przybędzie mu na odsiecz, plany Napoleona pójdą w niwecz i cała odpowiedzialność na jego spadnie głowę. Obawy te były przesadzone, koniec bowiem dnia okazał, że o ile działając odpornie pomiędzy Frasnes a Quatre-Bras słabe tylko dałyby się osiągnąć rezultaty, o tyle pomoc pod Ligny istotne zapewniała korzyści. Ale d'Erlon nie znał istotnego położenia rzeczy na polach obu tych bitew. Pod Ligny, jak go zapewniano, miał on tylko uzupełnić tryumf: pod Quatre-Bras zaś miał uchylić grożącą nam klęskę. Ney, jego bezpośredni zwierzchnik, wzywał go w imieniu służącego mu prawa i naglącej konieczności; powolność więc tym rozkazom była rzeczą naturalną. Wprawdzie, jak to wkrótce obaczymy, d'Erlon mylnie sobie postąpił; w każdym atoli razie działał on w najlepszej wierze i pod wpływem widocznego przerażenia z jakiem stawali przed nim posłannicy z Quatre-Bras. Tak więc już po raz drugi od rana wracał się z drogi do Bry na drogę do Frasnes; po odbyciu jednakże narady z jenerałem Durutte, zdolnym bardzo oficerem, dowódzcą pierwszej dywizji najdalej posuniętej na drodze do Bry, d'Erlon postanowił działać pośrednio. O ile się zdawało, z jednej strony Ney koniecznej potrzebował pomocy; z drugiej znów, zajście z tyłu Prusakom mogło łatwo przechylić zwycięztwo pod Ligny; wreszcie, pozostawienie próżni pomiędzy Fleurus a Frasnes, przedstawiało pewne niebezpieczeństwo, gdyż w tym razie nieprzyjaciel mógł łatwo wedrzeć się pomiędzy dwie armje francuzkie. Rozważając nadto ważność otrzymanych poleceń, d'Erlon wahał się pomiędzy rozkazem Neya, swego bezpośredniego dowódzcy, a rozkazami Napoleona, wo-

dza wszystkich wodzów. Wziąwszy to wszystko na uwagę, d'Erlon postanowił pójść z trzema dywizjami na Quatre-Bras, samą zaś dywizję jenerała Durutte pozostawić na drodze do Bry. Lecz pozostając przy tem postanowieniu, zalecił jenerałowi Durutte z wszelką działać przezornością, a to tem więcej, gdy jak się dowiedział w drodze, rzeczy ze strony Neya szły niezbyt pomyślnie. Z wielkim żalem żołnierzy d'Erlon udał się więc pod Quatre-Bras, Durutte zaś niepewnym krokiem posuwał się pod Bry, co nawet niejako dało powód do złośliwych wniosków o zdradzie, do podejrzeń niesłusznych, jenerał ten bowiem znany z gorliwości i dobrych chęci, słuchał tylko głosu wyższych rozkazów. Przybywszy około dziewiątej czy dziesiątej godziny do Bry, znaglił tylko Prusaków do cofnięcia się, nie wziąwszy im ani jednego jeńca, d'Erlon zaś stanął pod Frasnes w tyle armji Neya i to wtenczas, kiedy działa już grać przestały i kiedy tem samem pomoc jego była bezsilną.

Taki był ów krwawy dzień 16 Czerwca 1815 r., dzień, w którym stoczono dwie bitwy: jednę wygraną pod Ligny, drugą niepewną w skutkach pod Quatre-Bras. Myliłby się jednak, ktoby go oceniał z ważności wypadków pod Quatre-Bras i fałszywych obrotów, które unieważniały wszędzie działania d'Erlona. W rzeczywistości, plan naszej kampanji, tak głęboko pomyślany, udał się zupełnie. Napoleon zajął zwycięzko wielki gościniec Namursko Bruxelski, wprawdzie nie na obu jego punktach, lecz przynajmniej na jednym pod Sombrefe, co dostatecznie widokom jego odpowiadało. Książę Wellington utrzymał się przy posiadaniu stanowiska na gościńcu pod Quatre-Bras; lecz jakkolwiek punkt ten ważnym był dla zjednoczenia wojsk angielskich, Wellington wszelako odcięty był zawsze od Blüchera, i tylko znacznem w tył cofnięciem się mógł się z nim połączyć. Anglicy więc skazani byli albo na walkę bez pomocy Prusaków, lub przynajmniej musieliby daleko obchodzić chcąc się z nimi połączyć. Pierwszy więc rzeczywisty rezultat planów Napoleona był już osiągnięty. Drugim, było pobicie jednej z armji sprzymierzonych, armja ta bowiem ważnych klęsk doznała, gdyż w zabitych, rannych i rozproszonych straciła czwartą część rzeczywistych sił swoich, czyli ze 120 na 90 tysięcy zmniejszoną została. Wprawdzie mogła być ona pobitą tak, iżby się już więcej na widowni wojny nie ukazała, i to byłoby zmieniło cały szereg następnych wypadków, bo w takim razie armja angielska występując nazajutrz do boju bez żadnej obcej pomocy, tenże los co pruska miałaby mieć w udziale. Lecz stanowczy ten wynik na nieszczęście nie był osiągnięty; wojsko francuzkie stało pośrodku dwóch armji nieprzyjacielskich, a z tych jedna pobita; istotna więc część planu była już spełnioną. Komu jednakże przypisać winę, że tak ogromny w skutkach swych wypadek, od

którego zawisł los Francji, nie był osiągnięty? Wyszukanie tej winy należy do historyi, do niej bowiem nie tylko określenie czynów, ale i sąd o nich należy. Zdaniem naszem jednakże takie dość proste dadzą się wyprowadzić wnioski:

Główny zarzut jaki działaniom tego dnia stawić można, jest daremna strata czasu z rana w dniu 16 Czerwca. Zarzut ten, o ile można było poznać, nie dotycze działań pod Ligny; ciąży on głównie na działaniu pod Quatre-Bras. O tym przedmiocie rozprawiano już tak, jak gdyby Napoleon w dniu 16 z rana miał do rozporządzenia całą swoją armję i że nie pozostawało mu nic, jak zaraz od świtu w ruch ją wprawić. Tymczasem tak nie było. Blisko 25 tysięcy ludzi obozowało noc całą na prawym brzegu Sambry; cała więc ta massa wojska z znacznym parkiem artyllerji musiała dopiero z rana przejść przez most pod Charleroy i przeciskać się przez wązkie ulice tego miasteczka. Podobnież znużone marszem wojska jenerała Gérard, nie mogły także przejść razem przez Sambrę. Dwie te okoliczności wymagały przynajmniej trzy godziny czasu, aby rozmaite korpusy armji francuzkiej stanęły, jeżeli nie zupełnie na linji bojowej, to przynajmniej aby się zbliżyły do rzeczywistego pola bitwy. Nadto, lubo Napoleon znał prawie dokładnie rozkład sił nieprzyjacielskich, znajdując się jednakże w trudném położeniu (stał bowiem pośrodku dwóch obcych wojsk, z których każde prawie armji jego w sile wyrównywało), chciał działać na pewno i użyć czasu przeprawy wojsk na dokładne zbadanie wszelkich okoliczności. Wprawdzie marszałek Grouchy, który winien był wyruszyć na podjazd o godzinie czwartej, sam wyznał, że dopiero około godziny 6-ej dowiedział się i doniósł cesarzowi o rozwijaniu się kolumn pruskich pod Sombreffe. Wiadomość ta nie wpierw jak po godzinie siódmej mogła nadejść do Charleroy, wszystkie zaś rozkazy wydane już były przed ósmą, a rozesłane pomiędzy ósmą a dziewiątą. Być może, że Berthier zdolny do szybkiego oddania myśli Napoleona, byłby zapewne zyskał pół godziny, lecz i tu o stratę czasu nikogo obwiniać nie można. Wojska piesze potrzebowały kilka godzin na przebycie drogi do Fleurus, gdy Napoleon jadący konno mógł tam stanąć w godzinę, a tem samem dłużej zatrzymać się w Charleroy dla zebrania potrzebnych wiadomości i dla wysłania wielu koniecznych rozkazów. Trzeba tu zbadać wszelkie okoliczności, zanim rzucimy pytanie, co Napoleon mógł robić w Charleroy do godziny dziesiątej lub jedenastej z rana; niesłusznem więc byłoby oskarżać o bezczynność człowieka, który nie będąc zdrów zupełnie w dniu 15, przez 18 godzin nie zsiadał z konia, trzy godziny tylko snem się pokrzepiał i wstał o świcie, by rozpocząć ów krwawy, straszliwy dzień 16-ty, a ukończyć go o godzinie jedenastej w nocy, har-

cując na koniu znów przez godzin 18. Lecz nastręcza się tu jeszcze inna ważniejsza uwaga: działania wojenne od strony Fleurus nie były tak naglące jak od strony Quatre-Bras, bo jeżeli tu trzeba było przyśpieszać zamknięcie drogi Anglikom, pod Fleurus przeciwnie należało dozwolić rozwinąć się Prusakom, aby tem samem zyskać pole do zwalczenia ich na tem korzystnem stanowisku. Nie ma wątpliwości, że nie należało wydawać bitwy zbyt późno, chcąc ją uczynić stanowczą, lecz nie wiele na tem zawisło, czy bitwa ta zajdzie z rana czy po południu. Zresztą, dzień w tej porze zaczyna się o godzinie czwartej, a kończy po dziewiątej, wojsko pałało chęcią boju, nie można więc nazywać straconemi chwil poświęconych z rana na dokładniejsze poznanie stanu rzeczy i pochód wojsk francuzkich.

Nie mniej dobrze użyto czasu pod Ligny. Napoleon przybywszy do Fleurus przed południem i widząc niejakie wahanie się jenerałów, postanowił stoczyć zaraz bitwę; lecz wojska, a mianowicie z prawego skrzydła, jeszcze nie nadciągnęły; Napoleon musiał więc czekać cierpliwie. O godzinie drugiej mógł on już wprawdzie zmierzyć się z nieprzyjacielem, lecz osnuwszy wyborny plan posunięcia ku sobie części wojsk Neya, dla zajęcia tyłu Prusakom, wolał pozostawić marszałka oczekując na grę dział jego. Zniecierpliwiony zaś, że dział nie słychać, jeden po drugim wysyłał rozkazy, a nareszcie o godzinie w pół do trzeciej dał hasło do bitwy. Ale i wtedy jeszcze czas pozostający dostatecznym był do zebrania owoców z rzeczywistego zwycięztwa, gdyby fałszywy alarm sprawiony przez Vandamma o godzinie w pół do szóstej, nie był odwlókł prawie do godziny siódmej, stanowczej szarży, jaką miała wykonać gwardja cesarska. Szarża ta wykonana o półtory godziny wpierw, dałaby możność zadania zupełnej klęski Prusakom. Była to więc pora ostatecznego ich zniesienia, tem bardziej, gdy liczba zabitych, rannych i w rozsypkę podanych, armję pruską o trzecią część zmniejszyła.

Lecz nie można powiedzieć, że dzień ten pod Quatre-Bras równie dobrze był użyty. O ile, pod pewnemi przynajmniej względami, strata czasu pod Ligny nie była znaczącą, o tyle przeciwnie pod Quatre-Bras, każda stracona chwila nieszczęściem groziła; tu bowiem, oprócz głównego zadania, to jest zajęcia stanowiska, w którém Anglicy z Prusakami połączyć się mogli, należało koniecznie uderzyć na Anglików, zanim oni odpowiednie siły swoje zgromadzą. Jakoż w dniu 15 wieczór, siły ich składały się tylko z czterech tysięcy Nassauczyków i takowe do południa dnia następnego nie powiększyły się. Dopiero od południa do godziny drugiej wzrosły one do siedmiu tysięcy i w tej mierze pozostały do go-

dziny w pół do czwartej. Tymczasem Ney wieczorem w dniu 15 miał 9 tysięcy żołnierzy, nazajutrz o 11-ej było już 16 tysięcy, a mógł ich nawet mieć w tym czasie 20 tysięcy. Co się zaś tycze rozkazów ustnych udzielonych mu po południu w dniu 15, było niepodobieństwem przypuszczać, że one co innego wskazują a nie Quatre-Bras; zresztą rozkazy te piśmiennie w dniu 16 o godzinie w pół do jedenastej przez p. de Flahault doręczone i kilkakrotnie jeszcze powtórzone, zalecały niezwłocznie i za jakąbądź cenę zająć Quatre-Bras. Zatem, licząc od godziny w pół do jedenastej z rana, do w pół do czwartej po południu, czyli w ciągu pięciu godzin, mając dwadzieścia tysięcy ludzi, można było łacno znieść dywizję Perponcher'a, liczącą zaledwie siedm tysięcy żołnierza.

Wprawdzie Ney około godziny 11-ej, to jest już po otrzymaniu piśmiennego rozkazu Napoleona, bez wahania chciał z całą mocą uderzyć na Quatre-Bras; lecz jenerał Reille, mylnie tłomacząc sobie raport Girard'a, wstrzymał wojsko, a tem samem zmusił Neya do trzy godzinnej blisko bezczynności. Poczynając więc od godziny jedenastej, popełniony błąd nie był już po stronie Neya, i jeszcze o godzinie drugiej, kiedy już usilnie pragnął rzucić się na nieprzyjaciela, Reille pamiętny zawsze na podobny stan rzeczy w Hiszpanji, wstrzymał go, w dobrej wprawdzie myśli, ale wstrzymał niewłaściwie. Nareszcie, w chwili przypuszczenia ataku, Anglicy byli już równi w siłach, a wkrótce nawet przewyższali niemi Francuzów. Tak więc pod Quatre-Bras, rzeczywistą stratę czasu naznaczyć można wieczorem w dniu 15 i do połowy dnia 16 Czerwca, to jest w zakresie działań najważniejszych.

Tak określiwszy użycie czasu, przejdźmy teraz do samych działań. Pierwsze kombinacje Napoleona pod Ligny można nazwać najszczytniejszemi w całym jego zawodzie wojskowym. Widząc, że Prusacy, bezpieczni o swoje tyły i prawe skrzydło, zajmują pozycję pomiędzy Ligny a Saint-Amand, nie bacząc, że Ney z 45 tysiącami żołnierza stoi im za plecami, postanowił rzucić na nich część tej 45 tysięcznej armji, czem nieochybnie zagarnąłby przynajmniej połowę armji Blücher a. Jenerał Rogniat, ów surowy sędzia Napoleona po jego upadku, chce tu widzieć inaczej; zdaniem jego cesarz chciał uderzyć na krańcu trzech wiosek Saint-Amand, czyli lewem skrzydłem przeciw prawemu Prusaków, aby odparłszy do Sombreffe, oddzielić ich tem samem od Anglików. Napoleon pisząc o tem na wyspie św. Heleny, z całą wzniosłością obrażonego geniuszu odpiera tę krytykę zarozumiałej a czerniącej go mierności. Nie szło tu bowiem wcale, jak sam powiada, o oddzielenie Prusaków od Anglików, bo to było zadaniem Neya pod Quatre-Bras, ale raczej o zagar-

nięcie części ich armji, która niezawodnie wpadłaby w jego ręce, gdyby był Ney z tyłu jej zaszedł. Kiedy więc niefortunna zwłoka i niezrozumienie rozkazów zamieszały te dobrze obmyślane szyki, Napoleon przebiciem szeregów nieprzyjacielskich powyżej Ligny rozstawionych, dowiódł raz jeszcze swej niewyczerpanej płodności środków, jakie na polu bitwy z umysłu swego wysnuwał.

Plac boju pod Quatre-Bras nie był ani dobrze obmyślanym, ani też przystępnym. Ney lubo niezwykłem męztwem ożywiony, nie zachował wszakże krwi zimnej. Na dwóch swoich skrzydłach, to jest na prawem pod folwarkiem Gimioncourt i na lewem pod laskiem Bossu, bezpotrzebnie siły swoje wyczerpywał. Dzielne, lubo z braku poparcia bezowocne szarże jego jazdy, przekonały, że środkiem, to jest w Quatre-Bras, łatwo było przebić linję nieprzyjacielską. W istocie, gdyby Ney zamiast wstrzymania się po pierwszym rozkazie, drugą depeszą i samemi wypadkami odwołanym, rzucił był od razu cztery pułki hrabiego Valmy i lekką kawalerję Lefebvre-Desnoëttes'a, co łącznie z konnicą Piré'go wynosiło 7 tysięcy koni; gdyby zamiast skazania pięknej, blisko 8 tysięcznej dywizji księcia Hieronima na bezskuteczne wysiłki pod lasem Bossu, pozostawił był pod tym lasem brygadę jenerała Foy, a owe 7 tysięcy koni i 8 tysięcy piechoty wysłał na Quatre-Bras, byłby niezawodnie zgniótł sam środek kolumn Wellingtona, odparł część jego wojsk na drogę do Nivelles, drugą na drogę do Sombreffe i zdobył tyle ważną pozycję pod Quatre-Bras.

Korzyści te, a mianowicie upokorzenie dumy Anglików i zniesienie części ich sił, jakkolwiek dla oręża francuzkiego były bardzo pożądane, nie stanowiły przecież jedynej dnia tego zdobyczy. Dzięki nieugiętej stałości Neya zdołano przy schyłku dnia wstrzymać Anglików pod Quatre-Bras; żałować tylko należy, że d'Erlon to w prawo, to w lewo ciągniony, a wszędzie bezużyteczny, dozwolił ujść armji pruskiej, której połowę mógł zabrać. I w temto właśnie leży cała niepomyślność dnia tego. Bitwa pod Ligny jakkolwiek dla oręża francuzkiego zaszczytna a nawet wielkiej wagi, zbyt małe w rezultacie przyniosła korzyści. Bitwa ta znaczy się już złowrogiemi rysami i stawia szkopuły, o które, w ciągu tych ostatnich dni, najrozumniejsze wyrachowania i niezachwiane rozbija się męztwo. Wściekłość ogarnia patrząc, ile razy d'Erlon, bliski swego celu, odwracany był od niego z rozpaczą i niezadowoleniem żołnierzy, jaśniej tym razem niż ich wodzowie na rzecz zapatrujących się.

W tem, powtarzamy, było główne dnia tego nieszczęście; pozostaje nam tylko zbadać, czy nieszczęście to przypisać należy winie osób, czy złowrogiemu losowi. Napoleon wiedząc dobrze, że Ney w początkach

miał do czynienia z słabemi siłami przeciwnika, śmiało żądać mógł od niego 12 do 15 tysięcy żołnierza z 45 tysięcznej jego armji, by wykonać obrot bardziej stanowczy niż zajęcie Quatre-Bras. Wydany więc rozkaz d'Erlon'owi, nie był błędem. Ney zaś otrzymawszy go, powinien był zmiarkować, że należało mu z 20 tysiącami wojska trzymać się tylko odpornie, a d'Erlon'a pozostawić całkiem Napoleonowi. Ze swej strony d'Erlon winien był usłuchać rozkazów nie swego bezpośredniego dowódzcy, ale raczej naczelnego wodza, cesarza. Tymczasem Ney, zapałem walki rozogniony, widząc rosnące w około niego zastępy przeciwnika, chciał najprzód pokonać stawiających mu czoło nieprzyjaciół, by tym sposobem uzupełnić tryumf Napoleona. Widzimy także, że d'Erlon otrzymawszy niepomyślne wiadomości z pod Quatre-Bras, uznał za konieczne uledz rozkazom Neya, tonem rozpaczy skreślonym. Słowem, we wszystkich tych nieporozumieniach, więcej los niż ludzi oskarżać należy. W istocie, owe naglące słowa Napoleona: *Ocalenie Francji w twoich ręku*, do Neya dla podniesienia jego gorliwości wyrzeczone, marszałek tłomaczył sobie jako konieczność odniesienia zwycięztwa, pod Quatre-Bras, gdy one tymczasem wskazywały tylko potrzebę uzupełnienia tryumfu pod Ligny. Słowa te wyrzeczone z chęcią zapewnienia przewagi zamiarom Napoleona, sprawiły zamieszanie. Uderzający to rys usposobień losu względem Francji, czyli, jaśniej mówiąc, dowód położenia wymuszonego, zamąconego, w którém nikt, oprócz Napoleona, nie był panem swych zwykłych zdolności, a które Napoleon chciał dopiero stworzyć, usiłując rozpocząć, wbrew woli Europy, Francji i powszechnego rozumu, nowe a niepodobne do spełnienia rządy.

Jakkolwiek Napoleon z żalem zapewnie poglądał na zwycięztwo nie w zupełności jeszcze odniesione, mógł wszelako pocieszać się tem, że nakreślone plany udały mu się w zupełności. Jakoż niespodzianie podszedł armję pruską i angielską, zajął stanowisko pomiędzy niemi, pobił Prusaków, powstrzymał zapędy Anglików, odparł oddziały ich w przeciwne strony, aby tem samem w dniu jutrzejszym lub następnym łatwiej mu było pokonać Wellingtona. Blücher straciwszy pozycję na gościńcu wiodącym z Namur do Quatre-Bras, nie mógł już tą drogą złączyć się z Wellingtonem. Położenie więc jego nakazywało mu, albo zrobiwszy ostateczny rozbrat z Anglikami pójść przez Namur nad Ren, lub też dla dalszego prowadzenia wojny, szukać go gdzieś w okolicach Bruxelli. Pomiędzy wojskami walczącemi a Bruxellą ciągnął się długi i gęsty las, okalający Soignes od strony południowo-zachodniej i południowo-wschodniej. Las ten szeroki na 3 do 4, długi od 10 do 12 mil francuzkich, był tem samem trudny do przebycia dla licznej i w znaczną artylerję opatrzo-

nej armji. Gdyby Prusacy pozbawieni swej bezpośredniej komunikacji z Anglikami, gościńcem między Namur a Quatre-Bras ciągnącym się, chcieli się z nimi połączyć, musieliby obchodząc na Gambloux i Wavre ponad lasem Soignes, spotkać się z nimi z tej lub z drugiej strony tego ogromnego lasu. Gdyby nawet, dla większego bezpieczeństwa, w las ten zapuścili się w celu połączenia się z wojskiem angielskiem pod murami Bruxelli, to i w tym razie bać się ich nie należało, gdyż pomoc ich dla sprzymierzonych byłaby już za późna. Przeciwnie, jeśliby Prusacy chcieli połączenie to uskutecznić z tej strony lasu Soignes, w tym razie niebezpieczeństwo mogłoby być groźnem, lecz Napoleon zajmujący pośrednie pomiędzy Prusakami a Anglikami stanowisko i zaledwie o pięć mil francuzkich od lasu oddalony, tego połączenia sam lub przez swoich jenerałów nigdyby nie dopuścił. Nadto, stojąc twarz w twarz z Anglikami pod Quatre-Bras, miał za sobą tę pewność, o ile tylko można ją było mieć, że uderzy nazajutrz na nich wpierw, zanim Prusacy zdołają pośpieszyć im z pomocą. Widocznem więc jest, że lubo Prusacy byli tylko pobici, lecz nie zniesieni zupełnie, jednakże plany cesarza powiodły się, postawił się bowiem w możności mierzenia się z pojedynczemi zastępami nieprzyjaciół. Zresztą, jakkolwiek klęska Prusaków nie była taką, jaką należało im zadać, byli oni wszelako pognębieni tak, że jedno na nich natarcie mogło spełnić to, czego nie dokazał chybiony manewr d'Erlon'a. Szło więc głównie, aby im nazajutrz nie dać chwili odpoczynku, i, że tak powiem, z mieczem na karku nacierać tak, aby żołnierze od pułków odbici, zostali dla nich straconemi, i aby nakoniec armja pruska, samem ściganiem i niepokojeniem, tak jakby w walce była osłabianą.

Napoleon wszedł do Fleurus około godziny 11-ej wieczorem; nie spoczywając od godziny piątej z rana, zanim udał się do snu, wydał jeszcze rozkazy najpotrzebniejsze. W tej chwili doniesiono mu, lubo bez bliższych szczegółów, że Ney, po całodziennej walce z Anglikami, zdołał ich tylko powstrzymać. Zaraz więc wysłał mu rozkaz, aby już o świcie był w gotowości iść na Bruxellę, dodając, że Anglicy po wczorajszej bitwie pod Ligny, nie dotrzymają placu, idąc bowiem gościńcem od Sombreffe do Quatre-Bras, możnaby im zająć tył w razie usiłowanego oporu. Pajol'owi zalecił, aby po krótkim spoczynku, ścigał Prusaków; chcąc go zaś osłonić od możliwego natarcia kawalerji pruskiej, kazał postępować za nim dywizji piechoty jenerała Teste. Po czem rzucił się na łóżko, by wyczerpane siły snem pokrzepić.

O godzinie 5-ej z rana Napoleon był już na nogach, gotów do działania w tem przekonaniu, że właśnie nadeszła stosowna chwila uderzenia na Anglików. Prusacy przynajmniej na dwa lub trzy dni byli uniezdolnie-

ni do boju; głównie więc z Anglikami należało się rozprawić; bacząc zaś na liczbę wojska pod dzielném jego kierownictwem zostającą, nie można było wątpić o korzystnym rezultacie. Przyjąwszy w tej kampanji za zasadę system dwu-skrzydłowy, wzmacniany armją środkową złożoną z korpusu hrabiego Lobau, gwardji i rezerw jazdy, co stanowiło siłę 40,000 żołnierza, Napoleon zamierzył pozostawić pod Ligny zwycięzkie prawe skrzydło, a stanąć na lewem, które wprawdzie nie było ani pokonane, ani zwycięzko nie wyszło z pod Quatre-Bras. To lewe skrzydło składał Reille, d'Erlon, część ciężkiej kawalerji, posiłkowanej środkową armją, co wszystko wynosiło 75 tysięcy wojska, to jest siłę z jaką śmiało można było stawić czoło Anglikom. Z samego porządku rzeczy wypływało, że z oddziałów które walczyły pod Ligny, a które niepodobieństwem było po doznanych trudach stawiać do powtórnej bitwy, to jest z 4-go korpusu Gérard'a, 3-go Vandamm'a, dywizji Girard'a, szasserów i huzarów Pajol'a, dragonów d'Exelmans'a, oddanych na teraz pod dowództwo marszałka Grouchy, można było łatwo uformować prawe skrzydło.

Zadaniem tego prawego skrzydła w czasie zapasów z Anglikami, było czuwać nad obrotami Prusaków, ścigać ich i razić do reszty gdzie tylko można i powstrzymać w razie, gdyby im przyszła chęć zwrócenia się na Francuzów. Była to rzeczywiście nieoględność stanowiąca ważny błąd w planach tak wielkiego wodza, że pozostawił zwyciężonych Prusaków w możności dowolnego działania; mogli oni bowiem jużto złączyć się z Anglikami z tej strony lasu pod Soignes, już korzystając z niebaczności Francuzów uderzyć na Charleroy, zaniepokoić ich tylne szeregi, przerwać komunikację, a w każdym razie, odetchnąwszy po doznanej klęsce, mogli Rossjanom, Anglikom lub Austrjakom ważną swojemi pokrzepionemi siłami nieść pomoc. Niepodobieństwem więc było ich lekceważyć, tem bardziej, że działając o cztery lub pięć mil fraucuzkich jedni od drugich, nie trudno było wysłane na nich oddziały w takiej utrzymać odległości, iżby je w razie potrzeby na swoją użyć pomoc. Lecz dodajmy, że aby oddział ten mógł skutecznie ścigać i powstrzymać zapędy Prusaków, należało go w odpowiedniej postawić sile; tymczasem Napoleon mając pod swemi rozkazami zaledwie 110 tysięcy żołnierza, przeciw 190 tysiącom nieprzyjaciela, a może nawet mniej skutkiem poniesionych strat w dniach poprzednich, zmuszony nadto pozostawić sobie na Wellingtona przynajmniej 75 tysięcy ludzi, nie mógł pod rozkazy marszałka Grouchy więcej jak 35 do 36 tysięcy wojska oddzielić. Mała to wprawdzie siła, lecz w ręku człowieka zdolnego i odważnego była ona dostateczną do ucierania się z nieprzyjacielem już pokonanym. Wszakże marszałek Davout w bitwie pod Auerstädt z 26 tysiącami Francuzów, dzielnie stawiał

czoło w r. 1806 przeciw 90 tysiącom Prusaków. Wprawdzie, Grouchy nie był tym co Davout, a i usposobienie moralne w r. 1815 nie było toż samo co w r. 1806; jednakże żołnierz francuzki wprawiony do boju, łączył w sobie w tej wojnie męztwo z rozpaczą.

Trzymając się więc raz wytkniętego, samym rozsądkiem wskazanego planu, Napoleon postanowił czołem swej armji zwrócić się ku lewemu skrzydłu i z niem wspólnie rozpocząć bój z Anglikami; zadaniem zaś lewego skrzydła, miało być ścisłe obserwowanie Prusaków i utrzymanie ich w oddaleniu przez czas walki z armją brytańską. Szykując się do bitwy już od godziny piątej z rana, Napoleon chciał śpiesznym marszem doścignąć Wellingtona podczas dnia, lecz przedział od lasu Soignes był tak mały, że niepodobna było przy największym nawet pośpiechu uprzedzić księcia Wellingtona; przyjęcie więc bitwy od jego woli zależało, bo gdyby mu przyszła chęć schronienia się do lasu Soignes dla złączenia się poza nim z Prusakami, wtedy wszelki pośpiech przyczyniłby się tylko do tem prędszego cofania się Anglików, nie dając tem samem możności ich doścignienia. Mimo to wszystko, Napoleon czy to skutkiem wrodzonego popędu, czy też pałający żądzą rychlejszego rozstrzygnienia kwestji życia i śmierci, pomiędzy nim a Europą postawionej, chciał bezzwłocznie uderzyć na Anglików. Lecz zwrócono uwagę jego na znużone trzy-dniowym pochodem wojsko i dwu-dniową bez odpoczynku walką. Nie myślał on wprawdzie użyć zaraz do bitwy Gérard'a i Vandamm'a, albowiem żołnierze ich, ległszy na zbroczonej krwią ziemi, spoczywali snem głębokim w pośród 30 tysięcy trupów; a przytem należało im zostawić kilka godzin na oczyszczenie się, posiłek i wytchnienie. Wypadało więc poruszyć najprzód korpus Lobau'a, bo ten dotąd nie dał ani jednego strzału; bez gwardji atoli Lobau bić się nie mógł, a gwardja mimo ożywiającego ją męztwa i poświęcenia, bijąc się cały dzień poprzedni, musiała także snem i jadłem siły swe pokrzepić. Napoleon więc rozłożył działania swe na cały dzień tak, iżby obok pośpiechu pozostawał czas i na wypoczynek. Chcąc uderzyć na Anglików, trzeba było przejść przez Quatre-Bras; z kolei więc pierwszy Ney ruszyć był winien, a ponieważ jenerał ten miał pod sobą blisko 45 tysięcy wojska do przeprowadzenia, można zatem było pewnym być, że kiedy on o godzinie 9-ej lub 10-ej z rana stanie w Quatre-Bras, łatwo było zaraz ruszyć za nim. Nadto, przybycie na skraj lasu Soignes przeciągnąć się mogło do godziny 2-ej lub 3-ej; rozpoczęcie więc bitwy po południu, w razie gdyby ją Anglicy przyjęli, nie było jeszcze niepodobnem. Jakkolwiek Napoleon nie spodziewał się, aby starcie z Anglikami mogło nastąpić po tej stronie lasu Soignes, czego właśnie mocno pragnął, wszelako przygotował on wszystko odpowiednio

temu życzeniu tak jednakże, iżby w razie przeciwnym mógł zająć Bruxellę wieczorem lub dnia następnego, co właśnie, oprócz wrażenia moralnego, dopomogłoby do odparcia Anglików i oddzielenia ich znaczną przestrzenią od Prusaków. Rozkazał więc, aby Lobau ruszył gościńcem Namurskim na Quatre-Bras, i to zaraz po przejściu Neya; za nim zaś postępować miała gwardja, a poza nią ciężka kawalerja.

Rozporządzenie to dawało dwie godziny wypoczynku gwardji i kawalerji. Co się zaś tycze wojsk Gérard'a i Vandamme'a, te jako zbyt znękane bitwą dnia poprzedniego, miały cały ranek do wypoczynku; przed udaniem się bowiem w pogoń za Prusakami, należało z pomocą jazdy ślady ich wytropić, gdyż bez tej przezorności, można było wpaść na fałszywą drogę, co lubo nie było groźnem dla konnicy, dla piechoty atoli znacznie już utrudzonej złe bardzo następstwa sprowadzić mogło.

W czasie wydawania tak niezbędnych rozkazów, hr. Flahault, opuściwszy w nocy Neya po rozprawie pod Quatre-Bras, przybył do głównej kwatery około godziny 6-ej z rana. Nie w myśli kopania dołków pod Neyem, bo męztwo tego jenerała wiązało ku niemu nawet tych, którzy sposobu jego działań nie chwalili, Flahault w rozmowie z cesarzem nie mógł powstrzymać się od czynienia uwag co do mierności wydawanych pod Quatre-Bras rozporządzeń, dodając w końcu, że owo drżenie febryczne w dniu tym Neya przenikające, wpływało szkodliwie na trafność obranych przez niego środków wojennych. Widział to Napoleon już od dnia 20 Marca, musiał jednakże używać pomocy tego dzielnego jenerała z usposobieniem w jakiem go postawiły okoliczności wyższe nad moc charakteru. Napoleon postanowił tylko mieć go zawsze przy sobie, by jak lwa rzucić tam, gdzie największe groziło niebezpieczeństwo. Pomiędzy udzielonemi szczegółami, p. de Flahault dodał ten najważniejszy, że Ney przy swej nieufności w powodzenie, wątpił także o pomyślności bitwy pod Ligny i zamiast iść naprzód, wolał raczej trzymać się odpornie pod Quatre-Bras. Uwaga ta mocno oburzyła Napoleona i wolałby aby Ney w chwili gdy o tem mówiono był już w marszu. Natychmiast więc kazał Soult'owi zawiadomić Neya, że bitwa w przeddzień stoczona była zupełnie wygraną, że zatem winien był bez straty czasu iść śmiało na Quatre-Bras, Anglicy bowiem widząc nadciągające od Namur 40 tysięcy wojska gotowego uderzyć na nich z boku, musieliby cofnąć się z swego stanowiska. W depeszy tej zalecał nadto skoncentrować wszystkie oddziały wojska, a zakończył ją lekkim wyrzutem za działania dnia poprzedniego, które miasto nadzwyczajnych spodziewanych korzyści, przyniosły je wprawdzie, ale nigdy takie, jakie można było i należało otrzymać. Jednocześnie cesarz wysłał oficerów na zwiady na trakt wiodący

z Namur do Quatre-Bras; szło głównie o przekonanie się, czy Ney był już w pochodzie i czy Wellington cofał się. Po wydaniu tych rozkazów około godziny siódmej z rana, Napoleon udał się powozem do Ligny, gdzie dosiadł konia, by zwiedzić pole bitwy, udzielić pomoc rannym, pocieszyć i wynagrodzić walecznych.

Nagrody te słusznie należały się żołnierzom, którzy wczoraj dowiedli poświęcenia bez granic i można powiedzieć, że w podobnych razach okazana wdzięczność trafnie jest pomyślaną. Żołnierze Gérard'a i Vandamme'a zajęci byli w tej chwili czyszczeniem broni, gotowaniem wieczerzy lub wypoczynkiem po tak strasznej wczorajszej walce. Lecz ujrzawszy cesarza, z okrzykami pełnemi zapału, wznosząc w górę swoje kaski i pałasze, wszyscy rzucili się ku niemu. Sam widok jego wynagradzał im przebyte znoje i niebezpieczeństwa. Chwili tej, którą wódz poświęcał na wylew i podtrzymanie tych uczuć, nie można nazwać straconą. Po oddaniu hołdu rannym i odpowiedzi na okrzyki wojska przyjaznem skinieniem ręką, Napoleon chciał jeszcze przejechać wioski Saint-Amand i Ligny. Środek pierwszej zalegała prawie równa liczba poległych Francuzów i Prusaków, lecz po drugiej stronie strumienia leżał stos samych pruskich trupów. Ci nieszczęśliwi usiłując upornie odzyskać Saint-Amand, ciałami swemi zawalili wszystkie wejścia do wsi. W tyle na stoku do młyna Bry, artylerja gwardji strzelając z ukosa na rezerwy pruskie, pokryła ziemię trupami ludzi i koni, lawetami, działami, co wszystko dla zwycięzców zadowalniający, ale dla ludzkości straszliwy przedstawiało widok. Widok Ligny bardziej jeszcze przerażał. Tu bój toczył się w samej wsi; tu walczono pierś o pierś z całą wściekłością wojen domowych. Stosunek poległych Francuzów i Prusaków był równy; oko nic prócz trupów nie spotykało, bo mieszkańcy wioski albo poopuszczali swoje siedziby lub pochowali się do piwnic. Jedynemi tu istotami żyjącemi na tym nowym cmentarzu, było kilku jęczących rannych. Minąwszy Ligny, przy wjeździe na wzgórze, na którém gwardja cesarska przechyliła zwycięztwo, zaścielali ziemię sami prawie polegli Prusacy; porównywając liczbę tych smutnych szczątków, można powiedzieć, że przypadał jeden Francuz na trzech zabitych Prusaków. Słowem, nie będzie w tém żadnej przesady, gdy powimy, że jeżeli w bitwie tej Francuzi utracili 9 tysięcy ludzi, Prusacy, nie licząc rozproszonych, utracili ich 18 tysięcy. W niewolę pruską dostali się tylko ranni i może tysiąc lub dwa maruderów zabranych przez kawalerję. Trzydzieści dział stało się łupem Francuzów.

Napoleon rozkazawszy zebrać o ile można było jak najwięcej rannych Francuzów, w czem chłopi belgijscy z skwapliwością dopomagali,

kazał także zabrać kilku oficerów pruskich, których liczba poległych i rannych, w stosunku do ich żołnierzy, znacznie była większą. Dzielni ci oficerowie opłacili krwią namiętne swe uniesienia. Napoleon tonem pełnym szlachetności przemówił do nich zapewniając, że jakkolwiek Prusacy nienawidzą Francji, ona w tym razie wzajemną nie odpowie im nienawiścią; że jeżeli Francja uciskała ich w czasie ostatnich wojen, było to tylko odwetem za napaść w 1792 r., za konwencję w Pilnitz, za manifest Brunświcki i za wojnę w 1806 r., że zresztą dość już pomścił się za to w 1814 r., czas zatem położyć kres tej krwawej zemście; jego więc staraniem będzie trwałym pokojem zakończyć te rozterki, na dowód czego polecił, aby o nich takie miano staranie, jak o oficerach własnej jego gwardji. Słowa te przetłomaczone na niemiecki, ranni Prusacy dobrze przyjęli; cesarz odjeżdżając pożegnał ich, a oni wzajemnie aż słabemi rękami wojskowy hołd mu oddali. Scena ta powtórzona w dziennikach, przyczyniłaby się niezawodnie do uciszenia namiętności niemieckich, gdyby zwycięztwo pozostało wiernem Francji jeszcze przez 24 godziny.

Stanawszy pod Bry, Napoleon zsiadł z konia oczekując na rezultat wysłanych zwiadów ku Quatre-Bras. Przy zwykłej sobie swobodzie umysłu, cesarz rozmawiał z jenerałami o rozmaitych przedmiotach, o wojnie, polityce, stronnictwach rozdzielających Francję, rojalistach, jakobinach, kontent, o ile się zdawało, z wypadków dwóch dni poprzednich, a ożywiony nadzieją otrzymania większych jeszcze w następstwie powodzeń. Podczas tej rozmowy przybył wreszcie jeden z wysłanych pod Namur oficerów donosząc, że nigdzie Neya, a tylko Anglików w tej stronie spotykał. Wiadomość ta żywe obudziła w cesarzu nieukontentowanie; natychmiast więc wysłał nowy rozkaz, zalecając, aby marszałek posuwał się naprzód nie zważając na Anglików, na których w razie oporu uderzyć można było z boku, jenerałowi zaś Lobau polecił przyśpieszyć pochód na Quatre-Bras i śpiesznie wyprawił gwardję. Sam zaś gotował się do wyjazdu, by obrotami kierować. W tem odbiera raport jenerała Pajol, donoszący, że już od świtu ugania się za Prusakami. Raport ten, w treści swej dość szczególny, zawiadamiał, że zabrano wielu zbiegów i armaty od strony Namur czyli w kierunku do Liège. Miarkując z tych danych, można było wnosić, że Prusacy zdążali do Renu, i że pozostawiając Anglików opartych o morze, mieli zamiar prowadzić dalej kampanję łącznie z Austrjakami i Rossjanami. W postanowienie to atoli Napoleon nie uwierzył. Znając Blücher'a domyślał się, że zamiarem jego jest z tej lub z drugiej strony lasu Soignes połączyć się z Anglikami, z czego wynika, że wypadało Prusaków szukać w stronie Wavre. Jednakże, tak w wojnie,

jak i w polityce nie należy niewolniczo wierzyć w przypuszczenia, i obok zachowania dla nich pierwszeństwa, potrzeba zawsze zwracać myśl na wszelkie ewentualności. Tak też uczynił Napoleon. Marszałkowi Grouchy, obok niego wtedy stojącemu, dał ustną instrukcję zalecającą ścigać Prusaków na przebój, nie dać im wytchnienia, a nadewszystko nie tracić ich z oczu, i tak obroty swoje kierować, aby pozostać w związku z wielką armją, a zawsze pomiędzy nią a Prusakami. Rozkaz ten, trzeba przyznać, przeraził Grouchy'ego; widząc się bowiem pozostawionym własnym siłom w tak ciężkich okolicznościach, objawił swój żal cesarzowi nie tając, jak trudnem dlań będzie odgadnąć drogę w którą zwrócili się Prusacy. Na co Napoleon odrzekł, że mając wielki trakt od Namur do Bruxelli wiodący, nie trudno mu będzie komunikować się zawsze z główną kwaterą, od której zawsze będzie w możności odbierania rozkazów, że zresztą co się tycze raportu Pajol'a, ten jakkolwiek niejakie budził niepewności, dość było przecież wysłać oddział jazdy na Wavre z jednej, a na Namur z drugiej strony, aby zmiarkować jak sobie postąpić należało. W końcu siadając na konia, Napoleon rzekł doń tonem dość naglącym: *Nadewszystko pędź przed sobą Prusaków, a lewem skrzydłem łącz się zawsze ze mną.* Posłuszny tym rozkazom Grouchy wyruszył natychmiast, a pierwszem staraniem jego było pobiedz na drogę Namurską, na której Pajol miał zabrać działa i maroderów. Napoleon oddał mu pod rozkazy Gérard'a (4-ty korpus) zredukowanego do 12 tysięcy, Vandamme'a (3-ci korpus) z 13 tysiącami, Pajol'a z 1,800 i Exelmans'a z 3,200 ludźmi. Pozostawił mu nadto dywizję jenerała Teste, oddzieloną od korpusu Lobau z 3 tysiącami piechoty. Ogólna więc liczba walczących pod jego dowództwem wynosiła 33 tysiące, nie licząc w to dywizji Girard'a, która utraciwszy wszystkich swoich jenerałów, miała zaledwie 2,500 ludzi. Przeznaczeniem więc tej ostatniej było stać na tyłach dla wypoczynku, zajmować się rannymi i strzedz Charleroy, na co Grouchy nie potrzebował już oddzielnej zostawiać załogi.

Napoleon łącznie z Ney'em, Lobau (zmniejszonym do dwóch dywizji), gwardją, kiryssjerami Milhaud'a i dywizją Subervic'a odciętą od Pajol'a, prowadził 70 tysięcy ludzi. Siły te byłyby dostateczne do rozprawienia się z Anglikami, gdyby wielki błąd lub jakiś fatalizm nie postawił go w konieczności walczenia z dwoma armjami. Z 36 tysiącami pod Grouchy'm (licząc w to i dywizję Girard'a), z 4 tysiącami ludzi przy artyllerjyskich parkach i pociągu, Napoleon miał jeszcze do rozporządzenia 110 tysięcy żołnierza, czyli mniej o 14 tysięcy w skutku strat poniesionych w wielu potyczkach i dwóch bitwach. Prusacy i Anglicy, którzy w zabitych, rannych i rozproszonych stracili 30 do 40 tysięcy ludzi, mo-

gli bez wątpienia bardziej na ostatnie wypadki utyskiwać, w ogóle bowiem wypadek wojny przechylał się korzystnie na stronę francuzką, i dość było jednego pomyślnego dnia do osiągnienia stanowczych rezultatów.

Około godziny jedenastej z rana Napoleon opuścił wzgórza Bry i galopem popędził na gościniec Namurski, by obaczyć co się tam działo. Tu zastał już gwardję gotową do opuszczenia biwaków i Lobau'a w pełnym marszu ku Quatre-Bras, a nawet już w Marbais. Przybywszy w to ostatnie miejsce Napoleon dostrzegł jak Anglicy rozwijali już łańcuch swoich tyraljerów na gościńcu; o ile jednak wnosić można było, jeszcze oni dotąd nie opuścili Quatre-Bras, co dowodziło, że Ney żadnych dotąd przeciw nim kroków nie rozpoczął. W miarę atoli posuwania się, można było rozpoznać, że Anglicy cofali się na widok piechoty francuzkiej, którą z punktu górującego ponad Quatre-Bras mogli odkryć w pełnych kolumnach stojącą na szossę ku Namur. Z lewej strony od Frasnes, dawały się jeszcze dostrzegać czerwone mundury, co jeżeli nie wzniecało niepokoju, stawiało wszelako w dziwnej niepewności. Lecz dla czego Ney po tylokrotnie otrzymanych rozkazach i zapewnieniach pomocy, dotąd jeszcze nie wyruszył, a nadewszystko dla czego otoczony był Anglikami, była to tajemnica, która jednakże wkrótce dała się wyjaśnić. Oto, owi mniemani Anglicy, byli to czerwoni ułani gwardji, którzy poznani z bliska przez podjazdy lekkiej kawalerji wszelką obawę rozproszyli. Mimo to żaden jeszcze pułk Neya nie ruszył z miejsca. W pobliżu widziano hr. d'Erlon, który nie biorąc udziału w walce dnia poprzedniego i mając tem samem wojska wypoczęte, zajął najdalsze pod Quatre-Bras stanowisko. Napoleon posłał mu rozkaz iść natychmiast naprzód i sam ruszył za cofającymi się Anglikami. Pochód ten atoli nie dał się szybko wykonać, wojsko bowiem jedną tylko miało do przejścia drogę, a przeprawienie 70 tysięcy ludzi przez most pod Genappe położony na gościńcu bruxelskim, wymagało przynajmniej trzy godziny czasu. Jednakże gdyby nie ta niepogoda, nie trudno byłoby stanąć na godzinę czwartą pod lasem Soignes czyli na wprost Mont-Saint-Jean, a tem samem stoczyć bitwę w czasie pomiędzy godziną czwartą a dziewiątą. Lecz na nieszczęście, niebo zaczęło zasępiać się chmurami i grozić jedną z tych burz letnich, co częstokroć w jednej chwili psują i czynią drogi nie do przebycia. Zresztą Napoleon nie spodziewał się doścignąć Anglików za dnia, bitwę więc z tej strony lasu Soignes uważał jako zawisłą tylko od ich woli, w czem właśnie zbytniej nadziei nie można było pokładać. Gdyby nawet zdecydowali się na przyjęcie walki, w takim razie wstrzymaliby się w marszu, a wtedy spotkanie z nimi nie tego dnia lecz nazajutrz miałoby

miejsce, co nawet dla wojsk było pożądanem. Pomiędzy Marbais a Quatre-Bras, lekka jazda wysłana przez pole w kierunku na prawo, widziała zboża zdeptane przechodem licznych wojsk, co przekonywało, że korpus pruski udał się drogą na Tilly ku Wavre wzdłuż rzeki Dyle. Ślad ten znosił przypuszczenie o cofaniu się Prusaków do Renu. Napoleon nie mając na ten raz przy sobie Soult'a, wysłał Bertranda do marszałka Grouchy z wskazaniem pewniejszego kierunku, niż oznaczony mu ustnie przed dwiema godzinami. Rozkazał mu zwrócić się do wsi Gembloux położonej na drodze do Wavre, a która miała za sobą tę korzyść: że ją stara droga rzymska łączyła z Namur i Liège. Nadto polecił mu pilnie badać wszelkie punkta i nie tracić z oczu Prusaków, którzy mogą powziąć zamiar oddzielenia się od Anglików dla dojścia do brzegów Renu lub złączenia się z nimi, by stoczyć walkę w okolicach Bruxelli; słowem, zalecał iść w ślad za nimi dla przeniknienia rzeczywistych ich zamiarów, mieć całe swe siły zebrane zawsze na przestrzeni jednej mili francuzkiej i rozciągnąć łańcuch posterunków dla utrzymania ciągłych z główną kwaterą stosunków.

Pod Quatre-Bras Napoleon zjechawszy się z Neyem, usłyszał z ust jego powody nowych wahań tego poranku. Dotknięty żywo wypadkami dnia poprzedniego, marszałek nie śmiał iść naprzód, w tem będąc przekonaniu, że go gniecie cała armja angielska i nie uczynił ani kroku, dopóki nie ujrzał Anglików cofających się przed hr. Lobau. Jak mógł uniewinniał się z swej opieszałości. Napoleon zaś nie chcąc go bardziej jeszcze pognębiać, poprzestał na uczynieniu kilku uwag, wypowiedzianych bez żadnej wszakże goryczy. Mimo to żołnierze, którzy w przezorności swej widzieli, że było co do naganienia temu *najwaleczniejszemu z walecznych*, opowiadali między sobą, że *czerwony*, jak zwykli nazywać marszałka, dostał od cesarza tęgą burę. Z niecierpliwością Napoleon oczekiwał na przejście wojsk pod Quatre-Bras, co nie skończyło się do godziny trzeciej.

W tym prawie czasie, niebo gęstemi zakryte chmurami, rzęsistym lunęło deszczem tak, iż wkrótce potoki wód zalały pola okoliczne. W jednej prawie chwili kraj ten zamienił się w obszerne bagno, niepodobne do przebycia dla ludzi i koni. Wojska rozmaitej broni zmuszone były stanąć na drogach bitych wiodących do Namur i Charleroy, łączące się w jeden gościniec pod Quatre-Bras. Niebawem powstał ztąd straszny nieład; żołnierze różnych pułków szli w chaotycznem pomieszaniu. Przykry ten widok nasuwał żal za zwłoką w poranku dnia tego dopuszczoną, bo gdyby wojska wyruszyły o trzy godziny wcześniej, straszny wylew wód tamując obroty wojenne, byłby znów obrócił wypadek bitwy na korzyść

Anglików, którzy wtedy mając na celu zajęcie dobrej pozycji pod Mont-Saint-Jean, odnieśliby całą korzyść z utrudnionego ataku.

Wojska posuwały się w następnym porządku: lekka jazda Subervic'a, kiryssjery Milhaud'a z kilkoma baterjami artyllerji konnej, piechota d'Erlon'a, Lobau'a, kiryssjery Kellermann'a, gwardja i nakoniec korpus Reille'a, który najwięcej ucierpiawszy pod Quatre-Bras, wypoczywał przez cały poranek po przykrej dla niego walce. Napoleon szedł z przednią strażą i sam nią kierował. Trzeba było przejść miasteczko Genappe i rzekę Dyle. Anglicy ustawiwszy swoją jazdę w tyle, powstrzymywali trafnemi napadami pochód francuzkiej armji, ile tylko razy położenie na to zezwalało. W miarę zbliżania się do Genappe, pole się zniża, a podnosi się zaraz za rz. Dyle, co stawiało Francuzów wprost tylnej straży angielskiej mocno niepokojonej awangardą francuzką. Napoleon kierując sam wszelkiemi poruszeniami wśród ulewnego deszczu, kazał ustawić 24 działa i strzelać na oślep na cofające się kolumny. Anglicy usiłujący jak najśpieszniej oddalić się, nie odpowiadali na strzały, których ciosy robiły znaczne luki w ich szeregach. Jak skoro wojska zaczęły wychylać sie z Genappe, huzary angielskie rzuciły się na naszą jazdę, lecz niebawem odparci zostali szarżą ułanów. Z kolei znów lord Uxbridge na czele gwardji konnej natarł na naszych ułanów i zmusił ich cofnąć się, ale kiryssjery francuzkie wpadłszy na tę gwardję, znów ich do ustąpienia zmusili. W kilka chwil cała droga pokrytą była ciałami zabitych i rannych, po większej części cudzoziemców. Działa nasze zasłały ziemię szczątkami ludzi, których widok wstrętem przejmował. W tych kilkokrotnych utarczkach, jenerał Sourd, ten wzór waleczności, istotną okrył się chwałą. Z obciętem prawie do połowy ramieniem, mimo wszelkich przełożeń, pozostał na koniu, i wtedy dopiero zsiadł z niego, kiedy trzeba było poddać się amputacji; lecz zaledwie ta się ukończyła, dosiadł znów konia i nie zsiadł z niego aż pod murami Paryża.

Napoleon w pośród tych szarż jazdy nie przestawał ani na chwilę kierować sam awangardą. Pochód atoli był zbyt powolny, bo tak Anglicy jak i Francuzi musieli ustępować przed gwałtownością rozpasanych żywiołów. Deszcz pomimo kilkogodzinnej ulewy, nie ustawał; wojska nasze w opłakanym ujrzały się stanie. Ponieważ droga bita na pomieszczenie wszystkich pułków nie wystarczała, piechota więc musiała ustąpić miejsca artyllerji i konnicy, a schodząc na prawo i na lewo gościńca, lgnęła po kostki w rozmiękczonej glinie pól belgijskich. Porządku w szeregach trudno było utrzymać, każdy szedł jak chciał i mógł posuwając się wzdłuż kolumn jazdy i artyllerji na szossę stojących. Niedola ta skutkiem nieustającego deszczu i zbliżającej się nocy wzrosła bardziej ku

końcowi dnia. Serca wszystkich ścisnęły się upatrując w tem zagniewaniu nieba przepowiednią bliskiej klęski. Gdyby przynajmniej można było przewidzieć, że opłakany ten pochód uwieńczony będzie spotkaniem się z Anglikami na polu sposobnem do stoczenia walki, mającej zakończyć długie dwóch narodów niesnaski; lecz kto mógł wiedzieć, czy Anglicy nie schronią się właśnie w głębinę lasu Soignes i nie złączą się z Prusakami poza gęstą jego zasłoną.

W liczbie rannych nieprzyjaciół znajdował się oficer z rodziny lorda Elphinston; Napoleon, przyjąwszy go z całą względnością, pytał w nadziei zbadania tajemnych zamiarów Wellingtona, które mu świadomemi być mogły. Oficer odpowiadając z całą godnością, oświadczył cesarzowi, że jakkolwiek dostał się w moc Francuzów, nie zdradzi jednak kraju w widokach polepszenia swego losu. Napoleon szanując te uczucia, polecił p. de Flahault otoczyć go staraniami, jakieby się tylko należeć mogły zasłużonemu Francuzowi. Mimo to o zamiarach armji brytańskiej, nic lub bardzo mało dowiedział się od niego. Przy schyłku dnia, idąc wzdłuż traktu bruxelskiego przez pola wodą zalane, wojsko stanęło wreszcie na wyniosłości z której oko objąć mogło całą okolicę. Była to więc owa sławna pozycja pod Mont-Saint-Jean, przed którą w dali rysowała się na horyzoncie ciemno-zielona wstęga lasu Soignes. Anglicy wcześniejszym swoim pochodem zyskali czas na usadowienie się poza tą pozycją, której wzgórzystość oszczędziła wiele tych przykrości, jakie armja francuzka poniosła i gdzie służba ich prowiancka przygotowała im obfitą żywność. Rozłożeni na przeciwnym stoku wzgórza Mont-Saint-Jean, Anglicy zaledwie mogli być widziani. Oprócz tego, gęsta mgła po deszczu pola osłaniająca, przyśpieszyła zmrok nocny o dwie godziny. Nie można było nic rozeznać, Napoleon więc w przykrej postawił się niepewności, bo gdyby Anglicy puścili się w las Soignes chcąc go przejść nocą, łatwo złączyliby się z Prusakami poza Bruxellą, a wtedy plan potykania się z nimi oddzielnie, dotąd tak szczęśliwie osnuty, rozchwiaćby się musiał. W istocie, niepodobna było iść za Bruxellę i szukać tam walki z 200 tysiącami mężnych i roznamiętnionych wrogów, mając zaledwie 100 tysięcy żołnierza, walecznego wprawdzie, ale stawającego tylko w stosunku jak jeden do dwóch, tem więcej, gdy o 150 mil francuzkich ztąd posuwała się kolumna Austrjaków i Rossjan. Takim dręczony niepokojem, Napoleon rozkazał rozstąpić się kiryssjerom Milhaud'a i dać ognia ze wszystkich dział. Gdy rozkaz ten spełniono, Anglicy odkrywszy również 50 swoich dział, zasypali kulami dolinę ich oddzielającą. Wtedy cesarz zsiadłszy z konia, w towarzystwie dwóch czy trzech oficerów, poszedł dla zbadania obranego przez armję brytańską stanowiska. Co chwila wi-

dział jak ciężkie kule zapadając w błoto, pryskały niem na wszystkie strony. Widok ten uciszył nieco jego niepokój, albowiem owa szybka i rozległa kanonada dawała tę pewność, że to nie było działanie prostej arjergardy ustawionej na zakręcie drogi dla opóźniania pochodu nieprzyjaciela, lecz całej armji zasłanianej ogniem wszystkiej swojej artyllerji. Nie było więc prawie wątpliwości, że przyjdzie do bitwy. W sercu cesarza, tylą dręczonem niepokojami, powstała teraz nowa niepewność o los samej bitwy. Była to troska, której najsilniejszy umysł oprzećby się nie mógł! Mimo to, Napoleon taką pokładał ufność w swojej taktyce i męztwie żołnierzy, że nie żądał nic więcej od Opatrzności, jak tylko bitwy, pewnym będąc, że ją zupełne uwieńczy zwycięztwo.

Tak upewniony o obecności Anglików, Napoleon rozkazał jenerałowi Milhaud cofnąć swoich kiryssjerów, chcąc im dać chwilę spoczynku dla nabrania sił na straszliwy dla nich dzień następny. Sam zaś pozostawiwszy cały sztab za sobą, zaczął pieszo obchodzić wzgórze zajęte od Anglików. Długo tak przechadzał się w towarzystwie wielkiego marszałka Bertranda i pierwszego pazia Gudin, usiłując zdać sobie rachunek z pozycji, która wkrótce miała być zroszoną krwią tylu walecznych. Co krok lgnął w błocie opierając się już to na ramieniu Bertranda, już młodego Gudin'a, zwracając często na nieprzyjaciela małą swą lunetę. Obojętny na padające w około niego pociski, nagle zwrócił uwagę na siedmnasto-letniego przy swym boku pazia, którego ojciec, tyle mu niegdyś drogi, skończył śmiercią walecznych pod Valoutina.—Mój przyjacielu, rzekł do niego, nigdy jeszcze nie byłeś na takiej uczcie. Przykre zaiste twoje pierwsze wystąpienie, ale za to prędzej się wykształcisz.—Młodzieniec ten, godny syn takiego ojca i wielki marszałek Bertrand, zajęci byli jedynie swoim panem; zresztą nie wolno było nikomu wyrazić obawy, choćby nawet o niego samego. Rekonesans ten wykonany w grzązkiem błocie, piechotą, pod świszczącemi ponad głową kulami, trwał blisko do godziny dziesiątej wieczór. Napoleon, który nic napróżno nie robił, przedłużał te zwiady jedynie dla przeświadczenia się na własne oczy w jakim szyku stoją obozy angielskie. Wkrótce horyzont zajaśniał tysiącem ogni rozpalonych drzewem z lasu Soignes. Anglicy równie jak Francuzi przemokli użyli wieczoru tego na obsuszenie się i warzenie jadła. *Horyzont*, jak to Napoleon sam tak szczytnie opisał, *wydał się być jednym wielkim pożarem*, a te ognie zapowiadające mu zwycięztwo, wywołały w nim zadowolenie, niestety, bardzo zwodnicze!

Wsiadłszy na konia, Napoleon wrócił do folwarku *du Caillou* swojej głównej kwatery. Zaraz zapowiedział nazajutrz stanowczą bitwę, która, według słów jego, miała ocalić lub zgubić Francję. Jenerałom

swoim zalecił poczynić stosowne przygotowania. Najważniejszem ze wszystkich rozporządzeń było wysłanie rozkazów do marszałka Grouchy szło bowiem o to, aby w tak ważnych okolicznościach nie pozwolić mu błąkać się bezużytecznie, a ponieważ on znajdował się o 4 lub 5 mil francuzkich, trzeba więc było bezzwłocznie udzielić mu instrukcje, aby go takowe doszły w właściwym czasie. Około godziny dziesiątej Napoleon wysłał je określające wszechstronnie całe położenie.

Obowiązkiem marszałka Grouchy było nieustannie naglić Prusaków, razić do ostatka, baczyć na ich zamiary, trzymając się zawsze pomiędzy nimi i Anglikami, jakby jaki mur nieprzebyty. W takiem położeniu czegóż się można było spodziewać? Prusacy, wnosząc z zabranych dział i zbiegów na drodze Namurskiej, mogli doszedłszy do Liège złączyć się nad Renem z innemi sprzymierzonemi armjami lub idąc na Gembloux i Wavre dosięgnąć gościńca przecinającego wschodni skraj lasu Soignes, a tem samem połączyć się z Anglikami z drugiej strony Bruxelli. Nareszcie, mogli oni także zatrzymać się w Wavre, wzdłuż rz. Dyle, w zamiarze złączenia się z wojskiem angielskiem po tej stronie lasu. Wszystkie te przypuszczenia, a nawet to ostatnie, nie byłyby zatrważającemi, gdyby tylko marsz. Grouchy nie tracił głowy i zachował zwykłą sobie przytomność. Wydane na te rozmaite wypadki instrukcje, z samej natury rzeczy wypływały i Napoleon który je zawsze z tego wątku wysnuwał, nakreślił je z całą dokładnością. Jeżeli Prusacy, tak brzmiała wysłana do marszałka depesza, zwrócą się ku Renowi, wtedy dość będzie pozostawić na straży tysiąc koni dla pewności, że się na nas nie zwrócą. Jeżeli zaś udadzą się przez Wavre ku Bruxelli, dość będzie także wysłać za nimi tysiąc koni; w obu zaś tych razach należy z resztą wojska zwrócić się ku cesarzowi, by całą siłą zgnieść Anglików. Gdyby nakoniec Prusacy zatrzymali się z tej strony lasu Soignes, pod Wavre lub gdzieindziej, wtedy Grouchy winien był, środkowe pomiędzy nimi a armją cesarską zająwszy miejsce, zatrudniać ich, wstrzymywać i zresztą oddzieliwszy 7 tysięcy ludzi uderzyć z boku na lewe skrzydło Anglików. Instrukcje te nie mogły być innemi, choćby je nawet nie tak wielki i pewny siebie genjusz dyktował. Zostawić niejakie straże dla śledzenia czy Prusacy pójdą nad Ren czy ku Bruxelli, a w każdym razie złączyć się z Napoleonem całem skrzydłem prawem, lub zatrudnić ich w razie zatrzymania się pod Wavre i nie dopuścić do wzięcia udziału w straszliwym pojedynku pomiędzy armją francuzką a angielską odbyć się mającym; nareszcie odkomenderować 7 tysięcy żołnierza, by uderzyć z tyłu na Anglików, oto całe instrukcje samem położeniem wojsk spowodowa-

ne. Że depesze te mogły przyjść na czas i być wykonane, o tem wątpić nie należało. Była blisko dziesiąta godzina wieczór: przypuszczając, że oficer z niemi wysłany wyjechał dopiero o godzinie jedenastej, mógł on je dowieść najdalej na godzinę drugą po północy do Gembloux, gdzie jak się spodziewano stał Grouchy. Od folwarku Caillou do Gembloux, jadąc szossą Namurską, a od Sombreffe drogą na Wavre, nie było więcej jak siedm lub ośm mil francuzkich; wprost zaś jadąc zaledwie pięć mil liczono. Jeździec na dobrym koniu mógł drogę tę przebyć w trzy godziny. Otrzymawszy te rozkazy o godzinie drugiej, Grouchy mógł wyruszyć z Gembloux o czwartej i być już bliskim Napoleona w chwili otwarcia boju; bo czyby pozostawił Prusaków zmierzających do Renu lub Bruxelli, czyby szedł za nimi na Wavre i wyprawił oddział na Mont-Saint-Jean, zawsze nie miałby więcej jak pięć lub sześć mil do przebieżenia z swoim korpusem. Po wysłaniu tych rozkazów Napoleon spoczął nieco, jak to zwykł był czynić przed każdem spełnieniem ważnych operacji. Spał on snem głębokim w wilją dnia najstraszniejszego w swem życiu i najniepomyślniejszego za jego czasów dla Francji.

Postawa wodzów nieprzyjacielskich była prawie taka, jaką sobie życzył Napoleon dla stoczenia z nimi jeszcze jednej bitwy. Lord Wellington wieczorem po bitwie pod Quatre-Bras, zatrzymał się w Genappe, głównej swej kwaterze. Nie otrzymując żadnej wiadomości od Blüchera, bądź w skutku niezadowolenia, że go nie dość czynnie wspierał, bądź w skutku słabości upadkiem z konia spowodowanej, wódz angielski domyślał się porażki Prusaków, a to tem bardziej gdy zewsząd, już to pod Quatre-Bras, już na szossę Namurskiej, ukazywały się posterunki francuzkie. Gdyby Francuzi nie odnieśli zwycięztwa, w takim razie musieliby się cofnąć, a wtedy nie mogliby tak daleko posuniętej zajmować pozycji. Książę Wellington więc postanowił cofnąć wojska ku Mont-Saint-Jean, na skraj lasu Soignes, z postanowieniem przyjęcia bitwy w tem stanowisku, które wszechstronnie wpierw już zbadał, w przewidywaniu obronnej walki pod murami Bruxelli, dla zachowania Hollandji. Wszelako, jakkolwiek stanowisko jego było korzystnem, nie chciał on jednak stawać do boju bez spółudziału Prusaków. W tym celu wysłał do marszałka Blücher oficera z zapytaniem, czy może liczyć na jego pomoc.

Gdy się to dzieje na stronie angielskiej, sędziwy a niezłomny Blücher, jakkolwiek bardzo pognębiony pod Ligny, nie uważając się za pokonanego, zamierzał nazajutrz lub w dniu następnym stanąć raz jeszcze do boju, jak skoro przyjazna ku temu nastręczy się pora. Daleki od chęci unikania teatru wojny i posuwania się ku Renowi, postanowił raczej stać w miejscu i nie cofać się dalej jak do lasu Soignes, by tu sam czy

z pomocą Anglików raz jeszcze stoczyć bitwę i to nie z tamtej, ale z tej strony Bruxelli. Tym celem dwoma kolumnami oparł się o Wavre, przyłączywszy 4-ty korpus Bülow'a, będący w marszu w czasie boju pod Ligny. Ziethen i Pirch 1-szy, którzy się bili pomiędzy Ligny a St. Amand i dalej byli posunięci na drodze z Namur do Quatre-Bras wiodącej, cofnęli się w nocy z dnia 16 na 17 idąc przez Tilly i Mont-Saint-Guibert ponad prawym brzegiem rz. Dyle. Thielmann, który w pochodzie swoim nie przekroczył jeszcze Sombreffe, cofnął się także drogą od Gembloux, by połączyć się z Bülow'em zmierzającym od Liège. Wszyscy więc uszykowali się w około Wavre przy schyłku dnia 17-go, jedni wpierw, drudzy później, jedni z tej, drudzy z tamtej strony rzeki Dyle. Resztę dnia obrócił na danie spoczynku żołnierzom, na dostarczenie im żywności, na zaopatrzenie w amunicję i na zgromadzenie rozproszonych niedobitków, których jazda francuzka mogłaby tysiącami zabierać, gdyby obroty jej były trafniejsze. Uwiadomiony o zamiarach Wellingtona, odpowiedział, że w dniu 18 stanie w Mont-Saint-Jean w nadziei, że jeżeli Francuzi nie uderzą nań tegoż dnia, on ich zaatakuje w dniu 19. Ileż to szlachetnego i patrjotycznego zapału w siedmdziesięcio-trzy letnim starcu!

Obaj więc nieprzyjacielscy wodzowie postanowili wystąpić do boju w dniu 18 z tej strony lasu Soignes, jeżeli tylko Francuzi zostawią im czas i środki do połączenia się z sobą.

Spełnienie tej missji, to jest niedopuszczenie zjednoczenia się tych dwóch przeciwników należało do marszałka Grouchy. Rzućmy tylko okiem na kartę kraju, a obaczymy, jak zadanie to łatwem było do wykonania, jakkolwiek Grouchy z 33 tysiącami żołnierza stał naprzeciw 88 tysięcy Prusaków. Napoleon owładnąwszy wielki trakt pomiędzy Namur a Quatre-Bras, czyli drogę którą Anglicy z Prusakami mogli się połączyć zmuszał tem samem nieprzyjaciół do cofania się jednych przez Mont-Saint-Jean, drugich przez Wavre. Obie te drogi przeciąwszy rozległy las Soignes, otaczający Bruxellę od strony południowo-zachodniej i północno-wschodniej, łączą się z sobą pod Bruxellą. Napoleon prąc Wellingtona pod Mont-Saint-Jean, a Grouchy który także winien był przeć Blüchera pod Wavre, szli, mierząc wprost, nie więcej jak o cztery mile francuzkie jeden od drugiego. Grouchy więc dla złączenia się z Napoleonem, nie miał dłuższej do przebycia drogi, jak Blücher dla połączenia się z Wellingtonem. Nadto, Grouchy po rozmowie z Napoleonem i otrzymaniu poleceń odnoszenia się we wszelkich razach do niego, jeżeli tylko nie stracił z oczu śladu Prusaków, powinien był otrzymać jeden z tych dwóch rezultatów: albo zająć pozycję pomiędzy nimi a Napoleonem i tem

samem opóźnić ich przybycie dopóki cesarz nie pobije Anglików, albo jeżeli już nie mógł wstrzymać ich pochodu, uderzyć na nich z boku w chwili, w którejby usiłowali połączyć się z Wellingtonem. Lecz nie spotkać, nie widzieć ich nawet na tak małej przestrzeni, rzecz to niepojęta, jakiś fatalizm, trudny nawet do przypuszczenia. Dla rozgraniczenia sobą Prusaków od Anglików, Grouchy miał pozycję najprzyjaźniejszą. Rzeczka Dyle, mała wprawdzie, ale z wybrzeżami łatwemi do obrony, płynąc od Genappe ku Wavre, przedzielała Napoleona od Grouchego, podobnież jak i Wellingtona od Blüchera. Aby spełnić dosłownie dane sobie instrukcje zalecające utrzymanie ciągłej z główną kwaterą kommunikacji swojem lewem skrzydłem, Grouchy mógł przejść rzekę Dyle, a tem samem przegrodzić się nią od Prusaków i bronić im przejścia, by nie dopuścić do Mont-Saint-Jean; w razie gdyby im udało się wpierw przeprawić się, wypadało uderzyć na nich z boku i nie dopuścić złączenia się z Wellingtonem. Przewaga zwycięztwa odniesionego pod Ligny niespodziane natarcie z boku, dostatecznemi były do zrównoważenia sił tak, iż Grouchy jeśli nie odniósłby zwycięztwa, to przynajmniej zatrudniłby Prusaków, a tem samem opóźnił ich przybycie na czas pod Waterloo.

W istocie, aby nie stracić czasu i należycie iść za poruszeniami Prusaków, potrzeba było znać lub przynajmniej domyślić się w jakim oni idą kierunku, aby tem samem nie opóźnić się w ich ściganiu. Wprawdzie przypuszczenia mogły tu być rozmaite, lecz Grouchy mając do rozporządzenia 13 pułków jazdy i niewielką przestrzeń do przebycia, łatwo mógł sprawdzić istotne położenie rzeczy i wynagrodzić czas stracony na bezowocnych poszukiwaniach. Gdyby pokonani pod Ligny Prusacy cofali się ku Renowi, dość byłoby wtedy pozostawić za nimi oddział jazdy i już się o nich więcej nie troszczyć; przeciwnie, gdyby szli na Wavre dla stoczenia walki z tej lub z tamtej strony lasu Soignes, w tym razie pozostawałyby im do wyboru dwie drogi: jedna przez Tilly i Mont-Saint-Guibert, druga przez Sombreffe i Gembloux, obie łączące się pod Wavre. Trzy podjazdy wysłane jeden na Namur a dwa pod Wavre, mogłyby go w kilka godzin o istotnem położeniu przekonać, tak iż Grouchy, z którym Napoleon rozstał się o godzinie jedenastej z rana, już o trzeciej lub czwartej po południu wiedziałby co czynić, czy pomiędzy godziną czwartą a dziewiątą podstąpić pod Wavre, czyli też, co byłoby lepszem, stanąć na lewym brzegu Dyle, by w bliższych z cesarzem pozostawać stosunkach.

Z tego wszystkiego marszałek Grouchy nic w ciągu dnia nie uczynił. Polegając na zajmowanem przez siebie stanowisku, a nie bacząc na

ogólny kierunek działań, dowiódł zupełnego braku przezorności, jakiej spodziewać się należało po dowódzcy stojącym w przedniej straży całej armji. Nie wysławszy więc żadnego podjazdu na lewo z Tilly ku Mont-Saint-Guibert, czyli na drogę, którą udał się Ziethen i Pirch 1-szy, ani na prawo w kierunku Gembloux i porzuciwszy Napoleona pod Sombreffe, pobiegł jak szalony pod Namur, gdzie jak mu powiedziano, Pajol miał zabrać dużo dział i niedobitków pruskich.

Dążąc tak niebacznie w tę stronę, dowiedział się, że konnica jego wysłana ranem na zwiady, widziała Prusaków w znacznej liczbie od Gembloux jakoby pod Wavre posuwających się. Wręczona w tymże czasie przez wielkiego marszałka depesza Napoleona z Marbais wysłana, dawała też same informacje; bez namysłu więc Grouchy biegł na Gembloux, rozkazując piechocie za nim podążać. Piechota złożona z korpusów Vandamm'a i Gérard'a wprawiona została w ruch około godziny trzeciej lub czwartej po południu. Wprawdzie zwłoką tą po trudach dnia wczorajszego, zyskała ona wypoczynek, wszelako lepiej ją było wysłać od południa na Gembloux, gdzie zajęłaby odpowiedniejszą na wszelkie wypadki pozycję, tu bowiem piechota miałaby przed sobą prostą drogę do Wavre i komunikację z miastem Liège stary m rzymskim traktem. Nadto, wysłana wcześniej stanęłaby w Gembloux jeszcze przed burzą, jaka około godziny drugiej po południu zahuczała nad równinami Belgji, a odpocząwszy tu trzy lub cztery godziny, ruszyłaby ku Wavre, w razie gdyby nowe poszlaki kierunek ten koniecznym czyniły.

W Gembloux doniesienia mieszkańców wskazywały Wavre, jako jedyny punkt zborny armji pruskiej, i wszelki inny umysł mniej chwiejny jak marszałka Grouchy, opowiadaniem ich skłoniłby się nieomylnie do przedsięwzięcia stanowczego kroku. Lecz idący drogą od Liège Bülow zwiększył niepewność marszałka Grouchy, tak iż nie wiedział teraz na jakich oprzeć się przypuszczeniach. W wojnie jak w polityce, wielość pozornych oznak i przypuszczeń mięsza umysł, jeśli tylko właściwa moc charakteru i przezorność nie umie ich zest awić i pogodzić. Rzeczą najprawdopodobniejszą było, że Prusacy chcą złączyć się z Anglikami i wspólnie z nimi wystąpić do bitwy z tej lub z drugiej strony lasu Soignes; mniej prawdopodobną, że się wracają ku Renowi, a zupełnie mylną, jakoby zamiarem ich było rozdzielić się w obu tych kierunkach. Tymczasem marszałek Grouchy temu ostatniemu właśnie uwierzył przypuszczeniu, a przekonanie to wpoiły weń dwa ślady Prusaków widzianych na drodze ku Wavre i na drodze ku Liège, lubo te podwójne wskazówki łatwo było wytłomaczyć tem, że Prusacy zwróceni czołem swej armji ku Wavre, a końcem ku Liège zkąd właśnie szli, musieli na obu

tych punktach ślady swej obecności objawić. Inna jeszcze ważniejsza przyczyna powinna była zdecydować marszałka Grouchy. Gdyby się nawet mylił w pochodzie swoim na Wavre, to i w tym razie złe nie byłoby tak wielkie: dozwalając bowiem Prusakom spokojnie zdążać ku Renowi, przyszedłby Napoleonowi z silną pomocą przeciw Anglikom. Przeciwnie zaś, niewłaściwym obrotem na Liège, dozwalał Prusakom spokojnie dojść do Wavre, rozłożyć się w sąsiedztwie wojsk angielskich i postawić się w możności pokonania Napoleona tak połączonemi siłami. Przezorny więc jenerał nie powinien był zawahać się ani na chwilę w wyborze drodrogi dalszego postępowania. Niestety, marszałek Grouchy, zapominając zupełnie że zadaniem jego było ścigać Prusaków i nie dopuścić do działania podczas rozprawy z Anglikami, nie postąpił ani podług udzielonych mu od cesarza instrukcji, ani podług danych z samej natury rzeczy wypływających.

Ku schyłkowi dnia wszystko coraz wyraźniej zapowiadało, że Prusacy posuwali się w kierunku Wavre. Grouchy więc, aby się ubezpieczyć od wypadków, których obawa niepokoiła jeszcze jego umysł, uznał za konieczne i jako krok najwyższej przezorności, pozostawić oddział jazdy na gościńcu z Liège, większą zaś jej część ustawił na drodze do Wavre po tej stronie wioski Sauvenière. Co się tycze piechoty, tej dozwolił spocząć w Gembloux, dokąd w skutku niepogody późno przybyła, a to aby po wypoczynku przez resztę dnia, mogła zaraz nazajutrz o świcie wyruszyć. Wprawdzie było to bardzo niewiele, jeżeli uganiając się za Prusakami, wojsko posunęło się zaledwie o dwie i pół mili francuzkiej, lecz wyruszywszy nazajutrz, to jest dnia 18, o godzinie 4-ej rano, można było to wszystko jeszcze wynagrodzić, albowiem do Wavre było tylko 4 mile, do Napoleona jedna, i to mila metryczna, którą człowiek pieszy mógł z łatwością przebyć w trzy kwadranse. Można więc było na czas i bez trudności dopełnić w dniu 18 tego, czego nie uczyniono dnia poprzedzającego. O godzinie 10-ej wieczór, to jest w chwili w której Napoleon polecał, aby Grouchy nadciągnął ku niemu, marszałek pisał do cesarza o swoich zamiarach, oznajmiając zarazem, że pozostaje mu jeszcze wybór pomiędzy Wavre a Liège, że jednak postanowił zaraz z rana iść całą siłą na Wavre, jeżeli tylko kierunek ten okaże mu się rzeczywistym, *a to w celu*, jak się wyraził, *przegrodzenia Prusaków od Wellingtona*. Te ostatnie słowa przekonywają, że dopiero w tym czasie Grouchy pojął rzeczywiste swoje zadanie i dowodzą, że Napoleon udzielając mu z rana instrukcje, wyraził się z całą jasnością.

Taki jest obraz działań wojennych w dniu 17, w promieniu najwyżej 5 lub 6 mil francuzkich we wszystkich kierunkach, gdzie trzykroć sto

tysięcy ludzi szukało się wzajem, by w morderczym boju zakończyć raz tę dwudziesto-dwu letnią zaciętą walkę.

Kiedy wszystko w obozach czterech armji w śnie było pogrążone, Napoleon po krótkim spoczynku wstał o godzinie drugiej po północy, w obawie, czy Anglicy, wiedząc o jego zbliżeniu się, nie umkną, aby się połączyć z Prusakami poza Bruxellą. W istocie, niebezpieczeństwo narażania się na wielkie bitwy z Napoleonem, znane było dobrze wodzom europejskim; tu zaś niebezpieczeństwo dla Anglików było tem większe, że wojsko to miało w tyle trudny do przebycia las, łatwiej mu więc było złączyć się poza nim z Prusakami i dla tego Napoleon nie przypuszczał, iżby Anglicy chcieli na niego sami oczekiwać. Tak rozumował nie pomnąc na dwie gwałtowne passje: nienawiść jaką tchnął wódz pruski i duma Wellingtona. Rzeczywiście, pierwszy gotów był położyć życie, by Francję przywieść do upadku; drugi, pragnąc sam zakończyć te rozterki europejskie, sławy w tem dla siebie szukał. Napoleon jednak wątpił o tem i pomimo znowu padającego deszczu, wyjechał z dwoma czy trzema oficerami na rekonesans, jaki już przed kilką godzinami odbywał. Ziemia przesiąkła jeszcze bardziej, a błoto większe niż było wieczorem. Pomimo tak niesprzyjającej pogody, mogącej znacznie utrudnić atak na armję na pozycji stojącą, cesarz uczuł prawdziwą rozkosz ujrzawszy ognie biwaków angielskich; łuna ta bowiem całe pole bitwy oświetlająca, dawała pewność bytności tam armji brytańskiej. Wprawdzie łoskot wozów z lewej strony od Mont-Saint-Jean dochodzący, zmieszał na chwilę Napoleona, wkrótce atoli wszystko ucichło, a szpiegi z obozu nieprzyjacielskiego przybywający zapewnili, że książę Wellington trwa w zamiarze stoczenia bitwy. Zdziwił się tem, a zarazem uradował Napoleon, świtający zaś dzień nie pozostawił mu żadnej wątpliwości, albowiem gdyby wódz angielski miał zamiar cofnąć się, nie czekałby zapewne dnia na zapuszczenie się w niebezpieczne gęstwiny lasu Soignes, mając zwłaszcza tuż za sobą swego przeciwnika.

W czasie odbywania tego podjazdu Napoleon otrzymał od marszałka Grouchy ową wysłaną z Gembloux o godzinie dziesiątej wieczór depeszę, którą jenerał ten zawiadamiał o zajętem przez siebie pomiędzy Liège a Wavre stanowisku z nadmienieniem, że wolałby trzymać się kierunku na Wavre, aby nie dopuścić Prusaków do złączenia się z Anglikami. Jakkolwiek Napoleon znalazł bardzo miernem to co Grouchy dotąd zdziałał, pocieszał się wszelako widząc go zmierzającego ku Wavre, co dawało przekonanie, że jenerał ten zrozumiał przynajmniej część swojej roli polegającej głównie na rozgrodzeniu Prusaków od Anglików. Nadto upewnił się, że choćby Grouchy wyruszył o godzinie 4-ej lub 5-ej z rana,

mógłby jednakże połączyć się z nim około dziesiątej, w którym to razie spełniłby wysłane doń z głównej kwatery instrukcje, aby sam szedł za Prusakami na Wavre, a do armji cesarskiej odkomenderował oddział z 7 tysięcy ludzi. Ziemia rozmiękczona dwunasto-godzinną ulewą, nie dozwalała wystąpić do boju przed godziną 10 z rana; dość więc było, aby w tym czasie lub później nawet z całą lub częścią swojej armji Grouchy uderzył na lewe skrzydło Anglików, by jak najkorzystniejsze otrzymać rezultaty. Dla większej pewności Napoleon o godzinie 3-ej z rana posłał mu jeszcze duplikat wydanych o 10-ej wieczór rozkazów. Rozkazy takie Berthier zwykł był w kilku kopjach i przez kilku różnych wysyłać oficerów, aby z trzech lub czterech jeden przynajmniej doszedł swego przeznaczenia; lecz marszałek Soult, nowicjusz w tej służbie, nie zachował tej przezorności. Wszelako dwie expedycje wysłane jedna o 10-ej wieczór, druga o 3-ej z rana mogły być zresztą dostatecznemi na drodze łatwej do przebycia, tem bardziej, gdy oficer wysłany z rozkazem o godzinie 10-ej wieczór, przybył o 2-ej z rana.

Upewniwszy się w ten sposób, lubo nie zupełnie zadowolony, Napoleon pragnął tylko, aby czas się rozjaśnił, a tem samem działania artylerji umożebnił. Resztę nocy przepędził na podjazdach, wracając od czasu do czasu do folwarku Caillou, dla osuszenia się przy wielkiem ognisku. Około godziny czwartej dzień zaświtał, a niebo wypogadzać się zaczęło. Wkrótce promień słońca przedarłszy ciemną oponę chmur, oświetlił widnokrąg, a nadzieja, ta zwodnicza nadzieja, wstąpiła w serce Napoleona! Pocieszał się, że blask słońca rozproszy chmury i że gdy deszcz ustanie, ziemia w kilka godzin stanie się przystępną dla działań artyllerji. Drouot i inni oficerowie zapytywani o zdanie, zapewniali, że w tej porze roku za 5 lub 6 godzin, ziemia tak stwardnieje iż dozwoli poprowadzić działa wszelkiego kalibru. W istocie niebo wypogodziło się, Napoleon cierpliwie czekał, nie wiedząc, że nie tylko słońcu, ale i Prusakom czas do przybycia pozostawiał.

Około godziny ósmej, gdy już deszcz nie czynił żadnej obawy, Napoleon zaprosiwszy swoich jenerałów, przy skromnem śniadaniu naradzał się z nimi nad planem bitwy Anglikom wydać się mającej. Ze szczytu dość wzniosłego pagórka, przypatrzył się dokładnie zajmowanej przez nieprzyjaciela pozycji i rozkładowi jego sił; w myśli więc ułożył sobie cały szyk boju pewny zresztą pomyślnego skutku. Jenerał Reille, doświadczony w wojnach z Anglikami, zachowawszy w sobie wrażenia o ich mocy, któremi operacjom pod Quatre-Bras tyle zaszkodził, pozyskał w tym razie zasługę, że wypowiedział Napoleonowi prawdy użyteczne. Radził on, że jakkolwiek Anglicy nie są dość silnymi w działaniach za-

czepnych, w odpornych wszelako przewyższają wszystkie wojska europejskie, że należałoby zatem starać się ich pokonać sztucznemi obrotami, niż bezpośrednim atakiem.—Wiem, odrzekł Napoleon, że Anglików stojących na dobrej pozycji trudno jest zwyciężyć: będę więc manewrował.— Jakoż z dzielnością ataku zamierzał on połączyć sztuczne obroty i nie przypuszczał, aby Anglicy mogli stawić opór po natarciu przez niego obmyślanem.—My mamy, dodał, *dziewięćdziesiąt na sto sposobów.*—I zaledwie słów tych dokończył, gdy Ney nagle wchodząc rzekł: że cesarz miał może słuszność twierdząc, iż Anglicy nań czekali, ale teraz jednak cofają się. Napoleon zupełnej temu nie dał wiary, mówiąc, że gdyby Anglicy mieli się cofać, nie czekaliby z tem aż do dnia. Na taki wniosek nikt nie odpowiedział. Cesarz natychmiast wsiadł na koń chcąc się przekonać jak to było, a poznawszy, że armja angielska stała w miejscu, zaczął dyktować plan ataku, który oficerowie przepisywali dla rozesłania go dowódzcom korpusów.

Tu nam wypada opisać pole bitwy, ową smutną scenę najkrwawszych czynów wieku, scenę która obok dowodów niezrównanego heroizmu, najsmutniejszą w dziejach Francji zakończyła się klęską. Anglicy zatrzymali się na płaszczyźnie Mont-Saint-Jean, która ciągnąc się blisko na 2 mile francuzkie w prawą i lewą stronę i pochylona ku armji francuzkiej dość łagodnym spadkiem, tworzyła tem samem małą, dwa wojska rozdzielającą dolinę. Poza tą płaszczyzną, na przestrzeni kilko-milowej, las Soignes stanowił zieloną ścianę obrazu. Anglicy, aby się zabezpieczyć od pocisków dział francuzkich, uszykowali się na przeciwnej stronie płaskowzgórza, ustawiwszy od czoła kilka dobrze strzeżonych baterji. Wzdłuż płaszczyzny i — że tak powiem, w połowie pochyłości płaskowzgórza, poprzeczna droga od wioski Ohain po prawej, ku wiosce Merbe-Braine po lewej naszej stronie biegnąca, tu i owdzie żywo-płotami obrzeżona, a w wielu miejscach mocno zagłębiona, tworzyła pewien rodzaj fossy zasłaniającej zupełnie pozycję Anglików i jakby umyślnie na ten raz wykonanej. Dolina rozdzielająca dwie armje, przebiegłszy poniżej folwarków Papelotte i la Haye i około wioski Ohain, mieściła w dalszej swej pochyłości łożysko strumienia wpadającego do rz. Dyle, w dalszym zaś biegu dolina ta otwierała się na małą wioskę Wavre, którą za pomocą lunety dostrzedz można było blisko o pół czwartej mili francuzkiej z prawej naszej strony. Z lewej strony dolina ta spuszczając się w kierunku przeciwnym i okalając pozycję nieprzyjaciela, ułatwiała spad wód okolicznych do małej rzeczki Senne. Pomiędzy wodami rzeczki Senne i Dyle ciągnął się pewien rodzaj grobli, biegnącej w kierunku od obozu

francuzkiego ku armji angielskiej; po grobli tej szedł trakt z Charleroy do Bruxelli, który, minąwszy płaszczyzny Mont-Saint-Jean, łączył się w tem ostatniem miejscu z drogą z Nivelles, na prawo od armji francuzkiej biegnącą, wysokiemi drzewami obsadzoną. Mont-Saint-Jean przeto było punktem zejścia się dwóch wielkich dróg bitych. Temito dwoma gościńcami, rozmaite oddziały armji brytańskiej, tak te którym czas nie dozwolił jeszcze dojść do Quatre-Bras, jako i te które nie zdążyły minąć Nivelles, złączyły się teraz z sobą, aby pod ks. Wellingtonem utworzyć jednolity zastęp do obrony Bruxelli. Niedaleko od Mont-Saint-Jean, pod lasem Soignes, leżała wioska Waterloo, od której bitwa ta pozyskała nazwę, z niej bowiem wódz angielski wysyłał swoje rozkazy.

Anglicy stali po drugiej stronie płaskowzgórza, po obu stronach szossy bruxelskiej. Książę Wellington w chwili wzięcia udziału w całej tej kampanji liczył pod swemi rozkazami 90 tysięcy żołnierza; z liczby tej w potyczkach dni poprzednich utracił około 6 tysięcy. Obawiając się zawsze odcięcia go od morza, co nie przynosiło zaszczytu jego wojennym talentom, wódz angielski wysłał do Hal silny oddział około piętnastu tysięcy liczący. Potrąciwszy z ogólnej liczby kilka jeszcze pomniejszych oddziałów, Wellington miał pod Mont-Saint-Jean 75 tysięcy żołnierzy składających się z Anglików Belgów, Hollendrów, Hanowerczyków, Nassauczyków i Brunświgczyków. Na prawem skrzydle pod Merbe-Braine, pomiędzy gościńcami z Nivelles i Charleroy, ustawił gwardje angielskie i dywizję jenerała Alten złożoną z Anglików i Niemców. W tyle tworzyła ścianę dywizja Clinton'a, w ścieśnionych uszykowana kolumnach. Brygada angielska Mitchell'a, oddzielona z dywizji Colville'a, zajmowała prawy kraniec. Skrzydło to, strzegące przecinających się dróg z Nivelles i Charleroy, było silnie obsadzone; drugi jego szereg stanowił korpus ks. Brunświckiego z znaczną częścią lekkiej kawalerji związkowej. Jako ostateczny a zupełnie bezpotrzebny środek ostrożności, książę Wellington postawił o trzy czwarte mili pod miasteczkiem Braine-l'Alleud angielsko-hollenderską dywizję Chassé, a to w celu odpierania spodziewanego w przywidzenia napadu z prawej strony. Środkiem, to jest na gościńcu z Charleroy do Bruxelles, kazał pousuwać wszelkie przeszkody tamujące mu wyjście na równinę. Na samym zaś gościńcu nie wielki pozostawił oddział, przekonanym będąc, że nagromadzone z prawej i lewej strony wojska dostatecznemi były do jego obrony. Nieco tylko ku tyłowi, w stronie Mont-Saint-Jean, pozostawił w rezerwie angielską brygadę Lambert'a. Na lewo wprost prawego skrzydła armji francuzkiej, stała dywizja Picton'a, składająca się z angielskich brygad Kempt'a i Pack'a, hanowerskich Best'a i Vincke'go, w części ukrytych w poprzecznej dro-

dze z Ohain, w części uszykowanych z tyłu w całej massie. Nakoniec, dywizja Perponcher'a tworzyła lewy kraniec, komunikując się przez wojska nassauskie z wioską Ohain. To lewe skrzydło najsłabiej było obsadzone, Wellington bowiem liczył, że je wzmocni nadciągając armja pruska; cała zaś massa kawalerji stała rozproszona na pochyłości płaskowzgórza, prawie dla wojska francuzkiego niewidzialna.

Oprócz tego ks. Wellington obsadził niektóre oderwane posterunki przed zajmowaną przez siebie pozycją. Z prawej strony, a nawprost lewego skrzydła Francuzów, w miejscu gdzie płaszczyzna wzgórza Mont-Saint-Jean zaczyna się ku tyłowi zaokrąglać, stał zamek Goumont, otoczony rozmaitemi budowlami, ogrodem i gajem ciągnącym się prawie aż w głąb parowu. W zamku tym Wellington postawił 1,500 wyborowego żołnierza. W pośrodku, na szosę bruxelskiej i w połowie pochyłości wzgórza, widać było folwark Haye-Sainte, złożony z wielkiego budynku otoczonego sadem. I tu na straży postawił Wellington tysiąc ludzi. Nakoniec z lewej strony, prawie u stóp wzgórza, w folwarkach Haye i Papelotte umieścił niektóre oddziały brygady księcia Nassau.

Tak więc na przodzie, tzy, że tak powiem, warownie mocno obsadzone; poniżej, w zagłębieniu drogi ciągnącej się wzdłuż płaskowzgórza, liczne bataljony w zasadzce; nakoniec, na przeciwnej stronie tegoż płaskowzgórza, po prawej i lewej stronie drogi bruxelskiej, liczna piechota i jazda, jużto rozwinięta, już w ścieśnionych trzymana kolumnach, oto był szyk bojowy i stanowisko armji angielskiej. Widzimy więc, że tak obraną pozycją, jako też liczbą i jakością walczących, wojsko angielskie stawiać mogło silny opór zapędom Francuzów.

Poznawszy tę pozycję wojsk nieprzyjacielskich, Napoleon taki ułożył plan boju. Postanowił najprzód rozwinąć swoje wojsko poniżej wzgórza, opanować trzy odrębne warownie, to jest, zamek Goumont z lewej, folwark Haye-Sainte pośrodku i folwarki Haye i Papelotte z prawej strony; następnie, swojem lewem skrzydłem, wzmocnionem wszystkiemi rezerwami, uderzyć na najsłabsze tak liczbą jako i położeniem lewe skrzydło Anglików, wyprzeć je ku środkowi na szosę bruxelską, opanować tę jedyną drogę przez las Soignes wiodącą i nakoniec wpakować armję angielską w gęstwiny pomienionego lasu, a tem samem utrudnić nieprzyjacielowi cofanie się jego w rozsypce. Walcząc swem prawem skrzydłem przeciw lewemu Anglików, Napoleon zyskiwał tę korzyść, że działał w najsłabszą stronę nieprzyjaciela, że go pozbawiał jedynego przejścia przez las Soignes, i nakoniec, że go oddzielał od Prusaków, których obecności w Wavre jeżeli nie był pewnym, to przynajmniej mógł jej się łatwo domyślać. Cały ten plan, w którym po raz ostatni zajaśniała cała

szybkość i pewność poglądu Napoleona, był bez wątpienia najtrafniejszy ze względu na położenie miejsca i rozdział sił nieprzyjacielskich. Takie powziąwszy postanowienie, Napoleon wydał rozkazy uszykowania wojsk podług naznaczonej im w dniu tym do odegrania roli. Deszcz ustał już od kilku godzin, pogoda zaczęła się ustalać, wojska więc z godną podziwu szybkością i porządkiem posuwały się na wyznaczone stanowiska. Na lewo, pomiędzy gościńcem z Nivelles i z Charleroy, naprost zamku Go umont, rozwinął się w kolumny korpus jenerała Reille, brzegiem doliny rozgraniczającej Francuzów od nieprzyjaciela. Każda dywizja tworzyła dwa szeregi, lekka zaś jazda Piré'go, postawiona na lewym końcu, miała posuwać swoje podjazdy aż ku prawemu krańcowi Anglików. Na prawem skrzydle, czyli po drugiej stronie szosy bruxelskiej, korpus hr. d'Erlon, świeży i liczący 19 tysięcy piechoty, uszykował się wprost lewego skrzydła nieprzyjacielskiego; cztery jego dywizje stanęły jedna za drugą w podwójnych szeregach. Jenerał Jacquinot ze swoją lekką jazdą stał na posterunku na samym prawym końcu skrzydła, wysyłając podjazdy w kierunku Wavre. Artyllerja tych korpusów tworzyła na froncie jednę wielką baterję o 80 działach.

Poza tą pierwszą linją, korpus hrabiego Lobau rozdzielony po połowie po obu stronach szosy bruxelskiej, tworzył rezerwę środka armji. Po lewej jego stronie, zatem w tyle jenerała Reille, rozwinęły się w szyk wspaniałe kiryssjery Kellermann'a, po prawej zaś, w tyle jenerała d'Erlon, niemniej dzielne kiryssjery Milhaud'a. Taka więc była nasza druga linja bojowa, wprawdzie nie tak rozległa, ale silniejsza i jaśniejąca pancerzami naszej ciężkiej jazdy. Trzecią nakoniec i ostatnią linję stanowiła gwardja, której pyszna piechota zajmowała oba boki szosy bruxelskiej, mając po lewej konnych grenadjerów Guyot'a, a po prawej szasserów i ułanów Lefebvre-Desnoëttes'a. Słowem, armja francuzka uszykowana w kształcie wachlarza, migotała połyskiem bagnetów, pałaszy i pancerzy. Piękne to wojsko w niespełna godzinę czasu zajęło swoje stanowiska, przedstawiając w swej całości widok zachwycający. Dumny swem wojskiem Napoleon, doznawał wewnętrznego spokoju malującego się w jego twarzy i słowach. Chcąc w dniu tym, jeżeli tylko można było, podnieść zapał swych żołnierzy, przebiegł raz jeszcze pole bitwy, pędząc od lewej do prawej przed frontem swoich szeregów. Na jego widok piechota i konnica utkwiwszy kaski na ostrzach bagnetów, wydawała długo jeszcze po jego odjeździe przeciągające się *Vive l'Empereur!* Odbył więc przegląd całej armji, upojonej radością i nadzieją, jakkolwiek armja ta przepędziła ostatnią noc w błocie, bez ognia, prawie o głodzie, gdy tymczasem wojsko angielskie, zasiadłszy w namiotach

o kilka godzin prędzej i zastawszy obficie przygotowaną żywność, mało bardzo ucierpiało. Wszelako żołnierz francuzki rano przynajmniej miał czas zgotować sobie posiłek, zresztą zapał podniesiony do egzaltacji czynił ich niepamiętnemi na przebyte trudy i grożące niebezpieczeństwa.

Idąc za zdaniem Drouot'a, Napoleon postanowił czekać osuszenia się pola, a tem samem nie przyśpieszać bitwy, widząc zwłaszcza, że Anglicy jej nie unikają. W tej zwłoce dwie dla siebie miał korzyści: jedna, że dawszy czas do umocnienia się gruntu, zapewni sobie pomyślność ataku; druga, że przed rozpoczęciem boju Grouchy nadciągnie. W istocie, wszystko zdawało się zapowiadać bliskie nadejście jenerała, któremu Napoleon prawe skrzydło poruczył. Wiemy już że Grouchy doniósł o godzinie 10-ej wieczór o swej bytności w Gembloux, że gotów był pójść na Liège lub Wavre i że nareszcie zaczął już pojmować główne swe zadanie rozgraniczenia Prusaków od Anglików. O godzinie drugiej w nocy doniósł, że ostatecznie wraz z brzaskiem dnia ruszy na Wavre. Odtąd, po rozkazach wydanych o 10-ej wieczór, a powtórzonych o trzeciej z rana, Napoleon był tego przekonania, że jeżeli Grouchy nie nadciągnie z całą swoją armją, wyśle mu przynajmniej w pomoc oddział z 7 tysięcy ludzi; zawsze więc pozostałoby mu jeszcze 26 tysięcy, z któremi mógłby trzymać na wodzy Prusaków, lub cofnąć się walcząc na prawo od Mont-Saint-Jean. Napoleon liczył więc albo na oddział idący w pomoc prawemu jego skrzydłu, albo że on sam stanowić będzie właśnie całe to prawe skrzydło. Jednakże, pomimo rozkazów wysłanych wieczorem, a powtórzonych w nocy, Napoleon chciał wysłać do niego jeszcze jednego oficera z oznajmieniem, jakie jest położenie rzeczy, i aby ten wytłomaczył jakiej wagi jest oczekiwana od niego pomoc. Nowym tym wysłannikiem był oficer polski Zenowicz. Cesarz wprowadziwszy go z sobą na wzgórek, z którego objąć można było cały widnokrąg, rzekł zwracając się w prawo: Czekam na Grouchy'ego z tej strony, czekam nań niecierpliwie.... jedź, przyprowadź go i nie odstępuj, *dopóki całe jego wojsko nie wkroczy na naszą linję bojową.*—Przytem Napoleon zalecił temu oficerowi, aby jechał jak najśpieszniej, rozkazując przytem marszałkowi Soult wręczyć mu na piśmie depeszę dokładniej określającą wydane ustnie polecenia. Po czem Napoleon, który całą przeszłą noc spędził na rekonesansach po błocie i który od czasu opuszczenia Ligny, to jest od godziny piątej z rana dnia poprzedniego, trzy godziny zaledwie dla snu poświęcił, rzucił się na swoje obozowe łóżko. Przy nim siedział wtedy brat jego Hieronim.—Teraz jest dziesiąta, rzekł do niego, prześpię się do jedenastej; wstanę niezawodnie, w każdym jednak razie, obudź mnie sam, bo ci, dodał wskazując na otaczających go

oficerów, nie będą śmieli snu mego przerwać.—Po tych słowach spuściwszy głowę na małą poduszkę, w kilka minut spał już snem głębokim.

Przez ten czas wszystko było w ruchu w około niego i każdy starał się jak najlepiej zająć wskazaną mu pozycję. Wypoczęci i dobrze nakarmieni Anglicy, głównie zajmowali się metedycznem ustawieniem się w szyk bojowy na polu, na którém mieli złożyć dowody swej zaciętości. Francuzi spożywszy na prędce swój posiłek i wytchnąwszy nieco, niecierpliwie oczekiwali hasła boju, które zwykle dawały baterje gwardji. Niektóre oddziały tylko co stanęły na linji, dywizja zaś jenerała Durutte, późno z winy jeneralnego sztabu w marsz wprawiona, pośpieszała zająć pozycję, nie zdążywszy prawie zjeść swojego śniadania. Ale zapał naszych żołnierzy czynił ich obojętnemi na cierpienia, przysparzane im samym zbiegiem okoliczności lub błędami dowódzców.

Zdala, poruszenia rozmaitych wojsk miały również za cel stanowcze wystąpienie do działań na równinach Mont-Saint-Jean. Blücher zgromadziwszy od wczoraj cztery korpusy pod Wavre, wraz z pewną liczbą rozbitków, niezabranych skutkiem źle kierowanych obrotów francuzkiej jazdy, gotował się do wywiązania się z danego Wellingtonowi słowa, które mu zobowiązał się całe swoje siły lub choćby ich część w pomoc przyprowadzić. Miał on jeszcze pod sobą około 88 tysięcy ludzi, pognębionych wprawdzie poniesioną w dniu 16 klęską, ale ożywionych duchem patrjotyzmu i gotowych do najwyższych poświęceń. Korpus czwarty Bülowa nie dał jeszcze ani jednego wystrzału; Blücher więc naznaczył go na pierwszy ogień pod Mont-Saint-Jean. W tym celu polecił mu przejść o świcie rz. Dyle, lecz oddział ten doznawszy zwłoki w skutku pożaru w czasie przechodu przez wioskę Wavre, zaledwie po godzinie siódmej z rana mógł wyruszyć pod Mont-Saint-Jean. Podług wydanych rozkazów, Bülow winien był skierować się na kaplicę Saint-Lambert, położoną z boku pozycji na której miał się stoczyć bój Francuzów z Anglikami. Była już blisko godzina pierwsza po południu. Zamiarem Blüchera było posiłkować Bülow'a drugim korpusem Pircha I-go, oddział zaś Ziethen'a miał się posuwać wzdłuż lasu Soignes drożyną od Ohain idącą tak, aby zbliżyć się do punktu wyjścia na lewe skrzydło Anglików. Dwa te korpusy Pirch'a I-go i Ziethen'a, zmniejszone do 15 tysięcy każdy, w połączeniu z nienaruszonym jeszcze korpusem Bülow'a, liczyły razem 60 tysięcy żołnierza, z jakim Prusacy szli w pomoc księciu Wellingtonowi. Nakoniec Blücher postanowił w tylnej straży postawić 3-ci korpus Thielmann'a, który mało ucierpiał pod Ligny, zalecając wstrzymać marszałka Grouchy pod Wavre i nie dozwolić mu przejścia przez rz. Dyle.

W istocie ukazanie się 60 tysięcy Prusaków na prawem skrzydle, było dla Napoleona rzeczą bardzo niepomyślną. Lecz zostało tu 34 tysiące Francuzów, owych zwycięzców z przed wczorajszego dnia pod Ligny, ufnych w siebie, gotowych do poświęceń i zajmujących takie położenie, że cios im zagrażający łacno mogli odwrócić na głowy Prusaków. W razie dojścia do Mont-Saint-Jean przed Blücherem, wojsko to uczyniłoby Napoleona nietykalnym przynajmniej przez dzień cały; jeśliby zaś później przybyło, Blücher dostałby się we dwa ognie, a wtedy zguba jego byłaby nieuniknioną. Cała więc rzecz zasadzała się na tem czy armja ta na czas przybędzie, lubo to żadnej wątpliwości nie pozostawiało.

Widzieliśmy już, jak marszałek Grouchy straciwszy pół dnia na poprzednich bezowocnych poszukiwaniach, wykrył nareszcie kierunek pochodu Prusaków na Wavre, i sam się posunął do Gembloux. Przybył on tu dość późno, lecz wojska jego zrobiwszy zaledwie pół trzeciej mili francuzkiej, mogły po wyruszeniu o godzinie czwartej w dniu 18, stanąć w połowie poranku nawet na najodleglejszem stanowisku teatru wojny. Na nieszczęście, Grouchy lubo przy końcu dnia nie miał już żadnej wątpliwości co do obrotu Prusaków, wydał Vandamowi rozkazy do wyjścia dopiero o godzinie szóstej z rana, Gérard'owi o siódmej, a ponieważ i pora rozdania żywności nie była zawczasu oznaczona, przeto wojsko Vandamma nie mogło pójść w marsz prędzej jak około ósmej, a Gérard'a o 9-ej (*). Pomimo takiej opieszałości, nic jeszcze nie stracono i nikomu to żadnej nie zrządziło różnicy: wojska bowiem w prostym kierunku stały od siebie tylko o cztery mile francuzkie, a o mil pięć idąc bocznemi drogami. Odgłos dział, których echem okolica ta zabrzmieć wkrótce miała, powinien był najwymowniejszym być rozkazem; przypuszczając zaś, że trzeba było pięciu godzin czasu dla złączenia się z Napoleonem (co nawet za wiele, jak to obaczymy), pozostawało dość jeszcze czasu dla dorzucenia przewagi, szalę losów Francji stanowczo przechylić mającej. Tak więc, jeżeli Blücher szedł ku Mont-Saint-Jean, Grouchy, podług wszelkiego podobieństwa, tamtędy także pójść był winien, o godzinie więc jedenastej z rana, czy szczegóły przez nas opisywane byłyby wiadome czy niewiadome, zawsze przecież można było pojąć, jakie nadzieje czy obawy grożą losom Francji. Powiedzieliśmy, nadzieje lub obawy, lecz właśnie te ostatnie wcaleby nie trwożyły, gdyby huk dział dolatujący do uszu tych 34 tysięcy Francuzów, był zarazem rozświetlił ich umysły. Niestety! otworzył on wprawdzie umysły wszyst-

(*) Niektóre nawet pułki dopiero o godzinie dziesiątej wyruszyły z Gembloux. Autor posiada listy od tamtejszych mieszkańców, szczegół ten poświadczające.

kich, napełnił je światłem, wyją wszy jednego, tego właśnie, który im przewodził!

Polak Zenowicz, któremu Napoleon poruczył wręczenie tych ostatnich instrukcji marszałkowi Grouchy, stracił godzinę czasu u Soult'a zanim z rąk jego otrzymał depeszę, która stylem dość niejasnym i dwuznacznym skreślona, nie warta była tej straty czasu. Treścią depeszy było zawiadomienie o mającej się stoczyć wielkiej bitwie z Anglikami, że należało zatem, aby Grouchy przyśpieszył swój pochód na Wavre dla postawienia się w ścisłym związku z armją i *odpowiedniego z nią działania*. Pomimo takiej wątpliwości wyrażeń, depesza ta zestawiona z otrzymanemi w przeddzień rozkazami, i wyjaśniająca się samem położeniem rzeczy, wymownie wskazywała konieczność pośpiechu, bądź to dla postawienia się pomiędzy Anglikami i Prusakami, bądź dla uderzenia na tych ostatnich w jakikolwiek sposób, byle ich tylko zatrudnić i nie dopuścić pomocy Anglikom, a tem samem przechylenia zwycięztwa na ich stronę.

Jedenasta wybiła; Napoleon zanim go brat obudził, już był na nogach. Z folwarku *Caillou*, przeniósł się do *Belle-Alliance*, to jest na pozycję górującą ponad całem polem bitwy. Tu siadł na wzgórku mając na stoliku przed sobą rozłożoną mappę, w około siebie oficerów, a poza nimi osiodłane konie. Obie armje oczekiwały nieruchome na hasło boju. Anglicy, ufni w swoją odwagę, pozycję, wodza i pomoc Prusaków, stali milczący. Francuzi (mówimy tu o żołnierzach i oficerach niższych stopni), rozpłomienieni najwyższym zapałem, nie myśleli ani o Prusakach, ani o Grouchy'm, ale jedynie o stojących przed ich oczyma Anglikach, z którymi pragnęli jak najprędzej się spotkać, a mocni wiarą w siebie i w genjusz swego wodza, który w najtrudniejszych okolicznościach umiał niezwalczone wynaleźć sposoby, ani na chwilę o zwycięztwie nie wątpili.

O godzinie w pół do dwunastej Napoleon dał hasło, na które artylerja jego stu dwudziestu działami odpowiedziała. Podług powziętego planu potrzeba było najprzód wyprzeć lewe skrzydło Anglików ku środkowi, aby tem samem stanąć na zajmowanym przez nich gościńcu bruxelskim; główny więc attak wykonany być miał prawem skrzydłem francuzkiem, i dla tego Napoleon tu znaczną część artyllerji ustawił. Oprócz baterji hrabiego d'Erlon, któremu głównie ta operacja była poruczoną, stały tu jeszcze rezerwowe baterje jenerała Reille, hrabiego Lobau i pewna liczba dział gwardji. Artyllerja więc tworzyła jednę wielką baterję o 80 działach, którą rzucając pociski ponad małym pagórkiem obie armje przedzielającym, dosięgała niemi aż na drugą stronę

płaskowzgórza. Lewe skrzydło Anglików, stosując się do kształtu pola, cofnęło się skośnie ku tyłowi; wtedy więc prawe skrzydło armji francuzkiej, idąc za tymże ruchem, stanęło pod kątem do linji bojowej, przez co wiele naszych kul, mierząc na ukos przez szossę bruxelską, padało w sam środek armji brytańskiej.

Z prawej strony jenerał Reille, połączywszy baterje swoich dywizji z baterjami dywizji Piré'go, strzelał w stronę lasu i na zamek Goumont. Napoleon, by utrzymać ogień na tem skrzydle, polecił przyłączyć się konnej artyllerji Kellermann'a, umieszczonej poza korpusem Reille'a; z tego więc boku przynajmniej 40 armat miotało pociski na prawe skrzydło Wellingtona. Wiele wprawdzie kul padało bezskutecznie, ale wiele także niosło śmierć w najściślejsze szeregi nieprzyjaciela, robiąc w nich znaczne luki, lubo dowódzcy starali się szeregi te na odwrotnej pochyłości utrzymać.

Po tej półgodzinnej silnej kanonadzie Napoleon rozkazał pójść do attaku na lasek i zamek Goumont. Dwie przyczyny skłaniały go do rozpoczęcia bitwy od lewej strony: jedna, że zamek Goumont był najdalej naprzód posunięty; powtóre, że skierowaniem baczności nieprzyjaciela na prawe skrzydło, odwracał ją tem samem od lewego, gdzie właśnie skierować się miało całe jego wysilenie.

Drugi korpus złożony z dywizji ks. Hieronima i jenerałów Foy i Bachelu, zszedł w dolinę, a rozwinąwszy się około lasku Goumont, okrążył go niejako półkolem. Dywizja Foy stojąca na krańcu lewego skrzydła i oskrzydlona jazdą Piré'go, miała się posunąć nieco naprzód, dla dosięgnienia części linji angielskiej, ku tyłowi w półkole zatoczonej. Lecz nie do niej rozpoczęcie boju należało. Dywizja Hieronima napotkawszy na drodze lasek Goumont, ku armji francuzkiej przedłużony, rzuciła się nań żywo, podczas gdy z prawej dywizja Bachelu wypełniała przestrzeń zawartą pomiędzy Goumont a szossą bruxelską. Tyraljery francuzkie odparły zaraz tyraljery nieprzyjacielskie, następnie brygada Bauduin'a, złożona z 2-ch pułków piechoty, rzuciła się na lasek wysokiemi ale rzadkiemi drzewami zarosły, poniżej tylko gęstwiną zakończony. W lasku tym usadowił się oddział ks. Nassauskiego i kilka kompanji hanowerskich. Cztery kompanje gwardji angielskiej zajmowały budynki poza tym laskiem położone, tworząc z wojskiem wyżej pomienionem garnizon z 1,800 ludzi składający się.

Brygada Bauduin'a z gęstwin lasu tu i owdzie rozrzuconych morderczym rażona była ogniem. Odwet ręczną bronią na niewidzialnego nieprzyjaciela był niepodobnym. Żołnierze więc nasi szybkorzucili się

w gęstwinę kładąc bagnetem przeciwnika, który ich tak bliskiemi raził strzałami. W starciu tem waleczny jenerał Bauduin śmierć poniósł. Żołnierze ks. Nassau, zajmując przyjazne stanowisko, zacięcie bronili się; ale ks. Hieronim oprowadziwszy z prawej strony w około lasku brygadę jenerała Soye, zmusił ich do odwrotu. Zaledwie lasek ten zdobyliśmy, gdy nam nowe większe przedstawiły się trudności. Na brzegu lasku był ogród owocowy, który otoczony żywopłotem z grubych i mocno powikłanych drzew spleciony, stanowił rodzaj ściany, z poza której gradem kul sypano. Żołnierze którzy pierwsi wysunęli się z lasku, padli pod ich razami. Ale odwaga naszej piechoty nie zatrzymała się przed takiem niebezpieczeństwem. Rzuciwszy się na ten gęsty płot i torując sobie drogę toporami, wykłuli bagnetem, wszystko co nie uśpiało znaleźć w ucieczce ocalenia. Po przełamaniu tej drugiej zapory, napotkano trzecią. Poza płotem wznosiły się budowle zamkowe, a mianowicie, z prawej strony gruby mur z strzelnicami, z lewej dom folwarczny równejże trwałości. Broniło go sześćset żołnierzy gwardji angielskiej.

Zdobywać taką przeszkodę z ofiarą kilkuset, a może kilku tysięcy żołnierzy, nie było rzeczywistym celem ataku; bo aby się upewnić przeciw zapędom nieprzyjaciela na francuzkie lewe skrzydło, dość było przestać na opanowaniu lasku, nie poświęcając tem samem na tak podrzędny cel pięknej piechoty 2-go korpusu, trzecią część piechoty całej armji stanowiącej. Takiego też będąc przekonania, jenerał Reille wydał rozkazy nieupędzania się za wzięciem tych budynków, szkoda tylko że nie dopilnował należytego ich wykonania; a tymczasem jenerałowie idąc za popędem własnego i żołnierzy męztwa, upornie stali za zdobyciem zamku i domów folwarcznych. Ze swej strony ks. Wellington widząc zaciętość Francuzów, wysłał w pomoc swoim bataljon księcia Brunświckiego i nowe oddziały gwardji angielskiej. Walka więc w tej stronie zawrzała z całą gwałtownością.

Kiedy się to dzieje na lewem skrzydle francuzkiem, Napoleon zmuszony zdać się na swoich dowódzców co do szczegółowego wykonania attaku, kierował tylko ogólnym prądem bitwy, gotując się głównie do natarcia na środek i lewe skrzydło nieprzyjaciela. Działanie to, którego celem, jak wyżej wspomnieliśmy, było wyparcie Anglików z szosy bruxelskiej; jedynego przejścia przez las Soignes, wykonać miał Ney pod okiem Napoleona. Wojska 1-go korpusu, niezadowolone bezczynnością swoją w dniu 16, z niecierpliwością oczekiwały na hasło boju. Napoleon, z lunetą w ręku, śledził czy nieprzyjaciel nie przedsięwziął nowych jakich kroków w skutku attaku na zamek Goumont. To jednakże co dało się dostrzedz dawało przekonanie, że jakieś wojska posuwały się

od strony Braine-l'Alleud. Była to właśnie dywizja jenerała Chassé bezużytecznie przez księcia Wellingtona na prawym jego krańcu pozostawiona; ruszył ją więc w celu złączenia z oddziałem jeszcze bezużyteczniej w Hal pozostawionym. Wódź angielski posuwaniem tej dywizji dla wzmocnienia swego prawego skrzydła, zdawał się spuszczać z uwagi środek i lewe skrzydło armji, ograniczając się tylko na ściśnieniu szeregów kulami francuzkiemi mocno przerzedzonych.

W tem Napoleon, bacznie zawsze poglądając na prawo zkąd Grouchy był oczekiwany, spostrzegł w stronie kaplicy Saint-Lambert jakiś cień rysujący się na horyzoncie, którego atoli prawdziwego nie można było dociec znaczenia. Czytelnik przypomni sobie, jeżeliśmy tylko dobrze mu w powyższym opisie pole bitwy skreślili, że dolina rozdzielająca dwa wojska w przedłużeniu swem ku Wavre, dotykała folwarków Papelotte i la Haye, przecinała gęsty lasek, a złączywszy się pod kaplicą Saint-Lambert z doliną będącą łożyskiem strumienia Lasne, zlewała się o milę dalej z doliną rz. Dyle. Otóż właśnie na owych dalekich wzgórzach kaplicy Saint-Lambert rysował się cień, który Napoleon na krańcach widnokręgu zauważył. Cień ten naprzód posuwający się, kazał się domyślać pochodu nowych wojsk. Napoleon podał swoją lunetę marszałkowi Soult, ten dał ją innym jenerałom głównego sztabu, i każdy objawiał tu swoje zdanie. Jedni mniemali, że to są wierzchołki drzew jakiegoś lasu, inni uważali za jakiś ruchomy, posuwający się przedmiot. W takiem będąc powątpiewaniu, Napoleon wstrzymał rozkazy attaku do chwili upewnienia się o prawdziwem znaczeniu tego zatrważającego zjawiska. Wkrótce atoli wprawne jego oko dostrzegłszy wyraźnie postępujące wojska, wszelkie pod tym względem usunęło powątpiewania. Lecz co to być mogło: byłżeby to ów żądany oddział od Grouchy'ego czy sam Grouchy, czy Prusacy? Z takiej odległości trudno było rozróżnić odzież francuzką od pruskiej, tem bardziej, gdy tak jedna jak druga była barwy błękitnej. Napoleon przyzwawszy do siebie jenerała Domon dowódzcę dywizji lekkiej jazdy i wprowadziwszy na zajmowany przez siebie pagórek, ukazał mu poruszające się na horyzoncie wojska, zalecając zarazem, aby wyruszył dla bliższego ich rozpoznania, złączył się z niemi z swoją dywizją, w razie gdy się przekona, że to są Francuzi, starał się je powstrzymać, jeśli to jest nieprzyjaciel, w każdym zaś razie, aby mu doniósł bezzwłocznie o tem co zobaczy. W pomoc ku spełnieniu tego zadania, dodał mu lekki pułk jenerała Subervic 1,200 do 1,300 koni liczący. Oba ci jenerałowie mieli razem 2,400 koni, mogli więc nie tylko zobserwować, ale nawet opóźnić pochód wojska, w razie, gdy takowe okaże się być nieprzyjacielskiem.

Wypadek ten niezbyt jeszcze niepokoił Napoleona, wnosił bowiem, że jeżeli Grouchy dozwolił wysunąć się naprzód kilku bocznym kolumnom pruskim, sam zapewne nie omieszka je ścigać, że zatem sam ukaże się wkrótce za niemi, a wtedy okoliczność ta na pozór niefortunna, w pomyślną się zmienić może, bo kolumny te we dwa ognie wzięte, nieochybną znalazłyby zgubę. Niebawem wyświetliła się cała ta tajemnica. Przyprowadzony jeniec, podoficer pruskich huzarów, zabrany przez podjazd francuzki, miał przy sobie list jenerała Bülow do Wellingtona, w którym donosząc o bliskiem swem nadejściu, domagał się od niego dalszych instrukcji. Podoficer, człowiek bardzo śmiały, oświadczył, że widziane zdala wojska były 30-tysiącznym korpusem Bülow'a, wysłanym na złączenie się z lewem skrzydłem armji angielskiej. Wiadomość ta jakkolwiek ważna swą doniosłością, nie była jednakże zatrważającą. Bülow idąc od Liège na Gembloux, musiał koniecznie przedefilować pod okiem marszałka Grouchy, ten ostatni więc który chybaby miał oczy zamknięte, by go nie widzieć, blisko zapewne znajdować się musiał. Wszystko więc kazało się spodziewać, że albo cały jego korpus, lub przynajmniej żądany oddział, równocześnie szedł z Bülowem, z czego ważne osiągnąć można było korzyści. Postawieniem bowiem na prawem skrzydle złamanem w klamrę silnego zastępu dla wstrzymania Bülow'a, ten ostatni dostałby się we dwa ognie, to jest pomiędzy armję Napoleona a ów 7-tysiączny oddział zażądany od Grouchy'ego lub cały jego korpus. Napoleon przyzwawszy hr. Lobau, polecił mu obrać na stokach rz. Dyle stanowisko, na którém zdołałby z swemi dwoma dywizjami piechoty i dwoma dywizjami jazdy jenerałów Domon i Subervic, dłuższy nieprzyjacielowi stawiać opór. Oddział ten liczący 10 tysięcy żołnierza, pod kierunkiem hr. Lobau większego nabierał znaczenia, tem bardziej, że jak się zawsze spodziewano, Grouchy jeżeli z całemi siłami nie przybędzie, to w najgorszym razie owe siedm tysięcy nadeśle. Byłoby więc 17 tysięcy wojska przeciw 30 tysiącom Bülowa, i to tak rozpołożone, że kiedy tamci uderzaliby nań z tyłu, Lobau wstrzymywałby go od przodu. W takim więc stanie rzeczy nie było czem niepokoić się. Wszelako, siły Napoleona, któremi miał uderzyć na lewe skrzydło Anglików, znieść środek ich i wyprzeć z szossy bruxelskiej, zmniejszyły się zawsze o 10 tysięcy ludzi. Lecz była jeszcze rezerwa gwardji, której w morderczej tej wojnie nie oszczędzano; pomimo więc dających się przewidzieć strat, zwycięztwo mogło być stanowczem. Takie obliczając następstwa, Napoleon zupełną zachował spokojność; bo lubo swemi 68 tysiącami, zamiast 75, miał 105 tysięcy nieprzyjaciół do zwalczenia, zawsze jednak siły te choć niestosunkowe, były jeszcze dość znaczne.

Wprawdzie Napoleon mógł się cofnąć i nie przyjąć bitwy; cofać się atoli wśród rozpoczętej walki, przed Anglikami i Prusakami, byłoby to krokiem zbyt ważnym w swoich następstwach. Taki odwrot unieważniłby całą korzyść zwycięztwa odniesionego pod Ligny, i Napoleon, który przed parą dniami przekroczył granicę jako zwycięzca, wracałby teraz jako zwyciężony i z tą pewnością, że najdalej za dwa tygodnie, liczba jego nieprzyjaciół, nadciągającymi Austrjakami, Rossjanami i Bawarami, zwiększyłaby się przynajmniej o dwieście tysięcy. Lepiej więc było prowadzić dalszy bój, który w razie zwycięztwa stawiał rzecz w oczekiwanem przez Francuzów stanowisku, niż cofnięciem się ściągnąć na kraj z północy i wschodu dwie nowe armje, upadek jego gotowe przyśpieszyć. W położeniu więc tem, nie pozostawało jak umrzeć lub zwyciężyć. Wiedział o tem Napoleon i przeczuwał, że dzień ten stanie się dlań coraz groźniejszym. Bo jeżeli wraz z Prusakami nie nadciągnie Grouchy, sprawa wtedy weźmie jak najgorszy obrot, a wtedy los sprzyjający mu w ciągu dwudziesto-letnich wojen, okaże się nateraz nieubłaganym. Przedsiębiorąc więc nowe środki ostrożności, polecił Soultowi wysłać oficera z depeszą oznajmującą ukazanie się Prusaków od prawej strony, nakazując zarazem, aby na nich z całą siłą uderzył. Pędząc co sił oficer ten mógł dobiedz do marszałka Grouchy za dwie godziny, przybycie więc jego na linję bojową mogło nastąpić dopiero za trzy godziny. Grouchy zatem wystąpiłby do walki zaledwie około godziny szóstej, czyli że los bitwy nie mógłby się jeszcze do tego czasu stanowczo rozstrzygnąć. Do tej pory mężny Lobau przyjazne zajmując stanowisko, mógłby się na prawem skrzydle utrzymać.

To wszystko więc nakazywało przyśpieszyć bój z Anglikami, gdyż oprócz korzyści przeniesienia sił francuzkich od strony Bülow'a po rozprawieniu się z nimi, była jeszcze druga w odcięciu Prusaków i uniemożliwienia wszelkiej z ich strony pomocy. Jakoż Napoleon wydał Ney'owi rozkaz uderzenia na nieprzyjaciół.

Ważny ten krok wojny miał się zacząć uderzeniem z całą siłą w środek armji, działając na folwark la Haye-Sainte położony na gościńcu bruxelskim. Prawe nasze skrzydło rozwinięte miało wedrzeć się na płaskowzgórze, zająć dróżkę w połowie tegoż biegnącą ku Ohain, rzucić się na lewe skrzydło Anglików, usiłując wyprzeć je ku środkowi, aby następnie zabrać Mont-Saint-Jean położone w punkcie przecięcia się dróg do Nivelles i Bruxelli wiodących. Brygada Quiot'a z dywizji Alix'a a korpusu d'Erlon'a, uszykowana na gościńcu w kolumnach do attaku i wspierana brygadą kiryssjerów Milhaud'a, otrzymała rozkaz opanowania folwarku la Haye-Sainte. Brygada jenerała Bourgeois, druga z dy-

wizji Alix'a, ustawiona z prawego boku gościńca, miała tworzyć pierwszy szereg wojsk atakujących, dywizja Donzelot'a drugi, dywizja Marcognet'a trzeci, a Durutte'a czwarty. Ney i d'Erlon, zapewnie dla nadania większej ich piechocie mocy, otrzymali w dniu tym szczególne rozpołożenie, niestosowność którego wkrótce uczuć się dała. Było zwyczajem w wojsku francuzkiem, że kolumny idące do ataku, ukazywały się nieprzyjacielowi w bataljonie rozwiniętym, na którego skrzydłach ustawiano po bataljonie w szeregu ściśniętym, dla stawiania czoła lekkiej jeździe. Tym razem zaś Ney i d'Erlon rozwinęli po ośm bataljonów z każdej dywizji, szykując je jeden za drugim w odległości pięciu kroków, tak iż pomiędzy każdym zostawało zaledwie miejsce dla oficerów, co tem samem czyniło niepodobnem tworzenie czworoboków na skrzydłach dla odpierania nacierającej z boków kawalerji. Otóż te cztery dywizje składające cztery zbite i głębokie kolumny, postępowały razem w odległości trzystu kroków jedna za drugą. Na czele ich szedł d'Erlon, Ney zaś kierował obrotami brygady Quiot'a atakującej la Haye-Sainte.

Jenerał Picton dowodził lewem skrzydłem Anglików. W pierwszym jego szeregu stał 95-ty bataljon brygady angielskiej Kempt'a, ukryty wzdłuż drogi z Ohain, w przedłużeniu zaś tego bataljonu, zawsze na tejże drodze, brygada Bylandt'a i dywizja Perponcher'a. Drugim szeregiem, na brzegu płaszczyzny, stała reszta brygady Kempt'a, brygada szkocka Pack'a i brygady hanowerskie Vincke'go i Best'a. Brygada Sasko-Wejmarska zajmowała folwarki Papelotte i la Haye. Lekka jazda angielska Vivian'a i Vandeleur'a oskrzydlała lewy kraniec, oczekując na Prusaków. Dwadzieścia dział zasłaniało czoło tej części armji nieprzyjacielskiej.

Około godziny w pół do pierwszej Ney wypuścił brygadę Quiot'a na la Haye-Sainte, d'Erlon zaś z czterema swemi dywizjami spuścił się w dolinę rozdzielającą nas od Anglików. Działając najprościej, należało zburzyć najprzód armatami la Haye-Sainte, przez co, tak jak pod zamkiem Goumont, wiele krwi byłoby się oszczędziło. Lecz zapał żołnierzy nie zważa na przeszkody. Żołnierze Quiot'a prowadzeni przez Ney'a rzucili się najprzód na sad okalający folwark, żywopłotem otoczony. Tu wdarłszy się pod gradem kul, wypierają żołnierzy legji niemieckiej, następnie opanowawszy sad, już mają się wedrzeć do budynków, gdy morderczy ogień z zaopatrzonych strzelnicami murów wymierzony, mężny ten zastęp zdziesiątkował. Dzielny jeden oficer, który w późniejszych czasach poległ śmiercią walecznych pod murami Konstantyny, dowódzca inżenierji Vieux, dotarłszy z toporem w ręku do bramy folwarcznej dla wyrąbania jej, nie wpierw, aż po otrzymaniu kilku ran, z miejsca ustąpił.

Brama pozostała niewzruszoną, bo z wysokości murów kule gradem się sypały.

Książę Oranji patrząc na ten atak i widząc niebezpieczeństwo dla bataljonu niemieckiego broniącego la Haye-Sainte, wysyła mu w pomoc inny bataljon hanowerczyków ks. Lüneburgskiego. Ney dozwoliwszy mu podstąpić bliżej, śle na Lüneburga dwa pułki kiryssjerów, którzy gniotąc i siekąc wszystko co im na drodze stanęło, zdobywają chorągiew i prą niedobitki aż na kraniec płaskowzgórza. Wtedy gwardja konna Somerset'a idąc na odsiecz, silnem natarciem na kiryssjerów, zmusza ich do odwrotu, co widząc Ney wysyła przeciw nim bataljon Quiot'a, a ten gęstym ogniem z ręcznej broni wstrzymuje zapędy gwardji. Kiedy tak walka nie ustaje pod la Haye-Sainte, gdzie zaledwie ogród opanować udało się, d'Erlon na czele swoich czterech dywizji, pod zasłoną wielkiej z 80 dział złożonej baterji, przebiegłszy dolinę, wkracza na jej brzeg przeciwległy. Krocząc po ziemi gliniastej i mokrej, piechota jego zwolna przebywać musiała przestrzeń dzielącą ją od nieprzyjaciela. Wkrótce też i nasze działa nie mogąc strzelać po nad głowami, pozostawiły piechotę bez osłony wtedy, kiedy ta z niezachwianą odwagą poczęła wdzierać się na wzgórze. Już była blisko kresu, kiedy straszliwy ogień 95-go pułku muskieterów ukrytych w drożynie do Ohain wiodącej, przywitał pierwsze szeregi francuzkie złożone z drugiej brygady dywizji Alix'a. (Powiedzieliśmy wyżej, że pierwsza brygada tejże dywizji uderzyła na la Haye-Sainte). Dla usunięcia się z pod tak rażącego ognia dywizja Alix'a cofnięciem się w prawo, zmniejszyła tem samem przestrzeń dzielącą ją od drugiego szeregu, to jest dywizji Donzelot'a. Razem więc teraz oba te szeregi ruszyły na drogę z Ohain, a przedarłszy się przez kilka żywopłotów, pod straszliwym ogniem nieprzyjacielskim, rzucają się na pułk 95-ty i na rozwinięte kolumny brygady Bylandt'a. Pod ciosami ich pada znaczna liczba żołnierzy tego pułku, jak również pada ich dużo pod bagnetami w bataljonach Kempt'a i Bylandt'a. Od prawego znów skrzydła, trzeci nasz szereg (dywizja Marcognet'a), nie bacząc na grad kartaczy, przekracza dróżkę z Ohain, wypiera hanowerczyków i staje na wzgórzu niedaleko od dywizji Alix'a i Donzelot'a. Zdawało się że zwycięztwo już na francuzką przechyla się stronę, że pozycja ta już opanowana, kiedy na dane przez Picton'a hasło, podnoszą się niespodzianie ukryci w zbożu Szkoci jenerała Pack, i zbliska rażą ogniem dwa pierwsze szeregi. Tak niespodziane strzały dane w chwili wdarcia się na wzgórze, wstrzymują te kolumny. Wtedy Picton połączonym bataljonom Pack'a i Kempt'a rozkazuje pójść na bagnety. Ugodzony kulą w czoło sam pada, wojsko atoli idzie naprzód; wtedy żołnierz nasz pod tak silnym naciskiem zmu-

szony do odwrotu, stawia jednakże możliwy opór, posuwa się znów naprzód, miesza się z piechotą angielską, gdy wtem niespodziana nad nim zahuczała burza. Książę Wellington bowiem sam na plac boju przybywszy i widząc co się dzieje, wypuszcza na piechotę francuzką 1,200 dragonów szkockich jenerała Ponsonby, od siwych koni *Szkotami siwemi* zwanych. Dragoni ci w dwie uformowani kolumny, natarłszy z całą siłą angielskich koni, wdzierają się pomiędzy dywizje Alix'a i Donzelot'a z jednej, a dywizje Donzelot'a i Marcogneť'a z drugiej strony. Dotarłszy z boku zbite massy naszej piechoty i nie dopuszczając jej rozwinięcia się w czworoboki, dragoni ci, nie łamiąc tych gęstych szeregów, mocne jednakże sprawiają w nich zamieszanie. Wtedy ustępując przed natarczywością koni, parte na pochyłość wzgórza, kolumny francuzkie zbiegają bez ładu łącznie z dragonami w głębią doliny, którą przed chwilą przeszli. Siwe Szkoty zabrali natenczas chorągiew 105-go i 45-go pułku. Nie na tem jednakże czyny ich ograniczyły się. Dwie baterje armat stanowiące część owej 80-działowej artyllerji, ruszyły w pomoc francuzkiej piechocie. Dragoni rozproszywszy kanonjerów, rąbią na śmierć dzielnego ich dowódzcę Chaudon, wpędzają armaty w błoto, a nie mogąc ich uprowadzić, zabijają konie.

Lecz na tem skończyła się ich pomyślność. Napoleon bowiem dostrzegłszy to zamieszanie z wysokości zajmowanego przez siebie wzgórka, dosiada konia, przebiega pole bitwy, pędzi do ciężkiej jazdy Milhaud'a i rozkazuje brygadzie jenerała Travers z 7-go i 12-go pułku kiryssjerów złożonej, ruszyć śpiesznie na dragonów szkockich. Jeden z tych pułków uderzył na nich z frontu, drugi zaś, jako też i 4-ty ułanów jenerała Jacquinot, z boków natarli. Taki niespodziewany napad zmusza Szkotów cofać się w największym nieładzie, lecz ścigani i zewsząd parci, srogiej doznają klęski. Kiryssjery francuzkie pałając chęcią zemsty za porażkę piechoty, swemi długiemi szablami szerzą na około rzeź straszliwą. Nie mniej dzielnie popisywał się tu i 4-ty pułk ułanów pułkownika Bro. Wachmistrz Urban wpadłszy pomiędzy Szkotów, bierze do niewoli samego walecznego dowódzcę dragonów Ponsonby. Bronią go Szkoci, Urban kładzie ich trupem, nareszcie otoczony od kilkunastu dragonów, rzuca się na jednego niosącego sztandar 45-go pułku, wysadza go z siodła, pchnięciem lancy zabija, odbiera chorągiew, kładzie jeszcze trupem drugiego co zbliska nań natarł, i cały zbroczony krwią, staje przed swoim dowódzcą z zdobytym z taką chwałą przez siebie sztandarem. Takiej doznawszy porażki resztka Szkotów chroni się pod zasłoną piechoty Kempt'a i Pack'a, pozostawiwszy w naszych ręku 700 do 800 zabitych i rannych z pułku 1,200 koni liczącego.

Na samym krańcu korpusu d'Erlon'a, dywizja Durutte'a, składająca 4-ty szereg, doznała prawie tegoż losu co trzy inne szeregi. Dywizja ta posuwała się w porządku dla czterech dywizji przepisanym, to jest rozwinięte jej bataljony postępowały jedne za drugiemi w odległości pięciu kroków. Dostrzegłszy atoli jazdę Vandeleur'a gotową do szarży, pozostawiła z tyłu pułk 85-ty sformowany w czworobok dla powstrzymania zapędu przeciwnika. Silne jakkolwiek natarcie dragonów lekkich Vandeleur'a nie złamało tej dywizji, pierwsza tylko linija musiała ustąpić przed atakiem jazdy. Wsparta wszelako gęstym ogniem piechoty i dzielną pomocą 3-go szasserów, stanęła znów w porządku cofnąwszy się do czworoboku pułku 85-go dotąd nieprzełamanego.

Taki był rezultat natarcia Francuzów na lewe skrzydło Anglików, na którém Napoleon tak wielkie zakładał korzyści. Skutkiem mylnych obrotów Neya i d'Erlon'a, cztery kolumny naszej piechoty, wystawione na silne ciosy nieprzyjacielskiej jazdy, przyprawiły je o stratę około czterech tysięcy w zabitych, rannych lub do niewoli wziętych. Anglicy ponieśli również znaczne straty w swoich dragonach, w części piechoty Kempt'a i Pack'a, utracili jenerałów Picton'a i Ponsonby, w ogóle tyleż prawie co Francuzi. Lecz w każdym razie utrzymali się przy swojem stanowisku, co było ważnem, bo stawiało ich w możności powtórzenia pierwszego chybionego ataku. Jednakże, zostawała nam jeszcze część folwarku la Haye-Sainte; żołnierze nasi, jednakowym zawsze ożywieni zapałem, szykowali się już na brzegu doliny oddzielającej nas od Anglików. Napoleon zwrócił się w tę stronę, przejeżdżając zwolna około ich szeregów, wśród rykoszujących lub pękających granatów. Wtedy to waleczny jenerał Desvaux, dowódzca artyllerji gwardji, poległ przy jego boku.

Jakkolwiek wypadek tych działań nie mógł nazwać się pomyślnym, Napoleon okazywał żołnierzom oblicze spokojne, zaufaniem tchnące, dając im słyszeć, że innemi nateraz krokami zdołają oni przełamać zaciętość brytańską. Lecz w tej chwili uwagę jego inny zwrócił przedmiot. Jenerał-Domon, wysłany na spotkanie wojsk ukazujących się od strony kaplicy Saint-Lambert, doniósł, że to byli Prusacy, że już uciera się z ich przedniemi strażami, lecz że dla powstrzymania ich pochodu, potrzebna jest koniecznie piechota. Już nawet wyrzucone przez Prusaków kule, padły poza prawem naszem skrzydłem na szossę z Charleroy idącej. W tejże chwili wysłany od marszałka Grouchy oficer, zdoławszy przebyć rozdzielającą nas przestrzeń, doniósł, że wódz ten zamiast o godzinie 4-ej z rana, dopiero o 9-ej wyruszył z Gembloux i że idzie na Wavre.

Gdyby jenerał ten szedł w prostym kierunku na Mont-Saint-Jean, byłby się złączył z armją w tym właśnie czasie, to jest około godziny 3-ej. Napoleon atoli jasno już widział, że Grouchy ani przeznaczonego mu miejsca, ani całego swego zadania nie pojmuje i na przybycie jego więcej już nie liczył. Teraz więc przyszło mu się rozprawiać z dwiema armjami. Za późno już było myśleć o odwrocie, bo 130 tysięcy nieprzyjaciela sądząc się wtedy zwycięzkimi, raziłoby Francuzów z tyłu i z boków; napadom ich Napoleon stawiaćby mógł opór swojem 68 tysiącznem wojskiem, do 60 tysięcy ostatnią bitwą zmniejszonem. Zresztą żołnierz cofający się, uważając się za zwyciężonego, upadłby na duchu. Napoleon więc postanowił mężne tej burzy stawić czoło, a zaufany w waleczność swoich żołnierzy, zapał których zdawał się rość wraz z niebezpieczeństwem, pewnym był przełamania wszelkich trudności.

Hrabia Lobau udał się w prawo dla upatrzenia stosownej do obrony pozycji. Napoleon rozkazał mu posunąć się w tę stronę z swoim oddziałem, zmniejszonym do dwóch dywizji od czasu odkomenderowania dywizji jenerała Teste i liczącym na teraz 7,500 bagnetów. Nadto, dodał mu kilka baterji gwardji w miejsce owej 12-ej baterji, którą zniszczyły dragony szkockie. Bezzwłocznie więc hr. Lobau wyruszył na swe stanowisko i oddział jego opuszczając środek armji, przechodził pole bitwy wolnym a poważnym krokiem. Stanął on tworząc kąt z prawem naszem skrzydłem, i równolegle do szossy z Charleroy czyli pod kątem prostym do linji bojowej.

Wybrane przez hr. Lobau stanowisko było najsposobniejszem do oparcia się z małą liczbą sile przeważającej. Wyżej już nadmieniliśmy, że owa mała pomiędzy dwiema armjami ciągnąca się dolina, w przedłużeniu swojem była łożyskiem strumienia Smohain, który nieco dalej łączył się z strumieniem Lasne; pomiędzy niemi zaś wznosił się pewien rodzaj przylądka na pochyłościach swoich lasem porosłego. Na poprzecz tegoto przylądka stanął hr. Lobau, opierając się prawem skrzydłem o folwark d'Hanotelet, lewem o zamek Frichermont, i nie tracąc kommunikacyi z dywizją Durutte ku folwarkowi Papelotte ustawioną. Tym sposobem Lobau zagradzał przejście na przestrzeni dwoma strumieniami zawartej, mając przytem baterję o trzydziestu działach, oczekującą nieprzyjaciela z zapalonemi lontami.

Korpus Bülow'a wyruszywszy od kaplicy Saint-Lambert, zeszedł w nizinę strumienia Lasne drogą dość do przebycia trudną, postępował bowiem już to po piaskach, już po grzązkiej glinie, co utrudniało znacznie pochód artyllerji. Minąwszy już tę złą drogę, pozostawał mu jeszcze do przebycia gęsty lasek, w którym dobrze rozpołożony oddział

mógłby całą armję wstrzymać. Na nieszczęście, owo błędne przekonanie, że od tej strony nikt inny tylko Grouchy powinien był nadejść, kazało zapomnieć o wszelkich ostrożnościach, tak że Blücher złączywszy się z Bülow'em, na ten widok zadrżał z radości. Około godziny trzeciej, dwie pierwsze dywizje Bülow'a podsunęły się pod pozycję Lobau'a, dywizja Lothin'a ku strumieniowi Smohain, nakoniec dywizja Hiller'a zajęła stanowisko po nad strmieniem Lasne, obie zaś poprzedzała konnica. Zbliżaniu się ich stawiały opór ucierające się z jazdą szwadrony Domon'a i Subervic'a. Sam zaś Lobau w szyku bojowym stał na wzgórku w pogotowiu na powitanie Prusaków kartaczami.

Napoleon nie trwożąc się tem nowem położeniem rzeczy, zmienił plan działań w tej stronie. Ponieważ przeciwko Anglikom zajmował on stanowisko zaczepne, od niego więc zależało zawiesić z nimi walkę i nie rozpoczynać jej na nowo, aż po dostatecznem zbadaniu ważności ataku Prusaków. Postanowił więc na tych ostatnich tak silnie uderzyć, iżby natarciem tem wstrzymał ich przynajmniej na jednę lub dwie godziny, następnie zwrócić się do Anglików, dostać się wraz z korpusem d'Erlon'a z gwardją i ciężką kawalerją traktem bruxelskim na wyniosłości Mont-Saint-Jean, rzucić się z całemi swemi siłami na Wellingtona i tym rozpaczliwym krokiem rzecz zakończyć. Lecz dla pozyskania pewności skutku, należało koniecznie być w posiadaniu la Haye-Sainte, a to dla powstrzymania Anglików w czasie przewlekania z nimi walki i dla utorowania sobie drogi celem wydostania się na wzgórze, by ten ostateczny przeciwko nim cios wymierzyć. Nadto, na lewem skrzydle potrzeba było zapewnić sobie posiadanie zamku Goumont, bo to koniecznem było jako punkt oparcia. Napoleon polecił więc jakąbądź ofiarą zdobyć la Haye-Sainte i tam oczekiwać hasła stanowczego uderzenia na armję brytańską. Nadto, jenerałowi Reille, pozbawionemu ciężkiej artyllerji, niezbędnej do ataku na zamek Goumont, jego bowiem działa weszły w skład wielkiej owej baterji, Napoleon posłał kilka granatników, dla zapalenia folwarku i zamku.

Gdy się to działo, bitwa tak na lewem skrzydle jako i w środku armji bynajmniej nie słabła. Dywizja ks. Hieronima zapędziwszy się na z dobycie ogrodu i budynków zamku Goumont, tyleż prawie co nieprzyjaciel utraciła tam żołnierzy. Udało jej się nareszcie przedrzeć przez gęste płoty ponad lasem ciągnące się, nie mogąc atoli dostać się przez mury ogrodu strzelnicami najeżone, zwróciła się w lewo dla opanowania budowl folwarcznych, a tymczasem dywizja Foa, miejsce jej w lesie zajęwszy, odstrzeliwała się Anglikom wzdłuż ogrodu. Dowódzca 1-go pułku piechoty, pułkownik Cubières, który przed dwoma dniami odznaczył

się w ataku na las Bossu, okrążył budowle pod strasznym ogniem z wyżyn ziejącym; a dostrzegłszy z tyłu bramę wiodącą na dziedziniec zamkowy, postanowił ją wysadzić. Jeden z walecznych oficerów, podporucznik Legros, dawny podoficer inżenierji, zwany przez swych spółtowarzyszy *wyłamywaczem*, sam z toporem w dłoni wyważywszy bramę, z garstką dzielnych żołnierzy wtargnął na dziedziniec. Już Francuzi mieli zostać panami tej pozycji, kiedy pułkownik Macdonell na czele gwardji angielskiej wpadł, wyparł zdobywców, zatarasował bramę i tym sposobem ocalił dla siebie zamek Goumont. Mężny Legros śmierć tu znalazł. Pułkownik Cubières, ranny przed dwoma dniami pod Quatre-Bras, odniósłszy teraz kilka nowych ciosów i zwalony z konia, już miał równie przypłacić życiem, kiedy Anglicy ujęci jego wiekiem i odwagą, zbroczonego we krwi unieśli z pola walki. Trzeba więc było cofnąć się na skraj lasu i zrzec się nadaremnych pokuszeń o zdobycie tej fatalnej kupy łudynków. Lecz gdy nowo przybyła baterja granatników, ustawiwszy swoje działa na brzegu doliny, sypnęła gradem pocisków na folwark i zamek, ogień niebawem ukazał się ponad niemi; mimo to Anglicy, wśród pożaru nowemi coraz wzmacniani posiłkami, upornie trzymali się przy posiadaniu stanowiska tak ważnego dla obrony całej ich pozycji. Już walka ta kosztowała 3,000 ze strony Francuzów, a 2,000 Anglików, a jeszcze w korzyści jej nie otrzymaliśmy nic więcej nad zdobycie lasku Goumont. O lasek ten opierały się teraz dywizje ks. Hieronima i jenerała Foy, niejakie w nim znajdując schronienie, dywizja zaś jenerała Bachelu, uszczuplona do 3-ch tysięcy bitwą pod Quatre-Bras, tu także podstąpiła chcąc uniknąć razów artyllerji brytańskiej i w oczekiwaniu na przyjaźniejszą porę do zużytkowania swego męztwa. Cała więc przestrzeń pomiędzy zamkiem Goumont a szossą bruxelską, gdzie Ney nacierał na la Haye-Sainte, została prawie niezajętą.

Pod la Haye-Sainte Ney dokładał wszelkich usiłowań, by zająć pozycję, którą Napoleon pragnął posiąść, by ztamtąd właśnie stanowczo uderzyć na środek Anglików. Brygada jenerała Quiot pozostała w ogrodzie nie przestając miotać strzały na budynki folwarczne. Dywizje d'Erlona ustawiły się na skraju doliny, niemi bowiem Ney miał zamiar uderzyć na nieprzyjaciela, jak tylko sposobna ku temu nadejdzie pora. Znakomity ten wódz nie potrzebował zresztą żadnego bodźca do zagrzania go męztwem, gdyż jego niezrównana odwaga, w dniu tym zwłaszcza, zdawała się być ponad siły ludzkie. Wiedząc że Napoleonowi szło głównie o zdobycie la Haye-Sainte za jakąbądź cenę, z dwoma bataljonami dywizji Donzelota, która najprzód się złączyła, uderzył wprost na to stanowisko. Zagrzani obecnością samego dowódzcy, żołnierze wyparli

bramę folwarczną, i wpadłszy pomimo tysięcy kul na dziedziniec, wycięli bataljon legji niemieckiej, tej właśnie pozycji strzegącej. Z liczby 500 blisko ludzi, zaledwie czterdziestu z pięcią oficerami zdołało znaleźć ocalenie przed pałaszami kirysjerów, których cała brygada ciągły w bitwie tej udział brała.

Na widok tej powracającej garstki jednego ze swych pułków, legjon niemiecki chciał już nadbiedz mu z pomocą. Dwa odkomenderowane bataljony posunęły się aż do la Haye-Sainte, usiłując odebrać folwark. Ujrzawszy ich Ney, wysłał przeciwko nim oddział kirysjerów. Owe dwa niemieckie bataljony stormowały się zaraz w czworobok, ale kirysjerzy biegnąc w całym pędzie, rozbili jeden z tych dwóch czworoboków, wycięli go szablami i zdobyli chorągiew. Drugi mając więcej czasu do uszykowania się, podwójnemu oparł się natarciu; byłby go jednakże za trzecią szarżą spotkał los pierwszego, gdyby nie dana mu odsiecz ze strony gwardji konnej Sommerset'a. Kirysjery francuzkie zmuszone były cofnąć się, z tem srogiem zadowoleniem, że przynajmniej jeden z tych bataljonów w pień prawie wycięły.

Owładnąwszy la Haye-Sainte i sądząc, że teraz może już wyjść szosą bruxelską na główny plac boju i stanowczy szturm do armji angielskiej przypuścić, Ney zaczął stosowne obmyślać ku temu środki. Podsunąwszy już dywizje d'Erlona do la Haye-Sainte, ustawił je nieco na przodzie, z prawej zaś strony zajął najbliższą część drogi do Ohain, o którą przepołowione wojska Kempt'a i Pack'a nie mogły już ubiegać się. Chciał on nadto złączyć się swojem lewem skrzydłem z oddziałem jenerała Reille, którego trzy dywizje uszykowane pod lasem Goumont, pozostawiały próżne miejsce pomiędzy tym lasem a la Haye-Sainte. Już kilkokrotnie odnosił się on do Napoleona żądając posiłków do zapełnienia tej próżni i z twarzą promieniejącą od radości powtarzał jenerałowi Drouot, że gdyby tylko dostał jaki oddział wojska do swego rozporządzenia, odniósłby świetny tryumf i skończył jednym zamachem z armją brytańską.

Była godzina w pół do piątej, kiedy atak francuzkiego prawego skrzydła ustawionego pod kątem prostym na wojska Bülowa był już zdecydowanym. Wojska pruskie wychylające się z głębi pola lasem porosłego, pomiędzy strumieniem Smohain a Lasne, wchodziły pod górę na stanowisko, po prawej ich stronie stała dywizja Losthin'a, po lewej Hiller'a. Dzielny Lobau, z zimną krwią na nich oczekując, miotał grad kul, lubo te pochodu ich nie wstrzymały. Wprawdzie i Prusacy odpowiadali strzałami, a lubo pociski ich padały poza linją wojsk francuzkich, gdzie stały bagaże, sprawiały one atoli niejakie zamieszanie na

szossę z Charleroy idącej. Lecz widząc Lobau swojem wprawnem okiem, że Prusacy znikąd nie mają poparcia, korzystając z takiego ich położenia, natarciem bagnetami zmusił nieprzyjaciela cofnąć się ku lasowi, z którego niedawno co wyszedł. Powodzenie to, męztwu i przytomności umysłu dowódzcy 6-go korpusu przynależne, pozwoliło tylko zyskać nieco na czasie, nowe bowiem kolumny Prusaków przyszły w pomoc pierwszym, a niektóre z nich zabiegając od prawego skrzydła, gotowe były nas otoczyć. Lecz Napoleon z 24 bataljonami gwardji, nie lękał się tych zamachów; postanowił więc odeprzeć natychmiast Prusaków, zanim uderzy na Anglików, którym to ciosem pochlebiał sobie bitwę rozstrzygnąć. Zaraz więc polecił jenerałowi Duhesme z ośmioma bataljonami młodej gwardji posunąć się na prawe skrzydło 6-go korpusu i z 24 dział kartaczować Prusaków.

Napoleon pozostał w środku swojej armji z piętnastą bataljonami średniej i starej gwardji, a to w zamiarze, że z siłą tą, z kawalerją gwardyjską i całą rezerwą ciężkiej jazdy, jak piorun spadnie na Anglików, jak tylko atak na Prusaków pomyślnie się uda. Zresztą tyle oczekiwany Grouchy mógł już nadciągnąć. Była blisko godzina piąta; nie nagląc więc nawet marszu Grouchy mógł nadejść i uderzeniem na Prusaków z tyłu przyczynić się do pozyskania świetnego zwycięztwa. Temi kierując się widokami Napoleon kazał powiedzieć Neyowi, że nateraz nie mógł mu żadną miarą dać piechoty, że tymczasowo więc posyła mu kiryssjerów Milhaud'a, a to dla zapełnienia próżni pomiędzy wsią la Haye-Sainte a lasem Goumont; nadto zalecał mu, aby oczekiwał na jego rozkazy ataku, który miał stanowczo losy dnia tego przechylić.

Stosownie do wydanych przez Napoleona rozkazów, kiryssjery Milhaud'a poza dywizją d'Erlona stojące, ruszyły kłusem, a przebiegłszy pole bitwy od prawej do lewej strony, minęły w poprzecz szossę bruxelską i nareszcie stanęły za pierwszą brygadą, którą Ney kilkokrotnie już używał do walki z nieprzyjacielem. Zajęli więc pozycję pomiędzy la Haye-Sainte i lasem Goumont, a to dla zapełnienia miejsca po ustąpieniu ztąd dywizji Reille'a, które, jak powiedzieliśmy, zebrały się teraz pod lasem. Samo poruszenie tej straszliwej jazdy z ośmiu pułków z czterech brygad złożonej, żywe obudzało uczucie. Domyślali się wszyscy, że jazda ta użytą będzie do szarży, że zatem zbliża się tak długo oczekiwana ostateczna chwila. Przybycie kiryssjerów powitano okrzykiem: *Niech żyje cesarz!* na który oni podobnym odpowiedzieli. Jenerał Milhaud przejeżdżając blisko Lefebvre-Desnoëttes'a, dowódzcy lekkiej jazdy, rzekł ściskając mu dłoń: *Będę atakował; wspieraj mnie!* Lefebvre-Desnoëttes, którego zapał nowego nie potrzebował bodźca, sądząc że

słowa te są powtórzeniem rozkazu Napoleona, posunął się i stanął w tyle kiryssjerów. Pod Wagram, pod Fuentes d'Onoro, całe złe pochodziło z ustanowienia naczelnych dowódzców gwardji, którzy w dniach tych pamiętnych całą sprawę sparaliżowali; przeciwnie teraz, z powodu choroby Mortier'a, żałować należało braku tego dowódzcy, gdyż nie było nikogo, coby te nieumiarkowane zapędy powstrzymał, a na domiar nieszczęścia Napoleon musiał zajmowaną środkiem opuścić pozycję i posunąć się w prawo, dla pokierowania bitwą z Prusakami, którzy od razu zatrudnili nasze rezerwy i osobę samego głównego dowódzcy.

Ujrzawszy tyle i tak pięknej jazdy pod swemi rozkazami, Ney podwójnej nabrał ufności; z tem większą więc niecierpliwością pragnął usprawiedliwić powiedziane do Drouot'a słowa, że gdyby mu pozwolono działać, on sam skończyłby wprędce z Anglikami. W tym czasie ks. Wellington poczynił niejakie zmiany w swoim szyku bojowym, a to w skutku zmian zaszłych równie na stronie francuzkiej. Ponieważ dywizja Altena, środek i prawe skrzydło zajmująca, mocno ucierpiała, wzmocnił ją więc posunięciem korpusu brunświckiego i brygad Mitchell'a i Lambert'a. Nadto, jenerałowi Chassé, stojącemu w Braine l'Alleud polecił przejść i stanąć na samym końcu prawego skrzydła. W końcu, dywizję Clinton'a, dotąd na tyłach armji brytańskiej trzymaną, Wellington zbliżył nieco ku sobie, hanowerską zaś brygadę Vincke'go ustawił na lewem skrzydle, które od czasu bezowocnych pokuszeń d'Erlona i nadciągnięcia Prusaków, nie było na niebezpieczeństwo wystawione. Otrzymawszy już niezłe cięgi od naszej artyllerji, a zagrożony niemi więcej jeszcze od chwili zabrania przez wojska francuzkie la Haye-Saiate, Wellington postanowił ześrodkować nieco swoje wojska ku prawej stronie i cofnąć je nieco ku tyłowi, a siedząc na koniu w pośród nich, gotował je do silnego ataku, jakiego można było spodziewać się po błyszczących zdala kaskach naszych kiryssjerów i lancach lekkiej kawalerji gwardji.

Artyllerja angielska pozostała sama na brzegu płaskowzgórza, a to skutkiem cofnięcia się piechoty i zwykłej Anglikom taktyki. Zwyczajem ich bowiem było, że jeżeli artyllerja ich zagrożona była jazdą nieprzyjacielską, wtedy kanonjerzy, wziąwszy konie z całą uprzężą w środek, tworzyli czworobok, działa zaś pozostawiali same bez obrony, bo nieprzyjaciel, jako pozbawione zaprzęgu, zabrać ich nie mógł i dopiero kiedy minęła burza, wracali do dział, by z nich razić cofającego się nieprzyjaciela. Sześćdziesiąt więc armat stało na linji angielskiej pod dość słabą zasłoną, stanowiąc dla śmiałego nieprzyjaciela przedmiot dość żywej pokusy.

Polegając z ufnością na pięciu tysiącach świeżo nadesłanej kawa-

lerji, w cztery piękne szeregi uszykowanej, Ney rozogniony jeszcze walką pod la Haye-Sainte, nie mógł pozostać obojętnym na strzały dział angielskich; a widząc, że piechota angielska zrobiła ruch wsteczny, że działa stoją bez osłony, postanowił je zabrać. Jakoż stanąwszy sam na czele dywizji Delort'a z czterech pułków kiryssjerskich złożonej, posiłkując się nadto dywizją Wathier'a, bez względu na dość nieprzyjazne położenie, ruszył pełnym kłusem. Przeszkody i zawały na gościńcu bruxelskim i droga z Ohain wąwozem idąca, nie dozwoliły obrać prostego kierunku. Ney więc wziął się nieco w lewo, dotarł do wzgórza z swemi czterema pułkami i jak piorun wpadł na słabo bronioną artylleryję. Minąwszy już szereg dział i widząc cofającą się piechotę Altena, rzucił się na nią z kiryssjerami. Dzielna ta jazda nie bacząc na grad pocisków, w całym pędzie koni wpadła na czworoboki dywizji Altena i kilka z nich, rąbiąc z wściekłością, rozbiła do szczętu. Niektóre jednakże z tych czworoboków, jakkolwiek chwilowo ustąpiły przed naciskiem, szlusując się atoli szybko po wysadzonych z koni jeźdzcach, naprawiały niebawem zrządzone w swych szeregach szczerby. Inne znów nienadwerężone, nie przestawały śmiertelnym na nas miotać ogniem. Widząc taki opór Ney wysyła drugą dywizję Wathier'a, i wtedy siłą czterech nowych pułków kiryssjerskich, dywizja Altena wyparta, musiała się oprzeć aż o drugą linję piechoty angielskiej. W walce tej Francuzi rozbili kilka bataljonów niemieckich i hanowerskich, zabrali chorągwie, mnóstwo żołnierzy zdeptali końmi lub wycięli szablami. Kiryssjery, ten najstarszy żołnierz armji francuzkiej, nasycał swoją zemstę, tnąc bez miłosierdzia Anglików.

Niewzruszony Wellington wśród tej najcięższej burzy, przesuwa pomiędzy swoją piechotą gwardję konną Somerset'a, karabinjerów holenderskich Trip'a i dragonów Dornberg'a. Korzystając z nieuchronnego nieładu w naszej konnicy, szwadrony angielskie i niemieckie, wziąwszy nad nią górę, zdołały ją odeprzeć. Na ten widok Ney biegnie do Lefebvre-Desnoëttes'a i daje mu hasło do natarcia na jazdę angielską i niemiecką Wellingtona. Waleczni nasi ułani wpadają na gwardję konną i zręcznemi ciosami lanc odpierają ją napowrót. Szarża ta dała naszym kiryssjerom czas do zebrania się w szyk; niebawem więc wracają, i w połączeniu z szasserami i ułanami, rzucają się powtórnie na jazdę angielską. Powstaje zamieszanie, i pojedynczy bój z pałaszem lub lancą w ręku rozpoczyna się pomiędzy jeźdzcami obu tych narodów. Lecz i tu Francuzi górę wzięli, i kawalerja angielska pada trupem. Szczątki jej tylko zdołały się schronić poza czworoboki piechoty angielskiej, które znów sta-

nęły tamą dla francuzkiej zwłaszcza lekkiej jazdy, która jako nie okryta pancerzami, wiele ludzi i koni od kul straciła.

W czasie tak wściekłego rozpasania zawziętości ludzkiej, Ney utracił pod sobą dwa konie. Odzież jego i kapelusz poszarpały kule; mimo to sam nietknięty, ten najwaleczniejszy z walecznych, poprzysiągł zdruzgotać armję angielską. To co zdziałał wlewa mu dobrą otuchę, a to tem bardziej, że na przeciwnej pochyłości wzgórza widzi jeszcze nietknięte trzy tysiące kirysjerów i dwa tysiące grenadjerów konnej gwardji, które dotąd jeszcze nie brały udziału w bitwie. Żąda więc tej rezerwy dla dokonania zwycięztwa. Szeregi wyszłe z ognia uszykował na brzegu wzgórza, dając im czas wypoczynku, sam zaś popędził do tamtych dla użycia ich do bitwy.

Cała armja widziała z daleka ten wir straszliwy, a patrząc na mieszaninę hełmów i lanc, poruszających się w tę i w ową stronę bez zmiany atoli stanowiska, łatwo o rezultacie wnioskować mogła. Najprostszy żołnierz, samym instynktem wiedziony łatwo domyślał się, że raz rozpoczęte dzieło należało dalej prowadzić; w czem zupełną miał słuszność, bo jeżeli błędem było rozpoczynać je, większem daleko przerywać.

Napoleon, którego uwagę zwrócił ten zamęt kawalerji, zmiarkował jakie to kroki rozpoczął niecierpliwy Ney. Wszyscy otaczający go pochwalali to przedsięwzięcie; on jeden tylko, jako wódz doświadczony, który sam przewodniczył już przeszło w pięćdziesięciu bitwach, zawołał: *To zawcześnie o godzinę. Ten człowiek*, dodał Soult mówiąc o Neyu, *zawsze jest ten sam; on tu jak pod Jeną i Eylau sparaliżuje wszystko!* — Widząc atoli co się już stało, Napoleon postanowił poprzeć te działania dając rozkaz Kellermann'owi iść w pomoc kirysjerom Milhaud'a. Z trzema tysiącami kirysjerów Kellermann'a stała kawalerja gwardyjska złożona z 2,000 grenadjerów konnych i dragonów, wszyscy pałający chęcią pójścia na bój, bo w tym straszliwym dniu, konnicę jak i piechotę jeden ożywiał zapał.

Kellermann, który pod Quatre-Bras postępowanie Neya szalonym nazwał zapędem, ganił to rozpaczliwe użycie jazdy. Wątpiąc o skutku, zatrzymał przy sobie jednę brygadę karabinjerów, aby ją użyć w razie ostatniej potrzeby, resztę zaś z szczerym żalem oddał na usługi Neya, który wybiegłszy naprzeciw kirysjerów Kellermann'a, osobą swoją i gestami zagrzewając do walki, dotarł z nimi na brzeg płaskowzgórza, gdzie ucierająca się przed nimi jazda chwilowego szukała wytchnienia. Na to nowe natarcie, ks. Wellington z zimną krwią oczekiwał. Poza dywizją Alten'a, już prawie zupełnie zniesioną, ustawił on korpus księcia

Brunświckiego, gwardję Maitlanda, dywizję Mitchell'a, a w trzecim szeregu dywizje jenerałów Chassé i Clinton. Znieść te trzy silne ściany było dość trudnem zadaniem; przewróciwszy jednę, a nawet i drugą, niepodobna było mieć nadziei pokonania trzeciej. Mimo to nieulękniony Ney wypada na płaskowzgórze z pewni żelazem pokrytemi szwadronami; na dane od niego hasło, dzielny ten żołnierz z wzniesionemi w górę mieczami ruszył galopem wydając okrzyki: *Niech żyje cesarz!* Naoczni tej krwawej sceny świadkowie przyznają (*), że w dziejach wojen niepodobna równego temu napotkać przykładu. Te dwadzieścia szwadronów z jenerałami i oficerami na czele, uderzywszy całą siłą swych koni, mimo gradu padających kul, dotarło i złamało pierwszy szereg angielskiej piechoty. Nieszczęśliwa dywizja Altena, już i tak zdziesiątkowana, i tą razą padła ofiarą, 69-ty zaś pułk angielski cały zrąbany. Szczątki tej dywizji w największym popłochu zdołały zaledwie schronić się na gościniec bruxelski. Zebrawszy w szyk swoje szwadrony, Ney rzuca je na drugą linję, lecz tu, pomimo silnego natarcia, niepokonany napotyka opór. Złamano wprawdzie kilka czworoboków, większość atoli dotrzymuje placu; niektórzy z naszych jeźdźców oparli się aż o trzecią linję, lecz tu, jeśli ich nie dosięgły śmiertelne ciosy bagnetów, zmuszeni byli w największym pędzie cofać się i powtórną przypuszczać szarżę. Wtedy ks. Wellington postanowił poświęcić resztę swojej jazdy. Ciska ją więc w ten wir na śmierć nieochybną, bo jeżeli piechota angielska zdołała ostrzem swych bagnetów powstrzymać zapędy francuzkich kirysjerów, żadna wszelako kawalerja straszliwych ich ciosów wytrzymać nie zdołała. W takiej ostateczności wódz angielski zamierza użyć tysiąca huzarów Cumberland'a, dotąd jeszcze nietkniętych. Lecz na sam widok tego krwawego pobojowiska huzary pierzchają w nieładzie, a za ich przykładem na gościńcu bruxelskim tłumem uciekają wozy, ambulanse i rozbitki.

Nie bacząc na ten opór, Ney z szablą w ręku, postanawia położyć kres armji angielskiej. W tej chwili przybyła mu właśnie niespodziana pomoc; albowiem podczas owej walki olbrzymów, z niewiadomych mu powodów, nadbiegła ciężka gwardja konna. Pułk ten stał nieopodal pod zasłoną wzgórza: kilku jego oficerów, chcąc bliżej przyjrzeć się tym straszliwym zapasom Neya wysunęło się naprzód, a sądząc że wygrana już po jego stronie, z okrzykiem zwycięztwa zaczęli wstrząsać pałaszami. Na odgłos ten wysunęli się i inni oficerowie; wtedy najbliższe szwadrony, biorąc to za hasło boju, kłusem z miejsca ruszyły. Za niemi po-

(*) Mianowicie jenerał Foy w swoim *Journal Militaire*, w którym pisze, że w długim jego zawodzie wojskowym, nie zdarzyło mu się nigdy widzieć nic podobnego.

szły inne, a tak te 2,000 dragonów i grenadjerów konnych, mimowolnem porwane popędem, biegnąc po przemokłym i błotnistym gruncie, wdarły się na płaskowzgórze. Wysłany od Napoleona Bertrand, by ich powstrzymać, nie mógł ich już doścignąć. Korzystając z tej niespodzianej odsieczy, Ney ciska ją na tę spiżową ścianę, którą zdruzgotać zamierzył. Gwardja konna dokazuje cudów waleczności i rozbija czworoboki, lecz jako nie osłoniona pancerzami, traci mnóstwo żołnierza pod ogniem karabinowym. Niezachwianem ożywiony męztwem, Ney szle ponownie kiryssjerów Milhaud'a po chwili pozostawionego im wytchnienia i tym sposobem tworzy nieustanną szarżę, bo każdy szwadron po natarciu wracał na tył i znów po krótkim wypoczynku w całym pędzie koni na nowo nacierał. Niektóre nawet okrążały lasek Goumont, by uszykowawszy się w szeregi, do nowej wystąpić walki. Wśród takiej zaciętości Ney spostrzegłszy brygadę karabinjerów Kellermann'a w odwodzie stojącą, biegnie do niej i pyta, jakie jej działanie; w końcu mimo woli dowódzcy porywa ją i wiedzie na nieprzyjaciela. Nowy ten zastęp, nowe sprawia spustoszenie w drugim szeregu wojsk brytańskich, rozbija czworoboki, rąbie pod silnym ogniem trzeciego szeregu i kładzie trupem przynajmniej trzecią część drugiej linji nie tknąwszy jeszcze trzeciej. Ney nie ustępuje i jedenaście razy rzuca te 10,000 jeźdźców do walki, ściele ziemię trupem, a jednakże nie może zadać ostatniego ciosu piechocie, która jeśli jest powaloną, podnosi się, zbiera w szyk i znów strzałami dosięga. Pieniąc się od złości, utraciwszy już pod sobą cztery konie, bez kasku, w odzieży od kul podziurawionej, skontuzjonowany, lubo mocnemi niedotknięty blizny, Ney wysyła pułkownika Heymès'a, by oświadczył Napoleonowi, że jeżeli nadeszle mu gwardję pieszą, on niebawem zgniecie piechotę angielską wyczerpaną już i bezsilną.

Ożywiony tą nadzieją, widząc, że ukończenie walki siłą samej jazdy jest niepodobnem, że tu potrzeba koniecznie piechoty i bagnetów, zbiera swoją jazdę na skraju płaskowzgórza i wstrzymuje samą swą powagą. Przebiegłszy szeregi, napomina i przemawia, że pomimo ognia z dział tu im stać wypada, że wkrótce, jeśli tylko ich męztwo posiadanie płaskowzgórza utrzyma, nazawsze oswobodzą się od Anglików.—Na tem właśnie polu, moi przyjaciele, zawołał Ney, ma się rozstrzygnąć los naszego kraju; tu trzeba umrzeć lub utrwalić naszą niepodległość.—Opuściwszy kawalerję, popędził w prawo do d'Erlon'a, którego piechota zdołała opanować drogę z Ohain, nie przestając strzelać do szeregów Pack'a i Kempt'a prawie już zniesionych.—*Trzymaj się dobrze, kolego*, rzekł do niego, *bo jeżeli nas obu nie dosięgną tu kule angielskie, nie pozostanie nam nic, jak zginąć marnie od kul emigrantów!*—Smutne i bolesne prc-

roctwo!.. Niezrównany ten rycerz, przebiegający od szeregów piechoty do jazdy, podtrzymujący ich ducha wśród padających w około pocisków, pozostaje sam nietknięty, jak gdyby kule nieprzyjacielskie nie śmiały go dosięgnąć. Cztery tysiące jazdy jego zasłało już pole, lecz natomiast dziesięć tysięcy żołnierza angielskiego poniosło życie w ofierze swej uporczywej stałości. Wszyscy prawie ich jenerałowie mniej więcej ciężkie rany ponieśli. Mnóstwo uciekinjerów, pod pozorem uprowadzenia rannych, zmykało wraz ze służbą, wiwandjerkami, żołnierzami od pociągów, na gościniec bruxelski zapewniając, że wszystko stracone i że bitwa przegrana. Za to żołnierze, którzy szeregów swych nie opuścili, pozostali niewzruszenie na swoich miejscach. Książę Wellington, którego stałość równoważyła męztwo Neya, zapewniał swoich żołnierzy o nadciągających Prusakach, że oni ukażą się za chwilę, że nareszcie bądź co bądź trzeba czekać choćby przyszło umrzeć. Od czasu do czasu spogląda on na zegarek, pragnąc jak zbawienia prędszego nadejścia nocy lub Blüchera. Wszelako zostaje mu jeszcze na tem płaskowzgórzu 36,000 ludzi; nie rozpacza więc, choć widzi taką zaciętość Neya. Lecz i wódz francuzki nie traci nadziei; tak w tych dwóch wielkich sercach ważyły się losy dwóch narodów! Dziwne zjawisko znużenia objawiło się wtedy: strony bowiem walczące blisko na jedno-godzinny czas bój zawiesiły. Anglicy dali zaledwie kilka armatnich strzałów resztkami swojej amunicji, podobnież jazda francuzka, mając 60 dział i 6 chorągwi zdobytych i tysiące trupów u nóg swoich, stała teraz bezczynną.

Podczas tak bezprzykładnej bitwy, godnie i straszliwie ten krwawy wiek zamykającej, pułkownik Heymès przypadł do Napoleona z żądaniem piechoty dla marszałka.—Piechoty! zawołał z niestłumionym gniewem Napoleon, zkąd ją mam wziąć? czy mam ją stworzyć?... Widzisz co mam na karku, a co mi zostało...—Rzeczywiście, położenie prawego skrzydła było zatrważające. Do 30-tysięcznego korpusu Bülow'a, którego Napoleon usiłował powstrzymać swemi 10 tysiącami jenerała Lobau, przyłączały się teraz wychylające się z głębi lasu gęste kolumny Prusaków. Nie było więc wątpliwości, że przyjdzie teraz zetrzeć się z siłami Blüchera, liczącemi 80 tysięcy żołnierza, a przeciw którym Napoleon mógł postawić zaledwie 13 tysięcy gwardji pieszej, gdyż cała konna gwardja, wszystkie rezerwy dragonów i kiryssjerów zabrał Ney dla swoich zawczesnie przedsięwziętych kroków. Co się tycze nadciągnięcia marszałka Grouchy, Napoleon stracił już nadzieję, żadna bowiem wiadomość od tego dowódzcy nie nadchodziła i wodząc okiem po widnokręgu, najbystrzejszy wzrok, najwprawniejsze ucho, nie mogło uchwycić żadnego cienia, żadnego odgłosu, któryby mógł potwierdzić bliską jego

obecność. Gwardja piesza więc, której żądano od Napoleona, była jedyną jego ucieczką w tej straszliwej katastrofie. W istocie, gdyby cesarz własnemi oczyma mógł był widzieć położenie armji angielskiej, jak mu ją Ney określał, gdyby niebezpieczeństwo nie było się powiększyło od prawego skrzydła, byłby mógł samym korpusem hr. Lobau powstrzymać Bülow'a, a wtedy rzuciwszy gwardję pieszą na Anglików, byłby najprzód ich pokonał, a następnie zwróciwszy się na Prusaków, postawiłby przeciw nim wprawdzie szczątki sił swoich, ale szczątki zwycięzkie! Z bitwy tej Napoleon wyszedłby jako mąż waleczny, który mając do pokonania dwóch przed sobą wrogów i odniósłszy nad jednym zwycięztwo, sam na pół martwy rzuca się na trupa drugiego. Obok nieufności w zdanie Neya, nie mógł on przebaczyć mu zbytniego pośpiechu i widział całą armję pruską wysuwającą się z przepaści, ciągle nowe zastępy nieprzyjaciół dostarczającej. Zamiarem więc jego było, stanowczem starciem z Prusakami, pochód ich powstrzymać, a tem samem uprzedzić wątpliwą wygranę z czołem armji, tem bardziej że walka na prawem skrzydle mogła być śmiertelną i straconą. Wszelako po chwili rozwagi, hamując pierwsze swe uniesienie, wysłał do Neya odpowiedź mniej szorstką i nie tyle zasmucającą, jak dana zrazu pułkownikowi Heymès. Kazał powiedzieć marszałkowi, że jeżeli położenie trudnem było na płaskowzgórzu Mont-Saint-Jean, nie było łatwiejszem na brzegu strumienia Lasne; że tu ciążyła nań cała armja pruska, którą gdyby był Ney odparł lub przynajmniej powstrzymał, Napoleon ze swoją gwardją, rzutem rozpaczliwym, dokonałby zwycięztwa w połowie już nad Anglikami odniesionego; że w obecnym stanie rzeczy bądź co bądź należało utrzymać się na płaskowzgórzu, na które Ney wdarł się tak pośpiesznie i jeżeli tu zdoła pozostać jeszcze choć godzinę, Napoleon niebawem skuteczną przyniesie mu pomoc.

Podczas kiedy pułkownik Heymès wiózł tak niespodziewaną dla marszałka Ney odpowiedź, bitwa z Prusakami stawała się równie straszną jak z Anglikami. Blücher udawszy się sam na stanowisko, to jest na wzgórza otaczające strumień Lasne, widział dokładnie co się działo na równinach Mont-Saint-Jean, a choć w duchu cieszył się tem zakłopotaniem Anglików i niejako ukaraniem ich za zbyt późno udzieloną mu pomoc pod Ligny, nie chciał jednakże zachowaniem tej urazy narażać na szwank całą sprawę. Patrząc zdaleka na straszliwy attak francuzkich kiryssjerów, polecił jenerałowi Bülow uderzyć na prawe skrzydło Francuzów, Pirch'owi zaś prowadzącemu 15,000 żołnierza, dał rozkaz posiłkować Bülow'a wszelkiemi środkami, Ziethen'owi nakoniec takież prawie siły wiodącemu, poprzeć lewe skrzydło Anglików drogą z Ohain;

a tak jednym jak drugim przyśpieszać kroku i w ogóle tak się sprawić, aby w tym pamiętnym dniu całą wojnę ukończyć.

Zapał Blücher'a przeniknął serca wszystkich tak, że Prusacy ożywiani patrjotyzmem i nienawiścią wszelkich dokładali wysileń, aby się usadowić na tym, że tak powiem, przylądku, strumieniem Smohain i Lasne zamkniętym. Kiedy dywizja Losthin'a dobijała się do zamku Frichermont, a dywizja Hiller'a do folwarku Hanotelet, lukę pomiędzy niemi a Bülow'em pozostawioną, zapełniła kawalerja księcia Wilhelma. Waleczny hr. Lobau przebiegając na koniu szeregi swoich żołnierzy, nad któremi górował wysoką swoją postawą, z niezachwianą zimną krwią, cofał się zwolna jak na placu ćwiczeń wojskowych, jużto rzucając jazdę Subervic'a i Domona na szwadrony ks. Wilhelma, już wstrzymując bagnetami zapędy piechoty Losthin'a z lewej, a Hiller'a z prawej strony. Była godzina szósta, kiedy z 7,500 piechoty stracił jej około 2,500, pozostało mu więc 5,000 bagnetów do mierzenia się z 30,000 nieprzyjaciela. Największe niebezpieczeństwo zagrażało mu z prawego boku, gdzie Prusacy usiłowali oskrzydlić armję francuzką. Idąc w górę strumienia Lasne ku jego źródłu stoi wioska Planchenois, poza Belle-Alliance, to jest na prawo i w tyle naszej armji ciągnąca się. W razie więc gdyby nieprzyjaciel, idąc wzdłuż parowu, dotarł do wioski w głębi tegoż parowu położonej, Francuzi ujrzeliby się zupełnie odcięci i wtedy gościniec od Charleroy, jedyna ich ucieczka, byłby dla nich stracony. W tym celu właśnie Bülow dodawszy dywizję Rejssela w pomoc dywizji Hiller'a, posunął je parowem strumienia Lasne aż pod Planchenois, gdy tymczasem dywizja Haaken'a wspierała działania Losthin'a pod zamkiem Frichermont. Widząc tak groźne niebezpieczeństwo Napoleon sam tu nadbiegłszy, wysłał hrabiemu Lobau siły, jakiemi tylko mógł rozporządzać. Dla ustalenia punktu oparcia w samym wierzchołku kąta utworzonego swoją linją bojową, Napoleon wysłał dywizję jenerała Durutte na lewo pod folwarki la Haye i Papelotte, w prawą zaś stronę pod Planchenois posunął młodą gwardję jenerała Duhesme, dodawszy jej 24 dział, a to dla obrony stanowiska, które słusznie możnaby nazwać Termopylami Francji. Jakoż jenerał Duhesme, oficer doświadczony, mając pod sobą ośm bataljonów młodej gwardji, czyli około 4,000 ludzi, uszykował je po obu bokach parowu na krańcu którego leżała wioska Planchenois. Kiedy artyllerja obsypywała Prusaków gradem kul i kartaczy, młode jego piechury, w krzakach, za drzewami i po chatach wioski ukryci, bronili się śmiertelnym karabinowym ogniem, by nie dać sobie wydrzeć pozycji siłą około 20,000 nacierających nieprzyjaciół.

Około godziny w pół do siódmej Blücher dał rozkaz opanowania

wioski Planchenois; jakoż Hiller sformowawszy w kolumnę sześć bataljonów, po wyrzuceniu na wieś tysięcy kul i granatów, ruszył na bagnety. Żołnierze francuzcy z okien domów zioną na nich straszliwym ogniem, poczem Duhesme wysławszy jeden ze swych bataljonów, odpiera bagnetem Prusaków, spycha ich powtórnie do parowu, gdzie artyllerja francuzka obsypuje ich gradem kartaczy. Pod takim więc naciskiem Prusacy widząc bezskuteczność swoich usiłowań cofają się w nieładzie; lecz nieulękniony Blücher ponawia rozkaz zajęcia Planchenois. Jakoż Hiller po chwili wypoczynku powtórnie szykuje swe szeregi, a dodawszy im ośm czyli razem w czternaście bataljonów idzie do szarży pewny będąc, że tym razem zdoła opanować wioskę, cel tak krwawej i morderczej walki. Te czternaście bataljonów rzuciły się więc w parów otoczony z obu stron francuzkim żołnierzem, postępując wśród prawdziwie piekielnego ognia. Prusacy padają stami, nic to jednakże ich nie wstrzymuje; idą po trupach swoich towarzyszy, prąc jedni drugich i nareszcie wpadają do owej nieszczęsnej wioski Planchenois, a nawet aż do końca samego parowu. Jeden więc jeszcze krok, a gościniec od Charleroy w ich będzie posiadaniu. Młoda nasza gwardja zmieszana gwałtownością takiego natarcia, zaczęła się cofać; lecz Napoleon jest przy niej! Wszystko to stara gwardja ma naprawić. Ten niezwyciężony żołnierz nie dopuści przecięcia linji odwrotu, tej jedynej drogi ocalenia armji. Napoleon przyzwawszy do siebie jenerała Morand, polcca mu, z dwoma bataljonami 2-go pułku grenadjerów i 2-go strzelców, pójść i odeprzeć ten niebezpieczny zamach dla tyłów wojska. Przebiegając przed temi szeregami: Żołnierze, zawołał, przyszła na nas chwila najważniejsza; nie strzałami, ale ostrzem waszych bagnetów i starciem się pierś o pierś trzeba wpakować nieprzyjaciela do wąwozu z którego wyszedł i zkąd zagraża całej naszej armji, cesarstwu i Francji!—Okrzyk: *Niech żyje cesarz*! był jedyną odpowiedzią tego walecznego zastępu. Te dwa bataljony rozbijają czworobok, i uszykowane w kolumny na lewo i na prawo, wpadają na brzeg wąwozu zkąd Prusacy całą massą kroczyli. Spotkanie się z przeciwnikiem krokiem pewnym i silnem ramieniem zmusza ich do odwrotu. Rozwścieczeni na wroga, który nas otoczyć usiłował, żołnierze ścielą trupem i mordują wszystko co im śmie opór stawiać; reszta jednym potokiem szuka ocalenia w ucieczce. Bagnetem i kolbami kolą i biją uciekających; zapał do tego doszedł stopnia, że tambormażor jednego z tych bataljonów gałką swej laski dosięgał i bił cofających się Prusaków. Porwane tym samym wirem dwa bataljony starej gwardji rzucają się w wąwóz i pędząc przed sobą Prusaków, wpadają za nimi na przeciwne wybrzeże parowu aż pod wieś Maransart położoną na wprost wioski

Planchenois. Lecz tu przyjęci kartaczami, uderzyli na odwrot. Ostatecznym wynikiem tej potyczki było utrzymanie się przy posiadaniu wsi Planchenois i gościńca Charleroy, a do tego, jako też i na pomszczenie strat zadanych młodej gwardji dwa bataljony wystarczyły. Liczbę ofiar tak straszliwej szarży oceniają na dwa tysiące poległych.

Sądząc z pozorów można było mniemać, że ów zatrważający atak Prusaków z boku, był już ostatecznie zniweczony. Podług wszelkiego podobieństwa nowy atoli zajść tu mógł wypadek: oczekiwany tak długo Grouchy powinienby nadciągnąć, a wtedy Prusacy w dwa ognie wzięci musieliby nieochybną ponieść klęskę. W istocie, od strony Wavre huk dział niekiedy dolatujący świadczył o obecności w tym punkcie naszego prawego skrzydła; oddział więc którego wysłanie tak wyraźnie było zalecone, powinien był być w drodze, jego zaś ukazanie się na tyłach Bülow'a ważne wywarłoby skutki. W samym kącie naszej linji bojowej, pod Papelotte, trzymał się Durutte; środek zaś ku lewej stronie, to jest płaskowzgórze Mont-Saint-Jean zakrywała nasza konnica; w tym czasie właśnie złożono u stóp Napoleona sześć chorągwi na piechocie angielskiej przez naszą jazdę zdobytych. Zaciemniony więc horyzont dnia tego zaczął się nieco wyjaśniać. Uciśniona chwilowo pierś Napoleona zaczęła nieco swobodniej oddychać; powiódłszy bowiem swoją starą gwardję w pomoc jeździe, mógł liczyć na zwycięztwo i zupełną porażkę Anglików. Dotąd 68,000 Francuzów stawiało czoło przeciw blisko 140,000 Anglików, Prusaków, Holendrów, Niemców, wydarłszy im większą część pola bitwy.

Chwytając chwilę stanowczą, jaka się odparciem Prusaków nastręczyła, Napoleon, by rzucić swoje rezerwy na Anglików, rozkazuje ściągnąć starą gwardję, wsunąć w środek wyciągniętej linji, to jest na płaskowzgórze Mont Saint-Jean, by przemknąwszy ją następnie pomiędzy szeregami kirysjerów, uderzyć na osłabioną piechotę brytańską. Lecz i jazda nasza, jakkolwiek dotychczasowemi wysiłkami znacznie osłabiona, nie chce pozostać w tyle działań, a ożywiana jednym zawsze zapałem pragnie wraz z starą gwardją pójść na nieprzyjaciela, chcąc raz już skończyć tę straszliwą walkę. Prawda, że na wypadek nieprzewidziany nie pozostanie już żadna rezerwa, ale tu wielki gracz przyszedł do ostateczności, w której rozpacz zastępuje miejsce roztropności!

Z 21-ch bataljonów gwardji napoleońskiej, zmniejszonych po bitwie pod Ligny do 23 ch, 13 nie brało jeszcze udziału w boju. Ośm bataljonów młodej gwardji znużone ciężkiemi trudami pod Planchenois, nie mogły być jeszcze ponownie użyte; dwa bataljony starej gwardji, te właśnie które zdecydowały porażkę Prusaków, nie mogły również opuścić

swego stanowiska. Z trzynastu pozostałych, jeden stał w czworoboku na rozdrożu gościńców z Planchenois i Charleroy wiodących; siła to była zaiste nie zbyt wielka dla strzeżenia naszej linji komunikacyjnej. Zabierając nawet te ostatnie posiłki, należało koniecznie pozostawić na wszelki wypadek przynajmniej dwa bataljony przy głównej kwaterze. Pozostawiwszy więc dwa bataljony 1-go pułku grenadjerów w Rossomme, to jest nieco w tyle folwarku Belle-Alliance, resztę, to jest dziesięć bataljonów liczące około 6,000 piechoty, sam naprzód poprowadził. Bataljony te składały średnia i stara gwardja, mniej więcej dawni i doświadczeni żołnierze, gotowi zwyciężyć lub umrzeć i dość silni do przełamania jakiegobądź szeregu piechoty.

Już Napoleon zaczął wojsko szykować w kolumny do attaku na brzegu doliny rozdzielającej nas od Anglików, kiedy nagle kilka strzałów karabinowych od strony Papelotte czyli z kąta linji bojowej, zwróciły jego uwagę. Jakieś drżenie ścisnęło mu serce. Byłżeby to nadciągający Grouchy, czy też nowy zastęp Prusaków? Niespokojność ta wzrosła, gdy ujrzał pierzchających z pod Papelotte żołnierzy Durutte'a, którzy na zdradliwy okrzyk *uciekajmy!* rzeczywiście w ucieczce ocalenia szukać zaczęli. Napoleon biegnie ku nim, przemawia, przywodzi do porządku i sam wraca do la Haye-Sainte; lecz tu zwróciwszy wzrok w stronę płaskowzgórza, dostrzega jakieś zamieszanie w konnicy dotąd nieruchomej. Smutne przeczucie targa jego duszą, domyśla się bowiem, że jeźdzcy nasi na wzniesieniu stojący spostrzegli zapewnie nadciągające nowe zastępy Prusaków. Nie tracąc chwili czasu i nie poddając się rozpaczy, w syła śpiesznie la Bédoyère'a aby przebiegłszy wzdłuż szeregi jazdy, zapewnił ją, że słyszane strzały pochodzą od Grouchy'ego, że ważne gotują się wypadki, aby tylko oni placu dotrzymali. Zaleciwszy la Bédoyère'owi rozsiewanie tak użytecznego na tę chwilę kłamstwa, Napoleon postanawia uderzyć z przyprowadzonemi 10 bataljonami na płaskowzgórze Mont-Saint-Jean. Cztery z nich porucza walecznemu Friant'owi, aby ten łącznie z resztkami korpusu jenerała Reille wykonał ostatni rozpaczliwy attak. Pozostałe zaś sześć bataljonów ustawia w przekątni pomiędzy la Haye-Sainte a Planchenois w ten jednakże sposób, iżby, zachowawszy związek pomiędzy czołem wojska z prawem jego skrzydłem, nowym mógł zapobiedz wypadkom. Zamiarem jego było, jeśli tylko ważne nie przeszkodzą okoliczności, sam poprowadzić te sześć bataljonów, wraz z wysłanemi naprzód czterema rozbić linję wojsk angielskich i w ten sposób dzień zakończyć.

Wiodąc szosą bruxelską owe cztery bataljony na pierwszy attak

przeznaczone, Napoleon spotkał zatrwożonego Neya, który mu oświadczył, że konnica gotowa jest nie dotrzymać placu, jeżeli bezzwłocznie nie nadejdzie jej w pomoc piechota. Napoleon daje mu te dopiero co przyprowadzone cztery bataljony, przyrzekając jeszcze sześć; nie dodał jednakże, że ocalenie Francji od zamierzonej szarży zawisło. Z temi czterema bataljonami Ney wdziera się na płaskowzgórze w tej właśnie chwili, kiedy resztki oddziału jenerała Reille szykowały się do wyjścia z lasu Goumont.

Podczas kiedy Ney i Friant gotują się do szarży ze swoją piechotą, ks. Wellington poznawszy zdala bermyce gwardyjskie, uczuł, że nadeszła stanowcza chwila, w której sława Anglji i jego ma być nagrodą ostatecznych wysileń. Widział on nadciągające z daleka nowe kolumny pruskie, spodziewając się więc ztąd pomocy, postanowił trzymać się do ostatka, tem bardziej gdy za nim mnóstwo zbiegów zaścielało już drogę bruxelską. Starał się więc tylko w swoich towarzyszów broni przelać moc duszy jaka wodza tego cechowała. Kiedy Kempt dowodzący lewem skrzydłem w miejsce poległego w tej chwili Picton'a, żądał posiłków nie mając już sam jak 2 do 3,000 ludzi: Niech giną wszyscy, odrzekł wódz angielski, ja nie mam kogo im posłać.—Jenerał Hil, dowódzca drugiej armji zwrócił jego uwagę mówiąc: Książę możesz tu zginąć: jakież zostawiasz mi rozkazy?—Umrzeć aż do ostatniego żołnierza, aby tem samem dać czas nadejścia Prusakom.—Po tych pełnych szlachetności słowach Wellington kazał ścisnąć swoją linję, zgiąwszy ją nieco w łuk tak, aby nacierających brać w ogień spółśrodkowy; gwardji zaś Maitland'a polecił przypaść do ziemi oczekując nieruchomie na ukazanie się gwardji cesarskiej.

Jakoż Ney i Friant niebawem posunęli swoje cztery bataljony eszelonami; bataljon od lewego skrzydła ruszył naprzód, inne szły za nim, a każdy już to nieco w prawo, już w tyle za poprzedzającym. Lecz zaledwie pierwszy w wyciągniętej ukazał się linji, obsypał go grad kartaczy, straszliwie szeregi jego dziesiątkujący. Zachwiał się chwilowo lecz nie cofnął ten zastęp niezwiedzich czapek i z heroicznem męztwem ruszył na nieprzyjaciela. Inne szeregi, nie bacząc na rażący je ogień, dążą za nim, i jeżeli staną na chwilę, to tylko aby wzajemnemi strzałami odwetować zrządzone im straty. W tymże czasie dywizje jenerałów Foy i Bachelu z korpusu Reille'a wypadają od lewego boku i część strzałów nieprzyjacielskich zwracają na siebie. Wystrzeliwszy broń swoją, już gwardja biorąc karabiny do attaku gotowała się do zmierzenia w śmiertelnych zapasach z piechotą brytańską, kiedy nagle na dane od ks. Wellingona hasło, leżąca na ziemi gwardja Maitlanda podnosi się i bliskim strza-

łem trupami francuzkich żołnierzy ziemię zaścieła. Taka straszliwa niespodzianka nie wstrzymuje jednakże nieulęknionych gwardzistów; ścisnąwszy kolumny idą oni naprzód. Sędziwy Friant, ów wzór starej gwardji, mimo ciężkich ran, zsiada z konia cały krwią zbroczony, i zapowiada nieomylne zwycięztwo, jeśli tylko nowe posiłki poprą jego usiłowania. W tej właśnie chwili Napoleon sformowawszy czworobok z jednego bataljonu gwardji dla powstrzymania szarżującej jazdy nieprzyjacielskiej, posuwał się chcąc sam poprowadzić do boju pozostałe mu pięć bataljonów. Słuchając więc przełożeń Friant'a z okiem zawsze ku prawemu skrzydłu zwróconem, nagle od strony Papelotte spostrzega około 3,000 jeźdzców zbiegających z pochyłości wzgórza. Były to szwadrony Vandeleur'a i Vivian'a, które ujrzawszy nadciągający drogą z Ohain korpus pruski Ziethen'a, pewne teraz poparcia, śmiało naprzód ruszyły. I tak też rzeczywiście było: bo kiedy korpus Pirch'a wspierał działania Bülow'a, w tymże czasie korpus Ziethen'a obszedłszy las Soignes, zmierzał w lewo z pomocą Wellingtonowi. Była już godzina ósma, przybycie więc jego mogło wszystko stanowczo rozstrzygnąć. W mgnieniu oka jazda Vandeleur'a i Vivian'a okryła sam środek pola bitwy. Napoleon, który w środku doliny pozostawił bataljon w czworobok ustawiony, biegnie by inne w takież sformować czworoboki, a tem samem nie dopuścić przebicia jego linji pomiędzy la Haye-Sainte a Planchenois. Gdyby kawalerja gwardyjska nie była czynną, Napoleonowi nie trudno byłoby zmieść te szwadrony Vivian'a i Vandeleur'a, a wtedy oczyściwszy plac boju, mógłby łatwo przywieść do siebie walczące pod Mont-Saint-Jean lewe skrzydło i środek swej armji, a zebrawszy pozostałe mu siły spocząć na noc na polu bitwy. Lecz na nieszczęście, z całej kawalerji gwardji pozostało przy nim tylko 400 szaserów, którzy mieli stawić czoło trzem tysiącom nieprzyjacielskiej jazdy. Rzuca jednakże tę garstkę dzielnych żołnierzy na szwadrony Vivian'a i Vandeleur'a, odpiera pierwsze ciosy Anglików, w końcu atoli ustępując przed siłą coraz napływającej fali nieprzyjaciół cofa się ciężkie ponosząc straty. Wtedy w jednej chwili tłumy jeźdzców w mundurach angielskich i pruskich zapełniają pole bitwy. Zieją na nich ogniem owe niewzruszone twierdze czworoboków, nie mogą wszakże nie dopuścić im rozbiegania się na wszystkie strony. Na dopełnienie miary nieszczęść, piechota Ziethen'a śpiesząc za jazdą pruską, rzuca się na dywizję Durutte'a już przepołowioną, wypiera ją z folwarków la Haye i Papelotte i odbiera tem samem Francuzom główny punkt ich linji bojowej, uszykowanej w klamrę od chwili, kiedy walkę z dwoma naraz nieprzyjaciołmi wieść należało. Straszny teraz powstał zamęt. Ciężka kawalerja francuzka niepokonanym uporem Neya na

wzgórzach pod Mont-Saint-Jean zatrzymana, widząc że może być otoczoną, zaczęła się cofać, by nie zostać odciętą od czoła armji. Ruch taki wykonany na gruncie pochyłym, zamienił się wprędce w gwałtowny potok ludzi i koni. W ślad za kawalerją chronią się ucieczką szczątki oddziału d'Erlon'a. Upojony radością wódz angielski, który dotąd działał tylko odpornie, zmienia teraz swój szyk boju i posuwa swoją linję przeciw szeregom pieszej gwardji francuzkiej do połowy już zmniejszonej. Z prawej i lewej strony armje angielska i pruska, poprzedzana artylerją morderczym zionącą ogniem, tłoczy zewsząd Francuzów. Napoleon patrząc na nieuniknioną klęskę usiłuje przynajmniej powstrzymać uciekających, by ich zwrócić w pomoc gwardji w czworobokach stojącej. Z rozpaczą w duszy a spokojem na czole, nie cofa się przed gradem kul, aby piechotą swoją stawić tamę tym wzbierającym falom zwycięzkich nieprzyjaciół. W tej właśnie chwili dosiadł on siwego, źle ujeżdżonego konia, który na każdy świst kuli lub huk pękającego granata, rzucał się i wspinał; woła więc na pazia Gudin, aby mu podał innego, oczekując zawsze jako łaski niebios ciosu, któryby ostatecznie przeciął pasmo jego życia!

Piechota angielska i pruska ciągle posuwające się naprzód, zmusiły nasze czworoboki uderzyć do odwrotu, gdyż dłużej niepodobna było oprzeć się pędzącym na nie falom nieprzyjaciela i swoich ucieczką się chroniących. Armja nasza dokazawszy w dniu tym cudów waleczności, nagle wpadła w stan zwątpienia, zwykłe silnych wzruszeń następstwo. Nie mając zaufania do swoich dowódzców całą wiarę pokładała jedynie w Napoleonie; tymczasem na domiar nieszczęść zmrok plac boju okrywający nie dozwalał go widzieć. Napróżno go śledzą, pytają, szukają, w przekonaniu więc że zginął, ostatecznej poddają się rozpaczy. Jedni mówią że cesarz jest ranny, inni że zginął; wszystko więc idzie w rozsypkę, a łącząc z tą wieścią przekonanie zdrady, nabywa przeświadczenia, że już nie ma co robić gdy wodza nie stało. Gdyby jaki oddział na tyłach stojący mógł potok ten wstrzymać, zebrać, oświecić i żyjącego Napoleona okazać, wojsko to gotowe zawsze iść na bój i śmierć stanęłoby jeszcze do walki. Lecz niestety! wszystko już było oddane, a owe cztery czy pięć czworoboków gwardji w pośród stu pięćdziesięciu tysięcy zwycięzkiego przeciwnika, były jak owe szczyty skał pianą rozhukanego oceanu pokryte. Wojsko nie widząc nawet tych czworoboków pochłonionych tłumem nieprzyjaciela ucieka w nieładzie drogą ku Charleroy, na której spotyka parki swojej artyllerji, uprowadzające wypróżnione jaszczyki. Zamęt wzrasta i gościniec staje się prawdziwym chaosem. Dzieje świata przedstawiają kilka tylko ustępów szczytnej rozpaczy; na wie-

czną więc cześć męczenników sławy, a na karę tych, którzy bez potrzeby krwią tylu tysięcy ludzi frymarczą, historja ustępy te opisać powinna!

Owe szczątki bataljonów gwardji chaotycznie w dolinę wyparte walczą zapamiętale. W tej to ciężkiej chwili usłyszano słowa, które przejdą wieki: *Gwardja umiera, ale się nie poddaje!*—słowa wyrzeczone podług jednych przez jenerała Cambronne, podług innych zaś przez pułkownika Michel. Śmiertelnie prawie raniony Cambronne, nie dozwala, aby żołnierze opuszczali szeregi dla odniesienia go na bok. Drugi bataljon 3-go pułku grenadjerów w dolinie pozostawiony i z 500 na 300 ludzi uszczuplony, mając pod stopami trupy swoich spółtowarzyszy, a przed sobą tłumy nacierającej nieprzyjacielskiej jazdy, nie chce złożyć broni i walczy zapamiętale. Ściskając za każdym ubytkiem swoje szeregi, oczekuje ostatniego natarcia, a obskoczony na raz ze wszystkich stron daje ognia i kilkaset jeźdźców kładzie trupem. Wtedy zacięty nieprzyjaciel sprowadza działa i strzela na oślep na cztery kąty czworoboku. Żywa ta warownia nie znajdując już oparcia w swoich kątowych krańcach, ściskawszy swój czworobok, nieforemny wprawdzie ale zawsze nie ustępujący przedstawia zastęp. Aby zająć więcej miejsca, a tem samem zasłonić ukrytych w środku rannych, ta garstka gwardji formuje się w dwa szeregi, i nowym strzałem razi i powala nowo nacierających wrogów. Korzystając z chwilowej ich zwłoki, czworobok zmienia się w trójkąt zwrócony ku nieprzyjacielowi tak zawsze, aby cofając się osłaniać tych, którzy się poza jego bagnetami schronili. Niebawem nowy attak z wezwaniem podania się. *Nie poddamy się!* odpowiadają waleczni żołnierze, których garstka zaledwie 150 ludzi liczyła. Nareszcie po ostatnim wystrzale wszystko rzuca się na konnicę, bagnetami powala ludzi i konie, aż w końcu po tem ostatniem wysileniu, giną wszyscy śmiercią walecznych. Zdumiewające poświęcenie, jakiego na kartach dziejów równego nie spotykamy!

Ney zakończając godnie ten dzień, w którym Bóg, na odpokutowanie dopuszczonych błędów, dozwolił mu najwyższe rozwinąć męztwo, Ney zstępując ostatni ze wzgórzy Mont-Saint-Jean, napotkał szczątki dywizji jenerała Durutte cofającej się z placu boju. Kilka set ludzi, zacne resztki tej dywizji, wraz częścią 95-go pułku dowodzonego przez szefa bataljonu Rullière, z bronią w ręku ustępowały. Jenerał Durutte wysunąwszy się nieco naprzód dla znalezienia drogi, spotkał Neya bez kapelusza, z złamaną szpadą, z podartą odzieżą śpieszącego w chęci powstrzymania i zwrócenia na nieprzyjaciół uciekających żołnierzy.—Pójdźcie, moi przyjaciele, pójdźcie obaczyć jak umiera marszałek Francji!—Dzielni ci żołnierze zagrzani jego obecnością, nagłym obrotem rozpaczliwie rzu-

cają się na ścigającą ich kolumnę pruską. Po straszliwej rzezi jaką w szeregach Prusaków sprawili, sami nareszcie w około obskoczeni, zaledwie w 200 ludzi z życiem uchodzą. Dowódzca bataljonu Rullière złamawszy drzewce na którem obsadzony był orzeł, godło pułku, i ukrywszy go pod surdutem, biegnie za Neyem, który lubo pięć koni już pod sobą utracił, żadnej wszakże nie poniósł blizny. Dzielny ten wódz szedł pieszo, dopóki mu jeden z podoficerów jazdy nie podał swego konia, na którym połączył się z armją pod zasłoną nocy, cieniem swoim, jak grobowym całunem, okrywającej pole bitwy, na którem legło 60 000 ludzi zabitych lub rannych, Francuzów, Anglików i Prusaków.

W pośród tej straszliwej sceny, żołnierze francuzcy uciekający w nieładzie, śledząc oczyma za ubóstwianym przez siebie mężem, a jednakże głównym sprawcą ich nieszczęść, nie przestawali dopytywać się o Napoleona, a sądząc że poległ, kroków przyśpieszali. Rzeczywiście, cudem to nazwać można, że Napoleon w dniu tym śmiercią nie przypłacił; widać że tak dla niego jak i dla Neya Opatrzność zachowała inny, więcej nauczający koniec! Narażając się napróżno na tysiące śmierci, szedł on teraz w pośrodku czworoboku pierwszego pułku grenadjerów pod dowództwem pułkownika Martenot, szedł w pośród mnóstwa rannych, otoczony swemi staremi grenadjerami, którzy dumni tym świętym, pieczy ich powierzonym zakładem, postanowili bronić go do ostatka, w tem zawsze silnem przekonaniu, że nie należy rozpaczać o losach ojczyzny, dopóki dawny wódz ich żyje.

Lecz Napoleon niczego już się nie spodziewał. Jechał on konno w pośród owego czworoboku, z twarzą posępną i obojętną, a zapuszczając w przyszłość swój wzrok przenikliwy, inne skutki z dnia tego niż przegraną bitwę dla siebie upatrywał. Głęboką zadumę przerywał niekiedy zapytaniami o losy swoich jenerałów, z których kilku rannych znajdowało się w czworoboku. Nikt nie wiedział co się stało z Neyem, wiadomem było tylko, że Friant, Cambronne, Lobau, Duhesme, Durutte byli ranni; to powiększało właśnie niespokojność o ich los, Prusacy bowiem dobijali wszystko co się w ich ręce dostało. Anglicy zaś, trzeba im oddać sprawiedliwość, w tej zaciętej wojnie, w której deptano wszelkie prawa ludzkości jakie narody ucywilizowane względem siebie zachować są obowiązane, jedni tylko szanowali rannych. Oni też z czcią należną zabrali z pola bitwy ciężkiemi okrytego ranami jenerała Cambronne. Zresztą, w czworoboku osłaniającym Napoleona panowało takie odrętwienie, że wszyscy w ponurem postępowali milczeniu. Sam tylko Napoleon przerywał je niekiedy rzucając urywane zapytania już to do naczelnika sztabu, już do brata swego Hieronima towarzyszącego mu w tym

smutnym pochodzie. Czasem tylko, gdy jazda pruska zbyt nacierała, zatrzymywano się by ją odeprzeć ogniem frontowym i znów cały ten zastęp szedł milczący, szarpany od czasu do czasu tłumem uciekających, albo też party siłą nieprzyjacielskiej jazdy. Była już godzina jedenasta wieczór, kiedy ta skołatana garstka przybyła do Genappe. Tymczasem wozy artylleryjskie tak zabarykadowały most tego miasteczka, że pomimo naglącego położenia, nikt przedrzeć się nie mógł. Szczęściem tylko, rzeczkę Dyle płynącą pod Genappe łatwo było w bród przebyć, każdy więc rzucał się w nią by jak najprędzej na przeciwne dostać się wybrzeże. Był to nawet środek zapewniający naszym żołnierzom ocalenie; łatwiej bowiem było pojedynczo przechodzić tu niewielką przestrzeń wody, niż wojsku w pełnym idącemu szyku.

Przybywszy do Genappe Napoleon opuścił czworobok gwardji, ową dotąd jedyną swoją osłonę; inne zaś czworoboki natłoczone rannymi i uciekającymi, musiały się tu rozwiązać. Poczynając więc od Genappe, każdy cofał się jak mógł. Żołnierze artylleryjscy nie mogąc już uprowadzić dział, lubo nie tyle co konie zawadzały, odciąwszy powrozy, uchodzili tylko z uprzężą. Tym sposobem około 200 armat dostało się w moc nieprzyjaciela, lubo żadna podczas boju nie była zabraną. Rzecz dziwna, że w bitwie tej Francuzi jednę tylko stracili chorągiew, bo utracony drugi sztandar 45-go pułku z korpusu d'Erlon'a, podoficer od ułanów Urban odzyskał. Nadto, jako jeńcy dostali się w ręce nieprzyjaciela sami tylko ranni. W nieszczęśliwym tym dniu Francja straciła dwadzieścia kilka tysięcy ludzi, licząc w to 5 do 6 tysięcy rannych przez Anglików zabranych. Dwudziestu jenerałów, mniej lub więcej ciężkie odniosło rany. Straty Anglików równały się prawie naszym. Ofiarą dnia tego padło około 30 tysięcy sprzymierzonych: strata atoli nasza była większą, bośmy dotkliwą ponieśli klęskę. Ks. Wellington i marszałek Blücher przy spotkaniu pomiędzy Belle-Alliance a Planchenois uściskali się winszując sobie wzajem zyskanego powodzenia. I słuszne do tego mieli prawo: pierwszy bowiem swoją stałością i mocą charakteru, drugi zapałem w rozpoczęciu bitwy, zapewnili Europie tryumf nad Francją, naprawiając błąd jakiegoby się dopuścili przyjmując walkę z tej strony lasu Soignes. Po tem wylaniu uczuć wzajemnej radości, Blücher, którego wojsko mniej niż Anglicy ucierpiało, mając nadto nietkniętą jeszcze jazdę, przyjął na siebie dalsze ściganie Francuzów, a co właśnie dogadzało zaciętej przeciw nam nienawiści Prusaków, którzy podczas tej nocy dopuszczali się niegodnych tego narodu okropności. Oni to, jak miejscowe podanie głosi, zarąbali jenerała Duhesme, który dostał się w ich niewolę ranami okryty.

Jakkolwiek wszakże jazda pruska moralnie nie była osłabioną, wyczerpana atoli na siłach długim i pośpiesznym marszem, musiała zatrzymać się nad rz. Dyle, co pozostawiło czas naszym żołnierzom dojść do Sambry i przebyć ją pod Châtelet, Charleroy lub Marchienne-au-Pont. Belgijczycy z całą skwapliwością dawnego spółplemiennictwa udzielali wszędzie gościnnego przyjęcia rejterującym Francuzom. Rok 1814 pozostawił w ich sercach uczucie nienawiści do Prusaków i ożywił uczucia francuzkie. Podzielając więc boleść z odniesionej klęski, otwierali gościnnie drzwi swoich domów i każdemu żołnierzowi troskliwej udzielali opieki.

W Charleroy, a zwłaszcza w Genappe, natłok przybywających był nie do opisania, chaotyczny atoli ten pochód osłaniała dywizja Girard'a, nateraz pod dowództwem pułkownika Matis zostająca. W Charleroy na chwilę zatrzymał się Napoleon z swoim szefem sztabu i Hieronimem, aby stosowne wydać rozporządzenia. Do marszałka Grouchy wysłał oficera z ustnem doniesieniem o szczegółach poniesionej w dniu 18 Czerwca klęski, rozkazując zarazem cofać się do Namur. W końcu zdawszy dowództwo wojsk księciu Hieronimowi z pomocą szefa sztabu marszałka Soult'a, zalecając nadto ogromadzenie o ile można szczątków swojej armji i doprowadzenie ich do Laon, sam pośpieszył naprzód w zamiarze zebrania nowych sił po takiej katastrofie. Wreszcie pod zasłoną dwudziestu jeźdźców z rozmaitych pułków zebranych udał się w stronę Philippeville.

Patrząc na tę straszliwą klęskę odniesioną po otrzymanem w przeddzień świetnem zwycięztwie, czytelnik spyta się bez wątpienia, co się stało z marszałkiem Grouchy i co on robił z poruczoną mu 34-tysięczną armją. Widzieliśmy jak wódz ten stracił bezużytecznie połowę dnia 17 Czerwca na szukaniu Prusaków tam, gdzie ich właśnie nie było; jak nawet zaniedbał wyprawić piechotę, która gdyby wcześnie stanęła w Gembloux, mogłaby już z rana dnia następnego iść w ślad za Prusakami. Mimo to złe jeszcze mogło być naprawionem, a nawet zamienić się w pożytek, gdyby był Grouchy jak należało skorzystał z dnia 18. Wprawdzie już w Gembloux marszałek zrozumiał jaki jest rzeczywisty kierunek Prusaków, i że zamiarem ich nie jest dosięgnienie brzegów Renu idąc przez Liège, ale raczej chęć złączenia się z Anglikami z tej lub z drugiej strony lasu Soignes idąc na Wavre. Nie mógł więc żadną miarą nie uznać, że jego istotnem posłannictwem jest nie dozwolić Prusakom wzmocnienia się po odniesionej porażce, a nadewszystko złączenia się ich z Anglikami. Co się tycze nawet spełnienia tej drugiej części tak wielkiej wagi zadania, nie można było wątpić że Grouchy ją pojmował, sam bowiem

wieczorem dnia poprzedniego pisał do Napoleona zapewniając, że dołoży wszelkich starań do przecięcia drogi Blücher'owi. W takiem więc usposobieniu umysłu, należało mu zaraz o świcie dnia 18, to jest, najpóźniej o godzinie czwartej z rana, ruszyć naprzód, co było tem łatwiejsze do wykonania, że piechota jego dniem wpierw zaledwie dwie i pół mili francuzkiej zrobiła marszu. Tymczasem, jak to już opowiedzieliśmy, rozkazy do wymarszu dane były dopiero o godzinie szóstej korpusowi Vandamme'a, a o siódmej Gérard'a, jazdę zaś swoją wysłał w części na Wavre, w części zaś na Liège, a zawsze w fałszywie w przeddzień pojętych zamiarach. Jakiekolwiekby kto zresztą czynił przypuszczenia, zawsze wymarsz tak późny ogromnym był błędem, bo tu śpiesznie o ile można należało ścigać zwyciężonego raz nieprzyjaciela, a nadewszystko mieć go zawsze na oku i nie dopuścić do uderzenia na armję Napoleona. Dodajmy jeszcze niczem usprawiedliwić się nie dające niedbalstwo służby prowijanckiej, która w kraju tak dostatnim nie porobiła stosownych naprzód zapasów, co także dało powód do opóźnienia wymarszu. Tak więc pomimo wydanych rozkazów do wyruszenia korpusowi Vandamme o godzinie szóstej, Gérard'a o siódmej, pierwszy opuścił Gembloux dopiero o godzinie ósmej, drugi o dziewiątej, koniec zaś armji wprawiony był w ruch zaledwie o dziesiątej. Wreszcie pochód wojsk jedną i tąż samą postępujących drogą, licznemi zasianą wioskami, pomiędzy ciasnemi opłotkami, popsutą niedawną jeszcze ulewą i przechodem Prusaków, żadną miarą pośpiesznym być nie mógł, a nawet stawiał wojsko w konieczności czynienia długich przystanków. Korpus Vandamme'a idący na czele, kilkakrotnie marsz swój wstrzymywał, a mianowicie minąwszy wioskę Sart-à-Valhain stał dość długo w Nil-Saint-Vincent. To zatrzymywanie się zmuszało naturalnie i korpus Gérard'a bieg swój zwalniać, cała więc kolumna wojska była unieruchomioną. Przyczyny atoli tego opóźnienia nie leżały jedynie w tem, że całe wojsko jedną tylko kroczyło drogą, ale jeszcze i w chwiejności usposobienia marszałka Grouchy, który nie mogąc wątpić o cofaniu się Prusaków przez Wavre, nie wiedział jeszcze jaki należało obrać kierunek i zaczął wierzyć, że część ich poszła drogą do Liège. Cóż zresztą znaczyło choćby poszli tą drogą? Owszem, należało pragnąć aby oni wszyscy tam się znajdowali, bo wtedy wpływy ich na wypadki dnia rozstrzygającego los Francji byłby żaden.

O godzinie w pół do dwunastej korpus Vandamme'a stanął w Nil-Saint-Vincent, korpus zaś Gérard'a w Sart-à-Valhain, to jest pierwszy w ciągu pół czwartej godziny zrobił trzy, drugi dwie i pół mili metrycznej. Możnaż to więc nazwać ściganiem nieprzyjaciela zwyciężonego?

Podczas pochodu wojsk, sam Grouchy zatrzymał się na śniadanie w Sart-à-Valhain. Towarzyszyło mu tu wielu jenerałów, jako to: Gérard dowódzca 4-go korpusu, Vandamme 3-go, Valazé inżenjerji i Baltus artylleryji. Nagle usłyszano silną kanonadę od lewej strony w kierunku Mont-Saint-Jean. Kanonada ta co chwila stawała się głośniejszą. Nie było więc wątpliwości, że Napoleon po stoczeniu bitwy z Prusakami, rozpoczął z tej strony lasu Soignes drugą walkę z Anglikami. Wszyscy więc jednozgodnie oświadczyli się, że trzeba zwrócić się w stronę odgłosu grających dział. Najdoświadczeńszy, swoim charakterem i nabytą sławą najwięcej mający powagi jenerał Gérard powstał i z żywością odezwał się do spożywającego śniadanie marszałka Grouchy: Idźmy do cesarza! Jenerał Gérard delikatny w obejściu, słodkiego nawet charakteru w stosunkach prywatnych, lecz porywczy w wojnie, wypowiedział zdanie swe z niejaką gwałtownością nie usposabiającą właśnie do przyjęcia go. Grouchy w dwóch tych jenerałach, Gérardzie i Vandammie upatrywał umysły stawiające się wyżej nad ich dowódzcą, ztąd w mowie swojej często niechętnie się o nich wyrażał. W takiem więc będąc usposobieniu, marszałek źle przyjął radę w dość szorstki objawioną sposób. Gérard, którego przekonanie i patryotyzm rozogniały krew z natury już dość gorącą, miotał się za każdym nowo powtórzonym odgłosem dział, tem bardziej, gdy inni jenerałowie, wyjąwszy dowódzcy artyllerji, zdanie jego podzielali. Gdyby Grouchy odebrał był rozkazy Napoleona przez oficera wysłanego o godzinie dziesiątej wieczorem dnia poprzedniego, cała ta wątpliwość byłaby znikła. Lecz oficer ten nie dotarł do miejsca swego przeznaczenia, jak o tem niejednokrotnie sam Grouchy upewniał, czemu zresztą wierzyć można, w tym razie bowiem nie miałby on powodów dalszego wahania się. Czy oficer ten dostał się do niewoli, czyli też przeszedł na stronę nieprzyjacielską,—rzecz dotąd niewyświetlona. Grouchy więc trzymał się ciągle udzielonych mu w dniu 17 rano ogólnych instrukcji, zalecających ścigać Prusaków, nie dozwolić im złączyć się z Anglikami i pozostawać zawsze w zetknięciu z Napoleonem. Zresztą instrukcje te tak dalece były wynikiem samego położenia rzeczy, że gdyby nawet nie były wskazane, można je było łatwo samemu sobie nakreślić; prawe bowiem skrzydło Francuzów nie mogło mieć innego zadania, jak czuwać nad poruszeniami Prusaków i zajmować pośrednie pomiędzy nimi a Anglikami miejsce. Lecz jak skoro usłyszano działa Napoleońskie, należało bez straty chwili nieść pomoc, zasłaniać go i nie dopuścić, aby Prusacy bruździli mu w jego działaniach przeciw armji brytańskiej.

Marszałek Grouchy odznaczał się męztwem i polorem starej szlachty, ale był zarazem obraźliwy, miałkiego umysłu i ukrywający pod pozorną

grzecznością upór niezwykły. Dotknięty tonem wyrażenia się swoich podwładnych jenerałów, odrzekł dość cierpko, że zamiary ich były może trafne, lecz nie zgodne z wydanemi mu rozkazami, według których zadaniem jego było gnać Prusaków a nie szukać spotkania z Anglikami, że według wszelkiego prawdopodobieństwa Prusacy znajdowali się w Wavre, za nimi więc wypadało iść nie pytając się, czy działanie ich pod Mont-Saint-Jean większej byłyby doniosłości, że nakoniec w każdym razie Napoleon był wodzem, którego rozkazy należało ślepo wykonywać a nie prostować je lub uzupełniać. W odpowiedzi swej na te uwagi Gérard oświadczył, że nie szło to bynajmniej o poprawianie instrukcji Napoleona, ale raczej o właściwe ich zrozumienie; że oddzieleniem prawego skrzydła swej armji dla ścigania Prusaków z zaleceniem utrzymania bezpośrednich z nim stosunków, chciał widocznie utrzymać Prusaków w oddaleniu, a mieć zawsze to prawe skrzydło tak blisko, iżby je w razie potrzeby mógł mieć do rozporządzenia; że obecnie nie wiedziano nawet co się dzieje z Prusakami, których zamiarem mogło być prawdopodobnie iść przez Wavre dla dostania się do Bruxelli, lub obejść po pod lasem Soignes, by się połączyć z Anglikami. W każdym więc z tych przypuszczalnych wypadków najwłaściwszem było iść w stronę słyszanej kanonady, bo jeżeli Prusacy puścili się ku Bruxelli, w takim razie pomoc Grouchy'ego przyczyniłaby się do zgniecenia armji brytańskiej bez pomocy pozostawionej; gdyby zaś Prusacy doszli do Bruxelli, wtedy ściganiem ich wykonałoby się ściśle dane od Napoleona instrukcje. Tak przekonywającym dowodzeniom nie było nic do zarzucenia, one bowiem stawiały wymowny dowód wojennego doświadczenia i przezorności Gérard'a. Lecz na nieszczęście, zdrowe lecz może nie w dość przyzwoity sposób wypowiedziane te rady, nie trafiły do przekonania marszałka Grouchy. Odpowiedzią na nie, były stawiane trudności wykonania. Zbytnia odległość zajmowanego stanowiska od Mont-Saint-Jean, kaplicy Saint-Lambert lub Planchenois, czas jakiego przebycie tej drogi wymagało, trudność przeprawienia artyllerji, oto były czynione przez marszałka zarzuty. Właściciel zamku, do którego Grouchy przybył na śniadanie, zapewniał, że trzy lub cztery mile francuzkie oddzielające go od pola bitwy, najwięcej w cztery godziny można było przebyć. Przewodnik długo w usługach Francuzów zostający, przyrzekał doprowadzić wojsko do Mont-Saint-Jean w trzy i pół lub najwyżej cztery godziny. Jenerał Baltus, sam jeden zdanie marszałka podzielający, wyrażał tylko niejaką obawę w możności przeprowadzenia artyllerji. Valazé, dowódzca inżenierji zapewniał, że sapery jego usuną trudności. Gérard dodawał jeszcze, że aby tylko tam doszedł, dość mu było kilka dział i jaszczyków z amunicją, że zresztą brak ich

wypełni nabojami i bagnetami swej piechoty; że nareszcie dość było z daleka się ukazać, aby zwrócić na siebie część wojsk pruskich, a tem samem albo wyswobodzić Napoleona z trudnego położenia, lub uzupełnić jego tryumf, jeśli mu żadne nie groziło niebezpieczeństwo. Podczas tej dyskussji co chwila bardziej ożywiającej się, gdy działa grzmiały coraz mocniej, w żołnierzach również coraz silniejsze objawiało się wzruszenie. Tu wszakże nie było żadnych sprzeczności; wszyscy pytali czemu ich nie prowadzą na bój, dla czego gnuśnieją w bezczynności w chwili, w której ich spółtowarzysze broni giną lub nieprzyjaciel z braku kilkotysięcznej pomocy cało uchodzi. Każdy dolatujący odgłos dział przejmował dreszczem i wyrywał okrzyki niecierpliwości w tej rozumnej i odważnej rzeszy!

Wprawdzie nie należy zbyt skwapliwie dać się porywać uniesieniom wojska; sam Napoleon mawiał, że ile gawiedź ludu nastręczyła błędów rządom, tyle usterków dopuścili się wodzowie powolni na niebaczny zapał żołdactwa, z czego wynika, że trzeba być oględnym na wszelki nieprzezorny objaw ich uniesień. Tu wszakże rozum szedł w zgodzie z instynktem mass. Była godzina w pół do dwunastej: wyruszywszy więc w południe, jak to już w bolesnej naszej opowieści wspomnieliśmy, pozostawało jeszcze dość czasu na pożyteczną sprawę. Najdalej posunięty korpus Vandamme'a stał w Nil-Saint-Vincent, to jest o milkę od Sart-à-Valhain, dokąd posunął się korpus Gérard'a. Dragony d'Exelmans'a dosięgały już rzeki Dyle. Z Nil-Saint-Vincent łatwo było przejść do Moustier po moście, którego nieprzyjaciel nie strzegł, albowiem przekonany o ściganiu go przez Wavre uważał za konieczne zająć mosty najbliższe tego miasteczka. Przeszedłszy most pod Moustier i kierując się za odgłosem dział, wojsko przybyłoby do Maransart wprost Planchenois, to jest, stanęłoby na brzegu wąwozu, w którego łożysku płynie strumień Lasne, gdzie właśnie Lobau ucierał się z Bülow'em. Teraz więc Francuzi zajęliby tył Prusakom i niezawodnie wparliby ich w wąwóz i zgnietli, bo aby się ztąd wydobyć, trzeba było przejść las trudny do przebycia. Otóż, z Nil-Saint-Vincent do Maransart jest około cztery mile francuzkie, żołnierze więc żądzą boju pałający przebyliby tę przestrzeń w 4 lub 5 godzin, dowodem czego, że z Gembloux do Baraque (odległość równająca się prawie drodze z Nil-Saint-Vincent do Maransart), korpus Vendamme'a wyruszywszy o godzinie ósmej z rana, przybył o drugiej po południu i w tej przestrzeni kilkokrotnie stawał, a nawet w Nil-Saint-Vincent przeszło godzinę zatrzymał się; marsz więc o którym mowa zrobił w niecałe pięć godzin. Dodajmy jeszcze, że droga z Gembloux do Baraque była przechodem wojsk pruskich poznięta, gdy tymczasem bo-

czne i dobrze utrzymane drogi do Maransart trudności tych nie przedstawiały. Ludzie miejscowi mówili, że na ów pochód dość było czterech godzin, a gdyby nawet zajął i pięć godzin, co jest za wiele licząc na duch wojsko ożywiający, to i tak wyruszywszy o południu, można było tam stanąć o godzinie piątej. Wprawdzie korpus Gérard'a mógłby przybyć o godzinę później, lecz on uzupełniłby tylko skutek sprawiony tak niespodziewanem zjawieniem się Vandamm'a. O tym właśnie czasie, to jest o godzinie piątej, jak to już wyżej nadmieniliśmy, korpus Bülow'a zaczął zaledwie ucierać się na pałasze z jazdą Domon'a i Subervic'a; rzeczywista zaś walka z Lobau'em miała miejsce o godzinie w pół do szóstej. O szóstej bił się on z młodą, a o siódmej z starą gwardją. Do w pół do ósmej nie zaszło jeszcze nic stanowczego. Dla przyjścia więc z skuteczną pomocą, Grouchy miał 6 do 7 godzin czasu. Można nawet powiedzieć, że ukazanie się jego na miejscu działania o godzinie szóstej, ważniejszem być mogło w skutkach niż gdyby przybył o piątej, wtedy bowiem oddział Bülow'a strącony w wody potoku Lasne, byłby cały zgnieciony. Wyobraźmy sobie jakby ten widok oddziałał na naszych żołnierzy, jakieby wrażenie wywołał w Anglikach i jaką siłę znalazłaby wtedy wyćwiczona w 23 bitwach gwardja naraz rzucona na wyczerpanych z sił Anglików?

W istocie, marszałek Grouchy nie objął umysłem całej ważności usług do spełnienia których los go powołał, a przyczyną tego było zbyt słabe czuwanie nad poruszeniami Prusaków; rzucone atoli przez Gérard'a dilemma istniało niezmiennie, to jest, że albo Prusacy szli na Napoleona, a wtedy utrzymując szyk bojowy na prawem skrzydle wykonanoby jego instrukcje zalecające iść w ślad za Prusakami; albo też doszli już do Bruxelli, a wtedy porzucenie ich było rzeczą małej wagi, bo tu rzeczywisty cel, porażka Anglików, uwieńczyłaby dzieło.

Lecz niefortunny marszałek nic tego wszystkiego nie słuchał i pomimo zżymania się jenerałów i porywczych uniesień Gérard'a ruszył dalej na Wavre. Wojska jenerałów Vandamme i Gérard, poprzedzane kawalerją d'Exelmanns'a posuwały się w swym pochodzie tak, iż około godziny drugiej oddział Vandamm'a stanął w miejscu zwanem la Baraque. W drodze rzeczywistość stawała się coraz jawniejszą, tu i owdzie bowiem, w przerwach lasu można było dostrzedz co się działo poza rz. Dyle, jakoż widziano kolumny pruskie zmierzające ku Mont-Saint-Jean. Jenerał dywizji Barthezène zawiadomił o tem marszałka, to bynajmniej jednak nie wpłynęło na zmianę jego zdania. A przecież była ta chwila najważniejsza i najobfitsze pociągnąć mogąca za sobą następstwa, lubo już nie tak pomyślna jak idąc wprost na Maransart. Widocznem było, że

trwając w zamiarze dojścia do Wavre potrzeba było spotkać się z Prusakami silnie poza Dyle ustawionemi, gdzie aby ich doścignąć wypadało przejść tę rzekę, która właśnie pod Wavre trudniejszą była do przebycia i mogła być okupiona krwią jaką teraz właśnie należało oszczędzać. Łatwiej więc było przejść ją bliżej, pod Limal lub Limelette, gdzie przeszedłszy słabo bronione i łatwe do zebrania mosty, nie trudno było iść wprost za śladem Prusaków. Wprawdzie przejście to wykonane z rana spełniłoby od razu dane instrukcje zalecające pogoń za Prusakami i nierozdzielny z główną armją stosunek, lecz wykonanie tego o godzinie drugiej jeszcze nie było zapóźnem. Grouchy byłby teraz napadł śród pochodu na samo lewe ich skrzydło, liczbą znacznie niższe, a natarciem tem wstrzymałby niezawodnie Pirch'a I-go i Ziethen'a, tych właśnie, którzy jak widzieliśmy największe zadali nam klęski. Grouchy atoli pozostał głuchym na wszystkie te uwagi i obojętnie patrząc na postępujących Prusaków w stronę słyszanej kanonady, szedł ciągle na Wavre i stanął tu o godzinie czwartej. Tu dla wojownika mającego jakiekolwiek zdolności, przedstawił się widok nie dość zadowalniający. W Wavre stał Thielmann z 27 lub 28 tysiącami żołnierza, na pozycji dość silnej, tak iż mógł zatrudnić przez dzień cały armję dwa i trzy razy od swojej liczniejszą. Cóż więc było czynić na takiem stanowisku? Uderzyć na Wavre, było to poświęcić bezkorzystnie znaczną liczbę żołnierza, gdy tymczasem 60,000 Prusaków zyskałoby czas do dojścia pod Mont-Saint-Jean; stać znów bezczynnie w chwilach tak stanowczych, byłoby to niespełnieniem ani jednej z wydanych przez wodza instrukcji. Ktoby jednak chciał cośkolwiek zdziałać, ten cofnąłby się dla opanowania mostów pod Limal i Limelette, które Grouchy przeszedł nie myśląc o ich zajęciu, a które właśnie mniejszy stawić mogły opór niżeli pod Wavre. Wszystkie te uwagi poczynił Gérard marszałkowi, który trwając w zaślepionym swym uporze i mając przed sobą Prusaków pod Wavre, mniemał, że ściganiem tu ich spełni swe zadanie, że powinien zatem uderzyć na nich tam, gdzie ich napotka. W historji świata nie znajdzie się może podobny przykład umysłowego zaślepienia.

W tej chwili właśnie przybył polski oficer Zenowicz, który mając wyjechać z Belle-Alliance o godzinie w pół do jedenastej, z winy Soult'a wyruszył dopiero o w pół do dwunastej; aby się zaś nie dostać w moc nie przyjaciela, musiał objechać na Quatre-Bras, ztamtąd przez Sombreffe, Gembloux, dostał się do Wavre, gdzie dzięki powolności Soult'a i nakładaniu drogi stanął dopiero o godzinie czwartej. Przywiózł on wspomnianą już depeszę w treści swej bardzo wątpliwą. W niejto oznaczywszy nieomylną obecność Prusaków, szef sztabu dodał:

«Cesarz polecił mi zawiadomić pana, że w tej chwili zamierza uderzyć na armję angielską stojącą pod Waterloo w pobliżu lasu Soignes; Najjaśniejszy Pan więc żąda, abyś pan zwrócił się na Wavre, *a to dla zbliżenia się ku nam, postawienia się w możności wspólnego z nami działania i utrzymania kommunikacji*, prąc przed sobą wojsko pruskie w tym idące kierunku, a które zatrzymać się ma pod Wavre, dokąd i pan winieneś pośpieszyć. Powinieneś nadto mieć na oku kolumny nieprzyjacielskie, śledzić je małym swoim oddziałem lekkiej jazdy, baczyć na ich poruszenia i zabierać w tyle pozostałych. Donieś mi bezzwłocznie o swoim pochodzie i stanowisku, jako też o wszystkiem co się dotycze nieprzyjaciela *i nie zaniedbaj utrzymać zawsze z nami kommunikacji*. Cesarz pragnie mieć częste od pana wiadomości.»

Tak wątpliwa i dwuznaczna w swej treści depesza, w rzeczywistem i stosownie do stanu rzeczy brana znaczeniu oznaczała, że zamiast iść drogą na Liège, gdzie chwilowo szukano Prusaków, należało zwrócić się na Bruxellę, gdzie bytność ich była niewątpliwą, który to kierunek wskazywała depesza ogólnem wymienieniem Wavre. Zaiste, brzmienie rozkazu nie wskazywało bynajmniej Wavre jako jedynego celu pochodu, gdyż słowa: *dla zbliżania się ku nam, postawienia się w możności wspólnego z nami działania*, z dodatkiem wyraźnie utrzymania stosunków z armją zalecającym i po dwakroć powtórzonym, objawiały dostatecznie myśl cesarza, że korpus marszałka Grouchy winien był w głównej walce wspólny wziąć udział. Zresztą ustne wyjaśnienia Zenowicza żadnej nie mogły pozostawiać wątpliwości. Napoleon, jak to wyżej powiedzieliśmy, wskazując mu widnokrąg z prawej strony, rzekł: *Grouchy idzie w tym kierunku: ztąd powinien przyjść, oczekuję go więc; śpiesz się, abyś go dognał i nie odstępuj aż kiedy będzie miał wyjść na naszą linję bojową.*— W istocie, trzeba było być oślepionym, aby jeszcze stawać opór takim objaśnieniom. Wavre było tu widocznie wyrażeniem ogólném, oznaczającem kierunek Bruxelli przeciwny kierunkowi na Liège, punkt zaś do którego należało dojść w ciągu dnia, wskazywało dostatecznie samo położenie rzeczy, słowa i giest Napoleona i nareszcie wysłanie Zenowicza. Tymczasem Grouchy w tej podwójnej ustnej i piśmiennej depeszy widział tylko rozkaz zalecający mu iść do Wavre.—Miałem więc słuszność, rzekł do swych jenerałów, żem chciał iść do Wavre.—Na te słowa Gérard nie posiadając się z gniewu, z gwałtownemi gestami, zawołał: Powiedziałem ci, że jeżeli nas zgubisz, na ciebie cała wina spadnie.— Po czem nastąpiły wymówki i wyrażenia dość szorstkie tak, że adjutant Zenowicz nie chcąc swoją obecnością większą tej scenie nadawać wagę, usunął się z komnaty. Grouchy niepokonany w swym uporze, chcąc właśnie okazać

chęć ścisłego zastosowania się do danych mu instrukcji, rozkazał z całą siłą uderzyć na Wavre.

Attak ten poruczono korpusowi jenerała Vandamme, który go też bez zwłoki rozpoczął. Ale Prusacy zajmowali właśnie pozycję, jaka wszelkie pokuszenia się daremnemi czyniła. Dywizja Habert'a pierwsza uderzyła na most pod Wavre, w jednej chwili zasłała go swemi trupami, a nieprzyjaciel z miejsca nawet nie ruszył. Korpus 4-ty stał nieco w tyle za Vandamme'm. Kiedy nadszedł, dowódzca jego Gérard miotany przeczuciem że armja francuzka z braku pomocy ginie w tej chwili, rzucił się zrozpaczony na młyn Bierges pod którym stał most nieco wyżej od Wavre. Znakomity ten jenerał, którego zdrowe rady mogły ocalić Francję, szukał tu śmierci i zaledwie jej nie znalazł. Ugodzony kulą padł, a mostu nie zdobyto.

Gdy się to dzieje, odgłosy dział coraz straszniejsze dolatują z pod Waterloo, co właśnie wzmacniało wszystkich w przekonaniu, że przelewano tu krew bezużytecznie, pozostawiwszy mosty pod Limal i Limelette, któremi o 4 godziny wpierw łatwo było dostać się na przeciwną stronę i wielkiej armji z skuteczną przyjść pomocą. Tak więc w ciągu jednego dnia trzy razy można było ocalić Francję: raz wyruszywszy o godzinie czwartej z rana z Gembloux dla przejścia poza rz. Dyle, coby zmusiło do spotkania i ścigania Prusaków; drugi raz, gdyby Grouchy o godzinie 12 zdecydował się był iść z Sart-à-Valhain na Maransart, gdzie stanąwszy najpóźniej na godzinę piątą, można już było o szóstej zająć tył Bülow'owi, i nakoniec, przejściem mostów pod Limal i Limelettes o godzinie drugiej, kiedy dostrzeżono już Prusaków idących na Mont-Saint-Jean, coby dozwoliło wstrzymać w pochodzie Pirch'a i Ziethen'a. Niestety! w każdym z tych trzech wypadków, dowódzca prawego skrzydła francuzkiego zamykał oczy na rzeczywistość. Widać że Opatrzność skazawszy nas na zgubę, wybrała marszałka Grouchy za narzędzie swej kary! A jednakże niefortunny ten wódz, bo tak zawsze nazywać go będziemy, działał w dobrej wierze. Jedyne w nim godne nagany uczucie było, że rady swoich jenerałów oceniał nie podług ich rzeczywistych wartości, ale po sposobie onych wyrażenia.

Nakoniec, dopiero około godziny szóstej fatalna opaska spadła mu z oczu. Wysłany o godzinie pierwszej oficer, po liście przejętym przez Bülow'a, przywiózł nową depeszę będącą wyjaśnieniem poprzedniej i przekonywającą, że Wavre oznaczało punkt ogólnie określony, że należało baczyć głównie na stanowisko wielkiej armji francuzkiej, na jej położenie, ku niej dążyć, kierując się o ile można na tyły wojsk pruskich,

które tym sposobem wzięte we dwa ognie ze szczętem mogły być zgniecione.

Teraz więc myśl szefa sztabu zaczęła nieco przenikać zacieśniony umysł marszałka Grouchy. Obecnie jużby się nie wahał, ale chwila sposobna minęła. Napoleon uległ zawistnym losom, a pod Wavre wraz z wielką liczbą walecznych padł ciężko ranny Gérard bez żadnej korzyści dla ocalenia armji i Francji.

Grouchy wydał natychmiast rozkazy zajęcia mostów pod Limal i Limelette. Z tyłu miał jeszcze Pajol'a, którego rano z lekką kawalerją i dywizją jenerała Teste wysłał dla ścigania w tej stronie Prusaków. Wojsko wróciło zrobiwszy około 12 mil marszu, co tem samem przekonywa, jak nie trudno można było przez pół dnia zrobić pięć lub sześć mil drogi. Jema więc marszałek rozkazał zdobyć most pod Limal, co też wykonano bez trudu, gdyż Prusacy w tej stronie słabe tylko mieli arjergardy. Lecz w chwili opanowania mostu odgłos dział już umilkł i cisza grobowa zaległa nad okolicą. Grouchy pocieszał się przypuszczeniem, że bitwę pod Waterloo uwieńczyła wygrana. Tak przynajmniej wypadało mu wierzyć, wiara ta była potrzebą jego duszy, i jeżeli nie głowie to przynajmniej sercu przynosiła zaszyt!

Ufności tej nikt atoli nie podzielał. Jenerał Gérard, odniósłszy śmiertelną ranę i prawie blizki śmierci, jedną tylko zajęty myślą, to jest upadkiem Francji, większej ztąd niż z otrzymanej blizny doznawał boleści. Przeszła nareszcie ta najsmutniejsza noc; o świcie wszyscy począwszy od Wavre do Limal byli już na nogach, każdy chciwie dopytywał się o wypadki dnia poprzedniego, bo złowroga cisza, mianowicie w kierunku Mont-Saint-Jean panowała nad równiną. Nakoniec, wysłany z Charleroy o godzinie 11-ej wieczór oficer zawiadomił o poniesionej klęsce z rozkazem cofania się ku Namur. Grouchy na którego obliczu malowało się przerażenie uczciwego człowieka co z błędu swego radby się usprawiedliwić, rzekł do spoglądających nań nie z gniewem ale z boleścią jenerałów: Panowie, jak poznacie bliżej moje instrukcje, przekonacie się że zrobiłem to, com zrobić był powinien.—Słowa te nie otrzymały żadnej odpowiedzi, bo nie była to zresztą pora do dysput. Teraz więc należało tylko myśleć, jak się wydobyć z tej matni, dwoma zwycięzkiemi wojskami będąc oddzielonym od szczątków armji francuzkiej. Z tem więc co miał przy sobie, dowódzca prawego skrzydła ruszył bezzwłocznie drogą do Mont-Saint-Guibert ku Namur, zalecając korpusom Gérard'a i Vandamme'a iść w tęż stronę przez Gembloux. Lecz coby się stało, gdyby te 34 tysiące wojska spotkało w drodze całą lub przynajmniej

część owych 150 tysięcznych zwycięzkich szeregów pod wodzą Wellingtona i Blüchera idących?

Oto obraz scen na jednym i drugim teatrze w nieszczęsnym dniu 18 Czerwca 1815 r. odegranych. Bitwę tę Anglicy nazwali bitwą pod Waterloo, z tej wsi bowiem buletin o niej był datowany; Prusacy dają jej miano bitwy pod Belle-Alliance, gdyż tu oni głównie walczyli; nakoniec Napoleon nazywa ją bitwą pod Mont-Saint-Jean, bo na płaskowzgórzach tej wioski armja francuzka dokazała cudów waleczności. My wszakże, idąc za zwyczajem, najwyższym w tym razie sędzią, nazywamy ją bitwą pod Waterloo. Zasługi i błędy w fatalnym tym dniu dopuszczone, są tak łatwe do zbadania, iż każdy bez uprzedzeń na bieg rzeczy poglądający, zdrowym rozumem ocenić je potrafi.

Wyżej już poznaliśmy ważne pobudki, jakie skłoniły Napoleona do wystąpienia przeciw Europie powtórnie sprzymierzonej. Najezdnicza armja wschodnia pod Schwarzenbergiem i północna pod Wellingtonem i Blücherem postępowały przeszło o sto mil jedna od drugiej, lecz pierwsza w pochodzie swoim opóźniła się o cały miesiąc od drugiej. Trzeba więc było śpiesznie korzystać z tego oddalenia miejsca i czasu; czekać bowiem na nich i dozwolić im złączyć się, było toż samo co dozwolić opanować najpiękniejsze prowincje Francji, ściągnąwszy z nich wpierw najdzielniejszych obywateli do utworzenia gwardji ruchomej. Opieszałość w tym razie groziła niebezpieczeństwem napadu 500 tysięcznej armji, a lubo w tyle stał dobrze umocniony Paryż i 250 tysięcy czynnego wojska, lepiej było zawsze nie dopuścić do zlania się w jedno tak ogromnej massie i zwalczyć ją zanim ostateczne jej skojarzenie nastąpi. Zresztą plan działań zaczepnych dałby się później zamienić w odporny. Gdyby nawet opór stawiany najazdowi zmusił Francuzów przekroczyć granicę, to i w takim razie prowincje w mocy jego pozostawione nie miałyby powodu na los swój utyskiwać. Gdyby wreszcie nie klęska w samym zaczątku kampanji poniesiona, przejście z działań zaczepnych do odpornych dałoby się uskutecznić tak, jak się uskutecznia nawet w wojnach przez mniej zdolnych wodzów prowadzonych.

W ogóle więc planu tak rozumnie osnutego ganić nie można, gdyż zadaniem jego było skorzystać z miejsca i czasu dwie kolumny rozdzielającego i znieść północną zanim nadciągnie wschodnia. Mysli tak głębokiej przyszłość nie potępi, owszem podziwiać będzie przenikliwość wodza umiejącą pojąć, że jakkolwiek Anglicy i Prusacy do połączenia swych sił dążyli, różność atoli ich pochodu, jedni bowiem szli od Bruxelli drudzy od Liège, przedstawiała im tak niekorzystny punkt złączenia się, że łatwo było wtargnąwszy w środek rozdzielić i pokonać kolejno obu

tych przeciwników. Odgadując to położenie podwójną łatwością swoją, genjuszu i nieporównanego doświadczenia, Napoleon łudząc nieprzyjaciela zręcznemi obrotami, potrafił w 5 czy 6 dni zgromadzić swoje wojska posuwające się jedne od Metz, drugie od Lille i Paryża tak, iż w d. 14 Czerwca 124 tysiące żołnierza i 300 dział stanęło w lesie pod Beaumont, o czem Prusacy, których przednie straże tylko o dwie mile stały, zupełnie nie wiedzieli. W dniu 15 Czerwca Napoleon przeszedł pas kraju lesisty, ukrywający go przed okiem nieprzyjaciela, wszedł do Charleroy tuż pod bokiem Prusaków i Anglików i tegoż dnia wieczorem zajął pozycję pomiędzy dwiema armjami sprzymierzonych, zdumionemi tak nagłem i niespodziewanem jego ukazaniem się. Historja wojen nie przedstawia podobnego przykładu takiej pewności, dokładności i szczęśliwego wykonania nakreślonych planów.

W dniu tym żałować tylko należy, że ów odważny Ney, zachwiał się w swojem męztwie pod Quatre-Bras i nie owładnął tego stanowiska tak, aby pomiędzy Anglikami a Prusakami stanowczy położyć rozbrat. Wszelako obie armje były dostatecznie przegrodzone, skoro dopędzeni przez Napoleona Prusacy zmuszeni byli przyjąć bitwę bez Anglików, dla zajęcia zaś Quatre-Bras dość jeszcze było czasu w dniu następnym.

Dotąd więc powodzenie odpowiedziało godnie głębokości pomysłów. W dniu 16 trzeba było najprzód rozprawić się z Prusakami, pobić ich i następnie rzucić się na Anglików. Lecz należałoż to spełnić rano czy po południu? Nie ma wątpliwości, że jeżeli w polityce pośpiech częstokroć jest zgubnym, w wojnie przeciwnie nigdy zanadto śpieszyć się nie można, bo im prędzej wypadek się osiągnie, tym prędzej unika się kaprysów zmiennej fortuny. Wszelako w wojnie więcej jak gdzieindziej są konieczności materjalne, przed któremi ustąpić należy. Otóż i tu właśnie była taka nieuchronna konieczność, to jest, że trzeba było najprzód ściągnąć wojska na linją, gdyż jakkolwiek w dniu poprzednim śpiesznym posuwano się marszem, mimo to korpus 6-ty, gwardja, kiryssjery i parki, nie przeszły jeszcze Sambry, Gérard dopiero dochodził do tej rzeki, a d'Erlon zaledwie o jednę milę poza nią znajdował się. Dla przeniesienia wojsk na pole bitwy pod Fleurus, trzeba było także czasu i kiedy one tam zmierzały, Napoleonowi przyszła chętka zebrania doniesień przednich straży, a to dla pozyskania pewności w tem, co było tylko dywinacją genjuszu. Takie to nieuchronne pobudki skłoniły Napoleona do wydania bitwy pod Ligny po południu, nie zaś z rana, i łatwiej ją nawet było wygrać w tej niż w tamtej porze, w Czerwcu bowiem dzień kończy się o godzinie dziewiątej, od godziny trzeciej więc do dziewiątej dość było czasu na wzajemną rzeź, zupełnem uwieńczoną zwycięztwem.

Co się tycze samej bitwy, nie można zaprzeczyć, że tak plan jej jako i wykonanie znamionowały wodza wszechstronnie skończonego. Prusacy usadowili się w wioskach Saint-Amand i Ligny, dla zasłaniania gościńca z Namur do Bruxelli wiodącego, czyli kommunikacyjnej ich linji z Anglikami; stali więc oni tyłem do wojsk francuzkich zmierzających do Quatre-Bras. Napoleon uderzył na nich pod Saint-Amand i Ligny, Neyowi zaś polecił aby jak najśpieszniej zajął Quatre-Bras, a oddzieliwszy jeden ze swoich korpusów wziął na ukos linję pruską. Gdyby ten rozkaz ściśle był wykonany, połowa armji pruskiej byłaby się dostała w nasze ręce. Lecz Ney, jak zresztą wszyscy inni jenerałowie, uląkł się nie nieprzyjciela, lecz zmiennego losu, a zachwiany radami jenerała Reille, chodził omackiem dzień cały, stracił napróżno poranek, w którym z łatwością mógł opanować Quatre-Bras od kilko-tysiącznej garstki bronione, uderzył na to stanowisko w niestosownej porze, to jest gdy siły nieprzyjaciela były już w czwórnasób zwiększone, a dla naprawienia swego błędu odciągając d'Erlona, którego Napoleon potrzebował, unicestwił jego działanie, sam nie pokonał Anglików i przeszkodził cesarzowi do zniesienia ze szczętem Prusaków. Pozbawiony więc części wojska do natarcia z boku na nieprzyjaciela, Napoleon wypadkiem tym nie zmieszany, wymyślił inny manewr na tej samej widowni, a rozbiwszy linją Prusaków powyżej Ligny, ważne nad nimi odniósł zwycięztwo. Zaiste chociaż Prusacy tem chodzeniem tu i owdzie d'Erlona, nie w zupełności rozbici lecz tylko pokonani zostali, siły ich wszelako tak osłabły, iż silny jeden oddział mógł im śmiało czoło stawić i na wodzy utrzymać podczas gdy Francuzi ruszali na stanowczą walkę z Anglikami. Jeżeli z winy Neya chybiła sposobność wyparcia Anglików z Quatre-Bras, za to heroiczny jego opór Prusakom z Blücherem złączyć się pragnącym, stawiane przeszkody usadowienia się ich na szossę pomiędzy Namur a Bruxellą, zmusiły ich do odwrotu w dniu następnym. Tak więc w owym dniu 16, podobnie jak w 15, plan Napoleona, mimo częstych w wojnie wypadków, a częstszych w tej z powodu zachwianych umysłów, udał się jeszcze dość pomyślnie. Jakoż z jednej strony Prusacy pokonani wielką bitwą, z drugiej Anglicy zaciętym powstrzymani bojem, zmuszeni byli cofnąć się w strony przeciwne. Tymczasem armja francuzka nie przestała zajmować pośredniego między nimi punktu, Anglicy zaś i Prusacy musieli w dniach następnych walczyć z nimi pojedynczo.

Następnego dnia 17 Czerwca niepodobna było wyruszyć zaraz o świcie z wojskiem, które jeszcze o godzinie 9-ej wieczór dnia poprzedniego było w zapasach z nieprzyjacielem i obozowało pośród trzydziestu tysięcy trupów. Napoleon wszakże jak najoszczędniej używał czasu;

wprawił najprzód w ruch Lobau'a dotąd bezczynnego, gwardją, której część tylko walczyła, i kirysjerów, co dotąd prawie pałasza nie dobyli. Korpusom Vandamme'a i Gérard'a, znużonym walką z Prusakami, polecił baczyć nad poruszeniami tych ostatnich, czoło zaś swej armji skierował ku Neyowi, aby zlawszy się w jednę massę łatwiej mógł pokonać Anglików. Lecz dla rozwinięcia tych kolumn potrzeba było, aby Ney czoło ich stanowiący szedł na Quatre-Bras. Tymczasem jenerał ten, wahający się w dniu 16 i 17 nie ruszył z miejsca, sądząc zawsze, że będzie miał do czynienia z całą armją angielską, i dopiero nadejście Napoleona, Lobau'a, gwardji i kiryssjerów uspokoiło go; wtedy to, to jest już o godzinie jedenastej z rana wyruszył. Kiedy tak tracono czas już to z powodu znużenia wojsk, już ze zwłoki Neya, czas popołudniowy znów stracony był z przyczyny straszliwej burzy paraliżującej działania obu wojsk, bo przed potęgą natury, wszelka by najpotężniejsza moc ludzka, ustąpić musi. Tak więc jedną połowę dnia 17-go stracił Napoleon z winy swoich podkomendnych dowódzców, a drugą z winy burzy. Lecz obaczmy czy w dniu tym czas rzeczą był najważniejszą? Zaiste nie! Po bitwie z Prusakami należało jak najśpieszniej pójść w zapasy z Anglikami. Chcąc zaś bić się z nimi, trzeba było ich spotkać, a możność tego spotkania zależała od Wellingtona nie od Napoleona. Pół marszu tylko oddzielało nas od Anglików, nie można więc myśleć o dopędzeniu ich pośpiechem; bo jeżeliby przyjęli bitwę, takowa nastąpiłaby z tej strony lasu Soignes, w przeciwnym zaś razie przeszedłszy poza las, bitwę uczyniliby niemożliwą. Napoleon pragnął boju, bo niepodobna mu było iść za nimi za Bruxellę wtenczas, kiedy obecność jego konieczną była w Szampanji, odstąpić zaś nie pobiwszy ich, było zniweczyć w zupełności raz osnute plany. Jakiekolwiek atoli były jego chęci, niepodobna było wyprzedzić Anglików przed dojściem do lasu Soignes i zmuszać ich tem samem do przyjęcia bitwy. Napoleon więc mógł liczyć tylko na zapał Blüchera i ambicją Wellingtona a nie na pośpiech marszu, który utrudzenie żołnierza, wahanie się Neya i straszliwa burza uniemożebniły, a bliskość lasu uczyniła niepodobną.

Czas w dniu 17, jak powiedzieliśmy, nie był najważniejszym względem. Jeżeli więc błąd nie leżał w użyciu czasu, obaczmy czy go nie było w rozdziale sił. Samo zestawienie działań postawi czytelnika w możności wyrobienia sobie właściwego sądu. Cóż mogło być prostszego po zwyciężeniu Prusaków, jak wysłać za nimi oddział dostateczny do baczenia nad ich obrotami, hamowania ich i niedopuszczenia połączenia się z Anglikami w czasie walki z tymi ostatnimi? Człowiek rozumny mógłże mniemać, że nie ma co bać się już Prusaków, że można zostawić

ich swobodnie, ograniczając się na wysłaniu w ślad za nimi oddziału jazdy, któryby tylko baczył na ich zamiary nie mogąc im przeszkodzić? Zaiste, jeżeli w kierownictwie naszego prawego skrzydła dostrzeżemy bezprzykładne w dziejach świata zaślepienie, dozwalające 80 tysiącom Prusakom, bez stawiania oporu robić co im się podobało, a nawet zgnieść Napoleona nie stawiwszy im żadnego oporu, w takim razie słusznie powiemy, że to oddzielenie prawego skrzydła było błędem. Lecz jeżeli w dowódzcy tego skrzydła przypuścimy choć cień instynktu jaki objawiali prości żołnierze, wysłanie prawego skrzydła uznamy wtedy za nieodzowne i nie pozbawiające armji możliwej pomocy, działając bowiem wszyscy na przestrzeni czterech czy pięciu mil francuzkich, gdzie działa na około słyszane być mogły, niepodobna było przypuszczać, że te 34 tysiące żołnierzy Grouche'go znajdą się dopiero po straszliwej katastrofie.

Z powyższego widzimy, że oddział marszałka Grouchy był koniecznym, nie tylko zasadami strategji i położenia, ale samem zdrowem pojmowaniem rzeczy wskazany. Co się tycze otrzymanych przez niego instrukcji, można wprawdzie zarzucić im niejaką dwujznaczność; jednemu wszakże rozkazowi przez samych żołnierzy wydanego jasności zaprzeczyć nie można, a tym było iść na Prusaków, nie tracić ich z oka i rozmaitemi obrotami nie dopuścić złączenia się z Anglikami, widoczny bowiem plan wskazywał potrzebę rozprawienia się oddzielnie z każdą z dwóch armji nieprzyjacielskich. Jakiekolwiek czynilibyśmy tu przypuszczenia, rozkaz ten nie Napoleon ale samo położenie rzeczy dyktowało; zresztą nie ma wątpliwości, że czy rozkazy te trafnie czy nie trafnie były nakreślone (lubo Napoleon nie zwykł był wydawać złych rozkazów), wszelako Grouchy zrozumiał je i dla tego pisząc wieczorem w dniu 17 do cesarza, wyraził się: Ścigam teraz Prusaków i dołożę starań, aby im nie dopuścić złączyć się z Anglikami. Rzeczywiste więc znaczenie rozkazów nie wzniecało żadnej dwójznaczności w umyśle dowódzcy prawego skrzydła.

Tymczasem marszałek Grouchy z samego zaraz początku, sądząc, że Prusacy idą ku Namur, błędne co do ich kierunku powziął wyobrażenie. Lecz błąd ten dałby się jeszcze usprawiedliwić i nie miałby tak złych następstw, gdyby Grouchy postąpił jak należało: trzeba było bowiem wysłać lekką kawalerję w trzy strony, to jest ku Mont-Saint-Jean, Gembloux i Namur, piechotę zaś do Gembloux w środku pomiędzy poprzedniemi położoną. Już samo podeptane zboże powinno go było dostatecznie oświecić, że Prusacy nie do Renu, ale ku Wavre, to jest w stronę armji angielskiej zmierzali; a lubo w końcu temu uwierzył, zachowując wszakże uporne wyobrażenie o pochodzie ich ku Namur, późno dopiero

pierwszego dnia wyprawił piechotę do Gembloux. Ów przeto dzień 17 Czerwca, którego Napoleon nie mógł inaczej użyć na drodze do Mont-Saint-Jean, stracony był z winy marszałka Grouchy na drodze do Wavre.

Lecz w następnym dniu 18 Czerwca, mogąc wyruszyć o godzinie 4 z rana i mając 17 godzin czasu, by zajść gdzieby tylko chciał, zająwszy nadto pozycję oddzielającą oba te wojska zaledwie o cztery lub pięć mil francuzkich, Grouchy był w możności wszystko jeszcze naprawić. Na nieszczęście rozkazy do wymarszu wydane były dopiero pomiędzy godziną 6 a 7 rano, a ponieważ nie pomyślano wcześnie o rozdaniu żołnierzom żywności, wojska więc zaledwie o godzinie ósmej, dziewiątej i dziesiątej w ruch wprawione być mogły. I tu jednakże sprawa na szwank narażoną jeszcze nie była, albowiem w ciągu tych pięciu godzin można było zajść na najdalszy kraniec teatru wojny, gdyby się tylko kierowano odgłosem słyszanych armat.

Kiedy tak bezczynnie i bez żadnych widoków traci czas prawe skrzydło armji, Napoleon z czołem jej i lewem skrzydłem gotuje się do stoczenia drugiej bitwy, los jego i Francji rozstrzygnąć mającej. W upragnionej tej walce zamierzał on najprzód pokonać Anglików, następnie Prusaków, a potem zwrócić się na Austrjaków i Rossjan; w niejto złamać się miał wrzący patrjotyzm Blüchera i ambitne zamiary Wellingtona. Wprawdzie ostateczny wynik usprawiedliwił jednego i drugiego, ale potomność, jak to wzniosłym swym językiem wyrzekł Napoleon, mniej będzie pobłażliwą, bo gdyby los w zaślepieniu Grouchy'ego nie był im zaoszczędził rzadkiego prawdziwie zjawiska, oręż francuzki byłby na nich natarł na skraju lasu Soignes, trudnego do przebycia po odniesionej porażce, gdy tymczasem oddzielając się tym lasem od Napoleona, zawiedli jego rachuby i zmusili cofnąć się i stawić czoło wielkiej kolumnie wschodniej, plącząc tem samem raz osnute plany.

Jakkolwiek bądź, tyle upragniona od Napoleona bitwa (co dowodzi, że genjusz nie wie częstokroć sam o co uprzykrza się Bogu), była już nieuniknioną. Zastanówmy się tylko, w której porze dnia należało ją rozpocząć: z rana, czy też po południu? Bez wątpienia z rana, gdyby tylko dało się przewidzieć, że zamiast tak niedaleko stojącego Grouchy, nadejdzie 60,000 Prusaków, których on nie widział, kiedy wszyscy widzieli posuwające się ich szeregi, konie i działa. Takiego atoli wypadku trudno było nawet przypuszczać, tem bardziej, że i artyllerja nie mogła działać, gdyż wypadało czekać 4 lub 5 godzin, dopóki przesiąkła ulewą ziemia nieco nie obeschnie. Sam Drouot, ów wzór dobroci i rozsądku, nie mógł się uspokoić, że radził o kilka godzin odwlec rozpoczęcie bi-

twy; lubo w tem mylił się, bo jeżeli pod Ligny wojska wystąpiły do boju dopiero o godzinie trzeciej po południu, tem bardziej pod Waterloo, zwłaszcza w tej porze roku, mogły one wejść w zapasy o godzinie jedenastej. Lecz obawa znurzania błotem swojej artyllerji i jazdy, tej najpiękniejszej broni, była uwagą, której słuszność wszyscy uznawali. Prawda, że wypadek bitwy potępił zwyciężonego, lecz myśl Drouot'a, której Napoleon uległ, była stanowczą i potomność go za to nie potępi.

Mając już oznaczoną godzinę, przejdźmy teraz do samego planu bitwy. Zaiste, zamiar uderzenia najprzód na lewe skrzydło Anglików najsłabiej obsadzone, wyparcia ich ku środkowi, zajęcia gościńca bruxelskiego, jedynej drogi prowadzącej przez las Soigny, nazwać można wybornym, gdyż działaniem tem, obok innych korzyści, można było przegrodzić Anglików od Prusaków. Lecz, na nieszczęście, w samem wykonaniu dopuszczono się błędów. Wprawdzie zdobycie zamku Goumont było nieodzownem, trzeba było tylko rozbić go strzałami armatniemi, a nie siłą żołnierzy, przez co osłabiało się lewe skrzydło armji francuzkiej. Szczegół ten zakrywał las przed okiem Napoleona, szkoda tylko, że jenerał Reille w czasie walki nie stał bliżej i nie wstrzymał wojska od tych bezowocnych wysiłków. Należało więc poprzestać na zdobyciu lasku, a tem samem zachować dzielne pułki Hieronima, Foy i Bachelu na attak pod Mont-Saint-Jean, który właśnie głównym był celem działań.

Drugim błędem był attak na Haye-Sainte i starcie się z lewem skrzydłem Anglików po nad drogą do Ohain, attak wykonany zbitą massą, nie mogącą działać przed konnicą. Błędu tego, dopuszczonego ze strony tak zdolnego jak Ney wodza, tem więcej nie można sobie wytłomaczyć, gdy zważymy, że żołnierz francuzki nie ma tej zimnej krwi i stałości co Anglik; Napoleon zaś przeszkodzić temu nie miał czasu, bo kiedy to dostrzegł, już wojska były w ruchu i już niepodobieństwem było powstrzymać ich zapału. Błędu tego i ztąd jeszcze żałować należy, że on uniemożebnił krok mający być stanowczym, co wpływało na podniesienie ducha w Anglikach, a osłabienie go w Francuzach.

Jeszcze i to wszakże sprawy na szwank nie narażało, gdyż Napoleon rzuciwszy swoją jazdę na siwych Szkotów, wkrótce odwetował poniesione straty. Lecz tu, na tem grobowem polu straszliwe ukazało mu się widmo, a tem widmem była armja pruska. Napoleon przewidując zaraz grożące mu od nich niebezpieczeństwo, bez straty czasu posunął Lobau'a na prawe skrzydło. Możnaż było skuteczniejsze w tym razie obmyśleć środki? Zaiste, nie. Odstąpić bitwy tak daleko już posuniętej i planów, które niższość sił francuzkich równoważyły, byłoby to uznać się samemu zwyciężonym w chwili, gdy wszystko zapowiadało zwycięztwo, bo

jeżeli droga stała otworem dla Bülowa, taż sama droga wolną być mogła i dla marszałka Grouchy; wszystko więc kazało się spodziewać, że jeżeli jeden przyszedł, wkrótce za nim nadciągnie i drugi. Napoleon więc nie zawiesił bitwy, lecz ją nieco opóźniał. Neyowi polecił zdobyć la Haye-Sainte, co pozbawiło Anglików środkowego punktu oparcia, nam zaś otwierało drogę na płaskowzgórze Mont-Saint-Jean; po opanowaniu zatem tej pozycji rozkazał stanąć i baczyć, w jakim szyku Prusacy zamierzają uderzyć na nasze prawe skrzydło. Zdobyć więc la Haye-Sainte i czekać, to co nakazywały uczynić tak ważne okoliczności.

Tymczasem Ney, rozpłomieniony zapałem, który żal za wczorajszem wahaniem się podniósł do wściekłości, rzucił się na Anglików, zdobył la Haye-Sainte, i kilkokrotnemi utarczkami z jazdą nieprzyjacielską zapędził się za nią aż na płaskowzgórze, gdzie ujrzawszy działa opuszczone, mniemał, że nadeszła już chwila stanowcza. Tu pociągnąwszy za sobą całą jazdę, wytrzymał z nją wprawdzie bój olbrzymi, ale niewczesny, bo nie mając piechoty, zużytkował całą konnicę, która w właściwym nieco później użyta czasie, mogłaby szalę zwycięztwa na naszą przechylić stronę.

Owe zatem cuda waleczności Neya były prawdziwem nieszczęściem, któremu Napoleon, zwróciwszy w prawo swoją piechotę i całą uwagę, zapobiedz nie mógł. Cóż było tu czynić? Oto, polecić Neyowi, aby utrzymał dopóki można zdobyte stanowisko, z gwardją uderzyć silnie na Prusaków, a odparłszy ich rzucić się na Anglików. Był to jedyny obrot, jaki w tej chwili można było wymyślić i wykonać. Przyjął więc i odparł Prusaków z mocą, na jaką zdobyć się mogą tacy tylko żołnierze, jak stara gwardja pod dowództwem Moranda. Zgniótłszy Bülow'a pomiędzy Planchenois a Maransart, Napoleon bez straty chwili, i dotrzymując danego słowa Neyowi, ruszył z połączonemi gwardjami na Mont-Saint-Jean, by tu krokiem rozpaczy wywalczyć swoje, cesarstwa i Francji losy. Już cztery bataljony krocząc pod morderczym ogniem stanęły na płaskowzgórzu, już inne za niemi podążały by skończyć tę uporczywą walkę, kiedy nagle pruski korpus Ziethen'a zmienił w klęskę bitwę, którą uwieńczyć mogło zwycięztwo, krwawe wprawdzie, straszliwie okupione, ale zawsze zwycięztwo! W takim stanie rzeczy wojsko zaczęło iść w rozsypkę, wszelkie bowiem posiłki były już wyczerpane; wprawdzie Napoleon, niewzruszony wśród gradu kul, mógł jeszcze swoją osobą powstrzymać uciekających, lecz zapadająca ciemność nocy kryła go przed wzrokiem żołnierzy, którzy sądząc że poległ, upadli na duchu i zewsząd nieprzyjacielem oskrzydleni, dłużej placu dotrzymać nie mogli.

Wszystko więc zbiegło się aby z tej przegranej bitwy niesłychaną uczynić klęskę. Tak więc cesarstwo, które runąwszy w 1814 r., w następnym znów się podniosło, ostatecznie w przepaść teraz zapadało, podobne do olbrzymiego gmachu, co nagle w swej posadzie wstrząśniony, wali się w gruzy i spada na głowę upartego człowieka, który mimo to do ostatniej na miejscu dotrzymuje chwili.

Cios jaki spotkał Napoleona, wyznać trzeba, był ogromny; ale trudno nawet uwierzyć, aby wszelkie czynione przez niego wysilenia, losu tego odwrócić nie mogły. Bo jeżeli opóźnił rozpoczęcie boju, to tak uczynić należało z samej konieczności fizycznej; błędy dopuszczone w taktyce Reille'a i d'Erlona, on starał się naprawić; jeżeli Ney zbyt pośpiesznie działanie główne wyprzedził, Napoleon jako zatrudniony wtedy na prawem skrzydle, przeszkodzić temu nie mógł, a kiedy ten, zbyt skwapliwy bój powstrzymał dla stawienia czoła Prusakom i tych ostatnich odparł, już wtedy ostatni korpus pruski na niego uderzał. Jako wódz przeto uczynił wszystko, co uczynić był winien, chcąc atoli być sprawiedliwym tak dla zwycięzców jako i dla zwyciężonego, przyznać należy, że książę Wellington i Blücher zasłużenie pozyskali wygranę: pierwszy swoją niewzruszoną stałością; drugi niczem niezachwianem patrjotyzmem.

Teraz, lubo z żalem dla pamięci zacnego, walecznego, a jakąś bezprzykładną w tej sprawie ślepotą dotkniętego męża, wyznać należy, że rzeczywistym sprawcą naszej klęski (rozumiemy tu klęskę materjalną, gdyż moralna leżała w czem innem), był marszałek Grouchy. Cały obraz działań staraliśmy się tu z drobiazgową skreślić dokładnością, mimo to nie znajdujemy nic cobyśmy na jego stronę powiedzieć mogli, lubo w ciągu przeszło 40 lat od tej fatalnej chwili wielu starało się go uniewinnić. Po bezużytecznie strawionem popołudniu dnia 17 i poranku dnia 18-go, pozostawała mu jeszcze druga połowa tego nieszczęśliwego dnia 18-go, czas dostateczny do naprawienia błędów i zamienienia klęski w zwycięztwo. Pod Sart-à-Valhain usłyszano huk dział o godzinie w pół do dwunastej. Wtedy Gérard, z przezornością prawdziwego wojownika, radził iść wprost za tym odgłosem, przekładając, że nie znając rzeczywistych zamiarów nieprzyjaciela, należało koniecznie dążyć ku Napoleonowi; gdyby bowiem Prusacy na niego się zwrócili, Grouchy właśnie spełniłby instrukcje zalecające mu komunikować się zawsze z główną armją; gdyby zaś cofali się ku Bruxelli, można ich było na tej drodze pozostawić, i spółdziałaniem przyczynić się do ostatecznego pokonania Anglików. Gérard, Vandamme, Valazé, żołnierze nawet, toż samo zdanie podzielali. Jeden tylko Grouchy, zamykając oczy na rzeczy-

wistość, zasłaniał się przed tem zewsząd nań padającem światłem. Sposób więc wyrażenia się Gérard'a i drażliwość Grouchy'ego były szkopułem, o który rozbiły się zdrowe rady mogące ocalić cesarstwo, i co stokroć ważniejsze, całą Francję!

Niektórzy znajdują dla marszałka Grouchy dwa usprawiedliwienia: pierwsze, że aby przejść z Sart-à-Valhain do Maransart, czas był już za krótki; drugie, że na tej właśnie drodze byłby spotkał 40,000 Prusaków broniących przejścia rz. Dyle, gdy tymczasem 50 000 tychże zmierzało na Napoleona. Zdaniem naszem obie te przyczyny są nieuzasadnione, a gdyby nawet miały za sobą słuszność, nigdy one wszelako nie uniewinniają tego, którego zamierzają usprawiedliwić. Bo jeżeli nie stawało czasu do przejścia z Sart-à-Valhain do Maransart, czyjąż to było winą jeśli nie marszałka, który 5 czy 6 godzin stracił bezużytecznie po południu w dniu 17, a 4 godziny z rana w dniu 18-m? Jeżeliby spotkano opór ze strony Prusaków broniących przejścia rz. Dyle, czyjąż to było winą jeśli nie Grouchy'ego, który wcześnie nie zajął mostów prawie zapomnianych od nieprzyjaciela i nie myślał nawet przebyć rzeki tam, gdzie przejście jej żadnych nie przedstawiało trudności. I tu więc błąd widoczny leży po stronie marszałka Grouchy. Te więc nic nie tłomaczące usprawiedliwienia pozbawione są wszelkiej zasady.

Jeżeli weźmiemy na uwagę odległość, rzeczywistość okaże się następująca: z Nil-Saint-Vincent, dokąd Vandamme przybył o godzinie w pół do dwunastej, do Maransart jest najwyżej 5 mil metrycznych czyli dawnych mil cztery. Mieszkańcy zapewniali, że przestrzeń tę można przebyć najwięcej w cztery godziny. Wiadomo zresztą, że milę metryczną można przejść w niespełna godzinę czasu. Jeżeli zwrócimy uwagę na zły stan dróg, lubo drogi boczne nie były tak popsute jak gościńce porznięte przechodem Prusaków, można czas ten przedłużyć do pięciu godzin, co aż nadto było wystarczającem dla żołnierza elektryzowanego dolatującym hukiem armat. Liczmy sześć godzin, co jest nawet zbyt powiększonem, a jeszcze Grouchy przybyłby w samą porę. Przedłużmy wreszcie ten czas do godzin siedmiu, to i wtedy ukazanie się jego byłoby bardzo pożądanem, była to bowiem chwila w której stara gwardja wypierała Prusaków z Planchenois, gdzie zatem w okropnym znalazłby ich nieładzie. Zresztą, może czytelnik będzie chciał przykładów w jakim czasie można było uskutecznić pochód w tych samych miejscach i okolicznościach? Przykładów tych nie braknie. Korpus Vandamme'a wyruszywszy z Gembloux o godzinie 8-ej, stanął w Baraque o 2-ej straciwszy w drodze przeszło godzinę i posuwając się zbyt wolno. Tymczasem z Gembloux do Baraque jest prawie tak daleko, jak z Nil-Saint-Vincent

do Maransart. Przestrzeń więc tę bez trudności można było przebyć w pięć godzin. Trzebaż jeszcze bardziej przekonywającego przykładu! Z Wavre do Gembloux jest przeszło 5 mil francuzkich, a tymczasem nazajutrz, to jest w dniu 19 Czerwca, kiedy konieczność chronienia się przed zwycięzkim nieprzyjacielem kroki przyśpieszała, wojsko wyruszywszy o zachodzie słońca, to jest o godzinie 8-ej, już o 11-ej stanęło w Gembloux. (Ob. *Mémoires de Barthezène* tom II. str. 398). Jeżeli więc pięć mil zrobiono w dniu 19 w trzy godziny, łatwo je było zrobić przynajmniej w pięć godzin w dniu 18.

Co się tycze oporu jaki Prusacy stawiać mogli w przejściu rz. Dyle, przypuszczenie to słuszne byłoby pod Wavre, gdzie nieprzyjaciel w trudnej do zdobycia stał pozycji, ale nie pod Moustier lub Ottignies, gdzie mosty wcale od Prusaków strzeżonemi nie były. Wprawdzie obdarzając przypuszczalnie nieprzyjaciela przezornością, jakiej właśnie brakło dowódzcy prawego skrzydła francuzkiego, możnaby wnioskować, że Blücher odgadując nasze zamiary, mógłby postawić 40 tysięcy wojska dla obrony mostów pod Moustier i Ottignies, któremi właśnie chciał przejść Gérard, lecz w takim razie do walki z Napoleonem postawiłby tylko 45 tysięcy, bo więcej wysłaćby nie mógł. Wszystko to zaiste stać się mogło, lecz jeżeli my, jako ludzie, ułomnej byliśmy natury, nie trzeba przypuszczać, że i nieprzyjaciel był bogiem.

Z przypuszczeń tych wszakże żadne nie miało miejsca. Blücher bowiem widząc że jest ściganym na Wavre, pozostawiwszy Thielmann'a z 28 tysiącami, by zatrudnić Francuzów, wysłał Bülow'a z 30 tysiącami ku Chapelle-Saint-Lambert i Planchenois, Pircha I-go posunął za Bülow'em, Ziethen'a zaś wzdłuż lasu Soigny, każdego z tych ostatnich z 15 tysiącami ludzi. Gdyby więc Grouchy usłuchał był rad Gérard'a, byłby stanął o godzinie 1-ej lub 2-ej przy mostach pod Moustier i Ottignies, przeszedł je bez oporu, nie spotkał nikogo i znalazłby wolną dla siebie drogę aż do Maransart. Tu wysławszy ku Wavre jenerałów Pajol i Teste dla zatrudnienia na kilka godzin Thielmann'a, a idąc z swoim korpusem na Maransart, zastałby właśnie Bülow'a nie wiedzącego o niczem w walce w dolinie Lasne, wtedy bowiem Pirch I-szy i Ziethen byli ztąd za daleko, aby obecność jego dostrzedz mogli. Gdyby takim obrotem zwrócono tylko tych ostatnich z zamierzonego kierunku, już tem samem cel byłby osiągnięty, bo właśnie ich przybycie klęskę przyśpieszyło. Samem zwróceniem na siebie uwagi Prusaków, Grouchy mógłby ich wyprzedzić zanim ci potrafili stawić mu opór, a wtedy podwójne wyświadczyłby dobro, raz że oswobodziłby od nich Napoleona; powtóre, mógłby zgnieść Bülow'a.

Na zmniejszenie więc winy marszałka Grouchy nie możemy tu nic przytoczyć, chyba dawniejsze jego rzeczywiste usługi i prawe zawsze, pełne poświęceń zamiary. Grouchy, jak to powiedział Napoleon, w tym nieszczęsnym dniu znikł dla armji, jak gdyby go trzęsienie ziemi z teatru wojny pochłonęło. Tak więc zapomnienie o swej głównej roli, której zadaniem było nie dopuszczać złączenia się Prusaków z Anglikami, stało się istotną naszych nieszczęść przyczyną, a mówimy tu tylko o przyczynach materjalnych, moralnych bowiem trzeba szukać wyżej to jest w samym Napoleonie, głównym sprawcy naszych niepowodzeń.

Rozważając tę cztero-dniową kampanję pod wyższemi względami, obaczymy nie błędy wodza, bo ten ani mniej głębszym w pomysłach, ani mniej obfitszym w środkach tu się nie okazał, ale raczej ujrzymy tu błąd naczelnika państwa, który stworzył dla siebie i Francji położenie wymuszone, w jakiem nic nie działo się biegiem naturalnym, i gdzie zamiary najpotężniejszego genjuszu musiały się rozbić o nieprzezwyciężone przeszkody moralne. Możnaż bowiem nie podziwiać tego zgromadzenia w ciągu kilku dni na granicach Francji 124 tysięcy wojska w zupełnej tajemnicy przed nieprzyjacielem, który w kilka godzin oddał nam Charleroy, i postawienia się od razu pomiędzy Prusakami a Anglikami, co otwierało możność pokonania oddzielnie jednych i drugich, by zwrócić się następnie na armję rossyjską i austrjacką z siłami ciągle się w czasie tej walki organizującemi! Lecz winą wahania się w dniu 15 i 16 jenerałów Ney Reille, w połowie tylko pomyślne, a które właśnie stanowczem być mogło, przypisać można w części Napoleonowi, a raczej dawnym wspomnieniom, silnie umysły tych jenerałów wstrząsającym. On to bowiem wdrożył w pamięć Reille'a wspomnienie Salamanki i Vittorji, Neyowi przywodził na myśl Dennewitz, Lipsk, Laon, a Vandamm'owi Kulm! Gdyby dzień 17, to jest dzień następny po bitwie pod Ligny spełzł był na niczem, co zresztą nie byłoby do pożałowania, wtedy błąd Neya spadałby tylko na połowę dnia, bo w drugiej jego połowie stanęła na przeszkodzie srożejąca się burza. Uniknąć tej burzy nie było w mocy Napoleona ani jego jenerałów, od niego atoli zależało nie zajmować takiego stanowiska, gdzie najmniejszy wypadek fizyczny mógł groźne sprowadzić niebezpieczeństwa i gdzie nie chcąc podać się na zgubę, trzeba było mieć za sobą wszelkie sprzyjające okoliczności, jakiemi zwykle przyroda żadnego wodza nie obdarza.

Strata poranku w dniu 18 Czerwca niczyją również nie była winą, albowiem po ulewnym deszczu należało wyczekać aż ziemia obeschnie dla pochodu jazdy i artyllerji, zresztą nie wiedziano, że czas na wzmocnienie się gruntu pozostawiony dozwoli Prusakom przybyć na plac boju.

Lecz jeżeli Reille zwątpił pod Goumont, a Ney i d'Erlon po dreszczach trwogi w dniu 16, zbyt porywczem męztwem unosili się w dniu 18, trwoniąc najdroższe siły, jakie zachować należało na chwilę stanowczą, to wina ich usposobienia moralnego, wina tego ślepego męztwa spada na Napoleona, który wodzów tych w tak dziwnem postawił położeniu. Nakoniec, jeżeli uwaga Napoleona cała skierowana na działanie z prawej strony nie mogła zapobiedz błędom dopuszczonym w środku armji, winę tego należy przypisać ukazaniu się Prusaków; dopuszczenie zaś ich nie pochodziło jakoby z niewłaściwego oddzielenia od armji prawego skrzydła; Napoleon bowiem nie mógł spuszczać Prusaków z uwagi i nie stawiać tamy ich powrotowi, pochodziło to więc wyłącznie z winy marszałka Grouchy. Zaiste, jest to nieprzebaczonym błędem, że Napoleon pragnąc wynagrodzić oddane usługi polityczne, wybrał tu na dowódzcę człowieka mężnego wprawdzie i prawego, ale niezdolnego do przewodniczenia wojsku w tak trudnych okolicznościach. Gdyby Napoleon w dniu tym więcej o 20 lub 30 tysięcy miał żołnierza, byłby mógł śmiało stawić czoło wszelkim grożącym mu wypadkom, lecz właśnie te 30 tysięcy były w Wandei, a Wandea tworzyła część tego niezwykłego położenia, którego on właśnie jedynym był autorem. W istocie było to lekkomyślnością z 120 tysiącami wojska iść do walki przeciw 220 tysiącom najlepszego żołnierza europejskiego, prowadzonego przez jenerałów zaciętych w swojem postanowieniu, gotowych zwyciężyć lub umrzeć. Wszelako, w położeniu Napoleona krok ten nie lekkomyślnością ale prawie mądrością nazwać należy, bo tylko w tych warunkach mógł on się ubiegać o wygranie wielkiego zakładu, to jest o pokonanie srożącej się nań Europy siłami już rozbitemi, a które on w przeciągu dwóch miesięcy do nowego przyzwał życia. Aby nic z uwagi nie opuścić, wspomnieć jeszcze trzeba, że i to febryczne usposobienie wojska, które z najwyższego heroizmu nagle przeszło do zupełnego upadku ducha, było także dziełem zwierzchnika państwa, który w ciągu swych 15-letnich rządów nadużył Francji, wojska, swego genjuszu, słowem wszystkiego czem go tylko Bóg tak obficie obdarzył. Ktoby chciał w wojennej nieudolności Napoleona szukać powodów klęsk, których wątku w 15-letniem okresie śledzić należy, ten stawiałby fałsz przeciwko prawdzie, drobnostkę przeciw wielkości. Napoleon pod Waterloo nie był wodzem upadłym już na duchu, podstarzałym, pozbawionym należytej przytomności umysłu, owszem, był to zawsze mąż niepospolity, wojownik niezrównany, które – go wszelako cały ogrom jego genjuszu nie mógł ocalić przed skutkami błędów jego polityki; był to olbrzym, który chcąc pogwałcić, przełamać siłę rzeczy, zarówno jak każda mierność pokonany został. Genjusz nie–

poznany lub zbyt późno poznany, jest zjawiskiem prawdziwszem, lubo inszem pod względem moralnym, niż wódz zestarzały w bojach a dopuszczający się błędów tak rażących. Lekcja ta dana od Boga i godna rodu ludzkiego który ją odebrał, posłużyłaby jeszcze za niezły temat do roztrząśnienia przed uczniami jakiej szkoły wojskowej!

Zresztą, tego nadzwyczajnego męża znajdziemy jeszcze przed obliczem podniesionych przez niego spraw moralnych, i w dalszym ciągu tego dzieła obaczymy ulegającego ostatecznej katastrofie, w jakiej przyczyny moralne są wszystkiem, materjalne zaś prawie niczem; bo jeżeli małe wypadki mogą zależeć od przyczyn materjalnych, wielkie tylko w moralnych źródło swe znajdują. One to właśnie przygotowują klęski, zmuszają nawet do ich spełnienia się, wbrew przyczynom materjalnym. Duch rządzi, materja jest rządzoną; ktokolwiek tylko zastanawia się nad światem i w prawdziwem widzi go świetle, ten nic innego w nim nie dopatrzy.

KSIĘGA SZEŚĆDZIESIĄTA PIERWSZA.

POWTÓRNE ZRZECZENIE SIĘ TRONU.

Działania wojenne na granicach Francji.— Pomyślne bitwy i zawieszenie broni w Sabaudji.—Klęska Wandejczyków i rozejm z dowódzcami powstania.—Napoleon przyjeżdża do Laon.— Bulletyn o bitwie pod Waterloo.— Napoleon zastanawia się czy ma pozostać w Laon i czekać nadejścia armji, czy jechać do Paryża i żądać od izb nowych posiłków.—Chwyta się tego ostatniego zamiaru.— Wrażenia w Paryżu wywołane smutną wieścią o przegranej pod Waterloo.— Umysły wszystkich opanowywa to przekonanie, że Napoleon nie mogąc już zwyciężać staje się dla Francji niebezpiecznym.—Prawie wszystkie stronnictwa, wyjąwszy rewolucjonistów i bonapartystów, domagają się, aby Napoleon abdykował i tym sposobem usunął grożące krajowi niebezpieczeństwa.—Knowania Fouché'go, który sobie wyobraża, że Napoleon usunięty będzie od tronu, on stanie się panem położenia.—Jego intrygi w kołach reprezentantów.— Namawia ich do stawienia oporu w razie, gdyby Napoleon chciał znów pociągnąć Francję do walki rozpaczliwej.— Przybycie Napoleona do pałacu Elysée w dniu 21 Czerwca rano — Jego osłabienie fizyczne.—Rozpacz otaczających go osób.—Rada ministrów na której obecni ks. Józef i Lucjan.—Zdaniem Davout'a i Lucjana należy odroczyć izby.— Zakłopotanie i milczenie ministrów.— Napoleon mniema, że czas 18 brumair'a już minął.— W czasie tych narad, Fouché podsuwa myśl panu de Lafayette, że Napoleon chce rozwiązać izbę deputowanych.— Szemrania w tej izbie.— Na wniosek Lafayette'a uznano zdrajcą każdego, ktoby chciał odroczyć lub rozwiązać izby, nalegając zarazem na ministrów, aby przedstawili istotne położenie kraju.—Umysły raz ku temu skłonione nie zatrzymują się; zaczynają więc mówić o abdykacji.— Napoleon obrażony okazuje gotowość do kroków gwałtownych.— Regnaud tajemnie przez Fouché'go poduszczony, usiłuje go uspokoić, podsuwając myśl o zrzeczeniu się tronu, której Napoleon nie odpycha.—Izba reprezentantów mocno wzburzona nalega na odpowiedź rządu.— Ministrowie udają się do obu izb z wnioskiem utworzenia kommissji z pięciu członków dla zapewnienia dobra publicznego.— Mowa pana Jay w której błaga Napoleona o złożenie korony.— Odpowiedź księcia Lucjana.—Zgromadzenie nie chce gwałtem wyrywać berła z rąk Napoleona, ale pragnie aby on sam je oddał.— Przyjmuje wniosek ministrów i mianuje kommissję z pięciu członków, którzyby wraz z rządem obmyślili środki ocalenia kraju.— Izba parów postępuje we wszystkiem za izbą deputowanych.— Osoby otaczające Napoleona namawiają go do zrzeczenia się tronu — Przeciwnie, ks. Lucjan radzi mu chwycić się środków stanowczych. — Przyczyny dla których rad tych nie przyjmuje.—Posiedzenie nocne w pałacu Tuileries przez kommissje obu izb odbyte.—Lafayette podnosi wyraźnie kwestję abdykacji.—Kommissja nie chce go słuchać i nalega, aby się zająć finansami i poborom, na co p. Regnaud oświadcza, że oszczędzając Napoleona, otrzymają od niego to czego żądają.— Sprawozdanie tego posiedzenia dla izby reprezentantów.—Niecierpliwość wzniecona błahością tego ra-

portu.— Jenerał Solignac, długo w niełasce będący, przyzywa izbę do poszanowania nieszczęścia i biegnie sam do pałacu Elysée, żądając abdykacji.—Napoleon uprzejmie go przyjmuje przyrzekając dać wkrótce izbom zupełne i bliskie zadowolenie.—Powtórna abdykacja.—Napoleon stawia warunek, że zrzecze się korony, ale na rzecz swego syna.—Akt abdykacji przedstawiono izbie, która tem ucieszona przechodzi w ogólne rozrzewnienie.—Obiór kommissji wykonawczej mającej zastąpić władzę cesarską; członkowie tej kommissji: Carnot, Fouché, Grenier, Coulaincourt, Quinette.— Fouché jej przewodniczący przemawia.—Fouché sekretnie oswobadza p. de Vitrolles i porozumiewa się z rojalistami.— Wolałby on Napoleona II, lecz przewidując że Burboni go porwą, postanawia układać się z nimi.—Sceny w izbie parów.—La Bedoyère domaga się bezzwłocznego ogłoszenia Napoleona II.— Spór Neya z Drouot'em o bitwę pod Waterloo.— Napoleon widząc dążenie do usunięcia kwestji dotyczącej przekazania korony na rzecz syna, żali się przed panem Regnaud, że został oszukany.— PP. Regnaud, Boulay de la Meurthe i Defermon przyrzekają mu poprzeć nazajutrz sprawę Napoleona II.— Burzliwe w dniu 23 posiedzenie izby deputowanych.— Boulay de la Meurthe donosi o knowaniach rojalistów i żąda natychmiastowego ogłoszenia Napoleona II.— Całe zgromadzenie gotowe jest to uczynić.— Deputowany Manuel zręczną mową uspokaja izbę i skłania ją do powrotu do porządku dziennego.— Rozmaite środki poddane pod głosowanie izby.— Co się działo w tym czasie na granicach.— Zebranie się wojsk w Laon i sposób w jaki ocalił się Grouchy.— Armja liczy jeszcze 60 tysięcy żołnierza i na imię Napoleona II-go odzyskuje cały swój zapał.—Grouchy przyjmuje dowództwo i idzie z wojskiem na Paryż lewym brzegiem rzeki Oise.—Wodzowie nieprzyjacielscy dowiedziawszy się o abdykacji śpieszą do Paryża, lecz najzapalczywszy z nich Blücher wyprzedza o dwa dni Anglików.— Wzburzenie w Paryżu wzrasta.— Rojaliści myślą o zamachu, tylko Fouché wstrzymuje ich przez p. de Vitrolles.— Bonapartyści i rewolucjoniści chcieliby, aby Napoleon stanął na ich czele i rozproszył izby.— Zebranie się związkowych w alei Marigny i okrzyki na widok Napoleona.— Fouché niespokojny chciałby wydalić Napoleona.— Daje polecenie marszałkowi Davout aby się udał do pałacu Elysée i zażądał od Napoleona opuszczenia Paryża.— Napoleon przenosi się do Malmaison i żąda dwóch fregat stojących na kotwicy w Rochefort, by się udać do Ameryki.— Fouché domaga się dlań wolnego przejazdu od Wellingtona.—Napoleon oczekuje odpowiedzi w Malmaison.— Jenerałowi Beker poruczono straż jego osoby.—Vitrolles nalega na Fouché'go aby położył koniec temu przesileniu.— Fouché zwala całą trudność na wojsko, które z jego podmowy przedstawia niepodobieństwo dalszej walki.— Rojaliści zwracają się ku Marszałkowi Davout.— Oudinot porozumiewa się z Davout'em.— Ten oświadcza, że jeżeli Bourboni zechcą wejść bez eskorty obcych wojsk i zapewnią całość osób i poszanowanie praw Francji, on pierwszy gotów jest obwołać królem Ludwika XVIII.— Davout czyni w tym celu otwarte kroki u kommissji wykonawczej.— Fouché nie śmie go podtrzymywać.—W tym czasie wysłani do sprzymierzonych dworów pośrednicy składają raport z którego się okazuje, że mocarstwa europejskie nie koniecznie obstają za Bourbonami.—Raport ten jest przyczyną nowej zwłoki ostatecznego postanowienia.—Wojska nieprzyjacielskie posuwają się ku Paryżowi.— Nowi posłannicy mają układać się o zawieszenie broni.— Szczególne usposobienia księcia Wellingtona.— Jego mądrość i rady dawane na dworze w Gandawie.— Usposobienie tego dworu.— Zamiary pomszczenia się.— Oburzenie na p. Blacas, a względy dla Fouché'go.— Chwilowe panowanie Talleyrand'a.— Przyjazd Ludwika XVIII do Cambray.— Jego oświadczenie.—Ks. Wellington nie zgadza się na wejście siłą do Paryża, żąda on aby wejście to było pokojowe i nie zrażało ludu do Bourbonów.— Gwałtowność Blüchera w celu uwolnienia się raz od Napoleona.— Szlachetne słowa ks. Wellingtona.—Kommissarze traktują z tym ostatnim o zawieszenie broni.—Wellington domaga się oddania Paryża i osoby Napoleona.—Fouché chce go śpiesznie wyprawić w drogę.—Napoleon zawiadomiony o zbliżaniu się nieprzyjaciela, i wiedząc, że Prusacy o dwa dni drogi wyprzedzają Anglików, proponuje kommissji, aby mu powierzyła dowództwo nad wojskiem na kilka godzin, przyrzeka wygrać bitwę i potem złożyć daną mu władzę. Wniosek ten odrzucony.—Odjazd Napoleona do Rochefort w dniu 28 Czerwca.— Po wyjeździe Napoleona, Wellington nie mogąc już żądać wydania jego osoby, oświadcza, iż należy przyjąć Bourbonów i zapewnia o trafności ich nadal postępowania.— Rozmowa z wysłannikami francuzkimi.— Tajemni ajenci Fouché'go udzielają mu

wiadomości zgodne z otrzymanemi od delegatów, z których się okazuje, że powrót Bourbonów jest nieuniknionym.— Fouché widząc że zwłokę tę trzeba raz zakończyć, zwołuje wielką radę, w której uczestniczą członkowie izb i kilku marszałków.—Chce zrzucić odpowiedzialność na marszałka Davout, za jego zdanie o niemożliwości dalszej obrony.— Oburzony tak nikczemnemi intrygami Fouché'go, Davout oświadcza, że gotów jest stoczyć bitwę i zapewnia zwycięztwo, jeżeli tylko w ciągu dwóch pierwszych godzin nie polegnie.— Zakłopotanie Fouché'go —Zdanie Carnot'a o niemożliwości dalszego oporu.— Rada ta idzie pod rozbiór wyznaczonej na to wyłącznej kommisji wojennej.— Fouché tak przedstawia kwestję, aby otrzymał żądaną odpowiedź.— Z odpowiedzi kommisji można wnosić, że kapitulacja jest konieczną.— Świetna walka jazdy Exelmans'a z Prusakami.— Pomimo tego powodzenia wszyscy dążą do układów.—Wysłanie kommissarzy do Blüchera w Saint-Cloud —Kommisarze przejeżdżają około kwatery Davout'a.— Sceny tu zaszłe. —Jadą do Saint-Cloud.— Umowa o poddanie Paryża.— Treść rozmaitych warunków.— Armja francuzka ma się cofnąć za Loarę, a tylko gwardja narodowa ma pełnić służbę w stolicy. —Sceny związkowych i wojsk francuzkich przechodzących przez Paryż.— Fouché widzi się z Wellingtonem i Talleyrandem w Neuilly.— Nie mogąc otrzymać warunków żądanych, poprzestaje na zatrzymaniu dla siebie ministerstwa policji.— Spółtowarzysze jego widzą się być zdradzonymi.— Wraca do Neuilly i tu pozyskuje posłuchanie u Ludwika XVIII.—Czyni przygotowania do wjazdu tego monarchy i każe zamknąć salę izb.— Zdanie ogólne, że Fouché zdradził wszystkie stronnictwa.—Krótki pogląd i ocenienie perjodu zwanego Stu Dni.

Wypadki zaszłe na wschodzie i południu Francji były mniej znaczne i nie tak niepomyślne, jak na północy. Jenerał Rapp zamknął się w Strasburgu, Lecourbe zaś w Béfort i ten ostatni po bitwach godnych owych czasów, w których bronił Austrjakom i Rossjanom przejścia Alp, potrafił wstrzymać nieprzyjaciela. Na granicach Szwajcarji i Sabaudji, marszałek Suchet, zawsze zdolny i szczęśliwy, mając tylko 18 tysięcy wojska, stawiał opór 60 tysiącom nieprzyjaciela. Z ośmią czy dziewięcią tysiącami wojska linjowego i tyleż gwardji narodowej ruchomej, jenerał ten wystarczył na obronę gór Jura i Alp od Rousses do Briançon, postawił Lyon w stanie obronnym i nie dopuścił nieprzyjaciela pod Chambéry. Korzystając z dopuszczonych przez Austrjaków błędów, odparł ich, a nawet po otrzymanej wiadomości o przegranej pod Waterloo, proponował im zawieszenie broni. Lecz kiedy ci zażądali oddania Lyonu i Grenobli, oburzony tem Suchet uderzył na nich z całą siłą i wytępił lub w niewolę zabrał przeszło 3,000 ludzi. Zrażony tym wypadkiem jenerał austrjacki Frimont przyjął ofiarowane mu przez marszałka zawieszenie broni i ze-

zwolił, aby granica z roku 1814 była linją separacyjną dla dwóch wojujących armji.

W Wandei rzeczy szły także dość pomyślnie; tu bowiem wodzowie wandejscy, po wzięciu Aizenay, rozproszyli się niezadowoleni z Anglików i z la Rochejaquelein'a, bliscy powrócić do dawnych wzajemnych rozterek. Ludwik de la Rochejaquelein, zostawszy naczelnym dowódzcą powstania, mianował szefem swego sztabu jenerała Canuel, dawnego z czasów rzeczypospolitej oficera, z cesarstwem powaśnionego. Jakkolwiek Sapinaud, Suzannet i d'Autichamp opierali się w uznaniu go głównodowodzącym, przez wzgląd wszakże na władzę królewską i szacunek dla imienia de la Rochejaquelein, rozkazom jego poddali się. Wkrótce jednakże Ludwik de la Rochejaquelein idąc za zdaniem jenerała Canuel, który naśladując zwykły w regularnej armji porządek, dążył do centralizacji dowództwa, dał powód do starć pomiędzy naczelnikami z przyczyny rozkazów przeciwnych obyczajom Wandejczyków; nadto, krzyżował on ich zamiary chcąc prowadzić w niziny (marais) dla odebrania spodziewanych posiłków angielskich, w których nadejście oni właśnie nie wierzyli. Jako powody czynionego oporu stawiali oni brak wiary w przyrzekaną pomoc angielską i w niebezpieczeństwie liczniejszego zbierania się w niziuach, pomiędzy wojskami jenerała Travot stojącego w Bourbon-Vendée i wojskiem jenerała Lamarque rozłożonem w Nantes, w pośród kraju otwartego, gdzie Wandejczycy zawsze doznawali porażek i wystawieni być mogli na śmierć z głodu. W tym właśnie czasie przybyli do Wandei wysłannicy Fouché'go: de la Béraudière, de Malartic i de Flavigny z propozycją zawieszenia kroków wojennych z téj zasady, że kiedy cała sprawa głównie rozstrzygała się we Flandrji, byłoby więc daremnem przelewać krew w Wandei, gdzie sprawa ta nigdy ostatecznie załatwioną być nie może. W czasie układów pomiędzy wysłannikami a panami Sapinaud, Suzannet i d'Autichamp, Ludwik de la Rochejaquelein, biorąc to za zbrodnią odstępstwa sprawy, złożył ich z dowództwa. Lecz w Wandei mianowanie dowództwa nie wychodziło z gabinetu królewskiego, tylko od ludu. Sapinaud więc, Suzannet i d'Autichamp nie przestali dowodzić wojskami swemi i dozwolili Ludwikowi de la Rochejaquelein zapuścić się w niziny, gdzie właśnie usiłując wydobyć się z jednej niekorzystnej pozycji, niewczesnem uniesiony męztwem, poległ idąc na czele oddziału z 1,500 ludzi złożonego, który też wkrótce zupełnie został rozbity.

Kiedy po jego zgonie Sapinaud główne objął dowództwo, naczelnicy powstania ponownie wtedy chwyciwszy za oręż, szli na Roche-Servien, gdzie w potyczce z jenerałem Lamarque, srogą ponieśli klęskę, bo stra-

cili przeszło 3 tysiące ludzi. W bitwie tej poległ od kuli Suzannet. Widząc niepodobieństwo dalszego prowadzenia tak nierównej walki i że przywrócenie władzy królewskiej innym wypada pozostawić, wodzowie wandejscy powolni propozycjom Fouché'go, podpisali nakoniec warunki pokoju, kładąc tem samem kres bratobójczej wojnie, w której bezużytecznie padło tylu walecznych żołnierzy, a jacy z większą korzyścią użyć być mogli we Flandrji niż w Wandei.

Tak więc na granicach i w samym państwie nie było strat stanowczych, gdyby tylko Paryż umiał był znieść klęskę pod Waterloo poniesioną.

Napoleon wyjechawszy z Charleroy, skierował się na Philippeville z małym orszakiem jeźdźców różnej broni, dokąd przybywszy w dniu 19 Czerwca, wszedł po niejakim oporze ze strony gubernatora, który nie mogąc uwierzyć, aby cesarz Francuzów w tym stanie mógł przybyć, wahał się z otworzeniem mu bram miasta. Wkrótce atoli z należnym szacunkiem i spółczuciem przyjęty, Napoleon zastał tu p. de Bassano i kilku oficerów, wszystkich w przerażeniu i pozbawionych bagaży, bo nic zgoła, nawet wozy cesarskie z bitwy nie ocalały. Nareszcie po kilku chwilach wzajemnemu wylaniu uczuć poświęconych, wydawszy potrzebne rozkazy, Napoleon napisał do brata swego Józefa, donosząc o przegranej i zalecając zwołanie rady ministrów, celem obmyślenia środków, jakie obecne okoliczności przedsiewziąć nakazywały, po czem z kilką służącymi wsiadł do lichego, naprędce dostarczonego mu powozu, udając się do Laon, zkąd rozpisał polecenia wskazujące gdzie i jak mają być ogromadzone rozbitki jego armji.

Przybywszy do Laon, gdzie go poprzedziły smutne wieści o doznanych niepowodzeniach, Napoleon przyjął władzę miasta i dowódzców załogi wynurzających mu swoją szczerą boleść, po czem przez parę godzin naradzał się nad środkami na teraz przedsiewziąć się mającemi. Jednym rzutem oka przeniknął on całą niedaleką przyszłość i poznał, że wszelkie środki, jakieby się w tych okolicznościach obmyśleć dały, zawsze do jednego sprowadzić się dają wypadku. Los o który grał, była to szachownica: źle rzucona kostka, całą przyszłość o widoczną przyprawiała zgubę. Takie zapatrywanie się na stan rzeczy, wlewające weń ducha zadziwiającej rezygnacji, osłabiało niejako energję, a nawet czyniło prawie nieczułym na środki, jakie tu przedsiębrać należało. Jakaś obojętność, raz spokojna i łagodna, niekiedy znów gorzka i pogardliwa, była jego ciągłem usposobieniem w chwili, w której gdyby był mniej przezornym i więcej myślał o swem ocaleniu, byłby mógł choćby na czas krótki los swój zażegnać. Kilka zaledwie godzin pozostawało

mu do urządzenia interesów, lecz w tak krótkim czasie trudne zaiste było coś ważnego przedsiewziąć.

Rzeczą niecierpiącą zwłoki było najprzód przedstawienie Francji szczegółowego sprawozdania z bitwy w dniu 18 stoczonej. Przy osobie Napoleona był wtedy p. de Bassano, wielki marszałek Bertrand, jenerał Drouot, pp. Flahault i la Bedoyère, jego adjutanci. Napoleon sam skreślił buletyn bitwy, z postanowieniem wypowiedzenia całej prawdy, nikogo wszakże nie obwiniając. Podyktowawszy szybko ten buletyn, odczytał go obecnym dodając, że mógłby część złego zwalić na marszałka Neya, lecz nie chce tego czynić w przekonaniu, że tu każdy robił co mógł i że nikt nie jest wolnym od błędów. I rzeczywiście, byłoby to niesprawiedliwością czynić odpowiedzialnym za odniesioną klęskę męża, który aby jej zapobiedz, sam stawiał dowody niezrównanego męztwa. Nie mógł także obwiniać marszałka Grouchy, bo nie znał jego postępowania, a nieobecność przypisywał jakimś nadzwyczajnym okolicznościom. Winą więc doznanego niepowodzenia był sam zbieg nieprzyjaznych okoliczności i *gorączkowa niecierpliwość jazdy*. Napoleon po naradzie z jenerałem Drouot, mężem znanej prawości, podpisał buletyn i umyślnym kurjerem wysłał go do Paryża; po czem, z osobami go otaczającemi naradzał się nad tem, co dalej czynić należało.

Wypadałoż dłużej pozostać w Laon i cierpliwie tu oczekiwać na ściąganie się szczątków armji? Jakież mogły być te szczątki? Wystarczął one na stawianie czoła nieprzyjacielowi i na opóźnienie przynajmniej o kilka dni jego pochodu, aby tem samem dać czas Paryżowi do zamknięcia swych bram, wzmocnienia szańców i zebrania odpowiedniej załogi? Czy nie lepiej byłoby pozostawić zbieranie armji w Laon staraniu jeneralnego sztabu i księcia Hieronima, samemu zaś podążyć do Paryża, stawić się przed izbami, wypowiedzieć im prawdę i żądać obmyślenia środków do naprawienia ostatnio poniesionej klęski? Na środkach wprawdzie nie zbywało, gdyby tylko izby zgodnie z rządem chciały wesprzeć jego usiłowania. Środki te, i dość znaczne, Napoleon za wczasu już obmyślił, a rozporządzając niemi, mógł jeszcze pomyślnie stawiać przeciwnikom opór. Izby sprzyjając ogólnej sprawie mogłyby jeszcze coś dodać; wszystko więc zawisło od stałości i zgody władz krajowych. Zaiste obecność Napoleona czyż nie wpłynęłaby skuteczniej na tę stałość i zgodę, niż trzymanie się na uboczu?

Ważne to zadanie już po raz trzeci przedstawiało się w zawodzie Napoleona. Łącząc w sobie podwójny charakter wodza i monarchy, nieraz w stanowczych, uroczystych chwilach, zadawał sobie pytanie, czemu należało dać pierwszeństwo: czy postawić się jako główny motor rządu,

czy jako wódz trzymać się armji? W różnych tych wypadkach poświęcał on zawsze interes wojska dla interesu polityki; wyrachowanie to dotąd było dlań pomyślnem, lubo nieraz cierpiał na sławie osobistej, tym bowiem sposobem nieprzyjaciołom swoim nasuwał przekonanie, że jak skoro powodzenie wojska z winy jego dozna szwanku, dość mu będzie myśleć tylko o ocaleniu swojej osoby. Lecz był to tylko zarzut nieprzyjaciół, we wszelkich bowiem tego rodzaju wypadkach, Napoleon ważne osiągał cele. I tak, kiedy opuścił armję w Egipcie dla utrwalenia rządu w Paryżu, został wkrótce konsulem i cesarzem. Po kampanji w 1812 r., kiedy pożegnał swoje wojsko w Smorgoniach i przebiegł Niemcy przed ich powstaniem, zebrał zaraz środki do pokonania Europy pod Lützen i Bautzen, co bez wątpienia mogło mu ocalić tron, gdyby tylko był umiał uczynić ofiarę z swojej dumy. Dotąd więc działanie jego było trafnem, gdyż w pierwszym razie zyskał władzę, w drugim ją utrzymał. Spotkaż go toż samo i w tem trzeciem położeniu?

Trudna to zaiste kwestja do rozstrzygnięcia. Powrót jego z Egiptu, poprzedzał urok chwały silniej odbijający od zniechęcenia do dyrektorjatu; dość mu było więc ukazać się, by odnieść tryumf. Nagły jego przyjazd z Rossji nie zatrwożył narodu, który widząc go zawsze niezwyciężonym, doznane niepowodzenie uważał za chwilowe; nadto, naród nie pojmował wtedy, aby kto inny jak Napoleon mógł stać na czele rządu; patrjotyzm więc Francji niebawem dostarczył mu nowych środków do powtórnej wyprawy wojennej. Lecz dziś wszystko to inną przybrało postać; dziś już zaczęto oswajać się z myślą, że i Napoleon może być zwyciężonym. Wierzono wprawdzie w genjusz, ale osłabła wiara w jego szczęście; wielu zaczęło głośno sarkać na despotyzm, na niepohamowaną dumę, na nieszczęścia przez niego na Francją sprowadzone, przypisując całe niepowodzenie powrotowi z wyspy Elby. Błędy Bourbonów powrót ten przyśpieszyły, zbrojną dłonią poparto więc dążności Napoleona w nadziei, że może jeszcze zwyciężać; kiedy zaś teraz i to przekonanie wraz z innemi urokami osłabło, mógłże on spodziewać się jakiego poparcia ze strony izb, które jeżeli przed przegraną były dlań dość obojętnemi, to bezwątpienia okażą się niemi bardziej po przegranej. Nie będąż one, jak to zwykli czynić ludzie, szydzić teraz z nieszczęśliwego bohatera? Nie lepiejże było pozostać na czele armji, która nie przestawała go ubóstwiać, a przyczyny klęski przypisywała tylko zdradzie? Pozostając w łonie armji zawsze strasznej chociaż zwyciężonej, czyż położenie jego nie byłoby bardziej nakazującem, niż przed kratkami zgromadzenia nieubłaganego dla despoty bez broni i wojska?

Tajemne przeczucie nakazywało Napoleonowi pozostać raczej

w Laon dla ogromadzenia resztek swego wojska, niż oddawać się w ręce nieprzyjaznych władz w Paryżu i dla tego sam ku temu skłaniał się postanowieniu. Lecz w tej mierze, w osobach go otaczających, znalazł zdania podzielone. Jedni pamiętni na szemrania jego nieprzyjaciół powtarzających, że Napoleon opuszczał zawsze armję wtedy, gdy ona w największym była kłopocie, obawiali się podobnych w obecnem położeniu pogłosek; inni znów byli zdania, że należało mu jechać do Paryża, by tam podnieść ducha, uciszyć stronnictwa, i wpoić w umysły obywateli konieczność dalszej obrony. Ci których ta ważna myśl zajmowała, wierząc w przewagę swego pana, która właśnie dla innych słabym już tylko pozostała cieniem, chcieli teraz postawić go przeciw złej woli stronnictw, powodowani tem mylnem przekonaniem, że wpływ jego będzie tak skutecznym jak bywał niegdyś. Prawda, że w tak ważnych jak obecne chwilach, wśród niezgód łatwo przewidzieć się dających, silna wola jednego była bardzo pożądaną w Paryżu. Lecz nie byłażby silniejszą ta wola z daleka, z pośrodka armji fanatycznie zawsze uwielbiającej swego wodza, niż z pośród pustych murów pałacu elizejskiego? Przypuśćmy, że izby w uniesieniu swojem zechcą sięgnąć ręką po prerogatywy cesarskie, cóż one będą mogły zdziałać Napoleonowi swem wiernem otoczonemu wojskiem, gdy tymczasem łacno im przyjdzie pogwałcić prawa, pozbawić go berła, jak skoro Napoleon znajdować się będzie pomiędzy niemi sam, otoczony tylko wspomnieniem poniesionej klęski. Przyszłość tę upokarzającą sam on przewidywał, lubo jej nie wyjawiał osobom udział w tej naradzie biorącym. Mimo to widząc konieczną potrzebę silnej ręki którąby w łonie samego rządu złe chęci powstrzymać umiała, i wierząc jeszcze w siłę która codziennie im samym jeszcze uczuwać się dawała, osoby otaczające zaklinały Napoleona, aby bezzwłocznie jechał do Paryża. Wszelako, pewien rodzaj tajemnego oporu wstrzymywał cesarza od tej podróży, gdy tymczasem dwie przyczyny przeciwne jego usposobieniu potrzebę wyjazdu przyśpieszyły. Najprzód, Napoleon otrzymał list od hr. Lanjuinais, prezesa izby deputowanych, list pisany wprawdzie po bitwie pod Ligny, a przed bitwą pod Waterloo, lecz nacechowany taką szczerością uczuć, iż pismo to zapowiadało najlepsze izb usposobienie. Z drugiej strony patrząc na to co się działo w około niego w Laon, odbiegała go chęć dłuższego tam pozostania. Gdyby Napoleon miał do rozporządzenia 50 lub 60 tysięcy żołnierza do rozwinięcia działań pomiędzy Paryżem a granicą, niby go było nie skłoniło do odstąpienia wojska, bo przy swojej umiejętności działań wojennych, byłby niezawodnie opóźnił pochód wodzów nieprzyjacielskich, podniósł osłabionego ducha, dał czas do nadejścia gwardjom narodowym ruchomym i nakoniec śmiałą

swoją postawą potrafiłby pohamować swoich zewnętrznych i wewnętrznych nieprzyjaciół. Tymczasem pomiędzy Philippeville a Laon napotkano zaledwie 3 tysiące rozbitków, a trzeba było przynajmniej ośmiu lub dziesięciu dni czasu do zebrania 20 tysięcy ludzi, by z nich utworzyć oddział wojska uorganizowanego.—Gdyby Grouchy, mówiono, był dobrym wodzem i gdyby można było mieć nadzieje, że on powierzone mu 34 tysięcy ludzi zdołał ocalić, wtedy postawiwszy za nim te 25 tysięcy pełnego poświęceń dla sprawy cesarstwa żołnierza, czyli mając razem 60,000 wojska, można było śmiało rzucić się na nieprzyjaciela, wygrać bitwę, wstrzymać jego pochód i wesprzeć tem samem chwilowo zachwiany los Fracji. Lecz Grouchy zapewne dostał się w moc Anglików lub Prusaków, nie było zatem ani jednego całego korpusu. Napoleon musiałby pozostać w Laon 10 lub 12 dni, aby zebrać 15 lub 20 tysięcy żołnierza, zbierać ich po jednemu i szykować w nowe pułki. Wszystko więc utwierdzało w przekonaniu, że właściwiej i korzystniej było użyć tego czasu na kilkodniowy pobyt w Paryżu, by po umocnieniu władzy powrócić do armji staraniem sztabu jeneralnego już uorganizowanej. Przyczyny te, jakkolwiek pozorne, wpłynęły łatwo na postanowienie Napoleona, nie wypadało bowiem pozostawać dłużej w Laon i upędzać się za ogromadzaniem rozbitków, gdy czasu tego mógł on użyć na uciszenie przeciwnych stronnictw, na ożywienie administracji i wydobycie nowych źródeł pomocy. Gdyby był wiedział, że Grouchy wyszedł cało z niebezpieczeństwa, nieomylnie pozostałby w Laon; lecz mając go za straconego, wolał udać się do Paryża. Tak więc można powiedzieć, Grouchy zgubił go po dwakroć: raz swemi nietrafnemi obrotami, powtórnie zaś obawą przeciwnych działań, co właśnie nie miało miejsca gdyż jenerał ten cudownie korpus swój ocalił.

Taki owziąwszy zamiar, Napoleon wydał rozkazy, aby zebrana z okolicy gwardja narodowa skrzętnie zajęła się ogromadzeniem w Laon wojsk w rozsypkę podanych. Następnie zdawszy dowództwo marszałkowi Soult i polecając jak najspieszniejsze uorganizowanie wojsk, zapewnił, że jak skoro załatwi najpilniejsze sprawy, powróci, by objąć poruczone chwilowo dowództwo. Po czem wraz z bratem swoim Hieronimem ranionym w ramię i w rękę, wsiadł do powozu w dniu 20 Czerwca i pośpieszył do Paryża.

Kiedy Napoleon rozważał w Laon jaką ma obrać drogę, Paryż tymczasem na otrzymaną wieść o ponesionej klęsce pod Waterloo, popadł najprzód w martwą odrętwiałość, która niebawem w żywą zamieniła się agitację. Szybko jedne po drugiej dolatujące raporta o pomyślnym obrocie rzeczy w Wandei, o powodzenia od strony Alp, o zwycięztwie pod

Ligny, tchnęły w naród niejaką ufność, dającą tę przynajmniej pewność, że sprawa ta zaszczytnym ukończy się pokojem. Te zadawalające wiadomości nadbiegały do dnia 18-go. W dniu 19 wszystko ucichło; w dniu 20 zaś rozeszła się wieść, że książę Józef nagle zawezwał na naradę ministrów, i wtedy rozpaczliwe pogłoski zaczęły Paryż obiegać. Jakoż wkrótce dowiedziano się, że Józef uwiadomił członków o wielkiej klęsce, zalecając czekać spokojnie na dalsze od Napoleona rozkazy. Łatwiej wszakże doradzać spokój niż go zachować. Umysły ludu opanowało najżywsze wzruszenie, a myśl że Waterloo będzie hasłem nowej rewolucji, opanowała umysły wszystkich. Dotąd, od czasu powrotu z Elby panowało w narodzie to przekonanie, że jeżeli Napoleon, jako znienawidzony w całej Europie był dla Francji niebezpiecznym, znana wszakże dzielność jego oręża, ufność w nim pokładać nakazywała. Dziś, gdy miecz ten pod Waterloo przemoc skruszyła, osoba jego stała się wcale niebezpieczną, wszyscy zatem nabrali przekonania, iż należało mu raz jeszcze ustąpić z tronu, by grożące Francji niebezpieczeństwo usunąć. Ci którzy w nim uwielbiali tylko powodzenie oręża, zaczęli teraz głosić, że gdy Napoleon przegrał już ostatnią stawkę, nie pozostawało mu nic jak ustąpić miejsce innemu. Inni, głębiej szukający przyczyn, wyprowadzali wnioski, że Napoleon raz już naraził na szwank Francję i poważnił ją z całą Europą w czasie pierwszego swego panowania, nie należało mu przeto powracać z Elby; powróciwszy zaś, nie wypadało stawiać kroków lekkomyślnych, a przynajmniej usprawiedliwić je dobrą polityką i zwycięztwem; dziś więc, zawiedziony od losu, powinien był się poświęcić, położyć kres niebezpieczeństwu, które sprowadziwszy, zaradzić mu nie mógł.

Takie zdania w jednej chwili stały się powszechnemi i każdy na swój tłomaczył je sposób. Rojaliści najwyższą uniesieni radością, głosili że bezzwłoczne ustąpienie Napoleona z tronu było konieczną dla szczęścia Francji ofiarą, a zarazem sprawiedliwą kaźnią za tak lekkomyślne pokuszenia się. Stronnicy zaś rewolucji, młodzi liberaliści, którzy nie pragnąc osoby Napoleona, przyjęli go wszakże jako jedynego obrońcę rewolucji i Francji, widząc, że za wiele liczyli na jego genjusz i szczęście, zmieszani, zasmuceni, zaczęli teraz otwarcie głosić, iż trzeba wyłącznie myśleć teraz o ocaleniu kraju, jeśli wraz z nim nie można ocalić Napoleona. Jedni tylko stronnicy dynastji Bonapartych, czy to powodowani przywiązaniem, czy interesem, nie przestawali obstawać za utrzymaniem Napoleona choćby z największą ofiarą lub zagrzebaniem się wraz z nim pod gruzami cesarstwa.

Wprawdzie niektóre wytrawniejsze umysły, słusznemi uwagami zdanie to popierały, mówiąc, że jak skoro dopuszczono się błędu dozwalając powrotu Napoleonowi, jedynym środkiem naprawienia go, było silne z nim i teraz skojarzenie się; że zresztą środki dalszego prowadzenia wojny jeszcze się nie wyczerpały, a złożone w jego ręce mogły pomyślne przynieść rezultaty. Opór pod jego wodzą mógł być skutecznym, złożony w inne ręce stałby się niepodobnym; traktowanie zaś z Europą, obok poświęcenia Napoleona, było niezaszczytnem i urojonem, bo Europa była nienawistną nie tylko do jego osoby, ale i do całej Francji; mówiono nakoniec, że sprzymierzeni mogą wprawdzie najświetniejsze uczynić objetnice, lecz jeżeli naród w powolności swej ich usłucha, Bóg tylko wie co się stanie z krajem, jego całością i wolnością!

Dwóch znakomitych mężów, Carnot i Sieyès, zdania te podzielało: Carnot, który pozostając przez trzy miesiące przy osobie Napoleona, i poznawszy jego prostotę, otwartość, gotowość uznania błędów jak skoro mu ich nie wyrzucano i poświęcenie bez granic, szczerze do niego przywiązał się; Sieyès zaś, dziś równie jak dawniej nie lubiący Napoleona, ale oceniający wyższość jego umysłu, mniemał, że nie pozostawało jak bronić się z nim, lub też bezzwłocznie oddać się Bourbonom, a ponieważ to ostatnie zdanie było dlań niepodobnem do wykonania, przeto nie wahał się głosić, że jedyną drogą wyjścia jest skupienie się około Napoleona, szczere i energiczne z nim działanie i oddanie w jego ręce wszystkich sił kraju. Zdanie to w dość żywych słowach wypowiedział on panu Lanjuinais, otrzymaną wiadomością z pod Waterloo mocno zachwianemu; Lanjuinais bowiem był jednym z tych, co trzymali się Napoleona jedynie ze względów na dobro ogólne, z chwilą więc upadku tych nadziei, znikały wszelkie z nim łączące ich węzły.—Zastanów się pan dobrze, rzekł doń Sieyès, nad tem co masz czynić, bo do ocalenia, jednego tylko macie człowieka. Tu nie trybuna, ale jenerała wam trzeba. On jeden tylko może utrzymać i poprowadzić wojsko. Korzystaliście z niego, teraz możecie go złamać; ja go nie będę żałował, ale umiejcie użyć go wpierw, dajcie mu w dłoń wszystkie siły narodu, bo tym tylko sposobem możecie usunąć grożące krajowi niebezpieczeństwo. Inaczej, zapewniam, zgubicie rewolucję, a być może i całą Francję.

W tym razie Sieyès pod niektóremi względami miał zupełną słuszność. Chcąc bowiem, aby wolność odniosła górę za pośrednictwem nowych jej zwolenników i dawnych rewolucjonistów (mianowicie tych, którzy się żadnem bezprawiem nie splamili), aby Francja nie doznała upokorzenia narzuceniem jej rządów przez obce mocarstwa, aby nareszcie ziemia jej i wielkość od wrogów pogwałconą nie została, nie było inne-

go środka, jak zespolić się najprzód pomiędzy sobą, a następnie z Napoleonem. On sam mógł wydobyć z armji i z energicznej części narodu ostatnie wysiłki patrjotyzmu, on tylko zdolny był na korzyść je obrócić. Wiara zaś, że przywołanie do życia zgromadzenia rewolucyjnego, wskrzesi zarazem owe cuda energji niegdyś przez konwencję narodową okazane, była przekonaniem szaleńców, jakich zawsze dość było po wszystkie czasy, a jakich znaczną liczbę miało jeszcze w swem łonie stronnictwo rewolucji.

Lecz trzeba przyznać, niezależnie od rozstrzygnienia tego zadania, to jest ocalenia swobód i Francji przez Napoleona, inna jeszcze przedstawiała się kwestja. Przyjęcie Bourbonów nie groziło utratą wolności, ona bowiem swoją siłą mogła nad nimi górę odnieść, tak jak odniosła górę nad Napoleonem, zmuszając go do Aktu dodatkowego; co się tycze całości Francji, wałka rozpaczliwa z armjami nieprzyjacielskiemi była tak wątpliwą w skutkach, iż tylko otwarte przyjęcie Bourbonów na warunkach im i Europie postawionych, było środkiem najpewniejszym, jeśli tylko rzeczy zręcznie i uczciwie będą pokierowane. Cel ten mógł zakładać każdy dobry obywatel, byle nie myślał o sobie, lecz o kraju, o utrzymaniu wolności i nietykalności ojczyzny, a nie o zaspokojeniu własnej dumy, byle nakoniec powodował się patryotyzmem, a nie nikczemnemi intrygami i interessownością. Lecz obok tej gotowości poświęcenia osoby Napoleona, członkowie składający obie izby tak słabo usposobieni byli do przyjęcia Bourbonów, (już to przez wstręt, już dla interessu), że przejście to wymagało kierownictwa człowieka uczciwego, zdolnego, z wielkim wpływem, a osoby któraby te warunki w sobie łączyła nateraz, właśnie nie było.

Dwóch mężów w tych trudnych okolicznościach kraj ocalić mogło, a tymi byli: marszałek Davout i minister Fouché. Pierwszy posiadał zaufanie wojska; on jeden po Napoleonie mógł je pod swoją zebrać władzę, a postępując w Paryżu tak jak niegdyś w Hamburgu, zdolnym był powstrzymać pochód zwycięzkiej Europy. Szlachetność charakteru osłaniała go przeciw wszelkim podejrzeniom, lecz jeżeli jenerałowi temu nie brakło na zmyśle politycznym, zbywało mu za to na odpowiedniej zręczności. Jednę on tylko widział drogę postępowania: zgromadzić członków rządu, przedstawić im śmiało to co uważał za najlepsze, choćby nawet przywrócenie Bourbonów, i skruszyć swoją szablę, gdyby rad jego nie usłuchano. Lecz aby zręcznie pokierować stronnictwami i do tak trudnego doprowadzić je celu, do tego Davout nie miał odpowiednich zdolności. Innym tu przedstawiał się Fouché. Wprawdzie nie miał on wiary w swoją uczciwość i bezinteressowność, nie miał przewagi nad

wojskiem, ale za to sztukę omylenia i podejścia stronnictw, poprowadzenia ich bezwiednie do zamierzonego celu, Fouché w wysokim posiadał stopniu. Słowem, miał on w obfitości to, czego Davout cząstkę zaledwie posiadał, i w takiej jak obecna rewolucja, w której głównie o dobru kraju myśleć należało, on właśnie myślał jedynie o sobie. Wieść o poniesionej klęsce pod Waterloo była dla jego dumy i próżności bodźcem niesłychanym. Pozbyć się Napoleona było dlań wynagrodzeniem za przeszłość, upadek zaś tego olbrzyma i ogólny zamęt w sprawach kraju dawał mu tajemną pociechę, że nie ma głowy, którąby w tym chaosie przewyższyć go mogła. Sam więc ujrzał się teraz panem wypadków, odgrywającym w 1815 r. rolę, jaką w 1814 grał Talleyrand, tylko z większą jeszcze mocą, bo Fouché mógł kierować stronnictwami wewnętrz Paryża i traktować z nieprzyjacielskiemi wojskami oblegającemi stolicę. Nadto, pochlebiał sobie, że stanie się rozjemcą pomiędzy Europą a Francją i w swojem śmiesznem zaślepieniu nie czynił różnicy, że kiedy Talleyrand, po naradach dojrzałym umysłem i z powagą z zwycięzkimi monarchami prowadzonych pozyskał kartę z r. 1814, Fouché przeciwnie podejściem stronnictw, oszukiwaniem samego siebie, to tylko mógł zyskać, iż całą Francję i najznakomitsze jej głowy oddałby na pastwę emigracji i Europy. Rok 1814 był utrwaleniem zgody z Bourbonami; rok zaś 1815 otwierał pole do niecnej zemsty! Nie było więc po co tak skwapliwej do tego dzieła przykładać ręki!

Jak skoro więc te fatalne nadbiegły wieści, Fouché rzucił się zaraz do zawiązania rozmaitych intryg. Wprawdzie nie bardzo sobie życzył powrotu Bourbonów i czuł to dobrze, że smutna jego rola królobójcy liczne pomiędzy nimi a nim stawiała trudności. Rejencja Marji Ludwiki zgodniejsza z życzeniami wojska i bonapartystów, nawet książę Orleanu ku któremu spojrzenia przyjaciół wolności i dowódzców wojsk w tej chwili się zwracały, więcej tajemnym widokom jego odpowiadały. Lecz jeżeli Marja Ludwika lub ks. Orleański mogli być przedmiotem układów z Europą zwycięzką lub przynajmniej na pół zwycięzką, po odniesionej wszakże klęsce pod Waterloo, układy takie były niemożliwe, jedynem więc bezwarunkowem rozwiązaniem tego węzła byli tylko Bourboni. Na tę stronę więc skłaniał się przezorny Fouché, gdyby tylko doprowadzenie rzeczy do skutku jego wyłącznie mogło być dziełem i gdyby tem samem wszelka ztąd korzyść jemu w udziale przypadła. Chcąc śmielej w tem działać i należytą zachować przezorność, Fouché rozpoczął od dość znaczącego kroku. P. de Vitrolles, którego poprzednia rola jest nam znana, dotąd pozostał więźniem w Vincennes, gdyż Napoleon nie pragnąc jego śmierci (jak dla zyskania większej zasługi przeciwnie w tym razie

utrzymywał Fouché), zatrzymał go jako pewien rodzaj zakładnika. Mimowolnie więc przysposobił w nim dla Fouché'go nowy środek intryg. Wydobywszy go bezzwłocznie z więzienia w Vincennes i kazawszy stawić przed siebie, oświadczył p. de Vitrolles, że jest wolnym, zalecił aby się nie ukazywał i gotów był do spełnienia mającej się powierzyć mu missji. Co się zaś tycze tej ostatniej, Vitrolles mógł się jej podjąć w jednym tylko kierunku, o którym nie potrzebował przypominać Fouché'mu, gdyż on usposobienie jego znał i pojmował dobrze. Lecz ponieważ wypadki wysnuwać się dopiero zaczęły, niepodobna więc było wyprzedzać je bardziej na drodze rojalizmu. Wydobyć więc p. de Vitrolles z więzienia i mieć go pod ręką do dalszych działań, było to już pozyskaniem niejakiej u Bourbonów zasługi i środek zawiązania z nimi stosunków.

O tym pierwszym swoim kroku Fouché nie wspomniał nikomu i względem tych, z którymi nową zamierzał wzniecić rewolucję, pod inną ukazywał się postacią. Trzeba było więc zacząć od pozbycia się Napoleona, którego zawsze obawiał się, mianowicie w tych ostatnich śmiertelnych drganiach, a lubo wszystko zmierzało do złożenia z tronu zwyciężonego pod Waterloo, wypadało jednak oszczędzać tych, których do ogłoszenia tego wyroku miano skłonić. Zaledwie Fouché opuścił zebraną u księcia Józefa radę ministrów, śpiesznie zaraz ściągnął do siebie członków obu izb i użył dnia 20 i nocy następnej na rozmaite z nimi schadzki. —A cóż, przemawiał do nich, czy nie powiedziałem wam, że ten człowiek uporem swoim nas zgubi? Gdyby nie jego powrót z Elby, bylibyśmy uwolnili się od Bourbonów, zgodnie z mocarstwami zagranicznemi, które gotowe były przyjąć Marję Ludwikę lub ks. Orleańskiego, a tak, miasto gwałtownych wstrząśnień i zaciętej wojny z Europą, bylibyśmy ulegli powolnym i powszechnie przyjętym zmianom. Wszak niedawno jeszcze na zgromadzeniu narodowem dobra ku temu przedstawiała się sposobność. Otrzymaną tajemnie depeszą z Wiednia (Fouché czynił tu wzmiankę o missji Wernera w Bazylei), zawiadomiony byłem, że mocarstwa sprzymierzone skłaniały się do układów z warunkiem usunięcia Napoleona; że gdybyśmy byli na to zgodzili się, mocarstwa przystałyby na Marją Ludwikę lub księcia Orleanu, i tą ceną pokój byłby okupiony. Już w czasie zgromadzenia narodowego proponowałem Napoleonowi, aby zrzekł się tronu na rzecz syna, a wtedy i mocarstwa obce musiałyby nam dowieść szczerości swoich dążeń. Napoleon miałby sobie zapewnione odpowiednie stanowisko i ofiarą tą pozyskałby dla siebie najpiękniejszą chwałę. Na przyjazne te rady pozostał on głuchym i teraz, jak widzicie, ten zapamiętały gracz nie umie nawet wygrać swojej stawki, cóż więc zrobić z graczem, który umie tylko przegrywać?

Lecz nie do wszystkich z podobnemi zdaniami odzywał się Fouché; dla osób zaufańszych był otwartym, dla innych więcej skrytym, we wszystkich jednakże starał się wzniecić obawę tego, co Napoleon mógł jeszcze zdziałać za swoim powrotem do Paryża.—Powróci on jak szalony, mówił Fouché, będzie domagał się środków nadzwyczajnych, będzie chciał, abyście w ręce jego złożyli nowe siły narodu, by niemi jeszcze rozpaczliwie mógł rozporządzać. Już w przeszłym roku o mało nie zburzył Paryża, łatwo więc przypuścić co może uczynić w tym roku, stojąc teraz pomiędzy śmiercią a więzieniem, i bądźcie pewni, że w razie odmowy z waszej strony, rozwiąże izby i sam całą władzę zagarnie.— Groźby rozwiązania izb Fouché używał w pierwszych zaraz dniach narad, dowodnie przekonywając o doniosłości tego kroku. I rzeczywiście, reprezentanci zaledwie od dwudziestu dni godność tę piastujący, czując władzę swą wraz z upadkiem wpływu Napoleona wzrastającą, drżeli na samą myśl odwołania ich z tego stanowiska, dla pozostawienia Francji w ręku szaleńca, jak go nazywał Fouché, który w roku zeszłym chciał wysadzić prochownią w Grenelle, a który i w tym roku cóś podobnego gotów był uczynić. Rzucona więc przez Fouché'go myśl rozwiązania izb, pozbawiała deputowanych dotychczasowej zimnej krwi, tem bardziej gdy Fouché przedstawiał ją jako stale od Napoleona powzięty zamiar. Zaczęto więc wierzyć, bo któż jak nie Fouché mógł lepiej być wtajemniczonym w zamiary Napoleona? Lecz nie dość było ostrzegać o tem postanowieniu, wypadało tu znaleźć środek zabezpieczenia się, co nie było łatwem, wiedząc że Akt dodatkowy zapewniał panującemu moc rozwiązania lub odroczenia izb.

Wspomniony Akt dodatkowy był dla p. Fouché przedmiotem zupełnej wzgardy, nic się też nim nie kłopotał. Zdaniem jego, było to dowodem słabości dać się ograniczać konstytucją bez znaczenia, do której i Napoleon nie wielką przywiązywał wagę i którą bez skrupułu samby pogwałcił, gdyby tego interes jego wymagał. Jedno więc pozostawało do zrobienia, oto wydać postanowienie, mocą którego izby oświadczyłyby, że w tak groźnych dla Francji okolicznościach, ani odroczenie ich, ani rozwiązanie nastąpić nie może. Zdaniem Fouché'go krok ten nie był bynajmniej targnięciem się na prawa korony, ale raczej chwilowem ścieśnieniem jednej jej prerogatywy; było to tylko upewnienie się, że pozostawionego w swych ręku berła Napoleon na złe nie użyje. Do tych uwag Fouché dodawał jeszcze inne na pół poufne, zmierzające do wpojenia przekonania, że tajemne jego z obcemi dworami, a mianowicie z Wiedeńskim, korrespondencje upewniały, iż mocarstwa sprzymierzone nie miały złych przeciw Francji zamiarów, że głównie szło im o Napo-

leona, usnnięciem którego zapewni się wolność, całość i godność Francji. Nie szło tu zatem o pozbawienie go tronu, ale raczej o ograniczenie w jego szalonych zapędach, boć zresztą nie podobna było pozostawiać dłużej losów Francji w ręku człowieka, który wolałby zgubić kraj wraz z sobą, niż go ocalić własną swoją ofiarą.

Taki sposób zapatrywania się podzielali ci wszyscy deputowani, z którymi Fouché miał sposobność naradzać się, a odchodzili z zapewnieniem, że o wszelkich zamiarach Napoleona do jego doszłych wiadomości, oni bezzwłocznie zostaną zawiadomieni. Pomiędzy reprezentantami jeden tylko, to jest Lafayette, obudzał nieufność. Widzieliśmy jaką rolę podczas Stu dni ten zacny mąż odgrywał. Czy to przez Benjamina Constant, czy przez ks. Józefa, Lafayette wywierał zawsze wpływ znakomity, dając lub odmawiając zezwolenia, stosownie do swoich przekonań. On to właśnie skłonił Napoleona do zwołania izb, ku czemu monarcha ten długo wstręt okazywał. Na to zwołanie izb Lafayette więcej liczył, niż na najściślejsze określenia Aktu dodatkowego, mówiąc, że gdyby Napoleon chciał znów ująć naród w karby dawnego despotyzmu, w takim razie zgromadzone izby łatwiej go w zapędach tych powstrzymać zdołają. Ze wszystkich owego czasu ludzi najłatwiej było podżegnąć Lafayetta samą wzmianką o możliwem rozwiązaniu izb. Fouché kazał mu oznajmić, że Napoleon stracił armję, że wraca dla utworzenia innej, pierwszym zaś jego krokiem ma być rozwiązanie izb, że zatem należało pilnie czuwać i wywrzeć wpływ zbawienny na losy ojczyzny. Słów tych dość było do podniecenia nieufności, zapału i gotowej na wszystko odwagi Lafayetta.

W izbie deputowanych zasiadali wówczas dwaj młodzi, bardzo zacni ludzie, pp. Jay i Manuel, niżsi wprawdzie stanowiskiem swojem od Lafayetta, lubo drugi powołany był wkrótce do odegrania ważnej roli. Tych dwóch ludzi Fouché w obecnych okolicznościach za narzędzie swe użyć zamierzył. Jay, literat, znany z prac swoich naukowych, łagodny, światły, charakteru nieco trwożliwego lubo samodzielnego, umiejący lepiej wypisać się niż mówić, lubo w ważnych okolicznościach śmiało nieraz i zdrowo przemawiał, był nauczycielem syna p. Fouché i zarazem deputowanym z Bordeaux. Manuel, adwokat z Aix, dość niezręcznie władający piórem, ale wymowny, wielką przytomnością umysłu i odwagą obdarzony, zawołany patrjota, poznał się z Fouché'm jeszcze w czasach jego niejako wygnania do Prowancji, a następnie obrany został deputowanym z Aix. Oba ci mężowie z daleka dotąd trzymający się polityki, przylgnęli z ufnością do Fouché'go, który potrafił im w najlepszem przedstawić się świetle. Dla obu wydawał on się obcym wszelkich stronnictw,

obojętnym tak dla Bonapartego jako i dla Bourbonów, więcej do sprawy niż do osób przywiązujący się i nakoniec nie dążący do upadku Napoleona, lubo gotów poświęcić go dla Francji, jeśliby tej ofiary ocalenie jej wymagało. Lepiej już nie można było upozorować swego postępowania, tak bowiem myślała cała młodzież, wszyscy patrjoci, wszyscy najzacniejsi ludzie, nie trudno też było i Fouché'mu owładnąć umysły dwóch młodych deputowanych nie należących do żadnych stronnictw, i głównie interes kraju mających na celu. Powtarzał on im toż samo co Lafayettowi, że Napoleon przybędzie za kilka godzin, że należało go wspierać, byle tylko nie dozwolić wydrzeć sobie udziału w rządzie, czyli nie dopuścić rozwiązania izb. Na tej drodze i w takiem usposobieniu można było znaleźć nie tylko wskazanych przez nas dwóch ludzi, ale nawet obie izby.

W dniu 21 Czerwca z rana, większa część deputowanych, jakkolwiek posiedzenie rozpoczynało się dopiero o południu, zebrała się w pałacu sejmowym, z usposobieniem umysłu nowemi okolicznościami rozgorączkowanem. Wszyscy pytali się wzajem o szczegóły klęski w dniu 18 Czerwca poniesionej, wszyscy się niemi trapili, podając swoje rady wyażane w s posób każdemu właściwy, z tą zawsze zgodną myślą, że Francja nie powinna być igrzyskiem jednego człowieka, że zatem trzeba ją ocalić samą, jeśli razem z nim ocaloną być nie może. W tak usposobionych umysłach, wieść że Napoleon powraca z postanowieniem rozwiązania izb, byle z Europą śmiertelny bój rozpocząć, nie troszcząc się o los jaki spotkać może Francję, mogła łatwo niejakie wywołać zamieszki. Wszelkie dowodzenia, choćby nawet słuszne, opierające się na potrzebie stawiania oporu zagranicy, małe znajdowały poparcie. Pomiędzy deputowanymi było wielu dobrych i rozsądnych ludzi, którzy jeżeli w dniu 20 Marca z żalem patrzyli, że losy Francji dostały się znów w ręce Napoleona, wszelako po spełnionym dniu 20 Marca szczerze doń przywiązali się. Wtedy nawet nabyli wiary, że on jeden tylko mógł z korzyścią wystąpić do walki z Europą uzbrojoną i nie dopuścić powrotu Bourbonów z orszakiem tryumfującej emigracji; dziś zaś kiedy głos powszechny przedstawiał go jako szaleńca, gotowego poświęcić kraj w rozpaczliwym boju, wszyscy nabywali przekonania, że zrzeczenie się korony było jedynym środkiem wstrzymania nieprzyjaciela i pozostawienia Francji dowolnego wyboru rządu. Milczeli wprawdzie, ile razy im o tem mówiono, twórcy atoli tej idei czasu, nie przestawali głosić, że niezbędnie należało poświęcić Napoleona dla Francji, a zdania swoje opierali na opinji Fouché'go, na mniemanych depeszach z Wiednia, co wszystko nie znajdowało przeciwników, lub znajdowało ich ulękłych i milczących. Myślą burzącą wszystkich, była domniemywana w Napoleonie chęć odroczenia lub roz-

wiązania izb, a tem samem pozbawiania ich możności czuwania nad jego postępowaniem. Taka była agitacja w dniu 21 Czerwca z rana, agitacja naturalna i zarazem podstępnie rozsiewanemi przez Fouché'go wieściami poduszczona.

Nie na tem wszakże zabiegi swoje Fouché ograniczył, albowiem do widoków tych i dążeń potrafił jeszcze wciągnąć kilku członków rządu. Wprawdzie nie probował działać na Carnot'a, który wraz z Sieyès'em myślał tylko o obronie sprawy rewolucji i Francji przez samego Napoleona, lubo uważał go za szaleńca, którym nie warto było zajmować się; mimo to działał on na p. de Coulaincourt, umacniając go w przekonaniu, że wszystko było straconem i że należało wyłącznie myśleć o ocaleniu osoby Napoleona od srogiego lub upokarzającego z nim obejścia się. Tożsamo powtarzał on Cambacères'owi i marszałkowi Davout, który nawet zaczął doń czuć niejaką obawę; tych zaś coby śmieli inaczej myśleć, uważał za zaślepionych. Wkrótce także owładnął p. Regnaud de Saint-Jean d'Angély, człowieka wysokich zdolności, oddanego sprawie Napoleona, lecz wrażliwego. Fouché wmówił w niego, że wymową swoją powinien pokierować izbą i oszczędzić jej następstw. W ogóle powtarzał wszystkim, że położenie było rozpaczliwe, że tu jedynym środkiem była abdykacja Napoleona, bo tą tylko drogą można było powstrzymać Europę i pozyskać rejencją Marji Ludwiki, czego zdaje się był pewnym, bo tak przynajmniej dozwalały wnioskować jego tajemne depesze, o których wprawdzie wyraźnie nie mówił, ale domyślać się ich kazał.

Takie były owoce zabiegów Fouché'go w ciągu dwudziestu czterech godzin od chwili otrzymania smutnej wiadomości, kiedy Napoleon w dniu 21 Czerwca z rana wjechał na dziedziniec pałacu Elizejskiego. Zaraz przy wejściu na schody, pierwszą spotykającą go osobą był p. de Coulaincourt, którego dłoń cesarz szczerze uścisnął. Drouot wyskakując z powozu, nie mógł powstrzymać się od wyrzeczenia do jednej z bliskich osób, że wszystko było stracone;—*oprócz honoru!* żywo dodał cesarz. Były to pierwsze słowa wyrzeczone przez niego od chwili wyjazdu z Laon. Oblicze jego pokrywała większa niż zwykle blądość, oczy suche lecz pierś uciśniona; wsparty na ramieniu Coulaincourt'a, zapragnął wanny i buljonu, spędziwszy bowiem prawie sześć dni na koniu, upadał już z osłabienia. Rzuciwszy się na łoże, rzekł do Coulaincourt'a, że otrzymane w dniu 16 zwycięztwo było zapowiedzią stanowczej na dzień 18 przewagi, że wygrana tej drugiej bitwy była prawie pewną, gdyby nie dwie przyczyny sprowadzające klęskę: nieprzybycie Grouchy'ego i zbyteczny pośpiech Neya, który obok dowodów niezrównanego męztwa,

wpadłszy niejako w stan gorączkowy, stracił przytomność; w końcu dodał, że teraz nie idzie o wyszukiwanie win i błędów z czyjejkolwiek strony, ale raczej wypada tylko myśleć, jak złemu zaradzić. Następnie pytał p. de Coulaincourt, jakie jest usposobienie izb, osób wpływ na nie wywierających i znaczniejszych reprezentantów rządu. Coulaincourt którego wadą było, że umiał w większych rozmiarach rzecz przedstawiać niż ją przemilczeć, objawił mu szczerą prawdę, że izby podstępnie zwiedzione, jedyny środek ocalenia publicznego dobra widziały w usunięciu go od tronu i że w ogóle może się od wszystkich nieprzychylnego spodziewać przyjęcia.—Przewidywałem to, odrzekł Napoleon, byłem pewny, że naród się usunie, a tem samem straci ostatnią pozostającą nam ucieczkę. Bez wątpienia, wielką ponieśliśmy klęskę, lecz złączeni w jedność łatwo moglibyśmy ją powetować; przeciwnie zaś działając, staniemy się łupem nieprzyjaciół. Dziś myślą tylko jak się mnie pozbyć, lecz wraz z chwilą mego upadku, Francja utraci wszystkich mężów rewolucji, a stanie się łupem Bourbonów i tryumfującej emigracji. Niech będą zresztą i Bourboni!... ale naród powinien wiedzieć co czyni.—Tem co usłyszał Napoleon nie zdawał się być ani zdziwiony ani oburzony, bo łatwo to już naprzód przewidział. Wydawszy rozkazy zwołania natychmiast ministrów i członków rządu, zasnął snem mocnym, gdyż upadał tylą zwątlony trudami, dusza zaś jego przygotowana na wszystko, nie przyjmowała już wrażeń, któreby sen zakłócić mogły.

Niebawem jedni z służącego im prawa i obowiązku, drudzy przez ciekawość zebrali się w sali pałacu Elizejskiego. Pierwszem ich staraniem było wywiedzić się o szczegółach ostatnich wypadków wojennych od oficerów składających orszak Napoleona. Lecz sam widok ich był już wymownem świadectwem tego co się stało. Podziurawiona kulami odzież, której nie mieli jeszcze czasu zmienić, przyschnięte na niej ślady krwi i pyłu, rozognione twarze, czerwone od łez oczy, tłomaczyły wymownie o przebytych cierpieniach. Boleść ich, co jest zwykłe duszom uciśnionym, wylewała się w straszliwych opowieściach, nawet w egzageracji, jeśli ta możliwą była w podobnych okolicznościach. Wprawdzie, ani o nieszczęsnej bitwie, ani o wielkości poniesionych strat nie mogli oni powiedzieć za wiele, lecz dość było ich słyszeć, by się domyśleć, że nie było już armji, że nie można było zgromadzić tysiąca żołnierzy, gdy tymczasem, jak to wkrótce obaczymy, nie trudno było utworzyć wojsko równe liczbą, a wyższe swoją siłą od armji z r. 1814. Po tych smutnych opowiadaniach, przekonanie o konieczności traktowania z zwycięzkim nieprzyjacielem o poddanie się, wzmocniło się jeszcze bardziej i przebiegało z ust do ust aż do ciała reprezentantów, którzy łatwo temu uwie-

rzyli. Nie było więc po co trudzić się o uciszenie umysłów, podniesienie ducha i skupienie woli. Niestety! kiedy Opatrzność gotuje wielkie wypadki, wtedy nie pomija żadnych pomniejszych, ubocznych okoliczności, które do ich spełnienia przyczynić się mogą!

Napoleon po krótkim śnie używał kąpieli, kiedy oznajmiono przybycie rady ministrów. Przyszedł mu to oznajmić Davout. Napoleon jeszcze go dotąd nie widział; spostrzegłszy teraz, zanurzając załamane ręce w wodzie, zawołał: Co za nieszczęście! Marszałek, którego surowy charakter nie łatwo ustępował ogólnemu wzruszeniu, był zdania, że należało opierać się burzy, i prosił, aby cesarz nie ociągał się z przyjściem. Napoleon który już wszystko przewidział, wszystko przyjął i nic lepszego z sessji tej otrzymać nie spodziewał się, rzekł do marszałka, że mogą i bez niego narady swoje rozpocząć, a on za chwilę tam przybędzie. Dość długo jednakże dał na siebie czekać, nareszcie na ponowne prośby marszałka, przybył przyjęty z należnym szacunkiem i z chciwością słuchany opowiedział w krótkości co i jak się stało, kreśląc początkowe świetne nadzieje zwycięztw, po których niestety, tak szybkie nastąpiły klęski. Po tem opowiadaniu zapewniał ministrów, że są jeszcze środki, że on potrafi je wynaleźć i użyć, że dla wojownika zawód swój pojmującego, pozostawało wiele do zrobienia, ku czemu potrzebuje tylko zgody a nie oporu izb; na zgodzie bowiem wszystko polegało, bo tylko jednością sprawę można było ocalić. Postawił więc kwestją w tem świetle, w jakiem ona miała być przedstawiona izbom, aby od nich otrzymać zgodę i przyzwolenie od czego ocalenie kraju zawisło. Wszyscy obecni podzielali sposób zapatrywania się na rzecz, i ta ani jednego nie znalazła przeciwnika. Napoleon pozwalał każdemu głos zabierać; nikt się tu jednakże nie śpieszył, oprócz ludzi co wyłącznie o sprawie nie o sobie myśleli. W tym razie p. Coulaincourt pierwszy winien był głos zabrać, lecz miotany rozpaczą wpadł w jakiś stan bierny i w nim w ciągu tego bolesnego położenia ciągle pozostawał.

Nieoceniony Carnot do łez wzruszony, sądząc że wszyscy uczucia jego podzielają, mniemał że należało postąpić tak jak w r. 1793, to jest utworzyć dyktaturę i powierzyć ją nie komitetowi, lecz samemu Napoleonowi, tej w jego oczach usobionej rewolucji. W swojej gorliwości o sprawę ogólną, sądząc że wszyscy pokładaną przezeń ufność w Napoleonie podzielają, i że izby zdanie jego podzielą, oświadczył, że wypada niezbędnie zażądać od tychże izb dyktatury dla Napoleona.

Zdania tego nie podzielał marszałek Davout. Nieprzyjaciel zgromadzeń które znał tylko z czasów Konwencji i Rady Pięciu-Set, dowodził, że izby paraliżowałyby ogólną sprawę, że trzeba zatem bezzwłocznie

odroczyć je lub rozwiązać, ku czemu przysługiwały prawa aktem dodatkowym zakreślone; do wystąpienia więc do walki i pokonania nieprzyjaciela, prawo te zastosować teraz należało. Lucjan popierał zdanie Davout'a. Książę ten już od dnia 20 Marca znajdował się przy osobie swego brata, i zdawało się że swojem nateraz szczerem zajmowaniem się jego losem, chce wynagrodzić dawną oppozycję. Nieudolność jakiej niegdyś dał dowody i nieprzyjęcie korony, teraz podnosiły go w znaczeniu. Żywiąc w sobie wspomnienia 18 Brumaira, nieprzychylny izbom, podzielał zdanie marszałka Davout, lubo w tej mierze nie znalazł poparcia. Większość przechylająca się zawsze za zgromadzeniami mniej lub więcej licznemi, lubo konieczność ustanowienia dyktatury upatrująca, objawiała przekonanie, że należało zażądać jej od izb, które, o ile się zdaje, na nią się zgodzą.

Admirał Decrès, przewidujący pessymista, utrzymywał, że to są czcze marzenia, że o ile izby uledzby mogły Napoleonowi z wyciężcy, o tyle zwyciężonemu staną się przeciwnemi, lubo zresztą niebezpiecznem było cośkolwiek przedsiębrać bez poprzedniego im przedłożenia. Widocznie minister ten o ile był przezornym, o tyle wątpił w pomyślność obecnego położenia. Fouché, który dotąd milczał, a co go właśnie potępiało, wyrzekł teraz słów kilka, aby przecie coś powiedzieć; wyraził żywy lubo udany smutek nad nieszczęściem Napoleona, i zapewniał o dobrem usposobieniu izb, czego w duchu nie potwierdzał. Chcąc nakoniec pogodzić swoją rolę tajemną z rolą otwartą, dodał, że należało unikać starcia z izbami, a nadewszystko ich lekceważenia, gdyż tym sposobem izby mogłyby się oburzyć; zręcznie zaś postępując z niemi można będzie otrzymać od nich nowe posiłki dla obrony dynastji i tronu.

Regnaud de Saint-Jean d'Angély, idąc w dobrej wierze za zdaniem Fouché'go, uważał za powinność dalej niż którykolwiek z obecnych rzecz tę posunąć. Zapewniając o przywiązaniu do dynastji cesarskiej, mówił o usposobieniu izb, a mianowicie izby deputowanych, która zdaniem jego przesiąkła cała tem fatalnem przekonaniem, że mocarstwa sprzymierzone godziły wyłącznie na Napoleona, że gdyby on ustąpił, nieprzyjaciel wstrzymałby się w swym pochodzie i zgodziłby się na króla Rzymu pod rejencją Marji Ludwiki. W końcu Regnaud dodał, że przekonanie to podzielają najzdolniejsze głowy i osoby najmniej przychylne Bourbonom, wszelka zaś inna sprzeczna temu droga nie daje rękojmi pomyślnego skutku. Jaśniej już nie można było powiedzieć, że jedynym środkiem do wyjścia z tak trudnego położenia, była abdykacja, która poświęceniem swej osoby zapewniała tron synowi i ocalała tych wszystkich, co los swój z losem Napoleona związali. Napoleon ponure dotąd zachowując

milczenie, widząc jak pomysły Fouché'go kiełkują już w głowach ludzi najbardziej dotąd mu poświęconych, ocknąwszy się nagle i zatapiając przenikliwe w p. Regnaud spojrzenie, zawołał: Wytłomacz się pan jaśniej, nic nie ukrywaj!... Nie idzie tu o moją osobę, bo gotów jestem wszystko poświęcić, tak jak przed trzema dniami, kiedym wszystko czynił, aby was od siebie uwolnić, ale idzie tu o kraj i jego całość. Kto dziś kraj ten może osłonić od zguby? Czy izba reprezentantów? czy ja? Czy Francja wskaże mi choć jedno indywiduum w tej świeżo utworzonej izbie, w której nie ma ani jednego męża stanu, ani wojownika? Francja mnie tylko zna i do mnie całą wagę przywiązuje. Czy sądzicie, że armja której zgromadzone szczątki dziś jeszcze staną się groźnemi, że armja, mówię, innego głosu posłucha? A gdybym też, jak niegdyś w Saint-Cloud, powyrzucał oknem tych rozprawiaczy; wojsko, jestem pewny, przyklasnęłoby temu czynowi i Francja nie stawiałaby oporu. Lecz ja o tem nie myślę, bo umiem cenić różnicę czasu i okoliczności. Nie trzeba wszakże fałszywem pojmowaniem rzeczy targać zgody, jedynej dziś naszej ucieczki. Nie wątpię, że jeżeli ja sam mogę kraj ocalić, sam także jestem przedmiotem pozornej nienawiści obcych mocarstw, że zatem usunięcie mnie od tronu, zadowoli moich nieprzyjaciół. Wmawiają w was, że sprzymierzeni zgodzą się na króla Rzymu i rejencją matki. Jest to złudna bajka, w Wiedniu dla rozbratania nas wymyślona a rozsiewana w Paryżu na zgubę naszą. Wiem co się dzieje w Wiedniu i przekonany jestem, że za żadną cenę nie przyjmą mojej żony i syna. Myślą tam tylko o Bourbonach, wyłącznie o nich, co jest zresztą bardzo naturalnem. Jak skoro ja usunę się, sprzymierzeni wejdą do Paryża i ogłoszą Bourbonów. Czy chcecie ich? Co do mnie, nie wiem, czy nie lepiej byłoby niż to co teraz widzę. Ale zechcesz ich wojsko, wieśniacy, nabywcy dóbr narodowych, wszyscy których powrót mój uradował? Wy wszyscy będący dotąd w usługach familji cesarskiej, zgodzicież się na tryumfalny powrót emigracji? Osobiście, nie mam żadnego w tem interesie; cokolwiek się stanie, rola moja już skończona, nawet najszczęśliwsza dyktatura przedłuży ją zaledwie o kilka dni. Powtarzam więc, nie idzie tu o mnie, ale o Francją, o rewolucję, o wywołane przez nią interesa, które tylko jednością i wytrwaniem ocalić można. Straszliwy wprawdzie, ale nie uśmiercający cios nas dotknął. Wojsko które walczyło ze mną w dniu 18 poszło w rozsypkę, jeżeli Grouchy zdołał się ocalić, rozbitki te z nim się złączą. Grouchy miał 25,000 ludzi, tyleż zbierze się z rozbitków, którzy lubo dziś podupadli na duchu, na mój głos staną się znów bohaterami. To mi da 70 tysięcy żołnierza. Rapp i Lecourbe przyprowadzą mi 40 tysięcy ludzi w pułkach linjowych i gwardji narodowej ruchomej, Suchet

tymczasem i Brune strzedz będą Alp. Jeszcze więc mogę mieć do rozporządzenia przeszło sto tysięcy wojska. Wandea odda mi 10,000. Nie miałem tyle w 1814 r., a prawie tyluż co dziś miałem nieprzyjaciół do zwalczenia. Blücher i Wellington nie mają rzeczywiście więcej jak 120 tysięcy wojska, a zanim Rossjanie i Austrjacy nadciągną, mogę dobrze powetować odniesione nademną zwycięztwo. Paryż stoi pod zasłoną związkowych, gwardji narodowych i marynarzy, a gdy fortyfikacje lewego brzegu zostaną ukończone, stolica nasza będzie niezdobytą. Czyż sądzicie, że działając z 120 tysiącami pomiędzy Marną a Sekwaną i mając stolicę trudną do zdobycia, nie zdołam osiągnąć korzyści? A przecież przypuszczać można, że Francja nie dozwoli nam bić się samym. W przeciągu dwóch miesięcy postawiłem 180 tysięcy wybornej gwardji narodowej, czy już nie znajdzie się drugie sto tysięcy i tyleż żołnierza zaciągowego? Mamy jeszcze dosyć przywiązanych synów ojczyzny do zapełnienia próżni w naszych szeregach, a kilka miesięcy wytrwałego boju, dostatecznemi będą do zniszczenia sprzymierzonych, którzy po pokoju Paryzkim i Wiedeńskim, jedynie dla zadowolenia miłości własnej wojnę prowadzą. Czegóż więc potrzeba dla uchronienia nas od ruiny? Oto jedności, wytrwałości i silnej woli!...

Słowa te w treści przez nas powtórzone, siłą myśli i właściwym Napoleonowi językiem cechujące się, ożywiły umysły rady i wywarłyby nieomylnie tenże skutek dalej, gdyby tylko i poza murami pałacu Elizejskiego słyszane być mogły. Lecz Napoleon nie mógł ukazać się w izbach, bo nie było nikogo ktoby go tam przedstawił, iżby zaś w obecnej chwili silnemu ulegały wzburzeniu. Zgromadzona od rana izba deputowanych, z gorączkową niecierpliwością zbierała wiadomości, kiedy właśnie złowrogi szmer rozszedł się w jej łonie. Zaczęto bowiem głosić, że w pałacu Elizejskim naradzano się obecnie nad odroczeniem lub rozwiązaniem izb, że nawet postanowienie to już zapadło i takowe za chwilę zostanie im ogłoszone. Podstępną tę wieść, korzystając z przeciągających się narad u cesarza, p. Fouché przesłał izbom, to jest udzielił ją Lafayett'owi, najbardziej ze wszystkich podzielającemu to przekonanie, że aby ocalić Francją trzeba zrobić rozbrat z Napoleonem. Nie poradziwszy się nikogo, a licząc na ogólne usposobienie, Lafayette żądał głosu. Jego osoba, ważność położenia i oczekiwana propozycja, wszystko dawało rękojmię, że z uwagą będzie wysłuchanym.—Panowie, rzekł, pierwszy raz po tylu latach podnosząc głos, który przyjaciele wolności poznają nieomylnie, uważam sobie za powinność ostrzedz was o grożącem niebezpieczeństwie krajowi, którego ocalenie w waszej jest mocy. Złowrogie wieści na nieszczęście potwierdzają się. Nadeszła więc chwi-

la skupienia się około trójkolorowej z r. 1789 chorągwi wolności, równości i porządku publicznego. Do nas więc należy bronić ją przeciw obcym i wewnętrznym roszczeniom. Pozwólcie więc weteranowi osiwiałemu w tej świętej sprawie a obcemu zawsze dążeniom wszelkich fakcji, przełożyć niektóre uwagi, których konieczność zastosowania sami ocenicie.—Po tych z prostotą wyrzeczonych słowach, Lafayette w pięciu artykułach uznał kraj zagrożony niebezpieczeństwem, izby za nieustające a każdego zdrajcą, ktoby je odroczyć lub rozwiązać zamierzał. Dodał tu jeszcze potrzebę wydania poleceń ministrowi wojny, spraw zagranicznych, wewnętrznych i policji, aby ci bez straty chwili stawili się przed izbami i rzeczywisty stan rzeczy przedstawili. W końcu wniósł, aby gwardja narodowa powołaną była w całem państwie.

Tak przemówiwszy Lafayette zszedł z trybuny wśród powszechnego wzruszenia, nie różnością opinji, ale ich zgodnością wywołanego. Przyjąć atoli te wnioski, było to pogwałcić pod wielą względami Akt dodatkowy, nadający cesarzowi prawo rozwiązania izb, interpellowania ministrów za ich czyny, ale nie upoważniający do wzywania ich przed kratki dla wydania rozkazów. Postępowanie więc takie było początkiem nowej rewolucji, od którego łatwiej posunąć się dalej. Zarzut naruszenia w tej mierze Aktu dodatkowego nie znalazł poparcia od nikogo, nawet od bonapartystów. Wielu wprawdzie głos zabierało, ale właśnie byli to ci, którzy czczemi i długiemi rozprawami chcą dać poznać swoją obecność, czem nikt zresztą nie troszczy się, a tymczasem opóźniają obmyśleni rzeczywistych środków. Pewien deputowany z departamentu Girondy, imieniem Lacoste, podbechtany przez Fouché'go, żywo popierał wniosek Lafayetta. Inny domagał się, aby zawezwanie czterech ministrów było ostatecznym rozkazem. Trzeci czynił uwagi nad bezzwłocznem uorganizowaniem gwardji narodowej w całem państwie i oddania jej pod dowództwo p. de Lafayette. Izba nie tłomacząc się z powodów, odrzuciła ten artykuł, przyjmując większością głosów resztę wniosków. Postanowiono wnioski te przedstawić izbie parów do potwierdzenia, jeżeli uzna za zgodne. Akt ten, który początkiem a zarazem końcem rewolucji wywołanej w umysłach nazwać można, przyjęty był jednozgodnie; bo jakkolwiek izba reprezentantów nie pragnęła powrotu Bourbonów, ale raczej dynastji cesarskiej w osobie króla Rzymu, zawsze przecież kierowała się tem głównem przekonaniem, że należało sprawę Napoleona oddzielić od sprawy Francji, do czego czuła się w prawie względem człowieka, który, zdaniem ich, dumą swoją Francję o zgubę przyprawił. Wprawdzie prawo to służyło izbie w czasie zwłaszcza w którym na legalność nie wiele zważano; wszelako nie dawało to dowodu przezorności,

sądząc, że jak skoro Napoleona rzucą w morze, statek jego sam na wierzch wypłynie. Tu raczej trzebaby rzucić samą dynastję a z nią zadania rewolucji, lecz nigdy zasady, bo te były wieczne i nie mogły zaginąć.

Kiedy izba reprezentantów tak nagłe wziąwszy postanowienie, czekała w najwyższem wzburzeniu na odpowiedź swego plebiscytu, uchwałę jej poniesiono izbie parów i do pałacu Elizejskiego. W pierwszej wzniecila ona niejakie zakłopotanie, ale nie znalazła oporu. Jako dawniejsza w swoim bycie, doświadczeńsza w roli pośredniczki, izba parów mogłaby przedstawić potrzebę niejakiego umiarkowania w tym zbytnim pośpiechu. Lecz izbę parów składali ludzie znudzeni już rewolucją, zniechęceni rozmaitością rządów, dla których zresztą obojętną było rzeczą widzieć na tronie Napoleona czy Ludwika XVIII-go, bo jednego jak i drugiego gotowi byli uwielbiać, i pomimo żalu, serca niektórych tłoczącego, z poddaniem się przyjmowali wyroki Opatrzności. Wniosek więc izby reprezentantów, izba parów bez oporu przyjęła. W pałacu Elizejskim wszakże inna odgrywała się scena. Pocisk tajemnie od Fouché'go przygotowany, a rzucony ręką Lafayetta, dosięgnął lwa uśpionego i wstrząsnął jego jestestwem. Obudziwszy się więc po krótkim śnie dla udzielenia koniecznej odpowiedzi panu Regnaud, Napoleon, jak to zwykle czynił, wielkiemi krokami zaczął przechadzać się po sali. W odpowiedzi zaś wyraził, że w obec pięciukroć sto tysięcy nieprzyjaciół zmierzających na Francją, on jest wszystkiem, a reszta niczem; że wypadki zaszłe we Flandrji są zwykłym wynikiem wojen, łatwym zresztą do powetowania; że wojsko i on znaczą wszystko, gotów więc jest wysłać kilka kompanji gwardji na rozpędzenie tego zgromadzenia; że nakoniec postąpieniu temu armja przyklaśnie, lud nie będzie stawiał oporu i podjęta wtedy dyktatura zapewni ocalenie... Gwałtownej tej mowy nikt nie przerywał, ten i ów starał się go uspokoić, nic to atoli nie pomagało; gdy w tem wiadomość, że izba parów postanowienie izby deputowanych przyjęła, ponownym w Napoleona ugodziła ciosem. To milczące zgodzenie się stu kilku parów zamianowanych przez niego przed niewielą zaledwo dniami, nie nauczając nic nowego o stałości serc ludzkich, srodze go uderzyło, nastręczając zarazem to przeświadczenie, że berło jego skruszyło się wraz z orężem. Wtedy łagodniejsze do p. Regnaud zwracając spojrzenie, wyrzekł te godne uwagi słowa: Podobno Regnaud ma słuszność, żądając abym złożył koronę... (Regnaud wprawdzie nie wyrzekł dotąd tego słowa abdykacja, domówił je Napoleon, lotnym swym umysłem prawdziwą myśl odgadując)... Dobrze więc, niech tak będzie, zrzeknę się tronu, gdy taka jest konieczność.. Nie idzie tu o mnie, ale o Francją; dla niej więc jedynie nie będę się opierał. Tak, złożę koronę, gdy dla Francji nie je-

stem już potrzebnym.—Te tak niespodzianie wymówione słowa wprawiły obecnych w zdumienie; oblicza trzech lub czterech powlekły się smutkiem, siedmiu lub ośmiu oczarowały, Fouché'go tajemną radością napełniły, z serca zaś pana Regnaud zrzuciły tłoczące go brzemię, lubo ten odstępując sprawy swego króla, zdradzać go nie myślał. Słowa te z ust do ust przelatujące ułatwiły ogólne odstępstwo.

Napoleon przygotowany na ustąpienie miejsca tym, którzy odpychając niby Bourbonów, przysposabiali wszystko do ich powrotu, dotknięty do żywego okazaną mu arrogancją, zabronił swoim ministrom wykonywania poleceń od izb wychodzących.—Niech robią, rzekł, co im się podoba, a jeżeli postępowaniem gwałtownem (mówiono już o detronizacji) doprowadzą mnie do ostateczności, wtedy, stanąwszy na czele kilku kompanji moich weteranów, wrzucę wszystkich w Sekwanę. Lucjan radził aby się nie ociągać; zdaniem jego dłuższa zwłoka uzuchwali izby, należało więc zaraz użyć władzy zakreślonej ustawą i izby te rozwiązać.—Marszałek Davout, tak zawsze stanowczy, okazał się nim mniej po oświadczeniu się izb.—Zdaniem jego należało to uczynić przed wyrzeczeniem postanowienia izb i wtedy silnym uderzyć je ciosem; podburzanie zaś otaczającego je teraz ludu, byłoby tylko próbą powtórzenia scen 18-go Brumaira, czemu właśnie obecne okoliczności nie sprzyjały. Wśród takiej rozmaitości zdań, zdawało się że Napoleon sam zawahał się, że moc jego duszy zachwiała się. Mąż ten wszakże nie zmienił się, dowodem czego powrót z Elby i ostatnie wystąpienie do wojny. Lecz jego przenikliwość była nateraz jego słabością. Widząc w około siebie wszystko straconem nie pod względem militarnym, lecz politycznym, gotów był poddać się losowi, stawiany więc chwilowo opór, był tylko walką natury do bronienia się wyzywającej. Otóż ta ostatnia walka bystrości umysłu z osobistością czyniła go tym jakim właśnie nie był, to jest wahającym się.—Odważ się tylko, rzekł doń Lucjan.—Niestety! rzekł cesarz, za wiele już się odważałem!...—Godne pamięci słowa, przynoszące zaszczyt jego rozumowi, a potępiające czyny przeszłości. Po tej rozmowie Napoleon i Lucjan poszli do ogrodu pałacowego. Pierwszy w żywych słowach przedstawiał bratu, jak mało można liczyć na udanie się proponowanego zamachu stanu.—W przedsięwzięciach tego rodzaju, rzekł Napoleon, trzeba przedewszystkiem baczyć na usposobienie umysłów. W dniu 18 Brumaira, o którym mi zawsze przypominasz, zgromadzenie narodowe, na którem ciążyła wina klęsk dziesięcio-letnich, w niekorzystnem przedstawiało się położeniu, cała więc korzyść była po stronie ludzi czynu, a mianowicie mojej, bo uchodziłem wtedy za pierwszego przed

wszystkimi. Naród więc wraz ze mną występował do działania przeciw Pięciu-Set. Dziś umysły biegną w stronę przeciwną. Górującą nateraz myślą jest przekonanie, że wina wojny na mnie głównie ciąży, w izbach więc naród znajduje wędzidło do pohamowania mojej dumy i despotyzmu. Dumy nie mam, a despotyzmu zkądżebym nabył? Lecz takie właśnie przekonanie owładnęło umysły. Wiem, że mógłbym łatwo potopić w Sekwanie tych reprezentantów, jakkolwiek w gwardji narodowej więcej niż sądzisz napotkałbym oporu. Wszelako oni właśnie rozbiegłszy się po kraju, podburzyliby go na mnie, siejąc pomiędzy ludem przekonanie, że ja w własnych jedynie celach pogwałciłem reprezentacją narodową, że dążę do śmiertelnej walki z całą Europą, która nie żąda jak usunięcia mnie, by przywrócić pożądany pokój Francji. Przypuszczam wreszcie, że usiłowania ich nie zdołałyby rozbratać mnie z całym krajem, w każdym razie nastąpiłoby tu rozdwojenie. Dla mnie zostałaby część narodu najzapaleńsza, a wtedy byłbym cesarzem jakobinów, walczącym o koronę z całą Europą i z poczciwą częścią narodu. Rola to ani zaszczytna, ani możliwa; naród bowiem pod moim sterem działający, mógłby obronie swej podołać, przeciwnie, rozdwojony, stałby się łatwo łupem nieprzyjaciół...

Gdy się to dzieje, ulica wiodąca do Marigny napełniła się tłumami ludu biegnącego tu na wieść o nowej klęsce pod Waterloo. W tłumie tym znajdowali się ludzie najzagorzalsi, ci właśnie, którzy się pozapisywali na listach jako związkowi, a którzy pozornie łatwo wydawali się być anarchistami. Zbiegowisko to składali dawni wojskowi, ludzie klas niższych, nie dążący bynajmniej do przewrotu stosunków społecznych, ale których sama myśl ujrzenia wrogów w Paryżu wściekłością unosiła. Mur oddzielający ogród pałacu Elizejskiego od ulicy Marigny, o wiele niższym był od dzisiejszego, a natenczas z powodu przedsiewziętych około niego robót więcej jeszcze był obniżonym, tak, iż nie było prawie przeszkody oddzielającej lud od Napoleona. Jakoż zaledwie ukazał się, zebrane tłumy w szalonem uniesieniu wydały przeciągły okrzyk: Niech żyje Cesarz! Wielu wyciągało doń przez mur ręce, inni wołali aby ich prowadził na wroga. Napoleon powitał ich skinieniem ręki, a spoglądając wzrokiem przyjaznym a smutnym, dał znak aby się uciszyli i poszedł dalej z Lucjanem, który w scenie tej znajdował nowe poparcie swego mniemania.—Gdyby Francja była tak jednomyślną jak ci ludzie, rzekł Napoleon do brata, wtedy rady twoje byłyby słuszne, ale rzecz ma się zupełnie inaczej. Członkowie izb powstający przeciw mojej władzy, a którzy za parę godzin zażądają może abym złożył koronę, odpowiadają widocznie pewnej liczbie mieszkańców Francji. Oni właśnie reprezentują

część narodu podzielającą przekonanie, że w zatargach z Europą idzie tylko o mnie samego, a takich właśnie jest znaczna liczba, dość znaczna aby naród niezgodą rozdzielić. Nie podobna więc działać tam, gdzie nie ma jedności.—Zdanie to było słusznem i trzeba było wielkiej przenikliwości, aby dojść do takiego przekonania, przez otaczający je tuman własnego interesu. Komuż przypisać winę, że Francja w tem ogromnem starciu widziała tylko własną dumę Napoleona w zapasach z Europą i że nie chciała dłużej narażać się dla jednego człowieka? Mniemanie to było błędem, bo jeżeli przez niego wystawiła się na niefortunne koleje, należało go jeszcze wesprzeć, choćby następnie, jak powiedział Sieyès, przyszło go się pozbyć. Lecz na świecie tak zwykle się dzieje, że błędy jednych pociągają za sobą błędy drugich i często usterki spełnione, jak i niemi wywołane, przywodzą do zguby.

Podczas tych nieuniknionych dyskussji i wypełniania czczemi słowy tego między-aktu, izby niecierpliwie oczekujące odpowiedzi, miotane dumą należnego im posłuszeństwa i obawą zamachu gwałcącego ich prawa, otworzyły szranki dla swych próżnych i wyzywających rozpraw. Już nawet podnoszono głosy za wyznaczeniem dowódzcy gwardji narodowej paryzkiej, co było zupełnie w sprzeczności z prawem, bo tylko cesarzowi służyła moc mianowania takiego dowódzcy, gdyż w czasie kiedy się to działo, Napoleon był pierwszym, a jenerał Durosnel drugim komendantem gwardji. Wszelako wniosek ten nie utrzymał się; niepodobieństwem bowiem było targać się na władzę wykonawczą w chwili, kiedy monarcha prawy, lubo zwyciężony, lecz jeszcze w całej powadze, znajdował się w pałacu Elizejskim. Zresztą, wzgląd na jenerała Durosnel, nie wielki pociąg do Lafayetta, jedynego prawie kandydata, lecz nie przypadającego do widoków rewolucjonistom, bonapartystom ani umiarkowanym, nie dopuściły przyjęcia wniosku. Przestano więc na poleceniu właściwemu urzędnikowi, aby czuwał nad bezpieczeństwem zgromadzenia. Kiedy się to dzieje, reprezentanci niecierpliwiąc się zwłoką w odpowiedzi, grozili, że wyszlą do ministrów nie wezwanie lecz rozkaz, niektórzy zaś przychylni dynastji cesarskiej przychodzili do pałacu Elizejskiego z wiadomością, że izby wyrzekną detronizacyę, jeżeli ministrowie stanowczej im nie udzielą odpowiedzi. Regnaud i Bassano naglili cesarza o stanowcze zdecydowanie się, tak iż Napoleon pod pewnemi względami zdawał się przechylać ku żądaniom izby reprezentantów. Lecz przed wysłaniem ministrów do izby, trzebaż było postanowić co mają powiedzieć, o czem właśnie jeszcze nie pomyślano, dotąd bowiem roztrząsano tylko możliwe rozwiązanie kwestji. Na to potrzeba było kilku chwil, a tymczasem niecierpliwość izby reprezentantów dochodziła swego kresu; Na-

poleon więc lubo niechętnie i bez nadziei otrzymania ważnego rezultatu, zgodził się na wysłanie p. Regnaud do zgromadzenia, aby wymógł chwilę cierpliwości i oświadczył, że za kilka minut przyniesie mu odpowiedź posłannik cesarski.

Izba słuchała p. Regnaud z dziecinną ciekawością, zadowolona, że jej ostatnie postanowienie nie było wzięte za zamach, i że czas stracony obrócono nie na stawianie jej oporu, ale raczej na uwzględnienie jej żądań. Uciszywszy się więc chwilowo, dała jednakże poznać, że cierpliwość ta niedługo potrwa. Poufni Fouché'go, dodani w pomoc p. Regnaud, lubo ten ostatni nie domyślał się, że jest prostem narzędziem intrygi, przekładali mu, że umysły daleko już odbiegły, że nie ma pomiędzy niemi różności zdań, bo wszyscy zgadzają się na abdykację i jeżeli z jednej strony gotowi są pozostawić Napoleonowi zaszczyt złożenia dobrowolnie korony, z drugiej gotowi sami zedrzeć ją, jeśli jej zaraz nie złoży. Naprożno Regnaud starał się ich uspokoić, bo jako przywiązany do sprawy cesarza, opuszczając go chciał ocalić syna i ze wstrętem odpychał myśl o abdykacji pozbawiającej tronu zarazem ojca i syna, to jest usuwającej dynastję. W końcu izba przyrzekła czekać, zawsze atoli z warunkiem koniecznego zrzeczenia się tronu, gdyż wymyślona przez p. Fouché bajka o tajnych depeszach z Wiednia upewniających o przyzwoleniu mocarstw na rejencją Marji Ludwiki, przebiegłszy po wszystkich ławkach zgromadzenia, przyjętą została za nieomylną prawdę.

Powróciwszy Regnaud do pałacu Elizejskiego, zastał już gotowe postanowienie, które ministrowie wezwani przez cesarza mieli zanieść izbom. Delegaci mieli najprzód zawiadomić izby o nieszczęściu jakie dotknęło armję, przedstawić je w rzeczywistem świetle, zapewnić że są jeszcze zaradcze środki i nakoniec uczynić wniosek, wybrania kommissji, którąby zgodnie z rządem obmyśliła je i postanowiła. Carnot, minister spraw wewnętrznych miał wniosek ten przedstawić izbie parów, Lucjan zaś w gronie innych ministrów, izbie deputowanych. Cesarz, opierając się na Akcie dodatkowym, miał prawo być reprezentowanym w izbach przez kommissarzy ze swego wybranych ramienia i dla tego wyznaczył na teraz księcia Lucjana, słynnego pomiędzy członkami rodziny cesarskiej z okazanej stałości w dniu 18 Brumaira. Napoleon niczego już prawie nie spodziewał się i nie żądał, wybrał więc człowieka przychylnego, umiejącego mówić i odpierać czynione zarzuty. Nie posłał tu Carnot'a, którego Fouché podejrzywał o stronność dla Napoleona, ani Coulaincourt'a, bo ten dobrym był tylko na kongresie lub na polu bitwy.

Najprzód udano się do izby parów, która w milczeniu przyjęła posłanników, czekając co wyrzecze druga izba, aby po niej zdanie swe ob-

jawić. Nie wiele potrzeba było czasu na to przejście, więcej jednakże niż niecierpliwość reprezentantów znieść mogła. O godzinie szóstej wieczór ministrowie weszli do drugiej izby w chwili właśnie, kiedy żadne słowa nie były w możności pohamować wzburzenia umysłów. Oznajmiono przybycie delegatów, zgromadzenie wszakże było tak roznamiętnione, że trzeba było wiele jeszcze czasu, aby uspokoić, uciszyć i nakłonić do słuchania. Najprzód więc, z uwagi że odpowiedź tak upragniona mogła zawierać w sobie ważne odkrycia, postanowiono, aby posiedzenie odbyło się tajemnie. Zaraz więc usunięto publiczność z sali obrad i o godzinie siódmej książę Lucjan wszedł na mównicę. Złożywszy dowód mianujący go kommissarzem cesarskim, książę przedstawił treść swego posłannictwa.—Francja, przemówił, wielki zaiste cios poniosła; wszystko jednakże jest do odzyskania. Jednością władzy, stałością charakterów, Francja posiadając jeszcze obszerne środki, silną jest do ponownego stawienia czoła nieprzyjacielowi. Dla obmyślenia więc tych środków z pomocą reprezentantów kraju, cesarz żąda wybrania po pięciu członków z każdej izby, dla naradzenia się nad niemi, poddania ich następnie pod głosowanie i nakoniec bezwłocznego ich wykonania.

Książę nie doznał złego przyjęcia, umiał on utrzymać się na trybunie; nadto, jak to już wyżej powiedzieliśmy, nie będąc nigdy królem, nie był przedstawicielem tej rażącej dumy, pod którą Francja uległa. W takim występując charakterze chętnie był słuchanym. Z tem wszystkiem nie powiedział nic nowego, każdy bowiem wiedział, że wojsko po odniesionem zwycięztwie i okazanych dowodach męztwa pod Ligny, poniosło klęskę pod Mont-Saint-Jean, że na nowych żywiołach nie zbywało i rząd za spółdziałaniem izb nie napotkałby żadnych trudności w ich wynalezieniu. Lecz to wszystko nie odpowiadało życzeniu całą myśl reprezentantów zajmującemu, to jest abdykacji czyli usunięcia człowieka będącego jedyną przyczyną wojny, po którego ustąpieniu z tronu sprzymierzeni mieli pochód swój wstrzymać i syna panującym ogłosić. Nie ma wątpliwości, że gdyby wódz ten został był zwycięzcą, wygrana byłaby zrównoważyła nienawiść ku niemu Europy, lecz ponieważ nie dawał już rękojmi pomyślności oręża, nienawiść ta stawszy się wybitniejszą, ściągnęła na Francją siły oręża nieprzyjacielskiego. Zresztą, ponieważ nadużycia władzy w czasie jego panowania nienawiść tę zwiększały, nie zadawano więc sobie żadnych skrupułów w pozbyciu się go, tem bardziej gdy poświęcając osobę Napoleona, zapewniano przypuszczalnie tron jego synowi. Takie rezonowania zajmowały umysły wszystkich. Nie przypuszczano natenczas, że pozbywszy się Napoleona, trzeba będzie przyjąć Bourbonów; wszyscy więc dążyli śpiesznie do usunięcia go w tem prze-

konaniu, że wraz z nim zniknie najgroźniejsze niebezpieczeństwo i pożądany pokój wróci.

Deputowany Jay, działając z natchnienia księcia Otranto, lubo godny lepszego przewodnika, domagał się głosu. Ukazanie się go na mównicy uciszyło zgromadzenie, wiedziano bowiem jakie on uczyni wnioski i jak pożądane mogą być ich następstwa.

Zaczął od bezpotrzebnych uwag na jakie wystawia się niebezpieczeństwo przemawiając w tak drażliwych okolicznościach, jak gdyby wódz zwyciężony pod Waterloo, mógł wzniecać jeszcze jaką obawę! Mowa ta wysłuchaną była z pewnem drżeniem, a głęboka uwaga zachęcała mówcę. P. Jay zwracając się do ministrów, postawił dwie kwestje, obie wprost wymierzone a dość kłopotliwe. Żądał on najprzód, aby z ręką na sercu oświadczyli, czy Francja rozwinąwszy najwyższe męztwo może oprzeć się sile wojsk europejskich i czy wtedy dążenie do pokoju nie jest koniecznem; powtóre, czy utrzymanie Napoleona na sterze rządu nie czyni osiągnienie pokoju niepodobnem. Po tych słowach Jay zamilkł, oczekując długo na odpowiedź ministrów. Na nich także zwróciły się spojrzenia izby, jak gdyby domagała się bezzwłocznej odpowiedzi. Wszyscy milczeli; znalazł się przecież jeden, któremu dłuższa cisza stała się niepodobną, bo przez jego przewrotne insynuacje, zgromadzenie weszło w przekonanie, że pozbyciem się Napoleona, Europa wstrzyma się w swym zapędzie i na przyjęcie syna przystanie. Badawcze spojrzenia wszystkich uczyniły niepodobnem dłuższe dla p. Fouché milczenie. Wszedłszy na mównicę z twarzą bladą nacechowaną fałszem, oświadczył, że ministrowie zapisawszy zdanie na odpowiedzi cesarskiej, nie mają nic do nadmienienia. Odpowiedź ta śmiesznie wykrętna nikogo nie zaspokoiła, i dowiodła zarazem, że deputowany Jay, stawszy się igraszką Fouché'go, nie był przecież jego spólnikiem. Niezadowolony tak dwuznaczną odpowiedzią, Jay ciągnął dalej swoją mowę, a dobiegłszy w niej do obecnego położenia, zatrważający lubo rzeczywisty przedstawił jego obraz. Mówił najprzód o usposobieniu wewnętrznem, dowodząc, że Napoleon rozdrażnił kolejno wszystkie przeciw sobie stronnictwa: rojalistów jako z gruntu jego nieprzyjaciół i liberalnych, oburzonych postępowaniem despotycznem. Wspomniawszy o dniu 20 Marca, o powziętych początkowo nadziejach, Aktem dodatkowym zniweczonych, wyraził się w tym przedmiocie jako zostający pod wpływem przesądów wieku, i nakoniec oświadczył, że Napoleon utraciwszy zaufanie w sercach przyjaciół wolności, a nie mając go nigdy u rojalistów, zboczył tem samem ze stanowiska na którem mógłby nadal otaczać się Francją i poprowadzić ją na bój z nieprzyjacielem. Mówiąc z kolei o położeniu zewnętrznem

Jay, nakreślił obraz namiętności obudzonych przez Napoleona w całej Europie, przywodził manifesta obcych mocarstw ogłaszające, że one nie z Francją ale z nim występują do wojny, że gdyby nawet szczęśliwszym był w boju niż w dniu 18 Czerwca, nieprzebłagana Europa nie przestanie czynić wszelkich wysileń, że armja mogłaby się bez wątpienia nową okryć chwałą, ale zawsze skończyłaby swoim upadkiem; nakoniec zapytał, czy w obec tak podwójnie groźnego położenia, Francji rozbratanej z Napoleonem, i całej Europy przeciwko niej sprzysiężonej, nie było jego obowiązkiem samemu zrzec się tronu, a izb zrzeczenie to przyjąć, a nawet takowego się domagać.—Ośmielony tak jednozgodną aprobacją Jay, który nie posiadał wymaganych od mówcy przymiotów, wpadł w oratorski prawdziwie zapał. Mówił, że odwołuje się do samego Napoleona, do jego genjuszu i patrjotyzmu, aby wyrwał Francję z przepaści w jaką ją sam pogrążył. Dalej, zwracając się do Lucjana i zobowiązując go niejako do przyjęcia roli tłomacza uczuć strapionej Francji, zawołał: Do ciebieto książę, którego niezależność i bezinteresowność jest nam znana, którego urok tronu nigdy nie uwodził, do ciebie, mówię, należy oświecić, przekonać swego pełnego chwały brata i natchnąć tem przeświadczeniem, że żadne z tysiąca zwycięztw, którego ostatnia klęska bynajmniej nie zaciemniła, żadne nie przyniesie mu tyle zaszczytu, jak odniesione nad sobą samym zwycięztwo. Powiedz książę, że zgromadzenie wolałoby, aby sam złożył berło, niż aby do tego miał być zniewolonym, a zapewniając tym krokiem koronę dla swego syna, odwróci nieszczęścia powtórnego najazdu, stokroć od pierwszego groźniejsze.—Położenie podniosło umysł i charakter mówcy, tak iż w tej chwili oddziaływał wpływem, jakiego przedtem ani potem nigdy nie wywierał, lubo go zawsze trwały otaczał szacunek. Książę Lucjan niebawem udzielił mu odpowiedź. I on także podniecony położeniem, miłością braterską i uzdolnieniem, wymownym okazał się mówcą. Jest to wynikiem ważnych okoliczności, że one tworzą mówców, tak iż ci pomijając wszelkie dodatkowe akcessorja, ograniczają się na uwagach treściwych i zasadniczych. Zresztą, nie było nic coby się dało przytoczyć na korzyść Napoleona. Książę Lucjan bez wątpienia mógł być wprawionym w kłopot w obec szczerego, śmiałego i jasno rzecz pojmującego rojalisty, który mógłby mu powiedzieć: Utrzymanie Bonapartych zwyciężonych, jest niemożliwem; Bourboni więc wrócić muszą. Pod nimi na drodze przezornego postępowania wolność łatwiej odzyskaną być może, niż pod Bonapartymi, którzy w genjuszu swego naczelnika siłę tylko przedstawiają. Wprawdzie rewolucją taką uskutecznioną przez obcych, nieszczęściem nazwać można, lecz interwencja ta dwa razy w ciągu piętnastu miesięcy dokonana, czy-

jemże jak nie waszem i waszych błędów jest dziełem; ustąpcie więc i dozwólcie nam wejść w układy z Europą, boć zresztą wy nas do tej przywiedliście ostateczności, nadzieje zaś zwycięztwa są zbyt słabe, abyśmy raz jeszcze los nasz ostrzu oręża powierzać mieli.—Nie było jednakże w zgromadzeniu tak śmiałego i przenikliwego rojalisty, któryby z podobną mową poważył się wystąpić. W skład izby wchodzili tylko zwolennicy rewolucji lub liberalni, a ci za żadną cenę nie przyjęliby Bourbonów, mieli zaś przekonanie, że i bez Napoleona potrafią się bronić lub traktować z zagranicą. Dla tych więc łatwo było stanowczą przeciwstawić odpowiedź, Lucjan znalazł ją i wygłosił. Jakoż z innego stanowiska jak p. Jay przedstawił położenie rzeczy dowodząc, że złe zewnątrz i wewnątrz zagrażające, zbyt słowami jego było przesadzone. Występując z szczegółami udzielonemi przez cesarza, Lucjan przedstawiał, że armja północna jakkolwiek pobita, nie jest zniweczoną; że z liczby wojsk walczących pod Mont-Saint-Jean można jeszcze zebrać 30 tysięcy ludzi i zapewnie cały korpus marszałka Grouchy, co dałoby przynajmniej 60 tysięcy wojska, o wiele wyćwiczeniem swojem przewyższającego nieprzyjacielskie; że jenerałowie Rapp, Lecourbe, Lamarque (ten ostatni wolny już w Wandei), przyprowadzą przeszło 100 tysięcy, Paryż zaś umocniony szańcami, 600 działami i broniony przez 60 tysięcy marynarzy, związkowych i gwardji narodowej, zdolny był odeprzeć wszelki napad; że w takiem położeniu wszyscy mieliby czas wniknąć w potrzebę stworzenia nowych posiłków; że zaciąg z r. 1815 i uruchomienie wyborowej gwardji, dostarczyłyby 200 lub 300 tysięcy ludzi. Wszystkie wyżej pomienione środki w ręku takiego jak Napoleon wodza nakazywały nie rozpaczać, ani uchylać czoła przed warunkami od zarozumiałego zwycięzcy narzucanemi. Jeżeli więc zewnętrzne położenie nie było tak straszne jak je starano się odmalować, wewnętrzne tem więcej wydaje się być przesadzonem. Wiadomo, że Francja odpycha jednozgodnie rządy emigrantów, że stronnicy tego rządu stanowią miejszość, napuszoną czczą dumą, ale nie niebezpieczne, boć zresztą stronnictwo to zrzuciło już swą maskę w Wandeji, a jenerał Lamarque zgniótł je w ciągu dni kilku. Oprócz więc popleczników emigracji, wszyscy do jednego dążą celu, to jest do niepodległości narodu i swobody konstytucyjnej pod monarchą którego Francja z radością w d. 20 Marca powitała. Być może, że nieporozumienia mogły rzucić rozbrat w tę massę narodu, do izb więc należy przywrócić harmonję skupieniem się około męża, który sam jeden potrafi godnie stawić czoło nieprzyjacielowi. Jedno więc wyrzeczone słowo popchnie za nim cały naród, opuszczanie zaś Napoleona pod pozorem ułagodzenia nienawiści sprzymierzonych, była śmiesznem a zara-

zem smutnem złudzeniem. Wszakże w tych samych słowach przemawiał nieprzyjaciel w r. 1814, Senat dał się im ułudzić, Napoleona usunięto, Bourboni wrócili, Francja utraciła swoje warownie, zapasy wojenne i granice. Piękne te obietnice zatrzymania się jak skoro Napoleon ustąpi, są tylko wybiegiem wojennym dla pozbawienia narodu jego naczelnika. Nic dziwnego że nieprzyjaciel do takich ucieka się środków, ale powolność w tej mierze wystawia nas na szyderstwo potomnych i spółczesnych i czyni nas igraszką obcych...—Tak zapuszczając się w najdelikatniejszą stronę przedmiotu, Lucjan dodał: Pomnijcie więc, drodzy spółobywatele, o zachowaniu godności i powagi Francji! Co powie o niej świat ucywilizowany, co powie potomność, jeżeli po uniesieniach okazanych Napoleonowi w dniu 20 Marca, po uznaniu go bohaterem oswobodzicielem, po wykonaniu uroczystej przysięgi w czasie zgromadzenia narodowego, Francja po upływie 25 dni, jednej przegranej bitwie i pogróżkach nieprzyjaciół, uznaje go główną przyczyną złego i usuwa od tronu na który go przed chwilą sama powołała? Czyż nie wystawiacie swego kraju na słuszny zarzut niestałości, jeżeli go już teraz opuszczacie? Uwagi te, jakkolwiek słuszne, ale stwierdzające tylko krytyczność położenia, zelektryzowały wprawdzie izbę, lecz wywołały natychmiast przykrą odpowiedź; bo wyrzuty czynione zgromadzeniu, których lubo nie ma w ustach, trafność ich wszakże w duchu podziela, od jednego słowa trysnąć mogą oburzeniem. Jakoż powstawszy siedzący naprost Lucjana Lafayette, tonem zimnym, ale jak ostrze miecza przeszywającym, w te odezwał się słowa: Książę, nie spotwarzaj narodu. Potomność nie za to oskarżać będzie Francją, że odstąpiła Napoleona, lecz niestety, że zbyt skwapliwie za nim biegła. Któż to szedł za nim na równiny Italji, na palące piaski Egiptu, na skwarne pola Hiszpanji, na niezmierzone błonia Niemiec, w lodowate obszary Rossji. Sześć set tysięcy Francuzów spoczywa snem wiecznym nad brzegami Ebru i Tagu; czy nie mógłbyś nam książę powiedzieć, wiele ich legło nad Dunajem, Elbą, Niemnem i w Moskwie? O! zaiste, naród mniej stały umiałby ocalić dwa miljony swoich dzieci! ocaliłby twego brata, rodzinę, nas wszystkich od przepaści, nad którą dziś stojąc naradzamy się, nie wiedząc czy się z niej wydobyć potrafimy. Słowa te padły na Lucjana, niewinnego zresztą błędów przypomnianych, jako wyrok potomności na jego brata i odjęły całą skuteczność słów przedtem wyrzeczonych. Mimo to mowa jego umiarkowała nieco zapędy zgromadzenia, nie tyle mocą słów, lubo te wyrzeczone były z siłą oratorską, ile raczej obrazem wielkiego męża zwyciężonego, któ ego przysposabiano się wrzucić w przepaść nie wiedząc, czy takowa zamknie się

za nim. Po p. Jay i ks. Lucjanie przemawiało jeszcze kilku innych mówców. Henryk Lacoste, Manuel, przedłużali dyskusje i ubezwładnili tem samem pierwsze zapędy burzy. Pozostała tylko chęć, aby Napoleon sam zrzekł się korony, przymusowa zaś detronizacja byłaby nieposzanowaniem nieszczęścia, a do tego kroku nikt teraz nie czuł się zdolnym. Rząd więc zażądał wyznaczenia dwóch kommissji potwierdzonych przez izby, dla porozumienia się z Napoleonem względem środków ocalenia. Dwie te kommissje na drodze wzajemnych porozumień, miały w sposób godny pozyskać to, co bezpośrednia interwencja wymagała poprzednio, bez zachowania szacunku dla niej samej i dla Napoleona. Poznano to i jednozgodnie zezwolono na obrany środek. Izba reprezentantów wydelegowała swoje biuro, złożone z p. Lanjuinais i czterech wice-prezydentów: pp. Flaugergues, Lafayette, Dupont de l'Eure i Grenier. Izba parów wybrała na kommissarzy: swego prezydenta, arcykanclerza Cambacères, p. Boissy d'Anglas, Thibaudeau, Drouot, Andréossy i Dejean. Obie te kommissje miały się zebrać w Tuileries, w sali posiedzeń rady państwa, a to wraz z ministrami wydziałów i ministrami Stanu, dla naradzenia się nad ważnemi przedstawionemi do zbadania okolicznościami. Czas wieczorny naznaczono na zebranie, a to dla tego, aby zaraz dnia następnego z rana można było izbom przedstawić ostateczne postanowienie Napoleona.

Przez ten czas biegania do pałacu Elizejskiego tam i z powrotem były nieustanne. Książę Rovigo, Lavalette, Benjamin Constant, książę Lucjan udali się tam, nie ukrywając przed Napoleonem rzeczywistego usposobienia umysłów. Lucjan powtórzył, że nie było nad czem dłużej zastanawiać się, i że należało wybierać, albo krok przemocy, albo bezzwłoczną abdykację, aby tem samem uprzedzić dotkliwe postanowienie izby. Była to szczera prawda i Napoleon dłużej się nią nie łudził. Niekiedy unosił się myśląc jak nieszlachetnie z nim postępowano i jak nie trudno byłoby uchwycić dyktaturę, na co dość zawezwać związkowych codziennie pod jego okna z okrzykami patrjotyzmu napływających. Lecz po tych krótkich chwilach uniesień Napoleon wzgardę do wszystkiego okazując, objawiał gotowość abdykowania, mszcząc się dojmującemi sarkazmami nad tymi, których własną ocalał ofiarą.—Nie myśl o tych ludziach, mówił mu z swoją otwartą poufałością książę Rovigo, widzisz, że jedni potracili głowy, drudzy zaś wpadli w matnią intryg Fouché'go. Ponieważ nie pojmują, że ty sam mógłbyś ich ocalić, niech więc robią co im się podoba. Za ośm dni sprzymierzeni wejdą, kilku z nich rozstrzelają, innych skażą na wygnanie, przywrócą Bourbonów i położą koniec tej nędznej komedji. Ty, Najjaśniejszy panie, jedź do Ameryki z kilką

wiernymi ci towarzyszami i tam używaj spokoju tak nam wszystkim pożądanego.—Tych samych rad i w podobnie łagodny a zarazem smutny wypowiedzianych sposób udzielał mu Lavalette. Napoleon rady te dobrze przyjął, nie tając, że trafność czynionych uwag podziela i za niemi pójdzie. Innego rodzaju i bardzo długą rozmowę miał z Benjaminem Constant. Z wyższego stanowiska roztrząsał z nim kwestją abdykacji, tak jak gdyby w niej żadnego nie brał udziału. Wprawdzie powtórne zwycięztwo Europy, ciężką Napoleona przejmowało boleścią, w obecnem wszakże usposobieniu umysłów pancwanie nie mogło być dlań pożądanem, pogarda ludzi i stosunków brała górę nad ambicją, spoczynek więc i ciche ustronie w pośród ludzi godnych jego towarzystwa, stawiało w myśli jedyny cel pożądany. Jedna tylko okoliczność, to jest opuszczenie sprawy nie zupełnie jeszcze straconej, czyniła go wahającym się pomiędzy ofiarą poddania się a oporem. Jeżeli bowiem pozostawała jeszcze jakaś możność pokonania Europy lub przynajmniej zmuszenia jej do przyjęcia układów, a tem samem niedopuszczenia Bourbonów, wtedy poddanie się i uległość byłaby dowodem tchórzostwa, nierozwagi, słabości i w takim razie przyszłość wyrokująca przed trybunałem polityki, słusznie go za zbyt skwapliwe ustępstwo potępićby mogła. Jako ojciec chętnie uczyniłby z siebie ofiarę dla zapewnienia tronu synowi, wszelako od czasu dowiedzenia się rzeczywistej prawdy o swej żonie, nie wątpił, że syn jego nie wznieca już żadnej dla Europy obawy, i że przeznaczeniem tego dziecka jest umrzeć więźniem w obcych rękach. Ztąd ile razy wspomniano, że ofiarą swego berła zapewni następstwo królowi Rzymu i Marji Ludwice, Napoleon wzgardliwym na to odpowiadał uśmiechem. Bystrością swego genjuszu przewidywał, że najdalej w ośm dni po ustąpieniu z tronu, Bourboni powrócą, większą część tych którzy mu tron wydarli rozproszą lub ukarzą, że nawet kara ta, jakkolwiek może w odwłokę podana, dosięgnie i Fouché'go, słowem zapuszczając wzrok w daleką przyszłość, nabywał przekonania, że wszyscy jego wewnętrzni nieprzyjaciele zasłużoną odbiorą nagrodę. W tak trudnem znajdując się położeniu Napoleon, tę głównie badał okoliczność, czy mając jeszcze tyle środków do zmierzenia się z nieprzyjacielem zewnętrznym, było stosownem składać oręż w ręce Wellingtona i Blüchera; czy zatem świat nie nazwie go nierozsądnym i nikczemnym, gdy mogąc uniknąć tak straszliwej ostateczności, sam się jej poddał? W tym przedmiocie długo naradzał się z p. Constant, powtarzając z zimną krwią, że Francja i wojsko, jego tylko zna i dość byłoby jednego słowa do rozpędzenia reprezentantów, którym sam szranki do rozpraw otworzył, lecz aby cel ten osiągnąć, wypadałoby stanąć na czele stronnictwa wydającego okrzyki

pod oknami pałacu, rzucić ich na ludzi uczciwych, stać się niejako cesarzem rewolucyjnym i wtedy z Francją ujętą w karby wystąpić do nowej walki z Europą sprzymierzoną. Rola ta wszakże zbyt żywym przejmowała go wstrętem, gdyż wolałby stokroć iść na bój z Francją jednym ożywioną duchem, aniżeli wieśdź rozpaczliwą wojnę, kiedy rozbratany naród z musu pójdzie za jego wolą. W takiem więc położeniu, dodał w końcu, wolę pójść spędzić resztę żywota jako plantator w dziewiczych lasach Ameryki.

Podczas tych narad w pałacu Elizejskim, wybrani ze strony izb delegowani udali się do Tuileries, gdzie wraz z ministrami stanęli w sali rady stanu, pustej, źle oświetlonej, przedstawiającej ponurą sprzeczność z dawnym jej widokiem, kiedy Napoleon stojąc na szczycie chwały, przewodniczył tu połączonym sekcjom i górował nad niemi wszechwładną swą potęgą i umysłem. Książę Cambacères otworzył posiedzenie, krótkiemi słowy skreślając przedmiot narad. Każdy z początku wstrzymywał się w słowach, lubo znalazły się w obu kommissjach zapalone umysły z niecierpliwością oczekujące podniesienia głównej kwestji, to jest abdykacji. Zaczęto najprzód mówić o potrzebie uczynienia poświęceń dla sprawy ogólnej, kładąc za zasadę gotowość poniesienia wszelkich ofiar, byle nie z utratą wolności i całości kraju. Te oświadczenia spisane w formalnej deklaracji i poddane pod głosowanie, śmiesznemi się wydawały, gdyż pokrywano się w nich pozorami w tem czego nie chciano wprost wyrazić, to jest złożenia z tronu. I taka też właśnie była odpowiedź, mocą której przyjęto wniosek jako dowód poświęcenia dla ogólnego dobra. Następnie przystąpiono do roztrząsania rozmaitych środków ocalenia rozpaczliwego prawie położenia państwa. Mówiono o wojsku, finansach i nakoniec o sposobach utrzymania porządku w cesarstwie przez represją stronnictw nieprzyjaznych. Co się tycze armji, postanowiono zająć się bezzwłocznie zaciągiem na rok 1815, podnosząc w tej mierze kwestję legalności. Postanowieniu temu nikt nie stawał w oppozycji, ono bowiem zapewniało powiększenie wojska o sto tysięcy ludzi, z których część dawniej już pełniła służbę. Rozbierając dalej stan finansów, uradzono wypuścić papiery za 30 lub 40 miljonów. Wreszcie wykazano konieczność prawa prewencyjnego nadającego moc władzy wykonawczej wojskowej przeciw dążeniom stronnictw nieprzyjaznych, i w tym razie, zgromadzenie złożone prawie z samych przyjaciół wolności, żadnej nie napotkało przeciwności. Słowem, zgadzano się na wszystko, byle tylko prędzej przystąpić do postanowienia najżywiej wszystkie zajmującego umysły, to jest do abdykacji.

Obmyśliwszy środki do podtrzymania wojny, kommissje zaczęły na-

radzać się nad sposobem zawarcia pokoju, jako rzeczy zbyt naglącej, gdyż wątpliwy jej obrot nakazywał wszelkie do ukończenia jej zwrócić usiłowania. I w rzeczy samej była to kwestja na której podniesienie z niecierpliwością oczekiwano. Lafayette śmielszy niż inni w dążeniu do zamierzonego celu uczynił wniosek, że wszelkie traktowanie o pokój, wszelkie w tej mierze negocjacje będą bezowocne, dopóki Napoleon stać będzie u steru rządu.

Podniesienie tej kwestji w obec ministrów Napoleona i kommissji w której znajdowali się członkowie przywiązani do dynastji cesarskiej, żywe obudziło szemranie. Odpowiadając na powyższy wniosek ministrowie oświadczyli, że gdyby postawiona przez p. Lafayette okoliczność była rzeczywistą, nie omieszkaliby jej uczynić przedmiotem oddzielnej, wprost cesarzowi uczynionej propozycji. Na to p. Lafayette odparł, że jeżeli tylko ministrowie trafność wniosku uznają, on sam podejmuje się dalej go przedstawić. Żądał więc, aby członkowie obecni oświadczyli, że pozostawanie Napoleona na czele rządu uniemożebniało pokój, wojnę czyniło nieuniknioną, a tem samem bezpieczeństwo kraju i powodzenie oręża stawiało w wątpliwości. Było to więc wyraźnem dążeniem za złożeniem z tronu, czego nikt nie pragnął, jakkolwiek wszyscy wyglądali dobrowolnej abdykacji. Przewodniczący zgromadzeniu książę Cambacerès oświadczył, że kwestji tej nie podda pod głosowanie. Odrzucono więc wniosek p. Lafayette, zgodziwszy się natomiast jednocześnie zawiązać układy i gotować się do walki. Co się tycze układów, należało wpierw obmyśleć formę dozwalającą przywrócić dawne stosunki dyplomatyczne z mocarstwami europejskiemi, które dotąd nie tylko nie chciały odpowiadać na depesze rządu cesarskiego, ale ich nawet nie przyjmowały. W tym celu obierając drogę pośrednią postanowiono wysłać do obozu sprzymierzonych delegację, nie w imieniu Napolena, ale raczej w imieniu izb działającą. Nie podobna było nie przyjąć takiej propozycji, która sama z siebie kazała się już domyślać abdykacji Napoleona, gdy tak ważna z obrębu cesarskiej władzy wychodząca sprawa, bez niego właśnie załatwić się miała. Była to wprawdzie nowa nielegalność, lecz ostatnie postanowienia izb tak dalece wypchnęły wszystko z granic legalności, że na ten ostatni krok nikt nawet nie zwracał uwagi. Przyjąwszy więc ten wniosek, postanowiono, środki na konferencji tej obmyślone przedłożyć cesarzowi za pośrednictwem ministrów; izbom zaś, przez wybranych z grona obu kommissji delegatów. Z raportem do izby reprezentantów przeznaczono jenerała Grenier, znanego z czasów rewolucji oficera, męża światłego i bezstronnego. Z uwagi jednakże, że powzięte postanowienia nie zaspokajały wzburzonych umysłów, ministrowie, a mianowicie p. Regnaud,

prosili jenerała Grenier i jego spółtowarzyszy o kilko-godzinne jeszcze wstrzymanie się, oświadczając, że raport nie prędzej będzie sporządzony, jak przed przybyciem posłannika cesarskiego z wiadomością odpowiednią żądaniu większości izb, które jedynie w abdykacji Napoleona zbawienie kraju upatrywały.

Posiedzenie zajęło prawie noc całą. Równo ze dniem 22 Czerwca każdy spieszył do pałacu Elizejskiego z udzieleniem rad Napoleonowi, lubo w podobnych przedmiotach nigdy przedtem w ten sposób doradzać mu nie śmiano. Postanowienie jego i gotowość uczynienia z siebie ofiary po posiedzeniu zeszło-nocnem były już powzięte, bo niepodobna było położenia tego przeciągać. Lecz czy można negocjować z zagranicą bez jego spółudziału, lub teraz już wyłączać go od rządów? Nie byłoż to prawdziwą hańbą, a w takim razie czyż nie właściwiej znieść to zgromadzenie i oparłszy się na sile ludu pójść w nowe zapasy ze sprzymierzoną Europą, mając poza sobą Francję na stronnictwa rozdzieloną? Na tem, jak widzieliśmy, Napoleon opierał całe swoje postanowienie. Mimo to dwie rzeczy do spełnienia zamiarów stawiały w nim opór: usposobienie wewnętrzne i obawa zawczesnego odstąpienia sprawy nie zupełnie jeszcze straconej. Z jednej strony bolesną dlań była konieczność ustąpienia z tronu, a tem samem skazania się na dobrowolne więzienie; z drugiej własnowolne odstąpienie walki, która podług jego wojennych wyrachowań tak korzystny przedstawiała obrot, równie ciężkiej wymagała ofiary. Lecz myśl sprowadzenia na kraj rozterk wewnętrznych skłaniała Napoleona do poddania się losowi; natarczywe tylko nalegania, bez pozostawienia prawie chwili czasu, żywo go oburzały. Przykrym a nawet bolesnym był widok konania tej potężnej woli; genjusz i niedola traciły tu pewną część swej godności, którą chcianoby dopatrzeć w najtrudniejszych nawet chwilach. Napoleon na przemian był spokojnym, łagodnym, ironicznym i wtedy tylko unoszący się gniewem, kiedy nań zbytecznie nalegano. Chętnie przyjmował rady takich mężów, jak książę Rovigo, hrabia Lavalette, książę Bassano, usiłujących go przekonać, że lepiej odstąpić ludzi niegodnych jego szczerych chęci zapewnienia im dobra i szukać schronienia z swoją niezatartą sławą na łonie swobodnej Ameryki, by tam w zaciszu znaleść spokój i hołdy świata oddającego sprawiedliwość po upadku. Też same rady udzielane mu przez ludzi, którzy w poniesionej ofierze coś dla siebie lub dla sprawy publicznej zyskać spodziewali się, złe u Napoleona znajdowały przyjęcie. Doradzców tych uważał on jako narzędzie p. Fouché i jego interesu. Niechętnie także przyjmował p. Regnaud i osoby zdające się do tejże należeć kategorji, ile razy

te dotykały zadania będącego przedmiotem powszechnych rozmów w tych nader smutnych chwilach.

Bolesne te kłopoty zajmowały prawie cały ranek w pałacu i ogrodzie Elizejskim, kiedy otrzymane z armji wiadomości okazały się mniej zatrważającemi, niż wieści z Laon przez samego Napoleona i jego oficerów przyniesione. Grouchy, którego miano za straconego, wracał bez szwanku przez Rocroy, wiodąc z sobą 30 tysięcy żołnierzy ożywionych zapałem, za któremi gromadziły się niedobitki z pod Waterloo. Szczątki te podążające zewsząd na umówiony punkt zbiorowy do Laon, dochodziły już do 20 tysięcy, a wzrość mogły do 30 lub 40 tysięcy, jak skoro zostałyby uorganizowane i zaopatrzone w artyllerję. Nie trudną więc rzeczą byłoby zebrać wkrótce 60 tysięcy ludzi, do których dołączywszy oddziały zapasowe, związkowych i armją wschodnią pozyskanoby sto tysięcy żołnierza do obrony Paryża. Jakkolwiek więc położenie było groźne, nigdy przecież nie było ono takiem jak sobie wyobrażano i mówiono, że dla Paryża zewsząd odkrytego nie pozostaje jak tylko poddanie się bezwarunkowe. Otrzymawszy te wiadomości minister wojny udał się bezzwłocznie do izby reprezentantów dla zbadania, czy udzielenie ich korzystnie nie oddziała i nie obudzi chęci zachowania dla tych stu tysięcy wodza, który w r. 1814 z siłami o wiele niższemi szalę losu przechylić potrafił.

Już o godzinie dziewiątej z rana zasiadło zgromadzenie z żywszą jeszcze niż dnia poprzedniego niecierpliwością. Dla zyskania czasu chciano nawet odroczyć raport jenerała Grenier, lecz niecierpliwa izba nie chciała słuchać żadnych ubocznych przedmiotów podstawianych w miejsce głównego celu jej dążeń i myśli. Wypadało więc koniecznie ją zaspokoić: około godziny dziesiątej z rana Grenier wszedł na trybunę i pierwszy zyskał spokojność, innym odmawianą mówcom. Streściwszy najprzód środki podczas ubiegłej nocy w Tuilerach obmyślone, zakończył mowę tym głównym wnioskiem, że należy wysłać do obozu sprzymierzonych kommissarzy do traktowania w imieniu obu izb. Krok ten będący już jedną połową abdykacji, dawał pewność pozyskania niebawem i drugiej połowy. Mimo to, zniechęcenie, niecierpliwość, gniew nawet, zapalające wszystkich oblicza, w hałaśliwą zamieniły się wrzawę. Sprawozdawca nie nawykły do tego rodzaju agitacji, wyjąkał kilka słów zachęcających do uspokojenia się z zapewnieniem, że wkrótce zapewnie wysłannik cesarski mowę jego uzupełni. Uwaga ta nie ukoiła wzburzonych umysłów, tłum mówców rzucił się na trybunę z wnioskami za przyśpieszeniem upragnionego rozwiązania. Lecz że w tłumie tym nie było ludzi jakiegoś znaczenia i godnych głębszej uwagi, zgromadzenie więc mało ważąc ich

słowa, wpadło w zamęt nie do opisania. Tymczasem poplecznicy księcia Otranto rozsiewali pogłoski, że ofiara ma zamiar bronić się, aby więc nie stać się jej pastwą, należało silny postawić opór, wojsko bowiem uwiadomione o tem co się dzieje, gotowe było dopuścić się największych bezprawi, byle przedłużyć rządy Napoleona, tem bardziej, gdy wedle otrzymanych doniesień, ocalony Grouchy z 60 tysiącami żołnierzy zmierzał do Laon. Nadzieja takiego poparcia łatwo więc mogła zmienić postanowienie Napoleona, nie było zatem czasu do stracenia. Domysły te znalazły łatwo potwierdzenie w oświadczeniu ministra wojny co do stanu militarnego. Słuchano go przeto z tem większą niecierpliwością, gdyż to co mówił było rzeczą niewątpliwą. Gdy skończył, zdanie izby w niczem nie uległo zmianie, owszem wszyscy w zamiarach swoich utwierdzili się. Kiedy umysły namiętnie biegną w stronę obranego przedmiotu, wszystko wtedy ku niemu je popycha, nawet to, coby je właśnie z kierunku tego odwrócić powinno. Jedni utrzymywali, że owe 60 tysięcy wojska posłużą Napoleonowi za pozór zatrzymania władzy i że siły te w danym razie obróci przeciw zgromadzeniu; inni znów doradzali, że należało właśnie przyśpieszyć teraz układy bez spółudziału człowieka, któryby osiągnienie pokoju uniemożebnił. Tak uniesieniom swoim coraz nowego dodając bodźca, reprezentanci doszli do wniosku złożenia Napoleona z tronu i poddania tej propozycji pod głosowanie. Wtedy jeden z członków izby, jenerał Solignac, zostający od dawna w niełasce cesarskiej, umysł źle skierowany, ale w gruncie uczciwy, wstrzymał na chwilę zgromadzenie uwagą, że mąż którego prawa w taki sposób starano się pogwałcić, który panował przez lat piętnaście, niedawno nawet ponowną od Francji odebrał przysięgę i przez dwadzieścia lat wiódł z chwałą oręż francuzki, godzien jest szacunku, nie będzie więc rzeczą zbyteczną jeżeli zgromadzenie pozostawi godzinę czasu do namysłu i złożenia dobrowolnie berła, które naród tak skwapliwie wydrzeć mu pragnie.—Dobrze! godzinę! godzinę!—liczne powtórzyły głosy, i przejęte niejako wstydem zgromadzenie, w duchu skłonne do utrzymania dynastji cesarskiej, zezwoliło na tę zwłokę! Monarsze trząsającemu światem i przed trzema miesiącami z niezrównanym powitanego zapałem, naród ofiarował godzinę czasu na zrzeczenie się tronu! Smutna i straszna nauka dla dumy bez granic!

Zaraz więc jenerał Solignac pobiegł do pałacu Elizejskiego, jakkolwiek oddawna nie ukazywał się Napoleonowi. Widok potężnego cesarza, strachem niegdyś przejmującego wszystkich, dziś strąconego w otchłań niedoli, głęboką boleścią przejął jenerała. Napoleon, który dość źle przyjmował najwierniejszych swoich zwolenników nakłaniających go do abdykacji, tym razem przyjął uprzejmie dotkniętego niegdyś niełaską

człowieka, którego przemówienie pozyskało dlań godzinę zwłoki. Cesarz oświadczył, że niewłaściwie objawiano tyle namiętnych uniesień, gotów jest bowiem podpisać zaraz zrzeczenie się tronu. Potem powiódłszy go do ogrodu, gdzie naród nowemi *Niech żyje cesarz!* witał okrzykami, Napoleon starał się przeświadczyć Solignac'a, jak silne jeszcze pozostają mu środki, gdyby je tylko na swoją chciał obrócić stronę. Pytał potem jenerała, czy wierzy, że zgromadzenie do którego za chwilę ma powrócić, może utworzyć jakiś rząd zdolny stawiać opór nieprzyjaciołom i czy abdykacja na której wszystko zakładają, uchroni ich od powrotu Bourbonów wspieranych pół miljonem sprzymierzonych? Nie podobna było temu przeczyć. Zdanie to potwierdziwszy Solignac, ujął rękę cesarza i kilką zwilżył ją łzami. Napoleon przejęty wzruszeniem dzielnego wojownika, kontent zarazem z wykazania nietrafności domagań się izby, pożegnał go uściśnieniem dłoni z zapewnieniem, że wkrótce posłannik jego stawi się w pałacu reprezentantów. Wtedy wziął pióro dla skreślenia aktu, boć zresztą nikt nie byłby zdolnym znaleźć słów odpowiednich tak wielkiemu położeniu.

Wszedłszy do swego gabinetu, gdzie znajdowali się jego bracia i ministrowie, Napoleon skreślił już pierwsze słowa, kiedy Lucjan, Józef i minister Regnaud zrobili uwagę, że w akcie abdykacji należało wyraźny położyć warunek, iż cesarz zrzeka się korony na rzecz syna. Wtedy rzucając na p. Regnaud spojrzenie malujące całą wzgardę dla tryumfującej polityki Fouché'go, dwa lub trzy razy powtórzył: Dla mego syna! mego syna!... co za urojenie!... Nie, ja nie memu synowi ale Bourbonom oddaję koronę... oni przynajmniej nie są więźniami wiedeńskimi!— Po tych genjalnych słowach, napisał następującą deklaracyę:

«Francuzi! Występując do walki dla utrzymania naszej niepodległości narodowej, liczyłem na pomoc, zgodę i spółdziałanie wszelkich władz krajowych, w takiem będąc przeświadczeniu, pewny powodzeń, śmiało naigrawać się mogłem z czynionych mi przez nieprzyjaciół pogróżek.

«Widzę, że położenie rzeczy zmieniło się. Poświęcam się więc na ofiarę nienawiści wrogów Francji. Oby tylko oświadczenia ich były szczere, a zawiść na mojej wyłącznie ograniczyła się osobie! Zawód mój polityczny dobiegł do kresu, ogłaszam syna mego cesarzem Francuzów, pod imieniem Napoleona II-go.

«Ministrowie zajmą się utworzeniem tymczasowej rady państwa. Dobro mego syna skłania mnie wezwać izby o ogłoszenie prawa ustanawiającego rejencją.

«Zachowajcie jedność i zgodę dla dobra kraju i utrzymania niepodległości narodowej.»

«*Napoleon.*»

Akt ten podpisany o godzinie w pół do pierwszej, poniesiony być miał przez ministra Carnot'a do izby parów, a przez księcia Otranto do izby reprezentantów. Dla tej ostatniej pismo to było buletynem o odniesionem zwycięztwie, przyjęła je też z zaledwie ukrytą radością. Fouché przybył do izby reprezentantów o godzinie pierwszej, lubo wielu usłużnych już go wyprzedziło. Godzina udzielona Solignac'owi dawno ubiegła i gdyby nie ukazanie się tryumfującego konspiratora zaspakajające ogólną niecierpliwość, kto wie czyby zachowano jakikolwiek szacunek dla zwyciężonego pod Waterloo. Jak tylko usłyszano o nadejściu księcia Otranto i treści jego posłannictwa, członkowie izby śpieszyli w nieładzie zająć miejsca i wszyscy stojąc w milczeniu wysłuchali wyżej przytoczonej deklaracji Napoleona, którą prezydujący wzruszonym głosem odczytał. Któżby uwierzył, że po objawach takiego zniecierpliwienia, zgromadzenie, czyto przejęte szlachetnością wyrazów, czy wielkością człowieka i jego niedoli; zgromadzenie, mówię, takim przed chwilą pałające gniewem, teraz oniemiało, głębokiem i powszechnem przejęte wzruszeniem. Jakiś czas poświęcono na wyrażenie swego spółubolewania, wdzięczności, żalu i nie jeden pomyślał, że jeżeli ratunek kraju był prawie niepodobnym z Napoleonem, tem trudniejszym będzie bez niego. Ten i ów widział teraz, że go mimowolnie popchnięto do tego kroku, że postąpienie izb nie zapewniło tryumfu rewolucji ani dynastji cesarskiej, ale raczej Bourbonom. Nie było to więc klęską ani dla Francji, ani dla wolności, ale raczej czynem spełnionym ręką samych reprezentantów, będących spólnikami lub przynajmniej stronnikami rewolucji z dnia 20-go Marca.

Następnie ks. Otranto blady wszedł na trybunę, domagając się chytrze względów dla niedoli, żądając nadto aby Francja kreśląc warunki dla siebie, nie pominęła ich i dla Napoleona, to jest, aby jego życie, wolność i spokój były zapewnione; nakoniec wniósł potrzebę bezzwłocznego wyboru kommissarzy mających traktować w obozie ze sprzymierzonymi. To niewczesne wystąpienie Fouchégo przed tem biednem zgromadzeniem, które samo wkrótce miało władzę swoją abdykować, było śmieszną rolą dyktatora przez 15 dni Francji panującego. Wysłuchano słów jego nie przywiązując do nich wielkiego znaczenia, nikt bowiem po osiągnieniu celu swych życzeń nie myślał uchybić w szacunku dla upadłego genjuszu, ani też odraczać układy o pokój, rzeczy tak pozornie ważnej, a czczej w rzeczywistości, jak się wkrótce o tem przekonamy. Lecz szło

tu o rzecz ważniejszą i bardziej na spory wystawioną, szło tu o naznaczenie władzy wykonawczej, która znikła wraz z chwilą zrzeczenia się cesarza. Teraz bowiem otworzyło się obszerne pole rozmaitym dążeniom stronnictw i samowolności tych agitatorów, którzy w ważnych okolicznościach nadają sobie jakieś znaczenie jedynie chęcią popisania się lub wewnętrznem usposobieniem do zamieszek. Zgromadzenie składało się z samych prawie bonapartystów lub rewolucjonistów, czyli, że dążnością ich było zastosowanie zasad rewolucji ręką Bonapartych z wyłączeniem Napoleona, który sam mógł wziąć górę nad tém do czego oni zmierzali. Akt dodatkowy na który tyle powstawano, Napoleon II, którego ojca zgromadzenie złożyło z tronu, a nadewszystko pokój były szczytem jego żądań. Lecz już sam ks. Otranto, po przyrzeczeniu izbom Napoleona II, zaczął powątpiewać o swojej obietnicy, a rozsiewając te powątpiewania, wiedział dobrze że zapewnienia czynione przed obaleniem Napoleona nie były nateraz potrzebne. Ludzie podbechtani przez niego głosili tu i owdzie, że nie należało upierać się koniecznie za następstwem Napoleona II, ani stawiać jako konieczny warunek, bo to mogłoby obrazić monarchów i położyć zaporę do rozpoczęcia układów. Zresztą, dodawali, obstając przy Napoleonie II, nie należy wystawiać na szwank losu Francji dla dziecka więźnia, powierzonego rękom austryjackim i być może skazanego na ciągły tam pobyt; wszak możnaby naprzykład pozyskać monarchję konstytucyjną z innym jakim księciem rozumnym, liberalnym, dającym rękojmię rewolucji a nieprzychylnym emigracji; byłożby więc słusznem zrzekać się takiego księcia przez chęć zachowania wierności dla dziecka prawie nieznanego wtedy, kiedy głównem zadaniem jest zapewnienie całości i swobód Francji. Takie rzucając uwagi, miano na myśli księcia Orleańskiego, o którym bez żadnych z jego strony zabiegów, wielu myślało. Jego znane światło, widoczne niesprzyjanie polityce Ludwika XVIII, która go poprowadziła do Gandawy, oddane usługi wojenne w czasach rzeczypospolitej, wreszcie pamięć na ojca, czyniły go pożądanym dla stronników rewolucji, nowych liberałów i wojska, lubo on popieraniem swej kandydatury bynajmniej się nie zajmował. Zgromadzenie lubo się oświadczyło za Napoleonem II, pocieszyłoby się wkrótce otrzymaniem w zamian monarchy z młodszej linii Bourbonów. Wojsko nawet ujrzałoby się mniej pokrzywdzoném, pozyskawszy wodza znanego ze zdolności militarnych; wszak i pomiędzy monarchami zebranymi w Wiedniu, cesarz Alexander objawiał niechęć do emigracji i czynił na kongresie wniosek za księciem Orleańskim, czemu tylko wyraźna oppozycja Anglji i Austrji stanęła na przeszkodzie. Fouché zgodziłby się chętnie na oddanie korony temu

księciu, wątpił wszakże w przywolenie monarchów sprzymierzonych, a jeżeli podniecał te dążenia, to uważał jako przejście od przyrzeczonego wątpliwie Napoleona II do Bourbonów starszej linji, której sobie nie życzył, a łatwo ją przewidywał. Krótko mówiąc, taktyka jego w tém głównie polegała, aby naraz obudzić wszelkie przypuszczenia, a odnieść w końcu górę nad temi, które jego odpowiadały dążeniu i dla tego zamiarów swoich nie zwierzał ani panu Regnaud szczeremu bonapartyście, ani pp. Manuel, Jay, Lacoste, jawnych liberalistów, zawsze przecież bał się powrotu starszej linji. Tak jednym jak drugim zalecał roztropność i nie upieranie się za stawianiem niewzruszonych warunków w przyjęciu tego lub innego księcia, gdyż w ten sposób działając utrudnianoby układy.

Zaledwie akt abdykacyi odczytano zgromadzeniu, tysiączne zaraz posypały się projekta. Ludzie nieprzychylni dynastji cesarskiej, jedni przez rojalizm (lubo liczba tych była nieznaczna), inni przez miłość wolności i pokoju, przemawiali za przyjęciem abdykacji, aby ją tém samém uczynić nieodwołalną, gdyż wszelka umowa staje się ważną od chwili przyjęcia obustronnego; następnie, aby podziękować Napoleonowi za uczynioną u siebie ofiarę, uznać się zgromadzeniem narodowém, objąć całą władzę, wysłać delegowanych do obozu sprzymierzonych, i wybrać kommissję wykonawczą. Wielu reprezentantów popierało te wnioski, a mianowicie p. Mourgues, który na tej drodze innych prześcignął, aby Lafayetta mianować naczelnym dowódzcą gwardji narodowej, a marszałka Macdonald generalissimusem armji. Przypomnijmy sobie, że marszałek ten odprowadziwszy Ludwika XVIII do granicy, nie chciał potém służyć pod Napoleonem. Na ten wniosek którego cel był jasny, p. Garreau zażądał odczytania artykułu 67 Aktu dodatkowego. Napróżno prezes Lanjuinais usiłował nakłonić izbę do wysłuchania tego artykułu, którego treść każdy uważał za dostatecznie znaną; okrzyki *czytaj, nie czytaj* zewsząd rozległy się. Lecz gdy głosy żądające odczytania artykułu przemogły, p. Garreau powtórzył go jak następuje:

„Lud francuzki oświadcza, że zrzekając się swej władzy, nie ma bynajmniej zamiaru przywracania na tron Bourbonów lub któregokolwiek księcia z tej rodziny, nawet w razie wygaśnięcia dynastyi cesarskiej, jako też zrzeka się prawa przywracania dawnej feodalnej szlachty, przywilei możnowładztwa, dziesięcin, jak niemniej odwołania sprzedaży dóbr narodowych; w tej mierze naród francuzki zabrania rządowi, izbom i obywatelom czynienia nawet jakiegokolwiek wniosku."—Mniemam, dodał mówca, że byłem zrozumiany.—Tak, tak, tłumne odezwały się głosy, domagając się nakreślenia porządku dziennego. Jakoż Regnaud

de Saint-Jean d'Angely wszedł na trybunę, popierając motywa porządku dziennego. Najprzód zapytał, że kiedy izba reprezentantów zamieni się w zgromadzenie narodowe, co się stanie z izbą parów; jeżeli zaś obie te izby zleją się w jednę, czem będzie wówczas konstytucja. Przedstawiał nadto korzyści gotowej już ustawy, która, z małemi zmianami, była z resztą wyborną, wskazując bowiem panującego, co właśnie kładło tamę wszelkim dowolnym roszczeniom, wymagała tylko obmyślenia środków przechodnich, to jest zastępstwa na pewien czas małoletniego i nieobecnego monarchy. Nie śmiejąc zresztą proponować ustanowienia rady rejencyjnej, którąby zbyt stanowczo przecinała kwestję dynastji, wnosił potrzebę wybrania kommissji rządzącej złożonej z 5 członków: trzech z izby reprezentantów, a 2-ch z izby parów. W końcu mówca odwołał się do uczuć szlachetności, godności i wdzięczności przynależnej Napoleonowi od zgromadzenia.—Męża tego, dodał, sami nazwaliście wielkim, a potomność lepiej go niż my osądzi. Niedawno powtórnie sami postawiliście go u steru rządu, i nie ma jeszcze czterech tygodni jak wykonaliście mu przysięgę na wierność! Dotknęło go nieszczęście rzadkie w jego zawodzie wojennym; zażądaliści aby złożył koronę, sam byłem świadkiem z jaką skwapliwością i wspaniałością umysłu żądaniu waszemu zadość uczynił, bo ja pierwszy ośmieliłem się myśl tę mu objawić. Złożył więc koronę, ale na rzecz swego syna. Myślicież to wielkie poświęcenie odpłacić, odrzucając go? Chcecież zniweczyć akt tak upragnionej dla nas abdykacji, odrzucając warunek główną treść jego stanowiący? Na takich więc [opierając się zasadach, wnoszę na porządek dzienny: utrzymanie ustawy i praw Napoleona II, nadto, wysłanie deputacji do tego, który przed kilką godzinami był waszym cesarzem, z podziękowaniem za szlachetną ofiarę poniesioną dla dobra kraju.

Pod wrażeniem wielkości ofiary otrzymanej z rąk Napoleona i wzruszeń wywołanych słowami p. Regnaud, zgromadzenie jednozgodnie przyjęło przedłożony porządek dzienny. Pan Regnaud pochlebiał sobie teraz, że ocalił tron Napoleona II, Fouché zaś inaczej sądził; kwestję bowiem dotyczącą ustanowienia rejencji ominięto, zastąpieniem jej kommissją wykonawczą. Ta dwójznaczność odpowiadała właśnie tajemnym zamiarom Fouché'go, który na wszystko się zgadzał, byle nie na powrót Napoleona. Przystąpiono więc do wyboru trzech członków z izby reprezentantów do kommissji wykonawczej, Fouché pewny swego wyboru, nie czynił starań za sobą, ale za innymi swymi spółkolegami, tak aby ci zamiarów jego nie krzyżowali. Wiedząc, że niepodobieństwem było wyłączać Carnot'a, którego zresztą dobrej wiary nadużył, dążył głównie za usunięciem p. de Lafayette, przedstawiając go jako fanaty-

cznego zwolennika okrzyczanych instytucji z r. 1791 i jako niezbędnego członka delegacji, mającej się udać do obozu monarchów dla układania się o pokój. Z tego więc powodu polecał powszechnie szanowanego jenerała Grenier i niezdolnego do zawiązania jakichkolwiek intryg. Takiemi poruszając sprężynami, Fouché następujący pozyskał wypadek: Carnot powszechnym otaczany szacunkiem pozyskał 324 głosy; Fouché w opinii swych zewnętrznych i wewnętrznych wpływów otrzymał 293; Grenier 204, a Lafayette 142 głosy. Dla obioru zatem trzeciego członka trzeba było ponowić wybór, który znaczną większością przypadł dla jenerała Grenier, co wszystko bezzwłocznie przedstawiono izbie parów pod zatwierdzenie.

W tej porze właśnie izba ta gwałtownem miotana była wzburzeniem. Minister wojny udzieliwszy tych samych co izbie reprezentantów wiadomości wojennych, nadmienił, że stosunek zewnętrzny obu izb jest zupełnie jednej natury, lubo wpływ jej różny. Przy końcu tego sprawozdania smutna zaszła scena. Marszałek Ney, cały wzburzony jeszcze wypadkiem bitwy pod Waterloo, w której sam złożył tyle dowodów niezaprzeczonego męztwa, a bardziej jeszcze przypisywaną mu winą poniesionej klęski, poduszczony wreszcie przez Fouché'go, któremu zwierzył się poufnie z tłoczących go cierpień, prosił o głos, a zwróciwszy swoją energiczną postawą i żywością opowiadania uwagę całego zgromadzenia, potwierdził tém samém zdanie ministra, że nie ma już żadnego środka, że wszystko już straconém, wojsko bowiem należycie spełniło swoją powinność, lecz dopuszczono się wielkich błędów (nie wymieniając ich sprawcy, Ney wyraźnie wskazywał cesarza), że zatem z tych błędów wynikła klęska nie pozostawia innej drogi, jak traktowanie o pokój na jakichbądź warunkach, byle przynajmniej życie ocalić. Niestety, szlachetna ta ofiara, dzielny Ney nie wiedział, że mową swoją nakłania do kapitulacji, skutkiem której nie wszystkim życie ocalono. Scena ta wywołała powszechny w izbie zamęt, przejmujący widoczną radością nieukontentowanych jej członków, większość wszakże parów, szczerze życzliwych lubo słabych, doznała smutku, widząc rozsiewane zniechęcenie przez człowieka znanego z męztwa i poświęceń. Kiedy marszałek kończył swoją mowę, wszedł Drouot, a dowiedziawszy się treści słów jego, z zwykłą sobie powagą i łagodnością, zaczął odpierać i prostować jego mniemania. Ney źle się bronił, a odkrywając coraz większy nieład duszy rozpaczą miotanej, dał w końcu to przekonanie, że tylko do jego wysokich zasług, a nie do słów można było rzeczywistą wagę przywiązywać.

Jeszcze pod wrażeniem tak smutnej sceny pozostawała izba parów,

kiedy wszedł do niej delegowany izby reprezentantów. Nie było wątpliwości, że izba ta przyjmie przedłożone jej wnioski, niektórzy wszakże członkowie, żywo do sprawy cesarskiej przywiązani, jak ks. Lucjan, jenerałowie La Bedoyère i Flahault mocno się oburzyli, widząc że dwójznaczném zamianowaniem kommissji wykonawczej usuwano władztwo Napoleona II. Hrabia Thibaudeau, ponury rewolucjonista, nieprzyjaciel Bourbonów, a przenoszący Bonapartych lubo i tym nieprzychylny, bo nikogo w ogóle nie lubił, zresztą przeciwnik Fouché'go, jakkolwiek dający się mu powodować, podniósł w tej chwili myśl powszechnie panującą oświadczając, że najprostsza droga ocalenia jest abdykacja cesarza, dodając zarazem, że nie pozostawało nic, jak zatwierdzić postanowienie izby reprezentantów, co zresztą w obecném położeniu było rzeczą nieuknioną. Wniosek ten w stronnictwie cesarskiém żywe wywołał oburzenie. Książę Lucjan przypominając izbie parów, że będąc dziełem Napoleona winna mieć dla niego obowiązki wdzięczności, wierności i przywiązania, powołał się na prawo, którego powaga, jeżeli gdziekolwiek słabła, w jej łonie przynajmniej przechować się powinna; przywiódł warunki ustawy, zapewniającej koronę Napoleonowi II, po Napoleonie I, w końcu opierając się na samym akcie abdykacji, którą wyraźnie cesarz tron synowi przekazuje, domagał się bezzwłocznego ogłoszenia tego księcia panującym, w tém jedynie możność uniknienia zamieszek i wojny domowej upatrując. — Łączmy się więc wszyscy około Napoleona II, zawołał książę, i aby dać z siebie przykład, ja pierwszy zaprzysięgam mu wierność. — Wielu parów wszczętem zamieszaniem przerażonych, gotowi zatwierdzić tę dwójznaczną formę władzy wykonawczej, okazało widoczne nieukontentowanie, z jakiem dotykano tak ważnej kwestji. Pan Pontecoulant, par Napoleona i Ludwika XVIII, a więc dla jednego i drugiego do wdzięczności zobowiązany był za tem, aby nie utrudniać tego pośredniego przejścia pomiędzy rządem upadającym a koniecznym. Przyznawszy co winien Napoloeonowi, oświadczył, że kraj większe nań wkłada obowiązki, że zatem wniosek księcia Lucjana uważa tu za niewłaściwy. W końcu przypominając że jest księciem państwa rzymskiego a nie Francuzem, postawił zarzut nieważności jego zdania w tym przedmiocie. — Jeżeli nie jestem Francuzem dla pana, jestem nim dla narodu, odrzekł Lucjan, i nalegał za uznaniem nieważności abdykacji Napoleona I, w razie nieprzyjęcia następstwa na tron Napoleeona II. Szlachetny a niebaczny La Bedoyère, równie jak Ney słów swoich hamować nie umiejący, zabrał następnie głos z niesłychaną gwałtownością.—Widzę tu ludzi, zawołał, którzy niedawno czołgali się u stóp Napoleona kiedy był w szczęściu, a dziś go opuszczają, bo sam w niedoli.

Nie zważając na nich, spełniajmy naszą powinność. Napoleon zrzekł się tronu na rzecz swego syna; jeżeli więc ten syn nie będzie uznany królem, nie ma abdykacji, Napoleon wraca do rządu. Niech uchwyci za oręż, wszyscy umrzemy przy jego boku! Zdrajcy, którzy go odstąpili, odstąpią go raz jeszcze, wejdą w zmowę z zagranicą, tak jak to już zrobili... widzę tu ich kilku na tych ławkach...—Słowa te dowodzące że dzielny ten młodzieniec nie umiał hamować się w swojém uniesieniu, straszliwy wywołały zamęt. Kazano mu uciszyć się, kilku przyjaciół nadbiegło z perswazją, nic jednakże nie zdołało go uspokoić. Rozprawy mieszały się bez ładu, bez rezultatu dla tych, którzy domagali się bezzwłocznego ogłoszenia Napoleona II, większość zgromadzenia przechylając się na dwuznaczną politykę drugiej izby, potwierdziło jej postanowienie. Dla uzupełnienia więc kommissji rządzącej, izba parów wybrała z pomiędzy siebie p. Coulaincourt, jako najgodniejszego przedstawiciela interesów Francji i Napoleona, i pan Quinette, dawnego członka konwencji i godnego reprezentanta rewolucji.

Tak rozmaite wiadomości udzielone Napoleonowi bynajmniej go nie zdziwiły, ani też większego nie przyczyniły smutku, nie robiąc bowiem żadnych illuzji co do losu syna, wiedział, że niepodobna myśleć, aby korona z jego potężnej spadająca głowy, mogła się zatrzymać na słabém czole dziecka, nieobecnego i więzionego. Po południu wybrana z grona reprezentantów deputacja przyszła złożyć Napoleonowi podziękowanie i zapewnić o wdzięczności za uczynioną z siebie ofiarę. Przyjął ją stojąc, z postawą jaką zachowywał będąc na szczycie władzy, z powagą nacechowaną smutkiem i tą wzniosłością słowa, jaką daje oderwanie się od wszelkich spraw. Podziękowawszy deputacji za wyrażone uczucia nadmienił, że jakkolwiek chętnie ponosi ofiarę dla Francji, nie spodziewa się wszelako, aby to przyniosło jej jaki pożytek, że w tej mierze chciał działać zgodnie z izbą reprezentantów, przekonanym będąc, ile dalsza pomyślność walki od zgody zawisła. Zgodę więc i jedność zalecał, jako jedyny środek ocalenia, po niej zaś energiczne działanie w przygotowaniu obrony, bo aby pozyskać zaszczytny pokój, należało mieć w ręku wszelkie środki wojny. Czas stracony na obalenie rządów cesarskich, dodał, mógł być korzystniej obrócony na przysposobienie środków obrony. Zresztą, chwila jeszcze nie stracona, spieszcie się, bo nieprzyjaciel zbliża się i łudzi was obietnicą zatrzymania się, jak skoro ja zostanę usunięty. Dążeniem jego jest narzucenie wam Bourbonów ze wszystkiemi ich następstwami. Polecam wam mego syna, bo dla niego tylko zrzekł em się tronu, i tylko zespoleniem się z tém dzieckiem uniknięcie starć sprzecznych interesów, zgromadzicie wojsko i postawicie

się w możności ocalenia niepodległości narodowej. Co do mnie, rola moja skończona, a być może i życie dobiega już swego kresu. Gdziekolwiek los mnie poniesie, nie przestanę żywić w sobie najgorętszych dla Francji i jej szczęścia życzeń. Chciałbym jeszcze walczyć za nią jako żołnierz, nie mogąc już być jej wodzem, lecz wy osądziliście, że zrzeczenie się moje ma być z jej pożytkiem. Nie idzie więc o mnie, ale o mego syna i Francję. Wierzcie mi i łączcie się zgodą! — Po tych słowach, Napoleon pożegnawszy z godnością członków deputacyę, wyszedł, pozostawiając ich w głębokiem wzruszeniu.

Napoleon, powtarzamy, niczem się już nie łudził; widział także, że sprawa jego syna jest również niepodobną do wygrania, i że wzburzone i zdradzone przez Fouché'go zgromadzenie nie zdolne było bronić się. Mimo to, uważał on za powinność spełnić ostatnie obowiązki ojca, polecając Napoleona II; przekonany nadto, że jedynym środkiem pogodzenia zwaśnionych stronnictw i podniesienia ducha armji było utrzymanie korony na głowie tego dziecka, postanowił zrobić jeszcze jedno wysilenie na jego korzyść. Staranne unikanie oświadczenia się za Napoleonem II, było rzeczywiście niedotrzymaniem danego przyrzeczenia. Żywo o tém mówił z p. Regnaud, wyrzucał mu nakłanianie go do abdykacyi na rzecz syna, a czego do skutku nie doprowadził. Pan Regnaud właściwie na te wyrzuty nie zasłużył, zwiedzion bowiem przez Fouché'go pewnym był, że ogłoszenie panującym syna, nastąpi zaraz po zrzeczeniu się ojca. W końcu po szczerych usprawiedliwieniach, zapewnił Napoleona, że dołoży wszelkich starań, aby mu w dniu następnym słowa dotrzymano. Napoleon przyzwał także dwóch ministrów stanu: pp. Defermon i Boulay de la Meurthe, na których przywiązanie wiele liczył, żądając od nich, aby wpływem swoim wymogli na izbie reprezentantów ogłoszenie następstwa Napoleona II w sposób nie pozostawiający żadnej dwójznaczności. Ministrowie ci zapewnili gotowość dołożenia wszelkich starań, a nawet Boulay de la Meurthe, dobrze położony w zgromadzeniu w którém tak ważną niegdyś odgrywał rolę, zacny stronnik rewolucji, przyjaciel Sieyès'a, dążenia jego podzielający i nieprzyjaciel Bourbonów, przyrzekł z całém poświęceniem działać na tej drodze.

Pan Regnaud udawszy się do ministra Fouché przedstawiał mu kłopotliwe położenie, w jakiém postawiono się względem Napoleona, niebezpieczeństwo mogące wyniknąć z niedotrzymania mu słowa, a tém samém konieczność uczynienia coś na jego korzyść. Pozornie Fouché podzielał to zdanie, a nawet zalecał młodym deputowanym, p. Jay i Manuel,

że należało koniecznie uczynić coś na korzyść Napoleona, nie przyjmując wszakże żadnych zobowiązań względem dynastji cesarskiej. Wprawdzie, jak to wkrótce zobaczymy, Fouché ukrywał tu rzeczywiste swoje pobudki, stawiał jednakże dwa ważne powody: niedrażnienie Napoleona omyleniem ostatnich jego nadziei i jeżeli można podniesienie cesarskiego potomka na ster rządu, pod którym wolność nie będzie zagrożoną, interesa zaś stronnictwa rewolucyjnego, zupełnie zostaną zabezpieczone. Po wzajemnych przyrzeczeniach zgodzono się wreszcie na potrzebę wyjścia z tej dwuznaczności, bez krępowania się jakiemibądź nieodwołalnemi zobowiązaniami.

Nazajutrz, to jest w d. 23 Czerwca, Beranger podniósł kwestję dotyczącą określenia władzy, jaką piastować ma kommissja wykonawcza. Szło o rozstrzygnienie pytania, czy władza ta ma być zbliżoną do władzy ministrów odpowiedzialnych, czyli też porównana z władzą panującego, a zatém tak jak ona nietykalną. Dość było tego wniosku, aby silne w umysłach wywołać wrzenie. Jakoż mówcy jeden po drugim wstępowali na trybunę; z tych jedni domagali się, aby kommissja wykonawcza była władzą odpowiedzialną, inni aby jej nadać charakter rejencji działającej w imieniu małoletniego i nieobecnego monarchy, z przywilejami jemu przysługującemi. Wtedy p. Deformont, zabrawszy głos, oświadczył, że zdaniem jego zgromadzenie nie szukając trwałych i niewzruszonych podstaw, samo w niejaki rzuca się zamęt. Określenie działań kommissji rządzącej nie napotka jednak trudności, jeżeli izby zechcą się ograniczyć na obowiązującej ustawie, obrębu jej nie przekraczając. Podług zasad ustawą tą, jako dla monarchji konstytucyjnej nakreślonych, Napoleon II jest prawym następcą i dziedzicem tronu Napoleona I, tak jak niegdyś król żyjący następował po zmarłym.—Uznajecież panowie, dodał Defermont, Napoleona II waszym monarchą?... — Tak, tak, zawołało, wielu członków zgromadzenia... *Niech żyje Napoleon II!* — A więc, mówił dalej Defermont, uznając go, nadajecie tém samém kommissji rządzącej władzę zwykłej rejencji, działającej w imieniu Napoleona II, po złożeniu mu przysięgi. Wpierw atoli wypada go ogłosić urzędownie, w czém potrzeba odwołać się najprzód do armji tak przywiązanej do dynastji, wpłynąć na usposobienie gwardji narodowej, pomiędzy którą krąży przekonanie, że my oczekujemy powrotu Ludwika XVIII, zresztą, należy zawiadomić stronę przeciwną, że to jest nasz ostateczny i nieodwołalny warunek...—Zaczekajmy, odezwał się jeden z członków, aż będziemy wiedzieć wypadek zawiązanych negocjacji.—Nie, nie, liczne zawołały głosy, bądźmy posłuszni ustawie i ogłośmy Napoleona II, — Już całe zgromadzenie z okrzykiem *niech żyje cesarz!*

gotowe było pójść za ogólnym popędem, kiedy kilku deputowanych, usiłując je uspokoić, wyraziło konieczność działania w tej mierze z większą nieco rozwagą. Aby nie osłabić wywołanego zapału, Boulay de la Meurthe, podtrzymując wniosek p. Defermon, obstawał za nierozdzielnością aktu abdykacji i za unieważnieniem poniesionej ofiary, jeżeli sama wartość jej będzie odrzuconą, poczem powstając z gwałtownością, wskazał tajemne intrygi dążące do przywrócenia Bourbonów, rzucenia niezgody w łono samej izby, osłabienia kraju i tem samem otwarcia podwoi dla nieprzyjaciół. Oskarżył dwa stronnictwa, jedno dążące do przywrócenia Ludwika XVIII, drugie do powrotu księcia Orleańskiego. Na to ostatnie, jak gdyby na istniejące, uderzał najsilniej, gdy tymczasem był to tylko prosty zwrot umysłów ku księciu; rzeczone stronnictwa odmalował w fałszywych, strachem podniesionych barwach, w końcu wyzionąwszy ostatnie wybuchy gniewu konającego bonapartyzmu, opuścił zgromadzenie w najwyższém wzruszeniu. Po bezużytecznych przemowach niektórych członków, zabrał głos p. Manuel. Piękne młodzieńcze oblicze, postawa nie wymuszona, łatwość wysłowienia i fałszywa opinja, jakoby był ajentem Fouché'go, którego tylko jawne zdania podzielał, tajemne zaś odrzucał, od razu zwróciły nań baczność całego zgromadzenia. Pomimo panującego zamieszania, Manuel tak zręcznie rzecz pokierował i taką od samego początku nadał sobie powagę, iż zdanie jego stało się zdaniem słuchaczy. Nie wahał się zganić tych, którzy proponując ogłoszenie Napoleona II, podnieśli tak ważną, a tak niewłaściwą kwestję i nie lękał się dodać, że postawienie jej i rozwiązanie byłoby najwyższą niedorzecznością. Przyznał jednakże, że rzecz ta raz podjęta trudną jest do usunięcia i że jedyna droga należytego jej rozstrzygnienia jest w jawném oświadczeniu się za ustawą zapewniającą tron Napoleonowi II. Następnie czyniąc ustępstwo usposobieniu zgromadzenia, nakreślił śmiały obraz partji dzielących Francję, ich nadziei, roszczeń, tajemnych knowań, nadmieniając zarazem, że co się tycze jego osoby, bynajmniej nie przechyla się za Burbonami, ale raczej uważa za konieczne trzymać się litery textu konstytucji, a nie stawiać nowych wniosków, któreby tylko utrudniły nieporozumienia się z Europą. Mowa ta najzręczniejsza i najskuteczniejsza, jaką kiedykolwiek słynny ten mówca wypowiedział, czyniąc zadość podwójnemu życzeniu izby, to jest, pozyskania Napoleona II i pokoju, i wskazująca najprostszą do osiągnięcia tego celu drogę, zupełny otrzymała skutek. Jakoż izba poleciła panu Manuel zredagować jego votum, wskazujące potrzebę przejścia do porządku dziennego, na tej opierając go zasadzie, że podług Aktu Dodatkowego, Napoleon II jest rzeczywistym cesarzem Francuzów, że zatem

zgromadzenie przyjmując postanowienie dnia poprzedzającego, przystępuje do zamianowania kommissji, któraby w tak ważnych okolicznościach mogła zapewnić obronę kraju, jego prawa, wolność i niepodległość. Poczem zgromadzenie powstawszy, głosowało za przyjęciem wniosku p. Manuel i rozeszło się z okrzykiem *Niech żyje cesarz!* W tym razie Manuel, nie naruszając zachwianych tak bardzo praw Napoleona II-go, oddał izbie usługę oszczędzając jej deklaracji, która dodałaby tylko nowych trudności do pozyskania pokoju. Chwilowo deputowany ten stał się przedmiotem hołdów powszechnych. Fouché uważał sobie za zaszczyt, że odkrył nowego mówcę i jeden więcej talent przyczynił Francji. Takim tryumfem rozpoczął swój zawód polityczny Manuel, który później jeszcze wsławił się stałością swoich zasad.

Izba działała teraz w przekonaniu, że najważniejsze interesa jej, utrzymanie Napoleona II-go i zyskanie pokoju, ocalone zostały. W przykrem obecnem położeniu izba nie potrzebowała teraz spodziewać się nic innego, a nie mogąc zyskać rzeczywistości, przestawała na złudzeniach.

Kommissya wykonawcza przystąpiła bezzwłocznie do czynności, czyli do ukonstytuowania się. Trzeba było najprzód obrać przewodniczącego. Quinette i Grenier, cali oddani sprawie rewolucji, głosowali za Carnot'em. Ten zaś nie mogąc przez skromność dać głosu za sobą, dał go za księciem Otranto. Coulaincourt, ceniąc prawość Carnot'a, lecz nie uważając go dość zdolnym, nadto, w przekonaniu, że Fouché teraz zadowolony, poprze wpływem swoim interes Napoleona, dał także za nim swoją kreskę, co dało mu dwa głosy, a że do tych dwóch Fouché dodał i swój własny, łacno więc przeważył i stał się prezydującym w kommissji rządzącej, czyli rzeczywistym naczelnikiem rządu tymczasowego.

Obsadzenie wszakże niektórych posad było niezbędnem. Książę Cambacères prosił o uwolnienie od ministerstwa sprawiedliwości, Coulaincourt i Carnot nie mogli być jednocześnie ministrami i członkami kommissji; Boulay de la Meurthe przyjął więc tymczasowo tekę sprawiedliwości, Bignon spraw zagranicznych, a brat Carnot'a, spraw wewnętrznych. Rzeczą atoli największej wagi był wybór dowódzcy gwardji narodowej paryzkiej. Fouché nie życzył sobie pozostawiać dowództwa w ręku jenerała Durosnel, a przynajmniej chciał dodać zwierzchnika nie odznaczającego się zbytniem przywiązaniem do straconego cesarza. Nie pragnął Lafayetta (którego używszy chwilowo do swoich celów, sam go potem oczerniał), a to pod pozorem, że jenerał ten potrzebny jest do rokowania z mocarstwami; wybrał więc marszałka Massenę, którego świetne imię zaćmiewało wszelkie spółubieganie, i który zniechęcony do lu-

dzi i obecnego położenia, nie spodziewając się już nic dla kraju, a nie pragnąc nic dla siebie, nie myślał stawiać żadnych przeszkód w biegu potoku spraw obecnych

Znalazłszy już dowódzcę gwardji narodowej, pozostawało jeszcze obmyśleć dowódzcę wojsk mających bronić Paryża. Napoleon stanowisko to przeznaczył marszałkowi Davout, lepszego bowiem nie można było uczynić wyboru. Marszałek Davout został więc naczelnym wodzem wojsk mających się zgromadzić pod Paryżem, tak tych które brały udział w kampanji we Flandrji i w Alpach, jako też i niepotrzebnego już oddziału w Wandei. Postanowiono poruczyć marszałkowi zewnętrzną obronę stolicy wojskiem linjowem, gwardję narodową zaś użyć do utrzymania porządku wewnętrznego. Nadto, jenerałowi Drouot, którego charakter stawiał nieomylną rękojmię patrjotyzmu i zamiłowania porządku, oddano dowództwo nad resztą gwardji cesarskiej. Nie wątpiono, że mężny ten żołnierz, pod takim wodzem, jakkolwiek pozbawiony Napoleona, nie upadł na duchu i gotów zawsze do poświęceń dla kraju. Nakoniec, nie przepomniano o środkach współdziałania izb w tak ważnych okolicznościach.

Tegoż dnia kommissja rządząca przedstawiła trzy postanowienia, o których czynione już były wnioski w czasie narady nocnej w Tuilerach, a mianowicie: pobór na rok 1815, upoważnienie do czynienia rekwizycji wojennych podług danych zasad i zawieszenie wolności osobistej. Pierwsze dwa wnioski poddane pod głosowanie, prawie żadnych nie napotkały trudności; trzeci zaś, to jest zawieszenie wolności osobistej, znalazł niejaką oppozycję. Zgromadzenie z zacnych złożone ludzi, ze wstrętem uciekało się do wszelkiej samowolności, zakrawającej na środki przypominające pierwszą rewolucję. Rojaliści (tem imieniem zwano wtedy stronnictwo Bourbonów), dość liczni w narodzie, nie licznie zaś reprezentowani w izbach, gdzie ich zaledwie pięciu lub sześciu znajdowało się, obawiali się, aby postanowienie to, ich głównie nie dotyczyło, lubo środek ten przeciwko nim właśnie był wymierzony. Tymczasem żądano prawa bezzwłocznego uwięzienia tych, którzyby się poważyli inne a nie narodowe wywieszać barwy, podnosić głosy podżegające, brać udział w wojnie domowej, podmawiać żołnierzy do dezercji i utrzymywać z nieprzyjacielem zewnętrznym stosunki przeciwne. Były to wprawdzie występki niezaprzeczone, wszyscy jednakże ludzie uczciwi, wszyscy pragnący powrotu rzeczywistej legalności, woleli, aby kara na przestępców wyrzekana była wyrokiem trybunałów, a nie opierała się na prostych podejrzeniach. Lecz naród mało był jeszcze wtedy wdrożony w rząd legalny, zresztą można tu było powołać się na ważny przykład postępowania w podo-

bnych razach, na zawieszenie w Anglji *habeas corpus;* zgodzono się więc na przyjęcie zasady prawa. Wszelako zgromadzenie chciało ograniczyć moc tego prawa do dwóch miesięcy, a wydawane wyroki przedstawiać komitetowi z dwóch izb wybranemu. Pomimo tak uczynionych zastrzeżeń, na 359 głosów, znalazło się 60 przeciwnych. Po przegłosowaniu tych wniosków, izba postanowiła zająć się bezzwłocznie nakreśleniem nowej ustawy, jak gdyby można było stworzyć co lepszego nad Akt Dodatkowy. Zapomniano także, że podobnego rodzaju narady odbywane w obec sprzymierzonego i zagrażającego murom stolicy nieprzyjaciela, dość śmiesznemi się wydawały.

Po zaradzeniu tak naglącym okolicznościom, przystąpiono do wyboru delegowanych do traktowania ze sprzymierzonymi. Usunąwszy od wszelkich godności p. de Lafayette, niepodobna było nie wybrać go na pośrednika. Został nim więc wybrany. Nadto, wyznaczono jenerała Sebastiani, z uwagi na podwójny jego charakter dyplomaty i żołnierza; p. d'Argenson, ze względu na imię i słynny jego proces w Antwerpji; p. de Pontécoulant, jako para z czasów Napoleona i Ludwika XVIII, a nadewszystko za nieprzyznanie Lucjanowi imienia Francuza; p. de Laforest, jako doświadczonego i wytrawnego polityka i dyplomatę. Na sekretarza legacji dodano p. Benjamina Constant, ze względu na znane zdolności i zawiązane z obcymi monarchami stosunki w czasie jego wygnania. Warunki, na których wysłannicy ci mieli pozyskać pokój, były następujące: całość Francji, niepodległość narodu (to jest, wolność wyboru rządu), tron dla Napoleona II-go, i poszanowanie osób i ich mienia. W instrukcji nadmieniono, że legacja dołoży starań, aby warunki te były zatwierdzone, z odstąpieniem wszakże od tych, któreby pozyskanie pokoju czyniły niemożliwem. Warunek więc dotyczący Napoleona II-go był tylko pozornym i wtrącony jedynie przez ustępstwo dla izby. Wreszcie postanowiono, że legacja skieruje się najprzód do Laon, nie w celu spotkania się z monarchami zmierzającymi na czele zaborczej armji wschodniej, lecz dla pozyskania zawieszenia broni od ks. Wellingtona i marszałka Blüchera, dowódzców armji północnéj idącej na Paryż, co dałoby czas do układów z samymi monarchami.

Miasto Laon było w tym czasie punktem zbornym wojska francuzkiego i ścigających go wojsk nieprzyjacielskich. W błędnym dwu-dniowym pochodzie, żołnierze francuzcy dowiedziawszy się o zbieraniu się w Laon, wszyscy ku temu podążali miastu. Marszałek Soult łączył jeden pułk z drugim, jeśli tylko zmniejszona liczba żołnierzy jednego, tego zlania się z drugim wymagała. Ponieważ konie artyllerijskie ocalały, zabrawszy przeto działa w la Fère, Soult nadał rzeczywistą postać wojenną temu

30-tysiącznemu ocalonemu z pod Waterloo korpusowi, pragnącemu jedynie nowem poświęceniem pomścić klęsk tam poniesionych.

Gdy się to dzieje, Grouchy którego powszechnie uważano za straconego, szczęśliwym i najmniej spodziewanym wypadkiem, uniknął nieprzyjaciela. Otrzymawszy w dniu 19 Czerwca z rana fatalną nowinę, a której zaledwie chciał uwierzyć, Grouchy zaczął się cofać na Namur, tak jak mu wskazał przysłany od Napoleona oficer. Szedł więc drogą najkrótszą przez Mont-Saint-Guibert i Tilly, zaleciwszy jenerałowi Vandamme iść na Vavre i Gembloux. W pochodzie swym Grouchy łatwo mógł być obskoczonym, szczęściem dla niego Anglicy znużeni walką używali wytchnienia, Blücher zaś biegnąc jak szalony w ślad za niedobitkami z pod Waterloo, nie myślał nawet o Grouchym. Dnia 20 Czerwca rozmaite oddziały Grouchy'ego, przeszły przez Namur, odbierając od Belgijczyków dowody najżywszego spółczucia. Dywizja jenerała Teste idąca na ostatku, stoczywszy świetną pod Namur utarczkę, połączyła się z głównym swoim korpusem idąc na Dinant, Rocroy i Rethel.

Oprócz wojsk wracających z pod Waterloo, znajdowała się w Laon część korpusu marszałka Grouchy, a po upływie jednego lub dwóch dni, przeszło 60 tysięcy żołnierza w świeżą broń zaopatrzonego, miało się zebrać pod wodzą Napoleona, z pełną zapału gotowością do prowadzenia dalej rozpaczliwej walki. Tymczasem szybko dolatująca wieść o abdykacji, przeraziła i zniechęciła wszystkich. Krok ten zwyczajem swoim wojsko przypisywało zdradzie, mówiąc, że nie warto służyć pod chorągwią, kiedy jedynego wodza, zdolnego do poprowadzenia ich na wroga, zdrajcy niegodnie tronu pozbawili. Zawiadomiona o tem kommissja rządząca, wysłała do wojska dwóch delegowanych z upomieniem, że jakkolwiek Napoleon dla nich przestał istnieć, pozostaje im zawsze rzecz o wiele świętsza, to jest ojczyzna ich, Francja. Jednym z wysłańców był waleczny Mouton-Duvernet, którego przeznaczeniem, równie jak Ney'a i La Bedoyère'a było, paść ofiarą nieubłaganych namiętności czasu.

W czasie biegu tych wypadków pomiędzy granicą a Paryżem, ruch w stolicy z każdym dniem wzrastał; wszyscy z obawą wyglądali końca tak niezwykłego przesilenia. Napoleon od chwili abdykacji nie opuszczając pałacu Elysée, widział, jak niegdyś w Fontainebleau, coraz większe około siebie osamotnienie. Kilku tylko wiernych przyjaciół, jak Bassano, Rovigo, Lavalette, przychodziło udzielać mu pociechę w jego upadku; związkowi i żołnierze przybywający z armji, składali mu swe hołdy i witali okrzykami *Niech żyje cesarz!* ile razy dał się widzieć w alei Marigny. Fouché przybył także odwiedzić go po raz ostatni, usiłując pod bladą twarzą ukryć swoje zakłopotanie. Napoleon przyjął go grzecznie lecz

zimno, te tylko przemówiszy doń słowa: Przygotujcie się do walki, bo nieprzyjaciel nie zgodzi się na wasze żądania; on wyłącznie pragnie Burbonów, których jeżeli odepchniecie, możecie się spodziewać ciężkiej bitwy pod murami Paryża. — Na te słowa Fouché odpowiedział potakując z uszanowaniem i opuścił pałac, w którym wszystko wyrzucało mu jego postąpienie, gdzie dumne przyjęcie, lubo bez żadnych wymówek, przykrość mu sprawiało. Wolał on przebywać w Tuileries, bo tu był wszechwładnym panem, tu bez żadnego oporu panował nad ociężałym Quinette'm, dobrodusznym Carnot'em, niedoświadczonym Grenier'em i zniechęconym księciem Wincencji. Uważając go jako nieprzebłaganego wroga Burbonów za królobójstwo, za aresztowanie go przed 20 Marca, spółtowarzysze Fouché'go w zupełności na nim polegali, wierząc w jego niezmordowaną czynność, zdolność i umiejętność. W czasie zaś cofania się wojsk do Paryża, kiedy kommissarze wysłani do monarchów sprzymierzonych, probowali zawiązać trudne do ziszczenia układy, a izby uznawały za stosowne i zaszczytne rozprawiać w podobnych okolicznościach, o ułożeniu nowej konstytucji, Fouché dokładał wszelkich starań, aby tą smutną, a zarazem śmieszną komedję na swoją korzyść rozwiązać. Jakkolwiek mówił i pobudzał do mówienia o Napoleonie II, czyniąc to przez wzgląd na izby, sam przecież w spełnienie tego zamiaru zupełnie nie wierzył; miał bowiem przekonanie, że sprzymierzeni jak byli nienawistni dla ojca, pozostaną takimiż i dla syna, że zatem Ludwik XVIII, będzie koniecznem przeciwstawieniem Napoleona zwyciężonego. Mimo to nie pragnął on Burbonów, ale ich przewidywał. Widząc przeto powrót nieuniknionym, postanowił pracować nad ich przywróceniem, wszelkie ztąd dla siebie zachowując korzyści. Przewidywany powrót Burbonów, pomaganie nawet w tej mierze, nie było jeszcze występkiem, owszem, byłoby przezornością, a ta nigdy ganioną być nie może. Lecz przewidując jako mąż rozumny powtórną restaurację, Fouché winien był pracować dla niej uczciwie, po obywatelsku, to jest, jawnie zamiary swoje odkryć spółpracownikom, takim jak Coulaincourt i Davout, oszczędzić drugich bez zdrady, a nadewszystko w nakreśleniu warunków, nie siebie mieć na celu lecz Francję, jej całość, wolność, a nadewszystko bezpieczeństwo osób skompromitowanych. Taką drogę postępowania powinien był wytknąć sobie p. Fouché, a jednakże minister ten wolał obrać inną: dążyć do przywrócenia Burbonów, widząc że inaczej być nie może, zasługę tę na własnych opierać widokach, nikomu nie zwierzać się z zamiarami, a tem samem zdradzać wszystkich, ocalić tych, których można, a wydać innych, słowem osłonić siecią intryg to, co mogło być zręcznem

a uczciwém postępowaniem, oto jakie było działanie p. Fouché, z serca i umysłu jego wysnute.

Przypomnijmy sobie, że Fouché kazał zaraz uwolnić z więzienia p. de Vitralles. W dniu 23 Czerwca z rana, to jest nazajutrz po abdykacji, wezwał on go do siebie w celu zawiązania nowej intrygi z partją rojalistowską. Vitrolles chciał zaraz biedz na dwór w Gandawie, aby się z nim porozumieć co do środków zapewnienia powrotu i udziału jaki dwór ten chciałby wziąć w wypadkach. Od zamiaru tego wstrzymał go Fouché, mówiąc, że właśnie w Paryżu i z pomocą p. Vitrolles chce on cować nad tem dziełem, a nie w Gandawie i nie z wygnanymi z kraju książętami, których zadaniem powinno być tylko przyjęcie gotowych już usług. Zadanie to Fouché przedstawiał jako jedno z najtrudniejszych, położenie zaś swoje, pomiędzy Carnotem, podług niego niedorzecznym fanatykiem, Qienette'm i Grenier'em pełnymi przesądów rewolucyjnych i Caulaincourt'em wyłącznie oddanym interesom swego dawnego pana, uważał za bardzo drażliwe. Zresztą Caulaincourt niewiele go niepokoił, mąż ten bowiem, uważając sprawę dynastji cesarskiej za straconą, łatwo dałby się przechylić na drugą stronę, byleby tylko ubezpieczono osobę, Napoleona. Fouché powtarzał panu de Vitrolles, że on pracuje wyłącznie dla sprawy Ludwika XVIII, że jedynie do tego zamierza celu, choćby nawet krzywo ku niemu podążał, że już pozbył się Napoleona I, a jeśli na swej drodze spotka Napoleona II lub ks. Orleańskiego, wyminie ich obu i nie zatrzyma się, byle tylko zbytnim pośpiechem nowych mu nie nastręczono trudności. Po takich wyjaśnieniach, de Vitrolles przyrzekł Fouché'mu zostać w Paryżu i nie jechać do Gandawy. Wszelako zezwoliwszy na pozostanie w Paryżu, Vitrolles żądał od prezesa kommissji wykonawczej zapewnienia mu bezpieczeństwa głowy, częstych z sobą schadzek i nakoniec pasportów dla ajentów, jakich zamierza wysłać do Gandawy. Głowa pana, odparł cynicznie ks. Otranto, *wisieć będzie na tym samym haku co i moja*; co do naszych widywań się, możesz ze mną mówić dwa, trzy i cztery razy na dzień, jeśli ci się spodoba; co się zaś tycze pasportów, możesz ich mieć sto, kiedy zechcesz. — Po tak zawartych wzajemnie układach, Fouché radził p. de Vitrolles rzadko się pokazywać, a nawet ukrywać się do czasu, w którym ostrożności te nie będą koniecznemi.

Urządziwszy stosunki swe z Ludwikiem XVIII przez pośrednictwo ajenta gorliwego rojalistę, Fouché nie przestawał znosić się z Carnot'em, Quinett'em i Grenier, odgrywając przed nimi zawsze rolę przeciwnika Bourbonów i emigracji, z p. Coulaincourt, zaś stronnika Napoleona II,

z zapewnieniem najszczerszych zamiarów obmyślenia dla Napoleona I przyszłości, godnej jego wielkości i sławy. W rozmowach z wielą reprezentantami przez których Fouchè oddziaływał na drugą izbę i starał się nią kierować, minister przedstawiał im zawsze rzeczywiste trudności co do Napoleona II, a mianowicie, niepodobieństwo wyrwania go z rąk obcych, brak poświęcenia się ze strony Marji Ludwiki w wyniesieniu jej syna, nadmieniając zarazem, że w każdym razie kraj nie straciłby nic, gdyby w zamian wybrano jednego z Bourbonów przywiązanego do sprawy rewolucji, na przykład, księcia Orleańskiego, którego światło, opinja i zachowanie się wszystkim były znane. Tego rodzaju rozmowy, wyjąwszy niektórych zapalonych bonapartystów, znachodziły ogólne poparcie, bo tak stronnicy rewolucji, jako i liberalni chętnie zgodziliby się na panowanie młodszej linji Bourbonów, przenosząc króla dojrzałego, światłego przyjaciela swobód, nad dziecko więźnia w ręku obcych z których je trudno wydostać. Lecz mówiąc w ten sposób, Fouché myślał tylko *wyminąć* Napoleona, jak to wyraził do p. de Vitrolles, a zdawał się przechylać do ks. Orleańskiego, aby i jego z kolei *wyminąć*, a tem samem dojść do Bourbonów, którzy w swoim czasie obeszli się z nim tak jak się obchodzili ze wszystkimi.

Wpośród takich okoliczności wzburzenie umysłów zwiększało się tak, iż spodziewane uspokojone ustąpieniem z tronu Napoleona, było tylko jednym krokiem więcej do ostatecznego przesilenia. Dopóki do tego wyłącznie dążono celu, nikt dalej wzrokiem nie sięgał; dziś kiedy cel ten został osiągnięty, zaczęto szukać nowego. Zwolennicy bonapartych i rewolucji, dręczeni niepokojem, zapytywali się, czy naród był w możności rokowania z nieprzyjacielem, by ofiarą Napoleona I otrzymać Napoleona II i czy w razie nieudania się układów, kraj był dość silnym do wystąpienia do walki; każdy zaś podzielał to przekonanie, że w zafaniu i dowództwie armji nikt Napoleona nie zastąpi. Kiedy tak stronnictwa te poddawały się udręczeniom rozpaczy, rojaliści przeciwnie, mocno się niecierpliwili. Widząc bowiem ogólny zwrot rzeczy na swoją stronę, nie chcieli dłużej na bezczynne skazywać się oczekiwanie, tem bardziej gdy zwiększający się ich zastęp powrotem wielu z uspokojonej Wandei, nowej dodawał im otuchy. Stary jeden zagorzały rojalista p. Dubouchage, około którego inni gromadzili się, oczekiwał tylko na hasło od głównych przewódzców swego stronnictwa do spełnienia zamachu na izbę reprezentantów. Jenerał Dessoles, dawny dowódzca gwardji narodowej, porozumiewał się z nią, usiłując podnieść ducha, którego trzy ubiegłe miesiące nie mogły przytłumić. Do nich przyłączyło się nadto trzech marszałków, wylanych niegdyś dla sprawy Burbonów, Macdonald, Saint-

Cyr, Oudinot. Wołano aby stanąwszy na czele rojalistów, przedsięwziąć krok stanowczy, nie chciano jednakże zbytecznym objawem dążeń rojalistowskich sprawy swej na szwank narażać, tem bardziéj, gdy p. de Vitrolles, z natchnienia Fouché'ego, ostrzegał, że to zawcześnie, że należy czekać przyjaźniejszej chwili. Tymczasem rojaliści otaczali pałac Elizejski, bacząc na to, co się w nim działo i z oburzeniem odwracając się od scen codziennie tam powtarzanych.

Alea Marigny okalająca pałac ciągle była natłoczona groźnym i wzburzonym ludem. Większość składali związkowi i dawni żołnierze którym Napoleon rozdanie broni odroczył do chwili ukazania się nieprzyjaciela pod murami Paryża, Fouché zaś bynajmniej uzbrajać ich nie myślał. Niektórzy godniejsi zaufania, postawieni pod rozkazami jenerała Darricau, jako tyraljerzy gwardji narodowej, użyci zostali na równi z wojskiem linjowem do zewnętrznej obrony Paryża. Liczba tych wszakże była nieznaczna; inni wraz z kilką tysiącami ludzi wszelkich warstw, tłumnie oblegali Elysée by tylko ujrzeć i okrzykami powitać Napoleona. Przekonaniem ich była tu zdrada ze strony władzy lub izb, a celem oddanie Francji na pastwę nieprzyjaciół; gdyby więc Napoleon stanął jeszcze na ich czele, wtedy możnaby łatwo odeprzeć wojska sprzymierzonych i rozpędzić rojalistów. Takie coraz groźniejsze zdania wyrażano w licznych grupach, a ile razy Napoleon ukazał się w ogrodzie, tłumy wydawały okrzyki najwyższym tchnące zapałem. Napoleon bynajmniej zapału tego nie podniecał, nie mógł wszakże oprzeć się chęci ujrzenia niekiedy tego ludu i wojska, z którem wkrótce rozstać się miał na zawsze.

Lecz jakkolwiek w tłumach ludu i w objawach jego przywiązania Napoleon widział środki do obalenia rządu tymczasowego i izb, możność kilkudniowego objęcia dowództwa nad wojskiem i sprobowania ostatniej walki z Blücherem i Wellingtonem, sięgając atoli wzrokiem po za chwilowe powodzenia i widząc słabe bardzo szanse rzeczywistych korzyści, przemyśliwał tylko nad obraniem miejsca przyszłego pobytu, przekonany, że niedaleką jest chwila, w której czyto przed zdradą wewnętrzną, czy przed naciskiem z zewnątrz, zmuszony będzie uchodzić. Ci, którzy się go obawiali, przypisywali mu zamiary, jakich nie miał, głosząc jakoby rzeczywiście myślał o powrocie do władzy, co mocno niepokoiło Fouche'go. Szczególnie rojaliści wymawiali ministrowi, że zasypia na niebezpieczeństwo, z którego obudzi się wtedy, gdy związkowi powstaną z Napoleonem na czele. Podobne pogłoski rozsiewano po wszystkich ławach izby reprezentantów.

Zwykła dwójznaczność w postępowaniu Fouché'go czyniła go po-

dejrzliwym na postępowanie innych; powzięte więc podejrzenie co do zamiarów Napoleona skwapliwie zakommunikował swoim spółtowarzyszom w kommissji rządzącej, a zaniepokoiwszy ich domysłami do jakiego kroku zrozpaczony Napoleon mógł się posunąć, postanowił, za ich zgodą lub sam, nakłonić go do opuszczenia pałacu Elizejskiego. W tej mierze wypadało z nim pomówić, przyzwolenie wymódz, gdyż wszelka gwałtowność była tu zbyt trudną. Obawiając się złego przyjęcia i aby uniknąć widzenia człowieka przez siebie zdradzonego, poruczył missję tę marszałkowi Davout, znanemu z swej szorstkości, a ktorego zajścia w ostatnich czasach ministerstwa oziębiły nieco stosunek z Napoleonem.

Marszałek więc udał się do pałacu, zastał na dziedzińcu mnóstwo oficerów przybyłych z armji bez pozwolenia, krzyczących na zdradę i domagających się, aby Napoleon stanął na ich czele dla rozpędzenia zdrajców. Z wieloma z tych oficerów Davout żywe zwiódł spory i nareszcie, po uczynionych im wymówkach, wprowadzony został do Napoleona. Przedstawiwszy cel swego posłannictwa, Davout starał się przekonać, że własny, syna jego i kraju interes wymaga jego oddalenia się, bo tym tylko środkiem uciszą się wzniecane jego osobą niepokoje i pozyska się swobodę działań dla rządu w tak trudnych okolicznościach sprawami kierującego. Napoleon przyjął go chłodno nie tając, że posłannictwa tego od kogo innego nie od Davout'a spodziewał się, zapewniał, nie wchodząc w usprawiedliwienia, że nie miał żadnego z przypisywanych mu zamiarów, że nareszcie gotów jest opuścić Paryż, byle mu tylko zapewniono bezpieczne i bez przeszkód schronienie. Marszałek, jakkolwiek udało mu się spełnić swoje zadanie, wyszedł doznanem przyjęciem niezadowolony. Ten uczciwy, obdarzony czuciem, ale surowy żołnierz, któremu wszelkie odcienia delikatności usuwały się, nie zdawał sobie rachunku z wrażeń, jakie mógł wywrzeć na człowieka, który wczoraj jeszcze był jego panem. Wyszedł jednak z pałacu dotkliwie udręczony.

Napoleon postanowił przepędzić w Malmaison ostatnie kilka dni swego pobytu we Francji. Miłe to ustronie, początek, a dziś ostateczny kraniec jego zawodu, był dla niego boleśnem, a zarazem pełnem powabu miejscem pobytu, chętnie więc w tém zaciszu chciał jeszcze znaleźć ulgę w tłoczących go cierpieniach. Uprosił królowę Hortensję, aby mu towarzyszyła by otoczyć go ostatnią troskliwością. Napoleon długo rozważał nad obraniem miejsca, w któremby mógł spędzić resztę swego żywota. Coulaincourt doradzał mu Rossję, on jednakże przechylał się za Anglją.—Rossja, mówił, to samowładztwo; Anglja naród, a naród wolny. Sama prośba o udzielenie mi schronienia, będzie jej pochlebiać; zresztą, lud to szlachetny, wpośród niego więc będę mógł używać słodyczy, jakie

dla człowieka niegdyś całym światem rządzącego mogą nastręczyć poufne rozmowy z umysłami oświeconemi. — Gdy jednakże p. Coulaincourt nadmienił, że namiętności narodu brytańskiego jeszcze zbyt żywe, przytłumić w nim mogą uczucie wspaniałomyślności, Napoleon w uznaniu słuszności tej uwagi postanowił zrzec się Anglii, wybierając natomiast Amerykę.—Kiedy więc świat odmawia mi towarzystwa ludzi, dodał, pójdę szukać schronienia na łonie natury, w pustyniach, które zgodniej ostatnim moim myślom odpowiedzą.— Po tej rozmowie objawił życzenie, aby mu wyznaczono dwie zbrojne fregaty, stojące na kotwicy w Rochefort, na podróż do Ameryki. Żądał książek, koni i nakoniec zwrócił myśl na przybory do podróży.

W dniu 22 Czerwca, Napoleon zrzekł się tronu; w dniu 25 zaś, w południe opuścił pałac Elizejski i aby mniej być dostrzeżonym od zebranej rzeszy, wsiadł w ogrodzie do powozu. Wszelako lud poznał go, a nie wiedząc co z nim robią, żegnał okrzykami: *Niech żyje cesarz!* Napoleon odpowiadając smutnie na te oznaki przywiązania, wyjeżdżał z Paryża, którego już nigdy nie miał oglądać i oddalał się z sercem uciśnionem, jak gdyby towarzyszył swemu własnemu pogrzebowi. Stanąwszy w Malmaison, spotkał wybiegającą naprzeciw niemu królowę Hortensję, a korzystając z pięknej pogody, przechadzał się aż do znużenia po tém ustroniu, z którem wiązały się najpiękniejsze wspomnienia jego przeszłości. Ciągle rozmawiał o Józefinie, powtarzając Hortensji życzenie, że radby posiadać wizerunek, wiernie tę nieodżałowaną małżonkę przedstawiający.

Odjazd Napoleona zadowolnił p. Fouché, który wypędziwszy tego co tak długo losom Francji przewodniczył, teraz sam został prawie cesarzem; od chwili bowiem wyjazdu Napoleona, oddalającego się z zamiarem opuszczenia nietylko Paryża, ale nawet Francji, wszystko musiało okazywać powolność żądaniom Fouché'go. Mimo to, dwóch rzeczy lękał się jeszcze minister i nieomieszkał tego objawić swoim kolegom: oto, lękał się, aby Napoleon w chwilowém odosobnieniu w Malmaison nie był narażony na jaki zamach ze strony rojalistów pragnących pozbyć się go na zawsze, lub aby Bonapartyści nie skłonili go do postawienia się na czele nadchodzącej armji i pokuszenia się raz jeszcze o wygranę. Fouché nie pragnął rzucić go na łup morderców, ani też oddawać w ręce zrozpaczonych stronników sprawy cesarskiej. Postanowił powierzyć Napoleona straży jenerała Beker, żołnierza znanego z męztwa i prawości charakteru i niepomnego na niełaskę w r. 1809. Poruczona takiemu człowiekowi misja, nie mogła się wydawać ludziom uczciwym rolą dozorcy więziennego. Z rana w d. 26 Czerwca Davout przyzwawszy jenerała Beker, oznajmił

mu cel jego posłannictwa, zalecając baczność na dwie okoliczności: osłanianie Napoleona od mogącego zagrażać mu niebezpieczeństwa i niedopuszczenia agitatorów do wznlecenia jakich zamieszek pod urokiem świetnego imienia. W końcu rozkazał bezzwłocznie wyruszyć do Malmaison. Jenerał Beker, lubo niechętnie, przyjął wskazaną mu rolę, z jednej strony zaszczytną, bo dozwalającą czuwać nad osobą wielkiego upadłego męża, z drugiej patrjotyczną, bo niedopuszczającą uowych w kraju zawichrzeń. Przyrzeczono cesarzowi dwie fregaty do jego rozporządzenia, dla zapewnienia atoli swobodnej żeglugi, zażądano od Weliingtona listu bezpieczeństwa , tak, iż skoro Napoleon stanie w Rochefort, tamże rzeczony list nadesłany mu będzie. To upomnienie się i list bezpieczeństwa dało powód do oskarżania potém Fouché'go o chęć wydania Napoleona w ręce Anglików. Podejrzenie to oparte na znanej dwujznaczności w postępkach Fouché'ego, było wszelako zupełnie mylném. Wysłany do obozu Wellingtona jenerał Tromelin, niewzruszony rojalista, miał poleconem pozyskanie pasportu zapewniającego bezpieczny przejazd do Ameryki; przy tej zaś sposobności jenerał miał wybadać zamiar wodza angielskiego co do przyszłego zarządu Francji. W tym razie Fouché działał w błędném przekonaniu, że Anglicy szczęśliwi z możności pozbycia się Napoleona, pospieszą z wydaniem listu bezpieczeństwa. Zobaczymy wkrótce jak błędném było to przekonanie, bo tak zamiar ubezpieczenia Napoleona od mogących go spotkać więzów, jako i osłonienie siebie od zarzutu nikczemnej zdrady, podwójny napotkał zawód, raz że odkrywał nieprzyjacielowi chwilę odjazdu Napoleona, powtóre rzucał nań pozór rozmyślnego wydania w moc nieprzyjaciół tego właśnie, którego widocznie ocalić pragnął. Admirał Decrès, mało przykładając wiary do czynionych przez Fouché'go ostrożności, oświadczał, że Napoleon byłby bezpieczniejszym na jakim nieznanym statku kupieckim, niż na statku wojennym, uwożącym z pewną okazałością znakomitego wygnańca. W tym celu porozumiał się z okrętami kupieckiemi amerykańskiemi stojącemi na kotwicy w Havre, z których dwa podjęły się przewieźć Napoleona tajemnie i bezpiecznie do Nowego Jorku. O tym projekcie zawiadomił jednocześnie Napoleona i rząd tymczasowy.

Przybycie jenerała Beker do Malmaison przykre sprawiło zdziwienie. W pierwszej chwili patrzano nań jak na przysłanego od p. Fouché dozorcę więźnia. Kilku wiernych sług wojskowych i cywilnych, powiększej części ludzi młodych i zdolnych do najśmielszych przedsięwzięć, towarzyszyło Napoleonowi do tej rezydencji. Na jedno jego skinienie gotowi oni byli zaprzeczyć władzy jenerała Beker; lecz Napoleon uspokoił ich, pragnąc najprzód sam widzieć i wysłuchać jenerała. Przyjął

go grzecznie lecz oziębie; widząc atoli wzruszenie, poznał w nim męża prawego, rozmawiał po przyjacielsku, bliższe i szczere przyjmując wyjaśnienia. Napoleon zgadzał się na wyjazd, pragnął go nawet, tylko ten list bezpieczeństwa wzniecał w nim nieufność i obawę, aby przytrzymany w przystani jako jeniec, nie został w końcu wydany Anglikom zdradą księcia Otranto. Przyjąłby on i propozycję Amerykanów z Havru; lecz uciekać na statku kupieckim wydawało się krokiem nieodpowiednim jego wysokiemu stanowisku. Polecił jenerałowi Beker, aby wracał do Paryża i oświadczył rządowi narodowemu o gotowości do drogi, jak skoro otrzyma dwie fregaty, że zresztą jeżeli miał czekać na rozkaz wyjazdu, wolał nań czekać w Malmaison niż w Rochefort. Beker zwrócił się niebawem do Paryża spełnić dane mu polecenie. Lecz Fouché niezachwianie przy swojém obstawał mówiąc, że mało go obchodzą wieści oskarżające go o chęć oddania Napoleona Anglikom, on go jednak nie wyprawi bez glejtu, i że takowy co chwila może nadejść. Trzeba było więc czekać odpowiedzi, a ztąd i Napoleon musiał pozostać w Malmaison.

Po wyjeździe Napoleona z Paryża rojaliści odetchnęli, a mianowicie p. Fouché, zawsze z trwogą oczekujący na zamach przedmieść i wojska, gdyż w oczach jego Napoleon, żegnający izby i rząd tymczasowy, był zawsze spodziewanym wodzem rozpaczliwej walki ze sprzymierzonymi. Po wyjeździe Napoleona Fouché nie był już tak skwapliwym w przyspieszeniu ostatecznego rozwiązania, bo jakkolwiek Burbonów uważał za nieuniknionych, wolałby jednakże, aby same wypadki czasu innych jeszcze nastręczyły kandydatów. Był to więc jeden powód do nieprzyspieszania, ale był i drugi ważniejszy: oto zrzec się Bourbonów, nakłonić ku temu kommissję rządzącą i izby, konieczność tego uczynić dotykalną i tak wreszcie skorzystać z chwili, aby cała sprawa najkorzystniejszy dlań wzięła obrót. Trzech członków kommissji: Carnot, Quinette i Grenier wierzyli w prostocie ducha, że bądź oporem zbrojnym, bądź układami będzie można powtórnie uniknąć Burbonów. Sam Caulaincourt w całém świetle widząc tę konieczność, zostawiał Fouché'mu swobodę działań i pozyskanie łagodniejszych dla Napoleona warunków. Mając trzy głosy na pięć przeciw sobie, obok wstrętu izb do Burbonów, Fouché zmuszony był rzecz podać w odwłokę. Ale odwłoka nie przypadała do smaku rojalistom, więcej niż kiedy niecierpliwiącym się, a których do 3 lub 4 tysięcy liczono. Oni nalegali na sędziwego p. Dubouchage, aby działał, ten znów naglił p. de Vitrolles i marszałków Oudinot, Macdonald, Saint-Cyr do wydania stanowczego hasła. Vitrolles zaklinał izby niedopuszczali ak nierozważnego kroku, mogącego poburzyć związkowych, oświecić tizby o celu przygotowań, wywołać reakcję na korzyść Napoleona, a tem

samem zbytnim pospiechem zwichnąć całą sprawę. Tak z jednej strony zalecając cierpliwość, Vitrolles przeciwnie oddziaływał na Fouché'go, nalegając aby ogłosił Ludwika XVIII, by tym sposobem w téj powtórnej restauracji uprzedzić zagranicę, wyłączną ztąd zyskać zasługę i oszczędzić Burbonom smutnego pozoru przywrócenia im tronu ręką nieprzyjaciół. Trafny ten pogląd, o ile dawał motywa do działań, sposobu atoli nie wskazywał. Na wnioski te Fouché odpowiadał, że tylko opierając się na niepodobieństwie stawiania armjom sprzymierzonym zbrojnego oporu, można było tak ważne uwagi przedstawić kommissji, do czego jeden tylko minister wojny, marszałek Davout, ze stanowiska swego mógł być upoważnionym. Sama powaga urzędu, nabyta sława wojenna, stałość, świeżo w Hamburgu udowodniona, jego wygnanie pod Burbonami, czyniły Davout'a jedyną w tych okolicznościach osobą; on sam ogłaszając niepodobieństwo dalszej obrony wszystko mógł zdecydować. Byłto mąż stały, szczery, zdolny do wypowiedzenia prawdy, jeśli tylko rzeczywistość jej uznawał. Zresztą, sama odpowiedzialność, jakąby mógł ściągnąć na siebie zapewnianiem o możności obrony a nie podołania jej w następstwie, dawała jeden powód więcej do wypowiedzenia prawdy. Pozyskanie więc marszałka było rzeczą dla Fouché'go niezbędną; ale mąż ten tak dalekim był od wszelkich intryg, że sam przystęp do niego nie był już łatwym. Tymczasem los zawsze usłużny w rzeczach koniecznych, zaraz nazajutrz po odjeździe Napoleona, upragnioną sposobność nastręczył. Policja doniosła, że marszałek Oudinot ma zamiar stanąć na czele ruchu rojalistowskiego. Wspomniony marszałek od d. 20 Marca nie należał do służby, jakkolwiek widocznie nie zrywał stosunków z Napoleonem. Widział on się z nim i widział się także z ministrem wojny. Ten ostatni przyzwawszy go do siebie, czynił mu niejakie wyrzuty, a chcąc się lepiej o jego usposobieniu przeświadczyć, ofiarował mu dowództwo. Oudinot wymawiał się, a nalegany przez ministra oświadczył, iż zdaniem jego, sprawę tę uważać trzeba za straconą, że przywrócenie Bonapartych jest niemożliwe, gdyż Burboni muszą wrócić i tego nawet pragnąć należy, że jeżeli Francja sama ich nie uzna, będzie do tego zmuszoną siłą ręki nieprzyjacielskiej i to zapewnie na twardych dla niej warunkach, że nakoniec stanowcze i odważne wystąpienie byłoby rzeczywistym dowodem rozumu i patrjotyzmu. Zwracając potem mowę swą na kwestję militarną pytał Davout'a, czy wierzy w możność postawienia oporu Europie, kiedy Napoleon oprzeć się jej nie mógł. Dodał jeszcze, że Ludwik XVIII chciał zawsze względem niego być sprawiedliwym, ale mu w tem przeszkadzano; monarcha ten bowiem umiał cenić wysokie przy-

mioty księcia d'Auerstädt i nie omieszka odwdzięczyć usług przez niego Francji oddanych.

Marszałek Davout oświadczył, że w narzucanem mu brzemieniu dowództwa w zastępstwie Napoleona nie upatruje żadnych osobistych korzyści, ale raczej widzi całą ciążącą na nim odpowiedzialność, wnosi więc ztąd, że dalszy opór Europie w podobnych okolicznościach jest niepodobnym. Po takim wyznaniu trudno było dłużej wahać się w przyjęciu Burbonów, tem bardziej, gdy Europa o innym władzcy dla Francji nie myślała. Marszałek Davout, jako mąż wielkiego rozumu, pojmując tę konieczność, dodał, że tłumiąc w sobie własny wstręt, gotów jest oświadczyć się za Burbonami, byle tylko postępowanie ich było właściwe. Na co gdy Oudinot zapytał marszałka, co rozumie przez postępowanie właściwe, Davout w następujących zamknął je warunkach: wjazd króla do Paryża bez orszaku wojsk nieprzyjacielskich, które pozostaną o 30 mil franc. od stolicy, przyjęcie chorągwi trójkolorowej, puszczenie w niepamięć wszelkich czynów i opinji tak względem wojskowych jako i cywilnych od d. 20 Marca, utrzymanie obu izb, pozostawienie armji w jej obecnym składzie i t. p. — Oudinot wyszedł, by treść rozmowy tej zakomunikować osobom wyższą posiadającym władzę. Najprzód udał się do p. de Vitrolles, który warunki te uznał za bardzo słuszne i w tym celu sam z Davout'em chciał się porozumieć, co tegoż wieczora nastąpiło. Vitrolles oznajmił, że jakkolwiek nie ma upoważnienia do przedłożenia tych warunków, sądzi przecież, że król na nie zgodzi się, zwłaszcza jeżeli ogłoszenie go nastąpi przed wejściem nieprzyjaciół do Paryża. Bezzwłoczne przyjęcie Bourbonów i uniknienie tem samem powtórnego wejścia sprzymierzonych do Paryża, było w przekonaniu Davout'a rzeczą najkorzystniejszą; postanowił więc zaraz nazajutrz przedstawić formalny wniosek kommissji rządzącej. Marszałek był mężem w całém znaczeniu tego wyrazu, nie pojmującym subtelności polityki; jak skoro więc uznał trafność postanowienia, dłużej z wykonaniem go nie zwlekał.

Nazajutrz, to jest d. 27 Czerwca, kommissja rządząca zebrawszy się w Tuilerjach, wraz z prezesami obu izb, członkami ich biur i księciem Otranto, wiedząc już co zaszło pomiędzy p. de Vitrolles a marszałkiem, zaczęła naradzać się nad obecnem, szczególniej pod względem wojennem, położeniem. Marszałek Davout udzielił wiadomości niezbyt zadowalniających. Już od dwóch dni Prusacy i Anglicy zdążali krokiem przyspieszonym tak, iż należało obawiać się wcześniejszego ich ukazania się pod Paryżem, niż wojsk, które dopiero co zaczęły zbierać się w Laon.

Pomijając wszelkie uboczne, z charakterem jego niezgodne omówienia, marszałek przystąpił od razu do oświadczenia, że zdaniem jego wszelki opór był niepodobnym, bo przypuszczając nawet możność odniesienia korzyści nad Prusakami i Anglikami ciągnącymi od północy, pozostaną jeszcze Rossjanie, Austrjacy, Bawarczycy zmierzający od wschodu, pod naciskiem których uledz wypadnie. W takiem więc położeniu należy wejść w istotę rzeczy, uznać ją i podług tego postępować. Jeżeli więc powrót Bourbonów jest nieuniknionym, lepiej zatem przyjąć ich, ogłosić dobrowoluie i wymódz, aby weszli do Paryża sami na warunkach wskazanych marszałkowi Oudinot. Nie wikłąc rzeczy w tysiączne kręte wybiegi i wyrachowania, jak to zwykł czynić Fouché, Davout opowiedział otwarcie co zaszło pomiędzy nim a Oudinot'em, skreślił żądane warunki, przedstawił w tej mierze zyskane nadzieje i oświadczył w końcu, że zdaniem jego wypadało porozumieć się jawnie z izbami, poczynić stanowcze wnioski na tej głównie osnute podstawie, że lepiej samym na dobrych warunkach przyjąć Bourbonów, niż być do tego zmuszonym siłą ręki nieprzyjacielskiej.

Mowa ta nie napotkała żadnej oppozycji, ani ze strony p. Grenier'a i Quinette'a, ani ze strony Carnot'a z całém zaufaniem polegających na prawości Davout'a, a którzy pomimo swych uprzedzeń uznawali, ile korzystniejszém było przyjęcie Bourbonów bez spółudziału zagranicy. Jeden tylko Coulaincourt milczał, jak to zwykle czynił w podobnie ważnych okolicznościach. Gdyby Fouché obdarzony był równą jak marszałek otwartością, byłby przechyleniem się za jego zdaniem, tak dla siebie, jako i dla prędszego rozwiązania sprawy, ważne osiągnął korzyści. Lecz czyto niechęć za uprzedzenie go w tym wniosku, czy obawa zbyt pośpiesznego wystąpienia Davout'a, dość że jakkolwiek chłodno potwierdził zdanie Davout'a, chcąc jednakże sam o wszystkiem stanowić i prawie nie zasięgać rad swoich spół-towarzyszy, oświadczył dwom prezesom izb, pp. Cambacères i Lanjuinais, że w tak ważnym a nieochybnym przedmiocie, należało stosownie izby przygotować. Już zdawało się, że nikt z przeciwnym nie wystąpi wnioskiem, kiedy p. Bignon, tymczasowy minister spraw zewnętrznych, wszedł nagle z ważnym dowodem. Byłto pierwszy raport posłanników do obozu sprzymierzonych, treści następującej:

Lafayette, Pontécoulant, Sébastiani, d'Argenson, Laforest i Benjamin Constant udali się najprzód do Laon w mniemaniu spotkania tam pruskiej i angielskiej armji. Obierając ten kierunek, delegowani mieli na celu pozyskać zawieszenie broni od wojsk najbliżej ku stolicy posuniętych, by następnie co do istoty przedmiotu, układać się z samymi monar-

chami. Powziąwszy w miarę zbliżania się dokładniejszą wiadomość o kierunku pochodu nieprzyjaciela, zwrócili się do Saint-Quentin, gdzie napotkanym przednim strażom pruskim objawili chęć widzenia się z wodzami nieprzyjacielskimi. Blücher, który wyprzedził armję angielską o dwa marsze, odniósł się zaraz do księcia Wellingtona, ten zaś uważając abdykację Napoleona za pozorną dla zyskania na czasie, oświadczył, że nie uważa za stosowne zezwalać na zawieszenie broni. Dość było na tem Blücher'owi, który zresztą nie potrzebował bodźca dla swej zawziętości. Jakoż wódz pruski oświadczył wręcz, że tylko w takim razie zgodzi się na zawieszenie, jeżeli Francja odda mu zaraz wszystkie pograniczne warownie, wraz z osobą Napoleona. Naturalnie, przyjęcie warunków takich było niepodobném. Wtedy oficerowie traktujący w imieniu swoich wodzów, oświadczyli, że tak Prusacy jak i Anglicy nie przyszli walczyć za sprawę Bourbonów, bo ci ich mało obchodzą, zapewniając zarazem, że jak skoro Napoleon wraz z swą rodziną będzie usuniętym, mocarstwa sprzymierzone gotowe są wtedy podpisać jak najkorzystniejsze dla Francji warunki. Po takiej rozmowie delegowani otrzymali upoważnienie udania się do Alzacji, gdzie właśnie mieli spotkać monarchów sprzymierzonych. Zanim wszakże w tę nową udali się podróż, uznali za stosowne przedstawić kommissji rządzącej pierwsze z swych czynności sprawozdanie, treści następującej: że sprzymierzonym nie idzie głównie o Bourbonów, ale raczej o stanowcze wyłączenie Napoleona i jego rodziny od tronu, że zatem usunięcie tej kwestji uczyni ich powolniejszymi, dozwolenie zaś ujścia Napoleonowi, utrudni widocznie możność zawarcia pokoju. Kończąc swój raport legacja radziła wysłać nowych negocjatorów do Blüchera i Wellingtona z mocą poczynienia odpowiednich ustępstw dla pozyskania zawieszenia kroków wojennych.

Widocznie delegowani dali się otumanić zbyt lekkim słowom oficerów pruskich, którzyby zapewnie w podobny sposób nie przemawiali o Bourbonach, gdyby im przyszło jaśniej co do przyszłego rządu we Francji wytłomaczyć się. Powyższy wszakże raport sprawił niemiłe zamieszanie. Trzej członkowie kommissji ustępując przed koniecznością uznania Bourbonów, oświadczyli, że sądząc z raportu nie wiedzą powodów do takiego pośpiechu w zrobieniu ofiary, która zresztą nie zdaje się być tak konieczną. Bystrzejszego umysłu Fouché uznawał błąd delegowanych w tem, że zbyt skwapliwie uwierzyli słowom oficerów pruskich, że zatem nie należało pomijać korzyści śmiałym wnioskiem Davout'a przedstawionych. Lecz czyto skutkiem błędu, czy obawy narażenia się Fouché zgodził się, że nie należy spieszyć się z ostateczną odpowiedzią. Odwoławszy dane prezesom upoważnienie przygotowania izb co do po-

wrotu Bourbonów i działając zawsze samowolnie, wybrał z grona obecnych nową delegację do traktowania z nieprzyjacielskimi wodzami, już prawie pod bramami Paryża stojącymi. Do spełnienia tej missji wybrano teraz pp. Flaugergues, Andréossy, Boissy d'Anglas, de Valence i de la Besnardière, członków biur obu izb. To co słyszeli było dla nich instrukcją, na tem głównie osnutą, aby za jaką bądź cenę nie wpuścić nieprzyjaciół do stolicy. Nadto, wręczył im list do księcia Wellingtona uwierzytelniający legację przed armją brytańską. W liście tym pozbawionym godności i pełnym pochlebstw dla zwycięzców, Fouché po zwykłym naówczas oklepanym wstępie, wyraził, że gdy sprawca wojny jest już usunięty, wojska nieprzyjacielskie zatrzymują się zapewnie i pozostawią Francji wolny wybór rządu, że ks. Wellington, znakomity przedstawiciel wolnego narodu, nie zechce aby Francja w oświacie i cywilizacji równa Anglji, mniejszej niż ona używać miała wolności. Listem tym Fouché schylał prawie Francję do stóp wodza angielskiego, a lubo tak w rzeczy samej było, nie należało przecież stwierdzać to na piśmie. Ale w tym człowieku próżność tak wielką odgrywała rolę, iż wolał choć niższe w wypadkach zajmować stanowisko, niż nie zajmować żadnego. Jakkolwiek Coulaincourt w ogóle mało się sprzeciwiał, tym razem wszakże oparł się wyborowi p. de la Besnardière, którego znał i szacował, ale który zaledwie przed kilku dniami powróciwszy z kongresu wiedeńskiego był zupełnym stronnikiem Talleyranda i uchodził za wiernego rojalistę.— Niech sobie będzie rojalistą, odparł Fouché, ale on wprawny w tym zawodzie, a trzeba przecież kogoś coby zadanie to pojmował. — Gdy nikt na to nie odpowiedział, wybór milczeniem obecnych stwierdzony, a tem samem przyjęty został.

Posiedzenie rozeszło się bez ostatecznego zgodzenia się na wniosek Davout'a, rzecz więc całą pozostawiono w niepewności, którą dopiero nieprzyjaciel mógł usunąć. Wychodząc z tej narady Fouché obmyślił krok dość stanowczy. Działając w dobrej wierze, żądał on listu bezpieczeństwa dla zapewnienia Napoleonowi swobodnego przejazdu do Stanów Zjednoczonych, a nawet na żądanie jenerała Beker, wymagał, aby glejt ten przysłany był przed wypłynięciem fregaty, co odejmowało Napoleonowi wszelki powód do zwlekania swego wyjazdu. Lecz po raporcie kommissarzy i z obawy utrudnienia układów zmienił nagle swój zamiar, polecając ministrowi marynarki trzymać fregatę w pogotowiu, a nawet przyjąć Napoleona na jej pokład, nie podnosząc kotwicy aż po nadejściu glejtu. Teraz więc po raz pierwszy poświęcał bezpieczeństwo Napoleona dla interesu układów. Bezwątpienia ważne to było zadanie, ale honor Francji znaczył więcej, zatrzymywanie więc Napoleona

w Rochefort, a tem samem wydawanie go niejako w ręce nieprzyjaciół, było uwłaczaniem honoru Francji (*).

Nie przyjąwszy śmiałego rozwiązania kwestji podług wniosku marszałka Davout, Fouché przez kilka dni, wraz z całym ówczesnym rządem, dał się powodować wypadkom. Nieszczęśliwa izba reprezentantów, czując swoją nieudalność, i przewidując że pomiędzy oporem z Napoleonem na czele, a poddaniem się Bourbonom na zaszczytnych warunkach nie ma pośredniej drogi, przystąpiła dla rozproszenia obaw do roztrząsania planu konstytucji. Niektórzy wszakże ludzie rozsądni mówili: co za cel błąkać się po tym labiryncie nowych dyskussji? Nie mamyż ustawy, w której dość zmienić kilka artykułów, i która określając dostatecznie formę rządu i wybór panującego, zasłoni nas od czczych teorji i knowań stronniczych? Czyż wreszcie ustawa ta wskazująca nam monarchę nie daje rękojmi przechylenia na swą stronę i ogromadzenia wojska?—Było to po większej części ogólne przekonanie. Mimo to raz otwarte szranki dla czczych teorji nie łatwo zamknąć się dały; jedni więc proponowali ustawę z r. 1791, inni znów coś zbliżonego do rzeczypospolitej. Zresztą, dziecinne te rozprawy w tak groźném położeniu nie rozrywały umysłu reprezentantów i jeżeli chwilowo nakłaniali ucho na przedmiot godniejszy uwagi, wychodzili potem do przyległych sal dla podsłuchania z zewnątrz nadchodzących wieści. Ponieważ biuro obu izb przytomne było w czasie ostatniego posiedzenia kommissji rządzącej, niepodobna więc było utrzymać w tajemnicy rozpraw tam wprowadzonych. Wiedziano, że przedmiotem narad było przywrócenie Bourbonów, o podniesienie przeto tego wniosku obwiniano Fouché'go. Tak więc, co jest zwykłém zgromadzeniu podzielonemu na stronnictwa, w gorliwości o sprawę Bonapartych objawiały się pewne stopniowania. Ogół gotów był przyjąć Napoleona II bez Napoleona I, mniejszość zaś niezachwiana w swej wierności, uważała za zdradę odstąpienie od Napoleona I, zdradę tę przypisując wyłącznie Fouché'mu. Felix Desportes należąc do tej mniejszo-

(*) Niektórzy, opierając się na pozorach, oskarżają Fouché'go o zamiar wydania Napoleona w ręce nieprzyjaciół; rzeczą jest atoli niewątpliwą, że książę Otranto nie miał tego na myśli, że później naraził się nawet na gniew Bourbonów i monarchów sprzymierzonych za dozwolone wypłynięcie fregaty z Rochefort. Prawdą jest wszakże, że lękając się utrudnienia układów, powtórzył rozkaz oczekiwania na list bezpieczeństwa, co mogło wystawić Napoleona na złe następstwa, tem więcej gdy nadzieja pozyskania tego listu była urojeniem. Ta więc okoliczność źle tłómaczona dała powód do niesłusznego zarzutu, który my, powodowani bezstronnością, stanowczo zbijamy. Obaczymy w dalszym ciągu, że p. Fouché sam cofnął zakaz oczekiwania na glejt i że uczynił to działając w dobrej wierze i bez żadnej podstępnej myśli.

ści, nazajutrz, to jest w dniu 28 Czerwca, udał się do kommissji wraz z p. Durbach, lubo ten ostatni pewniejszym był przyjęcia Bourbonów wspieranych siłą obcych niż utrzymania Bonapartych. Oba interpellowali żywo księcia Otranto, czyniąc gorzkie wyrzuty, że pozyskane zaufanie izb zdradzał podając rękę Bourbonom. Zakłopotany chwilowo Fouché, odparł: Nie ja zdradziłem ogólną sprawę, ale raczej przegrana pod Waterloo. Wojska angielskie i pruskie posuwają się szybkim krokiem, a my nie mamy sposobu powstrzymania ich. Oneto właśnie za żadną cenę nie chcą zezwolić ani na Napoleona, ani na któregobądź członka jego rodziny. Jakże w tym razie mam postąpić? Jeżeli chcecie wiedzieć o czem i w jaki sposób układam się z ich wodzami, oto mój list do księcia Wellingtona, czytajcie.. .— I rzeczywiście podał go do przeczytania. Lecz panowie ci, sądząc w prostocie ducha, że cała negocjacja ograniczała się na tem pismie, poprzestając na niem, żądali upoważnienia do zakomunikowania jego treści zgromadzeniu. Jakoż wszedłszy bezzwłocznie do izby reprezentantów, odczytali list p. Fouché, którego osnowy nikt nie ganił ani pochwalał, a który jednak uciszył wzburzone umysły, łatwe do podniecenia i uspokojenia w chwilach przesilenia, i usunął na czas jakiś dotychczasowe przekonanie o zdradzie.

Gdy się to dzieje, reprezentanci do wojska francuzkiego na drogę ku Laon wysłani, spełniwszy swoje posłannictwo, przyszli złożyć raport. Jenerał Mouton-Duvernet, któremu to zlecono, przedstawiwszy obraz nieładu w jakim armja zostaje, doniósł, że rozproszone wojska zbierają się w tyle korpusu marszałka Grouchy, że nadzieja walki za Napoleona II-go nowym zagrzewa je zapałem; że wreszcie żołnierz gotów jest spełnić swoją powinność, byle tylko, oprócz zasiłków materjalnych, na których mu bardzo zbywa, otrzymał jakąś podnietę od narodu; słowem, byle nie zapomniano wesprzeć jego fizyczne i moralne siły. Po tem sprawozdaniu podniosły się zewsząd głosy, że po Napoleonie I zostaje zawsze Francja, tysiąckroć droższa od jednego, choćby największego jej męża; wypada więc koniecznie wydać do wojska odezwę, podziękować za jego trudy, zachęcić do wytrwania w pracy dla kraju, który powinien być głównym celem uczuć, i do walki za niepodległość narodu pod murami stolicy, w której zasiadają reprezentanci gotowi razem ponieść życie za najświętszą sprawę. Podług tej treści podanej przez p. Jay skreślono adres, który następnie poddany pod głosowanie i przyjęty, poruczony został pięciu reprezentantom do ogłoszenia go wojsku. Zgromadzenie więc czyniło co mogło, lubo to wszystko było niedostatecznem. Dobre jego chęci nie mogły zastąpić imienia, a nadewszystko kierownictwa przez podstawienie

w miejsce Napoleona II, Napoleona I, to jest zastąpienie dzieckiem męża wielkością opromienionego.

Wysłani z odezwą tą członkowie, krótką mieli do przebycia drogę, albowiem w dniu 28 i 29 Czerwca wojska francuzkie ukazywały się już nieopodal od stolicy, gdyż Prusacy i Anglicy ścigając je natarczywie, chwilowo nawet grozili zupełnem od Paryża odcięciem. Z początku Wellington i Blücher wahali się w swych ruchach, uważając za konieczne zająć kilka stanowisk przed przejściem granicy francuzkiej, a to dla zapewnienia sobie pochodu i zyskania czasu dla kolumny wschodniej wejścia na linję bojową. Tymczasem wiadomość o zrzeczeniu się tronu przez Napoleona i wynikły ztąd zamęt, wszelkie wątpliwości usunął. Obawiając się, aby abdykacja nie była udaną, przewidywali łatwo, jaki zamęt panować musi w rządzie i to ich skłoniło pójść wprost na Paryż. Postanowiono przeto iść prawym brzegiem rz. Oizy, by o ile można wyprzedzić wojska francuzkie lewą stroną tej rzeki postępujące, i zanim one nadciągną, od razu uderzyć na Paryż. Blücher stanowiący czoło armji, miał iść naprzód z biegiem rzeki Oise i poznosić mosty, gdy tymczasem wojsko angielskie, przyśpieszając chwilę złączenia się z pruskiem, miało je wspierać według możności. Książę Wellington, swoim potrójnym charakterem anglika, wodza zwycięzcy i znakomitego polityka, używając przeważnego wpływu nad dworem w Gandawie, zawiadomił go, że czas już opuścić Belgję i zwrócić się do Cambrai, którego bramy jednem uderzeniem otworzy. Zatrzymywany atoli w pochodzie swoim taborem wojennym, a mianowicie trudnemi do przewozu pontonami, Wellington pozostał znacznie w tyle za Blücherem, który pędzony niecierpliwością, na nikogo się nie oglądał.

W dniu 25 Czerwca, kiedy Blücher wyruszał z Saint-Quentin, Wellington opuszczał wtedy Cateau i wysyłał oddział na zajęcie Cambrai i Péronne. W dniu 26 Prusacy w dalszym swym pochodzie dotarli do Chauny, Compiègne i Creil. Jedna ich dywizja w przechodzie przez Oise do Compiègne, usiłowała przeciąć drogę Francuzom pomiędzy Laon a Paryżem.

Armja francuzka po wyjściu z Laon i zwróceniu się na Soissons, stanęła pod rozkazami marszałka Grouchy, Soult bowiem zażądał oddalenia się do Paryża. Jenerał Vandamme zastąpił Grouchy'ego w dowództwie prawego skrzydła, tego właśnie które, lubo mimo woli, nie stawiło się na czas pod Waterloo, i szedł przez Namur, Rocroy i Rethel do Laon w jak najlepszym szyku. Grouchy zaledwie stanął w Laon, dowiedziawszy się, że linja po której miał cofać się do Paryża, zagrożoną była od Prusaków, zwrócił się wprost na Compiègne, dokąd go już wyprzedził

hr. d'Erlon ze szczątkami 1-go korpusu, i hr. Valmy z resztką kiryssjerów. Przybywszy do Compiègne, hr. d'Erlon ujrzał Prusaków przed sobą, o ile mógł pochód ich wstrzymał, następnie skierował się ku Senlis, uprzedzając swego naczelnege wodza o obecności Prusaków na lewym brzego Oizy, aby tem samem bezzwłocznie cofnął się i mógł dojść do Paryża bez szwanku. Grouchy działając w tym razie z energją, jaka o dziesięć dni przedtem mogła była ocalić całą armję francuzką, kazał Vandammowi iść na Ferté-Milon dla dojścia do Paryża idąc ponad Marną, sam zaś nagle zwrócił się na drogę do Dammartin. Nazajutrz, to jest w dniu 28 Czerwca, przednie jego kolumny wkraczały do Paryża wszystkiemi jego drogami wschodniemi, w dniu zaś 29 zajęły już stanowisko Vilette, zręcznie i odważnie uniknąwszy nieprzyjaciela. W tym czasie Blücher dotarł do Gonesse. Książę Wellington zabrawszy Cambrai wysłanym na ten cel oddziałem, otworzył to miasto Ludwikowi XVIII, sam zaś znajdował się pomiędzy Saint-Juste a Gournay, mając tylne straże w Roy, główną kwaterę w Orvillers, zatem o dwa marsze od Blüchera. Niecierpliwość jednego, a zbytnia opieszałość drugiego, obu w takiem od siebie postawiła oddaleniu, że położenie to, gdyby tylko Francuzi lepiej z niego umieli korzystać, mogło ich w bardzo wątpliwych postawić okolicznościach.

Już odgłos dział nieprzyjacielskich na równinach Saint - Denis, i to po raz drugi w ciągu piętnastu miesięcy, rozległ się pod bramami stolicy. Odgłos ten ożywił bardziej wszystkie w dniach poprzednich objawione ruchy. Wojsko znużone trzema marszami po 10 i 12 mil franc. na dzień, przybywało w nieładzie i z powierzchownością niedość zadowalniającą. Grouchy silnem nacieraniem nieprzyjaciela niepokojony, w ciągłej obawie przecięcia mu drogi od Paryża, nadsyłał zatrważające depesze. Wszystko to oddziaływając na Davout'a, dawało mu rozpaczliwe przekonanie o niemożności stawienia skutecznego oporu nieprzyjacielowi; upornie więc stojąc w swojém przekonaniu, nie omieszkał powtarzać go księciu Otranto. Dla odpowiedniejszego kierowania obroną stolicy, Davout przeniósł swą główną kwaterę do la Vilette, zkąd donosił Fouché'mu, że nie widzi innego sposobu obrony stolicy, jak pójść za objawioną przez niego w dniu wczorajszym radą, to jest, ogłosić Bourbonów i ceną tą powstrzymać wojska sprzymierzone, bo, jak powtarzał, lepiej jest czynem dowodzącym wysokiego rozumu przyjąć dobrowolnie Bourbonów, niż mieć ich narzuconych przemocą nieprzyjacielską.

Zdanie to marszałka, Fouché w zupełności podzielał; jeden tylko Vitrolles w ciągłych z nim zostający stosunkach, czynił niepewne tak dla ogólnej sprawy jako i dla osób obietnice nie przestając powtarzać, jak

ważne w tym razie Fouché mógłby krajowi oddać usługi. Znając ważność tych zapewnień chciał on tak dla siebie, jako i dla stronnictwa rewolucyjnego trwalszą pozyskać rękojmią. P. Tromelin wysłany do głównej kwatery angielskiej, powrócił z dość ogólową odpowiedzią, że ks. Wellington nie jest upoważniony do wydania listu bezpieczeństwa dla Napoleona, że należało koniecznie przyjąć Bourbonów, i zamiast nakładać warunki, zdać się na mądrość Ludwika XVIII-go, który bez wątpienia da to wszystko, czego naród rozsądnie zażąda. Jenerał Tromelin przywiózł nadto bardzo pochlebne zapewnienia od Wellingtona dla p. Fouché, z nadmienieniem, że książę radby ustnie z nim porozumieć się. Zatrwożony niebezpieczeństwem jakiem ciągle groził Davout, niepokojony nadto suchemi doniesieniami ajentów, Fouché wszystko sam podejmując, odpowiedział Davout'owi, że wypada przyśpieszać układy o zawieszenie broni bez przyjmowania ostatecznych zobowiązań względem Bourbonów, gdyż przyjęcie zbyt skwapliwe, mogłoby pociągnąć za sobą przyjęcie ich bezwarunkowe, skutkiem czego Paryż nie uniknąłby wejścia wojsk nieprzyjacielskich; nie przyjmując więc bezwarunkowo Bourbonów, należało dla pozyskania zawieszenia, koniecznie jakąś uczynić ofiarę. W pierwszem widzeniu się delegowanych z jenerałami pruskimi, nieprzyjaciel kładł za warunek wydanie fortec pogranicznych i osoby Napoleona; Fouché więc był zdania, że dla ocalenia Paryża, tego serca Francji i rządu, należało poświęcić pomienione warownie. Nie wszyscy opinją Fouché'go w tym względzie podzielali: oddanie bowiem Paryża pociągało za sobą przywrócenie Bourbonów, oddanie zaś fortec takich, jak Strasburg, Metz, Lille, byłoby oddaniem kluczy Francji w ręce nieprzyjaciela, których potem możeby nie zechciał zwrócić i samym Bourbonom. Wszelako Fouché zajęty bardziej kwestją rządu niż całością kraju, upoważnił marszałka do ustąpienia fortec pogranicznych, byle tylko pozyskać zawieszenie broni i wstrzymać Prusaków i Anglików przed bramami Paryża. To upoważnienie miało być przesłane do marszałka Grouchy, dowódzcy wojsk cofających się, a to dla doręczenia delegowanym gdziekolwiekby się znajdowali.

We wszystkich tak rozmaitych odpowiedziach nie było wzmianki o osobie Napoleona; Fouché więc proponował, wysłać do Napoleona depeszę w celu nakłonienia go do bezzwłocznego wyjazdu do Rochefort, z dozwoleniem wyruszenia pod żagle, nie czekając na glejt. Był to jedyny honorowy środek, gdyż nieprzyjaciel nie mógłby od rządu tymczasowego domagać się osoby Napoleona, jak skoroby ten w ręku jego nie znajdował się. Oprócz tych honorowych powodów, sama przezorność

postąpienie to wskazywała, gdyż wielu wojskowych głośno objawiało zamiar udania się do Malmaison, postawienia Napoleona na czele wojsk i stoczenia ostatniej bitwy pod Paryżem; wysyłając go więc bez dalszej zwłoki, usuwano go tak z przed oblicza zawziętych nań wrogów, jak i przyjaciół nierozważnych. Admirałowi Decrès i panu Merlin polecono udać się do Malmaison dla skłonienia Napoleona do wyjazdu, z upoważnieniem podniesienia kotwicy wraz z chwilą przybycia jego na pokład dwóch fregat w Rochefort, usprawiedliwiając ten krok usilném domaganiem się nieprzyjaciela o wydanie jego osoby, tudzież grożącem mu w Malmaison niebezpieczeństwem, dokąd wysłany oddział jazdy łatwo mógłby go napaść i uprowadzić. Takie wydawszy rozkazy kommissja udała się do izby reprezentantów z przedłożeniem, że coraz groźniejsze z każdą chwilą położenie nakazywało ogłosić Paryż w stanie oblężenia z pozostawieniem w swej mocy władz cywilnych, wyjąwszy zarządu miejsc warownych, które zaraz po ogłoszeniu stanu oblężenia ulegać będą władzy wojennej. Zgromadzenie, dolatującym odgłosem dział mocno zatrwożone, któremu zresztą nic nowego nie powiedziano, jednozgodnie prawie wniosek przyjęło.

Huk dział na równinach Saint-Denis wstrząsnął nieco paryżan i mieszkańców Malmaison, oprócz samego Napoleona, który się nim nie trwożył, bo znał lepiej od wszystkich doniosłość niebezpieczeństwa. Marszałek Davout, czy to dla zasłonienia Malmaison, czy dla zamknięcia nieprzyjacielowi przejścia na lewy brzeg Sekwany, rozkazał zabarykadować mosty pod Neuilly, Saint-Cloud, Sèvres, a znieść mosty pod Saint-Denis, Besons, Chatou, Pecq. Przedsiewzięte w powyższy sposób ostrożności, nie dawały jednak bezpiecznego schronienia w Malmaison; jakoż pułkownik Brack z kawalerji gwardji nadbiegł ostrzegając, że szwadrony pruskie podsuwały się na zwiady, łatwo więc można było spodziewać się napadu, jeżeli stosowne środki ostrożności nie będą przedsiewzięte. Przestrach bez wątpienia byłby o wiele większym, gdyby mieszkańcy Malmaison świadomi byli zamiarów Blüchera, z któremi wkrótce czytelnika zaznajomimy. Jenerał Beker mając 300 do 400 ludzi postanowił bronić Napoleona do ostatnich sił. Dwudziestu młodzieńców takich, jak Flahault, la Bedoyère, Gourgaud, Fleury de Chaboulon, gotowi byli ponieść życie w obronie ofiary opiece ich poruczonej. Napoleon uśmiechał się na trwożliwe dowody przywiązania, mówiąc, że nieprzyjaciel dopiero co wszedł na pola pod Saint-Denis, a Sekwana chociaż płytka, nie była łatwą do przejścia, że zatem stan rzeczy nie jest tak zatrważającym, jak to sobie wystawia zaniepokojona wyobraźnia wiernych jego przyjaciół. Malmaison było prawie puste: oprócz pp. Bassano, Lavalette, Rovigo, Bertrand, któ-

rzy z pałacu nie wydalali się, oprócz braci, matki Napoleona i królowej Hortensji, nie widziano tu innych gości, jak niekiedy oficerów, w podartej odzieży, okrytych pyłem, przybywających od armji, z wieścią o posuwaniu się nieprzyjaciela i błagających, aby Napoleon stanął na czele armji. Napoleon słuchał ich z zimną krwią, uspokajał, dziękował i korzystał z udzielonych wiadomości. Nie znając dokładnie stanowiska sprzymierzonych, wyciągnął atoli ten wniosek, że zapalczywy Blücher wyprzedzał o dwa marsze bacznego Wellingtona. Zwykłą więc bystrością swego umysłu ocenił natychmiast, że w takiem od siebie oddaleniu, można było łacno uderzyć na sprzymierzonych i szczęśliwym wypadkiem, jakiego napróżno szukał pod Waterloo, pobić oddzielnie Prusaków i Anglików i przywrócić tem samem dawną pomyślność orężowi francuzkiemu. Z pod Soissons ciągnęło przynajmniej 60 tysięcy żołnierza; w Paryżu liczono go 10 tysięcy, mając więc 70 tysięcy wojska, miano go więcej niż potrzeba było na zgniecenie Blüchera liczącego zaledwo 60 tysięcy, a zniósłszy go, pozostawała jeszcze nadzieja zadania tejże klęski Wellingtonowi. Po takim tryumfie, zapał tem powodzeniem w narodzie obudzony, błyskał w wyobraźni Napoleona ostatniem marzeniem szczęścia; myślał, jak zaszczytnem byłoby oddać taką usługę Francji bez chęci odniesienia dla siebie ztąd korzyści, i potem pójść na dobrowolne wygnanie, utorowawszy drogę do korzystnego pokoju. Ocalenie korony dla swego syna, oto czego mógł spodziewać się po tem ostatniem powodzeniu oręża!

Takie wielkie zamiary snuły się po głowie Napoleona w nocy z dnia 28 na 29 Czerwca (gdyż dopiero wieczorem w dniu 28 otrzymał wiadomości dozwalające kreślić nowe te kombinacje), gdy nagle p. Decrès i Boulay de la Meurthe (p. Merlin nie można było odszukać) weszli w pośród nocy z oznajmieniem intencji kommissji rządzącej względem jego wyjazdu z Francji. Napoleon zaraz ich przyjął, a odebrawszy rozkaz do kapitanów fregat upoważniający do podniesienia kotwicy bez oczekiwania na list bezpieczeństwa, Napoleon oświadczył, że gotów jest do wyjazdu, lecz poprzednio chce wysłać kogo do kommissji. Poczem z sercem ściśnionem pożegnał dwóch wiernych przyjaciół, których już nigdy nie miał oglądać.

Zaraz o świcie w dniu 29 Czerwca, kazał osiodłać konie, przywdział mundur, przyzwał do siebie jenerała Beker, i z pewnem ożywieniem w twarzy nie widzianem od dnia 18 Czerwca, projekta swoje przedstawił.—Nieprzyjaciel, rzekł, dopuścił się wielkiego błędu, łatwego zresztą do przewidzenia w znanym charakterze dwóch wodzów sprzymierzonych. Posuwa on się dwoma oddziałami, każdy po 60 tysięcy ludzi; je-

dnego zaś od drugiego przegradza taka przestrzeń, iż łatwo znieść pierwszego zanim mu drugi nadbiegnie z pomocą. Jedyna to sposobność jaką nam nastręcza Opatrzność i byłoby występkiem z niej nieskorzystać. Tém powodowany gotów jestem stanąć na czele wojska, które na mój widok dawne swe męztwo odzyska, rzucić się z rozpaczą na wroga i ukarawszy za jego lekceważenie, zdać potem władzę rządowi tymczasowemu... Zapewniam, dodał, słowem wodza, żołnierza, obywatela, że nie zatrzymam dowództwa ani godziny po otrzymaném zwycięztwie, które pewny jestem odnieść nie dla siebie, lecz dla Francji.

Jenerał Beker zdziwił się szlachetnym w tej chwili wyrazem oblicza Napoleona. Był to wyraz ufności genjuszu budzącego się z łona niedoli dla rozproszenia chwilowo rozpostartych cieni. Lubo jenerał nie miał przekonania w skutek poruczonej mu misji, wyjechał jednakże naglony przez Napoleona, aby nie tracąc ani chwili czasu, udał się zaraz do Tuileries. Z trudnością przebył most pod Neuilly zupełnie zabarykadowany i wszedł na posiedzenie kommissji, która nawet w nocy obrad swych nie zawieszała. Fouché prezydował i jak zawsze sam prawie osobą swoją zapełniał.

Spostrzegłszy jenerała Beker, Fouché tonem naglącym zapytał, jakie przynosi wiadomości o wyjeździe Napoleona, na co tenże odrzekł, że Napoleon gotów jest do podróży, lecz zalecił ostatni jeszcze jego wniosek przedstawić rządowi tymczasowemu. Fouché w martwem milczeniu wysłuchał jenerała Beker. Zaledwie skończył, gdy wszyscy milczeli, Fouché po krótkim namyśle głos zabrał. W jego prrekonaniu Francja już była prawie ocaloną, nie chciał więc, aby ocalenie to było dziełem Napoleona. Chcąc być sprawiedliwymi, dodajmy jeszcze, że niewiele licząc na powodzenie wojennych zamjarów Napoleona, do których ocenienia nie był zdolnym, i uważając projekt za jeden z szalonych, jak nazywał, pomysłów, lękał się, aby w razie nieudania się, nie usprawiedliwił tem samem nieufności wodzów nieprzyjacielskich, w których przekonaniu abdykacja była tylko wybiegiem i którzy widząc podejrzenia swoje ziszczonemi, nie omieszkaliby zemścić się na Paryżem za nową wydaną im bitwę —Dla czego podjąłeś się pan podobnego posłannictwa? rzekł tonem ostrym do Bekera, czy nie wiesz na czém stoją układy? Przeczytaj raporta jenerałów (i rzucił na stół zwój listów), przeczytaj je, a przekonasz się, że wojska wracają w nieładzie, nie zdolne utrzymać się na stanowisku; nie ma więc innej drogi wyjścia, jak pozyskanie zawieszenia broni za jakąbądź cenę. Napoleon stanu rzeczy nie zmieni. Jego nowe postawienie się na czele armji sprowadzi nam jednę więcej klęskę i ruinę Paryża. Niech odjeżdża, bo przeciwnik domaga się jego osoby, za której

bezpieczeństwo za kilka godzin nie ręczę. — Ani jeden z kolegów Fouché'go nie odezwał się; po czem zapytał jenerała o osoby bawiące w Malmaison, a dowiedziawszy się, że w ich liczbie mieści się i ks. Bassano, dodał, iż wie teraz zkąd strzał ten wypadł; w końcu napisał kilka słów do tegoż p. Bassano powtarzając, że zatrzymanie Napoleona o godzinę dłużej, najwyższem grozi niebezpieczeństwem.

W całym pędzie konia pośpieszył jenerał Beker do Malmaison, zastał Napoleona w mundurze, adjutantów w pogotowiu, wszystkich oczekujących tylko na odpowiedź, by dosiąść koni. Jakkolwiek Napoleon nie był nią zdziwiony, wszelako odpowiedź ta przejęła go zarazem smutkiem i gniewem. Wkrótce atoli, widząc że rząd odpycha nawet tę ostatnią jego ofiarę i przywodząc na myśl podobną opozycję marszałków w r. 1814, kiedy chciał zgnieść sprzymierzonych rozproszonych po Paryżu, Napoleon postanowił poddać się woli Boga. Po drugi raz w ciągu piętnastu miesięcy los podawał mu sposobność obrócić w niwecz nieprzyjaciela, a już to wahaniem się, już nieufnością lub oburzeniem przeciw niemu, odrzucano jego zamiary! Po drugito raz zyskiwał smutną zapłatę za znużenie, zniechęcenie całego świata wielkością swego genjuszu!

Odtąd myślał już tylko o wyjeździe. Na towarzyszów wygnania ofiarowali się: jenerał Bertrand, książę Rovigo i jenerał Gourgaud. Do nich miał należeć i Drouot, lecz uznany za najzdolniejszeggo na dowódzcę gwardji cesarskiej po oddaleniu się Napoleona, musiał pozostać i przyjąć to dowództwo, Napoleon sam mu je polecił. Żałował on Drouot'a jako człowieka najlepszego serca i głowy, lubo nie tracił nadziei ujrzenia go w Ameryce, równie jak hr. Lavalette i kilku innych, na których przywiązanie mógł liczyć. Matka, bracia i królowa Hortensja mieli się także z nim złączyć. Wszystko załatwiwszy postanowił wyruszyć w drogę przed wieczorem. O pieniądze niewiele się troszczył; cztery miljony w złocie powierzone panu Lafitte, wypadkiem pozostały w jaszczyku przy armji. Królowa Hortensja chciała oddać Napoleonowi swój naszyjnik dyjamentowy, chcąc go tym sposobem zaopatrzyć w przedmiot drogocenny, z zarazem łatwy do ukrycia. Początkowo nie chciał przyjąć tego daru, na usilne wszakże prośby i łzy Napoleon zezwolił na wyjęcie dyjamentów, poczem pożegnawszy matkę, braci, królowę Hortensję, jenerałów, wsiadł do powozu o godzinie piątej (29 Czerwca 1815 r.), śród rzewnych łez i łkania wszystkich, nawet żołnierzy gwardzistów. Podróż swoją skierował na Rambouillet, by ominąć Paryż, w którego bramy wjechał dopiero we 25 lat potem, na żałobnym wozie, prowadzony do pałacu inwalidów przez króla z rodziny Orleańskiej, który sam

skończył dni swoje na wygnaniu. Takto mieszkańcy tych strasznych Tuilerów szybko zmieniają się w teraźniejszym burzliwym wieku!

Kiedy Napoleon opuszczał Francję po krótkim, a niefortunnym w niej pobycie, wysłany kurjer zawiadamiał o tem kommissję rządzącą i obie izby. Odczytanie raportu boleścią przejęło izbę reprezentantów, która sama przeczuwała czego się można spodziewać po abdykacji, bo każdy wiedział dobrze, że Napoleon porzucał kraj na zawsze i że ich czeka tenże los, to jest wygnanie lub kara!

Oswobodziwszy się z tak bliskiej zawady, Fouché czynniej teraz wziął się do tajemnych knowań i intryg, nie bacząc że prowadzone układy tak dla Francji, jako i dla ludzi skompromitowanych w tak różnych rewolucjach, na prawem tylko postępowaniu gruntować się były powinny. Dwa główne zadania miał przed sobą Fouché: traktować z Ludwikiem XVIII i naczelnikami koalicji na warunkach o ile można najlepszych, nadto, otrzymać zawieszenie broni, dające czas i możność zawiązania układów. Nie poprzestając na p. de Vitrolles porozumiewającym się z rojalistami, na jenerale Tromelin, któremu polecił wejść w stosunki z Wellingtonem, Fouché wybrał jeszcze jednego ajenta na pośrednika w układach z naczelnym wodzem brytańskim. Był to ruchliwy Włoch imieniem Macirone, który z Włocha, a potem Neapolitańczyka, zrobił się nateraz Anglikiem, dawniej zaś służył za pośrednika, kiedy Murat zdał się koalicji. Przemieszkując w Paryżu od czasu smutnej katastrofy Murata, znany Fouché'mu, nie zły był na ajenta potrzebującego przedzierać się przez przednie straże nieprzyjacielskie do obozu angielskiego. Fouché wysłał go dla dokładnego zbadania, jakie są zamiary Wellingtona co do przyszłego rządu we Francji i zawieszenia broni, celem przekonania, że abdykacja nie była udaniem, jak równie dla usunięcia zawisłości układów od wydania wojskom nieprzyjacielskim osoby Napoleona.

Powiedzieliśmy wyżej, że pierwsi parlamentarze, po rozmowie z oficerami pruskimi na drodze do Laon, udali się ku Renowi celem traktowania o pokój z samymi monarchami. Inni znów wysłani byli do głównej kwatery naczelnego wodza pruskiego i angielskiego dla układów o zawieszeniu broni. Rzeczywistą treścią i zadaniem missji tych ostatnich, było wstrzymanie nieprzyjaciela w pochodzie na Paryż. Odtąd zaś cała kwestja przeniosła się do obozu Wellingtona. Marszałek Blücher, mężny i całą duszą patrjota, ale nad wiarę gwałtowny, nie posiadał tajemnic, ani zaufania koalicji, a lubo on swojém niezmordowanem poświęceniem spólnej sprawie, przeważył szalę zwycięztwa pod Waterloo, nie miał on jednaże tego znaczenia, jakie wodzowi więcej zdrowy rozum niż sława nadaje. Jakkolwiek przeto Blücher był najbliższym, nie do niego wszak-

że, ale do księcia Wellingtona w przedmiocie układów zwracać się wypadało. Kommissarze wysłani do traktowania o zawieszenie broni, panowie Boissy d'Anglas, Flaugergue, La Besnardière, jenerałowie Andreossy i Valence, podjechawszy pod straże pruskie, gdyż armja angielska była jeszcze w tyle, doznali uprzejmego od p. Nostitz przyjęcia, a przeprowadzania od jednego do drugiego posterunku, nigdzie nie spotkali się z marszałkiem Blücherem, który czy z powodu słabości, czy zbytniego oddalenia nie był widzianym. Przebywszy rozmaite obozowe manowce, Nostitz radził sam widzieć się wpierw z księciem Wellingtonem, z którym rozmowa mogła być skuteczniejsza niż z wodzem pruskim. Wódz angielski stał wtedy w Gonesse i tam też udali się kommissarze francuzcy. Postąpienie ich było trafnem, tam bowiem była głowa zdolna pokierować przewrotem politycznym, jaki na nieszczęście, już po raz drugi dopełniał się we Francji ręką obcych.

Szczęściem, jeżeli tylko można wyrzec to słowo gdy kraj ulega sile nieprzyjaciela, szczęściem mówię, książę Wellington, jeżeli nie był genjuszem, miał wszakże zdrowy rozum, stałość i przenikliwość i to w takim stopniu, że pod tym względem jenerał angielski nie lęka się porównania z jakąbądź znakomitością historyczną. Gdyby nie dobra doza próżności, łatwej zresztą do przebaczenia w jego położeniu, możnaby powiedzieć, że był bez wady. Do nabytej chwały wojennej, znacznie ostatniemi wypadkami spotęgowanej, łączył sławę dyplomaty, mogącego i najtrudniejszą rozwikłać sprawę. W ciągu kilkodniowego pobytu w Wiedniu, wszystkich zaufanie pozyskał, jako ambasador w Paryżu przez przeciąg sześciu miesięcy, umiał wywierać wpływ na Ludwika XVIII i partję rojalistów, lubo zresztą wpływ ten nie trudny był na ludzi małego światła, a wielkich namiętności. Przyjaźnie wyrażał się o Ludwiku XVIII radząc, dla spokojności Francji i Europy, przywrócić go na tron i dodać osoby z życzliwą i zdrową radą. Oceniając ze stanowiska angielskiego to co zaszło we Francji w r. 1814 przekonanym był, że Karta Ludwika XVIII może uczynić kraj wolnym i szczęśliwym i że nie brak tej karcie, jak tylko należytego wykonania. Zdaniem Wellingtona, opartego na doświadczeniu zaczerpniętem z swego kraju, wykonanie ustawy polegało na ministerstwie jednolitem, dobrze pokierowaném, niezawisłém od króla i książąt, na które izby oddziaływałyby swoim wpływem, a ono wzajemnie umiało izbami pokierować. Żadnego z tych przymiotów Wellington nie dopatrywał w ministerstwie z r. 1814, do składu którego należał wielki pan, człowiek rozumny, ale ociężały i nieobecny (Talleyrand bawił wtedy w Wiedniu), p. de Blacas, faworyt, osoba zimna, sztywna, poufały z królem, nakoniec, kilku specjalistów nie

znoszących się z sobą, wszyscy ulegający wpływom rady królewskiej złożonej z książąt rywalizujących i niezgodnych. W korrespondencjach swoich z Londynem i Wiedniem Wellington nie przestawał powtarzać, że Ludwikowi XVIII zbywa tylko na ministerstwie, związaném konieczną w rządzie jednością. Zostając przez miesiąc Kwiecień i Maj w pobliżu Gandawy nie przestawał w tenże sposób krytykować dworu na wygnaniu. Temu zapatrywaniu się na rządy Ludwika, jeden wprawdzie zarzut można było uczynić, że podawane lekarstwo było dobre, lecz szło o to, czy chory zechce je przyjąć. Zaiste, Ludwik XVIII chętnie przyjąłby w takim charakterze ministrów, aby się tą drogą uwolnić od książąt krwi i emigracji, ale ci właśnie za żadną cenę zgodzić się na to nie chcieli. Niepodobna było bezwarunkowo odpychać rady od tak doświadczonego męża, jak Wellington, pochodzącej, osoby zaś otaczające Ludwika w Gandawie, chcąc przynajmniej pozornie słuszność rad jego uznać, zgodziły się na to, że ministerstwu *zbywa na jedności*. Lecz od kogo tu zacząć? rzeczywiście, od wszystkich; w każdej przecież epoce trzeba wynaleść ofiarę, na którąby można zwalić błędy innych, a nawet i swoje. Ofiarą tą, wskazaną samém położeniem, był p. Blacas. Temu mężowi stanu, o którym mieliśmy już sposobność mówić, przy znanej prawości nie zbywało na rozumie i zmyśle politycznym; lecz na nieszczęście, był on ulubieńcem króla, a ulubieńcem suchym i dumnym. Jakkolwiek w sercu jego tliły również zwykłe emigracji namiętności, wszelako nie dawał sam inicjatywy i nie popierał dopuszczonych przez emigrację błędów, bo w tej mierze szedł za wolą Ludwika, który na błędy te oburzał się. Często nawet opierał się książętom, a mianowicie księciu d'Artois, i jeżeli chciano wynaleść winnego na poniesienie kary za usterki w emigracji, nie jego właśnie na tę ofiarę wybrać należało. Lecz znienawidzony stronnictwu liberalnemu znanemi formami i opinjami, nienawistny również dla książąt, jako wyłączny reprezentant Ludwika XVIII, został kozłem ofiarnym, na którego miotano się zewsząd od czasu wyjazdu z Paryża. Idąc za zdaniem lorda Wellington, wskazującém brak jedności w ministerstwie, dodawano, że istnienie jego z faworytem panującém nad królem i samém ministerstwem, jest niemożliwém, podobne głosy wychodzące tak od przyjaciół hrabiego d'Artois, jak i od umiarkowanych dążących do rządu liberalniejszego, podały p. de Blacas w ogólną nienawiść. Rzeczy tak daleko zaszły, że nawet w Gandawie, na wygnaniu, wychodziły gwałtowne na niego broszury. Zdarzają się chwile, w których ludzie ścigają nienawiścią i prześladowaniem pewne idywidua, a zapytane o powód, wskazaćby go zapewne nie zdołały. W tym przypadku i w łonie samego stronnictwa królewskiego, znajdował się p. Blacas.

Niesprawiedliwości te były na rękę Talleyrandowi, który lubo ich nie podziełał, korzyści atoli z nich odniósł. Na dworze gandawskim potrafił on sobie wyrobić opinję, że wszystkie zapadłe w Wiedniu przeciw Napoleonowi postanowienia, powtórny jego upadek przyspieszające, jego wyłącznie są dziełem, lubo obmyślone w tym celu środki nie wpływowi Talleyranda, ale raczej panującym w Wiedniu namiętnościom przypisać należy. Tymczasem emigranci gandawscy, nie wiedząc co się działo na kongresie, a sądząc tylko po skutkach zewnętrznych i po gromie z Wiednia rzuconym, całą ztąd zasługę przyznawali obradującemu tam Talleyrandowi. Nikt więc ważności jego nie zaprzeczał, a ponieważ cała nienawiść nie na niego, jako nieobecnego przez rok cały, ale raczej na pana Blacas, ciągłego towarzysza królewskiego, zwróciła się, Talleyrand przeto uchodził za zbawcę tego, co Blacas utracił. Talleyrand nienawistny zawsze temu pośrednikowi pomiędzy nim a królem, chcąc go chętnie pozbyć się, przyłączył także swój do powstających przeciw Blacas'owi głosów, a emigracja kontenta z tej zgodności dążeń, wynagradzała go wysławianiem oddanych usług. Zawiązała się więc dziwna liga przeciw p. de Blacas, którego wytykano jako jedyną przyczynę nieszczęść, a z których żadne nie było jego dziełem. Kiedy książę Wellington, zapatrując się po angielsku, upatrywał winę w braku jednolitości ministerstwa, co zresztą było niewątpliwém, ludzie rozsądni z emigracji gandawskiej, jakimi byli Louis, Jaucourt i inni, oświadczali, że na tem nie koniec, że jeżeli wypadało usunąć faworytów, należało pozbyć się równie i książąt, upewnić zatrwożonych nabywców dóbr narodowych, zaręczyć wsiom zniesienie dziesięcin i praw feodalnych i starać się, o ile można, oddzielić sprawę Bourbonów od interesu mocarstw zagranicznych. Przeciw słuszności powyższych wniosków emigranci żadnej nie stawiali opozycji, dodając wszakże, że aby zapewnić bezpieczeństwo ludzi prawych, potrzeba przykładnie ukarać winnych, którzy tajemnemi poruszając sprężynami, przywiedli monarchją do powtórnego upadku, kary więc tej, samo bezpieczeństwo i powaga tronu wymagają. Niepodobna było wybić im z głowy nieistnienia ogromnej konspiracji tak pomiędzy dowódzcami wojsk, jako i cywilnymi, którzy zostając w ciągłych stosunkach z Elbą, przygotowali katastrofę z dnia 20 Marca. Dalecy od uznania w tym wypadku własnych swoich błędów, zwalali winę występku na ludzi sobie nienawistnych, przekonać ich zaś że tak nie jest, wyświetlić prawdę było tem trudniej, że błędne te przekonania podzielali nawet najpoważniejsi ludzie na dworze w Gandawie, a nawet owocześni dyplomaci koalicji, jak np. książę Metternich, hr. Nesselrode, Pozzo di Borgo i Wellington.

W takim zbiegu słusznych i fałszywych wyobrażeń, nakreślony program, na tej głównie polegał osnowie: za powrotem do Francji utworzyć ministerstwo jednolite, umocnić interesa w biegu swym wzruszone, odstrychnąć się o ile można od wpływu zagranicy, i dotknąć kaźnią kilku ważniejszych przestępców. Wszystkie te warunki koncentrowały się w oddaleniu p. Blacas i w wystąpieniu Talleyranda w roli pierwszego ministra.

Nie znalibyśmy dostatecznie stanu umysłów wygnanego dworu, gdybyśmy nie nadmienili, że na dworze tym zachowywano szczególne względy dla księcia Otranto. O ile całą zasługę za kierownictwo interesu w Wiedniu przyznawano Talleyrandowi, o tyle bieg sprawy w Paryżu uznawano za dzieło Fouché'go. Wiedeń był węzłem koalicji, która pokonała Napoleona pod Waterloo; Paryż zaś był wątkiem intrygi, która wymusiwszy z Napoleona powtórne zrzeczenie się tronu, sprowadziła zupełną jego ruinę. Listy p. de Vitrolles i rozmaitych ajentów rojalistowskich zgadzały się w wyłącznem przyznaniu Fouché'mu zasługi tych tajemnych knowań, a zapaleni rojaliści, którzy go chętnie widzieli jeszcze przed 20 Marca, chwalili się że wtedy już poznali w nim człowieka mogącego wszystko ocalić, a który dziś rzeczywiście wszystko ocalił. Dowodzeń tych ludzie umiarkowani nie zbijali; był to więc harmonijny chór pochwał dla królobójcy i zdrajcy nienawistnego sobie Napoleona, działającego w interesie równie nienawistnych Bourbonów, których się nie lękał, marząc w zwykłem zarozumieniu, że on temi staremi dziećmi powodować będzie. Gdyby tym emigrantom w Gandawie wskazał kto wtedy człowieka znanego z rozumu i przyjaciela umiarkowanych swobód, pewno wniosek jego spotkałby wzgardę; ale przywiązanie się do znanego intryganta, wydawało się szczytem zręczności. Nie starając się oddzielić z rewolucji francuzkiej zdrowe i wielkie pomysły od chaosu szaleństw i przytłumić rozpasane mocy piekielne, nie szukali oni człowieka znanego z światła, umiejącego odwiać plewy od ziarna, goniąc za szatańskim czarnoksiężnikiem, choćby zmazanym krwią królewską, byle tylko umiał zakląć te rozuzdane namiętności. Tym magikiem był dla nich Fouché. W istocie był on tylko lekkim, zarozumiałym, niezmęczonym intrygantem, lecz gdyby nawet był zbrodniarzem, nie mniej byłby im do smaku. A jednakże to przekonanie wychodziło od ludzi prawych! Brak światła wiedzie niekiedy umysły nad brzeg przepaści, którą gdyby ujrzały, cofnęłyby się wstecz z przerażeniem!

Spokojny Ludwik XVIII nie brał żadnego udziału ani w tych agitacjach, ani też w niesprawiedliwości i uprzedzeniach. Dla niego ani p. Blacas nie był przyczyną zguby, ani Talleyrand i Fouché jego zbawcą. W jego przekonaniu przywrócenia swego na tron nie zawdzięczał ani de-

klaracjom wiedeńskim, ani intrygom paryzkim, ani wreszcie samej bitwie pod Waterloo, ale wprost swemu pochodzeniu od Henryka IV i Ludwika XIV. Wszelako niejakie przynajmniej zasługi przyznawał zwycięzcy Napoleona pod Waterloo, cenił jego osobę, dziękował za życzliwe rady, a nawet w pewnych razach przyznawał słuszność jego zdaniu. Wellington radził usilnie, aby zaprowadził ministerstwo jednolite, czyli jak mówiono, *jedno*, aby usunął wpływ emigrantów i książąt, powierzył główną władzę Talleyrandowi, oddalił p. de Blacas, nie dla jakiejkolwiek winy, ale że się stał celem powszechnej nienawiści. Wszystkie te rady, wyjąwszy usunięcia Blacas'a, uznawał za bardzo trafne. *Faworytyzm* u Ludwika XVIII-go był rzeczą nabytą z przyzwyczajenia. Przywykł on mieć zawsze Blacas'a przy swym boku, cenił jego zasady, jego prawość i rozum, nie czynił go winnym żadnych błędów, a w przenikliwości swojej doszedł do przekonania, że przyjaciele hrabiego d'Artois prześladują w nim szczerego przyjaciela króla. Oto przyczyny dla których obstawał za utrzymaniem p. de Blacas i niechętnie rozstawał się z jego usługami. Zdawało się nawet, że usunięciu go stanowczy postawi opór.

Talleyrand opuścił Wiedeń udając się do Bruxelli, w tym bowiem czasie monarchowie i ministrowie rozjeżdżali się z kongresu, dla objęcia dowództwa nad wojskami. Oddalając się z Wiednia, głosił swoje zniechęcenie do władzy i oświadczał wyraźnie, że jeżeli nie uwolnią go od emigrantów, nie przyjmie godności ministra przy Ludwiku XVIII, a zdaniu temu członkowie koalicji, dość skłonni do potępiania emigracji, w zupełności przywtarzyli. Większość ich nawet w korrespondencjach z Gandawą radziła oszczędzić Talleyranda i iść za jego radą. Stanąwszy w Bruxelli, Talleyrand zatrzymał się i ztąd nakreślił następujące warunki, na które powszechnie prawie zgadzano się: ministerstwo *jedno*, usunięcie wpływu dworu, deklaracja upewniająca co do stosunków zaniepokojonych, ukaranie winnych mniemanej konspiracji bonapartystowskiej i dołożenie usilnych starań do oddzielenia sprawy królewskiej od interesów zagranicy. W tym ostatnim przedmiocie Talleyrand wymyślił szczególną kombinację; oto, aby Ludwik opuściwszy z swoim dworem Gandawę, udał się do Szwajcarji i wjechał do Francji od wschodu, gdy monarchowie zwycięzcy przybędą od północy. Takie położywszy warunki Talleyrand pozostał w Bruxelli, jakoby w oczekiwaniu na ich potwierdzenie.

Takie było położenie rzeczy w czasie, kiedy ks. Wellington dowiedziawszy się o abdykacji Napoleona, podążał za Prusakami do Paryża. Bystrym swoim rozumem pojął on natychmiast co mu czynić należało. Walka pomiędzy Ludwikiem XVIII a Talleyrandem wydała się mu niewłaściwą; radził więc, aby pierwszy ustąpił drugiemu we wszystkich pun-

ktach, wyjąwszy wjazdu do Paryża od granicy wschodniej. Zdaniem jego Ludwik XVIII powinien był bez straty chwili jechać do stolicy dla uspokojenia rozbujałych umysłów i wydania do narodu odezwy jasnej, stanowczej, utwierdzającej go w przekonaniu, że ostatnia wojna była dziełem Napoleona a nie Bourbonów, że on przybywa raz jeszcze stanąć rozjemcą pomiędzy Europą a Francją w celu przywrócenia pokoju; wypada wreszcie odezwą tą uspokoić nabywców dóbr narodowych, przyrzec ministerstwo niepodległe i z jednych złożone żywiołów, zapewnić przyszłe zwołanie izb, celem ukarania winnych sprzysiężenia dla sprowadzenia Napoleona do Francji. Z drugiej strony Wellington doradzał Talleyrandowi, aby przyjął te ustępstwa, jak najśpieszniej złączył się z Ludwikiem i przybył z nim do Francji od strony granicy północnej a nie wschodniej, jako zbyt oddalonej.

Takie z powagą zwycięzcy z pod Waterloo udzieliwszy rady, ks. Wellington wyjechał stanąć na czele wojska. Zbliżywszy się pod Paryż, usiłował wrazić w umysł Blüchera przekonania, tak jak próbował przejąć niemi umysły Bourbonów i emigracji. Doniesiono mu, że Blücher czycha na osobę Napoleona, i jak mówiono wtedy, chce *od niego świat oswobodzić*. Zaraz więc Wellington napisał do Blüchera list, który w potomności będzie dlań najwyraźniejszym tytułem do sławy.—Osoba Napoleona, pisał, nie do nas ale do monarchów naszych należy: oni więc niech rozporządzą nią w imieniu Europy. Gdyby przypadkiem zabrakło kata, prosiłbym ich aby innego, a nie mnie, do spełnienia tego przykrego zadania wybrali; i tobie, panie marszałku, dla twej dobrej sławy, radzę pójść za moim przykładem.—Zresztą, odjazd Napoleona, o którym jeszcze nie wiedziano, miał pod tym względem usunąć wszelkie trudności. Następnie Wellington postanowił naradzić się teraz z Blücherem co do mających wykonać się działań wojennych pod murami Paryża. Armja angielska i pruska liczyły razem około 120 tysięcy żołnierzy, jakkolwiek w chwili rozpoczęcia kampanji siła ich dochodziła 220 tysięcy, co dowodzi, że zwycięztwo nad Francją wielkiemi było okupione ofiarami. Wojska te tworzyły długą kolumnę prawie od Paryża aż do granicy wyciągniętą. Ponieważ nie było już Napoleona, nieroztropny więc taki marsz nie groził niebezpieczeństwem; zresztą błąd ten naprawiał się co godzina posuwaniem się Anglików ku Prusakom. Lecz 120 tysięcy ludzi dla złamania Francuzów pod Paryżem, to trochę za mało. Prawy brzeg Sekwany, pierwszy od wejścia, mocno był oszańcowany; lewy nieco słabiej, ale zato trzeba było przebywać rzekę, by poza nią trudne wykonać obroty. Liczba obrońców stolicy mogła dochodzić do 90 tysięcy, w tych zaś mieściło się przeszło 60 tysięcy żołnierza przybyłego z Flandrji, resztę

składały bataljony zapasowe, majtkowie, związkowi i uczniowie szkół. Byłoby dowodem lekkomyślności mniemać, że można zdobyć Paryż siłą samego oręża, lepiej więc było wejść w układy. Droga ta przedstawiała dwie korzyści: nie wystawiania na szwank zwycięztwa odniesionego pod Waterloo, i niedrażnienia głębszego Francuzów. Pierwszy rzut oka na stan rzeczy, nastręczył tę myśl Wellingtonowi, Blücher wszakże innego był w tej mierze zdania. Chciał on w r. 1815 tenże co w 1814 pozyskać zaszczyt, to jest, wejść pierwszy do Paryża, nałożyć wielkie kontrybucje dla swego wojska, a może dopuścić i gorszych następstw, gdyby naród walczył na ulicach. Szczęściem powaga wodza pruskiego o wiele nie dosięgała władzy jenerała brytańskiego.

Taki był stan rzeczy w Gandawie i w kwaterze głównej wojsk sprzymierzonych, kiedy kommissarze francuzcy z rana w dniu 29 Czerwca o kilka mil od Paryża, porozumiewali się z Wellingtonem. Przyjął on ich uprzejmie, stanowczo wolę swoję objawiając. Z początku wątpił w szczerość abdykacji Napoleona, żądając jego osoby, którą Europa sama rozporządzi, co już oznaczało, że nie było zamiaru dopuszczania gwałtu tam, gdzie przedmiot ten pod ogólną miał być poddany rozwagę. Kiedy delegowani oświadczyli, że Napoleon miał się udać do Rochefort, Wellington nadmienił, że po nim pozostało zawsze gwałtowne stronictwo, obok którego Francja i Europa na trwały pokój liczyć nie mogły. Unikając starannie przedmiotu dotyczącego prawa mieszania się Europy w wewnętrzne sprawy Francji, zdaniem przyjacielskiem ale stanowczem radził przyjąć Bourbonów. Ze swej strony reprezentanci kommissyi rządzącej, przypominając dane zapewnienia, że Europa nie zechce narzucać wyboru rządu, oświadczyli gotowość przyjęcia Bourbonów na warunkach dość rozciągle zakreślonych. Biorąc na uwagę ten przedmiot, Wellington odrzekł, że nie wypada upokarzać króla przykremi warunkami, polegając na skuteczności karty z r. 1814, że karta ta daje rękojmię wolności, jeżeli tylko będzie dobrze zastosowaną, że to na czem zbywało w roku przeszłym, to jest niezależność i jednolitość ministerstwa, Ludwik XVIII przyrzeka zaprowadzić, nareszcie, że tak w tym jak i w innych na słuszności opartych żądaniach, naród zupełne pozyska zadowolenie.

Deputowany Flaugergues, mąż wysokich zdolności i znany z liberalnych zasad, w odpowiedzi swej wyraził, iż wątpi aby izby zgodziły się na bezwarunkowe przyjęcie Bourbonów, domagał się więc zmiany karty, zmiany naówczas bardzo pożądanej a odnoszącej się do nadania prawa inicjatywy izbom. Karta z r. 1814 otoczyła tę inicjatywę znacznemi zastrzeżeniami, nadto w owej epoce mniemano, że wpływ izb polega na podziale inicjatywy prawnej z koroną, bo wtedy jeszcze doświadczenie

nie nauczyło, że rzeczywisty wpływ wywierany być może tylko większością ministrów, i jeżeli izby potrafią władzę taką osiągnąć, wtedy nietylko inicjatywę, ale cały rząd pozyskają, o ile tylko przedsięwzięte w tej mierze kroki nie grożą niebezpieczeństwem. W nieświadomości tej prawdy, obstawano za inicjatywą z dziecinnym uporem. Lord Wellington przyrzekł wymódz to ustępstwo na Ludwiku XVIII i odłożył ten przedmiot na dzień następny. Przed odejściem delegowani zapytali jeszcze, czy inny książę z rodu Bourbonów, oprócz Ludwika XVIII, (miano tu na myśli księcia Orleanu nie wymieniając go), mógłby zyskać potwierdzenie ze strony monarchów sprzymierzonych. Książę przyrzekł o tém pomyśleć i udzielić stanowczą odpowiedź na następném posiedzeniu.

Resztę dnia obrócił książę na uszykowanie wojsk i rozmowy z Blücherem, w których starał się wrazić mu w pamięć swoje pomysły i jużto w nocy, już nazajutrz z rana odbywał konferencje z posłannikami kommissji rządzącej, którzy tu właśnie otrzymali wiadomość o wyjeździe Napoleona, książę Wellington zaś odebrał ważne doniesienia od dworu z Gandawy. Gwardja angielska napadłszy znienacka na Cambrai, wzięła tę warownię, do której wszedłszy Ludwik XVIII wraz z Talleyrandem, wydał tu pod dniem 28 Czerwca deklaracyę zwaną *Kambrejską*, będącą powtórzeniem deklaracji z Saint-Ouen w czasach drugiej restauracji. W akcie tym Ludwik XVIII oświadczał, że *widząc stojącą otworem jednę bramę królestwa swojego*, pośpieszał by powtórnie stanąć pomiędzy Europą a Francją i to jest jego *jedyny udział w wojnie*, gdyż nawet książętom z swojej rodziny zabronił *stawać w szeregach zagranicznych*. Dawniej, kiedy po raz pierwszy tron francuzki obejmował, zastał we Francji wzburzone namiętności, które swoim wpływem i pośrednictwem starał się uspokoić; wprawdzie wpośród napotykanych trudności, *w rządach jego mogły być usterki*, lecz nabyte ztąd doświadczenie nie będzie marnie straconem. Daną poprzednio kartę starać się będzie utrzymać, *uzupełniając ją rękojmią, prawdziwe dobro zapewniającą*, a mianowicie jednością ministerstwa. Wprawdzie rozsiewane pogłoski o przywróceniu dziesięcin, praw feodalnych i cofnięcia sprzedaży dóbr narodowych, zatrważały umysły; wszelako są to niegodne potwarcze wymysły, ukute przez nieprzyjaciół dla własnej korzyści, dość bowiem przeczytać kartę, aby nabrać przekonania jak czcze są te obawy. W końcu Ludwik oświadczał, że wracając wpośród swoich poddanych, których wierności i przywiązania tyle doznał dowodów, postanowił puścić w niepamięć wszystko złe w czasach ostatniej rewolucji popełnione; zważywszy atoli, że *zdrada jakiej dzieje świata równego nie wskazują przykładu* spowodowała rozlew krwi francuzkiej i powtórnie w serce kraju sprowadziła obce

wojska, postanowił zdradę tę, *jako uwłaczającą godności tronu, interesom Francji i zakłócającą spokój Europy*, bezkarnie nie pozostawić. Izby więc mają wskazać winnych tej szkaradnej zmowy, a sprawiedliwość niech ich dosięgnie swoim wyrokiem.

Taką deklarację podpisał Ludwik XVIII i Talleyrand. Jak widzimy była ona tłómaczem ówczesnych wyobrażeń. Umiarkowani umieścili w niej przyznanie się do błędów, utrzymanie i rozwinięcie karty i zapewnienie nabywcom dóbr narodowych; mądry Wellington wtrącił jedność ministerstwa, nakoniec czystej krwi emigranci dodali zemstę przeciw mniemanym sprawcom sprzysiężenia się wyspy Elby, a które właśnie było wynikiem błędów rządu królewskiego i zręczności Napoleona.

Dwie te okoliczności, wyjazd Napoleona i przybycie Ludwika z ogłoszoną deklaracją, powinny były uprościć usiłowania Wellingtona i układy o zawieszenie broni. Od chwili oznajmienia Wellingtonowi o wyjeździe Napoleona, nie było juz mowy o wydaniu jego osoby. Wellington więc przystąpił bezzwłocznie do kwestji dotyczącej dynastji mającej zastąpić Bonapartych. Przekazanie korony Napoleonowi II, zdaniem jego nie zasługiwało na uwagę, myślał więc tylko, któregoby z Bourbonów, oprócz Ludwika XVIII, można podać na kandydata do tronu. Nie wskazując nikogo utrzymywał, że spokój Europy i Francji większą mogły mieć wagę, gdy miał panującego z niezaprzeczonemi prawami, a nie jakiego księcia przywiązanego z zagranicy, burzliwego, przedsiębierczego, i że zresztą nie było to stanowisko pożądane dla Francji, której polityka nie miałaby potrzebnej spokojności i przezorności. Oświadczył nadto, że w tym przedmiocie nie posiadał nawet żadnej szczegółowej instrukcji, lecz przekonany jest, że taki wniosek przyjęcia nie znajdzie. W każdym razie, jeżeli Francja chce koniecznie Napoleona II, lub innego oprócz Ludwika członka rodziny Bourbonów, Europa wtedy zmuszoną byłaby wymagać większych rękojmi, np. zajęcia miejsc warownych. Tym ostatnim warunkiem, ubocznie ale stanowczo orzeczonym, wyłączano od tronu wszelkich innych, oprócz Ludwika kandydatów. Wellington okazał deklaracje kambrejską, wychwalał jej treść, mówiąc, że lepszej nie napisałby i Anglik najbieglejszy w systemacie monarchji konstytucyjnej. Reprezentanci rządu tymczasowego uczynili jej tylko dwa zarzuty: jeden dotyczący ścieśnienia w ogólném przebaczeniu czynów i słów, drugi co do zwoływania izb. W pierwszym razie lękano się, aby kara nie dosięgła królobójców; a ponieważ wszyscy wierzyli, że powrót Napoleona był skutkiem sprzysiężenia, nie mogli więc nawet przypuszczać, aby twórców jego kara nie dosięgła. Nie było więc wątpliwości, że pod pozorem ukarania konspiratorów, istniejących tylko w wyobraźni rojalistów,

poleje się krew najdzielniejszych ludzi; przestali jednak na wyjaśnieniu danem przez Wellingtona, że nie ma obawy nawet o królobójców, skoro król chce powołać Fouché'go na ministra. Wódz angielski zostawiał w kwestji tej myśl ukrytą, nie zgodną zresztą z jego prawością. W tym razie Wellington podzielał do pewnego stopnia chęć zemsty rojalistów, nie przez szaloną nienawiść, ale przez dość powszechne pomiędzy wodzami koalicji wyrachowanie: całą bowiem złość chcieliby oni wylać na armją francuzką, tę podług nich główną, przeszłej i mogącej się jeszcze uknuć konspiracji i dla tego dotkliwym jakim przykładem przerazić ją chcieli.

Drugi zarzut kommissarzy odnosił się do zwoływania izb. Deklaracja kambrejska zapewniała amnestją obok zastrzeżenia wydania winnych, co tem samem kazało się domyślać wyboru nowych izb, gdy tymczasem pożądaném byłoby zachować teraźniejsze izby, jak to uczyniono w r. 1814, gdyż zdaniem ich, był to jedyny środek przyjaznego ich dla monarchy usposobienia. Książę Wellington oba zarzuty uznał godnemi zastanowienia i przysłał napisać do Talleyranda przedstawiając potrzebę zmian w deklaracji, to jest bliższego określenia kategorji winnych i zachowania izb w dotychczasowym ich składzie.

Po rozprawach nad temi punktami Wellington oświadczył, że zawieszenie broni może nastąpić tylko po usunięciu armji francuzkiej od Paryża, miejsce której, przynajmniej na zewnętrznych jego stanowiskach, zajmą Anglicy i Prusacy, i po oddaniu służby wewnętrznej miasta, gwardji narodowej, pod zasłoną której mają się spełnić żądane zmiany polityczne. Nie tłómacząc się jasno ze sposobu w jaki ma być dopełniona ta zmiana rządu, Wellington chciał aby obce wojska jak najmniejszy pozornie brały w tem udział i aby, po przeniesieniu armji francuzkiej za Loarę, inna jak gwardji narodowej nie pozostała interwencja. W istocie, z całą powagą swego charakteru i zajmowanego stanowiska, Wellington przekładał popędliwemu Blücherowi, że wypadało zrzec się czczej chwały wejścia tryumfalnego do stolicy nieprzyjaciela i przenieść rzeczywiste nad złudne rezultaty. Zresztą, szturm do Paryża był wątpliwy, upokarzający Francję i uwłaczający przyszłości rządu, którym się wszyscy tak bardzo zajmowali; lepiej więc patrzeć zdala od Paryża na spokojnie uskuteczniane zmiany z pomocą gwardji narodowej, niż je siłą oręża wprowadzać.

Główne więc zasady, od których książę Wellington czynił zależném zawieszenie broni, były następującą: oddalenie wojsk francuzkich, poruczenie gwardji narodowej bezpieczeństwa Paryża, milczenie zupełne co do przyszłego rządu we Francji i przywrócenie Bourbonów. Z tem odprawił kommissarzy, polecając warunki te, jako ostateczne,

przedstawić rządowi tymczasowemu. Nadto, okazał im list Metternicha i Nesselrode'go z dnia 26 Czerwca, pisany po otrzymanej wiadomości o abdykacji Napoleona, w którym ministrowie ci, zalecali dowódzcom wojsk sprzymierzonych nie uznawać żadnej władzy po upadku cesarza wybranej, nie przerywać działań wojennych dopóki nie staną w Paryżu, a tem samem dopóki nie zaprowadzą rządu widokom mocarstw odpowiedniego. Nic więc lepszego po przybyciu samych monarchów nie można było spodziewać się. Zbytecznem tu byłoby dodawać, że w obec takich oświadczeń, przyjęcie warunku ewakuacji twierdz, stawało się niepodobném. Nie było więc o tem i mowy, tém bardziej że wódz angielski nie tyle myślał o Strasburgu lub Metz, ile raczej o samym Paryżu dla łatwiejszego przywrócenia Bourbonów. To co powiedział kommissarzom, toż samo powtórzył p. Macirone i innym tajemnym ajentom księcia Otranto. W powróceniu Bourbonów pragnął uniknąć pozoru wprowadzania ich siłą obcą, chciał zaś aby panowali na zasadach konstytucji, jaką cieszyła się Anglja. Co się tycze p. Fouché powtarzał, że Bourboni winni mu być wdzięczni i wdzięczność tę w sposób stanowczy okazać. Talleyrand zewnątrz, a Fouché wewnątrz uważani być mają jako zbawcy monarchji.

Kiedy się to dzieje w kwaterze głównej księcia Wellingtona, marszałek Blücher niekontent, iż niejako wyłączony został od udziału w układach, co go tem samem pozbawiało tryumfalnego wjazdu do Paryża, utrudniał, o ile mógł, stosunki kommissarzy, tak dalece, iż ci z trudnością mogli udzielać Fouché'mu treści rozmów z księciem Wellingtonem i nowych zasięgać instrukcji. Marszałek mało dbał o układy, o ile więc z jednej strony utrudniał o ile mógł negocjacje, o tyle z drugiej, pragnął przeciąć ten węzeł pruskim mieczem, przenosząc się z wojskiem na lewy brzeg Sekwany. W tym celu całą swą jazdę wysłał na zajęcie mostów. Mosty pod Sèvres, Saint-Cloud i Neuilly osłonione były szańcami, pod Beson i Chatou były spalone. Most pod Pecq, który stosownie do rozkazów Davouta miał być zniesiony, na nieszczęście pozostał, skutkiem oporu mieszkańców Saint-Germain, którzy już to w widokach miejscowych, już w interesie stronnictwa, zniszczeniu go oparli się. Kawalerja więc pruska przeszła Sekwanę pod Saint-Germain i przeniosła się do Versalu. Wprawdzie, jak to wkrótce obaczymy, Prusacy przejściem tém wystawiali się na niebezpieczeństwo, w każdym atoli razie przejście Sekwany było już w ich ręku, i Paryż z lewej, czyli najsłabszej swej strony, był nateraz zagrożony.

W Paryżu z niecierpliwością i gniewem wyglądano rezultatu układów o zawieszenie broni. Fouché sam nie wiedział czemu to przypisać,

tem bardziej, że jenerał Fromelin, i ajent Macirone przedarłszy się przez straże, spiesznie mu donieśli, czego żądał wódz brytański. Tymczasem kurjerzy delegowanych nie mogąc dostać się jeszcze do Paryża, pozostawiali Fouché'go, a tem samem i izby w zupełnej nieświadomości. Wprawdzie korzystając z czasu nie przestawał on powtarzać, że Francja nie wyjdzie inaczej z kłopotu, jak przyjęciem Bourbonów, byle na dobrych i pewnych warunkach. Słowa te oburzały mocno rewolucjonistów, mniej zaś liberalnych, którzy pragnęli tylko swobód bez względu na osobę, lubo tak u pierwszych jako i u drugich słowa te pewną nieufność wzniecały. Fouché czując że nie ma zaufania, chwiał się coraz bardziej, a nie wiedząc sposobu innego wyjścia jak przez Bourbonów, nie śmiejąc sam, postanowił użyć marszałka Davout, który jako wódz naczelny i charakteru otwartego, wręcz i śmiało mógł potrzebę przywrócenia Bourbonów przedstawić. Lecz zamiast, jak należało, postąpić z marszałkiem drogą otwartości i uczciwości, Fouché wikłał go swemi matactwami, pobudzając skrycie za pośrednictwem p. de Vitrolles do ogłoszenia pożądanej deklaracji. Byłato droga nietylko niewłaściwa, ale nawet łatwo na szwank całą sprawę wystawić mogąca. Jakoż częsta obecność p. de Vitrolles u marszałka dała powód do zajścia, które mogło bardzo złe sprowadzić skutki.

Wyżej wspomnieliśmy, że izby wysłały reprezentantów do armji z odezwą pocieszającą po odjeździe Napoleona I, i upewniającą zarazem, że teraz rozpoczyna się praca dla Napoleona II. Otóż ci reprezentanci, jadąc do la Vilette, głównej kwatery Davouta, spotkawszy p. de Vitrolles, mocno się zdziwili, zkąd tak znany rojalista, o którym myślano, że jest w Vincennes, mógł odwiedzać marszałka; zawiązana z nim rozmowa, wkrótce w żywy spór zamieniła się, reprezentanci wyraziwszy swoje ztąd zdziwienie marszałkowi, źle zostali przyjęci, zwiedzili wojsko, które z radością przyjęło Napoleona II, po czem powrócili, raportem swoim napełniwszy izby nieufnością. W pierwszej chwili oburzenia, izby chciały jawnie oskarżyć kommissję o zdradę, nie chcąc jednakże robić ztąd hałasu, postanowiono przynajmniej wskazać *niewidzialną rękę*, która paraliżowała obronę i zagrażała bezpieczeństwu stolicy i władzy ustanowionej. Zmożone trudami wojsko, mówili reprezentanci, ocknęło się i nowych nabrało sił na odgłos imienia Napoleona II, idźmy za jego przykładem i zawołajmy także: Niech żyje Napoleon II! Wtedy całe zgromadzenie powstawszy ponowiło swoje zobowiązanie dla cesarskiej dynastji w osobie dziecka więźnia. W łonie zaś samej kommissji rządzącej jaśniej wyrażono się w tym przedmiocie; wypadek w la Vilette, żywych scen stał się powodem. Oburzony tem Carnot, gotów raz uledz Bour-

bonom, to znów dopatrujący zdrady w ich przywróceniu, powstał teraz przeciw Fouché'mu za owe wizyty p. de Vitrolles w kwaterze głównej w la Vilette. Teraz żądał on wyjaśnienia po co tam jeździł Vitrolles, co tam robił, kto i w jakim celu uwolnił go z więzienia. Fouché do gniewu niezbyt porywczy, tym razem uniósł się wzajemnie. — Na kogo pan się gniewasz? mówił do Carnot'a; czy można miotać się na wszystkich za trudności samem położeniem rzeczy wywołane? Ponieważ nie umiesz utrzymać się w granicach umiarkowania, zwróć się więc na marszałka Davout, stojącego na czele wojsk, i rozmów się z nim. Jeżeli do mnie masz pretensje, oskarż mnie przed izbami, tam ci odpowiem. — Ta żywa odpowiedź uciszyła Carnot'a, który wraz z swymi spółtowarzyszami ulegał gwałtowności i fałszywemu położeniu rzeczy: gdyż odpychać Napoleona i Bourbonów, byłoto podwójną sprzecznością, wypadek do zera przywodzącą. O pierwszą nie można obwiniać Carnot'a, upór atoli w drugiej nie zgadzał się ani z jego rozumem, ani z patrjotyzmem.

Wszelako, trzeba było raz skończyć; czując więc całe niebezpieczeństwo obecnego położenia, w którém z jednej strony widział nieprzyjaciół gotowych uderzyć na Paryż, i izby łatwe do przejścia z upadku ducha do najśmielszych postanowień, Fouché uznał konieczność stanowczego porozumienia się z jenerałami wojsk francuzkich w najważniejszej kwestji obrony Paryża. Jeżeli więc jest możność obrony, wypada walczyć; w przeciwnym razie należy poddać się. W istocie była to jedyna droga wyjścia z tego labiryntu, pomysł więc był trafny, tylko zbywało mu na szczerości, która skracając to bolesne powolne konanie, mogła była ocalić godność wszystkich, długiemi zachwianą matactwami.

Lubo stan rzeczy pod niektóremi względami polepszył się, rozwiązanie atoli pomysłu Fouché'go nie było łatwém. Zatrważające raporta marszałka Grouchy dawały przekonanie, że cofająca się do Paryża armja jest w rozsypce, a tém samém niezdolna do zasłonienia stolicy. Z bliska wszakże na nią patrząc, lepsze o niej przedstawiało się wyobrażenie. Korpus Vandamme'a, dawniej Grouchy'ego, dotąd nietknięty, chcąc wynagrodzić swoją nieobecność pod Waterloo, pałał żądzą przelania krwi pod murami stolicy. Wojska przybyłe z pod Waterloo, lubo słabiej uzbrojone, odzyskały dawną swą postawę i zapał. Złączywszy więc w całość te dwa oddziały, po potrąceniu małych strat w pochodzie z Laon do Paryża poniesionych, wojsko francuzkie liczyło około 58 tysięcy ludzi, w mężtwie i sile ducha niezrównanych. Imię Napoleona II wprawiało żołnierza w gorączkowy zapał; a gdyby nawet innego przeznaczano im króla, widok Prusaków i Anglików do wściekłości ich przyprowadzał. W zakładach zapasowych ściągniętych do Paryża znajdowało się

około 12 tysięcy ludzi, co podnosiło liczbę obrońców do 70 tysięcy. Nadto, było jeszcze około 6,000 związkowych, uzbrojonych jako tyraljerzy gwardji narodowej i gdyby nie niczem nieusprawiedliwiona nieufność rządu, łatwo uzbroić ich można było około 15 tysięcy. Zresztą do obsługi dział było kilka tysięcy marynarzy, weteranów i uczniów szkół. Zebranie więc 90 tysięcy żołnierzy pod murami stolicy, a z tych 70 tysięcy w należytym szyku bojowym, i łatwe do przeniesienia na jeden lub drugi brzeg Sekwany, nie było rzeczą niepodobną. Na prawym brzegu to jest w części na działanie nieprzyjaciela najprzód wystawionej, roboty fortyfikacyjne były w zupełności dokonane i w działa zaopatrzone. Przeciwnie, na lewym brzegu, szańce zaledwo były rozpoczęte. Wszelako pobrzeże to w braku szańców, miało inną dość silną obronę, to jest Sekwanę. Nieprzyjaciel chcąc działać na lewym brzegu, musiałby przejść Sekwanę i rozdzielić się na dwie części, czem postawiłby się w niebezpieczeństwie, z którego wódz francuzki nie omieszkałby skorzystać. Napoleon rozrządzając 70 tysiącami ludzi na obu brzegach Sekwany zadałby nieochybną klęskę jednej z dwoch armji nieprzyjacielskich, a być może obu razem; a choć Napoleona już nie było, wszelako wódz tak doświadczony i nieugięty jak Davout, potrafiłby zaiste silny stawić opór, a przynajmniej do czasu, w którym Wellington nadciągnąłby w pomoc Blücherowi.

Marszałek Davout pozostawił na prawym brzegu Sekwany wojska przybyłe z pod Waterloo, na lewym korpus Vandamme'a, dawny Grouchy'ego, gwardja zaś cesarska zajęła pole Marsowe; nadto, dla ułatwienia obrotów pomiędzy obu brzegami, rzucono przez rzekę most pływający obok mostu Jena. Nareszcie, na wzgórzach pod Auteuil ustawił działa wielkiego kalibru, sięgające na równiny Grenelle w razie gdyby nieprzyjaciel działając z lewej strony, uderzył na Vaugirard.

Wyżej już powiedzieliśmy, że Prusacy znieśli most pod Saint-Germain w celu rozwinięcia działań swoich na lewym brzegu z 60 tysiącami, gdy tymczasem Anglicy mieli niepokoić lewy brzeg z swojemi 50 tysiącami. Gwałtowne marsze, kilka potyczek i zajęcie kilku punktów pogranicznych zmniejszyły obie armje nieprzyjacielskie do 110 tysięcy.

Możnaż było w takim stanie rzeczy spodziewać się wygranej pod Paryżem? Zaiste, przy bardziej stanowczych zamiarach rządu i dodaniu niektórych ostrożności wojskowych, można było nieomylnie wstrzymać wojska pruskie i angielskie, a nawet surową za ich lekkomyślność dotknąć je karą. Wzgórza Montmartre, Belleville, Charonne postawione były w stanie dostatecznej obrony, lecz przykopy pod la Villette i la Chapelle, a mianowicie przystęp do kanału Saint-Denis mogły być bardzie

umocnione. Nieco więcej staranności w tej stronie uczyniłoby niemożliwym, atak na brzeg prawy, tak iż nie troszcząc się zupełnie o tę część obronną, dość było pozostawić tu tyraljerów związkowych i rekrutów. W tym razie 58 tysięcy ludzi z armji wracającej z Flandrji, mogły być przeniesiono na lewy brzeg i użyte przeciw Prusakom. Ponieważ nieodzownem było rozwinąć działania tak, aby wpędzić nieprzyjaciela do Sekwany, trzeba było więc oddalić się od Vaugirard i Montrouge o jednę lub dwie mile francuzkie i tém samém usypać szańce stronę tę zasłaniającą. Nie ma wątpliwości, że uzupełniwszy roboty fortyfikacyjne na prawym brzegu, a poczyniwszy je na lewym, nadto, uzbroiwszy większą liczbę związkowych, można było pozostawić 25 tysięcy na prawym brzegu, a z 70 tysiącami przejść na lewy, uderzyć na Prusaków i znieść ich i następnie takąż klęskę zadać Anglikom.

Lecz czy w takiem nawet powodzeniu mogły być jakie zbawienne dla kraju widoki? Od wschodu ciągnęła nowa z 200,000 złożona armja nieprzyjacielska, a przednia jej, 50 tysięczna kolumna pod marszałkiem Wrede, zaledwie o 4 lub 5 dni drogi znajdowała się od Paryża. Wprawdzie tym rozpaczliwym krokiem można było zadowolić się chwilową zemstą za klęskę pod Waterloo; zato w kilka dni później straszniejszy jeszcze oczekiwał odwet. Bezwątpienia, gdyby po takiém zwycięztwie miano jeszcze na czele Napoleona, by skorzystać z wzniecionego w duszach zapału, wtedy opór koalicji stałby się możliwym. Lecz Napoleon odjechał już do Rochefort; chwilowa więc pomyślność pod murami Paryża drażniąc koalicję, w trudniejszych warunkach postawiłaby Francję.

W położeniu w jakiem wtedy znajdowała się Francja, łatwo pojąć, jak wszystko pałało żądzą rozpaczliwej walki, jak nie bacząc na grożące niebezpieczeństwa, każdy zadanym ciosem śmiertelnym Prusakom i Anglikom pragnął się pomścić klęski pod Waterloo, choćby nawet jutro cięższemu zato miał uledz losowi!

Taka walka wrzała w duszy nieugiętego obrońcy Hamburga, a dziś obrońcy Paryża. Obwiniać więc tego męża o słabość lub nikczemność, byłoby szaleństwem umysłu stronniczego. Znał on dobrze złą i dobrą stronę swego położenia, znał korzyści jakie można było odnieść nad nieprzyjacielem na obu brzegach Sekwany rozłożonym i z trudnością wzajemną utrzymać mogącym kommunikację, gdy tymczasem wojsko broniące Paryża, będąc panem wszelkich dróg, zawsze całą massą uderzać mogło na sprzymierzonych, którzyby się poważyli pomknąć na brzeg lewy, gdzie zawsze nieochybna dotknęłaby ich klęska. Jako wódz chętnie stoczyłby bitwę takie przedstawiającą nadzieje; jako obywatel zaś, widział w razie niepowodzenia, całe niebezpieczeństwo wściekłej zemsty Prusa-

ków nad zdobytym Paryżem, gdyby nawet walkę uwieńczyło zwycięztwo, krótkotrwałe ztąd wynikłyby następstwa albowiem 200,000 sprzymierzonych w ciągu 15 lub 20 dni ukazać się mogły pod stolicą. Tak więc Davout ulegał teraz wewnętrznej walce żołnierza i obywatela. Nadto, gniewem i nieufnością tchnął względem Fouché'go, któremu w sposób szczery przedstawił potrzebę zakończenia kryzys uczynionych do izb wnioskiem, aby ogłosić Bourbonów na warunkach pewnych i z honorem zgodnych. Wprawdzie Fouché wniosek ten przyjął, lecz go pod słabemi pozorami nadal odłożył, a tymczasem ajentom rojalistowskim tajemnie, wszystko czego żądali obiecywał, publicznie zaś zrzucał całą odpowiedzialność na dowódzcę wojsk, zmuszając go do uznania niemożliwości obrony. Marszałek więc walał się z jednej strony w obraniu stanowczego kroku, z drugiej gniewem pałał przeciw Fouché'mu, który zamiast obrać prostą i uczciwą drogę w wypowiedzeniu izbom prawdy, krążył manowcami, kryjomo zyskując znaczenie u rojalistów, w oczach zaś stronników rewolucji i bonapartystów, winę poddania się woli nieprzyjaciela zwalał na dowódzcę wojsk w razie, gdy ten od dalszej obrony stolicy uchyli się.

W takiém zostając położeniu Davout w dniu 1 Lipca otrzymał zaproszenie od księcia Otranto, aby przybył do kommissji rządzącej dla naradzenia się w ważnej kwestji, czy należało oprzeć się, czy uledz wymaganiom wodzów nieprzyjacielskich. Marszałek traktując Fouché'go z pewną dumą i małoważeniem, nie spieszył się na posiedzenie, w którém mało szczerości znaleźć spodziewał się. Zresztą obrawszy główną kwaterę w Montrouge, zajął się uszykowaniem wojsk, rozstawieniem ich na właściwych pozycjach i w tym celu poświęcił czas na spełnianiu obowiązków dowódzcy, ważniejszych niż rola członka rządu, w jego rozumieniu za dodatkową tylko uważana. Kommissja widząc, że marszałek nie spieszy się na wezwanie Fouché'go, wystosowała do niego zbiorową odezwę, zalecającą bezzwłoczne na sessję przybycie. Jakoż Davout zaraz przybył. Było to po południu. Oprócz członków kommissji znajdowali się ministrowie, biura izb, marszałek Massena, dowódzca gwardji narodowej paryzkiej, Soult, Lefebvre; jenerałowie Evain, Decaux, de Ponthou, ten ostatni jako dowódzca artyllerji i inżenierji. Nie zaproszono marszałka Ney, którego przemówienie w izbie parów kompromitowało władzę.

Kiedy już wszyscy zasiedli, książę Otranto przedstawił cel zebrania, a nie objawiając rezultatu układów podjętych przez pp. Boisy d'Anglas, Valence, Andréossy, Flaugergues i La Besnardière w głównej kwaterze Wellingtona, nie taił wszakże, jak coraz groźniejszymi stawali się wo-

dzowie nieprzyjacielscy, jak nie okazywali skłonności do podpisania zawieszenia broni, jeżeli im nie będzie oddany Paryż, główne siedlisko rządu, aby następnie działać mogli według swego upodobania. Nie potrzeba było wielkiej bystrości umysłu, ani bliższych wyjaśnień, aby zrozumieć, że tu nie szło o obawę oddania Paryża na rzeź i ruinę, ale raczej o doprowadzenie do skutku zupełnego w nim przewrotu.

Po krótkiem przedstawieniu przedmiotu, Fouché zatrzymał się, oczekując, czy kto nie zabierze głosu; każdy jednak wolał milczeć, niż objawiać zdanie w tak ważnej okoliczności. Wtedy Fouché chcąc koniecznie zbadać opinję, wezwał najprzód obecnych członków izby reprezentantów, na których skompromitowaniu najbardziej mu zależało. Pierwszy z tak interpelowanych był Clément z departamentu Doubs, człowiek otwarty i poważany, członek biura drugiej izby. W odpowiedzi swej Clément oświadczył, że kwestja ta, jako wyłącznie militarna, może być rozwiązaną tylko przez jenerałów, czém zdawał się wyzywać Massenę do objawienia swego zdania. Sławny ten obrońca Genui, który z równym żalem patrzył na powrót Bourbonów w 1814 r., jak na powrót Napoleona w 1815 r. znał dobrze drażliwość obecnego położenia, i jeżeliby chciał wziąć jaki udział w wypadkach, to zapewnie doradzałby w tej mierze wybór najkrótszej do rezultatu prowadzącej drogi, to jest, przywrócenie Bourbonów. Słabym, nie z braku sił, ale raczej zniechęcenia, głosem, Massena oświadczył, iż z doświadczenia wie, jak długo w tak wielkiem mieście przeciw silnemu opierać się można nieprzyjacielowi, lecz nie znając sił w około niego nagromadzonych, nie jest tem samem w możności z należytą świadomością rzeczy zdania swego objawić.

Taka odpowiedź znagliła marszałka Davout, jako ministra wojny i naczelnego dowódzcę siły zbrojnej, mającej bronić Paryża, do stosownego wyjaśnienia. Szorstka jego i gniewna odpowiedź tchnęła niechęcią do tej krętej polityki, co wymijając proste sprawy rozwiązanie, zdawała się szukać przyjemności w coraz trudniejszém jej zawikłaniu. — Czegoż odemnie żądacie? Chcecież wiedzieć, czy można stoczyć walkę pod murami Paryża? Powiadam wam, że można, że jest nawet rękojmia zwycięztwa, i co do mnie gotów jestem bić się mężnie i z ufnością. — Następnie, jako mistrz w swojej sztuce, przedstawił rzecz w prostych, ale dostatecznie rzecz malujących słowach. Mowa jego uczyniła silne na słuchaczach wrażenie. — Tak więc, mówił dalej, jeżeli cała kwestja opiera się na możności stoczenia i wygrania bitwy, oświadczam, że gotów jestem stoczyć i mam nadzieję ją wygrać. Wszystkim więc którzy głoszą, że ja głównie uchylam się od bitwy i że ją uważam

za niemożliwą, wbrew zadaję kłamstwo i żądam, aby to moje oświadczenie było zapisane.

Oblicze Fouché'go zwykle niezmienne, tym razem większą pokryło się bladością. Zakłopotany słowami widocznie ku niemu zwróconemi, tonem goryczy odparł: Oświadczasz pan gotowość do boju, lecz możesz zapewnić wygranę? — Tak, zawołał nieustraszony Davout, zapewniam, jeśli tylko w dwóch pierwszych godzinach nie polegnę.

Ta nowa odpowiedź w większy jeszcze kłopot wprawiła Fouché'go, który gdyby się powodował szczerością zamiarów i prawością charakteru, mógłby teraz rzecz całą wprowadzić na drogę, do której widocznie zmierzał marszałek. Wprawdzie zwycięztwo, pomimo najprzyjaźniejszych pozorów, zawsze wątpliwe, nie stawiało jeszcze rzeczy u kresu; dla zebrania bowiem szczątków armji angielskiej i pruskiej, ciągnęło jeszcze 200 tysięcy świeżego nieprzyjaciela. Kiedy Napoleon w r. 1814 stojąc w Fontainebleau chciał stoczyć ostatnią rozpaczliwą bitwę, pewniejszym wtedy mógł być wygranej, mając do czynienia tylko z monarchami zamkniętymi w Paryżu, po za którymi nie było żadnej pomocy w odwodzie; teraz zaś, po odparciu nawet Blüchera i Wellingtona, najdalej po upływie ośmiu dni, przybywał trzy razy silniejszy nieprzyjaciel, a do tworzenia genjalnych obrotów nie było już Napoleona. Bitwa więc nie dawała ostatecznego wypadku. Podług zdań krążących w szeregach żołnierzy szlachetną rozpłomienionych rozpaczą, walka mogła rozstrzygnąć wszystko; roztrząsany atoli przez obywateli i mężów stanu na radzie rządu, zamiar ten wprawdzie szlachetny, ale najsmutniejszy w swoich następstwach zasługiwał na odrzucenie.

Książę Otranto nie wiedząc i nie śmiąc postawić kwestji tak jak ją postawić należało, w trudnem znajdował się położeniu: gdy nagle niespodziewaną pomoc przyniósł mu Carnot, ten właśnie który co chwila gotów był rzucić mu w twarz, wyrazem zdrajca. Zacny ten obywatel tylko co zsiadł z konia i wszedł pyłem jeszcze okryty. Przebiegł on właśnie okolice Paryża, a jako inżenier i znawca, odbył umiejętny rekonesans. Jakoż oświadczył, iż w jego przekonaniu bez narażenia mieszkańców i stolicy na straszliwą klęskę, niepodobna występować w zapasy z nieprzyjacielem. Roboty fortyfikacyjne na prawym brzegu nie były tak silne, aby własnej siłe mogły być pozostawione i aby tem samem dozwalały przenieść całą armję na brzeg lewy, na którym roboty te były tak słabe, iż każde oddalenie się od miasta groziło mu zdobyciem. Chcąc bowiem wyprzeć Prusaków z wzgórz pod Meudon, wypadało odkryć Montrouge i Vaugirard, wystawiłoby na szwank bezpieczeństwo stolicy. Dalej, nie było pewności, czy wojska pruskie i angielskie są w niemożności

wzajemnego wspierania się; w niektórych bowiem miejscach, w tej porze wody tak opadły, że łatwo można było wbród przejść Sekwanę. Zdaje się nawet, że w okolicach Chatou i Argenteuil, obie armje nieprzyjacielskie pracowały nad zapewnieniem sobie wzajemnej kommunikacji, przypuszczać więc można, że na lewej stronie wypadałoby walczyć nietylko z Prusakami, ale nadto z połową wojsk angielskich, czyli z 80 tysiącami żołnierza, mając go zaledwie 50 lub 60 tysięcy. Powodzenie więc było bardzo wątpliwe, wątpliwsze niż je sobie wystawiał marszałek naczelny dowódzca i Carnot, który nie mógł być o stronność podejrzywanym, powrót bowiem Bourbonów groził niebezpieczeństwem jego głowie.

Zdanie takiego jak Carnot patrjoty i inżeniera wywarło i musiało wywrzeć silne wrażenie na obecnych. Poparł je Soult mówiąc, że przypatrzywszy się okopom lewego brzegu, nie znajduje w nich odpowiedniego bezpieczeństwa; kanał zaś pod Saint-Denis nie stanowił zbyt trudnej dla oblegających zawady, po za nim bowiem nie przysposobiono nic do drugiego oporu, z czego wynika, iż nieprzyjaciel zdobywszy kanał mógłby się dostać do Paryża wraz z wojskiem francuzkiem cofającém się na przedmieścia i to w czasie, kiedy walka mniej-więcej pomyślna toczyłaby się na lewym brzegu Sekwany.

Wtedy marszałek Lefebvre, stary rewolucjonista, którego zresztą mało obchodzili Bourboni, począł zbijać to zdanie. Mniemał on, że kilka dni wystarczały na uzupełnienie robót fortyfikacyjnych na prawym brzegu i uczynienie go tém samem niezdobytym; następnie w podobnyż sposób możnaby umocnić brzeg lewy, co pozwalałoby oddalić się choćby na kilka godzin. Zresztą, Paryż posiada jeszcze wiele rąk zdolnych do noszenia broni, z któremi w liczbie przynajmniej 70 tysięcy możnaby pójść na wroga. W końcu dodał, iż przekonanym jest o możliwości wygrania bitwy, coby zupełnie położenie rzeczy zmieniło.

Taki na rzecz pogląd mógł się wprawdzie utrzymać, lecz ani Fouché, ani nikt inny kwestji tej dalej nie posuwał czyli całości położenia nie obejmował tak, aby przekonać, że powodzenie pod Paryżem, sprawy stanowczo nie rozstrzygało i po chwilowem polepszeniu, mogło ją potem utrudnić. Ponieważ zadanie to natury technicznej przywodziło się do możliwości odniesienia zwycięztwa pod murami stolicy, sami więc tylko wojskowi w rozwiązaniu go mogli być właściwymi sędziami. Członkowie przeto cywilni, w przeważającej w tej naradzie liczbie, widząc z obrotu dyskussji możność uniknienia odpowiedzialności oświadczyli, że gdy kwestja ta, z natury swej czysto-militarna, przez wojskowych tylko

stanowczo orzeczono być winna, należy przeto wybrać radę z ludzi w sztuce tej doświadczonych.

Zdanie to, w myśl większości obecnych przypadając e, jednozgodnie zostało przyjęte; jakoż postanowiono wieczorem tegoż samego dnia zwołać radę wojenną, złożoną z jenerałów, do wyrzeczenia ostatecznej decyzji. Było to więc wymijanie, a nie usuwanie trudności; zrzucając bowiem cały ciężar na barki wojskowych, pozostawiano zawsze to ważne pytanie, czy po uznaniu obrony Paryża za możliwą i po otrzymanem nawet zwycięztwie, kwestja odparcia Europy będzie już załatwioną.

Otwarcie postępując Fouché od razu straszliwą tę wątpliwość mógł rozwiązać, wszelako wolał on tą drogą podwójny cel osiągnąć, to jest przyspieszyć ostateczne postanowienie i zrzucenie odpowiedzialności wyłącznie na radę wojenną. W tym celu takie dla rzeczonej rady przygotował pytania, iżby ta zmuszoną była na każde stanowczą udzielić odpowiedź. Jakie jest położenie Paryża co do robót fortyfikacyjnych, uzbrojenia i zapasów amunicji? Czy można wytrzymać attak z obu brzegów Sekwany jednocześnie wymierzony? Czy w razie niepowodzenia jest rękojmia bezpieczeństwa dla samego miasta i jego mieszkańców? W każdym razie nareszcie, jak długo dałoby się wytrzymać ten opór?

W chwili zebrania się rady wojennej w la Vilette, otrzymano wiadomość o nowej świetnej utarczce, rano z jazdą pruską pod Wersalem stoczonej. Davout zawiadomiony od jenerała Grenier, że kawalerja pruska posunęła się pod Wersal, polecił jenerałowi Exelmans pójść na jej spotkanie. Jakoż jenerał ten, gotów zawsze walczyć do ostatniej chwili, pośpieszył natychmiast zabiedz drogę nieprzyjacielowi. Ukrywszy jenerała Piré w zasadzce pod Rocquencourt, sam z dragonami ruszył przez Velizy do Wersalu. Jazdę nieprzyjacielską składało dwa pułki huzarów pułkownika Sohr, 1,500 koni liczące. Dostrzegłszy ją pod Werselem, Exelmans natarł w całym pędzie z 5-m i 15-m pułkiem dragonów, gdy tymczasem waleczny pułkownik Briqueville z 6-m huzarów i 20-m dragonów rzucił się z boku na Prusaków. Wparte na Rocquencourt i przyjęte tam ogniem 44-go pułku linjowego i strzałami 1-go i 6-go pułku strzelców, oba te pułki zostały zniesione tak, iż zaledwie kilku żołnierzy zdołało z tą smutną wieścią nadbiedz do głównej kwatery. Niebawem piechota pruska wyruszyła w pomoc jeździe, lecz było już zapóźno.

Świetne to powodzenie oręża, ta dwudziesto-dwuletnie krwawe boje zakończająca walka, słabą w nieszczęściu przynosząca pociechę, w niczém wszakże istoty rzeczy nie zmieniła. Rada wojenna w la Vilette

zebrana, nie znalazła trudności w skreśleniu odpowiedzi na pewną liczbę z adanych jej pytań, z których wyłącznie miała się wytłómaczyć; odpowiedź więc nie mogła być sprzeczną z dążnością księcia Otranto.

Co się tycze dzieł fortyfikacyjnych, rada wojenna uznała, że szańce i okopy z prawej strony Sekwany są odpowiednio umocnione, z lewej zaś żadnej nie zapewniają obrony; zapasy zaś amunicji uznano za dostateczne. Co do przewidywanego attaku z obu brzegów Sekwany przez wojska pruskie i angielskie wykonać się mogącego, rada uznała takowe jako mało do prawdy podobne, nie możliwe zaś do zniesienia w razie jednoczesnego ich natarcia. Nie było wiele do powiedzenia w tym przedmiocie, główny bowiem attak pochodzić musiał z lewego brzegu, bo z prawego mógł być tylko pomocniczym. Pozostawiwszy więc niewielki zastęp na prawym brzegu, 60 tysięcy żołnierza na lewym miało stawić czoło całej sile nieprzyjaciela, i powstrzymać go, jeżeli nie pobić na głowę. Dana w tej mierze odpowiedź mogła być jeszcze kwestją sporną. Co się tycze następstwa dla mieszkańców po szturmie i zdobyciu miasta, rada wojenna słusznie odrzekła, że żaden wódz nie może poręczać za skutki z przegranej wynikające bitwy. Nareszcie, co do długości czasu, w jakim miasto zdolne jest stawić opór nieprzyjacielowi, rada oświadczyła, że w rzeczy tej, jako z trudnością dającej się oznaczyć, z trudnością też zaspakajającą można udzielić odpowiedź.

Z danych przeto w powyższy sposób odpowiedzi, żadna nie dawała przekonania, czy zadana Prusakom i Anglikom pod Paryżem klęska, polepszyłaby w czem położenie Francji względem Rossjan, Austrjaków i Niemców, i czy nie byłoby potem powodów do żalu z zbyt niebacznego przyjęcia bitwy. Mimo to rada wojenna co do punktów stanowczo określonych, stosowne, z wyjątkiem jednej, i rzeczywiste dała odpowiedzi. Zresztą, odpowiedzi te wystarczały dla prezesa rządu tymczasowego; bo jak skoro ludzie fachowi uznali Paryż jako zupełnie z lewej strony odkryty, jednoczesny z obu brzegów attak do odparcia trudny, następstwa dla mieszkańców Paryża przewidzieć się nie dające i wątpliwe i opór w każdym razie tylko chwilowy, już tem samem wniosek ztąd wyprowadzić się dający był widoczny. Jedyną więc na tej drodze ucieczką były układy. Nawet sam Carnot, istotny przeciwnik Fouché'go w składzie rządu tymczasowego, nie mógł wniosku tego zbijać, tem bardziej gdy sam wbrew zdaniu marszałka Davout, dalszy opór uznał niepodobnym. Poparł go Grenier, Quinette nie był żołnierzem, a co się tycze piątego członka, p. de Coulaincourt, zdaniem jego, jak skoro Napoleon z widowni się usunął, nie pozostawało jak przyjąć Bourbonów na warunkach o ile można, najmniej uciążliwych. Zwaliwszy, podług

swego życzenia, całą odpowiedzialność na wojskowych, Fouché oświadczył, że w obecnym stanie rzeczy nie pozostawało nic, jak przystąpić na nowo do układów o zawieszenie broni. Niezależnie od przesłania żądanych instrukcji dla kommissarzy w kwaterze głównej traktujących, łatwo było zwrócić się wprost do Blüchera już ucierającego się z wojskami francuzkiemi na lewym brzegu Sekwany. Wysłany do przednich straży pomiędzy Vaugirard a Issy parlamentarz łatwo mógł wejść w umowę w sposób najzgodniejszy z zasadami wojennemi. Tak działając pogłaskanoby miłość własną Blüchera, zawistnego zawsze Wellingtonowi, a że nie wątpiono o jego umiarkowaniu i łatwem przechylaniu się za zdaniem rozsądnem, uznano więc że pochlebstwo w tej mierze wodzowi pruskiemu, najuporczywszemu ze wszystkich, nie było krokiem bardziej od innych w tém położeniu upokarzającym. Przed wysłaniem atoli parlamentarza do przednich straży pruskich, Fouché mający zawsze pociąg do tajemnych stosunków, chciał powtórnie wysłać do Wellingtona pułkownika Macirone, a do Blüchera jenerała Tromelin, aby na drodze poufnego porozumienia się zbadać warunki do posyskania zawieszenia broni. Nowym tym krokiem chciał on zarazem wymiarkować, czy wypadało ostatecznie zdecydować się na Bourbonów, a tem samem usposobić ich do poczynienia ustępstw powrót ich ułatwiających. Radził przeto księciu Wellingtonowi (który sam tylko zdolny był pojąć należycie uwagi polityką wskazane), aby się nie spieszył z wejściem do Paryża, dał czas do uciszenia się namiętnościom, oszczędził armję, a nadewszystko zachował jej trójbarwną chorągiew; aby tem samem zadowolił izby, pozostawił je przy prawie inicjatywy i nakoniec ogłosił zapomnienie wszystkiego co się stało przed i po 20 Marca. Takie ustępstwa, pisał Fouché, pokonają trudności czasu i przechylą na stronę Bourbonów tych nawet, którzy dotąd są im najprzeciwniejsi. Warunki te miał przedstawić Wellingtonowi pułkownik Macirone. Tak szczegółowe porozumienie się z Blücherem nie było zadaniem jenerała Tromlin, celem bowiem jego posłannictwa było zbadanie istotnych warunków, na których dałyby się osnuć układy z tym nieubłaganym Prusakiem.

W dniu 1 Lipca wieczorem zapadło wspomnione wyżej postanowienie rady wojennej; w dniu zaś 2 Lipca z rana rząd tymczasowy zdecydował się ostatecznie. Dwaj delegowani, Macirone i Tromelin, wyjechali w dniu 2 Lipca po południu, pierwszy udając się do Gonesse, drugi do Saint-Cloud. Pułkownik Macirone zatrzymany był aż do dnia następnego przez forpoczty angielskie; Tromelin zaś przedarł się przez straże pruskie i doprowadzony został do marszałka Blüchera, który z zadowoleniem ujrzał, że i o nim przecież pomyślano. Od chwili w której wódz pruski poznał trudność swego położenia na lewym brzegu Sekwany i niemo-

żność otrzymania pomocy Anglików, odtąd, mówię, sam pragnął wejść w układy, aby rozcinając ten węzeł, usunąć zbliżających się Bawarczyków, Austrjaków i Rossjan od wszelkiego udziału w zyskaniu sławy z ukończenia kampanji. Jakoż uprzejmie przyjął jenerała Tromelin, lubo zaraz za konieczny warunek postawił poddanie Paryża. Oświadczył, iż nic jeszcze ze względu na stosunki polityczne nie ułożono, dając wszakże do domyślenia się, co sprzymierzeni myślą zrobić stawszy się panami stolicy Francji. Aby jednakże w umyśle jenerała Tromelin nie pozostawić żadnej wątpliwości co do zamiarów koalicji, Blücher okazał mu list ministra Nesselrode i ks. Metternicha z d. 26 Czerwca, o którym Wellington uczynił tylko wzmiankę komissarzom francuzkim, on zaś dał go odczytać w całej jego treści. Stanowcze to pismo zalecało obu wodzom wojsk sprzymierzonych, aby nie wstrzymywali działań swoich dopóki nie staną w Paryżu, nie uznawali żadnej władzy ustanowionej od dnia 20 Marca i usilnie starali się dostać w moc swą osobę Napoleona. Wprawdzie w wspomnionym liście nie było wzmianki o Burbonach, można więc było jeszcze łudzić się nadzieją, że Rossjanie i Austrjacy, tyle do nich co Anglicy wagi nie przywięzują; jedno tylko żądanie wejścia do Paryża i nieuznawanie władz istniejących było warunkiem nieuniknionym. Po tak przedwstępnej umowie, jenerał Tromelin opuścił Blüchera, by księciu Otranto zdać sprawę z swego posłannictwa. O pułkowniku Macirone, który jeszcze nie dostał się do Wellingtona, dotąd nic pewnego nie wiedziano.

Nadeszła więc chwila stanowczego namysłu w obec wojsk nieprzyjacielskich po obu brzegach Sekwany rozłożonych. Cała armja pruska przeszła rzekę i usadowiła się na wzgórzach Sèvres i Meudon, prawem skrzydłem ku Saint-Cloud, tyłem zaś o rzeczkę Bièvre opierając się; Anglicy zaś zajmowali się rzuceniem mostu pod Argenteuil i przez Courbevoie i Suresnes posuwali się pod Saint-Cloud, aby w danym razie częścią swych sił wesprzeć Blüchera. Główna ich armja obozowała na równinie pod Saint-Cloud.

Ze swej strony marszałek Davout, jako wódz doświadczony, odpowiednie zajął stanowisko. Umocniwszy szańce prawego brzegu, obronę ich powierzył tyraljerom gwardji narodowej, bataljonom zapasowym i części wojsk z pod Waterloo; obronę zaś lewego brzegu poruczył resztce wojsk i całemu korpusowi Vandamma. Co się tycze gwardji cesarskiej, ta, jak powiedzieliśmy, stała w rezerwie na Polu Marsowem, zaopatrzona w pontony, dla rzucenia ich na Sekwanę, w miarę potrzeby dostania się na jeden lub drugi jej brzeg. Silna artyllerja umocniona działami wielkiego kalibru, zajmowała wzgórza Auteuil, zkąd pociski jej rzucane

poza rzekę dosięgałyby nieprzyjaciela na błoniach Grenelle. W dniu 3 Lipca, o godzinie 4 z rana, Davout wykonał silny rekonesans na Issy zajęte przez Prusaków i dzielnie ich odparłszy, zatrzymał się nie chcąc przed otrzymaniem rozkazów otwartej rozpoczynać bitwy. Wszelako, na wszystkich punktach, wódz ten, w razie wygórowanych wymagań ze strony nieprzyjaciela, gotów był zmierzyć się z nim na ostre, tem więcej, gdy żołnierz rozgrzany żądzą boju, z zapałem upominał się o bitwę. Mając 80 tysięcy wojska przeciw 120 tysiącom nieprzyjaciół rzeką Sekwaną rozdzielonych, Davout śmiało mógł ufać w zwycięztwo. Serce jego drżało na głośne dopominanie się żołnierzy; niekiedy nawet zamierzał rzucić się w bój i zwyciężyć w nim lub umrzeć pod murami stolicy. Czekał atoli na rozkazy komissji rządzącej i nie był tyle nierozważnym, aby rozstrzygać los Francji bez przyzwolenia rządu.

Tymczasem komissja, po powrocie jenerała Tromelin, postanowiła wysłać do przednich straży pruskich trzech pełnomocników: p. Bignon, tymczasowego ministra spraw zagranicznych, jenerała Guilleminot, szefa sztabu marszałka Davout, i p. Bondy, prefekta departamentu Sekwany. Legacja ta więc zawierała w sobie przedstawicieli interesów polityki, wojska i stolicy. Panu Coulaincourt poruczono wygotowanie trzech projektów zgody, które posłannicy z kolei mieli przedstawiać.

Treścią tych trzech projektów było zachowanie nietykalności osób za ich czyny lub zdania, uszanowanie własności prywatnej i publicznej, całość dzieł sztuki i muzeów, jako też utrzymanie władz istniejących. Dana instrukcja kładła szczególny nacisk na oddanie i sposób zajęcia Paryża. Według pierwszego projektu, Paryż winien być uznany za neutralny, wojska opuściwszy stolicę, miały stanąć w pewnej odległości wyrównywającej oddaleniu wojsk przeciwnych. Według drugiego, przyjmując warunek jak w pierwszym, Paryż mógłby być zajętym nie prędzej, jak po otrzymaniu wiadomości od legacji wysłanej do monarchów. (O tych pierwszych delegowanych nic dotąd nie wiedziano, pochlebiano sobie wszakże, że oni potrafią pozyskać jakieś ustępstwa od cesarza Alexandra). Nakoniec, w ostateczności, armja francuzka mogłaby się cofnąć za Loarę i stanąć w odległości o ile można dla niej najkorzystniejszej, straż Paryża poruczonąby była gwardji narodowej z obowiązkiem utrzymania porządku i zabezpieczenia władz dotychczasowych.

Kiedy przyszło już do podpisania tych warunków, ręka Carnot'a i Grenier'a zadrżała, a serce żal ucisnął. Sam Fouché, który obok chęci ocalenia swej osoby pragnął z tej ogólnej niedoli i kraj swój ocalić, Fouché, mówię, zachwiał się chwilowo. Podpisał jednakże zalecając delegowanym udać się najprzód do głównej kwatery marszałka Davout od nie-

go ostateczne odebrać instrukcje, i nie odjeżdżać, dopóki wódz ten nie uzna stanowczo, że nic lepszego uczynić nie pozostaje.

Bignon, Guilleminot i Bondy wyjechali więc, udając się do głównej kwatery w Montrouge. Tu nadzwyczajne panował o wzruszenie; cały bowiem sztab marszałka Davout i wojsko miotało się, groziło, krzyczało na zdradę. Dziwna rzecz, że sam marszałek, lubo surowy i wymagający, w milczeniu znosił te wrzaski. Oblicze jego zwykle martwe, teraz głęboka przenikała boleść. Jenerałowie Flahault i Exelmans wołali, że lepiej było ponieść zgon pod murami stolicy, niż kapitulować w obozie nieprzyjacielskim. Widząc co się dzieje, trzej delegowani zachwiali się w postanowieniu co do dalszej podróży. Drouot, jeden z najdzielniejszych owoczesnych mężów, w odpowiedzi danej p. Bignon ubolewał, że jako żołnierzowi przykro jest, iż nie może umrzeć na tych błoniach; jako obywatel atoli, nie widzi innego środka nad układy. Słowa te wyrzeczone przez męża znanego z prawości, były niejaką pociechą dla trzech pośredników w tak przykrej podjętej przez nich missji. Ulegając mimowolnemu popędowi Davout prosił komissarzy o chwilę cierpliwości, sam zaś w orszaku wielu oficerów pospieszył, by raz jeszcze rzucić okiem na zajmowane przez nieprzyjaciół stanowisko. Wkrótce powrócił. Owe tajemne głosy, co w ważnych okolicznościach oddziaływają na postanowienie człowieka, odezwały się w duszy jego perswazją, że w tym razie żołnierz powinien ustąpić obywatelowi.—W ysłałem już parlamentarza, rzekł do p. Bignon, możecie teraz jechać.

Jakoż zwrócili się ku przednim strażom pruskim. Po dość przykrem obejściu ze strony jenerała Ziethen, wkrótce zaprowadzeni zostali do zamku Saint-Cloud, gdzie marszałek Blücher główną stał kwaterą.

Pomimo zwykłej swej szorstkości, Blücher którego próżności pochlebiał widok trzech pełnomocników francuzkich w swojej głównej kwaterze, widząc że nie zawsze przecie stawiany jest na drugim planie poza Wellingtonem, grzecznie ich przyjął, oświadczając wszakże za siebie i swego brytańskiego kolegę, że koniecznym warunkiem jest oddanie Paryża i usunięcie wojsk francuzkich. Co do innych punktów, wszelką dyskussję uważał za możliwą, te dwa atoli czyniąc nieodzownemi. Zaledwie te kilka słów wymieniono, kiedy Wellington zawiadomiony przez Prusaków o rozpoczęciu umowy, przybył sam i zwrócił rozmowę na rzeczywistą treść zadania. Ustąpienie armji francuzkiej i poddanie Paryża, było i tym razem podstawą możliwego rozwiązania kwestji. Jedynie czas zajęcia stolicy, liczba dni na ustąpienie wojsk francuzkich i kres na którym one miały się zatrzymać, pozostały jako przedmiot mający być w dalszej naradzie określony. Obaj wodzowie nie stawiali trudności w zezwoleniu na

niemieszanie się do polityki i pozostawienie gwardji narodowej, na służbie od chwili w której wojska cudzoziemskie rozłożą się w Paryżu; nie taili bowiem, iż restauracja Bourbonów jest jedynym ich celem. A lubo nie wypadało im jawnie tego wyznać, a tem mniej o tem pisać, pewni wszakże byli, że raz stawszy się panami Paryża, małej wagi rzeczą będzie dla nich pozostawienie gwardji narodowej na straży porządku publicznego. Rzecz szczególna, że ten któremu najwięcej szło o przywrócenie Bourbonów, książę Wellington, nie chciał się do tego przyznać, a to ze względu na parlament angielski, który łudzono co do zamiaru zaprowadzenia zmiany rządu we Francji. Nakoniec, co się tycze poszanowania mienia i osób, Anglicy i Prusacy, udając stały zamiar nie mieszania się do polityki, zapewniali za siebie i swoje wojska, że w tej mierze Francuzi żadnej nie mogą mieć obawy.

Po takich przedwstępnych naradach, książę Wellington, zawsze gruntownie rzeczy biorący, oświadczył, że umowa zależy głównie na redakcji, zapytał więc czy delegowani przywieźli gotowy projekt. Ponieważ dwa pierwsze nie mogły już być przedmiotem dyskussji, Bignon więc przedstawił trzeci projekt przez p. Coulaincourt skreślony. Wtedy Wellington objawił chęć naradzenia się z samym Blücherem; jakoż po półgodzinnej rozmowie powrócił przynosząc projekt ze zmianami ołówkiem na skraju papieru poczynionemi. Po nowych ztąd debatach co do niektórych punktów spornych, zgodzono się nareszcie na następujące warunki:

Armja francuzka, której ustąpienia bezwarunkowo domagano się, ustąpi z Paryża w przeciągu dni trzech, w ośmiu zaś dniach cofnie się za Loarę, jako ostatecznie przyjętą granicę.

Nazajutrz, to jest 4 Lipca, Francuzi obowiązani są oddać Saint-Denis, Saint-Ouen, Clichy i Neuilly; w dniu zaś następnym, Montmartre, a w trzecim rozmaite bramy miasta czyli rogatki.

Wojsko mocne jest zabrać całą swoją własność, broń, artyllerję, kassy pułkowe i bagaże. Oficerowie związkowi, którzy jako składający część gwardji, powinni byli być wyłączeni, zostali zaliczeni do armji wolą nieprzyjacielskich dowódzców, którzy wpływu ich na ludność miejską szczególnie obawiali się.

Po takiem określeniu warunków, wypadało przystąpić do oznaczenia sposobu zachowania się w Paryżu wojsk cudzoziemskich. Delegowani chcieli w tej mierze następujące uczynić ostrzeżenie: *Wodzowie wojsk angielskich i pruskich, obowiązują się sami uszanować i innym nakazać poszanowanie tak dla dotychczasowego rządu, jako i dla władz narodowych, administracji od nich zawisłych i nie mieszać się w niczem w sprawy wewnętrzne i kierunek zarządu państwa francuzkiego.*

Obok znanych, choć tajonych zamiarów wodzów nieprzyjacielskich, przyjęcie wyżej przywiedzionych warunków było niemożliwem. Przyjęto więc następujący tekst, którego hipokryzja zamieniała się w śmieszność: *Wodzowie wojsk angielskich i pruskich obowiązują się uszanować i nakazać poszanowanie wszelkich władz do czasu ich istnienia.* Dodano w końcu, że sama gwardja narodowa utrzymywać będzie wewnętrzny porządek Paryża.

Dwa najważniejsze punkta pozostawały jeszcze do uregulowania: bezpieczeństwo osób i majątków. Kommissarze francuzcy rozumieli przez to wyrażenie, poszanowanie pomników i muzeów publicznych. Dowódzcy zaś sprzymierzeni, którzy w całej tej negocjacji widzieli myśl ukrytą, bezwarunkowo przyjęcia tego wyrażenia odmówili. Pamiętali oni, że przed rokiem monarchowie myśleli już o zabraniu z Paryża przedmiotów sztuki, czyniących go ogniskiem tegoczesnej cywilizacji; sami przecież nie śmiejąc naraz tylą ciosami dotykać Francją, postanowili zrzec się tego waruuku. I w tym razie więc nie przyjęli zobowiązania, dodając ogólnikowo, poszanowanie własności prywatnej i publicznej, *wyjąwszy przedmiotów wojennych*. Sądząc że tu jest mowa tylko o artyllerji przyjęto i ten warunek. W kilka dopiero dni przekonali się wszyscy, że te na pozór nic nie znaczące wyrażenia były chytre i podstępne.

Nakoniec, co do osób, artykuł 12-ty (słynny szlachetnie w jego obronie przelaną krwią), przyjęto w treści określonej przez kommissarzy francuzkich. Brzmiał on jak następuje: Również, znajdą poszanowanie osoby i własność prywatna. Mieszkańcy i w ogóle indywidua przebywające w stolicy, używać będą jak dotąd swoich praw i swobód, nie ulegając prześladowaniom co do zajmowanych funkcji i przekonań.

Powyższy artykuł pozornie zasłaniał wszystkich tak cywilnych jako i wojskowych, tak dawnych jako i nowych rewolucjonistów, zarówno królobójcow skazujących Ludwika XVI, jak i marszałków odstępujących Ludwika XVIII, i niktby nie uwierzył, że on właśnie najsroższej zemście szranki otworzy. Wodzowie nieprzyjacielscy nie stawiali nawet żadnej trudności w przyjęciu tego artykułu, jak gdyby takie zobowiązanie z samej zasady wypływało. Wszyscy więc nabywali przekonania, że ci dwaj mężowie, Wellington i Blücher, złożywszy tyle dowodów najszlachetniejszego patrjotyzmu, w szczerości swoich zamiarów żadnej wstecznej myśli milczeniem swem nie pokrywali. Zdaje się, niestety, że milczenie to zachowane było umyślnie dla uniknienia wszelkich dalszych wyjaśnień. W istocie, Wellington i Blücher, jako dowódzcy wojsk angielskich i pruskich, zobowiązywali się do zachowania nietykalności osób,

zobowiązania tego wszakże nie przyjmowali za rząd Ludwika XVIII, który wraz z chwilą powrotu na tron, sam stawał się najwyższym sędzią sprawiedliwości we Francji. Najmniejsze w tym przedmiocie wyjaśnienie, jakąkolwiek tchnące dwuznacznością, zniweczyć mogło całe układy. Zamilkli więc, a ofiarą tego milczenia było życie kilku najzacniejszych ludzi.

Trzej delegowani, uczyniwszy wszystko co tylko dało się uczynić w tak rozpaczliwem położeniu kraju, opuścili Saint-Cloud i w d. 4 Lipca z rana stawili się przed rządem tymczasowym w Tuileries. Nie pozostawało nic, jak złożyć im podziękowanie; w takim bowiem stanie rzeczy nikt więcej zdziałaćby nie zdołał; dla uniknienia zatem niepewnego losu bitwy, wypadało koniecznie przyjąć podane warunki.

Tak więc kapitulacja stolicy była już zatwierdzoną. Była to do odegrania komedja pożądana tak samym wodzom nieprzyjacielskim, jako też i kommissji rządzącej. Pozornie zawierała ona w treści układy czysto wojskowe, Francji zaś pod osłoną gwardji narodowej paryzkiej, zostawiała niby dowolny wybór rządu. Tak więc wodzowie ci pozostawali wierni danym zobowiązaniom, mocą których przyrzekli nie narzucać formy rządu Francji, kommissja zaś rządząca, ustępując przed nieuniknioną koniecznością, ocalała pozornie niepodległość narodową. W takim sposobie pojmowania, kommissja rzecz swą obu izbom przedstawiała.

Izba reprezentantów, która jedna dawała jakikolwiek znak życia (parowie w tym razie milczeli), użalała się na te w tajemnicy prowadzone układy. Jedno tylko zobowiązanie do milczenia, tak konieczne w podobnych materjach, mogło usprawiedliwić ten sekret. Dopiero w d. 4 Lipca z rana zawiadomiono obie izby o zawartych w Saint-Cloud układach. Dwuznaczność z jaką ominięto ostateczne rozwiązanie kwestji przyszłego rządu we Francji, dogadzała zarówno izbom jak i jenerałom nieprzyjacielskim. Bo czy można było żądać tu jasności? A jednakże domyślnem następstwem kapitulacji był powrót Bourbonów; była to prawda, którą wszyscy pojmowali, chyba tylko nie rozumiały jej tępe głowy, które wtedy dopiero rzecz widzą, gdy się ją dotykalnie im przedstawi. Rozdzierać więc tę dogodną zasłonę po danych uroczyście oświadczeniach Bourbonom byłoby toż samo, co odpychać kapitulację, niweczyć rząd tymczasowy i samemu występować do walki uznanej za niemożliwą. W braku przeto odwagi do tak nierozważnego oporu, samą zwłoką uniemożebnionego, dogodniej było zgromadzeniu z tą zasłoną, po za którą krył się jej wstyd, w którym zgromadzenie to, wyparte nieprzyjacielskiemi bagnetami, będzie zmuszone ustąpić. Izba reprezentantów przyjęła więc kapitulację z d. 3 Lipca w formie jej przedstawionej,

oświadczyła armji podziękowanie, że swą groźną i energiczną postawą wymogła jeszcze niejakie względy dla Francji.

Lecz o ile władze krajowe chętnie tę wymuszoną przybierały rolę, wojsko odbierające za to podziękowania, przeciwnego całe było usposobienia. Ogłoszona mu konwencja zapowiadała, że armja ustąpi z Paryża nieprzyjacielowi, który nawzajem ustąpi go Bourbonom. Oburzenie ztąd było niezmierne. Żołnierze rzucając broń opuszczali szeregi, by się złączyć z związkowymi hałaśliwie przebiegającymi ulice. Inni, przeciwni poddaniu się, namawiali do wypowiedzenia posłuszeństwa i złożenia wiarołomnych i przedajnych jenerałów. Krzyczano na tego i owego, wszyscy zaś na księcia Otranto, zowiąc go zdrajcą, jak gdyby on jeden był sprawcą tego położenia.

Surowy Davout uznał za konieczne przypomnieć wzburzonemu wojsku jego obowiązki, a znalazłszy poparcie w kilku jenerałach, mianowicie w godnym szacunku i zawsze poważanym Drouot, zdołał przecie przemówić do przekonania żołnierzy. Armja po pierwszych uniesieniach rozpaczy, zaczęła przeciągać po ulicach stolicy, którą z żalem przychodziło oddać w moc nieprzyjaciół. Niektóre pułki nie odebrały jeszcze swego żołdu, a straciwszy wszystko cierpiały podwójnie, bo z konieczności poddania się i biedy. Lafitte zaliczywszy wspaniałomyślnie kilka miljonów dla skarbu, przyniósł pomoc oddziałom najpotrzebniejszym, które niebawem wyruszyły ku Loarze. Wymarsz wojsk odbywał się w należytym porządku. Marszałek Davout, jakkolwiek wniosek jego przyjęcia Bourbonów bez pomocy nieprzyjaciół zapewniał lepsze jak w r. 1814 obejście, nie chciał pozostać w Paryżu, woląc do ostatka spełnić swoją powinność dla wojska i kraju. Złożywszy więc godność ministra wojny, pozostał naczelnym wodzem tak zwanej *armji Loary*, która swoją postawą, karnością wśród miotanych obelg, jeszcze przez wiele miesięcy nakazywała poszanowanie dla Francji i była nawet wsparciem dla Bourbonów. Nie lubiąc ich i wzajem od nich nielubiana, widząc ich wszakże u steru rządu Francji, nieraz stawiała opór nieumiarkowanym wymaganiom nieubłaganych zwycięzców. Davout z całą godnością przewodził temu wojsku i kiedy Austrjacy posunąwszy się ku Loarze, chcieli przekroczyć zakreśloną granicę, wódz ten groził odporem i zmusił ich do cofnięcia się w chwili, kiedy 600 tysięcy nieprzyjacielskiego żołnierza zaległo pola Francji.

Następstwem wprowadzanej w czyn konwencji paryzkiej była potrzeba usunięcia nawet cienia przed rzeczywistością; nadszedł więc czas aby władze będące wynikiem dnia 20 Marca, ustąpiły przed zbliżającymi się Bourbonami. Pułkownik Macirone, przez straże przednie zatrzy-

many, widział się dopiero w d. 4 Lipca rano z Wellingtonem, to jest w chwili kiedy wódz ten, po podpisaniu kapitulacji, wracał z Saint-Cloud do Gonesse. Książę Wellington przyjął go w obec Talleyranda, reprezentantów Ludwika XVIII, sir Karola Stuart reprezentanta angielskiego, hrabiego Pozzo di Borgo reprezentanta rossyjskiego i p. Goltz, reprezentanta pruskiego. Tym razem wódz brytański otwarcie wyrażając się, rzekł do posłannika księcia Otranto, że czas już raz skończyć rzecz, w śmieszność wkrótce zamienić się mogącą, wypada zatem, aby rząd tymczasowy i izby same się rozwiązały, po czem Ludwik XVIII przebywający na teraz w Roye przybędzie do Paryża, a przybędzie z dobremi zamiarami, spełnienia których po jego rozumie i otrzymanych przyjaznych radach, można się spodziewać. Po takiem oświadczeniu, przemawiał następnie Talleyrand i nietylko słownie, ale i na piśmie skreślił i doręczył następującej treści zapewnienie Ludwika XVIII: „Zachowanie dawnej karty z zniesieniem konfiskaty, niewznawianie prawa z roku zeszłego co do wolności prasy, bezzwłoczne zwołanie kolegij wyborczych, celem utworzenia nowych izb, jedność ministerstwa, wzajemna inicjatywa praw, dziedziczne parostwo."

Do powyższych obietnic Talleyrand dodał jeszcze najuroczystsze zapewnienie umiarkowanego postępowania, różnego zupełnie w dążnościach w roku zeszłym objawionych. Po nim przemawiał Wellington w ten sposób: Niech p. Fouché będzie dla nas szczerym, my dlań wzajemną odpowiemy szczerością. Umiemy oceniać jego usługi; król ich również nie zapomni. Jeśliby potrzebował pomocy, otrzyma ją od nas w kilka godzin.—Wreszcie zgodzono się, że książę Wellington i Talleyrand w dniu następnym w Neuilly oczekiwać będą na księcia Otranto, dla ostatecznego załatwienia rzeczy i zapewnienia Ludwikowi spokojnego wjazdu do Paryża. Nie tracąc chwili czasu Macirone opuścił Gonesse z powrotem do księcia Otranto, by zdać sprawę z danego mu polecenia. Fouché nie myślał wcale uchylać się od proponowanego mu widzenia się, bo zresztą dobiegał już do kresu swych życzeń, to jest do pozyskania zasługi z przywrócenia Bourbonów. Wszelako o zamiarze swoim postanowił zawiadomić swoich spółtowarzyszy, przybierając zawsze przed nimi rolę człowieka usiłującego ocalić choć szczątki z tego ogólnego rozbicia i przedłożyć warunki do przyjęcia na tron Ludwika XVIII. Nie było nic do zarzucenia, bo tak nieuniknione restauracja Bourbonów, jako i niemożność stawiania dłuższego oporu, przez wszystkich członków kommissji rządzącej uznana, nakazywały poddać się losowi, byle tylko wynódz niejakie rękojmie bezpieczeństwa mienia i osób.

Niespodziewana okoliczność, to jest, powrót pierwszych kommissa-

rzy, pp. Lafayette, Sebastiani, Pontécoulant, d'Argenson, Laforest i Benjamina Constant, nowe i nieprzewidziane dla p. Fouché nastręczył trudności. Przypomnijmy sobie, że pełnomocnicy ci, wyjechawszy z Laon, udali się do monarchów, których lubo spotkali w Hagenau, posłuchania atoli od nich pozyskać nie mogli. Wprawdzie widzieli się z ich ministrami, lecz ci nie zbaczając z przyjętego systematu skrywania rzeczywistych zamiarów, zapewniali że sprzymierzeni nie mają bynajmniej na celu narzucania Francji panującego. Po krótkiej rozmowie kommissarze powrócili do Paryża w tem zwodniczem przekonaniu, że powrót Bourbonów nie jest koniecznym warunkiem. Błędne to widzenie rzeczy odbierało panu Fouché jego główny argument, to jest konieczność poddania się Bourbonom, argument usprawiedliwiający potrzebę osobistego porozumienia się z Wellingtonem. Opierając się atoli na rozmaitych posiadanych przez siebie wiadomościach, usiłował on przekonać wszystkich o konieczności widzenia się z wodzem brytańskim zapewniając, że o rzeczywistym stanie rzeczy przekona się w zupełności wieczorem w obozie sprzymierzonych. Pozwolono mu więc jechać, przyczem Lafayette nadmienił, że wszelkie prywatne układy, nie mające za przedmiot ocalenia sprawy ogólnej, jako zakrawające na zdradę, mogą zasłużyć na potępienie.

Nie zmieszany tem zdaniem, Fouché w d. 5 Lipca wieczorem udał się do Neuilly do księcia Wellingtona. Tu oprócz wodza brytańskiego, zastał Talleyranda, sir Stuarta, Goltz'a i Pozzo di Borgo. Wellington zapytał najprzód, czy armja francuzka ustąpiła ze stolicy, czy władze są w gotowości podania się do uwolnienia, i nakoniec, czy można spodziewać się wydania osoby Napoleona, to jest spełnienia warunku, przy którym sprzymierzeni upornie obstają. Książę Otranto w odpowiedzi swej oświadczył, że wojsko ustępuje, lubo nie bez trudności, że ludność stolicy silnie jest rozdrażniona, że nawet gwardja narodowa, na którą pozornie można było liczyć, daleką była od uległości, że zatem wypadało z wszelką przezornością postępować, aby wymódz rozwiązanie władz i wprowadzić króla do Paryża. Co się zaś tycze osoby Napoleona, zapewnił że to jest niemożliwem, albowiem były cesarz w tym czasie musiał już wsiąść na okręt udając się do Stanów Zjednoczonych. Ta ostatnia wiadomość wywołała żywe niezadowolenie, poczytywano to bowiem za podstęp ze strony Fouché'go, który u bonapartystów uchodził za zdrajcę Napoleona, u rojalistów zaś wydawał się nim za wypuszczenie go. Następnie pytano, co rozumie przez ową przezorność, do której tak wielką zdawał się przywiązywać wagę. Fouché, jako człowiek wytrawniejszy i zdolniejszy niż poprzednicy jego delegowani, tylko przy za-

chowaniu inicjatywy izbom obstający, oświadczył, iż dwa warunki uważa za istotne: nowe zapewnienie królewskie zasłaniające bez wyjątku osoby przed i po 20 Marca skompromitowane, i przyjęcie za narodową trójkolorowej chorągwi. Bez tych warunków, dodał, nie sądzę, aby powrót króla był możliwym, chyba że sprzymierzeni zechcą użyć przemocy, czego zdaje się Francja zbyt się nie lęka. Rozprawy w tym przedmiocie przeciągnęły się do godziny czwartej z rana i zostały bez rozwiązania. Talleyrand, główny tu mówca, z wzięciem się wielkiego pana, usiłował zbijać to, przy czem Fouché po prostu ale stanowczo obstawał. Co do bezpieczeństwa osób, zapewniano o nieograniczonej dobroci i łaskawości króla, mówiąc zaś o barwach nadmieniono, że 10 czy 15 departamentów stanęło do powstania z białą kokardą u kapeluszy. Książę Wellington nalegał na zgodę, lecz ni z jednej ni z drugiej strony nie można było przyjść do porozumienia, a ponieważ w naradzie tej nie było czasu do zajmowania się interesami osobistemi, nie powiedziano więc nic Fouché'mu jakie stanowisko dla niego jest zachowane. Wyjechał też niezadowolony tak co do osobistej jako i ogólnej sprawy, pozostawiając reprezentantów Europy i króla równie z niego niezadowolonych. Mimo to Wellington umówił się z Fouché'm o zjazd w dniu następnym; pożegnano się wprawdzie bez zgody, lecz też bez zerwania stosunków.

Powróciwszy do Paryża, Fouché zdał zaraz sprawę z tego co zaszło w Neuilly, lecz zarazem bardziej jeszcze upewnił, że powrót Bourbonów jest nieuniknionym, że niepodobna stawiać w tem oporu Europie, że zresztą nie powinni niczego się lękać, skoro on sam, stary rewolucjonista i królobójca, gotów jest przyjąć tę ostateczność, że zatem szło tylko o wyzyskanie warunków upewniających, czego właśnie nie zaniedbał uczynić. Tym razem jeszcze mniej mu wierzono niż na to zasługiwał, wszyscy bowiem nabierali przekonania, że zdradzając ogólną sprawę, swój tylko interes ma na celu. Na wszystkie te wnioski koledzy jego odpowiadali tylko milczeniem. Jeden Carnot wystąpił z wymówką, Fouché atoli znajdował zaraz łatwą odpowiedź, pytając czego po nim wymagał. Rzeczywiście Carnot nie wierzył w możność obrony; powrót więc Bourbonów był wynikiem niemocy, którą sam poprzednio uznawał. Zresztą Fouché, zaczął już niewiele troszczyć się o opinję swoich kolegów i lekko ich traktując cały zajęty był poczynieniem przygotowań do przyjęcia Ludwika XVIII, aby stronnictwo jego najmniej szwankowało i aby sam największe odniósł korzyści. Pierwszem więc jego staraniem było przyspieszenie wyjazdu Napoleona z Rochefort, wiedział bowiem, że dopóki Napoleon znajduje się we Francji, w obozie sprzymierzonych

nie wierzono w szczerość jego abdykacji, a ztąd usilnie osoby jego domagano się. Stanowczo więc pragnął Fouché usunąć tę przyczynę nieufności i zrzucić z siebie odpowiedzialność za niewolę Napoleona w razie ujęcia go przez nieprzyjaciół, bo jakkolwiek dążył do pozbawienia go tronu, bynajmniej wszakże na jego życie i wolność nie czyhał. Wyżej już powiedzieliśmy, że fregaty zwolnione zostały z obowiązku oczekiwania na nadejście listów bezpieczeństwa. Fouché postąpił dalej, zalecając usilnie jenerałowi Beker, aby przyspieszał wyjazd dostojnego emigranta, ku czemu wydał wszelkie upoważnienia, wyjąwszy jedno, to jest znoszenia się z kroazerami angielskimi z obawy, aby Napoleon, przez zbyteczne zaufanie Anglikom, sam się im nie oddał. Dnia 6 Lipca wydał ostatnie rozporządzenie za pośrednictwem kommissji rządzącej, zalecające Bekerowi znaglić Napoleona by wsiadł na statek, przedstawiając, że tego bezpieczeństwo jego osoby wymaga, nadto, w razie gdyby fregaty zbyt były strzeżone, aby mu oddał do rozporządzenia wszystkie lekkie statki; w końcu wbrew wydanym poprzednio rozkazom, zezwolił nawet na skomunikowanie się z kroazerami angielskiemi, ale nie inaczej jak na piśmienne żądanie Napoleona, aby tem samem wszelkiej ztąd uniknąć odpowiedzialności.

Takie względem ubezpieczenia osoby Napoleona poczyniwszy starania, Fouché przygotowywał się do wniosków i argumentów, jakie miał przedłożyć na nowej konferencji w Neuilly. Jednym z ważniejszych było samo usposobienie gwardji narodowej paryzkiej, która pomimo wstrętu z jakim patrzyła na powrót Napoleona, pragnęła w duchu Bourbonów, byle tylko nie z ich przestarzałemi wyobrażeniami i nie z emigracją pychą nadętą. Otóż, gwardja ta nie przestała dotąd nosić trójbarwnej kokardy, zrzucając wszędzie białą chorągiew, gdziekolwiek ją tylko wywieszono. Utrzymywane ciągle stosunki z głównymi przewódzcami gwardji narodowej posłużyły Fouché'mu do ogłoszenia deklaracji mocą której wyznawali niezachwiane przywiązanie do trójbarwnej chorągwi, ugruntowane na sławie i znaczeniu jej politycznem. Deklarację tę podpisali najznaczniejsi obywatele stolicy.

Fouché nie poprzestał na tej demonstracji. Wspierany przez p. Jay, Manuel'a i wielu za głosem jego idących reprezentantów, innego rodzaju, ale większego znaczenia od izby deputowanych pozyskał deklarację. Przedsięwzięta redakcja nowej ustawy była rozwlekła i nie dająca widoków zatwierdzenia jej przez Bourbonów. W ustawie tej szło więcej o zasady, niż o tekst zbyt oklepany. Idąc za radą p. Fouché oddzielono w formie artykułów najgłówniejsze z całej konstytucji zasady, jakich mianoby prawo od każdego domagać się rządu i z tych dopiero ułożono

deklaracją, którą obowiązany byłby przyjąć monarcha, dotąd jeszcze stale nieoznaczony. Tym niewskazanym monarchą był widocznie Ludwik XVIII, jeżeli tylko zechce podpisać tak nakreśloną deklarację. Zasady, których dla ich mierności powtarzać tu nie będziemy, były te same, jakie Francja od r. 1789, z stałością zaszczyt jej przynoszącą, nie przestała głosić, ile razy szło o pozorne przywrócenie porządku, bez pozbawiania jej wolności.

Kiedy tak Fouché te zbyt późne i bezużyteczne robi starania, dwór Ludwika XVIII przeniósłszy się z Gandawy do Cambrai, a ztąd do pałacu d'Arnouville, zajmował się głównie tem jak sobie ma postąpić wszedłszy do Paryża. Główni dygnitarze dworu, król, książęta, ministrowie, ambasadorzy, jenerałowie cudzoziemscy i mnóstwo pochlebców odradzającej się fortuny, rozprawiali i naradzali się bezładnie nad mającym się wybrać trybem postępowania, wiadomo bowiem, że wszelkie gwałtowne zmiany, obdarzając wszystkich swobodą słowa, same dwory królewskie zmieniają chwilowo w małe rzeczypospolite. Podług większości zdań tych rozprawiaczy, poświęcić chorągiew białą dla trójbarwnej, byłoby tożsamo, co poświęcić prawność dla rokoszu. Wprowadzić zaś zmiany w karcie, nadać jej rozciągłość, byłoby to nie zmniejszać złego, ale je raczej powiększać. — Dość, mówili, zapewnić utrzymanie tej karty, bez żadnych nowych w niej dodatków. Zdaniem ich, zasady z roku osiemdziesiąt dziewiątego były herezją rewolucyjną, nie należy więc teraz nową zachęcać je podnietą, i jeżeli, w ich mniemaniu, pierwsza rewolucja da się usprawiedliwić niektóremi indywidualnemi błędami, nigdy zaś wpływami ogólnemi, za to rewolucja ostatnia z d. 20 Marca była wynikiem ogólnego sprzysiężenia, za które należy ukarać jej sprawców, pozbyć się pana de Blacas, a pozyskać Fouché'go. Widzimy więc z tego, że emigrant Blacas i królobójca Fouché był przedmiotem, pierwszy, powszechnej wzgardy, drugi przeciwnie, względów i wdzięczności. Słysząc dowodzenia rojalistów wypadałoby wnosić, że Blacas przyprawił wszystko o zgubę, Fouché zaś wszystko mógłby ocalić, gdyby tylko jego przyjęto usługi. Wprawdzie, był on królobójcą, lecz w tem właśnie jego zasługa, że wyszedłszy z tej piekielnej otchłani zwanej rewolucją, poznał ją dobrze i powrotnie wparł zbiegłe z niej szatany. Jedne tu tylko zalecano ostrożność, to jest, aby Fouché ujawnił swoje dążenia, lubo w tej mierze p. de Vitrolles i wielu innych jego posłanników wymowne tych dążeń składali świadectwa. Z podziwem powtarzano jego proroctwa, już po spełnionych wypadkach wymyślone. Mówiono np. że Fouché w przedjutrze dnia 20 Marca miał wyrzec do pana Dambray: „Już zapóźno; Napoleon wejdzie do Paryża, jakiś czas, ale

niedługo panować w nim będzie, potem upadnie, a my wprowadzimy króla.—Człowiek, który tak głębokie wyrzekł proroctwo, sam je mógł spełnić. Trzeba więc go przyjąć z rąk Napoleona, którego stracił i mianować ministrem Ludwika XVIII, który w nim najtrwalszą znajdzie podporę.

Talleyrand, jakkolwiek nie znoszący obok siebie spółzawodników, popierał wszakże te dążenia. Czując nieudolność swoją do kierowania sprawami wewnętrznemi, przyznawał w tej mierze wyższość Fouché'mu. Lecz zajęcie jego, wymagające ciągłego podsłuchywania, karania, zamykania do więzień, skazywania na wygnanie, a nawet na śmierć, nieraz znakomitych, lecz przeciwnych stronnictwu osób, wydawało mu się o wiele niższém od roli pośrednika w interesach z zagranicą, nie żywiąc przeto w sobie żadnej dla Fouché'go zawiści, obecnie obcą siłą wsparty, sądził, że gdy z pomocą jego oczyści Francję, samowładnym zostanie jej panem. W tym więc celu radził królowi zrobić Fouché'go ministrem policji. Zamiar ten popierał i książę Wellington, który oprócz wyżej przywiedzionych pobudek, sam jeszcze potrzebował względności Fouché'go. Zbliżała się chwila zajęcia Paryża; trzeba było wejść do stolicy stosownie do kłamanego programu mocarstw sprzymierzonych, programu odpowiadającego polityce lorda Castlereagh, a polegającego na tem, aby zbyt widocznie Francji rządu nie narzucać. Gdyby nie ta uwaga, dość było puścić szorstkiego Blüchera, a on skończyłby wszystko w parę godzin. Jeden tylko Fouché zdolny był rzecz tę przeprowadzić bez użycia bagnetów i z pomocą gwardji narodowej. Tak więc dwór przez pewien rodzaj przesądu, Talleyrand z potrzeby posiadania zawsze ręki zdolnej do kierowania wewnętrznemi sprawami kraju, Wellington dla wprowadzenia Bourbonów bez uciekania się do kroków gwałtownych, słowem wszyscy tamtej mieli powód wychwalania Fouché'go przed Ludwikiem XVIII, by wstręt króla na korzyść ministra usunąć. Królowi temu raz już zadano gwałt wydzierając mu p. de Blacas, powtórnym teraz gwałtem zmuszano go przyjąć jednego z katów jego brata. Wiele go to kosztowało, bo monarcha ten dumnego usposobienia, nie znosił intrygantów, a mianowicie spólników pokątnych knowań hrabiego d'Artois, któreto wady Fouché właśnie posiadał. Mimo to Ludwik XVIII, kiedy nań długo nalegano, zwykle ustępował. I teraz więc zezwolił na mianowanie ministrem policji p. Fouché, lecz nie zgodził się na nową deklarację swych zasad i na trójbarwną chorągiew.

Taki był stan rzeczy na dworze Ludwika, kiedy Fouché w d. 6 Lipca wieczorem powrócił do Neuilly. Najprzód zaczął wynurzać swoje

ubolewania nad wewnętrznym stanem Paryża, pogorszonym, jak mówił, powrotem pełnomocników z Hagenau z wiadomością, że monarchowie sprzymierzeni nie koniecznie obstają za utrzymaniem Bourbonów, że gwardja narodowa chce zatrzymać trzy kolory, a izba reprezentantów pisze nową deklarację. Wyrzekań tych nie należało brać do serca, Wellington też odpowiedział, że w każdym razie Anglików i Prusaków może mieć zawsze na swe usługi, jakkolwiek do kroku tego nieradby się uciekać. Co się tycze raportu pełnomocników, Wellington wyraził, że się zapewnie pomylili, na dowód czego okazał listy lorda Stewart, obecnego rozmowie w Hagenau, listy nie zostawiające żadnej wątpliwości co do uczuć monarchów sprzymierzonych. Dalej, co do nowej deklaracji Ludwika XVIII, wydana w Cambrai była dostateczną; ogłaszanie więc nowej byłoby osłabieniem powagi królewskiej. W końcu, co się tycze amnestji, Wellington i Talleyrand takim w ucho Fouché'go szepnęli argumentem. — Amnestja, to jest ministerstwo policji w osobie pana. Któryż z rewolucjonistów mógłby drżeć z obawy, widząc pana na czele władzy karności? — W istocie, każdemu zdawać się mogło, że jak skoro królobójca przypuszczony został do osoby króla, nikt już lękać się nie powinien. Lecz jeżeli Bourboni gotowi byli przebaczyć katom Ludwika XVI, nie chcieli bynajmniej przebaczyć mniemanym konspiratorom 20 Marca. Czuł to niejako Fouché, że obecność jego nie zasłoni tych nieszczęśliwych. Lecz wypowiedziano mu to w sposób tak stanowczy, nadto ofiarowano mu taki dar, że teraz nie śmiał już nalegać. Co się zaś tycze przyjęcia trzech barw, dano do zrozumienia, że przyjęcie ich byłoby ubliżeniem dla Ludwika XVIII; Fouché więc i w tem ustąpił, siebie samego jako jedyną otrzymawszy koncessję.

Po krótkim posiłku wszyscy trzej udali się do Arnouville, aby przedstawić Fouché'go Ludwikowi XVIII. Była to dla księcia Otranto najpożądańsza chwila i jedyny cel życzeń, jakiego nie mógł dostąpić za pierwszej restauracji. Żywą przejęty radością, na widok monarchy, który w przyjęciu tem gwałt sobie zadawał, Fouché mniemał, że w tej chwili zmaza królobójstwa znikła z jego czoła. Król przysposobiony do odegrania roli, przyjął go z uprzedzającą grzecznością, i tak, jak gdyby jedna tylko część jego życia była mu świadomą. — Wiele już usług pan mi oddałeś, i jeszcze mi je oddasz. Oddawna pragnąłem pana pozyskać dla mego rządu, mogę to dziś uczynić i spodziewam się wiernej i pożytecznej od niego pomocy. — Fouché z pokorą ułaskawionego winowajcy, skłonił się. W tej chwili, odbierajac podziękowania za udział w zdradzie, Fouché zasługiwał na złorzeczenia, jakkolwiek może przesadzone, swoich nieprzyjaciół. Upojony radością wyszedł wskróś tłumu

dworaków, ciekawych widzieć ten rodzaj użytecznego potworu, którego dla uniknienia nowych wypadków, król dla celów swoich użyć był powinien. Niektórzy rozsądniej rzecz biorący, żałowali że lepiej było poczynić jakieś liberalniejsze ustępstwa, niż takiego człowieka na swą stronę pozyskiwać. Ks. Wellington, jakkolwiek sam dążył do zanominowania Fouché'go na ministra, ale który obok tego obstawał za przyjęciem trójbarwnej chorągwi, lubo nie chciał pozostawić w ręku nieprzyjaciół Burbonów barwy tak popularnej, z gniewem niejako zawołał: Co za ludzie! im łatwiej przyjąć do swego grona królobójcę, niż pójść za myślą rozsądną!

Powróciwszy do Paryża, ks. Otranto był w kłopocie, w jaki sposób o tem wszystkiem uwiadomić swoich kolegów. Wyznał jednak, że widział się z przewódcami koalicji, usprawiedliwiając to pozorną chęcią uniknienia powtórnej restauracji, a przynajmniej przyjęcia jej na dobrych warunkach. Lecz powiedzieć, że powrót Burbonów był ostatecznie postanowionym, że nad deklarację Cambraiską nic więcej nie pozyskał, bo ani amnestji, ani chorągwi trójkolorowej, ani zachowania izb, i że nareszcie cała pozyskana rękojmia polegała na udzieleniu mu teki, rzeczą było niepodobną. Wszelako wypadało raz skończyć; oświadczył więc że pełnomocnicy powracający z Hagenau omylili się, gdyż bynajmniej nie myślano zgodzić się na inną jak na Burbonów dynastję, z czego wynika konieczność uznania Burbonów. Zresztą, dodał, wszystko co Talleyrand przyrzekł jest zapewnioném, to jest, prawo prasowe, niektóre zmiany w karcie, jedność ministerstwa, zapomnienie przeszłości, na dowód czego przytoczył swoją nominację na ministra policji. Było to szczególne w swoim rodzaju wyznanie. Fouché atoli upewniał zaraz, że rolę tę przyjął przez poświęcenie się dla osób rewolucji, cesarstwa i dnia 20 Marca i że jedynie w chęci ocalenia ich przyjął ministerstwo pod Ludwikiem XVIII. W tym razie, jeżeli nie co do swoich intencyj, to przynajmniej co do rezultatu Fouché mówił prawdę, albowiem on jeden w szeregu głów zagrożonych, mógł ocalić przynajmniej tych, którzy nie byli koniecznemi ofiarami zemsty emigracji, i jeżeli chciał z jednej strony utrzymać się na szczycie swej potęgi, z drugiej niezawodnie pragnął oczyścić się z zarzutów zdrożnego postępowania, złe o ile można wstrzymując.

To usprawiedliwienie, rzetelne lecz nikczemne (w żadnym bowiem razie nie wolno samemu spełniać połowy złego, by przeszkodzić innym do spełnienia drugiej jego połowy), to usprawiedliwienie, mówię, nie znalazło dobrego przyjęcia w gronie komissji rządzącej. Quinette i Grenier, ludzie bezczynni, Coulaincourt, człowiek zniechęcony, nic na to nie

odrzekli. Sam tylko porywczy Carnot z uniesiem powstał na zdradę, miotał prawie obelgi na Fouché'go, który z zimną krwią przyjmował te wyrzuty, bo duma tego człowieka, umiała wzburzenie krwi hamować. W tej nowej rewolucji, ks. Otranto, człowiek bez wiary, bez godności, lubo nie złośliwy, był wybrany przez Opatrzność za pośrednika pomiędzy ludźmi dążącymi do powrotu Burbonów, a tymi którzy gotowi byli im uledz, lubo tak jedni jak i drudzy, Fouché'go widzieć tu nie pragnęli! Smutna zaiste komedja, w której nikt, a tylko sama natura rzeczy, zawsze loiczna, zawsze niezwyciężona, prawdziwy tryumf odniosła!

Po tem co zaszło, Fouché'mu i jego kolegom nie pozostawało nic, jak rozwiązać komissję rządzącą; postanowiono więc podać się do dymissji i rozwiązać izby. Jakoż izba parów rozeszła się zaraz nie wyrzekłszy i słowa; druga zaś izba również w milczeniu przyjąwszy uwolnienie z rąk komissji rządzącej, nie przestawała wszakże rozprawiać nad ułożeniem konstytucji, która ze wszystkich tego rodzaju ustaw, najkrótszym bo zaledwie dwudziestoczterogodzinném cieszyła się bytem. Fouché działając zgodnie z jenerałem Dessoles, nateraz dowódzcą gwardji narodowej, wybrawszy w szeregach jej ludzi znanych z zasad rojalistowskich, obsadził nimi wszelkie wejścia do pałacu prawodawczego, by nie dopuścić doń przystępu reprezentantom. Tegoż dnia Monitor ogłosił postanowienie uznające izby za rozwiązane i naznaczył dzień 8 Lipca po południu, jako chwilę wjazdu Ludwika XVIII. Wieczorem Fouché udał się do króla z oznajmieniem, że wszystko już przygotowane na jego przyjęcie. I tym razem przyjęto go jako człowieka, któremu po Wellingtonie Burboni, najwięcej byli winni.

Kończąc to smutne pasmo naszej opowieści, dodajmy, że jeżeli izba reprezentantów zaledwie dni 15 przetrwała upadek Napoleona, Talleyrand i Fouché kilka tylko miesięcy izbę tę przeżyli, po czem pierwszy obdarzony wysoką godnością dworską, drugi skazany niejako na wygnanie, poszli podzielić w bezczynności los wszystkich wielkich aktorów rewolucji cesarstwa. Takie owoce zebrali jedni i drudzy za ostatni zamach 20 Marca, ukończony w dniu 8 Lipca, znaną pod ogólną nazwą *Stu Dni*. Napoleon poniósł srogą klęskę i więzy; izby, które go strąciły, odegrały dwutygodniową upokarzającą rolę; Fouché, który nadużywszy zaufania izb, w końcu je rozwiązał, pozyskał wygnanie i niesławę; Ney, La Bedoyère skończyli śmiercią tragiczną; Francja uległszy powtórnemu najazdowi, utraciła Sabaudję, wiele ważnych fortec, arcydzieła sztuki, zapłaciła 2 miljardy kontrybucji, poddała się okupacji nieprzyjaciół i patrzyła na wylew wszelkich namiętności; nikt więc nie zyskał ztąd rzeczywistej sławy, nikt oprócz wojska, które błędy swoje okupiło mę-

ztwem niezrównaném! Lecz aby należycie osądzić tak nieforemne pokuszenie, historja powinna się uzbroić w całą swą bezstronność i surowość; chcąc więc sprawiedliwy na wypadki te wydać wyrok, potrzeba przejrzeć całość, czyli wniknąć w jej przyczyny i skutki, co właśnie kończąc ten rozdział sprobujemy uczynić.

W r. 1814 mocarstwa sprzymierzone dozwalając Napoleonowi osiąść na wyspie Elbie po strąceniu go z cesarstwa, już tem samem pozostawiły mu możność powrotu, swojém zaś postępowaniem natchnęły go myślą pokuszenia się znów o koronę. Patrząc na chciwe zabiegi w Wiedniu, na reakcję w Paryżu i tyle rażących błędów, mógłże z nich nie korzystać? Duma, nigdzie jeszcze wówczas nie przytłumiona, musiałaby w takim razie przygasnąć najprzód w sercu najdumniejszém w świecie. Napoleon opuścił więc Elbę, wylądował we Francji i wtedy armja, urzędnicy, nabywcy dóbr narodowych, wszystko biegło na jego spotkanie, wszystko niosło korzyści, które on umiejętnie na swoją obrócił stronę. Jego pochód z Cannes do Lyonu był cudem, lecz jeżeli zechcemy stawić go przed trybunałem sprawiedliwości za krok tak niefortunny dla Francji, trzeba przed nim stawić i tych, którzy swoją nietaktownością i wrzącemi namiętnościami tchnęli weń tę myśl i środki do jej spełnienia przygotowali.

Wszedłszy do Paryża, zamiast posuwania się w tym pochodzie tryumfalnym do Renu, Napoleon zatrzymał się, ofiarował pokój w dobrej wierze, z pewnym rodzajem pokory zgodnej z jego sławą. Na ten wniosek odpowiedziano mu uwłaczającém milczeniem, on jednak trwał w swojém, lubo nie przestał ogromnych czynić przygotowań. Wybierając trafnie w szczątkach francuzkich sił wojennych, wybrał w nich żywioły użyteczne. Z żołnierzy powróconych z zagranicy, z oficerów pozostawionych na połowicznym żołdzie, zebrał 300 tysiączną czynną armję, dodał jej w pomoc 200 tysięcy ruchomej gwardji narodowej, wybranej po nadgranicznych prowincjach, z ludzi niegdyś zostających pod bronią, a których znane poświęcenie, wiek, siła fizyczna dawały rękojmię niesienia skutecznej ojczyźnie pomocy. W tymże czasie uzbroił stolicę w 500 dział, zgromadził bataljony zapasowe, marynarzy, weteranów i wsparty na Paryżu obwarowanym postanowił z 200 tysiącami żołnierza stawić czoło wrogom. Przybywszy w dniu 20 Marca ułożył i rozporządził swoje plany pomiędzy 24 a 27 tegoż miesiąca, zwolna i w tajemnicy one wykonywał i kiedy manifestacje Europy żadnej już nie pozostawiały wątpliwości, Napoleon zamiary swoje uwidomił, grożące Francji niebezpieczeństwo objawił, cały kraj pod broń powołując. Więcej nad to, lepiej i prędzej zdziałać już nie było możliwém.

W wewnętrznym zarządzie kraju działał on otwarcie, zręcznie, lecz nie dość szczęśliwie: zewnątrz zaś, miasto spodziewanej wojny, ofiarował pokój, który w braku ufności odpychano. Ofiarowana swoboda rządu zastąpiła miejsce oczekiwanego despotyzmu, lecz i w tém nie znalazł wiary. Gdyby Napoleon nie działał w dobrej wierze, mógłby jednym rzutem wyjść z tak trudnego położenia, dość było bowiem zwołać zgromadzenie konstytucyjne jak w r. 1791 i wtrącić kraj w zamęt systematów. Francja wprawdzie pokryłaby się śmiesznością, lecz on sam pozostałby panem działania. Przeciwnie, Napoleon przyzwał zaraz najsłynniejszego pisarza z stronnictwa liberalnego, swego jawnego przeciwnika, Benjamina Constant, i nie wdając się z nim w żadne rozprawy co do zasad stanowiących podstawę prawdziwej monarchji konstytucyjnej, polecił mu zawrzeć je wszystkie w *Akcie Dodatkowym*. Wprawdzie nazwa ta nie była dość szczęśliwą, ona bowiem zbyt pierwsze cesarstwo przypominała, lecz dość było przeczytać ten Akt dodatkowy, aby się nie przekonać, że w nim nie było ni cienia pierwszego cesarstwa, ale raczej prawdziwe państwo konstytucyjne oparte na ustawie, jaka od 2-ch wieków jest podstawą i rękojmią swobód Anglii. Wszelako nieufność do tego dochodziła stopnia, że ustawę tę, samą nazwą Aktu dodatkowego potępiano, upatrując w jej twórcy despotę z r. 1811 w całej potędze jego władzy. Mimo to wypadało sprobować, czy się nie uda pokonać tę powszechną niewiarę, tak jak wkrótce miano sprobować zwycięztwa nad Europą sprzymierzoną. Żył wtedy w Paryżu mąż wielkiego zaufania pomiędzy przyjaciółmi wolności, a tym był Lafayette, który oddając sprawiedliwość Aktowi dodatkowemu, głosił jednak, iż nie uwierzy, dopóki akt ten nie będzie wprowadzony zaraz w wykonanie, to jest, dopóki nie nastąpi zwołanie izb. Napoleon opierał się utrzymując, że nowe izby, nieprzywykłe do tak ważnych okoliczności, nie potrafią godnie wspierać go w wojnie, wszelka bowiem w łonie ich niezgoda i zemieszanie zgubę jego przyspieszyć może. Gdy jednak wszyscy nalegali, Napoleon chcąc przekonać o szczerości swych dążeń, zwołał izby czyli spełnił błąd samem fałszywem położeniem wywołany. Wprawdzie wielu mniemało, że to wszystko udane, że Napoleon zrobiwszy chwilowe ustępstwo, sam skruszy narzędzie, po chwilowém go użyciu. Wprawdzie trudno to zgłębić otchłań takiej duszy i każdy mierząc ją wzrokiem, widzi w niej to, co chce właśnie ujrzeć. Zdaniem atoli naszém i z wiarą w genjusz Napoleona, jesteśmy przekonani, że idąc za głosem tego genjuszu i uwzględniając ówczesne położenie ludu francuzkiego, Napoleon uznawał konieczność pozostawienia mu samorządu, że zresztą mąż ten, jakkolwiek otoczony aureolą wielkości, i po tak nagłych wstrząśnieniach, mógł wprawdzie zapragnąć samowładz-

twa, ale to długotrwałém być nie mogło. Zresztą, zajęty cały chęcią pokonania Europy, całą swoją passję w ten punkt skierowawszy, mało się troszczył o władzę, jaką naród po skończonej wojnie w ręku jego pozostawi, wiedząc że w każdym razie zawsze będzie miał jej dość dla swego syna. Gdyby nas kto pytał, co Napoleon uczyniłby po odniesioném zwycięztwie, odpowiedzielibyśmy, że określanie przyszłych czynów, jako zawsze na przypuszczeniach oparte, uważamy za dziecinne. Zresztą, swobodę, z jakichkolwiek rąk ona pochodzi, wypada przyjąć, byle ją tylko na dobre obrócić. Gdyby nawet burzliwe usposobienie Napoleona wstrząsało się pod bodźcem wolności, nie byłby on wszakże sprowadził dla Francji gorszych następstw jak jego poprzednicy, których czynione w tej mierze próby rozbijały się brakiem szczerego postępowania.

W każdym razie są to problemata trudne do rozwiązania; pewném jest wszakże, że Napoleon zaprowadził rzeczywisty rząd konstytucyjny, jeżeli zaś nie znalazł wiary, winą to było jego przeszłości; chcąc więc wiarę tą zyskać, należało bezzwłocznie zwołaniem izb wprowadzić ustawę w wykonanie. Do składu tych izb wchodzili ludzie szczerze do dynastji cesarskiej i wolności przywiązani, lubo zawsze niepewni, czy nie są igraszką w ręku niby na drogę poprawy zmierzającego despoty. Przy każdém bowiem zdarzeniu dopatrywano w nim szczególną drażliwość, zamiast więc jednoczenia się z nim przeciw zbrojącej się Europie, zamiast pomocy i wsparcia, wszystko nowe stawiało mu trudności. Ministrowie wybrani z grona najznakomitszych i najgodniejszych naówczas ludzi, Davout, Coulaincourt, Carnot, Cambacérès, przywykli do spełniania nieograniczonej woli pana, a nie do oddziaływania na błędne innych wyobrażenia, okazali się tyle niezręczni, ile izby były uporne. Widząc taki rozbrat w miejsce nieodzownej dla ocalenia Francji jedności, Napoleon spieszył na pole bitwy, by zyskaną tam pomyślnością zapanować nad niezgodą umysłów. Dwa plany miał do wyboru: obronny, polegający na wyczekiwaniu nieprzyjaciela pod murami obwarowanego Paryża i ucieraniu się z nim zewnątrz na czele 250 tysięcy żołnierza; i zaczepny, którym, uprzedzając dwie zaborcze kolumny, postanowił rzucić się na nie, pokonać, a następnie zwrócić się na inne, zawsze ze złudném przekonaniem o zwycięztwie. Pierwszy z tych planów był pewniejszy, lecz powolny i bolesny, bo dozwalający opanować najpiękniejsze krainy Francji; drugi zbyt śmiały, ale szybki, stanowczy, gdyby się powiódł; rzucić więc kość, choćby na wiatr, byle prędzej, to było pragnienie wielkiego gracza.

Wiemy już jaki był koniec tej trzydniowej kampanii. Zebrawszy

125 tysięcy ludzi i 350 dział, o czém, o dwie mile stojący nieprzyjaciel, zupełnie nie wiedział, rozpoczął działania w dniu 15 Czerwca z rana, zajął Charleroy, przeszedł Sambrę, a znalazłszy, jak to przewidział, próżnię pomiędzy angielskiem a pruskiem wojskiem, uderzył na tych ostatnich, pobił ich pod Ligny, postawiwszy Neya pod Quatre-Bras dla odpierania Anglików. Gdyby doznane w tym roku niepowodzenia nie były wpływały na osłabienie ducha w Neyu, wódz ten byłby nieomylnie odparł Anglików do Quatre-Bras i wtedy owocem zwycięztwa pod Ligny byłoby zupełne zniesienie armji pruskiej. Niestety! Ney, lubo znany z męztwa, tym razem zachwiał się i rezultat bitwy nie był tak korzystnym, jak się spodziewano. Jednakże plan Napoleona w najważniejszej swej osnowie udał się. Prusacy pobici i oddzieleni od Anglików; Napoleon poruczywszy dalsze ściganie ich Grouchy'emu, sam zwrócił się na Anglików. Straszliwa burza nie prędzej jak o południu w d. 18 Czerwca dozwoliła bój otworzyć. Od samego początku plany wodza, zapał żołnierzy, wszystko zapowiadało pomyślność, gdyby nie zwodnicze widmo armji pruskiej na prawém skrzydle, za którém Grouchy miał iść, a nie szedł. Napoleon więc tak swoje wojsko jako i plany musiał rozdzielać, by naraz dwom nieprzyjaciołom stawiać czoło. Kiedy tak z głęboką przezornością i niezachwianą mocą dokłada wszelkich starań by zaoszczędzić siły na Prusaków w zamiarze zwrócenia się następnie na Anglików, Ney, nie hamując się dłużej, zawcześnie wyczerpał siły kawalerji, tej jedynej naówczas ucieczki i kiedy Napoleon odniosłszy przewagę nad większością wojsk pruskich, szedł złączyć się z Neyem, by wspólnemi siłami zadać cios Anglikom, nagle napadnięty został przez resztki wojsk pruskich, które Grouchy, nie bacząc na wołania żołnierzy, przepuścił. Tak pomimo cudów waleczności Napoleon przegrał tę powtórzoną bitwę pod Zamą i oręż jego skruszył się na zawsze!

Byłoż to winą popełnionych błędów? Nie było błędów pod względem militarnym, ale były błędy polityczne lub moralne, wszystkie wypływające z panowania. Ci pomieszani lubo nie mniej waleczni jenerałowie, ci żołnierze lecący w bój nie czekając na rozkazy i po dowodach najwyższego męztwa w straszliwy wpadający zamęt, owi nieprzyjaciele przenoszący śmierć nad ustępstwo, wszystko to było dziełem Napoleona i jego piętnasto-letnich rządów, lecz nie dziełem trzech dni w ciągu których wszakże niemniej był wielkim wodzem.

Po odwrocie do Laon, Napoleon mógł zebrać tam wojska i nie dbając o izby, dalsze zachować dowództwo, gdyby nie Grouchy żadnego znaku życia o sobie nie dający. Wódz ten z ogólnej klęski wyszedł cało, o czém atoli nie wiedziano, a Napoleon mniemał, że i on podąża za roz-

bitkami. Gdyby był wiedział, że w przeciągu trzech dni zabierze znów 60 tysięcy wojska najwyższym ożywionego zapałem, Napoleon byłby tu oczekiwał. Lecz ujrzawszy się naraz bez żołnierzy, pośpieszył, lubo z słabą nadzieją, zażądać ich od izb, wiedział bowiem, że w zapadłem pod Waterloo jego słońcu, los jego w zupełności się rozstrzygnął. Ukazanie się Napoleona w Paryżu nowe wywołało zniechęcenie; zaczęto bowiem szemrać, że człowiek który poróżnił Francję z Europą, na większe ją jeszcze naraża niebezpieczeństwo. Dopóki ją osłaniał swoją siłą, niebezpieczeństwo nie było tak groźném, odkąd zaś nie umiał lub nie mógł zwyciężać, kraj ujrzał się nad przepaścią. Ogólnem tego postanowieniem, było oddzielenie Francji od Napoleona; zażądano więc abdykacji, grożąc złożeniem go z tronu.

Napoleon mógł rozwiązać izby, do tego miał wszelkie prawo, a nawet powinien był to zrobić, jeśli w rozwiązaniu ich ocalenie kraju upatrywał. Lecz mógłżeby wtedy oprzeć się nieprzyjacielowi, mając poza sobą ściśle z sobą skojarzone izby i Francję? Zmuszony do zrobienia tego zamachu stanu na izby, mając za sobą tylko część energicznej, ale gwałtownej ludności do zwalczenia klas wyższych, Napoleon okazałby się tu żołnierzem gwałtownym, broniącym resztkami bonapartyzmu i dogorywającej demagogii, resztki dawnego despotyzmu. Nie takiemi więc środkami można było zbawić Francją, wątpiąc przeto w skutek, obok wstrętu do tak ostatecznych kroków, zrzekł się tego rodzaju pokuszeń. W takiem położeniu, człowiek w gruncie nie złośliwy, ale bez wiary, Fouché, niecierpiący Burbonów, którzy nim pogardzali, a nie lubiący Napoleona, który go hamował, dążący zawsze, nawet wśród chaosu, do roli samodzielnej, ujrzawszy chwilę przyjazną postanowił pozbyć się Napoleona, poduszczając znanego z patryotyzmu Lafayetta myślą zkądinąd fałszywą, że Napoleon zamierza rozwiązać izbę reprezentantów. Niebawem Lafayette zawiadomił o tém izbę, która przeświadczona tém o konieczności wyrwania skrwawionéj Francji z rąk Napoleona, uznała zdrajcą każdego, ktoby izby rozwiązać zamierzał, i postawiła cesarza pomiędzy dobrowolną abdykacją a detronizacją. Po raz drugi więc i ostatni Napoleon zrzekł się tronu.

Na izbie reprezentantów nie ciążyłaby tu żadna wina, gdyby tylko poprzednio członkowie jej istotne położenie rzeczy zbadali; wypadało przeto uznać, że wraz z chwilą usunięcia Napoleona, dalszy opór sprzymierzonym był niemożliwym, za czém szła potrzeba spiesznego zawarcia pokoju, przywołania Burbonów i pozyskania od nich rękojmi zachowania swobód i ocalenia głów skompromitowanych. Nieustraszony Davout, zdrowo po żołniersku zapatrując się na sprawę, pojmował jak trudną jest

dalsza bez Napoleona wojna i dla tego wnosił, nie drogą intryg, ale otwartej deklaracji ze strony izb, przywrócić na tron Burbonów. Taki tryb postępowania nie trafiał w myśl Fouché'go. Tajemnie traktując z rojalistami, szukał jednakże innej niż oni drogi do rozwiązania kwestji, a nie znajdując jej, zetknął się z Burbonami, skrycie podawał im pomocniczą rękę, by z czasem otrzymać nagrodę za swoje dwójbarwne usługi. Takie przedłużanie ostatecznego przesilenia, uczyniło je dla wszystkich upokarzającém. Najprzód zgromadzenie przekonane, że bytem swoim przetrwa Napoleona, w obronie swej upominające się tylko za prawami człowieka, wystawiło się na śmieszność. Carnot głoszący niepodobieństwo dłuższej obrony Paryża i nie zgadzający się na Burbonów, jak równie i Lafayette działający w przekonaniu, że sprzymierzeni zgodzą się na rzeczpospolitę lub inną dynastję, również podawali w śmieszność całą swą szlachetną przeszłość. Nakoniec, Fouché niezrównany w zręczności, wywiódłszy w pole Napoleona, izby, swych spółtowarzyszy, i tak samo postępując jeszcze przez trzy miesiące, pozbywszy się jednych, skazawszy na wygnanie drugich, dodał dla siebie wzgardę do śmieszności i smutnie zakończył zawód, bo przed trybunałem historji to tylko znalazł usprawiedliwienie, że przyjmując od Burbonów tekę ministra policji spełnił złe, któremu nie był w możności zapobiedz, boć zresztą oburzającém jest dla uczciwego człowieka przykładać rękę do nieszczęść, by nie dozwolić innym przebrać w nich miary. Smutne to zaiste sceny, w których Burboni i rojaliści szukali zbyt srogiego odwetu za 20 Marca! Przygladając się tej tragedyi przychodzi myśl, czy nie byłoby stokroć lepiej nie zmuszać w dniu 20 Marca do ustąpienia Burbonów; Napoleon nie spotkałby się wtedy z fatalnem Waterloo, izby roprezentantów nie zamknęłyby cudzoziemskie bagnety, Francja nie ujrzałaby powtórnie obcych w murach swej stolicy i nie doznałaby upokorzenia patrząc na łupieztwa i wyzyskiwane kontrybucje! Chcąc aby rzeczy takim poszły trybem, potrzeba było, aby Napoleon nie opuszczał wyspy Elby, aby rewolucjoniści nie odbierając berła Burbonom, szukali otrzymania od nich swobód na drodze długich i wytrwałych usiłowań, i wzajemnie, aby Burboni nie dążyli do znieważania rewolucjonistów, do uwodzenia liberalnych, zakłócania wszelkich interesów i zniechęcania wojska, czyli, że potrzeba było, aby postępowanie wszystkich cechowało się taktem i mądrością. Dziecinne marzenie! powié kto; i my powtórzymy, dziecinne w istocie! choćby nawet wyrażenie to miało zrozpaczyć tych wszystkich, którzy z doświadczenia chcą pożyteczną wyprowadzić naukę. Zaiste, doświadczenie to, oprócz hojnego rozlewu krwi i doznanych boleści, małe, bardzo małe przyniosło owoce! Wszelako i ta trocha doświadczenia z każdej zebrana generacji, tę przynosi ko-

rzyść, że chociaż ludzie nie nabywają zupełnej mądrości, bo jej nawet nigdy nie osiągną, stopniowo przecież jaśniej widzą i mniej niesprawiedlimymi, mniej zawziętymi stają się jedni względem drugich. Nie zrażając się przeto przykrą drogą, w najboleśniejszych przypadkach, szukajmy nowych pobudek do zalecania ludziom i ich stronnictwom, światła, umiarkowania i sprawiedliwości. Każdy błąd wart podjęcia tych usiłowań. Wszakże i w r. 1848 Francja lękała się powtórzenia scen z r. 1793; na szczęście, wypadki te nie odbiły się owych czasów echem; nie traćmy więc ufności w naukę dziejów, i udzielajmy ją zawsze, by przynajmniej jakikolwiek z niej dla ludzkości osiągnąć pożytek.

KSIĘGA SZEŚĆDZIESIĄTA DRUGA I OSTATNIA.

ŚWIĘTA HELENA.

Gniew Burbonów i wodzów nieprzyjacielskich na Fouché'go za dozwolenie ujścia Napoleonowi. — Podróż Napoleona do Rochefort. — Doznane po drodze i w samém Rochefort przyjęcie. — Napoleon przedłuża swój pobyt na wybrzeżu w oczekiwaniu nieprzewidzianych wypadków. — Chwilowe zamierza stanąć w szeregach wojsk Loary. — Zmienia swe postanowienie. — Odrzuca nakoniec wszelkie zamiary i wysyła pismo do kroazjera angielskiego. — Kapitan Majtland, dowódzca statku *Bellerophon*, odpowiada, że jakkolwiek nie ma żadnéj w tej mierze instrukcji, mniema przecież, że naród angielski nie odmówi swej gościnności Napoleonowi. — Napoleon postanawia udać się sam na pokład Bellerofonu. — Doznane tam przyjęcie. — Podróż do brzegów Anglii. — Anglicy z ciekawością przypatrują się Napoleonowi. — Postanowienie ministra dotyczące osoby b. cesarza. — Obrano na miejsce uwięzienia wyspę świętej Heleny, gdzie ma być uważany jak zwykły jenerał, pilnie strzeżony z dozwoleniem zatrzymania przy sobie trzech towarzyszy. — Napoleon przeprowadzony z Bellerofonu na pokład statku *Northumberland*. — Jego pożegnanie z Francją i towarzyszami, którym nie dozwolono udać się razem na wyspę. — Podróż przez ocean Atlantycki. — Dowody troskliwości ze strony marynarzy angielskich. — Czém się Napoleon zajmuje w czasie podróży. — Opowiada swoje życie i na prośby spółtowarzyszy, zaczyna opisywać dyktując swoje dzieje. — Czas trwania tej żeglugi. — Przybycie do świętej Heleny po 62 dniach podróży. — Postać wyspy, jej skład, grunt i klimat. — Wysadzenie na ląd Napoleona. — Pierwsze pomieszczenie go w *Briars*. — Przy pierwszém wyjściu ścisłe otaczanie go strażą. — Dziwna ztąd przykrość. — Pierwsze wiadomości z Europy. — Żywe zajęcie się losem Neya, La Bedoyèra, Lavaletta i Drouota. — Po upływie dwóch miesięcy przenoszą go do *Longwood*. — Zajmowane tu mieszkanie. — Ostrożności w strzeżeniu go. — Jego życie i zatrudnienia w Longwood. — Napoleon znienawidza swój pobyt i nie dość ocenia troskliwość admirała Cockburn. — Na początku r. 1816 sir Hudson Lowe przybywa jako gubernator świętej Heleny. — Jego charakter i usposobienie. — Pierwsze widzenie się z Napoleonem i zaszłe przy tem niepomyślne wydarzenia. — Hudson Lowe obawia się zasłużyć na gniew admirała Cockburn, w razie jakich z swej strony ustępstw dla więźnia. — Daną instrukcję każe wykonywać z całą ścisłością. — Różne ztąd nieporozumienia. — Spór o wydatki w Longwood. — Napoleon każe sprzedać swoje srebra. — Odjazd admirała Cockburn i przybycie jego następcy sir Pulteney Malcolm. Szlachetny jego charakter. — Jego bezskuteczne usiłowania do zbliżenia Napoleona z Hudson Lowe'm. — Napoleon uniesiony gniewem znieważa gubernatora. — Ostatecznie zerwanie stosunków. — Przykre życie Napoleona. — Jego zatrudnienia. — Wyjaśnienia niektórych ustępów z jego panowania. — Prace historyczne. — Doznawany smutek. — Nowy rok na wyspie świętej Heleny. — Rok 1817. — Nie chcąc jeździć konno pod strażą, zrzeka się tej przyjemności i na tem cierpi jego zdrowie. — Wiadomość z Europy. Rodzina ofiaruje mu majątek swój i osoby. — Napoleon tego nie przyjmuje. — Wizyty Anglików i ich rozmowy z Napo-

leonem. — Hudson Lowe zaniepokojony zdrowiem Napoleona, zamiast ofiarować mu *Plantation House*, każe mu nowy dom postawić. — Rok 1818. — Rozmowy Napoleona w przedmiotach literatury i religii.— Odjazd jenerała Gourgaud. — Napoleon następnie utraca admirała Malcolm i doktora O'Meara.— Powody odjazdu doktora. — Napoleon pozostaje bez lekarza. — Sir Hudson Lowe napróżno nalega, aby przyjął lekarza angielskiego.— Rok 1819. — Zdrowie Napoleona pogorsza się brakiem ruchu. Puchną mu nogi, a częste wymioty są oznaką cierpienia żołądkowego. — Spółtowarzysze wymogli, aby się przejeżdżał konno. — Stan zdrowia nieco polepsza się. — Napoleon puszczając w niepamięć swoje własne dzieje, zajmuje się historją sławnych bohaterów.— Jego prace o Cezarze, Turenijuszu i Fryderyku wielkim.— Znów zdrowie jego pogorsza się.— Trudność widzenia go i sprawdzenia jego obecności.— Nikczemne usiłowanie Hudsona Lowe wysadzenia drzwi.— Rok 1820.— Przyjazd lekarza i dwóch księży przysłanych od kardynała Fesch. — Napeleon każe odprawiać mszę w Longwood co niedziela. — Moralne ztąd zadowolenie. — Na usilne prośby doktora Antomarchi, Napoleon nie chcąc pod strażą jeździć konno, zajmuje się ogrodnictwem. — Roboty w ogrodzie wykonane przez niego i jego towarzyszy. — Prace te zajmują część roku 1820. — Napoleon odzyskuje nieco siły. — Powrót do zdrowia jest tylko chwilowy. — Wkrótce doznaje przykrych boleści żołądka, nogi znów puchną i siły nagle nikną.— Z zadowoleniem widzi zbliżającą się śmierć.— Testament, konanie i zgon w dniu 5 Maja 1821.— Pogrzeb.— Ocena genjuszu i charakteru Napoleona. — Różnica jego usposobień z natury, od nabytych pod wpływem wypadków. — Jego przymioty osobiste i genjusz jako prawodawcy, administratora i wodza. — Miejsce zajmowane w rzędzie wielkich wojowników. — Postęp sztuki wojennej od czasów starożytnych do rewolucyi francuzkiéj.— Aleksander, Annibal, Cezar, Karol W., książęta Nassauscy, Gustaw Adolf, Kondeusz, Turenjusz, Vauban, Fryderyk i Napoleon. — Jak daleko Napoleon posunął sztukę wojenną? — Porównanie Napoleona z największymi ludźmi wszystkich wieków pod względem talentów i przeznaczeń. — Nauka dająca się z jego życia osiągnąć. — Koniec tej historji.

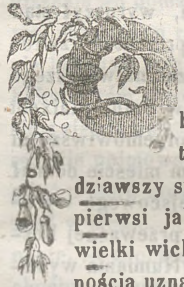

bok radosnego wjazdu do Paryża, Burboni i reprezentanci obcych dworów doznali najżywszego żalu dowiedziawszy się, że Napolenowi udało się ujść przed nimi; bo tak pierwsi jako i drudzy dopóty nie czuli się bezpiecznymi, dopóki wielki wichrzyciel świata pozostanie wolnym. Miotani niespokojnością uznawali nawet, że bezpieczeństwo powszechne, śmiercią jego powinno być okupione. Winę tego nieszczęścia przypisywano Fouche'mu, a zapominając że on jeden otworzył im bramy Paryża, czyniono mu gorzkie wyrzuty za nie wydanie w ich moc Napoleona, co tém samém dawało powód do podejrzeń o obustronną zdradę. Tak Burboni więc, jako i sprzymierzeni z uprzedzeń przeszli do gwałtownych wybuchów przeciw swemu z ostatnich dni ulubieńcowi. Jeden tylko Talleyrand i Wellington bronili Fouche'go, mówiąc, że on w każdym razie oddał im stolicę, nie było więc o co się zżymać, skoro warunkiem tej usługi, było dozwolonie ujścia Napoleonowi. Pomimo tak rozsądnych z ich strony uwag,

miotano się gniewem w Tuilleries i tegoż jeszcze wieczora po wjeździe do Paryża, to jest dnia 8 Lipca, Fouché wezwasy do króla, jak mógł usprawiedliwiał się, nie śmiąc jednak powtórzyć swego dobrego czynu, jaki spełniał powtarzając rozkaz skłaniający Napoleona do opuszczenia Rochefort. Bronił on się z pokorą, na usilne atoli naleganie Ludwika XVIII przyrzekł dołożyć wszelkich starań do ujęcia straszliwego wygnańca na lądzie i na morzu. W tym razie wszakże nie dotrzymał słowa, i wróciwszy do ministerstwa policji, żadnego nie wysłał gońca, pozostawiając przeto w swej mocy poprzednio wydane rozkazy. Kto ma dość odwagi do spełnienia dobrego czynu, ten powinienby mieć odwagę i do wyznania go; lubo i w tem jest nie mała zasługa jeżeli człowiek spełnia dobro, choćby nawet dla interesu czy przez słabość nie miał dość siły do pochwalenia się tym czynem.

Napoleon opuścił Malmaison dnia 29 Czerwca o godzinie 5ej. Upał był nieznośny, a towarzysze Napoleona, sami głębokim uciśnieni smutkiem, milczenia jego nie przerywali. Przybywszy do Rambouillet oświadczył, iż chce tu noc przepędzić, jak mówił, dla wypoczynku, rzeczywiście zaś dla opóźnienia swego wyjazdn i rozstania się z tronem, który wkrótce na ciężką miał zamienić niewolę. Jeden żal, jedna prosta uwaga ludzi, którzy wobec nieprzyjaciół pozbawiali się jego przewodnictwa, mogła mu powrócić oręż, do czego większą niż do tronu przywiązywał wagę. Przepędziwszy tu noc i poranek dnia 30 Czerwca, wyruszył ztąd w południe, minął Tours w dniu 1 Lipca, rozmawiał tu z prefektem, zwrócił się do Poitiers, zatrzymał się poza miastem przez czas największego upału, a uniknąwszy grożącego mu niebezpieczeństwa w Saint-Maixent od ludności wandejskiej, stanął wieczorem w Niort, nie przemówiwszy ni słowa w ciągu tej dość długiej podróży. Poznany w tém mieście doznał żywego spółczucia; ludność bowiem tutejsza, podług miejscowego wyrażenia, była *błękitną*, dla różnicy od otaczających ją w przeważnej liczbie *białych*. W Niort stały wtenczas wysłane dla przytłumiania wybuchów powstańczych wojska cesarskie, co dla Napoleona zupełne dawało bezpieczeństwo. Mały zajazd do którego wysiadł, otaczały wkrótce pragnąc go ujrzeć tłumy wojska, ludu i mieszczan z okrzykami: *Niech żyje cesarz!* Lubo niechętnie, ukazał im się w oknie, co wywołało zapał chwilową przynajmniej uciśnionemu jego sercu przynoszący ulgę. Zostań z nami, zewsząd wołano, przysięgamy bronić cię! Wkrótce przybył prefekt prosząc o przeniesienie się do gmachu profektury, na co też Napoleon zezezwolił. W Niort przepędził cały dzień 2 Lipca, wśród trudnych do opisania wzruszeń z jakiemi niechętnie rozstawał się. Tymczasem w dniu 3 Lipca z rana, jenerał Beker, zawsze pełen szacunku i względności dla

osoby Napoleona, zwrócił jego uwagę na niebezpieczeństwo z dłuższej zwłoki wyniknąć mogące, za chwilę bowiem przystań w Rochefort mogła być blokowana, a wtedy droga do Rochefort byłaby dlań zamkniętą. Napoleon postanowił więc jechać daléj, lubo z przykrością przychodziło mu rozstawać się z tak przyjazną i gościnną ludnością. Wyjeżdżał z ukrytą w dłoniach twarzą, otoczony jazdą, która towarzyszyła mu tak długo, jak na to siły koni dozwoliły. W dniu 3 Lipca wieczorem wjechał do Rochefort.

Prefekt Bonnefoux, podobnie jak jenerał Beker, pojmował swoje obowiązki. Ulegał on woli rządu, ale w uległości tej pragnął zachować cały szacunek dla wielkiego męża, którego los chwilowo jego poddał władzy. Mieszkańcy podobnież jak ludność miasta Niort podzielali uczucia: mieli oni bowiem pewne obowiązki wdzięczności dla Napoleona, z którego polecenia znaczne wykonano tu roboty, nadto, w Rochefort znajdowało się wielu marynarzy, świeżo z niewoli angielskiej powróconych. Tu także stał w koszarach wyspy Aix pułk marynarzy, liczny garnizon, 1500 gwardzistów narodowych, znaczny oddział żandarmerji, słowem były tu wszelkie środki do osłonienia byłego cesarza, a nawet poparcia go w razie przedsiewzięcia ostatnich choćby nierozważnych kroków. Zaledwie w dniu 4 z rana rozbiegła ją wieść o przybyciu Napoleona, zebrani pod jego oknami mieszkańcy pełnemi zapału okrzykami: *Niech żyje cesarz!* ujrzenia go domagali się. Wzruszony tém przyjęciem, Napoleon podziękował skinieniem ręki, a widząc zupełne dla siebie bezpieczeństwo w gronie ludu tak szczerze doń przywiązanego, postanowił zatrzymać się tu dni kilka, a tém samem postanowić co następnie uczynić wypadało. Rozstać się z ziemią francuzką, i tym razem już na zawsze, byłoby srogą dlań ofiarą. Nie pojmował, aby w obec uzbrojonej Europy, człowiek stojący niegdyś u steru rządu, mógł się zrzekać tytułu zwyczajnego wodza. Wmawiał w siebie, że w chwilach ostatecznych, wojsko inne podzieli przekonanie, i podobnie jak skazany na śmierć, łudził się promykiem nadziei, choćby najniepodobniejszych do urzeczywistnienia. Takie wyobrażenia skłaniały go do zwłoki, która sama nieprzewidziane mogła wywołać wypadki, jak np. rozpaczliwy krok armji, dowództwa jego domagającej się.

O ile wszakże opóźniany wyjazd dawał nadzieję powrotu narodu do Napoleona, (powrotu wprawdzie zbyt nieprawdopodobnego), o tyle każda zwłoka pozbawiała go możności uchronienia się od przykrej angielskiej niewoli. Liczni emisarjusze w ciągłych stosunkach z flotą angielską zostający, zawiadomili ją zaraz o przybyciu Napoleona do Rochefort, co tém samém dało im możność ściśnienia blokady wybrzeży. Do dnia 29 Czerwca, kroazjery angielskie były nieliczne i dość odległe krążące, od téj zaś

daty statki ich posunęły się do dwóch przejść łączących Rochefort z morzem. Dwie fregaty francuzkie *Saalle* i *Méduse*, konstrukcji nowoczesnej, najlepsze statki marynarki francuzkiej i wybornymi obsadzone żeglarzami, stały w przystani gotowe do wyjścia pod żagle za najpierwszym znakiem. Wydane przez rząd tymczasowy rozkazy zalecały wszelką powolność w zastosowaniu się do rozporządzeń cesarza Napoleona i przewiezienia go podług jego woli, byle nie do brzegów Francji. Dowódzca fregaty *Salle*, kapitan Fhilibert, pod którego rozkazami zostawały obie fregaty, żeglarz doświadczony i wierny swoim obowiązkom, mniej wszakże posiadał odwagi od kapitana Ponée, dowódzcy *Meduzy*, gotowego do wszelkich poświęceń, byle tylko Napoleona na wolną wysadzić ziemię. Dzielny ten oficer uważał obowiązek swój jako świętą powinność należną nieszczęściu i chwale Francji usobionej w Napoleonie, który jakkolwiek pokonany pod Waterloo, w oczach jego na wielkości swej nie tracił.

Zaraz za przybyciem swojém, Napoleon zwołał na naradę marynarzy celem obmyślenia środków, jakiemi możnaby było ujść przed krążącemi statkami angielskiemi i na pełne wydostać się morze. Na tę naradę, prefekt zaprosił marynarzy znanych z doświadczenia, między innymi admirała Martin, znanego jeszcze z wojny amerykańskiéj oficera, lubo zapomianego w czasach cesarstwa, który wszakże w tym rązie postąpił tak, jak gdyby zawsze samemi darzony był łaskami. Pomimo podsuwania się kroazjerów angielskich, obie fregaty uchodziły za tak szybkie w biegu, że nie wątpiono, iż zdołają ujść nieprzyjacielskiej pogoni, jak skoro tylko na otwarte wydostaną się morze. Do spełnienia atoli tego zadania, potrzeba było przyjaznego wiatru, a który właśnie w tym czasie upornie wiał z przeciwnej strony. Kapitan duńskiego okrętu, rodem Francuz, z braku odpowiedniego w swoim kraju pomieszczenia Danii służyć zmuszony, podejmował się przewieźć Napoleona do Ameryki i ukryć go tak, iżby go Anglicy znaleźć nie mogli. Żądał tylko wynagrodzenia właściciela okrętu za szkody w wyprawie tej ponieść się mogące. Wszystko tchnęło wiarą w oświadczenia tego dzielnego oficera, lecz Napoleon wzdrygał się na samą myśl ukrywania się na spodzie okrętu neutralnego, gdzie mógłby być ujętym w niegodnem go położeniu. Admirał Martin inne obmyślał środki. Przy ujściu Gironde stała wtedy korweta dobrze uzbrojona, zostająca pod rozkazami kapitana Baudin (późniejszego admirała), oficera rzadkiej odwagi, który pomimo utraconej już w boju ręki, gotów był najśmielsze jeszcze spełnić czyny. Przepłynąwszy łodzią dobrze uzbrojoną z rzeki Charente na Seudre, a następnie okrążywszy lądem, Napoleon mógłby dostać się do Royan i ztamtąd wsiąść na okręt. A ponieważ Gironda mniej niż rzeka Charante zwracała na siebie uwagę Anglików, wszyst-

ko więc dawało nadzieję, że Napoleon zdoła wypłynąć na pełne morze i z wszelkiem bezpieczeństwem dosięgnie brzegów Ameryki.

Pomysł ten, jakkolwiek trafiał bardzo do przekonania Napoleona, ostatecznie wszakże nie był przyjęty; postanowiono wszakże zbadać bliżej jego wykonalność. Zastanawiano się, że w tym czasie zmiana wiatru mogła go uczynić bardzo przyjaznym, nadto żądany od ks. Wellingtona list bezpieczeństwa co chwila był oczekiwany. Na tych pozornych nadziejach tracono czas napróżno, z czego Napoleon, lubo jawnie nie przyznawał, cieszył się w duchu. W tym czasie, brat jego Józef, przebywszy różne niebezpieczeństwa przybył do Rochefort. Widział on szeregi wojska zmierzające ku Loarze, rozmawiał z dowódzcami wielu pułków; wszyscy domagali się, aby Napoleon stanął na ich czele, aby w dalszym boju szukał odwetu za Waterloo i szczęśliwszego obrotu wypadków, co zresztą łatwo mogło nastąpić pod jego dowództwem.

Takie wieści wstrząsnęły Napoleonem. W istocie, armja francuzka posuwając się ku prowincjom zachodnim i zabierając konsystujące tu wojska, mogła dojść do 80 tysięcy, a stojąc poza Loarą mogła łatwo niedopuścić jej przejść a nieprzyjacielowi, który w miarę posuwania się w głąb Francji, musiałby sam siebie osłabić; zresztą wojska z rozpaczą jak w roku 1814 walczące, mogły obfite w następstwa otrzymać wypadki. Dla dowódzców skompromitowanych wszystko jedno było tak czy tak zginąć; mając więc Napoleona na czele, nie pozostawało, jak rzucić się rozpaczliwie by Francję z pod przemocy wrogów oswobodzić.

Wszystkie te, a tak rozmaite szanse, Napoleon bacznie rozważał, a jeżeli niekiedy żywym zapłonął ogniem, ogień ten wkrótce zimna gasiła refleksja. Chcąc spełnić czyn tak śmiały, należało pokusić się o niego w Paryżu, to jest wtenczas, kiedy jeszcze wszystkie środki i cała władza w jego spoczywała rękach. Teraz zaś, po złożeniu korony i zrzeczeniu się prawej władzy, po cofnięciu wojsk za Loarę, po moralném i materjalnem podziale Francji na dwa przeciwne obozy, powiedzenie się takiego zamachu było prawie niemożliwém. Nie ma wątpliwości, że przedłużając wojnę, Napoleon podałby kraj w ruinę, a przenosząc pole walki z północy Francji do jej środka, gdzie dotąd okolice te nic oprócz poboru rekruta nie doznały, dotknąłby te prowincje srogością zaciętej walki. Teraz więc Napoleon sam uznał, że pora ku temu spóźniona, że taki krok rozpaczy należało uczynić wpierw, zaraz za przybyciem do Paryża, zaczynając od rozwiązania izby reprezentantów. Nie odrazu wszakże z tą myślą ostatecznej walki mógł rozstać się Napoleon. To odstępował od niej, to znów wracał, podniecany samą straszliwą dla siebie przewidywaną przy-

szłością. W tak chwiejnych więc rozmyślaniach upłynął dzień 5, 6 i 7 Lipca. Napoleon jużto pod pozorem roztrząśnienia projektów swobodnego wydostania się na morze, już oczekując zmiany wiatrów, obracał czas na kolejne chwytanie lub odpychanie zamiaru postawienia się na czele armiji Loary, zamiaru, który spełniony, byłby dorzucił nowe nieszczęścia na szalę Francji i przepełnił miarę klęsk pod Waterloo poniesionych.

Szlachetny jenerał Beker ze smutkiem patrzał na tak samowolną zwłokę, nie śmiąc poza granice kraju wypychać męża, który w oczach każdego światłego i szczerze swoją ojczyznę miłującego francuza, pomimo błędów, tyle nabył praw do ich wdzięczności. Dłuższa atoli zwłoka była już niepodobną. Sam rozum dyktował, że każda stracona godzina nowem dla Napoleona groziła niebezpieczeństwem, zresztą nowe rozkazy z Paryża stanowcze wskazywały postąpienie. Nietylko rząd tymczasowy, ale i minister marynarki Decrès, wierny zawsze swemu dawnemu monarsze, powtarzał jenerałowi Beker konieczność przyśpieszenia wyjazdu Napoleona, tak w jego własnym, jako i w interesie kraju, wszelkie bowiem ociągania się utrudniały negocjacje pokojowe i dawały Anglikom możność ścieśnienia blokady brzegów. Minister marynarki nagląc Bekera do wyjazdu, upoważniał go do użycia nietylko wszystkich fregat, ale nadto wszystkich statków stojących wtedy w Rochefort, bez względu na ich przeznaczenie. Nadto, lubo rząd tymczasowy tego nie powiedział, Beker sam domyślał się, że rząd ten mógł zaledwie kilka tylko godzin cieszyć się jeszcze swojém istnieniem, nowy zaś rząd mógł łatwo przeciwne i zapewne o wiele surowsze dla upadłego cesarza wydać rozkazy.

W dniu 8 Lipca z rana, jenerał Beker zawiadomił Napoleona o naglących rozkazach rządu tymczasowego, najszczerszemi zresztą natchnionych pobudkami. Zwrócił uwagę jego na rosnące z każdym dniem trudności pewnego uniknięcia kroazjerów angielskich, nie kryjąc zresztą najważniejszej obawy wydania nowych rozkazów, jakie po spodziewaném co chwila strąceniu dotychczasowego rządu, mogły być na jego niekorzyść zmienione. Tak przekonywające motywa wpłynęły na stanowcze zdecydowanie się Napoleona, ktory też niebawem polecił przygotować wszystko do wyjazdu na wyspę Aix.

Tegoż dnia wieczorem, Napoleon wsiadł do powozu dla dojechania do Fouras, leżącego przy ujściu rzeki Charente do przystani wyspy Aix. Uwiadomieni o tém mieszkańcy, zbiegłszy się tłumnie, odprowadzali go z okrzykami: *Niech żyje cesarz!* Boleść ścisnęła serca wszystkich; niejedno wiekiem pomarszczone i ogorzałe oblicze, gorące łzy zrosiły. Napoleon dzieląc wzruszenie tych, którzy w nim nieszczęście uszanować umieli, podziękowawszy skinieniem ręki, wyjechał. Za nim ruszyło kilka

powozów z towarzyszami jego podróży; przy schyłku dnia cały ten orszak stanął nad brzegiem morza. Nie było jeszcze wiatru przyjaznego Napoleon jednak, zamiast przenieść się na wyspę Aix, wolał przepędzić noc na statku *Saale*, by za najlżejszym powiewem wiatru wyruszyć na morze. Wsiadłszy więc do czółna przybył na fregatę, z głębokiem przez osadę przyjęty uszanowaniem. Wprawdzie statek ten nie był jeszcze przysposobiony na jego przyjęcie, Napoleon umieścił się na nim jak mógł, w przekonaniu, że ta fregata zawiezie go do Ameryki.

Nazajutrz, z powodu ciągłej na morzu ciszy, Napoleon postanowił zwiedzić wyspę Aix. Udał się na nią łodziami z całym swym orszakiem. Zebrani w miejscu wylądowania wieśniacy, przyjęli go z zapałem. Tu odbył przegląd pułku marynarzy złożonego z 1500 ludzi, na których z ufnością mógł polegać. Wojsko przyjęło go okrzykiem: *Niech żyje cesarz!* dodając potem: *Łączmy się z armją nad Loarą!* Napoleon podziękowawszy za te szczere dowody przywiązania, poszedł zwiedzić roboty zabezpieczające przystań, za rządów jego wykonane. Następnie otoczony zawsze ludem i wojskiem udał się na nadbrzeże w celu przepędzenia nocy na fregacie.

W dniu następnym trzeba było już przechylić się na tę lub na ową stronę. Prefekt Bonnefoux wręczył jenerałowi Beker nową z Paryża depeszę, bardziej jeszcze niż poprzednie naglącą. Depesza ta, odejmując wszelką nadzieję uzyskania listu bezpieczeństwa, zalecała bezzwłoczny wyjazd, upoważniała powtórnie do użycia fregat, które jeśliby były zbyt widzialne, zastąpione być mogły dobrym małym statkiem, mającym przewieźć Napoleona dokądkolwiekby sobie życzył, byle nie na brzegi Francji. Rozkazy te zmieniały poprzednie rozporządzenia w jednym tylko punkcie. Dotąd w przewidywaniu, że Napoleon może sam zdać się Anglikom, zabroniono mu w tém dopomagać z obawy, aby rząd tymczasowy nie był oskarżony o zdradę. Teraz zaś ten sam rząd, wnosząc z wrzenia namiętności i przewidując mniejsze zło dla Napoleona, gdyby się dostał w ręce Anglików, niż zwycięzkiej emigracyi, upoważniał do skomunikowania się z kroazjerem angielskim, lecz tylko na wyraźne i piśmienne żądanie Napoleona, aby tem samém na nim wyłącznie ciążyła odpowiedzialność za mogące ztąd wyniknąć następstwa.

Po takich instrukcjach znikła wszelka niepewność i można było stałe przyjąć postanowienie. Kapitan Besson, francuz, dowódzca duńskiego okrętu, nie przestawał powtarzać, że potrafi cesarza tak ukryć, iż go Anglicy nie wynajdą, lecz Napoleon czuł zawsze wstręt do tego rodzaju ucieczki. Jakkolwiek wiatry nieco się zmieniły, wyjście fregat pod żagle nie było łatwem, postanowiono więc wysłać szalupę dla rozpozna-

nia drogi i zajmowanych przez Anglików pozycji. Nadto, zgadzano się i na wyborny pomysł admirała Martin, polegający na popłynięciu łodzią w górę rzeki Seudre, by przebywszy konno klin ziemi rozdzielający Charente od Girondy, wsiąść następnie na pokład korwety kapitana Baudin. Wysłany do pomienionego kapitana oficer miał w tym celu w bliższe z nim wejść porozumienie. Nakoniec, aby nie pominąć wszelkich możliwych sposobów wydobycia się z tak trudnego położenia, Napoleon postanowił wysłać jednego z towarzyszących mu przyjaciół do kroazjery angielskiej w celu wybadania, czy ta nie ma przypadkiem owych listów bezpieczeństwa, jakie miały nadejść z Paryża, a nadewszystko, czy Napoleon w razie dobrowolnego zdania się, przyjętym byłby w sposób odpowiedni i osobę jego ubezpieczający. W istocie, Napoleon skłonniejszym był zawsze do rozstrzygnięcia tej kwestji krokiem ufności względem narodu brytańskiego, niż niepewnym i niezgodnym z jego sławą środkiem szukania swego ocalenia. W czasie bowiem odkrycia go na dnie okrętu neutralnego, jego nieprzyjaciele mieliby podwójny ztąd tryumf: raz z ujęcia go, powtóre z znalezienia w tak niegodnem jego stanowiska położeniu. Gdyby był ujętym w walce fregat, powiedzianoby wtedy, że ten który dla swojej dumy tyle krwi przelał, nie oszczędzał jej jeszcze dla swojej osoby; w obu więc razach uległby prawom wojennym. Przypuszczając wreszcie pomyślny przejazd do Ameryki i doznane dobre przyjęcie przy zyskanej tam popularności, mógłże być pewnym, że Ameryka postawi opór domaganiom się Europy i nie wyda go sama, siłą do tego będąc zniewoloną. Zapełniwszy już okropnościami wojny ląd stary, miałże je do nowego przenosić świata? Jakkolwiek teraz marzył już tylko o znalezieniu cichego i swobodnego zakątka na łonie dziewiczej amerykańskiej przyrody, z drugiej strony przekonanym był, że Europa nie pozostawi go w spokoju i sięgnie po niego, za jakąbądź cenę. Wolał więc zwrócić się do Anglji, czynem zaufania odwołać się do jej honoru i dobrowolnem zdaniem się wspaniałomyślnie uzyskać ciche i godne jego osoby schronienie. Wszakże Ludwikowi XVIII i innym książętom na ich żądanie udzielano tam zawsze gościnnego przytułku; mianożby go tylko jemu odmówić? Wprawdzie nie był on tak nieszkodliwym jak Ludwik XVIII wygnańcem, lecz czyż odwołując się do jego honoru i sławy nie można było wymódz zobowiązania, że więcej już świata zakłócać nie będzie? Zresztą, nie czyniąc go więźniem, mogły być zozciągnięte nad nim takie środki ostrożności, iż te Europie zupełne dałyby bezpieczeństwo. Nic nadto więcej nie pragnął, bo jakkolwiek życie w pośród pustyń amerykańskich miało dlań swój urok, życie atoli na łonie narodu ucywilizowanego, w stosunkach z ludźmi oświeconymi, bardziej go nęciło. Zrzec się więc życia burzli-

wego, skończyć swój zawód na łonie spokoju, przyjaźni, nauki, wpośród mężów znanych z wyższości umysłu, było na teraz jedynem jego marzeniem. Nie bacząc więc na następstwa, projekt ten miał dla Napoleona jedyny teraz powab; objawił zatem życzenie panu de Las Cases, który biegle mówił po angielsku i księciu Rovigo, który całe jego posiadał zaufanie, aby ci udawszy się na pokład *Bellerophonu*, na którym powiewała flaga dowódzcy stacji angielskiej, stosownych w tej mierze zasięgnęli informacji.

Jakoż w nocy z dnia 9 na 10 Lipca, Las Cases i ks. Rovigo udali się na statek Bellerophon'u. Kapitan Maithland, dowódzca kroazjery angielskiej, przyjął ich z uprzedzającą grzecznością, nie mógł wszakże dać zapewnienia co do dalszych zamiarów rządu brytańskiego, tem bardziej, że Maithland nie był świadomym wypadków zaszłych po bitwie pod Waterloo. Odjazd Napoleona, jego obecność w Rochefort były rzeczą zupełnie dlań nową. Listów wolnego przejazdu dotąd nie otrzymał, z czego wynikało, że wszelki statek wojenny usiłujący przedrzeć się poza linję blokady musiałby być przez niego zatrzymany, każdy zaś statek neutralny uległby ścisłej rewizji. Co się zaś tycze osoby Napoleona, ponieważ wypadek ten nie był przewidziany, Maithland nie miał więc żadnych rozkazów dozwalających lub wzbraniających go przyjąć. W każdym razie oświadczył gotowość przyjęcia Napoleona na pokład w tém przekonaniu, że naród angielski otoczy byłego cesarza Francuzów względami dawnej jego chwale i wielkości odpowiedniemi. W tej mierze wszakże nie mógł na siebie przyjmować zobowiązania, nie mając żadnych w tak nieprzewidzianym wypadku instrukcji. W końcu kapitan Maithland przyrzekł odnieść się do swego zwierzchnika admirała Hotham, krążącego na ten czas w przystani Quiberon. Dwaj wysłańcy Napoleona zgodzili się na wniosek i odjechali zadowoleni uprzejmością dowódcy stacji, mało jednakże upewnieni co do spodziewanej wspaniałomyślności rządu brytańskiego. Kapitan Maithland posunął się za nimi ze swym Bellerophonem, dla tego, jak mówił, aby być bliższym w prowadzeniu rozpoczętych układów.

W dniu 11 Lipca ks. Rovigo i Las Cases złożyli Napoleonowi dość czczy raport ze swego posłannictwa i słabą dający rękojmią następstw z położonego w Anglji zaufania. Wysłany na zwiady oficer oświadczył, że teraz Anglicy posunęli się, że są czujniejszymi jak dawniej, że zatem ujście przed ich bacznością było prawie niepodobném. Nie było więc innego sposobu, jak siłą drogę sobie utorować, lecz teraz i temu stał na zawadzie Bellerophon, który właśnie zajął stanowisko w przystani Basques. Wprawdzie był to stary, nie zręczny w obrotach okręt, dwie nowe więc

fregaty dobrze uzbrojone, zosadą z całem poświęceeniem walczącą, śmiałe stawić mogły czoło. Inne zaś statki angielskie do składu tej morskiej stacji należące, były tak słabe, iż żadnej wzniecać nie mogły obawy. Zresztą, w głębi przystani stała jeszcze jedna korweta i kilka mniejszych statków mogących być również użytemi; nie tracąc więc czasu, krokiem tym odwagi, można było przedrzeć się siłą poza linją blokady.

Dla zbadania usposobienia dowódzców fregat la *Saale* i la *Méduze*, Napoleon do nich w tej mierze się zwrócił. Wiatr się zmienił, i przeszkody dotychczssowe nie były tak znaczne. Ośmielony takiem położeniem rzeczy, kapitan Ponée, dowódzca Meduzy, oświadczył gotowość do walki, ręcząc zarazem za dobry jej skutek. Zdaniem jego, z chwilą zachodn słońca należało podnieść kotwicę, w tym bowiem czasie zwykle dmie wiatr przyjazny. Wtedy on rozpocznie zacięty bój z *Bellerophonem*, nie odstąpi go, choćby mu przyszło poświęcić *Meduzę*, co pozostawi czas wydostania się na pełne morze fregacie *la Saale*, której zresztą nie trudno będzie odeprzeć małe statki, bieg jej wstrzymać usiłujące.

Tak śmiały projekt przedstawiał nadzieję prawie nieomylne i tak też sądził o nim Napoleon. Lecz kapitan Philibert, na którym ciążyła najmniej niebezpieczna strona dzieła i który tem samem więcéj był usposobionym do słuchania głosu rozsądku, lękał się ciążącej nad nim odpowiedzialności za narażenie na stratę jednego z poruczonych jego dowództwu statków. Nie było więc równego poświęcenia się ze strony obu kapitanów, i dla tego Napoleon nie mógł zdecydować się na przyjęcie ich ofiary. Ująwszy dłoń kapitana Ponée i ściskając ją szczerze, Napoleon podziękował za jego poświęcenie, mówiąc, że nie chce dla ocalenia swej osoby tak dzielnego jak on na zgubę narażać człowieka, woląc go zostawić na dalsze usługi kraju.

Od tej chwili przestał już myśleć o fregatach. Pozostawał jeszcze projekt popłynienia Girondą. Oficer wysłany do kapitana Baudin wrócił z wiadomością pod pewnym względem dość przyjazną. Baudin upewniał o dokładności swej korwety, zaręczając zarazem, że na niej gotów jest przewieść Napoleona dokąd zechce. Na nieszczęście, przejazd lądem był bardzo trudny, albowiem wypadało przebywać okolice wyłącznie przez rojalistów zajęte. Wiedziano że wszyscy nań czychają, zkąd łatwem było do przewidzenia, że albo można było dostać się w ich moc w razie słabego oporu, albo też nieprzyjaciel uwiadomiłby Anglików w razie, gdyby orszak towarzyszący Napoleonowi był w sile wystarczającej. Droga ta więc była prawie zamknięta, droga zaś dla dwóch fregat była już niepodobną do przebycia.

Nazajutrz, to jest dnia 12 Lipca, Napoleon przyjął u siebie brata i depesze z Paryża zawiadamiające go o ostatnio zaszłych wypadkach. Rząd tymczasowy był już zniesiony, Fouché w imieniu Ludwika XVIII był panem stolicy, należało więc spodziewać się wydania nowych, bardzo nieprzyjaznych rozkazów. Opuszczenie więc brzegów Francji w jakibądź sposób stawało się koniecznem. Anglicy bowiem nie tyle byli straszni, ile zwycięzcy emigranci. Widząc przeto że fregaty nie mogą zapewnić bezpiecznego przejazdu na drugą pułkulę, Napoleon opuścił *la Saale*. Jakoż po szczerych i smutnych pożegnaniach z całą osadą, kazał się przewieść na wyspę Aix, gdzie równie jak poprzednio ludność z zapałem go powitała. Teraz nie było chwili do stracenia. Płynąć w górę rzeki Seudre i przebywać konno klin ziemi dzielący rzekę Charente od Girondy było już niemożliwém, od chwili bowiem otrzymania nowych wiadomości z Paryża, biała chorągiew wszędzie powiewała. Rojaliści tryumfowali i nie było środka uniknienia ich. Wtem przedstawiono Napoleonowi nowy wniosek równie na pozór trafny, równie tchnący odwagą, jak propozycja kapitana Ponée. Kiedy bowiem rozeszła się wieść, że fregaty, skutkiem zbytniej przezorności jednego z kapitanów, nie będą miały zaszczytu ocalenia Napoleona, natenczas młodsi oficerowie wymyślili inny sposób ujścia przed nieprzyjacielem. Oświadczyli oni, że chcą wziąć jeden z większych dwumasztowców, osadzą go czterdziestu lub pięćdziesięciu odważnymi majtkami, z pomocą wioseł lub żagli przeprowadzą po za strzeżone przejścia i wtedy poruczywszy się woli wiatrów puszczą się na morze, na którém napotkany jakikolwiek okręt kupiecki zmuszony byłby siłą przewieźć ich do Ameryki. Nie było wątpliwości, że pod zasłoną nocy, siłą wioseł potrafią przedrzeć się niepostrzeżenie. Jedna wszakże projektom tym nową stawiała trudność; w razie bowiem niespotkania wprędce jakiego okrętu kupieckiego, można było popłynąć ku Hiszpanii, gdzie tém większe zagrażało niebezpieczeństwo.

Mimo to, projekt przyjęty i dzielni oficerowie upoważnieni zostali do wprowadzenia go w wykonanie. Wybrawszy z grona swego ludzi najśmielszych i majtków wyborowych, nazajutrz wieczorem w dniu 13 Lipca przyprowadzili do przystani wyspy Aix dwa statki dwu masztowe. Widząc zwiększający się w około zamęt, Napoleon postanowił chwycić się tego ostatecznego środka. W orszaku jego znajdowało się bardzo wiele osób, a nawet całe rodziny wiernych mu towarzyszy wygnania. Ci którzy widzieli konieczność pozostania, niewymowną z tego rozłączenia uczuli boleść, innych znów, myśl powierzenia się na kruchej łodzi niebezpiecznym bałwanom odnogi Gaskońskiej, strachem przejmowała. Kobiety zalewały się łzami; widok ten wstrząsnął silną duszę Napoleona. Niektórzy

zaczęli przekładać niebezpieczeństwo z zapędzenia statku do brzegów Hiszpanii, w razie nienapotkania okrętu kupieckiego, bo wtedy wszystkich nieochybnie nędzny spotkałby koniec; inni zaś zwracali uwagę, że w razie dostrzeżenia statków przez Anglików, byliby z pewnością od nich ścigani i obsaczeni. A więc, rzekł Napoleon widząc tyle zażawionych oczu, trzeba raz skończyć i poddać się Anglikom, kiedy wszelkie sposoby nie dają nadziei ocalenia się. Podziękowawszy tej dzielnej młodzieży, tak gorąco ocalić go pragnącej, postanowił nazajutrz sam oddać się w moc marynarki brytańskiej.

Następnego, to jest dnia 14 Lipca, Napoleon wysłał powtórnie do *Bellerophonu* z zapytaniem, jaka jest odpowiedź udzielona kapitanowi Maitland przez admirała Hotham, stojącego, jak wspomnieliśmy, w przystani Quiberon. Wysłańcem tym był znów Las Cases w towarzystwie jenerała Lallemand, któremu głównie missja ta była poruczoną. Kapitan Maitland oświadczył, że gotów jest przyjąć Napoleona na pokład swego statku, bez żadnych wszakże formalnych zobowiązań, czas bowiem zbyt krótki, nie dozwalał mu bliższych z Londynu zasięgnąć instrukcji. Zapewniał jednakże i tym razem, na własnem opierając się przekonaniu, że cesarz znajdzie w Anglji gościnność, jakiej w tym kraju doznawały zawsze najznakomitsze osoby szukające w nim przytułku. Tak mówiąc kapitan Maitland nie przewidywał zapewne losu jaki Napoleona miał spotkać w Anglji; w być może, że i chęć zwabienia na swój statek dawnego władzcę świata i okazania tak znakomitego jeńca swoim rodakom, pobudzała go do czynienia większych niż się spodziewał obietnic; mógłże bowiem przypuszczać, że rząd angielski takąż Napoleonowi, jak Ludwikowi XVIII pozostawi wolność. Takie więc niemożliwe do spełnienia obietnice kapitana, były złudzeniem równającém się kłamstwu. Jenerał Lallemand, jako skazany na śmierć, zapytał jeszcze, czy rząd angielski byłby zdolnym wydać go Francji, jak równie w témże położeniu znajdujących się innych jego spółtowarzyszy. Obawę tę kapitan Maitland odparł jako obelgę, danem zaś stanowczem upewnieniem dowodził, że sam już pomiędzy położeniem jenerała Lallemand, a Napoleona wyraźną kładł różnicę, że zatem w przybyciu na Bellerophon żadnego dlań nie upatrywał niebezpieczeństwa.

Upewnieni tą rozmową, Las Cases i Lallemand, powrócili na wyspę Aix, by uwiadomić Napoleona o rezultacie swego posłannictwa. Słuchał ich z uwagą, a widząc konieczność zdania się Anglikom, spodziewał się po tem co mu opowiedziano, znośnego przynajmniej w swym upadku obejścia. Przed wzięciem atoli ostatecznego postanowienia, otoczony gronem wiernych swych przyjaciół, raz jeszcze zamiar swój pod ich poddał roz-

wagę. Wszystkie sposoby ujścia przed nieprzyjacielem były jeszcze raz zbadane i w końcu odrzucone. Dwie tylko drogi pozostawały do wyboru: poddanie się z ufnością Anglji, albo rozpaczliwy powrót do armii nad Loarą. Nadchodzące ztąd wiadomości przekonywały, że wojsko zawsze za nim tęskni, że pała najwyższém dlań uczuciem przywiązania, że nareszcie z niem Napoleon mógłby jeszcze dokazać cudów waleczności. Nie zbywało też na środkach złączenia się z armją. Na wyspie Aix stał pułk marynarzy 1500 ludzi liczący, który nieraz sam wołał: *Łączmy się z armją nad Loarą!* Nadto, w Rochefort stał garnizon nie mniej dobrze usposobiony i cztery bataljony związkowych gotowych zawsze na usługi Napoleona. Rozmaite te oddziały tworzyły pięć do sześciu tysięcy ludzi, z któremi Napoleon bezpiecznie mógł złączyć się z wojskiem nad Loarą i oddziałem tym, a zwłaszcza swoją osobą, nowe siły i nowe wpoić zaufanie. Wszystko to atoli przywodziło na myśl nowe nieszczęścia na Francję zwalić się mogące, spełniony zamiar bowiem ten, innych owoców jak nowy rozlew krwi i pogorszenie losu zwyciężonych, w końcu przynieść nie mógł. Tak widoczna przyszłość dawała Napoleonowi to przeświadczenie, że dopuściwszy się już błędu powtórnym powrotem do Francji, nie należało go pogorszać wracając po trzeci raz, by kraj w zupełną wtrącić ruinę. Ostatecznie więc, nie bacząc na los spotkać go mogący, postanowił oddać się sam Anglikom. Chcąc atoli zamiar ten z należytą spełnić godnością, napisał do księcia rejenta przez jenerała Gourgaud list, osnowy następującej: „Wasza Królewska Wysokość! Zawód mój polityczny skończyłem w walce z stronnictwami kraj mój dzielącemi i nieprzyjaźnią pierwszorzędnych mocarstw. Przychodzę jak Temistokles spocząć przy gościnnem ognisku brytańskiego narodu. Szukam opieki praw jego, o nią proszę Waszą Królewską Wysokość, jako najpotężniejszego, najstalszego i najszlachetniejszego z pomiędzy moich nieprzyjaciół.“

W innych czasach pismo takie przemówiłoby zapewnie do honoru angielskiego; lecz w czasach tak żywej jeszcze nienawiści i postrachu jaki Napoleon wzbudzać nie przestawał, było tylko czczą odezwą do wspaniałomyślności, głuchej na wszelkie odwoływanie się do uczuć narodu. Napoleon polecił pp. Las Cases i Gourgaud wrócić na *Bellerophon*, zapowiedzieć przybycie jego w dniu następnym i żądać wolnego przejazdu jenerałowi Gourgaud z listem do księcia rejenta. Przyjazd tych panów oznajmujący postanowienie Napoleona, żywą na okręcie sprawił radość. Zapewniono ich, że *cesarz* (tak bowiem tytułowano), przyjętym zostanie z należnemi mu honorami i przewiezionym będzie zaraz do Anglii w towarzystwie osób, które życzeniem jego będzie zabrać z sobą. Jenerało-

wi zaś Gourgaud dano lekki statek dla spełnienia poruczonej mu missji do księcia rejenta.

Przyszła więc chwila dla Napoleona ostatecznego rozstania się z ziemią francuzką. W dniu 15 Lipca postanowiwszy opuścić wyspę Aix, rozczulająco pożegnał się z jenerałem Beker. Jenerale, rzekł do niego, dziękuję ci za twe szlachetne i uprzedzające ze mną obejście. Czemuż tak późno cię poznałem! byłbyś zapewne nieodstępnym moim towarzyszem. Bądź szczęśliwym i zapewnij Francją o najżywszych moich dla niej uczuciach. — Po tych słowach wśród najgłębszego wzruszenia uścisnął w swoich ramionach jenerała, a gdy ten objawił chęć towarzyszenia mu aż na pokład Bellerophonu, Napoleon zamiarowi temu oparł się. — Nie wiem, rzekł, jaki los przygotowują mi Anglicy; gdybym się więc zawiódł w położonem w nich zaufaniu, wtenczas powiedzianoby, że ty jenerale wydałeś mnie Anglji.— Po tych słowach dowodzących, że Napoleon oddając się w moc Anglików, nie czynił sobie zbyt pewnych nadziei, nastąpiły nowe dowody uczuć dla Bekiera, łzami się zalewającego. Następnie udał się na brzeg wśród okrzyków i bolesnych pożegnań ludu i wsiadł wraz z towarzyszami do kilku łodzi mających przewieźć wszystkich na statek *Epervier*. Kapitan Maitland oczekiwał nań z rozwiniętemi już żaglami, lękając się, czy nie wysuną się z rąk jego te szacowne trofea, jakie sam chciał swoim spółrodakom przedstawić. Kiedy już ujrzał *Epervier'a* dążącego ku *Bellerophonowi*, radość jego nie miała granic. Rozkazał zaraz całéj osadzie stanąć pod bronią, aby z całą czcią przyjąć wielkiego jeńca, oddającego w ich moc swoją chwałę i nieszczęścia. Zeszedłszy na dół schodów okrętowych podał Napoleonowi rękę mianując go *cesarzem*. Kiedy stanęli na pokładzie, Maitland przedstawił mu swój sztab tak, jakby to czynił przed rzeczywistym monarchą Francji. Napoleon odpowiedział z godnością na czynione mu honory oświadczając zarazem, że przybywa z ufnością i poddaje się opiece praw brytańskich. Kapitan z swej strony zazapewniał, że nikt jeszcze nie żałował powierzając się wspaniałomyślności narodu angielskiego. Umieściwszy Napoleona na Bellerophonie jak mógł najlepiej, zapowiedział cesarzowi bliską wizytę admirała Hotham. Jakoż wkrótce wspomniony admirał przybył na statku *Superbe* i przedstawił się Napoleonowi z zachowaniem form najwyższe znamionujących uszanowanie. Prosił przytem, aby cesarz uczynił mu zaszczyt i przybył doń na obiad na statek *Superbe*. Napoleon zezwolił i przyjęty tu był równie z honorami monarsze należnemi. Zabawiwszy kilka godzin, powrócił na *Bellerophon*, mimo próśb admirała, aby na jego pozostał statku. Napoleon mógł wprawdzie lepsze tu dla siebie znaleźć wygody, nie chciał jednak zasmucić kapitana Maitland, który ga taką otaczał uprzejmością

i zdawał się być dumnym z jego posiadania. Pozostał więc na *Bellerophonie*, który niebawem wyruszył pod żagle.

Wiatr był słaby; z trudnością wydostano się na kanał la Manche okrążając brzegi Francji. Napoleon zdawał się być spokojnym, a przechadzając się wciąż po pomoście okrętu, przyglądał się obrotom marynarzy, którzy na zadawane im pytania odpowiadali z uszanowaniem i zachowaniem przynależnych mu tytułów. Patrząc na ten spokój, na otaczający go szacunek niktby się niedomyślił, że Napoleon ze szczytu jednego z najświetniejszych tronów w tak okropną spada przepaść.

Okręt posuwał się zwolna. Dnia 23 Lipca dostrzeżono Ouessant i brzegi Francji, a w dniu 24 z rana Bellerophon zawinął do przystani Torbay dla odebrania rozkazów od admirała Keith, naczelnego dowódzcy wszystkich kroazjerów na oceanie. Jakoż niebawem nadszedł rozkaz polecający Bellerophonowi zawinąć do portu w Plymouth. Zaledwie tam stanął, dwie fregaty mocno uzbrojone ustawiły się po obu jego stronach, trzymając go tem samem pod strażą dział swoich. Wielu urzędników angielskich przybywało dla porozumienia się z kapitanem Maitland, przedmiot atoli ich rozmów wiadomym nie był. Admirał Keith udał się na pokład Bellerophonu dla oddania krótkiej wizyty Napolonowi, w czasie której nie wyrzekł ani słowa zdradzającego zamiary rządu brytańskiego. Wposród tak złowrogiego milczenia w około dostojnego jeńca, na wszystkich twarzach spotykanych zwykle na Bellerophonie, a mianowicie na twarzy kapitana Maitland, widziano jakieś zakłopotanie, jakąś ukrywaną tajemnicę i widoczną chęć wycofania się z czynionych obietnic; jednak najbardziej niepokającém było to, że ci ludzie, pomimo chęci okazywania szacunku, nie śmieli go objawiać. W tym właśnie czasie powrócił jenerał Gourgaud z doniesieniem, że z listem Napoleona nie był dopuszczony do księcia rejenta i musiał go wręczyć admirałowi Keith. Oznaki te słabą już czyniły nadzieję.

Napoleon udając się na *Bellerophon* łudził się tylko w połowie, stojąc atoli pomiędzy niewolą i dobrowolnem poddaniem się, wolał obrać tę ostatnią drogę i z spokojem oczekiwał ostatecznego wyroku. Lecz teraz po tem co się działo w przystani Torbay i po otaczających go osobach łatwo mógł wnieść co go czeka. Gdyby się uważał za Erostratesa w czczym rozgłosie sławy szukającego, Napoleon z położenia swego mógłby być zadowolonym. Zaledwie bowiem wiadomość o jego przybyciu rozeszła się po kraju i dobiegła do Londynu, zaraz tłumy ciekawych z całej Anglii zbiegały się, by własnemi oczyma ujrzeć człowieka, który od lat dwudziestu taką sławą świat zapełniał. Anglicy przedstawiali zawsze Napoleona jako potwór, grozą i przestrachem władający; pomimo jednak nie-

nawiści każdy widzieć go pragnął. Dzienniki brytańskie głosząc z dziką radością niewolę Napoleona, potępiały zarazem ciekawość zwabiającą ku niemu Anglików, chcąc ich tym sposobem odstręczyć od wycieczek. Środek ten wszakże nietylko nie wstrzymywał, ale owszem podniecał ciekawość: jakoż wszystkie konie na drodze z Londynu do Plymouth zajęte były pod tłumy tam śpieszące. Tysiące łodzi otaczało nieustannie *Bellerophon*, i nie bacząc na niebezpieczeństwa z wzajemnego spotykania się i uderzania wyczekiwały po kilka godzin by ujrzeć Napoleona. Nie było dnia, aby ktoś nie utonął, nic to jednakże nie zmiejszało napływu ciekawych. Wiedziano, że Napoleon każdego poranku wychodził na pokład okrętu dla orzeźwienia się świeżem powietrzem; wyczekiwano więc tej chwili, a jak tylko ukazał się, cisza zaległa morze, i każdy mimowolnie odkrywał głowę, bez wydawania wszakże okrzyków przyjaznych lub złowrogich. Ministrowie angielscy widząc że litość dla nieszczęścia i sympatia dla sławy wpływa na osłabienie nienawiści, wydali rozkaz usunięcia ciekawych, nie pozwalając im krążyć około Bellerophonu jak w odległości niezaspokajającej ich pragnień. Zresztą przyśpieszali ostateczne roztrzygnienie kwestji dotyczącej Napoleona.

Ministrowie, równie jak kapitan Maitland, zdziwili się niesłychanie widząc Napoleona oddającego się dobrowolnie w ich ręce. Nadeszłe z Paryża wiadomości o jego ucieczce oburzyły dyplomację europejską przeciw Fouche'mu, wjej bowiem przekonaniu dopóki ten powszechny burzyciel będzie wolnym, nie omieszka korzystać z każdej chwili, by nowym Europę zakłócić niepokojem. Radość więc wyrównała zdziwieniu, jak skoro dowiedziano się, że pozbawiony tronu cesarz znajduje się w Plymouth na okręcie marynarki angielskiej. Akt zaufania nie wzruszał bynajmniej ministrów; byli nawet ludzi tę dziką objawiający myśl, że należało wydać Napoleona w moc Ludwika XVIII, który tém samém przyjmowałby na siebie odpowiedzialność przed historją, za los mu naznaczony. Lecz tak nikczemny zamiar niemożliwym był do spełnienia w kraju, w którym wszystkie ważniejsze sprawy poddawane są pod jawną dyskussją. Te i tym podobne usunąwszy wnioski, a bacząc tylko na ścisłe wykonanie prawa, ministerstwo angielskie nową napotykało trudność, jak ma uważać dostojnego wygnańca. Gdyby był ujęty na morzu w czasie zamierzonej ucieczki, wtedy z samego prawa stałby się jeńcem; lubo i w takim razie pozostawałaby jeszcze do rozstrzygnienia kwestja, czy po skończonej wojnie, sprawca jej mógł być zatrzymanym. Lecz przed przystąpieniem do roztrząsania tego pytania, wypadało wziąć na uwagę delikatniejszą stronę kwestji; oto, czy można uważać za jeńca nieprzyjaciela, który dobrowolnie się poddał.

Najuczeńsi prawnicy angielscy, których rady w tej materji zasięgano, w wielkim co do zdań znajdowali się kłopocie. Wszelako zakłopotanie to, w obec ciągle zagrażanego spokoju Europy nie mogło być długotrwałém. Jakkolwiek piszemy w charakterze Francuza żywiącego całą sympatję dla dawnego towarzysza naszej sławy, nie możemy przecież pomijać z uwagi tej prawdy, że Europa doznając dwudziesto-letnich wstrząśnień, a teraz świeżo pozbawiona spokoju i potokami krwi zbroczona, nie mogła nie ubezpieczyć się przeciw nowym zamachom, jakiemi zawsze ten potężny genjusz zatrważał. Każdemu innemu monarsze, jak to miało miejsce z Ludwikiem XVIII, sama gościnność nakazywałaby pozostawić wolny wybór miejsca w któremby spokojnie dni swoich mógł dożyć. Pozwolić więc swobodnie przechadzać się po ulicach Londynu człowiekowi który niedawno samowolnie porzuciwszy Elbę, powołał Europę pod broń i wyzwał do walki pod Ligny i Waterloo, było rzeczą niepodobną. Jeżeli rządy obowiązane są szanować życie drugich, mają również prawo stawania w własnej swej obronie; słusznie więc prawnicy angielscy powoływali się na zasady obrony prawnej, która nakazuje i upoważnia każdego, myśleć zawczasu o własném bezpieczeństwie, gdy to widocznie jest zagrożone. Wszystkie rządy i prawodawstwa kładą więzy na ręce osób uznanych za niebezpieczne; cała więc Europa, nie wyłączając Francji, doznawszy ile Napoleon był dla niej niebezpiecznym, miała prawo pozbawienia go nadal możności szkodzenia. Po r. 1814 Europa odejmując berło, wydzieliła mu na pobyt wyspę Elbę; w 1815, po powrocie z tej wyspy, miała wszelkie prawo pozbawić go wolności. Ktoby chciał zaprzeczać tej prawdzie, tenby chyba zamykał oczy przed światłem. Lecz prawo obrony wstrzymuje się przed niebezpieczeństwem, a gdzie niebezpieczeństwo znika, tam i prawo milczy. Zatrzymując więc Napoleona jako jeńca, nikt nie miał prawa dręczyć go, skracać mu życia, a nadewszystko upokarzać. Uszanować w jego osobie genjusz, było obowiązkiem równym prawu narzucenia mu więzów. Wszystko więc co przechodziło za konieczność ubezpieczenia się od nowej ucieczki, będzie okrucieństwem czerniącem wiecznie pamięć tych, którzy się go dopuścili. Pod tym ostatnim względem nic obranych przez rząd brytański środków nie usprawiedliwia; smutny zaś koniec naszej opowieści przekona, że Anglja nieuszanowaniem sławy Napoleona, swoją własną skaziła sławę.

Pierwszym przedmiotem narad było wyznaczenie przyszłego miejsca pobytu dla Napoleona. Morze Śródziemne było już potępione uczynionym z niego zamachem; należało więc inne, dalsze obrać morze. Ocean Indyjski za daleki, dla samego zaś bezpieczeństwa trzeba było miewać częste o więźniu wiadomości. Zresztą wyspa Ile de France, je-

dyna jaką można było wybrać na Oceanie Indyjskim, była zbyt ludną i zbyt uczęszczaną. Aby upewnić się co do osoby Napoleona, wypadało zamknąć go prawie na rygiel, a tak niecnego obowiązku nikt wtedy nawet podjąć się nie chciał. Lecz przypomniano sobie, że wpośród Atlantyku, na półkuli południowej, w równej odległości od brzegów Afryki i Ameryki, leży wyspa wulkaniczna, z trudnym do niej przystępem. Znana jej nieurodzajność nie nęciła osadników; na tej więc pustyni trzymany więzień, nie potrzebował być zamykanym w murach warowni. Byłato wyspa świętej Heleny. Skład jej tak odpowiedni na więzienie, zwrócił uwagę mężów stanu, których głównem dążeniem było usunąć Napoleona z mórz europejskich. Jednozgodnie więc naznaczono tę wyspę na jego przyszły pobyt i na czas trwania tej niewoli kompanja indyjska ustąpiła wyspę rządowi. Idąc za ogólném zdaniem klimat św. Heleny nie był uznany niezdrowym, był on prawie takim, jak na wszystkich wyspach międzyzwrotnikowych, a jeżeli mógł być niebezpiecznym dla mieszkańca stref umiarkowanych, cóż na tem zależało że się mógł stać nim dla człowieka, któremu cały świat był za ciasnym do rozwinięcia jego bezmiernej działalności. Bądźmy jednakże sprawiedliwymi i powiedzmy, że gdyby chciano odpowiednie tej ruchliwości obmyśleć dla Napoleona więzienie, trzeba było zostawić mu świat cały, który dość od niego udręczony, byłby mu zapewnie wszędzie przyjęcia odmówił.

Ostatecznie więc zgodzono się na wyspę św. Heleny; postanowiono nadto obrać w pośrodku tej wyspy, zdala od części jej zamieszkałej, przestrzeń dość obszerną, w którejby Napoleon mógł przechadzać się pieszo lub konno i nie czuł że jest więźniem. Dotąd wszystko zamykało się w granicach konieczności, nie trzeba było tylko dodawać ani bezpotrzebnych utrudnień, a nadewszystko tego upokarzającego obchodzenia, które dla dostojnego więźnia podwójnie przykrą niewolę jego czyniły. Nadto, gabinet brytański, ustępując przed namiętnościami czasu, postanowił, że Napoleon którego zawsze, a nawet na wyspie Elbie tytułowano cesarzem, odtąd nazwany być ma tylko jenerałem Bonaparte. Wprawdzie imię to bardzo zaszczytne, na jakiem zapewne najwięksi mocarze świata poprzestaliby i nie pragnęli innego; wszelako, odmawiać Napoleonowi tytułu niezaprzeczanego mu w ciągu lat dwunastu, i od wszystkich przyznanego, tytułu jakim darzyła go sama Anglja traktując z nim w r. 1806 przez swego ministra lorda Lauderdale, i w r. 1814 przez ministra Castelereagh przy układach w Chatillon, było postanowieniem niegodnem i, jak obaczymy, nierozsądnem. W wieku, w którym tylu monarchów widzieliśmy schodzących z tronu na wygnanie, z wygnania wracających na tron, gdyby kto mówiąc o Ludwiku XVIII lub Karolu X pozbawionym berła, śmiał był za-

przeczyć im królewskich tytułów, taki zapewne stałby się winnym wyrządzonej obelgi i nieposzanowania nieszczęścia. Prawda że wspomnieni monarchowie, byli następcami długiego szeregu królów, czyli reprezentantami tego co jest najgodniejszem szacunku w świecie, to jest dawnej kilkowiecznej przeszłości; lecz i geniusz (przynajmniej w stopniu, w jakim go miał Napoleon), posiadał również prawo do szacunku. Monarchowie więc, którzy jawnem udzielaniem dawniej tego tytułu usprawiedliwiali niejako swoje upokorzenie w obec cesarza Francuzów, i nadając go, usilnemi zabiegami starali się z nim połączyć, a nawet spokrewnić, dziś zaprzeczaniem tego miana sami w niekorzystnem stawiali się świetle; uznając bowiem w Napoleonie tylko siłę chwilowem wspartą powodzeniem, upoważniali tem samem ludy do nabrania przekonania, że i one sile tylko zmuszone są hołdować. Pozbawiając zwyciężonego pod Waterloo godności cesarza, nie uprawniali przez to, ani nie umacniali na tronie Ludwika XVIII; przeciwnie, czynem tym sami zdzierali urok przywiązany do godności monarszej, dowodząc że wszystko jest trafem, że tylko ślepy los tytuły te nadaje lub je odbiera. Wprawdzie może kto powie, że w pozbawieniu Napoleona należnych mu tytułów powodowano się chęcią dotknięcia jego miłości własnej, co obojętnem będąc dla potomności, powinno było zarazem uczynić go wyższym nad wyrządzoną mu krzywdę. Zaiste, gdyby chęć upokorzenia nie była widoczną, Napoleon mógłby się pocieszać tem, że w ustach spółczesnych jest tylko jenerałem Bonaparte, lecz ministrowie angielscy zapomnieli, że zwiększając tym sposobem surowość niewoli, ściągali na siebie słuszny zarzut umyślnego prześladowstwa, dosięgający nawet ich dzieci, albowiem gdy czas uciszy namiętności, nikt bez wątpienia nie posunie się wtedy, do znieważania genjuszu.

Ostatecznie więc postanowiono, że Napoleon uważany być ma jak zwyczajny jenerał i jeniec wojenny, że tak on, jako i towarzyszący mu oficerowie winni być rozbrojeni, że trzem tylko osobom z jego otoczenia dozwolonem będzie pozostać przy jego osobie, z wyłączeniem jenerała Lallemand i księcia Rovigo, uważanych jako niebezpiecznych; że wszystkie rzeczy i sprzęty Napoleona i jego towarzyszy mają być przetrząśnięte, pieniądze zaś i kosztowności i co tylko mogłoby dopomódz do ucieczki ma być zabrane; że nareszcie bezzwłocznie wysłany będzie na wyspę św. Heleny, gdzie w wyznaczonym obrębie wolno mu będzie przechadzać się lub przejeżdżać konno, w razie zaś gdyby objawił chęć posunięcia się dalej, ma dodana mu być straż z oficera. Wszystkie ostrożności, raz jeszcze powtarzamy, mające na celu utrudnienie ponownej ucieczki dostojnemu jeńcowi, były słuszne; lecz zaprzeczanie tytułu jakiego mu potomność nigdy nie odejmie, przetrząsanie jego ruchomości, ograniczanie ilości

towarzyszy wygnania, odebranie szpady, było krokiem nikczemnym; cóż Napoleon mógł podołać z trzema, czterema, czy sześcioma towarzyszami? komu zaszkodzić mógł swoją szpadą i kilką tysiącami luidorów? Nie szpady to należało się od niego domagać, ale jego genjuszu; a ponieważ odebranie tego ostatniego było niemożliwem i nie mogło inaczej nastąpić, jak chyba przez pozbawienie go życia, ku czemu właśnie skłonnym był Blücher, ministrowie zaś swobodnej Anglji wyroku tego wyrzec nie śmieli, można więc było dla okupienia powszechnego pokoju obciążyć go więzami, lecz nie należało nigdy powiększać bezpotrzebnie ciężaru tych kajdan i dodawać zniewag niczem nie usprawiedliwionych.

Ponieważ *Bellerophon* był za słabym statkiem do tak dalekiej podróży, postanowiono więc przeprowadzić Napoleona na okręt *Northumberland* z dodaniem odpowiedniej eskorty. Cała wyprawa zostawać miała pod rozkazami jenerała Cockburn, któremu nadto poruczono wydanie stosownych rozporządzeń do przyjęcia więźnia na wyspie św. Heleny. Jednocześnie polecono admiralicyi śpiesznie przygotować *Northumberland*, tak aby okręt niebawem stanąć mógł pod żagle, rząd angielski bowiem rad był jak najprędzej usunąć z Plymouth przedmiot tak żywej ciekawości i oswobodzić od jego obecności Anglją i Europę.

Gdy takie zapadło postanowienie, rząd angielski niezwłocznie wysłał rozkazy do lorda Keith z poleceniem zawiadomienia o tém wszystkiem Napoleona. Już dzienniki uprzedziły go o zapadłym wyroku; co wszakże nie zdziwiło Napoleona, nie spodziewał się bowiem aby inaczej z nim postąpiono. Największą atoli boleść sprawiła wieść ta towarzyszom jego niedoli, którzy naraz ujrzeli konieczność rozłączenia się lub zagrzebania się żywcem w grobie św. Heleny. Lord Keith w towarzystwie podsekretarza stanu Bunburg przybył na pokład *Bellerophonu*, i postanowienie rządu odczytał. Napoleon wysłuchał go obojętnie i zgodnością; po skończonem atoli czytaniu, bez uniesienia lecz stanowczo, wyliczył lordowi Keith przyczyny skłaniające go do zaprotestowania przeciw decyzji rządu brytańskiego. Oświadczył najprzód, że nie jest jeńcem wojennym, gdyż sam dobrowolnie przybył na pokład Bellerophonu; że do tego kroku nie był zmuszony żadną koniecznoscią, mógł bowiem rzucić się pomiędzy szereg armji nad Loarą i dalej bój prowadzić; że gdyby nawet nie chciał przedłużać wojny, to i w tym razie pozostawał mu wybór innego niż Anglja mocarstwa; i zapewne powierzając się cesarzowi Aleksandrowi, swemu osobistemu przyjacielowi, lub cesarzowi Franciszkowi ojcu jego małżonki, od żadnego z nich takiego nie doznałby obejścia; że chcąc sam położyć kres nieszczęściom świata, przez szacunek dla Anglji, u niej przyszedł żądać schronienia; że ona zawodząc jego zaufanie

uwłacza swej sławie gdy śmie nałożyć pęta bezbronnemu; że nareszcie czynem takim Anglja łamie w jego osobie prawa narodów, odwołując się więc do narodu angielskiego za postępki jego rządu przypomina, że historja surowo potępi czyn tak nieszlachetny. Napoleon uważał za niegodne zajmować się szczegółami dotyczącemi przyszłego jego pobytu, ani sposobu w jaki ma być tam traktowanym; opuścił więc lorda Keith z dumą godną jego wielkości, dumą nie zawisłą od kaprysów fortuny ani przemocy nieprzyjaciela.

Mimo to Napoleon z boleścią przyjął wiadomość o szczegółach dodanych do wyroku dożywotniego więzienia. Światłym swoim umysłem pojmował, że jego niewola była dla Europy wynikiem prawa i konieczności; lecz dodane złośliwie brzemię tej niewoli, jak odjęcie szpady, tytułu monarszego i tych kilku wiernych mu rozbitków, było dlań bolesnem upokorzeniem. Postanowił więc nie poddać się tak nicnemu wyrokowi choćby to miało przywieśdź go do ostateczności. W pierwszej chwili miał zamiar przybrać imię, jakiego niekiedy używają panujący dla uproszczenia stosunków; chciał więc najprzód nazwać się pułkownikiem Muiron na pamiątkę mężnego oficera zabitego na moście pod Arcole, gdy go osobą swoją zasłaniał. Lecz od chwili w której mu zaprzeczono tytułu przez całą uznanego Europę, sławą jego uprawnionego, Napoleon postanowił nie dopomagać wrogom w własnem poniżaniu, ani osłabiać praw jakie Francja miała wybierając go na naczelnika narodu Co się zaś tycze oddania szpady, Napoleon gotów był nią przebić tego, ktoby mu ją chciał odebrać.

Ujrzawszy swoich towarzyszy Napoleon zalecał im naradzić się z swemi rodzinami i własne zbadać uczucia co do przyszłej z nim podróży; wszyscy atoli gotowi byli wszędzie pójść za nim, nie bacząc na warunki stawiane przez podejrzliwą nienawiść zwycięzców z pod Waterloo. Żałował bardzo wyraźnego wyłączenia jenerała Bertrand i Savary, lubo nie chciał o to upominać się. Wskazał więc wielkiego marszałka Bertrand'a, hrabiego Montholon i jenerała Gourgaud. Dozwolona liczba towarzyszów niewoli była już zapełniona. Samo przez się rozumie się, że w liczbę tę nie wchodziły żony i dzieci, że one zatem będą mogły towarzyszyć swym mężom a tem samem powiększyć małą kolonją Napoleona na wygnaniu. Pomiędzy osobami przybyłemi wraz z nim do Anglji, znajdowała się jedna do której Napoleon wielką przywiązywał wagę; był nim hr. Las Cases, człowiek uczony, miły w rozmowie, mówiący biegle po angielsku, dawny oficer marynarki, a zatem mogący mu bardzo się przydać w tych dalekich zamorskich okolicach. Napoleon pragnął bar-

dzo zabrać go z sobą na ś. Helenę i on też wszędzie był gotów pójść za nim. Rozkaz angielski ograniczający liczbę towarzyszy do trzech osób, mówił tylko o wojskowych, Las Casses więc, jako urzędnik cywilny, mógł do liczby tej nie należeć; nadto zezwolono na zabranie lekarza i dwunastu służących. Po uregulowaniu szczegółów postanowiono jak najprędzej wyruszyć w podróż.

Jak tylko *Northumberland* gotów był wyjść pod żagle, posunięto go zaraz do przystani Start-Point, gdzie właśnie stał *Bellerophon*. Lord Keith usiłujący w rozkazach swoich złagodzić wykonanie rozkazów ministerstwa, najprzykrzejsze z nich, to jest rozbrojenie osób i przetrząśnienie bagaży pozostawił na czas opuszczenia Europy. Zażądano więc szpad od tych którzy je nosili, urzędnik zaś celny odbył rewizją rzeczy, zabrał pieniądze w depozyt jako równie i wszelkie przedmioty wyższej wartości. Wierny Marchand, kamerdyner Napoleona, który dobrem swojem wychowaniem i poświęceniem tyle mu oddał usług, zręcznie potrafił ukryć pewien zasób pieniężny. Dawnemu władzcy świata pozostało tylko 4 miljony tajemnie złożone u p. Lafitte, około 350,000 fr, w złocie i naszyjnik dyamentowy, który królowa Hortensjia zmusiła go przyjąć. Naszyjnik ten p. Las Cases zdołał ukryć w pasie, 350,000 fr. rozdzielono pomiędzy służących, pozostało więc tylko 80,000 fr. na widoku i te urzędnik celny złożył do depozytu; a ponieważ nikczemności postępowania nie posunięto do przetrząsania osób, przedmioty więc rozebrane pozostały w ukryciu. Co się tycze innych przedmiotów, takowe spisano z zamiarem wydawania ich więźniom w miarę potrzeby. Po dopełnieniu tak smutnych formalności przewieziono jeńców łodziami; wtedy to kapitan Maithland, zbliżywszy się z uszanowaniem, tkliwie pożegnał Napoleona. Jakkolwiek Maithland w usilnej chęci sprowadzenia Napoleona na pokład swego statku więcej może obiecywał, niż samo się spodziewał, nie był on wszakże ani sprawcą ani spólnikiem zdrady i szczerze litował się nad niecnem traktowaniem dostojnego więźnia. Napoleon nie uczynił mu też żadnej wymówki, polecając wyrazić jego podziękowanie całej osadzie *Bellerophonu*. W chwili przejścia z jednego okrętu na drugi, admirał Keith, z widocznym żalem i tonem pełnym uszanowania, przemówił do Napoleona: *Jenerale, Anglja kazała mi zażądać Twojej szpady.* Na te słowa Napoleon odpowiedział spojrzeniem dającem poznać do jakiej ostateczności gotów był posunąć się względem tego, ktoby go zechciał rozbroić. Keith nie nalegał więcej, i Napoleon pozostał przy szpadzie. Teraz nadeszła chwila rozstania z tymi, którym odmówiono zaszczytu towarzyszenia w podróży. Savary i Lallemand rzucili się w jego ramiona, długo nie mogąc się od nich oderwać. Po uściśnie-

niach, Napoleon rzekł do nich: Bądźcie szczęśliwi moi przyjaciele... Nie obaczymy się więcej, myśl moja wszakże tak was jak i tych wszystkich co mi wiernie służyli, nigdy nie opuści. Powiedzcie Francji, że jej przesyłam najszczersze życzenia... Poczem w towarzystwie admirała Keith wsiadł do łódki mającej go przewieść na okręt *Northumberland*. Admirał Cockburn otoczony swoim sztabem i wojskiem pod bronią przyjął go ze wszelkiemi honorami, jakie się zwykle dowódzcy oddają. Tu jak i wszędzie, Napoleona, któremu pozostała tylko jego sława, otaczał urok jaki wszędzie osobą swą rozsiewał. Majtkowie, żołnierze, nie bacząc na swoich zwierzchników, śledzili za nim wzrokiem, pożerali spojrzeniem, prezentowali broń, witali z godnością cichą lecz pełną spółczucia. Jak tylko przesiedlenie z jednego na drugi okręt ukończono, admirał nie tracąc ni chwili czasu rozkazał podnieść kotwicę, przystań bowiem nie była bezpieczną a rozkaz naglił do wyjazdu. W dniu 8 Sierpnia 1815 r. *Northumberland* rozwinął żagle i eskortowany przez fregatę *la Havanne* i wiele korwet i brygów obsadzonych wojskiem, wyruszył w podróż. Cała ta dywizja zwróciła się ku odnodze Gaskońskiej, by następnie przepłynąć około przylądka Finisterre, i posunąć się ku południowi wzdłuż brzegów Afryki. Opuszczając kanał la Manche, Napoleon dojrzawszy przez mgłę brzegi Francji, powitał ją z wruszeniem przekonanym będąc, że po raz ostatni kraj ten ogląda.

Chwila wyjazdu sprowadza zawsze jakiś zamęt w sercu i umyśle i nie dozwala uczuć całej goryczy przykrego rozstania. Dopiero w spokoju, w samotności, boleść staje się dotkliwszą, dozwala ocenić co człowiek stracił, z czem musiał się rozstać, czego już nigdy nie ujrzy. Niemy i głęboki smutek opanował teraz tę garstkę wygnańców, którą potężna wola Europy wypychała w tej chwili na inną półkulę świata. Nie siląc się na udawaną obojętność, Napoleon okazywał możliwy spokój i odpowiadał uprzejmością na okazywaną przez Cockburn'a względność, który, lubo trzymał się w granicach zakreślonych instrukcją, łagodził o ile mógł smutną niewolę dostojnego więźnia. Admirał Jerzy Cockburn był to stary żeglarz, wysoki, suchy, opryskliwy, zazdrośny o swą władzę, pod tą wszakże szorstką powierzchownością, kryła się w nim prawdziwa dobroć serca, nie dopuszczająca żadnych obostrzeń do udzielonych przez rząd rozkazów. Umieścił Napoleona jak mógł najlepiej i starał się zwyczaje angielskie znośnemi uczynić. Mając zakaz tytułowania go cesarzem, zwał go *Excellencją*, poprawiając zewnętrznemi formami to, co w tytule mogłoby być dotkliwem. Napoleon przy stole admirała zajmował miejsce naczelnego wodza, jego zaś towarzysze siedzieli obok podług stopni. Oficerowie eskadry kolejno zapraszani, byli mu zawsze przed-

stawiani. Napoleon przyjmował ich z całą uprzejmością, zadawał pytania odnoszące się do ich zawodu, w czem Las Cases służył za tłumacza, nie dziwił się ani okazywał wstrętu do tego co widział, chwalił co było godnem pochwały w składzie okrętów angielskich i we wszystkiem zachowywał prostotę i spokój. Jedno tylko co było dlań niedogodnem i czego znieść nie mógł, były długo ciągnące się obiady angielskie. Napoleon, który przy niezmordowanej swej czynności, sam zwłaszcza będąc, kilka zaledwie minut spędzał przy stole, nie mógł przywyknąć do kilko-godzinnych biesiad Anglików. Pojął to admirał, że i w tym razie dla dostojnego gościa trzeba zrobić ustępstwo z zwyczajów angielskich; odtąd więc po ostatniej potrawie wstawał od stołu wraz z swoim sztabem, towarzyszył Napoleonowi do drzwi, podawał mu rękę jeżeli okręt kołysały bałwany i potem wracał z oficerami do stołu.

Po obiedzie Napoleon zwykle przechadzał się na pokładzie okrętu, czasem sam, niekiedy w towarzystwie Bertranda, Gourgaud i Las Cases'a, już to milcząc, już zwierzając się z uczuć duszę jego napełniających. Jeżeli nie był usposobionym do rozmowy, po krótkiej przechadzce na pokładzie siadał zwykle na armacie na przodzie okrętu stojącej, którą osada nazwała zaraz *armatą cesarza*. Tu długo nieraz przyglądał się błękitowi wód podzwrotnikowego morza, a patrząc na zachodzące słońce dumał, że i on tak schodzi do grobu w którym mają się zawrzeć dziwne jego losy. Ani na chwilę nie powątpiewał o swej przyszłości, przekonanym będąc, że tam na południu, dokąd okręt jego podąża, znajdzie nietylko chwilowy spoczynek, ale i śmierć po mniej-więcej przedłużonem konaniu. Zapatrując się teraz na swój własny żywot, z podziwem rozważał dziwne jego fazy i już to się oskarżał, już uniewiniał lub nad sobą samym litował, tak jakby to uczynił względem kogo innego, a przekonany o ogromie swej chwały wierzył, że na obszernym widnokręgu dziejów świata nie ma nic, coby wytrzymać mogło porównanie z dziwną wielkością jego przeznaczeń. Z długiej tej zadumy Napoleon rzadko kiedy przechodził w drażliwe usposobienie, owszem pobudzony zachwycającym obrazem swego żywota opowiadał nieraz najważniejsze jego ustępy. Wtedy wracając do swych towarzyszów niedoli, opowiadał im, chciwie zawsze słuchany, ten lub inny zarys z swej przeszłości. Rzecz dziwna, łatwo atoli dająca się usprawiedliwić, że dwie ostateczności w świetnym zawodzie Napoleona, najczęściej mu teraz na myśl wracały; ztąd, albo mówił o ostatnich wypadkach, które jak gwałtowny dźwięk struny w duszy jego jeszcze dźwięczały, to jest, albo mówił o Waterloo, lub też zwracał myśl do świetnych początków swego zawodu we Włoszech, początków, które czarując jego młodość, wielką zapowiadały

przyszłość. Jeżeli ustępując świeżym wrażeniom rozmawiał o Waterloo, to czynił zwykle dla zbadania przyczyn jakie wpłynęły na wprowadzenie w obłęd jego jenerałów i na ich sprzeczne złąd postępowanie. O! Neyu, d'Erlon, Grouchy! wołał, o czem wy wtede myśleliście! Wszelako, nie oskarżając nikogo, nie zrzucając swych błędów na barki innych, zapytywał się tylko, jakim sposobem Ney, bez otrzymania rozkazów, mógł o dwie godziny wcześniej niż należało, rzucić się na krok stanowczy ze swoją jazdą. W tym razie Napoleon czyn Neya usprawiedliwiał niezwykłym niepokojem, jaki wtedy owładnął tę bohaterską duszę. Co się tycze d'Erlona'a, lubo nie wątpił ani o jego odwadze, ani o męztwie i poświęceniu, nie mógł przecież wytłumaczyć szyku w jakim w tym pamiętnym dniu hufce swoje rozstawił. Utyskując na jego błędy, nie obwiniał go, dla Grouch'ego tylko był nieco surowszym, usterki bowiem Neya i d'Erlon'a, jak się wyrażał, były do naprawienia, błędy zaś marszałka Grouchy były ciosem śmierci. Nie czyniąc ujmy wierności i męztwu, Napoleon nie mógł wynaleźć przyczyn, nieobecności marszałka pod Waterloo, a nie widząc tego o czem my potem dowiedzieliśmi się, naprożno wysilał umysł na zbadanie tak dziwnych i tajemniczych dłań okoliczności. Tak więc całe niepowodzenie przypisywał fatalności, temu milczącemu bóstwu, które ludzie chętnie oskarżają dla tego, że ono nic im nie odpowiada; wnikając atoli w istotę rzeczy, Napoleon wiedział dobrze, że całe nieszczęście leżało w usiłowaniu walczenia przeciw prądowi wypadków. Był on nadto szczerze przekonanym, że gdyby był zwyciężył Anglików pod Waterloo, Europa uledzby musiała silnemu wstrząśnieniu, a jakkolwiek okazywała się zaciętą i nieubłaganą, musiałaby przecież w końcu upamiętać się. Zresztą przygotowane przez niego środki wystarczyłyby na odparcie Rossjan i Austrjaków, a nie uznając ani trudności położenia, ani wyczerpania sił Francji, ni zawziętości Europy z żalem powtarzał, że gdyby nie błąd jednego człowieka, tryumf jego byłby nieomylnym.

Napoleon niechętnie wszakże rozmawiał w tym przedmiocie, i jeżeli do niego wracał, to tylko pod wpływem świeżych wrażeń, podobny do człowieka, co wpadłszy w przepaść nie może nie wyszukiwać przyczyn, które go w nią wtrąciły. Chętniej on zwracał myśl do lat swojej młodości, do szkoły w Brienne, do oblężenia Toulonu, słowem do wszystkich wspomnień błogich jego powodzeń! Wtedy ożywiał się i opowiadał z wdziękiem wprawiającym słuchaczy w zachwycenie, o rodzinie swej sięgającej początkiem rzeczypospolitych Włoskich, o jego instynktowem przywiązaniu do Francji wtenczas, kiedy Korsykę szarpały rozmaite stronnictwa, o przyjęciu do szkoły w Brienne, o zamiłowaniu nauk,

o umyśle nad wiek rozwijającym się, o obrażonej dumie pierwszą wymierzoną nań karą, o wejściu do pułku, o pierwszem uczuciu dla kobiety, którą później z przykrego wyswobodził położenia, o przybyciu pod Toulon i pierwszych zdobyczach sławy, kiedy wbrew zdaniu nieumiejętnych jenerałów, oceniwszy jednym rzutem całe położenie fortu de l'Etoile, otrzymał pozwolenie zdobycia go i zdecydował tym sposobem cofnięcie się Anglików. Cóżto za błogie wróżby! ileż upajających marzeń stokrotnie potem urzeczywistnionych! Poświęciwszy poranki na czytanie, resztę dnia przepędzał na pokładzie *Northumberland'u*, już to przechadzając się wielkiemi krokami, już zachwycając swojem opowiadaniem spółtowarzyszy niedoli, już zresztą przyglądając się, jak prujący morskie fale okręt niesie go ku ostatniemu schronieniu.

Tak przepędzając czas cała ta garstka wygnańców przebyła odnogę Gaskońską, a okrążywszy przylądek Finistère i ś. Wincentego, zwróciła się ku wyspom afrykańskim, przyjaznym lubo słabym pędzona wiatrem. Żegluga szła powoli a upały były dokuczliwe. Napoleon znosił je bez utyskiwania. W dniu 23 Sierpnia okręt dopłynął do Madery, gdzie miano się zatrzymać dla zaopatrzenia się w świeżą żywność, gdy silne wiatry afrykańskie zmusiły płynąć dalej, zarzucenie bowiem kotwicy groziło niebezpieczeństwem. Burza rozłączyła nawet okręt z fregatą la *Havanne* i le *Furet*, tak iż statki te żeglowały oddzielnie. Nareszcie po upływie 48 godzin majtkowie z wielkiem wysileniem zawinęli przecie do Madery by zaopatrzyć okręt w odpowiednie zapasy żywności. Mieszkańcy poniosłszy od burzy znaczne straty, a zabobonni jak wszyscy Portugalczycy, winę doznanych nieszczęść przypisywali obecności Napoleona. Człowiek ten, mówili, gdzie się tylko ukaże sprowadza klęski. W dniu 29 Sierpnia okręt przebył zwrotnik. W dniu 23 Września minął równik i sam tylko Napoleon był wyłączony od szczególnych ceremonij, jakim wszyscy pierwszy raz równik przebywający poddać się muszą; 500 luidorów rozdzielone pomiędzy majtków wynagrodziło im uwolnienie Napoleona od chrztu zwyczajem uświęconego, a hojny ten datek najwyższą w nich sprawił radość. Majtkowie *Northumberlanda*, którzy dotąd znali go tylko z opisów prasy angielskiej, przedstawiającej go w ciągu lat piętnastu jako potwór, dziwili się teraz widząc go cichym, łagodnym, dobrotliwym, a w naiwnej swej przenikliwości odgadując jego ukrywane lecz widoczne troski, okazywali mu tysiączne dowody spółczucia. Działo na którem zwykle siadał, utrzymywali w największym porządku i czystości, a gdy się doń zbliżał usuwali się, by nie zakłucać jego rozmyślań i samotności.

Napoleon opowiadał dalej swoim towarzyszom pierwsze sceny swego życia, swoje wygnanie po d. 9 Thermidora, stosunki z naczelnikami dyrektorjatu, objaśnienia depesz nadsyłanych od armji, ich nakłanianie się do poruczenia mu dowództwa w Paryżu w pamiętnych dniach Vendemiaira, mianowanie go w kilka miesięcy potem dowódzcą armji włoskiej, jego ukazanie się w Nicei wpośród zawistnych mu jenerałów, a którzy wkrótce ulegli widząc z jaką zręcznością wszedł w środek pomiędzy Piemontczyków i Austrjaków. Opowiadał jak odparłszy jednych do Turynu, drugich do Genui, przeszedł Po, stanął nad Adygą, gdzie przez cały rok stał się niezwyciężonym dla Austrjaków. Takie opowiadania wracały mu całą żywość; zdawało się, że odzyskuje młodość i z nią cały zapał dwudziestu sześciu lat! Rzecz szczególna! o ile Napoleon znajdował przyjemności w opowiadaniu żywem słowem zadziwiających swych czynów i niejako przesuwał przed oczyma panoramę swej młodości, o tyle nie okazywał się mało skłonnym do spisania ich, jak to niegdyś miał zamiar uczynić w czasie wyjazdu na Elbę. Wtedy to, w chwili opuszczenia Fontainebleau, myśl napisania swych dziejów wzorem innych wielkich mężów, ukazywała mu się jako jedyny jego cel i zadanie. Teraz zaś, ani jego sława, ani sława jego towarzyszy broni zdawała się nie przedstawiać dlań żadnego zajęcia. I jakąż temu naznaczyć przyczynę? Oto, że Napoleon od powrotu z Elby bardzo się zmienił i posunął ku otchłani w której miało się zawrzeć całe jego wielkie przeznaczenie! Na Elbie cios jaki go dotknął był dlań jeszcze nowy, drażnił ale nie osłabiał ducha, bo w sercu i myśli tlała zawsze iskra nadziei. Teraz zaś, po wylądowaniu w dniu 20 Marca, po bitwie pod Waterloo, mógłże marzyć o jakiej przyszłości?... Jak skruszyć ciężkie więzy, któremi Anglicy ręce jego obciążyli? jak przebić się przez obszar oceanu, dokąd się udać, sam, z garstką dzielnych a bezsilnych spółtowarzyszy? Chciałaż by teraz Francja przyjąć go po raz trzeci, gdy ukazanie się powtórne tylą okupiła klęskami? Duch ludzki długo szuka otuchy w nadziei, z trudnością ostateczny z nią bierze rozbrat i nie ma prawie przykładu w dziejach świata, aby wielka dusza dozwoliła wygasnąć do szczętu zwodniczym nieraz błyskom nadziei. Marjusz na zwaliskach Kartaginy, Pompejusz po bitwie Farsalskiej, Annibal cofając się z pod Zamy, wszyscy żywili w sercu nadzieję. Lecz po klęsce pod Waterloo czegoż Napoleon mógł jeszcze oczekiwać od losu? Jego więc zniechęcenie i upadek ducha z niczem porównać się nie da, a jakkolwiek przed wzrokiem wiernych swych przyjaciół ukrywał tę nicość życia, czuł jednakże głęboko, że w takiem upadku ducha nie był w sile podjąć żadną większą pracę. Wprawdzie porwany nieraz prądem mi-

łych wspomnień, żywem słowem kreślił swoje dzieje, lecz spisywać je, oceniać, w właściwy szyk zestawiać, do tego nie czuł ani dość siły, ani upodobania. Zrzekłszy się już nadziei figurowania na widowni świata, zobojętniał również na jego stanowisko w potomności. Często, towarzysze wygnania, uniesieni opowiadaniem Napoleona, nakłaniali go, aby spisał to, co z takim wdziękiem i zapałem im kreślił. Gourgaud, Las Cases, Montholon, Bertrand prosili aby wziął się do pióra, chcieli nawet pisać za nim, zapewniali wydołać prądowi słów jego; Napoleon pozostał głuchym na ich prośby, jakby chwała nie wartą była tych trudów. Niech potomność, mówił, sama jak może temu zaradzi; niech szuka prawdy, jeśli ją chce poznać Znajdzie ją całą w archiwach państwa. Francja ujrzy tam pomniki swej chwały, a jeżeli o nią jest zazdrośna niech się postara wyrwać ją z zapomnienia. Poczem, jakby budząc się z odrętwienia, w roznieconem uczuciu dumy, mawiał: Polegam na historji! miałem ja wielu schlebiających, teraz przyszła chwila na zawziętych oszczerców! Chwała jak i życie sławnych ludzi, ulegają zmiennym losom. Przyjdzie czas, w którym sama miłość prawdy poda pióro w rękę bezstronnym dziejopisom. W moim zawodzie znajdzie się zaprawdę wiele błędów, lecz Arcoli, Rivoli, Piramidy, Marengo, Austerlitz, Jena, Friedland *to są granity! ząb zawiści nic im nie podoła!*... Napoleon więc nawet śród głębokiej lubo cichej rozpaczy, wysoką ufność pokładał w historji. Mimo to towarzysze mówili mu nieraz, że historja potrzebuje objaśnień, a tych właśnie on jeden tylko mógł dostarczyć, inaczej bowiem, część jego wielkich pomysłów zniknie bezświadomie; zresztą to dałoby pożyteczny żywioł jego zajęciu, oni zaś wszyscy gotowi są dopomódz mu do wzniesienia tak pięknego pomnika. Zwolna więc, w miarę nalegań i przedstawień i w skutku zniechęcenia, Napoleon zaczął nabierać chęci do jakiegoś zajęcia, bo dusza ludzka, czyto gdy porzuca ziemię, czy gdy zostaje na niej, musi w końcu przywiązać się do jakiegoś przedmiotu i znaleść przyjemność, choćby w podlewaniu kwiatów, jak Djoklecjan, lub w nakręcaniu zegarów, jak Karol V. Napoleon przystał w końcu na przedsięwzięcie pracy, jaką zamierzał wykonać w chwili wyjazdu na Elbę. Nie umiejąc hamować zbytniego polotu myśli, za którymby pióro nie wystarczyło, Napoleon nie mógł pisać lub pisał zbyt nieczytelnie. Zaczął więc dyktować sięgając początku wojen włoskich; piszącym był Las Cases. Zamiarem Napoleona było rozdzielić rozmaite ustępy swoich dziejów pomiędzy towarzyszów wygnania, aby tem samem wszystkich uczynić uczestnikami pracy i pozostawić czas odczytania i przepisania na czysto. Lecz przytłoczony wspomnieniami bitwy pod Waterloo i jakby dla ulżenia swemu sercu,

postanowił dyktować jenerałowi Gourgaud opis kampanji z roku 1815, od niej zamierzoną zaczynając pracę. Napoleon miał dość na to czasu, bo żegluga jego przedłużała się, lubo wydane przez admirała rozkazy skrócić ją chciały. W owej epoce sztuki żeglowania, okręty przeszedłszy po za równik płynęły zwykle w kierunku wiatru aż ku brzegom Brezylji, zkąd opuszczając się ku południowi, usiłowano spotkać się z wiatrem zachodnim, by z jego pomocą dosięgnąć św. Heleny. Admirał Cockburn chcąc nie dla siebie, ale dla samego gościa przyjazd ten przyśpieszyć, wymyślił inną drogę. Postanowił trzymać się brzegów Afryki przy których, a mianowicie w zakrzywieniu odnogi Gwinejskiej, zdarzało się niekiedy spotkać wiatr przyjazny wiejący ku św. Helenie. Ten kierunek obrał admirał. Lecz tym razem było niefortunny pomysł; albowiem zapuściwszy się w odnogę Gwinejską, aż blisko pobrzeży Congo, wystawił się na burze, upał nieznośny i zbyt powolną żeglugę, co nawet dało powód do szemrań osady. Napoleon, który zresztą nie miał żadnego w tej żegludze interesu, dla niego bowiem przybycie do wyspy było tylko zmianą więzienia, obracał czas na dyktowanie. Czas poranny poświęcał zwykle jenerałowi Gourgaud lub Las Casesowi, którym dyktował opisy kampanji włoskiej lub wojny z 1815 r. Piszący nie śmiejąc mu przerywać, podążali jak mogli za jego słowy w lot je prawie chwytając, a następnie w ciągu dnia toż samo przepisywali na czysto. Tak przepisane opowiadanie przedstawiano nazajutrz Napoleonowi, który pracę tę przeglądał, skracał lub dodawał w miejscach zbyt treściwie skreślonych, przestrzegając troskliwie czystości i poprawności stylu i języka, na co z postępem wieku bacznym się stawał. Często wszakże pracę tę utrudniał brak odpowiednich dokumentów, w miejscach zwłaszcza w których daty lub szczegóły wypadało ściśle oznaczyć. Jak wszyscy ci co w życiu swojém mieli wiele do czynienia, Napoleon mylił się często w datach, plątał je mimo woli, co zresztą rzadko się przytrafiało; lecz co się tycze charakteru wypadków, ich ważności, opisania miejsc i ludzi, nigdy go pamięć nie zawodziła, wszystko to kreślił z zadziwiającą wiernością. Żałował niekiedy, że nie miał pod ręką swoich rozkazów, a szczególniej listów tak wielkie światło na jego rzucających działania. Brak tych dokumentów, gniewem go niekiedy unosił, lubo to nie wstrzymywało go od pracy, jedynego teraz zajęcia. W chwilach odpoczynku oddawał się czytaniu wielkich tworów umysłu ludzkiego. Marchand pamiętał zabrać jego polową bibliotekę, niestety, bardzo szczupłą. Pewnego dnia, kiedy właśnie wyrażał żal swój że nie posiada lepiej zaopatrzonego zbioru, spostrzeżono okręt kupiecki zbliżający się do Northumberlanda. Wtedy Las Cases przypomniał sobie,

że wysłał do Cap skrzynię z książkami. — Może właśnie ten okręt, rzekł Napoleon, wiezie moje książki. — Jakoż rzeczywiście znalezione w nim książki zabrano na pokład, co dostojnemu jeńcowi niewymowną sprawiło radość.

Od chwili opuszczenia brzegów Anglji, upłynęło już prawie 70 dni. Okręt spotkawszy wiatr południowo zachodni od Cap wiejący, zmierzał teraz wprost do św. Heleny. O świcie w dniu 15 Października w odległości dwunastu mil morskich dostrzeżono we mgle szczyt góry Diany, najwyższej na wyspie św. Heleny. Napoleon zbliżał się więc do bram swego więzienia. O południu zarzucono kotwicę w małej przystani *James-Town*, i wtedy ujrzano wybrzeże smutne, ponure, najeżone skałami, a na nich błyszczące tu i owdzie armaty. Fregata *la Havanne* i bryk *le Furet*, oddzieliwszy się jeszcze pod Maderą, wyprzedziły o 17 dni okręt admiralski. Statki te zapowiedziały bliski przyjazd więźniów, wręczyły rozkazy londyńskie, wysadziły część wojska, przez co wyspa, zwykle tak cicha, przybrała niejako pozór wojenny na przybycie wojownika, którego przeznaczeniem było zakończyć dni swoje pod tem palącem niebem.

Wyspa św. Heleny, utwór wulkanu miotającego niegdyś lawą pośród Atlantyku, leży na półkuli południowej, nieco przed zwrotnikiem Koziorożca. Wyspa ta, mająca 9 do 10 mil fran. obwodu, otoczona zewsząd wybrzeżami niedostępnemi, zdala już przedstawia oku same tylko sterczące skały, czarne i suche swe szczyty ku niebu wznoszące, nad któremi najwyżej unosi się cypl góry Diany. Daleki ten na obszarze Oceanu szmat ziemi, gromadząc w około siebie wyziewy wód, otaczają ciągle tumany mgły. Wulkan, ojciec wyspy, miał swój krater od strony północnej; dziś krater ten, leżący u stóp Diany, ukazuje swą zastygłą paszcze podróżnym przybywającym z Europy. Wiele dolin wązkich, równoległych, dobiegających do morza jako niegdyś łożyska płynącej z wulkanu lawy, tworzą małe przystanie, z których jedna nieco większa stanowi port James-Town, jedyne wejście na wyspę. Na przeciwnej południowej stronie, ciągną się płasko-wzgórza, poprzerzynane głębokiemi parowami, stromemi ścianami od morza zakończone, a ztąd nieprzystępne i wystawione na wiatry południowo-wschodnie od Capu wiejące. Kiedy więc wązkie doliny od północy skrapiają wody z wierzchołka Diany ściekające i pokrywa je zieloność, na przeciwnej stronie wyspy, gorące wiatry wysuszają wodę, niszczą wszelką roślinność, pozbawiając ziemię wszelkiej osłony, wszelkiego cienia tak bardzo tu pożądanego. Taką jest św. Helena, skwarna, sucha na stokach od południa, nieco żyzniejsza w dolinach od północy, smutna, nieszkodliwa wprawdzie dla ludzi oddawna tu zamieszłych, ale zabijająca dla duszy nawykłej żyć w pośród wielkiej widowni

ucywilizowanego świata. Na tych niepłodnych skałach, daleko od stałego rzuconych lądu, osadnik nie ma żadnych widoków bytu, nie chętnie też osiedla się na wyspie św. Heleny. Mimo to okręty płynące z Indyj i pędzone wiatrem od Przylądka Dobrej Nadziei chętnie tu zawijają; strudzony bowiem długą podróżą żeglarz, chętnie wychodzi na ten kawałek lądu, by odetchnąć ziemskiem powietrzem, zabawić oko zielonością, orzeźwić się owocami, posilić świeżym pokarmem; ztąd też okręty kompanji wschodnio-indyjskiej lubią tu zajeżdżać, jak do domu gościnnego rzuconego na obszarze Oceanu. Ztąd w tej cztero-tysięcznej ludności wyspy św. Heleny, której 3000 zamieszkuje port James-Town, żaden przemysł nie rozwinął się; jedna tylko hodowla bydła w małej liczbie z Capu sprowadzonego i uprawa jarzyn i owoców, stanowi główne ich zajęcie, a jedyną roskoszą jest chwila, w której okręty ciągnące do Europy z dalekich kończyn Oceanu stają tu dla wypoczynku i zaopatrzenia się w żywność, pozostawiając nieco zyskanych w Azji pieniężnych zasobów.

Oto obraz miejsca w którém Napoleon miał dokończyć dni swego żywota. Każdy żeglarz, dokąd kolwiekby dążył, czuje radość na widok kresu swej pódróży. Pierwsi może a przynajmniej znaczniejsi podróżnicy *Northumberlandu* rozkoszy tej nie doznawali. Uczucie, serca ich w chwili tej zajmujące, było podobne do uczucia więźnia spostrzegającego drzwi więzienia na zawsze za nim zawrzeć się mające. Cała ludność wyspy wyległa na brzeg; Napoleon wszedł na pokład i smutnie spojrzał na to czarne, ponure urwisko, w którém żywcem miał zagrzebać się na zawsze. Nie objawiwszy żadnego żądania, pozostawił staraniu i woli admirała oznaczenie chwili wyjścia i tymczasowego pobytu. Admirał wysiadłszy śpiesznie na ląd, poszedł wyszukać schronienia, w któremby Napoleon do czasu obmyślenia stałego pomieszkania mógł się zatrzymać. Dwa dni poświęcił na to admirał i powrócił oznajmiając, że wynalazł mały ale dość wygodny domek, w którym, jak mniema, Napoleon będzie mógł używać możliwych przyjemności. Dnia 17 Października Napoleon opuścił *Northumberland*, z żalem jego osady, której za jej uprzejmość podziękował. Przybywszy do małego domku i znalazłszy go wystawionym na ciekawe przyglądanie się mieszkańców oświadczył, że niepodobna mu dłużej jak jeden lub dwa dni w nim zatrzymać się. Admirał przyrzekł zająć się nazajutrz dogodniejszem go pomieszczeniem.

Jeden tylko był dom, w którym Napoleon odpowiednie mógłby znaleść mieszkanie, a tym był tak zwany *Plantation-House*, piękny pałacyk przeznaczony dla gubernatora wyspy, położony w chłodnej i cienistej dolinie, obrócony na północ, i obok korzystnego położenia, obszerny i gustowny. Gdyby rząd angielski chciał był zachować choć trochę przyzwo-

itości, byłby niezawodnie pałacyk ten wyznaczył na mieszkanie Napoleona, lecz przez dziwne i trudne do wytłumaczenia skąpstwo, kompanja Indyjska wypożyczając rządowi wyspę św. Heleny, wyłączyła pałac gubernatora, lord Bathurst zaś przez niedbalstwo, tém trudniejsze do usprawiedliwienia, nie pomyślał nawet o skłonieniu kompanij do tego ustępstwa. Z tych tedy powodów Plantation-House, w którém Napoleon znalazłby od razu przyzwoite i zdrowe mieszkanie, wyłączone było z pod wyboru. Na jedném z płasko-wzgórzy ku południowi położonych, leżał folwark *Longwood*, własność kompanji, przeznaczony na rezydencję vice-gubernatora; dom ten z dodaniem niektórych ulepszeń mógł pomieścić około 20 osób. Płaszczyzna Longwood była dość obszerna do przechadzki pieszo lub konno; a lubo zasłonięta w części laskiem drzew gumowych, zwrócona jednak ku południo-wschodowi, wystawioną była na wiatry od Capu wiejące. Byłato niedogodność z czasem mająca się stać bardzo przykrą, wszakże na pierwszy rzut oka, wzgórek ten dość mile się przedstawiał. Cała ta strona dozwalała nadto dogodnie pomieścić wojska mające strzedz Napoleona, brzegi zaś od morza były prawie niedostępne. Przyczyny te dostatecznie przemawiały za wyborem miejsca; jakoż admirał zaproponował Napoleonowi przejażdżkę konno, aby sam obejrzał miejsce i uznał czy ono dlań będzie odpowiednie. Napoleon przyjął wniosek i nazajutrz w towarzystwie admirała pojechał do Longwood, a ujrzawszy po kilku miesiącach morskiej podróży kawałek ziemi i zieloność, a nadewszystko zacisze zabezpieczone od ciekawych spojrzeń, zgodził się na ten pobyt i zezwolił na przedsięwzięcie zmian mieszkanie to udogodniających.

Jadąc do Longwood, Napoleon spostrzegł w dolinie mały ale schludny domek; wracając obejrzał go bliżej i oświadczył, że tymczasowo radby w nim zamieszkać. Właścicielem tego domku był miejscowy kupiec, sąsiedni dom z swoją rodziną zajmujący. Chętnie on przystał na propozycję, niebawem też Napoleon do domku tego wprowadził się. Wprawdzie był tu tylko jeden pokój, mający być zarazem sypialnią, jadalnią i pracownią, lecz okna w nim wychodziły na piękną dolinę, chętnie więc przyjął to skromne zacisze, zwane od miejscowych *Briars*; celem zaś pomieszczenia jego domowników, musiano tuż obok domku rozbić namiot. Co największą stanowiło tu niedogodność, to rozdzielanie się z towarzyszami niedoli, którzy dla widzenia się z Napoleonem musieli dość znaczną przebywać przestrzeń. Dla jednego tylko Las Cases'a, któremu Napoleon dyktował teraz opis kampanji włoskiej, skromne obok znaleziono pomieszczenie. Miał więc to wszystko co było nieodzownie potrzebném, nie wiele bowiem troszczył się o niedostatki fizyczne, doznawszy

ich tyle w swych długich i przykrych wojnach. Prawda że ponoszone wtedy niewygody ustępowały przed sławą i niebezpieczeństwem, dziś zaś ciężka niewola zatruwała wszelką nawet możliwą przyjemność. Po raz pierwszy wtedy uczuł jak surowemu musiał uledz losowi! Dotąd, cesarz na *Bellerophonie*, jenerał na *Northumberlandzie*, mógł się jeszcze uważać wolnym, okręt bowiem był pływającém więzieniem zarówno dla niego jak i jego stróżów; żaden też dozór nie był tu nad nim rozciągnięty. Od chwili zaś wyjścia na ląd, admirał nie chciał przyjmować odpowiedzialności za jego osobę, nie mógł pozostawiać mu wyspę jako nieograniczone więzienie. Wprawdzie wyspa ta 9 do 10 mil fran. obwodu mająca, miała brzegi prawie niedostępne; jeden tylko port James-Town ściśle strzeżony i licznemi statkami strażniczemi otoczony stanowił jej przystęp. Ujść więc ztąd, zwłaszcza w pierwszych chwilach, i znaleźć statek któryby go mógł przewieźć do Ameryki, było prawie niepodobném. Aby więc upewnić się co do osoby Napoleona, admirał otoczył Briars strażą, którąby na ciągłem baczeniu miała jego mieszkańców. Przenikliwy wzrok Napoleona odkrył ją wkrótce i to właśnie najboleśniej dało mu uczuć ciężar jego niewoli. Pełen najlepszych chęci admirał przewidywał, że Napoleon przywykły całe życie do konnej jazdy, nie może być i tu pozbawionym tego ruchu; postarawszy się więc o trzy konie sprowadzone z Cap, dość dobrze pod wierzch ujeżdżone, posłał takowe swojemu więźniowi. Już Napoleon miał użyć przejażdżki, kiedy ujrzał że i oficer angielski kładzie nogę w strzemię; zrzekł się więc tej przyjemności tak niezbędnej dla jego zdrowia i umysłu, i kazał odesłać konie admirałowi. Zważywszy atoli, że tym postępkiem źle odpłaci za najlepsze może chęci admirała, cofnął rozkaz i zatrzymał konie, lubo ich nie używał.

Niektórzy przyganiają Napoleonowi, że nie umiał pokryć doznawanych cierpień. Łatwo to wprawdzie mówić o nieszczęściach drugich, łatwo nauczać jak oni je znosić byli winni. Co do nas, dla których widok cierpienia głębokie sprawia wzruszenie, nigdy nie umielibyśmy przyganiać, ani wskazywać, jak w tym lub owym razie, szlachetna ofiara, miotana boleścią, winna była zachować się, lub dla czego tak a nie inaczej postąpiła. Nie ma godniejszych litości ofiar, jak Pius VII, Ludwik XVI lub Marja Antonina, i są chwile, w których człowiek radby zapomnieć o ich okrutnem konaniu. Jak ciało ludzkie odwraca się od konwulsyjnych drgań boleści fizycznej, tak i dusza nie znosi boleści moralnej i chętnie zarzuca na nie zasłonę politowania. Gdyby Napoleon był anachoretą pierwszych wieków chrześcijaństwa, wtedy powiedziałbym mu: schyl głowę pod razami katów! Lecz ta niezłamana trudami dusza, wytrwale znosząca wszelkie trudy fizyczne, spadłszy ze szczytu znaczenia, drżała teraz pod

brzemieniem upokorzeń; trzeba atoli przebaczyć te pierwsze oznaki niecierpliwości w człowieku, który patrząc przez lat piętnaście na schylających się do stóp jego królów, sam teraz dostał się w ich więzy. Źle robili także jego spółtowarzysze drażniąc go opowiadaniem, jak się z nimi obchodzono w James-Town. Strzeżeni na każdym kroku, zawsze pod dozorem żołnierzy, gorzko się nieraz użalali przed swym równie nieszczęśliwym panem, który przykrości ich głębiej niż swoje własne uczuwał. Napoleon nie mogąc powstrzymać się dłużej, i powtarzając to co wyrzekł do lorda Keith, głośno skarżył się, że Anglicy pogwałcają w jego osobie prawa narodów i ludzkości; że nie będąc jeńcem wojennym, ale raczej liczając na szlachetność narodu brytańskiego, nie spodziewał się nigdy takiego zawodu; że mógł pójść nad Loarę, prowadzić dalej wojnę lub wreszcie poddać się swemu teściowi lub cesarzowi Aleksandrowi, którego dawną szczycił się przyjaźnią; że Anglicy nie mają do niego prawa jak do zwykłego jeńca, bo prawa te wraz z ukończoną wojną ustały; że zresztą nawet dla jeńców wojennych robią się pewne ustępstwa odpowiednie ich stanowisku. Napoleon przywodząc na myśl sposób jego postępowania z cesarzem Austrjackim, królem Pruskim, którego mógł złożyć z tronu, z cesarzem Rossyjskim, którego mógł wziąć w niewolę w bitwie pod Austerlitz, a którym oszczędził przykrych następstw klęsk poniesionych, z boleścią teraz los ich z swoim porównywał. Wprawdzie wielki ten człowiek zapominał o istotnej przyczynie tak różnego z nim obchodzenia się; zapominał, że Aleksander, Fryderyk Wilhelm, Franciszek II, żadnej dlań nie wzbudzali obawy, gdy przeciwnie on, lubo zwyciężony, strachem jeszcze świat przejmował i dziwną swoją niewolę zawdzięczał jedynie nadużyciu swego genjuszu. Po takich uniesieniach ulgę mu niejaką przynoszących, Napoleon mawiał z wzruszeniem: Co do mnie, nie wypada mi nawet za sobą upominać się. Sama godność nakazuje milczeć, choćby wśród największych cierpień; lecz wy, ktorych takie obchodzenie dosięga niesłusznie, wy powinniście się skarżyć. Wy macie żony i dzieci, które również cierpią nad tak nieludzkiem obchodzeniem się; to samo więc reklamacje wasze usprawiedliwia.

Jakoż skarżyli się przed admirałem i ten o suchem obliczu, ale nie o suchem sercu człowiek czynił wszystko co mogło pobyt w James-Town znośnym uczynić. Wprawdzie nie usuwał on ich z pod nadzoru, bo drżał na samą myśl jaka go ztąd czeka odpowiedzialność, zalecił jednak oficerom największą względność, przykazując nie spuszczać z oka najgłówniejszego jeńca.

Po kilku dniach położenie nieco się polepszyło. Powoli przeniesiono do Briars kilku towarzyszy niedoli i ułatwiono wzajemne ich z Napo-

leonem stosunki. Mógł ich mieć przy swoim stole, prowadzić dalej rozpoczęte prace, zajmować swój umysł, potrzebujący zawsze świeżego pokarmu. Teraz ożywiły się rozmowy, odbywał przechadzki bez straży, wiedziano bowiem że pieszo idąc daleko się nie zapuści. Niekiedy przebiegał małe doliny równoległe od James-Town, a wracał od strony północnej. Doliny te zasłonięte od wiatrów południowych i skwaru słońca, były chłodne, cieniste i malownicze przedstawiające widoki. Pewnego dnia zapuściwszy się nieco dalej, zaszedł do osady angielskiego majora Hudson. Przyjęty tu szczerze i z szacunkiem, serdecznego doznał wzruszenia. Dla ułatwienia powrotu do Briars, major dał mu swego wierzchowca. Od dawna już nie zrobił tak długiej konno przejażdżki, co wielką sprawiło mu przyjemność. Powoli przywykał i oswajał się z swoją siedzibą, wystawiając sobie, że żyje w jednym z tych licznych biwaków, w których przepędził znaczną część swego burzliwego żywota.

Gospodarz którego dom Napoleona zajmował, człowiek prosty ale wybornego serca, ofiarował mu swój ogródek i swoje skromne towarzystwo. Miał on dwie córki mowiące troche po francuzku, żywe, skromne i wesołe. Tu one spotykały Napoleona, zadawały mu naiwne pytania lub grały arje włoskie na niedość dźwięcznym instrumencie. Napoleon słuchał lub odpowiadał dobrotliwie na ich dziecinne często pytania. Jedna z nich napotkawszy w czytanym romansie historycznym imię Gastona de Foix, a biorąc rycerza z Rawenny za jednego z jenerałów cesarza, zapytywała, czy Gaston był mężnym i czy zginął? — Tak, odrzekł Napoleon z cierpliwością ojcowską, był walecznym i umarł. — Dzieci te zajmowały go tyle, co ptaszki bujające po ogrodzie. Byłato odtąd jedyna jego rozrywka, bo innej już nie mógł znaleść, szukać ani pragnąć!

Tak przeszedł miesiąc Październik i Listopad, w spokoju lecz smutnie, bo tak właśnie miały upłynąć wszystkie lata tej bezprzykładnej niewoli. W tym czasie nadeszły pierwsze listy z Europy. Wygnańcy odebrali wiadomości od swych rodzin, co im przyniosło prawdziwą osłodę. Jeden tylko Napoleon nic od swoich nie otrzymał. Jego matka, bracia, siostry, rozproszeni, zmuszeni ukrywać się, pozbawieni byli sposobności znoszenia się z nim listownie. Marja Ludwika nie pomyślała nawet o udzieleniu wiadomości o jego synu. Jedyném więc źródłem zaspokojenia ciekawości były dzienniki. One opowiadając mu o Francji, mocno go wzruszały. Bourboni, co tak spokojnie w 1814 r. weszli do Paryża, teraz przeciwnie wrócili z sercem przepełnionem mściwością. Przypisując swoje wypędzenie w dniu 20 Marca szeroko rozgałęzionej konspiracji, uznali za słuszne i sprawiedliwe dotknąć karą mniemanych sprawców. Dzienniki donosiły o licznych wygnaniach i uwięzieniach osób najprzywiązańszych

do sprawy Napoleona, a tém samém z jego winy skompromitowanych. Ney, La Bedoyère, Drouot, Lavalette zagrożeni byli surowem śledztwem i krwawą egzekucją. Losem tych trzech ostatnich, których szczerze kochał, Napoleon żywo zajmował się; co się zaś tycze Neya, lubo miał słabsze doń czuł przywiązanie, podziwiając atoli jego męztwo, głęboką przejmował się nad jego losem litością. Sam przyjęty sposób obrony nieszczęśliwego marszałka, boleśnie ranił jego serce. Lotnym swoim umysłem obejmował on, i wskazywał zaraz, jakie w tym razie należało przyjąć zasady obrony. — Mylą się, mówił ci którzy mniemają, że ułagodzą sędziów, przedstawiając Neya jako mego nieprzyjaciela i przypominając jego postąpienie w Fontainebleau. Jeden tylko byłby sposób ocalenia Neya, a tym jest wyjawienie rzeczywistej prawdy. Ney nie należał do spisku, bo nikt nie spiskował. Wyjechał on z Paryża z zamiarem powstrzymania mego pochodu. Chciał to jeszcze spełnić w Lons-le-Saulnier, i byłby zamiar swój wykonał, gdyby wojsko i lud nie stawiły oporu. Lecz zbliżywszy się do mnie, ogólny, porywający prąd umysłów pociągnął go za mną tak, iż mimowolnie stanął po mojej stronie. Dodam jeszcze, że pisał do mnie list przynoszący mu zaszczyt, oświadczając w nim, że w ten sposób postępując działał nie dla mnie, lecz dla kraju, i jeżeli obrana przezemnie polityka nie była zgodną z życzeniem powszechnem, Ney gotów był cofnąć się od swego postanowienia. W czasie spotkania się naszego w Auxerre, przerwałem mu mowę ściskając dłoń z życzeniem, aby polegał na mnie, że zamiary moje zgodne są z widokami Francji i zdrowym rozumem. W owym nawet czasie, Ney trzymał się nieco na uboczu, widocznie atoli chwiał się tém fałszywém swém położeniem. Chwiejność tę stwierdził pod Quatre-Bras, a mianowicie pod Waterloo. Nie zaprzeczam mu męztwa, lecz przyczyniając się do naszej zguby, swoją własną przyśpieszył. Ani Bourboni, ani ja, nie mamy mu nic do zarzucenia, chyba to, że uległ silnemu prądowi wypadków. Teraz powinienby on tak przemówić do sędziów: Nie zdradziłem nikogo, byłem popchnięty samemi wypadkami; a na tego rodzaju występki tak częste, tak łatwe do usprawiedliwienia we wszystkich rewolucjach, wyrok już spełniony samą kapitulacją Paryża, z którą łączy się chwała wodzów zwycięzców, zasłaniająca tém samém przestępców politycznych od wszelkich dalszych prześladowań. — Oto co Ney w obronie swej wyrzec powinien; i to właśnie, jako czysta prawda, za obronę mu służyć powinno. Albo cała kapitulacja jest niedorzeczną, albo występek Neya jest niegodnem naciąganiem. Jeżeli tak się będzie bronił, być może przekona swoich sędziów; jeżeli oni przy zdaniu swém pozostaną, czeka ich hańba; on zaś umrze otoczony zawsze spółczuciem dusz szlachetnych! — Biedny Neyu! wołał Napoleon

jakiż smutny los cię czeka! — W dalszej w tym przedmiocie rozmowie, powtarzając że nikogo o zdradę za 20 Marca obwiniać nie należy, Napoleon dodał: Wszyscy tak jenerałowie jako i zwierzchnicy cywilni czynili tu tylko swoją powinność. Lud i wojsko wszystkich za sobą pociągnęło. Tu Napoleon przytoczył wypadek godny przechowania go w historji. — Wszak i Massenę, mówił, oskarżano o zdradę Bourbonów, a przecież tak nie było. Kiedym wrócił do Paryża i osiadł na tronie cesarskim, każdy chełpił się tém co zdziałał na moją korzyść i na jakie wystawiał się niebezpieczeństwa. Massena przybył do Paryża; pytałem go zaraz coby uczynił, gdybym zamiast pójść na Grenoble, zwrócił się był na Marsylję, której on był komendantem? Massena nie lubił pochlebiać, mimo to pytanie moje nieco go zakłopotało; nalegany przezemnie odpowiedział: *Najjaśniejszy panie, dobrześ zrobił, żeś poszedł na Grenoble...* — Wszyscy moi marszałkowie nie zdobyliby się na odpowiedź tak szczerą, lubo wszyscy mieli do niej prawo, wszyscy, oprócz Davout'a, który jako wtedy nieczynny i niegodnie traktowany mógł czynić co mu się podobało. Nikt więc nie zdradził Bourbonów, i jeżeli oni dziś używają zemsty, to tylko ulegają w tem nieprzyjaznym stronnictwom i chcą pokryć swoje własne błędy. Przewidują wszakże, że i ich przyszłość nie jest upewniona. Ulegając namiętnościom emigracji, z każdym dniem odpychają od siebie Francją. Wiem że syn mój z tego najprzód nie skorzysta; poprzedzi go dom Orleański, ale po nich przyjdzie kolej na Bonapartych.

Po tych słowach głębokiem natchnionych przewidywaniem, Napoleon wracając do niesprawiedliwych prześladowań La Bedoyèra, Neya, Drouota, Lavaletta, losem ich mocno niepokoił się. Co do Drouot'a, powszechnie znane jego cnoty, uważał za tarczę osłonić go mogącą; drżał tylko o los La Bedoyèra, Neya i Lavaletta i z niecierpliwością oczekiwał na wiadomości o ofiarach, które, niestety, tak jego, jako i Bourbonów ofiarami nazwać można.

Jakkolwiek Napoleon dość znośnie urządził się w Briars, patrząc atoli na niewygody swoich spółtowarzyszy, postanowił jak najprędzej przenieść się do Longwood. Admirał, którego on nazywał *swoim rekinem*, lubo oceniał dobre jego serce, nie zaniedbał dołożyć starań, aby przyśpieszyć roboty około tej nowej rezydencji. Używszy w tym celu robotników miejskich i marynarzy, jako też drzewa, płótna maczanego w smole i wszelkich możliwych materjałów, zbudował dość obszerny dom parterowy, w którym Napoleon wraz z towarzyszami wygnania mógł się pomieścić. Kiedy już mieszkanie było wykończone, admirał oznajmił o tém Napoleonowi, co też bezzwłocznie uskuteczniono.

Dnia 10 Grudnia, Napoleon opuścił Briars, pożegnał rodzinę, która go tak gościnnie w dom swój przyjęła, hojne zostawiwszy upominki, i wyjechał konno w towarzystwie admirała i wielkiego marszałka Bertrand'a. Ubrany jak zwykle w mundur gwardji, jechał na koniu sprowadzonym z Capu, pełnym życia, a obok tego łagodnym i dobrze ujeżdżonym. Przejażdżka ta sprawiła mu przyjemność, przybywszy zaś do Longwood, zastał tam 53-ci pułk piechoty angielskiej, na kwaterach w okolicy stojący. Admirał przedstawił mu oficerów, a następnie wprowadził do przeznaczonych na mieszkanie komnat. Były one lekko zbudowane, z dachem z płótna smołowcowego, umeblowane bardzo skromnie. Napoleon nic nie ganił. Miał kilka pokoi do spania, pracowania, przyjmowania swoich przyjaciół, który również mieli wygodne w około pomieszczenie; słowem, było tu wszystko, czego mógł pragnąć. Podziękowawszy admirałowi, rozlokował się w tym domu, który miał być ostatniem jego mieszkaniem. W jednym pokoju kazał ustawić swoje łóżko obozowe, w drugim poukładać książki i rozwiesić wizerunek syna i niektóre rodzinne. Po za temi dwoma pokojami leżał salonik do przyjęcia i wspólna jadalnia. Las Cases z synem, Montholon z żoną i jenerał Gourgaud zajmowali drugie skrzydło budynku. Marszałek Bertrand usposobienia samotnego i pani Bertrand, osoba bardzo szlachetna i dobroczynna, ale nie przywykła do trybu życia wspólnego, prosili o wyznaczenie jej oddzielnego lokalu. Przysposobiono więc im mieszkanie przy wjeździe do Longwood, tak iż lubo pp. Bertrand nie zasiadali do stołu Napoleona, byli jednakże bliskimi jego sąsiadami. Domek ten zwano *Hutts Gate*.

Tak urządziwszy się Napoleon, rozpoczął swój nowy tryb życia, usiłując doń przywyknąć. Przywykł on w czasach wojen do czuwania nieraz noc całą, ztąd sen jego był lekki i przerywany. Często też budził się, wstawał, pracował, znów się kładł, a jeżeli nie mógł zasnąć, ubierał się, siadał na koń o świcie, i wracał kiedy słońce zaczęło mocniej przygrzewać; potém spożywał sam śniadanie, dyktował lub odpoczywał, i tak czas schodził do godziny trzeciej lub czwartej po południu. Następnie, przyjmował swych towarzyszy wygnania, przejeżdżał się w powozie z nimi, ich żonami i dziećmi, obiadował przy schyłku dnia, wieczory przepędzał w ich towarzystwie, jużto czytając wspólnie jaką dobrą książkę, już rozmawiając o czasach minionych, z zdumieniem od wszystkich słuchany. Nieraz umyślnie przedłużał wieczory, bo im później szedł na spoczynek, tém więcej spodziewał się sen znaleźć. — Zdobyłem czas! wołał, ile razy udało mu się dociągnąć do godziny jedenastej lub do północy.

W Longwood, jak w Briars, nadzór nad jego osobą rozciągany, był powodem głównych przykrości, doznawanych ze strony władz brytańskich.

Pułk 53-ci stojący ztąd blisko o milę, nie krępował go w jego wycieczkach; podczas dnia nie widać było nawet straży. Napoleon spotykał je dopiero wtedy, kiedy się oddalał w przestrzeni którą trudno było odbyć pieszo. Ile razy jechał konno, o parę mil od mieszkania, zawsze towarzyszył mu oficer, w takiej jednakże odległości, by nie zakłucać jego poufnych rozmów. Gdy atoli Napoleon objawił gotowość wyrzeczenia się przyjemności konnej jazdy, jeśli ma przejażdżki te odbywać pod eskortą oficera, admirał nie chcąc go pozbawić tego ruchu tak dla zdrowia potrzebnego, oznaczył na równinie trzy do czterech mil fran. przestrzeni w której swobodnie, bez straży wolno mu było ulubione odbywać wycieczki. Wszelako po za tym obrębem oficer obowiązany był nie spuszczać go z oka.

Wieczorem o godzinie dziewiątej straże podsuwały się pod mieszkanie Napoleona, otaczając je w ten sposób, iż nikt pomiędzy nie przedostać się nie mógł. Oficer będący zawsze na służbie w Longwood obowiązany był przynajmniej raz lub dwa razy na dzień widzieć Napoleona, aby, stosownie do instrukcji lorda Bathurst, mieć zawsze pewność co do jego obecności na wyspie. Umieszczone na wzgórzach telegrafy do mieszkania gubernatora w Plantation-House prowadzące, ułatwiały przesyłanie wiadomości o wszystkiem, co tylko ważniejszego zajść mogło w Longwood, a mianowicie o zniknięciu dostojnego więźnia, gdyby tylko choć na chwilę przestał być widzianym. Czatownia na szczycie Diany, z której oko sięgało na 12 mil na morze, dawała znać do James-Town o zbliżaniu się każdego statku; i wtedy bryg wojenny wypływał z portu, eskortował nowo przybyły statek, nie dozwalając wysiąść nikomu, aż po ścisłej rewizji osób i rzeczy. Wszelkie okręty z jakichkolwiek stron do wyspy przybijające nie mogły inną drogą, tylko za wiedzą gubernatora, komunikować się z lądem, ani też oddawać listów i przesyłek do mieszkańców Longwood adresowanych. Podobnież wyjeżdżając, nie wolno było nikogo zabierać na statki bez uzyskania pozwolenia od gubernatora i bez ścisłej poprzednio rewizji. Surowe rozkazy do mieszkańców wyspy wydane, zabraniały im wszelkich stosunków z Longwood bez przyzwolenia władzy i ostrzegały zarazem, że wszelka pomoc lub odkryty zamiar w ułatwieniu ucieczki Napoleonowi, uważany i karany będzie, jako zdrada kraju.

Takie rozporządzenia, opierające się na instrukcjach lorda Bathurst, mocno dolegały Napoleona, któremu każdy pozór niewoli, więcej niż sama niewola sprawiał przykrości. Stosunki z admirałem oziębione z powodu czynionych ostrożności w Briars, teraz jeszcze bardziej ostygły; odtąd Napoleon nie będąc pewnym, czy się utrzyma w granicach spokojnej

rozmowy, nie znosił się sam z admirałem. W takich razach wysyłał zwykle Bertrand'a, Las Cases'a, Gourgaud, Montholon'a; lecz ci, drażnieni doznanem nieszczęściem, mieli zawsze na ustach dowodzenia, na które admirał nie zważał. Powtarzali oni, że cesarz nie powinien być uważany za jeńca wojennego, skoro dobrowolnie się poddał, że zresztą nie ma jeńców w czasie pokoju; na co admirał odpowiadał, że bezpieczeństwo Europy wymagało tak niezwykłych ostrożności, jak niezwykłym jest człowiek do którego one są stosowane. Zresztą nie był on ani prawnikiem, ani rozprawiaczem; było tylko żołnierz z sercem, ale surowy w wypełnianiu swoich obowiązków. Jakie miał rozkazy, tak też je wykonywał, a rozkazy te zalecały przedewszystkiem ściśle strzedz więźnia, od którego posiadania zależał spokój całego świata; drżał więc admirał na samą myśl, gdyby więzień tak zdołał się oswobodzić. Polegając na nieomylności rozciągniętych nad Napoleonem straży, nie myślał surowości ich powiększać, a jeżeli się niekiedy mylił, to nie pochodziło bynajmniej z chęci dania uczuć swojej władzy, bo słabości tej, będącej cechą dusz niskich, admirał nie posiadał. Wprawdzie można było śmiało całą wyspę uważać za bezpieczne więzienie dla Napoleona, przeświadczając się bowiem dwa razy dziennie o jego obecności w Longwood, admirał byłby zawsze uwiadomiony na czas o jego zniknięciu; nadto, wyspa była tak mała, tak nieprzystępna, wyjąwszy James-Town, że więzień mógł być zawsze wynalezionym, zanim zdążyłby wsiąść na statek. Mimo to, niespuszczanie go z oka było zawsze pewniejszém, dla tego admirał nie odstępował od tych ostrożności, usiłując atoli znośnemi je uczynić. Oficer służbowy nie ukazywał się, mieszkał w tym samym co wygnańcy budynku; dość mu było ujrzeć Napoleona na przechadzce, lub gdy przechodził z jednej do drugiej komnaty. Jeżeli Napoleon krążył w obrębie oznaczonym, oficer nie postępował za nim, w razie dopiero przekroczenia tej granicy, posuwał się za nim konno, w takiej jednak trzymając się odległości, iż często tracił Napoleona z oczu, zwłaszcza gdy mu przyszła chęć zapuszczać się w kręte i trudne do przebycia drogi. Niekiedy grzązł w bagnach, nie mogąc tém samém podążyć za swoim więźniem, bez utyskiwanie wszakże na doznane ztąd przykrości. Co się tycze stosunków z mieszkańcami, jakkolwiek takowe były zabronione, admirał patrzył na nie przez szpary, tak iż wygnańcy w zaspokojeniu swych potrzeb mogli dość swobodnie znosić się z James-Town. Nareszcie, co do osób odwiedzających Napoleona, ponieważ admirał wiedział o każdym przybywającym, nie wzbraniał im przeto wejścia do Longwood, byle tylko osoby te meldowały się poprzednio marszałkowi Bertrandowi, który tu jak niegdyś w Tuileries, zapytywał poprzednio, czy przybywający może być dopusz-

czonym. Niewola więc Napoleona nie miała pozoru więzienia, do którego, by się dostać, potrzeba poprzednio uzyskać pozwolenie dozorców.

Pomimo tych wszystkich niedogodności, Napoleon, zwłaszcza z początku, nie czuł odrazy do miejsca, w którém miał żyć i umrzeć. Przytém zdrowie dotąd mu dobrze służyło; zmiany zaś klimatyczne, a mianowicie płasko-wzgórza Longwood, nie oddziaływały jeszcze na jego organizm, wytrzymały na cierpienia fizyczne w życiu czynném, lecz delikatny i wrażliwy w bezczynności. Nadszedł Styczeń 1816 r. czyli pora najpiękniejsza w tém półsferzu; przytém nowość miejsca zajmowała jeszcze Napoleona i jego towarzyszy. Cierpiał wprawdzie doznanym upadkiem, utratą wszelkich nadziei, nie doznawał wszakże niesmaku i okropności swego pobytu. Pieszo czy konno odbywał nieraz długie przechadzki, rozmawiał z mieszkańcami, a mianowicie z starym murzynem, właścicielem sąsiedniego pola, lub z biedną wdową, matką dwóch córek, które go często darzyły kwiatami. Niekiedy wzajem obdarzał je datkiem. Często także kroki swe zwracał do obozu pułku 53-go, gdzie dobrze i z honorami żołnierskiemi był przyjmowany. Po powrocie z takich wycieczek, pracował, dyktował Las Casesowi opis kompanji włoskich, Bertrandowi wyprawy egipskiej, jenerałowi Gourgaud wojny z r. 1815, potém, przy schyłku dnia przejeżdżał się z panią Bertrand i Montholon, wracał na obiad, wieczór zaś przepędzał na rozmowie o rozmaitych przedmiotach lub na wspólném czytaniu dobrych książek. Wielcy pisarze francuzcy zachwycali go; czytał ich z przyjemnością i z umysłem wytrawnym, cechującym delikatność smaku i wszechstronną znajomość rzeczy.

Niedługo wszakże odludna wyspa mogła mu zapewniać te rozrywki; tak dla siebie więc, jak i dla towarzyszów swojej niedoli, Napoleon zaczął uczuwać przykrości swego pobytu. Zmierzywszy już dwadzieścia lub trzydzieści razy cały obręb równiny Longwood, znalazł go dla siebie smutnym i monotonnym, a jeżeli wyznaczony zakres chciał przekroczyć, nadzór oficera stawał mu się nieznośnym. Zostawiać tego oficera w znacznej od siebie odległości, narażać na przykrości, nie zgadzało się z przyzwoitością; jechać zaś w jego towarzystwie, było dlań nie do zniesienia. Niekiedy wszakże przekraczał swoją granicę, zwracał ku przeciwległym północnym dolinom, to jest ku Briars lub Plantation-House. Tu porównywając te świeże, cieniste doliny z swoją równiną wszelkiej ochrony od słońca i wiatrów pozbawioną, nie mógł nie doznać bolesnego wrażenia, że jego dozorcy, dla zyskania większej pewności, wyznaczyli mu umyślnie tak nie miłą i nie zdrową siedzibę. Jego towarzysze przypisywali to, chęci przyspieszenia mu śmierci. Napoleon więcej miarkujący się w swoich wyrażeniach utrzymywał, że nieprzyjaciel obok chęci upewnie-

nia się co do jego osoby, nie wahał się jeszcze i tu przyczyniać mu udręczeń. W istocie, płasko-wzgórze Longwood, zewsząd odkryte, a od strony morza spadzistemi otoczone brzegami, o ile dawało pewność, że więzień ujść nie zdoła, o tyle z drugiej strony nastręczało dla mieszkańców trudne do zniesienia przykrości. Całą tę wyniosłość albo otaczały tumany mgły unoszące się z oceanu do szczytu Diany, albo też równinę tę szarpały wiatry od Capu wiejące; ztąd pomimo wilgotno-ciepłego klimatu, trawa tu nawet nie rosła. Jedynego schronienia od słońca udzielały drzewa gumowe, nędzne i rzadkim liście okryte krzewiny. Ile razy słońce skryło się po za tę pustynię, przejmująca mgła, wskróś zwilżała odzież; jeżeli zaś w całym blasku oświetlało okolicę, palące jego promienie przenikały wskróś płóciennych dachów Longwood. Nadto, uczuwać się dawał brak wody, po którą domownicy musieli chodzić aż do sąsiednich dolin, zkąd przyniesiona nie mogła być ani czystą ani świeżą. Do tych niewygód dodajmy jeszcze ubóstwo odludnej wyspy, na której wszelka żywność była droga i pośledniego gatunku, co lubo mało obchodziło Napoleona przywykłego do życia umiarkowanego, trapiło go niewygodami jego towarzyszy, których żony i dzieci przywykły do dostatków europejskiego życia.

Badając w zwykłą sobie przenikliwością swoich towarzyszy niedoli, Napoleon zauważył w nich pierwsze oznaki wkradającej się dysharmonji i jakiejś wzajemnej oziębłości. Tu prawie tak samo jak w Paryżu ubiegali się oni o pierwszeństwo w względach Napoleona, a jenerał Gourgaud, dość drażliwy i skłonny do gniewu, widząc Las Casesa przypuszczonego do większej poufałości, zawiści swojej nie mógł ukryć. Dwie rodziny, Montholon i Bertrand, jedna mieszkająca w Longwood, druga w Hutts-Gate okazywały również oznaki zazdrości. Dość, że zwykłe przywary dworów, nie kończą się wraz z odjęciem tronu! Trzeba wszakże wybaczyć tym słabostkom ludzkim, owszem, należy oddać zasługę spółzawodnictwu o względy genjuszu strąconego ze szczytu znaczenia. Ileż to osób obsypanych honorami i dostatkami przez Napoleona, rywalizowało podobnież, tylko nie w Longwood, a w Tuilerach!

Napoleon owe budzące się niesnaski uważał jako skutek wzajemnej niedoli, lękał się więc złych następstw dla tej kolonji rozbitków na skały rzuconych. O ile mógł przeto łagodził te stosunki, rozsądnemi rozmowami zbliżał do siebie zwaśnionych, ukrywał sam własny ciężar życia i pocieszał przyrzekając wszystkim lepszą przyszłość, którą sam osiągnąć nie spodziewał się.

Tak ubiegło już cztery miesiące roku 1816; nastała teraz przyjazna pora dla Europy, ale najgorsza na wyspie św. Heleny. W tym czasie

właśnie, to jest dnia 5 Kwietnia, rozeszła się wieść, że okręt przybyły z Anglji przywiózł nowego gubernatora, missja bowiem admirała Cockburn była tylko czasową.

Tym nowym gubernatorem był jenerał sir Hudson Lowe, któremu jego posłannictwo na św. Helenę zjednało niefortunną sławę. Byłto jeden z oficerów, których rządy używają w wypadkach, gdzie potrzeba więcej taktu niż zdolności militarnych. Już w wielu razach dobrze on się sprawił, a mianowicie w głównej kwaterze sprzymierzonych, gdzie rozniecał wszelkie nieprzyjazne dla Francji namiętności, a lubo nie był tak złym jak się to mogło zdawać z jego powierzchowności, charakter jego wszakże nie odznaczał się ani łagodnością, ani humorem łatwym do pożycia. Widząc że wszelkie drogi do posunięcia w czasie istniejącego pokoju są mu zamknięte, przyjął gubernatorstwo w nadziei dobrego za to wynagrodzenia, jakkolwiek stanowisko to było przykre, i obciążające odpowiedzialnością przed rządem i historją. O tej wszakże ostatniej odpowiedzialności wcale nie myślał Hudson Lowe i ważności jej wtedy nie przewidywał; głównem zaś jego zadaniem było uniknąć zarzutów czynionych admirałowi Cockburn za zbytnią jego powolność dla więźnia św. Heleny. Nie mając zamiaru okazywania się tyranem dla Napoleona, sir Hudson Lowe chciał tylko dowieść że potrafi oprzeć się wszelkim wpływom. W takiem przybywszy usposobieniu, musiał nieraz narazić się na starcie z silnym charakterem więźnia, którego zapędy polecono mu hamować, nie przywodząc wszakże do rozpaczy.

Zaledwie opuścił okręt, zażądał zaraz aby go admirał Cockburn wiózł do Longwood i przedstawił dostojnemu jeńcowi. Sam admirał zaprowadził zwyczaj, że przybycie każdej osoby oznajmiano wpierw Napoleonowi, czego zwykle dopełniał wielki marszałek Bertrand. Tym razem admirał pomijając zwyczaj udał się wprost z sir Hudsonem Lowe do Longwood, bez poprzedniego zapytania. Napoleon kazał oświadczyć, że jest słaby i nikogo nie przyjmuje. Hudson Lowe zapytał kiedy to może nastąpić; naznaczono mu dzień następny. Jakoż w dniu tym w towarzystwie admirała udał się do Longwood. Tu przyjęty przez marszałka Bertrand i jenerała Gourgaud, wprowadzony został do cesarza. Wtedy niepomyślny zdarzył się wypadek. W chwili wejścia nowego gubernatora, admirał zajęty rozmową, nie spostrzegł, że drzwi do salonu służba zamknęła, a kiedy ten chciał wejść, służba ta sądząc że tylko gubernator ma być dopuszczonym, drzwi dla admirała otworzyć nie śmiała. Żywo tém urażony, dosiadłszy konia powrócił z swymi adjutantami do James-Town.

Widzenie się sir Hudsona Lowe z Napoleonem było zimne i ceremonialne. Wczorajszy nagły przyjazd gubernatora źle ku niemu usposobił

Napoleona: Hudson Lowe wzajemnie nie chętnie przyjął odłożenie wizyty na dzień następny. Pierwsze więc zaraz spotkanie wznieciło niejaką zobopólną niechęć. Napoleon jednym rzutem oka zbadawszy z kim ma do czynienia, poznał że ma przed sobą jednego z zaciętych koalicjonistów, a postać Hudsona Lowe posunęła to przekonanie do przesady. Po grzecznem ale dość oziębłem powitaniu, Napoleon użalił się pokrótce nad ograniczaniem jego swobody, o nic wszakże nie prosząc; nadmieniał tylko, że po postępkach nowego gubernatora będzie w możności osądzić, czy ma się cieszyć lub przeciwnie z jego przyjazdu na św. Helenę. Sir Hudson Lowe zapewniał z swej strony, iż pragnie pogodzić trudne swoje obowiązki z dobrem wygnańców, lubo zapewnienia te dość chłodno były wypowiedziane, i nareszcie po krótkim pobycie, pożegnał Napoleona.

Zaledwie Hudson Lowe odjechał, kiedy Napoleon zwracając mowę do swych towarzyszy rzekł, że nigdy nie zdarzyło mu się widzieć podobnego jemu zbira włoskiego. Będziemy żałować *naszego rekina*, dodał. Teraz mu opowiedziano zdarzenie jakie zaszło z admirałem Cockburn; Napoleon uśmiechnąwszy się chwilowo, żałował bardzo tego co się stało, tem bardziej, że znał czuły, a zarazem dumny charakter admirała. Mimo to, Cockburn lubo obrażony, nie zdolnym był do szukania ztąd jakiejkolwiek zemsty. Gorszy był stan rzeczy z gubernatorem. Obrażony doznaném przyjęciem mógł on wkrótce u władzy swej szukać nad więźniem odwetu. Jakoż zaledwie się rozkwaterował w Plantation-House, chciał zaraz w całej mocy obostrzyć rozporządzenia wydane przez admirała, lub instrukcje były dane, jak mówił, przez lorda Bathurst. Napoleon użalał się na straże rozstawiane pod jego oknami po zachodzie słońca, na nudne krążenie w jednym obrębie ile razy wyjeżdżał na przechadzkę, lub strzeżenie go przez oficera, jeżeli dalej chciał się posunąć. Na takie użalenia Hudson Lowe odpowiedział, że rozporządzenia te, jako wydane przez lorda Bathurst, muszą być co do litery wykonane. Jakoż ponowił zaraz rozkaz oficerowi służbowemu, aby codziennie naocznie przeświadczał się o bytności Napoleona. Nadto, obostrzył także niektóre przepisy admirała, których wykonywanie wyszło niejako ze zwyczaju, a mianowicie, iż nikomu odtąd nie wolno było komunikować się z mieszkańcami w Longwood bez pozwolenia gubernatora, co za rządów admirała dozwolonem było na mocy upoważnienia od marszałka Bertrand. Słudzy tu i owdzie za kupnem żywności lub innemi matarjalnemi interesami wychodzący, nie doznawali w nich żadnej trudności. Kilku znakomitych Anglików wracających z Indyj, znani admirałowi, a tém samém nie wzbudzający żadnej obawy, dopuszczani byli do Longwood na mocy poprzedniego zezwolenia wielkiego marszałka; doznali oni dobrego przyjęcia od Napoleona, a nawet

rozmową swoją chwilową sprawili mu przyjemność. Taki stan rzeczy i nadal pozostawiony nie zagrażał żadnem niebezpieczeństwem dla straży nad więźniem czuwającej. Wszelako Hudson Lowe zakazał, aby odtąd wszelkie stosunki z Napoleonem, tylko za poprzedniem jego zezwoleniem miały miejsce, i aby każdy list do Longwood adressowany lub ztąd wychodzący, przez jego wpierw przechodził ręce. Dla zmniejszenia nawet potrzeby pisywania, ustanowił oddzielnego dla Longwood dostawcę, w osobie właściciela osady Briars, w której Napoleon kilka tygodni przemieszkał.

Tak niespodziewane obstrzenia rozdrażniły na nowo wygnańców. Sir Hutson Lowe z powtórną przybywszy wizytą, jeszcze chłodniejszego doznał przyjęcia; Napoleon odprawił go do marszałka Bertrand w celu porozumienia się do sposobu wykonywania tak dotkliwie ścieśnionych rozporządzeń. Powstawał na to Bertrand, oburzał się z niejaką nawet gwałtownością, lecz znalazł w tym razie gubernatora nieugiętym; oświadczył więc, że jeżeli nie zmieni tych postanowień, Napoleon nie wyjdzie nigdy ze swoich pokoi, co jeżeli szkodliwie oddziała na jego zdrowie, gubernator odpowie za to przed opinją publiczną. Lecz te wszystkie pogróżki nie oddziałały nic na postanowienie sir Hudsona Lowe; uważając bowiem rozporządzenia swoje jako wynik danych mu instrukcji, nie pojmował nawet, dla czego przyjęcie go w Longwood nie miałoby być tak uprzejmém jak admirała Cockburn. W takiem rozumieniu rzeczy gubernator dał powód do większych niesnasek, które dostojnemu więźniowi przyczyniły nowych cierpień, na niego zaś samego słuszne ściągnęły zarzuty. Do wyspy św. Heleny zawinęła wtedy flota wracająca z Indyj. Znajdujący się na pokładzie jej gubernator Indyj lord Moira, wraz z małżonką, żywo pragnęli poznać Napoleona. Nie chcąc atoli stawiać się na równi z zwykłym więźniem, któremu podług upodobania otwierają lub zamykają więzienie, Napoleon postanowił nie przyjmować, tylko te osoby, które poprzednio prosić go będą o to za pośrednictwem Bertranda. Widząc więc tyle trudności, lord i lady Moira odstąpili od swego zamiaru; wszelako Hudson Lowe, chcąc ciekawość ich zaspokoić, posłał do marszałka Bertrand zaproszenie na obiad do Plantation-House, dodawszy oddzielne do Napoleona, w którém wyraził, że jeżeli *jenerał Bonaparte* raczy zezwolić, lady Moira byłaby bardzo szczęśliwa mogąc mu się przedstawić. Prawdę mówiąc, w postąpieniu tém był tylko brak taktu, a nie zamiar ubliżenia dostojnemu więźniowi. Krok ten wszakże żywo dotknął Bertranda, a niemniej i Napoleona; mógłże się bowiem zgodzić się na zaspokajanie ciekawości swoją osobą, którą gubernator św. Heleny chciał dowolnie

dla przyjemności swych gości rozporządzać. Mimo odmównej odpowiedzi Bertranda, Hudson Lowe sam przybył do Longwood, gdzie tym razem już nie chłodnem przyjęciem, ale żywemi został przyjęty wyrzutami.— Dziwi mnie, rzekł Napoleon, że pomimo odmównej odpowiedzi marszałka Bertrand, sam pan jeszcze śmiesz ponawiać swe zaproszenia. Zapominasz jaka nas przestrzeń od siebie dzieli. Ani pan, ani jego rząd nie macie prawa pozbawiać mnie tytułu przyznanego mi od całej Francji i Europy, tytułu jakiego mi nie odmówi potomność. Czy pan i Anglja przyznacie mi go lub nie, ja zawsze będę dla świata cesarzem Napoleonem. Mało więc sobie cenię, jak mnie zwać będziecie. Ale obraża mnie, żeś pan mógł pomyśleć o sprowadzeniu mnie do siebie dla zaspokojenia ciekawości osób cię odwiedzających. Jakkolwiek los przeciwny mnie dotknął, nie wolno przecież nikomu robić sobie igraszki z cesarza Napoleona.— Po tych surowych słowach, Napoleon nieco się uspokoił, Hudson Lowe zaś tłumaczył się z swoich zamiarów, mówiąc, że w życzeniu pp. Moira poznania Napoleona, była tylko chęć oddania hołdu jego sławie, mniemał przytém, że chwile spędzone z tak znakomitemi osobami Anglji mogły mu sprawić przyjemność. Napoleon w milczeniu wysłuchał tych usprawiedliwień, i pożegnał gubernatora bardziej jeszcze niż w dwóch pierwszych wizytach upokorzonego.

Porównywając Hudsona Lowe z admirałem Cockburn, który wkrótce powrócił do Anglji, korzyść wypadała na stronę tego ostatniego. Zanim wsiadł na okręt, admirał udał się do Longwood dla widzenia się z wielkim marszałkiem, złożył mu swoje pożegnania, wyrażając żal z przykrości dodanych do niewoli Napoleona, i nieprzyjaznych stosunków z nowym gubernatorem, którego zresztą zamiary, jak mniemał, nie były tak złe jak się wydawały. Za takie dowody spółczucia, Bertrand szczerze podziękował, prosząc przytem, aby admirał przedstawił rządowi brytańskiemu położenie wielkiego człowieka, który z zaufaniem powierzył się Anglji; w końcu prosił lorda Cockburn, aby sam pożegnał Napoleona, przepraszając przytém za pomyłkę dopuszczoną w dniu przedstawienia się sir Hudsona Lowe. Lecz admirał, o tyle czuły ile szlachetny, nie chciał już widzieć Napoleona. Prosił tylko wielkiego marszałka, aby pożegnał dostojnego więźnia jego imieniem i zarazem zapewnił, że i za powrotem do Anglji nie będzie on wrogiem jego nieszczęścia. W istocie, admirał powziął dla Napoleona prawdziwą sympatję i nie przestawał głosić, że ze wszystkich więźniów św. Heleny, Napoleon był najłagodniejszym, najłatwiejszym w stosunkach, i jeśli tylko nie żądano od niego rzeczy niepodobnych, porozumienie się z nim nie nastręczało żadnych trudności.

Admirał Cockburn odjechał pozostawiszy po sobie żal tej nieszczęśliwej osady jeńców. Zaraz po jego wyjeździe nowe pojawiły się przykrości. Minister angielski zażądał od towarzyszy Napoleona formalnego aktu uległości w zastosowaniu się do wszelkich ograniczeń ich swobody z warunkiem, iż ci którzyby się od posłuszeństwa uchylali, mają być bezzwłocznie wysłani z powrotem do Europy. Nadto, uznał on że wydatki na utrzymanie więźniów są zbyt wysokie, co zresztą tłomaczy się drogością wszelkich artykułów na wyspie św. Heleny i znaczną liczbą osób do żywienia, których wraz z służbą, żonami i dziećmi było około piędziesiąt. Wydatki te rocznie dochodziły do 25,000 fun. szter. (500,000 fran.) Admirał Cockburn nie uznawał nigdy wydatków tych za zbyt wygórowane, i żadnych też w tej mierze nie czynił swemu rządowi przedstawień. Wartoż zresztą było dawnemu panu świata wymierzać gorzki chleb rzucany mu do więzienia? Zdaje się nawet, że w zamian za odjętą mu dla spokoju świata swobodę, należało przez własny szacunek otoczyć Napoleona wszelkim materjalnym dostatkiem. Tak przecie nie było; i dziś kiedy namiętności z roku 1815 przygasły, każdy zapewne spyta się, czy mógł lord Bathurst posunąć się do wymagania, aby wydatki na Longwood zredukowane zostały do 8000 fun. szter. Wprawdzie liczba nic tu nie znaczy, ale sam zamiar jest nikczemnością, i Anglja dla swego honoru nie powinna przebaczyć go tym, którzy rzucili plamę na jej dzieje.

Trzeba jednakże wyznać, że jak skoro przyszło wykonać część tych instrukcji, Hudson Lowe doznawał kłopotu, w wymaganiu atoli deklaracji od członków osady, okazał się nieugiętym. Akt ten, w którym Napoleon nazwany był jenerałem Bonaparte, nakreślił i przygotował do podpisu. W tym razie wygnańcy w trudném znaleźli się położeniu; bo jeżeli ci w których moc dostał się Napoleon odmawiali należnych mu tytułów, rzeczą to było z ich strony naturalną; lecz żądać, aby towarzysze jego niedoli w akcie urzędowym nie przyznawali mu godności codziennie zachowywanych, byłoby toż samo co stwierdzać jego detronizacją. W tym celu więc sporządzili deklaracją co do poddania się przepisom dla wyspy św. Heleny wydanym, tej samej osnowy co skreślona przez Hudsona Lowe, z zachowaniem atoli różnicy co do należnych Napoleonowi tytułów. Przeczytawszy ją, gubernator w sposób grubijański kazał im oświadczyć, iż jeżeli nie podpiszą deklaracji w formie przez niego podanej, każe ich wszystkich bezzwłocznie wywieźć do Europy. — Nie podpisujcie, rzekł Napoleon, niech was odwiozą. Zostanę tu sam, to zresztą życie moje niedługie; niech świat przynajmniej dowie się, że dla drobiazgowego sporu, pozbawiono mnie ostatnich moich przyjaciół. — Wygnańcy zgodzili się na to, a wtedy Hudson Lowe, pojmując dobrze jakie to nikczemne postępo-

wanie pociągnęłoby za sobą skutki, zaproponował zmianę w tém, że bez dodawania tytułów cesarza lub jenerała, więzień oznaczony będzie w akcie rodowem nazwiskiem *Napoleon Bonaparte*, dodając przytém, że w razie odmowy, gotowy w porcie okręt przewiezie ich do Europy. Wszyscy więc poddali się woli gubernatora, nie wspominając o tém Napoleonowi, by nie pozostawić bez przyjaciół, bez sekretarza, bez domowników tego nieszczęśliwego dawnego władzcy, z którym niedolę jego do końca podzielać pragnęli.

W przedmiocie ograniczenia wydatków, sir Hudson Lowe okazał się łatwiejszym do ustępstw. Być może że domownicy Napoleona i trzech towarzyszących mu rodzin nie zbyt skrupulatnymi byli w oszczędzaniu pieniędzy angielskich, my jednak nie przypuszczamy, aby nawet ktokolwiek w Anglji pomyślał o ich uszczuplaniu. Wszelako Hudson Lowe mówiąc o tém z Bertrandem, powoływał się na dane mu instrukcje, podług których summa na utrzymanie jenerała Bonaparte wyznaczona, zredukowaną została do 8000 fun. szter. (200,000 fran.) Marszałek Bertrand z przyzwoitą dumą odpowiedział na wniosek gubernatora, że nawet nie pojmuje jego mowy, wiedząc dobrze jak wszyscy nędzne tu mają utrzymanie; że nawet nie myśleli nigdy wnosić jakichkolwiek zażaleń, ani też nie zastanawiali się, co może kosztować to skromne ich życie; że wreszcie nie ośmieliłby się nigdy powiedzieć o tém swemu panu. Mimo to sir Hudson Lowe nalegał, oświadczając zarazem, iż niepodobieństwem będzie tak znacznych summ asygnować. Bertrand dotknięty tém do żywego, zasięgnął rady ważniejszych członków wygnania, nie mógł wszakże wstrzymać się, by nie zawiadomić o tém Napoleona. Łatwo odgadnąć jakiej przykrości doznał z takiej propozycji. Zaraz więc kazał odpowiedzieć, że pomimo obowiązku jakie mają wszystkie narody w żywieniu swoich jeńców, w jego przekonaniu ten warunek, że musi pożywać chleb angielski, wydaje się najprzykrzejszém, że najgorętszém jego życzeniem jest utrzymywać siebie i swoich przyjaciół własnym kosztem, że tego właśnie pragnie i teraz, i aby tylko gubernator pozwolił przesyłać do Europy listy opieczętowane, Napoleon jest pewny, że jego rodzina nie pozwoli mu żyć w nędzy, a wtedy rząd angielski nie będzie w konieczności wydawania nawet tych 8000 funt. szter., któremi chciał ograniczyć koszta jego utrzymania w Longwood. Pobudki skłaniające go do tej odpowiedzi, łatwo odgadnąć. Jakkolwiak członkewie rodziny Napoleona, a mianowicie jego matka, wuj i ks. Eugenjusz byli w możności zaspokajania jego potrzeb, Napoleon jednakże nie uciekałby się nigdy do tego środka, mógł bowiem czerpać dochody z kassy p. Lafitte u którego złożone były jego fundusze;

bał się wszakże wyjawiać się z niemi, aby równie jak inne dobra Bonapartych, nie uległy konfiskacie.

Otrzymawszy taką odpowiedź, sir Hudson Lowe oświadczył, że gotów jest przesłać listy Napoleona do jego bankierów, lecz nie opieczętowane, jak wymagały instrukcje lorda Bathurst, nalegał przytém o zmniejszenie wydatów, lub zaspokajanie ich z własnych Napoleona funduszów. Oburzony tém nowém prześladowaniem, Napoleon polecił intendentowi swego domu Marchand'owi, wybrać część sreber mniej potrzebną, takowe połamać, aby niemi nie handlowano, jako sprzętami do niego niegdyś należącemi, i następnie wysłać je do dostawców w James-Town, dla zaspokojenia ich należności. Wiadomość o tém postanowieniu mocno zakłopotała gubernatora, wiedział bowiem, że mieszkańcy James-Town, dowiedziawszy się do jakiej ostateczności więzień z Longwood został przywiedziony, sarkaliby na nikczemne postępowanie swojego rządu. Dla uciszenia tych szemrań Hudson Lowe głosił przez swych zaufanych, że Napoleon opływa w dostatkach pieniężnych i jest w możności zaspokojenia swoich wydatków bez uciekania się do tak pozornych środków. Wprawdzie Napoleon przywiózł z sobą około 350,000 fran. w złocie, a jego towarzysze mieli przy sobie około 200,000 fran. Summę tę uważał jako ostatnią swoją rezerwę i nie chciał jej pozbawiać się, z niej bowiem od czasu do czasu czerpał pewne kwoty na udzielanie jałmużn i wynagradzanie swych domowników. Aby więc nie poruszać tej summy, która zresztą wkrótceby się wyczerpała, ani też wyjawiać swego depozytu u bankiera Laffitta, postanowił uciec się w tej konieczności do sprzętów srebrnych. Zresztą tych ostatnich zapas był znaczny i nad potrzebę; Marchand bowiem, troskliwy zawsze o odpowiednie zaopatrzenie dworu swego pana, zabrał je wszystkie z pałacu Elizejskiego i wysłał do Rochefort; mogły więc one posłużyć teraz na zaspokojenie wydatków, dopókiby wstyd nie zarumienił czoła sir Hudsona Lowe i lorda Bathurst.

Zmieszany takim oporem, gubernator świadczył, iż tymczasowo podniesie sam wydatki na 12 tysięcy funt. szter. (300,000 fran.) nad kredyt do 8000 funt. szter. przez lorda Bathurst ustanowiony i zażąda nowych w tym przedmiocie rozkazów. Wysyłkę więc sreber wstrzymano i ten niegodny targ ustał. W tym czasie w miejsce admirała Cockburn przybył nowy admirał, nie do zarządu wyspą, lecz stacją morską. Był to sir Pulteney Malcolm; mąż wzniosłego charakteru, ktorego samo miłe oblicze uprzedzało o dobroci serca. Przybywszy do św. Heleny przedstawił się zaraz Napoleonowi, zachowując wszelkie oznaki szacunku dla dostojnego więźnia, tak iż od pierwszego poznania bardzo mu się podobał. Jego miłe, a z godnością zachowanie się i okazane spółczucie, od-

działały na tkliwe usposobienie Napoleona i zaraz zjednały mu jego serce. Napoleon też od pierwszej chwili traktował go po przyjacielsku i z całą szczerością. Sir Malcolm ponawiał często swoje odwiedziny; Napoleon polecił nawet, aby ile razy przybędzie wprost był wprowadzony, bez zachowywania zimnej etykiety, ktorą zachowywał tylko względem stróżów swego więzienia. Sir Malcolm przekonawszy się, że jedną z największych dolegliwości Napoleona był brak cienia, (gdyż karłowate drzewa gumowe mało go użyczały), posłał na okręt po swój namiot i kazał go rozbić blisko mieszkania w Longwood. Ta uprzedzająca grzeczność mocno ujęła Napoleona, odtąd często przychodził spocząć, czytać lub pracować w namiocie sir Malcolm'a. Szukając wszelkich środków ulżenia losu wygnańcom, admirał starał się zbliżyć Napoleona z sir Hudsonem Lowe, aby tém samém jeżeli nie instrukcje lorda Bathurst, to przynajmniej ich wykonanie nieco złagodzić. Mówiąc o tém z Napoleonem nadmienił, że rzeczywiście polecenia lorda Bathurst były niestosowne, lecz Hudsona Lowe wykonywając je z obowiązku, nie mógł tém samém oszczędzić przykrości swoim więźniom. Zapewniał nadto, że gubernator nie jest w gruncie złym, ani źle usposobionym, lecz zarówno jak rząd brytański i wszystkie rządy europejskie lęka się, aby Napoleon, podobnie jak z Elby nie wydostał się i z tej wyspy. Na samą tę myśl, mówił, gubernator odchodził od rozumu, należałoby mu więc przebaczyć, a widując się z nim, przyjmując u siebie, rozmawiając z otwartością, dałoby się go ułagodzić i pozyskać stosunki mniej dotkliwe dla mieszkańców Longwood. — Mylisz się pan, odrzekł Napoleon uprzejmemu pośrednikowi, znam się na ludziach. Sama twarz Hudsona Lowe jest wyrazem złego serca. Co do ucieczki, o tej ja nie myślę, a to z dwóch przyczyn: raz że jest niepodobną, powtóre, że ona nie doprowadziłaby mnie do niczego. Dla mnie nie ma już miejsca na świecie; wiem że tu złożę moją głowę i to zapewne niedługo; chciałbym tylko zostawić jeszcze jakie nauczające dla potomności wspomnienia. Jeżeli moi nieprzyjaciele z mojej przyczyny tracą głowę, ja jej bynajmniej nie tracę, i nie przed ich więzami, ale przed obelgami staram się usunąć. Nie żądam nic więcej od spółrodaków pana, jak aby mi pozwolili dobiedz kresu dni moich bez uwłaczania mojej godności. Na widzeniu się z sir Hudsonem Lowe nic nie zyskam. Jakkolwiek umiem gdzie potrzeba panować nad sobą, widok atoli tego człowieka wstrząsa mną całym, drażni, tak iż spokojnie przyjąć go nie jestem zdolnym. — Mowa ta wszelako nie zrażała sir Malcolm'a, obstawał więc za potrzebą przyjęcia Sir Hudsona Lowe, który właśnie pragnął widzieć Napoleona, by wejść z nim na drogę pojednania.

Ulegając namowom taką przychylnością tchnącym, Napoleon zezwolił na widzenię się z gubernatorem, byle tylko w obecności admirała. Jakoż wkrótce przybył Hudson Lowe z Malcolm'em i przedstawił się z niejakiem zakłopotaniem swojemu dumnemu więźniowi. Napoleon przyjął go grzecznie, dozwalając usprawiedliwiać się z postępowania, na które użalali się mieszkańcy Longwood. Odpowiedź Napoleona nie tchnęła żadną goryczą, owszem wypowiedziana była tonem okazującym skłonność do zgody; gdy atoli gubernator niezręcznie dotknął kwestji wydatków, zbyt świeżej i ostatecznie nierozwiązanej, Napoleon nie mogąc dłużej powstrzymać się, zbyt cierpkiemi wybuchnął słowy. — Dziwi mnie, rzekł, że pan w rozmowie ze mną śmiesz dotykać takiego przedmiotu. Ja nie zwykłem wglądać w to co się dzieje w mojej kuchni. Jeżeli zaś pan uznajesz to dla ciebie za właściwe, czyń co ci się podoba, lecz o tém nie mów. Gdybym nie miał tu kobiet i dzieci skazanych jak ja na dalekie wygnanie, poszedłbym zasiąść do stołu z oficerami 53-go pułku i jestem pewny, że ci dzielni ludzie podzieliliby chętnie swój chleb z jednym z najstarszych żołnierzy w Europie. Lecz mam tu do żywienia kilka rodzin, które również jak ja radeby nie być dłużnemi w niczem despotycznemu rządowi angielskiemu. Gdybym mógł pisać do Europy nie biorąc pana za powiernika moich myśli, jestem pewny że moja rodzina i cała Francja nie odmówiłaby chleba mnie i moim przyjaciołom, którzy dobrowolnie przyszli tu niedole moje podzielać. — Po tych słowach, Napoleon uniesiony gniewem, dozwoliwszy kilka zaledwie słów wyrzec gubernatorowi, obrócony do admirała, i mówiąc tylko w trzeciej osobie o Hudsonie Lowe, nie szczędził słów ubliżających. Admirał starał się uniewinnić gubernatora danemi mu instrukcjami, na co Napoleon odrzekł, że ludzie honorowi nie każdej podejmują się missji, lubo zresztą sir Hudsona Lowe nie można zaliczać do stanu wojskowego, bo podobno częściej władał piórem, jako oficer sztabu, niż szablą. — Po tych ostatnich słowach, gubernator, któremu trzeba przyznać, że umiał utrzymać się i poszanować najcięższe w swoim więźniu nieszczęście, wybiegł drżący zapewniając, że nigdy noga jego w Longwood nie postanie.

Zaledwie wyszedł, Napoleon żałując iż nie umiał zapanować nad sobą, zaczął usprawiedliwiać się przed admirałem, mówiąc, że nigdy nie byłby się tak uniósł, gdyby gubernator nie wznowił był niecnej kwestji wydatków, a przytém sam widok Hudsona Lowe wywierał na nim wrażenie, pozbawiające go wszelkiej nad sobą mocy; zresztą przyznawał, iż źle zrobił, a w końcu wyrzekł słowa błąd jego niejako zmiejszające: Panie admirale, jedno tylko mam za sobą usprawiedliwienie, oto, że nie

jestem w Tuilerach. Wiem żem uchylił Hudsonowi Lowe, i nigdybym sobie tego nie przebaczył, gdybym nie znajdował się w jego więzach.

Po takich wzajemnych rozterkach, zapełniających znaczną część roku 1816, życie Napoleona wlokło się odtąd drogą nudnej jednostajności, która przerywana niekiedy cierpieniami, nie opuszczała go aż do zgonu. Jego zatrudnienia były zawsze teżsame. Ile razy wcześniej z braku zajęcia udał się na spoczynek, sen jego był przerywany; wtedy wstawał, czytał, dyktował, jeśli miał przy sobie Marchand'a, znów się kładł, szukał snu który go opuszczał, siadał na konia jak skoro słońce oświetliło równiny Longwood i przejeżdżał się w tak zwanym przez niego *obrębie piekła*. Ta przejażdżka ciągle powtarzana stawała się dlań coraz przykrzejszą; ile razy zaś chciał posunąć się poza oznaczoną granicę, trzeba było ciągnąć za sobą nieszczęśliwego oficera dozorcę Chwilową nawet przyjemność, jakiej doznawał w rozmowie z starym negrem, sąsiednią uprawiającym rolę, lub z wdową i dwiema jej córkami darzącemi go kwiatami, zakłócała obawa narażenia tych ludzi na podejrzliwość gubernatora. Nieraz lękał się obdarzyć kogo jakim podarunkiem, by to nie wzięto za chęć przysposobienia sobie pomocy w urojonej ucieczce. Takie udręczenia musiały niekorzystnie oddziaływać na drażliwy z natury organizm, umiejący panować nad sobą w wielkich tylko niebezpieczeństwach. — Czemuż nie jesteśmy wolni, mówił do Las Cases'a, nad brzegiem Ohio lub Missisipi, w gronie naszych rodzin i przyjaciół!... Czy pojmujesz, jakato byłaby roskosz przebiegać w całym pędzie konia te ogromne lasy Ameryki? gdy tymczasem tu, na tej nagiej skale, nie ma gdzie się obrócić. Kiedy słońce podzwrotnikowe zaczęło już dogrzewać, Napoleon chronił się pod namiot Malcolm'a, i w tym sztucznym cieniu wołał: Dębu! dębu! ah, dajcie mi choć listek z tego drzewa Francji! — Po powrocie z przejażdżki, Napoleon, kładł się w łóżko szukając snu po utrudzeniu; potém wchodził do wanny, w niej pozostawał dość długo, a lubo kąpiel osłabiała go, używał jej wszakże z przyjemnością, bo ta zmiejszała mu ból w boku, tę pierwszą oznakę choroby, co go o śmierć miała przyprawić. Potém czytał, dyktował, słowem wracał do opisanych już przez nas zatrudnień i zakończał dzień wspólnem czytaniem książek lub opowiadaniem zawsze chciwie słuchanych przygód swego życia. Dni te przecież nie były najsmutniejsze w epoce jego okropnego bytu, okropnego dla każdego człowieka, a tém więcej dla tego, którego życie upływało w ciągłym wirze świata. Były bowiem przykrzejsze jeszcze chwile, kiedy zaczął dąć wiatr od Przylądka Dobrej Nadziei, wiatr suchy, spiekły, szkodliwie na cały system nerwowy oddziaływający, przytłaczający do ziemi rośliny i drzewa, wstrzymujący wszelką roślinność tak, że tę skalistą ziemię pogrążoną

w mgłach oceanu, albo otaczały tumany przenikającej wilgoci, lub szarpały wichry ciągłe i pożerające. W porze wiatrów, Napoleon nie wychodził z mieszkania, nie używał powietrza, wpadał w głęboki smutek i zapytywał samego siebie, czy wróg nie naznaczył mu umyślnie tego miejsca pobytu, aby śmierć jego przyspieszyć. W tem gorzkiem przekonaniu utwierdzała go jeszcze myśl, dla czego nie chciano mu oddać na mieszkanie miłego pałacyku w Plantation-House, w świeżej i dobrze osłoniętej położonego dolinie. Jeżeli pragnęli mej śmierci, czemuż nie postąpili ze mną jak z Neyem! jedna kula w głowę byłaby wystarczyła. Ale Europa tchnie tąż samą nienawiścią co i emigracja, tylko nie ma tej odwagi. Nie śmie ona dobić mnie od razu; woli więc abym umierał śmiercią powolną... W tym względzie atoli Napoleon mylił się. Europa chciała tylko trzymać go pod strażą i tą głównie zajęta myślą nie zwróciła uwagi, czy poczynione ostrożności odpowiadają względom sanitarnym. Staranie to pozostawiono Anglji, a ta zdała wszystko na swoich podwładnych, niepokojonych odpowiedzialnością lub drażnionych opryskliwością swoich więźniów. Powiedzieliśmy wyżej, że lord Bathurst zawinił, iż nie zażądał od kompanji Indyjskiej odstąpienia Plantation-House, Hudson Lowe zaś nie był tyle delikatnym, iżby sam mieszkanie to ofiarował Napoleonowi, woląc je zatrzymać dla swojej familji (*). Nie było tu więc przewrotnych pobudek, jak o nie Napoleon Anglją oskarżał, lecz postąpienie niegodne. Nie chciano go wprawdzie dobijać, a dozwolono podwładnym sprowadzać mu śmierć powolną, wpajając w nich nieustanną o więźnia obawę.

Sir Hudson Lowe, przywiózł z sobą drzewa na budowę nowego domu, tudzież meble i książki. Chcąc jednakże ochronić się od wpływów tak szkodliwej i zmiennej temperatury, wypadałoby nie z drzewa, ale z daleko trwalszych materjałów dom budować. Napoleon nie przyjął nic prócz książek, a lubo w nich zły zrobiono wybór, część ich atoli zatrzymał, chciwie czytał i o nich wieczorami rozmawiał. Wieczory w Longwood, lubo smutne, były że tak powiem oświetlone jego umysłem. Rozmowy Napoleona była niekiedy ucinkowe, nawet wesołe

(*) Nie chcemy tu oczerniać Hudsona Lowe, ale nie możemy przemilczeć tego, co sam w raporcie swoim wyznaje, że gdyby na wyspie znajdowało się i ne odpowiedniejsze dla niego i jego rodziny mieszkanie, niezawodnie byłby ustąpił Plantation-House dla Napoleona. Gubernator więc przeniósł swoje osobiste wygody nad wygody więźnia, lubo ten zasługiwał na pierwszeństwo przed Hudsonem Lowe, a nawet jego rodziną.

(lubo rzadko), albo też wyższe, nawet wzniosłe, na nieszczęście o wiele gorujące po nad usposobienie słuchaczy; przedmiotem ich była historja, wojna, nauki i sztuki piękne. Niekiedy bawił się z dziećmi pani Bertrand lub Montholon, kazał im powtarzać bajki la Fontaina, żałował, że jeszcze nie rozumieją ich głębokiego znaczenia, lubo znajdował zawsze jakiś sens moralny przystępny do pojęcia swych małych słuchaczy. Jeden z synów pani Montholon żalił się, że go zapędzano co dzień do roboty. Napoleon zapytał go: mój mały przyjacielu, a jjesz ty co dzień? Tak, Najjaśniejszy Panie! A więc, kto jje codzień, ten i codzień pracować powinien. Potem, od zabawy z dziećmi, genjusz jego przenosił się nagle na szczyty polityki i filozofii.

Pomiędzy książkami przywiezionemi na wyspę, znajdowało się wiele broszur czasowych i wywołanych okolicznościami. Niektóre z nich były przeciw Napoleonowi, inne zaś przeciw jego nieprzyjaciołom. W liczbie tych ostatnich była broszura mająca tytuł: *Dykcjonarz chorągiewek na dachu* (Dictionnaire des girouettes), która po r. 1815 nabyła wielkiego rozgłosu, ona bowiem wytykała i znaczyła piętnem hańby tych, co tak skwapliwie spieszyli z jednego pod drugi rząd, by tylko stanowisko swoje zachować. Książka ta, napisana przez przeciwnika Bourbonów, podobała się wygnańcom, którzy cieszyli się przynajmniej, iż dotykano karą tych, co zamiast pójść z Napoleonem na skały ś. Heleleny, zapełniali salony w Tuilerach, wypierając się przywłaszczyciela któremu poprzednio służyli, a sławiąc prawego władzcę, przeciw któremu niedawno walczyli. Napoleon w pierwszych dniach śmiał się z tego, nie przywiązując atoli znaczenia do tego pamfletu, odrzucił go na bok. Szkaradna to książka, rzekł raz, ona bowiem poniża Francją, a z nią całą ludzkość! Gdyby to było prawdą, rewolucja francuzka, najszczytniejsze szczepiąca zasady, byłaby uczyniła z nas wszystkich tylko tłum nędzników. Wszystko to fałszywe i niesprawiedliwe. Weźmy tylko na uwagę wojny religijne we Francji, Anglji i Niemczech, znajdziemy i tam ciekawe zmiany i to nie małą ich liczbę. Tyleż było ich za Henryka IV, co i pod Ludwikiem XVIII. Fronda nowe przedstawiła wzory; a jednakże Francja, która w kilka lat potem wygrała bitwy pod Rocroy i Dunes i wydała *Poliekta*, *Atalę* i *Mowy pogrzebowe* Bossuet'a, bynajmniej nie poniżyła się. Nie szukajcie tej zbyt niskiej przyjemności w dotykaniu karą swoich przeciwników, bo ta obosieczna broń łatwo może zwrócić się na was.... A kiedy mówiono, że ci ludzie których Napoleon uniewinniał, zdradzili go: Nie, rzekł, oni mnie *nie zdradzili*, tylko *odstąpili*, a w tem jest wielka różnica. Mniej tu jest zdrajców niż sądzicie, są tylko ludzie słabi pokonani okolicznościami sto razy od nich

silniejszemi. Napoleon pojmował dobrze, że ludzie ci zmordowani nadużyciem i wyczerpaniem ich sił, upadali od znużenia i dla tego woleli przejść pod nowego pana, by pod nim spokojnie pożywać owoce oddanych przez siebie usług Francji. Jedynym zdrajcą, dodał Napoleon, jest Fouché. Nawet Marmont, ten nieszczęśliwy Marmont, który mi więcej niż Fouché złego wyrządził, nie może być nazwanym zdrajcą. Próżność i nadzieja zajęcia wielkiego stanowiska, złudziły go, mniemał więc, że odejmując mi środki zgniecenia sprzymierzonych w Paryżu, uchroni Francją od straszliwej katastrofy. Nie zdradził mnie więc jak Fouché. Słuchacze zdziwieni taką pobłażliwością, pytali Napoleona, dla czego widząc zdradę Fouché'go w r. 1815, pozwolił mu jednak działać. Dla tego, odpowiadał, że ówczesne położenie rzeczy nie zawisło wtedy od jednego choćby największego wpływu człowieka. Zależało ono od jednej wygranej czy przegranej bitwy; gdybym więc przedtem wystąpił z jawnem oskarżeniem Fouché'go, mógłbym był tem samem tron swój zachować, musiałem więc czekać cierpliwie, dając jednakże poznać Fouché'mu, że widzę jasno co się dzieje. Za tę wzgardliwą pobłażliwość Fouché zemścił się; lubo po bitwie pod Waterloo, gdybym nawet nie miał tak niebezpiecznego człowieka, byłem już zgubionym... Zdrajcy, powtarzał Napoleon, nie rodzą się tak często jak myślicie. Człowiek z natury jest słabym, a tem samem łatwo zmiennym; szuka on szczęścia tam gdzie drugim złe wyrządza, jest więc godniejszym politowania niż nienawiści. Biorąc człowieka takim jakim jest, trzeba się starać go podnieść, byle nie wzgardą, bo ta go nie podniesie. Owszem należy nieraz wmawiać w ludzi wyższą nad rzeczywistą ich wartość, a wtedy można ich na dobrą zwrócić drogę. W wojsku przemawia się nieraz do tchórzów jak do walecznych i przez to oni takimi się właśnie stają. Słowem trzeba nieraz wmawiać w ludzi cnoty, jakiemi chcielibyśmy ich natchnąć....

Od takich przedmiotów Napoleon przechodził do innych i w nich tęż samą filozofją praktyczną, z takąż wzniosłością poglądu, rozwijał. Zbytni brak zaufania do ludzi, mówił, jest dowodem słabości, a nie trafności ich poznania. Na tej drodze nabywamy zwątpienia o wszystkiem, tak iż w końcu wahając się w wyborze, tracimy z rąk najużyteczniejsze nieraz narzędzia. Zważcie przytem, że jak skoro inni poznają w nas to usposobienie, każdy stara się je bardziej na swoją korzyść rozwijać. Gdybym był wierzył w podsuwane mi wieści, byłbym widział w około siebie samą nikczemność i przedajność. Tu nawet, moi przyjaciele, gdzie was tak mała garstka wzajemnie wspierać się powinna, i tu mówię, nie zawsze ja wierzę temu co jeden mówi na drugiego, i słusznie w tem po-

stępuję. (Napoleon dawał tu do zrozumienia, że wie o niektórych niesnaskach, spokój jego zakłucających). Nie, ciągnął dalej, nie trzeba zaraz wierzyć temu co ludzie mówią jeden na drugiego. Lannes poległ przy moim boku śmiercią bohaterską, a jednakże głosił on często takie zdania, że biorąc je za prawdę, należało dotknąć go karą, jako zdrajcę.. I to właśnie, po długiem doświadczeniu, dało mi przekonanie, że gwałcenie tajemnic listowych jest bezużytecznem i niebezpiecznem. To co korrespondencje w sobie zawierają, nie można nigdy uważać za konspiracją, bo nikt zapewne nie konspiruje za pośrednictwem poczty; tego rodzaju pisma są najczęściej płodem głupstwa, złości lub zawiści. Ktoby chciał słyszeć wszystko to co o nim mówią choćby najlepsi jego przyjaciele, byłby bardzo nierozsądnym. Musiałby on wkrótce znienawidzieć nawet prawdziwych swoich przyjaciół. W istocie, wszyscy jesteśmy bardzo nierozważni, gdy nam o drugich wypadnie mówić. Nieraz, gdybyśmy wiedzieli co inni o nas mówią, musielibyśmy powziąć ku nim najwyższą nienawiść, gdy tymczasem po bliższem przekonaniu poznajemy, że ludzie ci mają dla nas najlepsze chęci. Czytać cudze listy, jestto brać udział w jawnej rozmowie; z tego właśnie wynikają uprzedzenia, niesprawiedliwe sądy, a to właśnie więcej złego dla nas niż dla innych przynosi. Takiem postępowaniem rządy utracają najkorzystniejsze dla siebie organa; osoby zaś prywatne najszczerszych przyjaciół w nieprzyjaciół zamieniają. Lepiej więc nie wiedzieć co o nas mówią, bo pomimo całej mocy duszy, możebyśmy słów ich nie umieli przebaczyć; najpewniejszy zaś sposób przebaczenia, jest nieświadomość zdań cudzych.

Innego dnia, biorąc do rąk niecny pamflet ogłoszony w Anglji, Napoleon przebiegając cały szereg oszczerstw nań miotanych, rzekł: Czytając co piszą o mnie moi nieprzyjaciele, możnaby uwierzyć, że z mojej winy poniósł śmierć Kleber w Egipcie, Desaix pod Marengo, że ja udusiłem Pichegru w więzieniu. Tak, Kleber, Desaix, Pichegru!.. Klebera pomimo jego wad wysoko ceniłem. Zbyt on wprawdzie oddawał się przyjemnościom, często zaniedbywał się aż do wystawienia się na niebezpieczeństwo, ale dbał o sławę oręża i na polu bitwy był pierwszorzędnym wojownikiem. Zgon jego pozbawił mnie Egiptu — i ja go miałem o śmierć przyprawić!.. Desaix, był to anioł nie człowiek; on mnie najbardziej kochał i ja wzajemnie takież dlań miałem przywiązanie. Jego przybycie pod Marengo przechyliło zwycięztwo; miałżebym więc czyhać na jego życie w chwili oddania mi usług będących zapowiednią tylu innych w przyszłości?.. Pichegru był jednym z najzdolniejszych jenerałów Rzeczypospolitej. Był on moim nauczycielem w Brienne; dla niego żywiłem w sercu tyle miłych wspomnień, że nie podobna mi było

oprzeć się uczuciu litości nad jego losem. A przecież on na czele swego wojska dopuścił się czynu zbrodniczego, o który oskarżył go Moreau. Nieszczęśliwy! złe jakie sam sobie wyrządził, było tak znaczne, że nie potrzebowałem brzemienia jego powiększać; zniweczywszy przeto swoją sławę, wolał sam targnąć się na swoje życie. Zginęliż ci trzej z mojej ręki!.. W tej potwarzy mieści się zarazem złość i głupota. Złośliwość jestto namiętność graniczącą z głupstwem. Człowiek w wieku młodości, dumny, porywczy, miota się i oburza na każde oszczerstwo; z czasem atoli pragnie tylko jednej rzeczy, to jest, aby potwarz przekroczyła wszelkie granice, bo wtedy ona sama karci i usprawiedliwia! Napoleon przebiegał kolejno czyny czerniące jego życie, a szczególnie owo mniemane otrucie zapowietrzonych w Jaffie, i każdy stawiał w rzeczywistem świetle prawdy. Co się tycze wypadku w Jaffie Napoleon tłomaczył się, że będąc zmuszony cofać się, a nie mogąc, bez udzielenia zarazy, zabrać z sobą około 20 osób zaopatrzonych, którym Arabowie bez wątpienia poucinaliby głowy, rzekł do Desgenettes'a, że większą może wyrządziłoby się im przysługę zadając im opium, na co ten trafnie odrzekł, że *powołaniem jego jest leczyć, a nie zabijać*. Dodał jednak, że prawie wszyscy wymarli przed ruszeniem obozu, że najwięcej pięciu lub sześciu pozostało, niegodne zaś te potwarcze słowa rozsiewał dozorca chorych wypędzony z armji za dopuszczenie się malweracji leków.

Napoleon z spokojem pełnym powagi i z właściwą dumu przyjmował te oszczerstwa. Jedyny przedmiot o jakim z mniejszą mówił spokojnością była katastrofa w Vincennes. Mniej on mówił o tym wypadku, jednakże widać było, iż się zżymał na samo o nim wspomnienie. Książęta Bourbon, mówił, czyhali na moje życie i nie ma wątpliwości, przynajmniej dla tych co czytali proces Georges'a, że wielu z nich knuli nawet tajemne zamiary spełnienia zabójstwa na mojej osobie. Książę d'Enghien zatrzymawszy się o milę od granicy, czekał tylko na rozpoczęcie kroków nieprzyjacielskich, by podnieść oręż na Francją; podług wszelkich więc zasad i praw wart był wymierzonej nań kary. *I we mnie płynie krew nie woda*, miałem więc prawo bronić się przeciwko tym, którzy ją przelać chcieli, zwłaszcza gdy w mojej osobie broniłem Francji, jej spokoju, pomyślności i chwały. Dotknąłem go więc przykładną karą, bo miałem za sobą prawo i tak zawsze gotów byłbym postąpić.

Mówiąc o tem z uniesieniem, Napoleon nie mógł ukryć zgryzot swego sumienia. Bronił się, ale zapomniał, że obrona powinna mieć swą zasadę w prawie, że książę d'Enghien ujęty był na obcem territo-

rium, że był porwany i gwałtem przewieziony na ziemię francuzką, że nareszcie w osobie jego dwukrotnie pogwałcono prawo: raz w formach przyjętych przez sąd na niego złożony, powtóre, w bezzwłocznem wykonaniu wyroku. Gdyby nawet prawo nakazywało spełnić nad nieprzyjacielem wyrok słuszny, to wtedy należało Napoleonowi poradzić się polityki, która w wielu razach zaleca pobłażliwość, bo tam gdzie idzie o przelanie krwi ludzkiej, tam potrzebna jest nietylko prawność ale i konieczność. Tymczasem śmierć księcia d'Enghien, nietylko że nie posłużyła na dobre rządowi pierwszego konsula, ale nawet była błędem, który go wasnił z Europą, czynami tak nieusprawiedliwionego gwałtu. Zresztą w podobnych wypadkach, poszanowanie osób jest wielkiej wagi i zwycięzca z pod Rivoli powinien był uszanować potomka zwycięzcy z pod Rocray.

Pomijając szybko ten przedmiot, Napoleon lubił obejmować całość swego panowania, a wtedy zwracając myśl na dzieje świata i dzieje założycieli dynastji, znajdował, że nie było monarchów nad niego niewinniejszych. W istocie, nie ma w dziejach świata króla, na którymby mniej jak na Napoleonie ciążyło zarzutów, zwłaszcza co do środków używanych w celu usunięcia krewnych i spółzawodników; i oprócz pola bitew, na których krew lała się obficie, nikt mniej dla widoków osobistych jej nie przelał, co zawdzięczać należy charakterowi Napoleona i ówczesnym obyczajom. Porównywając się z Kromwelem, Napoleon mawiał: objąłem tron opróżniony, wszelako nie przyczyniłem się do jego opróżnienia. Dostąpiłem go niesiony zapałem i wdzięcznością moich spółczesnych. Zdanie to miało za sobą wszelką prawdę. A przecież, z owego tronu otoczonego tysiącami hołdów i uwielbień, Napoleon spadł, a upadek jego tyle co wyniesienie narobił rozgłosu. Zaiste, zdrada której istnienia sam zaprzeczał, nie mogła być powodem upadku; przyczyn jego należy szukać w własnych jego błędach, które sam wyznawał, szczerze je lub pozornie usprawiedliwiał, a to stosownie, jak wyznanie ich mniej czy więcej dumę jego dotykało.

Zwracając rozmowę na przyczyny upadku cesarstwa w r. 1814, sześć następujących naznaczaliśmy temu przyczyn:

Pierwsza, że w r. 1803 Napoleon wyszedł z granic silnej a umiarkowanej polityki konsulatu, zerwał pokój w Amiens zawarty i rzucił się na Anglją do której trudno było się dostać;

Druga, że upokorzywszy państwa stałego lądu w trzech bitwach pod Austerlitz, Jena, Friedland, nie zwrócił się w r. 1807 do polityki umiarkowanej, i zamiast złączyć się z mocarstwami europejskiemi

przeciw Anglji, starał się owszem o zaprowadzenie monarchji uniwersalnej;

Trzecia, że nadzieje zaprowadzenia tej monarchji oparł na pokoju Tylżyckim i na interessownem spółdziałaniu Rossji, z którą zgoda wtedy tylko mogła być trwałą, gdyby jej pozostawiono Konstantynopol;

Czwarta, że się zapuścił w Hiszpanją, tę bezdenną przepaść i w niej strawił wszystkie nasze siły;

Piąta, że niepowodując się przezornością, szukał rozwiązania wojny w Rossji, co sprowadziło nieszczęsną katastrofę w Moskwie;

Szósta na koniec a najsmutniejsza, że po odniesioném zwycięztwie pod Lützen i Bautzen, nie przyjął ofiarowanego pokoju w Pradze, który byłby zapewnił Francji większe posiadłości, niż ówczesna polityka dozwalała osiągnąć.

Zbytecznem byłoby nadmieniać, że Napoleon w chwilach ciężkiej i nudnej swej niewoli, nie przeprowadzał metodycznie ustępów swego panowania, tak jak my powyżej to przywiedliśmy, ale raczej dotykał je urywkowo, jak z toku rozmowy wypadało. W rozmowach więc swych zaczepiał o jeden lub drugi przedmiot, starając się tém więcéj usprawiedliwić, im mniej przedmiot zasługiwał na usprawiedliwienie.

Mówiąc o swej porywczości względom Anglji i o zerwaniu pokoju w Amiens, nadmieniał, że słynna scena z lordem Whitworth była przesadzoną, odmowa zaś ministeryum angielskiego ustąpienia z wyspy Malty, była nie do zniesienia; w tym razie Napoleon zapominał, że takiem postępowaniem sam uczynił położenie groźniejszem, z którego Anglicy nie omieszkali skorzystać, by zostać przy posiadaniu Malty. Zapewniał, że zamiar wylądowania był stale powzięty i gdyby nie błąd jednego admirała, byłby odniósł tryumf nad Anglią. Zaiste, rzeczą jest niezaprzeczoną, że nigdy głębszych i na większą skalę nie obmyślano planów, i gdyby admirał Villeneuve wypłynął był za La Manche, sto piędziesiąt tysięcy francuzów byłoby się dostało za ciaśninę. I coby się było stało, gdyby Napoleon wygrawszy w Anglji bitwę jak pod Austerlitz, owładnął Londyn, tak jak to później udało mu się zrobić z Wiedniem i Berlinem? Czy dumna arystokracja angielska schyliłaby czoła pod tym straszliwym ciosem, czyli też zechciałaby dalej prowadzić walkę z zwycięzcą, więźniem, że tak powiem, wśród własnych swych podboi? Trudno to odgadnąć; była to wszakże straszliwa igraszka z swoją i Francji wielkością!

Co się tycze monarchji powszechnej, którą, nie mogąc podołać Anglji, chciał na lądzie stałym zaprowadzić, Napoleon nie mógł tu ważnych na swe usprawiedliwienie stawić dowodów. Zdaniem jego, pragnął jej, lecz monarchia ta miała być tylko czasową; byłaby to dyktatura na ze-

wnątrz, na podobieństwo powierzonej mu dyktatury we Francji, którą z czasem złożył. Wprawdzie jeżeli Francja w r. 1800 potrzebowała silnego ramienia, Europa nie znajdowała się w tejże konieczności. Usilném jej dążeniem było właśnie zasłonić się przed nieograniczoną dumą i ambicją nowego władzcy Francji; oddać więc w jego ręce dyktaturę Europy, czego właśnie wszyscy lękali się, byłoby toż samo, co chcieć wyleczyć chorobę złém, z którego ta choroba powstała. Błędną więc była polityka dążąca do rozciągnienia dyktatury na zewnątrz, jeżeli wewnątrz Francji była ona konieczną. W każdym zresztą razie należało ją uczynić znośną i czynami przekonać ludy, że ta silna władza dąży do ich dobra, nie do nieszczęść, jakiemi przytłoczone wszystkie narody ujrzały się w konieczności powstać w r. 1813, by zwalczyć tę gniotącą ich dyktaturę europejską.

Mówiąc jeszcze o tej urojonej monarchji powszechnej, Napoleon usprawiedliwiał się, że był zewsząd od innych nagabany; zmuszony więc bronić się, prawie mimowolnie stał się panem Europy. Fałszywe to zdanie powtarzają często wielbiciele jego pamięci i systemu. Prawda, że państwa europejskie, jęcząc pod naciskiem, oczekiwały tylko chwili do zrzucania z siebie tego jarzma, lecz ta skwapliwość do wojny tłomaczy się właśnie doznawanem uciskiem. Zresztą, po pokoju Tylżyckim, wszystkie kraje były tak przytłoczone, że gdyby nie wojna hiszpańska, Austrja nie poważyłaby się podnieść broni w r. 1809; po zwycięztwie zaś pod Wagram, gdyby Napoleon nie wystąpił do boju z Rossją, nikt nie śmiałby rozpocząć z nim walki.

Więcej szczerości objawiał Napoleon w przedmiocie trzeciego swego błędu, to jest wojny z Hiszpanją. — Wojna hiszpańska, mówił, przyniosła ujmę moralności moich rządów, rozdzieliła i zużyła moje siły.— Tę prawdę on sam tylko mógł wyrzec. Wypadki w Bajonie miały pozór wiarołomstwa; wojna w Hiszpanji ściągnęła wojska na południe w chwili, kiedy one potrzebne były na północy; rozdział sił musiał je zużyć w zaciętej walce. Lecz zkądże Napoleon tak szczerym był w uznaniu tego błędu, nie będąc nim w innych? Pochodziło to może z oczywistości błędu lub ze sposobu w jaki starał się go wytłomaczyć. — Założywszy, mówił, *czwartą dynastję* we Francji, nie mogłem znieść w Hiszpanji Bourbonów, którzy z samego położenia swego musieli być zawsze spólnikami Anglji. – To dowodzenie miałoby za sobą pewną wagę. Gdyby zbrojnem wystąpieniem Napoleon nie był przyśpieszył rozwiązania tej kwestji, a oczekiwał go w samej nieudolności Bourbonów i w ogromnej swej w Hiszpanji popularności, byłby niezawodnie oba trony pod swą moc zagarnął. Błąd więc wynikł tu z niecierpliwości, a to po-

zorne usprawiedliwienie wojny hiszpańskiej, nie tłomaczyło go lepiej od innych dowodzeń, któremi chciał osłonić usterki swojej polityki.

W roztrząsaniu błędu co do wojny z Rossją, Napoleon szczególne uczynił wyznanie. — W istocie, rzekł, cesarz Aleksander nie pragnął wojny, ja również do niej nie dążyłem; a spotkawszy się na Niemnie, byliśmy jak dwaj zapaśnicy, oczekujący aby ktokolwiek się wdał i ich rozbroił. Lecz nie miałem wtedy dobrego ministra spraw zagranicznych. Gdybym miał takiego Talleryanda, nigdy nie byłoby przyszło do wojny z Rossją. — W tej mierze Napoleon miał słuszność, a wyznanie jego powinno być nauką dla ministrów, którzy widząc swego monarchę dążącego nad przepaść, nie mają dość odwagi, by go zatrzymać.

Zastanawiając się nad samą kampanją, Napoleon przypisywał niepomyślne jej rozwiązanie, spaleniu Moskwy. — W Moskwie, mówił, były zapasy żywności wystarczające na wyżywienie armji przynajmniej przez pół roku. Gdybym był tam przezimował, byłbym jak ten okręt ściśnięty lodami, który dopiero za powrotem dogrzewającego słońca odzyskuje swobodne ruchy. Bez szwanku więc doczekałbym się wiosny a choćby Rossjanie przez ten czas wzmocnili się, i ja byłbym również otrzymał posiłki, i jak w r. 1807 po niepomyślnej bitwie pod Eylau w Lutym, odniosłem zwycięztwo pod Friedlandem w Czerwcu, tak i tu za powrotem przyjaznej pory roku odniósłbym korzyści i ukończył kampanją w 1812 r. tak szczęśliwie, jak w r. 1806. — Dowodzenia te w części tylko miały za sobą słuszność; bo jeżeli piechota mogła przeżyć w Moskwie, jazda i artylerja nie znalazłaby tam odpowiednich zapasów żywności, i jeżeli w r. 1807 posiłki mogły nadciągnąć do Osterode, nie tak łatwo byłoby doprowadzić je do Moskwy; zresztą, armja z r. 1812 nie miała już tej siły i spójni, co wojsko w roku 1807.

Co się tyczé ostatniego z ważnych błędów jego panowania, to jest odrzucenia pokoju pragskiego, Napoleon nie powiedział nic coby miało za sobą choć pozór słuszności. Powtarzał tę oklepaną przyczynę, że Austrja nie działała z dobrą wiarą, że nakłaniając się pozornie do traktowania o pokój w Pradze, jednoczyła się już potajemnie z mocarstwami sprzymierzonemi. Fałszywe to twierdzenie zbijają najautentyczniejsze dowody. Gdyby nawet Austrja nie postępowała z dobrą wiarą w Pradze, to i tu Napoleon miał sposób wejść z nią na drogę zgody, to jest, zagarnąwszy Westfalją, Holandją, Piemont, Florencją, Rzym i Neapol, czyli dwa razy więcéj niż Francja żądała, mógł oddać tylko Lubekę, Hamburg, Sycylją i utraconą już Hiszpanją. Gdyby po podpisa-

niu tych warunków nie dotrzymano słowa, wtedy przeświadczona o wiarołomstwie Francja miałaby całą za sobą słuszność. Tego przedmiotu Napoleon niechętnie dotykał; w tym razie bowiem wielce się omylił sądząc, że Austrja taką jest przejęta trwogą, iż nigdy nie ośmieli się broń przeciw niemu podnieść. Dla usunięcia czynionych mu ztąd zarzutów, przytaczał, że małżeństwo zgubiło go, dając mu fałszywe zaufanie w Austrji, lubo ks. Metternich powtarzał Napoleonowi, że w radzie państwa małżeństwo z Marją Ludwiką miało pewną lecz dość ograniczoną wagę, i że ono nie będzie przeszkodą w wypowiedzeniu mu wojny, w razie nie przyjęcia proponowanych układów w Pradze, które miały za sobą tę tylko złą stroną, że były zbyt ponętne dla Francji.

W taki sposób roztrząsał Napoleon wypadki swego panowania. Jak widzimy, roztrząsał je szczerze, bez uprzedzeń, o ile jego miłość własna zezwalała; niekiedy tylko bronił się sofizmatami; znał przecież swe błędy, lubo o tem nie mówił, wiedząc, że ogrom jego sławy nie zachwieje imienia jego w przyszłości, tak jak je otoczył blaskiem w wieku spółczesnym.

Chętniej i z większą szczerością Napoleona wyjaśniał niektóre ustępy wewnętrznych jego rządów cesarstwa. Na tem polu ukazywał się jako wielki organizator, który dostawszy w r. 1800 dawny ustrój młotem rewolucji rozbity, nową społeczność z szczątków jego ulepił. Tu nie trzeba było wielu dowodów aby przekonać, dla czego ówczesny władzca Francji usiłował spoić w jedno, rozdzielone warstwy jej mieszkańców, dla czego przywrócił dawną szlachtę, podniósł stan miejski i tym sposobem przedstawił Europie naród silny, odmłodzony i godny wejścia z nią w nowe stosunki. Wszelako taką przedstawiając Francję dla wejścia z Europą w związki pokojowe, błędem było Europę ciągłym przerażać strachem. O tem wszystkiem rozprawiał jako mądry prawodawca, filozof i polityk, a jeżeli niektórzy z jego słuchaczy wygnańców zarzucali mu błąd otaczania się dawną szlachtą, która go później zdradziła, Napoleon zarzut ten odpierał temi słowy: Dwóch tylko ludzi najwięcej do upadku mego przyczyniło się: Marmont w 1814 r., pozbawieniem mnie sił, któremi mogłem zniszczyć koalicję w Paryżu; i Fouché w 1815 r. podburzeniem izb. Jeżeli więc miałem zdrajców, to tylko tych dwóch! Czyż oni należeli do dawnej szlachty?...

Z przyjemnością rozwodził się Napoleon nad tem wszystkiem, co administracją Francji postawiło na stopie silnej, uczciwej, jasnej działalności. Chętnie więc przypominał o budowie dróg, kanałów, portów, pomników, o pracach nad napisaniem kodeksu cywilnego, którego zasługę przyznawał w znacznej części Tronchet'owi, o swojem przez czas

długi przewodniczeniu w radzie stanu, gdzie panowała swoboda dyskusji, gdzie często napotykał silny opór. Bo jakkolwiek, mówił, w ludziach objawia się dworactwo, mają oni przecież swoją miłość własną; widziałem np. radzców stanu, nawet zwykłych referendarzy, upornie przy zdaniu swem obstających, a to dało mi przekonanie, że dość jest zgromadzić ludzi w zamiarze zgłębienia ważnych jakich okoliczności, aby w nich rozniecić pożyteczną dla administracji swobodę myśli.

Napoleon przyznawał, że nie był monarchą liberalnym, lecz za to w całem znaczeniu cywilizatorem, i że jako dyktator, nie mógł nadawać swobód, tylko drogę do nich przysposabiać. Nie zaprzeczał, że w 1815 r. sprobował obszerniejszą zaprowadzić wolność; tego atoli przedmiotu mało dotykał, jakby się wstydził prób tak niepomyślnie rozwiązanych. W tym razie wyrażał się o izbach jako głęboki znawca i doznane zawody przypisywał więcej nowości swobód izbom nadanych, niż błędom z zasady wypływającym. Wszelkie zgromadzenia narodowe, mówił, tak jak wojsko potrzebują dowódzców; ta tylko tu zachodzi różnica, że wojsko przyjmuje dowódzcę jakiego mu dadzą, izby zaś same go wybierają. Izba reprezentantów w 1815 roku, pospiesznie przy dolatującym odgłosie dział zebrana, nie miała czasu znaleść swoich przewódzców.

W każdym razie Napoleon starał się dowieść, że całe jego panowanie było tylko ciągiem projektów i szkiców, których nigdy nie miał czasu do skutku doprowadzić. Wtedy to zapuszczając się w marzenia, lubił kreślić obrazy, co byłby mógł zdziałać, gdyby Europa dozwoliła mu trwałym odetchnąć pokojem. (Taki pokój odepchnął Napoleon w 1815 r., a pragnął go w 1815, kiedy pozyskanie go było już niemożliwem.) Wtedy byłbym przypuścił moich poddanych do udziału w rządzie, zaprowadziłbym rzeczywistą swobodę w zgromadzeniach narodowych, słuchałbym ich rozpraw, nie oburzał się oppozycją i nie czekając na ich zwołanie, sambym szedł do nich. Własnemi końmi podróżowałbym po Francji, z cesarzową i moim synem. To dałoby mi sposobność przypatrzenia się wszystkiemu z bliska, wysłuchania zażaleń, wynagrodzenia krzywd, poznania ludzi, i też same ręce, które rozsiewały nieszczęścia wojen, byłyby rozdzielały dobro, jakie pokój przynosi. Tak spędziłbym wiek jako ojciec ludu, który o ile sławił Napoleona w wojnie, o tyle teraz błogosławiłby go w pokoju, patrząc z bliska na monarchę, *który jak niegdyś Merowingowie, jeździłby po kraju wozem w woły zaprzężonym.*

Takie były marzenia tego wielkiego męża, które przywodzimy jedynie dla dania nauki, że nie trzeba odkładać czynienia dobrze na czas późniejszy, bo chwila ubiegła już nie wraca. Tak upływały te więzienne

wieczory; a gdy Napoleon spostrzegł że pora spóźniona, wtedy z radością wołał: *północ, północ! jakaż zdobycz czasu!*... tego czasu, którego nigdy dość nie miał, a dziś go miał za wiele!

O ile pierwsza połowa 1816 r. przeszła na niemiłych zajściach i kłopotach, o tyle druga poświęcona była wyłącznie pracom historycznym. Najwięcej czasu poświęcał Napoleon p. Las Cases'owi, albowiem kampanje włoskie, przypominające mu pierwsze chwile jego powodzeń, silnym ożywiały go zapałem; a jakkolwiek pracował z marszałkiem Bertrand'em nad opisem wyprawy egipskiej, a z jenerałem Gourgaud nad kampanją z 1815 r., Włochy zawsze miały pierwszeństwo. Nieraz, dla przywiedzenia dat i niektórych szczegółów, Napoleon pragnął mieć *Monitora*, w braku więc tego dziennika posługiwał się książką *Annual register*. Zresztą, pamięć rzadko go zawodziła i nigdy prawie nie potrzebował sprawdzać swych wspomnień. Las Cases zmuszony podążać piórem za prądem słów Napoleona, musiał pisać skróceniami, co następnie w nocy przepisywali. Nazajutrz przynosił kopią, którą Napoleon własną ręką poprawiał. Praca ta szkodliwie na wzrok p. Las Cases'a oddziaływająca, zniewoliła go wyręczać się synem, który pomagał w chwytaniu w lot rączych myśli znakomitego historyka. Do tej pracy Napoleon przydał sobie inną. Znajdując się nieraz w trudném położeniu z powodu nieznajomości języka angielskiego, postanowił uczyć się go od Las Cases'a. Lecz potężny genjusz, który pamięć rzeczy w tak wysokim posiadał stopniu, nie mógł spamiętać wyrazow, ztąd nauka języków z trudnością mu przychodziła. Mimo to gorliwie wziął się do pracy, i zaczął czytać po angielsku, lubo rozmowa w tym języku szła mu z trudnością. Tak rozmaite zatrudnienia wymagały częstej obecności Las Cases'a przy Napoleonie, co obudzało zazdrość w tej szczupłej osadzie, których serca niedola zbliżyć była powinna. Jenerał Gourgaud, obok tylu dowodów przywiązania do osoby Napoleona, swą nadmierną dumą i ciągłą zazdrością, rzucał cień na dobrą stronę swego serca. Nie odstępując Napoleona w jego ostatnich kampanjach, przypisywał sobie wyłączne prawo w opisie wojen, i nie mógł ścierpieć, że Las Cases jest tu głównym powiernikiem jego pana. Każdy tu wszakże miał swoją kolej, dobiegłszy więc do końca cesarstwa, które Gourgaud znał najlepiej, przywilej długich poufnych zwierzeń, jemu miał się dostać. Mimo to, Gourgaud zarówno burzliwy jak odważny, nie umiał nad sobą panować, i w tém szczupłém kółku, w którém najmniejsze niesnaski dotkliwie wydatniały, do częstych starć dawał powód. Taki brak harmonji pomiędzy swoimi powiększał przykrości Napoleona. Często też starał się uspokajać te burzliwe, jakkolwiek przed nim ukrywane zajścia, powagą swoją hamował uniesienia Gougaurd'a i goił zadane

rany uczuciom Las Cases'a, człowieka skrytego i nieco ponurego charakteru. — Jakto, mówił, nie dość że mamy jeszcze kłopotów? trzebaż je własnemi dziwactwami pomnażać? Jeżeli wzgląd na wzajemne dla siebie obowiązki jest niewystarczającym, pomnijcież przynajmniej na mnie... Nie widzicież, że wasze niesnaski zwiększają brzemię mojej niedoli?... Powróciwszy do Europy co wkrótce może nastąpić, bo lata moje są policzone, zyskacie sławę z poświęcenia się na wspólny ze mną pobyt na tej skale. Wtedy zapewne nie przyznacie się, żeście tu żyli w wzajemnej nieprzyjaźni, nazywać się będziecie *braćmi z św. Heleny*, udawać będziecie zgodę i jedność; dla własnej więc godności, dla spokoju i osłody mego ciężkiego pobytu, postępujcie tak, jak tam kiedyś będziecie musieli postępować.

Biedni ci wygnańcy, pomimo podejrzliwości jaką osoby ich wzbudzały, pod różnemi pozorami chodzili do miasta, a głównie dla zasięgnienia jakichkolwiek wiadomości. Zwykle udawali się tam konno pod strażą, której oddawali konie do pilnowania, sami zaś używali chwili swobody dla utrzymania choć dalekich stosunków z Europą. Właściciel kolonji w Briars, a zarazem dostawca w Longwood, był nieraz pośrednikiem w przesyłaniu ich niewinnych listów, bo jedynie utrzymanie rodzinnych stosunków na celu mających; najwystępniejszemi zaś były te korrespondencje, w których oddawali pod opinją europejską srogie postępowanie rządu brytańskiego. Trzeba było wszakże mieć się na baczności, aby nie wzbudzić podejrzenia w nieufnym sir Hudsonie Lowe. Tymczasem Las Cases odprawiając jednego ze służbowych do Europy, powierzył mu długi opis doznawanych na wyspie cierpień, który, dla łatwiejszego ukrycia, wypisał na kawałku jedwabnej materji. Lecz czyto w skutku zdrady tego człowieka, czy ściślej około niego rewizji, pismo zostało odkryte. Las Cases zawsze nielubiany od Hudsona Lowe, stosownie do przepisów, skazany został na opuszczenie św. Heleny. Oddział żandarmów zabrał go wraz z synem i obu zaprowadził do James-Town. Gubernator oświadczył, że za naruszenie przepisu wzbraniającego potajemnych listowań, przewieziony będzie do Przylądka Dobrej Nadziei, a ztamtąd do Europy. Nie było co spierać się z tym wszechwładnym panem; musiał więc poddać się swemu losowi. Przetrząsając papiery Las Cases'a, znaleziono w nich dziennik poufnych jego rozmów z Napoleonem i rękopism kampanji włoskich. Jeden i drugi Las Cases tymczasowo zatrzymał.

Napoleon mocno był oburzony tém pogwałceniem jego mieszkania, i porwaniem człowieka tak dlań potrzebnego. Żądał oddania rękopismu kampanji włoskich, który mu też został zwrócony i powstawał z gory-

czą za zabranie Las Cases'a, za postępek tak naturalny, za niewinną skargę na doznawane cierpienia, bo zresztą zabrana korrespondencja nie zdradzała najmniejszego zamiaru ucieczki. Ponieważ żaden statek nie był gotów do wyjścia pod żagle, Las Cases trzymany był na wyspie i że tak powiem ukryty, nie mógł bowiem wchodzić w żadne stosunki z Longwood. Hudson Lowe miał więc czas namyśleć się i nabrać obawy, aby powrót Las Cases'a do Europy nie pociągnął za sobą dla niego i ministrów angielskich gorszych skutków niż jego obecność na wyspie św. Heleny, ujrzawszy się bowiem wolnym, nieomieszka podnieść głosu skargi, który dosięgnąć może nawet parlamentu brytańskiego. Pozwolił mu więc wrócić do Longwood, z warunkiem, że nie będzie się starał nadal prowadzić podobnych korrespondencji i skorzysta z tej lekcji jedno-miesięcznego rozdzielenia. Las Cases z swej strony czynił teżsame uwagi. Wiedział on, że większą przysługę wyświadczy Napoleonowi w Europie, niż na św. Helenie, głosząc wszędzie o srogiem z wygnańcami obchodzeniu się. Zresztą, niespokojny o zdrowie swego syna, któremu klimat podzwrotnikowy nie służył, nie chciał przyjąć udzielonej mu od gubernatora łaski. Pozwolono mu więc widzieć się z Napoleonem tylko przy świadkach, na co nie przystał, przesłał tylko usprawiedliwienie powodów swego odjazdu, jako też niektóre powierzone mu przedmioty, i wsiadł na okręt w końcu miesiąca Grudnia 1816 r. po 18 miesiącach służby przy Napoleonie, a po roku pobytu na św. Helenie.

Odjazd Las Cases'a mocno zasmucił Napoleona. Ze wszystkich towarzyszy wygnania, on jeden miał wszechstronną naukę i znajomością angielskiego języka wielkie oddawał mu przysługi; człowiek to zresztą charakteru łagodnego, lubo nieco opryskliwy. Jakkolwiek w nieprzyjęciu danego mu pozwolenia do Longwood, Napoleon dopatrywał chęci Las Cases'a powiadomienia Europy o przykrym losie wygnańców na wyspie, wiedział także, że zdrowie jego, a mianowicie jego syna, przyczyniło się wiele do tego postanowienia, pojmował więc, że jużto podejrzliwość gubernatora, już klimat lub obowiązki rodzinne zmniejszą powoli grono towarzyszących mu osób, których obecność urozmaicała straszną jego samotność. Marchand, jego kamerdyner, wprawny pisarz i lektor, roztropny, dobry do sekretu, przywiązany do swego pana, i z każdym dniem stający się bardziej przyjacielem niż sługą, Marchand miał więcej od innych sposobności słyszeć wyrywające się słowa cierpiącej duszy, jak gdyby Bogu tylko ofiarowane. Jeśli tak dalej iść będzie, rzekł Napoleon wzdychając, prócz mnie i Marchand'a nikt tu nie pozostanie. Poczem zwracając do niego mowę, rzekł: Ty będziesz mi czytał, będziesz

pisał co ja ci podyktuję, ty mi zamkniesz oczy i wrócisz do Europy, żyć na łonie dostatku jaki ci zapewniłem.

Dzień 1 Stycznia 1817 r. był dla kolonji wygnańców małém świętem rodzinném. Przyjaciele Napoleona święcąc tę zwykłą rocznicę, przyszli mu złożyć swoje życzenia, tak jak to niegdyś czynili w Tuileries, a to aby dowieść, że jakkolwiek wygnaniec, obciążony więzami, nie przestał być nigdy dla nich cesarzem Napoleonem. Wprawdzie nie była to jak w Tuileries uroczystość dumy i próżności, ale raczej święto serc uciśnionych, upokorzonych, a tém więcej szczerych im nieszczęśliwszych. Pani Bertrand i Montholon w towarzystwie swoich mężów, trzymając dzieci za ręce, jenerał Gourgaud, za nim Marchand z orszakiem domowników, którzy przybyli na św. Helenę służyć tu swemu panu, przyszli wyrazić swoje życzenia w dniu 1 Stycznia. Lecz jakież życzenia! Aby życie jego na tej skale nie było zbyt napełnione goryczą, aby mu służyło zdrowie, aby ustąpiły dolegające niekiedy fizyczne cierpienia, bo o powrocie na tron Francji, lub przynajmniej o swobodnem życiu w Ameryce, nikt nie śmiał nawet pomyśleć, a tém mniej o tém mówić. Napoleon czy to pod wpływem obudzonych dnia tego wspomnień, czy z powodu odjazdu Las Cases'a, smutniejszym był jak zwykle. Przyjął on towarzyszy swojej niedoli z oznakami niezwykłej czułości i dziękował za dany dowód przywiązania w sposób najuprzejmiejszy. Napoleon lubił dawać podarki i ze szczątków swych dostatków, jakie udało się ocalić Marchandowi, zebrał mały skarbiec, z którego od czasu do czasu czerpał, by okazać swoją wdzięczność tym, ktorzy mu jakąkolwiek wyświadczyli przysługę. Na podarki dzieciom lub ich rodzicom, dawał zawsze przedmioty stanowiące drogą pamiątkę familijną. Po takich wylaniach uczuć, przy sprzyjającej pogodzie, Napoleon zaprosił swoich przyjaciół na śniadanie pod namiotem admirała Malcolm, to jedyne jego cieniste schronienie w Longwood. Tu spędzono większą część dnia, którego pogoda, równie jak miła i serdeczna rozmowa przyjaciół, zdawały się choć chwilowo rozpraszać chmurę smutku oblicze Napoleona zaciemniającą. Mówiono o Francji, o świetnej niegdyś przeszłości, unikając obecnego położenia i może po raz pierwszy nie dotykano przyszłości, nie śmiano myślą przebijać jej zasłony, poza którą nie było nic oprócz więzienia! Wszelako jedyna jeszcze, lubo słabem światłem błyskała nadzieja, a tą było możliwa zmiana ministerstwa w Anglji. Sądząc z doniesień dziennikarskich, po uniesieniach i nienawiści z r. 1815, umysły zaczęły się uspokajać, a tém samém dawniejsza nienawiść do Francji utracała z swej gwałtowności. Ministerstwo lorda Castlereagh żywe spotkało zarzuty. Opozycja domagała się usprawiedliwienia z srogiego postępowania lorda Ba-

thurst z więźniem św. Heleny, wszystko zdawało się zapowiadać bliską zmianę gabinetu brytańskiego. Wprawdzie nie można było wróżyć, jakoby nowe ministerstwo zamierzało w innej roli postawić Napoleona, jednakże ministerstwo to mogło przynajmniej lżejszemi uczynić jego więzy, przenieść na inną wyspę, a może nawet otworzyć mu wolną Amerykę. Wszystkie te przypuszczenia na słabej opierały się podstawie, lecz jest to właściwością duszy ludzkiej, że w braku nadziei na pewnej ugruntowanej zasadzie, lubi karmić się urojeniami, bo niepodobna żyć jej bez nadziei! Po takich błogich dnia tego marzeniach, wszyscy rozeszli się z niejaką w sercu ulgą.

Rok 1817 przeszedł jeszcze smutniej niż poprzedni, i wszystko zapowiadało że tak przejdą i inne, bo w tej niewoli bez końca, w której śmierć tylko mogła być ostateczną nadzieją, smutek musiał powiększać się z dniem każdym. Przejażdżki konne, tak niezbędne dla zdrowia Napoleona, zupełnie ustały. Przestrzeń trzy lub cztero milowa, w której wolno mu było bez straży krążyć, wydawała mu się teraz tak ciasna, jak dziedziniec więzienny. Kilka razy przekroczył wyznaczony mu zakres i zboczył w nieznaną stronę wyspy; to dało powód, iż towarzyszący dawniej z daleka oficer oświadczył, iż chcąc być ścisłym w wykonaniu danych mu rozkazów, zmuszony jest odtąd zbliska mu towarzyszéć, co skłoniło Napoleona do wyrzeczenia się konnych wycieczek. Jakoż przez dwa miesiące ograniczał się tylko na krótkich pieszych przechadzkach. Dawniej przyjmował niekiedy Anglików lub Holandczyków wracających z Indyj, ile razy ci za pośrednictwem Bertranda prosili o ten zaszczyt. Sir Hudson Lowe zmienił ten zwyczaj; Napoleon widząc że gubernator zamienia Longwood w celę więzienną otwieraną jedynie ręką jej dozorcy, nikogo odtąd nie przyjmował. Takie zamknięcie się i odosobnienie od reszty świata, zwłaszcza od czasu wyjazdu Las Cases'a, pozbawiające go wszelkiej rozrywki, wprawiło dostojnego więźnia w pewien rodzaj moralnej bezwładności, która wraz z wzrastającém cierpieniem fizycznem musiała najniekorzystniej na zdrowie jego oddziałać.

W tym czasie przybyli na wyspę św. Heleny trzej komisarze mocarstw sprzymierzonych, przeznaczani do czuwania wraz z Hudsonem Lowe nad powierzonym im więźniem; mocarstwa bowiem te, na mocy zawartego pomiędzy sobą układu, potwierdziwszy dotychczasowe postąpienie Anglji, poruczyły jej dalszą opiekę nad Napoleonem, z warunkiem, że komisarze z ich ramienia wyznaczeni czuwać będą wspólnie nad bezpieczeństwem osoby więźnia i sposobu z nim obchodzenia się. Prusy ufając Anglji co do strzeżenia powierzonego jej dawnego ich nieprzyjaciela, nikogo nie przysłały. Rossja, Austrja i Francja wyznaczyły swoich ko-

misarzy. Delegowani ci, osiadłszy na bezludnej wyspie pokładali jedyną nadzieję rozrywki w rozmowie z dostojnym więźniem. Wysłaniec francuzki, p. Montchénu, stary zapamiętały rojalista, lubo w gruncie nie zły człowiek, powtarzał, że obrzydła rewolucja francuzka była dziełem wyższych umysłów, że przewódzca jej Napoleon, był zdolniejszym od nich wszystkich, że to był szatan, którego należało w żelaznej zamknąć klatce. Nie objawiał on żadnej chęci widywania Napoleona, chciał atoli mieć jak najczęstsze przekonanie o jego obecności na wyspie. P. Stürmer, komisarz austrjacki, zostający w usługach jednego z najciekawszych mężów stanu, księcia Metternicha, pragnął zabawiać swego zwierzchnika opowiadaniem i donoszeniem mu szczegółów zajmujących. Komisarz rosyjski p. Balmain otrzymał polecenie czuwać nad więźniem, nie dopuszczając przykrego z nim obchodzenia się. Pragnął on także widywać Napoleona, nie tak wszakże usilnie jak dwaj jego koledzy i nieraz żartował z niespokojności francuza i niepohamowanej ciekawości austrjaka.

Oczekiwania tych trzech komisarzy doznały zawodu za przybyciem ich na św. Helenę. Gdy Hudson Lowe zawiadomił w Longwood o przyjeździe tych trzech osób uwierzytelnionych traktatem z dnia 2 Sierpnia 1815 r., Napoleon przyjęcia ich w tym charakterze stanowczo odmówił. Niepokonany w swym uporze w szczęściu czy niedoli, nie chciał zboczyć od raz przyjętej zasady dającej mu przekonanie, że ponieważ powierzył się dobrowolnie Anglji, sprzymierzeni więc nie mieli żadnego prawa uważać go za więźnia. Z tych przeto pobudek oświadczył, że o ile gotów jest przyjąć tych panów jako osoby prywatne, o tyle nie dozwoli wprowadzenia ich jako umocowanych traktatem z dnia 2 Sierpnia. Żałować należy, że Napoleon tak wiernie trzymał się raz położonej zasady, gdyż pomimo rozrywki jakąby mógł znaleść w towarzystwie komisarzy, mógłby przynajmniej za ich pośrednictwem zawiadomić Wiedeń i Petersburg o niektórych szczegółach swej niewoli, które prawdopodobnie wywołałyby uczucie wstydu na twarzy cesarza Franciszka i wzruszyły dobre serce cesarza Aleksandra. Korzystając z tak postawionych przez Napoleona trudności, sir Hudson Lowe oświadczył trzem komisarzom, iż inaczej jak zgodnie z brzmieniem traktatu nie mogą przedstawić się w Longwood. Zdania tego nie podzielali komisarze, którzy mało ważąc tytuł, pragnęli być dopuszczonymi do Napoleona, tak dla przekonania się o jego obecności, jak dla towarzystwa od wszystkich upragnionego. Wszelako, gubernator obawiając się mieszania się komisarzy w rzeczy dotyczące sposobu dozorowania i obchodzenia się z więźniami, nie chciał przystać na żadne ustępstwa, i delegowani mieszkali na wyspie nie mogąc dostać się do Long-

wood. Niekiedy przejeżdżali konno w około siedziby Napoleona, stawali na ścieżkach na których spodziewali się go ujrzeć, przypatrywali mu się z daleka, lub przestawali na wiadomościach od przechodniów otrzymywanych. Takie wiadomości zasięgali również od towarzyszów Napoleona, z którymi, jak z marszałkiem Bertrand, jenerałami Montholon i Gourgaud starali się poznajomić. W tym celu przyjmowali ich u siebie lub udawali się do Hutts-Gate dla odwiedzenia pani Bertrand. Tak upewniając się o obecności dostojnego więźnia, mimowolnie udzielali wiadomości w ich przekonaniu małej wagi, a które jednakże miały wysokie znaczenie dla nieszczęśliwych wygnańców osadzonych na pustej wyspie, o 2000 mil fr. od ich ojczyzny oddalonej. Jenerał Montholon, najzręczniejszy z pomiędzy mieszkańców Longwood, umiał rozmawiać z komisarzami i wydobyć z nich niektóre zajmujące szczegóły. Nieraz dla pociechy swego nieszczęśliwego pana i dla podtrzymania w nim gasnącej nadziei donosił mu, że komisarz rossyjski zawiadomił cesarza Aleksandra o niewłaściwém obejściu, że umysły Anglików żywo powstawały na gabinet Castlereagh'a, ze zmianą zatem ministerstwa spodziewać się można, jeżeli nie wypuszczenia Napoleona na wolność i dozwolenia mu żyć w Ameryce, to przynajmniej zmiany miejsca jego pobytu.

Wypadek nastręczył Napoleonowi sposobność utrzymania jakichkolwiek stosunków z Europą, a to przez przydanie mu doktora O'Meara. Napoleon opuszczając Francję nie miał przy sobie lekarza; dopiero na pokładzie Bellerophonu poznał człowieka, którego zarazem upodobał. Był to doktór O'Meara, zdolny, światły i nie tak upornie przy swoich praktykach lekarskich obstający, jak jego angielscy spółkoledzy. Napoleon pod względem medycyny, wierzył tylko znakomitemu Corvisart'owi, którego temi słowy określał: *doświadczenie obok wyższości umysłu.* W ogóle więc nie przyjmował żadnych lekarstw, a stanowczo odpychał leki podawane mu przez lekarzy angielskich. Słuchał jednakże doktora O'Meara, dodanego na jego usługi, żartował wprawdzie z jego przepisów, lecz lubił z nim rozmawiać po włosku lub po francuzku w rozmaitych przedmiotach, lub wysyłał go po nowiny do James-Town. Sir Hudson Lowe zezwolił, aby doktór O'Meara, w charakterze anglika, zostawał przy Napoleonie, nie ulegając tymże co inni mieszkańcy Longwood ścieśnieniom, uważał go bowiem nie zdolnym do dopuszczenia się jakiejkolwiek względem swego rządu zdrady, (co tak też było rzeczywiście), grzeczności zaś jakie mógł wyświadczać Napoleonowi nie pociągały za sobą żadnego niebezpieczeństwa. Zręcznie więc postępując w tak drażliwém położeniu, wywiązywał się z swego zadania nikogo nie zdradzając. Napoleonowi wyświadczał bardzo niewinne usługi, przynosząc niektóre wiadomości z Eu-

ropy, gubernatorowi składał codzienne raporta co do obecności Napoleona, czego właśnie oficer służbowy w Longwood nie zawsze mógł sprawdzić, nareszcie umiał się podobać i księciu rejentowi w Londynie przesyłaniem zajmujących szczegółów o Napoleonie, które nie nosząc w sobie cechy fałszu lub przeniewierzenia, ciekawość jego zaspokajały.

Z niektórych punktów płaskowzgórza Longwood, w dali ukazywała się przestrzeń morza; każdy więc dostrzeżony żagiel budził ciekawość, jaki i zkąd ten okręt przybywa, kto na nim może się znajdować, jakie przedmioty znajdują się w jego ładunku. Zaraz też wysyłano doktora O'Meara do James-Town, zkąd przynosił gazety, a czasem nawet listy uszłe przed czujnością Hudsona Lowe. Tym sposobem Napoleon otrzymywał wiadomości przynoszące niejaką osłodę w jego niedoli. Taką drogą dowiedział się o uwolnieniu Drouot'a, o ucieczce Lavallette'a, co mu niewymowną sprawiło radość, i o sławném postanowieniu z dnia 5 Września, utwierdzającém go w przekonaniu, że stronnictwo gwałtu zostanie wkrótce pokonaném w całej Europie. Niektóre listy otrzymane od familji żywo go także wzruszyły. W nich to wyczytał, że syn jego zdrowo się chowa, inne zawiadamiały, że jego matka, siostra Paulina i bracia pragnęli z nim złączyć się na wyspie św Heleny, i oddawały cały swój majątek pod jego rozporządzenie. Napoleon lubo wzruszony ich ofiarą, przyjęcia jej wszakże odmówił. Uważając się za więźnia na śmierć skazanego, nie mógł znieść myśli, aby jego matka i siostra razem z nim wstępowały na rusztowanie. Wiedząc nadto, że oprócz matki i kardynała Fesch, reszta jego rodzeństwa miała zaledwie środki do utrzymania się niezbędne, obok owych 4 czy 5 miljonach franków potajemnie u bankiera Lafitte złożonych, nie chciał bynajmniej stać się dla nich ciężarem. Zresztą, nie miał nawet potrzeby uciekać się do tego depozytu, gdyż Hudson Lowe po owych sprzeczkach co do zmniejszenia wydatków, kwestji tej później nie poruszał. Podziękowawszy więc swej rodzinie za jej gotowość do poświęceń, stanowczo przyjęcia ich odmówił.

Pomimo tak ścisłego odosobnienia, Napoleon przyjął u siebie kilku Anglików w czasie powrotu floty z Indyj do Europy. Chwila ta, jak już wspomnieliśmy, była prawdziwą na św. Helenie uroczystością; okręty bowiem z tak dalekich stron wracające, zaopatrując się w świeżą żywność w James-Town, zostawiały w zamian znaczne pieniądze lub towary i ożywiały chwilowo tę pustą skałę rzuconą wpośród Oceanu. Naturalnym popędem tych podróżników, była chęć ujrzenia Napoleona, chęć tém żywsza, im więcej trafiała ona w umysły oświecone. Wielcy dygnitarze, urzędnicy, uczeni flotą indyjską podróżujący, mało ceniąc śmieszne przepisy Hudsona Lowe, udawali się wprost do wielkiego marszałka, aby otrzy-

mać zaszczyt przedstawienia się Napoleonowi. W liczbie tych znajdował się lord Amherst i wiele innych znakomitych osób. Napoleon przyjmował ze spokojem, słodyczą, uprzejmością, i długie z nimi prowadził rozmowy, jużto o Indjach, już o interessach angielskich, wszędzie objawiając zwykłą wyższość swego umysłu. Nieraz najznakomitsi mężowie prosili go o zlecenia do Europy, na co zwykle z szlachetną odpowiadał rezygnacją: Nie chcę panów niczem obarczać. Opowiedzcie waszym ministrom coście tu widzieli. Żyję tu na skale, którą ciaśniejszą niż jest z natury, dla mnie uczyniono i na której nie mogę nawet przejeżdżać się konno, ja który całe życie na koniu spędziłem. Mieszkam pod dachem drewnianym, pożerany spiekotą lub przejmującą wilgocią. Nie mogę się ruszyć, abym nie był otoczony zbirami tego nielitościwego dozorcy mego więzienia. Nie mogę ani pisać do mojej rodziny, ani jej listów przyjmować, bez przypuszczenia go na powiernika mych myśli. Pozbawiono mnie już dwóch moich towarzyszy, i Bóg wie czy mi nie zabiorą i wszystkich. Jeżeli pragną mojej śmierci, szlachetniej byłoby postąpić ze mną po żołniersku, jak z Neyem. Jeżeli zaś nie czyhają na moje życie, niechże mi nie odejmują przynajmniej powietrza i przestrzeni. Próżno się lękają abym nie uszedł. Wiem, że dla mnie nie ma już miejsca na świecie, i że cała moja przyszłość, jest powolne konanie w waszych więzach. Idzie tylko o to, czy do więzów tych mają być dodane tortury. Zresztą, nic nie żądam; niech ci, którzy widzieli moje położenie, jeśli ono do serc ich trafiło, uczynią co im się zdaje. Ja nikogo o to nie proszę.

Stan zdrowia Napoleona widocznie usprawiedliwiał smutne przeczucia jakim się oddawał mówiąc o sobie. Osoby go otaczające uderzała nagła zmiana jego rysów, a choć jeszcze nie był bliskim śmierci, posuwanie się atoli ku niej można było przewidywać. Wstrętem do konnej jazdy w warunkach dozwolonych, zaniedbał zupełnie tego ruchu. Pomimo pięknej pogody na wyspie przy końcu 1817 r., Napoleon prawie przez sześć miesięcy nie miał nogi w strzemieniu. Kiedy O'Meara przepowiadał złe skutki z wyrzeczenia się ruchu, do jakiego przywykł w końcu całego życia: Tem lepiej, odrzekł, prędzej śmierć przyjdzie. W prawym boku uczuwał niekiedy ból przytłumiony; Marchand radził, aby używał nieco ruchu. Tak, odpowiadał z westchnieniem, chętnie zrobiłbym konno z dziesięć mil, ale możnaż to na tej skale? — Napoleon lubił zawsze długie przesiadywanie w kąpieli; przyjemności tej używał teraz więcej niż dawniej, kąpiel bowiem przynosiła ulgę w jego cierpieniach. Po kilka godzin przesiadywał w ciepłej wannie, poczem kładł się w łóżko, widocznie na siłach osłabiony. Mimo to umysł jego nie tracił na mocy ani bystrości; ciało tylko z każdym dniem wątlało; wtedy do osób stanem jego zasmuco-

nych, przemawiał: — Widzicie, *że to nie ciało, tylko dusza moja była z żelaza.*

Taki upadek sił w Napoleonie zaczął niepokoić Hudsona Lowe; lękał się bowiem, aby przyczyny tak nagłego osłabienia jemu nie przypisano. Wiele głosów powstawało w Anglji na przykre obchodzenie się z więźniem św. Heleny, nie rad więc był dostarczać dowodów takich oskarżeń. Nie śmiąc znieść zakazu przejażdżek konnych bez nadzoru, mniemał, że zmiana mieszkania byłaby najskuteczniejszém lekarstwem, tém bardziej, że dom w Longwood zbudowany z gliny i drzewa chylił się już do upadku. Odstąpienie pałacyka w Plantation-House zapewniłoby wszelkie wygody dostojnemu więźniowi, gubernator jednak wolał go zatrzymać dla swej familji, a natomiast postanowił zbudować nowe dla Napoleona mieszkanie, do czego otrzymał upoważnienie lorda Bathurst z tém wszakże zastrzeżeniem, aby nabycie placu nie pociągnęło za sobą znacznych wydatków. Lecz czy to z powodu drogości gruntu w stronie Plantation-House, czy że płasko-wzgórze Longwood przedstawiało większą łatwość nadzoru, dość że Hudson Lowe postanowił tu właśnie nową wznieść budowlę, tylko nieco bliżej cypla góry Diany, w miejscu lepiej osłonionem od wiatrów południowo-wschodnich. O tym projekcie uwiadomił on Napoleona i przesłał mu plany dla poczynienia zmian, jakieby sam za stosowne uznał. Na ten wniosek Napoleon oświadczył, że każde mieszkanie w tej stronie wyspy będzie zgubnem dla jego zdrowia, że samo budowanie potrwa trzy lub cztery lata, w którym to zakresie czasu już on nie domu, ale grobu będzie potrzebował. Zresztą samo prowadzenie robót w bliskości dotychczasowego mieszkania nastręczyłoby mu nowe nieprzyjemności, których chce uniknąć wiedząc, że z dzieła tego nie będzie korzystał. W końcu nadmienił, że nie pragnie nowego pomieszkania i przestaje na dotychczasowém, jako dostatecznem na dokonanie nędznego żywota.

Ta odpowiedź wszelako nie odstręczyła Hudsona Lowe od powziętego zamiaru, jakoż przystąpił do robót wybrawszy w obrębie Longwood najdogodniejsze i najlepiej osłonione miejsce; dla zapewnienia zaś spokojności wygnańcom przy wykonywaniu robót ciesielskich, kazał ułożyć wysoką ścianę z darniny.

Dzień 1 Stycznia 1818 r. smutniejszym był niż poprzedzające, a mianowicie 1817 r., lubo w tym ostatnim nastąpiło przykre rozłączenie z Las Cases'em. Napoleon mniej oddawał się pracy i niejako tracił chęć dyktowania opisów swoich wojen, powierzając potomności staranie przekazania wielkich jego czynów. — Na co się przydadzą, mówił, te pamiętniki, podawane wspólnemu nas sędziemu, potomności? Jesteśmy pieniaczami

nudzącymi swego sędziego. Potomność lepiej niż my ocenia czyny. Ona i bez naszego trudu potrafi odkryć prawdę.— Napoleon mniej dyktował, lecz za to więcej czytał. Jego poczucie piękna, wiekiem i cierpieniami podniesione, znachodziło coraz więcej przyjemności w arcy-dziełach rozumu ludzkiego. Wieczorami mniej teraz mówił o swoich czynach, a więcej o tém co czytał; niekiedy nawet odczytywał z życiem i należytem zrozumieniem ustępy wielkich autorów wszystkich wieków.

Często czytywał Pismo Św., którego szczytność zdumiewała jego genjusz; najulubieńszym zaś ze wszystkich pomników starożytności był dla niego Homer. Jego wielkie z prawdą nakreślone obrazy i umiejętne cieniowanie najdelikatniejszych uczuć, obok surowej, gburowatej nawet prostoty osób występujących w Iljadzie, zachwycały Napoleona. Zdaniem jego, obojętną jest rzeczą odzież, w jaką przybrany jest człowiek, byle tylko człowiek ten oddany był z prawdą, wspólną wszystkim czasom i krajom. Szczytność też i doskonała prawda najwięcej wprawiały w podziw Napoleona. — Homer, rzekł, widział i działał; Wirgiljusz przeciwnie, jak jaki rektor kollegjum. nic nie widział i nigdzie nie działał.— Ta surowość poglądu na dzieła Wirgiljusza pochodziła ztąd, że Napoleon słabo znając język łaciński nie mógł dostatecznie ocenić delikatności mowy piewcy Auzońskiego, więcéj go też wprawiała w podziw prawda i wielkość obrazów Homera.

Z pomiędzy nowszych pisarzy z przyjemnością czytywał autorów dramatycznych; lecz i tu nie lubił utworów niepewnej barwy, mieszaniny komiczności z tragicznością. Pogardzał dzisiejszym dramatem, nazywając go *tragedją pokojówek*. Unosił się nad wielkością w Kornelu, wymową uczuć w Rasynie, głębokością komizmu w Moljerze; mało cenił Woltera jako dramaturga, podziwiając za to jego głębokość i formy w prozie. Czuły na wdzięk, lubo zawsze poważny, czytał z przyjemnością płody pani de Sevigné, lubo, jak się wyrażał, oprócz rozrywki, nic po przeczytaniu jej prac nie zostawało w umyśle. Uważał, że w ogóle dzieje, oprócz pamiętników, dość słabo obrabiane są we Francji, a niższość tę przypisywał nieświadomości biegu spraw publicznych, w jakiej żyli uczeni historycy. Nad trudnościami sztuki pisania dziejów, lubił zastanawiać się, a w przedmiocie napisania historji Francji, wyrażał się: Nie ma tu środka: historję tego państwa trzeba pisać w dwóch lub w stu tomach.

Bezczynność i nudy podkopywały z każdym dniem zdrowie Napoleona; widząc się coraz bliższym grobu, chętniej też prowadził rozmowy w przedmiotach religji i filozofji. — Cały wszechświat, mówił, przekonywa nas o bytności Boga i chyba niewidomi lub krótko widzący dopatrzeć go nie mogą. Co do mnie, widzę Go w całej przyrodzie, czuję nad sobą

Jego wszech-potężną prawicę i nie wątpię w Jego istnienie, bo się Go nie lękam. Wierzę, że Jego miłosierdzie równa się wielkości i mam przekonanie, że powróceni na łono Boga znajdziemy potwierdzenie przeczuć wewnętrznych, i że tam poczytane nam będzie za dobre lub złe to, co umysły oświecone uznały za dobre lub złe na ziemi. Pomijam błędy ludów, które mają tę różnicę, że co jest błędem jednego narodu, nie może być uznane za błąd w drugim; ale to, co wyższe umysły wszystkich narodów uznały za dobre lub złe, pozostanie takiem i w obliczu Boga. W tej mierze nie mam żadnego powątpiewania i pomimo moich win, ze spokojem w duszy zbliżam się ku Najwyższej sprawiedliwości. Waham się, ile razy wejdę w dziedzinę religji pozytywnych, bo tu na każdym kroku dostrzegam rękę człowieka, i to mnie właśnie zbija z toru. Nie trzeba wszakże dać się powodować temu uczuciu, w którem działa wiele duma ludzka. Odrzuciwszy podania narodowe, jakiemi wszystkie ludy oplotły swoją religiję, znajdziemy zawsze na dnie jej istotną treść, to jest wiarę w Boga i świadomość złego i dobrego. Niegdyś zwiedzając meczety mohamedańskie, widziałem w nich ludzi wznoszących korne modły do przedwiecznej Istności, a jakkolwiek widokiem tym oburzały się moje przywyknienia, śmieszności w tém wszakże nie dopatrywałem. Oszczercy wykrzywiając moje czyny głoszą, że w Kairze wyznawałem islamizm, w Paryżu zaś w obec papieża odgrywałem rolę katolika. W tém wszystkiém jest nieco prawdy, bo i w meczetach spotykałem obrzędy godne poszanowania, lubo mnie one nie wzruszały tak jak w kościołach katolickich, do których przywykłem od dzieciństwa, gdzie także widziałem ludzi korzących się z swemi ułomnościami przed boskim majestatem. Każda religja, byle nie pogańska, zasługuje na poszanowanie, my zaś chrześcijanie mamy tę wyższość, że jesteśmy wyznawcami wiary mającej swe źródło w najczystszej moralności. Jakkolwiek wszelkie wyznania zasługują na poszanowanie, my wszelako więcej jak inni mamy powodów do szanowania naszej wiary, każdy atoli winien żyć i umierać w tej wierze, w jakiej go matka wychowała. *Religja jest cząstką przeznaczenia.* Ona stanowi całość z ziemią, prawami, obyczajami, słowem z tém wszystkiém, co rozumiemy pod świętym wyrazem ojczyzna; nigdy więc odstępować od niej nie należy. Co do mnie, oburzałem się, kiedy w epoce zawierania konkordatu, starzy rewolucjoniści namawiali mnie, abym z całą Francją przeszedł na protestantyzm; zdawało mi się wtedy, że mi doradzano, abym zaparłszy się mej rodowitości, został Anglikiem lub Niemcem.

Takiemi rozmowami dotykając przedmiotów moralnych, Napoleon zastanawiał się i nad tém, co nazywano *jego fatalizmem.* — W tej mierze mówił, jak w wielu innych, potwarz dziwacznie wykrzywiała moje zda-

nia. Przedstawiano mnie jako ogłupiałego, ślepo wierzącego w swoje losy, muzułmanina, który nie da się odwieźć od przepaści, ani usunie się przez rozhukanym koniem, tém napojony przekonaniem, że nasze życie i śmierć nie od nas, ale od nieubłaganego i raz nakreślonego przeznaczenia zawisło. Gdyby to było prawdą, człowiek od urodzenia nie powinienby opuszczać łóżka i czekać, aż mu Bóg ześle do ust pożywienie. Człowiek wtedy byłby bezdusznym bałwanem. Mógłże więc takie przekonania mieć ten co jak ja, w tylu długich wojnach stawał w zapasy, by wyzwolić panowanie wyższości umysłowej z pod przemocy losu? Wiara moja, jest wiarą każdego rozumnego człowieka, opierająca sią na tem przeświadczeniu, że każdy człowiek jest twórcą swojego losu, że ma prawo i powinien dążyć do polepszenia go i wtedy dopiero ustąpić z pola, kiedy już na niem nic zdziałać nie może. Wtedy tylko powinien przestać myśleć i działać, poddać się z rezygnacją i nie myśleć już o złem, którego usunąć nie może. W wojnie usiłowania te są bezskuteczne, bo tam niebezpieczeństwo zewsząd groźne. Widziałem żołnierzy usuwających się ze stanowisk niebezpiecznych, a ugodzonych ciosem tam właśnie, gdzie się przed nim chronili. Unikanie śmierci w boju jest bezużyteczne; żołnierz taki traci zimną krew i odwagę; najlepiej więc poddać się swemu losowi i nie myśleć o kulach szybujących w powietrzu, tak jak się nie myśli o wietrze świszczącym około ucha. Wtedy tylko człowiek zachowuje właściwą odwagę, przytomność umysłu, spokój i przezorność. Taki oto był mój fatalizm, taki wpajałem ja w moich żołnierzy, wyrażając go w formach odpowiednich, usiłując ich przekonać, że przeznaczenie każdego w górze jest zapisane, że tchórzostwem zmienić go nie potrafią, że nareszcie zaszczyty męztwa powinny być celem ich usiłowań, w czém siebie i spokój mego czoła za przykład stawiałem. To była fatalizm żołnierski; jako jenerał zaś, używałem innego, bo z dumą mogę o sobie powiedzieć, że żaden z wodzów nie umiał jak ja pokierować umysłem i wolą swoich podwładnych. Widzicie więc, dodał Napoleon, że jestem w możności wszelkie moje przekonania usprawiedliwić, bo wszystkie gruntują się na prawdzie i doświadczeniu.

W r. 1818 Napoleon najdolegliwszych doznał zmartwień. Już wspomnieliśmy wyżej o niezgodnym charakterze jenerała Gourgaud. Od czasu wyjazdu Las Cases'a, cała jego zawiść zwróciła się na jenerała Montholon, który teraz najczęściej wzywanym był do pisania pamiętników Napoleona. Inne jeszcze przyczyny powiększyły nieporozumienia. Obie rodziny, Montholon i Bertrand, ubiegały się jedna przez drugą w osłodzeniu przykrych chwil niewoli dostojnego więźnia, lubo w charakterze i zdaniach o tem, co najwięcej zajmowało kolonją wygnańczą, wielce się

z sobą różniły. W rodzinie jenerała Montholon, odznaczającej się wyższością umysłu, słodyczą, znajomością świata, panowało przekonanie, że zamiast drażnić Hudsona Lowe tłumaczeniem na złe najlepszych jego zamiarów, należało przeciwnie jego stosunki z nim łagodzić, byle tylko pozyskać ztąd jakieś korzyści dla Napoleona. Przeciwnie, rodzina Bertrandów, obok zacności duszy, była drażliwą i odstręczającą; zajmując odosobnione mieszkanie w Huts-Gate, żywiła w sobie przekonanie, że dla samych względów honorowych, należało zawsze opierać się tyranji dozorcy ich więzienia. Tak w zdaniach, jak i w postępowaniu wynikały ztąd pomiędzy temi domami częste starcia, w co ile razy wmieszał się Gourgaud, te nic nie znaczące niesnaski, w żywe zamieniał nieporozumienia. Zajścia przybierały nieraz tak groźny charakter, że Napoleon, by nie dopuścić do wybuchu, który na tej spólnej ziemi wygnania pociągnąłby za sobą najsmutniejsze skutki, musiał nieraz stawać jako pośrednik pomiędzy jenerałem Gourgaud, a Montholon'em. Oburzony tak niewłaściwem zachowaniem się, skłaniał obu do zaniechania sporu. Szczególnie surowym okazywał się dla jenerała Gourgaud, który zawsze był winnym i pragnął opuścić św. Helenę. Jakoż, Napoleon dał mu uwolnienie. — Wolę pozostać tu sam, zawołał, niż w mojej niedoli mieć jeszcze zakłócony spokój tak nierozsądnemi namiętnościami.— W ciągu ostatnich kilku tygodni pobytu, Napoleon rzadko widywał jenerała Gourgaud, mimo to, w chwili odjazdu, pamiętny na odebrane od niego dowody poświęcenia, kosztownemi obdarzył go upominkami. Gourgaud zabrał z sobą z wyspy św. Heleny pierwszy opis kampanji z 1815 r., który mu Napoleon podyktował, i za powrotem do Europy, dzieło to wydał za swoje własne. Tenże opis, przerobiony przez Napoleona, wydany został później w zbiorze dzieł jego. Oba są szacownym nabytkiem dla dziejów owoczesnych dzieła, bo lubo zgodne co do głównych wypadków, w opuszczonych jednakże szczegółach wzajem się uzupełniają, a tém samém wyświetlają fakta tej pamiętnej wyprawy.

W tym także czasie Napoleon dotkliwszą jeszcze poniósł stratę. Admirał Malcolm, który postępowaniem swojem dowiódł, iż nie zdradzając swoich obowiązków, można było wszakże łagodzić przykry los dostojnego wygnańca, Malcolm opuszczał dowództwo floty Przylądka Dobrej Nadziei. Jego szczere stosunki z Napoleonem nie podobały się Hudsonowi Lowe, który zaczął lękać się, aby zachowanie się admirała względem więźnia, nie było potępieniem jego z nim obchodzenia się. Zastąpił go admirał Plampin, człowiek zimny i niechętnie uczęszczający do Longwood. Napoleon pożegnał Malc lm'a jak przyjaciela.

Do tych strat przyłączyła się jeszcze inna, która lubo nie dotykała zbliska serca Napoleona, boleśnie jednak zakłóciła jego przywyknienia. Powoli przywykł on nietylko do medycyny angielskiej, ale i do charakteru doktora O'Meara, on bowiem znosił mu nowiny, podawał dokładną treść dzienników angielskich, które go mocno zajmowały, bo ostatnia iskierka nadziei tlała jeszcze w zmianie gabinetu angielskiego. Tymczasem Hudson Lowe odkrywszy, że tym nowinniarzem w Longwood był właśnie O'Meara, zażądał aby on zawiadamiał go o treści swych rozmów z Napoleonem, na co ten nie przystał mówiąc, że jako dobry i prawy Anglik powiedziałby to, co mogłoby być poczytane za zmowę do ucieczki, że nadto, jako lekarz, uważa sobie za obowiązek nie zdradzać poufnych zwierzeń swego pacjenta. Rozgniewany tém Hudson Lowe chciał go postawić na równi z Francuzami zostającymi w służbie Napoleona, i poddać tym samym obostrzeniom, a mianowicie dodawaniu straży, ile razy wychodzić będzie z obrębu Longwood. Napoleon kazał oświadczyć, że dodany mu lekarz powinien zostawać przy jego osobie i być wolnym; jeżeli więc ma zależeć od gubernatora, zrzeka się lekarza zupełnie. Spór ten trwał dość długo, wielą przeplatany wypadkami. Doktór O'Meara jużto był odbierany, już powracany Napoleonowi, i nakoniec w sposób grubijański został wyprawiony do Europy.

Napoleon pozostał więc bez doktora, lubo pod tym względem nie doznał znacznego braku. — Ciało ludzkie mówił, nie jest zegarkiem, który można dowolnie otworzyć i naprawić. Lekarze wprowadzają w nie narzędzia dziwnego ustroju, nie wiedząc jak one tam działają i można nazwać cudem, jeżeli narzędzia trafią jak należy w tę biedną machinę.— W takiem uprzedzeniu utrwalała go bezskuteczność dawanych środków. Ulgę w cierpieniach przynosił mu tylko ruch i zajęcie, lub jakie łagodne napoje które sam sobie przepisywał. Przekonany był nadto, że cierpienia jego miały swe siedlisko w wątrobie, a nabył ich w klimacie podzwrotnikowym. Zwykłą swą przenikliwością odgadywał, że i żołądek cierpi, a przypominając że ojciec jego na tęż samą zmarł chorobę, tém bardziej w domysłach swoich utwierdzał się. Napadające go niekiedy wymioty mniemania jego upewniały; odtąd uważał się za lepszego doktora, niż lekarze św. Heleny. Mimo to, powodując się rozumem, przyznawał, że nauka wiekami nagromadzona, zasługiwała na zaufanie, i podąsawszy się nieco na lichych doktorów, zgadzał się, że chętnie poradziłby się człowieka wyższego umysłu i zbogaconego doświadczeniem. Często też mawiał: Nie wierzę w medycynę, lecz wierzę w Corvisart'a. A ponieważ jego tu mieć nie mogę, proszę, zostawcie mnie w spokoju.

Tymczasem zdrowie Napoleona widocznie zaczęło chylić się do upadku; dowiedziawszy się o tém sir Hudson Lowe i obawiając się odpowiedzialności za wyprawienie doktora O'Meara, postanowił przeznaczyć do osoby Napoleona, lekarza marynarki angielskiej, człowieka powszechnie szanowanego, p. Baxter. Lecz to co budziło zaufanie w gubernatorze, było właśnie powodem nieufności dla Napoleona, który też przyjęcia doktora Baxter odmówił. Pomijając ciążącą na gubernatorze odpowiedzialność, zwiększającą się stanem chorobliwym więźnia, Hudson Lowe i w tém jeszcze znajdował niedogodność, że pozbawił się świadka upewniającego o obecności Napoleona. To upewnienie stawało się jeszcze tém trudniejsze, że Napoleon niekiedy po ośm dni z mieszkania nie wychodził, oficer służbowy zaś nie śmiejąc gwałtem wdzierać się do jego mieszkania, nieraz po kilka godzin wyczekiwał napróżno, aby go ujrzeć. Tym więc sposobem Hudson Lowe, odesłaniem doktora O'Meara, nowych nabawił się kłopotów. W tym przedmiocie kilkakrotnie odbywał długie narady z panem Montholon. — Co pan chcesz, abym uczynił? mówił gubernator; jeżeli się okażę powolnym, oskarżą mnie w Europie o powolność dla osoby, której nikt już nie ustępuje; jeżeli zaś trwać będę w swojem postanowieniu, nazwiecie mnie okrutnikiem. — Wszystkie środki ostrożności, rzekł Montholon, jakiemi pan zapobiegasz ucieczce Napoleona, o której on nie myśli, stały się dlań nieznośnemi przykrościami i przyczyną upornej samotności i zamknięcia się w domu. Im więcej powiększać pan będziesz tę ostrożność, tém więcej zmusisz go do zamknięcia się, co naturalnie oddziaływając szkodliwie na jego zdrowie, uczyni pana winnym teraz i w przyszłości. Teraz chcesz pan wiedzieć codziennie, czy Napoleon znajduje się w Longwood; trzeba było więc zostawić mu O'Meara. Pozbawiłeś się tak dogodnego dla siebie świadka, ufajże mnie; mojem staraniem będzie spełnić to zadanie. Gdybyś zechciał użyć siły, bądź pewnym, że wtedy znajdziesz nas wszystkich u drzwi gabinetu Napoleona, i wtenczas twoja lub nasza krew będzie karą wyrządzonej mu obelgi. Proszę więc pana, polegaj na mnie; ja sam ułatwię oficerowi służbowemu sposoby widzenia więźnia, bez obrazy jego uczucia. — Jakoż, ile razy Napoleon przechodził z pokoju do pokoju, pan Montholon uprzedzał o tém oficera, który pośpieszał by go ujrzeć i tym sposobem wierny i roztropny towarzysz, usuwał powody do zajść nieprzyjemnych.

Upornem przebywaniem w mieszkaniu, i używaniem długich kąpieli, Napoleon widocznie osłabiał się. Wkrótce nogi zaczęły mu nabrzmiewać, ziębnąć, tak iż zaledwie długiem ogrzewaniem zdołano w nich obudzić ciepło. Puls zbyt wolny, dający w zwykłym stanie zaledwie 55 uderzeń, przekonywał o utrudnionem krążeniu krwi. Sławny Corvisart, w rzadkiej

swej lekarskiej przenikliwości, przepowiadał niegdyś Napoleonowi, że jeżeli kiedy przestanie wieść życie czynne, może ztąd bardzo zachorować, cyrkulacja krwi bowiem z natury dość powolna, bardziej jeszcze osłabnie, co pociągnie za sobą złe skutki, jako to, puchnienie i ziębienie nóg. Napoleon widząc sprawdzające się przepowiednie wielkiego medyka, nie okazywał ztąd żadnego smutku, owszem z radością prawie zdawał się wyglądać swego bliskiego końca. Wszelako, wiedziony instynktem zachowawczym i ulegając prośbom Montholona i Marchanda, zaczął używać znów konnych przejażdżek. Dano mu małego ale dobrze ujeżdżonego konika; Napoleon przyjął go i odbywał krótkie wycieczki. Zbliżał się koniec 1818 r.; a z nim przyjemna pora południowej półkuli; Napoleon w przejażdżkach swoich znajdował niespodzianą przyjemność. Za przyjemnością nastąpiło i polepszenie zdrowia; uczuł się jakby na nowo odrodzonym. W Styczniu 1819 r. zdawał się być zupełnie uleczonym: cera utraciła śniadość, oko żywszym jaśniało blaskiem, puchlina z nóg zeszła; Marchand, który go kochał jak ojca, nie mógł ukryć swej radości. — Mój synu, mawiał doń Napoleon takiem teraz darząc go mianem, wzrusza mnie twoja radość, lecz jesteś w błędzie, są to bowiem ostatnie błyski zdrowia. Silna budowa mego ciała robi ostatnie jeszcze wysiłki, po czem znów upadnie. Duch mój będzie wolnym, a wtedy i ty swobodę swą odzyszczesz. Powrócisz do Europy i o ile odemnie zależy, będziesz żył szczęśliwym.

Do tak chwilowego powrotu zdrowia przyczyniła się jeszcze jedna okoliczność. Napoleon w swoim stanie odrętwienia prawie zupełnie zaniedbał pracy, i zaniechał dalszego dyktowania opisu swoich wojen. Można powiedzieć, że teraz nudziło go własne życie i że starania o swą chwałę pozostawiał potomności. Z pomiędzy kilkuset książek tu i owdzie w około niego porozrzucanych, brał z nich jednę lub drugą, czytał i zamykał, nie znajdując w nich żadnego dla siebie zajęcia. Przypadkiem wpadły mu w ręce dzieła historyczne odnoszące się opisu czynów wielkich wodzów; chciwie zaczął one czytać. Jakkolwiek Napoleon staranne odebrał wychowanie, dotąd wszakże ogólne miał tylko wyobrażenie o historji czynów Fryderyka, Turennjusza, Kondeusza, Gustawa Adolfa, Cezara, Annibala, Aleksandra. Życia tych wielkich ludzi szczegółowo opisane, żywo go zajęły. Siły fizyczne, a z niemi i umysłowe, zaczęły prawie wracać. Uczuł się zdolnym do natężania uwagi, odtąd więc z żywą ciekawością słuchał opisu czynów sławnych wodzów. Badania te miały dlań wyższe, jak dla kogo innego zajęcie, dopatrywał to czego nikt nie odkrył i powodzenie oręża swoich poprzedników, porównywał z własnem. Wkrótce zakres jego poglądu znacznie rozszerzył się; postanowił więc

opisywać życia sławnych wodzów, zostać ich sędzią, i tém samém ułożyć dzieje sztuki wojennej, tej sztuki która była jego namiętnością i chwałą, a która wraz z polityką jest najszczytniejszem zadaniem człowieka. Rzecz dziwna, lubo przynosząca chwałę genjuszowi Napoleona: porzuciwszy bowiem dalsze opowiadanie swoich własnych czynów, których małą tylko część opisał, usilnie zajął się czynami innych tak starożytnych, jako i nowoczesnych wodzów. Pierwszym który go więcej zaciekawił był Catinat, którego czyny, jak mówił, znalazł przesadzonemi w opisie filozofów; lecz przechodząc do Turenjusza i Kondeusza: trzeba, mawiał, zwrócić się do zasługi. Najgłębszym szacunkiem przejmował go Turenjusz. Po nim szli: Kondeusz, Fryderyk i Cezar. Gdy mu zabrakło dzieł specjalnych, zażądał ich od Hudsona Lowe, który ucieszony takim zwrotem i chęcią zajęcia umysłu innym przedmiotem niż podejrzywana ucieczka, poszukał w bibliotece Plantation-House i posłał do Longwood żądane dzieła. Napoleon z zwykłym sobie zapałem wziął się do pracy, i w krótkim czasie zbadał życie Fryderyka, Turenjusza i Cezara. Chciał on nadto zbadać i napisać żywot Kondeusza, ks. Turenjusza, Marlborough'a, Gustawa Adolfa, księcia de Nassau z nowszych czasów, tudzież Aleksandra W., a nadewszystko Annibala z starożytnych. Po tych zamierzał przystąpić do opisu mniej znakomitych ludzi, jeśli na to życie jego wystarczy. W tym celu żądał książek, a mianowicie Polibjusza, którego właśnie nie miał, co mu sprawiło przykrość, chciał bowiem sięgać do źródła wiadomości o Annibalu, żywy w nim budzącego podziw. Posiadając *Komentarze* Cezara, znajdujące się prawie wszędzie, nawet na dalekiej skalistej wyspie Oceanu, łatwo mógł oceniać sprawy tego wodza rzymskiego; dyktował więc Marchand'owi opisy, unieśmiertelniające obu Cezarów, to jest tak bohatera niniejszej książki, jako i tego który stał się przedmiotem jego pracy.

Polepszony w początkach 1819 r. stan zdrowia trwał dość krótko. Napoleon zaczął znów doznawać silnych bólów żołądka, wstrętu do przyjmowania pokarmów i niestrawności. Często napadały go womity, a raz nawet w długie popadł omdlenie. Na okręcie *le Conquerant* znajdował się światły lekarz nazwiskiem John Stokoe; jakoż wezwano go, nie odnosząc się już w tej mierze do dostojnego pacjenta. Przyjął go chętnie, tém więcej, że nie zdawał się być ajentem policji Hudsona Lowe, lubo objawił mu zwykłą swą nieufność do medycyny angielskiej. — Zbliżam się już do kresu, rzekł do doktora, moje uśmierzające napoje lepszą mi przynoszą ulgę, niż wszystkie leki jakie mi pan zapisesz. — Doktór Stokoe przychodził czasem, lecz jak tylko zyskał zaufanie Napoleona, utracił je zaraz u gubernatora, który też zakazał mu bywać w Longwood. Zresztą zażądano już lekarza z Europy, kilku służących i jednego lub dwóch księży,

ci bowiem nie znajdowali się na św. Helenie i gdy jeden z domowników Napoleona zmarł na wyspie, musiano wezwać pastora protestanckiego do oddania usług pogrzebowych. Wybór i wysłanie księży poruczono kardynałowi Fesch. Dawne jego stosunki z dworami europejskiemi pozwalały spodziewać się usunięcia w tej mierze trudności, jakieby zapewne napotkali inni członkowie rodziny Napoleona.

Wśród oczekiwań na bliski przyjazd tych osób, Napoleon zasmucony został nowym odjazdem, dotkliwszym niż poprzednie. Pani Montholon, której zacny charakter i miłe usposobienie wiele się przyczyniały do osłodzenia chwil przykrej niewoli, zaczęła pod wpływem klimatu podupadać na zdrowiu tak, iż lekarze angielscy uznali przyczynę cierpień w bardzo rozwiniętej chorobie wątroby. Lękając się więc o siebie i swoje dzieci, postanowiła odjechać. Napoleon chciał, aby p. Montholon towarzyszył swej małżonce, lecz ten, widząc stan swego pana, nie chciał go opuścić. Tak więc p. Montholon sama z swemi dziećmi wsiadła na okręt; wiedział wszakże Napoleon, że wkrótce zmuszony będzie wysłać za nią jej małżonka, i że pani Bertrand, której dzieci potrzebowały także edukacji, niezadługo będzie musiała powrócić do Francji wraz z swoim mężem. Pojmował on dobrze, że poświęcenie, choćby największe, ma swoje granice w obowiązkach rodzinnych; nie skarżył się więc, powtarzając w duchu, że aby nie pozostać samym, trzeba prędko pożegnać się z życiem. W istocie, widział zbliżający się kres ziemskiego bytu i patrzył nań ze spokojem i bez skargi.

Przy końcu 1819 r. choroba lubo powolnie zaczęła postępować, tak iż Napoleon nie opuszczał swego mieszkania. Z wielką trudnością oficer służbowy mógł się przekonywać o jego bytności: rozkaz więc lorda Bathurst sprawdzania codzień obecności więźnia, nie mógł być ściśle wykonanym. Często nie widziano Napoleona przez kilkanaście dni; wtedy sam ruch służących około pokoju chorego, troskliwe ich krzątanie się i widoczny niepokój, słowem, wszystko dawało przekonanie, że to nie jest komedja pokrywająca zamiar ucieczki, i na tem oficer służbowy poprzestawał. Takie dowody były zawsze dostateczne, i gdyby nawet otworzono drzwi więzienia Napoleona, stan jego dozwoliłby mu zaledwie przestąpić próg, by odetchnąć świeżem powietrzem. Mimo to ponowne rozkazy lorda Bathurst, nabawiały kłopotów gubernatorowi. Nowy przeto, lubo niegodny, wymyślił on sposób komunikowania się z więźniem. Wszelkie korrespondencje przesyłane były zawsze na ręce wielkiego marszałka Bertrand'a; tymczasem lord Bathurst uważając, że taka droga postępowania miała pozór zwyczajów używanych na dworach monarchów, polecił, aby wszelkie pisma oddawane były wprost samemu Napoleonowi, co tém samém dałoby

łatwą sposobność widywania go; jakoż środka tego Hudson Lowe chwycić się postanowił. Wysłany do Longwood oficer, który zresztą przedstawił się tu z należnem poszanowaniem, zażądał widzenia się z *Napoleonem Bonaparte*. Odprawiony do Marchanda, świadomego przyjętych zwyczajów a których pogwałcenia nie przypuszczano, usłyszał w odpowiedzi, że każde pismo musi być *cesarzowi Napoleonowi* wręczone nie inaczej, jak za pośrednictwem marszałka Bertrand. Tym sposobem oficer odprawiony z niczem, o czem Marchand pana swego zawiadomił. Wtedy Napoleon wydał domownikom polecenie nie wpuszczania do niego nikogo; przewidując zaś, że gubernator będzie chciał dopuścić się gwałtu, postanowił działać podobnie jak Karol XII. — Wszystko jedno, rzekł, umrzeć w obronie swojej godności, czy na łożu cierpień. — Kazał więc nabić pistolety, toż samo zalecił domownikom, i gotów był ugodzić kulą tego, któryby poważył się siłą drzwi jego otworzyć.

Wkrótce przybył sam Hudson Lowe z całym swoim sztabem, a przywawszy Marchand'a i Montholon'a, pytał dla czego rozkazy jego nie są wykonane, nadmieniając zarazem, iż każdy uporny jego woli odesłany będzie do Kapu. Odpowiedziano, że przyjęty tryb postępowania przy osobie cesarza w niczem nie będzie zmieniony, i że nie należałoby w obecnym jego stanie zdrowia uchybiać należnego mu szacunku. Odjeżdżając pełen gniewu oświadczył, że użyje siły by spełnić rozkaz rządu brytańskiego. Jakoż nazajutrz przybył oficer z dość silną eskortą, oświadczając domownikom, że ma wręczyć pisma *Napoleonowi Bonaparte*, żąda zatem by go wprowadzono. Odesłano go z tém do Marchand'a, a ten do wielkiego marszałka. Tu odprawiany z niczem, zaczął biegać po domu, pukać do drzwi, a nawet do pokoju cesarza. Napoleon spokojnie czytał książkę mając pod ręką pistolety; domownicy zaś stali przy drzwiach gotowi traicznie ukończyć swoją niewolę, byle tylko obronić swego pana od ostatecznego upokorzenia. Oficer biegał od jednych do drugich drzwi, pukał do wszystkich, a widząc że ich nie otwierano, wsiadł na konia i wrócił do Plantation-House nie spełniwszy danego mu polecenia.

Były to niefortunne i bezużyteczne kroki wymierzane przeciw nieugiętemu charakterowi więźnia św. Heleny, a nawet nieludzkie ze względu na stan jego zdrowia. Scena ta ożywiła nieco Napoleona, zdawało mu się bowiem że już słyszy huk armat tyle razy o ucho jego obijający się. Hudson Lowe nie śmiał odtąd nalegać i ograniczył się tylko na pogróżkach, których następstw po doznanej przegranej nie należało już obawiać się.

W tym czasie, to jest przy końcu 1819 r., przybyły na wyspę św. Heleny wybrane przez kardynała Fesch osoby. Było mi dy lekarz włoch

Antomarchi, człowiek dość światły, lubo niedoświadczony i zarozumiały; stary ksiądz Buonavita, niegdyś missjonarz w Mexyku i młody kapłan ks. Vignale, obaj ludzie zacni, lecz nie naukowi i mało uzdolnieni. Do tej liczby dodano trzech czy czterech służących, w miejsce ubyłych z służby cesarza domowników. Ci nowi przybysze zanim udali się do Longwood przepędzili kilka dni przyjmując grzeczności gubernatora, co tém bardziej odstręczyło od nich serce pana, któremu mieli służyć i którego nienawiść do Hudsona Lowe w prawdziwą namiętność wyrodziła się. Napoleon wszakże przebaczył im to wkrótce, jak skoro zaczęli mu opowiadać o jego bliskiej rodzinie, a szczególnie o matce, o siostrze Paulinie, braciach Lucjanie i Józefie. Jego siostra i matka ponawiały usilne żądania przybycia na św. Helenę; Józef zaś i Lucjan czynili dość przystępne propozycje, to jest że każdy z nich kolejno przepędzi trzy lata na wyspie. Napoleon nie przywiązywał wielkiej wagi do tych oświadczyn, które w jego przekonaniu, bliski zgon udaremni; taka gotowość poświęceń wzruszała go do głębi duszy.

Z młodym lekarzem Antomarchi rozmawiał często o swojém zdrowiu, pozwalał stan jego badać i uśmiechał się na dowodzenia, oświadczając równie jak innym lekarzom, *że woli umrzeć z choroby niż z lekarstw*. Często zalecał mu udawać się do szpitala garnizonu dla badania zmian organicznych, jakim pod wpływem klimatu ulegają europejczycy, zkąd nabyte światło i doświadczenie przyniesie mu prawdziwe korzyści w jego posłannictwie. Niekiedy rozmawiał z księżmi śmiejąc się w duchu z ich naiwnej ciemnoty. — Po tym wyborze, mawiał, poznaję mego wuja Fesch. Zawsze to taż sama głowa. Ten zarozumiały w swej nauce lekarz nic nie umie; jednego tylko Corvisart'a mógłbym słuchać; szkoda było trudu przysyłać mi takiego doktora. Co się zaś tycze dwóch księży, rozmawiałem z nimi o przedmiotach religijnych, (bo o czém zresztą mówić, gdy śmierć niedaleka?); lecz w pierwszej zaraz rozmowie, pobiłem ich najzupełniej. Ja potrzebuję uczonego kapłana, z którym mógłbym dysputować o dogmatach chrystjanizmu. Wprawdzie nie zwiększyłby on we mnie wiary w Boga, lecz możebym się zbudował i umocnił w niektórych punktach wiary chrześcijańskiej. Jakże to miło zbliżać się do grobu w wierze katolickiej! Tymczasem od moich dwóch księży niczego nie mogę się spodziewać. Jednakże, oni mi przynajmniej odprawią mszę i w tem cała ich będzie przysługa!

Był w Longwood obszerny pokój stołowy, którego Napoleon nie używał, od czasu bowiem niesnasek zaszłych pomiędzy jego towarzyszami, zwykle sam jadał śniadania i obiady, a to dla uniknienia wspólnej ich obecności. Jednakże od czasu wyjazdu pani Montholon, jadał z jej

mężem w jednym z dwóch pokoi, w których życie jego upływało. Obszerną jadalnię kazał przerobić na kaplicę, w której polecił odprawiać mszę co niedziela. Do uczęszczania na msze nikogo on nie zmuszał, lubił wszelako aby się na nią zgromadzano, i w tej mszy odprawionej co niedziela na pustej skale, znajdował urok budzący najmilsze wspomnienia jego dziecinnego wieku. Nikogo on nie strofował za uchybienie tego religijnego obowiązku, nie znosił wszakże żadnej w tym przedmiocie uwłaczającej mowy. Kilka razy młody Antomarchi odezwał się w sposób dość wolny; Napoleon skarcił go mówiąc, że można być religijantem lub bezbożnym, każdemu w tem zostawiona jest wolność, on jednakże nie znosi żadnego uchybienia najprawdziwszej dla rodu ludzkiego religji, a która właśnie dla Francuzów i Włochów była religją narodową. Słowa te wymówione z powagą wstrzymywały każdego od dalszych tłomaczeń, tém bardziej, że nawet na wyspie św. Heleny nikt Napoleonowi nie śmiał przeczyć. Wtedy Napoleon zwracając się do obecnych rzekł: Wiecie, dokąd pójdą ludzie nie uczęszczający na mszę? Oto, do Cagliostra lub do panny Lenormant. Lepiej jest więc wysłuchać mszy.

Okrętem na którym przybył lekarz i dwaj księża, przywieziono także kilka pak książek. Napoleon lubo cierpiący, chciał przecież, aby paki te w jego otworzono obecności. Przejrzawszy znaczną ich część oświadczył z żalem, iż jako ojciec co innego znaleźć spodziewał się. Jakoż rzeczywiście na dnie paki znaleziono portret księcia Reichstadt malowany z natury, o który postarał się ks. Eugenjusz. Napoleon porwał go z zapałem, długo mu przyglądał się i kazał umieścić w swoim pokoju, by go zawsze mieć przed oczyma. Potem wrócił do przeglądu książek, mocno się użalając, że nie znalazł upragnionego Polibjusza, tego głównego dziejopisa czynów Annibala. Czytał wiele dzieł traktujących historją spółczesną, i jużto gniewny, już uśmiechający się zapisywał ich brzegi, własnemi uwagami.

Zdrowie jego z każdym dniem dawało powody do nowych niespokojności; ze wszystkich atoli rad udzielonych mu przez doktora Antomarchi, jedna do jego trafiająca przekonania i zgodna z radami jakie mu niegdyś dawał O'Meara i Stokoe, było konieczne używanie ruchu, przepisywane jako jedyny środek uleczenia. Było to rzeczywiście jedyne lekarstwo do którego Napoleon miał zaufanie, lubo wstręt do przejażdżek w towarzystwie oficera był zawsze ten sam. Antomarchi radził, że jakkolwiek konna jazda była dobrą, inne przecież zatrudnienia, jak np. kopanie rydlem, mogło być równie dla zdrowia pomocném. Jakoż Napoleon niebawem chwycił się tego środka, który mu uprzyjemnił niejedną z ostatnich chwil życia.

Niebawem postanowił używać nowego ruchu ciała, nakłaniając całą osadę do podzielania z nim tego zatrudnienia. Było to na początku 1820 roku; czas był prześliczny. Napoleon chciał, aby wszyscy w Longwood wstawszy jak on o godzinie czwartej z rana, brali się do rydla i wspólnie z nim pracowali w ogrodzie. Nikt nie był wyjętym od tej pańszczyzny; wszyscy też towarzysze wygnania, poczynając od Montholon'a, Bertrand'a, Marchand'a, aż do służących, a nawet chińczyków, musieli pracować pod jego kierunkiem. Ten rodzaj zajęcia urozmaicając wspólne nudy wygnania przypadł wszystkim do smaku, tém bardziej, gdy widzieli jak prace te podobały się ich panu i jak dobrze na polepszenie zdrowia jego oddziaływały. W istocie polepszenie to w kilka dni było widocznem; nikła owa przeszło-roczna żółtość cery, puchlina z nóg schodziła, apetyt powiększał się, wymioty rzadziej powracały, słowem wszystko zapowiadało pewny powrót do zdrowia. Napoleon od dawna zaniechał nosić ubiór wojskowy, a zachowawszy tylko białe spodnie i jedwabne pończochy, nosił zresztą ubranie cywilne. Teraz zaś przywdział odzież kolonisty. Przybrany w bluzę z białej lekkiej tkaniny, z słomianym kapeluszem na głowie, z laską w ręku, kierował robotami, jako rzeczywisty oficer inżenierji. Pierwszem jego dziełem było usypanie wału z ziemi i darni, zasłaniającego ogród i dom od szkodliwych wiatrów południowo-wschodnich. Przesadzał nadto drzewa cytrynowe i dęby, mianowicie te ostatnie, tak dlań ulubione, a które same przeżyły i pozostały w ogrodzie, ręką jego zasadzonym. Ponieważ zbywało tu na wodzie, Napoleon sprowadził ją ze zbiornika założonego przez Hudsona Lowe u podnóża góry Diany. Ta zręcznie do ogrodu w Longwood przeprowadzona woda, wkrótce pokryła go zielonością, albowiem w tym spiekłym klimacie, woda w połączeniu z ciepłem słonecznem, szybko do wzrostu pobudza roślinność. Napoleon doznawał przyjemności pożywając wkrótce jarzyny ze swego ogrodu. Dowiedziawszy się o tém nowém zatrudnieniu Napoleona, sir Hudson Lowe, nadesłał mu wkrótce nowe rośliny, narzędzia i robotników. Napoleon przyjął część tego daru gubernatora, i w przeciągu dwóch miesięcy, z pomocą jego towarzyszy, ogród w Longwood zmienił swoją postać, a z nim zdrowie i humor polepszyły się. Wszyscy pracowali tu od godziny czwartej do dziesiątej lub jedenastej z rana, to jest do czasu w którym upał stawał się nieznośnym. Wtedy zasiadał do śniadania zastawionego na dwóch stołach; jednym dla niego i jego znaczniejszych towarzyszy wygnania, drugim dla domowników. Po śniadaniu udawał się na chwilowy spoczynek, toż samo czynili i inni, resztę zaś dnia poświęcał czytaniu i dyktowaniu.

Nazajutrz, z tąż samą co dni poprzednich gorliwością, z jednakową żywością umysłu, jaka niestety, krótko tylko trwać miała, Napoleon stawał znów do roboty wesół, uprzejmy, dowcipny, a często w rozmowach swoich głęboki. Niekiedy drobna roślina lub owad dawały mu przedmiot do rozważania wszechmocności Boga i jego stworzenia, do uwag pełnych namaszczenia i wymowy. Innym razem w wyrazach malowniczych tłomaczył prawdy fizyczne, jakie odkrywał samém badaniem faktów. Jeden z jego służących chińczyków, kopiąc rów do sprowadzenia wody, odkrył korzeń cisu; gdy Marchand ubolewał nad tą szkodą, Napoleon tak go uspokoił: Gdybyś będąc głodnym ujrzał poza sobą zastawione smaczne jedzenie, wtedy zwróciłbyś się niebawem ku niemu. Tak samo zrobi i to drzewo. Te odkryte korzenie wstecz się cofną, i drzewo ucierpiawszy chwilowo, siłę swoją odzyska.

Taka ręczna praca, wpływała korzystnie na postęp prac umysłowych, albowiem wraz z powrotem do zdrowia, co zawdzięczał życiu czynnemu, władze ducha do pierwiastkowej powracały mocy. Jakoż dyktował dalej życie Cezara lub kreślił trafne uwagi i spostrzeżenia w spółczesnych autorów dziełach, nadesłanych mu z Europy. W takie uwagi zaopatrzył dzieło p. de Pradt, obecnie zaś, to jest na początku 1820 r., wziął się do robienia uwag nad historją Stu Dni p. Fleury de Chaboulon, młodzieńca pełnego dobrych chęci, lecz opowiadającego często o tém, czego dobrze nie wiedział lub należycie nie pojmował. Na kartkach tych dziejów, Napoleon zamieszczał noty pełne pobłażliwości dla autora, a zajmujące pod względem historycznym. W inny sposób zajmowała go ważna książka jenerała Rogniat, kreśląca zasady działań wojennych. Rogniat był jednym z najzdolniejszych inżenierów, lubo obok tego, jakaś złośliwość i niesłuszność zdań rzucała cień na jego przymioty wojskowe. Dzieło jego osnute na dziwacznych przywidzeniach, stawiało nadto dowód niewdzięczności dla więźnia św. Heleny, któremu on niegdyś służył z całą uległością, dziś zaś oczerniał go sam bez żadnego pobłażania. Książka ta oburzała Napoleona, lubo nie wzniecała obawy o trwałość jego sławy. — Gdyby żył Fryderyk W., mówił Napoleon, i w podobny sposób krytykował moje kampanje, wtedy uważałbym za konieczne odpowiedzieć mu na zarzuty, lecz tacy jak Rogniat i inni nie zdolni są obudzić we mnie jakikolwiek niepokój. — Pomimo to wszakże, Napoleon uczynił Rogniat'owi ten zaszczyt, iż mu udzielił odpowiedź w formie uwag, które tém samém nadało książce jego nieśmiertelność, jakiejby nigdy zapewne nie dostąpiła. W uwagach tych, Napoleon stylem jasnym, zwięzłym, pełnym mocy, skreślił zasady swych wojen w najdrobniejszych szczegółach, dodawszy przytem rys wojen najsławniejszych w dziejach wodzów. Nigdy

i nikt wznioślej, obok niezrównanej prostoty, nie mówił o czynach tak wielkich mężów, przedmiotem bowiem tych badań był Aleksander, Annibal, Cezar, Fryderyk; Napoleon działania ich oparł na ogólnych zasadach polityki i wojny. Złośliwa, oczerniająca mierność została tu srodze ukaraną.

Lecz, niestety, były to ostatnie błyski jego genjuszu, a można powiedzieć i życia. Rozwinąwszy w kilkomiesięcznym okresie całą swą działalność, Napoleon wraz ze schyłkiem pięknej pory roku, zaczął znów podupadać na zdrowiu, tak iż drugą połowę 1820 r. spędził jak najgorzej. Odtąd stał się znów smutnym, ociężałym na ciele i umyśle, tak iż zaledwie mógł dokończyć życia Cezara, Turenjusza i Fryderyka. Nawet powrót pięknej pory z końcem 1820 r. nowem nie natchnął go życiem. Teraz nie nie używał już ruchu, nogi mu puchły, czuł ich ziębienie, a żołądek nie przyjmował i zwracał pokarmy. Odtąd nie wątpił już o swym bliskim zgonie i oprócz żalu prac zamierzonych a niedokonanych, patrzył na zbliżającą się śmierć z rodzajem zadowolenia.

Napoleon nigdy nie myślał o ucieczce. Rozciągnięta nad wyspą straż nie przepuściłaby najmniejszego czółenka, nadzór zaś nad jego osobą był tak ścisły, że niepodobna było skryć się nawet na kilka godzin, choćby w najniedostępniejszych zakątkach wyspy, by nieobecność jego nie została zaraz wykrytą. Być może że wstręt do przejażdżek w towarzystwie dodawanego mu oficera, pochodził z niepodobieństwa uniknienia wzroku swoich stróżów. Mimo to, rzeczą jest niewątpliwą, że Napoleon uważał ucieczkę za niepodobną do spełnienia. Inna jeszcze, ważniejsza przyczyna wstrzymywała go od tych zamiarów. Badając jako głęboki postrzegacz obecny bieg interessów, widział, że ludzie nie zapominając o jego chwale, w urządzeniach swoich mogli już bez niego obejść się; uważał więc siebie jako zupełnie wykluczonego z widowni świata. Jedyną jego nadzieją było pozyskanie innego siedliska. Lecz i w tej mierze, pomimo widocznej zmiany w umysłach Anglików, Napoleon nie spodziewając się rychłego tryumfu wigów, słabą tém samém pokładał nadzieję w odzyskaniu wolności. Od lorda Holland i jego małżonki odbierał on dowody żywego spółczucia, zacna bowiem ta rodzina podzielała przekonanie, że można strzedz, nie dręcząc tego wielkiego więźnia. Często przysyłali mu książki, owoce, wino, a nadewszystko okazywali dowody sympatji dające przekonanie, że nie był przedmiotem powszechnej nienawiści. Lecz pomiędzy temi dowodami spółczucia osobistego, a postanowieniem rządu, znaczna leżała przestrzeń. Żył więc bez nadziei, a raczej w śmierci jedynego tylko oczekując wyswobodzenia. Wprawdzie rozpoczęte prace piśmienne napawały go słabą chęcią przedłużenia życia; zresztą, kilka

napisanych kartek nie mogły wiele blasku dodać jego sławie. Bo jakkolwiek kartki te szacownemi być mogły dla ludzi umiejących je ocenić, nic one wszakże nie mogły dodać do ogromu utrwalonej jego sławy. Patrzył więc na śmierć bez obawy, a jeżeli niekiedy okazywał objawy przywiązania do życia, były one jedynie wynikiem zachowawczego instynktu, śmierć bowiem uważał jako przyjaciółkę mającą mu otworzyć straszliwe więzienie św. Heleny. Zresztą inne okoliczności utwierdzały go w tém przekonaniu. Wiedział dobrze, że jakkolwiek jenerał Montholon, po odjeździe swojej żony i dzieci pozostawszy na wyspie nie okazywał najmniejszej chęci złączenia się z niemi, poświęcenie jego atoli nie mogło być wiecznem, bo obowiązki rodzinne nakazywały mu pomyśleć o swej familji i złączyć się z nią w Europie. Rodzina Bertrand, nieco opodal od Longwood mieszkająca, oddana samotności i tęsknocie w gronie licznych dzieci potrzebujących wychowania, nie mogła także długo zaniedbywać swoich obowiązków. Raz nawet z całym szacunkiem pani Bertrand oświadczyła Napoleonowi, że z tych powodów zmuszoną będzie wkrótce opuścić św. Helenę. Nie mogąc potępiać tego postanowienia, Napoleon żywą jednak uczuł ztąd boleść. Wiedział, że wielki marszałek nie zniesie tego, aby małżonkę swoją samą w tak daleką wyprawił podróż; upoważnił go więc do wydalenia się na tak długo, jak tego okoliczności wymagać będą. Wprawdzie rodzina Bertrandów, tak swem odleglejszem od Longwood mieszkaniem, jako i swojem usposobieniem, mniej przyjemności w pożyciu, niż rodzina Montholon'ów Napoleonowi zapewniała, mimo to, cenił on wysoce szlachetną uczciwość marszałka, wzniosłe uczucia jego małżonki i ze smutkiem spoglądał w przyszłość w której kolonja wygnańcza ograniczyć się miała na nim i Marchand'zie. — Ty nie masz dzieci, których wychowaniem musiałbyś się zajmować, rzekł do tego ostatniego, ty mi więc zamkniesz oczy. Będziesz mi czytywał książki, zapiszesz jeszcze kilka kartek i potem odjedziesz. Widzę zresztą, że czas już abym odszedł od was!...

Nadszedł nakoniec r. 1821, a z nim ostatni kres bytu Napoleona. W początkach Stycznia czuł niejakie polepszenie zdrowia, lecz polepszenie to było chwilowe. — Jestto tylko kilko-tygodniowa zwłoka, mówił, potem choroba wróci do swego biegu.— Jeszcze kilka kartek podyktował Marchandowi o Cezarze, i te były już ostatnie. W tymże prawie czasie dzienniki doniosły o śmierci siostry jego Elizy. Wiadomość ta głębokim przejęła go smutkiem. Od czasu dojścia do rozumu, pierwsza to osoba umarła w jego rodzinie. — *Idźmy więc*, wyrzekł, *ona mi wskazuje drogę; trzeba pójść za nią!*— Jakoż, symtomata tylokrotnie już objawiające się, powtórzyły się teraz z całą mocą. Cera jego przybrała barwę

żółtą, oczy zapadły, nogi nabrzmiały, palce u nóg i rąk ziębły, żołądek stał się tak drażliwym, iż zwracał najlżejsze pokarmy, połączone z jakiemś czarniawemi wydzielinami. Miesiąc Luty nie przyniósł żadnego polepszenia, owszem chorobliwe oznaki stawały się coraz zatrważającemi. Nie mogąc strawić żadnego pożywienia, dostojny chory słabł z każdym dniem. Przytem jakieś paląc e, nieugaszone pragnienie zaczęło go udręczać; puls dotąd powolny, stawał się szybszym, gorączkowym. Czasem pragnął odetchnąć świeżem powietrzem, a wyniesiony znieść go nie mógł. Światło nużyło go; n'e opuszczał swoich dwóch pokoików. Tu stały dwa jego łóżka obozowe, na które z jednego na drugie kazał się przenosić. Już nic nie dyktował, kazał tylko czytać Homera lub o wojnach Annibala z Tytusa Liwiusza, bo nie miał Polibujsza, którego tak pragnął.

Z nadejściem miesiąca Marca stan zdrowia Napoleona o wiele się pogorszył. W dniu 17 pragnąc odetchnąć świeżem powietrzem, kazał się wnieść do powozu, lecz zaledwie wyruszył z miejsca, zemdlał i musiał być przeniesiony do łóżka z którego już nie powstał. — Już po mnie, rzekł Napoleon, monarchowie wrogowie moi mogą być już spokojni, wkrótce przestaną o mnie się lękać.— Wierni słudzy Napoleona nie opuszczali go odtąd. Marchand i Montholon dniem i nocą czuwali przy jego łożu, za co wyrażał im najwyższą wdzięczność. Wielki marszałek zapewniał, że ani on, ani żona jego nie opuszczą chorego, za co Napoleon serdecznie im dziękował. Kiedy Bertrand spytał, czy żona jego może go odwiedzić: — Nie jestem usposobiony do przyjęcia, odrzekł; przyjmę panią Bertrand jak będę zdrowym. Powiedz, że jej dziękuję za ofiarę sześciu lat na tem pustkowiu.

W tak rozpaczliwym stanie, nie wychodząc i nie przyjmując najdroższych swoich przyjaciół, drażliwy nawet na wpływ powietrza i światła, Napoleon stał się niewidzialnym dla swoich stróżów. Dręczony niepokojem Hudson Lowe, nie bacząc że tak ciężka choroba wywierała nieudany smutek na wszystkich twarzach w Longwood, nowego doznawał przestrachu. Oficer służbowy, pełen względności i uszanowania, nie wątpiąc o istotnym stanie rzeczy, wszelkiemi siłami upewniał gubernatora, mówiąc, że choroba jest rzeczywistą, że zatem zbytecznem byłoby udręczać chorego chęcią naocznego przekonania się. Tym upewnieniom nie wierzył sir Hudson Lowe; ten sam niepokój podzielali i komisarze. Austrja odwołała p. Stürmer, przekonnną będąc, że Anglja ze swych szpon nie wypuści zdobyczy; zresztą obecność posłannika austrjackiego, czyniła mocarstwo to odpowiedzialnem za niecne obchodzenie z zięciem Franciszka II P. Balmain, zaślubiwszy córkę Hudsona Lowe, uprzedzenia jego podzielał. Co się tyczé komisarza francuzkiego p. de Montchenu, ten sil-

nie obstawał za potrzebą naocznego przekonania się i wyjścia z tej niepewności. Pod wpływem więc takich wrażeń, Hudson Lowe rozkazał oficerowi służbowemu przemocą wejść do komnaty chorego, jeśliby tego była potrzeba, by upewnić się o jego obecności, gdyż od piętnastu dni nikt go nie widział. Oficer powodując się najwyższą delikatnością, zawiadomił o swem kłopotliwem położeniu p. Montholon i Marchand'a, zapewniając, że rozkazu tego nie spełni, by miał siłą wypierać drzwi do sypialni Napoleona, prosił jednakże, aby panowie ci ułatwili mu możność widzenia chorego. Motholon, który nie podzielając przekonań wielkiego marszałka, nie uważał, by w tych ustawicznych sporach i niesnaskach honor Napoleona był na ujmę wystawiony, porozumiawszy się z oficerem, umieścił go przy oknie i otworzył je w chwili, gdy chorego przenoszono z jednego na drugie łóżko. Oficer ujrzawszy wtedy to zmienione i cierpieniami zapadłe oblicze, złożył zaraz gubernatorowi piśmienny raport zapewniający, że położenie w Longwood nie było udaną komedją.

Zaledwie ten nieszczęśliwy gubernator odetchnął z jednej obawy, gdy nowa udręczać go zaczęła; teraz bowiem lękał się i wyrzucał sobie, że więzień jego umiera bez pomocy. Nalegał więc aby w pomoc doktorowi Antomarchi użyto którego z lekarzy wyspy, co dałoby sposobność pozyskania codziennego naocznego świadka obecności Napoleona i wiadomości o postępie choroby, a nadewszystko uwolniłoby od odpowiedzialności przed Europą za pozbawienie dostojnego pacjenta pomocy sztuki lekarskiej. Sam Antomarchi nie chcąc na siebie brać odpowiedzialności, żądał aby przybrano jednego lub dwóch lekarzy. Napoleon wniosek ten odpychał nie chcąc aby go daremnie udręczano środkami, w których skuteczność nie wierzył. Mimo to, na wyspie św. Heleny znajdował się lekarz 20go pułku, człowiek używający powszechnego szacunku. Napoleon ulegając prośbom przyjaciół, zezwolił na przyzwanie tego doktora, przyjął go uprzejmie, powtórzył to co już tyle razy opowiedział o swojém zdrowiu dodając, że byłato już *przegrana bitwa*; udał wszakże, że przyjął rady, lubo ich nie spełnił, by, jak mówił, umrzeć spokojnie.

Tak dociągnął do ostatnich dni Kwietnia, spokojnie, bez żadnej nadziei poglądając w bliski swój rozbrat ze światem. Wtedy to postanowił napisać testament. Majątek Napoleona składał się z 4 miljonów franków u p. Lafitte, oprócz zaległych procentów i niejakich resztek z summ powierzonych księciu Eugenjuszowi. Z tych ostatnio pomienionych zapasów Napoleon wziął 200 czy 300 tysięcy fran. za pośrednictwem p. de Las Cases, po jego powrocie do Europy, przez co ocalił owe 350,000 fran. w złocie, przywiezione z sobą na św. Helenę. Kapitał ten rozdzielił pomiędzy p. Montholon, wielkiego marszałka, Marchand'a i innych służą-

cych, a to celem zapewnienia im środków powrotu do Europy i urządzenia się na pierwszy początek. Z czterech około miljonów u Lafitta, dwa zapisał Montholon'owi, chcąc mu zapewnić byt odpowiedni, 700 czy 800 tysięcy fr. familiji Bertrand'a, a około pół miljona Marchand'owi. Temu ostatniemu nadto przekazał djamentowy naszyjnik królowej Hortensji, ustanawiając go, wraz Montholon'em i Bertrand'em, w nagrodę niezachwianego przywiązania, wykonawcą swej ostatniej woli. W testamencie nie przepomniał i innych swych służących, czyniąc zapisy odpowiednie ich położeniu, mogące los ich zabezpieczyć. Jakkolwiek niezbyt zadowolony z doktora Antomarchi, uznając wszakże jego około siebie starania, zapisał mu 100 tysięcy fr.; nie przepomniał także i o księdzu Vignale, który sam z dwóch przysłanych mu księży pozostał na wyspie, jak również i o domownikach chińskich, którzy mu wiernie i szczerze służyli. Tak zapewniwszy los każdego podług możności, ogromadził przedmioty mające wyższą wartość i te, jako mogące stanowić pamiątkę, rozpisał na rzecz swego syna, matki, siostr i braci. Jednę ze swoich tabakierek przeznaczył zacnej pani Holland. Do tych zapisów przydał niektóre wyrazy przywiązania dla Marji Ludwiki, bo jakkolwiek nie łudził się żadnemi wyobrażeniami o tej księżniczce, chciał przecież uczcić w niej matkę swego syna.

Skreśleniu tych ostatnich rozporządzeń, kilka dni poświęcił; znużenie tylko i dolegliwe cierpienia prace te niekiedy przerywały. Tak ukończywszy dzieło, wierny zawsze swemu zamiłowaniu porządku, kazał spisać protokuł zdania testamentu jego wykonawcom, jak równie wszelkich przedmiotów własnością jego będących, a to dla uniknienia sporów jakieby po jego śmierci wyniknąć mogły. Polecił nadto aby pogrzeb odbył się wedle obrządku katolickiego i aby sala stołowa, w której odprawiano mszę, zamienioną była na kaplicę przedpogrzebową. Słuchając tych poleceń dawanych księdzu Vignale, doktór Antomarchi nie mógł wstrzymać się od śmiechu. Napoleon poczytując to za brak poszanowania dla jego powagi, genjuszu i śmierci rzekł doń tonem dość surowym: Młodzieńcze, być może że masz za wiele rozumu, abys wierzył w Boga: nie wchodzę w to... lecz dość chcieć, by nie być ateuszem! Ta surowa nauka, wypowiedziana w słowach godnych męża umierającego, zmieszała młodego lekarza; uniewinniając się więc zakłopotany, uczynił zarazem wyznanie najświętszych zasad i moralności.

Te przygotowania do śmierci znużyły, i można powiedzieć, przyśpieszyły zgon Napoleona. Mimo to doznał on moralnego zadowolenia i ulgi widząc interesa swoje uporządkowane i los towarzyszów niedoli, zapewniony. Z uśmiechem więc spoglądając w oblicze zbliżającej się

śmierci, rzekł do nieodstępnych Montholon'a i Marchand'a: *Dziś, kiedym już tak urządził swoje interesa, żalby mi było nie umierać!*

Nadszedł nareszcie koniec Kwietnia, a cierpienia stawały się coraz groźniejsze i dolegliwsze. Kurcze, wymioty, gorączka, pragnienie nie ustawały. Od czasu do czasu Napoleon brał po kilka kropel zimnej wody ze źródła z pod góry Diany, i chwilowej doznawał ulgi. — Pragnę, mówił, być pogrzebionym nad brzegami Sekwany, jeśli to kiedy nastąpić może, lub w Ajaccio, siedlisku mojej rodziny, albo nareszcie, jeżeli niewola rozciągniętą być ma i nad mojemi zwłokami, pragnę spoczywać przy źródle, którego woda ulgę mi niosła.— Obecni ze łzami w oczach przyrzekli spełnić jego wolę, nikt bowiem nie taił stanu, który on sam znał dobrze. — Wy wszyscy, rzekł do otaczających go przyjaciół, powrócicie do Europy. Was otoczy tam blask mojej chwały i zaszczyt szlachetnego poświęcenia. Będziecie tam poważani i szczęśliwi. Ja połączę się z Kleber'em, Desaix'em, Lannes'em, Masseną, Bessierem, Duroc'em, Ney'em!... Oni wyjdą na moje spotkanie... i raz jeszcze upoję się szałem ludzkiej sławy... Tam przypomnimy sobie nasze czyny, tam zawód wojenny będzie przedmiotem rozmów z Fryderykiem, Turenjuszem, Kondeuszem, Cezarem, Annibalem... Poczem wstrzymując się, Napoleon dodał z uśmiechem: *Byle tylko tam, jak tu na ziemi, nie przestraszono się widokiem tylu naraz zebranych wojowników.*— Ten lekki żart, obok tak uroczystej mowy, wzruszył mocno obecnych. W dniu 1 Maja konanie zaczęło się wyraźniej objawiać i cierpienia ani na chwilę nie ustępowały. W dniu 2 i 3, Napoleon trawiony gorączką, jęczał w gwałtownych kurczach. Jeżeli na chwilę uciszyły się bóle, umysł jego budził się w całym blasku i pogodzie. W tych to przerwach, podyktował pod tytułem pierwszego i drugiego marzenia, dwie uwagi o obronie Francji w razie najścia nieprzyjaciół. W dniu 3 Maja zaczął majaczyć, wymawiając przerywane słowa: *Mój syn... wojsko... Desaix...* Sądząc po doznanych wzruszeniach, możnaby wnosić, że Napoleon w ostatniej życia dobie miał widzenie bitwy pod Marengo wygranej przez Desaix'a. Przez dzień 4 Maja konanie trwało bez przerwy, a szlachetne oblicze bohatera srogich doznawało udręczeń. Czas był przykry, była to bowiem pora niepogód na wyspie. Gwałtowne wichry z deszczem wyrwały z korzeniem kilka świeżo zasadzonych drzewek. Nakoniec, dzień 5 Maja nie pozostawiał żadnej wątpliwości o nadejściu ostatecznego kresu istnienia tego nadzwyczajnego męża. Wszyscy domownicy Napoleona, klęcząc około łoża śledzili wzrokiem ostatnie błyski jego życia. Niestety, te ostatnie błyski były właśnie oznakami najwyższych cierpień. Oficerowie angielscy zebrani przed domem z pełną

uszanowania ciekawością wypytywali służących o postępie konania. Przy schyłku dnia cierpienia słabły z ulatującem życiem, ciało stygło, śmierć wyraźnie owładła swoją ofiarę. Tego dnia wiatr się uciszył, niebo było pogodne. Około godziny 5 i minut 45, to jest w chwili kiedy słońce kryło się w otchłanie morza, i kiedy działo angielskie dawało znak udania się na spoczyk, liczni świadkowie zauważyli, że Napolen już nie oddychał i że duch jego wraz z życiem uleciał. Wtedy wszyscy ucałowali jego ręce, a Marchand okrył ciało jego zabranym przez siebie na wyspę płaszczem, jaki pierwszy konsul nosił pod Marengo, pozostawiając odkrytą szlachetną jego głowę.

Po konwulsjach konania, tak przykrych zawsze dla patrzących, oblicze zmarłego pokryło się spokojem pełnym uroczej powagi. Ta piękna twarz wychudzona cierpieniem, przybrana w płaszcz z pod Marengo, przypominała teraz jego rysy młodzieńcze, tak iż obecni zdawali się widzieć jenerała Bonaparte w całej jego chwale.

Gubernator i komisarz francuzki przybyli nasycić wzrok swój tym widokiem, przed tą śmiercią atoli, tak niezwykłą jak całe życie zachowali się z należnem uszanowaniem.

Napoleon, sześcio-letnią niewolą, odpokutował za przestrach jakim świat cały przejmował, a ci których naznaczono na jego stróżów, podzielając ten przestrach, obchodzili się z nim z mniejszą lub większą srogością, stosownie do zajmowanego przy nim stanowiska. Oficerowie służbowi mając sposobność przypatrywać mu się zbliska, nie mogli nie przejmować się jego położeniem, by ulżyć więzy ile razy ku temu zdarzała się sposobność. Sir Hudson Lowe nie widując go z bliska, dręczony niepewnością, często przysparzał mu cierpień, niekiedy jednakże wzruszał się litością nad położeniem swego więźnia. Gorszym był nierównie lord Bathurst, bo ten w odległości dwóch tysięcy mil, nie patrząc na cierpienia ofiary, a podzielając namiętności Europy, okazywał się nieubłaganym. Smutną więc swojej ojczyźnie pozostawił spuściznę, bo jeżeli sprawiedliwość nakazywała strzedz Napoleona, ona wszakże nie upoważniała nikogo do udręczeń i upokorzeń.

Stosownie do pozostawionych instrukcji, dopełniona na ciele Napoleona sekcja okazała, że główną przyczyną śmierci był rak żołądka. Nadto, zwiększona nieco wątroba świadczyła, że zdrowie jego uległo wpływom klimatycznym. Pewnem jest wszakże, że zmartwienia i rozpacz ukryta, nadto, brak ruchu przyspieszyły postęp choroby i śmierć, lubo liczby lat jakie Napoleon mógłby jeszcze przeżyć, niepodobna było oznaczyć.

Ciało po bliższem obejrzeniu okazywało ślady kilku ran lekkich, a trzech bardzo wyraźnych. Z tych ostatnich jedna na głowie, druga na tak zwanym serdecznym palcu lewej ręki, trzecia na lewem udzie, bardzo głęboka, zadana bagnetem w oblężeniu Tulonu. Pochodzenie tej jednej blizny można było historycznie oznaczyć. Z dopełnionego wymiaru i szczegółowego opisu okazało się, że Napoleon miał 5 stóp i 2 cale (miary francuzkiej), ciało we wszelkich częściach proporcjonalne, ręka i stopa odznaczało się regularnością kształtów, ramiona szerokie, pierś dobrze rozwinięta, szyja nieco za krótka, głowa dość duża, mocno osadzona i ukształtowana podług wszelkich zasad anatomicznych, nakoniec twarz, oznaczała się pięknością jaką śmierć nawet uszanowała. Rysy jej w pamięci społczesnych niezatartemi pozostały, a potomność porównywając ją z popiersiami mężów starożytności, przyzna, że oblicze Napoleona było jedném z najpiękniejszych, jakiemi Bóg chciał genjusz wypiętnować. Życie jego tak bogate w czyny, i niejako wieki całe sobą zapełniające liczyło 32 lat istnienia. Montholon i Marchand przybrali ciało w mundur gwardji szaserów, który Napoleon najchętniej nosił i w mały kapelusz, jaki zwykle nakrywał tę potężną głowę. Jeden ksiądz i kilku przyjaciół odmawiali modlitwy przy tych martwych zwłokach. Jaka dziwna sprzeczność głębokiej ciszy i samotności około człowieka, którego świat cały otaczał i uwielbiał! Jednakże, trzeba przyznać, że żołnierze angielscy, by oddać cześć wojskową, wszyscy przychodzili odwiedzać zwłoki przez czas wystawienia ich w trumnie. Nakoniec, kiedy już ukończono grób w pobliżu zdroju, przyjaciele Napoleona, w orszaku gubernatora, sztabu, załogi wyspy i marynarzy, zanieśli ciało na miejsce spoczynku do czasu, w którym stosownie do objawionych życzeń, przewiezione być miało na brzegi Sekwany. Nad tem bezdusznem ciałem ozwały się po raz ostatni angielskie działa, a towarzysze niewoli odmówiwszy modlitwy nad grobem, który przyjął w swe łono jednego z natwiększych ludzi poczynając od Cezara i Karola W., zaczęli robić przygotowania do powrotu do Europy. Dla dopełnienia długiego pasma nauk z grobu tego wypływających, dodajmy, że towarzysze Napoleona wszędzie, nawet w Anglji, dobrego doznawali przyjęcia, gdy tymczasem Hudson Lowe, wierny wykonawca woli swego rządu, przyjęty był ozięble od spółrodaków, ze strony ministrów którym ślepo służył doznał niewdzięczności, a nawet przyjaciele witali go z niejakiem zakłopotaniem. Była to ręka przedwiecznej sprawiedliwości, tu na ziemi karę wymierzająca! Napoleon za udręczenie świata odpokutował na wyspie św. Heleny; ci zaś którym wypełnienie tej kary polecono, odpokutowali w następstwie za nieposzanowanie w nim chwały i genjuszu!

Czytelnik niech nam przebaczy, że powodowani ogromem wypadków, tak długo rozwiedliśmy się nad opisem dziejów Napoleona; zanim atoli do kresu ich dobiegniemy, niech nam wolno będzie zastanowić się jeszcze nad tą niezwykłą osobistością, zapełniającą sądy całej potomności, co starać się będziemy spełnić, o ile światło nasze i bezstronność na to zezwoli.

Napoleon otrzymał z natury umysł bystry, przenikliwy, uniwersalny, szybki, obok równej żywości charakteru. Zawsze i w każdej rzeczy zmierzał on wprost do celu. Jeżeli szło o przekonanie innych, znajdował stanowcze dowodzenia; stając do bitwy, wynajdował obroty niewątpliwe. Objęcie rzeczy, chęć i działanie było w nim jednym nierozdzielnym czynem, tak, iż pomiędzy myślą a spełnieniem jej nie było prawie granic. Stawiać tak potężnemu genjuszowi jakieś mierne trudności, okazywać nieudolną powolność, słabość lub złą wolę, było toż samo co chcieć wstrzymać gwałtowny wodotrysk, zasypujący pianą stawiających mu przeszkodę. Gdyby Napoleon obrał był jakikolwiek zawód cywilny, w którym oddziaływa się na ludzi jedynie drogą perswazji, wtedy być może przywykłby do panowania nad sobą, do miarkowania swoich popędów; lecz rzucony w zawód siły, to jest, w zawód wojskowy, obdarzony przytem zdolnością obejmowania jednym rzutem oka, gdzie i kiedy można było odnieść zwycięztwo, jednym zamachem zapanował nad Włochami, drugim owładnął rzeczpospolitą francuzką, a trzecim ujął w moc swą całą Europę. I cóż dziwnego, że ten człowiek, prędki z natury, odniesionemi zwycięztwami stał się jeszcze prędszym, porywczym i absolutnym w swojej woli! Jeżeli poza obrębem pola bitwy traktował rzeczy z spokojem, jakiego wymagają sprawy cywilne, to tylko w radzie stanu, gdzie bystrością swego umysłu, zadziwiającą trafnością zdania, najzawilsze nieraz kwestje rozcinał od razu i podbijał swoich słuchaczy, wyjąwszy te rzadkie wypadki, w których silne namiętności lub niedostateczna znajomość przedmiotu na mylną unosiły go drogę. Wszystko więc, bo sama natura i wypadki przyczyniało się do uczynienia tego monarchy gwałtownym i absolutnym.

Bliżej atoli rozpatrując dzieje Napoleona przekonywamy się, że nie od razu i nie w całym zakresie rozwijało się to chciwe władzy usposobienie. W wieku młodzieńczym wątłej budowy, milczący, często smutny, bo pożerany ambicją, trawiącą go skrycie do czasu spełnienia swoich zamiarów, zwolna zaczyna nabierać w siebie ufności, staje się otwartszym, pogodniejszym, wymówniejszym, od chwili zwłaszcza, gdy zyskany rozgłos i podziw imię jego głośniejszem czyniły. Jako dożywotni konsul, następnie cesarz, zwycięzca pod Marengo i Austerlitz, nie umiejący ha-

mować się, lubo jeszcze panujący nad sobą, wydaje się być wtedy u szczytu swego charakteru, a doszedłszy do średniej tuszy, świetnieje regularnością rysów i męzką pięknością. Niebawem wszakże widząc korzące się przed nim ludy i monarchów, zrywa wyraźnie wszelkie węzły z ludźmi i naturą. Wtedy rzuca się na wszelkie zamiary, staje się wesołym, poufałym, nieumiarkowanym w mowie, rozwija się fizycznie i moralnie, dostaje nadmiernej tuszy, która wszelako nie ujmuje jego piękności, zachowuje w przedłużonem obliczu wzrok pełen ognia, i jeżeli z tej wysokości w jakiej wszyscy nawykli nań patrzeć i podziwiać, bać się lub nienawidzieć, schodzi nagle na stopień familjarności, popularności, to znów szybko wraca do swej powagi, na ujmę jej nie narażając. I kiedy nakoniec, wraz z powiększającą się ociężałością ciała i mniej przyjaznym losem, działalność jego i odwaga zmniejszaćby się były powinny, on wtedy tém szybciej dosiadał konia, dając tém samém dowód, że ciężar fizyczny ustępuje w nim zawsze przed ogniem ducha i że doznane niepowodzenia przytłoczyć go nie potrafią.

Taka była ta nadzwyczajna w swych objawach natura. Jeżeli teraz zechcemy rozważać Napoleona ze strony jego moralnej, większe tu w jego należytem ocenieniu napotkamy trudności; trudno bowiem znaleźć dobroć serca w żołnierzu szukającym tylko pola zasłanego trupami, przyjaźń w człowieku nieznającym sobie równych, uczciwość nakoniec, w mocarzu władnącym skarbami świata. Jakkolwiek człowiek ten nie należał do zakresu ludzi zwyczajnych, nie trudno wszakże wykryć tu i owdzie rysy moralnej jego fizjonomji.

Głównym jego w każdym razie charakterem była prędkość i porywczość. Z gwałtownych atoli uniesień, szybko i prawie zawstydzony przechodził do umiarkowania; wtedy śmiejąc się, bez uchybienia swej godności, oficerowi upokorzonemu wybuchem jego gniewu, giestem lub głosem, łagodził objawioną porywczość. Często także gniew jego był udanym, okazywanym jedynie dla wzbudzenia przestrachu w podwładnych niespełniających należycie swoich obowiązków. Gniew jego prawdziwy krótką trwał chwilę; udany, przeciągał się według potrzeby. Jak tylko schodził z pola na którem dowodził i gdzie należało powstrzymywać lub pobudzać żołnierzy, Napoleon stawał się zaraz łagodnym, łatwym w obejściu, sprawiedliwym, umiejącym uznać ludzkie słabości i przebaczającym. W czasie pobytu na wyspie św. Heleny, lubo pozbawiony już wszelkiej władzy i uroku, umiał wyższością swego umysłu i charakteru utrzymać w karbach swoich towarzyszy, umiał ich swoją dobrocią do siebie przywiązać, tak iż dawniejsza przed nim obawa, zamieniła się w szczere przywiązanie. Na polu bitwy umiał zachować straszliwą, że tak powiem,

nieczułość; bez wzruszenia patrzył na ziemię okrytą tysiącami trupów, bo żaden bohater tak obficie krwią ludzką nie szafował; lecz ta nieczułość była wynikiem jego powołania. Często, zapełniwszy plac boju okropnościami wojny, Napoleon przebiegał go wieczorem dla zebrania rannych, zsiadał z konia dla upewnienia się, czy w pozornie zabitym nie tlała jeszcze iskra życia. Pod Wagram spostrzegłszy młodego człowieka w zbroi kiryssjerskiej leżącego na ziemi, z twarzą skrzepłą krwią pokrytą, szybko zsiadł z konia, podniósł głowę rannego, a opierając ją na swém kolanie i orzeźwiającym płynem budząc go do życia: Wróci do życia, zawołał z radością, jednego więcej ocaliłem! Dowód to, że ta dusza nie była pozbawioną uczucia litości.

Porządny w rachunkach aż do chciwości, pilnie upominający się o każdy grosz wydany, hojnę dłonią rozsiewał miljony swoim służącym, przyjaciołom i nieszczęśliwym. Kiedy raz dowiedział się, że jeden z jego towarzyszów wyprawy egipskiej, znakomity uczony, znajdował się w trudném położeniu, posłał mu znaczną summę, obok wyrzutów za zachowaną przed nim tajemnicę. W 1813 r. po wyczerpaniu wszelkich zapasów oszczędności, dowiedziawszy się że pewna dama wysokiego rodu, niegdyś opływająca w dostatkach, dziś jest pozbawioną środków do zaspokojenia najpierwszych potrzeb życia, Napoleon z własnej szkatuły wyznaczył jej 24,000 fr.; a gdy nadto dowiedział się, że pani ta ma już 80 lat wieku: — Biedna kobieta, dodał, niech jej wyliczą czteroletnią pensją naprzód! — Nie sążto zarysy prawdziwej dobroci serca?

Wielość zatrudnień, a ztąd brak czasu, nie dozwalały Napoleonowi oddawać się uczuciom prywatnym, z czasem jednakże w miarę znikania przestrzeni dzielącej go od innych ludzi, przywiązywał się aż do pobłażliwości do tych, których kochał. Nieraz, nawet względem swych krewnych okazywał się surowym i oburzał się na ich przesadzone częstokroć żądania; mimo to nie mogąc znieść widoku ich smutku, czynił dla ich zadowolenia to, co sam za złe uważał. Dla cesarzowej Józefiny, w której chwilowe upodobania czas rozproszył, zachował zawsze, nawet po rozwodzie, prawdziwe uczucie przywiązania. Śmierć Duroc'a opłakiwał, ale łzy swoje ukrywał, by mu je za słabość nie poczytano.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę uczciwość Napoleona, dość będzie powiedzieć, że człowiek ten, objąwszy dowództwo, ogromnemi rozporządzał skarbami. Mianowany wodzem armji włoskiej, a zarazem panem tej bogatej krainy, postawił swoje wojsko w położeniu dostatniem, armji nadreńskiej posłał zasiłki dla podźwignienia jej z nędzy, nie wziął nic dla siebie, nawet tyle ile potrzeba było na kupno domku przy ulicy Zwycięztwa, na nabycie którego wystarczała jednoroczna jego pensja; i gdyby

był poniósł śmierć w Egipcie, żona jego nie miałaby zapewnionego losu. Byłaż to duma, pogarda dostatków czy uczciwość? Zaiste było to po części wszystko, bo takie zaparcie się własnych widoków było wtedy zwykłem pomiędzy jenerałami francuzkimi. Wszelką też nieuczciwość ścigał i karcił surowo, co przypisywać można zamiłowaniu porządku i oszczędności; przeciwnie, ludzi doświadczonej uczciwości otaczał dowodami przychylności, lubił przestawać w ich towarzystwie i jawnie życzliwość swą im okazywał.

Człowiek ten wszakże, tak wysoko postawiony od Boga, nie był obdarzony cnotą, której wyrazem obejmujemy bezwzględne wyobrażenie o obowiązkach i poddanie jej wszelkich swych skłonności, wszelkich zachceń tak fizycznych jako i moralnych, co zresztą nie mogło leżeć w naturze tak trudnej do pohamowania. Lecz jeżeli mu zbywało na tém co nazywamy cnotą, posiadał on jednakże pewne, że tak powiem, cnoty stanu, niezbędne dlu wojownika i rządzcy. Był on wstrzemięźliwy, nie oddawał się uciechom zmysłowym, nie lubił długo ucztować przy stole, sypiał na twardem, a lubo dość wątłej budowy, znosił cierpliwie trudy, którym uledz mógł najwytrzymalszy żołnierz. Zdolnym był do wszelkich wielkich czynów, mężnie szedł na niebezpieczeństwa, rzucając się wszędzie gdzie dowództwo i pokierowanie obrotami obecności jego wymagały. Takie były przymioty Napoleona jako żołnierza, obaczmy teraz przymioty jego jako wodza; lecz i w tym względzie, żadne z wodzów nie umiał z większą mocą, przytomnością umysłu i zimną krwią znosić kłopotów tak ogromnego kierownictwa. Jeżeli kiedy był porywczym, gwałtownym nawet, to wtedy zapewne kiedy *wszystko szło dobrze*, jak mawiali oficerowie znający jego usposobienie. Ile razy zaś niebezpieczeństwo stawało się wyraźniejszem, Napoleon uspakajał się, łagodniał, zachęcał do męztwa, porywczością swoją nie zwiększał kłopotów z samego położenia rzeczy wypływających, okazywał twarz pogodną, umiał bowiem panować nad sobą, zwłaszcza w trudnych okolicznościach, umiał obliczyć doniosłość niebezpieczeństwa, wiedział jak go uniknąć i sam nieprzyjazny los pokonać. Urodzony do wielkich ostateczności i do nich przywykły, widząc że w roku 1814 wygórowaną swoją dumą postawił się w trudném położeniu i że tém samém stał się samobójcą własnej wielkości, z zimną krwią przyjął los mu zgotowany, i kiedy nikt żadnej nie pokładał nadziei, on jeden żywił ją w sobie, unosząc się na skrzydłach swego genjuszu ponad przeszkody i trudności położenia, z rezygnacją ducha i poddaniem się zasłużonej za swe błędy karze.

Taki był, zdaniem naszem, ten dziwny, tak rozmaity i niepojęty człowiek. Jednym z główniejszych, dających się wyraźniej oznaczyć rysów

jego charakteru, jest nieumiarkowenie i porywczość moralna. Rzucony w zamęt rewolucji, genjusz ten rozwija się, podbija wszystko pod swą władzę, nabiera energji, śmiałości i woli niczem nie powstrzymanej. Jako następca wszechwładnego ludu nie znającego granic w cnotach i zbrodniach, w męztwie i okrucieństwach, otoczony zresztą ludźmi na wszelkie namiętności rozpasanymi, Napoleon nie miał także kłaść tamy swoim namiętnościom. Lud ten chciał zamienić świat w uniwersalną rzeczpospolitą; Napoleon chciał ją znów zamienić w uniwersalną monarchją; tamten dążył do chaosu, ten do skupienia jej w jedność prawie tyrańską; tamci rozrywali dotychczasowy porządek, ten przeciwnie chce podług swej myśli nowy stan rzeczy zaprowadzić; rewolucja deptała monarchów, Napoleon wyzuwa ich z tronów; tam tysiące ofiar padało pod gilotyną, tu ginęły one na polu walki pod zaszczytną tarczą sławy. Napoleon wysłał na śmierć więcej ludzi, niż wszyscy zdobywcy azjatyccy, i przebiegł większe obszary, niż Tamerlan lub Gengiskan przebiegł ich w pustyniach Azji.

Niepohamowana więc żądza była głównym rysem jego zawodu. Z tego to zapatrując się stanowiska, łatwo sobie wytłomaczymy, dla czego ten głęboki wódz, ten mądry prawodawca i biegły administrator, był po Aleksandrze W., najsłabszym politykiem. Gdyby polityka była tylko wypływem ducha, Napoleon przewyższyłby nią wszystkich najbieglejszych mężów stanu; lecz polityka jest bardziej udziałem charakteru niż ducha, i ztąd właśnie wypływają błędy Napoleona. W młodości swej, jeszcze przed podbiciem swiata, kiedy zmuszony był obliczać i łamać się z trudnościami, Napoleon okazuje się przebiegłym, wyrachowanym i cierpliwym. W r. 1796 wkraczając z słabą armją do Włoch, umiał przywiązać do siebie ludność, zasłaniać opieką księży, oszczędzać monarchów, których można było nazwać republikanami Paryża. Przeniósłszy się zaś na Wschód, gdzie była obawa nienawiści muzułmanów, stara się przywabić ku sobie szeików arabskich, obiecuje im przejść na ich wiarę, nie bacząc na to co powiedzą nabożnisie paryżcy, i tym sposobem zupełnie ich dla siebie pozyskał. Później zajęty innem zupełnie dziełem, to jest Konkordatem, dziwną mieszaniną zręczności i energji, stara się pokonać przesądy Rzymu, a co więcej przesądy filozofów. W inném już miejscu wykazaliśmy jakich w tej mierze używał sposobów, podejść i siły, jak nie zbywało mu na zdolnościach politycznych. Wtedy nie był jeszcze panem wszechwładnym, musiał więc żądze swoje hamować. Dopiero zostawszy nim, już się nie powstrzymywał i z całego genjuszu politycznego została mu tylko najmniejsza jego cząstka, rozum; charakter zaś znikł zupełnie.

Dodajmy wszakże na jego usprawiedliwienie, że jeżeli kiedy polityka nie jest na dobie, to pewno podczas każdej rewolucji. Polityka bowiem jest to powolne i rozumne rozwijanie przeszłości; przeciwnie, rewolucja jest gwałtownem i zupełnem zerwaniem z przeszłością. Prawdziwa polityka jest dziełem kilku generacji; kroczy ona cierpliwie, z namysłem, powoli i nie dąży do celu jednym rzutem. Tak Henryk IV, uciszywszy niepryjazne stronnictwa i poniżywszy dom hiszpański i austrjacki, związkami krwi i dumy złączone, przekazuje te wielkie cele Richelieu'mu, ten następnie Mazarin'owi, ten znów Ludwikowi XIV, który posadziwszy swego wnuka na tronie hiszpańskim, rozdziela na zawsze Hiszpanją od Austrji. Tak w Prusach elektor nadaje militarną ważność swemu narodowi, po nim Fryderyk III przywdziewa koronę, następnie Fryderyk Wilhelm I, dla podtrzymania nowej godności dla swej rodziny, stwarza armją i gromadzi skarby, nakoniec Fryderyk W., w chwili przesilenia, śmiałym krokiem poparłszy swoje zamiary, po dwudziesto-letnich zapasach z Europą, kładzie podstawę wielkości Prus i małe elektorstwo wynosi do stanowiska pierwszorzędnych mocarstw europejskich.

Nie trzeba więc dziwić się jeżeli Napoleon, uosobiony despota i rewolucjonista, nie był politykiem; ile razy bowiem chciał nim być godząc Francją z Kościołem, z Europą i z nią samą, wkrótce podniesieniem oręża przeciw Anglji, zerwaniem pokoju w Amiens, projektowaniem uniwersalnej monarchji po bitwie pod Austerlitz, wojną przeciw Hiszpanji ukończoną pod Moskwą, odrzuceniem pokoju Pragskiego, dowiódł że nie zna się na polityce, że genjusz jego bezrozumnem unosił się szaleństwem. Trzeba atoli przyznać, że działanie to nie było jego własnem, że to jeszcze rewolucja francuzka wrzała w tym niezmiernym genjuszu.

A przecież ten zły polityk był mądrym prawodawcą, biegłym administratorem i jednym z największych wodzów świata. Pochodziło to ztąd, że wir rewolucyjny nie tylko nie był dlań przeszkodą w działaniu, ale owszem środkiem i drogą wiodącą do celu. Chcąc przeto należycie dokonać naszego zadania, rozważymy jeszcze Napoleona pod trzema rozmaitemi względami, to jest jako prawodawcę, administratora i wodza.

Jedyną szkołą, w której Napoleon wykształcił się na organizatora, była wojna; szkoła to właśnie najlepsza, najsilniejsza i najpraktyczniejsza. Dla prawdziwego wodza, obliczenie głównych ruchów, a następnie walka na obranem polu, jest tylko w połowie spełnianem zadaniem. Lecz przysposobić ku temu odpowiednie środki, porobić zaciągi młodego żołnierza, wyuczyć go, odziać i uzbroić wśród nieustannych i gwałtownych ruchów wojny, jestto druga połowa zadania, a oba tak ważne, iż trudno

jednemu dać przed drugiem pierwszeństwo. Słowem, organizować i walczyć, oto dwie połowy sztuki prawdziwego wojownika. Inni wodzowie, a tacy są po większej części wszyscy, przyjmują z rąk swoich rządów gotowe wojsko, posługują się takiem jakiem jest, lub żalą się na nieodpowiedni jego stan nie myśląc o polepszeniu. Młody Bonaparte inaczej postępował.

Przedarłszy się po za Apeniny z mężnym ale umierającym z głodu żołnierzem, pierwszém jego staraniem było sięgnąć ręką po bogactwa Włoch, któremi szafując oszczędnie i uczciwie, postawił armją swoją na stopie zamożności i dostatków i wydobył z nędzy armją Reńską, mającą go wspierać w jego zamiarach. W Egipcie, gdzie obfitsze jak we Włoszech środki leżały w zaniedbaniu, umiał również dostarczyć wszelkich potrzeb żołnierzowi, oswobadzając zarazem kraj od zdzierstw Mameluków i napadu Arabów. Kiedy Francja nie była w możności zaopatrzyć go w przybory wojenne, Napoleon w ciągu kilku miesięcy założył fabrykę prochu, broni, armat, sukna, słowem wszystkiego, na czem mu zbywało w tym dalekim kraju. Jedną z największych klęsk Egiptu były najazdy Beduinów, wpadających znienacka na pola uprawne i z zabranym łupem chroniących się ucieczką. Pewnego razu, widząc ciągnącą karawanę, zatrzymał ją na chwilę, powsadzał na wielbłądy po dwóch lub trzech piechurów zaopatrzonych w żywność i ładunki i wtedy zawołał: *Teraz jesteśmy panami pustyni!* Nazajutrz utworzył zaraz oddział dromaderów, a obsadziwszy kilkuset dzielnymi żołnierzami, z szybkością równą Beduinom przenoszącym się z miejsca na miejsce, ukrócił pokolenia arabskie w ich zamiłowaniu do łupieztwa, przynajmniej na czas pobytu Francuzów w Egipcie. Jeden więc rzut oka na położenie rzeczy, był dla Napoleona dostatecznym do uorganizowania i zrozumienia, co i jak należało uczynić.

Stanąwszy we Francji u steru rządu, który znalazł w prawdziwym chaosie, Napoleon bardziej niż w Egipcie i we Włoszech uznał koniecznem przywrócenie porządku, spokojności i dobrego bytu.

Najmniej zajmował się nadaniem Francji konstytucji politycznej. Przyjaciele wolności zarzucają Napoleonowi, że nie zaraz obdarzył nią Francją. Jakkolwiek podzielamy ich zdanie, sądzimy przecież że się mylą. Pod względem politycznym niepodobna było Napoleonowi stać się dokładnym organizatorem; Francja miotana jeszcze wichrami rewolucji musiała kilkakrotnie zmieniać formę rządu; pod wpływem zbytecznych ruchów liberalnych zmierzała ona ku władzy; ile razy zaś dręczyło ją zbyt ciężkie jarzmo tej ostatniej, cofała się do wolności; słowem, Francja od trzech ćwierci wieku wahała się pomiędzy despotyzmem, a anarchją, w niczem nie mogąc się ustalić, tak, iż śledząc postęp rzeczy trudno prze-

widzieć na czem się zatrzyma, wiadomo tylko że nigdy nie oprze się na despotyzmie. Pod względem więc politycznym Napoleon nie mógł być prawodawcą Francji, był nim atoli pod innemi względami.

Polityka jaką wkrótce po rewolucji zrodziły same okoliczności, nie była polityką wolności, ale raczej restauracyjną. Po bankructwach, rekwizycjach, konfiskatach, więzieniach, krwawych wyrokach, naród zapragnął porządku w finansach, poszanowania osób i własności, wojsk zwycięzkich, lecz nie przywiedzionych ostatecznością do łupieztw dla zyskania żywności, słowem, potrzebował spokoju i bezpieczeństwa. Napoleon ożywiony duchem porządku, stanął od razu w właściwej sobie roli. Z zadziwiającą czynnością przyłożył rękę do przekształcenia naraz prawodawstwa cywilnego, kryminalnego i całej administracji. Mówiąc o prawodawstwie, nie mamy zamiaru twierdzić, że on stworzył np. kodex cywilny. Ktoby mu chciał przyznać wyłączne w tej mierze autorstwo, tenby chyba mniemał, że on wynalazł także społeczność ludzką, która początkiem swoim sięga ukazania się pierwszego na ziemi człowieka. We Francji istniały już oddawna prawa cywilne, jedne zapożyczone od prawodawstwa rzymskiego, jak np. prawa dotyczące wzajemnych pomiędzy ludźmi umów, a które wspólne są wszystkim wiekom i krajom; inne zaś zaczerpnięte ze zwyczajów i obyczajów miejscowych, jak np. prawa urządzające stosunki rodzin, małżeństw, spadków i t. p. Pierwsze dość było przerobić, oddać je stylem jasnym, zwięzłym, usunąć dwójznaczności wiodące do pieniactwa; drugie zaś potrzeba było tylko zmodyfikować na zasadach prawdziwej równości, która nie dąży do zrównania ludzi pod względem mienia, bogactw, zaszczytów, wtedy nawet gdy zachodzi pomiędzy nimi nierówność cnót i talentów, ale raczej na zasadach równości poddającej wszystkich pod moc jednakowego prawa, wkładającej na wszystkich jedne obowiązki, jednakowe wymierzającej kary i nagrody, tak, aby np. dzieci jednego ojca miały równe prawo do jego spuścizny, nie pozbawiając go wszakże prawa wynagrodzenia godniejszych, bez wydziedziczania tych, które nie umiały zyskać jego przywiązania. W tych punktach, jak i we wszystkich prawie, rewolucja francuzka wahała się pomiędzy jedną a drugą ostatecznością, a to stosownie do wywieranych na nią wpływów. Wypadało więc zatrzymać się na właściwem stanowisku, pomiędzy dążnością wsteczną i szalenie nowatorską, szczególnie pod względem prawa małżeństw, spadków, testamentów i t. p. Napoleon posiadał tylko naukę, jaką można wynieść z dobrej szkoły wojskowej; lecz urodzony na łonie prawd 1789 r. widział, że prawdy te rzucają światło, przy blasku którego wszystko daje się rozpoznać. Objaśniany codziennie przez pp. Portalis, Cambacerès, a nadewszystko przez Troncheta o rzeczach mających

być nazajutrz przedmiotem dyskusji w radzie stanu, myślał nad tém przez 24 godzin, wchodził na sessją i zdrowym swoim rozumem, stanowczo orzekał, gdzie pomiędzy dawnym a nowym porządkiem należało zatrzymać się, podniecając wszystkich do gorliwej pracy. Dwiema więc stanowczemi drogami doszedł do ułożenia kodexu: określeniem stopnia innowacji, i doprowadzeniem dzieła do kresu. Dawniej jeszcze, przed nim, podejmowano już tę pracę, zawsze atoli ustępowała ona przed wpływem czasu lub wpadała w przesadę, tak iż niebawem z żalem i wstydem dzieło to szło w niepamięć. Napoleon wsiadł na tę łódź wpędzoną na mieliznę, wyparł ją na wodę i dopłynął do portu. Tą łodzią był kodex cywilny, i nikt nie zaprzeczy, że kodex ten jest wyrazem spółczesnej cywilizacji. Zaiste, wielka to zasługa dla młodego wojownika i słuszna należy mu sława za uorganizowanie społeczeństwa; wielka zasługa i dla Francji, w której dzieło to zostało dokonanem! Jeżeli Anglja zyskała cześć za wprowadzenie najlepszej formy rządu, Francji nie mniejsza należy zasługa napisaniem kodexu cywilnego, tej najlepszej modły stanu socjalnego. Obu więc tym narodom, stojącym na szczycie cywilizacji świata, dostała się w udziale najpiękniejsza chwała!

Tak kiedy Napoleon zaprowadza jedną ręką prawodawstwo cywilne, drugą, równie czynną i doświadczoną, przykłada do urządzenia Francji pod względem administracyjnym. Stan tej administracji nie był lepszym od innych części rządu; poznawszy więc dawniejsze urządzenia i porównawszy je z obecnemi, zaczerpnął prawdę z jednych i drugich i tym sposobem stworzył administracją tegoczesną. Dawniej stany prowincjonalne miały rząd własny i pod względem interesów miejscowych stanowiły władzę zupełną, i byle tylko podatki do skarbu wpływały, król w zarząd prowincji zupełnie nie mieszał się. Władza królewska posiadała kierunek spraw ogólnych, miejscowe zaś interesa powstawały w ręku stanów prowincjonalnych. Taka domniemana umowa upadła w chwili wybuchu rewolucji francuzkiej. O ile z jednej strony wszechwładztwo króla było niesłusznem, o tyle z drugiej pozostawienie prowincjom zarządu spraw miejscowych, było również niesprawiedliwem, albowiem tak kierownictwo losami kraju, jak i nadzór nad zarządem pojedynczych jego części, w ręku samego państwa zostawać powinien. Przychody i rozchody jakiemi dysponują prowincje, będąc częścią ogólnych bogactw kraju, nie powinny być dowolnie rozpraszane. Miejscowe przepisy odnoszące się do przemysłu, targów, podatków, są odroślą prawodawstwa socjalnego; stanowienie więc ustaw w tej mierze nie powinno zależeć od widoków prywatnych.

Nowoczesna jedność w narodach opiera się głównie na zrzeczeniu się przez króla samowoli w sprawach ogólnych, kiedy z drugiej strony

prowincje zrzekają się tejże samowoli w rzeczach ich dotyczących. Obie te strony kojarząc się ścisłym węzłem, powinny się zlewać w jedność, pod wspólnem kierownictwem narodu. W ognisku więc państwa stoi naczelnik władzy wykonawczej, otoczony gronem najznakomitszych obywateli Francji i ten wraz z nimi kieruje ogólnemi sprawami; w departamentach zaś naczelnicy zarządu, wspólnie z miejscowymi obywatelami, załatwiają interesa szczególne, zawsze przecież ulegające władzy najwyższej. Z takiej organizacji wypłynęła konieczność ustanowienia prefektów i rad departamentalnych. Gdyby okoliczności były dozwoliły pierwszemu konsulowi wprowadzić tak położone zasady, byłby on rady departamentowe uczynił wybieralnemi. Lecz straszliwe w r. 1793 wstrząśnienia i wielu właścicieli powróconych z emigracji, uniemożebniły wybory, a przynajmniej wielkie w nich nastręczyły trudności. Napoleon zachował więc wybory dla siebie, a dopełnił ich pomiędzy ludźmi znanymi z rozumu i umiarkowania. Było to następstwem jego krótkotrwałej i wraz z nim przechodniej dyktatury. Mimo to istniała już zasada oparta na ustanowieniu naczelnika czy prefekta, zarządzającego pod nadzorem rady wybieralnej, jak skoro straszliwe wewnętrzne rozterki przytłumioneby zostały.

Wszelako nadzór ze strony państwa nad rozciągłością rozchodów, nad systematem podatków i naturą obowiązujących przepisów nie mógł być bez odpowiedniej rękojmi oddany w ręce władzy wykonawczej. Napoleon posługiwał się w tym razie instytucją Sieyès'a, zapożyczoną od dawnej monarchji. Rada królewska pomiędzy innemi czynnościami, dawała swe zdanie w stosunkach rządu z prowincjami; a ponieważ stosunki te ścieśniły się bardziej pod nowym rządem, tém samém przeto stały się one udziałem rady stanu. Napoleon nie trzymając się zasad teorją wskazanych, a posługując się tém co miał dla spełnienia swoich zamiarów, uczynił radę stanu główną nadzorczynią porządku wewnętrznego, to jest zaprowadził centralizacją władzy. Chcąc poddać budżet gmin i departamentów pod kontrollę państwa, a urządzenia ich zastosować do zasad 1789 r., czyli, chcąc aby gminy same nie wybierały przysięgłych i nie stanowiły podatków przeciwnych nowoczesnej doktrynie, poruczył rozstrzyganie tych kwestji radzie stanu, w której sam niezmordowanie przewodniczył. Bez tego regulatora, centralizacja francuzka stałaby się nietolerancyjną i despotyczną. Roztropność w rozporządzaniu wydatkami gmin, umiarkowanie w godzeniu wzajemnych między niemi sporów, przezorność w nakreślaniu urządzeń municypalnych, oto zadania rady stanu światłej, a niepodległej, lubo mianowanej przez władzę wykonawczą. Ona to w samych działaniach swoich czerpie ducha administracyjnego, który pod jakimbądź rządem, choćby uległa na czas pewien, podnosi się mimowolnie, jawi się

i rozrasta, jak gałęzie wyniosłego drzewa chwilowo z swego kierunku zepchnięte.

Napoleon ile razy nie był zatrudniony wojną, przewodnicząc tej radzie po siedm lub ośm godzin dziennie, z całą pilnością, z zdrowem i trafnem zdaniem, z poszanowaniem cudzych opinij, obmyślał nowe przepisy administracyjne, a tworząc zarazem prawodawstwo i jurisprudencją, stał się prawdziwym autorem administracji francuzkiej, której głównym charakterem jest stałość zasad, czynność i uczciwość. Jasny w niej system rachunkowości jest najlepszym z dotąd znanych europejskich i jeżeli kiedy, w czasach zamieszek rewolucyjnych, rząd francuzki wpadał w obłęd, teraz przeciwnie, od czasu zaprowadzenia administracji Napoleona, rząd ten niezmiennie kieruje sprawami narodu, ściąga podatki, wnosi je do skarbu, umiarkowanie rozdziela wydatki, zaciąga żołnierzy, czuwa nad potrzebami miast i prowincji, tak iż nic na szwank nie jest narażonem. Dzięki tej administracji, Francja trzyma się mocno wtedy nawet, gdy głowa jej chwieje się i daje wyobrażenie silnie podług nowoczesnych zasad mechaniki zbudowanego statku, ktory śmiałe czoło stawia burzom, w razach nawet, gdy osada jego jest bezczynną lub zmieszana trwogą.

Tak, jeżeli z jednej strony wojna uczyniła Napoleona złym politykiem, z drugiej wykształciła go na najlepszego organizatora. Pozostaje nam więc przedstawić go jeszcze ze strony najważniejszej, to jest pod względem talentów militarnych, które mu tak szczytną zjednały sławę.

Chcąc godnie ocenić jego stanowisko pomiędzy wodzami wszystkich wieków, trzeba najprzód podać w zarysie dzieje sztuki wojennej, która tworzy, podnosi lub broni państwa, a jako sztuka rządzenia, opiera się na zjednoczeniu rzadkich przymiotów umysłu i serca. Na nieszczęście, dzieje te potrzeba dopiero układać. Mauchiavel, Montesqceu, Fryderyk i Napoleon podali niektóre jej zarysy; wszelako chcąc ją uważać w całym szeregu wypadków, zastosować do postępu nauki i ludzkości, do zmian jakim uległy kraje, historją tę trzeba dopiero tworzyć, zkąd określenie rzeczywistego stanowiska wodzów jest zadaniem dość trudném do spełnienia. Mimo to, w historji sztuki wojennej są niektóre główne punkta, które za pierwszym rzutem oka zastanawiają umysł, dozwalając zarazem nakreślić ogólny postęp rzeczy i oznaczyć stanowiska, jakie w postępie czasu i rozmaitości zdań zmianom nie uległy.

To co nazywamy zwykle wielką wojną, należy do rzadkich wydarzeń w świecie, do tego bowiem potrzeba wielkich narodów, wielkich wypadków i wielkich ludzi. Gdyby ogrom wstrząśnień stanowił główny tu charakter, wtedy możnaby powiedzieć, że zdobywcy Azji prowadzili wielkie wojny. Lecz tu właśnie potrzeba nauki i genjuszu, by silny i zręczny

opór postawić zwycięzcy. Jakkolwiek przeto Aleksander w swojej epoce zmienił postać świata ucywilizowanego, ciemnota atoli azjatycka z którą łamał się w zapasach, nie dozwala nazwać tych walk wielką wojną. Kombinacje, tak podziwiane przez Montesquieu'go, a których cała wielkość polegała na tém, że zdobywszy wybrzeża Syrji, nie chciał zapuszczać się w głąb Azji, były prostem następstwem braku marynarki. Każdy oficer z armji macedońskiej byłby tożsamo uczynił; krok więc ten ze strony Aleksandra jest wynikiem instynktu, a nie dowodem genjuszu. Trzy bitwy któremi podbił Azją były owocem szalonego męztwa jego kawalerji prowadzonej przez samego Aleksandra, a która wpadłszy na tłumy nędznej jazdy nieprzyjacielskiej, była dla niej, jak równie i dla piechoty perskiej, hasłem do ucieczki. Prawdziwym zwycięzcą Persów była karność macedońska i męztwo, jakiem Aleksander, nawet zdaleka, umiał wojsko swoje natchnąć.

Nie w ten sposób walczyli Annibal i Cezar. Tam ścierało się męztwo z męztwem, nauka z nauką, wielcy wodzowie z takimiż przeciwnikami. Cezar, pomimo mocy swego charakteru i odwagi w połączeniu z przezornością, okazuje w swoich ruchach pewien przymus, zwykły wojownikom owych czasów, od jakiego właśnie Annibal zupełnie był wolnym. Rzymianie prowadząc wojny w krajach dzikich, chcąc się zabezpieczyć od szalonych napadów barbarzyńców, zakładali swoje obozy z całą oględnością. Przybywszy zwykle wieczorem na stanowisko trafnie obrane, w kilka godzin zamieniali je w warownie prawie niezdobyte, palisadami i rowami umocnione. Pod tym względem nikt im dotąd nie sprostał, lubo, zdaniem Napoleona, sposobu zakładania obozów rzymskich naśladować nie należy, taki bowiem obóz przed dzisiejszą artylerją nie wytrzymałby ani dwóch godzin. Wynikiem tak pracowitego co noc obozowania była trwożliwość ruchów, powolne osiąganie rezultatów, tak iż starcie się w bitwie, skracające okropności wojny, zależało tylko od woli obu przeciwników. Jeżeli jeden z nich unikał spotkania, wojna przeciągała się do nieskończoności lub przynajmniej wymagała zawsze regularnego lub niespodzianego napadu na obóz nieprzyjacielski. Cezar, najśmielszy z wodzów rzymskich, wykonywa dość swobodne obroty przeciw ciemnym Gallom, stacza z nimi bitwę kiedy chce, gdyż ślepe ich męztwo łatwo było pobudzić do stanowczego starcia; lecz w Hiszpanji, w Epirze, mając do czynienia z samymi Rzymianami, Cezar zmienia tryb działania; nad Segrą wyczerpuje się na wszelkie pomysły i kombinacje, by wyprzeć z obozu Afraniusa, do czego zmusza go głodem; następnie, już po zmianie stanowiska, kończy z nim kampanją, nie siłą oręża, lecz odcięciem dowozu żywności. W Epirze, pod Dyrrachium, tak Cezar jako i Pompejusz, zam-

knąwszy się w obozach, stali się wzajem nieszkodliwymi. Później, nie wiedząc jak skończyć tę wojnę, widzimy go zagłębiającego się w Macedonją dla zwabienia za sobą Pompejusza. Jakoż ten ostatni pociągnął za nim, lecz i tu nie byłby jeszcze dosięgnął swego przeciwnika, gdyby Pompejusz nie zszedł był na równiny Farsalji, gdzie Cezar panowanie nad światem pozyskał.

Są to zaiste bardzo zręczne i często śmiałe kombinacje, jakiemi Cezar skłonił nieprzyjaciela do walki; wojny tej wszakże nie można nazwać wielką, jaką widzieliśmy w naszych czasach, gdzie w kilka dni decydowano się na bitwę, do jakiej dawniej trzeba było przysposabiać się przez lat kilka. Jedynym mężem w starożytności, śmiałym, odważnym, szczęśliwym w kombinacjach strategicznych, był Annibal. Takie miał o nim zdanie Napoleon, najwłaściwszy w tej mierze sędzia.

W Wiekach Średnich, sztuka wojenna nie przedstawia nic coby godném było uwagi potomności. Polityka jest ogromną widownią potoków krwi i walk namiętności: widzimy tu bohaterów i ludzi nikczemnych zbrodni i cnoty, nie ma atoli Cezara ani Aleksandra. Tu nie tylko wielkiej wojny, ale nawet sztuki wojennej nie widzimy. Barbarzyństwo pędzi na oślep na zwątlałą cywilizację rzymską w przekonaniu, że duch wojowniczy nie ożywia już tego ludu i kiedy te niezliczone hordy, pędząc jedna za drugą jak bałwany rozhukanego morza, zniszczywszy państwo rzymskie, zalały świat ucywilizowany, wtedy tu i owdzie tylko napotykamy walecznych mężów, jak Klodoweusza, Pepinów, z toporem w dłoni idących na czele, lub znanego z dzielności Karola W.; prawdziwego atoli wodza nigdzie nie napotykamy. W tym wieku siły osobistej, nawet poezja, jedyna owych czasów historja, ubiera się w odpowiednią formę i wysławia rycerzy walczących za Chrystusa, przeciw Saracenom wojującym za Mahometa. Jest to wiek rycerskości (chevalerie), którego sama nazwa oznacza jeźdźca na koniu (homme à cheval), okrytego zbroją, walczącego z mieczem w dłoni, stającego w zapasy zręcznością i siłą fizyczną. Stan ten wszakże zmieniał się wraz z europejskim socjalnym rozwojem. Handel i przemysł, zaludniając miasta, zwiększał ich zamożność, a stawiając je w konieczności obrony, dał początek piechocie. Szwajcarowie broniący swych gór, mieszkańcy miast włoskich i niemieckich walczący poza swemi murami, Hollendrzy za swemi tamami, utworzyli bitną piechotę i nadali jej ważność, która z czasem do wysokiego wzrosła znaczenia. Wynalazek prochu, owoc cywilizacji europejskiej, przyczynił się wiele do zmiany w systemacie wojen. Teraz okazało się, że obok pocisków miotanych siłą prochu, pancerz stał się nic nieznaczącym, a nawet niebezpiecznym. Żołnierz odtąd szedł do boju odkryty, oswobodzony od

bezużytecznego brzemienia żelaznej zbroi; rozum zaś i rozsądna odwaga zastąpiły siłę fizyczną. Z tychże pobudek miasta najeżone dotąd silnemi murami, musiały nagle zmienić swoją postać. Owe wyniosłe gmachy zaczęły obniżać się w ziemię przed pociskami działowemi; w miejsce wysokich okrągłych wież, miasta otoczyły się niskiemi bastjonami, w kształcie kątowatym, by całym swym profilem bronić się z dział, i to właśnie dało początek nowoczesnej sztuce fortyfikacji.

Przewrót ten biorący początek we Włoszech, otworzył pole do ulepszeń w czasach wojny Hollendrów przeciw Filpowi II i wtedy to ukazują się na widowni trzej wielcy mężowie, książęta Nassauscy. Odtąd zaczyna się prawdziwa sztuka wojenna, lubo jeszcze lękliwa, ograniczona w swych ruchach i niepodobna do działań Annibala i Cezara. Pod warowniami to Hollandji, zakrytej tamami i bastjonami umiejętnie rozpołożonemi, ustaliła się sztuka wojenna. Podsunąć się pod warownię, obledz ją, bronić się wałami od oblegających, a szańcami przeciwko wojskom pomocniczym, zapewnić sobie dowóz żywności, którą nieprzyjaciel starał się przeciąć, oto w czém polegała umiejętność ówczesnych wodzów. Nie było tu ani wielkich ruchów, ani stanowczych bitew, wszystko ograniczało się na pozorach, na odcięciu przyborów i zapasów wojennych lub odwróceniu nieprzyjaciela od rzeczywistego celu. W całym też zawodzie książąt Nassauskich pomiędzy 1579 a 1648, czyli od chwili wydania proklamacji, do ogłoszenia niepodległości hollenderskiej; stoczono zaledwie 5 czy 6 znaczniejszych bitew i wykonano ze sto mniejszych lub większych oblężeń. Podczas tej wojny oblężeń, dwie trzecie owego stulecia zajmującej, Hollendrzy, dla których morze stało zawsze otworem, znosili ją cierpliwie, zawsze bowiem mieli czem żołnierza swego zapłacić i tą cierpliwością wspierali działania tak słusznie wychwalanych książąt de Nassau.

W tym czasie zaprowadzona piechota, a sięgająca początkiem swoim wojny Szwajcarów przeciwko domowi Austrjackiemu i Burgundzkiemu, rozwinięta zaś w walce miast hollenderskich przeciw Hiszpanom, okazała całą swą użyteczność w zapasach protestantyzmu z katolicyzmem. Podczas tak zwanej trzydziesto-letniej wojny, jeden z najpopularniejszych bohaterów, Gustaw Adolf, dał po książętach de Nassau najsilniejszego bodźca sztuce wojennej. Jako król ubogiego lecz bitnego norodu, zmuszony bronić się przeciw pretendentowi swej korony, królowi Polskiemu, szukał on w piechocie jedynej siły i przeto dokładał wszelkich starań, aby ją jak najlepiej uorganizować. Była to w swoim rodzaju nowa falanga macedońska, zbita i głęboka, broniąca się bardzo długiemi dzidami, z ustawionymi na czele i na skrzydłach żołnierzami, w muszkiety uzbrojonymi.

Lecz falangi te nie były lekkie i łatwe w obrotach, czemu chcąc zaradzić Gustaw Adolf, z troskliwością prawdziwego instruktora piechoty, mieszał wzajem pikinjerów z fiuziljerami, usuwał ciężkie zbroje, na nic pod działaniem kul nieprzydatne i uczynił tém samém zwinniejszą i lżejszą w obrotach swoją armiję i artylerję. Jakkolwiek dalekim był jeszcze od postawienia piechoty na stopie rzeczywistego postępu, zwyciężył nią wszakże króla Polskiego, silnego tylko swoją jazdą, zmusił go do zrzucenia się pretensji do korony szwedzkiej, i idąc za głosem protestantów uciśnionych przez Tillego i Wallensteina, stanął na równinach Niemiec, wiedziony żywą wiarą i miłością sławy. Rzecz zadziwiająca, że bohater ten, jeden z najwaleczniejszych mężów świata, w obrotach swoich okazywał trwożliwość, która właśnie usprawiedliwia słaby postęp jego wojennych działań. Jako uczeń książąt de Nassau, krążył on głównie około miejsc warownych, nie odstąpił od brzegów morza Baltyckiego, dopóki nie podbił wszystkich fortec nad Odrą, a ponieważ elektor Saski nie chciał mu odstąpić Wittenberga dla ułatwienia przejścia przez Elbę, łatwo więc Tilly zajął Magdeburg, dopełniając w nim straszliwej rzezi, która odbiwszy się echem boleści w sercu całej Europy, kazała zwątpić na chwilę o charakterze bohatera szwedzkiego. Ustępując atoli prośbom Saxonów, a doświadczywszy w wielu potyczkach dzielności swej piechoty, Gustaw Adolf przyjął bitwę z Tillym na równinach Lipska, wygrał ją, upokorzył dom Austrjacki i kiedy mu Oxenstierna, śmielszy od swego króla, doradzał iść wprost na Wiedeń i tam ukończyć wojnę, on wolał ograniczyć się na zajęciu Frankfortu, stracił rok cały na bezużytecznych pochodach w Bawarji, zasłaniał przez kilka miesięcy Norymbergę przeciw Wallensteinowi, poszedł nareszcie pod Lützen, tu prawie mimowolnie stoczył i wygrał drugą wielką bitwę i jak Epaminondas poległ wśród zwycięztwa. Niezrównane męztwo, szlachetność uczuć, trafny i daleko sięgający umysł czynią Gustawa Adolfa jedną z najznakomitszych w dziejach świata osobistości; myliłby się więc, ktoby mu zarzucał trwożliwość i niepewność w ruchach; nie on to bowiem, ale raczej ówczesna sztuka wojenna była trwożliwą. Sztuka ta wszakże wkrótce bieg swój i zasady zmieniła. Nowe w niej zmiany dopełniły się w trzech aktach: pierwszy we Francji pod Kondeuszem, Tureniuszem i Vaubanem, drugi pod Fryderykiem w Prusach, trzeci nakoniec pod Napoleonem. Trzeba więc przyznać na zaszczyt Fracji, że zmiana w sztuce wojowania, w niej wzięła początek i koniec!

Jak widzimy, sztuka wojenna zasadzająca się jedynie na zdobywaniu lub obronie fortec, była podobną do ptaszka uwiązanego na nici, który nie może ani dojść, ani wzlecić do samego celu, to jest do punktu stanowczego rozstrzygnienia wojny. Gustaw był uczniem książąt de Nassau,

Francuzi znów byli uczniami Gustawa. Wielu z francuzkich wodzów w jego kształciło się szkole i kiedy genjusz Richelieu'go wplątał Francją w 30 letnią wojnę, ona wtedy wstąpiła w szranki i w rolę Szwedów, śmiercią Gustawa roli tej pozbawionych. Na granicach Renu i Hollandji, wodzowie francuzcy spotkali wodzów austrjackich i hiszpańskich, zawsze z sobą zjednoczonych. Całem zadaniem ich wojny było przywieść do końca lub nie dopuścić oblężenia. Vauban, nauczywszy się od Hollendrów sztuki oblegania, postawił ją na stopie doskonałości, w jakiej go i nasz wiek nie prześcignął. Mimo to sztuka wojowania zawsze ograniczała się tylko na zdobywaniu fortec, gdy nagle wstąpił w szranki młody książę, chciwy sławy, obdarzony bystrością umysłu, ufny w siebie jak Aleksander, a znudzony, że tak powiem, metodyczną wojną książąt de Nassau, w której tylko w ostatecznych razach staczano bitwy, postanowił wyjść z ciasnego zakresu, w jakim genjusz dotychczasowych wodzów zdawał się ją trzymać. Pierwszy raz dowodząc otoczony doradzcami dworu, nie zważał na nic, słuchając tylko Gassion'a równie jak on odważnego, zajął wąwoz wiodący na równiny Rocroy, śmiało uderzył na nieprzyjaciela równie mężnego jak doświadczonego, wpadł na oba jego skrzydła podług ówczesnego zwyczaju złożone z jazdy, rozproszył ją, następnie zwrócił się na piechotę zajmującą środek, otworzył ogień działowy i zniszczył ją w tym dniu, który stał się ostatnim dla piechoty hiszpańskiej. Wprawdzie Kondeusz w niczém nie zmienił dotychczasowej sztuki wojennej, która była jeszcze taką, jak pod Farsalą i Arbellą: cała więc jego zasługa nowatorstwa była w wydaniu bitwy, a tém samém zmierzaniu wprost do celu wojny, który, jakkolwiek chwilowo krwawy, odznacza się wszakże ludzkością.

Kondeusz więc został od razu śmiałym Kondeuszem. Wkrótce pod Friburgiem, nie bacząc na trudności położenia, pod Nordlingen nie kłopocząc się zniesionem już jednem swojem skrzydłem, wygrał bitwy prawie już stracone, jedynie swoją wytrwałą odwagą. Szczęśliwy rzut oka i męztwo uczyniły go największym wodzem bitew po owe czasy. Obok niego stanął wkrótce wódz, godny spółzawodnik Kondeusza, nie tyle może śmiały na polu boju, ile w nakreślaniu planu bitew, a był z nim znakomity Turenjusz. Kondeusz, jako książę krwi, miał polecone do spełnienia dość trudne rzeczy; Turenjusz zaś, szczególniej nad Renem, miał sobie wskazane dość niewdzięczne zadanie, to jest, z małemi siłami, stawiać czoło silniejszemu nieprzyjacielowi. Widzimy go też wykonywającego nadzwyczaj śmiałe marsze, jużto w 1646 r. kiedy szedł na Ren i przeszedł go pod Wesel dla złączenia się z Szwedami i znaglenia do pokoju elektora Bawarskiego, już kiedy w 1674 r. udając chęć spocznienia po trudach,

wyruszył raptem z obozu, wpadł na zimowe leże nieprzyjaciela, zmusił go do ucieczki i wyparł za granicę. Tak więc można powiedzieć, Kondeusz ośmielił sztukę wojenną do staczania bitew, Turenjusz zaś do pochodów. Po tych dwóch sławnych wodzach, sztuka wojowania zatrzymała się w swym postępie aż do połowy XVIII wieku, to jest epoki, w której nowe ogromne walki miały jej otworzyć pole do tak zwanej wielkiej wojny.

Chcąc sobie wystawić dokładnie co zrobiono, a co jeszcze zostawało do zrobienia, należy przypomnieć, jaki był wtedy skład wojska, jakie stopniowanie rozmaitej broni i sposób staczania bitew. Wszystko to znajdujemy opisane z całą ścisłością w pamiętnikach znakomitego Montecuculli, jednego z najzdolniejszych ówczesnych jenerałów. Pomimo znacznego powiększenia piechoty, zajmowała ona zaledwie połowę wojsk na polu bitwy zebranych, drugą zaś ich połowę stanowiła jazda. Artylerja była ciężka w ruchach i nieliczna, tak iż jedno zaledwie działo przypadało na tysiąc ludzi. Porządek boju zachowywano taki, jaki znajdujemy opisany w historykach z czasów Annibala i Cezara, to jest, piechotę ustawiano zawsze we środku, jazdę na skrzydłach, artylerję zaś, zastępującą dawne machiny, na przodzie, a to bez względu na położenie pola bitwy. Zwykle artylerja rozpoczynała ogień by poruszyć do działania nieprzyjaciela, następnie jazda nacierała na jazdę i jeżeli nad nią wzięła górę, zwracała się wtedy ku środkowi na piechotę nieprzyjacielską, dokonywając tym sposobem zupełnej porażki. Mało przytoczyćby można bitew z czasów Gustawa Adolfa, Turenjusza i Kondeusza, któreby innym staczane były porządkiem. Najsławniejsze z nich pod Lützen, Rocroy i Dunes innego nie przedstawiają widoku. Nie w taki sposób dzisiejsi wodzowie działają. Jazda nie staje na skrzydłach, ani piechota we środku lub artylerja na czele. Każda broń staje stosownie do położenia gruntu, piechota w miejscach najtrudniejszych, jazda na równinie, artylerja tam, gdzie ogień jej może być najkorzystniejszym. Piechota stanowiąca obecnie cztery piątych części walczących, jest podstawą armji. Ma ona przy sobie część kawalerji na podjazdy i nieco dział dla zasłony, zawsze w zastosowaniu się do pozycji; a jeżeli jest znaczna rezerwa jazdy i artylerji, jak za czasów Cesarstwa, to pozostaje ona zwykle pod rozporządzeniem naczelnego wodza, który uderza nią ciosem stanowczym, jeżeli tylko środków tych umie użyć z właściwym talentem.

Szykowanie jazdy po skrzydłach w dawnych czasach, wypływało z potrzeby osłaniania piechoty, która nie umiała jeszcze wykonywać dzisiejszych obrotów i stawiać zewsząd czoło formując czworoboki. Do końca XVII wieku piechota była tylko falangą macedońską, podłużnym nie-

jako czworobokiem ustawionym z pikinjerów przeplecionych muszkieterami. Ci ostatni stojąc zwykle na przodzie, i zasłonięci długiemi lancami, dawali ognia; podstępując zaś pod szeregi nieprzyjacielskie, biegli wzdłuż bataljonów, szykowali się na skrzydłach, dozwalając pikinjerom wykonać szarżę lub odpierać przeciwnika białą bronią. Łatwo zrozumieć, że gdyby strzały miały tę donośność co dziś, bataljon taki wkrótce zostałby zniesionym. Kule wpadające w massę wojska, gdzie 16, a niekiedy 24 ludzi ustawionych jeden za drugim stało w szeregu, sprawiałyby ogromne spustoszenia. Też same bataljony, których czoło zbroiły tylko piki, nie były w możności bronić się na skrzydłach przeciw atakom kawalerji. Aby więc zapobiedz tak niegodnemu rozpołożeniu wojsk, nie rzadko dało się widzieć, jak w bitwie pod Lützen lub Rocroy, że piechota austrjacka i hiszpańska szykowały się w cztery wielkie massy stanowiące front na wszystkie strony, i tém samém zbite w jeden wielki czworobok utworzony ze wszystkich pułków pieszych.

Trudność ta jest już rozwiązana, co zawdzięczamy Vauban'owi, który wynalazkiem karabina z bagnetem, stał się prawdziwym twórcą nowoczesnej taktyki. Jakoż dodaniem bagnetu do dawnego muszkietu, zniósł on różnicę pomiędzy pikinierami a muszkieterami. Odtąd istniał tylko jeden rodzaj piechoty, mogący zarazem ogniem i żelazem bronić się przed natarciem jazdy. Lecz nie zaraz dają się osiągnąć skutki wynalazku, a nadewszystko nie podczas wojny z nauk jej korzystać możemy. Pokój tylko i spokojna rozwaga daje prawdziwe i zadawalniające rezultaty.

Karabin zaopatrzony bagnetem, nie przyniósł w wojnach Ludwika XIV pożądanych następstw. Wszystko szło tu jeszcze niepewnym krokiem; ograniczono się na zmniejszeniu szeregów piechoty dla uchronienia jej od razów ognia nieprzyjacielskiego, a nadania jej większej swobody w ruchach. W środku dopiero XVIII wieku, tak obfitego we wszelkie wstrząśnienia, zaszła rzeczywista zmiana w dotychczasowej sztuce wojennej. W tym wieku powątpiewań, badań, poszukiwań, w którym jeden duch poruszał i ożywiał wszystkie klassy, stan wojskowy zaczął także krzątać się około nowych w składzie swym ulepszeń. W łonie monarchji niemieckiej było jedno państwo tak silnie jak Bawarja, lecz korzystniej względem władzy cesarskiej położone; jako bowiem posunięte ku północy, wsparte na silnym i walecznym narodzie, dowiódłszy w wojnach XVII wieku dalekich swych i ambitnych widoków, ożywiane duchem protestantyzmu, łatwo katolickiej Austrji stawiać mogło czoło. Tem państwem były Prusy. Panujący im elektor był monarchą wojowniczym. Następca jego, człowiek próżny, ubiegający się za znaczeniem, kupił sobie tytuł króla od cesarza ofiarowaną mu pomocą. Lecz tytuł ten, jak-

kolwiek czczy, wiązał się z wielkością do jakiej Prussy w dumie swej dążyły. Po nim panował tu książę chorowity, ponury, porywczy aż do szaleństwa, lecz obdarzony rzeczywistemi przymiotami, chciwy pieniędzy i nagromadzenia skarbów, chciał bowiem, aby Prussy, zostawszy królestwem, zajęły godne miejsce w rzędzie innych mocarstw. Jakkolwiek sam nie lubił wojny, tworzył jednak wojsko; znane jest nawet jego upodobanie w ludziach wysokiego wzrostu, z których formował gwardję grenadjerów. Upodobanie to było tak powszechnie znane, iż ci, którzy mu pragnęli przypodobać się i nabrać jakiego wpływu, posyłali mu w podadarunku ludzi wysokiego wzrostu, tak jak dziś monarchowie posyłają sobie konie lub obrazy. Monarcha ten, którego umysł ciemne jakieś zalegały wyobrażenia, nie długo znosił ciężar korony, zrzucając jej brzemie na dwóch swoich ulubieńców: w polityce na Seckendorf'a, a w wojskowości na księcia Anhalt-Dessau; pierwszy z nich zdolnym był intrygantem, drugi posiadał prawdziwe talenta wojenne. On to walczył w ostatniej kampanji z Ludwikiem XIV, odznaczył się pod Malplaquet, na czele piechoty pruskiej i nabył przekonania, że tylko pieszem wojskiem można w przyszłości rozstrzygać losy innych krajów. Ćwicząc wojsko to od rana do wieczora na placu w Potsdamie, pojął doniosłość wynalazku Vauban'a, uzbroił piechotę swoją w bagnety, uszykował ją w trzy szeregi i można powiedzieć, zupełnie ją na dzisiejszy sposób uorganizował. Książę Anhalt-Dessau nie poprzestał na zaprowadzeniu reform; on także, odbywając codzienne ćwiczenia, umiał piechotę swoją nowym ożywić duchem, w czém narodowi swemu znakomitą oddał przysługę, bo jeżeli mechanizm wiele znaczy, nie mniejszą wagę ma i strona moralna w żołnierzu, bez tego bowiem, wojsko najlepiej uorganizowane, jest tylko zręczną machiną pozbawioną rzeczywistego jej motora. Działania jego król pochwalił i wspierał, a lubo daleki od występowania do wojny, pragnął przecież, aby cały naród był do niej w pogotowiu. Jakiś głęboki, nie dający się określić instynkt parł go do dzieła, które dopiero syn jego, środkami przez ojca przygotowanemi, w całej potędze rozwinął.

Wspomniany syn, pełen wysokich zdolności, uczeń protestantów filozofów, przeszłość świata nazywał tyrańską głupotą, religje śmiesznym przesądem, rozum zaś najwyższą potęgą. Nienawidząc pedanterji wojskowej panującej na dworze Berlińskim, a ztąd nie lubiony od ojca, często w napadzie niepohamowanego gniewu, kijem od niego był karcony. Takim był przyszły Fryderyk W. Bity i trzymany w warowni za to, że nie lubił wojska, Fryderyk przedstawia w swej osobie dziwne, nigdzie w historji nie napotykane widowisko. Lecz jak skoro ten dziwak ojciec w r. 1740 życie zakończył, Fryderyk natychmiast chwycił jak Achilles, za broń,

której wartości dotąd nie cenił. Wtedy właśnie umarł Karol VI, cesarz niemiecki, pozostawiając tron jedynej po sobie dziedziczce Marji Teressie, której spuścizny bronić nikt nie czuł się zdolnym. Każdy tu czyhał na jej cząstkę. Bawarja pożądała korony cesarskiej, Francja pragnęła zagarnąć wszystko to, co Austrja posiadała z lewej strony Renu, Hiszpanja zwracała spojrzenie na Włochy, młody zaś Fryderyk dążył do rozprzestrzenienia granic swego nowego królestwa. Tak kiedy wszystko chciwie sięgało po dziedzictwa Marji Teresy, nikt z drugiej strony nie pomyślał podać jej dłoń pomocniczą. Fryderyk postąpił tu jak ów podpalacz, który podkłada pod dom zarzewie, by go tém łatwiej złupić. Jakoż napadł na Szląsk, krok jego naśladowała Europa; on więc rozniecił pożar, i z niego sam najwięcej skorzystał. Znalazłszy po ojcu skarb dobrze zaopatrzony i wojsko trzymane zawsze na stopie wojennej, wkroczył do Szląska w miesiącu Październiku 1740 r., to jest w sześć miesięcy po objęciu tronu, w Grudniu był już panem całej tej prowincji, Austrja bowiem nie mając prawie broni by mu odpowiednie stawić czoło, dowodziła tém samém wyższości małego państwa nad wielkiem a wątłem na siłach.

Mimo to, jeden tylko po Europie rozchodził się odgłos, że młody król pruski był szaleńcem, który najdalej w Styczniu oodpokutuje za swoję lekkomyślność. Jakoż Austrjacy zebrawszy swoje siły wkroczyli z Czech do Szląska, Fryderyk zaś tak mało jeszcze miał doświadczenia, że dozwolił Austrjakom zająć pozycję z tyłu, odcinając go tém samém od Prus. Wtedy to natarł na nich z odwagą wszystkie jego czyny cechującą, stoczył bitwę, choć nigdy nie umiał dowodzić bataljonem, i chociaż tyłem zwrócony był do Austrji, kiedy Prusacy stali plecami do Prus. Gdyby Fryderyk był wtedy przegrał, nigdyby pewnie nie ujrzał Berlina, tém bardziej, że w bitwie tej trzymał się dawnej taktyki, albowiem piechota jego stała pośrodku, pod dowództwem dzielnego marszałka Schwerin, jazda na skrzydłach, a artylerja na przodzie, zupełnie jak pod Rocroy, Dunes lub Lützen. Kawalerja austrjacka również po skrzydłach rozpołożona, siłą i wartością przewyższająca jazdę pruską, rzuciła się całym pędem zagarniając jazdę pruską (procella equestris), wraz z młodym królem, który poraz pierwszy w życiu znajdował się w takiém starciu. Lecz w czasie wzajemnych zapasów obu tych kawalerji, piechota pruska stała jak mur niewzruszona. Gdyby rzeczy szły tym trybem co za czasów Kondeusza lub Aleksandra, jazda austrjacka zwróciwszy się na piechotę pruską, zniósłaby ją do szczętu. Tymczasem sprawa inny wzięła obrót: stary marszałek Schwerin, rzucił się naprzód, opanował strumień i młyn Molwitz i kiedy jazda austrjacka wracała zwycięzką, ujrzała wtedy swoją piechotę pobitą i bitwę przegraną. Fryderyk więc odniesione przez

siebie zwycięztwo zawdzięczał piechocie. Dobra ta lekcja zrobiła go od razu wodzem. Zdziwiona Europa uznała go dzielnym wojownikiem, piechota zaś pruska pozyskała wyższość i tę zachowała do r. 1792, to jest do czasu spotkania się z piechotą rewulucji francuzkiej.

W latach następnych, Fryderyk odniósł drugie, trzecie i czwarte zwycięztwo i po rozmaicie zmienionych kolejach, kiedy Bawarja napróżno wysilała się za otrzymaniem korony cesarskiej, a Francja za zdobyciem krajów po lewej stronie Renu położonych, Fryderyk sam doszedł do pożądanego celu i zdobył Szląsk, ową rzeczywistą nagrodę głębokiej polityki i wojny prowadzonej podług nowych, a wybornych zasad.

Wszelako, nie odrazu to można zyskać lub stracić taką prowincję jak Szląsk. Pobożną Marję Teressę podniecały dwie nieubłagane pobudki: żal oderwanego dziedzictwa i duma domu Austrjackiego, upokorzona przez młodego i bezbożnego nowatora. Czekała więc tylko chwili zemsty, a ta niebawem nadeszła. Ów Fryderyk, umiejący panować nad sobą, tak w polityce jako i wojnie, miał w sobie wady szyderstwa i złośliwości, do czego ówczesna Europa dostarczała mu przedmioty. W Paryżu kobieta dowcipna i zalotna rządziła dworem i zniszczonym rozpustą Ludwikiem XV. Z drugiej strony piękna rownież i niezbyt surowych obyczajów cesarzowa Elżbieta kierowała dworem Rossyjskim. Fryderyk obraziwszy obie swemi nieumiarkowanemi słowy, ułatwił tém samém związek ich z Marją Teressą i ściągnął na siebie straszliwą wojnę siedmio-letnią, w której prawie z całym lądem stałym musiał walczyć. W wojnie tej sztuka wojenna znaczny zrobiła postęp.

Widzieliśmy, że Fryderyk bił się pod Molwitz w sposób, w jaki staczano bitwy pod Rocroy, Farsalą, Arbellą, to jest, z piechotą pośrodku, a jazdą na skrzydłach. Poznawszy wyższość jazdy austrjackiej, zapragnął podobnej u siebie, czuł jej bowiem brak na równinach Szląska; jakoż wkrótce nadał jej tę dzielność, jakiej nie miała kawalerja austrjacka. Zawsze atoli główną swą siłę opierał na piechocie, do czego skłaniały go dwa powody: doskonałe jej wyćwiczenie jakiemu zawdzięczał pierwsze swe powodzenie i położenie kraju, w którym miał walczyć. Szląsk wprawdzie jest krajem płaskim, lecz nie na nim samym miała ograniczyć się wojna; trzeba było bić się i w Czechach, a mianowicie w górach, dwie te prowincje rozdzielających. Czuł więc konieczność działania wyłącznie siłą piechoty, używając jazdy i artylerji jako pomocniczej, stosownie do używanej pozycji. Słowem, Fryderyk wprowadził sztukę zastosowania broni do położenia.

Tak więc wódz ten, który pod Molwitz ustawił piechotę w środku, jazdę na skrzydłach, a artylerję na czele, inną zupełnie taktykę zastoso-

wał pod Leuthen i Rosbach. W bitwie pod Leuthen, którą Napoleon nazywał *arcy-dziełem Fryderyka IV.* Austrjacy opierali się lewem skrzydłem o wzgórza lesiste, prawe zaś ich skrzydło stało wyciągnięte na równinie. Korzystając z zasłony pagórków oddzielających go od nieprzyjaciela, Fryderyk przeprowadził poza niemi największą część swej piechoty, zaszedł z lewej strony Austrjakom, zajął Leuthen, zkąd wyparłszy ich, uderzył całą siłą swej kawaleryi i będąc już bliskim przegranej, w jednym dniu podnosi swoję sprawę, biorąc w niewolą i kładąc na placu połowę sił przeciwnika.

Pod Rosbach Fryderyk zajmował wzgórza dość nieprzystępne; po prawej stronie ciągnęły się bagna, a po lewej lasy. Książę Subkise, nie trzymając się zwykłej w XVII wieku metody, zamierzał okrążyć Prussaków, przeprowadzeniem wojsk francuzkich przez las na lewą stronę nieprzyjaciela. Fryderyk dozwala im zapuścić się w tę samołówkę, wstrzymuje kilką batalionami dzielnej piechoty, następnie rzuca na skrzydła jazdę Seidlitz'a, zmusza Francuzów do ucieczki i odnosi zwycięztwo o jakiem Francja, bez późniejszych triumfów rewolucji i cesarstwa, nie mogłaby nigdy wspomnieć bez wstydu.

Fryderyk zmienił więc postać sztuki wojennej w tem głównie, że stosownie do pozycji i natury gruntu, rozmaitej swej broni używał. Miał on wprawdzie swoje nawyknienia i szczególny tryb działania polegający w tem, że prawie zawsze rozpoczynał bój od ataku na skrzydło nieprzyjaciela, pokonaniem którego przechylał zwycięztwo, i ztąd to właśnie wynikły sławne owe spory *o szyk ukośny* w ciągu ośmnastego wieku prowadzone.

Fryderyk nie tylko zaprowadził zmianę w użyciu rozmaitej broni, ale nadto zmienił jej stosunki; zredukował kawalerją najwyżej do trzeciej części, a powiększył artylerją, czyniąc ją liczniejszą i lżejszą w obrotach.

Nakoniec, co się tycze najważniejszej części działań, to jest ogólnego kierunku operacji wojennych, Fryderyk i w tem znaczne zmiany zaprowadził. W poprzedzającem stuleciu krążono zwykle około jednego stanowiska, by je zdobyć lub obronić. Fryderyk zmuszony walczyć przeciw wojskom całej prawie Europy, kroczącym na niego z Czech, Polski i Frankonji, musiał opierać się wszystkim na raz nieprzyjaciołom, stawiać czoło rzeczywistym tylko niebezpieczeństwom, przenosić się z jednego na drugie stanowisko i szukać dla siebie ocalenia w oszczędnem sił swych szafunku. Lecz jakkolwiek wojna, dzięki pomysłom Fryderyka, stała się żywszą, śmielszą, więcej urozmaiconą, daleką ona jeszcze

byłe od wojen na jakie w obecnym wieku patrzyliśmy. Fryderyk nie przekroczył poza granice Szląska i Saksonji, czyli ograniczał działania swe na przestrzeni objętej Odrą i Elbą; nigdy więc nie obejmował wzrokiem całego obszaru cesarstwa, nie szukał punktu z którego jednym ciosem wojna dałaby się przeciąć. Jeżeli zamierzał wejść do bliskiego mu Drezna, nie pomyślał wszakże, że można pójść na Wiedeń. Jeżeli z Głogowy lub Wrocławia biegł do Erfurtu, to jedynie dla tego, aby po zwycięztwie nad jydnym nieprzyjacielem, rzucić się na drugiego. Słowem, Fryderyk rozpoczął wielką w sztuce wojennej rewolucję, lecz jej nie dokończył. Tak np. nie śmiejąc w fałszywych ruchach nieprzyjaciela, jak to później w r. 1814 czynił Napoleon, szukać sposobności do działań stanowczych, zamknął się w obozie pod Buntzelwitz, gdzie w kilko-miesięcznej bezczynności, wyczekiwał losu, któryby go nieochybnie przywiódł był o zgubę, gdyby nie śmierć Elżbiety, po której na tron rossyjski wstąpił Piotr III. Stojąc obozem pod Buntzelwitz, wierny z dawna przekazanym zwyczajom, zasłaniał granicę tak zwanem *pustoszeniem*. Dla powstrzymania pochodu Austrjaków na Szląsk, ciął lasy, palił zboża i wsie na szerokość 10 do 12, a na długość 30 do 40 mil i tym sposobem, w miejsce działań strategicznych, głodem odpierał przeciwnika. Taka wojna nie odznaczała się odwagą i zręcznością, ale raczej okrucieństwem. O ile więc z jednej strony Fryderyk zmienił szyk boju czyniąc go zależnym od zajmowanego stanowiska, o ile obrotom swoim w walce przeciw trzem naraz mocarstwam nadał kierunek dotąd nieznany, o tyle z drugiej strony nie posunął wielkiej wojny do należytego jej rozwoju. Rozwiązanie tego zadania pozostawił on rewolucji francuzkiej, a raczéj mężowi, który sztandary swoje poniósł na krańce świata cywilizowanego.

W każdym razie Fryderyk uczynił wiele i można powiedzieć, że mało ludzi w postępie umysłu ludzkiego tak obszerne przekroczyło granice. Zaiste, Fryderyk mocą swego charakteru i genjuszu umiał oprzeć się Francji, Austrji i Rossji, a zdziałał to z pomocą narodu, który nawet po przyłączeniu Szląska, nie liczył więcej jak 6 do 7 miljonów ludności. Do tych zadziwiających rezultatów przyczyniły się okoliczności, o których pokrótce wspomnieć tu należy. Najprzód, Anglja wsparła Fryderyka swojem złotem, za ktore łatwiej mu było zaopatrzyć się w wojsko, a ponieważ w wojnie tej walczyli Niemcy z Niemcami, po każdej więc bitwie zabrani jeńcy zamieniali się w nowo-zaciężnych, co tem samem dozwalało wypełniać słabe pułki pruskie. Nadto, Fryderek zajmował stanowisko spółśrodkowe pomiędzy Rossją, Austrją a Francją, przenosząc się więc z Wrocławia do Frankfurtu nad Odrą, z Frankfurtu do

Drezna, z Drezna do Erfurtu, wszędzie nie trudno mu było stawiać czoło nieprzyjaciołom. Zresztą, jeżeli Austrja na prawdę z nim walczyła, za to Rossja i Francja, zawiśle od przywidzeń dworów, prowadziły z nim wojnę od niechcenia. Cesarzowa Elżbieta wysyłała co rok pewien oddział wojska, które po wygranej lub straconej bitwie, cofało się do Polski. Francuzi, zmuszeni odpierać Anglików w Niderlandach, przy nieodpowiednim zarządzie i dowództwie, od czasu do czasu wysyłali również swoją armję, która po odniesionej klęsce, jak pod Rosbach, z niczem do kraju wracała. Fryderyk więc głównie miał do czynienia z Austrją, nic dziwnego przeto, że korzyści jego były zadziwiające. Po dwakroć nieprzyjaciele wkraczali do Berlina, a jednakże nie pozbawiali go tronu w braku odpowiedniego kandydata, przestając na wyciśnieniu kilku set tysięcy talarów kontrybucji. Te wszystkie zebrawszy okoliczności łatwo pojmiemy, dla czego ten słaby książę mógł przez lat siedm opierać się trzem wielkim mocarstwom Europy, nużąc je swoją wytrwałością i rozbrajając trzy kobiety, uszczypliwością jego języka do żywego dotknięte. W każdym razie dokonane przez niego dzieło jest pamiętnem w dziejach i może być postawione na równi z czynami Alexandra, Annibala, Cezara, Gustawa Adolfa i Napoleona.

Dopiero rewolucji francuzkiej dostało się spełnienie stanowczego i ostatecznego rozwinięcia sztuki prowadzenia wielkiej wojny. Popęd cywilizacyjny, zastępujący jazdę piechotą, był wynikiem rewolucji, tego wulkanicznego wybuchu klass średnich. W r. 1789 serce Francji ożywiały dwa uczucia: żal za upadkiem do którego kraj dążył od Ludwika XIV, i nienawiść do państw europejskich, usiłujących powstrzymać rozwój instytucji ugruntowanych na zasadach cywilnej równości. Te dwie silne podniety postawiły cały naród pod bronią. Stare wojsko królewskie, lubo skutkiem wyemigrowania pozbawione wielu dobrych oficerów, walczyło dobrze w pierwszych potyczkach i pod jenerałem Dumouriez korzystne staczało bitwy. Wszelako wojsko to padło pod ogniem straszliwej wojny, a natomiast rewolucja dostarczyła tłumy ludu, z którego utworzyła się piechota. Z żołnierzy naprędce zaciągniętych nie podobna utworzyć dobrych jezdzców, artylerzystów, saperów; lecz w kraju istotnie militarnym, natchnionym dumą swego oręża, łatwo uorganizować piechotę. Wcielona w pół-brygady, owa resztka starej armji, piechota natchnęła je męztwem, stworzyła dzielnych tyraljerów, roztrącających tłumy nieprzyjaciół ostrzem swych bagnetów. Z czasem wojsko to, działając przeciw żołnierzom wyćwiczonym w szkole Fryderyka i Daun, samo nauczyło się nowych obrotów wojennych, a ujęte w kluby

karności, przy wrodzonem męztwie i lekkości, utworzyło najpierwszą armją w świecie.

Te silne uczucia obudzone w 1789 r., w połączeniu z odwiecznemi tradycjami, musiały wykształcić odpowiednich dowódzców. Ta doskonale wyćwiczona piechota, żywsza, zwinniejsza i odważniejsza od niemieckiej, silny wywarła wpływ na swoich jenerałów. Ona to popchnęła Pichegru do Hollandji, Moreau, Klebera, Hoche, Jourdan'a do Niemiec. Podczas atoli kształcenia się tych zdolnych dowódzców, brakło zawsze jednego, któryby potrafił ująć ster całej armji wielkiego państwa, bo tu ruch moralny powinien iść w parze z ruchem fizycznym, tak aby działanie każdego oddziału zastosowanem było do jego siły i przestrzeni kraju. Kiedy Pichegru, Hoche, Moreau, Kleber, Desaix, Massena jawili się z łona ruchu narodowego, wódz ich przyszły ukazywał się na widowni Tulonu. Młody Bonaparte, uczeń szkoły dawnego rządu, wykształcony w uczonym zawodzie artyllerjyskim, pełen ducha i męztwa, jakiego może dotąd nikt nie posiadał, łączył w sobie zapał i śmiałość rewolucji francuzkiej. Obdarzony uniwersalnym genjuszem, zdolny do zajęcia godnie wszelkich w świecie stanowisk, posiadał to szczególne usposobienie, że zawsze na kartach jeograficznych śledził położenie i na na nich tak polityczne jako i wojenne zagadnienia roztrzygał. Schylony nad mappą, co rzadko, wówczas zwłaszcza, czynili wojskowi, przypatrywał się ciągle położeniu gruntu na którym toczyła się, wojna łącząc te badania z młodzieńczemi marzeniami, że gdyby był panem okoliczności, zrobiłby to i owo, w tym lub owym kierunku posunąłby armją rzeczypospolitej. Bonaparte nie wiedział jeszcze, że przyjdzie chwila w której zostanie panem położenia, czuł wszelako wrzące w sobie jakieś niewysłowione uczucia. Oddany samotnym rozmyślaniom, zrozumiał, że Austrji, po zrzeczeniu się Niderlandów, można tylko we Włoszech zadać ranę, że tam więc należało przenieść teatr wojny, chcąc ją dotknąć ciosem stanowczym. O tych swoich marzeniach rozpowiadał kilkakrotnie dyrektorom, tak iż ci prawie znudzeni, mianowali go dowódzcą Paryża, a następnie po porażce Schérer'a, dowódzcą armji włoskiej. Zaledwie stanął w Nicei, młody jenerał jednym rzutem oka poznał, że nie potrzeba siłą zdobywać Alp, dosyć je bowiem okrążyć. Piemontczycy i Austrjacy strzegli wtedy wąwozu pod Montenotte, odkąd właśnie zniżające się Alpy zamieniają się w łańcuch Apenin. Dla odwrócenia Austrjaków uczynił zamach na Genuę, następnie, pewnej nocy, zdobywa Montenotte, strzeżone jedynie od Piemontczyków, w dwóch bitwach wypiera ich do Turynu, zmusza króla Sardyńskiego do zawarcia pokoju, ściga Austrjaków nad Po, którzy widząc pozorne odwrócenie ich ku Genui, spieszą na

obronę Medjolanu. Bonaparte przebywa rz. Po pod Placencją, wchodzi do Medjolanu, spieszy na Lodi, przekracza Addę, staje nad Adygą, którą bystrością swego umysłu uznaje jako rzeczywistą granicę Włoch od Niemiec. Inny, mniej genjalny wódz, poszedłby zapewne na Florencją, Rzym i Neapol. Bonaparte o tem nie myślał. Trzeba Włochy wydrzeć Niemcom, powtarzał dyrektorjatowi, i przeciwnim silne zająć stanowisko; wódz zmierzający na południe Włoch znajdzie Fournone jak Karol VIII, lub Trebbję jak Mackdonald. Postanawia więc trzymać się północnej części tego kraju i tymże zawsze genjalnym wzrokiem postrzega, że rzeka Po, długa w swoim biegu, łatwo bronioną być nie może, że zatem łatwiej jest bronić Adygę, która wypłynąwszy zaledwie z Alp pod Weroną, wpada w bagna pod Legnago. Młody Bonaparte staje więc nad Adygą, takie tworząc przypuszczenia: Jeżeli Austrjacy zechcą owładnąć Adygę idąc przez góry, muszą koniecznie przebywał płaskowzgórze pod Rivoli; jeżeli zaś przeciwne zwrócą się na równiny, w takim razie muszą ukazać się pod Weroną, lub w okolicy bagien pod Lognago. Z tego więc wynika, że główne siły należało zebrać we środku to jest, pod Weroną, dwa oddziały gwardji pozostawić pod Rivoli i Legnago, wzmacniać je stosownie do kierunku obranego przez nieprzyjaciela i pozostać w tem stanowisku, oblegając tymczasem Mantuę zanim ukażą się Austrjacy. Dzięki trafności tych pomysłów, Bonaparte z 36,000 żołnierzy, zaledwie o 15,000 w ciągu wojny zwiększonymi, stawia czoło całej armji austrjackiej, a stoczywszy w ciągu 18 miesięcy dwanascie bitew, przeszło sześdziesiąt mniejszych utarczek, zabrawszy około sto tysięcy jeńców, upokarza Austrją, zmusza do oddania Francji linji nad-Reńskiej i do podpisania pokoju.

Przejrzyjmy karty dziejów świata, a nie znajdziemy nic równego. Plany bitew i sposób walczenia noszą cechę bez przykładnej doskonałości. Przejście Alp pod Montenotte i odwiedzenie Austrjaków pod Genuę, opanowanie Medjolanu, pochód pod Weronę, zamiast na Rzym i Neapol, obranie teatru wojny w północnej stronie Włoch w przekonaniu, że południowa ich część sama, jak dojrzały owoc z drzewa, wpadnie w jego ręce, wybór z pomiędzy wielu linij obronnych, długiej linji nad Adygą i silne utrzymanie tego stanowiska aż do ostatecznego zniesienia sił austrjackich, oto w czem leżała doskonałość planów Bonapartego. Z drugiej strony, wyczekiwaniu nieprzyjaciela pod Weroną, wyparcie go w razie nadejścia dla zyskania dobrej pozycji pod Caldero, pokonanie go w bagnach pod Arcole, w razie nadciągnienia z prawej strony, przyjęcie bitwy na równinach Rivoli i wparcie artylerji i jazdy do Adygi, a zabranie piechoty pozbawionej pomocy, nareszcie wzięcie siłą 15 tysię-

cy, 18 tysięcy jeńców, oto sztuka wojenna tego wielkiego wodza. A gdy dodamy, że Bonaparte licząc wtedy zaledwie 26 lat, łączył w sobie odwagę z głębokością dojrzałego wieku, wtedy powtórzyć musimy, że pod względem wielkości planów i trafnego ich wykonania, dzieje świata równego nam nie przedstawiają wzoru.

Cały dalszy zawód jenerała Bonaparte następnemi znaczy się zawsze zarysami: nieomylnem pojęciem celu kampanji, zręcznem skorzystaniem z pozycji, dokładnością ogólnych obrotów i sztuką staczania bitew.

W 1800 r. Francuzi opanowali Szwajcarją aż po Tyrol; po lewej stronie ciągną się równiny Szwabji, po prawej Piemontu. Austrjacy niespodziewając się po młodym ich przeciwniku tak śmiałych ruchów, posunęli się na lewo pod Hunningę, a na prawo ku Genui. Wtedy pierwszy konsul zamierzywszy wpaść na nich z tyłu z obu stron łańcucha Alp, poleca jenerałowi Moreau posunąć się przez Konstancją pod Ulm, sam zaś przez górę św. Bernarda zmierza na Medjolan. Moreau waha się z wkroczeniem do Bawarji pomiędzy tłumy nieprzyjaciela. Bonaparte pozostawiwszy mu wolność działania, sam przechodzi górę św. Bernarda, toruje nowe drogi, stacza na dół działa zamknięte w wydrążonych kłodach drzewa, wpada niespodzianie na Austrjaków i jedną bitwą pod Marengo zdobywa całe Włochy, gdy tymczasem Moreau, swojem zbyt systematycznem działaniem, potrzebuje sześć miesięcy czasu by się podsunąć pod Wiedeń.

W bitwie tej, punkt uderzenia na nieprzyjaciela obrany był z taką trafnością, że nieprzyjaciel w jednej chwili został rozbrojony. Mimo to, stanowcza ta bitwa, nie przedstawia jeszcze takiej dokładności, jak np. bitwa pod Rivoli. Wojska stały na równinie, pozycja nie dość szczęśliwa a źle wykonany rekonesans nie wyśledził obecności Austrjaków. Bonaparte więc napadnięty znienacka o mało nie poniósł klęski. Lecz wtedy nie miał Grouchy'ego, a przybycie Desaix'a, na jego stronę przechyliło zwycięztwo. Zresztą, jeżeli wypadek uczynił wygranę wątpliwą, już sam sposób działania, którem zajął tył przeciwnika, jest godnym podziwu i postawienia na równi z wykonanem przed dwoma tysiącami lat przejściem Annibala przez Alpy.

W 1805 r. zmuszony wyrzec się wyprawy na Anglją, a natomiast walczyć na stałym lądzie, młody konsul obrany już cesarzem, w ciągu pietnastu dni przeprowadza swoją armję z Flandrji do Szwabji. Kiedy Francuzi przechodząc wąwozy Czarnego Lasu, zmierzali ku źródłom Dunaju, Austrjacy według swego zwyczaju spiesznie tam podążali. Napoleon stawiając w wąwozach opór przedniemi swemi kolumnami, zwraca

się nagle, okrąża na lewo Alpy Szwabskie, wpada przez Norymbergę na tyły Austrjaków, zamyka ich w Ulmie i zmusza 60 tysięczną armję złożyć oręż, czego zotąd w dziejach świata nie widziano. Tak oswobodzony od przeważniejszych sił austrjackich, a dowiedziawszy się, że Prusacy zagrażają, nie wahając się długo, ściąga swoje z Włoch wojska z ich wodzem Masseną, zbiera je pod Wiedniem, dąży pod Austerlitz, tam zastaje wojska rossyjskie w połączeniu z resztkami sił austrjackich, udaje jakiś czas obawę, i tem samem podnosi ufność cesarza Aleksandra, usiłującego odciąć Francuzów od Wiednia. To uczyniwszy, Alexander odkrywa płaskowzgórze Pratzen, środkowe swoje stanowisko. Napoleon spada tu jak orzeł, a rozdzieliwszy armje nieprzyjacielskie, wpycha jedną jej część w jezioro, drugą zaś w wąwozy. Następnie zwraca się na Prusaków, którzy zamiast złączenia się z sprzymierzonymi, musieli na klęczkach przepraszać, że ośmielili się wystąpić z nim do wojny.

I tu więc działania ogólne odznaczają się śmiałością i trafnością nieporównaną; stanowcza ta bitwa jest cudem zręczności i przytomności umysłu, nic dziwnego więc, jeżeli całe monarchje muszą się ukorzyć przed taką dzielnością sztuki.

Upojony powodzeniem zwycięzca z pod Austerlitz, zamiast szukać trwałego pokoju, wypowiada wojnę Prusom wspieranym przez Rossją. Wojska pruskie posuwają się poza górzyste lasy Turyngji, by zasłonić równiny środkowych Niemiec. Napoleon nie tamując ich pochodu, zwraca się ku Koburgowi, uderza na lewy kraniec linji nieprzyjacielskiej, odcina ją od północy, gdzie właśnie stali Rossjanie, znosi Prusaków pod Jeną i Auerstaedt i ścigając cofających się bez wytchnienia, zabiera wszystkich pod Prenclowem w pobliżu Lubeki. W dniu tym nie było już monarchji pruskiej, i dzieło Fryderyka IV, odrazu zniszczone!

Teraz wypadało ścigać Rossjan. Napoleon posuwa się nad brzegi Wisły i wtedy po raz pierwszy spotyka się z dwiema wielkiemi trudnościami: klimatem i obszarami kraju, które w następstwie smutne dla niego sprowadziły skutki. Armja jego zachowała dotąd całą moralną i fizyczną siłę; w tych atoli obszarach kraju, długie marsze, głód i zimno niejednego zniechęcają żołnierza. Napoleon rozwija całą siłą woli i umiejętnej organizacji, by utrzymać w całości swe wojsko, walczy na zlodowaciałych równinach pod Eylau przeciw sile Rossjan, porę zimową obraca na utrwalenie swej pozycji zdobyciem Gdańska, i na wiosnę, po kilkomiesięcznem wypoczynku posuwa się nad Niemen, idąc wzdłuż za biegiem rzeczki Ale. Napoleon obliczył, że Rossjanie muszą wpierw przejść rz. Ale, całe więc baczenie zwraca na ten krok stanowczy. Jakoż w d. 14 Czerwca, to jest, w rocznicę bitwy pod Marengo, spotyka

Rossjan przechodzących Ale pod Friederlandem. Wszystkie jego oddziały, oprócz grenadjerów Oudinot'a, pozostały w tyle. Przybiegłszy na miejsce działań, posuwa naprzód Oudinot'a, a tymczasem spiesznie ściąga swoje wojska. Mając już wszystkie siły swoje pod ręką, nie rzuca się jeszcze na Rossjan, lecz wyczekuje przejścia ich przez Ale. Aby ich łatwiej wciągnąć, cofa swoje lewe skrzydło, prawe zaś posuwa ku Friedlandowi, gdzie Rossjanie rzucili mosty, niszczy te ostatnie, pozbawiając nieprzyjaciela, drogi do odwrotu, lewe skrzydło wtedy posuwa naprzód, jak w przepaść wpycha Rossjan w rz. Ale i topi lub zabiera całą armję, ostatnią z tamujących pochód jego w Europie.

Jak poprzednie wyprawy, tak i ta jest doskonałą w całem swojem wykonaniu. Obliczyć naprzód, że Rossjanie przejdą przez Alę pod okiem wojsk francuzkich, napaść na nich w chwili przejścia, zniszczyć mosty i wepchnąć ich do rzeki, oto są rzeczywiste dowody bystrej przezorności i przytomności umysłu Napoleona.

We Włoszech Napoleon był jeszcze wodzem zależnym, rozporządzającym szczupłemi środkami. Przeciwnie, w Austrji, w Prusach i Polsce, był wodzem i królem, władającym środkami dostarczanemi z łona obszernego państwa, łatwo mu więc było przenosić się z kraju do kraju i wieść wojnę na przestrzeniach dotąd niepraktykowanych. Tam był on wzorem jenerała wyższej poddanego władzy, tu zaś okazywał się wodzem potężnym i zwycięzkim. Tu nie widzimy więcej owych ograniczonych około jednego miejsca ruchów, owych bitew klassycznych z jazdą na skrzydłach a piechotą po środku; tu obroty wojenne zastosowane są do pola działań, do pozycji na której staczane są bitwy. Bitwy Napoleona podobne są do walki pod Leuthen, wojenne zaś ruchy o wiele większą mają doniosłość niż obroty Fryderyka, przebiegającego bez wytchnienia z Wrocławia do Frankfurtu nad Odrą, ztąd do Erfurtu, bez zadania ciosu stanowczo wojnę rozstrzygającego. Pisząc to, nie mamy bynajmniej na myśli czynić ujmę wytrwałości, działalności i przeżorności Fryderyka, słusznie wielkim nazwanego, niezaprzeczoną atoli jest rzeczą, że wódz francuzki, łącząc własną odwagę z śmiałością rewolucji, badając stanowisko bitew w sposób dotąd nieznany, nabył trafności, z jaką zadane ręką jego ciosy, były zawsze stanowcze. Sztuka wojenna pod Napoleonem, można powiedzieć, granic swoich dosięgła!

Niestety, takie powodzenie oręża łacno mogło popsuć nawet tak białego wodza i tchnąć zarozumieniem, że wszystko dlań jest możliwem. Ztąd owe marsze z Hiszpanji do Rossji, z wojskiem coraz świeżem, a więc stopniowo słabszem, marsze wykonywane na przestrzeni z Kadyxu do Moskwy, w klimacie raz afrykańskim, to znów w mrozach Północy,

z 40 stopni ciepła, do 30 st. zimna, to jest, wystawianie się na różnice powietrza trudne do zniesienia życiu zwierzęcemu. Takie to lekkomyślne kroki mogą przywieść do zguby największego, najbieglejszego wodza.

Wielu pisarzy życia Napoleona, surowszymi są sędziami jego działań wojennych, niż jego polityki. Wielu nazywa go dobrym wodzem w czasach powodzeń, a złym w przeciwnościach; przyznają że umiał zdobywać, a nie umiał się bronić; że był pierwszym w wojnie zaczepnej, a ostatnim w obronnej, słowem że Napoleon *nie umiał nigdy cofać się*. W przekonaniu naszem, zdania te są błędne.

Kiedy upojony powodzeniem Napoleon, przebiegł z Paryża do Moskwy, pod niebo z 30-stopniowemi mrozami, wtedy odwrót jego stał się niemożliwym, i nawet sam Moreau, ów słynny dowódzca odwrotu w roku 1800 w Bawaryi wykonanego, nie mógłby w całości przeprowadzić wojsk z Moskwy do Warszawy. Klęski poniesione przez armiję francuzką w r. 1812 nie były skutkiem zmiennych kolei wojny, w której często wypada iść naprzód lub cofać się; był to raczej ów gmach walący się na głowę zuchwałego budownika, który go chiał wznieść pod niebiosa. Wojsko biegnące z najwyższym zapałem do Moskwy, znalazłszy się na raz w klimacie niszczącym, w niezmierzonych stepach, wpośród rozjątrzonego narodu, nagle upadło na duchu tak, iż żadna siła zapału jego podnieść nie mogła. Nie była to więc nieumiejętność zrobienia odwrotu, ale raczej ruina monarchji uniwersalnej na głowę jej lekkomyślnego autora.

Lecz nie byłby ten wodzem, ktoby nie doznał powodzeń i klęsk; wojna bowiem jest zmienną koleją szczęścia i przeciwności. Wódz w obu tych okolicznościach nie znajdujący odpowiednich środków zaradczych, nie mógłby utrzymać się ani przez dni kilkanaście. Kiedy jenerał Bonaparte napadnięty od Austrjaków w Listopadzie 1796 r., mając zaledwie 10,000 ludzi do ustawienia w szyk bojowy, rzucił się na bagna pod Arcole dla zgniecenia przeważającej siły, wtedy okazał dowód wytrwałości i twórczości umysłu, bezprzykładnej w podobnie trudnych okolicznościach. W r. 1808, to jest w epoce wielkich błędów politycznych, Napoleon stojąc pod Essling, przyparty do Dunaju i pozbawiony wszystkich mostów wezbraną rzeką, z zimną krwią cofnął się na wyspę Lobau, a tem samém dowiódł, że i w przeciwnościach potrafił być wytrwałym. Wprawdzie opór pod Essling zawdzięczyć należy męztwu Lanues'a, który tam poległ, i Masseny, który również o mało zwycięztwa życiem nie przypłacił; ale jedynie wytrwałości Napoleona wpośród wzburzonego Wiednia i zdemoralizowanych jenerałów francuzkich, wy-

trwałości, której owocem było zwycięztwo pod Wagram, należy przyznać powodzenie wojny jednej z największych, jaką pamięć dziejów przechowała.

Nakoniec, jako dowód najwyższej biegłości wojennej przytoczymy jeszcze kampanję z 1814 r., w której Napoleon z garstką ludzi, trudami złamanych lub świeżo zaciągniętych, opierał się całej Europie i korzystając z fałszywych obrotów nieprzyjaciela, zadawał mu ostateczne ciosy, wszędzie okazując bezprzykładną stałość, przytomność i niewyczerpaną twórczość pomysłów. Zaiste Napoleon nie prowadził wojen odpornych, jak większa część wodzów; każdy odwrót jego z jednej do drugiej linii był systematyczny i dążący do zyskania na czasie. Wojny jego można nazwać zaczepno odpornemi; w każdej starał się on zbadać najprzód położenie miejsca i sposób działania przeciwnika, by uderzeniem znienacka, zgnieść go jednym ciosem. Tak działał przeciw Blücher'owi i Schwarzenberg'owi w 1813 r. i niezawodnie i tu wyszedłby zwycięzcą, gdyby ciągłemi walkami nie nadużył ludzi i okoliczności.

Jeżeli nie był umiejętnym wodzem w wykonywaniu odwrotów, jako trzymający się zasady Fryderyka, który utrzymywał, że działanie zaczepne jest najpewniejszém działaniem odpornem, nie mniej wszakże wielkim okazywał się w wojnach niepomyślnych, jak i szczęśliwych. Tak w jednych jako i w drugich zachował toż samo męztwo, dzielność i bystry rzut oka w działaniu, a jeżeli upadł, to bynajmniej nie jako wódz, ale raczej jako zły polityk, pragnący zwalczyć samą niepokonaną naturę rzeczy.

Jak w ogólném kierownictwie operacji wojennych, tak i w uorganizowaniu wojsk, Napoleon okazał się również niepospolitym. Dawniej, za czasów rzeczypospolitej, jenerałowie dzielili armję na dywizje złożone z różnej broni: z piechoty, artyllerji i jazdy, pozostawiając w tenże sposób sformowany oddział na wypadki nieprzewidziane. Tu każdy z wodzów działał na swoją rękę, zadaniem zaś naczelnego wodza było niesienie pomocy temu, który najwięcej jej potrzebował. Można więc było unikać klęsk, wygrać nawet bitwę, żadna przecież z tych bitew nie była stanowczą, nie zmuszała przeciwnika do złożenia broni. Napoleon zmienił cały ustrój armji tak, iż ona dawała dowódzcy wszelkie środki stanowczego rozstrzygnienia.

Wojsko Napoleońskie składało się z korpusów, których podstawą była piechota z częścią artyllerji i jazdy. Niezależnie atoli od gwardji pieszej stanowiącej zwykłą jego rezerwę, miał on zawsze w odwodzie znaczny oddział kawalerji i artyllerji i tę jak piorun ciskał w stanowczej chwili. Pod Eylau, gdzie piechota rossyjska stała jak mur niezłomny,

Napoleon rzucił na nią 60 szwadronów dragonów i kiryssjerów i niemi zrobił wyłom, zawrzeć się już nie dający. Pod Wagram, gdzie Bernadotte dozwolił przebić francuzkie szeregi, Napoleon ze stu dział otworzył tak silny ogień, że nim powstrzymywał zwycięzkie wojska arcyksięcia Karola i wznowił bój, który Davout dokonał zdobyciem płaskowzgórza pod Wagram. I dla tego to Napoleon, oprócz gwardji, tworzył zawsze dwie rezerwy jazdy i artyllerji z daleka stojące i niemi jak maczugą Herkulesa uderzał. Lecz aby zręcznie wywijać tą maczugą, trzeba do niej silnej dłoni Herkulesa; taka więc organizacja w ręku mniej zdolnego wodza, pozbawiałaby go często dowódzców zdolnych do użycia każdej specjalnej broni. Wszyscy też jenerałowie z nad-reńskiej armji republikańskiej, przywykli działać niezależnie i mieć do rozporządzenia po trosze z każdej broni, żałowali dawnego jej składu, co wychodzi na to, że jenerałowie ci żałowali utraconej powagi, nie bacząc jak wypadek ich działań był wątpliwy.

Nie na samém wszakże rozdziale wojska, dobroć organizacji jego polega; wielkie tu ma znaczenie umiejętne robienie zaciągów i żywienie żołnierza. Pod tym względem, ściąganie rekruta z wiosek nad brzegi Renu, Elby, Wisły i Niemna, pomieszczanie ich w punktach zbornych, troskliwa nad niemi opieka, i że tak powiem, prowadzenie za rękę aż na plac boju, była w Napoleonie godną podziwu sztuką. Często też, po całodziennych trudach na koniu, Napoleon zasiadał w nocy dla skreślenia instrukcji lub wytknięcia popełnionych błędów i zaniedbania się. Wszelako po drogach spotykano często żołnierzy włóczęgów; dezercja ta świadczyła, że powodem jej było pogwałcenie natury przepędzaniem żołnierzy od Tagu do Wołgi.

Do trudów nieodłącznych od naczelnego dowództwa armji, dodajmy jeszcze walki staczane z żywiołami i naturą w czasie przechodzenia śnieżystych gór, bystrych i szerokich rzek, a niekiedy i morza samego. Starożytność podziwiała przejście Annibala przez Alpy i Pireneje i w rzeczy samej ludzie nic równego dotąd nie wykonali. Przejście góry ś. Bernarda, przeprawa armji do Egiptu wskróś floty angielskiej, przybory do expedycji z Boulogne, nakoniec przejście Dunaju pod Wagram, są to operacje, które potomność również podziwiać będzie. Ostatnia zwłaszcza będzie zawsze przedmiotem godnym zastanowienia. Tu przedstawiały się trudności ciężkie do pokonania: szło bowiem głównie o przeprawę 150 tysięcy wojska za Dunaj i stoczenie tam bitwy z Austrjakami, w 200 tysięcy oczekującymi tylko chwili, aby armję francuzką weprzeć w rzekę. Uniknienie tej klęski było prawie niepodobném; Napoleon uniknął jej w sposób godny podziwu. W przeciągu trzech godzin 150 tysięcy

żołnierzy i 500 dział, przeszło rzekę pod okiem zdumionego nieprzyjaciela; który wtedy dopiero wystąpił do walki, gdy wojska francuzkie stanęły już na lewym brzegu rzeki. Przejście ś. Bernarda, jakkolwiek zdumiewające, nie wyrównywa przejściu Annibala przez Alpy: lecz przeprawa przez Dunaj w 1809 r., jako dzieło w którém wypadało pokonać naturę i ludzi, będzie zawsze dowodem głębokiego wyrachowania, przezorności i odwagi w wykonaniu.

Nakoniec, nie określilibyśmy dostatecznie genjuszu Napoleona, gdybyśmy nie dodali, że przy wysokim rozumie, posiadał on sztukę panowania nad ludźmi, wdrażania w nich ożywiających go namiętności, podbijania ich swą wymową, powodowania nimi stosownie do potrzeby i okoliczności, na podobieństwo jeźdźca, bystrym powodującego koniem. Słowem, tak pod względem rozumu, jak i charakteru, Napoleon posiadał wszelkie przymioty prawdziwego wodza i można powiedzieć, że oprócz Annibala, nie miał robie równego.

Streszczając więc to, cośmy dotąd o postępie wielkiej wojny powiedzieli, powtórzymy, że w starożytności posunęli ją najwyżej Annibal i Cezar; ten ostatni wszakże, trzymając się zwyczaju ścieśnionych obozów, okazywał mniej śmiałości w ruchach i wytrwania we wszelkich kolejach losu, niż Annibal. W Wiekach Średnich, Karol W. nie daje nam także wzoru wielkiego wodza, albowiem sztuka wojenna pozostała jeszcze na stopie dawnego nieokrzesania. Wojsko, prawie zawsze jezdne, wspierała mała tylko garstka łuczników. Z powstaniem dopiero klas średnich bierze początek piechota, najprzód w górach Szwajcarji, potem w miastach niemieckich, włoskich, holenderskich. Gdy proch rozburzył sterczące murami grody, miasta zaczęły opasywać się wałami ziemnemi, co dało początek nauce fortyfikacji. Zdobywanie i obrona miast i warowni, dała początek umiejętnościom wojennym.

Książęta nassauscy byli tu pierwszymi mistrzami. Kiedy na północy zawrzała 30-letnia wojna protestantów z katolikami, Gustaw Adolf, stawiając dzielny lud przeciw jazdzie polskiej, posunął piechotę na nową drogę postępu. Pociągnięty do Niemiec, uczynił wojnę śmielszą i nie tyle co pod książętami nassauskimi zdobywaniem fortec ograniczoną. We Francji Kondeusz, łącząc w sobie męztwo z rozumem, pierwszy objawił prawdziwy talent stuczania bitew, Turenjusz zaś wykonywania wielkich obrotów, lecz i pod tymi wodzami, piechota podzielona na pikinierów i muszkieterów, nie była jeszcze wiele pomocną w ruchach wojennych. Dopiero Vauban uzbroił ją w karabiny z bagnetami i we trzy szeregi uszykował. Ks. Anhalt-Dessau, którego można nazwać instruktorem armji pruskiej, uszykował piechotę w nowoczesne bataljony, które

bez narażenia się mogą wielki rozwinąć ogień. Fryderyk dostawszy w ręce swe to narzędzie, a mając walczyć na granicach Śląska i Czech, zmienił klassyczny szyk boju i pierwszy zastosował rodzaj broni do natury gruntu. Zmuszony kolejno stawiać czoło Austrjakom, Rossjanom i Francuzom, rozszerzył on zakres swoich działań, był więc w sztuce wojennej twórcą dwóch wielkich postępów. Po nim rewolucja francuzka stawiająca tylko tłumy ludu przeciw sprzymierzonej Europie, tylko większością liczby opierała się. Tu piechota zajęła już stanowcze miejsce w taktyce nowoczesnej. Nakoniec, wielki mąż, z głębokiem i obszernym umysłem, z charakterem, jak rewolucja z której łona wyszedł, doprowadził wielką wojnę do szczytu doskonałości. Badanie pozycji pod względem jeograficznym, stosowny zawsze i trafny wybór punktu do rozpoczęcia boju, niezrównane męztwo i powodzenie upoiły go ambitną chęcią zaprowadzenia monarchji uniwersalnej, a w końcu przywiodły do upadku, tak, iż ten mądry prawodawca, zdolny administrator, wielki wódz, był zarazem złym politykiem; tracąc bowiem rozum w szale zwycięztw, po tryumfach dążył sam do przepaści.

Jeżeli teraz zechcemy porównać Napoleona z wielkimi jego w dawnych wiekach spółzawodnikami, nie pod względem wojennym, ale ze stanowiska talentów i przeznaczeń, pogląd nasz w tym razie musi być obszernym i bardziej nauczającym. Idąc za sławą, za ważnością wypadków, wrażeniami w świecie wywołanemi i wpływem zdziałanych czynów, wypada znów porównać Napoleona z Aleksandrem, Annibalem, Cezarem, Karolem W. i Fryderykiem, a stawiając obok tych wielkich postaci, dokładniejsze o nim powzięmy wyobrażenie.

Aleksander W. odziedziczywszy wojsko po swym ojcu, rzuca się na Azję, w niej spotyka osłabionych Persów i idzie naprzód aż na krańce znanego świata. Gdyby nie opór wojska, byłby zaszedł aż do oceanu Indyjskiego. Zmuszony do powrotu, nie myśli o swej ojczyznie, ale o nowych podbojach. Sława stała się dlań namiętnością. Szlachetny, a nawet dobrego serca, zabija swego przyjaciela Clitus'a, swych jenerałów Philotas'a i Parmenian'a za to, że się poważyli szarpać jego sławę. Zyskanie sławy, oto jego cel; szuka więc jej na nowo w rozkosznej Azji i umiera wśród zbytków. Alexander oczarował potomność urokiem swego heroizmu, hałaśliwy atoli jego żywot nie przyniósł żadnego dla ludzkości pożytku. Cywilizacja grecka za jego rządów nie przeszła po za Jonję i Syrję, a kraj w anarchji, zagrożony podbojem Rzymian. Patrząc ze stanowiska moralnego, więcej zdziałał mądry i zdolny Filopemen, bo ten przynajmniej choć o kilka dni przedłużył byt niepodległości Grecji.

Obok tak podanego w czyny, a czczego zarazem żywota, ukazuje nam się inna znakomita postać Annibala. Mąż ten, na którego Bóg zlał wszystkie dary rozumu i serca, był potomkiem bohaterów poległych z orężem w dłoni w obronie Kartaginy. Dusza jego było to żelazo ukute w kuźni nienawiści dla Rzymian. W dziewiątym roku życia opuścił z ojcem Kartaginę, by wraz z innymi walczyć przeciw Rzymianom. Jego dziecinne zabawy tchną wojną. Dzieckiem sypia na polu bitwy, hartuje ciało na znoje, a duszę czyni nieprzystępną wszelkiej obawie. Po śmierci ojca, wojsko kartagińskie obiera wodzem Annibala, dwudziesto-dwuletniego młodzieńca i narzuca go, że tak powiem, senatowi kartagińskiemu. Stanąwszy na czele armji, przekształca ją na swój sposób, wpaja w nią męztwo, wytrwałość, a nadewszystko nienawiść do Rzymu, wiedzie do Europy, tak nieznanej naówczas, jak nam dziś środkowa Afryka, przechodzi Pireneje, następnie Alpy z 24 tysiącami ludzi, z których dwie trzecich utraca, a kierowany głęboką myślą pokonania Rzymu w samym Rzymie, podburza jego zniechęconych poddanych. Uderza więc na jenerałów rzymskich, zmusza ich do wystąpienia z obozu, zwycięża jednych po drugich i byłby pokonał wszystkich, gdyby nie napotkał godnego siebie przeciwnika, Fabiusza; z olbrzymem tym postanawia nie mierzyć się bitwami, w których był niezwyciężonym, ale rzeczywistą cnotą Rzymian, wytrwałością. Annibal widząc iż omylił się w widokach na Gallów, i że Rzym jest niezdobyty, zwraca się na południe Włoch, osiadłych bogatą cywilizacją miast, zostających jak Rzym, pod kierunkiem nienawistnych ludowi senatorów. Wtedy jakkolwiek sam z rodu arystokratycznego, niszczy wszędzie arystokrację, oddaje władzę w ręce demokracji, obiera Kapuę na stolicę swego państwa i nie zasypia, jak mniemano, w rozkoszach, ale raczej odpoczywa, odżywia swoje wynędzniałe wojsko, gromadzi dla niego zasoby kraju, i opuszczony od swego narodu, przyzywając świat cały na pomoc, sięgając orężem do Grecji i Azji, niszczy wysłane przeciw sobie siły i przez lat dwanaście utrzymuje się we Włoszech. Lecz kiedy z kolei Rzymianie przenieśli wojnę pod mury Kartaginy, Annibal zawezwany spieszy tam z pomocą, walczy z resztkami wojsk przeciw silnym szeregom Rzymian i wtedy zwykłą koleją rzeczy ludzkich, nadwątlone jego szczęście pada pod ciosem młodzieńczej fortuny Scypiona. Po powrocie do ojczyzny, Annibal usiłuje przekształcić swój kraj, by uczynić zdolnym do rozpoczęcia nowego boju z Rzymianami. Oskarżony przez tych, których wykrył nadużycia, uchodzi na wschód, probuje podniecić Antjocha, a widząc jak trudno będzie ujść przed ścigającą go nienawiścią Rzymian, nie mogąc walczyć już orężem, wypija truciznę i umiera ostatni ze swego rodu,

wszyscy bowiem jego krewni zginęli w świętej sprawie o skruszenie obcego jarzma. Zastanawiając nad tym wielkim mężem, obdarzonym wszelkiemi zdolnościami i najwyższém męztwem, chcielibyśmy, lecz naprożno, dopatrzeć słabą jego stronę z pomiędzy osobistych wad, jakiemi były: upodobanie w rozkoszach, zbytek i duma; mimo to jednę tylko, to jest nienawiść wrogów swego kraju znajdujemy. Rzymski historyk Tytus Livius oskarża go o chciwość i okrucieństwo. Wprawdzie Annibal zebrał ogromne skarby, lecz obracał je na zapłacenie wojska, które złożone z ludzi najemnych, nigdy się przecież nie buntowało, a trzymane w karbach jego genjuszem i mądrym szykiem, korzystał również z owoców odnoszonych zwycięztw. Wprawdzie wysłał on do Kartaginy kilka worów pierścieni rzymskich rycerzy, mieczem kartagińskim zgładzonych, nikt jednakże nie przytacza ani jednego czynu jego okrucieństwa, popełnionego po za obrębem bitwy. Zarzuty więc czynione przez historyka rzymskiego, są pochwałą dla Annibala. Słusznie potomność wyrzekła, a następne pokolenia powtórzą, że Annibal był najszczytniejszym zjawiskiem w dziejach ludzkości, że był wolnym od egoizmu, ożywiony jedną tylko namiętnością patrjotyzmu, za którą sam chwalebne poniósł męczeństwo.

Innym męczennikiem, już nie miłości ojczyzny, ale własnej dumy, pełen zwodniczych przymiotów, obok plamiących występków, winny zamachu przeciw ustawie własnego kraju, był Cezar, trzeci w rzędzie najznakomitszych mężów starożytności. Wszechstronnie od natury uposażony, dzielny, wymowny, szczodry, pełen prostoty, lubo obojętny na złe i dobre, Cezar jedną tylko kierował się myślą, to jest, wyłącznego panowania nad krajem, czego nie udało się osiągnąć Marjuszowi i Sylli. Alexander chciał podbić świat znany, Annibal dążył do ocalenia ojczyzny swej od jarzma; Cezar w Rzymie, ten władca całego prawie świata, sam tylko Rzym podbić usiłuje. W tym celu, używa wszelkich, nawet niecnych środków; wstrzymuje się atoli od okrucieństw, powodowany wyrachowaniem, a nie dobrocią serca; nie chce tu zresztą przejmować strachem, przywodząc sobie na pamięć wyroki Marjusza i Sylli. Pragnie on być edylem, pretorem, arcykapłanem; zaciąga ogromne długi, by za nie kupić głosy spółobywateli. Szerzy zepsucie w małżeństwach, tak jak dążył do zepsucia ludu, w czém idzie mu w pomoc wymowa prawdziwie oratorska. Cezar, ta uosobiona rozkosz i zepsucie Rzymu, wkrótce sam na nim nie poprzestaje. Złączywszy się z chciwym Krassusem i pełnym próżności Pompejuszem, rości pretensje do Gallji, jedynej zdobyczy, mogącej się zamknąć w przyrodzonych granicach cesarstwa rzymskiego. Sięga więc po ten łup, nie dla powiększenia swojej ojczyzny, bo zdobycz

ta wcale jej nie przydatna, lecz dla przywiązania do siebie wojska, dla bogactw, mających zaspokoić jego i jego chciwych spólników długi. Walcząc w zimie, intrygując w lecie, z kwatery swojej w Medjolanie podnieca próżność Pompejusza i chciwość Krassusa, w taki sposób kieruje sprawami Rzymu przez lat dziesięć i wraz z śmiercią Krassusa zmarłego w Azji nie widzi nikogo, mogącego dać odpór jego i Pompejusza ambitnym widokom. Wtedy używa podstępów dla opóźnienia walki, w której widzi zgubę; nareszcie, nie mogąc jej uniknąć, przechodzi Rubicon, zmierza ku Pompejuszowi rozłożonemu z legjonami w Hiszpanji, posuwa go z Włoch do Epiru, opuszcza wtedy *tego wodza bez armji*, *dla złączenia się z armją bez wodza*, jak się sam szczytnie o tem wyraził, — rozpuszcza legjony Pompejusza w Hiszpanji, zostające pod dowództwem Afranjusa, następnie wraca do Epiru, walczy z samym Pompejuszem, i zakończa pod Farsalją walkę potężnego państwa. W Afryce i Hiszpanji pozostały jeszcze do zwalczenia resztki partji Pompejusza; Cezar znosi je, w Rzymie odnosi tryumf nad nieprzyjaciołmi, utrwala wielkie cesarstwo rzymskie i pada pod sztyletem republikanów za swą zbyt pospieszną samowolę. W całym tym okresie życia widzimy cel i środki tchnące przewrotnością; tę jednę wszelako przyznać mu można zasługę, że do zamiany rzeczypospolitej na cesarstwo dążył nie ofiarą krwi Sylli lub Marjusza, lecz samém zepsuciem obyczajów Rzymian i potęgą swego rozumu. Szczególną cechą tej nadzwyczajnej osobistości, tego polityka, mówcy, wojownika jest to, że łączył w sobie wszelkie złe i dobre przymioty, jakiemi tylko natura obdarzyć może człowieka.

Chcąc w dalszych badaniach naszych znaleźć równego tamtym mężą, trzeba przerzucić wiele kari w księdze dziejów świata, wiele pominąć wieków i zatrzymać się na dziewiątém stuleciu, w którém, na krańcach starego i nowego świata ukazuje się Karol Wielki!

Jeżeli na łonie cywilizacji, postępu i umiejętności, w którém krzewienie wiedzy w nich samych źródło swe znajduje, napotykamy człowieka zamiłowanego w sztukach i nauce, miłującego je dla ich uznanego pożytku, pojmującego, że umiejętności kierują okrętem na morzu, wozem na gościńcu; jeżeli człowiek ten w takich żyjący okolicznościach uznaje panowanie sprawiedliwości i siłę swą na niej opiera; jeżeli wierzy, że tylko przez nauki społeczność ludzka może dać spokój i bezpieczeństwo bytu, wtedy zjawienie się takiego człowieka nie przedstawia nic nadzwyczajnego! Bo czyjże wzrok poznawszy światło nie polubi go? Lecz jeżeli z otchłań ciemnoty wychyli się mąż i ujrzawszy światło, pokocha je, szuka go, ściga za niém, i stara się je rozszerzyć, człowiek taki bez

wątpienia godzien jest podziwu i najwyższego szacunku. Na taki podziw świata całego zasługuje właśnie Karol W.!

Urodzony na łonie ciemnoty i barbarzyństwa, oświecony od księży słabym promykiem starożytnej umiejętności, zapłonął żywą chęcią zdobycia tego, co dziś zowiemy cywilizacją. W owym czasie cywilizacja znaczyła to samo, co chrystjanizm. Być chrześcijaninem, było to zostać filozofem, przyjacielem wszelkiego dobra, sprawiedliwości i wolności ludu. Na tych opierając się pojęciach, Karol W. stawszy się gorliwym chrześcijaninem, dążył do rozkrzewienia prawdziwej wiary w narodzie, hołdującym sile zwierzęcej i grubej zmysłowości. Wewnątrz tej barbarzyńskiej Francji, nie mającej jeszcze stałych granic, część północno-wschodnia zwana *Austrazją*, walczyła z częścią południowo-zachodnią czyli *Neustrją*; a jedna i druga z południem, czyli *Akwitanją*. Zewnątrz Francja zagrożona była nowemi napadami barbarzyńskich Saxonów od północy i innych barbarzyńców Arabów od południa, jednych i drugich w ciemności pogaństwa pogrążonych. Gdyby dzielna dłoń nie była wzniosła tamy od północy i południa, rozpoczęty gmach Franków upadłby nieomylnie, wszystkie te na pół dzielne ludy uderzyłyby na siebie, potok najazdów na nowo wystąpiłby z brzegów, a fale jego uniosłyby z sobą zaledwie kiełkujące nasiona cywilizacji. Karol W., którego dziad i ojciec rozpoczęli to dzieło utrwalenia, podjął je i dokończył. Nie wiemy, czy można nazwać go wielkim wodzem, i czy nawet w owym wieku mógł nim zostać. Wodzem w owej epoce był ten, który z toporem w ręku, jak Pepin lub Karol Martel, szedł na czele swoich wojowników, przedzierając się przez ścieśnione tłumy nieprzyjaciół. W takiej wychowany szkole, Karol W. nie był zapewne mniej walecznym; zamiast bić się jak prosty żołnierz wolał on przez lat 50 kierować, a często poskramiać, szalone zapędy swego ludu. Złączywszy pod swą władzę Austrazję, Neustrję; Akwitanję, czyli całą Francję, odparł Saxonów na północ, a ścigając ich, zmusił do przyjęcia chrystjanizmu, bo to była jedyna droga do ułagodzenia ich obyczajów i rozbrojenia dzikości. Następnie, wyparł Saracenów na południe, zatrzymując się nad rzeką Ebro, zaprowadził rząd w swojém państwie, nie pragnął nowych zdobyczy, a jeżeli ten kraj nie mógł być jeszcze kierowany jedną ręką, zostawał on przynajmniej pod jednemi prawami, pod wpływem tejże cywilizacji i po prostu, stał się europejskim. Prawie przez pół wieku, Karol, w swem obszernem państwie zaprowadzał porządek, sprawiedliwość, ludzkość, jak je przynajmniej natenczas pojmowano i w tym celu używał pomocy, już to zgromadzeń narodowych, dwa razy do roku zwoływanych,

już duchowieństwa, i nakoniec, swoich bezpośrednich reprezentanów, czyli tak zwanych *missi dominici*, tych ajentów niezmordowanej czujności. Znając potrzebę dobrych praw i konieczność podniesienia nauk i obyczajów w narodzie, pozaprowadzał wszędzie szkoły, w których wykładano wprawdzie nie dzisiejsze umiejętności, ale nauki owej epoki, jakie bowiem było źródło, taką z nich wodą pragnących zasilano. Z cnotami i życiem pracowitém, łączył niektóre słabości, o dobroci jego serca świadczące; otoczony licznem gronem dzieci, mieszkał w swoich pałacach czyli raczej zasobnych folwarkach, odznaczając swoje rządy łagodnością, miłością poddanych i rozsiewaniem dobrodziejstw. Po owych straszliwych Alexandrach i Cezarach, niszczycielach świata, zajętych więcej sławę swoją niż dobrém kraju, z jakąż przyjemnością spotykamy tę wspaniałą, pogodną i miłą postać! Karol dopiero przy schyłku swego życia doznał goryczy, napadami straszliwych Normandów, przewidywał bowiem ich łupieztwa, a nie miał czasu one ukrócić.

Posuwając się ku nowszym czasom, nie napotykamy tak olbrzymich postaci, już dla tego, że bliższe przyglądanie się zmniejsza ich urok, już to że świat coraz lepiej sprawy swoje urządzający, ścieśnia zakres działalności mężów na czele stojących. Głęboki w pomysłach i ponury Karol V, uroczy i biegły polityk Henryk IV, wytrwali w działaniu książęta Nassauscy, zwycięzca Gustaw Adolf, zabójca swego króla i władca rewolucji angielskiej Kromwell, rozumny i majestatyczny Ludwik XIV, wszystko to są postacie wielkością swoją nie dosięgające mężów, których znaczenie w świecie staraliśmy się określić. Pozostaje nam jeszcze dwóch wielkich ludzi, Fryderyk i Napoleon, których podwójny blask rozumu i genjuszu wojennego zbliża lub stawia na równi z najsławniejszymi mężami wieków starożytnych. Fryderyk, sceptyk, szyderca, ukoronowany przewódzca filozofów XVIII wieku, gardzący wszystkiem co świat uznał najgodniejszém szacunku, przeznaczony na ukorzenie dumy dworu austrjackiego, tego przedstowiciela dawnego porządku, poważa się założyć w środku Europy nowe państwo i zamiar swój przywodzi do skutku. Po dwudziesto-letnich wojnach, w których korzystał z płochości dworu Francji i Rossji, a ciasnych pojęć dworu austrjackiego, Fryderyk przywracający stały pokój, bez jednego wystrzału dzielący Polskę, jest postacią zarazem oryginalną i zdumiewającą. Jakkolwiek w życiu jego nie brak wielkich czynów, zbywa mu atoli na prawdziwej wielkości; widzimy bowiem, że Fryderyk zmienił tylko stosunek w wewnętrznych siłach Rzeszy Niemieckiej. Zresztą ta postać zawsze szydercza, nie ma godności i powagi, jaka w ludziach mimowolny budzi szacunek!

Nie zbywa na wielkości temu, który Fryderyka przewyższył

w uwielbieniu i spustos zeniu świata! Rewolucji francuzkiej, powołanej do przekształcenia społeczności europejskiej, dostało się w udziale wydać z łona swego męża, równającego się w sławie Karolowi W., Cezarowi, Annibalowi, Alexandrowi. Wielkość roli, ogrom wstrząśnień, świetność, głębokość, genjusz, słowem, niczego tu nie brak, co godném jest zwrócić na siebie całą uwagę rodu ludzkiego. Ten syn szlachcica korsykańskiego, przybywający prosić u dawnej władzy królewskiej o naukę bezpłatną w szkole wojskowej dla ubogiej szlachty przeznaczonej, a który zaledwie ją ukończywszy, zdoby wa w krwawych zamieszkach godność naczelnego wodza, przechodzi z Paryża do armji włoskiej, w ciągu jednego miesiąca kraj ten podbija, niszczy wszelkie wymierzone nań siły koalicji europejskiej, zmusza ją do zawarcia pokoju w Campo-Formio, a nie znajdując dla siebie w rządzie rzeczypospolitej odpowiedniego stanowiska, szuka na Wschodzie nowych dla siebie przeznaczeń tam przedzie ra się wskróś floty angielskiej, podbija Egipt, zamierza pójść na Indje, idąc torem Alexandra W., następnie zwrócony na Zachód w skutku wybuchłej wojny europejskiej, naśladuje Annibala przejście przez Alpy, przytłacza znów koalicję i zmusza ją do podpisania korzystnego dla Francji pokoju w Lunevilu, ten, mówię, syn ubogiego szlachcica korsykańskiego, już w trzydziestym roku życia przebiegł nadzwyczajne, pełne zaszczytów pole sławy! Ustaliwszy chwilowy pokój, mąż ten skreśleniem mądrego prawodawstwa kładzie fundamenta nowej społeczności, a uniesiony porywem wrzącej swej duszy, uderza znów na Europę, upokarza ją w trzech bitwach pod Austerlitz, Jeną i Fredlandem, zrzuca i podnosi trony, wkłada na swoje czoło koronę Karola W., wybiera na małżonkę córkę cesarzy, która mu daje syna, przeznaczonego do noszenia jednej z najświetniejszych świata koron, z Kadyxu przebiega do Moskwy, ponosi klęskę, osiada na wyspie, wypływa z niej z garstką wiernych mu żołnierzy, w ciągu dwudziestu dni odzyskuje tron Francji, walczy na nowo z zaciętą Europą, pada ostatecznie pod Waterloo i po bojach o wiele przewyższających wojny Rzymian, ów wychowaniec morza Śródziemnego, idzie na samotną wyspę Oceanu, gdzie nienawiścią i obawą królów, jak Prometeusz przykuty do skały, kończy swój żywot. Zaiste, ten syn ubogiego szlachcica korsykańskiego, jest odbitą postacią Alexandra, Annibala, Cezara i Karola W. Pod względem genjuszu, Napoleon przewyższa z nich każdego; pod względem wrzawy wojennej, wstrząsnął nią świat cały; pod względem krwi, rozlał jej więcej, niż każdy z tych jego poprzedników. W dumie swej objawia mniej próżności od Alexandra, mniej przewrotności od Cezara, nie tyle wszakże szacunku co Annibal, który przeniósł dobrowolną śmierć

nad kajdany swojej ojczyzny. Duma jego, jest zwykłą dumą zdobywców, dążących do panowanis w kraju, ich usiłowaniem powiększonym. Mimo to, kocha on Francję i cieszy się jej wielkością jak swoją własną. W rządzie lubi świadczyć dobro, dąży za niem despotycznie, ale go nie stosuje owym religijnym duchem Karola W. Pod względem talentów, Napoleon niżej stoi od Cezara, który dla pozyskania i ujęcia swych spółobywateli, musi do nich przemawiać, pisać, działać, nie wychodząc z granic prostoty. Napoleon przeciwnie, orężem od razu zdobywszy władzę, nie potrzebuje być mówcą i nigdyby nim nie został, pomimo otrzymanego od natury daru wymowy, albowiem nie był nigdy w konieczności analizowania swych myśli przed zgromadzeniami publicznemi; za to sposób jego pisania jest silny, staranny, przekonywający, niekiedy nawet deklamatorski; każdą rzecz roztrząsa z większą mocą niż Cezar, lecz nie opowiada z jego prostotą i naturalnością. Ogólnie uważając, stoi on niżej od dyktatora rzymskiego, za to jako wojownik przewyższa go odwagą, głębokością, płodnością kombinacji. Pod tym względem Napoleonowi sprostać, a nawet przewyższyć go może, jeden tylko Annibal, równie mężny, wyrachowany, przebiegły, obfity w pomysły. Nadto, Napoleon góruje wyższością wieku, bo jako następca Annibala, Cezara, książąt de Nassau, Gustawa Adolfa, Kondeusza, Turenjusza i Fryderyka, łatwiej mógł posunąć sztukę wojenną do jej ostatecznych krańców. Zresztą, sam tylko Bóg na szalach swojej wszechwiedzy może dostatecznie mężów tych ocenić, my zaś niektóre tylko wybitniejsze rysy tych poważnych postaci, zdolni jesteśmy nakreślić.

Napoleon w obliczu Francji nabył praw, jakich ona nigdy mu zaprzeczać, ani zapominać o nich nie powinna. Wprawdzie organizując jej społeczność nadaniem Kodexu cywilnego, urządzając pod względem administracyjnym, Napoleon nie nadał Francji tego ustroju politycznego pod jakim ona kwitnąćby mogła w pomyślności, swobodzie i pokoju; nie nadał, mówię, tej wolności, jaka od następców jego krajowi temu należy się: lecz po gwałtownych wstrząśnieniach rewolucji francuzkiej, mąż ten więcej nad przywrócenie porządku zdziałać nie mógł, za co już nabył niezaprzeczonego prawa do wdzięczności. Nieszczęściem dla niego i dla Francji, przywiódł on wielkość jej do zguby, wszelako pozostawił po sobie sławę, która stanowiąc wielkość moralną, z czasem sprowadzić może dla niej wielkość materjalną. Jak on genjuszem stworzony był dla Francji, tak Francja stworzona była dla niego. Ani Napoleon bez armji francuzkiej, ani ona bez niego, nie spełniliby tego, co zdziałały wspólne ich usiłowania. Jako sprawca nieszczęść, a zarazem towarzysz wielkich czynów Francji, Napoleon snrowo sądzonym być winien, zawsze

przecież należy dlań zachować uczucia, należne wodzowi, który długo zwycięztwom tego kraju przewodniczył. Przebiegając jego wielkie czyny uczmy się sztuki prowadzenia żołnierzy do boju lub rządzenia państwem; z błędów zaś jego nauczmy się ich unikać, dążyć do rozsądnej wielkości, jako najtrwalszej i łatwej do zniesienia, słowem, uczmy się umiarkowania z tego najnieumiarkowańszego wzoru. Zresztą, jako obywatele, bierzmy jeszcze tę ostatnią i pamiętną z jego życia naukę, że człowiekowi choćby najwyższym obdarzonemu genjuszem nie należy w zupełności powierzać losów kraju. Wprawdzie nie jesteśmy z rzędu tych, którzy zarzucają Napoleonowi wydarcie Francji z rąk Dyrektorjatu w d. 18 Brumaira; po oswobodzeniu atoli tego kraju z pod rządów ludzi niedołężnych i zepsutych, złém było powierzać ten kraj w nieograniczoną moc nierozważnego zwycięzcy z pod Rivoli i Marengo. Wprawdzie wiele jest przyczyn uniewinniających Francję za postawieniem Napoleona u steru rządu w r. 1800; anarchia bowiem jaką starano się ujarzmić naród, nie była pozorną. Niestety! ileż to tysięcy niewinnych ofiar padło na rusztowaniu, w więzieniu Opactwa lub w głębiach Loary! Okropności czasów barbarzyńskich powtórzyły się w łonie strwożonej cywilizacji. Nawet po ustaniu tych okropności, rewolucja francuzka nie przestała chwiać się pomiędzy katami, z rąk których kraj wyrwano, a zaślepioną emigracyę, usiłującą cofnąć go przez potoki krwi do przeszłości wtenczas właśnie, kiedy nad tym chaosem zawisł groźny miecz koalicji. Wtedy to powrócił ze Wschodu młody, genjalny bohater, który pokonawszy samą naturę i ludzi, okazał w rządzie mądrość, umiarkowanie, religijność, i świat nieznanym dotąd czarował urokiem. Powierzenie się więc w moc tego człowieka jest rzeczą ze wszech miar usprawiedliwioną, nigdy bowiem terroryzm, którego unikano, nie był bardziej ukrytym, i nigdy genjusz, pod którego uciekano się skrzydła, nie był rzeczywistszym. Tymczasem po kilku latach, rozumny ten mąż dziwnym odurzony szałem, uczynił ofiarę z miljona ludzi na polu bitw, ściągnął na Francję sprzymierzoną Europę, zbroczył ją we własnej krwi, zniszczył owoc dwudziesto-letnich zwycięztw, słowem, zrujnował kraj, zaledwie pozostawiając do nowego rozkwitu rzucone w jego łono nasiona nowej cywilizacji. Któż więc mógł pomyślić, że ów mędrzec z 1800 roku, stanie się szaleńcem w 1812 i 1813 r.? A jednakże rzecz to była do przewidzenia: należało tylko mieć na pamięci, że każda wszech-potęga nosi w sobie zarody nieuleczonego szaleństwa, a zarazem skłonną jest do pokuszenia się na złe, nawet po spełnieniu dobrych czynów. Tak więc z tego obrazu wielkiego żywota, na który zapatrując się, ważną korzyść odnieść może żołnierz, polityk i administrator; obywatele kraju tę gło-

wną powinni wziąć naukę, że w żadnym razie nie należy poruczać swej ojczyzny woli jednego człowieka, bez względu na jego wielkość i okoliczności! Kończąc ten długi opis tryumfów i klęsk Francji, z serca naszego wydziera się jeszcze ostatni głos szczerego życzenia, który, oby dosięgnął serc wszystkich Francuzów! głos upominający że nie należy nigdy frymarczyć swą wolnością, ani też jej nadużywać.

Koniec Tomu jedenastego i ostatniego.

KSIĘGA PIĘDZIESIĄTA ÓSMA.

AKT DODATKOWY.

Stron.

Pokojowe i liberalne przemówienia Napoleona.— Wybór ministrów postanowiony tegoż samego wieczora, 20 Marca.— Książę Cambacérès tymczasowo objął zarząd sprawiedliwości; marszałek Davout powołany na ministra wojny; książę Otrantu policji; jenerał Carnot spraw wewnętrznych; książę de Vicence spraw zagranicznych i t. d.— Hrabia Lobau mianowany dowódzcą pierwszej dywizji wojskowej, z posłannictwem przywrócenia karności w pułkach, które powinny przechodzić przez Paryż.— Dnia 21 Marca z rana Napoleon wziął się do dzieła i zajął się wszystkiemi częściami rządu.— Czy powinien był korzystać z prądu swego powodzenia, aby jednym zamachem najechać Belgię i przenieść się za Ren? — Niezbite dowody przeciw takiemu postanowieniu.— Napoleon postanawia zatrzymać się i zorganizować swe siły wojskowe, z ofiarą pokoju dla Europy na podstawach pokoju paryzkiego.— Wydany rozkaz jenerałowi Exelmans, aby na czele trzech tysięcy koni rzucił się w pogoń za uciekającym dworem. — Pobyt Ludwika XVIII w Lille. — Zimno lecz z uszanowaniem przyjęty przez wojsko.— Rada w której wziął udział książę Orleański i kilku marszałków.— Książę Orleański radzi królowi udać się do Dunkierki i tam osiąść.— Ludwik XVIII zgadza się początkowo na ten wniosek, później zmienia postanowienie i udaje się do Gandawy.— Wojsko i marszałkowie towarzyszą mu aż do granicy, odmawiając przejścia takowej.— Rozpuszczenie gwardji przybocznej królewskiej.— Uspokojenie północy i wschodu Francji.— Chwilowe ukazanie się księcia de Bourbon w Wandei i śpieszny jego wyjazd do Anglii. Polityka naczelników wandejskich opiera się na oczekiwaniu wojny powszechnej i wzięciu się wówczas do broni.— Książę i księżna d'Angoulême zatrzymują się w Bordeaux, gdzie ludność zdaje się usposobioną do ich wspierania.— Jenerał Clausel otrzymał polecenie zaprowadzenia w Bordeaux rządu cesarskiego.— P. de Vitrolles usiłuje ustalić rząd królewski w Tuluzie.— Podróż księcia d'Angoulême do Marsylji.—Książę ten zebrał kilka pułków do pochodu na Lyon.— Zamieszania na południu nie są niepokojące dla Napoleona, gdyż uważa Francję za uspokojoną przez wyjazd Ludwika XVIII.— Napoleon dowodząc ciągle o pokojo-

wém swém usposobieniu, uważa jednak wojnę za nieuniknioną i na olbrzymią skalę robi do niej przygotowania. — Jego plan nakreślony i polecony od 25 do 27 Marca. — Utworzenie ośmiu korpusów wojska, pod nazwą korpusów obserwacyjnych, z których pięć pomiędzy Maubeuge a Paryżem przeznaczone do pierwszego działania.— Przywrócenie gwardji cesarskiej.— Niechcąc uciekać się do poboru, Napoleon powołuje pod broń czasowo i nieograniczenie urlopowanych i pochlebia sobie, że tym sposobem przybędzie mu 400 tysięcy ludzi na wypełnienie kadrów wojsk czynnych.— Pozostawia na później powołanie spisowych z 1815 roku, na co, jak mniema, nie będzie potrzeba oddzielnego postanowienia.— Oficerowie na pół żołdzie użyci do sformowania czwartych i piątych bataljonów.— Napoleon uruchomia 200 tysięcy gwardji narodowej, w zamiarze powierzenia im twierdz i części granic do obrony.— Utworzenie nadzwyczajnych warsztatów broni i ubiorów i przywrócenie zakładu w Wersalu.— Uzbrojenie Paryża i Lyonu. — Marynarze powołani na wzmocnienie obrony ważnych tych punktów.— Po wydaniu tych rozkazów, Napoleon wyprawia kilka oddziałów wojska do jenerała Clausel na utrzymanie w posłuszeństwie miasta Bordeaux i wysyła jenerała Grouchy do Lyonu, celem powstrzymania działań księcia d'Angoulême.— Przytrzymanie p. de Vitrolles w Tuluzie.— Kampanja księcia d'Angoulême nad Rodanem.— Poddanie się tego księcia.— Napoleon kazał go wsadzić na statek w Cette.— Ogólna uległość cesarstwu.— Dalszy ciąg przygotowań Napoleona i utworzenie 9go korpusu.— Stan Europy.—Odmowa przyjmowania gońców francuzkich i szczególne rozmaitnienie umysłów w Wiedniu.— Oświadczenie kongresu w dniu 13 Marca, że Napoleon wyjęty jest z pod prawa narodów.— Oświadczenie to wysłane zostało nadzwyczajnemi gońcami na wszystkie granice Francji.— Wyrywają króla Rzymskiego Maryi Ludwice i zniewalają tę księżnę do wyboru pomiędzy Napoleonem a koalicją.— Marja Ludwika wyrzeka się męża i zgadza się na pozostanie w Wiedniu pod strażą swego ojca i sprzymierzonych monarchów.— Dowiedziawszy się o stanowczych powodzeniach Napoleona i jego wejściu do Paryża, kongres odnawia związek zawarty w Chaumont, traktatem z dnia 25 Marca. — Książę Wellington, jakkolwiek bez instrukcyi swego rządu, nie obawia się działać w imieniu Anglii i podpisuje umowę 25 Marca — Plan kampanii i zamiar popchnięcia 800 tysięcy ludzi na Francję.— Dwa główne zgromadzenia wojsk: jedno na wschodzie pod wodzą księcia Schwarzenberg, a drugie na północy pod lordem Wellington i Blücherem.— Wyjazd lorda Wellington do Bruxelli i wysłanie umowy z 25 Marca do Londynu.— Stan umysłów w Anglji.— Naród angielski niezadowolony z wojny, zrażony ku Burbonom i uderzony oświadczeniami Napoleona, chciałby mieć próbę jego usposobień pokojowych.— Gabinet skłonny do zatwierdzenia przyjętych przez lorda Wellington zobowiązań, lecz zakłopotany objawem opinji publicznej, postanowił ukryć prawdę przed parlamentem i kłamliwie go uwiadomił, iż przedsiębierze tylko zwykłe środki ostrożności, gdy tymczasem tajemnie zatwierdza traktat z 25 Marca i tym sposobem oświadcza się za wojną.— Rozprawy w parlamencie nad oświadczeniem gabinetu i zatwierdzenie jego działania w tej myśli, że tylko chodzi o prostą przezorność.— Dwóch członków gabinetu angielskiego wyjechało do Belgji, w celu porozumienia się z lordem Wellington.— Stan dworu w Gandawie. — Gwałtowność Niemców i groźba rozbioru Francji. —

Lord Wellington usiłuje uspokoić te uniesienia i pomimo niecierpliwości Prusaków, wzbrania rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich, przed zgromadzeniem wszystkich sił koalicyi.— Napoleon, w obec oświadczenia Europy, nie potrzebując już nic ukrywać, skłania się do wypowiedzenia całej prawdy narodowi.— Ogłoszenie w dniu 18 Kwietnia sprawozdania p. de Caulaincourt, w którém bez ogródek wyłożone zostały wszystkie doznane poniżenia.— Przegląd gwardji narodowej i dojmująca przemowa Napoleona.— Napoleon zdwaja czynność w swych przygotowaniach wojennych i rozkazał wydrukować w *Monitorze* postanowienia, odnoszące się do uzbrojenia Francji, które aż dotąd były wykonywane bez ich ogłaszania.— Strapienia Napoleona i narodu.— Napoleon postanowił nakoniec dotrzymać obietnicy względem ulepszenia ustawy cesarstwa.— Nie waha się utworzyć monarchji zupełnie konstytucyjnej.— Jego zdanie o różnych kwestjach, które się łączyły z tym ważnym przedmiotem.— Nie chce zwoływać zgromadzenia ustawodawczego, z obawy aby w czasie wojny zagranicznej nie miał jeszcze na karku izby republikańskiej.—Postanawia sam zredagować lub też poleci komu zredagować nową ustawę i przedstawić ją do zatwierdzenia Francji.— Dowiedziawszy się, że p. Benjamin Constant pozostał ukryty w Paryżu, kazał go przywołać i powierzył mu redakcję nowej ustawy.— Napoleon pokazał się zgodnym we wszystkiem z p. Constant, z wyjątkiem zniesienia konfiskaty, dziedziczności, parostwa i tytułu nowej ustawy.— Napoleon stanowczo żądał nazwać ją: *Aktem dodatkowym do ustaw cesarstwa.*— Projekt odesłany do rady stanu, a p. Benjamin Constant mianowany został radzcą stanu, dla popierania tego dzieła.— Stanowcza redakcja i ogłoszenie nowej ustawy pod nazwą *Aktu dodatkowego.*—Cecha tego aktu. Od str. 3 do str. 28.

KSIĘGA PIĘĆDZIESIĄTA DZIEWIĄTA.

ZGROMADZENIE NARODOWE.

Ogłoszenie Aktu dodatkowego.— Skutek jaki wywarł.— Pomimo że był osnowy liberalnej i najlepiej zredagowany ze wszystkich jakie Francja miała, został bardzo źle przyjęty.— Powody tego złego przyjęcia.— Francja nie wierzy Napoleonowi, gdy mówi o wolności, jak Europa, gdy mówi o pokoju.— Rozkiełznanie rojalistów i obojętność rewolucjonistów.— Jedynie stronnictwo konstytucyjne dobrze przyjęło akt dodatkowy, a przecież pozostało nieufnem.— Ważność roli jenerała de Lafayette w tych okolicznościach.— Stronnictwo

konstytucyjne stawia warunki i wymaga, aby izby bezzwłocznie zostały zwołane.— Napoleon chciałby odwłóczyć, gdyż nie życzył mieć izb zgromadzonych w czasie pierwszych działań wojennych.— Zmuszono go do tego, że przed ostatecznem zatwierdzeniem aktu dodatkowego, postanowił bezzwłocznie wprowadzić w wykonanie zwołanie izb.— Powołuje jednocześnie ciało wyborcze na zgromadzenie narodowe *(Champ de Mai)*.— Środki te spowodowały niejakie uspokojenie umysłów.—Dalszy ciąg wypadków w Wiedniu i Londynie.— Pomimo wielkiego ożywienia, mocarstwa nie uważają za zbyt ważną mającej się rozpocząć wojny.— Austrja chcąc oswobodzić się od Napoleona, wznieca mu niepokoje wewnętrzne.— Usiłowanie skrytego porozumienia się z p. Fouché.— Wysłanie do Bazylei tajemnego ajenta.— Napoleon odkrywa te głuche knowania i dla ich odroczenia wysyła do Bazylei p. Fleury do Chaboulon.— Gwałtowna rozmowa z p. Fouché, pochwyconym na gorącym uczynku zdrady.— Na chwilę knowania te nie sprowadziły następstw.— Koalicja nagli, a ministerjum brytyjskie przywiedzione do ostateczności, wyznaje parlamentowi zamiar natychmiastowego rozpoczęcia wojny.— Opozycja uważa się za oszukaną i parlament jej wierzy, ale wielką większością zagłosował wojnę.— Pochód wojsk nieprzyjacielskich ku Francji.— Wypadki Murata we Włoszech.— Jego szalone przedsięwzięcie i smutny koniec.— Ucieka do Prowancji.— Smutne wróżby, jakie każdy wypowiada Napoleonowi i jakie on sam czuje.— Postęp przygotowań wojennych.—Dobrowolne tworzenie się związkowych.— Usługi jakie Napoleon spodziewa się ztąd otrzymać dla obrony Lyonu i Paryża.—Podczas gdy rewolucjoniści skłaniają się do podtrzymywania Napoleona, rojaliści zrucają maskę i rozpoczynają domową wojnę w Wandei.— Pierwsze poruszenia powstańcze w czterech poddywizjach dawnej Wandei i bitwa pod Aizenay.— Spieszne środki Napoleona.— Pozbawia się dwudziestu tysięcy żołnierzy, którzy bardzo byliby mu użyteczni w wojnie z nieprzyjacielem zewnętrznym, i kieruje ich ku Wandei.— W tymże czasie upoważnia p. Fouché do umowy o rozejm z naczelnikami Wandejskiemi.— Skutek i duch wyborów.— Połączenie izby parów i izby reprezentantów.— Usposobienie jej.— Szczerze chcąc podtrzymywać Napoleona w wojnie zagranicznej, obawia się, aby nie była uważaną za służalczą.— Pierwszy jej czyn nacechowany nadzwyczajną opryskliwością.— Żywo to uczuwa Napoleon.—Głębokie jego uwagi nad tém czego nie dostaje jego rządowi do stawienia przed izbami.— Smutne wróżby.—Opuszcza Paryż 12 Czerwca dla stanięcia na czele wojska.— Pożegnanie z ministrami i rodziną.— Ostatnie uwagi nad tém usiłowaniem przywrócenia cesarstwa. Od str. 130 do 221.

KSIĘGA SZEŚĆDZIESIĄTA.

WATERLOO.

Zgromadzone przez Napoleona siły do rozpoczęcia kampanji 1815 r.— Po zaopatrzeniu twierdz w żołnierza, zostawieniu w Paryżu i Lyonie dosta-

tecznej liczby wojska i utrzymaniu Wandei, pozostało mu 124 tysięcy ludzi w szeregu do rozpoczęcia kroków zaczepnych na północy. — Oczekując jeszcze miesiąc Napoleon miałby 100 tysięcy żołnierza więcej. — Postanowił przecież działać zaczepnie, a to ze względu, by nie dozwolić nieprzyjacielowi wtargnięcia do najpiękniejszych i najbardziej poświęconych prowincji francuzkich, anadto z powodu, że skierowane na wschodnie granice Francji wojska, nareszcie, daleko więcej będąc oddalone od działających na północy, robiły nadzieję pobicia z kolei jednych po drugich — Pomysły Napoleona do nagłego skupienia wojska i rzucenia go na Anglików i Prusaków, gdy ci nie będą spodziewać się jeszcze jego ukazania. —Dnia 15 Czerwca o 3ej godzinie rano Napoleon rozpoczął działanie, zdobył Charleroy, rozbił Prusaków i zajął stanowisko pomiędzy dwoma armjami nieprzyjacielskiemi. — Prusacy oparci o Liège a Anglicy o Brukselle, mogą się tylko połączyć drogą prowadzącą z Namur do Brukselli, przechodząc przez Sombreffe i Quatre-Bras. — Napoleon więc postanowił zwrócić się prawem skrzydłem i środkiem w Sombreffę i wydać bitwę Prusakom, podczas gdy Ney zatrudni lewem skrzydłem Anglików w Quatre-Bras. — Bitwa pod Gilly na drodze do Flerus — Wahanie się Neya w Quatre-Bras. — Pomimo tego wahania się 15 Czerwca po południu wszystko poszło po myśli Napoleona, który stanął pomiędzy dwoma armjami nieprzyjacielskiemi w ten sposób, że nazajutrz może zgnieść Prusaków, za nim Anglicy pośpieszą im z pomocą. — Rozporządzenia na 16 Czerwca. — Napoleon zmuszony rozpocząć bitwę z Prusakami dopiero po południu, a to aby dać swym wojskom do wejścia na linję. — Wydany rozkaz Neyowi, aby za jaką bądź cenę zdobył Quatre Bras i następnie wysłał kolumnę na tyły Prusaków. — Około południa Napoleon ukazuje się na prost Flerus — Gotowość Blüchera do przyjęcia bitwy i stanowisko jakie zajął przed Sombreffe po za wsiami Saind-Amand i Ligny. — Bitwa pod Ligny toczona od 3ej do 9ej godziny wieczorem. — Uporne trzymanie się Prusaków w Saind-Amand i Quatre-Bras. — Powtórny rozkaz do Neya, aby zajął Quatre-Bras i wysłał kolumnę na tyły Saint-Amond. —Napoleon widząc, że jego rozkazy zostały niespełnione, tworzy nowe plany i na czele gwardji przecina linję Prusaków powyżéj Ligny. — Stanowcze skutki tego pięknego pomysłu. — Wojska pruskie odrzucone zostały z wielkiemi stratami po za Sombreffe, a Napoleon stał się panem wielkiej drogi prowadzącej z Namur przez Quatre-Bras do Brukselli — Podczas krwawej tej pod Ligny rozprawy, Ney obawiając się mieć do czynienia ze wszystkiemi siłami angielskiemi, utracił odpowiednią do działania chwilę i wystąpił dopiero wówczas, gdy już skupiły się wojska angielskie, skutkiem czego zdołał je tylko powstrzymać; ze swej zaś strony d'Erlon ciągnąc się już to ku Ligny już też ku Quatre Bras, traci dzień cały bezużytecznie dla walczących. — Pomimo tego wszystkiego plany Napoleona powiodły się, gdyż pobił Prusaków odosobnionych od Anglików, a nazajutrz jest w możności pobić Anglików odosobnionych od Prusaków. — Rozporządzenia na 17 Czerwca. — Napoleon chcąc czuwać nad Prusakami, uzupełnić ich klęskę, a nadewszystko trzymać w oddaleniu podczas gdy będzie miał do czynienia z Anglikami, odłącza prawe swe skrzydło pod marszałkiem Grouchy, rozkazując mu jednak wyraźnie, aby ciągle się z nim stykał. — Prawe to skrzydło składało się z wojsk Vandamma i Gérarda, strudzonych bitwą pod Ligny; środek zaś złożony z korpusu Lobau, gwardji i rezerwy

jazdy, skierował ku Quatre-Bras dla połączenia się z Neyem i uderzenia na Anglików.— Rozporządzenia te zajęły część poranku 17 Czerwca, następnie Napoleon wyruszył za wojskami aby stanąć na ich czele.— Zdziwienie jakiego doznał spotykając Neya, który miał tworzyć czoło kolumny, nieruchomego po za Quatre-Bras.— Ney bowiem sądząc, że całe siły angielskie ma przeciw sobie, oczekiwał przybycia Napoleona.—Opóźnienie to długo zatrzymało wojska przy przejściu przez Quatre-Bras.—Burza jaka nawiedziła te okolice i powstało skutkiem niej błoto.— Doskonałe wyrobienie wojska.— Bitwa tylnej straży w Genappe.—Napoleon ściga wojska angielskie, które zatrzymały się na płaskowzgórzu Mont-Saint-Jean przed lasem Soignes.—Opisanie okolicy.—Plany księcia Wellington.—Zamierza utrzymać się na płaskowzgórzu Mont-Saint-Jean, i doczekać się tu Prusaków, aby połączonémi siłami stanowczą stoczyć bitwę.— Blücher jakkolwiek niezadowolony z Anglików za bitwę 16 Czerwca, kazał im jednak oświadczyć, że 18 Czerwca znajdzie się na ich lewém skrzydle przed lasem Soignes.—Długi rekonesans wykonany 17 wieczorem przez Napoleona pod gradem kul.— Żywe jego zadowolenie z powziętego przekonania, że Anglicy zamierzają przyjąć bitwę.— Jego ufność w powodzenie.— Rozkaz wydany Grouchemu, aby się zbliżył i wysłał oddział dla zajścia tyłu lewemu skrzydłu Anglików.— Poruszenia Grouchego w dniu 17 Czerwca.— Bezużytecznie postępuje za Prusakami drogą ku Namur i nie spostrzegł ku wieczorowi ich marszu ku Wavre.— Zwrócił wówczas ku Gembloux swą piechotę, która przez cały dzień zrobiła tylko półtrzeci mili francuzkiej.— Tak blisko jednak Grouchy znajdował się Prusaków, że gdyby 18 Czerwca o 4ej zrana wyruszył, toby się był znalazł na ich śladzie i uprzedził we wszystkich kierunkach.—Napisał 17go wieczorem do Napoleona, że jest pewnym ich śladu i że dołoży starań aby utrzymać ich odosobnionych od Anglików.— Napoleon kilka razy wstawał w nocy dla zwrócenia uwagi na poruszenia nieprzyjaciela.— Obozowe ognie Anglików najmniejszej nie sprawiały wątpliwości, że gotowi są do przyjęcia bitwy.— Deszcz przestał dopiero padać o godzinie 6ej zrana; Drouot w imieniu artylleryi oświadczył, że skutkiem tego dopiero o 10ej lub 11ej można będzie rozpocząć działania.— Napoleon też postanowił wstrzymać się z bitwą aż do tej chwili — Jego plany na tę bitwę.— Zamierza przewrócić lewe skrzydło Anglików na ich środek i opanować drogę prowadzącą do Brukselli, która prowadzi przez las Soignes.—Podział sił.— Postawa dwóch armji.—Napoleon przespawszy się chwilę, zajął stanowisko na wzgórzu przed folwarkiem Belle-Alliance.—Przed wydaniem rozkazów do rozpoczęcia walki, wyprawił do Grouchego oficera z uwiadomieniem o stanie rzeczy i z rozkazem, aby przybywał stanąć na prawém skrzydle.— O pół do dwunastej rozpoczął się ogień.—Wielka baterja na czele wojsk francuzkich, na zabój strzelała na linję angielską.— Zaledwie rozpoczął się ogień, spostrzeżono w oddaleniu kurz na prawém skrzydle.— Lekka jazda wysłana na zwiady.— Atak lewego skrzydła francuzkiego, dowodzonego przez generała Reille na las i zamek Goumont.— Las i sad zostały wzięte pomimo oporu nieprzyjaciela, lecz zamek niezdobyty.— Zgubny opór w zdobyciu tego stanowiska.— Wysłana na zwiady jazda doniosła, że to Prusacy nadchodzą.— Nowy oficer wysłany z rozkazem do Grouchego.— Hrabiemu Lobau polecono powstrzymać Prusaków.— Uderzenie środkiem na drogę brukselską celem zdobycia Haye Saint, jak niemniej pra-

wem skrzydłem dla wyparowania Anglików z płaskowzgórza Mont-Saint-Jean.— Ney kieruje obydwoma temi natarciami. — Francuzcy żołnierze wzięli sad w Haye-Saint, lecz nie zdołali opanować zabudowań folwarcznych. —Uderzenie generała d'Erlon na lewe skrzydło angielskie.—Zapał wojska.— Stanowisko zostało już wzięte i Francuzi mieli ukazać się na płaskowzgórzu Mont-Saint-Jean, gdy w tém wściekłe uderzenie dragonów szkockich odparło nacierających.—Napoleon wyrzuca kirysjerów przeciw dragonom szkockim.— Straszna rzeź dragonów.— Pomimo że odparcia d'Erlona zostało naprawionem potrzebuje on przecież atak swój na nowo rozpoczynać.— W tej chwili daje się uczuwać nadejście Prusaków i Lobau przebiega pole bitwy dla stawienia im czoła.— Napoleon zawiesza działanie przeciw Anglikom, rozkazuje Neyowi zdobyć Haye-Saint, dla zapewnienia sobie punktu oparcia w środku i trzymania się na tem stanowisku aż do ocenienia sił pruskich.— Hrabia Lobau odpiera pierwsze dywizje Bulowa.— Ney uderza i zdobywa Haye-Saint.— Jazda angielska rzuca się na niego, ale ją odpiera i ściga na płaskowzgórze.— Spostrzegł wówczas artylierję angielską, która zdawała się być opuszczoną, dla tego sądzi iż nadeszła chwila do wymierzenia stanowczego ciosu.— Żądał posiłków i Napoleon wysłał mu dywizję kirasjerów, aby mógł złączyć się z generałem Reille około zamku Goumont.— Ney dostawszy kirasjerów, uderza nimi na Anglików i przewraca ich pierwszą linję.— Cała rezerwa jazdy i cała jazda gwardji pociągnięte przez niego wspierają jego poruszenia bez rozkazu cesarza.—Nadzwyczajna walka jazdy.— Ney dokazuje cudów i żąda od Napoleona piechoty dla uzupełnienia klęski wojsk angielskich.— Zajęty zażartą przeciw Prusakom bitwą, Napoleon nie może dać Neyowi piechoty, gdyż mu tylko gwardja pozostała.— Rozkazał oświadczyć Neyowi, aby się trzymał jak może na płaskowzgórzu, przyrzekając mu zarazem, że sam pośpieszy na dokończenie bitwy z Anglikami, skoro się tylko załatwi z Prusakami.— Napoleon na czele gwardji straszną toczy walkę z Prusakami.— Bülow rozbity ze znacznemi stratami.— Następnie Napoleon zwraca gwardję i prawe skrzydło na środek i tworzy kolumny atakowe dla zakończenia bitwy z Anglikami.— Pierwsze uderzenie czterech bataljonów gwardji na piechotę angielską.— Bohaterstwo tych bataljonów.— Podczas gdy Napoleon wspiera je sześcioma innemi bataljonami, nagle zaskoczony został na skrzydle przez pruski korpus Ziethena, który na ostatku wszedł na linję bojową.— Straszne zamięszanie.— Książę Wellington rozpoczął wówczas działania zaczepne, a wojska francuzkie znużone, naparte na czole, na skrzydle i na tyłach, nie mając żadnego korpusu któryby je mógł wesprzeć, pogrążone w ciemności nocnej, nie widząc już Napoleona, przez kilka godzin znajdowały się w stanie zupełnego nieładu.— Odwrót w rozsypce na Charleroy.— Działania Grouchego w tym dniu opłakanym.—Za odezwaniem się dział pod Waterloo, wszyscy jenerałowie żądali, aby szedł w tym kierunku.—Nie rozumiał tych rad i nie chciał zastosować się do nich.— Jak łatwo mu było ocalić armję.—Wieczorem poznał całą prawdę i poczuł gorzkie wyrzuty.— Charakter tej ostatniej kampanji i prawdziwe przyczyny klęski wojsk francuzkich.

Od str. 224 do str. 375.

KSIĘGA SZEŚĆDZIESIĄTA PIERWSZA.

POWTÓRNE ZRZECZENIE SIĘ TRONU.

Działania wojenne na granicach Francji.— Pomyślne bitwy i zawieszenie broni w Sabaudji.—Klęska Wandejczyków i rozejm z dowódzcami powstania. —Napoleon przyjeżdża do Laon.— Bulletyn o bitwie pod Waterloo.— Napoleon zastanawia się czy ma pozostać w Laon i czekać nadejścia armji, czy jechać do Paryża i żądać od izb nowych posiłków.— Chwyta się tego ostatniego zamiaru — Wrażenia w Paryżu wywołane smutną wieścią o przegranej pod Waterloo.— Umysły wszystkich opanowywa to przekonanie, że Napoleon nie mogąc już zwyciężać staje się dla Francji niebezpiecznym. — Prawie wszystkie stronnictwa, wyjąwszy rewolucjonistów i bonapartystów, domagają się, aby Napoleon abdykował i tym sposobem usunął grożące krajowi niebezpieczeństwa. — Knowania Fouché'go, który sobie wyobraża, że Napoleon usunięty będzie od tronu, on stanie się panem położenia.—Jego intrygi w kołach reprezentantów.— Namawia ich do stawienia oporu w razie, gdyby Napoleon chciał znów pociągnąć Francję do walki rozpaczliwej.— Przybycie Napoleona do pałacu Elysée w dniu 21 Czerwca rano.— Jego osłabienie fizyczne.—Rozpacz otaczających go osób.—Rada ministrów na której obecni ks. Józef i Lucjan.—Zdaniem Davout'a i Lucjana należy odroczyć izby.— Za kłopotanie i milczenie ministrów.— Napoleon mniema, że czas 18 brumair'a już minął.— W czasie tych narad, Fouché podsuwa myśl panu de Lafayette, że Napoleon chce rozwiązać izbę deputowanych.— Szemrania w tej izbie.— Na wniosek Lafayette'a uznano zdrajcą każdego, ktoby chciał odroczyć lub rozwiązać izby, nalegając zarazem na ministrów, aby przedstawili istotne położenie kraju.— Umysły raz ku temu skłonione nie zatrzymują się; zaczynają więc mówić o abdykacji.— Napoleon obrażony okazuje gotowość do kroków gwałtownych.— Regnaud tajemnie przez Fouché'go poduszczony, usiłuje go uspokoić, podsuwając myśl o zrzeczeniu się tronu, której Napoleon nie odpycha.— Izba reprezentantów mocno wzburzona nalega na odpowiedź rządu.— Ministrowie udają się do obu izb z wnioskiem utworzenia kommissji z pięciu członków dla zapewnienia dobra publicznego. — Mowa pana Jay w której błaga Napoleona o złożenie korony.—Odpowiedź księcia Lucjana.—Zgromadzenie nie chce gwałtem wyrywać berła z rąk Napoleona, ale pragnie aby on sam je oddał.— Przyjmuje wniosek ministrów i mianuje kommissję z pięciu członków, którzyby wraz z rządem obmyślili środki ocalenia kraju.— Izba parów postępuje we wszystkiem za izbą deputowanych.—Osoby otaczające Napoleona namawiają go do zrzeczenia się tronu.— Przeciwnie ks. Lucjan radzi mu chwycić się środków stanowczych.— Przyczyny dla których rad tych nie przyjmuje.— Posiedzenie nocne w pałacu Tuileries przez

kommissję obu izb odbyte.—Lafayette podnosi wyraźnie kwestję abdykacji.— Kommissja nie chce go słuchać i nalega, aby się zająć finansami i poborem, na co p. Regnaud oświadcza, że oszczędzając Napoleona, otrzymają od niego to czego żądają.— Sprawozdanie tego posiedzenia dla izby reprezentantów. —Niecierpliwość wzniecona błahością tego raportu.—Jenerał Solignac, długo w niełasce będący, przyzywa izbę do poszanowania nieszczęścia i biegnie sam do pałacu Elysée, żądając abdykacji.—Napoleon uprzejmie go przyjmuje przyrzekając dać wkrótce izbom zupełne i bliskie zadowolenie.— Powtórna abdykacja.—Napoleon stawia warunek, że zrzecze się korony, ale na rzecz swego syna.— Akt abdykacji przedstawiono izbie, która tem ucieszona przechodzi w ogólne rozrzewnienie.— Obiór kommissji wykonawczej mającej zastąpić władzę cesarską; członkowie tej kommissji: Carnot, Fouché, Grenier, Coulaincourt, Quinette.— Fouché jej przewodniczący przemawia.—Fouché sekretnie oswobadza p. de Vitrolles i porozumiewa się z rojalistami.— Wolałby on Napoleona II, lecz przewidując że Burboni go porwą, postanawia układać się z nimi.—Sceny w izbie parów.— La Bedoyère domaga się bezzwłocznego ogłoszenia Napoleona II.— Spór Neya z Drouot'em o bitwę pod Waterloo.— Napoleon widząc dążenie do usunięcia kwestji dotyczącej przekazania korony na rzecz syna, żali się przed panem Regnaud, że został oszukany.— PP. Regnaud, Boulay de la Meurthe i Defermon przyrzekają mu poprzeć nazajutrz sprawę Napoleona II.— Burzliwe w dniu 23 posiedzenie izby deputowanych.— Boulay de la Meurthe donosi o knowaniach rojalistów i żąda natychmiastowego ogłoszenia Napoleona II.— Całe zgromadzenie gotowe jest to uczynić.— Deputowany Manuel zręczną mową uspokaja izbę i skłania ją do powrotu do porządku dziennego.— Rozmaite środki poddane pod głosowanie izby.—Co się działo w tym czasie na granicach.— Zebranie się wojsk w Laon i sposób w jaki ocalił się Grouchy.— Armja liczy jeszcze 60 tysięcy żołnierza i na imię Napoleona II-go odzyskuje cały swój zapał.—Grouchy przyjmuje dowództwo i idzie z wojskiem na Paryż lewym brzegiem rzeki Oise.—Wodzowie nieprzyjacielscy dowiedziawszy się o abdykacji śpieszą do Paryża, lecz najzapalczywszy z nich Blücher wyprzedza o dwa dni Anglików.— Wzburzenie w Paryżu wzrasta.— Rojaliści myślą o zamachu, tylko Fouché wstrzymuje ich przez p. de Vitrolles.— Bonapartyści i rewolucjoniści chcieliby, aby Napoleon stanął na ich czele i rozproszył izby. Zebranie się związkowych w alei Marigny i okrzyki na widok Napoleona. — — Fouché niespokojny chciałby wydalić Napoleona.— Daje polecenie marszałkowi Davout aby się udał do pałacu Elysée i zażądał od Napoleona opuszczenia Paryża.— Napoleon przenosi się do Malmaison i żąda dwóch fregat stojących na kotwicy w Rochefort, by się udać do Ameryki.— Fouché domaga się dlań wolnego przejazdu od Wellingtona.—Napoleon oczekuje odpowiedzi w Malmaison.— Jenerałowi Beker poruczono straż jego osoby.—Vitrolles nalega na Fouché'go aby położył koniec temu przesileniu.— Fouché zwala całą trudność na wojsko, które z jego podmowy przedstawia niepodobieństwo dalszej walki.— Rojaliści zwracają się ku Marszałkowi Davout — Odinot porozumiewa się z Davout'em.—Ten oświadcza, że jeżeli Burboni zechcą wejść bez eskorty obcych wojsk i zapewnią całość osób i poszanowanie praw Francji, on pierwszy gotów jest obwołać królem Ludwika XVIII.— Davout czyni w tym celu otwarte kroki u kommissji wykonawczej.— Fouché nie śmie go

podtrzymywać. — W tym czasie wysłani do sprzymierzonych dworów pośrednicy składają raport z którego się okazuje, że mocarstwa europejskie są koniecznie obstają za Bourbonami. — Raport ten jest przyczyną nowej zwłoki ostatecznego postanowienia. — Wojska nieprzyjacielskie posuwają się ku Paryżowi. — Nowi posłannicy mają układać się o zawieszenie broni. — Szczególne usposobienia księcia Wellingtona. — Jego mądrość i rady dawane na dworze w Gandawie. — Usposobienie tego dworu. — Zamiary poniszczenia się — Oburzenie na p. Blacas, a względy dla Fouché'go. — Chwiłowe panowanie Talleyrand'a. — Przyjazd Ludwika XVIII do Cambray. — Jego oświadczenie — Ks. Wellington nie zgadza się na wejście siłą do Paryża, żąda on aby wejście to było pokojowe i nie zrażało ludu do Bourbonów. — Gwałtowność Blüchera w celu uwolnienia się raz od Napoleona. — Szlachetne słowa ks. Wellingtona. — Kommissarze traktują z tym ostatnim o zawieszenie broni. — Wellington domaga się oddania Paryża i osoby Napoleona. — Fouché chce go śpiesznie wyprawić w drogę. — Napoleon zawiadomiony o zbliżaniu się nieprzyjaciela, wiedząc, że Prusacy o dwa dni drogi wyprzedzają Anglików, proponuje kommissji, aby mu powierzyła dowództwo nad wojskiem na kilka godzin przyrzeka wygrać bitwę i potem złożyć daną mu władzę. Wniosek ten odrzucony. — Odjazd Napoleona do Rochefort w dniu 28 Czerwca. — Po wyjeździe Napoleona, Wellington nie mogąc już żądać wydania jego osoby, oświadcza, że należy przyjąć Bourbonów i zapewnia o trafności ich nadal postępowania — Rozmowa z wysłannikami francuzkimi. — Tajemni ajenci Fouché'go udzielają wiadomości zgodne z otrzymanemi od delegatów, z których się okazuje, że mu powrót Bourbonów jest nieuniknionym. — Fouché widząc że zwłokę tę trzeba raz zakończyć, zwołuje wielką radę, w której uczestniczą członkowie izb i kilku marszałków. — Chce zrzucić odpowiedzialność na marszałka Davout, za jego zdanie o niemożliwości dalszej obrony. — Oburzony tak nikczemnemi intrygami Fouché'go, Davout oświadcza, że gotów jest stoczyć bitwę i zapewnia zwycięztwo, jeżeli tylko w ciągu dwóch pierwszych godzin nie polegnie. — Zakłopotanie Fouché'go — Zdanie Carnot'a o niemożliwości dalszego oporu. — Rada ta idzie pod rozbiór wyznaczonej na to wyłącznej kommisji wojennej. — Fouché tak przedstawia kwestję, aby otrzymał żądaną odpowiedź. — Z odpowiedzi kommisji można wnosić, że kapitulacja jest konieczną. — Świetna walka jazdy Exelmans'a z Prusakami. — Pomimo tego powodzenia wszyscy dążą do układów. — Wysłanie kommissarzy do Blüchera w Saint-Cloud. — Kommisarze przejeżdżają około kwatery Davout'a. — Sceny tu zaszłe. — Jadą do Saint-Cloud. — Umowa o poddanie Paryża. — Treść rozmaitych warunków. — Armja francuzka ma się cofnąć za Loarę, a tylko gwardja narodowa ma pełnić służbę w stolicy. — Sceny związkowych i wojsk francuzkich przechodzących przez Paryż. — Fouché widzi się z Wellingtonem i Talleyrandem w Neuilly. — Nie mogąc otrzymać warunków żądanych, poprzestaje na zatrzymaniu dla siebie ministerstwa policji. — Spółtowarzysze jego widzą się być zdradzonymi. — Wraca do Neuilly i tu pozyskuje posłuchanie u Ludwika XVIII. — Czyni przygotowania do wjazdu tego monarchy i każe zamknąć salę izb. — Zdanie ogólne, że Fouché zdradził wszystkie stronnictwa. — Krótki pogląd i ocenienie parjada zwanego Sto Dni.

Od str. 378 do str. 499.

KSIĘGA SZESĆDZIESIĄTA DRUGA I OSTATNIA.

ŚWIĘTA HELENA.

Str.

Gniew Burbonów i wodzów nieprzyjacielskich na Fouché'go za dozwolenie ujścia Napoleonowi. — Podróż Napoleona do Rochefort. — Doznane po drodze i w samém Rochefort przyjęcie. — Napoleon przedłuża swój pobyt na wybrzeżu w oczekiwaniu nieprzewidzianych wypadków. — Chwilowo zamierza stanąć w szeregach wojsk Loary. — Zmienia swe postanowienie. — Odrzuca nakoniec wszelkie zamiary i wysyła pismo do kroazjera angielskiego. — Kapitan Majtland, dowódzca statku *Bellerophon*, odpowiada, że jakkolwiek nie ma żadnéj w tej mierze instrukcji, mniema przecież, że naród angielski nie odmówi swej gościnności Napoleonowi. — Napoleon postanawia udać się sam na pokład Bellerofonu. — Doznane tam przyjęcie. — Podróż do brzegów Anglii. — Anglicy z ciekawością przypatrują się Napoleonowi. — Postanowienie ministra dotyczące osoby b. cesarza. — Obrano na miejsce uwięzienia wyspę świętej Heleny, gdzie ma być uważany jak zwykły jenerał, pilnie strzeżony, z dozwoleniem zatrzymania przy sobie trzech towarzyszy. — Napoleon przeprowadzony z Bellerofonu na pokład statku *Northumberland*. — Jego pożegnanie z Francją i towarzyszami, którym nie dozwolono udać się razem na wyspę. — Podróż przez ocean Atlantycki. — Dowody troskliwości ze strony marynarzy angielskich. — Czém się Napoleon zajmuje w czasie podróży. — Opowiada swoje życie i na prośby spółtowarzyszy, zaczyna opisywać dyktując swoje dzieje. — Czas trwania tej żeglugi. — Przybycie do świętej Heleny po 62 dniach podróży. — Postać wyspy, jej skład, grunt i klimat. — Wysadzenie na ląd Napoleona. — Pierwsze pomieszczenie go w *Briars*. — Przy pierwszem wyjściu ściśle otaczanie go strażą. — Doznawana ztąd przykrość. — Pierwsze wiadomości z Europy. — Żywe zajęcie się losem Neya, La Bedoyère, Lavaletta i Drouota. — Po upływie dwóch miesięcy przenoszą go do *Longwood*. — Zajmowane tu mieszkanie. — Ostrożności w strzeżeniu go. — Jego życie i zatrudnienia w Longwood. — Napoleon znienawidza swój pobyt i nie dość ocenia troskliwość admirała Cockburn. — Na początku r. 1816 sir Hudson Lowe przybywa jako gubernator świętej Heleny. — Jego charakter i usposobienie. — Pierwsze widzenie się z Napoleonem i zaszłe przy tem niepomyślne wydarzenia. — Hudson Lowe obawia się zasłużyć na gniew admirała Cockburn, w razie jakich z swej strony ustępstw dla więźnia. — Daną instrukcję każe wykonywać z całą ścisłością. — Różne ztąd nieporozumienia. — Spór o wydatki w Longwood. — Napoleon każe sprzedać swoje srebra. — Odjazd admirała Cockburn i przybycie jego następcy sir Pulteney Malcolm. — Szlachetny jego charakter. — Jego bezskuteczne usiłowania do zbliżenia Napoleona z Hudson Lowe'm. — Napoleon uniesiony gniewem znieważa gubernatora. — Ostatecznie zerwanie stosunków. — Przykre życie Napoleona. — Jego zatrudnienia. — Wyjaśnienia niektórych ustępów z jego panowania. — Prace historyczne. — Doznawany smutek. — Nowy rok na wyśpie świętej Heleny. —

Str.

Rok 1817.— Nie chcąc jeździć konno pod strażą, zrzeka się tej przyjemności i na tem cierpi jego zdrowie. — Wiadomość z Europy. — Rodzina ofiaruje mu majątek swój i osoby. — Napoleon tego nie przyjmuje. — Wizyty Anglików i ich rozmowy z Napoleonem. — Hudson Lowe zaniepokojony zdrowiem Napoleona, zamiast ofiarować mu *Plantation House*, każe mu nowy dom postawić. — Rok 1818. — Rozmowy Napoleona w przedmiotach literatury i religii.— Odjazd jenerała Gourgaud. — Napoleon następnie utraca admirała Malcolm i doktora O'Meara.— Powody odjazdu doktora. — Napoleon pozostaje bez lekarza. — Sir Hudson Lowe napróżno nalega, aby przyjął lekarza angielskiego.— Rok 1819. — Zdrowie Napoleona pogorsza się brakiem ruchu Puchną mu nogi a częste wymioty są oznaką cierpienia żołądkowego. — Spółtowarzysze wymogli, aby się przejeżdżał konno. — Stan zdrowia nieco polepsza się. — Napoleon puszczając w niepamięć swoje własne dzieje, zajmuje się historją sławnych bohaterów.— Jego prace o Cezarze, Turenijuszu i Fryderyku Wielkim.— Znów zdrowie jego pogorsza się.— Trudność widzenia go i sprawdzenia jego obecności.— Nikczemne usiłowanie Hudsona Lowe wysadzenia drzwi.— Rok 1820.— Przyjazd lekarza i dwóch księży przysłanych od kardynała Fesch. — Napeleon każe odprawiać mszę w Longwood co niedziela. — Moralne ztąd zadowolenie. — Na usilne prośby doktora Antomarchi, Napoleon nie chcąc pod strażą jeździć konno, zajmuje się ogrodnictwem. — Roboty w ogrodzie wykonane przez niego i jego towarzyszy.— Prace te zajmują część roku 1820. — Napoleon odzyskuje nieco siły. — Powrót do zdrowia jest tylko chwilowy. — Wkrótce doznaje przykrych boleści żołądka, nogi znów puchną i siły nagle nikną.—Z zadowoleniem widzi zbliżającą się śmierć. — Testament, konanie i zgon w. d. 5 Maja 1821. — Pogrzeb. — Ocena geniuszu i charakteru Napoleona.— Różnica jego usposobień z natury, od nabytych pod wpływem wypadków. — Jego przymioty osobiste i genjusz jako prawodawcy, administratora i wodza.— Miejsce zajmowane w rzędzie wielkich wojowników. — Postęp sztuki wojennej od czasów starożytnych do rewolucyi francuzkiéj. — Aleksander, Annibal, Cezar, Karol W., książęta Nassauscy, Gustaw Adolf Kondeusz, Turenjusz, Vauban, Fryderyk i Napoleon. — Jak daleko Napoleon posunął sztukę wojenną? — Porównanie Napoleona z największymi ludźmi wszystkich wieków pod względem talentów przeznaczeń.— Nauka dająca się z jego życia osiągnąć. —Koniec tej historji.

Od str. 501 do końca

T. 11
26604/2